

**Kate Elliott**

**Korona Gwiazd  
Tom 4**

# **Dziecko płomienia**

*Child of flame*

*Tłumaczyła: Joanna Szczepkowska*



Pamięci Arnolda Bodtkera, 1904 - 2000.

*„Wiedzieć coś i w coś wierzyć jest czymś zupełnie innym, niż stosować w życiu to, co wiemy i w co wierzymy”.*

## NOTA OD AUTORKI

Materiał, który składa się na serię „Korona Gwiazd”, pisany był z myślą o trylogii, po której miały nastąpić trzy kolejne części. Jak to często zdarza się w pracy pisarskiej, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Gdy zaczęłam tworzyć, odkryłam, że fabuła będzie znacznie szersza, niż początkowo sądziłam.

Część materiału, jaki chciałam wykorzystać, została skrócona lub odłożona do wykorzystania w innym czasie, włączając jeden osobny wątek, który dotyczy plemion Quman.

Reszta mego dorobku składa się z części tworzących pięć (albo sześć) woluminów, co okazało się najlepszym sposobem, by jednocześnie utrzymać pisarski poziom i dotrzymać terminów wydania książek. Ostatnia część „Korony Gwiazd” będzie nosiła taki właśnie tytuł.

Pozostawiam otwartą możliwość powrotu do świata przedstawionego w „Koronie Gwiazd” w kolejnej sadze. Mam nadzieję opowiedzieć kiedyś historię Kereki, córki wodza Qumanów, która pragnęła być mężczyzną.

## PODZIĘKOWANIA

Nagły atak zapalenia ścięgien spowodował pewne opóźnienia w pracy nad tą książką.

Chciałabym podziękować moim wydawcom za cierpliwość, M. J. Kramer za dwukrotne przepisywanie moich bazgrołów, kiedy nie mogłam tego zrobić sama. Szczególne podziękowania dla Russa Galena za jego wyjątkową pomoc.

Jak zawsze chcę podziękować Jay Silverstein za wkład w powstanie moich książek i za ich oceny. Dziękuję także: Jeanne Reames Zimmerman, Sherwood Smith, M. J. Kramer, Katharine Kerr, Constance Ash i mojemu wydawcy, Sheili Gilbert. Spędziłam wiele wspaniałych, olśniewających chwil w Muzeum Narodowym w Kopenhadze w Danii i mam nadzieję, że znajdziecie ślady tego w mej książce. Jeśli Adika ma innego potomka niż ten z mojej wyobraźni, jest nim dziewczynka Egtvedów.

A moim czytelnikom: dziękuję za oczekiwanie.

## PROLOG

Błyskawice raz za razem rozdzierały niebo na południowym wschodzie. Jednakże w szerokim rowie, w którym odnalazła schronienie trójka młodych ludzi i dwóch ciężko rannych żołnierzy, deszcz na szczęście był słabszy. Wiatr z północy rozwiął chmury, odsłaniając woskowe światło księżyca.

Ivar wsłuchiwał się w odgłosy bitwy, które przynosił morski wiatr. Schronili się w rowie w nadziei, że ujdą uwadze przeciwnika. Nie znaleźli jednak bezpieczeństwa, a jedynie chwilę wytchnienia, utkwivszy w miejscu za linią wroga. Qumańscy wojownicy mogli spaść im na karki od strony rowu po wschodniej stronie i poćwiartować ich, a potem odciąć im głowy i przytroczyć je jako ozdoby u swoich pasków. Albo, w ostateczności, zrobią to, co miał na myśli Baldwin, paplając o qumańskich żołnierzach przeszukujących ogromny kurhan i jego obrzeża, oświetlając sobie drogę pochodniami.

Póki co ze swego miejsca na dnie błotnistego rowu Ivar nie dostrzegał ani jednej. Ze szczytu wzgórza emanowało migotliwe światło, ale nie przypominało żadnej z pochodni, jakie Ivar kiedykolwiek widział.

Czasami, gdy sytuacja była naprawdę zła i nie dało się z tym nic zrobić, lepiej było nie dostrzegać pewnych rzeczy.

- Ostrożnie - wyszeptał Ermanrich. - Cały ten kraniec jest wypełniony wodą. Na litość boską! Jest jak lód.

- No, Dedi, dalejże, chłopaku - perswadował starszy z dwóch rannych Lwów swemu młodemu towarzyszowi, ale ten nawet nie drgnął. Prawdopodobnie był już martwy.

Ivar znalazł wodę i zaczął ją pić ze złożonych dłoni. Jej chłód sprawił, że odzyskał jasność myślenia po raz pierwszy, odkąd stracił palce. Wreszcie mógł usiąść i zastanowić się, w jak bardzo złym byli położeniu.

Księżyc rzucał poświatę na otaczający ich krajobraz. Naprzeciwko przepaści pomiędzy górkami zboczami utworzyła się sadzawka wody. Powstająca przez niezliczone lata katarakta do tego stopnia starła górski klif, iż odsłoniły się dwa głazy, nakryte przez kamień nadprogowy. W jednym z kamieni odbijały się gwiazdy, ukazując jego wyrzeźbioną połowę, ukrytą pośród mchu. Ivar ominął sadzawkę, nie chcąc zmoczyć nóg i natrafił na starożytną kamienną rzeźbę. Była uformowana w kształcie ludzkiego ciała, na głowie którego widniały jelenie rogi.

- Spójrz! - Baldwin zerwał mech, przykrywający kamienie. Odsłonił tunel z wejściem do wnętrza skały.

Tak czy inaczej znaleźli się po stronie, która przegrała bitwę i byli odcięci od wycofującej się armii księcia Bayana i jego sprzymierzeńców, a przynajmniej tych, którzy ocaleli. Starożytny kurhan z pewnością nie mógł być gorszy niż qumańscy żołnierze, Ivar przecisnął się przez wejście, brodząc w wodzie. Do butów wlała mu się zimna woda, mocząc nogawice i sprawiając, że palce stóp aż pulsowały mu z bólu. Nie mógł nic dostrzec. Poczul tylko, że musnęło go czyjeś ciało.

- Ivar! Czy to ty?

- Oczywiście, że ja! Kiedyś słyszałem, że Qumanowie boją się wody. Może moglibyśmy się tu ukryć, przynajmniej dopóki ta sadzawka nie zrobi się zbyt głęboka.

Grunt pod nogami był twardy, a woda nie sięgała powyżej ich kolan, Ivar zanurzył rękę w lodowatej toni, szukając czegoś po omacku. Znalazszy kamień, uniósł go i wrzucił do wody. Rozległo się głucho pluśnięcie. Woda przed nimi kapała miarowo.

Jakieś żywe stworzenie poruszyło się w głębi kurhanu.

- Co to było? - zasyczał Baldwin, chwytając ramię Ivara.

- Au! Szczypiesz mnie!

Było za późno. Ich głosy zbudziły śpiących zmarłych. W ciemnym tunelu odbił się echem jęk pozbawiony słów.

- O Boże - Ivar ścisnął ramię Baldwina. - Zaszliśmy do piekła w kurhanie i będziemy przeklęci.

Jednakże głos wypowiedział słowa, które choć zniekształcone przez kamienie i kapanie wody, były zrozumiałe.

- Czczy to wy? Czczy jesteście przyjaciółmi Ermanricha?

- L-lady Hathumod? - wyjąkał Baldwin.

- J-ja. - Ulga w jej głosie była słyszalna pomimo zacierania się słów i echa. - Biedny Ssigfrid został ranny w ramię i zgubiliśmy się. M-modliłam się do Boga o zzznak. A potem dostaliśmy się w to miejsce.

Tutaj jest sucho i wydaje mi się, że tunel biegnie dalej w głąb wzgórza, ale zbyt się bałam tam zapuszczać.

- Co teraz zrobimy? - burknął Baldwin.

- Zbierzemy innych i pójdziemy w głąb tak daleko, jak to tylko możliwe. Qumanowie nie odważą się gonić nas przez wodę. Po upływie dnia lub dwóch odejdą stąd, a my wyjdziemy na powierzchnię.

- Tak jak teraz? - upewniał się Baldwin.

- Tak jak teraz. Zobacz.

Zawrócili ku wyjściu pokrytemu mchem, gdzie znaleźli trzęsącego się i kaszłającego Ermanricha, zdrapującego mech.

- O Boże, tu jesteście! Myślałem, że kurhan was pochłoniął - wydał z siebie urywane westchnienie, a potem odezwał się niskim głosem, robiąc sobie żarty ze strachu i zarazem ulgi, jakie go ogarnęły.

- Błoto jest ślepe, w przeciwnym razie nigdy byś nie wszedł do środka. Chodźcie. - Ivar skierował się ku Lwu, który nie stracił przytomności. - Przyjacielu, czy możesz chodzić?

- Trochę, chłopcze. Ale Dedi, ten tutaj... - Głos starego Lwa stał się nagle chrapliwy.

- Poniesiemy go - rzekł szybko Ivar. - Ale najpierw wydobędziemy go z tej kolczugi. Ermanrich, pomożesz mi? Baldwin, pomożesz Lwu, pójdiesz przodem i będziesz patrzył, czy nie ma jakichś dziur.

- Dziur? A co będzie, jeżeli wpadnę do jakiejś bez dna?

- Baldwin, nie mamy czasu! Tędy. - Sięgnął po tarczę nieprzytomnego Lwa. - Weź jego miecz i w razie potrzeby toruj nim sobie drogę.

Co dziwne, Baldwin usłuchał bez sprzeciwu. Pomógł podnieść się starszemu Lwu i podtrzymywał go, podczas gdy ten kuśtykał do tunelu.

Wyswobodzenie nieprzytomnego chłopaka z kolczugi nie było zadaniem łatwym.

- Myślę, że on już nie żyje - wyszeptał Ermanrich ładnych kilkanaście razy, w końcu jednak wydobyli go ze zbroi.

Ciągnięcie go poprzez tunel, nawet pozbawionego kolczugi, nie należało do najłatwiejszych zadań. Był roslym mężczyzną, dobrze umięśnionym i rannym tak poważnie, iż był kompletnie bezwładny, a przez to ciężki niczym nieboszczyk. Na szczęście woda nie sięgała im wyżej ud, a wkrótce zziębnięci dotarli na suchy grunt. Wielkość wzgórza ich przytłaczała. Kurz drażnił nozdrza Ivara, a jego okaleczona dłoń zdawała się płonąć.

- Dzięki Bogu - westchnął Baldwin w ciemności.

Ivar i Ermanrich położyli nieprzytomnego żołnierza na ziemi. Nie zrobili tego zbyt delikatnie, a Ivar wyprostował się tak szybko, że uderzył głową o kamienny sufit. Ból sprawił, że pociekły mu łzy. Miał ochotę po prostu usiąść i płakać. Wszystko skończyło się klęską. Naprawdę wierzył, że wygrają bitwę. Oddziały księcia Bayana i księżniczki Sapientii prezentowały się wspaniale naprzeciwko armii qumańskiej i nawet straszna margrabina Judith wystąpiła z tak potężną armią, iż wydawało się niemożliwym, by ją rozbito. Książę Ekkehard zagubił się gdzieś w powszechnym zamęciu, jego towarzysze zostali rozbici lub polegli, a oni sami byli ostatnimi resztkami armii księcia Bayana, które pozostały po tej stronie rzeki: dwóch ciężko rannych żołnierzy, czterech mnichów - nowicjuszy i jedna ocalała zakonnica.

Bitwa rozpoczęła się późnym popołudniem, a teraz nadchodziła noc. Dwie godziny oddzielały ich od momentu, gdy stali na polu chwały, w pierwszej linii prawej flanki, gotowi, by rzucić się do bitwy. Niemożliwe, że wszystko tak szybko obróciło się na złą stronę.

Tymczasem jednak ktoś musiał wrócić i upewnić się, czy qumańscy żołnierze nie depczą im po piętach. Zimno, mokro i dreszcze - Ivar przygotowywał się na szok podczas brodzenia w wodzie, która płynęła w dole tunelu. Nogawice przylgnęły do jego nóg niczym lodowate pijawki, a palce stóp zeszywniały z zimna.

Z mroku wyłoniła się nagle czyjaś ręka, chwytając rękaw Ivara.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, bym poszedł z tobą? - rzekł Baldwin ochryplym szeptem.

- Nie. Będzie lepiej, jeśli pójdę sam. Jeśli coś mi się stanie, ty, Ermanrich i lady Hathumod poniesiecie rannego Lwa.

Baldwin przysunął się bliżej. Pomimo długich tygodni podróży w trudnych warunkach, poczucia przerażenia z powodu przegrywanej bitwy, które trwało od popołudnia aż do zmierzchu, rozpaczliwej marszruty w głąb starożytnego kurhanu, oddech Baldwina był tak słodki, jak u możnowładcy, siedzącego w różanym ogrodzie, popijającego napój z grzanego mleka i wina, zaprawiony korzeniami z domieszką mięty.

- Wolalbym umrzeć, niż ruszyć bez ciebie.

- Wszyscy zginiemy, jeśli Qumanowie odkryją zbroję Lwa i dowiedzą się, że ukryliśmy się w tunelu. Zostań tu, Baldwin, błagam cię.

Za ich plecami, w styksowej ciemności, delikatny głos Sigfrida unosił się i opadał, wypowiadając modlitwę. W jakiś dziwny sposób ciemność wypaczała poczucie czasu. Czy naprawdę ledwie chwilę temu odnaleźli ukryte wejście do kurhanu? Można było odnieść wrażenie, że od tej chwili minęły całe godziny.

Poprzez słowa modlitwy Sigfrida Ivar słyszał mamrotanie lady Hathumod, jednak nie potrafił rozróżnić słów. W odpowiedzi słychać było monosylabiczne burknięcia Lwa i szeptem wypowiedzane pytania Ermanricha. Ivar nie mógł nic dostrzec w ciemnościach, nawet stojącego obok Baldwina. Czuł jednak obecność swoich towarzyszy, ściśniętych jeden koło drugiego niczym przerażone szczury, ukryte pod zwalami ziemi i skał.

Ivar wziął od Baldwina miecz nieprzytomnego Lwa i spróbował go chwycić zdrową ręką. Poczul ulgę, gdy ścisnąwszy broń, skórzany uchwyt wpasował się w zagłębienie dłoni. Z zacisniętymi zębami ruszył ku wodzie, drżąc z zimna. Tunel opadał w dół, a lodowata woda ziębiła mu nogi.

Z mieczem tuż przy lewym boku Ivar dotarł do wyjścia, zachowując względną ciszę. Poczul zatęchły zapach pola bitewnego. Słychać było krakanie wron, zwołujących swoich pobratymców na ucztę. Pod podeszwami butów czuł kamienie. Westchnął lekko, starając się utrzymać równowagę. Poranione ramię otarło się o kamienną ścianę. Syknął z bólu, poczuwszy płynącą stróżkę krwi. Potykając się, szedł naprzód. Rękę z kikutami brakujących, odciętych aż do stawów palców, położył wreszcie na wilgotnym gobelinie mchu. Łzy popłynęły mu z oczu, tworząc słone ścieżki nad wargami. Po chwili ból zmniejszył się na tyle, by Ivar mógł normalnie myśleć.

Dotarł do wyjścia. Ostrożnie pomacał zdrową ręką kłaczki mchu, które pokrywały popękane wejście. Ukryty za ich zasłoną, czekał, nasłuchując. Nie widział nic, nawet nieba. Wszelchobecna ciemność, kryjąca wejście do kurhanu, była głęboka niczym mroki wewnątrz grobowca. Świat spowijał zapach wilgoci, ziemi i mokrego mchu.

Z oddali docierały odgłosy walczącej armii, końskich kopyt, wycie jakiegoś nieszczęśnika i dźwięki wskazujące na to, że obie armie zaczynają się od siebie oddalać, a bitwa słabnie, dobiega końca.

Z niedaleka zaś dało się słyszeć chrząkanie i czyjś niewyraźny oddech.

Zanim Ivar zdążył się zorientować, że zmienił pozycję, miecz uniósł się w jego dłoni. Porzucona zbroja mówiła głosem charakterystycznym dla wszystkich metalowych rzeczy: kiedy dotykały jej czyjeś ręce, lekko podzwaniała.

Stało się to, czego się obawiał: qumański żołnierz znalazł zbroję Lwa.

Ivar wyjrzał zza swojej zasłony. Qumański wojownik miał zwinięte na plecach skrzydła. Pochylał się nad zbroją i hełmem Lwa. Ivar przykucnął pod drewnianą framugą wrót. Kiedy Qumańczyk odwracał się, uderzył. Jego krótki miecz ugodził skrzydlatego żołnierza pod skórzaną koszulą z naszytymi łuskami. Zdołał zarzucić ranną rękę na szyć mężczyzny i z całej siły pchnął go do wnętrza kurhanu. Gdy Ivar wpadł do wody, drewniane framugi zaczęły pękać. Qumański żołnierz runął najpierw na kolana, a potem uderzył twarzą o grunt. Ostrze miecza przeszło go na wylot, przechodząc między jego zębami.

Woda musnęła wargi Ivara, gdy ten przyciskał żołnierza do ziemi. Quman poruszył się, próbując unieść głowę, ale Ivar przygwałdził go mieczem, wbijając go w ciało żołnierza aż po rękojeść. Rozległ się zgrzyt, gdy stał dotknęła kości. Quman wił się w konwulsjach. Jego czarne włosy unosiły się w wodzie niczym kosmki mchu. Wreszcie całkiem znieruchomiał.

Ivar wypchnął ciało na głębszą wodę, po czym zachwiał się. Był obolały z zimna. Chciał zmyć z twarzy krew, lecz sadzawka wokół pełna była śladów życia, które wyciekło z ciała Qumana. Ostrożnie przesunął się w kierunku mchu. Tam woda była czysta.

Niebo przecięła błyskawica, a potem uderzył piorun. Ktoś o coś zapytał. Za kurhanem pojawiła się postać. Była zniekształcona przez skrzydła. Jej koń stanął dęba na tle nocnego nieba, a jeździec znowu coś zawołał: następny Quman szukał swego towarzysza, Ivar, ukryty w rzucanym przez głaz na dno rowu cieniu, był dla niego niewidoczny. Chwilę później jeździec ruszył w inną stronę.

Mżawka zraszała policzki Ivara. Z coraz głośniejszym rykiem przetaczały się wody rzeki. Ich szum przypominał wiele narastających jednocześnie głosów. Nie mógł jednak zobaczyć rzeki, tak jak i gwiazd na niebie. Kropelka deszczu spłynęła mu na czubek nosa i pozostała tam zawieszona jakiś czas. Ivar także trwał w bezruchu, by nie zdradzić miejsca swej kryjówki.

W końcu schował miecz, zwinął kolczugę, ściskając ją paskiem, a hełm przywiązał rzemykiem do ramienia. Z mieczem w sprawnej dłoni i z ręką, która tętniła bólem tak silnie, że aż przyprawiało go to o ból głowy, Ivar ruszył w drogę powrotną. Makabryczne skrzydła musnęły jego nos, jedna drzazga z

połamanej framugi zadrapała go w policzek, zaś pióra połaskotały mu wargi. Deszcz rozpadał się na dobre. Na zachodzie uderzył piorun. Jeśli będą mieli szczęście, deszcz zatrze ślady ich bytności i pozostawi bezpiecznych na dzień lub dwa, podczas gdy Qumanowie odejdą. Potem spróbują się przesłiznać na północny zachód, na szlak wycofującej się armii księcia Bayana i księżniczki Sapientii.

Aczkolwiek w głębi serca wiedział, że to złudna nadzieja. Qumanowie mieli zwiadowców i naganiaczy. Nie było możliwości, by wynędzniała grupa siedmiu ludzi, spośród których czworo było rannych, a większość nie była w stanie walczyć, mogła się przedrzeć przez linie wroga. Musieli jednak wierzyć, że im się uda. W przeciwnym razie pozostawało im położyć się i czekać na śmierć.

Dlaczego zesłano im wizję feniksa, skoro Bóg zaplanował dla nich tak bezsensowną śmierć?

Baldwin czekał na niego w miejscu, gdzie tunel wznosił się i gdzie nie przedostawała się woda.

- Chodź - powiedział gwałtownie Baldwin. - Gerulf rozpałił ogień.

- Gerulf?

- To ten starszy Lew. - Baldwin szedł za Iwarem, podtrzymując go, gdy ten się potykał, Ivar czuł się wyczerpany. Był przemoczony i przechodziły go dreszcze. Pragnął jedynie rzucić się, tak jak stał i spać, aż zabierze go śmierć albo przybędzie po niego feniks. A może jedno przywiedzie drugie - trudno było to wszystko rozsądzać, gdy ściany przed oczami Ivara falowały.

Na bladej powierzchni kamieni wryto jakieś dziwne znaki, szerokie skalne ściany ozdobiono symbolami demonów i starożytnych bogów, którzy zsyłali plagi na ludzi dawnych czasów: romby, spirale, które nie miały początku ani końca. W ogromne przestrzenie popękanych skał wzdłuż i wszerz wciskały się kłaczki wyschniętej trawy.

Jakim sposobem jednak wszystko to było widoczne w samym sercu głębokiego grobowca?

Z pomocą Baldwina Ivar posuwał się naprzód. W pewnym momencie korytarz zaprowadził ich do zadymionej komnaty, oświetlonej przez płomienie. Towarzysze Ivara zgromadzili się przy pochodni, a on sam rozejrzał się wokół. Komnata wyglądała niesamowicie, obłana migoczącym światłem. Nie można było zobaczyć sufitu, a ściany skrywał cień. Ivar kichnął.

W centrum skalnej sali znajdowała się kamienna płyta. Wieki temu złożono tutaj szczątki królowej. Tu spoczywały jej kości - blade szkielet z pustymi oczodołami spał snem wiecznym, omiotany światłem pochodni. Widniały na nim strzępki zgnitego materiału i złotych ozdób, które opadały wokół głowy i zeber. Kiedy Gerulf przesunął pochodnię, by wyraźniej dostrzec ranę towarzysza, ujrzeli też złote rogi.

- Nie powinniście palić ognia w kurhanie! - załkał przerażony Ivar. - Wszyscy wiedzą, że to sprowadza demona śmierci!

Wąty Sigfrid siedział u wezłowania nieprzytomnego Lwa, najbliżej ołtarza. Popatrzył w górę spokojnymi oczami człowieka, który czuje, iż cudowne ręce Boga uleczyły jego ciało.

- Nie obawiaj się, Ivar. - Jego głos, który wrócił mu cudem, był pełen wyrzutu. - Bóg nas ochroni. Ta biedna martwa kobieta nie uczyni nam nic złego. - Wskazał na szkielet, a potem pochylił się, gdyż stary Lew zaczął doń coś mówić cichym głosem.

Ale skąd Sigfrid miał tę pewność? Ivar wychowywał się na północy, gdzie wciąż wyznawano starych bogów, którzy z pewnością byli zazdrośni, że wiara w Zjednoczonego Boga wyrwała spod ich wpływu tak wielu ludzi. Nie wiadomo, jaki nikczemnik spał tu snem wiecznym i jak mógł się obudzić.

Ermanrich i Hathumod siedzieli obok siebie, złączywszy ręce w braterskim uścisku. Oboje mieli za sobą podobne doświadczenia. Jakże dalekim wydawał się czas, gdy czterej nowicjusze i Hathumod byli w nowicjacie w Quedlinhame. Już rok później zostali zeń wydaleny za popełnienie niewybaczalnego grzechu herezji.

Baldwin okrążył kamienny ołtarz i zmarłą królową, następnie przykucnął, by wziąć do ręki jeden ze złotych rogów. Szkielet oblało światło pochodni. Cenne bursztynowe koraliki rozsypały się wokół kości.

- Nie niepokój zmarłego! - zasyczał Ivar. Ale Baldwin, z oczami szeroko otwartymi, majstrował coś po prawej stronie szkieletu, tam gdzie włókna wysuszonych wełnianych sznurków, których końce związane były małymi, zielonkawymi metalowymi pałeczkami, owijały się wokół kości miednicy. Jego ręka zacisnęła się na małym, połyskującym błękitno przedmiocie.

- Popatrzcie! - wykrzyknął, podnosząc drugą ręką kamienne lustro, które spoczywało w zagłębieniu, utworzonym przez kości miednicy. Wypolerowana czarna powierzchnia nadal lśniła. Kiedy Ivar w panice uczynił krok, by powstrzymać przyjaciela przed dalszym bezczeszczeniem świętości, Baldwin ujrzął to w lustrze.

- Ach, Boże, obawiam się, że mój biedny siostrzeniec już nie żyje - mamrotał Gerulf. - Przysięgałem siostrze, że wrócimy do domu cali i zdrowi.

W lustrzanej głębi zwierciadła odbiły się jakieś cienie, słabo widoczne w panującej ciemności.

Starożytne władczynie, których oczy miały blask noża, wyszły z ukrycia. Pierwsza była młoda, ubrana w pyszną szatę, która błyszczała niczym płonąca strzała. Na jej ustach igrał okrutny uśmiech. Druga była korpulentną matroną wysokiego rodu, której nigdy nie brakło jedzenia i która trzymała w rękach kosz wypełniony owocami. Trzecia miała srebrne warkocze przewiązane wstążkami, a zmarszczki na jej twarzy wydawały się tak głębokie jak szczeliny w górskim zboczu. Na jej uniesionych rękach widniały pajęczyny. Spojrzenie królewskich oczu sprawiło, że Baldwin poczuł się jak zatrząśnięty w imadle. Nie mógł wypowiedzieć ani słowa, by ostrzec innych, którzy nic nie widzieli i nie czuli zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Hathumod westchnęła.

- Cóż tam leży? - Jej słowa sprawiły, że wizerunki duchów zafalowały, tak jak faluje woda, gdy ludzka ręka oczyszcza z alg zarośnięty staw.

- Baldwin! Odłóż to natychmiast, idioto! - rozkazał Ivar.

Kiedy zawstydzony Baldwin położył lusterko na jego uprzednie miejsce, Hathumod podeszła bliżej. Jej ręka spoczęła na tobołku tak brudnym i pokrytym pleśnią, że dłoń zrobiła się zielona, a drobinki osadu rozsypały się wokół, wirując w dymie z pochodni. Podobnie jak Baldwin, była albo głupia, albo nieostrożna. Zagmerała w tobołku i znalazła skórzaną sakiewkę, która w jej rękach zamieniała się w garstkę pyłu i, co dziwne, paznokiec, pokryty plamami rdzy.

Hathumod załkała, podczas gdy Gerulf potrząsnął tobołkiem. Wypadły z niego przegniłe części ubrania: zardzewiała, rozpadająca się kolczuga, nóż, zgniły skórzany pas, gładka tunika i płaszcz z naszytym emblematem czarnego lwa.

- Jakiś nieszczęsny towarzysz broni musiał się tutaj dostać i skonał wiele lat temu - rzekł stary Lew.

- Kto tu jest? - odezwał się niespodziewanie Sigfrid, odrzucając głowę w tył, jak gdyby coś dosłyszał. Baldwin, wciąż ściskając obsydianowe zwierciadło, wrzasnął i rzucił się do przodu. Spoczywającym na ziemi martwym ciałem siostrzeńca Gerulfa szarpnął nagle spazm, jak gdyby wstąpił weń demon.

Podziemna komnata zalśniła błękitnym światłem.

Ivar zawył, choć nie słyszał własnego głosu. Mięśnie jego gardła naprężyły się, gdy wydychał powietrze. Błękitne światło oślepiło go. Podłoga zawirowała pod stopami, odrzucając go na bok, jednakże jego wyciągnięte ręce nie poczuły gruntu. Upadł na kolana, chwytając rękami powietrze i oto nagle młoda królowa z uśmiechem jak ostrze noża szła ku niemu po dywanie z ognia, wyciągając ręce jakby w geście powitania. Podążył ku niej, chwytając się jakiegokolwiek nadziei życia.

Dotknął jej dłoni.

I nic już więcej nie wiedział.

## CZEŚĆ PIERWSZA KWIETNY SZLAK



## Rozdział pierwszy WYBRANA

### 1

O zachodzie słońca Adika opuściła wioskę. Kiedy przechodziła, starsi ludzie kłaniali się jej z daleka z szacunkiem. Ojcowie usuwali dzieci z drogi. Kobiety dźwigające snopy zboża zebranego z pól odwracały wzrok na jej widok, tak by spojrzenie Wybranej nie sprawiło, że uschłyby nowo dojrzewające plony, z których otrzymywano chleb. Nawet ciężarna Weiwara, kiedyś jej ukochana przyjaciółka, zawracała za próg swego domu, kryjąc swój duży już brzuch przed spojrzeniem Adiki.

Patrzono teraz na nią inaczej niż kiedyś. Prawdę zaś rzekłszy, nie patrzono na nią wcale, a już na pewno nigdy nie prosto w twarz. Nie teraz, kiedy Wiedzący wyznaczyli jej obowiązki i określili przeznaczenie.

Gdy Wybrana przechodziła w pobliżu, nawet psy miały się na baczności.

Adika przeszła przez otwartą bramę i skierowała się ku drewnianemu mostowi, przerzuconemu przez rzekę, która okalała wioskę. Światło słońca sprawiało, że chmury miały blad różowy odcień, delikatny jak kwiaty lnu. Pola zakwitały na złoto wzdłuż rzeki płynącej po równinie. Gdzieś tam widniały zapadające się stare domy babek, teraz opuszczone, ponieważ w nowej wiosce było bezpieczniej. Babki jednakże nie żyły w ciągłym strachu jak większość ludzi.

Kiedy dotarła do rzeki, trzykrotnie podniosła laskę i pobłogosławiła wioskę. Potem ruszyła dalej.

Nieopodal rzeki trzech mężczyzn pochylali się nad jazem. Ujrawszy ją, jeden z nich wyprostował się. Adika rozpoznała szerokie bary Beora i charakterystyczny sposób, w jaki unosił podbródek, gdy był zły.

Jakże Beor protestował i uskarżał się, gdy Wiedzący uznali, iż oni dwoje nie mogą już ze sobą dłużej żyć jako małżonkowie! Co prawda, życie z nim nie było spokojne. Beor otrzymał prawo nazywania jej swą małżonką w dniu, gdy starszyzna obrała go kapitanem wioski ze względu na jego niezaprzeczalną odwagę podczas wojny przeciwko Przekłętym. Ale chociaż prawo zezwalało jej wybrać sobie małżonka wedle swej woli, to Beor nie był tym, którego by chciała. W pewnym sensie Adika czuła ulgę, pozbywszy się go.

Jednakże, choć minęły dni i miesiące, tęskniła za ciepłem jego ciała w nocy.

Beor wykonał ruch wskazujący, iż chciałby podejść i złapać ją, jednakże jego towarzysz powstrzymał go, kładąc mu dłoń na piersiach. Adika nadal szła ścieżką samotnie.

Wspięła się na wielki kurhan, torując sobie drogę pośród labiryntowych wykopów. Jako Wybrana, która miała chronić wioskę, szła tędy wiele razy, lecz nigdy jeszcze nie czuła się tu tak samotnie jak teraz.

Na wałach obronnych nie rosnęły prócz młodych mleczy o liściach nadających się do jedzenia. Daleko w górze wysoka trawa i niezbrane jeszcze plony falowały niczym rzeka, poruszana przez bryzę, która zdawała się przesuwając słońce w kierunku krainy umarłych.

Ziemia usuwała się pod jej stopami, wciąż równa po przesunięciu się po niej kłód, używanych do transportu kamieni, wydobywanych do budowy kręgu na szczycie wzgórza. Adika przeszła wąskim szlakiem między dwoma wałami obronnymi i weszła na wzgórze. Stało tam siedem kamieni, umieszczonych za życia jej nauczycielki. Na wschód od kręgu leżały trzy kamienie węgielne. Dawno temu dały podwaliny dla starożytnej osady. Jak twierdziła preceptora Adiki, trzy kamienie znakowały miejsce pochówku dawno zmarłych królowych: Promiennej Strzały, Złotej Lochy i Bezzębnej, dzięki magii których powstało łono kurhanu i których kości i skarby spoczywały w podziemnej komnacie.

W połowie drogi między wschodnimi wrotami i kamienną budowlą, w miejscu, gdzie zachodzące słońce rzucało ostatnie światło na jej próg, Adika rozbiła swój szałas, zrobiony z gałęzi i skór. W takich prymitywnych schronieniach ludzie żyli na długo, nim wielkie królowe oraz ich Wybrane skradły ludziom z południa magię nasion, gliny i brązu i nim Przekłęci przybyli, by pojmać jeńców i uczynić z nich niewolników i ofiary.

Odmówiła modlitwy, tak dobrze znanej, że mogła je wypowiadać, nie myśląc o tym, co mówi, i

rozpryskała ostatnie krople piwa na cztery strony świata: północ, wschód, południe i zachód. Oparłszy swą łaskę o cienkie brzoźowe polana, trzykrotnie klasnęła w ręce. Delikatnie zadzwoniły miedziane bransolety, które sygnifikowały jej status Wybranej. Był to końcowy dźwięk modlitwy, sygnał przyzywający noc. Słońce z wolna niknęło za horyzontem. Adika wpełzła do szałas. Tutaj odwiązała sznurki przytrzymujące spódnicę, ściągnęła odzienie i złożyła je w solidnej cedrowej skrzynce, gdzie trzymała wszystkie swoje rzeczy. W końcu owinęła się w futra, będące teraz jej jedynymi towarzyszami podczas snu.

Niegdyś żyła jak inni ludzie, w domu stojącym w wiosce, i oddychała atmosferą bytowania we wspólnocie. Oczywiście jej dom otoczony był kręgiem zaklęć i nikt prócz jej męża i potomków nie miał prawa przekroczyć jego progu. W przeciwnym razie mógłby doświadczyć działania magii, ukrytej w cieniu domu i pod jego powałą. Ale i wówczas mogła słyszeć porykiwanie bydła w oborach i radosne okrzyki bawiących się o zmierzchu dzieci. Każda wioska, w której zamieszkiwała Wybrana, cieszyła się szczęściem i dobrymi zbiorami.

Jednakże po postanowieniu podjętym przez jedną z Wiedzących, Adika nie mogła dłużej spać w wiosce. Obawiano się, że jej sen przywoływał złe duchy. Duchy mogłyby wyczuć śmierć; wszyscy o tym wiedzieli. Wślizgiwały się tam, gdzie przeznaczenie było wyjątkowo czytelne.

Kładł się na niej cień śmierci, toteż mieszkańcy wioski obawiali się, że każdy człowiek, którego Adika dotknie, może być zatruty pocałunkiem konania.

Odmówiła wieczorną modlitwę do Błędnej Łowczyni i leżała nieruchomo, czekając na sen. Jednakże i on nie przyniósł jej odpoczynku. Przewracając się z boku na bok, śniła, że stoi sama na wietrze, podczas gdy przychodzi po nią śmierć.

Czy wielkie tkanie zakończy się sukcesem? A może wszystko to okaże się klęską?

Przebudziła się, wciąż wierząc się w łóżku i myśląc o Beorze, którego niegdyś nazywała mężem. Od siedmiu nocy śniła podobne sny. Nigdy wcześniej jednak nie widziała śmierci. To ją przeraziło.

Na chwilę schowała twarz w dłoniach. „Modlę się do ciebie, o Obfita, która masz litość nad swymi dziećmi. Bądź mi towarzyszką. Nie ulęknę się śmierci, jeśli tylko nie będę musiała podążać długą drogą samotnie w ciemność”.

Podniósł się wiatr. Talizmany przywiązane do polan, z których zrobiła szałas, zadzwoniły delikatnie. Adika usłyszała, jak w oddali podzwaniają wykonane z brązu listki świętego kotła. Je także poruszał podmuch powietrza. Potem wiatr ustał. Było tak cicho, iż pomyślała, że mogłaby usłyszeć oddech gwiazd.

Wyśliznęła się na zewnątrz. Jej skórę owionęło zimne nocne powietrze. Nad głową Adiki lśniły w chwale gwiazdy. Rogaty księżyc o kolorze wosku już zaszedł. Dwa znaki potęgi - Oko Węża i Oko Smoka - lśniły feerią barw. Naostrzony Kamień powoli zniknął z nieba.

Czyżby był to znak? Zachodząca konstelacja Naostrzony Kamień poprowadziłaby ją do siedziby Upadających, a kiedy nastalby wieczór, ta sama konstelacja z pomocą Szczodrej, wędrującej córki Obfitej, poprowadziłaby Adikę z powrotem do domu. Obfita zawsze mówiła zagadkami i często niezbyt jasno wskazywała kierunki postępowania. Prawdopodobnie teraz tak właśnie było. Często myślała o mężczyźnie, który był dostatecznie odważny, by podążyć u jej boku.

Wsunąwszy się z powrotem do szałas, zaczęła grzebać w cedrowej skrzyni, szukając podarku dla Upadających. Wybrała sztabkę miedzi i rogi łosia. Wreszcie znalazła naszyjnik z bursztynów, który kiedyś dała Beorowi, by przypieczętować ich związek, jednakże starszyzna zmusiła go, by zwrócił jej ozdobę. Potem ubrała się, dwukrotnie obwiązując spódnicę wokół bioder, ściągając ją w stanie i zawieszając na pętelce u spódnicy swoje lustro. Umieściwszy podarki w koszyku wraz ze sznurem paciorków, które miała zamiar oferować naczelniej niewieście wioski Upadających, Adika wypelzła z szałas na zewnątrz. Potem przewiesiła koszyk przez ramię, używając do tego sznurka.

Ścieżka wijąca się w trawie prowadziła do skalnego oczka. Kamienne koło trwało w pełnej wyczekiwania ciszy, czekając, aż Adika je zbudzi.

Przystanąła na ziemi nieopodal kamieni. Plama pyłu połyskiwała białą warstwą błyszczącej w świetle gwiazd kredy.

Uniósłszy lustro, zaczęła recytować modlitwy budzące kamienie:

*Zważ na mnie, ty, która otwierasz się na wchodzie.*

*Zważ na mnie, ty, która otwierasz się na zachodzie.*

*Modlę się do ciebie, o Obfita, pozwól mi rozsnuć osnowę twej niebiańskiej tkaniny, tak bym mogła przeprawić się przejściem powstałym z jej oddechu.*

Adika uniosła lustro, czekając, aż światło gwiazd, tworzących konstelację Naostrzonego Kamienia, odbije się w jego wypolerowanej powierzchni. Dzięki temu straszliwa moc gwiazd nie zagrażała Adice. Za pomocą swej laski przewlekła odbite światło przez kamienny warsztat i utkała dla siebie korytarz ze światła gwiazd i kamieni. Poprzez ziemię pod stopami czuła siłę starożytnych królowych, które wplotły w gwiazdny warsztat tkacki sekret magii, jakiej nie znali nawet Przekłęci. Schwymane w kamienie nici światła gwiazd splątały się, tworząc architekturę z wątlęgo blasku, utkanego na kształt świetlistych wrót. Adika przekroczyła je. Padał deszcz. Jej stopy zapadły się w mokrej ziemi, pozostawiając na trawie ostatnie ślady kredowego pyłu. Powietrze było wilgotne, gorące i ciężkie. Adika uderzyła się o stojący kamień. Jej ramię zostało osłonięte przez rosnący wzdłuż kamienia mech.

Oczywiście, było niemożliwym zobaczyć jakiegokolwiek gwiazdy. Nie widziała też ścieżki. Jednakże Upadający zbudowali w pobliżu schronienie. Potykała się w ciemnościach, aż natrafiła na jego kryty strzechą dach. Niewielka kupka siana, cuchnąca wilgocią, nadawała się na siedzenie. Czekwała i snuła w umyśle swoją część wielkiego dzieła. Nigdy dość ćwiczenia rytuału, mogącego umożliwić kontrakt dla tych, którzy po latach wojen cierpieli na skutek nękania przez Przeklętych.

Im dłużej trwał dzień, tym gęstszy padał deszcz. Adika zeszła z pagórka ścieżką tak moką, że przemiękły jej buty. Wokół niej rozciągały się bagna. Błotniste obszary stojącej wody oddzielały od siebie małe wysepki i gęste kępy trzciny.

Upadający zbudowali drogę wzdłuż trzęsawisk. Najpierw ścięto leszczynowe pręty, rozszczepiono je, a potem spleciono tak, by powstał sprężysty panel, po którym ludzie mogli chodzić, nie mocząc nóg w bagnistym gruncie. Kiedy Adika szła tą drogą, chmury zaczęły się rozstępować i wyszło słońce. Na odległym pagórku zamajaczył zarys czyjejś postaci. Człowiek ten zawołał do niej: „Haloo”, a ona uniosła tylko rękę, nie zatrzymując się. Odbywała poranną przechadzkę na wzgórza znajdujące się na krańcach bagien. Tam, gdzie Upadający i ich plemię mieli swoje siedziby.

Adika przystanęła, by posilić się twarogiem, potem zeszła z drogi i nabrała trochę jagód. W płytkiej wodzie brodziły perkozy i kaczki. W górze majestatycznie szybowało stado łabędzi. Czapla przechadzała się samotnie, królewska i dumna. Nagle rozwinęła skrzydła. Chwilę później Adika usłyszała odległy dźwięk trąbki. Przykucnęła na ścieżce i w ciszy patrzyła, jak wielki skrzydlaty kształt przesuwają się na linii horyzontu w kierunku południowym, a następnie znikają.

Droga kończyła się w miejscu, gdzie ziemia była już sucha i gdzie teren wznosił się pagórkowato. Opustoszałe, porośnięte chwastami tereny ustąpiły miejsca polom, na których dojrzewały jęczmień i pszenica. Kobiety i mężczyźni zbierali plony, używając krzemienych sierpów. Kilkoro żeńców zauważyło Adikę i przywołało innych. Wszyscy przystanęli i wpatrywali się w nią. Jeden z mężczyzn zadał w róg, powiadamiając w ten sposób wyżej położoną wioskę.

Wkrótce do Adiki, zmierzającej ku domostwom, dołączyły dzieci, wszystkie paplające w swoim niezrozumiałym języku. Na zboczach znajdowało się jeszcze więcej pól oraz las.

Panowała gorączka ostatnich dni lata. Doszedłszy do pierwszych zabudowań, Adika czuła, że po jej plecach płynie strużka potu. Kobiety lepily garnki z gliny. Za ich plecami stały ukończone, choć jeszcze niewypalone naczynia. Widniał na nich odcisk wzoru w kształcie warkocza. Czterech mężczyzn garbowało skóry. Dwóch wyrostków z mozołem dźwigało pod górę wiadra z wodą.

Naczelną wioski wyszła ze swej chaty. Adika ofiarowała jej naszyjnik z północnej krainy. Taki podarek, wręczany przy powitaniu, musiał być dobrany właściwie, aby nie ośmieszyć gospodarzy. Naczelną wioski rozkazała zaś dziewczynie, by przyniosła ciepłą zupę, pachnącą kolendrą i miodem pitnym. Potem pozwolono Adice odejść, co zrozumiała dzięki kilku przyjaznym gestom. Kontynuowała więc wspinaczkę w górę zbocza do domu maga Upadających.

Tak jak przypuszczała, czarownik miał towarzystwo.

Był stary i siwy. Twierdził, że obchodził Święto Słońca już sześćdziesiąt dwa razy, jednak Adika nie wierzyła, że mogło to mieć miejsce tylokrotnie. Wszystkich Święt Słońca było przecież znacznie mniej. Czarownik siedział ze skrzyżowanymi nogami, obrabiając kość tak, by powstała z niej włócznia do łapania ryb. Ponieważ był Wybranym swej wioski, jego zadaniem było uczynić włócznię magiczną. Robił to, ryjąc na jej ostrzu wizerunki rybołowa i czapli. W ten sposób przydawał narzędziu zwierzęcej zręczności, przydatnej podczas polowania na ryby. Pracując, pogwizdywał pod nosem zakłęcie, które wplatało się w jego robotę.

Po prawej ręce Upadającego siedział Dorren. Uczył właśnie przycupnięte wokół dzieci gry, do której używał kamyków, wytrząsanych ze skórzanego kubka. Adika zatrzymała się za półkregiem obdartych malców i obserwowała go.

Wreszcie Dorren uniósł wzrok, wyczuwając, że jest obserwowany. Uśmiechnął się, odesłał dzieci i

wstał. Wyciągnął zdrową rękę w braterskim geście powitania.

- Nie sądziliśmy, że się tu pojawisz - powiedział i cofnął się, aby Upadający nie czuł się rozproszony ich rozmową.

Stojąc twarzą w twarz z Dorrenem, Adika nie wiedziała, co powiedzieć. Poczula, że płoną jej policzki. Doprawdy, była głupia. Ale on był rad, że ją widzi, czyż nie? Dorren był Białym Jeleniem ze Starego Fortu i został wybrany Wędrującym plemienia Białych Jeleni, tym, który podróżował przez kamienne pętle, by nauczyć się mowy ich sprzymierzeńców. Jako Wędrujący, był specjalnie chroniony przed magicznymi wpływami.

- Słyszałem, że Beor sprawiał ci kłopoty w wiosce - powiedział w końcu, podczas gdy Adika bawiła się nerwowo miedzianą bransoletą. - Znosiłaś go przez długi czas. Nie jest łatwo żyć razem, gdy kobieta i mężczyzna mają odmienne usposobienia.

Miał takie łagodne oczy. Z niesprawną ręką jako dziecko nie mógł polować czy pływać tak jak jego rówieśnicy, wyrósł jednak na zdrowego i silnego mężczyznę. Ceniono go za mądrość i cierpliwość i dlatego właśnie został Wędrującym. Miał wiele zalet, których tak bardzo brakowało Beorowi.

- Niektórzy pasują do siebie lepiej niż pozostali - mówił dalej. Prawdopodobnie wiedział, że od jakiegoś czasu go obserwowała.

Serce Adiki biło nierównomiernie. Co niezwykle, jego spojrzenie było nieruchome, choć musiał słyszeć o przekleństwie ciążyącym na niej i szczęściu innych Wybranych. Widząc jego odwagę, Adika nabrała pewności, że Opasła poprowadziła ją właściwą drogą.

Zaczęła inny wątek, jękając się nieco:

- Musiało ci się wydawać, że dni minęły szybko. Chciałam ci powiedzieć...

Dorren przerwał jej nagłym gestem. Zarumienił się. Patrzył na prowadzącą do wioski drogę. Kilkoro dzieci wałęsających się ścieżką weszło do zagajnika, piszcząc i chichocząc.

- Jest tutaj kobieta - powiedział wreszcie gorączkowo. - Nazywa się Wren. Jest córką Czerwonego Brzucha i Uśmiechniętej. Jest w moim życiu jak czysta woda, zawsze przynosi błogosławieństwo. Teraz mówi, że to ja miałem swój udział w spłodzeniu dziecka, które rośnie w jej łonie. Starszyzna plemienia orzekła, że jeśli będę dla nich pracował przez siedem pór roku, będę uznany za ojca dziecka i będę mógł dzielić z Wren dom w wiosce.

Adika nie mogła wiele odczytać z wyrazu jego twarzy, jednakże Dorren mówił dalej, a każde jego słowo sprawiało jej ból.

- Nie musisz się obawiać, że zaniedbam swoje obowiązki jako Wędrujący. Znam swe powinności wobec moich ludzi. Nie mam jednak powodu, by nie robić dwóch rzeczy naraz. Wciąż mogę przechodzić przez pętle i pracować także tutaj. Moja Wren jest dobrą kobietą i kocham ją.

Ku swemu przerażeniu Adika poczuła, że płacze. Ciche łzy popłynęły po jej twarzy, choć były ostatnią rzeczą, którą chciała teraz pokazać.

- Adika! Jesteś człowiekiem wielkiego serca i odwagi! Wiem, że będziesz umiała się cieszyć z mojego szczęścia pomimo twego własnego żalu! - Popatrując na maga, zmarszczył się, jak to czynią ludzie, zmuszeni podjąć sprawiającą im kłopot decyzję. - Teraz, kiedy już wiesz, jak bardzo droga jesteś memu sercu, chciałbym, byś o czymś wiedziała. Zdaję sobie sprawę, że mówienie o tym może przynieść pecha, że to kuszenie duchów, ale chcę, byś wiedziała, że jeśli moje dziecko będzie dziewczynką, jeśli przeżyje i okaże się zdrowa, nazwiemy ją twoim imieniem. Twoje imię przetrwa, nie tylko w pieśniach plemienia, ale także dzięki memu dziecku.

- Cieszę się z twojego szczęścia - oznajmiła ochryplym głosem, poprzez łzy.

- Adika! - warknął Upadający, patrząc na nią znad włóczni. Jej kłamstwo zwróciło jego uwagę.

Adika wyszła.

Upadający mógł czytać sekrety jej serca, gdyż łączyła ich więź, powstała podczas wspólnej pracy nad tkaniem. Poza tym nie przybyła tak naprawdę po to, by go ujrzeć. Miała jakąś dziką i niezbyt mądrą nadzieję, obróciła nocny wiatr w fałszywą zagadkę, a teraz okazało się, że zmarnowała swą magię i czas na bezsensowną podróż. Poczula wstyd.

Pobiegła przez las, nie chcąc, by ktoś w wiosce ją widział. Dorren wołał coś za nią, ale zignorowała go. Poszła na brzeg moczarów i zatonała w grzędawisku jagód. Czerwieniły się już, prawie dojrzałe. Przemokła do suchej nitki, ale zdołała wydostać się na drogę, nie spotykając nikogo z wyjątkiem chłopca polującego na ryby za pomocą haka i liny. W oddali wołały coś do niej kobiety wyciągające sieci z wody, ale nie mogła zrozumieć ich słów. Adice zdało się, że jej relacje z ludźmi słabną, kolejna więź stała się bardziej oschła, potem jeszcze jedna przyjazna dłoń wyśliznęła się z jej ręki. I tak to następowało po sobie, prawdopodobnie aż do czasu, gdy Adika ujrzy samotnie swe wielkie dzieło, a wraz z nią

pozostałych sześcioro: Upadający, Dwa Palce, Szu-Sza, Ten-Który-Pluje-Ostatni, Róg i Jasność-Która-Mnie-Słyszysz. Stanowili swoiste plemię: wyizolowani spośród innych ludzi. Byli ofiarą, dzięki której ludzie będą mogli uwolnić się od strachu.

Chmury rozstępowały się i nim Adika dotarła do wysepki z kamiennym warsztatem, słońce już prawie wyszło. Cokolwiek myślałaby o jej zachowaniu Upadający, był zbyt stary, by urządzać sobie spacerów dla zachcianki. Nie szedłby za nią i nie naprzykrzał się kłopotliwymi pytaniami. A czy Dorren poszedłby jej śladem? Czy chciałaby, aby zdał sobie sprawę, że Adika rozmyśla o tym, że znalazł szczęście, podczas gdy ona pozostała samotna? Zdecydowanie nie, nie teraz, gdy zazdrościła mu przychylności losu. Miała nadzieję, że i dla niej ma on coś w zanadrzu.

Jednakże nadszedł zmierzch i nikt się nie pojawił. Jak zawsze, wykonywane zadania sprawiły, że pogubiła nieco rytm dnia. Z pozycji Obfitej na niebie odgadywała, że ostatnie przejście zabrało jej dwa dni, choć jej wydawało się, że tylko jeden.

Oto była cena, jaką płacili przechodzący przez magiczne wrota: kiedy wstępowali na ścieżkę pomiędzy warsztatami, tracili dni lub nawet miesiące. W przypadku Adiki było o tyle dobrze, iż traciła dzień lub trzy dni samotności.

Do kamiennej pętli, składającej się z siedmiu kamieni tworzących koło, dotarła, gdy zapadła ciemność, a na niebie pojawiły się gwiazdy. Adika uniosła zwierciadło i pochwyciła światło Obfitej, zwinnopalcej Pani Ziarna i Słoi, po czym utkała dla siebie drogę powrotną do domu. Jej stopy dotknęły znajomej ziemi, twardej i suchej, nietkniętej ostatnim deszczem. Adika podążyła szybko ku swemu szałasowi, gdzie odłożyła podarki, których nie wręczyła Upadającemu.

Z pobliskiej wioski usłyszała dźwięki piosenki. Potrzebowała zaledwie chwili, aby przypomnieć sobie, że najstarsza wnuczka Matki Orli przekroczyła niedawno próg wieku, w którym ma się dostęp do kobiecych tajemnic i prawdopodobnie teraz jest gotowa, by wyłonić się z domu i zająć miejsce dorosłego członka społeczności.

Stała na wałach obronnych i przysłuchiwała się śmiechom i znajomym melodiom. Dawniej mieszkańcy wioski chcieli, by usświetlała uroczystość swą obecnością, teraz jednakże tylko wprawiłaby ich w zakłopotanie. A co, jeśli nagle pojawiłby się zły duch i zatrul szczęście młodej kobiety, jak to nieraz czynią duchy, zatruwając słodkie źródła czy świeże mięso? Strach górował nad innymi uczuciami wieśniaków.

Dlaczego bogowie zgodzili się, by Przekłęci mogli mieć wpływ na ludzi? Czy nie mogli wybrać innego sposobu, w jaki ludzkość mogłaby pozbyć się swego wroga? Dlaczego nie było jej dane zaznać szczęścia z Dorrenem, człowiekiem o uschniętej ręce i dobrym sercu? Dlaczego to właśnie Wybrani musieli ponosić ofiarę?

Adika potrząsnęła głową, zirytowana myślami, które przygnał do niej nocny wiatr, wysłany przez psotne duchy. Wymówiwszy głośno krótkie zaklęcie, zdołała je przegonić.

Tylko Wybrani posiadali magię czynienia tego, co właściwe. Taki los przypadł i jej, i innym.

Została powołana na tę ścieżkę jeszcze jako dziecko. Nigdy nie знаła i nie pragnęła mieć innego życia niż życie Wybranej. Nie spodziewała się jednak, że to życie będzie tak trudne.

Tej nocy nie miała żadnych snów.

## 2

Zbudziła się nagle, słysząc pohukiwanie sowy. Zapach rosy i daleka pieśń leśnych ptaków były sygnałem wczesnej pory, gdy słońce sposobi się niczym niedźwiedz o złotych uszach, gotowe, by pojawić się z wolna na horyzoncie.

Sowa zahukała znowu swoim głębokim hu hu.

Adika wygramoliła się z posłania. Założywszy odzienie, otworzyła cedrową skrzynię, by wyjąć swoje święte regalia. Wokół talii zawiesiła kuty pasek, zdobiony wyciętymi na jego powierzchni spiralami. Założyła też naszyjnik z bursztynu, który zamierzała dać Dorrenowi: bursztyn miał w sobie starożytną moc, a jej nauczycielka zawsze powtarzała, by podkreślać moc jej plemienia, zwłaszcza, gdy przyjdzie się spotkać z sojusznikami. Na kolanach położyła swe hematytowe zwierciadło, po czym zaczęła odwijać z Inianego całunu ozdobę głowy. Obręcz bez trudności spoczęła na jej włosach. Znajdujące się na niej jelenie rogi uderzyły o powałę. Potem Adika pochyliła się, by odmówić modlitwę.

„Niech twoja moc pozostanie ze mną, Błada Łowczyni, ty, która jesteś Królową Dzikich”.

Zatknąwszy lusterko za pas, wypełzła na czworakach z szałas. Wyprostowała się, rogi zaśnieżyły. Złoto połyskiwało tak mocno, że wydawało się, iż blask ten odbił się aż na niebie. Ubrana w insygnia mocy, Adika wkroczyła na ścieżkę, prowadzącą do kamieni.

W centrum kamiennego warsztatu znajdował się kamienny stopień, mający szerokość rozpostartych ramion, lecz nie sięgający wyżej niż do kolan. Na kamiennej płycie spoczywał święty kocioł. Było tak od czasów młodości preceptorki Adiki, która lata temu przykłęka tutaj, by otrzymać pocałunek mocy od kobiety, która nauczyła ją prawie wszystkiego. Szepcząc modlitwę za zmarłych, Adika załkała. Potem dotknęła wizerunku świętych ptaków wrytych na powierzchni kotła i nazwała je: Ojciec Czapla, Matka Żuraw, Dziadek Kruk, Wuj Kaczor. Ucałowała każdy drogocenny, wyrzeźbiony w brzoju liść, po czym jedną ręką zaczerpnęła wody z kotła i upiła łyk. Nad pozostałą w ręku wodą wypowiedziała błogosławieństwo, następnie chlusnęła nią w powietrze, by posiać wiatr.

Uklękawszy przed kotłem, czekała z zamkniętymi oczami, wdychając zapachy poranka i wsłuchując się w jego odgłosy - dalekie, leniwe przelewanie się wody w rzece, pobekiwanie kóz, wiele głosów porannych ptaków, które wyśpiewywały powitanie wschodzącemu słońcu.

Słyszała trzepotanie skrzydeł i sowę, siadającą na krawędzi kotła. Nie podnosiła jednakże wzroku, jako że wysłanniczka Wiedzącej była istotą pełną magicznej siły i nawet jedno spojrzenie w jej kierunku mogło być zgubne w skutkach. Chwilę później na kamiennej ścieżce, a potem na dróżce usłanej igłami, dał się słyszeć tętent końskich kopyt. Zaszleściły łany lnu - przedzierała się przez nie jakaś postać. Ciepły oddech Wiedzącej poruszył włosy na jej szyi. Zadrżały jelenie rogi.

- Płakałaś, Adiko. - Jej głos był jak melodia płynącej rzeki, jednocześnie wysoki i niski. - Czuję słony zapach twoich łez.

Czyżby jej łzy nie wyschły przez noc? Z drugiej strony, nie było możliwe, by ukryć coś przez szamanką plemienia Koni.

- Poczułam się opuszczona, szamanko. Droga, którą idę, jest drogą samotnych.

- Czy nie masz męża? Pamiętam, że nie byłaś rada, gdy starszyzna wioski zdecydowała o tym, że masz go poślubić.

- Oddalono go ode mnie, o Wiedząca. Ponieważ śmierć kładzie na mnie swój cień, starszyzna boi się, że każdy człowiek, którego tknę, będzie zagrożony śmiercią.

- To prawda, mówią mądrze.

Nie było słyhać nic poza wyciem wiatru i gardłowym gruchaniem turkawki.

Adika popatrzyła na rozpościerający się przed nią krajobraz. Słońce sprawiało, że mgła nad rzeką rzedła. Ludzie byli już zajęci pracą w polu, zbierając jęczmień i pszenicę. Jakaś dziewczynka prowadziła stadko kóz w kierunku lasu.

Słowa padły z jej ust, nim zdążyła się zorientować, że ma je zamiar wypowiedzieć.

- Gdybym tylko miała towarzysza, szamanko, moje zadanie nie wydawałoby mi się tak ciężkim. Nie zawaham się, wypełniając moją misję, ale nim nastanie jej koniec, będę straszliwie długo sama. - Ugryzła się w język, gdyż następne słowa mogły być jeszcze bardziej gorzkie i popłynąć na fali samotności. - Błagam, o Wiedząca, daruj mi moje słowa. Znam swoje obowiązki.

- Niestety, córko, twoje powinności nie są łatwe. Jednakże kiedy nadejdzie odpowiedni czas, musi być was siedmioro. Dlatego zostałaś wybrana.

- Tak, Wiedząca - wyszeptała Adika.

W przeciwieństwie do mieszkańców wioski widziała i rozmawiała z ludźmi z odległych krain. Wiedziała, że ziemi jest wiele, a ludzi niewielu, zwłaszcza tych, których można by określić mianem prawdziwych. Na zachodzie znajdowały się urodzajne tereny, gdzie zbudowano miasteczka liczące pięćdziesiąt lub nieco więcej domów. Północne morza o sinych wodach były lodowate, a wiatry tam wiejące wyjątkowo silne. Morza były tak zimne, iż z łatwością mogły wydrzeć życie każdemu, kto próbowałby pływać w ich wodach, choć i w tamtych stronach żyli ludzie, wplatający we włosy węgorez i zęby tak ostre jak obsydian. Adika widziała też daleko na wschodzie lasy i trawy krainy, w której żyło plemię Wiedzącej, kuzyni rodzaju ludzkiego, choć zupełnie odeń inni. Widziała nawet nieskończone pustynie, na których zamieszkiwały plemiona południa. Tamtejsi ludzie mówili tak, jak gdyby obracali kamyki w ustach. Widziała też bajkowe miasta Przeklętych i ich zdumiewające statki. Z trudem powstrzymała się, by o tym wszystkim komuś nie opowiedzieć. Widziała wioski niewolników Przeklętych i plemiona niewinnych ludzi, którzy musieli kłaniać się krwiożerczym bogom. Widziała, co stało się z ich preceptorką, która przyłączyła się do walki przeciw Przeklętym i została złożona jako ofiara na ich ołtarzu.

- Wszyscy jesteśmy niewolnikami Przeklętych tak długo, jak trwa wojna. - Wiedząca poruszyła się. Zastukały kopyta. Wiedząca cofnęła się, a potem zbliżyła i Adika ujrzała jej masywne ciało. Pewnego razu, gdy Adika była jeszcze dzieckiem, zdarzyło się, że ludzie Wiedzącej wytopili i złapali kilku zwiadowców Przeklętych. Od tej pory już zawsze była pod wrażeniem ich wielkości i siły. Bała się magii Przeklętych i dlatego też cieszyła się, że jest sprzymierzeńcem plemienia Koni, którzy rodzili się ze skrzyżowania klaczy i człowieka.

- Jednakże... - Wiedząca zamilkła. Adika poczuła, jak w jej sercu wzbiera nadzieja, lecz bała się słuchać jej głosu. - Być może jest sposób, by znaleźć ci towarzysza, który także został tknięty ręką śmierci. W ten sposób ty nie byłabyś samotna, a on nie musiałby bać się fatum nad tobą ciężącego. Jesteś najmłodszą z wybranych, Adiko. Inni przeżyli już długie życie. Twoją rolą było pójść śladami twej nauczycielki, a nie tylko zajmować jej miejsce podczas tkania. Nic dziwnego, że jest ci trudno przechodzić przez wrota, prowadzące na Drugą Stronę. - Czy ręka Wiedzącej dotknęła karku Adiki? - Taka obietnica nie powinna być poza moimi możliwościami.

Nadzieja pulsowała w klatce piersiowej Adiki niczym ptak objający się o pręty klatki.

- Czy naprawdę mogłabyś to uczynić, Wiedząca?

- Zobaczymy. - Niełatwo to było usłyszeć. Adika poczuła pewną ulgę, gdy szamanka zmieniła temat. - Czy dostrzegłaś jakieś dziecko w plemieniu Białych Jeleni, które mogłoby być twoim następcą?

- Nie - wymruczała Adika. Słowa zdawały się boleć ją jak nóż wbijany w jelita. - Tak samo jak nie miałam czasu, by uczyć kogoś tego, co umiem.

- Nie desperuj, dziecko. Nie opuszczę twoich ludzi. - Nagle rozległ się ostry syk, a potem dalekie pohukiwanie sowy. - Wzywają mnie - rzekła Wiedząca, nieco zdziwiona. Potem szybko zniknęła.

Czy Wiedząca właśnie przeszła przez wrota kamiennego warsztatu? Czy rzeczywiście stała osobiście przed Adiką? A może wkroczyła na ścieżkę wizji i pojawiła się przed nią tylko w swojej duchowej postaci? Wiedząca była tak potężna, że Adika nie mogła powiedzieć, jak właściwie było. A nie ośmieliłaby się pytać.

Prawdę rzekłszy, ludzie dysponowali najmniejszą częścią mocy na ziemi. Jeżeli jednak tak było, dlaczego Przekłęci niestrudzenie prowadzili przeciwko nim wojnę? Dlaczego tak bardzo nienawidzili ludzi?

Wiatr poruszył na kotle wykonane z brązu listki. Pomyślała, że posłyszała ten odgłos, gdyż właśnie wstało słońce.

Nagle rozległ się dźwięk rogu: alarm w wiosce.

W pośpiechu, nie bacząc już na szczegóły, Adika pospieszyła do swego namiotu. Wyjęła obrzędową odzież i pobiegła przez szańce. Dotarła do wrót wioski dokładnie w momencie, gdy wbiegła doń, sadząc susy, dziewczyna o silnych nogach, z psem strażnikiem u boku. Dziewczyna rzuciła sznurek paciorków z wiadomością do nóg Matki Orli, która pojawiła się u wrót w odpowiedzi na alarm.

Ręce Matki Orli były tak sękaty, iż prawie nie mogła policzyć paciorków, odczytując ich znaczenie. Posunęła się, aby Adika mogła stać blisko niej. Będąc w mocno zaawansowanym wieku, Orla nie obawiała się złych duchów czy śmierci, które mogły jej co najwyżej dokuczyć.

- Potyczka - obwieściła wszystkim, którzy nadbiegli z okolicznych domów. - Najazd Przeklętych. Z której wioski przybywasz, Rącza?

Jedno z dzieci przyniosło kwiaty tak intensywnie pachnące, że Adika poczuła napływającą do ust ślinę. Rącza złapała dech.

- Przybywam z Dwóch Strumieni, Sosnowego Wzgórza, Błotnistej Drogi i Starego Fortu. Przekłęci zaatakowali wioskę za Czterema Domami. Trzech ludzi zabito, a dwoje dzieci porwano.

- Czy jacyś ludzie z Czterech Domów podążyli za nimi? - zapytał Beor, wysforowawszy się do przodu. Był na nogach wcześniej, bo polował. Miał ze sobą linę. Dwa głuszcze, kuropatwa i trzy kaczki zwiślały ze sznurka trzymanego w drugiej ręce. Pies Rączej zaczął obwąchiwać ptactwo, ale dziewczyna przytrzymała go, dopóki dzieci nie wpadły z kośćmi dla zwierzęcia. Pies położył się i zaczął je ogryzać.

- Nie - rzekła Rącza. - Nikt z Czterech Domów nie urządził pościgu za Przekłętymi. Ci, którzy polegli, byli z plemienia Czerwonych Jeleni. Dwie zimy temu, niedaleko Czterech Domów osiedliły się dwie rodziny. Pochodzili z zachodu.

- Czy dla Przeklętych ma jakieś znaczenie, że zabili człowieka z plemienia Czerwonych Jeleni, a nie z Białych? - Beor był już na dobre rozżłoszczony tym rodzajem złości, który innych motywował do działania. - Dla nich wszyscy jesteśmy tacy sami. A jeśli porwali i zabili Czerwone Jelenie, to dlaczego nie mieliby przyjść po Białe następnym razem? Powinniśmy walczyć w grupie, inaczej wszyscy zginiemy od strzał Przeklętych.

Ludzie zamruczeli na znak zgody. Młodzi wyglądali na zdenerwowanych albo przeciwnie, podnieconych.

- Co mówi Wiedząca? - zapytała Orla ze zwodniczą łagodnością.

Wszyscy zamilkli, podczas gdy Adika zastanawiała się nad odpowiedzią. Rącza wypła miód i z wdzięcznością przyjęła miskę owsianki, przyniesioną przez jednego z chłopców, którego pokonała w wyścigach ubiegłego lata. Przyglądał się jej z zazdrością - szczupłym nogom i spodniom, które umożliwiły szybki bieg. Wyglądał tak, jakby chciał dotknąć naszyjnika z bursztynu i miedzianych opasek na rękę, które Rącza założyła, aby podkreślić swój status. Podczas Święta Słońca, kiedy mieszkańcy wioski spotkali się, by dokonać handlu, sądzić się i rozwiązywać spory, dziewczyna wygrała wyścigi, a tym samym otrzymała prawo do imienia Rącza i obowiązek dostarczania wiadomości między wioskami, które zamieszkiwały plemiona Białych Jeleni.

- Teraz Wybrani ludzkich plemion działają wspólnie, a ludzie plemienia Koni uznawani są za naszych sojuszników. A choć są oni w mniejszym stopniu ludźmi niż nasi kuzyni z plemienia Czerwonych Jeleni, z radością przyjmujemy ich jako sojuszników. - Adika przerwała, czując, że w ludziach wzbiera niepokój.

Rącza skończyła jeść owsiankę i odstawiła miskę w nadziei, że otrzyma następną porcję.

- W następnym roku słońca nastąpi czas szczególnego niebezpieczeństwa. Jeśli Przekłęci dowiedzą się, że działamy przeciwko nim, wyślą na nas swoją armię. Potrzebujemy każdego sojusznika, niezależnie czy to jest Czerwony, Biały czy Czarny Jeleń. Nieważne, jak dziwne wydają się nam inne plemiona, potrzebujemy ich pomocy. Jeśli będziemy przy życiu po następnej ciemności słońca, nie będzie powodu, by się obawiać.

Orla zrobiła znak odpędzający złe duchy i splunęła na ziemię. Wielu poszło jej śladem, lecz nie Beor. Młodszy wycofali się. Powrócili do swej pracy lub zaczęli przygotowywać łuki i siekiery. Kiedy mieszkańcy wioski zajęli się swoimi obowiązkami, pozostała tylko starszyzna i dowódca.

- Dołączę do tych, którzy staną w obronie wsi - powiedziała Adika.

Nie mieli innego wyjścia, niż się zgodzić.

Poszła do swego starego domu, by wziąć lecznicze zioła i koszyk z talizmanami. W opuszczonej chacie czuć było zapach stęchlizny. Adika dotknęła okapu. Z jednej z krokwi wciąż ciekła smoła. Adika dotknęła jej ustami, wdychając charakterystyczny zapach.

Na zewnątrz Beor czekał z dziewięciorgiem zaufanych ludzi. Byli gotowi do walki, jeśli by do takowej doszło. Przyszli uzbrojeni w łuki, przynosząc strzały o obsydianowych grotach i topory z krzemienia i miedzi. Agda miał kamienną siekiere, zaś Beor niósł dumę wioski: halabardę z prawdziwym ostrzem z brązu, przymocowanym pod odpowiednim kątem do drzewca. Zdobył ją kiedyś na wrogu.

Kiedy ruszyli, za nimi podążyła Rącza z psem u boku. Tym razem zmierzała do Wiosennej Wody, wioski Dorrena.

Nie trzeba teraz myśleć o Dorrenie. Adika mogłaby, oczywiście, cieszyć się tym chwilowym spokojem, spacerem w promieniach jaśniejącego słońca, powiewem wiatru za plecami. Nie było tak gorąco jak na wyspie, na której zamieszkiwał Upadający. Szła na czele grupy, rozglądając się za użytecznymi roślinami. Kiedy ujrzała gorczycę, zeszła ze ścieżki. Beor odłączył się od grupy, czekając na nią. Reszta zatrzymała się nieopodal, na tyle daleko, by rozmowa Adiki i Beora do nich nie dochodziła, ale dostatecznie blisko, by zareagować na wypadek ataku.

Ignorowała Beora tak długo, jak to było możliwe, zbierając gorczycę, związując łodygi roślin i chowając je do koszyka. Beor postępował za nią do momentu, gdy Adika znowu wróciła na ścieżkę. Nie patrzyła na niego i ze sposobu, w jaki kołysał halabardą, wywnioskowała, że i on nie patrzył na nią. Jednakże było całkiem miło iść obok drugiego człowieka, towarzysza dłuższego marszu. Pozostali nieznacznie ich wyprzedzali.

- Starszyzna rozmawiała ze mną wczoraj. - Głos Beora był chrapliwy, co działo się zawsze, gdy był podniecony lub rozgniewany. - Powiedzieli, że nigdy nie mieliśmy dziecka, ponieważ na skutek magii straciłaś płodność. Rzekli też, że jeśli nie przestanę o tobie myśleć, dopadną mnie złe duchy i nie będę mógł spłodzić dziecka z inną kobietą.

Nogi niosły Adikę z trudem. Jeszcze jeden krok, i jeszcze jeden. Nie potrafiła myśleć jasno. Słońce prażyło. Ścieżka wiała się przez las, gdzie pomiędzy liśćmi poświstywał leciutki wietrzyk.

- Nigdy nie pragnęłam żadnej kobiety tak mocno jak ciebie. Ale teraz muszę to powiedzieć. Zatem niech tak będzie. Starszyzna mówi, że ostatniego księżyca najstarsza córka Matki Nahumii ze Starego Fortu wystawiła za drzwi myśliwską torbę swego męża i odprawiła go. Będzie szukała nowego mężczyzny, czyż nie?

- Musiałbyś zatem podążyć do Starego Fortu - odrzekła Adika, jako że Beor najwyraźniej oczekiwał, by



coś powiedziała.

- To prawda. Ale miałem także pomysł, aby opuścić wioskę i udać się dalej na wschód i polować przez jeden sezon z naszymi kuzynami, Czarnymi Jeleniami.

- To daleka droga - powiedziała Adika, czując, że jej głos drży i że nie jest w stanie mówić, nie zdradzając lęku ogarniającego jej serce.

- Tak, daleka - zgodził się Beor i znowu czekał, pragnąc usłyszeć słowa jej współczucia lub żalu albo usiłowania odwiedzenia go od tak gwałtownych decyzji. Ale Adika nie mogła dać mu już z siebie nic więcej. Poświęciła życie swemu ludowi i magii, która nie pozwoliła jej mieć dziecka.

- Jesteś dobrym dowódcą, Beor - powiedziała. - Mieszkańcy wioski potrzebują cię. Czy poczekaś przynajmniej do chwili, gdy ja wykonam moje zadanie? Potem mieszkańcom wsi będzie łatwiej się bez ciebie obejść. - Zawahała się. Było zabronionym mówić głośno o wielkim tkaniu. Słowa niosły za sobą moc. Nie można było rzucać ich beztrząsco na wiatr, bo mogliby je usłyszeć Przekłęci. - Poczekał przynajmniej do tego czasu.

Beor chrząknął, ale nie odpowiedział. Po pewnym czasie zrównali się z resztą. Jako że wszyscy obawiali się z nią rozmawiać, a nawet patrzeć na nią, Adika równie dobrze mogłaby iść sama.

Słońce było już w połowie drogi do zenitu, gdy dotarli do Czterech Domów, osady, którą tworzyły porozrzucane szopy, chaty, chlewy i cztery porządne zabudowania. Każdy z domów był okrągły, kryty strzechą, o kamiennych ścianach. Pomiędzy nimi zbudowano spichlerze. Sześciu ludzi pracowało przy wale, kopiąc i wywożąc ziemię w drewnianych wiadrach.

Dowódcą Czterech Domów była korpulentna kobieta z dwiema bliźniami, nosząca imię Ulfrega. Miała na sobie spódnicę uszytą ze sznurków, co było oznaką kobiety dojrzałej do wybrania sobie partnera. Białe nitki symbolizujące porody, które zdobiły brzuch Ulfregi powyżej paska jej spódnicy, oznaczały, że rodziła już kilkanaście razy.

Ulfrega poprowadziła ich wzdłuż rzeki przez zagajnik, w którym znajdowały się świny, a potem dróżką, prowadzącą do siedziby Czerwonych Jeleni. Słońce opromieniało dwa okrągłe domy i sześć spichlerzy. Co dziwne, jeden z domów był całkowicie spalony, podczas gdy drugi stał cały i nienaruszony, wyglądając tak, jakby został zbudowany miesiąc temu, a zamieszkały ledwie wczoraj. Poza tym znajdowały się tu zagroda, stóg siana i bardzo porządnie zagospodarowany warzywny ogród, pełen dorodnych jarzyn. Bzyczały muchy. W powietrzu leniwie krążyły wrony. Nawet psy opuściły swe budy. Wioska była pusta, wyjąwszy jedno porzucone ciało.

Mieszkańcy osady zaczęli kopać rowy i wały obronne.

- Za mało i zbyt późno - powiedziała Ulfrega, wskazując na wykopany do połowy rów i zapadnięty, spalony wał obronny. Dookoła wałały się grotby strzał, potrzaskane drzewce włócznie, jeden z mieczy Przeklętych oraz płaski, długi kawałek drewna z grotem z obsydianu, choć większa jego część była wyszczerbiona. Ulfrega podniosła strzałę i palcami zbadała grot, następnie wetknęła ją do skórzanej sakwy, którą niosła przewieszoną przez ramię.

- I dla was jest za późno, by kopać rowy - powiedział Beor.

Wzruszyła ramionami, podenerwowana.

- Najeźdźcy zawsze w następnej kolejności atakowali Trzy Dęby i Wiosenną Wodę.

- To nie problem przemieszczać się między wioskami, zwłaszcza dla Przeklętych.

- Ech! - splunęła w kierunku trupa. - W otwartym terenie mogą poruszać się szybko, ale w lesie są powolniejsi. Jest mnóstwo gęstych zarośli pomiędzy Trzema Dębami i naszą osadą.

- Nie pomogło to tutajszym ludziom.

Tymczasem ludzie Beora szukali obsydianowych grotów i zajmowali się wszystkim, co rosło w ogrodzie.

- Odgonię duchy - rzekła Adika.

Nie było wątpliwości, że ludzie z Czterech Domów czekali na nią, by wypełniła swą powinność. Zarówno Beor, jak i Ulfrega uczynili gesty mające oddalić złe duchy i delikatnie odsunęli się od niej. Adika zaś pogrzebała w swym koszu i wyjęła miedzianą miskę, w sam raz mieszczącą się w jej złożonych dłoniach. Na pobliskim palenisku skrzesała za pomocą krzemienia kilka iskier, po czym dodała kawałek suszonego grzyba, wzniciając w ten sposób ogień. Potem wlała do miski pobłogosławioną wodę ze skózanego worka i postawiła ją na naprędcie skleconym trójnogu, by podgrzała ją płomienie ognia. Jej towarzysze zniknęli w lesie, zamierzając poszukać śladów wroga - lub aby się ukryć ze strachu przed magią Adiki.

Gdy woda się zagotowała, stanęła w ciszy nad ciałem zabitego.

Upadek sprawił, że z twarzy martwego zsunęła się drewniana maska rysia. Miał dumne rysy i cerę o

kolorze miedzi. Jego czarne włosy zostały zebrane w węzeł na czubku głowy, tak jak to mieli w zwyczaju jego pobratymcy. Na całej dolnej partii rąk widniały magiczne znaki, wykonane błękitnym urzetem i czerwoną ochrą. Płeć zmarłego zdawała się nie mieć szczególnego znaczenia: był to człowiek dorosły i niebezpieczny, mógł bowiem rozmnażać się i walczyć.

Martwy nie miał na sobie żadnych talizmanów wykonanych ze zwierzęcych szczątków. Przeklęci chronili swe duchy, toteż Adika musiała działać ostrożnie. Na szczęście nikt z Czterech Domów nie usiłował rozebrać trupa, choć ten miał na sobie kosztowne rzeczy. Jego pierś chronił kawałek brązu tak pięknie ozdobiony wizerunkami zwierząt, że Adika nie mogła powstrzymać podziwu. Na napierśniku widniał rysunek kobiety z głową sępa, która majestatycznie kroczyła w stronę jaśniejszego słońca oraz rysunek dwóch walczących ze sobą, ziejących ogniem smoków. Trudno było zrozumieć, jak to się działo, że Przeklęci terroryzowali ludzi, jednocześnie wykonując tak piękne przedmioty. Hełm martwego miał pióropusz z końskich włosów. Zsunął się z głowy trupa i leżał teraz w błocie, podeptany w szale walki.

Skórzany pas, zapinany na miedzianą klamrę, podtrzymywał sięgającą do kolan tunikę. Ubranie leżało na Przekętym tak znakomicie, że Adika nie mogła się powstrzymać, by nie dotknąć swego, nierówno utkanego odzienia. W jakim celu Przeklęci atakowali ludzi, skoro byli tak bogaci?

Czyżby patrzyli na ludzi tak samo jak na zwierzęta? Może byłoby to uzasadnione w czasach, nim nastąpiły wielkie królowe. Ludzie wówczas niewiele różnili się od zwierząt: włóczyli się jak one, jedli, pili, polowali i rozmnażali się niemal w taki sam sposób. Jednakże teraz sytuacja się zmieniła.

Zawiesiwszy na szyi woreczek z jałowca, który miał ją ochraniać, Adika sięgnęła po cztery wysuszone listki lawendy. Później odwróciła się w stronę północy i zgniotła jeden z listków palcami. Jego drobiny upadły na ziemię. Wykonała tę samą czynność, odwracając się na wschód, południe i zachód, tworząc w ten sposób ochronny krąg. Stojąc twarzą na zachód, uklęknęła i przyłożyła dłoń do nosa, wdychając silny lawendowy zapach. Wymruczała słowa mocy i ochrony.

Woda zagotowała się. Szczypcami wykonanymi z kości Adika uniosła znad ognia miedzianą miskę i schowała ją do kosza. Wrzuciła do wody nieco starego ostu i czekała z podniesionymi do góry rękoma.

Duch pojawił się w jej złożonych rękach w postaci delikatnego wiru. Potem ujrzała, jak wydostaje się z ciała, wiotki i biały. Podpłynął do kręgu, ale nie mógł go przelamać, związany zaklęciem lawendy. Kiedy kręcił się na podobieństwo wietrznego wiru, jego zawodzący głos zamienił się najpierw w warkot, potem w płacz, a potem w wycie. Następnie, niczym rój maleńkich muszek, wzniósł się ku niebu poprzez tunel uformowany przez cztery zapory. Adika rzuciła na oczy zmarłego lawendowe drobiny, umieściła je także w jego uszach, nosie i na wargach. Podciągnąwszy tunikę wojownika, wtarła lawendę w męską część jego ciała, po czym odwróciła trupa.

Wysoko w górze dało się słyszeć wycie rozpaczy. Adika trzykrotnie klasnęła w ręce, po czym tupnęła nogami. Wir kręcący się w jej złożonych dłoniach zniknął. Duch uleciał do wyższego świata drogą wyznaczoną przez granice magicznego kręgu.

Pozostawił po sobie jednak coś o wiele ważniejszego: pod ciałem leżał miecz z brązu.

Ostrożnie przesunęła palcami po jego ostrzu. Ostry, bojowy miecz podobnie jak jego właściciel miał swego ducha. To ostrze rozdarło wiele istnień i sprawiło, iż wiele duchów uszło z ciał. Do kogo teraz powinna należeć tak niebezpieczna i potężna rzecz? Nikt z plemienia Białych Jeleni ani nikt ze wszystkich dziewięciu wiosek nie posiadał czegoś takiego.

Znalazła w koszyku werbenę, zmiała ją w palcach i pozwoliła jej upaść na miecz, tak by udobruchać mściwego ducha i czasowo ostudzić jego zew krwi.

Oprócz napierśnika z brązu, hełmu, miecza, pasa i luźnej lnianej tuniki, zmarły miał nóż, sakiewkę z czterema rzeczonymi kamykami, saszetkę z ziołami, muszlę i małą, drewnianą kostkę z wyrytymi magicznymi znakami.

Ściągnąwszy odzienie z trupa, Adika zaciągnęła go do zrujnowanego domu i podpaliła. Oznaczyła próg chaty heksagramami i wrzuciła do ognia sakiewkę i maskę wojownika. Do zapadłej słomianej strzechy dorzuciła węgli. Stos zapłonął.

Widząc ogień, Ulfrega pozwoliła innym wychylić się z lasu.

- Nikt inny już się tu nie osiedli - zauważyła Ulfrega, spiesząc za Beorem, by obejrzeć zdobyczną broń.

- Nie dotykaj tego - powiedziała Adika. Z pogrzebowego stosu dobywał się dym. - W tych rzeczach zaklęta jest magia Przeklętych.

- Ale ja używam tej halabardy, choć ona została zdobyta na Przekętym. - Beor przyglądał się mieczowi z nieukrywaniem głodem w oczach.

Wizja nadeszła tak nagle, iż Adika straciła dech w piersiach.

*Beor biegnie z mieczem w rękę na czele tłumu młodych ludzi o dzikich oczach, podążając na wschód, by*

*zabijając swych współbraci, ludzi, paląc ich domy i kradnąc ich bydło i kozy.*

To było szaleństwo, jakie Przekłęci wrażli w ludzkie serca!

Westchnąwszy, Adika poczuła, że klęczy, opierając się na rękach. Wszyscy odsunęli się od niej. Pociła się, choć słońce zakryły chmury.

Nieoczekiwanie załkała z żalu. Czym staną się Białe Jelenie po jej odejściu? Czy nikt z nich nie był dostatecznie mocny, by stawić czoło nieprzejednanemu duchowi, zamieszkałemu w mieczu? Czy wizja pokazywała, że ludzie zostaną pożarci przez swą złość i żądzę? Czy ludziom przeznaczone było, by władza Przeklętych zatrąła ich dusze, zmusiła do okrutnej wojny?

Poczuła cuchnący zapach płonącego ciała i w dymie tym popłynęła do kolejnej wizji, która nie miała ni początku, ni końca.

Będzie pokój i wojna, dobroć i okrucieństwo. Będzie honor i hańba.

Wszystko to czeka rodzaj ludzki.

To już nastąpiło.

Być może prawdą było, że babki żyły w pokoju i miłości. Tego nie znało obecne plemię Białych Jeleni. Albo też przodkowie prowadzili swe własne wojny, które wybuchały z tak nieskomplikowanych powodów jak złość pomiędzy przyjaciółmi lub z przyczyn bardziej złożonych, gdy walczą wrogowie z różnych plemion.

Wizja odpłynęła. Trzęsąc się, Adika wstała. Zauważyła, że wszyscy siedzą wokół ocalałego domu, żując kawałki suszonego mięsa i czekając, aż ona wyjdzie z transu. Nie musiała nic tłumaczyć. Zeszła w dół do strumienia i nożem ścięła trzcinę. Potem splótła ją w sznur wystarczająco silny, by związać i ponieść skarby zmarłego. Z tym ładunkiem przewieszonym przez ramię i swoim koszykiem umocowanym u bioder Adika wróciła do Czterech Domów. Reszta podążyła za nią w bezpiecznej odległości, rozmawiając ściszymi głosami.

Obawiali się jej, bo władała magią, a oni nie, bo widziała to, czego oni nie mogli zobaczyć. Taka była decyzja bogów. Jednym pozwalali widzieć, inni musieli pozostać ślepyi.

Adika wiedziała, że czasem większym miłosierdziem było pozostać ślepyi.

### 3

Tę noc spędzili w Czterech Domach. Ludzie usuwali się z drogi, gdy Adika nadchodziła. Ojcowie wciągali dzieci do domów i zabarykadowywali drzwi, tak by wzrok Wybranej nie okaleczył ich potomków. Nikt nie zaprosił jej do środka, zaś Beor był dostatecznie mądry - lub wystarczająco lękliwy, wiedząc, co Adika może uczynić, gdy wpadnie w złość - i zarówno on, jak i jego kompania usiedli osobno, zabierając jedzenie, jakim podzielili się z nimi ludzie z Czterech Domów.

Jadło było smakowite; dziczyzna i mięso łabędzia, słodkie piwo tak gęste, iż można je było niemal wybierać palcami, ser i warzywa, o tej porze roku nieco włókniste. Chcąc zjeść w spokoju i nie narażać się na ciągle zwierzęce błagania o kąski, mieszkańcy Czterech Domów trzymali swoje psy na uwięzi.

Tej nocy Adika spała osobno, w cieniu jednego ze stogów siana. Nie mogła się powstrzymać, by nie pogłaskać gładkiego odzienia martwego Przekłętego. To jej jednak nie pocieszyło.

Rankiem wrócili do wioski. Wszyscy chcieli ujrzeć miecz z brązu, ale Adika trzymała go w ukryciu. Jego duch wciąż łkał za poprzednim właścicielem i wrzał gniewem. Adika zaniósła miecz i zbroję na wzgórze i zawinęła je w wołową skórę wraz z ziołami i talizmanami. Płytkie zagłębienie za kamieniem było doskonałym tymczasowym grobem.

Przez dłuższy czas klęczała przy dziurze, ale nie nadeszła żadna wizja. W końcu poszła nad rzekę i prała lnianą koszulę tak długo, aż nie pozostał na niej ani jeden ślad po Przeklętym. Wróciwszy na wzgórze, znalazła przy swoim szałasie półmisek z jedzeniem, zimną i zgęstniałą polewkę oraz kubek piwa, do którego wiatr zdążył nawiać roślinnych pyłków. Rozwiesiła lniane odzienie na szałasie, a potem posiliła się. Nikt nigdy nie odrzucił jedzenia. I nikt nie musiał spożywać go w samotności.

Letni wieczór był ciepły, złotawy i pełen obietnic, jednak Adika czuła pustkę w sercu.

Założywszy strój Wybranej, poszła znajomą ścieżką ku kamieniom. Zapadła noc. Gwiazdy błyszcząły niczym ognie umarłych. Czy była pośród nich nowa gwiazda, duch Przekłętego, którego odpawiła w zaświaty? Tego nie wiedziała.

Wykonując rytualne gesty, podeszła do kamiennego warsztatu. Wydawało się, że wielkie głązy bacznie

jej się przyglądają. Adika uklękła obok kotła i upiła z niego łyk wody, po czym chlusnęła cieżką powietrze, by nasycić wiatr jej świętością. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach zaczęła oddychać tak, by wprowadzić się w trans, niezbędny do wykonania jej zadania. Chciała przejść każdy stopień wielkiego tkania, aby później nie popełnić błędu i nie pozrywać nitek. Najpierw przeszła go w umyśle, potem raz jeszcze.

Nie mogła jednak wytrwać w głębokim transie zbyt długo. Po pewnym czasie wyszła z niego. Była zmęczona, ale nie śpiąca. Pochyliła głowę, czekając.

Być może czekała tylko na nadzieję lub uwolnienie. Może czekała tylko na wiatr. Lub na śmierć.

To była długa noc.

Podkraśla się mgła. Otoczyła Adikę, zimna i delikatna. Gwiazdy oddychały, dusze wzdychały za swymi utraconymi domami. Śpiewał słowik.

Zahuczała sowa.

Adika była już w pełni przebudzona. Bolały ją kolana, lewa noga zdawała się odmawiać posłuszeństwa, a kiedy poruszyła się, by odpędzić od siebie dokuczliwe złe duchy, które przybyły ją nękać, gdy spała, ujrzała sowę szybującą bezgłośnie z rozpostartymi skrzydłami. Ptak usiadł na kotle. Adika szybko zakryła oczy dłonią.

Na wschodzie wstawał świt. Mgła rozpraszala się, przypominając dzikie zwierzę, chowające pazury. Wreszcie jej pasma otaczały już tylko najbardziej wysunięte na zachód kamienie. Przed oczami Adiki pojawiło się błękitnobiałe światło. Na karku poczuła oddech Wiedzącej. Pachniał trawą. O ziemię uderzyły końskie kopyta.

Grunt pod kolanami zadrżał, a ją samą coś odrzuciło do tyłu. Jakaś siła rozdzierała jej trzewia i szarpała je w jedną stronę, miotając Adikę w drugą. Zdawało się jej, że jest rozdarta, choć wciąż była cała, dysząca z wysiłku i strachu. Czowała, że puchnie jej język, a w głowie rozlegały się setki uderzeń, jak gdyby spadała w dół stromego zbocza, lecz tak naprawdę klęczała nieruchomo obok kotła.

Głęboko w kosmosie nastąpiło coś dziwnego. Świat wokół całej wibrował dźwiękami, niespokojny i zdumiewający. Adika usłyszała ptaki budzące się w lesie i dalekie wycie wilków. Oddech gwiazd musnął jej szyję, parząc ją ognistym gorącem, bezlitosnym jak dusza miecza. Adika usłyszała westchnienie, a potem nie było słyhać nic prócz Wiedzącej, mamroczącej cicho jakieś słowa.

Jednakże dał się słyszeć jeszcze jeden głos, niski i niewyraźny.

Czuć też było cuchnącą woń krwi i zapach, który Adika rozpoznała dopiero, gdy zaczęła ją dusić: zapach mokrego psa.

Wystraszona, podniosła wzrok i ujrzała dwa ogromne psy wielkości cielaka, stojące po drugiej stronie kamiennego stopnia. Podniosła się ostrożnie, ale zwierzęta nie ruszyły się, nie warczały też ani nie szczekały.

Po drugiej stronie kotła spoczywało ciało nagiego człowieka, już nie młodzika, ale jeszcze nie mężczyzny.

Wiedząca czekała, nie poruszając się. Od leżącego twarzą do ziemi człowieka dzieliła ją odległość szpady. Przed nią znajdował się stosik pokrwawionych ubrań.

Adika ostrożnie okrążyła kocioł, szepcząc zaklęcia ochronne. Czyżby to był szaman, krążący ze swymi duchami opiekuńczymi?

Psy obwąchiwały ciało, jak gdyby próbując zbadać, czy ów człowiek żyje. Potem usiadły obok niego. Nie próbowały ugryźć Adiki, gdy wsunęła się pomiędzy nie i ciało, dotykając pleców nagiego człowieka. Jego skóra miała różaną barwę i była cudownie gładka. Był znacznie mniej owłosiony niż mężczyźni z klanu Jeleni, nie miał też ciemnej cery Przeklętych. Takiego człowieka nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Przejechała ręką po linii jego barków. Skóra była ciepła. Oddychał lekko i powoli.

- Oto małżonek, którego ci obiecałam, Adiko - powiedziała Wiedząca. - Pochodzi z innego świata.

Mężczyzna pachniał niczym dzika róża. Jego ucho, jedno, które Adika mogła dostrzec, było delikatne niczym cenna muszelka, przywieziona z północy, a wargi miały delikatną barwę fioletu, jakby mężczyzna był zmarznięty.

- Czy on przyszedł ze świata umarłych? - odezwała się Adika w strachu, że może mu jakoś zaszkodzić.

Ze względu na pozycję, w jakiej leżał, trudno było przyjrzeć się jego twarzy.

- Istotnie, wędrował już ku krainie zmarłych. Ale teraz jest tutaj.

Ręka Adiki spoczęła na jego ramieniu. Miał uda i pośladki młodego mężczyzny, ale z trudem dochodziło do niej, że był istotą rodzaju męskiego. Choć, trzeba przyznać, jej serce biło mocno. Wył wiatr, rozrzedzając mgłę, a tarcza słońca zmierzała coraz wyżej na niebie.

Nielatwo było rozmawiać, gdy nadzieja walczyła w jej sercu z obawą. Jej głos łamał się, gdy

wypowiadała słowa:

- Czy on zostanie ze mną do chwili mej śmierci, Wiedząca?

- Tak, zostanie z tobą aż do twej śmierci.

Łagodnie słowa sprawiły, że poczuła żal. Załkała. Odwróciwszy się tyłem, przysiadła na piętach, starając się uspokoić. Nie zauważyła, że mężczyzna poruszył się. Podniósł się na przedramionach i spojrzął na nią. Wyglądał na niemniej zaskoczonego niż ona. Był nadal oszołomiony, jakby otrzymał cios w głowę. Jego skóra miała niezdrowy odcień bladości. Na lewym policzku widniało małe czerwone znamię w kształcie róży, przypominające znaki, jakie wypalało plemię Koni na skórze swych zwierząt. Pominąwszy znamię i bladość, mężczyzna miał przyjemną twarz, jasną i pełną ekspresji.

Zanim Adika zdążyła się zorientować, przejechał palcem po znamieniu, które pozostawił na jej policzku ogień, ścierając przy tym łzę. Wilgoć zdumiała go tak bardzo, że krzyknął głośno i dotknął palca językiem, smakując sól.

- Kim jesteś? - zapytała. - Jak masz na imię, jeśli możesz mi to zdradzić?

Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Odpowiedział, jednakże słowa, które popłynęły, nie przypominały żadnego języka, który Adika kiedykolwiek słyszała. Być może takim językiem posługiwano się w krainie umarłych, niezrozumiałym dla ludzi ze środkowego świata, zamieszkałego przez żyjących.

Mężczyzna podniósł się niepewnie, podpierając rękami i kolanami. Usiadł i nagle zorientował się, że jest nagi. Sięgnął po zmięte ubranie, leżące na wyciągnięcie ręki, kiedy jednak jego palce natrafiły na plamy krwi, wzdrygnął się z płaczem i rzucił do tyłu, spoglądając wokół, jak gdyby szukał wsparcia Wiedzącej.

Jednakże koło kamiennej pętli nie pozostał po niej nawet ślad. Jej sowa zniknęła także.

- Chodź - powiedziała Adika, uniósłszy dłoń na znak przyjaźni. - Nic ci tu nie grozi.

Psy nie poruszyły się, zaś mężczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami i rękoma złożonymi na podołku. Aby pokazać, że jest kobietą z rodzaju ludzkiego, Adika zdjęła jelenie rogi i odwiązała pasek z brązu, odkładając je na bok. Mężczyzna obserwował ją z pełnym nieufności szacunkiem, ale bez strachu, jakże widocznego w każdym spojrzeniu, jakim darzyli ją mieszkańcy wioski, wśród których wyrosła i z którymi żyła przez wiele lat. Choć był nadal skrępowany, chyba już się nie lękał. Zwłaszcza że jeśli przebył drogę, prowadzącą do krainy umarłych, rzeczywiście mógł nie odczuwać już strachu, pozostając między żywymi.

W powietrzu dało się wyczuć zapach krwi. Ubranie, leżące w nieładzie na trawie było poplamione. Krew zaczęła wysychać i ciemnieć. Psy nie były ranne, a choć mężczyzna miał pod żebrami świeży różowy ślad, wyglądający na brzydką ranę, to była ona już zaleczona.

Skąd więc pochodziła krew?

- Czy to należy do ciebie? - zapytała Adika, ostrożnie pokazując na najbliższej leżącej części garderoby. Wełna zalśniła złotem, a kiedy Adika potrząsnęła ubraniem, pod krwawą plamą zauważyła wizerunek ducha, umieszczony na odzieży: potężny lew, utkany czarnymi nićmi.

Na ten widok mężczyzna aż się szarpnął. Jego twarz wyrażała teraz tak wiele, jakby jego dusza przeniknęła całą fizyczność, nie zaś tkwiła gdzieś głęboko, jak to było w przypadku większości ludzi. Prawdopodobnie nie był wcale widzianą przez Adikę osobą, ale właśnie duszą, która manifestowała się na planie fizycznym, nie był żołnierzem, który nosił to odzienie i w nim zginął. Być może zabił właściciela ubrania, a teraz wzdrygał się na wspomnienie okrucieństwa.

Adika przyjrzała się drugiemu ubraniu, zrobionemu z niefarbowanej wełny, pokrwawionej nawet bardziej niż odzież z emblematem lwa. Dalej leżał skórzany pas z mniejszymi wizerunkami lwów, zapinany na klamrę z brązu w kształcie głowy ryczącego króla puszczy. Buty, leżące na kupce wraz innymi częściami odzienia, wykonane były z delikatnej skóry, podobnie jak piękne nogawice.

Gdzie ludzie jak ów niezajomy wyuczili się takiej sztuki? Dlaczego nie wsparli swych tutejszych współbraci w walce z Przekłętymi?

Pod ubraniem leżała część garderoby zrobiona z metalowych, jasnych kółek. Nie wykonano jej jednak ani ze srebra, ani z cyny, ani z brązu, ani też z miedzi. Była ciężka. Kiedy Adika ją podniosła, kółka zadzwoniły tysiącami dźwięków. Miały ciężki, dziwny zapach. Niczym sierść lwa, odzienie miało otwory na twarz i ręce i było długie aż do kolan. Być może to wcale nie metal, a magiczne zaklęcie sprawiało, że gęste, skręcone kółka mogły chronić ciało. Od ciężaru tej części odzieży bolały Adikę ramiona, więc odłożyła ją i pochwyciła znajdujący się pod ubraniami nóż.

Nie był wykonany ani z kamienia, ani z brązu: metaliczna substancja nie połyskiwała brązem, jak miecz znaleziony przy ciele Przekłętego. Był zupełnie ślepy, pozbawionym duszy narzędziem, zimnym jak

śnieg, bezwzględny jak olbrzymie węże, wijące się w morskich głębinach i połykające całe obozowiska, w których pracowali ludzie morza. Węże te, czując głód, uctowały, by potem osiąść w spokoju, czekając, aż znowu zachce im się jeść.

Magią była krew na odzieży. Czyż nie było zaskakujące, że krew w ogóle je splamiła?

Adika spojrzała na przybysza, mając nadzieję, a nawet bojąc się, że wyraz jego twarzy zdradzi odpowiedź. Jednakże, jak każda młoda kobieta, która już od dawna nie zasmakowała rozkoszy, dostrzegła tylko jego ciało.

Był zdecydowanie zbyt dorosły na to, by paradować nago.

- Poczekaj chwilę - powiedziała, czyniąc gesty mające dać mu znak, że wróci za chwilę.

Kiedy wstała, spódnica podkreśliła jej uda, a mężczyzna zarumienił się, co doskonale było widać na jego jasnej skórze. Spojrzała szybko w bok, kryjąc nadzieję. Czy uznał ją za atrakcyjną? Czy Wiedząca rzeczywiście przywiodła jej towarzysza życia? Adika pozbierała swoje precjoza i pospieszyła do szałasu, niosąc jelenie rogi i pasek z brązu. Wróciła z lnianą koszulą, udrapowaną na ramionach.

Chłopak wciąż siedział ze skrzyżowanymi nogami, lecz ze spuszczoną głową. Odpoczywał, oparłszy ją na złożonych dłoniach. Słyszając, iż Adika nadchodzi, podniósł głowę. Twarz miał mokrą od łez. A więc nie był umarłym, bo ci nie płaczą.

Adika położyła ubranie na ziemi tuż przed nim i odeszła kilka kroków dalej, odwracając się, aby - jeśli istniały jakieś tajemnicze rytuały, które musiał wykonać, przekraczając próg nagości w nowej dla niego cywilizacji - nie przeszkadzać mu. Nie było słychać nic poza wyciem wiatru i szelestem, czynionym przez mężczyznę. Potem zakasłał i Adika odwróciła się.

Tunika opadła luźno na jego piersi, sięgając nieco powyżej kolan. Niespodziewanie okazał się niemal tak wysoki jak Beor. Ludzie plemion południa i Przekłęci na ogół byli niżsi od ludzi z plemienia Jeleni. Tylko plemię Koni, ze swymi na pół końskimi, a na pół ludzkimi ciałami, było wyższe.

Wykonując skomplikowane i niezręczne gesty, mężczyzna wskazał na siebie i coś powiedział. Spróbowała to powtórzyć, potem w inny sposób. Chłopak zaśmiał się bardzo słodko, ona natomiast spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Lecz to Adika była pierwszą, która odwróciła wzrok. Jej policzki i serce płonęły. Chłopak nie był wyjątkowo urodziwy. Wyglądał zupełnie inaczej niż mężczyźni, których знаła. Miał delikatne rysy twarzy, nieco płaskie czoło, na policzku znamię, a jego włosy były niemal tak czarne jak u Przeklętych, lecz tak piękne jak uprzedzony len.

Jeszcze raz wypowiedział swe imię, tym razem wolniej, a jeden z psów zaszczekał jakby w odpowiedzi.

- Halahn - powiedziała Adika.

- Alain - zgodził się chłopak.

- Nazywam się Adika - powiedziała. - A-di-ka.

Jej imię wymówił bez większych problemów. Adice wymowa jego miana przyszła trudniej. Kiedy uśmiechnęła się do niego, to on był tym, który się zarumienił i odwrócił wzrok.

- Co mamy zrobić ze skarbami, które ze sobą przyniosłeś? - Wskazała na kupkę jego ubrań. Obok leżała skórzana sakiewka z porwanymi rzemykami. Pod spodem leżał nie większy od palca kołek, przypominający jeden z drewnianych gwoździ, używanych do łączenia ścian domu. Kołek był wykonany za pomocą magii z tego samego bezdusznego metalu, z którego sporządzono odzienie z kótek.

Małeńki gwoździec nazaczyła plamka rdzy. Podobnie jak nóż miał on swą duszę, zrzędliwą, podstępą i złośliwą, niczym zepsute dziecko.

Chłopak zadławił się jakimś dźwiękiem, rzucił do tyłu i padł na kolana. Czy obawiał się duszy gwoździa, która poraziła go swą złośliwością? Adika szybko ukryła go w sakiewce. Chłopak wstał z wysiłkiem, lecz tylko po to, by wycofać się do kamiennej pętli. Objął rękami jeden ze strażniczych kamieni, pochyliwszy ramiona pod wpływem silnych emocji.

Adika zebrała jego odzież i ukryła ją w płytkim zagłębieniu obok miecza i zbroi Przekłętego. Potem wróciła do przybysza.

- Chodź.

On i jego psy posłusznie podążyli za nią. Chłopak mówił coś łagodnie do swoich zwierząt. Potem zatrzymał się przed szałasem, przyglądając się ułożeniu dREW i gałęzi, ścianom, kołkom i sznurkom, które trzymały wszystko w całości.

- Tutaj śpię - powiedziała.

Uśmiechnął się tak rozbrajająco, że musiała odwrócić wzrok. Czyżby Wiedząca tak doskonale wejrzała w jej serce? Kierowana impulsem, Adika oparła się o mężczyznę i dotknęła swoim policzkiem jego policzka. Od chłopaka biła woń krwi, ale jednocześnie pachniał niczym róża. Jego niewielka bródka była delikatna jak płatki kwiatu.

Zaskoczony, odsunął się. Jego policzki zrobiły się czerwone. Adika poczuła się tak przytłoczona własną niegrzecznością i szybkością, z jaką odczuła doń pociąg, że prędko wspięła się na najbliższy wał obronny. Spoglądała na wioskę, pola, rzekę i zagajnik, a także na pradawny las, dom dla bestii i duchów, wilków i wszelkiego rodzaju dzikich stworzeń.

Psy zaszczekały. Adika obejrzała się za siebie i ujrzała, że kąsają pięty Alaina, odciągając go od niej. Pacnął ich mordy, nie bojąc się ogromnych paszczy, a następnie ruszył ku Adice. Zatrzymał się w pół drogi i zerknął na zbocza wałów i odsłoniętą ziemię oraz zbocza, które go otaczały. Potem stanął obok Adiki, przyglądając się wiosce poniżej, otoczonej niskim częstokołem, ludziom pracującym na polach, leniwej rzece i odległemu stadu na skraju lasu, które równie dobrze mogłoby być stadem gęsi Urty, jak i owcami Deyilo, który pasał bydło swej rodziny.

Chłopak wypowiedział kilka słów, pokazując na wioskę, ale Adika nie zrozumiała nic, wyczuła tylko jego podniecenie. Chwilę potem zaczął schodzić, prawie zjeżdżając w pośpiechu ze zbocza. Adika obserwowała go, badała sposób, w jaki się poruszał, w jaki łapał równowagę, pewnie i z gracją. Nie był muskularny jak Beor, który choć posiadał siłę, nie miał wdzięku, przez co przypominał byka buszującego w zagrodzie. Nie był też podobny do małomównego Dorrena, którego brak niektórych członków uczynił człowiekiem pokornym. Był młody i w pełni sprawny, a ona pragnęła go, gdyż nie obawiała się jej, bo miał przyjemną powierzchowność, bo Adika była samotna i wreszcie dlatego, że było w nim coś - może ten zapach róż, zresztą sama nie umiała tego sobie wytłumaczyć.

Pośpieszyła ku przybyszowi. Okazał się na tyle grzeczny, że poczekał na nią, albo może, dostrzegłszy należące do Adiki precjoza, wywnioskował, iż jest ona Wybraną swego plemienia i w związku z tym okazywał jej szacunek. Żaden dorosły członek plemienia nie ośmieliłby się obrazić Wybranej.

Wszyscy przybyli, aby zobaczyć dziwnego człowieka. On zaś w nie mniejszym zdumieniu przyglądał się ich twarzom, ubraniom i słuchał pytań, którymi go zarzucili. Dorośli porzucili swe pola, by go zobaczyć. Dzieci zgromadziły się wokół, tak podniecone, że nawet potrafiły Adikę, śpiesząc się, by popatrzeć na przybysza. Po początkowo okazywanej wobec psów ostrożności dzieciaki zgromadziły się i wokół nich. Co niezwykle, ogromne zwierzęta siedziały posłusznie niczym woły, wyrażając sobą urażoną godność.

Przez ten chaos przedarła się dziewczyna, Getsi, jedna z wnuczek Orli.

- Wybrana! Chodź prędko. Matka Orla wzywa cię do domu rodzających.

Zimno przeszło serce Adiki. Tylko jedna kobieta z wioski miała niedługo rodzić: była to jej dawna przyjaciółka i jednocześnie rówieśnica, Weiwara. W tłumie dostrzegła jej kuzyna, Urtana.

- Ten mężczyzna jest przyjacielem naszego plemienia. Traktuj go z gościnnością należną obcym.

- Oczywiście, Wybrana.

Adika pobiegła razem z Getsi. Sznurki spódnicy fruwały wokół jej nóg, objając się jeden o drugi, rękawy z naszytymi z brązu podzwaniały jak głosy wzniesające alarm. Biegąc, Adika modliła się do Obfitej, mamrocąc słowa i z trudem łapiąc oddech:

- Nie pozwól jej umrzeć, o Obfita. Niechaj moje fatum nie pociągnie za sobą nieszczęścia dla wioski w ten właśnie sposób.

Dom rodzających leżał poza wioską, na wzgórzu tuż obok rzeki. Otaczał go płot, mający trzymać z daleka szukające pożywienia świnie, uparte kozy i dzieci. Obok wrót leżała kupka nieporąbanego drewna. Spoglądając za siebie, w kierunku wioski, Adika ujrzała męża Weiwary nadchodzącego wraz z braćmi.

Zamknęła za sobą wrota i trzykrotnie stanęła raz na jednej, raz na drugiej nodze. Potem potrząsnęła przymocowanymi do domu dzwoneczkami i przestąpiła próg, robiąc to tak, by żadną częścią ciała nie dotknąć drewnianej framugi. Światło wpadało do izby tylko dzięki uchylonym drzwiom i dymnikowi. Weiwara siedziała na stołku porodowym, pogrążona w transie, z oczami na wpół przymkniętymi. Sapała i chrząkała, będąc na granicy hysterii, pomimo iż Matka Orla monotonicznie śpiewała spokojną pieśń. Weiwara urodziła swe pierwsze dziecko trzy lata temu, a jak wszyscy wiedzieli, dwa pierwsze porody były najbardziej niebezpieczne: jeśli kobieta je przetrwała, wielce prawdopodobne, że bogowie obdarzali ją błogosławieństwem i siłą.

Adika przyklękła obok miski stojącej przy progu. Umyła ręce i twarz wodą zaprawioną lawendą. Wstała i ruszyła, zataczając koła, ku czterem kątom izby, szepcząc w każdym z nich błogosławieństwo i oczyszczając je gałązką jałowca. Weiwara ciężko dyszała. Matka Orla zawodziła piskliwie. Jej najstarsza córka, Agda, posmarowała ręce warstwą tłuszczu, także z dodatkiem lawendy, w celu przepędzenia złych duchów. Agda skłoniła się Adice z należnym szacunkiem, a ta klękła przed kolejną kobietą. Getsi rozpoczęła rytuały wstępne, jako że to ona właśnie miała być położną, gdy jej rówieśnice dojdą do lat i będą rodzić dzieci.

Agda przemówiła niskim głosem. Krew, piana i tłuszcz zmieszały się na jej rękach.

- Dziękuję, że przybyłaś, Wybrana.

Nie patrzyła prosto na Adikę, lecz zerknęła na Weiwarę, upewniając się, że rodząca kobieta jej nie słyszy.

- Kiedy badałam ją dwa dni temu, wyczułam główkę dziecka skierowaną ku dołowi, przy udzie. Teraz jednak w dole jej dróg rodnych znajdują się nóżki. Rozwiązanie już się zbliża. A kończyny dziecka nie powinny się tam znajdować. - Pokiwała głową, spoglądając na swe ręce. Potem podniosła oczy na Adikę. Światło wpadające przez dymnik kryło wyraz jej twarzy.

- Myślę, że dziecko jest martwe. - Agda splunęła, tak by słowa nie pozostały w jej ustach. - Mam nadzieję, że możesz powstrzymać duchy, aby nie pociągnęły Weiwary na Drugą Stronę wraz z dzieckiem.

Weiwara cierpiała w cieniu. Jej niezwiązane włosy okryły jej ramiona niczym płaszcz. Jęczała lekko. Głos Orli wzmógł się.

- Już czas - wydyszała Weiwara.

Agda usiadła między kolanami Weiwary i gestami nakazała matce pochwycić ramiona rodzącej i zaśpiewać inną pieśń, aby kobieta mogła przeć. Agda delikatnie zbadała kanał rodny. Getsi przypatrywała się temu zza jej pleców, stojąc niczym bocian na jednej nodze, z odzieniem zarzuconym na jedno ramię.

Adika wstała i podeszła do progu domu, dbając o to, by nie stanąć do rodzącej tyłem. Przy okapach znajdowały się koszyki wyplecione z wierzby z owiązаныmi wokół talizmanami. Ponieważ dom połogów był kanałem między światem realnym a światem umarłych, zawsze musiał być chroniony talizmanami i rytuałami. Teraz, ściągając koszyk na dół, Adika znalazła potrzebne jej rzeczy.

Za drzwiami doleciały odgłosy rąbania siekierą. To mąż Weiwary zajmował się magią dostępną mężczyznom, rąbając drwa w nadziei, że to pomoże bezpiecznie oddzielić się dziecku od matki.

Weiwara zaczęła gorączkowo dyszeć, Agda rzekła zaś surowo:

- Musisz wstrzymać powietrze, potem przeć, a dalej znowu oddychać. Postępuj według liczenia Orli.

Adika znalazła mały żółty garnek i pędzelek zrobiony ze świńskiej szczeciny. Stała obok Agdy.

- Podaj mi swe dłonie.

Agda zawahała się, ale Orła skinęła głową. Weiwara wywracała oczami. Pomiędzy kolejnymi oddechami jęczała. Adika szybko nakreśliła na dłoniach Agdy znak rogów Obfitej w kształcie księżyca, symbolizujące narodziny i łuk Dzikiej Władczyni, która czyniła wszystko wolnym. Swe własne czoło naznaczyła kijem Starej Wiedźmy, by przyciągnąć śmierć do siebie zamiast do tych, którym pisane było żyć.

Za pomocą gałązki jarzębiny położyła magiczne pieczęcie w rogach domu. Zatrzymawszy się przy progu, uchyliła lekko drzwi, zerkając na zewnątrz. Mąż Weiwary rąbał drwa. Jego szerokie ramiona lśniły w słońcu. Po plecach spływał mu pot.

Nieco dalej stał Alain, najwyraźniej nieco zakłopotany.

Na jego widok będącą w transie Adiką szarpnęło w bok. W porównaniu z mieszkańcami wioski był bledszy i szczuplejszy. Tutejsi mężczyźni mieli szersze twarze i ramiona, a wykonywana w słońcu praca powodowała, że ich skóra odznaczała się brązową opalenizną. Jej kuzyn, Urtan, trzymał go za łokieć. Jednakże Alain wysforował się naprzód, podczas gdy jego dwa psy węszyły, spychając Urtana w bok, co przychodziło im z łatwością ze względu na ich wagę. Były tak wielkie, że nie musiały warczeć ani pokazywać zębów.

- Ai! - zawyła Weiwara tak głośno, że jej mąż przerwał rąbanie drzew i wszyscy mężczyźni popatrzyli na dom, do którego nie mieli prawa wstępu.

Przeżrana Adika cofnęła się, ujrawszy, że Alain zmierza do domu połogów. Kiedy zwierzęca skóra opadła, kryjąc wejście, z tłumu czekającego za płotem wydarł się okrzyk protestu.

- Urodziło się! - powiedziała Orla.

- Jeszcze jedno! - jęknęła Weiwara. Jej słowa były raczej pełne udręki niż ulgi.

- Obfita chroni nas! - wykrzyknęła Agda. - Zaraz na świat przyjdzie drugie dziecko! Wybrana! Weź to maleństwo. Nie żyje.

Adika wzięła dziecko w ramiona i przytknęła jego zimne wargi do swoich. Ciało nie zamieszkiwała żadna duszyczka. Nie wyczuwała pulsu. Serce nie wpompowywało życia w ciało. Ledwie zdążyła pomyśleć o tym, co powinna teraz uczynić - musi znaleźć duszę dziecka i poprowadzić ją na ścieżkę prowadzącą na Drugą Stronę - gdy spomiędzy nóg Weiwary wyłoniła się lśniąca główka. Widok ten tak wystraszył Adikę, że rzuciła się w tył, zderzając się z Alainem, który właśnie wszedł do domu. Uspokajająco położył jej rękę na ramieniu. Widziała go tylko Getsi. Dziewczyna stała z szeroko otwartymi oczami, zbyt zaszokowana, by mówić.



Jakie nieszczęście Adika sprowadziła na wioskę, przyprowadzając go tutaj? Dziecko w jej ramionach było sine jak bławatek. Umarłe i stracone na zawsze.

Drugie z bliźniąt wyłoniło się z dróg rodnych tak łatwo, jak ryba wyslizguje się z mokrych rąk. Agda złapała je i od razu dał się słyszeć krzyk z mocnych płuc. Weiwara zaczęła płakać z wyczerpania.

Orla zdjęła ręce z ramienia rodzącej i w tym momencie zauważyła osobę stojącą za plecami Adiki. Wyszyczała przez zęby:

- Kim jest ten człowiek, który nas nawiedził?

Weiwara krzyknęła, trzęsąc się cała, jakby dotknięta nagłym atakiem.

Agda przysiadła i wydała z siebie głośny okrzyk, zagłuszając płacz dziecka:

- Jakie przekleństwo ten człowiek na nas sprowadził?

Nie zwracając uwagi na nieprzyjemne spojrzenia, Alain wyjął dziecko z rąk Adiki i podniósł je, przykładając ucho do jego piersi. Słuchał w skupieniu, a potem powiedział coś niskim głosem. Czy do niej, czy do zmarłego dziecka, czy też do siebie - Adika nie wiedziała. Wszystkie kobiety patrzyły z przerażeniem, a żywe niemowlę zapłakało niczym na znak protestu, gdy Alain uklęknął na klepisku, rozcierając nóżki martwego niemowlęcia.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała znów Orla.

Adika wstrzymała się z odpowiedzią, trzęsąc się ze strachu. Pragnęła egoistycznie mieć towarzysza życia i w ten sposób sprowadziła na wioskę nieszczęście.

- Popatrzcie! - wyszeptwała Weiwara.

Umarłe dziecko poruszyło się i zakwiliło. Jego małe ciało zmieniło kolor z niebieskiego na czerwony. Alain marszcząc brwi, przypatrywał mu się przez chwilę, po czym podał dziewczynkę matce. Weiwara miała oszołomiony wyraz twarzy owcy prowadzonej na rzeź. Żyjące bliźnięta były widowym znakiem łaski Obfitej.

- Ai! - krzyknęła, gdy schwycił ją ostatni ból. Bez zastanowienia podała dziecko Alainowi i ponownie złapała się stołka. Getsi sprawnie okryła nowo narodzone maleństwo.

Kiedy łożysko zostało już wydalone, Agda odcięła jego kawałek i dała Weiwarze do przełknięcia. Wszystkie inne kobiety zwróciły się w stronę Alaina. Ten stał i spokojnie czekał. Adika maksymalnie się skoncentrowała. Z ust Orli nie padło żadne słowo wymówki. Agda siedziała w milczeniu. Łóżysko leżało na półmisku, gotowe, by je ugotować.

Nikt nie pouczał Alaina. Nikt nie wykonywał rytualnych gestów, by ochronić obecnych przed nieczystym wpływem, które niósł za sobą ktoś, kto wszedł do miejsca zakazanego dla mężczyzn. Choć było czymś złym pozwalać mu zostać, Adika nie miała siły i serca wypraszać Alaina. Przyniósł ze sobą światło, nawet jeśli nastąpiło to dzięki podniesieniu skórzanego zasłony, zawieszanej na kołku i wiszącej krzywo. Różowe znamię na jego policzku wydawało się teraz żywe, niemal połyskujące.

- Co to za człowiek? - wymruczała po raz kolejny Orla.

- Dziecko nie żyło - powiedziała Agda. - Czuję śmierć moimi rękami. - Ona także nie mogła oderwać wzroku od Alaina, jakby był wężem trucicielem lub stworzeniem o wielkiej mocy. - Kim on jest, że przywraca życie w miejsce śmierci?

Oczywiście pytanie to uczyniło rzecz zrozumiałą.

- Jest mężczyzną - wyjaśniła Adika, patrząc na niego, podczas gdy on popatrywał na nią.

Alain wyglądał na zdezorientowanego i trochę zawstydzonego. Odwrócił się nieznacznie od Weiwary, którą Getsi obmywała wodą i gąbką zrobioną z sitowia.

- Zmierzal już ku krainie umarłych, gdy Wiedząca przywiodła go do mnie jako mego towarzysza.

Weiwara była wciąż zbyt oszołomiona, by powiedzieć cokolwiek, a nawet, by słuchać, ale Agda i Orla kiwały głowami i nadstawiały uszu, chcąc się upewnić, że to nie zły duch pojawił się w wiosce w następstwie tak dziwnej sytuacji.

- Zatem - rzekła Orla - jeśli Wiedząca przywiodła go do ciebie, nie obawiała się, że ów człowiek sprowadzi na wioskę jakieś nieszczęście.

- Jeśli wędrował do krainy umarłych - odezwała się Agda - to być może spotkał duszę dziecka, blakającą się po ścieżce i przyprowadził ją do nas z powrotem.

Orla skinęła na znak zgody.

- Aby zawrócić człowieka za ścieżki prowadzącej ku krainie zmarłych, potrzeba potężnej magii. Może on ujrzał już Drugą Stronę? Czy mówił coś o tym?

- On nie posługuje się żadnym znanym mi językiem - odrzekła Adika.

- Nie, nie - odezwała się Agda. - Nikt, kto ujrzał krainę śmierci, nie mówi językiem zrozumiałym dla ludzi. Wszyscy o tym wiedzą! Czy on ma być twoim mężem, Adiko? - Zawahała się, nim padły kolejne

słowa. - Czy on będzie ci towarzyszył tam, dokąd powiesz cię twoje przeznaczenie?

- Wiedząca obiecała mi to.

- Prawdopodobnie - rzekła Orla z namysłem - człowiek, który widzi i sprowadza zabłąkane duchy, jak tego dziecka, powinien zostać w wiosce w tak trudnych czasach. Będzie widział złe duchy i odganiał je. W ten sposób one nam nie zaszkodzą.

- Co radzisz, Matko? - Agda podejrzliwie popatrywała w stronę Alaina.

- Porozmawiam ze starszyzną.

- Pozwólcie mi go stąd zabrać - rzekła szybko Adika. - Potem oczyszczę dom położony tak, by Weiwara mogła w nim pozostać aż do czasu, gdy zajdzie księżyc. - Wzdłuż jednej ze ścian przygotowano już miejsce dla matki: drewniane łóżko usłane sitowiem, owczą skórą i gałązkami jarzębiny, które miały przynieść Weiwarze ulgę i ochronę. Adika ostrożnie dotknęła łokcia Alaina. Jego wzrok, wciąż skierowany ku dziecku, spoczął teraz na Adice.

- Chodź - wskazała drzwi.

Posłusznie wyszedł wraz z nią z domu. Wydawać się mogło, że w taki krótkim czasie cała wieś dowiedziała się o mężczyźnie, który wszedł do domu położowego. Teraz wszyscy mieszkańcy wioski tłoczyli się za płotem, czekając na to, co nastąpi.

Beor przepchnął się naprzód. Wziął siekiere od męża Weiwary i ostrzegawczo przesunął palcami po jej ostrzu, podczas gdy ludzi przybywało. Niczym byki i barany, mężczyźni zawsze rozpoznają rywala sposobem niezrozumiałym dla kobiet.

- Zatrąszę się o tego intruza - powiedział szorstko, gdy Adika przekroczyła wrota.

- On jest pod moją opieką. - Przez tłum przecisnęły się dwa psy, po czym przystanąły przy swoim panu. Ich rozmiar i lęk, jaki wzbudzały, spowodował, że ludzie żwawo się odsuwali. - I pod opieką duchów opiekuńczych, jak się okazuje.

Jeden z psów, samiec, dotknął uda Beora i zawarczał: ostrzeżenie, ale nie atak. Alain powiedział coś do zwierząt i te usiadły, uparcie jednak pozostając na miejscu, podczas gdy Alain pozostawał po drugiej stronie płotu, mierząc wzrokiem szerokie bary Boera i jego siekiere. Jego znamię, które uwidoczniło się wcześniej, w domu położowym zmniejszyło się do niewielkiej, czerwonej plamki na policzku.

Ku Beorowi pośpieszył Urtan. Przemówił doń półgłosem, zachęcając do odstąpienia. Beor wahał się. Adika widziała, jaką walkę ze sobą toczył: jego zazdrość, silny temperament, duma i samozadowolenie walczyły z podstawowym poczuciem, charakterystycznym dla ludzi z plemienia Jeleni - żyjąc razem, trzeba było współpracować, by przetrwać.

- Nie ma powodu, by robić problemy - powiedział Urtan głośniej.

- Nie robię problemów - odparł Beor, rzucając Adice gorzkie spojrzenie. - Kim jest ten obcy, ubrany niczym Przeklęty? Już sprowadził na wioskę kłopoty!

- Odejdź, Beor. - Z domu położowego wyłoniła się Matka Orla. - Niechaj nie będzie tutaj walki w dniu, gdy z łaskawości Obfitej wieś została obdarowana bliźniętami.

Nawet Beor nie był na tyle głupi, by występować przeciwko Matce Orli i przelewać krew w dniu błogosławieństwa Obfitej.

Wciąż ściskając siekiere, jak gdyby miał zamiar rozłupać czyjąś głowę, Beor wycofał się wraz z braćmi i kuzynami, podczas gdy mieszkańcy wioski pomrukiwali, popatrując na obcego.

Alain przełożył nogę przez płot i opuścił zakazany teren w sposób tak naturalny, że było jasnym, iż nie rozumiał tutejszych zwyczajów. Nie czuł tego w kościach tak jak Adika. Ona wiedziała, czy jakiś kawałek ziemi był dotknięty przez bogów, naznaczony, zakazany albo po prostu zwykły - czyli taki, na którym życie rozkwitało, a śmierć je pożerała. Tłum rozproszył się nerwowo, robiąc mu przejście.

- Musisz tutaj poczekać, Wybrana - powiedziała Matka Orla, gdy doszli do granic wioski. - Proszę cię, nie przychodź do wioski, dopóki starszyzna nie podejmie decyzji.

Zwołała starszyznę do domu narad. Wioskowy totem, na którym widniały wyrzeźbione podobizny przodków, wznosił się z jego centralnego punktu na znak, że zaczyna się tu spotkanie.

Adika nauczyła się czekania w milczeniu od swej preceptorki, poprzedniej Wybranej, była jednak zaskoczona, jak cierpliwie czekał siedzący obok niej Alain. Psy leżały u jego nóg, wysunawszy języki, ciche, lecz czujne. Alain zaś przyglądał się wiosce. Dorośli wrócili do pracy, natomiast dzieci zwlekały z odejściem. Starsze powstrzymywały mniej ostrożnych malców przed podejściem bliżej.

Wszystko to nie trwało długo. Totem zachwiał się i został wyciągnięty przez dymnik. Matka Orla pojawiła się wraz z towarzyszącą jej, pełną dłań szacunku starszyzną. Wieśniacy pospieszyli, by usłyszeć ich decyzję. Przybyli wszyscy poza Beorem, który pozostał w lesie. Psy nadstawiły uszu.

- Starszyzna zdecydowała - rzekła Matka Orla - że jeśli Adika przywiąże się do tego mężczyzny i

pozwoli mu zostać w swym domu, będzie mogła z powrotem zamieszkiwać w wiosce aż do czasu, gdy nastąpi nieuniknione.

- Niech tak będzie - wymamrotała Adika, choć jej serce śpiewało.

Mieszkańcy wioski wypowiedzieli rytualne słowa przyzwolenia i wszystko było już postanowione i zaakceptowane. Wiedząca przywiodła Adice towarzysza życia, a ona go przyjęła.

Adika miała teraz obowiązki. Musiała posprzątać w swej chacie, która stała pusta przez dwa przejścia księżycy i oczyścić dom położony, jako że pojawił się tam mężczyzna. Podczas gdy ona pracowała, do domu położony wchodziły kobiety, które wydały na świat żywe dzieci. Przynosiły Weiwarze prezenty, jedzenie i picie. Miały tak czynić do dnia, gdy księżyc w pełni stanie się bledszy, przybierze kolor wosku. Wówczas świeżo upieczona matka będzie mogła powrócić do swego zwykłego życia.

Później Adika mogła zobaczyć Alaina. Była ostrożna i obserwowała go z pewnej odległości, udając, że wcale nań nie patrzy. Spodziewała się, że będzie na nią czekał przy wrotach wioski, onieśmielony i wycofany jak wszyscy obcy, którzy po raz pierwszy przybyli w nowe miejsce, lecz on pozwolił, by dzieci zaciągnęły go na częstokół, a potem ze świeżo wykopanego rowu do spichlerza z ziarnem. Przyklęknął przy człowieku lepącym coś z gliny i dziewczętach wyplatających koszyki i wypróbował miedziany sztylet zakupiony w Starym Forcie, gdzie mieszkał szaman, znający magię metalowych przedmiotów. Przywabił kulejącego psa i wyciągnął cierń z jego łapy. Zganił dziecko, które chciało rzucić w psa kamieniem, choć ono oczywiście nie zrozumiało nawet słowa z tego, co mówił. Obejrzał krosna, stojące rzędem za domem Matki Orli i jej córek i przecesał rumowisko obok miejsca pracy Pura kamieniarza. Spędził niesamowicie długi czas, przyglądając się dwóm drewnianym radłom. Adika pamiętała, że jej dziadek jako młody człowiek mówił z powątpiewaniem o oraniu pól tak niesamowitymi narzędziami; przez całe jego dzieciństwo wieśniacy orali, używając ociosanych jelenich rogów.

Ciekawość Alaina nie ustawała. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział pewnych rzeczy. Być może przyszedł na świat w plemienu dzikusów, którzy mieszkali w szałasach, a jako broni używali zaostrzonych patyków. Tylko dlaczego nosił na sobie tak pięknie wykonaną odzież?

Przyglądając się przybyszowi, Adika obawiała się okazać zbyt zainteresowanie. Lękała się, że to mogłoby go odstraszyć. Bała się również siły własnych uczuć, tak prędkich i gwałtownych. Był obcym, a jednak w pewien sposób wydawał się jej bliski, jakby znała go od zawsze. Można go było porównać do jeziora spokoju w rwącym nurcie, jakim było życie w wiosce. Stał poza nim, a jego obecność miała w sobie trwałość i pewność rzeczy, które oznaczają przebudzenie i świadomość i dzielą świat na to, co jest święte i to, co jest zwyczajne, jednocześnie łącząc je tak, jak rzeka łączy się ze swymi dopływami.

Tak przeminęło popołudnie. Alain oglądał wioskę. Za nim ciągnęła gromada ciekawskich dzieci, których nie przeganiał, choć nie dawały mu spokoju.

Tak minął wieczór, podczas którego ludzie przynosili Adice jedzenie, przepraszając za zaniechanie jej przez ostatnie miesiące i dając znak, iż uznają jej gospodarowanie i nowego towarzysza życia. Nadal nie patrzyli jej w oczy, ale dzieci siadały obok Alaina, a on pokazywał im, jak grać w grę, polegającą na zakreślaniu linii na piachu i poruszaniu kamieniami tak, by zdobywać lub tracić terytorium. Urtan dokonał ekstrawaganckiego pokazu, siedząc obok Alaina, jakby byli kompanami od lat, dwójką mężczyzn trzymających wspólnie radło w czasie orki albo spędzających razem letnie popołudnie, kiedy trzeba pilnować dzieci bawiących się na płyciźnie nad rzeką. Beor wciąż nie powrócił ze swych samotnych łowów, ale inni mężczyźni byli dostatecznie ciekawi i wystarczająco szanowali pozycję Urtana, by podejść i również uczyć się gry w linie i kamienie. Alain zaakceptował ich obecność. Nie wyglądał na skrępowanego w ich towarzystwie.

Tej nocy Adika nakłoniła go, by zamieszkał w jej domu i pokazała mu, że może spać z nią w jednym łóżku. Alain sprawiał wrażenie zdenerwowanego i wypowiedział jakieś pełne pasji i chyba niezbyt rozważne słowa. Obraziła go. Zaczerwieniony i naburmuszony, przygotował sobie legowisko na sianie za progiem, gdzie leżał obok swych psów - strażników. Adika sprawdziła to kilkunastokrotnie - wyglądało na to, że spał spokojnie, podczas gdy ona leżała bezsennie, nie mogąc zasnąć.

Zahuczała sowa, przelatując gdzieś poprzez noc. Pies zawył przez sen i obrócił się. Zapłakało dziecko, potem umilkło. Wieś spała. W odległych miastach snuli swe plany i knowania Przekłęci, lecz w tym momencie ich wrogość wydawała się odległa i jakby mniej ważna w odniesieniu do mężczyzny, który spał za jej drzwiami.

Rankiem Urtan zabrał Alaina do tamy wraz ze swymi młodymi kuzynami Kelem i Tosti. Alain poszedł, a wszyscy śmiali się po drodze z jego prób nauczenia się nowych słów. Psy szły za nimi. Było niezwykle, na jak dobrodusznego człowieka wyglądał. Adika chciała zobaczyć, jak poradzi sobie przy tamie, miała jednak swoje zajęcia.

Poszła zawiesić talizmany w domu położowym i znalazła tam Weiwarę piastującą jedno niemowlę i bujającą drugie, leżące w kołysce. Świeżo upieczona matka przypatrywała się śpiącemu dziecku z pewną dozą zdumienia, jakby za drzwiami zobaczyła oswojonego niedźwiedzia.

- Czy to prawda, że przybysz przywrócił moje dziecko do życia?

- Widziałam to na własne oczy. - Adika przyklękała obok kołyski, lecz nie dotykała dziecka. - Trzymałam niemowlę w ramionach. Podobnie jak Agda, słuchałam, ale nie wyczułam w ciele duszy. On przywołał ducha z powrotem.

- Myślisz, że jest szamanem?

- Nie, nie wydaje mi się. - Kołyska zatrzeszczała, poruszając się. Drugi malec cichutko ssał matczyną pierś. Kropelka płynu zawisła na brodawce piersi i pozostawała tam chwilę, po czym spłynęła po skórze Weiwary.

- Słyszałam, że on ma być twoim nowym mężem - dodała Weiwara. - Czy jest przystojny? Tak naprawdę prawie go nie widziałam.

- Nie - powiedziała szybko Adika. - Nie jest przystojny. Nie wygląda jak mężczyźni z plemienia Jeleni.

- Ale - zaśmiała się Weiwara. - Słyszę „ale”. Słyszę, że teraz o nim myślisz.

Adika zarumieniła się.

- Tak, myślę o nim w tej chwili.

- Kiedy byłaś z Beorem, nigdy o nim nie myślałaś. Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś związała ręce z tym mężczyzną, wtedy zrozumie twoje intencje. Jeśli przybył z daleka, może nie chceć obrazić kogokolwiek. Nie wie, co tu jest zakazane, a co nie. Gdyby wiedział, nie wszedłby przecież do domu położowego. Poproś Matkę Orłę, by była świadkiem ceremonii, tak żeby wiedział, że nie jest ci zakazany.

- Tak muszę zrobić. Muszę pokazać mu, co jest dozwolone.

Powoli wracała do wioski, doszedłszy do bramy dokładnie wtedy, by móc zobaczyć, że Alain, Urtan i kuzyni Urtana niosą kosz pełen ryb z rzeki. Alain śmiał się. Pozwalał, by ubranie ześlizgiwało mu się z ramion, odsłaniając nagą klatkę piersiową. Jego ramiona zaróżowiły się od słońca. Był szczupły w pasie, a jego plecy i pierś gładkie, zupełnie inne niż u Jeleni.

- Nigdy nie widziałam, by Wiedząca okazała komuś współczucie - powiedziała Matka Orla, pojawiając się obok Adiki. Szła, utykając, podpierając się kijem, niegdyś służącym jako drzewce halabardy.

- Matko Orlo! Zaskoczyłaś mnie!

- Zaiste. A ty myślami byłaś gdzie indziej.

Musiały się posunąć, by zrobić miejsce dla czterech mężczyzn i ich ciężkiego kosza. Przekraczali drewniany most, który prowadził ku wiosce. Alain zobaczył Adikę i uśmiechnął się. Nie była pewna, jak na to zareagować, gdy tymczasem Matka Orla chwyciła ją mocno za ramię.

- Teraz, córko!

Dotyk nie trwał długo - Alain wytarł jej łzy z policzka, by przekonać się, że są autentyczne. Adika aż jęknęła ze zdziwienia i zaraz zawstydzila się z powodu okrzyku. A potem mężczyźni minęli je, niosąc kosz do domu zgromadzeń, gdzie ryby miały być rozdzielone pomiędzy rodziny z wioski.

Matka Orla zakasłała.

- Obcy, który śpi w domu kobiety bez jej zgody i bez połączenia się z nią, nie jest człowiekiem, jakiemu ludzie z wioski mogliby zaufać i traktować go jak jednego z nich.

- Działałam zbyt pochopnie, Matko Orlo. Nie myśl, że to jego wina. Zaprosiłam go do domu, nie czekając na właściwą ceremonię.

- Ale doń nie wszedł - odrzekła Matka Orla z aprobatą. - Tak słyszałam.

- Mam nadzieję, że doradzisz mi coś w tej kwestii - wymamrotała pokornie Adika. - Nie mam doświadczenia. Wiesz, jak to wyglądało w przypadku Beora.

- Nie było mądrym pomysłem was łączyć. - Matka Orla splunęła, tak aby uwolnić się od wszelkiego pecha, towarzyszącego wspomnianiu tak złej decyzji. - Niemniej jednak tak było. Beor zobaczy, że w naszej wiosce nie ma miejsca na jego zazdrość.

- Tak łatwo pójdzie?

- Jeśli nie będzie mógł strawić nowego mężczyzny w wiosce, pojedzie do swych kuzynów z plemienia Czarnych Jeleni albo pošlubi córkę Nahumii i uda się do Starego Fortu.

- Myślę, że do czasu, nim wojna się skończy, dobrze byłoby mieć tutaj tak dzielnego wojownika jak Beor, Matko Orlo.

- Być może. Ale w tak trudnych czasach niedobrze byłoby, gdyby nasza wioska targana była dumą czy złością. Nie mówmy już o tym.

- Jak sobie życzysz. - W pewnym sensie odczuwała ulgę, mogąc rozmawiać jak z ciotką. Niełatwo było

zachowywać się przez cały czas jak dorosła kobieta - Adika wciąż była bardzo młoda.

- Pozwól spać obcemu w domu mężczyźni - mówiła dalej Matka Orla. - A tak poza tym, czy chciałabyś mieć męża, który do tego stopnia się nie szanuje, że nie oczekuje uprzejmości?

Adika roześmiała się, ponieważ słowa te były zupełnie nieoczekiwane i niosły za sobą jakieś satysfakcjonujące przewidywania. Najpierw nie dostrzegła Alaina przy domu zgromadzeń, ale wkrótce dostrzegła go wśród innych dzięki psom, które wiernie szły za nim. Nagle zatrzęsa się pod wpływem wizji, krótkiej, lecz olśniewającej: zobaczyła nie Alaina, lecz feniksa, ognistego i gorącego, błyszczącego z taką intensywnością, że musiała odwrócić wzrok.

- Doprawdy - powiedziała Matka Orla głosem kogoś, kogo nic już nie zdziwi - Wiedząca wybrała mądrze.

## **Rozdział drugi** **LICZNE SPOTKANIA**

### **1**

Nocą gwiazdy świeciły wyjątkowo jasno. Wydawało się, że żyją i są istotami, które skręcają się i przesuwają, mówiąc językiem zrodzonym bardziej z ognia niż ze słów. Liath czasami sądziła, że może je zrozumieć, potem jednak to wrażenie blakło. Niekiedy myślała, że może ich dotknąć, ale niebo w tej krainie było o wiele wyżej niż w jej ojczyźnie.

Nie miała wpływu na tak wiele rzeczy, a zwłaszcza na swoją przeszłość.

Teraz leżała na plecach, z rękami pod głową, na sienniku zrobionym z liści i trawy.

- Czy gwiazdy to żywe istoty?

- Gwiazdy są ogniem. - Stary czarownik zazwyczaj zasiadał z nią, milczący lub rozmowny w zależności od nastroju. - Czy mają dusze i świadomość, tego nie wiem.

- A co z istotami, które mnie tu przywiodły?

Tutaj, w kraju Aoi, nigdy nie było księżyca, zaś gwiazdy nocą świeciły tak ostro, że Liath widziała, jak czarnoksiężnik potrząsa głową.

- Te duchy, o których mówisz, mają oczy niczym brylantowe noże. Poruszają się na skrzydłach eteru, a ich spojrzenia wciąż uderzają o ziemię na kształt piorunów. Ono zaś spala wszystko, czego dotknie, bo duchy nie rozumieją kruchości ziemi.

- Jeśli nie są to dusze gwiazd, to w takim razie czym są?

- Są starszą rasą. Ich ciała nie przypominają ciała, jakie znamy. Są to raczej połączenia ognia i wiatru. Ich ciała są stworzone tak, jak gdyby oddech ognistego słońca zjednoczył się w umysł i wolę.

- Dlaczego więc nazywają mnie dzieckiem?

Czarownik zawsze plótł linę albo koszyki, wyginając gałązki w rozmaite kształty. Nawet w ciemnościach potrafił splatać linę z włókien roślinnych, przytrzymując ją sobie na udzie.

- Starsze rasy nie mają w sobie nic ziemskiego, a jedynie czyste elementy. Jesteśmy ich dziećmi o tyle, o ile pewne tworzące nas części wywodzą się z tych elementów.

- Tak więc każda istota urodzona na ziemi jest w jakiś sposób ich dzieckiem.

- Możliwe - uśmiechnął się. - Jednakże chodzi o coś więcej niż tylko o ludzką postać. To, że mówimy do siebie w tej chwili, jest tajemnicą, której nie umiem wytłumaczyć, bo ludzkie języki nie są mi znane, a ty twierdzisz, że nie znasz języka mego ludu. Ale spotkaliśmy się dzięki wrotom ognia i bardzo możliwe, że magiczne więzi znaczą dla nas więcej niż wszystkie języki złożone tylko ze słów.

- Wydaje mi się, że rozmawiając z tobą, używam języka, który mój lud zna jako Dariyan.

- A mnie z kolei wydaje się, że mówię ojczystą mową. Ale nie mogę uwierzyć, by mój język i mowa Dariyan była jednym. Liczba lat, jakie dzieli mój lud od twego kraju, musi obejmować wiele generacji ludzi. Niewielu mówiło językiem mego ludu, gdy osiedliliśmy się na ziemi. Jak więc to możliwe, że pamiętasz mój język?

To było dobre pytanie i wymagało przemyślanej odpowiedzi.

- Na długo przedtem, nim się urodziłam, powstało imperium, którego władcy byli twymi przodkami, zrodzonymi ze związku twej rasy z człowiekiem. Prawdopodobnie przyjęli twój język za swoją mowę i dlatego możemy teraz rozmawiać. Choć nie jestem tego do końca pewna. Cesarze i cesarzowe starego Imperium Dariyan byli na wpół ludźmi, tak przynajmniej twierdzili. Teraz na ziemi nie ma już żadnych Aoi. Istnieją tylko jako duchy, rozumiesz, bardziej jako cienie niż żywe istoty. Niektórzy twierdzą, że na ziemi nigdy nie było prawdziwych Aoi, że istnieją tylko w prastarych opowieściach.

- To prawda, opowieści zmieniają rzeczywistość, tak by przypaść do gustu słuchaczom. Jeśli chcesz wiedzieć, co miały na myśli duchy, nazywając cię „dzieckiem”, musisz spytać je o to sama.

Gwiazdy zabłyśły tak mocno, iż wydawały się pulsować. Co dziwne, Liath nie mogła odnaleźć żadnej znanej jej konstelacji. Czowała się jak wrzucona na inny plan egzystencji, choć ziemia pod jej nogami miała normalny zapach, a wiele roślin było takich, jakie pamiętała z dzieciństwa, kiedy wraz z tatą podróżowała po krajach, których południową granicą było wielkie morze środka: srebrna sosna i biały dąb, oliwka i chleb świętojański, kolczasty jałowiec, rozmaryn i mirt. Westchnęła, wdychając zapach rozmarynu. Co dziwnie napawało ją otuchą, niczym opowiedziana po raz kolejny bajka z dzieciństwa.

- Zapytam, czy będę mogła się do nich dostać.

- Najpierw musisz nauczyć się przechodzić przez sfery.

Strzała nadleciała bez ostrzeżenia. Błąda niczym kość słoniowa, wbiła się w pień sosny. Chwyciwszy kolczan, Liath odsunęła swój siennik i ukryła się za niskim dębem. Stary czarownik siedział spokojnie na swoim miejscu, wciąż wplatając len w linę umieszczoną na udzie. Nie drgnął nawet. Za jego plecami strzała zadrżała i znieruchomiała - biały, sztywny kawałek wbity w suchą i spróchniałą korę.

- Co to jest? - zapytała Liath, wciąż ciężko oddychając. W przeciągu czterech dni pobytu w tej krainie nie widziała śladu ludzi.

- To wezwanie. Kiedy nastanie dzień, muszę udać się na naradę.

- Co się stanie z tobą i ze mną, jeśli twoi pobratymcy dowiedzą się, że jestem tutaj?

- Zobaczymy.

Tej nocy Liath spała źle, budząc się od czasu do czasu. Wtedy widziała, że czarownik siedział w ciszy przypominającej trans, kompletnie nieruchomy, lecz z otwartymi oczami. Budząc się z jakiegoś niezapamiętanego i męczącego snu, wciąż mało przytomna, widziała gwiazdy i przez chwilę dostrzegała znane kształty konstelacji, których nauczył ją rozpoznawać tata; zawsze jednak w następnej chwili zmieniały miejsce, a ona wpatrywała się w obce niebo. Nie mogła nawet zobaczyć Rzeki Niebios, która przecinała nieboskłon w jej kraju. Rzeką tą płynęły do Komnaty Światła dusze umarłych, a niektóre z nich spoglądały na dół, na ziemię, by ujrzeć swych bliskich, których przyszło im opuścić. Czy straciła tatę? Czy jego duch patrzy na ziemię i zastanawia się, dokąd podążyła jego córka?

Czy była pomiędzy nimi jakaś różnica, skoro Liath zastanawiała się, co stanie się z tymi, których opuściła? Poza tym, tata nie chciał umierać. Ona pozostawiła tych, których kochała, z własnej woli.

Nocą rozmyślała, czy podjęła dobrą decyzję. Czasem zastanawiała się, czy naprawdę kocha swoich bliskich.

Gdyby rzeczywiście coś do nich czuła, zostawienie ich nie powinno było przyjść jej tak łatwo.

Mrok w tym miejscu nie utrzymywał się długo. Dzień nastawał nagle, bez łagodnej obecności poranka. Liath zbudziła się, gdy światło musnęło jej twarz. Zobaczyła, jak zmienia się wyraz twarzy starego czarownika - przeszedł od transu do przebudzenia tak gładko, że prawie było to niezauważalne. Wstał i rozprostował sztywne nogi, podczas gdy Liath usiadła, sprawdzając, czy jej łuk i strzały są gotowe. Jej miecz był pod ręką, a Liath zawsze spała z nożem zatkniętym za pasem.

- Idź nad strumień - rzekł czarownik. - Idź kwiecistą drogą do strażnicy. Nie wychodź, dopóki nie usłyszysz, że cię wołam. Nie oddalaj się, tak abyś na nikogo się nie natknęła. Bądź ostrożna, nie zrań się i uważaj, by nie popłynęła krew. - Odszedł parę kroków, po czym zatrzymał się i rzucił przez ramię: - Dobrze wykorzystaj ten czas! Nie wypełniłaś jeszcze zadań, które ci poleciłem!

Te wyjątkowo nużące zadania były częścią treningu. Liath przypasała swój miecz i zawiesiła kolczan na ramieniu. Została przyzwyczajona, by wykonywać tę czynność zaraz po przebudzeniu; to pomagało nie myśleć o głodzie. Przez plecy przewiesiła też bukłak na wodę.

Idąc ścieżką w dół, Liath po raz kolejny zauważyła, jak bardzo spękana jest ziemia. Igły na sosnach były wyschnięte i przynajmniej ich czwarta część stała się brązowa i martwa. Kilka innych drzew było wystarczająco odpornych, by przetrwać: biały dąb, oliwka i srebrna sosna. Tam, gdzie runęły uschnięte drzewa, wzrastał chleb świętojański, szakłak, powojnik i kolczasta trawa. Nie widać zaś było żadnych gryzoni. Pomijając to, że żyły w pewnej izolacji, Liath nie widziała też jeleni, żubrów, wilków i

niedźwiedzi - żadnych stworzeń, które żyły w lasach na ziemi. Czasem tylko słyszała ptaki lub szum ich skrzydeł w gałęziach.

Kraina umierała.

- Ja umieram - wyszeptła Liath w ciszy.

Jak inaczej mogłaby wytłumaczyć spokój i ulgę, jakich doznała, przybywszy do Aoi? Może to tylko odredptwienie? Było łatwiej nie stykać się z wydarzeniami, które zaprowadziły ją tutaj. Czy jej serce było tak samo kamienne jak serce Anny, mówiącej: „Nie możemy pozwolić, by uczucia mąciły nasze sądy”?

Tymi słowami Anna usprawiedliwiła morderstwo swego męża. To nie wróg bez twarzy wezwał ducha powietrza i komenderował nim, by zabił Bernarda. Zrobiła to jego własna żona, matka jego dziecka.

Anna zdradziła tatę i zdradziła też Liath nie dlatego, że zamordowała Bernarda bez wyrzutów sumienia, ale dlatego, iż spodziewała się, że Liath zachowa się w taki sam sposób.

A gdyby Liath nie opuściła swego dziecka i męża? Nie przeszła przez głaz gorejący z własnej woli, ale tutaj, w kraju Aoi, miała wybór: zostać i uczyć się od czarownika albo wrócić do Sanglanta i Blessing.

Czy ona także pozwoliła, by rozum zwyciężył uczucie? Czy nie przedłożyła wiedzy nad miłość? Czy aż tak łatwo było to zrobić?

- Nie będę przydatna Sanglantowi czy komukolwiek innemu, dopóki nie opanuję własnej mocy - wymruczała. - Nie mogę pomścić taty, dopóki nie dowiem się, kim naprawdę jestem.

Jej słowa popłynęły w dal i zniknęły niczym duchy w niesamowitej ciszy, panującej w dotkniętej suszą krainie. Nawet wściekłość, którą czuła w stosunku do Anny od chwili, gdy odkryła śmierć taty, wydała się martwa jak niezgrabnie uformowana statuetka z gliny.

Wzdychając, podążała dalej.

Niegdyś strumień był rzeką. Liath wybrała drogę po rzecznych kamieniach, pokrytych białym szronem wysuszonych szumowin. Dotarła do wąskiego kanału, który był teraz wszystkim, co pozostało z wartkiej rzeki. Woda sączyła się przez skały, - spływając z gór, widocznych za skąpym leśnym terenem. Liath przyklękła, by napełnić bukłak, po czym zatkała go starannie. W tym kraju woda była cenniejsza niż złoto.

Przytrzymując pełne naczynie na biodrze, zaczęła przeskakiwać z kamienia na kamień, w ten sposób docierając na drugą stronę. Doskonale widziała glony, które przypominały zieloną farbę, złączoną z rzecznych kamieni. Stare koryto rzeczne porastała trawa, lecz teraz nawet i ona była brązowa. Wspiąwszy się po stromym nabrzeżu, Liath znalazła się na rozwidleniu ścieżek. Biegąca po prawej stronie dróżka wiodła przez gąszcz kasztanowców, które okalały wybrzeże, po czym zaczynała się urwista, prowadząca w górę droga. Po lewej znajdował się przedziwny szlak, idący przez nisko położoną łąkę z przepięknymi kwiatami: lawendą, rutą, czerwono-krwistymi makami, delikatnymi goździkami, bujnymi peoniami, bladymi dzikimi różami, nagietkami, przypominającymi tęczę irysami i porozrzucanymi po całej łące intensywnie błękitnymi chabrami.

Ten kwietny szlak wił się nieopodal rzeki. W krainie wyblakłej od brązu i żółci był niczym nieoczekiwany, wspaniały sen. Nie sposób było nie przystanąć przy tej oazie koloru i Liath wpatrywała się w nią przez kilka minut. W końcu jednak musiała ruszyć dalej.

Łąka kończyła się nagle tam, gdzie na wzgórzu rozpoczynał się sosnowy las. Susza i tutaj odcisnęła swoje piętno, a las przemieniał się w szybkim tempie w trawiaste wrzosowisko. Na wzgórzu znajdowało się rumowisko, niegdyś punkt obserwacyjny. Liath wspięła się na najwyższej położone bezpieczne miejsce, gdzie przykucnęła na występie skalnym, opierając się na tym, co pozostało ze skalnej ściany. Rozejrzała się wokoło.

Zbocze góry było nieco strome, jakby strażnica miała służyć przede wszystkim do obserwacji terenu. W rzeczywistości nie było widać nic poza mgłą.

Zdaniem czarownika była to zewnętrzna granica krainy. Poza mgłą nie było nic. Liath przez chwilę się w nią wpatrywała.

Cisza ją przygniatała. Tutaj, na granicy świata, nie słychać było nawet ptaków, a jedynie cykanie samotnego świerszcza. Odnosiło się wrażenie, że świat z wolna pustoszeje, że serce i dusza krainy powoli wnika w pustkę. Jak jej własne serce.

Odłożywszy łuk i kołczan, Liath usiadła ze skrzyżowanymi nogami. Klasnęła w dłonie, tak by dźwięk oddzielił zwykły świat od świata magii. Tego nauczył ją preceptor. Metodami, które jej objaśnił, uspokoiła swój umysł do tego stopnia, że pośród nieładu myśli mogła usłyszeć serce świata: podmuch wiatru na szyi, powolne przesuwanie się kamieni, daleki szum wody i, przede wszystkim, narastające poruszenie, niczym u rozkwitającego kwiatu, którego bezmiar mocy został powstrzymany przez jego własną konstrukcję.

- Ludzie okaleczyli się własnymi rękami - powiedział czarownik. - Doszli do wniosku, że siłami natury można manipulować. Lecz wszechświat funkcjonuje na poziomie niewidocznym dla ludzkich oczu. Nie można go dotknąć. Widzimy go tylko sercami i umysłami. Oto esencja magii, która nie szuka krzywdy ani kontrolowania, ale chroni i przeobraża.

W każdej rzeczy wszystkie jej czyste elementy mieszają się w równych proporcjach. Jeśli Liath zdołałaby uspokoić umysł, skoncentrować się tak, by osiągnąć punkt, prowadzący ku widokowi nieskończoności, mogłaby rzucić światło na każdą rzecz i wydostać z niej te elementy, które były potrzebne do zaklęć.

W ten sposób demony, które wzięły ją w objęcia swych skrzydeł, pozyskiwały ogień nawet z kamienia czy gór. To była magia znana Aoi.

Jednakże od tego dzieliła Liath długa droga.

Wreszcie wzniosła się na kolejne poziomy świadomości. Czterokrotnie klasnęła w dłonie. Nagły dźwięk przeniósł ją do zwykłego świata. Jedna z jej nóg całkowicie zdrętwiała. Podrapała się po szyi połaskotanej zeschniętym liściem i usunęła drobinę kurzu z oka. Zarzuciwszy łuk na ramię, zaczęła schodzić w dół, badając każdy kamień. Omijała te, które stukotały lub osuwały się pod jej nogami.

W cieniu u podnóża twierdzy napiła się, cały czas pamiętając, by oszczędzać wodę, i wreszcie pozwoliła sobie na posiłek: trochę jagód, gruboziarnisty chleb nadający się do jedzenia dzięki temu, że został usmażony na oliwie z oliwek, pasta z ryby, jagód jałowca oraz rozgniecionego pasternaku z cebulą. W każdym posiłku było coś tak rozpaczliwego, że zarówno ona jak i jej preceptor nie patrzyli na siebie podczas jedzenia.

Oblizawszy palce, Liath pochwyciła zwój liny. Wplatanie w nią włókien roślinnych stanowiło jedno z najbardziej nużących zajęć, ale czarownik nalegał, by Liath posiadała i tę umiejętność. Sznur był dość długi. Zmierzyła go na przedramieniu: czterdzieści łokci. Wystarczająco dużo.

Obwiązawszy się liną w pasie, zacisnęła silnie pętlę, po czym podążyła w kierunku krawędzi mgły. Drugi koniec liny umocowała na pniu sosny, ciągnąc ją silnie, by przetestować węzeł. Potem popatrzyła na wzgórze. Nic się tam nie poruszało. Przez wysuszoną trawę wędrował jakiś robaczek, co było o tyle zadziwiające, że był to jedyny ruch, z wyjątkiem targanych przez wiatr koron drzew.

Ostrożnie wędrowała przez mgłę. Pokonawszy pierwszych pięć kroków, nic nie widziała. Nawet swych wyciągniętych na wysokości twarzy rąk, choć jej palce promieniowały błękitnym blaskiem pierścienia z lapis lazuli, ofiarowanym jej przez Alaina i mającym ją chronić od zła.

Nie była pewna, czego może oczekiwać. Piekła? Zapory? Krainy umarłych, nurzającej się we mgle?

Postąpiwszy pięć kolejnych kroków, Liath poczuła ucisk liny. Za jej plecami unosiła się ściana mgły. Przed nią, po prawej stronie, rósł gąszcz krzaków. Kiedy skręciła w bok, by na nie wejść, jej ręka natrafiła na cierń. Na skórze natychmiast pojawiła się czerwona stróżka. Przyłożyła rękę do ust i wysała ranek. Z kryjówek ciernistych krzaków wysunął się syczący wąż. Liath uskokczyła, czując w sercu nagły ucisk.

*Nawet pojedyncza kropla twojej krwi na wyschniętej ziemi obudzi rzeczy, które lepiej, by spały* - powiedział stary czarownik. - *Zaś każde stworzenie w tej krainie będzie wiedziało, że jesteś tutaj.*

Krwawienie ustało, wąż zniknął w ostępach, ale jej myśli wciąż kłębiły się i narastały.

Czarownik chciał, by zachowała tajemnicę. Czy jednak sądził, że Liath stanowi zagrożenie dla jego ludzi lub oni dla niej, nie umiała powiedzieć. Na języku czuła smak krwi, zmieszanej ze śliną. Zastanawiała się, co będzie z jej miesiączką w świecie, gdzie czas płynął inaczej. Czy menstruacja w ogóle nastąpi, jeśli nie ma tutaj księżyca, który mógłby na nią wpływać?

Wiatr poruszał liną, luźno zwisającą za plecami Liath. Słońce mocno grzało. Mgła zaprowadziła ją nie na koniec świata, lecz po prostu do nieznanego miejsca, nie tak bardzo różniącego się od porastającego górzysty teren lasu.

Liath stanęła na krawędzi urwistego wzgórza. Przed nią otworzyła się szeroka, otoczona pagórkami dolina. Na dalekim jej krańcu widniał górski łańcuch. Wysokie, pokryte śniegiem szczyty wspinały się ponad dolinę. Przed Liath rozciągała się droga, prowadząca do wspaniałego miasta, zbudowanego na dnie wyschniętego jeziora. Było to największe siedlisko ludzkie, jakie Liath kiedykolwiek widziała. Rozmiarami przewyższało nawet cesarską siedzibę Darre. Powietrze było tak czyste, że bez problemu dostrzegała kontury budynków. Widziała układ przestrzenny miasta bardzo wyraźnie, jakby architekt rozłożył przed nią jego projekt.

Plac, piramidy, forum, wielkie podwórce, rynki, domy zaprojektowane na kształt kwiatów wokół prostokątnych sadzawek - wszystko to było połączone ze sobą za pomocą akweduktów, niegdyś będących prawdopodobnie kanałami. Poziome kamienne ogrody i wysepki były opustoszałe, podobnie jak pola.



Mosty nad zatoczkami i wąskie cieśniny dzieliły miasto na dystrykty. Trzy groble przecinały wyschnięte jezioro, tworząc drogi prowadzące do miasta.

Białe niczym kości budynki zaprojektowano wyjątkowo harmonijnie. Liath zastanawiała się, czy miasto zostało zbudowane tak, by pasowało architektonicznie do jeziora, czy może jezioro miało pasować do miasta. Z daleka wydawało się ono opustoszałe. Budynki stały szeregiem na nieużytkach, na wysuszonej, popękanej ziemi.

W tym momencie Liath zdała sobie sprawę, że drogą idzie jakaś samotna postać. Człowiek ten zatrzymał się. Czyżby poczuł jej oddech na karku? Wydawało się to niemożliwe, gdyż Liath stała tak daleko, iż trudno ją było usłyszeć. Nieznajomy podniósł rękę, skinął na nią, wykonując gest rzucania kłutwy.

Ziemia zachwiała się pod jej stopami. Potykając się i przytrzymując liny, Liath znalazła się znowu we mgłę. Biel przepływała obok niej, statyczna i pełna pustki. Jej stopy uderzyły o skałę, a Liath potoczyła się na bok. Po uda tkwiła w wodzie. Na ustach poczuła sól. O brzeg rozbijały się fale. Tuż za plażą widniały trawiaste wydmy. Krzyczała mewa. Odwróciła się, pociągnęła linę i zataczając się, znowu ruszyła we mgłę.

Dotarła wreszcie do wzgórza. Przed nią wyrastała twierdza. Liath upadła z ulgą na kolana. Ciężko dyszała. Z jej przemoczonych nogawic spływała woda, błyskawicznie wsiąkając w suchą glebę.

- Jesteś głupcem, Najstarszy Wuju - usłyszała chrapliwy kobiecy głos. - Znasz opowieści. Nie mogą pomóc sami sobie. Już przekroczyła wąską granicę, którą dla niej ustanowiłeś. Teraz rozwija inteligencję dla swej rasy, by użyć jej przeciwko nam.

Stary czarownik zaśmiał się krótko. Chociaż nie był cyniczny, to nie miał cierpliwości słuchać bredni; tyle Liath nauczyła się o swoim preceptorze podczas krótkiego czasu, jaki spędzili razem.

- W jaki sposób mieliby użyć wiedzy o granicach przeciwko nam, Białe Pióro? Jest jedynym człowiekiem pośród nas. Tylko ona przekroczyła wrota. Dlaczego sądzisz, że inni chcą to uczynić? Nie, ona jest jedna, tak jak ci powiedziałem. Jest wyrzutkiem swej własnej rasy.

- A więc już jej uwierzyłeś.

- Jesteś zbyt podejrzliwa.

- Czy nie powinnam być taka w stosunku do ludzi? Jesteś zbyt ufny, Najstarszy Wuju. Ci z naszych, którzy uwierzyli ludziom, leżą pod ziemią, na której stoimy. Gdybyśmy nie nauczyli ich naszych sekretów, nie zyskaliby siły do walki z nami.

- Nie. - Liath zobaczyła ich teraz, stojących na występie skalnym, patrząc na nią z góry niczym arystokraci sprawujący sądy. - To *shana-ret'zeri* sprowadzili ludzi na złą drogę, nie my.

- Niezależnie od tego, co uczyniliśmy, zdobyli nad nami przewagę - powiedziała kobieta. Włożyła gładką lnianą opończę, poźółkłą ze starości. Spływała z jej prawego ramienia, sięgając aż do kolan. Pod spodem miała koszulę w romby i kropki. Na czole widniała przepaska. W jej tylnej części znajdował się ornament przedstawiający małą tarczę z piór. Włosy kobiety spływały luźno, zaś w nosie tkwił nefrytowy kolczyk. - Ludzie rozmnażają się jak myszy i są chorzy niczym muchy. Nie możemy im ufać. Musisz przyprowadzić ją na zgromadzenie rady. Rada zadecyduje.

Po tych słowach kobieta zniknęła Liath z oczu. Stary czarownik zszedł z góry, zatrzymawszy się u podnóża twierdzy. Liath wstała, by wyżyć mokre nogawice.

- Nie wierzy mi - powiedziała, zaskoczona intensywnością emocji kobiety. - I nie lubi. Czy taki sam osąd będzie miała rada? Nie widzę sensu się przed nią stawiać, jeśli od razu mnie potępią.

- Nie tylko ja, będący tu najstarszym, ale także pozostali, ci, którzy pamiętają wielki kataklizm, nie wiedzą, jaką decyzję podejmie rada.

- Jak możesz pamiętać wielki kataklizm? Jeśli wyliczenia Siedmiu Śpiących są słuszne, kataklizm miał miejsce ponad dwa tysiące siedemset lat temu, stosując ludzką miarę czasu. Nikt nie może być tak stary.

- Ja także nie jestem tak stary, przykładając do tego ludzkie poczucie czasu. Jest ono inne u was i tutaj. Wiem, co przeżyłem. To, co zdarzyło się od momentu mych narodzin, widzę tylko przelotnie. Wiem, że rasa ludzka najechała cały kraj, tak jak się tego obawialiśmy.

- A co z głazem gorejącym? - Nie mogła popełnić tego samego błędu jak w przypadku Siedmiu Śpiących: czekać z pełną rezygnacją i cierpliwością, aż zaczną ją nauczać o spiralach, co nigdy tak naprawdę nie dotarło do jej serca i nie było rodzajem nauki, jakiej potrzebowała. - Jeśli pomiędzy moim i tym światem są wrota, czy możesz sprawić, by pojawiły się na zawołanie? Może zamiast stawać przed radą powinnam raczej powrócić na ziemię?

Rozwagał ponuro jej słowa, nim udzielił odpowiedzi:

- Głaz gorejący nie należy do nas i dlatego nie możemy go przywołać. Pojawia się w przerwach

między przyływami, uszkadzającymi materię wszechświata. To pozostałość po potężnym zakłębieniu, które rzucili na nas twoi przodkowie, choć nie sądzę, by przypuszczali, że to tak zadziała. Kilkoro z nas nauczyło się, jak manipulować kamieniem, gdy się pojawi.

- Czy ja też bym mogła?

- Naucz się potęgi gwiazd i mocy, tkwiącej w sercu każdej rzeczy. Zdobyłaś już trochę wiedzy na ten temat. Jednak musisz jeszcze nauczyć się dyscypliny, niebędącej cechą charakterystyczną ludzi. - Czarownik przerwał, uśmiechając się gorzko. Miał nagle zmarszczki wokół ust, na płatkach uszu, na rękach, a kilka linii przecinało też jego pięty. - Nie możesz bać się potęgi krwi. Musisz nauczyć się jej używać, nawet jeśli oznacza to ból. Sądzę, iż nie powinnaś się wycofywać. Rzadko kiedy ucieczka jest mądrym posunięciem.

Anna uważała czarownika i jemu podobnych za zaprzysięgłych wrogów rodzaju ludzkiego. Z tego powodu, a także z przyczyn związanych z nią samą, zachęcała Liath, by uważała tak samo. W końcu jednakże Liath zawierzyła słowom czarownika. Mówił zupełnie inaczej niż tata, który uważał ucieczkę za rzecz roztropną. Który nauczył ją uciekać.

- Pojawię się z tobą na zebraniu rady - powiedziała w końcu.

- Heh. - W krótki śmieszek wkradło się chrząknięcie, co wskazywało na to, że czarownik uznał jakiś drobiazg za zabawny.

- A więc pójdiesz. Nie sądzę, że jestem nieświadomy honoru, jaki mi wyświadczasz, zapewniając mnie o swym zaufaniu. Minęło wiele czasu, nim ktoś z twojej rasy mi ufał.

- Albo z twojej mnie - odparła. Ciężka odpowiedź spodobała się czarownikowi. Lubił wyzwania i nie dbał o ostre pytania.

- Zatem weź to, czego potrzebujesz.

- Mam wszystko, z czym tu przybyłam.

Czekał chwilę, podczas gdy Liath zwijała linę.

- Dobrze zrobione. - Pochwała ucieszyła dziewczynę, choć okazała to tylko uśmiechem.

Czarownik miał bardzo niewiele rzeczy, które zabierał w podróż. Liath przywykła w końcu do jego ubrania: wyszywanej paciorkami przepaski na biodra, osłon na ramionach i nogach oraz włosów zebranych w węzeł na czubku głowy, w które wpięto pióra. Był raczej umięśniony niż kościsty, choć nie wyglądał na szczególnie dobrze odżywionego. Zabrał jej zwój liny i przewiesił go przez ramię, a potem wyjął strzałę z jej kołczanu. Jak zawsze, delikatnie dotknął grotu. Wyraz jego twarzy wskazywał, że myślami jest gdzieś daleko.

- Boję się, jakie działania podjęli ludzie twojej rasy - powiedział nagle - by uczynić swe ramiona niczym strzala i miecz. - Podał jej pióro strzały. - Weź je. Zachowaj, kiedy będziemy przemierzali graniczne krainy.

- Czy nie powinniśmy przywiązać linę do drzewa i opleść się nią w pasie? A co będzie, jeśli spadniemy z krawędzi? Mówiłeś, że ta mgła to kraniec twojej krainy.

Zachichotał.

- Dobry pomysł i mądry plan, działający na twoją korzyść. Ale w przygranicznych krajach nie ma niebezpieczeństwa. Jesteśmy więźniami swego własnego świata, bo wszystkie krawędzie są zagięte.

- Oprócz tych, które ma głaz gorejący.

- Nawet i on. - Poprowadził ją we mgłę.

- Gdzie idziemy? - zawołała, ale opary zagłuszały wszelkie dźwięki. Nie widziała nawet czarownika, podążającego o krok przed nią. Wiedziała o tym tylko dzięki drzewcu strzały, które znajdowały się na poziomie jej ręki.

Zdawała sobie sprawę, dokąd podążają. Po sześciu krokach potknęła się o kamienny stopień, rozcinając goleń. Stała na schodach, wyłożonych głowami potworów. Każda z nich była tak wyrzeźbiona, iż wydawało się, że wylania się z kamiennego kwiatu o dwunastu płatkach. Jeden z potworów miał głowę węża albo wielkiego, lśniącego kota, który ziewając, ukazywał zęby. Niektóre stwory były pomalowane na czerwono i białe, podczas gdy inne miały złotobrazowe cętki i soczyste zielone jęczyczki, koronkowe, poskręcane czarne uszka albo kwiaty o złotych płatkach - wyrastające z okrągłych oczek. Po drugiej stronie schodów znajdowała się szeroka piramidalna struktura, zbyt stroma, by się po niej wspiąć, pomalowana na oślepiająco biały kolor, intensywny niczym mgła.

Zaczęli wspinać się po schodach. Pomijając całą sytuację, stopnie budziły w Liath niepokój. Wydawały się znajome niczym wyszeptane imię, nagle pojawiające się w pamięci.

Wędrowali poprzez opary, otoczeni koszmarnymi, pełnymi mocy zwierzęcymi pyskami. Schody ciągnęły się w nieskończoność, aż Liath musiała przystanąć, by złapać oddech. Otworzyła buklak i

łyknęła wody, chłodząc wyschnięte i spieczone gardło, lecz kiedy zaproponowała wodę czarownikowi, odmówił. Cierpliwie czekał na nią. Wreszcie byli gotowi na dalszą wędrówkę. Dotarli na szczyt piramidy.

Mgła zalegała za jej plecami. Przed nią natomiast leżało miasto, mniejsze od wspaniałej metropolii, którą widziała wcześniej, lecz nie mniej imponujące. Jego dziedzińce pięknie harmonizowały z forum. Teraz stali na szczycie piramidy. U jej podnóża znajdowała się aleja, wzdłuż której widniał rząd budynków. Każda kamienna powierzchnia ozdobiona była jasnymi freskami, przedstawiającymi gigantyczne, żółto cętkowane koty, czarne orły, złote feniksy, płonące, wrazone w paszcze czerwonych węży strzały. Na głowach węży widniały pierzaste ozdoby. Miasto pulsowało kolorami. Jednocześnie było tak ciche, że Liath spodziewała się ujrzeć płaczące i wyjące duchy, sunące po jego pustych alejach.

Owionął ją wiatr. Nad wzgórzami kłębiły się chmury. Z dala widać było obrzeża miasta. Liath dostrzegła światło. Uderzył piorun, ale deszcz nie spadł. Nie czuła nadchodzącej ulewy, tylko kurz niesiony przez wiatr i ciarki przechodzące po całym ciecie. Włoski na jej karku leciutko się uniosły.

- Na takiej wysokości nie jest bezpiecznie. Zaraz może uderzyć piorun - zauważył stary czarownik.

Zaczął schodzić po schodach tak stromych, że Liath odważyła się podążyć za nim tylko odwrócona tyłem. Mgła zupełnie zasłoniła część miasta, leżącą poniżej wielkiej piramidy, dzieląc siedlisko linią ostrą niczym cięcie noża.

W szczyt piramidy uderzył piorun, dokładnie w miejscu, gdzie stali przed chwilą. Liath poczuła jakby ukąszenie w język. Wreszcie dotknęła stopami ziemi. Wiedziała, gdzie jest.

Dawno temu, gdy była dzieckiem, ona i tata uciekli z płonącej willi. Ojciec prowadził ją przez starożytne miasto. Wiatr szumiał w ruinach budynków. Z miasta pozostał jedynie szkielet. Podążająca alejami Liath widziała wyblakłe pozostałości fresków, zdobiące niegdyś długie ulice. Wiatr, deszcz i czas starły malunki z powierzchni budynków. Pozostały tylko zniszczone powierzchnie kamiennych bloków i kilka skrawków ocalałych fresków, wyblakłych i prawie niewidocznych.

Ruiny kończyły się nad brzegiem morza tak gwałtownie, jakby ucięto je nożem.

Tata wymamrotał słowa, starodawne zaklęcie, i przez chwilę Liath widziała falujący cień starożytnego miasta, wspomnienie tego, czym było dawno temu. Metropolia nie została zalana przez morze, lecz po prostu przeminęła. Liath zdumiała się.

- To jest to miasto - powiedziała głośno.

Czarownik już szedł dalej, ale zatrzymał się.

- Widziałam inną część miasta - wytłumaczyła. - Część, która leżała tutaj. - Wskazała na ścianę mgły. - Ruiny były bardzo stare. Znacznie starsze niż miasta zbudowane przez Dariyan. To było najdziwniejsze.

- Że były stare?

- Nie, nie. - Rwały się jej słowa. - Że tak nagle nastał ich koniec. Jak gdyby kraina została odcięta od ziemi.

Uśmiechnął się smutno.

- Czy wśród ludzi nie przetrwały żadne informacje na temat tamtych wydarzeń?

Mogła tylko potrząsnąć głową, zakłopotana jego słowami.

- Chodź - powiedział.

Na drugim końcu alei wyrastała druga monumentalna budowla, połączona z wielką piramidą szeroką drogą. Obok w pewnych odstępach znajdowały się specjalne platformy. Było trudno pojąć, za pomocą jakiego rodzaju inżynierii bądź magii stworzono to miasto. Liath poczuła, że cisza bardzo jej przeszkadza. Wyobraziła sobie, jak w pradawnych czasach gromadzili się tu ludzie - jasno ubrane kobiety i mężczyźni oglądali przedstawienia odbywające się na platformach albo modlili się, podczas gdy ich przywódcy duchowi obiecywali modlić się do bogów ze szczytu piramidy. Jednakże po tym tłumie nie pozostał żaden ślad, a nawet duchy.

Długo wędrowali w spiekocie. Gdzieś bokiem przetoczyła się burza i wsiąkła we mgłę. Nie spadła nawet kropla deszczu. Liath musiała dwa razy się zatrzymać, aby się napić. Stary czarownik dwukrotnie odmówił wypicia ofiarowanej mu wody.

Kolejna świątynia była także czworoboczną piramidą, złożoną ze stromych stopni. Na jej szczycie widniało oblicze wielkiego kamiennego węża. W miejscu paszczy węża znajdował się otwór, obramowany dwoma trójkątnymi stosami białych kamieni.

Ciszę przesyły dźwięki fletu i szepty. Czyżby przybyły duchy miasta, by ją nastraszyć? W oddali zablysnęło coś kolorowego, co okazało się grupą ludzi, ubranych w obszyte piórami oponcze i stroje naszywane paciorkami. Kolory i wzory ich odzienia były wyjątkowo żywe, lecz na tle miasta i ogniście błękitnego nieba stały się niemal niewidoczne. Na czele procesji powiewała okrągła flaga. Kolisty, złoty

kawałek materiału ozdobiono ptasimi piórami, mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy i tak szerokimi jak wyciągnięte męskie ramiona. Flaga obracała się niczym koło. Jej piękno zdumiało Liath.

Podeszli do schodów. Starła się uspokoić oddech, sprawdzając każdą ze sztuk swej broni: nóż, miecz jej przyjaciela Luciena i Łowcę Serc - swój łuk. Poprzez paszczę węża popłynął strumień głosów, przypominających dobywającą się spod ziemi mowę umarłych.

- Nie będą do ciebie pozytywnie nastawieni - powiedział czarownik. - Bądź ostrożna: mów spokojnie. Prawdę mówiąc, młoda kobieto, zabrałem cię tutaj, gdyż sądzę, iż tylko ty i ja możemy uchronić nasze ludy przed wielkim upadkiem, na który jesteśmy niemal skazani.

Jego słowa - wypowiedane rzeczowym tonem, jakby komentował jakieś szczegóły architektoniczne - zmroziły Liath. Aleja ciągnąca się przed nią była spowita mgiełką gorącą. Wiatr przywiewał kurz. Wielka piramida emanowała tajemniczością i wielkim splendorem.

- Zignorowałam Hugona - powiedziała. - Mogę zignorować także ich wszystkich.

Wspięli się po schodach ku głowie węża. Liath znalazła się twarzą w twarz z dwiema małymi kamiennymi piramidami. Tyle że one nie były zrobione z kamienia.

Tworzył je stos szczyrzących zęby czaszek.

- Co to jest? - chciała wiedzieć. Serce waliło jej ze zdenerwowania. Czowała na sobie spojrzenie pustych oczodołów.

- Upadli. - Na płaskim kamieniu przed paszczą węża leżało pół tuzina łuków i kołczanów, zaś tuzin lub więcej włóczni stało opartych o kamień. Całe uzbrojenie miało kamienne końcówki. Metalowe były jedynie noże, zrobione z miedzi i brązu.

- Połóż swą broń na kamieniu.

- Mam być nieuzbrojona?

- Posiadanie broni na zebraniu rady nie jest dozwolone. Taki zwyczaj. W ten sposób nie będzie rozlewu krwi w sercu miasta.

Liath wahała się, lecz widok tylu sztuk oręża pomógł jej się przełamać. Nie знаła mocy Aoi, ale wiedziała, jak używać miecza. Złożyła łuk i kołczan, lecz czarownik zatrzymał ją, nim przekroczyła próg.

- Woda też jest zabroniona. Nawet jej łyk może być traktowany jako próba przekupstwa. Pozwól nam się napić teraz. Miną godziny, nim wyjdziemy z powrotem z grobowca starożytnych matek.

Woda była słonawa, ogrzana ciepłem słońca. Ale to jednak była woda - cud trudny do wypowiedzenia dla kogoś, kto jest spragniony.

Czarownik wziął na wpół pusty bukłak i schował go pomiędzy czaszkami. Nadal szczyrzyły zęby, nie wydawały się już jednak takie straszne. Nie były duchami, a pozostałościami po ludziach, którzy kiedyś żyli i krwawili tak samo jako ona. Jakie fatum doprowadziło ich do takiego końca?

- Chodź. - Stary czarownik wskazał na trzewia węża.

Wewnątrz było bardzo ciemno. Nawet odległe głosy przycichły, jak gdyby oczekiwano pojawienia się przybyszów.

Liath zignorowała Hugona, nauczyła się odwagi, jednak w myślach wciąż powtarzała modlitwę.

- Panie, strzeż mnie teraz, błagam cię. Pani, użyż mi swej mocy.

Gdzieś daleko, w innym miejscu, Sanglant z pewnością dumał nad tym, co się z nią stało, a Blessing może płakała, smucąc się, tulona przez obce ramiona. Kiedy Liath wkraczała w czarną czeluść wężowej paszczy, wydało się jej, że od powrotu do bliskich dzieli ją długa droga.

## 2

Na północy gór Alfar urwisty grunt pełen był pagórków i przepływających przez doliny rzek. O tej porze roku, gdy późne lato z wolna przechodziło w jesień, drogi wciąż jeszcze były dobre, a pogoda nadal przyjemna, wyjąwszy może okresowe burze z ulewami. Utrzymywali dobre tempo, przemierzając około sześciu mil dziennie. Na drogach pracowało wielu robotników, dzięki czemu ich grupa nie rzucała się w oczy, przynajmniej dopóki nie zwracali na siebie uwagi.

W przeważającej części była to podróż milczących ludzi.

Kiedy mijali jakiegoś rolnika podążającego z północy, Sanglant zadawał mu parę pytań, ale tutejsi chłopcy, jeśli rozumieli jego akcent, twierdzili, że nie wiedzą nic o ruchach króla. Nie mieli po temu żadnego powodu. Jednakże pewnego dnia Sanglant usłyszał od trzech przechodzących braciszków, że

król i jego świta są oczekiwani w Wertburgu. Toteż na skrzyżowaniu dróg, tuż za brodem przecinającym odnogę Jeziora Vierwald, wybrali północno-wschodnie rozwidlenie, prowadzące przez żyzne pola górnego Waylandu w kierunku rzeki Malnin. W tak urozmaiconym pod względem krajobrazu miejscu można było natknąć się na więcej wędrujących za swoimi sprawami ludzi.

Było zaskakujące, że około dwunastu dni po pożarze w Vernie i mniej niż siedmiu dniach przeprawy przez jezioro spotkali na drodze królewskie strażę. Stało się to w miejscu, gdzie las się kończył, a zaczynał pięknie utrzymany sad.

- Stać!

Rześki młody człowiek siedzący na osiodłanej klaczy podjechał naprzód, tarasując drogę. W rękę trzymał włócznię. Niewątpliwie stanowili dziwny widok. Wysoki mężczyzna o szerokich barkach, mający przy sobie zwykłą broń, niósł na plecach dziecko i dosiadał szlachetnego konia, którego uprząż godna była księcia. Obok kobieta, której egzotyczne rysy mogły przyciągnąć wzrok niejednego żołnierza. Kucyk i koza też były niezwykle. Na szczęście młody człowiek nie dostrzegł Jerny, kryjącej się w konarach przydrożnej jabłoni.

Jeździec wpatrywał się w nich przez chwilę, szczególnie bacznie obserwując kobietę, następnie odezwał się:

- Czy wędrujecie, by wnieść petycję do króla?

- Tak właśnie - rzekł Sanglant, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie, choć jego serce biło jak na alarm. - Czy król rezyduje gdzieś niedaleko?

- Dwór jest obecnie w Angenheim, jednakże petenci muszą długo czekać. Jest ich wielu.

- Hej, Matto, kim są ci dwoje? - Zbliżył się ku nim jakiś wyższy rangą wojak. Na jego tarczy widniał herb Wendaru - Lew, Orzeł i Smok, co oznaczało, że był członkiem królewskiej świty. Miał spojrzenie teriera, gotowego rozedrzeć zabłąkane szczury na strzępy.

- Wędrują, jak wielu innych - odparł Matto.

- Tyle to i diabeł może. Mogą być kuzynami Wrogięgo, sądząc po ich twarzach. Jesteś nietutejszy, więc weź to pod uwagę. Chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że przybyli na tak szlachetnym koniu. Szukamy bandytów, Matto. Bądź czujny.

- Jakież problemy, sierzancie? - zapytał drugi żołnierz, podjeżdżając.

W zasięgu wzroku, na drodze, znajdowało się jeszcze sześciu uzbrojonych mężczyzn. Sanglant zauważył, że żaden z nich nie był doświadczonym żołnierzem. Sami nowi rekruci, którzy pełnili straż. Wyglądali na znudzonych.

Nuda zawsze przyciągała kłopoty, a nie tylko uzbrojeni mężczyźni ją odczuwali. Sanglant popatrzył na swą matkę. Nawet po dwunastu dniach spędzonych razem wyglądała na niespokojną. Patrzyła na Matto wzrokiem pantery oceniającej swój kolejny posiłek i nawet oblizła z namysłem usta, jakby wyczuła w powietrzu smak słodkiego mięsa.

Sanglant wiedział, jak należy podejmować szybkie decyzje. Gdyby nie rozpoznał tych ludzi, prawdopodobnie incognito dotarliby na dwór, który on i Liath opuścili tak nagle ponad rok temu. Zwrócił się do sierżanta:

- Zabierz mnie do kapitana Fulka, a obiecuję ci, że zostaniesz wynagrodzony.

- Huh! - chrząknął sierżant, zaskoczony. - Skąd wiesz, że kapitan Fulk wrócił na królewski dwór ledwie dwa tygodnie temu?

- Rozdzieliliśmy się. - Sanglant pochylił się na bok, aby żołnierz mógł zobaczyć słodką twarzyczkę Blessing, wyglądającą z zawiniątka na plecach ojca.

- Ach. - Wzrok sierżanta spoczął teraz na matce Sanglanta, lecz szybko odwrócił wzrok, jakby coś w wyrazie jej twarzy go zaniepokoiło. - To twoja żona?

Sanglant roześmiał się ostro, choć bez złości.

- Nie. Ta kobieta jest... - Nie potrafił wypowiedzieć tytułu, na który nie zasługiwała. - Ta kobieta jest mą kuzynką, towarzyszem w drodze. Cudzoziemka, jak widzisz. Mój ojciec jest Wendarczykiem.

- Co wobec tego stało się z twoją żoną?

Żał wciąż dusił go mocno niczym łańcuchy.

- Moja żona... Odeszła.

Sierżant złagodniał i zerknął na dziecko.

- Niech Pan i Pani mają cię w swej opiece, przyjacielu. Potrzebujesz eskorty? Niedaleko stąd jest następny punkt strażniczy, bliżej pałacu. Potem są już prowadzące do niego fortyfikacje. Poślę żołnierza, który za ciebie poręczy.

- Przyjmę jednego z podziękowaniami. Jeśli powiesz mi swe imię, postaram się, by król zwrócił na

ciebie uwagę.

Sierzant zachichotał, podczas gdy jego ludzie popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Jesteś tak pewny siebie jak kogut, który pieje o poranku, co? Dobrze więc, jeśli zjesz kolację z królem, powiedz mu, że sierżant Cobbo z Longbrook wyświadczył ci przysługę. - Klepnął się w udo, zadowolony ze swego żartu. - Ruszajcie zatem. Matto, eskortuj ich przez całą drogę i przekazaj kapitanowi Fulkowi. On będzie wiedział, co z nimi zrobić, jeśli nas okłamali.

Matto był gadatliwym stworzeniem. Sanglantowi nietrudno było skłonić go do rozmowy. Kiedy przejeżdżali przez sad, podążając ku lasowi, Jerna wykorzystwała okazję, by skoczyć z drzewa i owinać się wokół powijków Blessing. Sanglant czuł na szyi chłodny dotyk, a kątem oka dostrzegał jej ruchy, ale Matto, jak każdy przedstawiciel rasy ludzkiej, nie zwracał na nią uwagi. Był zajęty rozmową z Sanglantem. Jego matka była służącą w siedzibie króla. Ojciec zginął podczas wojny wiele lat temu, a matka poślubiła innego mężczyznę. Matto wyglądał młodo, bo w istocie był młody. Stosunki pomiędzy nim a ojczymem nie układały się dobrze, więc gdy skończył piętnaście lat, ruszył na służbę u króla.

- Jestem na służbie od sześciu miesięcy - zwierzał się Matto. - Najpierw pracowałem w stajni, ale nawet sierżant Cobbo mówi, że mam talent do oręża, tak więc awansowałem do straży trzy miesiące temu. - Spojrzał w tył na matkę Sanglanta, prawdopodobnie spodziewając się, że będzie pod wrażeniem jego szybkiego awansu, ale, jak odkrył Sanglant, nic, co dotyczyło rodzaju ludzkiego, nie mogło jej zainteresować.

- Pewnie chciałbyś zobaczyć bitwę, młodzieńcze? - Sanglant poczuł się niesamowicie stary, jadąc obok tego entuzjastycznego młodego człowieka, choć tak naprawdę nie mógłby być nawet jego ojcem.

Matto zmierzył go wzrokiem.

- Widziałeś bitwę, prawda?

- Tak.

- Zgaduję, że należałeś do grupy, która ruszyła na wschód do Aosty z księżniczką Teophanu. To cud, że kapitanowi Fulkowi udało się zachować przy życiu tyłu jego ludzi, nieprawdaż? Cóż za klęska!

- To prawda. - Sanglant zmienił temat, nim Matto odkrył, jaka klęska spotkała wyprawę Teophanu w Aoście. - Po co rozstawiono tak gęstą sieć strażników?

Matto sapnął, dumny, że wie coś, o czym jego towarzysz nie ma pojęcia.

- Dwór przyciąga petentów, a wśród nich są bandyci.

- Czy są to ziemie diuka Konrada? Słyszałem, że on potrafi położyć kres bandytyzmowi.

- Pewnie tak by się stało, gdyby był tutaj. Nie przybył nawet na uroczystości na dworze króla! Orzeł posłany do jego fortecy w Bederbor doniósł, że nie ma go w jego rezydencji. Nikt nie wie, gdzie się udał.

Co robił teraz Konrad? Nie ulegało wątpliwości, że diuk był zdolny niemal do wszystkiego. Sanglant nie mógł jednak zadać Matto tego pytania. Dojechali do strumienia i zwolnili tempo jazdy, ułatwiając koniom przejście przez strumień. W miejscu, gdzie buk chylił się nad wodą, Sanglant napił Resuelto. Jednocześnie czekał na matkę. Choć miała własnego kuczka, nie chciała na nim jechać. Nadążała całkiem niezle - była najwytrwalszym wędrowcem, jakiego Sanglant kiedykolwiek widział. Koza wzbraniała się, by wejść do wody. Matka pognała ją niecierpliwie przez kamieniste płycizny. Miała rozłożyste i silnie umięśnione ramiona. Nosiła tunikę Liath. Zawinęła rękawy, dzięki czemu widać było wytatuowanego czerwonego smoka. Tatuaz biegł od strony zewnętrznej dłoni ku ramionom. Kiedy matka przeganiała kozę, rysunek wydawał się rozciągać i drżeć. Matto przypatrywał się cudzoziemce. Sanglant nie mógł powiedzieć, czy chłopak się nie zadurzył, co spada nieraz na młodych niczym uderzenie pioruna, czy też może nagle zorientował się jak dziwna była to kobieta.

- Jak masz na imię? - zapytał nagle Matto.

Spojrzała na niego, natomiast Matto zbladł i wymamrotał przeprosiny, choć nie było jasne, za co przeproszał.

- Nazywaj mnie Alia.

Sanglant zaśmiał się krótko, po czym ściągnął cugle, kierując Resuelto z powrotem na drogę.

Alia szła obok niego. Koza zdecydowała się współpracować i dreptała teraz posłusznie za kucykiem. Matto zamykał pochód.

- Dlaczego nie powiedziałaś tym żołnierzom, kim naprawdę jesteśmy? - zapytała niskim głosem matka. Miała silny obcy akcent i kaleczyła niektóre słowa. - Dlaczego nie domagałaś się pełnej eskorty i szacunku, na jaki zasługujesz?

- Ponieważ nie znają mnie i nie uwierzyliby w to, co mówię. Prawdę powiedziawszy, bez świty przy boku nie wyglądam na szlachetnie urodzonego, nieprawdaż? Po prostu zwykły wędrowiec, nieposiadający własnej ziemi i stosunków, wędrujący z petycją do króla.

Sanglant nie zdawał sobie sprawy, jak gorzko zabrzmiały jego słowa i na kogo ma być najbardziej zły: na los, na ojca czy na kobietę, która szła obok niego i która opuściła go lata temu. Blessing poruszyła się na jego plecach i zaczęła gaworzyć, wypowiadając jakieś przypadkowe sylaby, zestrojone z tonem jego głosu.

- Cicho, kochanie - zamruczał Sanglant. Resuelto parsknął.

- Patrzcie! - wykrzyknął Matto.

Droga była wystarczająco szeroka, by bez problemu wyprzedził swoich podopiecznych. Jego ręka spoczywała na pasie, u którego wisiał nóż w pochwie i niewielki, wypolerowany róg barani.

Nieco dalej teren obniżał się, tworząc porośnięte krzakami zagłębienie. Znowu pojawiało się przecinające drogę pasmo strumienia. W połowie brodu stała stara kobieta ze zgiętą laską. Jej głowa i ramiona ukryte były pod podartym odzieniem. Poszarpane końcówki wyszarzałego stroju powiewały na wietrze, owijając się wokół jej tydek.

- Moneta albo kromka chleba dla starej kobiety, której mąż i syn walczyli na wschodzie wraz z Jej Wysokością księżniczką Sapientią! - zachrypiała.

Matto zaczął zsiadać z konia, grzebiąc w sakiewce, którą miał za pasem. Może był człowiekiem o miękkim sercu, a może chciał zrobić wrażenie na Alii.

Jednakże głos więdźmy, choć wysoki, nie był wcale głosem kobiety. Umiejętność rozpoznawania takich rzeczy była czymś, w czym Sanglant uznawał się za eksperta. Ściągnął lejce. Chwilę potem spoza porastających przeciwniegi brzeg krzaków rozległ się delikatny szelest.

Strzała ugodziła Sanglanta w ramię, odrzucając go w tył. Grot wbił się w kolczugę. Za pierwszą strzałą podążyła druga, wysłana z zarośli. Sanglant odchylił się na bok, podczas gdy Jerna rozwinęła swe ciało i jednym ciosem wytrąciła strzałę z trasy jej lotu. Ta upadła w krzaki, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Alia miała już w ręku swój łuk z napiętą cięciwą. Zasyczała, strzeliła, a z krzaków dobiegł okrzyk bólu.

Wiedźma uczepiła się nogi Matto i strąciła go do wody. Szybki ruch ujawnił ukrytego pod łachmanami mężczyznę. Z głośnym okrzykiem bandyta zdzielił Matto swą laską w nieosłoniętą głowę. Chłopak mógł tylko osłaniać się rękami.

Nadleciało więcej strzał. Jerna była jak wiatr, zatrzymując dwie strzały w locie, zanim sięgnęły końskiej szyi. Sanglant tymczasem popędził konia do przodu. Resuelto ochoczo ruszył do walki. Wiedział, czego ma się spodziewać i, podobnie jak jego pan, był ćwiczony do wojaczki. Przeskakując przez potok, Sanglant rzucił się na lewo, odrąbując rękę pierwszego z bandytów, nim ten zdążył wymierzyć Matto kolejny cios. Druga strzała Alii sięgnęła jego pleców, gdy próbował uciekać.

Ukryci w krzakach ludzie wydali ostrzegawczy okrzyk, ale Sanglant już parł w kierunku zarośli, siekąc listowie. Ukrywała się tam grupa mężczyzn, uzbrojonych w drągi, noże, siekiere i przygotowany do użycia łuk. Miecz Sanglanta z łatwością ciął krzaki i ludzkie ciało. Gdy jeden z bandytów przymierzył się do strzału, Sanglant zbliżył się do niego.

Jerna skoczyła do przodu jak burza. Strzała, którą wypuścił łucznicz, zeszała z toru. Łuk wysliznął mu się z ręki. Chwycił go gorączkowo. Jednocześnie grot strzały ugodził go w stopy. Potykając się, runął w tył, w zarośla turzycy i paproci.

Co to za głos, cienki i słaby, proszący o litość? Pewnie to tylko brzęczenie komara. Sanglant opuścił swój miecz, a jego przeciwnik upadł z rozłupaną jak melon czaszką.

Z drogi dobiegały wrzaski pełne bólu i gwałtowny szelest. Dźwięki te oddalały się, w miarę jak jeden, nie - dwóch ocalałych bandytów uciekało z miejsca zasadzki.

Gdzieś w pobliżu rozległ się słaby dźwięk rogu. Po chwili ozwał się jeszcze silniej.

Blessing zakwiliła. Jej głos sprawił, że Sanglant ocknął się z bitewnego szału. Zdumiony, popatrzył na ciała: sześciu mężczyzn przebranych za żebraków, uzbrojonych tak, jak zwykli najemnicy, wynajmujący się do robót polowych. Nie zdawał sobie sprawy, że było ich aż tylu. Nie myślał w ogóle, po prostu zabijał. Jeden z bandytów wciąż wił się i jęczał, ale rana była głęboka - miał przecięty bark i płuco. Na jego wargach pojawiły się bąbelki krwi. Zsiadłszy z konia, Sanglant z litości podciął mu gardło.

Matto przedarł się przez wyrwę w zaroślach, wydeptaną przez Resuelto i stanął jak wryty.

- Na naszego Pana! - wyszeptał.

Róg zwiślał, przypięty paskiem do jednego z nadgarstków chłopaka.

- Masz złamane ramię - powiedział Sanglant.

Odwrócił się od zabitych i począł wyprowadzać Resuelto na drogę. Kucyk stał na szeroko rozstawionych nogach, opierając się cięgnięciu kozy, która starała się dostać do wody. Alia zniknęła. Sanglant słyszał, jak pogwizduje fałszywie. Dostrzegł ją po drugiej stronie drogi. Kryła się tam również, w zaroślach buków, następna grupa bandytów. Alia pochylała się nad rozplatanym ciałem, wyciągając

zeń strzałę. Po jej lewej stronie, za pniem drzewa, znajdował się kolejny łucznicz. Jego ciało było przygożdżone do drzewa strzałą wrażoną w gardło. Po pniu spływała krew. Widok zdumiewał: obsydianowy grot sterczał z szyi, podczas gdy pierzysko utknęło w pniu, jakby w drzewie otworzyło się zagłębienie, by przepuścić strzałę, a potem zamknęło się wokół brzechwy, gdy tylko grot znalazł cel.

Matto ruszył ku ścieżce, wciąż podtrzymując złamaną rękę dłonią drugiej. Mężnie próbował nie płakać z bólu.

- Pozwól mi to obejrzeć - rzekł Sanglant.

Młodzieniec zbliżył się do niego posłusznie niczym owieczka.

Usiadł na miejscu wskazanym przez Sanglanta, oparł się o pień, podczas gdy książę odpiął jego pas i gromadził potrzebne mu rzeczy: mech i dwa sztywne patyki. Ukłękł przy chłopaku i palcami badał czerwony guz, który, napuchnięty, dochodził już do przedramienia. Matto syczał przez zęby, łyzy kręciły mu się w oczach. Wydawało się, że kości są całe i że nic nie zostało potrzaskane ani złamane. Ręka spoczywała prosto, a żadna kość nie przecięła skóry.

- Nie ma co wstydzic się łez, chłopcze. Nieraz będziesz w gorszym stanie, jeśli zostaniesz w armii Henryka.

- Chcę zostać na służbie u ciebie, jeśli mi pozwolisz - wyszeptał Matto, z błyskiem podziwu w oczach, który zwiększały jeszcze kręcące się w nich łyzy. - Chcę się nauczyć walczyć tak jak ty.

Prawdopodobnie zbyt mocno ścisnął dłonią swą chorą rękę. Zawył, zachwiawszy się. Alia pojawiła się nagle i chwyciła go za ramiona, podtrzymując, podczas gdy Sanglant okładał guz mchem, używając pasa do przymocowania patyków wzdłuż przedramienia i ręki. Kiedy skończył, dał chłopcu wody. Potem wstał, poszedł na środek drogi i zaczął nasłuchiwać. Bandyci albo nie żyli, albo uciekli. Krzyknęła sójka. Nadleciała pierwsza padlinożerna wrona. W oddali usłyszał brzęk uprzęży. Pojawili się jeźdźcy.

Alia stanęła obok niego.

- Kto nadjeżdża? Czy zostawiamy chłopaka?

- Nie. To jego towarzysze, ci, których mijaliśmy. Przybyli zaalarmowani dźwiękiem rogu. Poczekajmy. - Odwinął powijaki, którymi córka była przywiązana do jego pleców i zakołysał nią, przytulając do piersi, uważając jednocześnie, by kolczuga nie otarła jej policzków. Jerna bawiła się na wietrze ponad głową małej, beztroska, gdyż niebezpieczeństwo przeminęło. Blessing gaworzyła słodko, uśmiechając się na widok twarzy ojca.

- Ta ta - powiedziała. - Ta ta.

Ach, Boże, dorastała tak szybko. Mając nie więcej niż pięć miesięcy, wyglądała jak roczne dziecko, a wczoraj przy ognisku uszła sama kilka kroków.

- W jaki sposób strzała przeszła przez drzewo? - spytał mimochodem, uśmiechając się i zaglądając w błękitne oczy córki.

Jego matka wzruszyła ramionami.

- Drzewa nie są bryłami, synu. Nic nie jest doskonale trwałe. Jesteśmy niczym kraty, stworzeni z elementów powietrza, ognia, wiatru i wody, tak samo jak ziemia. Posłałam z wiatrem zaklęcie, które poniósł wraz ze strzałą, aby mogła przebić nawet to, co najmniej oczekiwane.

Podeszła do drzewa i oparła się. Wyglądała, jakby szeptała do niego niczym do kochanka. Obraz przed oczami Sanglanta stał się mętniejszy. Alia jednym szarpnięciem wyjęła strzałę z pnia. Ciało zabitego upadło na ziemię. Trysnęła krew, plamiąc pobliskie paprocie. Wrony krakały triumfalnie, a dwie z nich usiadły obok trupa.

Przybył sierżant Cobbo ze swoimi ludźmi. Wydali okrzyk na widok zmasakrowanych ciał i pogratulowali Sanglantowi z uznaniem, podczas gdy Matto opowiadał niespójnie szczegóły potyczki.

- Myślę, że kapitan Fulk będzie żałował, iż pozostawił cię w tyle - powiedział sierżant z daleko większym respektem, niż okazywał to poprzednio.

Jednakże Sanglant mógł myśleć o zabitych tylko z pogardą i litością. W istocie pogardzał berserkerami za to, że pozwalali, by w czasie walki pochłaniała ich żądza krwi. Był dumny ze swego spokoju i opanowania. I rozważa. To tylko jeden z powodów, dla którego żołnierze go szanowali, podziwiali i szli za nim. Nawet w najgorszych momentach bitew, a było ich wiele, nigdy nie stracił nad sobą kontroli.

Jednak Krwawe Serce i Gent pozostawiły na nim ślady. Sanglant pomyślał, że wprowadzie uwolnił się z łańcuchów Krwawego Serca, lecz jego duch wciąż był obecny w postaci drugiego ja, które w nim zamieszkało. Sanglant był zły, czując w sobie dręczącą go bestię. Czy to jednak złość budziła i drażniła bestię, czy bestia ożywiała złość, nie wiedział. Los go zdradził: jego własna matka wykorzystwała go i porzuciła, ojciec zaś hołubił, jednak dopóty, dopóki służyło to jego celom. Henryk miał zaprzysięgłych wrogów, o których nigdy nie mówił i którzy nienawidzili go ze względu na jego krew. Henryk spokojnie



parzył, jak jego córka umiera śmiercią głodową, nie kiwnąwszy palcem, by jej pomóc. Liath zaś Sanglantowi odebrano. Pominąwszy wyjaśnienia Alii, która twierdziła, że porwać ją musiały demony ognia, Sanglant nie wiedział, co się z nią stało, czy żyje, czy też może umarła.

Wciąż huśtając Blessing, Sanglant patrzył, jak ludzie sierżanta Cobbo odzierają ciała zabitych z ich dobytku i odzieży, po czym zakopują je w płytkich grobach. Na końcu zajęli się łucznikiem i Sanglant słyszał ich okrzyki podziwu nad siłą ciosu, który roztrzaskał mu głowę. Co jakiś czas popatrywali w jego stronę z szacunkiem. Na szczęście jednak nie był to szacunek podobny do pełnej bełkotania czci, jaką okazywał mu Matto. Nie słyszeli błagań łucznika o litość. On także ich nie słyszał, naprawdę. Nie słuchał, bo rozsadzała go furia tak silna, że zabijał wszystkich, którzy stanęli na jego drodze i zagrażali Blessing. Dopiero później zorientował się, że jednak coś słyszał. Ale teraz było już za późno.

Może żal, jaki teraz odczuwał, nie dotyczył tak naprawdę zabitych nieszczęśników. Mogli go przecież zabić. Może litość, jaka go ogarnęła, miała związek ze zlekceważonym głosem w jego własnej duszy, tym, który wcześniej mógł usłyszeć i którego mógł posłuchać. Tym, który mógł zatrzymać jego rękę i pozwolić okazać miłosierdzie, a nie wściekłość.

Z gniewnym chrząknięciem przyjął przypochlebne komentarze żołnierzy i wszyscy zawrócili na drogę. Alia była gotowa do dalszej wędrówki. Sierżant pomógł Matto wsiąść na konia. Sanglant ucałował Blessing i z powrotem usadowił ją na swych plecach.

- Myślę, że we właściwy sposób zatroszczyliśmy się o rabusiów - powiedział z uśmiechem Cobbo. Trzymał odciętą rękę ich wodza, tego, który przebrał się za wiedźmę, by pokazywać ją na dowód odniesionego zwycięstwa. - Czy pragniesz którejs z rzeczy bandytów? Masz prawo wybierać jako pierwszy.

- Nie. - Może spowodował to wyraz twarzy Sanglanta albo jego ton, ale kiedy wszyscy zgromadzili się wokół niego, tworząc eskortę, nikt, nawet Matto, nie ośmielił się zadać mu ani jednego pytania. Cisza bardzo mu odpowiadała.

Następna linia straży była usytuowana już niedaleko od pałacu Angenheim. Sierżant Cobbo wyjaśniał wszystko i dość szybko przeprowadził ich przez pierścień strażników. Dwóch pozostających na służbie żołnierzy rozpoznało go: Sanglant poznał to po zdumionym wyrazie ich twarzy. Patrzyli na niego, jakby ujrzeli niedźwiedzia, który wszedł przebrany w męski strój. Nim jednak mogli powiedzieć cokolwiek, ich karawana pojechała dalej.

Tak wielu petentów przybyło z nadzieją, iż zostaną wysłuchani przez króla lub jego urzędników, że pola wokół Angenheim dosłownie się od nich zaroily. Nad nimi unosiła się cuchnąca woń potu, ekskrementów i gnijącego jedzenia. Prosty rolnik szybko ustąpił z drogi, którą torował wszystkim Cobbo.

Jak większość królewskich siedzib, Angenheim był ufortyfikowany, ale pałac nie był usytuowany tak dogodnie jak Werlida. Znajdował się na urwisku, ponad zakrętem rzeki. Angenheim słynął zwłaszcza ze swych wschodnich fortyfikacji i podwójnego kręgu drewnianych palisad, otaczających niskie wzgórze, na którym stał pałac.

Miejsce, gdzie miały się odbywać sądy, rozciągało się poza fortyfikacjami. Były to pola, na których petenci rozstawili swe namioty i szałas. Pastwisko było teraz mieszaniną ziemi i błota. Płonęły ogniska. Handlarze krążący pomiędzy namiotami zachwalali swoje towary; kasłali żebracy, wyciągając swe żebracze miski. Spichlerze, postawione jeszcze przez poprzednie pokolenia, odnowiono. Zapełniali je teraz woźnice i służba, która musiała się gdzieś pomieścić, gdy król rezydował w pałacu. Poza fortyfikacjami znajdował się niewielki klasztor, ale i ten był zapełniony przybyszami. Sanglant współczuł przez moment braciom, bez wątpienia przytłoczonym ciężarem okazywania gościnności królowi i jego dworowi. Wreszcie stanęli przed główną bramą.

Mieli szczęście, bo tego popołudnia wartę przy bramie sprawował kapitan Fulk. Wystąpił naprzód i zawołał, by Cobbo się zatrzymał. Wymienił z nim kilka żartobliwych skarg, gdy nagle, w połowie zdania, zobaczył Sanglanta.

Jego twarz pobladła. Upadł na kolana. Na ten znak to samo uczyniło pięciu towarzyszącym mu żołnierzom. Wszyscy oni przysięgali Sanglantowi lojalność podczas brzemiennej w skutki nocy czternaście miesięcy temu, kiedy on i Liath odłączyli się od królewskiego marszu.

- Powróciłeś do nas, Wasza Wysokość. - Fulk zaczął płakać z radości.

Sanglant zsiadł z konia i gestem nakazał żołnierzom, by wstali.

- Nie zapomnę twej lojalności, kapitanie Fulk.

Pamiętał dokładnie - tak jakby to było wczoraj - imiona i nazwy rodzinnych wiosek żołnierzy, którzy wymawiali je, klęcząc przed nim tamtej pamiętnej nocy: Anshelm, Everwin, Wracwulf, Sibold i Malbert.

Wręczył kapitanowi Fulkowi cugle Resuelto.

- Zajmij się, proszę, moim wierzchowcem. Ten tutaj młody człowiek potrzebuje lekarza.

- Oczywiście, Wasza Wysokość! - skwapliwie zgodził się Fulk, podczas gdy sierżant Cobbo i jego ludzie przyglądali się wszystkiemu z otwartymi ustami, a Matto wyglądał, jakby miał spaść z konia czy to z bólu, czy z rozradowania. Cobbo zadał pytanie komuś ze zgromadzonego tłumu, a jedna ze służących rzekła pogardliwie:

- Nie wiesz, kto to jest? Wstyd, Cobbo!

- Gdzie mój ojciec? - zapytał Sanglant kapitana, ignorując lawinę komentarzy, jakie wywołał jego przyjazd.

- Na przyjęciu weselnym, oczywiście, Wasza Wysokość. Pozwól mi się tam zaprowadzić. - Fulk wręczył lejce Siboldowi i dopiero wtedy ujrzał Alię i dziecko na plecach Sanglanta.

- Dziękuję ci. - Sanglant poczuł nagłą obawę, jednak musiał iść. - Mam nadzieję go szybko ujrzeć.

Fulkowi zabrakło chwili, by otrząsnąć się ze zdumienia i zaskoczenia. Z pełnym pewnością siebie chrząknięciem i posłuszeństwem żołnierza poprowadził Sanglanta do wielkiego hallu, znajdującego się w centrum pałacowego kompleksu. W tę i nazad krążyła tu służba, dźwigając tace pełne mięsa i karafki z winem, mijając tłum oczekujących, kuglarzy i petentów, którzy tłoczyli się u drzwi.

Na widok Fulka, Sanglanta i Alii tłum rozplątał się niczym masło topione na ogniu. Z jakiegoś powodu Alia wciąż prowadziła ze sobą kucyka i kozę. Jeśli była tak samo zdenerwowana jak Sanglant, nie zdradziła tego ani wyrazem twarzy, ani posturą. Właściwie wyglądała niezwykle ponuro. Jej lodowata mina podkreślała nieczłowiecze rysy twarzy.

Sanglant przeszedł przez drzwi ku zacienionej części hallu, zalanego żywiołowym i hałaśliwym tłumem. Było gorąco. W środku unosiły się niepiękne ludzkie zapachy. Większość swego życia Sanglant spędził nie na dworze, lecz uczestnicząc w kampaniach, a więc na świeżym powietrzu. Zapomniał już, jaki zapach unosi się, gdy pięćset stłoczonych w jednym pomieszczeniu osób pierdzi, beka lub gdy czuć od nich moczem.

Hall Angenheimu był szeroki i wysoki jak katedra. W dalekim końcu sali, w górnej części ścian, znajdowały się okna. Sączące się przez nie światło padało na królewski stół. Przy nim Henryk, śmiejąc się z błżeństw tria żonglerów, dzielił się kielichem wina z młodą, piękną kobietą, na oko kilka lat młodszą od Sanglanta.

Nosiła koronę. Obok sztandaru Wendaru wisiał drugi, na którym widniało słońce Aosty.

- Czyje to wesele? - zapytał Sanglant kapitana Fulka, jednakże jego słowa głużył gwar przyjęcia.

Ruszył wzdłuż rzędów stołów. Fulk szedł za nim. Charty umykały przed nim. Służba odskakiwała na bok, a potem wydawała okrzyk zdumienia, widząc Alię. Damy i mężowie siedzący za stołami zamarli na widok tego pochodu, a może to Alia rzuciła na nich zaklęcie, tak by nie mogli wydać głosów? Czego nie mogła dokonać kobieta, która spowodowała, że strzała przebiła pień drzewa?

Zapadła cisza.

Przed królewskim stołem uczyniono miejsce dla kuglarzy, mających popisywać się trikami. Była to również przestrzeń, gdzie udało się dostać co szczęśliwszym petentom, klękającym w nadziei, że król zwróci na nich uwagę. Sanglant od razu miał dobry widok na króla. Przeszkadzali mu jedynie wyprawiający błżeństwa kuglarze. Henryk był w znakomitym nastroju, nieco zarumieniony. Młoda kobieta śmiała się, gdy w powietrzu migwały złote i srebrne kule, rzucone przez dwóch wesołków. Sanglant użył swych butów, by dyskretnie trącić jakiegoś obdartusa i dać mu do zrozumienia, by usunął się z drogi. Człowiek ten podniósł wzrok, zdębiał i uskokzył na bok, powodując, że o jego miejsce zawałczyła gromada innych ludzi. Siedząca po prawej ręce króla księżniczka Teophanu zauważyła poruszenie i wzrokiem poszukała jego źródła. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, choć poblądła lekko, zacisnąwszy ręce na podnoszonym właśnie do ust pucharze. Duchowny stojący za jej krzesłem zachwiał się nieznacznie, jak gdyby wymierzono mu kopniaka w tył kolan.

Tłum rozstał się. Na drodze Sanglantowi stali tylko wesołkowie, skupieni na swej zabawie piłkami. Sanglant zrobił unik, omijając jedną z lecących piłek, złapał drugą w prawą rękę, podczas gdy Fulk kłął pod nosem. Jedna z piłek uderzyła go w ramię, upadła na ziemię i pękła w miejscu, w którym na wyłożonej sitowiem podłodze zdążono już wydeptać dziurę. Kucyk, przyciągnięty aż tutaj, poczuwszy zaduch, zapach sitowia i wrotyczu, uznał, że jest w stajni, po czym oddał mocz, czyniąc to długo i rozgłośnie.

Henryk wstał z wdziękiem. W chwili, gdy ich oczy spotkały się, Sanglant zrozumiał, że król zobaczył go, jak tylko wkroczyli do hallu. Niczym kapitan zastawiający pułapkę na bandytów w lesie, jego ojciec miał zamiar udawać.

- Książę Sanglancie - rzekł z zimną ceremonialnością, rozdzierającą Sanglantowi serce. - Nie miałeś jeszcze okazji poznać mojej żony, królowej Adelheid.

Oczywiście, Henryk wciąż pałał wściekłością na swego nieposłusznego syna. Ale obok była kobieta, którą desperacko pragnął poślubić. Piękna, to prawda, ale przede wszystkim miała ten rodzaj energii, właściwy kobietom odnajdującym zadowolenie w łożu. Nie było wątpliwości, że oprócz wartości korony Aosty oceniła też rumieniec na policzkach króla i uśmiezek, który zagościł na jego ustach, gdy przyjmował swego syna, wyglądającego ledwie lepiej niż żebrak.

Kto tu na kogo zastawiał pułapkę?

Adelheid była na tyle zuchwała i świadoma swej pozycji, że patrzyła na Sanglanta jak na ogiera.

- Rzeczywiście przystojny - powiedziała lekko, jak gdyby weszła w połowę konwersacji pomiędzy ojcem i synem - ale nie mam powodu żałować mego wyboru. Udowodniłeś swą sprawność po wielekroć.

Henryk zaśmiał się. Ośmieleni jego reakcją niektórzy dworzanie zaczęli chichotać, podczas gdy kilku innych utorowawszy sobie drogę poprzez tłum, przypadło do nóg Sanglanta.

- Wasza Wysokość!

- Książę Sanglant!

Sanglant rozpoznał ludzi Fulka, którzy pełnili służbę, stojąc za krzesłami lub będąc rozstawieni po całym hallu. Przez tłoczony się najliczniej tuż przy królewskim stole tłum przecisnął się Heribert. Ukłąkł przed księciem, chwycił jego dłoń i ucałował ją.

- Sanglant! - rzekł triumfalnie. Brakło mu tchu jak po długim biegu. - Mój książę! Lękałem się...

- Nie, przyjacielu - powiedział Sanglant. - Nigdy się nie lękaj. Błagam cię, podnieś się i stań obok mnie.

- Tak uczynię - rzekł młody kleryk, choć chwiał się lekko na nogach.

- Kim są ci, którzy tak ochoczo się wyrwali? - zapytał Henryk. - Czy brat Heribert nie służy księżniczce Teophanu?

Teophanu wciąż ścisnęła swój puchar. Siedzący za nią stary Helmut Villam pochylał się, szepcząc jej coś do ucha, ale ona zupełnie go nie słuchała. Kiwnęła tylko powściągliwie głową i odstawiła puchar.

- To moja świta, Wasza Wysokość - powiedział wreszcie Sanglant. - Ślubowali mi posłuszeństwo.

- Czy nie są na moim żołdzie? - zapytał słodko Henryk. - Nie wiedziałem, że posiadasz ziemie i niezbędne środki, by posiadać świtę, mój synu. Pogardziłeś, jak widzę, tymi ludźmi, których sam ci wyznaczyłem. Nie widzę też złotego naszyjnika, który świadczyć by miał, że jesteś moim synem.

Lecz Sanglant miał swą własną broń i wiedział, jak przeprowadzić kontratak. Odsunął się na bok, odsłaniając swą matkę.

Alia stała w smudze sączącego się przez okna światła, które nadało jej włosom kolor brązu, zdającego się misternie wplecionym w jej warkocz grubości nadgarstka. Podwinęła rękawy tuniki Liath, noszonej zawiniętą za pasek, sięgającą jej do ud. Pomijając jednak nawet dziwaczny strój, Alia błyszczała niezwykłością niczym lśniący leopard w stadzie żubrów.

Nie powiedziała nic. Nie musiała.

- Alia! - Henryk wyraźnie pobladł, zbyt długo był jednak królem, by nie wiedzieć, kiedy się wycofać. Jego twarz przybrała wyraz kamiennej maski, mroząc wesołą atmosferę w hallu tak dokładnie, jak mogłoby to uczynić magiczne zaklęcie. W kompletnej ciszy zabczała koza. Nikt nie wydawał się zauważać powiewu wiatru, który poruszał sukniami i płaszczami siedzącej za stołem szlachty - to Jerna krążyła po sali.

Wreszcie Alia przemówiła.

- Wróciłam, Henri - rzekła, wymawiając jego imię na sposób salijski - i nie wierzę, byś troszczył się o swe dziecko tak, jak mi to obiecałeś.

## **Rozdział trzeci** **ZAPINAJĄC PAS**

Nasiona konfliktu zakiełkowały w czasach tak pełnych przeciwności, że łatwo było zapomnieć, iż zostały posiane dawno temu, a nie wyrosły spontanicznie na nieurodzajnym gruncie. Rosvita z Północnego Marku była osobą duchowną i doradcą na dworze od ponad dwudziestu lat. Wiedziała, kiedy odstąpić i pozwolić, by sprawy toczyły się swoim własnym trybem, a kiedy interweniować, nim kryzys przybierze ogromne rozmiary.

Chociaż król Henryk wstał, reszta obecnych siedziała zdumiona. Oczekiwano na rozwój wypadków. Nawet przebiegły Helmut Villam, zajmujący miejsce po lewej stronie królewskiego stołu, wydawał się tknięty niemocą. Siedział z otwartymi ustami, ściskając palcami krawędź kielicha z winem, który dzielił z księżniczką Teophanu.

Rosvita dała znak bratu Fortunatusowi i ten odsunął jej krzesło, aby mogła wstać. Fortunatus natychmiast wykonał rozkaz. Podobnie jak wszyscy obecni w hallu nie mógł oderwać oczu od ojca, matki i ich potomka, rozgrywających swą batalię na forum publicznym. Jednakże Fortunatus nie na darmo był wychowankiem Rosvity. Było wiele uchybień, które potrafiła tolerować u kleryków na służbie, ale z pewnością nie pობłażała niespostrzegawczości.

- Oto kobieta, o której tyle słyszeliśmy! - wymruczał jej do ucha brat Fortunatus. - Boże, chroń nas!

Jego spojrzenie spoczęło na Alii. Nie był jedyną osobą w hallu, która jej się przypatrywała. Rysy twarzy kobiety Aoi były bardzo charakterystyczne lecz nie piękne. Choć jej włosy miały barwę polerowanego brązu, nosiła je zebrane w osobliwy węzeł, co sprawiało, że wyglądała raczej zdumiewająco niż po królewsku. Spojrzenie Alii było srogie i władcze, a nawet bojowe. Nie bała się patrzeć Henrykowi prosto w oczy, jej dumna postawa sugerowała, że uważa siebie za władczynię, a Henryka za poddanego.

- Wróciłam Henri - rzekła, wymawiając jego imię na sposób salijski z niemym "h" i zniekształconym „r” - i nie wierzę, byś troszczył się o swoje dziecko tak, jak mi to obiecałeś.

- Błagam wasza Wysokość - powiedziała Rosvita gładko w pełnej zaskoczenia ciszy, jaka nastąpiła po tak oburzającym oskarżeniu. - Pozwól, by przyniesiono krzesła dla naszych gości. Niech usiądą i posilą się. Zapewne mają za sobą długą podróż. Jedzenie i picie są zawsze pożądanym przez wędrowca widokiem. Pozwól matce księcia Sanglanta zasiąść w moim krześle, a ja będę jej usługiwała.

Henryk patrzył nieruchomym wzrokiem na kobietę, którą kiedyś nazywał „ukochaną” i z którą, jak było powszechnie wiadomo, ożeniłby się, gdyby dano mu na to pozwolenie. Królowa Adelheid wstała z niewzruszoną miną i wskazała Rosvicie miejsce po prawej stronie Helmuta Villama. Nie był to przywilej Adelheid, lecz ona nie była ani głupia, ani łatwo się poddająca.

- Proszę przynieść krzesło dla księcia Sanglanta, niech zasiądzie obok mnie - odezwała się pełnym, czystym głosem. - Niechaj pani, jego matka, będzie uhonorowana. Takie jest jej prawo i nasz obowiązek. To ona dała mężowi dziedzica, który przypieczętował jego prawo do Wendaru i Varre.

Sanglant wystąpił naprzód.

- Mam dziecko.

Jego głos był nieco zachrypnięty, jak gdyby wypowiadając te słowa, czuł ból. Jednakże głos Sanglanta zawsze tak brzmiał. Wiele lat temu podczas bitwy zraniono go w gardło.

Odwiązał tobolek z pleców, odwinął lniane powijaki i chwilę później trzymał w objęciach gaworzącą córkę. Rosvita jeszcze nigdy nie widziała tak słodkiego dziecka. Małeństwo miało pulchne policzki, ciemną cerę i jasne błękitne oczy.

- Ta ta! - powiedziała dźwięcznym dziecięcym głosikiem.

Sanglant postawił córkę na podłodze. Dziewczynka zrobiła kilka chwiejnych kroków w kierunku króla, zachwiała się i usiadła na podłodze. Podniósłszy rękę, wskazała na Henryka i powiedziała z despotyczną wesołością: „Ba! Ba!”.

Ojciec podniósł ją i podszedłszy bliżej, umieścił na rękach Henryka. Król nie opierał się. Wiele dzieci w wieku Blessing przełękłoby się w takiej sytuacji, ale ona złapała w paluszki kawałek królewskiej brody i pociągnęła ją.

- Ba! - zawołała uszczęśliwiona.

- Kuglarze! - powiedział Henryk szorstko. Usiadł i jednym haustem wychylił zawartość pucharu, podczas gdy dziecko wsparło się na jego ramieniu, próbując sięgnąć po złoty diadem, który zdobił czoło władcy. Nie była to królewska korona, zbyt ciężka i oficjalna, by nosić ją podczas przyjęć, ale lżejsza ozdoba - cienka obręcz, zakładana podczas mniej formalnych uroczystości.

Księżę Sanglant uśmiechnął się. Odwrócił się i rzucił srebrną piłkę w kierunku jednego z kuglarzy. Biedny człowiek drgnął zaskoczony, lecz jego ręka wyciągnęła się automatycznie, by złapać piłkę. Hall ożył tak, jakby nastał świt nowego dnia: ludzie poczęli napępniać swe talerze; wesółkowie powrócili do swoich sztuk i przekomarzania się; żołnierze, którzy publicznie i dlatego nieodwoalnie potwierdzili swą

lojalność wobec księcia Sanglanta, wstali, oczekując na swego dowódcę. Sanglant mówił coś cicho do kapitana Fulka. Po słowach tych kapitan dyskretnie porzysłał ludzi, ujął liny, którymi przywiązane były kucyk i koza i, prowadząc zwierzęta za sobą, zniknął z hallu. Sanglant zaś zajął miejsce po lewej stronie Adelheid. Młody kleryk, Heribert, który tak tajemniczo pojawił się w górach Alfar, stanął w pobliżu księcia. To on zajął się usługiwaniem mu, choć uprzednio służył Teophanu. Wyraz twarzy księżniczki był nieodgadniony. Wstała i ucałowała Sanglanta, raz w każdy policzek, a on przyciągnął ją bliżej i szepnął coś na ucho, co niespodziewanie przywołało uśmiech na jej twarzy. Ten pojawił się i zgasł prędko niczym trzepot jaskółczych skrzydeł.

- Idź do księżniczki Teophanu - rzekła półgłosem Rosvita do Fortunatusa. Ten pospieszył stanąć za krzesłem księżniczki, aby znajdowała się obok niej osoba o dostatecznie wysokiej randze, upoważniającej do usługiwania, gdy Heribert zrejterował do jej przyrodniego brata.

Sanglant zwrócił się teraz ku pięknej Adelheid, podczas gdy Henryk trzymał na kolanach kręcące się, żywe dziecko. Od czasu, gdy Sanglant czternaście miesięcy temu odłączył się od królewskiego pochodu, w księciu zaszła jakaś fundamentalna zmiana. Rosvita widziała bitwy staczone na polach walki, widziała też subtelne potyczki na dworze, ale nigdy jeszcze nie oglądała Sanglanta manewrującego na polu polityki. Oczywiście, zanim się ożenił i spłodził dziecko.

Gdzie się podziała Liath?

- Należą ci się podziękowania, kobieto - powiedziała osoba zwana Alią, podchodząc do Rosvity. - Jesteś jedną z bożych kobiet, nieprawdaż?

Rosvite zajęło chwilę, by przetłumaczyć dziwnie brzmiącą frazę.

- Tak, jestem osobą duchowną. Jestem oddaną sługą Boga i króla Henryka. Proszę cię, pani, byś zechciała tu usiąść. Pozwól mi nalać sobie trochę wina.

Ale cudzoziemka stała, przyglądając się Rosvite wzrokiem, który sprawiał, że czuła się niczym robaczek, mający zginąć uderzony ręką opatrznosci. Alia była niższa od Rosvity i mocniej zbudowana. Miała rodzaj energii właściwy żołnierzom w chwili czasowego odpoczynku. Alia nie uśmiechnęła się, lecz wyraz jej twarzy nagle się zmienił.

- Kiedy wstałaś, by okazać należne gościom prawa, mówiłaś w sposób odpowiedni dla starszych - oznajmiła gwałtownie. - Przez ten krótki moment nie było walki między Henrim i Sanglantem.

- Na to liczyłam - odrzekła Rosvita. Baczna obserwacja Alii zaskoczyła ją. Nie wiedziała, czego można oczekiwać po kobiecie Aoi. Wszystkie jej informacje o tym ludzie pochodziły z legend, które pozostały w starożytnych manuskryptach i opowieściach, snutych nocami pośród prostych ludzi. Jak wielu, zaczęła wierzyć, że Aoi to tylko wytwory fantazji ludzi żyjących w Cesarstwie Dariyan. Jednakże trudno było zaprzeczać dowodowi, który widziała na własne oczy.

- Proszę, siadaj. - W momencie takim jak ten mogła pozwolić sobie na delikatne odstępianie od etykiety. - Pozwól sobie nalać wina, pani.

- Tobie - powiedziała Alia, nie czyniąc żadnego kroku w kierunku krzesła - zdradzę moje prawdziwe imię, bo jesteś mądra, by używać go roztropnie. Między moim ludem jestem zwana Uapeani-kazonkansi-a-lari, lecz jeśli jest to zbyt trudne do mówienia, Kansi-a-lari wystarczy.

Rosvita uśmiechnęła się uprzejmie.

- Za twoim pozwoleniem, pani, będę cię nazywać Kansi-a-lari. Czy ten tytuł ci wystarczy?

- Kansi-a-lari jest moim tytułem, jak to nazwałaś. - Powiedziawszy to, Alia usiadła z wdziękiem.

Przyjęcie trwało dalej, choć kulejąc z lekka, niczym wóz jadący po wyboistym gruncie. Kuglarze kontynuowali występy, wprost z kuchni przynoszono platerę pełne wołowiny, dziczyzny i wieprzowiny, no i lało się wino. Petenci napływali falami i byli odsyłani po wydaniu przez króla decyzji, otrzymując monetę bądź okrawek z królewskiej tacy. Poeta, ćwiczony w dworskiej kaplicy salijskiego króla, śpiewał długi poemat, sławiąc cnoty i chwałę wielkiego cesarza, Taillefera, którego potęgą wzniosła się od korony Salii do korony imperium Darre. Ów cesarz był sławiony bardziej niż inni wielcy władcy, gdyż w przeciągu ostatnich stu lat od jego śmierci żaden król nie osiągnął takiej jak on władzy. Nikt prócz Henryka, który poprzez małżeństwo z Adelheid sprzymierzył Wendar i Varre z Aostą wraz z leżącym u jej granic świętym miastem Darre. Oczywiście poemat powstał po to, by chwalić cesarza Taillefera, przypochlebić się jednocześnie żyjącemu królowi Henrykowi, którego ambicja zdobycia tytułu „Świętego Cesarza Dariyan” nie była dla nikogo na dworze sekretem.

*Spójrz! Słońce świeci nie mniej jasno niż cesarz, a jego bezgraniczna miłość wielką mądrość promieniuje na cały świat. Słońce zna dwanaście godzin ciemności, lecz nasz cesarz, niczym gwiazda, błyszczy w nieskończoność.*

Przybycie księcia Sanglanta wraz z jego matką, choć wywarło ogromne wrażenie, zaliczono do jednej z atrakcji uczty. I o ile ich pojawienie się na dworze dało wszystkim okazję do plotek, o tyle poeta wykorzystał to jako motyw swego utworu.

*On wkracza pierwszy, otwierając drogę, którą podążą inni. Z ciężkim łańcuchami, które zwiążą niesprawiedliwość i z ciężkim jarzmem zniewala pychę.*

Poza tym, był to już piąty dzień świętowania i nawet najzaciętsi biesiadnicy mogli być nieco rozdrażnieni po bezsennych godzinach zabaw i obżarstwa. Rosvita zaś odczuwała radość, że może usługiwać przy stole. Woląca to niż bezczynnie siedzenie. Towarzyszyła Alii dyskretnie, aby cudzoziemka nie czuła się zaniepokojona, szpiegowana czy czymkolwiek zagrożona.

*Jest krynicą wdzięku i honoru. Jego osiągnięcia uczyniły go sławnym w czterech stronach świata.*

Aoi nie rozpoczynała z nikim konwersacji. Siedzący po jej prawej stronie młody lord Fridebraht zbyt obawiał się jej dziwnego wyglądu i groźnego spojrzenia, by odezwać się do niej choćby słowem. Nawet stary Villam, który poznał Alię wiele lat temu podczas jej pobytu na dworze i któremu nigdy nie zbywało na ogładzie i odwadze, by schlebiać pięknej kobiecie, zamienił z Alią tylko kilka zdawkowych słów. Wobec braku zainteresowania z jej strony poniechał prób rozmowy. Alia jadła i piła niewiele. W ten oto sposób uczta potoczyła się dalej, bez żadnych ważniejszych incydentów.

Poeta skończył wreszcie swój panegiryk. Wystąpił też kleryk, który przedstawił tłumaczenie *Najpiękniejszych pieśni* - utworów weselnych, zaczerpniętych ze starodawnej świętej księgi.

*Mój ukochany należy do mnie, a ja do niego.  
Pozwól mi być pieczęcią twego serca i ręki.*

Ulubiony Orzeł króla, Hathui, skinęła na Rosvitę.

- Jego Wysokość będzie chciał opuścić hall.

- Co sprawiło, że chce to uczynić? - zapytała Rosvita. Choć Hathui była tylko nisko urodzoną kobietą, miała bystre oko i cieszyła się zaufaniem króla.

- To nagła decyzja. - Hathui roześmiała się z absurdalności swej wypowiedzi. Na kolanach Henryka siedziała teraz Blessing, a on podsuwał jej na łyżeczkę jedzenie o konsystencji owsianki. - Myślę, że król woli rozwiązać problem w zaciszu swych komnat, z dala od tłumu.

Zupełnie jak gdyby postłuszył jej słowa, Sanglant wznosił toast za nowo poślubioną parę. Nawet pomimo faktu, iż ubrany zwyczajnie, miał postawę księcia. Duma malująca się na jego twarzy świadczyła o tym, że oczekuje lojalności i posłuszeństwa tych, którzy są po jego stronie. Wiedział, jak sterować głosem, by być słyszonym pośród rozgadanego tłumu.

- Niechaj na tę parę spadnie wiele błogosławieństw - powiedział. Kiedy okrzyki entuzjazmu przebrzmiały, ciągnął dalej: - Pozwólcie jednak, że powiem wam o pewnym szczególnym błogosławieństwie, które trzyma w tej chwili na rękach nasz władca, a mój ukochany ojciec, król Henryk.

Na dźwięk głosu ojca dziewczynka stanęła na kolanach króla i zagadała:

- Ta! Ta! - Jej głos zwiastował, iż pewnego dnia rozlegnie się na polu bitwy.

Henryk zaśmiał się jak wielu innych. Niektórzy obecni chichotali, inni mruczełi, próbując odgadnąć, co księżę miał na myśli. Dzieci z nieprawego łoża nie były niczym niespotykanym, ale, niestety, nie istniał zwyczaj pokazywania takiego potomka na dworze.

Gdzieś w pobliżu Rosvity irytująco bzyczała mucha. Kiedy zabiła ją jednym pląsnięciem dłoni, Sanglant kontynuował:

- Król Henryk trzyma w ramionach mą córkę, której prawem ojca nadałem imię Blessing\*.

- A ona jest nim rzeczywiście, synu - odrzekł król Henryk. Pominąwszy szok, jakiego doznał po nagłym pojawieniu się Sanglanta i Alii, Henryk poddał się urokowi wnuczki. Albo tak się tylko wydawało.

---

\* Blessing - błogosławieństwo (przyp. tłum.).

Uchodził za wytrawnego polityka, a w tych okolicznościach łatwo było zapomnieć, iż jego gniew, raz podsycony, nie gasł tak szybko. - W twoim położeniu, przy twoich obowiązkach, postąpiłeś mądrze, przybywając tu, by szukać mego wybaczenia. Nie możesz żywić i ubierać swej świty, nosząc zwykły żołnierski strój, bez złotego symbolu władzy na szyi. Z pewnością twoja córka zasługuje na coś więcej niż na tułaczę życie.

Uśmiech Adelheid wyostriął się. Patrzyła na Sanglanta, ciekawa, co odpowie na podobne słowa.

Książę opróżnił kielich jednym haustem i, lekko zarumieniony, rzekł dość ostro:

- Nie proszę o nic dla siebie, Wasza Wysokość. Sądziłem, że wyraziłem to jasno, gdy oddałem pas, otrzymany od ciebie w piętnastym roku życia. Ten, który noszę teraz, zdobyłem dzięki własnemu wysiłkowi. Nie, nie powróciłem na dwór dla własnej korzyści.

Byli jak dwa psy, warczące tuż przed walką.

- Jeśli nie przybyłeś, by prosić o me wybaczenie, po co się tu zjawiałeś?

- Przybywam w imieniu mojej córki, Blessing. Proszę tylko o to, co jej się należy jako prawnej dziedziczce cesarza Taillefera.

Taillefer. Zmarł sto lat temu i wówczas jego linia wygasła. Nie spłodził potomków, którzy odziedziczyliby władzę, zaś jego imperium rozpadło się wkrótce po tym, jak odszedł z tego świata.

Teraz Rosvita rozumiała wszystko, co do tej pory nie było jasne: spojrzenie brzemienną królowej Radegundis, która uciekła do zakonu po śmierci męża, sekret matki Obligatii i zaszyfrowane słowa brata Fidelisa; i wiele innych rzeczy, zdumiewający blask, towarzyszący pojawieniu się Liath, która była czymś znacznie więcej niż tylko posłańcem króla.

„Tak wielu okazało zainteresowanie zwykłemu Orłowi” - rzekł król ponad rok temu, kiedy przyprowadzono Liath przed jego oblicze, by wydał wyrok. Dziecko z linii Taillefera musiało odziedziczyć coś z jego wspaniałości, koronę mocy, właściwą cesarzowi.

Henryk wpatrywał się w syna.

- Czy chcesz powiedzieć, że Orlica, z którą uciekłeś, jest spadkobierczynią Taillefera?

Odpowiedź Sanglanta była skierowana nie tyle do króla, ale raczej do wszystkich zgromadzonych możliwych i służby.

- Kto był świadkiem, iż zawarłem najzupełniej legalny związek z kobietą o imieniu Liathano?

Ze swego miejsca przy drzwiach ruszyło się kilku żołnierzy.

- Ja byłem tego świadkiem - powiedział jeden z nich, potem drugi, trzeci, czwarty. Kiedy przebrzmiały ich gromkie słowa, wystąpił kapitan Fulk. Jego opanowanie było powszechnie znane, a on sam zyskał rozgłos, służąc księżniczce Teophanu w trakcie katastrofalnej wyprawy do Aosty, podczas której wyrwano Adelheid z rąk lorda Jana Żelaznogłowego.

- Ja zaświadczam, Wasza Wysokość - zakrzyknął - że z własnej i nieprzymuszonej woli poślubiłem przed Bogiem, w obecności świadków, kobietę o imieniu Liathano.

- Tak więc nie ma wątpliwości - powiedział triumfalnie Sanglant. - Liathano jest praprawnuczką Taillefera i Radegundis, zrodzoną z legalnego związku. Jest więc legalną dziedziczką, nie bastardem. Dlatego nosi teraz złoty naszyjnik, który i ja miałem kiedyś na szyi. W ten sposób uznałem jej królewskie pochodzenie i prawo do tytułowania się spadkobierczynią Taillefera.

Wypowiadając te słowa, nie patrzył ani na ojca, ani na matkę, lecz na zgromadzony tłum. Część obecnych w sali powstała, chcąc widzieć wszystko lepiej, co sprawiło, że ci, którzy byli z tyłu, weszli na ławy lub nawet na stoły. W powietrzu zawisło napięcie, jakie towarzyszy nadejściu burzy.

Uśmiech królowej Adelheid ustąpił nieruchomemu spojrzeniu, a ona sama przez chwilę wyglądała na wściekłą.

- To nie do wiary - rzekł Henryk. - Taillefer zmarł, nie posiadając syna, który mógłby objąć po nim sukcesję, tak jak to było w zwyczaju w Salii tamtych czasów. Nie miał następców.

- Królowa Radegundis była brzemienna, kiedy Taillefer zmarł.

- Sanglant wskazał na nieszczęsnego poetę, który podjął na ucztę wątek bohaterskich czynów i szlacheckich cech Taillefera.

- Czyż nie tak, poeto?

Biedny artysta mógł tylko przytaknąć, podczas gdy Sanglant przeczytał wersy, które Rosvita widziała kiedyś w cennej księdze *Żywot świętej Radegundis*. Otrzymała ją z rąk brata Fidelisa.

- „Będąca w ciąży Radegundis i jej towarzyszka Clothilda przebrały się za ubogie kobiety. Radegundis wybrała wygnanie zamiast udręki władzy”. Schroniły się w klasztorze w Poiterri. Co stało się z dzieckiem, które nosiła w swym łonie, Wasza Wysokość?

- Nikt nie wie - odpowiedziała w imieniu króla Hathui. - Nikt nie wie, co stało się z dziecią.

- Ja wiem. - Rosvita wystąpiła naprzód. Czy nielojalnością było mówić? Jednakże czy mogła kłamać lub ukrywać prawdę, skoro tak wiele spraw teraz się ważyło? Była winna powiedzieć prawdę ze względu na pamięć brata Fidelisa. - Wiem, jakie były losy dziecka Taillefera i Radegundis, jako że rozmawiałam z nim w godzinie jego śmierci na wzgórzach otaczających klasztor Herford. Nazywano go bratem Fidelisem. Poza jednym rokiem, gdy nie dotrzymał przysięgi ze względu na miłość do młodej kobiety, całe swe życie spędził jako mnich w służbie Boga. Fidelis napisał te oto słowa w *Żywocie świętej Radegundis*: „Świat rozdziela się tym, którzy kiedyś byli jednością”.

Tu przerwała, upewniając się, że każdy obecny rozważy usłyszane słowa.

- „Doprawdy, czy nie należy rzec tego, nim dziecię przyjdzie na świat? Ono wszak i jego matka są jednym ciałem. To, co Bóg łączy poprzez narodziny dziecka, może się rozpaść przez intrygi tego świata”.

Kiedy ucichły pomruki, kontynuowała:

- Rozmawiałam także z niewiastą, którą Fidelis poślubił i która urodziła dziecko poczęte z jego nasienia. Teraz jest starą kobietą, żyjącą w odosobnieniu, bojącą się ludzi, którzy jej szukają. Chcą bowiem wydrzeć jej sekret. Wierzę, że jej historia jest prawdziwa, że przez krótki czas była żoną Fidelisa - syna Taillefera i Radegundis - i że z ich związku narodziła się córka. Jest możliwe, że dziewczynka przeżyła i urodziła dziecko.

- Owszem, żyje - powiedział srogo Sanglant. - Wydała na świat córkę z zalegalizowanego związku z duchownym, którego usunięto z klasztoru, ponieważ studiował nauki matematyczne. To on nadał dziecku imię Liathano. Resztę zanie.

- Gdzie wobec tego jest Liath? - Henryk wskazał na hall, jakby spodziewał się, że dziewczyna wystąpi z tłumem. - Dlaczego powróciłeś na mój dwór, twierdząc rzeczy zdumiewające, lecz bez niej?

Uleciały duma, gniew i pewność siebie. Sanglant zapłakał bezgłośnie. Łzy spłynęły po jego policzkach. Nie otarł ich nawet. Łkanie było prawem mężczyzn, a czasem nawet ich obowiązkiem.

- Umarła czy żywa - nie wiem, co się z nią dzieje - wyszeptał chrapliwie. - Skradziono mi ją. Nie wiem, gdzie teraz przebywa.

## 2

Kiedy Liath pokonywała schody, światło stopniowo słabło. Mimo wszystko jednak swymi oczami salamandry potrafiła widzieć ściany i stopnie. Stary czarownik dotrzymywał jej kroku, mimo że stała o pół stopnia wyżej od niego. Robiło się coraz chłodniej. Od czasu do czasu schody wypełniały szepty przelatujące niczym wiatr w Przepaści.

Schodzili przez dłuższy czas. W pewnym momencie Liath przystanęła, czując wyraźną spoinę ruchomego kamienia. Dotknęła nierównej powierzchni wydrążonego podłoża. W końcu schody zrównały się z ziemią, a oni poszli dalej krótkim tunelem. Nagle korytarz przekształcił się w komnatę. Ściany oświetlone były dzięki małym, znajdującym się wysoko na suficie otworom. Do wnętrza wchodziły przez nie rośliny. Ich ciągnące się wzdłuż sufitu korzenie zwiślały w powietrzu, usiłując znaleźć oparcie w skale. Pod stropem unosiły się pyłki kurzu, kłębiące się w każdym zaciemnionym miejscu.

W gładkiej podłodze wykuto dwa stopnie, prowadzące do owalnego zagłębienia, które było najwyraźniej miejscem spotkań i obrad rady. Jej członkowie mieli na sobie zachwycająco różnorodne, dziwne stroje: koszule z wytłoczonymi kolorowymi wzorami, pióra wpięte we włosy, płaszcze naszywane koralikami oraz opaski na ramiona i łydki, ozdobione kolorowymi kamieniami. Większość z nich nosiła rodzaj opończy, spiętej na jednym ramieniu i spływającej do pół uda. Wszystkie kobiety miały jadeitowy kolczyk umieszczony w nosie. Wszystkie, prócz jednej.

Twarze członków rady wyróżniały się egzotycznymi rysami. Posiadali szerokie kości policzkowe i czerwonawą lub brązową cerę. Nie przypominali Wendarczyków, lecz Liath widziała w każdej twarzy dziedzictwo Sanglanta. Było ich nie więcej niż trzydziestu. Oczekiwali na nią w komnacie wystarczająco dużej, by pomieścić setki ludzi, jednakże w jakiś sposób sala wydawała się zatłoczona, jakby cienie tych, którzy byli tu w przeszłości i tych, którzy dopiero się pojawiają, wypełniały pustą przestrzeń.

Panowała cisza.

Liath stała, mając nad głową skrzydła orła - jego wizerunek wryto na kamiennym sklepieniu tunelu. Każdy obecny w komnacie człowiek bacznie się jej przyglądał. Jednakże kiedy porównała ich wrogi lub surowy wzrok z trującym spojrzeniem Hugona, uznała, że nie ma co popadać w nadmiernie przerażenie.



Przeszła przez ogień i przetrwała.

Najstarszy Wuj stanął za nią, kaszlnąwszy delikatnie.

W centrum owalnego wgłębienia, na krześle w kształcie orła wyrzeźbionego z kamienia, siedziała kobieta w zaawansowanej ciąży. Nie miała kolczyka w nosie. Włosy zwinęła w węzeł. Za nią znajdowało się złote koło, które jednakże z powodu braku wiatru w podziemiach nie obracało się. Szmaragdowe kamienie zdobiące koło połyskiwały swoim własnym blaskiem. Płaszcz z Piór podniosła rękę, przywołując Liath.

- Jestem tutaj - odparła, następnie zeszła dwa stopnie niżej i stanęła na równi z innymi. Podniosła rękę, by pokazać, że nic w nich nie ma. - Przybyłam nieuzbrojona, tak jak nakazuje wasz zwyczaj. Towarzyszy mi Najstarszy Wuj, przez co chcę pokazać, że nie mam zamiaru wyrządzić krzywdy waszemu ludowi. W moim kraju nazywają mnie Liathano. W tej chwili poszukuję wiedzy.

To poruszyło zgromadzonych.

- Wyrzucie ją! - krzyknęła Białe Pióro, która odwiedziła Najstarszego Wuja w twierdzy. - Jak śmie w tym miejscu wypowiadać imię naszego najdawniejszego wroga? - Charakterystyczny pęk piór wpiętych w jej włosy zatrzęsł się. Jej słowa wywołały burzę komentarzy. Chór nieskładnych głosów zalał Liath do tego stopnia, że nie mogła rozróżnić, z czyich ust padają poszczególne słowa.

- To zdrada! Zabić ją od razu!

- Nie, niech mówi!

- Nie możemy ufać żadnemu dziecku rasy ludzkiej.

- Nas jest niewiele, a ich wielu. Jeśli wykażemy teraz wyrozumiałość, niechybnie wszyscy zginiemy.

- Chciałabym wiedzieć, co planował Najstarszy Wuj, przyprowadzając ją tutaj bez zgody rady. Kobieta rasy ludzkiej jest dla nas niczym, a jej imię niesie ze sobą zło. To Najstarszy Wuj powinien odpowiadać przed radą.

Jeden z czarowników wystąpił wojowniczo naprzód. Nietrudno go było zauważyć, bo był wyjątkowo przystojnym mężczyzną, ubranym tylko w przepaskę na biodra oraz sięgającą do bioder opończę i przystrojonym w nic więcej niż drewnianą maskę w kształcie kota, zsuniętą na tył jego krótko obciętych włosów. Miał potężny baryton.

- Mówię to do was, bracia i siostry: niechaj jej krew będzie pierwszą, którą przelejemy. Niech tak się stanie, a wspomnienie tych, którzy nas zniszczyli, wzmocni nas w walce o przywrócenie tego, co pierwotnie było nasze.

- Cisza! - Natychmiast zrobiło się cicho. Płaszcz z Piór nie wstała ze swego kamiennego siedzenia. Jej ogromny brzuch spoczywał na skrzyżowanych nogach, częściowo ukrytych za głową wyrzeźbionego orła. Opończa była zrobiona z piór ptaków, co nadawało kobiecie wygląd pół człowieka, pół ptaka. Pod jej koszulą rysowały się nabrzmiałe piersi ciężarnej kobiety. Liath poczuła tak nagły przypływ zazdrości, że musiała zamrugać, by powstrzymać łzy.

Gdzie była teraz jej Blessing? Czy płakała za matką?

Płaszcz z Piór położyła rękę na brzuchu.

- Pamiętajcie, że to dziecko będzie pierwszym poczętym na ziemi po naszym wygnaniu. Czy ma się urodzić po to, by znało tylko wojnę, czy również pokój?

- Wzięłaś do serca radę Niecierpliwej! - warknął Maska Kota. - Odrzuciła lojalność wobec własnego ludu i poszła między ludzi! Wiesz, co tam robiła!

- Wciąż jesteś zły, że wyrzuciła twą włócznię za drzwi! - zawołał inny młody mężczyzna, zaśmiawszy się po tych słowach mało uprzejmie. Nosił maskę w kształcie głowy jaszczurki. - Jesteś z niej bardzo dumny i drażni cię, że innemu mężczyźnie - nie pierwszemu z brzegu, lecz mężczyźnie z rodu ludzkiego - mogłaby pozwolić wnieść jego włócznię do domu!

Te słowa wywołały kpiące śmieszki pomiędzy niektórymi oraz szczęk, jaki wydają rogi nacierających na siebie baranów. Dwaj Aoi zostali rozdzieleni dzięki starszemu mężczyźnie, który stanął pomiędzy nimi.

Ubrany znacznie mniej ekstrawagancko niż inni obecni, z piersią okrytą uszytą na wzór kobiecy tuniką, robił niezwykle wrażenie dzięki naszyjnikowi ze zwierzęcych szczęk i kolczykom przypominającym czaszki, zawisającym z obu uszu.

- Niecierpliwa wybrała negocjacje zamiast wojny. - Położywszy palec na klatce piersiowej każdego z walczących, odepchnął ich z taką łatwością, jakby byli dziećmi.

- Nie możemy negocjować z ludźmi - sprzeciwiła się Białe Pióro.

- Co więc mamy zrobić? - zapytała starsza kobieta o zwodniczo słodkim głosem. - Jest nas coraz mniej. Jak wiele mamy dzieci i ilu z nas może płodzić i wydawać je na świat? Kiedyś nasze plemiona zasiedlały

miasta, teraz walczymy o przetrwanie, żyjąc pośród wzgórz, mając do dyspozycji obumierające pola. Licząc bardzo optymistycznie, kiedyś było nas dziesięć razy więcej. Kiedy znowu pojawimy się na ziemi, będziemy słabi. Musimy szukać dróg przystosowania się.

Maska Kota zaśmiał się, zdegustowany.

- Przystosowanie się jest dla głupców! Mamy dość siły, by pokonać ludzi, nawet jeśli nas jest niewiele, a ich dużo.

- To samo mówi Niecierpliwa - odrzekła starsza kobieta. Na policzku miała bliznę, być może stanowiącą pozostałość po ranie odniesionej w bitwie. Jej krótka tunika sięgała pasa. Poniżej nosiła podartą spódnicę, często reperowaną, z naszytymi rzędami zielonych paciorków. U pasa miała niewielką białą maskę wyobrażającą czaszki. - Proszę cię, Ta-Co-Siedzisz-Na-Krześle-Orła, pozwól kobiecie z rodu ludzkiego wystąpić i przemówić. Ja wysłucham tego, co ma do powiedzenia.

- Chodź tutaj - powiedziała Płaszcz z Piór.

Liath ruszyła z pewną dozą ostrożności. Członkowie rady przesuwali się wraz z nią, tak aby nie stać zbyt blisko ani zbyt daleko, lecz móc widzieć jej twarz.

- Stań przede mną. - Płaszcz z Piór wyglądała na poważną, ale nie nastawioną wrogo. W tych warunkach Liath uznała, że bezpieczniej będzie jej posłuchać. - Bliżej. Tutaj. - Zamknawszy oczy, Płaszcz z Piór położyła rękę na jej biodrze. Dotyk był sondujący, lecz nie natrętny. Nawet poprzez tunikę Liath czuła gładkość jej ręki.

I nagle zapadła w trans, którego uczył ją Najstarszy Wuj. Bez ostrzeżenia wśliznęła się do miejsca, w którym architektura bytowania rozplywa się w obraz. W pustce wirowały drobinki kurzu, tworzące perfekcyjny porządek, ramę egzystencji, która - złożona z osobnych części - składała się na osobę Liath. Niewidoczna dla oka, była czymś zupełnie innym niż sama Liath. W jej umyśle wspomnienie miasta rozkwitło w wizję. Miasto znajdowało się na wzgórzu, nad jeziorem, a jego dusza płonęła błękitnobiałym płomieniem, który spalał góry.

Płaszcz z Piór odsunęła się na bok, łapiąc oddech. Otworzyła oczy.

- Ona nie jest tym, czym się wydaje! Drzemie w niej więcej niż jedna istota. - Jej wzrok przeniósł się z Liath na Najstarszego Wuja. - Jest w niej i coś z ciebie, Najstarszy Wuju. Jak to możliwe?

Wzruszył ramionami.

- Tak często odmawiasz odpowiedzi! - Jednakże mars na twarzy Płaszcza z Piór był raczej wyrazem rezygnacji niż irytacji. Biorąc pod uwagę zaawansowanie jej ciąży, Liath łatwo mogła sobie wyobrazić, że kobieta Aoi musi być bardzo zmęczona. Płaszcz z Piór znowu zwróciła się do Liath.

- Zatem, Ty-Która-Masz-Więcej-Niż-Jedną-Istotę, po co przybyłaś?

Liath wskazała na puste ręce.

- Nie taję żadnych sekretów. Przybyłam, by dowiedzieć się, kim jestem.

- Kim jesteś?

- W moim kraju jestem znana jako dziecko matematyków, czarowników, którzy wiążą i tkają światło gwiazd.

Nic, nawet reakcja na jej imię, nie mogło przygotować Liath na tumult, który powstał po tych słowach.

- Dziecko tego, który nas wygnał!

- Spadkobierczyni shana-ret'zeri, niech będą przeklęci.

- Zabić ją!

- Cisz! - ryknęła Płaszcz z Piór. Przez chwilę wydawało się, że urosła i jakby przybyło jej orlich piór. Wydawało się, iż może się przekształcić w stworzenie, potrafiące wypełnić całą komnatę i pochłonąć tych, którzy jej się przeciwstawiają.

Niczym opadające skrzydła ptaka, zapadła cisza. Liath mrugnęła. W następnej chwili Płaszcz z Piór wydawała się tylko zwykłą ciężarną kobietą ze zmarszczkami zmęczenia biegnącymi wokół jej ust i dowódczym głosem.

- Co powiesz na te oskarżenia?

- Prawdę rzekłszy, nie znam historii twego ludu, pani. Obecnie nikt spośród ludzi jej nie zna. Nasze legendy mówią, że wasz król żył niegdyś na ziemi, lecz musieliście ją opuścić ze względu na wojnę z ludźmi. Mówi się, że odeszliście, by zgromadzić moc, a teraz, kiedy powróciliście, potraficie pokonać ludzi i uczynić ich swymi niewolnikami. - Prędkimi gestami wskazała, że to jeszcze nie koniec jej słów, lecz Maska Kota, jako jedyny, był gotów rzucić jej te słowa w twarz niczym włócznię. - Tak mówią opowieści i legendy mego ludu. Nie wiem, ile prawdy zawierają. To stało się tak dawno, że nikt nie zna całej prawdy.

- Lecz nie dla nas! - zawołał Maska Kota. - My wciąż czujemy gorzkość dawnych wydarzeń!

- Pozwólcie jej mówić - krzyknął Maska Jaszczurki. Był zdyszany i sapał. Jego ciemną skórę przecinały białe szramy, przypominające linie oznaczające fazy księżyca. Nagle Liath pojęła, dlaczego obecni tu mężczyźni przypominają jej Sanglanta - żaden nie miał brody.

- Jak to możliwe, że nikt nie pamięta tego, co się zdarzyło? - zapytała Zielona Spódnica. - Moje ciotki i matka przetrwały kataklizm, a ja potrafię wyrecytować ich historie z taką samą łatwością, z jaką łapię oddech. Jak można zapomnieć coś takiego? Prowadziliśmy wojnę z shana-ret'zeri i ich ludzkimi sprzymierzeńcami przez całe wieki. To nie mogło tak po prostu ulecieć z pamięci ludzi.

Reszta zamruczała na znak zgody.

- Nie - odrzekła Liath. - Tutaj czas płynie inaczej niż w waszym świecie. Na ziemi upłynęło więcej czasu niż u was. Zgodnie z obliczeniami, jakie znam, wasze plemię nie pokazało się na ziemi od dwóch tysięcy siedmiuset lat. To ponad sto pokoleń, mierząc długością życia ludzi. To, co pozostało z czasu waszych wojen z ludźmi, to tylko opowieści i legendy, które nie mają dla nas większego sensu, podobnie jak resztki starożytnych budowli. One zaś nie umieją mówić.

- Sto pokoleń! - Nawet wroga Białe Pióro była zdumiona tym faktem. - Matka mojej matki zmarła w czasie Rozłączenia. Ja znam historię od mej ciotki i brata mej matki. Tylko tyle czasu upłynęło w naszym świecie.

- Tak więc proszę was, opowiedzcie mi waszą historię - powiedziała Liath. - Powiedzcie, co stało się w tamte dni i jak dotarliście tutaj.

- Baccie, co jej mówicie - wymruczał Kolczyk z Czaszką.

- Czy to nie ty doradzałeś szukanie ugody z ludźmi? - zapytał złośliwe Maska Kota.

- Ugoda, lecz nie poddanie się! Dlatego właśnie niektórzy z nas zgodzili się z Niecierpliwą, gdy objaśniła nam swój plan. Jeśli opowiemy tej oto kobiecie o naszych planach i jeśli zostanie to użyte przeciwko nam...

- Ja teraz mówię. - Słowa Płaszcz z Piór jak zwykle uciszyły wszystkich. - W jaki sposób prawda ma nam zaszkodzić? Mogę jedynie opowiedzieć o uczynkach, o których mnie z kolei opowiedziała ciotka. Nosila spódnicę ze skóry węża i tańczyła przed ołtarzem Tej-Która-Nigdy-Nie-Będzie-Miała-Męża. Samotna pośród nas wszystkich. Pamiętasz to, Najstarszy Wuju. Byłeś tego świadkiem. Może teraz opowiesz nam całą historię raz jeszcze.

Najstarszy Wuj odparł niechętnie:

- Nie ma w niej nic, co pragnąłbym pamiętać. - Zerknął na Liath. - Jednakże jeśli zapomnimy o wszystkim, będzie to gorsze niż prawda.

Członkowie rady, nawet ci, którzy wykazywali najbardziej wrogą postawę, cofnęli się z szacunkiem. Ponad sztandarem, zawieszonym na pękatej kamiennej kolumnie (Liath nie dostrzegła go, gdyż był zasłonięty przez stojących członków rady), znajdowała się rzeźba podobna do orła. Siedziała na niej Płaszcz z Piór. Rzeźba miała kształt olbrzymiego kota, naznaczonego liniami, przypominającymi cętki. Albo może były to pęknięcia na kamiennej płycie. Jego głowa, ogon i łapy wyłaniały się z kamienia w taki sposób, jak gdyby przedstawiono go na moment przed całkowitym oderwaniem się od kamiennej bryły. Najstarszy Wuj wdrapał się na to siedzisko, i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

Kiedy wszyscy spoczęli i zamilkli, zaczął mówić.

- „Hu-ah. Hu-ah. Niechaj me słowa zadowolą Tą-Która-Tworzy. W tamtym czasie nazywaliśmy siebie Tymi-Którzy-Rozumieją. Nasz lud zamieszkiwał miejsce zwane Złoto-Jest-Wszędzie. Byliśmy dziećmi Czwartego Słońca, które zrodziło się po tym, jak woda zalała ziemię i zniszczyła Trzecie Słońce. W miejscu nazywanym Złoto-Jest-Wszędzie budowaliśmy miasta i składaliśmy ofiary bogom. Lecz Ten-Który-Spala poczuł gniew na naszych ludzi. Posłał swoich synów, a oni spalili nasze miasta. Po tym wydarzeniu nie było już pokoju między plemionami.

Trzyście klanów zbudowało łódzie i wyruszyło na zachód poprzez wielką wodę. Nim zobaczyli ląd, księżyc trzyście razy pokazał swą twarz. Na nowej ziemi zastali kozy i białych ludzi, którzy jednak bardziej przypominali psy.

- To nie jest dobra kraina - rzekł Ten-Który-Liczy. Rada posłuchała go i opuściła to miejsce.

Po długiej tułaczce trzyście klanów dotarło nad środkowe morze. Tutaj też żyli ludzie, lecz zachowywali się normalnie, nie jak bestie. Rada zebrała się, zaś Ten-Który-Liczy orzekł: »To miejsce jest lepsze od poprzedniego«.

Znaleźli więc schronienie i zbudowali miasta w miejscu zwanym Obfitość-Jest-Naszą-Jeśli-Bogowie-Nie-Zmieniają-Zdania. Na tej ziemi klany ostatecznie osiadły i założyły swe domy. Nie zapomniano o ofiarach, dzięki czemu deszcze spadały w odpowiednim czasie i w odpowiednim momencie świeciło słońce. Na świat przychodziło dużo dzieci. W tej krainie ludzie zaczęli nazywać się Tymi-Którzy-

Zapoczątkowali-Nowy-Dom.

Niektóre z istot o jasnej skórze, które nazywały siebie ludźmi, przybyły do nas, mieniając się naszymi przyjaciółmi. Inni pochodzili z południa i mieli skórę ciemną niczym węgiel, inni zaś ze wschodu. Ich skóra miała kolor gliny. Niektórzy spośród ludzi stowarzyszili się z naszym ludem i zaczęli malować na swej skórze znaki naszych klanów. W ten sposób stawali się ich członkami, a ich krew mieszała się z naszą.

Przeminęło wiele Długich Lat. Kobiety odpowiedzialne za liczenie lat wchodziły na szczyty świątyń i liczyły wschody i zachody gwiazd. Pod koniec każdego okresu czterech Długich Lat, kiedy następował Wielki Rok, wspinały się na Wzgórze Gwiazdy i patrzyły, czy Sześć-Kobiet-Żyjących-W-Górze-Rzeki przeszło już zenit. W ten sposób kobiety wiedziały, że niebiosa wciąż są w ruchu i że nie zbliża się koniec świata.

Hu-ah. Hu-ah. Niechaj Ta-Która-Tworzy pozwoli mi kontynuować tę historię.

Czas czterech omenów nastął w roku 1-Góry. W porze Suchego Światła ludzie ujrzeli coś zdumiewającego. Na niebie pojawiła się kolumna płomieni. Niczym z wielkiej rany spływał z niej na ziemię ogień, kropla po kropli. Ludzie krzyczeli ze zdumienia i strachu i, tak jak to było w zwyczaju, uderzali dłońmi w usta. Pytali liczące kobiety, co to może oznaczać, one zaś odpowiedziały, że gwiazdy zwiastują wielki kataklizm i powstanie Piątego Słońca, pod promieniami którego będzie cierpieć cały świat. Tego roku złożono bogom wiele ofiar.

W roku 12-Nieba przez poranne niebo przepłynął ogień niczym rzeka. Jego płomień podzielił się na trzy części, które stały się wiatrem. Jeden z wiatrów poleciał nad Wzgórze Gwiazd i zniszczył Dom Władzy. Dwa inne chłostały Złote Jezioro, aż woda w nim zawrzała. Połowa domów w mieście zatonała w falach gorącej wody. Potem woda cofnęła się na swe miejsce.

W roku 9-Nieba trąba powietrzna uniosła się aż ku niebu. Poprzez wycie wiatru przedarł się krzyk kobiety: »Jesteśmy zgubieni! Pozwólcie nam opuścić miasto!«, po czym niebo wchłonęło wiatr, a kobieta pozostała nietknięta i często słychać było jej zawodzenie w środku nocy.

Ta-Która-Siedzi-Na-Orlim-Krześle posłała najzdolniejszych proroków i czarowników, by sprawdzili, co się dzieje, lecz gdziekolwiek by się udali, ich sąsiedzi-ludzie przyjmowali ich kamieniami i włóczniami, okrucieństwem i batalią. Pragnący pokoju poszli między ludzi, lecz zostali zabici.

Nadchodzili shana-ret'zari, sprzymierzeni z ludźmi. Nawet ci, których przyjęliśmy do swoich klanów, obrócili się przeciw nam. Wrogość między naszymi ludami wzrastała. W ten sposób dobiegł końca rok 2-Nieba, a liczące lata kobiety obwieściły początek roku 1-Nieba. Trzyście razy przeszła pełna miara Wielkich Lat, co oznaczało, że Długie Liczenie zatoczyło pełne koło. To był czas największego niebezpieczeństwa, ponieważ pod koniec każdego takiego okresu bogowie zyskiwali moc zniszczenia słońca.

Zdarzyło się tak, że w dwusetnym dniu roku 1-Nieba dwóch rybaków złapało w jeziorze czaplę. Ptak był wspaniały, ale i dziwny. Nikt nie potrafiłby go opisać, toteż zabrali go, by pokazać Tej-Która-Siedzi-Na-Orlim-Krześle. Ona zaś była właśnie w Hallu Nocy, na wieczornej uczcie.

Na głowie ptaka umieszczono koronę z gwiazd. Ta-Która-Siedzi-Na-Orlim-Krześle rzekła: »Wewnątrz korony widzę lustro, a ono pokazuje mi niebiosa i nocne niebo. Widzę w nim także gwiazdy, które zwiemy Sześć-Kobiet-Żyjących-W-Górze-Rzeki, które płoną«. Po tych słowach zasępiła się, ponieważ wizja była nie tylko zdumiewająca, ale była także jej zdaniem złym omenem.

Po raz drugi zajrzała w lustro. Ujrzała czarowników rasy ludzkiej, stojących wewnątrz kamiennych pętli i tkających zaklęcie silniejsze niż jakiegokolwiek znane na ziemi. Prorocy i liczące kobiety naszego ludu zrozumieli intencje shana-ret'zari i ich sprzymierzeńców.

Zbyt późno odkryliśmy niebezpieczeństwo. Nasi wrogowie już utkali sieć, w którą chcieli nas złapać".

Nagle stary czarownik poczuł, że nie może kontynuować opowieści. Osunął się tak jak słońce znikające za horyzontem, tracąc moc, a jego ciało opadło na skrzyżowane nogi. Był bliski utraty przytomności.

- Nie będę mówił o cierpieniu - wyszeptał, a jego głos mimo słabości wypełnił całą komnatę - ani o tych, których straciliśmy. Dzięki zaklęciu utkanemu przez czarowników ludzkiej rasy i ich sprzymierzeńców nasza kraina oddzieliła się od ziemi. Na wygnaniu pokutowaliśmy. Nasza ziemia umiera wraz ze wszystkimi roślinami. My słabniemy. Jeśli pozostaniemy na wygnaniu na zawsze, wymrzemy.

Wyprostował się. Ogień gniewu znowu błysnął w jego oczach. Posiadał w sobie upór człowieka, który widział rzeczy gorsze niż śmierć, lecz miał zamiar przetrwać swoich wrogów. Popatrzył na Liath.

- To, co zrodzone na ziemi, musi do niej powrócić. Tego nie pojęli nasi wrogowie. Sądzili, że pozbyli się nas na zawsze, podczas gdy tylko wygnali nas na jakiś czas.

- Jak to możliwe? - spytała Liath. - Jeśli wyrzucili was z ziemi, to wasi czarownicy muszą przyłączyć na powrót do niej waszą krainę.

- Podaj mi swój pas.

Liath odpięła pas i ruszyła naprzód. Tunika opadła jej aż do łydek. Członkowie rady zachowywali całkowitą ciszę, czy to ze względu na szacunek dla Najstarszego Wuja, czy to ze względu na żal po tym, co utracone. Liath nie wiedziała.

Czarownik pochwyił pas za klamrę, tak że jeden jego koniec zwisał nad podłogą. Ująwszy go w rękę, przyłożył go do klamry.

- Oto koło. - Wskazał palcem na pas. - Gdybym mógł chodzić po jego powierzchni, gdzie bym dotarł? - Pozwolił, by Liath powiodła palcem od klamry poprzez zewnętrzną warstwę pasa i z powrotem natrafiła na zapięcie.

- Potraktuj klamrę tego pasa jako ziemię. Kiedy czarownicy ludzkiej rasy utkali swe zakłęcie, mieli zamiar wyrzucić nas i naszą krainę do innego miejsca, więc... - Przesunął palcem od klamry do jej wewnętrznej strony. - Teraz mieszkamy w dwóch różnych światach. Nawet jeśli będę chodził po tej stronie pasa, nie trafię na ziemię. Spróbuj. - Liath przesunęła palcem po spodniej stronie pasa i choć była ona tak blisko jego zewnętrznej strony i przebiegała pod klamrą, która reprezentowała ziemię, palec Liath nie trafił na zapięcie. Dwie strony nie miały ze sobą połączenia.

Czarownik pozwolił, by koniec pasa znowu zwisał luźno. Trzymał tylko klamrę.

- Wydaje się jednak, że ludzie przegapili cechę tkwiącą w naturze wszechświata. - Wziąwszy do ręki koniec pasa, złożył go w połowie i przewlekł przez klamrę. - Teraz, jak widzisz, spacerując po jego powierzchni, obejdziesz go raz i będę krążyć pod spodem klamry. Pozostanę na tej samej powierzchni i jeszcze raz obchodząc zapięcie, dotrę do niego ponownie.

- Ach - szepnęła Liath, zafascynowana. Pociągnęła palcem po skórzanej powierzchni bez odrywania od niej palca i za drugim razem natrafiła na klamrę, od której zaczynała swój eksperyment. - Nigdy o tym nie pomyślałam! - wykrzyknęła, zdumiona i zaintrygowana. - Wszechświat się zagina.

- Jak widzisz - potwierdził Najstarszy Wuj. - Choć nasz świat został niejako wyrzucony z ziemi, zapięcie we wszechświecie prowadzi nas do miejsca, z którego wystartowaliśmy.

Wstał niepewnie, jakby bolały go kolana. Wyciągnąwszy rękę, wskazał na radę.

- Na ziemi miara dni i lat jest inna niż tutaj. Wkrótce nadejdzie pełna miara Wielkich Lat. Nastąpi to po raz trzynasty na ziemi. Punkt końcowy stanie się początkowym i powrócimy do domu.

Maska Kota chciał coś powiedzieć, lecz wzrok Najstarszego Wuja sprawił, że słowa zamarły mu na wargach. Płaszcz z Piór ocieźzała powstała ze swego siedziska. Nikt nie poruszył się, by jej pomóc, a gdy chciała to zrobić Liath, powstrzymał ją Kolczyki z Czaszki. Starszy mężczyzna podniósł rękę na znak, że nie wolno jej pomagać ciężarnej kobiecie, zasiadającej na Orlim Krześle.

Dyszząc z lekka, Płaszcz z Piór przystanęła i zlustrowała radę. Gdy wstała, jej brzuch wydawał się tak wielki, iż dziwnym było, że nie pękł.

- Dotrzemy do domu - zgodziła się. - Jednakże tam czekają na nas niebezpieczeństwa. Dotrzemy do domu, choć czarownicy na ziemi znowu tkają wielkie zakłęcie na wzór pierwszego. Po raz kolejny będą mogli nas odrzucić w eter, a tego nie przetrwamy ani my, ani nasz świat.

Liath poczuła, jak ból ścisną jej brzuch. Zebrała się w sobie, krzywiąc się nieznacznie i odruchowo, lecz nieprzyjemne uczucie zniknęło tak nagle, jak się pojawiło - było tylko wspomnieniem bólów porodowych, które poczuła w dniu, gdy matka opowiedziała jej historię o Wielkim Rozłączeniu i obawa przed Aoi powróciła.

„Tylko ty możesz ich zatrzymać”, powiedziała Anna.

Czy tata o tym wiedział? Czy to przeznaczenie, że starał się ukryć ją przed służeniem Annie za narzędzie? Ból uderzył znowu, lecz tym razem to była złość. Tata wcale jej nie pomógł, kryjąc przed nią prawdę. Uczynił ją tylko trudniejszą do przyjęcia. Ignorancja nie obchodziła Liath, lecz czyniła ją słabą i pełną lęku.

- Używanie magii w ten sposób to zachowanie godne potwora - powiedziała wreszcie, ważąc słowa, świadoma złości gotującej się w jej brzuchu. - Ale słyszałam opowieści mego ludu o czasie zwanym Wielkim Rozłączeniem, kiedy Aoi...

- Nie nazywaj nas tak! - wrzasnął Maska Kota. - Jeśli przychodzisz, jak twierdzisz, w pokoju, dlaczego nas obrażasz?

- Nie miałam zamiaru was obrażać! - odparła, urażona. - Takim mianem nazywają was moi ludzie.

- Nie wiesz, co ono oznacza? - zapytała Zielona Spódnica.

- Nie.

Maska Kota splunął.

- Przekłęci.

- Jak więc nazywacie samych siebie?

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Płaszcz z Piór uniosła rękę, prosząc o ciszę.

- W najdawniejszych czasach zwaliśmy się Ci-Którzy-Rozumieją. Kiedy nasi przodkowie opuścili naszą pierwotną siedzibę i przebyli morze, zaczęliśmy mówić o sobie jako o Tych-Którzy-Zapoczątkowali-Nowy-Dom. Teraz nazywamy siebie Tymi-Którzy-Są-Na-Wygnaniu, Ashioi, co także oznacza Ci-Którzy-Są-Przekłęci.

- Ashioi - wymamrotała Liath, słysząc słowo, które знаła. - Aoi - część dłuższej nazwy. Czy starożytna wiedza przetrwała tylko w częściach, tak jak to było z tekstami z kompendium, które ojciec zbierał przez lata? Bernard na pewno rozumiał prawdziwy cel Siedmiu Śpiących. Czego szukał w zapiskach i skrawkach wiedzy magicznej? Czy zastanawiał się, jak powstało zakłęcie tak potężne jak Wielkie Rozdzielenie? Musiała to przemyśleć, nim pojmie całą sprawę. - Czy jeśli tak wielka kraina połączy się na powrót z ziemią, nie spowoduje to kataklizmu?

- Być może - odrzekł Najstarszy Wuj. - Jeśli jednak nasza kraina pojawi się blisko ziemi i zostanie na powrót odrzucona przez zakłęcie tkane przez ludzkich czarowników, to także spowoduje ogromną katastrofę. Fale wszechświata nie omijają żadnych obiektów i nawet jeśli ciała nie stykają się ze sobą, to na siebie oddziałują. Jeśli jesteś biegła w sztuce gwiazd, zrozumiesz tę zasadę. Żaden brzeg nie jest wolny od przyływów i odpływów. Innymi słowy, ziemia ucierpi.

Zmierzch zapadł nagle; otwór w suficie pociemniał tak szybko, że wirujące, widoczne w smudze światła drobinki kurzu zniknęły w kładącym się cieniu. Przez chwilę było tak ciemno, że nawet Liath miała problemy z zobaczeniem czegokolwiek. Potem Siedzisko Orła i Siedzisko Jaguara zaczęły się jarzyć blaskiem, oświetlając dwie postacie, które stały w ich tylnej części: Płaszcz z Piór i Najstarszego Wuja. W tym blasku muszelki i koraliki ozdabiające ich opończe i opaski na ramionach zajaśniały nowymi kolorami: szkarłatem, zielenią i błękitem.

Ostatnie słowa Najstarszego Wuja, niczym strzała, były skierowane prosto w jej serce.

- Jedyne wybory, jakie mamy, to albo całkowita zagłada naszego ludu, albo szansa na nowe życie.

W umyśle ujrzała zrujnowane miasto, które kończyło się u brzegów morza tak gwałtownie, jak gdyby nagle zostało przecięte nożem. Nóż - albo zakłęcie, którego potęgą przekraczała wyobraźnię, oszalałając Liath - mógł przeciąć także krainę, tak jak się odcina kawałki mięsa od udźca.

Rozmyślanie nad potęgą zakłęcia rozdzielenia sprawiło, że Liath poczuła ból żołądka i mdłości. Zrobiło jej się gorąco. Krew pulsowała w kończynach, na wargach czuła gorące pieczenie, a wiatr szumiał w jej uszach.

Kto mógłby zginać, a kto przetrwać? Kto miał prawo dokonać wyboru?

W komnacie panowała duchota. Członkowie rady krzyknęli, gdy w sercu Orlego Siedziska pojawił się ogień, który całkowicie pochłonął Płaszcz z Piór. Liath zdumiała jego jasność, jednak już po chwili na tle płomieni pojawiły się cienie.

*Hanna jedzie w asyście zmaltretowanej armii poprzez porośnięte trawą tereny. Wokół są wzgórza i lasy.*

*Hugo siedzi na honorowym miejscu podczas uczyty obok śmiejącego się mężczyzny. Ten człowiek ma na głowie żelazną koronę. Liath bierze głęboki oddech, przerażona widokiem pięknej twarzy Hugona. On wstaje i spogląda w górę, tak jakby ją usłyszał. Odwraca się i mówi coś w skupieniu do kobiety z welonem na głowie, siedzącej po jego prawej ręce.*

*Wilkun idzie z opuszczonymi ramionami w dół ścieżki. Jej usta układają się w jego imię, lecz nagle to on patrzy w górę i mówi głośno: „Liath?”.*

*W komnacie ozdobionej bogatymi gobelinami płoną lampy. Ludzie zgromadzili się wokół króla Henryka - Liath rozpoznaje go od razu - a choć dotyka ją magnetyt, wizja znika, przechodząc w tę, której Liath szuka najgoręcej.*

*Ach, Boże, to Blessing!*

*Dziecko płacze, wyrrywając się z ramion Heriberta, chcąc dostać się do matki.*

*„Ma! Ma!” - płacze.*

*Blessing ją widzi!*

*Blessing! - krzyczy. Potem widzi jego, wylaniającego się z cienia. Być może jej serce pęknie, tak za nim tęskni. „Sanglant!”.*

*Sanglant idzie ku niej. „Liath!”. Ktoś jednak odsuwa go na bok.*

*Zniknęli.*

- Patrzcie! - krzyknął Maska Kota.

Poprzez gasnący blask Liath ujrzała śpiącego mężczyznę. Miał odwróconą głowę. Koło niego, niczym strażnicy, leżały dwa ogary. Zatrząsał się we śnie. Ogień i wizja zniknęły, a płomienie opadły jak zwijane skrzydła, odsłaniając nietkniętą Płaszcz z Piór.

Liath osunęła się na ziemię, drżąc.

- Niechaj to będzie wizja - powiedziała Płaszcz z Piór surowo. - Kto z was widział Niecierpliwą i człowieka, który musi być jej synem i który ma w swoich żyłach krew naszą i krew rasy ludzkiej?

Inni jednak nie widzieli wizji z ognia, a Liath trzęsała się tak gwałtownie, że nie mogła mówić.

- Ona musi odejść - powiedziała Płaszcz z Piór do Najstarszego Wuja. - Nosi imię, będące złym omenem. Jej moc jest zbyt wielka i jak wszyscy ludzie nie zdaje sobie z tego sprawy. Powiedziałam.

- Tak będzie - odrzekł Najstarszy Wuj.

Maska Kota wyskoczył naprzód.

- Niech będzie przelana jej krew, by wzmocnić naszą siłę!

Wszyscy obecni zaczęli się kłócić, podczas gdy Liath podniosła się na nogi.

- Czy to nazywacie sprawiedliwością?! - krzyknęła.

- Cisza - rzekła Płaszcz z Piór głosem tak delikatnym jak wydechane powietrze. I rzeczywiście cisza zapadła. Na zewnątrz wiał wiatr, sprawiając, że korzenie na suficie zaczęły się poruszać i splątywać. - Ma stąd odejść nietknięta. Nie zaryzykuję przelania jej krwi, gdy jesteśmy jeszcze tak słabi.

- Nim jednak odejdzie, chciałbym, by przeszła przez sfery - powiedział Najstarszy Wuj takim głosem, jak gdyby chciał ofiarować honorowemu gościowi ostatni kubek piwa, nim ten odejdzie.

Białe Pióro zasyczała. Kolczyki z Czaszki ostro zaprotestował, poparty przez innych. Tylko Maska Kota się śmiał.

Płaszcz z Piór przyjrzała się Liath zimno. Miała oczy ciemne jak obsydian i spojrzenie ostre jak nóż.

- Nieliczni mogą przemierzać sfery. Nikt nie powraca ze ścieżki niezmienny.

- Widziałem - rzekł Najstarszy Wuj - że jeśli mamy przeżyć, musimy pomóc jej odkryć, kim jest.

Blask emitowany przez Orle Siedzisko przygasał, aż wreszcie był już tylko delikatnym światełkiem. Wraz z ciemnością nadciągnęły zapachy - suchej ziemi, kwaśnego potu oraz słaby zapach wody. Liath poczuła na języku ostry smak imbiru. Ogarnęło ją zmęczenie, a serce krwawiło z tęsknoty za Blessing i Sanglantem. Jej pancerz odrętwienia został zerwany, odsłaniając gołą skórę.

- Nie pozwól jej tu więcej powrócić - rzekła Płaszcz z Piór - lecz jeśli wejdzie na ścieżkę prowadzącą ku sferom, nie będę się wtrącała. Kiedy upłynie jeden dzień i jedna noc, pošlę Maskę Kota i jego wojowników, by jej szukali. Jeśli ją odnajdą w naszej krainie, będą mogli ją zabić. Rzekłam.

- Niech tak będzie - wymruczał Najstarszy Wuj, a reszta członków rady mu zawtórowała. Maska Kota wyszczerzył zęby w uśmiechu.

## **Rozdział czwarty NIEROZWAŻNY OSĄD**

### **1**

- Jest zupełnie inna, niż ją zapamiętałem.

Król Henryk stał z wnuczką w ramionach w oknie królewskiej komnaty. Towarzyszyli mu tylko Rosvita, Hathui, czterech służących, sześciu strażników i Helmut Villam. Księżniczka Teophanu i jej cztery dwórki znajdowały się w sąsiednim pomieszczeniu, grając w szachy, wyszywając i dyskutując o traktacie *O męskich cnotach*, napisanym przez świętego Sotherisa. Traktat został właśnie przetłumaczony z oryginalnego aretuzjańskiego na język dariyan przez zakonnice z konwentu Korvei. Głosy dwórek rozbrzmiewały wesołością, najwidoczniej panny dalekie były od zgryzot.

Królowa Adelheid zajęła się Alią i Sanglantem, prowadząc ich do królewskich ogrodów i prezentując grządki róż, rozmaite zioła i ptaszarnię, z której sływał pałac w Angenheim. Stojąc obok Henryka, z

palcami zaciśniętymi na parapecie, Rosvita ujrzała między różami jasną suknię Adelheid. Następnie zobaczyła klęczącego przy ziołach Sanglanta, dotykającego palcami płatków żywokostu. Nieopodal niego klęczał brat Heribert. Rozprawiali o czymś. Widać było dwie zbliżone do siebie głowy ludzi pogrążonych w serdecznej rozmowie. Różnica między tymi dwoma nie mogła być wyraźniejsza: Sanglant był masywny i witalny, jak przystało na mężczyznę przyzwyczajonego do zbroi, jazdy konnej i życia na świeżym powietrzu, podczas gdy ubrany w mnisie szaty Heribert był delikatnej postury i miał wąskie ramiona. Jednakże jego ręce nosiły ślady pracy fizycznej. W jaki sposób się spotkali? O czym wiedział Heribert? Jakimi informacjami nie podzielił się z królem?

- Jest zupełnie inna, niż ją zapamiętałem. - Twarz Henryka przybrała zamyślony wyraz. - Jakby ten czas był tylko snem, który ułożyłem we własnej głowie. - Blessing zasnęła na jego ramieniu.

- Bo był jak sen - zauważyła Rosvita. - Młodość łatwo ulega złudzeniom. Jesteśmy gotowi budować pałace, które nie istnieją.

- Byłem bardzo młody - zgodził się Henryk. - Prawdę rzekłszy, siostrzo, to jest niepokojące. Próbuje przywołać moje zauroczenie, ale kiedy na nią patrzę, zaczynam się obawiać, że popełniłem błąd.

Leciutki wietrzyk poruszył liśćmi ziół rosnących na grządce, obok której przystanął Sanglant. Książę śmiał się, Heribert zaś podskoczył. Świeże powietrze i spotkanie z Heribertem przywróciły księciu pogodę ducha, jednakże nawet i teraz zerkał w stronę okna, gdzie stał jego ojciec. Czy ich słyszał? Stali chyba jednak zbyt daleko, by mógł ich podsłuchiwać.

- Czy to był błąd, Wasza Wysokość? - Rosvita skinęła głową w stronę księcia.

- Nie, oczywiście, że nie. Jestem tylko nieco zdziwiony, że pamięć nie służy mi tak dobrze, jak ty mi służysz. - Henryk uśmiechnął się, wykazując zrećnością panującego, który wie, kiedy trzeba pochwalić swych doradców. Mimo wszystko Rosvita wyczuła w jego słowach napięcie.

- Byłeś bardzo młody, Wasza Wysokość. Bóg zapewnia nam przywilej zmieniania się i dorastania, jeśli tylko z tego korzystamy. Jesteś teraz mądrzejszym człowiekiem niż w młodości, tak to widzę.

Znow się uśmiechnął, tym razem z widoczną przyjemnością. Dziecko poruszyło się, budząc. Ziewnęło i wyraźnie powiedziało: „Ta!”. Po tej jednoznacznej wypowiedzi mała zmarszczyła czoło na widok Henryka. Miała mądrą, małą, uroczą buzię i cały arsenał min.

- Ba! - wrzasnęła. Najwidoczniej potrafiła przemawiać tylko rozkazującym tonem.

- Miesiące jej życia nie zostały policzone prawidłowo - powiedział Henryk. - Aby na kobietę przyszedł jej czas, musi minąć dziewięć miesięcy. Nawet jeśli urodziłaby wcześniej, żadne dziecko nie przeżyje, jeśli nie było noszone w łonie matki przez przynajmniej siedem miesięcy. Sanglant i Orzeł opuścili nas czternaście miesięcy temu, podczas gdy ta mała ma około roku lub nawet nieco ponad rok. Ale przypomina swą matkę, o ile ją dobrze pamiętam.

- Nie wątp w swoją pamięć w tym względzie, panie. Ja też sądzę, że mała przypomina w jakiś sposób swą matkę. Popatrz na jej błękitne oczy. Ale Wasza Wysokość ma rację. Nawet jeśli urodziłaby się wcześniej, teraz powinna mieć około siedmiu miesięcy.

- Chodź. - Henryk poprowadził dziecko do ogrodu, kierując się ku Sanglantowi. Kiedy tylko wyszli z pałacu, uwagę małej pochłonęły jesienne liście i późne kwiaty. Rosvita patrzyła, jak władca poddaje się jej królewskim rozkazom: za każdym razem, gdy Blessing wskazywała na coś, co ją zainteresowało, Henryk posłusznie niósł ją w to miejsce, a potem w kolejne, stawiając na ziemi, gdy chciała dotknąć jakiegoś kwiatka, odsuwając jej paluszki od ostrych cierni, nie pozwalając jej zjeść dębowego liścia, który przylepił się do ściany, czy wreszcie podnosząc do góry, by pokazać jej stado przelatujących gęsi.

Henryk zachowywał się, jakby rzucono na niego urok.

Sanglant wędrował po ogrodzie przy ścianach budynku. Tutaj rozmawiał z Heribertem o sekretnych sprawach. Jaką intrygę przygotowywał? Czy jednak Sanglant kiedykolwiek snuł jakieś intrygi? Zawsze był jednym z najbardziej prostolinijnych ludzi.

Na razie nie zrobił żadnego kroku, by wtrącać się w zawładnięcie ojcem: Blessing realizowała swoje życzenia bez przeszkód. Królowa Adelheid udała się do ptaszarni. Rosvita podziwiała młodą panią: albo chciała pozyskać w Alii sojusznika, albo miała zamiar uśpić wszelkie podejrzenia, przygotowując plan pozbycia się rywalki. Trudno powiedzieć, co zamierzała. Nawet po kilku miesiącach dzielenia z nią trudnych doświadczeń Rosvita nie знаła Adelheid na tyle, by stwierdzić, co było bardziej prawdopodobne.

Kiedy jednak Rosvita obserwowała Henryka niańczącego dziecko, jej serce wzbierało trwożą.

Zmierzch sprawił, że wszyscy wrócili do pałacu. Adelheid i jej świta nadeszli z ptaszarni, Sanglant i Heribert z ogrodu. Tylko Alia pozostała w tyle, wdychając zapach ostatnich róż. Nikt jej nie przeszkadzał. Jak nakazywał zwyczaj, uczta miała trwać do nocy, lecz ani Henryk, ani nikt z jego



bliskiego otoczenia nie miał zamiaru wracać do hallu. Zbyt wiele było niedopowiedzeń.

Blessing powędrowała do ojca. Zaczęła wrzeszczeć z głodu. Pomiędzy opiekunami rozgorzała dyskusja, czym żywić dziecko pozbawione matki - mlekiem kozim czy może jednak krowim? Sanglant jeszcze chwilę pozostał z nią w ogrodzie.

Rosvita podeszła do okna. Zmierzch przyniósł powiew chłodnego wiatru, od którego aż się zatrzęsła. Sanglant unikał swej matki i usiadł poza zasięgiem jej wzroku, przy mocno oddalonym drzewie orzecha włoskiego.

Obok Rosvity stanęła Adelheid. Czuć od niej było zapach ptaszarni oraz woń wody różanej, której zazwyczaj używała. Miała piękną, pełną ekspresji twarz. Królową cechował dynamizm, silniejszy od wszystkiego, co ją otaczało. Cecha ta była tak widoczna jak księżyc wznoszący się w mroku ponad ścianami budynku i koronami drzew.

- Zachowałeś się z wielkim taktem, Wasza Wysokość - powiedziała Rosvita.

- Czy tak? Czy myślisz, że jestem zazdrosna o uczucie, które kiedyś do niej żywił? To było wiele lat temu. Ona wygląda co prawda młodo jak na swój wiek, ale dopóki nie wytłumaczy celu swego przybycia tutaj, nie jest dla mnie oczywistym, że posiada coś, czego on pożąda lub pragnie. - W głosie młodej królowej słychać było zgrzyt, znamionujący narastającą wewnętrzną złość.

- A ty posiadasz?

- Posiadałam - odrzekła gorzko Adelheid. - Jak sama wiesz, siostrze Rosvito. To przecież ty przybyłaś wraz z mą kuzynką Teophanu szukać mnie w Vennaci. Czy nie widziałaś dzisiaj, że Henryk trzymał na rękach potomka wielkiego cesarza Taillefera? Jeśli to prawda, czego może potrzebować Henryk od królowej z mojego rodu?

- Cóż to za wątpliwości, Wasza Wysokość? Prawa twojej rodziny do tronu Aosty są niepodważalne.

Adelheid uśmiechnęła się nieco ironicznie.

- To prawda, że żadna rodzina szlachecka w Aoście nie ma większego niż my prawa do tronu. Oczywiście skoposa pomoże mi w razie potrzeby, jest wszak moją ciotką. Jednakże w jaki sposób mój ród pomógł mi po śmierci mej matki i mego pierwszego męża, Boże, ulituj się nad nimi? Kto ze szlachetnie urodzonych mężów Aosty przybył mi z pomocą, gdy mnie obleżono? Mój lud mnie opuścił, zwiedziony obietnicami lorda Jana. Zostałabym jego więźniem lub żoną z przymusu, gdybyście ty i księżniczka Teophanu nie przybyły mi z pomocą. Co by się stało, gdyby nie przyjęła nas Matka Obligatia, nie zważając na kłopoty, jakie sprowadziło to na nią i na jej zakon? Co by było, gdybyś nie pozwoliła ojcu Hugonowi użyć magii w celu umożliwienia nam ucieczki?

- Co masz na myśli?

- Kiedyś nie miałam rywali. Teraz mam.

- Henryk ma dzieci z prawego łoża, to prawda.

- Żadne z nich nie może się tytułować potomkiem cesarza Taillefera. Co więcej, Henryk faworyzuje Sanglanta, siostrze Rosvito. Gdyby podejmował decyzję rok temu, Henryk wydałby mnie za Sanglanta.

Ponieważ była to prawda, Rosvita nie widziała powodu, by nie potaknąć.

- Jeśli taki był jego plan, Henryk musiał liczyć na to, że poślubiając mnie, Sanglant zostanie królem Aosty. Zrozumiałe, że tylko władca na tyle silny, by utrzymać się na tronie Aosty, mógłby tytułować się Cesarzem Dariyan. Henryk miał nadzieję, że Sanglant będzie nosił taki tytuł. Tak zakładam.

- Henryk nigdy nie ukrywał swych ambicji. Ma nadzieję na zdobycie tego tytułu dla siebie.

- Oczywiście, teraz ma wszelkie prawa być ukoronowany na władcę Aosty, ponieważ jest moim mężem. Jednakże Żelaznogłowy wciąż włada Darre. Czy nie widzisz, na jakiej jestem pozycji?

Rosvita westchnęła. Adelheid była młoda, lecz w żadnym razie nie naiwna. Jednak Rosvita nie mogła pozwolić sobie na jakiegokolwiek słowo, które byłoby nielojalnością wobec Henryka.

- Jesteś skłopotana, Wasza Wysokość - powiedziała, grając na zwłokę i mając nadzieję, że Adelheid nie pociągnie tematu. Ale jednej cechy młodości Adelheid nie umiała opanować - porywczosci.

- Wyobraźmy sobie, że dziecko Sanglanta jest rzeczywiście prawdziwym spadkobiercą Taillefera, jego wnuczką po dwóch pokoleniach usuniętych z areny dziejów. Dzięki mnie Henryk zyska koronę Aosty. Lecz jej prawo do tronu Aosty i do Korony Gwiazd, którą nosił Taillefer jako Cesarz Świętego Imperium, jest daleko większe niż wszystko, co mogę zaoferować ja.

Rosvita rozejrzała się po pokoju. Przy drzwiach stało dwóch znudzonych służących. Na pobielonych ścianach wisiały gobeliny przedstawiające żywot świętej Tekli: doświadczenie Ekstazy; debata przed cesarzową; napisanie jednego z jej najsłynniejszych listów apostołskich do rozsianych społeczności; przyjęcie roli skoposy - świątobliwej matki Kościoła; wreszcie stacje jej męczeństwa.

Henryk wraz z Villamem przebywali w sąsiedniej komnacie, przyglądając się grze w szachy. Hathui

pozostawała w pobliżu niczym sokół na uwięzi. Villam oparł się ręką o krzesło, zajmowane przez jedną z faworytek Teophanu, krzepką Leobę. Nawet pomimo pewnego już wieku nieobce jej były flirty. W chwili obecnej nie miała męża i choć miała już swoje lata, wciąż była doskonałą partią. Leoba pozwoliła mu wykonać za siebie ruch na szachownicy, Wieża za Orła.

Szachy sprawiły, że Rosvita powróciła do gry, która toczyła się tu i teraz.

- Czyżby Wasza Wysokość nie wierzyła, że na podstawie tak jeszcze nikłych poszlak o pochodzeniu dziecka król Henryk nie zechce jej oddalić?

Adelheid zarumieniała się wdzięcznie.

- Nie, siostrze. Nie myśl, że jestem egoistyczna. Nie boję się o siebie. Henryk podoba mi się i sądzę, że ja podobam się jemu. Henryk uchodzi za pobożnego i posłusznego woli Kościoła. Nie złamię danego słowa, zwłaszcza teraz, kiedy złożył przysięgę. Lecz jeśli Bóg zechce i ześle nam błogosławieństwo, będziemy mieli wspólne dzieci. Co się z nimi stanie?

Zarysowała się linia konfliktu.

- Jak mogę odpowiedzieć na to pytanie, Wasza Wysokość? Co najwyżej mogę mieć nadzieję, że król posłucha mego głosu i rady. Nie mogę mówić w jego imieniu.

- Uratowałaś moje życie i mój tron, siostrze. Ufam, że zrobisz to, co rozsądne, a nie to, co stosowne. Wiem, że służysz uczciwie i dbasz tylko o powodzenie swego pana, a nie o własne korzyści. Dlatego proszę cię, rozważ wszystko dokładnie, nim porozmawiasz z królem. Pomyśl o mojej pozycji i pozycji moich przyszłych dzieci, bardzo proszę. - Adelheid uśmiechnęła się słodko i ruszyła ku drzwiom, gdzie natknęła się na Alię. Skinęła na służbę, by podano Aoi puchar z winem.

- Czy to była usilna prośba, czy ostrzeżenie?

Rosvita podskoczyła, zadrasnawszy palec o drewniany parapet.

- Przestraszyłeś mnie, bracie. Nie widziałam, jak wszedłeś.

- Królowa też mnie nie zauważyła - rzekł Fortunatus. - Ale spostrzeżenia Adelheid są trafne. Henryk ma już dorosłe dzieci, które będą rywalami dla jej potomstwa. Lecz Adelheid głównie obawia się Sanglanta.

Rosvita położyła ręce na parapecie, po czym skrzywiła się, czując ból w palcu.

- Weszła ci drzazga - powiedział Fortunatus, biorąc jej rękę w swoją. Miał delikatną dłoń, nawykłą do kaligrafii.

Podczas gdy Fortunatus wyjmował drzazgę, Rosvita szepnęła:

- Sądzisz, że obawia się Sanglanta?

- A ty byś się nie obawiała? - rzekł przyjacielsko Fortunatus. - O, i tu ją mamy! - Wyrzucił wydobytą drzazgę i uwolnił dłoń Rosvity. Szybko wyssała ranę, podczas gdy Fortunatus kontynuował swoje rozważania: - Jest walecznym rycerzem. Wszyscy to przyznają. Wrócił w dobrym zdrowiu z żołnierzami, którzy przed nim klękają, choć tylko Bóg jeden wie, kiedy poprzysięgli wierność komuś, kto nic nie posiada.

- Nic poza dzieckiem.

- Nic poza nim - zgodził się Fortunatus. Trudy podróży poprzez góry do Aosty i późniejsza ucieczka z rąk Żelaznogłowego sprawiły, że brat znacznie zeszcupiał. Utrata wagi wyostrzyła jego bystre oczy i mądre usta, sprawiając, że wyglądał bardziej surowo niż sympatycznie, podczas gdy w rzeczywistości Fortunatus wolał inteligencję i humor od sztywnych przemów. Dopiero w przeciągu kilku ostatnich tygodni przemarszu mógł wreszcie jeść do syta. Lubił to zresztą. Przytył, z czym było mu do twarzy.

- Chcę powiedzieć, że posiadając tylko dziecko, jest tym bardziej niebezpieczny. Sanglant jest człowiekiem, który nie chce nic dla siebie.

- Chciał kobiety - młodej Orlicy, którą wybrał pomimo woli ojca.

- Proszę Boga o wybaczenie za te słowa, ale pożądał jej silniej niż pies suki podczas rui.

- To prawda - to nie małżeństwo go zmieniło, ale dziecko. Masz rację mówiąc, że nie pragnie niczego dla siebie, dla swego awansu. Ale to, czego pragnie dla dziecka, to już inna sprawa.

- Sądzisz, że mogłoby dojść do walki pomiędzy nim a Adelheid?

Rosvita skrzywiła się. Patrzyła za okno, na opadające liście. Wiatr potrząsał gałęziami orzecha włoskiego, pod którym ulokował się Sanglant z Blessing, choć inne drzewa stały nieporuszone. Książę nagle wstał. Stojący obok Heribert chciał potrzymać małą. Sanglant podał mu ją z pewną niechęcią, co było widać po jego usztywnionych ramionach. Jak każde śpiące dziecko, Blessing była całkowicie bezwładna. Książę i brat zakonny stali pod ruszającymi się gałęziami, rozmawiając. Blessing spała spokojnie. Wreszcie Sanglant spojrział w górę. Zdawał się coś mówić ku niebiosom. I z pewnością przez zbieg okoliczności wiatr przestał szarpać gałęziami orzecha.

- Co więcej potrafi książę Sanglant poza wojowaniem? Czy Henryk nie walczył przeciw swej własnej

siostrze? Dlaczego mielibyśmy spodziewać się czegoś innego w następnym pokoleniu?

- Chyba że właściwe rady i mądre głowy zwyciężą - powiedział Fortunatus.

Głosy w sąsiedniej komnacie podniosły się, jakby osoby tam przebywające miały zamiar przenieść się do komnaty, w której stali Rosvita i Fortunatus. Rosvita odeszła od okna dokładnie w chwili, gdy pojawiła się Hathui.

- Król prosi, byś mu towarzyszyła, siostrze Rosvito - powiedziała Hathui.

- Pomówię z tobą na osobności - rzekła do Henryka Alia, rozglądając się po komnacie.

Henryk wykonał nieznaczny gest w kierunku dworzan, szlachetnie urodzonych i towarzyszącej mu służby. Była to grupka licząca nie więcej niż dwadzieścia pięć osób.

- Moi drodzy doradcy, margrabia Villam i siostra Rosvita mają moje całkowite zaufanie i są dopuszczani do wszystkich prywatnych rozmów. - Nieśpiesznie wyciągnął rękę, przywołując Adelheid. Królowa podeszła doń z rumieńcem na policzkach i miłym uśmiechem, który jednak szybko stłumiła. - Królowa Adelheid i księżniczka Teophanu oczywiście pozostaną ze mną.

Rozejrzał się po komnacie. Jego wzrok spoczął na Hathui. Nie wymagała prezentacji ani szukania usprawiedliwień dla jej obecności; stała po prostu spokojnie o kilka kroków za nim, jak zawsze. Pozostali cofnęli się pod ściany, próbując pozostać niezauważonymi. Henryk nie zwracał na nich uwagi.

- Jeśli Sanglant chce posłuchać tego, co masz do powiedzenia, z pewnością zaraz do nas dołączy.

- Zmieniłeś się, Henri - powiedziała Alia bez urazy w głosie, po prostu stwierdziła oczywisty fakt. - Kiedyś myślałam, że za jakiś czas takim właśnie się staniesz. Nie żałuję, że wybrałam akurat ciebie zamiast innego mężczyzny.

Henryk zachwiał się niczym pod wpływem ciosu. Mała, lecz silna dłoń Adelheid spoczęła na jego ręku.

- Co masz na myśli? Wybrałaś akurat mnie zamiast innego mężczyzny? Jakiego mężczyzny?

Wyglądała na zdziwioną jego wybuchem.

- Czy nie jest to zwyczajem praktykowanym przez rasę ludzką, by dokonywać aliansów ze względu na czyjeś pochodzenie, płodność i stan posiadania? Czyż ty teraz tak nie postępujesz, Henri? - Wskazała na Adelheid. - Kiedy po raz pierwszy powróciłam na ziemię, wiele lat temu, szukałam mężczyzny, którego imię jest znane nawet memu ludowi. To człowiek, którego zwiecie cesarzem Tailleferem. Jednakże w tym czasie on już nie żył i nie pozostawił żyjących potomków. Nie mogłam połączyć się z kimś, kto umarł. Musiałam szukać wśród żyjących. Wędrowałam długo, poszukując odpowiedniego. Spośród wszystkich książąt ten z rodu Wendarczyków wydał mi się najpotężniejszy. To twój ród był najwłaściwszym.

Henryk miał wypieki na policzkach, które znamionowały wściekłość. Jednak jego głos nie zdradził cienia irytacji, czającej się w jego przymrużonych oczach.

- Wydaje się, że źle rozumiałem nasz związek. Sądziłem, że był oparty na wspólnym zafascynowaniu. Przysięgałaś, że narodzone dziecko było spłodzone przez nas obydwoje i że przypieczętuje ono moje prawo do objęcia rządów po mym ojcu. Czy mam rozumieć, że miałaś co innego w zamyśle? Czyżbyś szukała mnie - podobnie jak każdego innego księcia krwi - i wybrała spośród innych z uwagi na potęgę królestwa, którym miałem kiedyś władać?

- Czy jest inaczej pośród ludzi, gdy zawierają związki? - Alia była szczerze zdumiona. - Gdy chodzi o ważne przedsięwzięcia, czy nie podpisujecie umów i nie nawiązujecie sojuszy, które przyniosą wam największą korzyść?

Henryk zaśmiał się ostro.

- Czy miałaś na myśli jakieś przedsięwzięcie, Alia, kiedy pojawiłaś się na drodze mego życia w Darre? Jak dobrze pamiętam tamtą noc!

Alia wskazała na ogród, ciemny teraz, obłany tylko światłem księżyca i gwiazd. Służący zapalili w komnacie wszystkie światła. Wyobrażenia świętej Tekli na gobelinach połyskiwały w złocistym świetle; w koronę świętej wpleciono srebrne nitki, zaś światło lamp sprawiało, że korona lśniła niczym księżyc.

- Jakiż inny plan mogłam mieć niż spłodzenie dziecka? Czy co do tego nie byliśmy zgodni?

- To prawda, to był także i mój zamiar. Wiedziałem, dlaczego pragnę dziedzica, nawet jeśli chęć ta ustępowała fascynacji tobą. Ale nigdy nie zrozumiałem, dlaczego ty pragnęłaś potomka - łatwo przyszło ci opuścić nas obu. Po co pragnęłaś dziecka, skoro zostawiłaś go, gdy był jeszcze niemowlęciem?

Alia stanęła w pełnym świetle emitowanym przez świeczniki o kształcie głów smoka, wiszące na hakach tuż pod sufitem i oświetlające środek komnaty. Pominąwszy tunikę, którą nosiła, Alia wyglądała obco, cudzoziemsko i dziko. Nie przypominała nikogo z rasy ludzkiej.

- Dzięki naszemu potomkowi moja i twoja rasa staną się jednym.

- Staną się jednym?

- Jeśli będzie choć jedno istnienie, w żyłach którego płynie moja i twoja krew, jest nadzieja na pokój.

Stojący obok Rosvity Fortunatus otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ona zacisnęła rękę na jego nadgarstku, dając sygnał, by milczał. Tymczasem wszyscy obecni zaczęli szeptać pomiędzy sobą, powtarzając słowa Alii.

W jaki sposób jej lud mógł szukać pokoju, jeśli nie żył na ziemi albo może w ogóle już wymarł? Jediną przedstawicielką słynnej rasy była Alia, która pojawiła się dwadzieścia pięć lat temu, a potem nagle zniknęła, by ponownie wrócić, wyglądając niemal tak samo jak dawniej.

Minione lata nie pozostały natomiast obojętne dla Henryka. Z ponurym triumfem odsłonił część swego odzienia w rdzawym kolorze. Alia cofnęła się z wyrazem twarzy pełnym bólu, jak gdyby widok blizny fizycznie ją zranił.

- Myśl o tej ranie była wciąż w moim sercu. Traktowałem ją jako pamiątkę miłości, którą do ciebie czułem! - W tych słowach Rosvita rozpoznała młodego Henryka, który doszedłszy do władzy, nie zawsze wiedział, co z nią zrobić. Na chwilę zniknął dojrzały, nigdy nie tracący opanowania, władca.

- Nigdy mnie nie kochałaś, prawda?

- Nie. - Jego wybuch zrobił na niej ogromne wrażenie. - Złożyłam przysięgę wobec rady mego ludu, że poświęcę się, rodząc dziecko, zrodzone z naszej i waszej krwi.

Chyba dopiero teraz Henryk zdał sobie sprawę z tego, co usłyszał i przybrał wyraz twarzy godny władcy.

- W jakim celu to zrobiłaś?

- Dla ustanowienia przymierza. Dziecko zrodzone z potomków dwóch różnych ras może żyć pośród obu ludów. Mamy nadzieję, że dziecko będzie pomostem między nami i wami. Spodziewaliśmy się, że nie obdarzycie nas zaufaniem. Dlatego pozostawiłam Sanglanta tobie, tak byście i ty, i twoi poddani go pokochali. Sądziłam, że odziedziczy po tobie tron, jak to jest w zwyczaju panującym pomiędzy ludźmi. Dzięki temu nasz cel zostałby osiągnięty. Teraz wróciłam i znalazłam go na wygnaniu. Dlaczego nie traktowałeś syna tak, jak mi obiecałeś?

- Wychowywałem go jak królewskie dziecko! - krzyknął Henryk z oburzeniem. - Nikt nie traktował syna lepiej niż ja! A przecież był bastarden. Jego narodziny dały mi prawo do korony, ale jemu nie gwarantowały nic oprócz bycia dowódcą w czasie wojny. Zrobiłem wszystko, co w mej mocy, Alia. Uczyniłbym go królem, nawet jeśli wszyscy byliby temu przeciwni. Ale on odrzucił tę możliwość z powodu tej kobiety! - Na wspomnienie nieposłuszeństwa syna Henryk wpadł we wściekłość.

Z ogrodu nadszedł Sanglant. Służba rozstała się, robiąc mu przejście. Księżę stanął spokojnie pomiędzy królem i swą matką. Natychmiast uwidoczniło się spore podobieństwo do rodziców: Sanglant miał czoło, podbródek i wzrost ojca, wydatne kości policzkowe swej matki, jej cerę oraz szerokie ramiona. Cechy dwóch ras zlały się w jednym ciele. Księżę nie miał jednak nieczłowieczej postury Aoi i jej zimnej, hardej natury. Jego mowa i gestykulacja zostały odziedziczone po ojcu.

- Liath jest praprawnuczką cesarza Taillefera. - Sanglant nie krzychał, lecz podniósł głos tak, by słyszano go w całej komnacie. - Teraz lud mego ojca, lud mej matki i ród cesarza Taillefera połączył się w jednej osobie. Mam na myśli moją córkę Blessing. - Wskazał na brata Heriberta, który stał za nim, trzymając dziewczynkę na rękach. - Czyż nie tak?

Henryk podniósł nieznacznie rękę i jego Orlica wystąpiła do przodu.

- Jaki masz dowód na to, że to dziecko jest potomkiem rodu Taillefera? - zapytała Hathui.

- Czy oskarżasz mnie o kłamstwo? - zapytał spokojnie Sanglant.

- Nie, Wasza Wysokość - odrzekła uprzejmie Hathui. - Ale możesz się mylić. Siostra Rosvita wierzy, że zaginionemu synowi Taillefera urodziła się córka. Każda kobieta może twierdzić, że jest wnuczką Taillefera.

- Kto mówiłby coś takiego? - pokręcił niecierpliwie głową. - Taki argument niewiele znaczy. Jeśli to jest wasz dowód, ja mogę przedstawić dowód, który raz na zawsze upewni wszystkich o pochodzeniu Blessing.

- Synu... - Jak dziwnie zabrzmiał głos Alii wypowiadającej te słowa. Sprawily one, że Sanglant poczuł się raczej obcym niż ukochanym potomkiem. - Jest prawdą, iż przekraczając po raz pierwszy przejście do tej krainy, pragnęłam mieć dziecko z potomkami Taillefera. Ale tak się nie mogło stać. Zrobiłeś to więc ty. - Wzruszyła ramionami, tak jakby chciała podkreślić, że bogowie wykonali swój plan bez porozumienia z nią. - Niechaj więc tak będzie. Przyjmuję wolę Tej-Która-Tworzy. Jeśli ludzie żądają dowodu na potwierdzenie prawdy, niech go otrzymają. Dowód ten jednak się nie przyda, jeśli wszyscy zginiecie z powodu wielkiego kataklizmu, który na was spadnie.

Większa część świty wciąż wpatrywała się w Blessing, wierzącą się na rękach Heriberta i ziewającą

potężnie. Na jej twarzy malowała się senność i po chwili dziecko zasnęło.

Henryk trawił słowa Aoi.

- Jaki kataklizm? - zapytał wreszcie.

- Znasz starożytną przepowiednię świątobliwej kobiety, nieprawdaż? Czy nie mówi ona o wielkiej katastrofie?

Rosvita przemówiła spontanicznie, cytując słowa proroctwa:

- „Przyjdzie na was wielki kataklizm, taki, jakiego nie znaliście nigdy wcześniej. Wody zawrzą, a niebiosy zapłaczą krwią, rzeki zaleją góry, a wiatr będzie jak trąba powietrzna. Góry staną się morzami, a morza górami, a dzieci będą krzyczały z przerażenia, bo nie będzie ziemi, na której można by postawić stopę. I nazwą ten czas Wielkim Rozłączeniem”.

- Czy starasz się grozić mojemu królestwu? - zapytał uprzejmie Henryk.

- W żadnym razie - odrzekła Alia z błyskiem gniewu w oczach. - Twój lud wygnali mój lud wiele lat temu, a teraz moja rasa powraca. Zakłęcie tkane przez twoich czarowników odbije się na was po trzykroć. Kataklizm, jaki kiedyś nawiedził ziemię, jest niczym przy tym, co spotka ziemię za pięć lat, kiedy to, co zostało odrzucone daleko, wróci do punktu początkowego.

- Jak strzała, którą Liath posłała w kierunku niebios - rzekł Sanglant łagodnym głosem. Wydawał się mówić do siebie, wspominając rzeczy, które tylko on mógł zrozumieć. - Wystrzelona w niebo, powróciła na ziemię. Każdy głupiec wiedział, że tak było.

- Co mają znaczyć twe słowa? - dopytywał się Henryk. - Co chcesz powiedzieć, stając przede mną, Alia?

Alia wskazała na własną twarz o ciemnej cerze i nieczłowieczych rysach twarzy.

- Niektórzy z mojej rasy wciąż są rozgniewani, bo ciąży na nich wspomnienia o naszym wygnaniu. Po powrocie na ziemię chcą walczyć z ludźmi. Dlatego tu przybyłam. - Postąpiła do przodu i ujęła Sanglanta za łokieć. - To dziecko jest moją propozycją pokoju, Henryku.

Król zaśmiał się.

- Jak miałbym wierzyć jakimś niedorzecznym przepowiedniom? Każda szalona kobieta może bredzić w ten sposób, mówiąc o końcu świata. Jeśli te przepowiednie są prawdziwe, dlaczego nie wie o nich nikt z moich uczonych duchownych? Siostrze Rosvito?

Jego wyciągnięta ręka była niczym przyspilażąca włócznia.

- Nie wiem, Wasza Wysokość - odrzekła, zacinając się. - Widziałam dziwne rzeczy i słyszałam dziwne opowieści. Ale nie mam żadnej pewności.

- Czy chcesz powiedzieć, siostrze Rosvito, że wierzysz tym opowieściom o kataklizmie? Że legendarni Aoi zostali wygnani?

- Przypominam sobie malowidła na ścianie klasztoru świętej Ekatariny. Czy nie pamiętasz ich, Wasza Wysokość?

- Widziałam tylko jedno malowidło świętej Ekatariny. W kaplicy, w której się modliłyśmy - odrzekła Teophanu z pogardą. - Przedstawiało świętą w koronie chwały.

- Ja wierzę tej opowieści - rzekł Sanglant - i są dwaj inni ludzie, którzy podzielają tę wiarę. Biskupina Tallia, córka cesarza Taillefera, poświęciła życie przygotowaniom do tego, co ma nastąpić.

- Została potępiona przez Kościół Rady Narvone - zauważyła Teophanu.

- Nie bądź uparta, Teo - odrzekł Sanglant. - Czy kiedykolwiek cię okłamałem? - Teophanu połknęła haczyk, jednak szybko się spostrzegła i przybrała na twarz maskę obojętności, podczas gdy Sanglant kontynuował: - Biskupina Tallia dała wskazówki kobiecie, która wychowywała wnuczkę Taillefera i kształciła ją na matematyka. Wnuczka Taillefera urodziła Liath, a ta stara się teraz wygnać Zagubionych i zniszczyć ich.

Henryk rozłożył ręce.

- Jak to się stało, że wnuczka Taillefera nie ujawniła się książętom znamienitych królestw? Dlaczego żyła w zapomnieniu, a do nas nie dotarły nawet plotki o jej istnieniu?

- Jest matematykiem - zauważył Sanglant. - Kościół potępia czarnoksiężstwo takie jak matematyka. Jak mogłaby się ujawnić, skoro natychmiast zostałaby osądzona? - Skinął głową w stronę Teophanu.

- Gdzie jest teraz ta kobieta? - pytał dalej Henryk nieubłaganie. - Gdzie jest twoja żona, Sanglancie?

- Ach, Boże! - rzekł Sanglant. - Opowiedzieć wszystko!

- Jak mogę uwierzyć w tę całą historię, skoro nie słyszałem jej w całości? - zapytał rozsądnie Henryk. - Wina! - Skinął ręką, a służący przyniósł dwa krzesła, jedno dla Sanglanta, drugie dla Adelheid. - Będę słuchał cierpliwie, niezależnie jak długo będzie trwała twoja opowieść, synu. To wszystko, co mogę obiecać.

Tej nocy nie było już uczyty, choć służący przynosili smakołyki z kuchni. Zjadano je, podczas gdy Sanglant zacinając się nieco, opowiadał swą historię, od czasu do czasu uzupełniając ją o jakiś pominięty fragment. Był bardziej zmęczony niż zły, niecierpliwym w sposób charakterystyczny dla ludzi przyzwyczajonych do tego, że słucha się ich komend. Do komnaty wpadł wiatr i zakłócił lampami. Na ścianach i na gobelinach kładły się cienie, drżące niczym huśtające się na wodzie łódki.

Panująca wokół cisza i tańczące cienie sprawiały, że opowieść Sanglanta brzmiała trochę jak baśń. Kobieta o imieniu Anna zaczęła Liath w Werlidze, twierdząc, że jest jej matką. On i Liath podążyli wtedy za nią. Podróżowali przez rozmaite krainy, w towarzystwie nieposiadających fizycznych ciał służących, do miejsca zwanego Verną, znajdującego się w sercu gór Alfar. Tam też Liath studiowała nauki humanistyczne i matematykę.

- Potępione czarnoksiężstwo - zauważył Henryk.

- To jej dziedzictwo - odparł Sanglant. - Nie wyobrażacie sobie, jaką ma moc. - Tu urwał, patrząc po twarzach obecnych. Henryk najwyraźniej nie zapomniał i nie wybaczył Liath, że skradła mu syna.

- Rada Autun, której przewodniczyła moja siostra Konstancja, ekskomunikowała Liathano, pierwotnie Orła w mej służbie, a potem wyjęła ją spod prawa za praktykowanie czarnoksiężstwa - powiedział Henryk swoim najcichszym, a przez to i najgroźniejszym głosem. - O ile wiem, rzuciła na ciebie urok i przysłała cię do mnie z opowieścią o zaginionej prawnuczce cesarza Taillefera, tak by nakłonić mnie do nadania jej córce przywilejów, których to dziecko w rzeczywistości mieć nie może - mówiąc te słowa, król nie patrzył na Blessing.

- A co ze mną? - zapytała Alia, uważnie wsłuchująca się w rozmowę. - Nie jestem sojusznikiem tej Liathano, nie znam jej, nawet jej nie spotkałam. Nie jestem też sprzymierzeńcem tych kobiet, które są czarownicami i które chcą skrzywdzić moich ludzi. Dlatego tu przybyłam, Henryku - aby sprzymierzyć się z tobą przeciwko nim.

Henryk opróżnił puchar wina i poprosił o następny. Obok niego siedziała Adelheid z kamiennym wyrazem twarzy. Wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy.

- Jeśli wyślę ambasadorów do twego ludu, możemy rozpocząć negocjacje.

Szczęki Alii zacisnęły się.

- Nikt z twej rasy nie może przejść przez wrota prowadzącego do naszego świata.

- Ale ty przecież jakoś tu się dostałaś.

Alia pokazała dłoń, prezentując widniejącą nań bliznę.

- Jestem czarownikiem, jak to wy mówicie.

- Czy nie mamy pośród nas matematyków? Oni mogą podróżować tak jak ty. Nie jesteśmy słabi.

- Ojcie! - zaprotestowała Teophanu, choć patrzyła na Adelheid. - Nie potępiasz magii, jeśli ma służyć twym celom?

Henryk podniósł rękę, zatrzymując potok jej słów. Teophanu zamilkła, patrząc z kolei na Rosvitę, potem założyła ręce i podniosła wzrok na przeciwległą ścianę, gdzie widniał gobelin przedstawiający świętą Teklę, pijącą z kielicha.

- Nie rozumiesz struktury wszechświata, Henri. Urodziłam się na wygnaniu i dlatego mogę podróżować w eterze. Przemierzam sfery. Nikt spośród ludzi nie przetrwałby takiej wędrówki.

Wargi Sanglanta poruszyły się, ale nie było słyhać wypowiedzianego słowa.

Henryk potrząsnął głową.

- Jak mogę uwierzyć w tak nieprawdopodobną historię? Równie dobrze mogłaby to być baśń, śpiewana przez poetę na uczcie. Ja i moja armia pomaszerujemy do Aosty, by przywrócić Adelheid na tron. Możesz udać się tam z nami, jeśli chcesz. Masz zawsze miejsce przy moim stole, Alia. - Odwrócił się, by spojrzeć na Sanglanta, siedzącego z zaciśniętymi pięściami, nie podnoszącego wzroku i drżącego z niecierpliwości. Henryk wiedział, iż niebezpiecznie jest oddawać dowództwo komuś młodemu, lecz nikt, nawet jego ojciec, nie mógł kwestionować prawa Sanglanta do objęcia dowodzenia. - Ty, synu, możesz także wyruszyć z moją armią, jeśli tylko poprosisz mnie o wybaczenie twego nieposłuszeństwa. Twoja córka, jako dziecko z mego rodu, otrzyma należne jej tytuły. Dla ciebie jest miejsce w mej armii. Jeśli o nie poprosisz.

- Nie uwierzyłeś w ani jedno moje słowo - powiedział spokojnie Sanglant.

Henryk wypił wino. Potem obracał w ręku kielich, przyglądając się synowi tak, jak patrzy się na zbuntowanego młodego lorda.

- Jak mam uwierzyć w tak zdumiewającą opowieść? Jestem królem. Mówiliśmy już o tym. Jeśli pragniesz mego wybaczenia, musisz o nie poprosić. Wiesz jednak, jakie obowiązki pociąga za sobą służba dla mnie.

- W takim razie gdzie indziej poszukam wsparcia.

Słowa te uderzyły zgromadzonych niczym piorun.

Villam wystąpił do przodu.

- Księżę Sanglancie, błagam, byś nie rzucał na wiatr nieprzemyślanych słów.

- Nie mówię nic, czego bym nie przemyślał - rzekł ostro Sanglant. - Nie widziałeś tego, co ja widziałem. Nie znasz potęgi Anny ani jej bezwzględного postępowania.

- Co masz na myśli, bracie? - zapytała Teophanu. Po ucieczce z klasztoru świętej Ekatariny bardzo odsunęła się od Rosvity i mniszka mogła teraz tylko się domyślać, co działo się w jej głowie. - Jeśli to, co mówisz, jest prawdą i jeśli prawdę mówi twa matka, wychodzi na to, że ta kobieta, Anna, chce uchronić ziemię przed Aoi. Dlaczego więc chcesz wystąpić przeciwko niej? Dywersją byłoby pomaganie komuś, kto chce nas zniszczyć.

Blessing zbudziła się i zapłakała. Wyrwała się do ojca, ale nie puszczono go do niej. Poszła za to na środek komnaty, marszcząc się z niezadowoleniem.

- Ma! Ma! - zawołała, wierząc się tak, że Heribert miał trudności z utrzymaniem jej na rękach.

*Powietrze przybrało formę.*

W centrum komnaty, w miejscu oświetlonym przez lampy, zebrała się mgła, przybierając kształt ram. Rosvita zachwiała się, czując zawroty głowy po tak nagłych rewelacjach, które zmieniały to, co wiedziała i to, co wydawało jej się zrozumiałym. Reszta obecnych w sali albo usuwała się pod ściany, albo uciekała do sąsiedniej komnaty, łkając ze strachu. Adelheid poderwała się na nogi. Henryk pozostał na miejscu, ale jego ręka zacisnęła się na głowie smoka, wyrzeźbionej na poręczy fotela.

- Ma! - płakało dziecko.

W odpowiedzi usłyszano głos tak daleki i niewyraźny, że równie dobrze mógłby być snem.

- Blessing! - Głos zmienił się, był teraz pełen bólu i żalu. - Sanglant!

Sanglant zrobił krok do przodu.

- Liath! - zawołał.

Alia chwyciła go za łokieć i z całej siły pociągnęła w bok. Jej siła była niesamowita: Sanglant, który był wyższy od niej o głowę, zatoczył się do tyłu.

Blessing wyrwała się z rąk Heriberta. Henryk wydał ostrzegający okrzyk, gdy upadała, był jednak zbyt daleko, by ją złapać.

Ale oto pod dzieckiem znalazło się coś.

Blessing zanurzyła się w warstwie mgły, przybierającej kształt kobiety o zmysłowych ustach, ostro zarysowanych kościach policzkowych, królewskim nosie, szerokim, inteligentnym czole i gęstych włosach. Nie była człowiekiem, lecz istotą uformowaną z powietrza, przezroczystą jak woda, stworzoną z jakiejś nieziemskiej substancji. Welon mgły zasłaniał kobiece części ciała, najwyraźniej była jednak naga, o czym świadczył zarys piersi. W jej ramionach Blessing natychmiast się uspokoiła i zwróciła główkę ku nieziemskiej piersi.

Henryk wstał. Jego twarz była biała.

- Co to za nieprzyzwoitość? Jakie to stworzenie trzyma dziecko w ramionach?

Sanglant zasłonił sobą nieziemską istotę.

- Liath była zbyt chora, by karmić Blessing po urodzeniu. Dziecko nie może przyjmować nawet mleka kozy. Umarłaby, gdyby nie Jerna.

- Co to jest? - wymamrotała Teophanu. Damy dworu, stłoczone za jej plecami, wyglądały na wyraźnie wystraszone i zde gustowane, lecz Teophanu obserwowała całą scenę ze zmrużonymi oczami, srogo zmarszczona.

Wszyscy stali jak najdalej od dziwnego zjawiska z wyjątkiem Heriberta. Adelheid trzęsły się ręce, co stanowiło oczywisty kontrast z pełną dezaprobaty rezerwą Teophanu. Królowa z otwartymi ustami przyglądała się piastującej dziecko zjawie.

- To demon, jak sądzę - powiedziała Rosvita. Za jej plecami Fortunatus pogwizdywał pod nosem. Nie opuścił jej. - Jest to jedna z istot, która istnieje w eterze, w wyższych sferach.

- Czy te istoty mają dusze? - zapytała Adelheid.

- Starożytni kronikarze twierdzili, że nie - powiedziała Rosvita z zastanowieniem. Z piersi stojących pod ścianą ludzi wyrwał się zbiorowy okrzyk zdumienia. Nikt nie powiedział jednak ani słowa. Dziecko ssało głośno. O, Pani! Jakież to rodzaj pokarmu dostawało od demona pozbawionego duszy?

- A więc to prawda. - Kamienna maska spadła z twarzy Henryka, ujawniając jego prawdziwe uczucia. - Zostałeś zczarowany, Sanglancie, tak jak to powiedziała Judith i jej syn. Nie jesteś już panem swych myśli i czynków. Biskupina Antonia rzuciła urok na Lavastaine'a. Teraz jesteś w rękach czarownika, który mi ciebie skradł. Gdzie jest Liathano? Czego chce?

- Błagam, Wasza Wysokość - zakrzyknęła Rosvita, postępując do przodu. Wiedziała, dokąd poprowadzą takie oskarżenia. - Nie wydawaj pospiesznych sądów. Niech zbierze się rada, tak by biegli w podobnych sprawach mogli wyrokować mądrym sercem i bez emocji.

- Tak jak to uczynili w Autun? - zapytał Sanglant z gorzkim uśmiechem. Wyzwolił Blessing z uścisku demona. Dziecko zaprotestowało energicznie, wkładając do buzi jeden z paluszków. Mała zaczęła go ssać, patrząc na Sanglanta. Postać zafalowała. Rosvita nie znalazła innego wytłumaczenia jak to - nieziemski zjawy rozmyła się w powietrzu, znikając im z oczu. Po prostu.

Henryk wziął głęboki oddech, starając się uspokoić. Usiadł.

- Zwołam radę, gdy przybędziemy do Darre. Będzie jej przewodniczyła skoposa.

- Mam więc czekać cierpliwie? - zapytał Sanglant.

- Niegdyś tak robiłeś, gdy cię o to prosiłem, synu.

- Ale nie jestem już tą samą osobą co dawniej. Nie rozumiesz, kim się stałem. Nie ufasz mi. Nigdy nie przestałem służyć temu królestwu i nigdy tego nie uczynię. Wiem, co mam robić i jeśli nie poprzestasz mnie, znajdę ludzi, którzy zaczną działać, nim będzie za późno.

- Czy to bunt, Sanglant?

- Błagam Waszą Wysokość - zaczęła Rosvita, stając pomiędzy dwoma mężczyznami. Wyczuwała nadchodzącą katastrofę. Nieodwracalna siła nacierała na nieporuszony obiekt.

- Nie, siostrze - rzekł Henryk. - Nie stawaj pomiędzy nami.

Nie miała innego wyjścia, jak się usunąć. Pewne oznaki wskazywały na to, że król jest bezsilny wobec syna, którego kochał ponad inne swe dzieci. Lekko drżały mu wargi, ręka zaciskała się na poręczy krzesła, a stopa postukiwała o ziemię w niespokojnym staccato.

- Pozwól mu odpowiedzieć na me pytanie.

Sanglant był człowiekiem zawsze przekuwającym słowa w czyny.

- Heribert! - Przycisnął córkę ciasniej do piersi i skierował się ku drzwiom. Heribert posłusznie deptał mu po piętach. Przy drzwiach odwrócił się, spojrzawszy na siostrę.

- Teo?

Potrząsnęła głową.

- Nie, Sanglant. Nie wiesz, czego doświadczyłam. Nie pójdę z tobą.

- W końcu to uczynisz - powiedział łagodnie Sanglant. - Ponieważ wiem, co nadchodzi.

Jego wzrok prześliznął się po pozostałych, spoczawszy przez krótką chwilę na Rosvicie. Sanglant przesłał jej uśmiech.

- Radź mądrze, siostrze - rzekł niskim głosem. Skłonił się Adelheid i opuścił komnatę.

Lampy zakołysały się. Jedna z nich zgasła, a po krótkiej chwili płomień drugiej zadrgał i przygasł. Zapanowała cisza.

Choć niezupełna. Wszyscy naraz zaczęli szeptać.

- Proszę was - rzekł Henryk głosem tak pełnym napięcia, że wydawał się bliski załamania.

Zrobiło się cicho.

- Nie poszłaś z nim - zauważył Henryk, zwracając się do Alii. Cudzoziemka stała przy drzwiach prowadzących do ogrodu.

Wyraz jej twarzy nie uspokoił go. Podniósłszy rękę, Alia wyszeptała coś i wykonała kilka gestów. Nagle dwie zgasłe lampy zaświeciły pełnym blaskiem. Obecni w komnacie poruszyli się niespokojnie na widok tego magicznego popisu. Alia uśmiechnęła się w sposób, w jaki pyszną się koty, złapawszy wyjątkowo tłustą, smakowitą myszkę.

- Jest młody i ma gorący temperament. Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie nie słuchasz, Henri. Czy rasa ludzka zatraciła tak dalece pierwotną wiedzę, że teraz mi nie wierzysz? Czy naprawdę nie pamiętasz, co stało się dawno temu? Przybyłam jako - jak wy to nazywacie? - jako emisariusz mojego ludu. Chciałam ci powiedzieć, jak wielu moich pobratymców pragnie pokoju, a nie wojny.

- Gdzie są wobec tego twoi ludzie? Gdzie się ukryli?

Westchnęła z rozczarowaniem.

- Teraz, gdy jesteś potężny, proponuję ci sojusz. Wielu członków naszej rady było temu przeciwnych, ale ponieważ poświęciłam się, by urodzić dziecko, zostałam wybrana, by tu przybyć. Nikt nie mógł mnie powstrzymać. Zostałam wybrana, by dać ci szansę. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się na progu. - Ale



kiedy zobaczymy się ponownie, Henri, będziesz słaby.

Opuściła komnatę. Nikt jej nie zatrzymał.

Nastąpiła długa cisza. Fortunatus musnął łokieć Rosvity. Gdzieś spoza ogrodu dobiegł śmiech kobiety. Brzmiał bez troski i w tych okolicznościach był zupełnie nie na miejscu. Światła lamp oblewały komnatę, czyniąc ją na podobieństwo starodawnej rzeźby. Każdy obecny był jak wyrzeźbiona w drewnie lub w kości słoniowej postać: oto stał król o ciemnych, nieruchomych i pełnych wściekłości oczach. A obok niego królowa. Żywe barwy jej stroju uwidaczniało złote światło lampy. Stary lord podejrzliwie oglądał pusty rękaw swej tuniki, jak gdyby w każdej chwili mogło go wypełnić zdradzieckie zakłęcie. Księżniczka stała odwrócona. Na jej szyi błyszczały klejnoty, a ręka spoczywała na ramieniu jednej z dam dworu, zatrzymanej w poufałym geście.

Orlica założyła ręce na piersi, w przeciwieństwie do reszty obecnych bardziej zamyślona niż zaszokowana. Królewska złość przekształciła się w zimną furię, przypominającą śnieżną burzę. Wyobrażona na gobelinie święta Tekla przechodziła kolejne etapy swego życia i męczeństwa, upamiętniając chwałę Słowa. Villam zakasłał.

Król wstał. Popatrzył na Hathui i wykonał delikatny, lecz znaczący gest. Orlica skinęła głową, co starczyło za odpowiedź, po czym opuściła komnatę, rozpoczynając wykonanie nieznanego nikomu zadania.

- Idę spocząć. - Henryk zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, następnie odwrócił się ku Adelheid, lecz królowa nie poszła za nim.

- Czy wierzysz w tę dziwną historię, Rosvito? - zapytała.

Przez chwilę Rosvita czuła się tak, jakby zapomniała sztuki mowy. Jej myśli rozpierchły się i dopiero po chwili je pozbierała.

- Potrzebuję dowodów. Trudno w to wszystko uwierzyć.

- Brak dowodów nie oznacza, że to nieprawda. - Adelheid popatrzyła w kierunku ogrodu. Do komnaty wpadł chłodny jesienny wiatr, sprawiając, że Rosvita zadrżała. A co jeśli wiatr przyniesie kolejnego demona? - Widziałyśmy rzeczy zdumiewające, siostró Rosvito. Czy może być coś dziwniejszego od tego, co zobaczyłyśmy? - Skinęła na swe dwórki i udała się za Henrykiem do odległej komnaty.

- Pozyskałaś zaufanie królowej Adelheid - powiedziała Teophanu do Rosvity. - Ale jakim kosztem? I za jaką cenę?

- Wasza Wysokość!

Teophanu nie odpowiedziała. Wycofała się wraz ze swymi damami do sąsiedniej komnaty, w której zwykle grały w szachy, a gdzie teraz wniesiono łóżka i sienniki.

Jak to się stało, że padły takie słowa?

- Nie kłopot się, siostró - rzekł stojący za jej plecami Fortunatus. - Nie sądzę, by uraza księżniczki Teophanu do ciebie trwała wiecznie. Trawi ją robak zazdrości. To ją zawsze gnębiło.

- Co przez to rozumiesz?

- Czy nie myślisz tak samo? - odrzekł, zdziwiony jej reakcją. - A może się mylę. Z pewnością jesteś ode mnie mądrzejsza, siostró.

Służący i strażnicy rozeszli się, lecz Villam zwlekał. Wreszcie rzekł, że chciałby porozmawiać z Rosvitą bez świadków. Fortunatus opuścił komnatę dyskretnie, by nadzorować przygotowania do spoczynku.

- Czy wierzysz w historię Sanglanta? - zapytał Villam. Światło lampy zredukowało jego zmarszczki, tak że przypominał siebie z młodszych lat - krzepkiego, pełnego energii i przystojnego na tyle, by zainteresować sobą kobiety nie tylko ze względu na tytuł i majątność. Czy Rosvita także nie popatrywała na niego, kiedy jako młoda panna przybyła na dwór i poczuła się oszołomiona jego wspaniałością? Przez całe jej życie niewielu mężczyzn kusiło ją w ten sposób, ale na szczęście Bóg trzymał swą opiekuńczą rękę na jej ramieniu, zaś Villam szanował Boga, Kościół i stanowcze „nie”. Przez całe życie żywili w stosunku do siebie wzajemny szacunek.

- Nie mogę zaraz na wstępie odrzucić tej historii. Jednak wydaje się zbyt nieprawdopodobna, by była prawdziwa.

- Nie jesteś osobą, która łatwo ulegałaby wyobrażeniom czy plotkom, siostró. Co doradzisz królowi?

- Doradzę mu, by nie działał gwałtownie - odrzekła z gorzkim uśmiechem. - Villam, czy możliwe jest, byś poszedł teraz i porozmawiał z księciem Sanglantem?

- Spróbuję. - Villam wyszedł z komnaty.

Grupa najbliższych królowi duchownych, rządców i służących miała prawo spać w komnatach, a Rosvita miała swój siennik. Jednak nawet pomimo wygody spędziła niespokojną noc, dręczona przez sny.

Na kamiennym krześle wykutym w kształcie orła siedziała ciężarna kobieta o rysach twarzy Aoi, przystrojona w płaszcz z piór. Za jej plecami obracało się złote koło i grotą o oblodzonych ścianach. Utracony syn Villama Berthold spał w kołysce zrobionej z klejnotów, otoczony przez sześciu opiekunów. Ich młodzieńcze twarzyczki miały wyraz charakterystyczny aniołom, które ujrzaly Boga. Jednakże złocisty spokój, jaki unosił się nad tą scenką, został zmacony wtargnięciem bandy żołnierzy - rabusiów, krzyczących ze strachu i zdumienia. Ach, Boże, czy jeden z nich nie miał twarzy Ivara? A może to Amabilia znowu przybyła złożyć jej wizytę?

Amabilia nie żyła. Więc jak to możliwe, że Rosvita wciąż słyszała jej głos?

- Siostrze, proszę, wstań.

Nad nią pochyłał się Fortunatus. Przez niedomknięte okno i otwarte drzwi wślizgiwało się słabe światło. Ptaki śpiewały poranne trele.

Króla zbudzili żołnierze. Henryk wstał z łóżka z sennym wyrazem twarzy. Nie miał na nogach butów. Wokół niego krzątał się pokojowy, podając mu pas do naprędcy założonej tuniki.

- Wasza Wysokość! Książę Sanglant opuścił właśnie pałac wraz z około pięćdziesięcioma żołnierzami i służbą. Wybrał drogę na Bederbor, kierując się ku fortecy diuka Konrada.

Henryk zamrugał, potem popatrzył na Helmuta Villama, który w tym momencie wszedł do komnaty.

- Czy nikt nie próbował go powstrzymać?

Sierżant bezradnie wzruszył ramionami, lecz Villam postąpił do przodu.

- Ja z nim rozmawiałem.

- I co?

Villam potrząsnął głową.

- Doradzam Waszej Wysokości póki co zostawić tę sprawę.

- Przyprawdźcie mego konia - rozkazał Henryk.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, już go nie było. Rosvita pospieszyła za nim i dotarła do stajni na tyle szybko, by jeszcze zdążyć wsiaść na grzbiet muła i podążyć za królem. Towarzyszyło mu tylko dwunastu żołnierzy i Hathui, którą sam o to poprosił.

Kiedy Rosvita dogoniła grupę, Henryk bez komentarza pozwolił jej się przyłączyć.

Rosvita sądziła najpierw, że Henryk ma zamiar ścigać syna, jednakże minawszy pałacowe wrota, obrali inną niż Sanglant drogę, tę, która prowadziła obok klasztoru do lasu, przechodząc w wąską ścieżkę, gęsto porośniętą krzakami.

Droga prowadziła przez las. Wokół nich rozciągał się olszynowy zagajnik. Nocny chłód sprawił, że liście przybrały srebrną barwę. Skąpą roślinność przecinały pojawiające się tu i ówdzie leśne strumyki. Pomiędzy żywokostem i turzycą rosły kolczaste jeżyny. Pod dereniowym drzewem, na wpół opadłym z liści, schronił się królik. Na gliniastej drodze końskie kopyta wydawały przytłumiony dźwięk. Poprzez gałęzie Rosvita dostrzegła myszołowa, kołującego nad koronami drzew.

Leśny trakt kończył się nagle w miejscu, gdzie zaczynała się łąka z niewielkim wzniesieniem, na którym spoczywały tworzące koło ociosane głazy. W zależności od podłoża przechylały się na prawo bądź na lewo. Jeden z nich przewrócił się, jednak inne przetrwały mniej lub bardziej nietknięte.

- Tutaj? - zapytał Henryk.

- Tędy. - Hathui wskazała kamienne koło. - Weszła tutaj. Nie widziałam nawet śladu, by przeszła przez kamienie w stronę lasu. Tutaj nie ma dróżki, tylko ścieżka wydeptana przez jelenie, zresztą mocno zarośnięta.

Henryk skinął ręką na Rosvitę.

- Twoja towarzyszka zniknęła. Przeszła przez jedno z takich przejść, siostrze. Czy to możliwe, że Aoi ukryli się w jakimś odległym zakątku ziemi?

- Tak może być, Wasza Wysokość. Ale nie wiem, jakiej magii do tego używają.

- Pomiędzy nami przetrwali jacyś matematycy - zadumał się Henryk. - Mogą nam posłużyć, jak to było w przypadku Adelheid.

Rosvita wzdrygnęła się, chcąc ostrzec władcę przed stosowaniem czarnoksięstwa, ale on odwrócił się, więc milczała. Łąkę oblało jasne światło. Zaczął wstawać dzień. Promienie słońca oświetliły również króla. Słońce opromieniało go swą chwałą, gdy stał pośrodku kamiennego kręgu. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy, a królewski koń przestępował z nogi na nogę, potrząsając głową. Strzygł uchem, starając się pozbyć natrętnej muchy. Henryk czekał, cichy i uważny, podczas gdy Hathui dokonywała ostatnich oględzin kręgu.

- Jakie wieści nadchodzą z gór? - zapytał, gdy wreszcie stanęła obok niego.

- Większa część wysłanników donosi, że na przesmykach nikt się nie pojawia. Jest ciepło jak na tę porę

roku, a na szczytach górskich nie ma zbyt wiele śniegu. Jeśli Bóg zechce, będziemy mieli kolejny miesiąc ciepłej pogody. Wystarczy, by pokonać góry.

W drodze powrotnej władca śpiewał, zachęcając żołnierzy, by uczynili to samo. Potem król rozmawiał z nimi o ich rodzinach i o ostatniej kampanii. Przy stajniach oczekiwał ich służący, który zawiadomił, że Adelheid, Teophanu i ich orszak są w kaplicy, na modłach.

Henryk pospieszył tam niczym ogień. Adelheid wstała, by go powitać, powstrzymując ciekawość siłą woli. Teophanu czekała cierpliwie z boku, aż król odegra swój pokaz spotkania z młodą żoną. Nie zapomniał jednak i o córce. Pocałował ją w oba policzki i poprowadził naprzód, tak by każdy, a w tej chwili wszyscy obecni w kaplicy, widzieli, iż Teophanu znajduje się po jego prawej stronie.

- Teophanu, zostaniesz na północy jako mój namiestnik - rzekł głośno król, przechodząc przez rozstępujący się tłum. Wieść szybko przedostała się przez drzwi na podwórzec, gdzie gromadzili się ludzie, ciekawi, jak zareaguje Henryk na zniknięcie Sanglanta.

Co kryło się pod miną Teophanu, tego Rosvita nie mogła odgadnąć. Czy była zadowolona, czy też może zła, że musi pozostać na północy? Skinęła tylko głową, przymknąwszy oczy.

- Jak sobie życzysz, ojcze.

Henryk wyciągnął rękę i ujął w swą dłoń rękę Adelheid, prosząc, by zajęła miejsce u jego lewego boku, tak jakby chciał uhonorować sprzymierzeńca.

- Jutro - rzekł, zwracając się do dworzan z przenikliwym uśmiechem - ruszamy dalej do Aosty.

### 3

Słońce roztaczało tak piękny blask nad opuszczonym miastem, że Liath aż przetrzała oczy. Potem zobaczyła wyłaniającego się z grotu Najstarszego Wuja. Było gorąco. Przed sobą widziała kamienne budowle, milczące niczym duchy. W niektórych miejscach ściany i kolumny zostały pomalowane kolorowymi freskami. Liath wydobyla z piramidy czaszek swą broń i bukłak z wodą. Wciąż lekko trzęsły się jej ręce i drżała wewnątrz.

Ona i tata uciekali przez tyle lat, ścigani i, na koniec, złapani. Liath została wygnana z królewskiego dworu, lecz nie odnalazła spokoju w ramionach matki. Czy istniało miejsce, w którym byłaby mile widziana? Czy znajdzie kiedykolwiek dom, w którym nie będzie szczuta, ścigana i gdzie nie będą jej grozić śmiercią?

Jeszcze nie dzisiaj.

Ogromna paszcza kamiennego węża ziała pustką, choć Liath słyszała niezrozumiałe słowa dyskusji członków rady, odbijające się po korytarzach i labiryntowych przejściach. Każde z nich brzmiało jak podstępna intryga na królewskim dworze, podczas snucia której padają przyciszone słowa.

- Dano mi dzień i noc - powiedziała do starego czarownika. Nauczyła się, że łatwiej przetrwać, koncentrując się na sprawach praktycznych. - Czy w takim czasie dam radę przemierzyć sfery?

- Dziecko, czas trwania dni na ziemi nie ma znaczenia w sferach. Musisz albo powrócić na ziemię, albo przez nie przejść.

- Albo czekać tu i zginąć.

Czarownik zachichotał.

- Zaprawdę, nawet przy tak skromnych zdolnościach do przewidywania przyszłości, jakie posiadam, nie sądzę, by czekał cię taki los.

- Więc jaki los mnie czeka?

Wzruszyła ramionami. Ruszyli w drogę powrotną przez miasto pełne oparów mgły.

- Nie zdajesz sobie jeszcze sprawy ze swej mocy - powiedział wreszcie. - Ścieżka, wiodąca przez sfery, może się dla ciebie nie otworzyć.

- A gorejący głaz może pozostać w ukryciu. Co potem? Maska Kota będzie na mnie polował?

- Z pewnością. Dano mu szansę.

- Dlatego muszę się upewnić, że ja mu jej nie dam. - Wisząca nad opuszczonym miastem cisza sprawiła, że jej głos brzmiał niczym drapanie mysich łapek po kamiennej posadzce wielkiej katedry. - Mogłabym wrócić na ziemię.

- Mogłabyś - zgodził się czarownik. Pogwizdywał pod nosem melodyjkę przypominającą świst wiatru grającego na trzciniowych piszczałkach.

- W ten sposób połączyłabym się z moim mężem i dzieckiem.  
- Rzeczywiście.  
- Moja córka rośnie. Ile dni minęło, odkąd tutaj jesteśmy? Jak wiele miesięcy upłynie, nim ją znowu zobaczę? - W jej głosie wyczuwało się złość. - Jak mogę czekać, jak mogę nawet rozważać dłuższą podróż, skoro wiem, co planują siostra Anna i jej kompani?  
- Na te pytania trudno odpowiedzieć.  
Jego spokój wpłynął na nią kojąco.  
- Oczywiście, jeśli kraina nie wróci na swe miejsce, mogą nastąpić inne nieprzewidziane konsekwencje. Nie będą one może wielkim kataklizmem, ale i tak będą straszne.  
- Może tak być.  
- Ale nikt nie wie, co się zdarzy.  
- Nikt nie wie, co się zdarzy - zgodził się. - Nawet ci, którzy przepowiadają przyszłość.  
Liath zerknęła na niego, ale na twarzy czarownika nie malowały się żadne emocje, prócz spokoju. Na jednym oku miał bielmo, które przypominało zastygłą w oku łzę.  
- Jesteś zdecydowany zgadzać się ze mną.  
- Tak? Prawdopodobnie dlatego, że nie powiedziałaś jak dotąd nic, z czym mógłbym się nie zgodzić.  
Jakiś czas szli w ciszy. Liath założyła na głowę rąbek swej oponce, by osłonić oczy. Ponury rząd schodów, podwyższenia naprzeciwko których znajdowały się stopy ludzkich czaszek, lśniąca oko słońca - wszystko to zlało się w jedną całość i Liath rozboleła głowa. W gardle czuła uderzenia serca. Kiedy dotarli do wielkiej piramidy, przysiadła na chwilę, opierając się o jedną z kamiennych głów. Położyła rękę na paszczy węża, którego głowa wylaniała się z kamiennego kwiatu. Pot spływał jej po plecach. Gorąco wyssało z niej złość. Powinna była zdjąć oponczę, ale w ten sposób straciłaby osłonę głowy. Stary czarownik klęczał przy ogromnych schodach, obracając włócznię w dłoniach.  
- Czy zbudowaliście to miasto za pomocą magii? - zapytała nagle Liath.  
Jego pomarszczona twarz nie wyrażała nic.  
- Czy to oznacza chęć zastąpienia wyczerpującej pracy magią? Czy obliczenia księży, zajmujących się geometrią i astronomią, są bardziej czarnoksięstwem niż praktyczną umiejętnością? Prawdopodobnie tak. Wielu ludzi łączy to, co jest możliwe do wykonania z magią, choć tylko nieliczni wiedzą, że we wszystko trzeba włożyć pracę.  
- Jestem zmęczona - powiedziała Liath. Zamknęła oczy, lecz cisza była tak przytłaczająca, że nie mogła w pełni odpoczywać. Zobaczyła Sanglanta i Blessing tak samo jak wtedy, gdy widziała ich poprzez płomień: dziecko - jakże szybko rosnęło! - wyrывało się ku niej, zaś Sanglant wołał jej imię. - Jestem taka zmęczona. Jak zdołam zrobić to wszystko, co powinnam?  
- Zawsze jesteśmy przywiązani do ziemi, na którą przybywamy niezależnie od naszej woli. To, kim byś się stała, usuwając wszelki namysł ze swego serca i rozumu, nie jest równoznaczne z tym, kim się naprawdę staniesz, ponieważ nigdy nie będziesz mogła przeciąć więzi z tymi, których kochasz i za których czujesz się odpowiedzialna.  
- To, kim jestem, nie może być oddzielone od tych, do których jestem przywiązana.  
Chrząknął. Otworzyła oczy dokładnie w chwili, gdy czarownik chwycił włócznię i za jej pomocą dźwignął się na nogi. Szeroką aleją biegł w ich stronę mężczyzna, sadząc silne susy łowcy. Kiedy się zbliżył, Liath przeszły dreszcze przerażenia - ubrany był w przepaskę i krótką oponczę, noszoną przez mężczyznę Aoi. Miał twarz nie człowieka, lecz zwierzęcia. Chwilę potem rozpoznała w biegnącym Maskę Kota. Zsunął maskę, odsłaniając prawdziwe oblicze. W prawej ręce trzymał małą, okrągłą tarczę, zaś w lewej drewniany miecz o obsydianowym ostrzu.  
Liath wskoczyła na schody, pochwyciła łuk i strzałę. Napięła cięciwę i wycelowwała ją w Maskę Kota. Najstarszy Wuj nie rzekł nic, nawet się nie poruszył, jedynie gwizdał pod nosem. Dziwne, ale Liath poczuła nagły powiew wiatru, tak jakby delikatnie zakleszczyło ją wiele małych palców.  
Maska Kota zwolnił i z wdziękiem kota udającego, że porzucił mysz, która mu uciekła, zachował pewien dystans.  
- Nie wolno mi cię zranić dzisiejszego dnia! - zawołał. Maska tłumiała jego słowa.  
- Czy to ma znaczyć, że mogę ci zaufać? - zapytała Liath, nie zmieniając pozycji.  
Po chwili Maska Kota umieścił tarczę pomiędzy ręką a tułowiem i użył wolnej ręki, by całkowicie zsunąć maskę. Przyjrzał się Liath z miną człowieka mającego świadomość, że stojąca przed nim kobieta ma kształty i wdzięk, które czynią ją atrakcyjną. Liath nie opuszczała łuku. Wiatr przesuwiał jej strzałę w górę i w dół, tak że nie mogła jej precyzyjnie osadzić. Z okrzykiem pełnym złości wznieciła ogień w grocie. Maska Kota odsunął się.

Najstarszy Wuj parsknął śmiechem, podnosząc swą włócznię. Przywiązane do niej dzwoneczki zadzwoniły wesoło.

- Taka jest odpowiedź! - zawołał. Zmarszczył się, patrząc na Maskę Kota. - Dlaczego za nami poszedłeś, Kwaśny?

- Żeby cię nakłonić do rozsądnego postępowania, Stary Człowieku. Oddaj mi ją teraz, a zadbam, by zaznała losu, na który zasługuje. Ludzie nie są stworzeni, aby zawierać z nami przymierza. Nigdy nam nie zaufają ani żadnej istocie, która jest naszym pobratymcem.

- Ostre słowa. - Najstarszy Wuj zamyślił się. Liath nie spuszczała Maski Kota z oczu. Grot strzały płonął pełnym blaskiem. - Czy warto marnować czas tutaj? Czy wierzysz, że twe plany i spiski powiodą się, nawet jeśli nic nie powstrzyma nas przed powrotem? Czy przewyższamy rasę ludzką liczebnością? Ich są masy. Nas jest niewiele.

- Ludzie walczą pomiędzy sobą. Dopóki są podzieleni, możemy ich pokonać.

- Czy nadal będą poróżnieni, gdy staną twarzą w twarz z naszą armią? Nie zapominaj, jak bardzo kiedyś nas nienawidzili.

- Zawsze będą nas nienawidzić! - Nawet wypowiadając te słowa, patrzył na Liath. Wiedziała, jak wyglądają mężczyźni, którzy czują pożądanie; zbyt często je widziała na ich twarzach. Maska Kota walczył z niewypowiedzianymi słowami, a może i własnym niezadowoleniem z powodu swej podatności na kobiece wdzięki. Podobnie jak Sanglant, miał postawę człowieka potrafiącego walczyć. Był prawie tak samo wysoki jak Liath i identycznie szeroki w ramionach jak Sanglant. Jego potężna postura robiła wrażenie. - I my zawsze będziemy ich nienawidzili!

Wyraz twarzy Maski Kota ugodził ją w serce, miejsce, w którym wciąż gościł Hugo z jego piękną twarzą i wdziękiem.

- Nienawiść czyni was słabymi. - Jej słowa zdumiały go tak bardzo, że po raz pierwszy popatrzył jej prosto w twarz. - Nienawiść jest jak trąba powietrzna, bo w końcu i ona cię wciąga w swój wir. - Z każdym słowem czuła, że więzy łączące ją z Hugonem, które on sam ustanowił, były rwane przez nią samą. - To, że pozwalacie sobie na nienawiść, sprawia, że ona wami rządzi. Skąd możecie mieć pewność, że wszyscy ludzie wciąż was nienawidzą? Skąd możecie wiedzieć, czy wysłannik pokoju nie będzie wysłuchany?

- Nigdy nie zrozumiecie, co wycierpieliśmy - burknął.

Ogień płonący na grocie strzały zaczął przygasać i wreszcie zanikł. Liath powoli opuściła łuk.

- Nie wiesz, co mogę czy czego nie mogę zrozumieć. Nie tylko ty cierpiełeś.

- Zapytaj tych, którzy zginęli, czy chcieliby pokoju z ludźmi. Jak możemy ufać komuś, kto uczynił nam wszystkie te potworne rzeczy?

- Ci, którzy to uczynili, zmarli tak dawno, że większość ludzi wierzy, że istniejecie tylko w bajkach, opowiadanych dzieciom na dobranoc.

Maska Kota zaśmiał się nieprzyjemnie i postąpił do przodu.

- Jesteś mądra w słowach, bystra kobieto. Ale ja wciąż požądam twej krwi. Ona uczyni mych ludzi silnymi.

Jego postanowienie sprawiło, że Liath zareagowała odważnie, nawet brawurowo, patrząc ku niebiosom na Poszukiwacza Serc.

- Złap mnie, jeśli potrafisz, Kocia Masko. Czy będziesz mi deptał po piętach, gdy będę przemierzać sfery, czy wolisz spotkać się twarzą w twarz, gdy będę powracała z podwórców chwały, znając tajemne sekrety gwiazd?

Maska Kota syknął ze zdumienia i buntu. A może ze strachu.

Najstarszy Wuj postawił włócznię na ziemi.

- Niech tak będzie.

Podniósł włócznię i potrząsnął nią, jakby chciał zamknąć krąg i uciąć dyskusję. Zadzwoniły dzwoneczki.

- Idź - powiedział do Kociej Maski.

Najstarszy Wuj jako ostatni z Ashioi widział kataklizm na własne oczy. Jako ten, który go przetrwał, cieszył się respektem tak wielkim, że kiedy wydał rozkaz, wojownik - nawet tak groźny jak Maska Kota - musiał go usłuchać.

Widzieli, jak oddała się aleją. Kiedy był dostatecznie daleko, by nie stanowić już żadnego zagrożenia, Najstarszy Wuj postawił stopę na schodach. Liath podążyła za nim. Podpierając się łukiem, wspinała się na zastraszająco wąskie schody. Odpoczęli na szerokim podeście, a potem zaczęli schodzić w dół, wchodząc we mgłę. Wreszcie przekroczyli granicę krainy i dotarli do twierdzy.

Nienaturalna cisza krainy porośniętej rzadką trawą i kolczastymi krzewami rozdarła Liath serce. Niczym niemy człowiek, kraina nie mogła śpiewać głosami znanymi na ziemi. Martwota zdawała się ich przygniatać. Minęli strażnicę, wędrując po oblanych złotym światłem wzgórzach. Liath była szczęśliwa, gdy dotarli do miejsca porośniętego sosnami. Nawet wiatr ustał. Dręczyło ich gorąco. Kiedy potarła ręką kark, po jej plecach spłynęła strużka potu.

Przedarli się przez sosnowy zagajnik i zatrzymali na skraju lasu. Przed nimi otwierała się droga ku niezemskiemu pięknemu rozkwitającej łąki.

W cieniu sosen Liath zdjęła z pleców łuk i pozwoliła oczom cieszyć się barwami łąki. Najstarszy Wuj stał obok niej, nie mówiąc nic ani nie poruszając się. Gwizdał tylko cichutko jakąś melodyjkę. Od czasu do czasu, gdy poruszał włócznią, stojącą na pokrytej igłami ziemi, odzywały się dzwoneczki.

- Jak przejdę przez sfery? - zapytała wreszcie, gdy Najstarszy Wuj w milczeniu zaczął zbierać się do dalszej drogi. - Gdzie znajduje się ścieżka, która mnie tam poprowadzi?

- Już na nią weszłaś - rzekł, wskazując na kwietny szlak, zmierzający ku rzece. - Jak sądzisz, dlaczego czekam tutaj cierpliwie, pomijając wszystkie inne miejsca na naszym świecie? To miejsce jest niczym wiosna, ostatnie takie nam znane, gdzie woda tryska z ukrytych korzeni. Tutaj ziemia czerpie życie ze wszechświata, ponieważ sięgająca niebios Rzeka Światła dotyka ziemi w tym właśnie miejscu.

Wiatr zakołysał kwiatami. Chabry huśtały się na wysokich łądogach, a irysy skłaniały główki. Leciutka bryza kołysała nierównymi rzędami lawendy, która przecinała purpurowy gąszcz dzikich róż i gęste pęki barwnych peonii. Na krańcach kwietnego szlaku rosły nagietki tak intensywnie złociste, jakby słońce przelało na nie swą barwę.

Ten widok sprawił, że Liath poczuła się nic nieznaczącą istotą.

- Myślałam, że zatrzymałeś się tutaj ze względu na głąz gorejący. - Wskazała na rzekę i leżącą za nią polanę, od której rozpoczęła swą wędrówkę po tej krainie.

- Jest wiele miejsc, gdzie wrota mogą się co jakiś czas otworzyć. Nie przewidzimy tego. To prawda, że polana, na której nieraz medytuję, jest jednym z tych miejsc. Ale jest to też punkt, którego strzegę.

- Przed czym?

- Idź naprzód. Przemierzałaś ten szlak już wiele razy.

Wiatr chłodził jej spocone czoło i sprawiał, że kwiaty huśtały się i tańczyły w deszczu kolorów. Po co się wahać?

Z rozmysłem sprawdziła swoje rzeczy: opończę, tunikę i nogawice; skórzany pas, małą skórzaną sakiewkę, nóż w pochwie; miecz jej przyjaciela Luciena; złoty naszyjnik, który miała w tej chwili na sobie; złote pióro, które dostała od Najstarszego Wuja, teraz przymocowane do strzały; kolczan pełen strzał o żelaznych grotach, Łowcę Serc; pierścień z lapis lazuli, ofiarowany jej przez Alaina na znak jego opieki. Bukłak z wodą nie należał do niej, więc położyła go na ścieżkę. Kiedy zrobiła kilka kroków do przodu, wychodząc z cienia ku słońcu, blask tak mocno ją poraził, że cofnęła się, zasłaniając ręką oczy.

Coś było nie tak. Czegoś się przecież nauczyła, choć czas spędzony w kraju Aoi nie był długi. Każde zakłęcie, wykonywane we wzajemnym oddziaływaniu ze wszechświatem, musi być wprowadzone prawidłowo i prawidłowo wyprowadzone, wszystkie bowiem rzeczy mają swój początek i koniec.

W jaki sposób czarownik wznosił się ku sferom? W jaki sposób jakakolwiek istota ludzka mogła się tam wznieść, mając ziemskie ciało, skoro niebiosy składały się z eteru, światła, wiatru i ognia? Śmiertelne ciało nie było przystosowane do chodzenia po sferach.

Może powinna studiować jeszcze przez wiele tygodni, a może nawet miesięcy, zanim będzie w stanie przejść przez sfery i znaleźć swą prawdziwą moc? Nawet jeśli powinna, nie miała na to czasu.

Jeden dzień na ziemi był równy jednemu oddechowi tutaj. W innym świecie jej dziecko rosło, a mąż czekał, Anna spiskowała, Hugo miał się znakomicie, zaś Hanna przemierzała długie dystanse dzięki łasce sił silniejszych niż ona sama. A co z Lwami, jej przyjaciółmi? Co się stało z Alainem, którego po raz ostatni widziała na polu walki, chwiejącego się na nogach i na wpół żywego? Gdzie był teraz? Jak mogła ich porzucić, skazując na samotną walkę? Jak długo jeszcze będą musieli na nią czekać?

Licząc miarą obowiązującą w kraju Aoi, kiedy upłynie jeden dzień i jedna noc, Maski Kota i jego wojownicy zaczną na nią polować.

Czas, by ruszała.

Jak jednak ma dotrzeć do niebios?

Za pomocą drabiny.

Zamknęła oczy. Wiatr zmierzwił jej włosy. Przypomniało jej to palce taty, gdy ją usypiał. Tata nauczył ją właśnie tego, czego potrzebowała.

Uklękła, kładąc dłonie na ziemi. Pozostawała tak przez siedem oddechów, uwalniając umysł, tak jak ją

uczył Najstarszy Wuj. Pod dłońmi miała piaszczysty grunt. Kiedy świadomość zaczęła uciekać, Liath uczuła w rękach puls ziemi, lekki i delikatny, podobny do niteczki. Ale realny. Kraina żyła.

Palcem narysowała Różę Uzdrawienia, usuwając na bok zeschnięte igły i kawałki kory sosny. Na ścieżce powstał wyraźny ślad, z którego buchnął żar. Liath przestąpiła przezeń, wchodząc w krąg słonecznego światła.

Jej głos zabrzmiał najpierw niepewnie i cicho:

- Pierwszy stopień drabiny - Róża, której dotyk leczy.

Liath zrobiła dwa kroki i narysowała na ziemi kolejny znak.

- Drugi to Miecz, który przynosi moc.

Zrobiła trzy kolejne kroki. Żar buchnął po raz kolejny, aż zakręciło jej się w głowie. Zmącone powietrze stawiało opór na jej drodze, jak gdyby z nieba lała się na ziemię gęsta owsianka.

Liath uklękła i narysowała kolejny znak.

- Trzeci stopień - Kielich Bezkresnych Wód.

Kiedy się wyprostowała, rosnące po drugiej stronie kwietnego szlaku kwiaty zaczęły lśnić, przyjmując niezwykłe kształty. Wydawało się, że są zrobione z jakiejś innej niż materia substancji. Maki połyskiwały niewiarygodnie intensywnym szkarłatem. Chwiejące się na zielonych łodygach bzy miały barwę delikatnego fioletu i mieniły się odcieniami widocznymi podczas zachodu słońca.

Liath posunęła się kilka kolejnych kroków do przodu. Na ścieżce pojawiła się mgiełka. Bez zastanowienia weszła w nią i wykonała kolejny znak.

- Czwarty stopień to kowalski Pierścień Ognia.

Mgła zafalowała wzdłuż ścieżki, wirując wokół kolan dziewczyny. Kolejne pięć kroków naprzód. Poprzez warstwę oparów ujrzała rzekę. Na odległym brzegu pomiędzy kamieniami stała jakaś postać. Nawet z daleka Liath rozpoznała zwalistą figurę i charakterystyczną twarz Ashioi. Kobieta ubrana była dziwnie, bo w ludzki strój. Wyglądała zupełnie nie na swoim miejscu, a zarazem znajomo, patrząc na rozpościerający się przed nią krajobraz.

Nagle Liath poczuła zapach róż, tak intensywny, że doznała zawrotów głowy.

A może to przez kobietę Ashioi, mającą na sobie tunikę Liath, tę samą, którą włożyła do sakw przytroczonych do siodła Resuelto w dniu, w którym ona, Sanglant i ich dziecko podjęli próbę ucieczki z Verny?

Było zbyt późno na odwrót. Liath nie mogła się zatrzymać i wyjaśniać wątpliwości. Musiała iść dalej.

Uklękła i znowu wykonała rysunek. A potem wstała i powiedziała:

- Tron Cnoty jest piąty.

Otworło się przed nią pole kwiatów. Zdawało się sięgać nieba. Chabry lśniły błękitem, płonąc niczym latarnie. Każdy kwiat przypominał gorejący głaz, pęknięty i roztrzaskany. W tym oszałamiającym otoczeniu Liath przeszła sześć kroków. Było trudno trzymać się ścieżki, choć jednocześnie całkowite zejście z niej było już niemożliwe.

- Następne jest Berło Mądrości.

Dotarła do rzeki. Nieco dalej kwietny szlak kończył się, stapiając się z korytem w jedno. Rzeka nie przypominała w żaden sposób ziemskiej. Wznosiła się ku niebu niczym Rzeka Niebios. Wartki, błękitnosrebrny strumień unosił się w górę. Jak we mgle, poniżej, a może powyżej wody, Liath ujrzała cienie rzeczy, które wciąż znajdowały się na lądzie: blada postać, bardziej cień niż ciało, skały porośnięte algami, tworzące chaotyczne, sekretne wzory, wyschnięte czarne drzewa.

Liath nie mogła przystanąć.

Jej stopy dotknęły wody i ta przestała nią być, gdy Liath zrobiła kolejnych siedem kroków. Brodziła w strumieniu eteru, płynącym w górę, do swej macierzystej krainy. Kiedy zanurzyła w nim rękę, wyczuła, że jest rwący i gorący.

Wykonała zarys kolejnego znaku, Korony Gwiazd. Narysowane kształty buchnęły złotymi iskierkami ognia.

- Na najwyższym stopniu jest Korona Gwiazd, pieśń mocy.

Zaczęła wspinać się w górę Rzeki Światła.

Przed nią otwierała się droga - rzeka, o której tyle razy mówili starożytni pisarze. Czy to spoina, łącząca dwie hemisfery kuli ziemskiej, o której pisał Teofrastus? A może słuszna była teoria Posidonosa, według której rzeka prowadząca ku niebiosom niosła ciepło w zimne rejony wszechświata?

I czy tylko drabina łączyła sfery? Liath ledwie podążała naprzód. Strumień silnie na nią napierał. Grunt pod stopami przemienił się w ciemność. Ponad jej głową błyszczały gwiazdy. Ich lśnienie przypominało

stalową ścianę, która stanowiła granicę najniższej sfery. Gdzieś z dołu dobiegł Liath dźwięk, jaki wydaje harfa, gdy trąca się jej struny. Przedziwna muzyka była raczej pulsowaniem niż melodią.

Z głównego nurtu rzeki zaczęły oddzielać się małe strumyczki, tak że zaczęła przypominać wijący się labirynt. W strumieniu eteru nurzały się jakieś niematerialne postacie o mglistych ludzkich zarysach, lecz składające się z nieśmiertelnych pierwiastków. Postacie te tańczyły na powietrznych polach, przez które przepływał strumień. Demony niższych sfer, te, które żyły poniżej księżyca. Kiedy ujrzaly Liath, nie uczyniły żadnego znaku. Ich taniec do muzyki sfer pochłaniał je całkowicie.

Kres nieba zaznaczył się w postaci błyszczącej ściany z bramą. Ze zdumieniem, odczuwanym, gdy ukochany zmarły krewny staje obok żywy, Liath rozpoznała to miejsce. Tata ćwiczył ją w poznawaniu jego ścieżek i przejść, prowadzących zawsze w górę. Choć droga była ciemna i zamglona, Liath miała poczucie, że wraca do domu. Podeszła do pierwszych wrót. Pamiętała je dobrze z miasta pamięci, z którego architekturą tata tak szczegółowo ją zapoznawał.

Czy wiedział, że miasto pamięci odbija, niczym mglisty wizerunek widoczny na powierzchni stawu, prawdziwą strukturę wszechświata? A może tylko uczył ją tego, czego jego samego nauczono i w ten sposób przekazał jej to, co pozostało nieznanne dla pokoleń magów przed nim?

To nieistotne.

Wiedziała, dokąd teraz podąży. Każde wrota były częścią skrzyżowania dróg łączących ze sobą światy.

Przy ścianie z bramą zbudowaną z eteru i światła stał strażnik, demon stworzony z powietrza i uzbrojony w białą jak lód włócznię.

- Do jakiego miejsca szukasz wejścia?

Liath doskonale знаła siłę imion.

- Nazywają mnie Bystrą.

Demon odsunął się, uderzony słowami, wciąż jednak blokował wejście.

- Dziecko Płomienia - rzekł - masz w sobie zbyt wiele śmiertelnych pierwiastków. Jesteś zbyt ciężka, by tu wejść. Co możesz mi dać, by zmniejszyć swój ciężar?

Już gdy to mówił, Liath uczuła, jak bardzo prawdziwe są jego słowa. Obciążało ją ubranie. Mogło spowodować upadek na ziemię, wprost do Przepaści. Przepadłaby wtedy na zawsze, gdyż nie posiadała skrzydeł.

Szybko zzuła buty i zaczęła ściągać opończę. Gdy ją zrzuciła, jej postać urosła. Uniósł ją eter. Strażnik zaczął blaknąć. Wkrótce Liath mogła już tylko widzieć jego włócznię.

Droga stała otworem.

Nie oglądając się za siebie, Liath przestąpiła próg bramy.

## **CZEŚĆ DRUGA GRÓB KRÓLOWEJ**



## Rozdział piąty ŻYCIE PO ŚMIERCI

### 1

Prawdopodobnie nie żył.

Gdy ryba obróciła się w jego rękach i wyśliznęła do wody, okazało się, że jest żywa. Hałaśliwie śmiejący się za jego plecami mężczyzna też był pełen życia, a krępy człowiek, który wczoraj groził mu siekierą, wyglądał na aż nazbyt żywotnego.

Wiedział, jak smakuje śmierć. Dopiero co wczoraj trzymał martwe, sine dziecko. Ciotka Bel nauczyła go jednak pewnej rzeczy - czasami zdarzało się, że nowo narodzone dusze potrzebowały impulsu, który pchnąłby ich ku nowemu istnieniu. Zaledwie ubiegłej nocy życie wyciekało z jego własnego ciała strumieniami krwi.

Trudno mu było uwierzyć, że jest wśród żywych, nawet stojąc po uda w zimnej wodzie, której wir ciągnął go w dół rzeki. Łatwiej było uwierzyć, że umarł, nawet jeśli ryby w koszyku stojącym na brzegu ruszały się, a w ich łuskach odbijały się promienie słońca. Jego towarzysz, Urtan, poklepał go po ramieniu i powiedział coś, co brzmiało bardzo pogodnie. Może śmierć wcale nie musi oznaczać przygnębienia, przynajmniej dopóty, dopóki Bóg zapewnia wesołą kompanię.

Pozostali, to znaczy Tosti i Kel, zaczęli ochlapywać się nawzajem wodą, aż wszystkie wścierze zostały wyciągnięte na brzeg i opróżnione. Kel wrzucił je z powrotem do wody i trochę popływali, śmiejąc się i gadając. Gestami pokazywali mu, by do nich dołączył.

Alain, leżąc w wodzie na plecach, dał się lekko ponieść prądowi. Czy nie tego śmierć domaga się od nieżyjących? Prawdopodobnie miał podążyć Rzeką Niebios, kierując się do Komnaty Światła, robiąc przerwy na poszczególnych przystankach. Ledwie jednak zanurzył głowę pod wodę, usłyszał szczekanie psów. Kiedy wyłonił się i stanął, Smutek rzucił się w wodę i zaczął szaleńczo przebierać łapami, zaś Furia szczekała, najwyraźniej zaniepokojona.

- Nie, nie, przyjacielu - rzekł Alain, ciągnąc psa na płyciznę za przednie nogi. - Zostanę w tym miejscu przez jakiś czas, jeśli Bóg tego zechce.

Kompani podплыnęli bliżej, niepewni co do jego zamiarów. Uśmiechali się, gdy wyciskał wodę z włosów, a potem śmiali, gdy nad otrząsającym się ogarem uniosła się wodna mgiełka.

Wioska leżała za rzeką. Natomiast za zrobionymi z drewna i darni chatami stał ogromny kopiec ze świeżo utworzonymi wałami obronnymi i kręgiem kamiennych płyt na płaskim szczycie. Grobowiec w jakiś sposób przypominał mu pole bitewne, na którym padł. Jednak rzeka tutaj płynęła w innym kierunku, natomiast lasy nie porastały zachodniej i północnej części krainy i nie były tak gęste. Kopiec zaś wyglądał na bardzo stary. Nie było też wioski, leżącej u jego stóp. Nie, to nie tutaj zginął.

- Ale to jest dobre miejsce - zapewnił Smutka, który patrzył na niego z wyrzutem. Furia nadstawiła się, oczekując głaskania i podrapania. - Czy jednak nie wydaje wam się dziwne, że w życiu pozagrobowym nie istnieje broń z żelaza? Ludzie tutaj noszą sztylety z krzemienia, a ich sochy przypominają wielkie widelce w kształcie drzewa, orzące ziemię. Wydaje mi się dziwne, że Bóg pokarał prostych ludzi, czyniąc ich codzienną pracę cięższą, niż to ma miejsce w innym świecie.

Tak powiedziałaaby ciotka Bel. Ale, oczywiście, teraz już nie miał ciotki, nie miał rodziny. Był osieroconym dzieckiem prostytutki.

- Alain. - Urtan wskazał na koszyki. Do ich uniesienia potrzeba było dwóch mężczyzn.

Może i nie miał rodziny, ale tutaj go potrzebowali, nawet jeżeli tylko do tak prostych czynności jak niesienie do wioski kosza z rybami. Czy nie oddał wszystkiego, co miał, kobiecie-centaurowi? Może na tym przystanku podróży ku Komnacie Światła miał się nauczyć zapominać o poprzednim życiu.

Poszli w górę stoku. Dzieci wrzeszczały, widząc kosz z rybami, a po kilku dobrodusznym żartach Alain zrozumiał, jak łatwo nauczył się kilku prostych wyrazów: „ryba”, „koszyk”, „nóż” i „dziecko” - słów często używanych przez otaczających go chłopców i dziewczynki.

Nieźłym pomysłem było uczyć się tyle, ile potrafił, choć nie wiedział, jak długo tu zostanie i gdzie

znajdzie się na końcu swej wędrówki.

Przy wrotach ujrzał Adikę. Teraz, gdy nie miała jelenich rogów ani przepasek, czyniących ją groźną i imponującą, wyglądała jak zwykła młoda kobieta z blizną na policzku. Patrzyła, jak wnoszą kosze do wioski, a on uśmiechnął się, nie wiadomo dlaczego rad, że ją widzi. Iskierka zadowolenia przypomniawszy mu wczorajszą noc, kiedy to Adika oświadczyła, iż Alain może spać w jej łóżku. Uśmiech, który mu przesłała w odpowiedzi, sprawił, że spódnica ze sznurków zakotłosała się, ukazując jej nagie uda.

Alain zarumienił się i spojrział w bok. Uczynił przysięgę Talli, czyż nie? Jeśli miałby ją odwołać, jeśli musiałby uznać, że on i Tallia nie są już dłużej mężem i żoną, oznaczałoby to pogwałcenie kościelnych praw. Nie powinien adorować innych kobiet.

Jednakże kiedy dotarli do wielkiego domu w centrum wioski, zerknął na jego drzwi. Stała tam Adika obok starszej kobiety zwanej Orlą. Czyż nie porzucił wszystkich przysięg i obietnic, kłamstw i sekretów? Czy kobieta-centaur nie zabrała jego poprzedniego życia, pozostawiając go nagiego jak dziecko w innym świecie?

Prawdopodobnie, niczym noworodek, musiał na nowo nauczyć się oddychać. To być może było sekretem jego podróży - na każdym przystanku uczyłeś się jakiejś nowej lekcji, a potem znowu ruszałeś w dół rzeki, aby stanąć przed obliczem Boga.

W wielkim domu roiło się od dzieci w różnym wieku i z jakiegoś powodu, którego Alain nie mógł pojąć, Urtan rozdawał ryby. Mała porcja została również dla Tosti i Kela.

- Chodźcie, chodźcie - wołał Kel, który w dniu swych urodzin był najwidoczniej ukąszony przez pszczołę niecierpliwości. On i Tosti mieli mniej więcej tyle samo lat i byli do siebie bardzo podobni, choć nie pod względem temperamentów. Poprowadzili Alaina do innego dużego domu. Miał kamienną podmurówkę, drewniane filary oraz belki i pokrywała go strzecha. Przy jego jednym końcu dobudowano stajnię. Choć pusta, czuć w niej było zapach bydła. Wewnątrz Kel pokazał mu futra i maty utkane z trzciny, rozłożone na drewnianych podestach, znajdujących się pod pochyłymi ścianami domu. Młodzik wskazał mu miejsce, gestami dając do zrozumienia, że tu może się zdrzemnąć. Alain pięć razy musiał powtórzyć słowa „spać” i „łóżko”. Zadowolony Kel wyprowadził Alaina na zewnątrz. Zaczęli patroszyć ryby, odkładając oczyszczone z wnętrzości mięso na specjalne podkładki, zrobione z wiklinowych witek. Alain usiłował się połapać, jak używać krzemienno noża, a Tosti wreszcie pozostawił go samego, by mógł w spokoju uczyć się tej sztuki.

Były i inne obowiązki do wykonania. Jak mówiła ciotka Bel, „praca nigdy nie ustaje, to tylko nasze krótkie życie się kończy”. Praca pomagała mu zapomnieć. Brał się do niej chętnie, niezależnie, czy to było patroszenie ryb, czy, jak dziś, ścinanie drzew na budowę palisady. Nauczył się pracować kamienną siekierą, tak samo dobrą jak siekiera z żelaza, do której przywykł. Po paru nieudanych próbach nauczył się też władać krzemienno toporem.

Czy Bóg chciał, by ludzie uświadomili sobie, że w Komnacie Światła nie ma wojen? Wojnę można było prowadzić dzięki żelazu - z niego zrobiona była broń. To właśnie za pomocą żelaza Pani Bitew zadała śmiertelny cios.

Jednakże, jeśli ludzie tutaj nie znali wojny, po co fortyfikowali swoją wioskę?

Kel niecierpliwił się z powodu tempa, w jakim Alain okorowywał pień drzewa. Gestami nakazał mu, by zajął się raczej ścinaniem. Tosti zbeształ Kela, lecz Alain, dobroduszny z natury, zmienił topór na siekierę. On i Urtan wybrali miejsce, gdzie rosły dorodne buki i zaznaczyli cztery drzewa do ścięcia.

Alain zmierzył odległość i kąt, pod jakim upadnie drzewo i zaczął je ścinać. Najpierw źle się zamachnął i o mało nie trafił we własne nogi. Nagle zza jego pleców wyłonił się jakiś mężczyzna. Z głośnym przekleństwem wraził siekierę w pień. Poleciały drzazgi.

Alain zawahał się, zdumiony. Obcy odwrócił się i spojrział na niego z niesmakiem i wyzwaniem w oczach. To był mężczyzna, który groził mu wczoraj, a którego zwali Beor. Był wzrostu Alaina, bardziej od niego postawny, z rękami mogącymi kruszyć skały.

Mężczyźni wokół zamilkli. Dwóch innych, których twarze Alain rozpoznał, wyszło z głębi lasu. Wszyscy czekali i obserwowali całą scenę. Nikt się nie poruszał, nikt się nie wtrącał. Dawniej, gdy ogniwo łączące go z Piątym Synem, zwanym Silnorękim, wyostrzało jego zmysły, Alain słyszałby każde trzaśnięcie pod stopami Beora i każdego innego mężczyzny, przygotowanego do ataku. Mógłby poczuć i posmakować złości i zazdrości Beora. Teraz jednak Silnorękiego nie było w jego myślach. Ten brak czynił serce Alaina pustym i zwiotczałym. Czy przekazał krwawe ogniwo czarownikowi-centaurovi, czy utracił więź z Silnorękim dlatego, bo krew w istocie nie mogła zwyciężyć nad śmiercią?

Zazdrość i złość są łatwe do odczytania dzięki wyrazowi twarzy i postawie, jaką człowiek przybiera. Furia przysiadła obok Alaina. Cicho warknęła.

Alain wyciągnął siekierę z drzewa. Podał ją Beorowi i ten po chwili zawahania pochwycił ją gwałtownie.

- Bardzo dobrze radzisz sobie z tą siekierą - powiedział Alain z prowokującą uprzejmością. - Ja zaś nie mam wiele doświadczenia z tym narzędziem, bo do niego nie przywykłem. Ale mam zamiar ściąć to drzewo i zrobię to. Będę wdzięczny, jeśli usuniesz się na bok.

Z rozmysłem odwrócił się do Beora plecami. Pod ciężarem spojrzeń gapiów jego pierwsze ciosy siekierą były niezręczne, jednakże uparcie kontynuował pracę. Tymczasem Beor w sposób zapewne obraźliwy komentował jego brak zręczności w posługiwaniu się narzędziem. Dlaczego ten człowiek tak go nienawidził?

Mężczyźni wrócili do swych zajęć. Beor pozostał, silny i wrogi.

Gdyby zaatakował z tyłu, mógłby powalić Alaina jednym ciosem, roztrzaskać mu głowę lub okaleczyć jednym cięciem siekiery.

Nieważne. Alain kontynuował pracę, tnąc drzewo, aż klin na jego powierzchni zaczął się poszerzać. Buk zatrzeszczał i runął na ziemię. Beor spojrzał na Alaina tak groźnie, że ten aż się cofnął. Urtan natomiast powiedział coś cierpko, lecz nikt się nie roześmiał. Albo tak bardzo obawiali się Beora, albo darzyli go zbyt wielkim szacunkiem, aby z niego żartować.

Dobrze było znać charakter przeciwnika. To dlatego Alain utracił hrabstwo Lavas na rzecz Geoffrey'a: nie rozumiał jego zazdrości i nienawiści. Czy mógłby odzyskać hrabstwo i Tallię, gdyby postępował inaczej?

Co jednak daje rozdrapywanie rany zamiast jej leczenia? Hrabstwo Lavas należało teraz do córki Geoffrey'a. Tallia opuściła go z własnej woli. Musiał się z tym pogodzić.

Kel zaczął okorowywać ścięte drzewo, a Alain zabrał się za kolejne. Beor w końcu wycofał się do swoich zajęć, choć od czasu do czasu Alain czuł na sobie jego wzrok: był niczym zatruta strzała, wymierzona w jego plecy. Nie odpowiadał na pełne gniewu spojrzenia Beora. Skoncentrował się na pracy.

Późnym popołudniem zaprzęgnięto wołu. Zwierzę miało pociągnąć ścięte i okorowane pnie do wioski. Po plecach Alaina spływał pot. Inni mężczyźni nosili odzienie zrobione z płótna lub ze skóry. Tunika, którą dała mu Adika, w najmniejszym stopniu nie przypominała ich ubrania. Była starannie utkana i uszyta tak zgrabnie, że łatwo było się w niej poruszać, pomimo że spadała mu z ramion i trzeba było przewiązać ją wokół bioder sznurkiem z łyka. Mężczyźni zamieszkujący w wiosce byli krępej budowy ciała, muskularni i dość owłosieni. Mieli śmiałe, żywe oblicza i często się śmiali. Nie przypominali ludzi, których Alain znał czy kiedykolwiek widział, jak gdyby w pośmiertnym życiu Bóg zdecydował się zmienić wygląd rasy ludzkiej.

W przeciwieństwie do Kela, Urtan był obdarzony cierpliwością i pozostał w tyle, by uczyć Alaina nowych słów: nazw drzew, części ciała, rozmaitych narzędzi i rodzajów kamieni, z których były zrobione. Beor kroczył na przedzie kompanii, co i raz rzucając Alainowi gniewne spojrzenia. Jednakże w przeciwieństwie do strzały spojrzenie nie mogło uczynić krzywdy. W napadzie wściekłości Beor mógł zranić albo nawet zabić, ale nie potrafił zaszkodzić w inny sposób, gdyż nie był na to wystarczająco subtelny.

Tego wieczoru mieszkańcy wsi spożywali ryby, dziczyznę i polewkę zrobioną z jęczmienia z ziołami i liśćmi, osłodzoną jagodami. Urtan jadł w towarzystwie swej rodziny - żony Abidi, córki Urty i raczkującego niemowlęcia o niemożliwym do wymówienia imieniu. Alain posilał się w grupie nieżonatych mężczyzn, którzy - z wyjątkiem Beora - ledwie przekroczyli próg dorosłości. Adika jadła w samotności, ale kiedy Alain chciał usiąść obok niej, Kel schwycił go za rękę i odciągnął na bok, gestami informując, że takie zachowanie nie jest dozwolone. Adika obserwowała go, a teraz uśmiechnęła się lekko i rozejrzała wokół. Blizna na jej twarzy wyglądała jak zamarznęta pajęczyna. Biegła od prawego policzka poprzez szczękę i zniknęła w okolicach szyi. Adika nie miała koniuszka prawego ucha, jednak zostało ono tak starannie wyleczone, że nie było śladu po zniekształceniu.

Beor wstał gwałtownie ze swego miejsca i zaczął snuć opowieść. Zapadał zmrok. Rozwodził się niczym mężczyzna opowiadający swe wojenne czyny. Czy się przechwalał? Kel i Tosti zaczęli ziewać, a Adika wstała w środku opowieści i wyszła. Alain chciał pójść za nią, ale nie wiedział, czy jest to dozwolone. Beor wreszcie skończył swą opowieść. Zbliżała się pora spoczynku. Przyjaciele Alaina wskazali mu miejsce obok siebie, naprzeciwko Beora. Był dostatecznie zmęczony, by szybko zapaść w sen, jednakże kiedy wyciągnął się na skórach, poczuł, że coś go uwiera. Zaczął szukać po omacku i wreszcie natrafił na kamienie. Z bliska okazały się czymś w rodzaju naszyjnika. Zapewne już wcześniej musiały tu leżeć.

Kiedy ocknął się o świcie, pospieszył na zewnątrz, by przyjrzeć się znalezisku: ktoś podarował mu

naszyjnik z bursztynu? Potykając się, nadszedł zaspany Kel i aż gwizdnął z podziwu, po czym zawołał innych. Wszyscy żartowali sobie dobrodusznie z Alaina. Wszyscy z wyjątkiem Beora. Ten stał z boku.

Przy wrotach wioski Adika wykonywała codzienny rytuał nakładania zaklęcia ochronnego. Usłyszawszy śmiech, spojrzała w stronę grupki mężczyzn. Alain nie widział wyraźnie jej twarzy, lecz widział całą postać - sposób, w jaki nieco nieśmiało się wyprostowała, zarys piersi pod bluzką, falowanie spódnicy, gdy ruszyła w stronę drewnianego mostku. Trudno było nie poczuć się rozproszonym, patrząc na jej biodra rysujące się pod spódnicą.

Kel i Tosti rechotali serdecznie, poklepując się po ramionach. Alain domyślał się, co znaczą te słowa: prezenty, kobiety i powłóczyście spojrzenia. Niektóre rzeczy nie zmieniają się, nawet po śmierci.

Przebył daleką drogę. Nie nosił już pierścienia, który czynił go spadkobiercą hrabstwa Lavas. Nie musiał już dłużej dotrzymywać przysięg, które złożył Talli. - Nie służył już Pani Bitew. Uśmiechając się, założył bursztynowy naszyjnik. Gest ten wywołał okrzyki radości i śmiech wśród obecnych.

Tego dnia zaciągnęli ścięte drewno na miejsce budowy palisady. Beor nie podtrzymał pała w momencie, gdy Alain pośliznął się w błocie, co sprawiło, że wielki kłoc drewna upadł na ziemię, przewalając dwa inne. Na szczęście nic się nikomu nie stało, jednakże Beor został zbesztany przez jednego ze starszych mężczyzn.

Po pracy Alain poszedł z Kelem i Tosti wykąpać się w rzece.

- Chodź! - krzyknął Kel, nurkując pod wodę. - Dobra! - zawołał, wynurzając się, by zaczerpnąć powietrza. - Dobra woda. Woda jest dobra.

Alain był nieco rozproszony widokiem kopca. Tutaj, poza wioską, rzeka płynęła blisko szanćów. Wały wyrastały po jej prawej stronie, z wyjątkiem niewielkiego pasma kamiennej plaży, na której się znajdowali. Alain stał pod takim kątem, że nie mógł dostrzec kamiennego koła, niemniej jednak widział, że coś błyszczy na szczycie kurhanu. Krzywizna kąta szanćów przypominała mu bitwę, w której poległ. Słyszał okrzyki Thiadbolda, przypominające diabelskie głosy. Nawiedziło go wspomnienie przeszłości. Czy na bitewnym polu spoczywały kości jego wrogów? Dwa dni temu wędrował za Adiką oszołomiony i nie miał możliwości rozejrzeć się po otoczeniu.

Tknięty ciekawością i złym przeczuciem zaczął się wspinać. Jego towarzysze wołali za nim, najpierw rozbawieni, potem niezadowoleni, a gdy wspiął się na jeden z szanćów i szczywał, by wejść na drugi, przejści lękiem. Nikt jednak za nim nie szedł. Na szczycie wałów hulał wiatr. Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, dało się słyszeć pohukiwanie sowy. A potem nadciągnęły chmury, przyćmiewając jego blask. Alain zaczął biec z psami przy boku, pewien, że za chwilę ujrzy swych towarzyszy Lwów, poległych wśród qumańskich wrogów. Ich skrzydła będą leżały porozrzucane, aż zniszczy je wiatr i słońce.

Ledwie dotarł do kamiennego kręgu, podniosła się mgła. Alain ruszył do przodu, otoczony białymi pasmami. Czy w oddali znajduje się pole bitwy? Czy jeśli poszedłby dalej, dotarłby do miejsca, z którego pochodził?

Czy tego właśnie chciał?

Zatrzymał się przy skalnej ścianie i z całej siły uderzył w kamienny ołtarz. Wtedy rozległo się delikatne dzwonienie. Nie tyle broni, ile liści na kotle z brązu.

- Dlaczego przyszedłeś pod wrota? - zapytał głos znany mu ze snu.

Spojrzał w górę, lecz zobaczył tylko jakiś zarys postaci we mgle i iskierkę błękitnego ognia, która szybko zgasła.

- Gdzie ja jestem? Dlaczego...

- Nie wywędrowałeś daleko, operując przyjętymi przez ludźmi miarami odległości - odpowiedziała postać. - Zabrałam cię ze ścieżki prowadzącej na Drugą Stronę. Czy nie powiedziano ci, że będziesz nowym mężem Wybranej tego plemienia?

Alain dotknął naszyjnika, przypominając sobie sposób, w jaki Adika zaprosiła go, by spał u jej boku. Był zły. Czuł, że jego pożądanie jest czymś niewłaściwym.

- Nikt nie posługuje się zrozumiałym dla mnie językiem. Jak to możliwe, że możemy ze sobą rozmawiać, ty i ja, skoro jestem cudzoziemcem? Ty zaś nie jesteś człowiekiem.

- Ze swej natury jestem połączona z tym, co było, co jest i co będzie, tak więc moja zdolność pojmowania dotyczy czasu przeszłego, obecnego i przyszłego. - Nagle jej głos się zmienił, tak jakby mówiła do kogoś innego. Alain słyszał delikatne uderzenia kopyt o grunt.

- Jestem wzywana. Adika nadchodzi, szuka cię. - Dodała ciszej: - Bądźcie ostrożni. Pilnujcie warsztatu. Nadchodzą Przekłęci!

- Czy możesz sprawić, bym mówił ich mową? - zapytał jeszcze Alain.

- Alain!

Mgła rozproszyła się tak samo nagle, jak powstała. Nadchodziła Adika. Zaczynał zapadać zmierzch. Alain usiadł, zmęczony pracą i dziwnym wydarzeniem.

Adika stanęła przed nim i popatrzyła na niego, niespokojna i lekko poirytowana. Była raczej przystojna niż ładna ze swoim przenikliwym spojrzeniem i stanowczymi ustami. Stała tak blisko, że Alain mógł przyjrzeć się jej ciału: miała przyjemne krągłości kobiety, która jada do syta, ale posiadała jeszcze więcej - nieuchwytną siłę, podobną do blasku ukrytego ognia. W jakiś sposób przypominała mu Liath, jakby magia narzuciła na nie płaszcz władzy, dając im aureolę mocy.

Adika chyba go zganiała, choć nie był pewien, za co. Nagle ujrzała naszyjnik z bursztynów, spoczywający pod jego tuniką.

Wymówki ustały. Powiodła palcem po brzegach bursztynowego sznura, dotykając go przez delikatny materiał. Zarumieniła się.

- To od ciebie go dostałem? - zapytał, pokazując na naszyjnik.

Odpowiedziała pieszczotliwym, flirtującym tonem.

- Boże, chciałbym móc cię zrozumieć - zawołał zmartwiony. - Czy to prawda, że mam być twym mężem? Jak mamy być małżeństwem, skoro tak niewiele o sobie wiemy? Chociaż o Talli nie wiedziałem nic, gdy szliśmy do małżeńskiego łóża. Ach, Pani, jak niewiele o niej wiedziałem! - Wciąż czuł gwoździe w rękach - dowód zdrady.

Błędnie rozumiejąc płacz albo w odpowiedzi na jego łzy, Adika pociągnęła go za rękę, tak że musiał wstać. Przez chwilę myślał, że chce go pocałować, ale nic takiego nie nastąpiło. W ciszy ruszyli ku wiosce. Dotyk jej ręki sprawił, że myśli zawirowały mu w głowie. Wróciły do niego ostatnie słowa centaury-szamanki. Kim byli Przekłęci? Czym były kamienne warsztaty? I jak miał rozmawiać z Adiką, skoro nie znali tego samego języka?

## 2

- Wstawaj, słońce już wzeszło! - Kel zbudził Alaina szturchnięciem. - Do pracy! - Zrobił zamaszysty gest, wskazując siebie, Tosti i Alaina. - Idziemy do pracy!

Alain przeżył w wiosce trzy kolejne dni. Było to całkiem zasobne miejsce, składające się z dwunastu domów. Mieszkało w nim około setki ludzi. Zbudowano już czwartą część palisady, a dziś znowu wyprawiano się do lasu po drzewo. Praca sprawiała, że dzień mijał szybko.

Podczas przerwy w robocie Kel zakończył wycinanie dębowego kija, ozdabiając każdy jego koniec głową warczącego psa. Kiedy stojący nieopodal Alaina Beor podniósł siekierę z pewnym siebie i ostrzegawczym uśmiechem, Kel zademonstrował Alainowi nowo powstały kij i nawet pokazał przy pomocy Tostiego, jak owa broń może urazić mężczyznę we wrażliwe części jego ciała.

Śmieszki dotyczyły tym razem Beora. Chrząknął i zniósł je bez słowa, jako że oddalenie się w głąb lasu wystawiłoby go na jeszcze większe pośmiewisko. Niechętnie pozwolił Alainowi pracować w spokoju. Tak ubiegło im popołudnie.

Kiedy jednak wrócili do wioski, ujrzeni ponurą scenę. Zmarło jedno z dzieci. Wiedzieli, że przyszła śmierć, wystarczyło bowiem spojrzeć na twarze rodziców. Alain patrzył, jak kobiety zawijają drobne ciało w grubo tkany koc, a potem podają je ojcu. On złożył zwłoki w wydrążonej kłodzie drewna, pełniącej funkcję trumny. Matka włożyła do niej jakieś świecidełka, paciorki, piórka, zaś obok wytatuowanego nadgarstka dziecka umieściła drewnianą łyżkę. Pozostali zamknęli wieko trumny. Wszyscy zaśpiewali jakąś pieśń, która zapewne była modlitwą.

Z domu Adiki wyłoniła się dziwna, na wpół ludzka postać. Przystrojona była w jelenie rogi, a jej ciało świeciło. Alain dwa razy zaczerpnął powietrza, nim rozpoznał Adikę, odzianą w rytualny strój, ten sam, który miała na sobie, gdy Alain zobaczył ją po raz pierwszy.

Pobłogosławiła trumnę, spryskując ją pachnącą wodą. Potem wykonała kilka skomplikowanych gestów i zaintonowała jakąś pieśń. Czterech mężczyzn wyniosło trumnę poza obręb wioski, zaś Adika, wciąż śpiewając, oznaczyła ich drogę zakłęciami. Cała wioska ruszyła w milczącej procesji na cmentarz - pole z usypanymi nań kopczykami. Niektóre były całkiem świeżo usypane, inne zdążyły już porosnąć pokrzywami i chmielem. Spokrewnieni ze zmarłym dzieckiem mężczyźni włożyli trumnę do wykopanej w ziemi dziury. Jego matka obcięła warkocz i wrzuciła go do trumny, a potem zaczęła rozdrapywać policzki, aż popłynęła krew. Płaczki zaczęły wydawać żałobny dźwięk; matka dziecka nie płakała,

wzdychała tylko. Wyglądała na wyczerpaną i w pewnym sensie chyba czuła ulgę.

Może dziecko było chore od dłuższego czasu. Alain nigdy nie widział go biegającego, bawiącego się czy wykonującego jakieś drobne obowiązki wraz z innymi dziećmi.

Trumna spoczęła w ziemi i zaczęło się usypywanie kopczyka. Parami i trójkami ludzie powracali do wioski, leżącej za zakrętem rzeki. Alain pozostał z tyłu, ponieważ Adika nie ruszyła ze wszystkimi. Smutek i Furia położyły się na ziemi.

Nadszedł zmierzch. Nawet po pięciu dniach swego pobytu tutaj Alain zauważył, że coraz wcześniej robi się ciemno. Sądząc po zbiorach i po pogodzie, było późne lato bądź wczesna jesień.

Kilku mężczyzn pracowało wytrwale, przywożąc darń w drewnianych taczkach. Alain zaczął im pomagać, podczas gdy Adika stała ze wzniesionymi rękami, milcząco wpatrując się w niebo i zanosząc doń modlitwy. W swoim rytualnym stroju wyglądała niesamowicie i zdumiewająco, niczym duch, który powstał z ziemi, by nieść proszącym pomoc lub cierpienie.

Przyniesiono pochodnie i osadzono je na palach, tak by można było kontynuować nocną pracę. Na niebie wisiał księżyc w pełni.

Adika lśniła w jego świetle, pół jeleń, pół kobieta, zmiennokształtna istota, która w każdej chwili mogła zniknąć w lesie, umykając na czterech nogach.

Zobaczył je nagle, jako że światło gwiazd wypala nieraz dziury w ślepotcie śmiertelników i pozwala zobaczyć duchy. Alain ujrzał duchy i zjawy ludzi znajdujących się u progu śmierci - widziadła snujące się po ziemi, oczekujące na pogrzeb. Czy była wśród nich dusza zmarłego dziecka z wioski, która czekała na uwolnienie bądź chciała powrócić na ziemię? Czy łkać wraz z jego matką, czy krzyczeć, że umarło?

Duchy jednakże nie mogły tknąć żywych. Adika w swym rytualnym stroju rozpostarła sieć, podobną do siatki pająka, tak by trzymały się z daleka. Sieć załśniła, jak gdyby spadła na nią rosa błyszczących gwiazd. Żadne głodne duchy nie mogły się przez nią przedostać. Pod jej ochroną kopiący grób mężczyźni pracowali spokojnie, trochę może poruszeni, lecz ufający Wybranej. Znali jej moc, nawet trochę się jej obawiali.

Smutek zaskowyczał.

Widziadła zniknęły. Wargi Adiki poruszały się, gdy wypowiadała kolejne zaklęcia. Księżyc był coraz wyżej, aż wreszcie zaczął znikać. Kopiec został wreszcie usypany. W grobowej ciszy nocy wydawał się samotny i opuszczony. Ojciec pochowanego dziecka otarł oczy. Mężczyźni pobierali swe narzędzia i ruszyli z powrotem do wioski, nie bez lękliwego oglądania się do tyłu.

Jednakże Alain ociągał się, czekając. Adika obeszła wokoło kopczyk. Na tle nieba odbijały się jej jelenie rogi. Kilka razy postukiwała miedzianymi bransoletami w spiralne obręcze na rękach. Wśród nocy rozlegał się dźwięk, jaki mogłyby wydawać frunące anioły.

Co Adika mogła wiedzieć o aniołach? Nikt tutaj nie należał do Kręgu Jedności. Alain widział ołtarze i ofiary, przypominające mu zwyczaje, których praktykowania zabraniali ojcowie duchowni czy diakoni, a do których ludność mocno przywarła. Rytuały Adiki nie wyglądały jak działania Wrogięgo, choć Alain prawdopodobnie powinien był uważać, że nimi są.

Adika w milczeniu przystanęła po zachodniej stronie kopca. Teraz była po prostu Adiką z tą swoją przerażającą blizną na policzku, kobietą, którą słyszał pytającą szamanki-centaura we śnie, czy on będzie jej mężem. Powiedziała jakieś słowa płynące wprost z serca, w których pobrzmiwała tęsknota.

- Alain! - Zdziwiła się, gdy go dostrzegła. Wyćwiczonymi ruchami zdjęła odzienie Wybranej i zawinęła je wraz z rytualnymi przedmiotami i zwierciadłem w skórę, nie zaniedbując zaklęć i modlitw, mających przypieczętować magiczną moc.

Przewiesiwszy worek przez plecy, ruszyła ku wiosce. Alain szedł obok niej, zaś psy podążały z tyłu. Za pomocą laski mierzył ich drogę. Światło księżycy czyniło ją prostą i widoczną.

Przeszli przez wąski pasek lasu i znaleźli się na zachód od wioski. Księżyc srebrzył wody rzeki. W oddali widniał kurhan. Przy wioskowych wrotach płonął strażniczy ogień. Niedaleko znajdował się dom połogów. Z jego wnętrza dobiegał płacz dziecka. Odezwiał się słowik, następnie zamilkł. Po wschodniej stronie nieba pojawił się nikły blask zwiastujący świt, podczas gdy księżyc chylił się ku zachodowi. Budziły się ptaki, a stado gęsi osiadło na płyciźnie rzeki. Gdzieś daleko zawył wilk.

Adika ujęła Alaina za rękę. Przylgnęła do niego, po czym pocałowała. Jej wargi były słodkie i wilgotne. Kiedy ich ciała zetknęły się, Alain poczuł pożądanie. Jego ręka zaplątała się w sznurki jej spódnicy i dotknęła skóry.

W jego umyśle odezwiał się jakiś cichutki głosik. Czy nie składał przysięg? Czy nie przysięgał Talli czystości w imię Boga? Czy nie powinien pamiętać, iż obiecywał swemu przybranemu ojcu, że będzie posłuszny Kościołowi i jego zasadom?

Pozwolił, by jego dębowa laska upadła na ziemię i wziął Adikę w ramiona. Otoczyły go jej ciepło i akceptacja. Przybywając do tego kraju, pozostawił takie uczucia za sobą. Teraz zaś mógł robić to, czego pragnął, a pragnął obejmować kobietę, która go pożałowała.

Długi czas temu, kiedy w swoich snach łączył się z Silnorękim, Alain miał zdolność szybkiego słyszenia różnych odgłosów. Teraz, gdy trwał w uścisku Adiki, dźwięk rogu bardzo go zaskoczył. Smutek i Furia zaczęły szczekać. Adika odwróciła głowę, nadstawiając uszu.

Słońce jeszcze nie wzeszło, jednakże na szczycie kurhanu pojawił się blask światła. W oddali dało się słyszeć grzmot, który po chwili ustał.

Adika krzyknęła coś głośno, lecz Alain nie zrozumiał jej. Kiedy schyliła się, by podnieść swój węzełek, nad jej plecami przeleciała strzała, dokładnie w miejscu, w którym stała przed chwilą. Alain rzucił się i przygniótł Adikę do ziemi. Strzały przeleciały, nie czyniąc im krzywdy. Trafiły w ziemię.

Z lasu wyłoniły się jakieś postacie. Ponownie zabrzmiał róg, ostro i niespokojnie.

Zamaskowani bandyci ruszyli ku domowi połogów, gdzie wciąż przebywała Weiwara ze swymi bliźniakami. Adika już się wyprostowała, i rzuciwszy węzełek na ziemię, chwyciła do ręki swą laskę. Smutek i Furia popędziły za nią, zaś Alain zabrał swój kij i pobiegł za nimi.

Jakkolwiek szybko biegli, bandyci dopadli do domu połogów pierwsi, mimo że Adika głośno krzyczała imię Weiwary. Za późno.

Dał się słyszeć krzyk matki i gniewne wrzaski, po których coś ciężkiego uderzyło o drewno. Z domu wypadły dwie postacie, każda z nich z małym zawiniątkiem w rękach. Adika znalazła się na tyle blisko jednego z nich, że zadała mu cios laską. Uderzyła go tak mocno w kolana, że się potknął. Drugi pomknął do lasu, podczas gdy pierwszy z napastników odwrócił się i, trzymając dziecko jedną ręką, drugą wyciągnął miecz. Brzask odbił się krwawo w stali. Najeźdźca zadał cios. Adika zatoczyła się. Wschodzące słońce oświetlało twarz napastnika, który w przeciwieństwie do swego towarzysza nie nosił maski. Nie był człowiekiem: miał ciemną cerę i włosy oraz ostre rysy twarzy, przypominające Alainowi księcia Sanglanta.

Z chaty wyłonił się kolejny wojownik Aoi. Tym razem była to kobieta, nosząca tak samo jak jej kompani napierśnik nałożony na krótką tunikę. We włosach miała pióropusz, zaś jej maska wyobrażała głowę sokoła z zagiętym dziobem. Nosiła małą, okrągłą tarczę i krótką włócznię.

Alain zaatakował swoim kijem. Kobieta ledwie miała czas, by sparować cios. Jej towarzysz, któremu dziecko utrudniało ruchy, chciał ciąć mieczem raz jeszcze, lecz Adika wykazała się świetnym refleksem. Odkoczyła do tyłu, robiąc zamach swoją laską, kierując ją tym razem nie na napastnika, ale na wojowniczkę. Zadała jej mocny cios w szczękę. Z karku Aoi pociekła krew, a ona sama wydała okrzyk bólu. Alain skoczył na prawo, zbliżając się do dwóch kobiet. Usłyszał hałasy dobiegające z domu połogowego i głos Kela. Nagle pojawili się Kel i Tosti z włóczniami w rękach!

Wojownik Aoi rzucił dziecko na ziemię i pognał w stronę lasu; Alain pochwycił kobietę, gdy usiłowała uciec. Upadła na ziemię. Adika odsunęła się, zaś Kel i Tosti wydali okrzyk triumfu. Wojowniczką Aoi zasłoniła się tarczą.

- Nie! - zawołał Alain. Kobieta była w tej chwili bezbronna i bardziej miłosiernym czynem byłoby wzięcie jej jako jeńca. Lecz oni nienawidzili Aoi. Alain skrzywił się, gdy włóczniami przebili jej ciało. Na ziemię połała się krew.

Dziecko zapłakało.

- Weiwara! - krzyknęła Adika, spiesząc do domu połogów.

Alain oderwał wzrok od nieżyjącej wojowniczką i rozejrzał się wokół. Tosti pobiegł za Adiką. Kel wyrwał z ciała włócznię i złapał Alaina za ramię.

- Chodź! Chodź! - Kel schylił się, podnosząc płaczące dziecko.

Zza wałów obronnych wyłoniło się około dziesięciu wojowników Aoi. Mieli broje z brązu i broń wykonaną z metalu.

- Chodź! - wrzasnął Kel, gestami wskazując wioskę i jej zamknięte wrota. Przy jednym z szańców, twarzą do ziemi, leżał mężczyzna. Nieco dalej, za zrujnowaną chatą, kryło się kolejnych pięciu Aoi. Ze swej kryjówki wypuszczali w kierunku wioski płonące strzały. Wieś była łatwym celem, osłonięta tylko niską palisadą.

Adika i Tosti wynurzyli się z domu, dźwigając bezwładną Weiwarę. Krew ściekała po jej posiniaczonej twarzy, lecz Weiwara wciąż oddychała.

- Drugie dziecko! - wrzasnął Alain. Wskazał na płaczące niemowlę, a potem na las.

- Nie! - krzyknęła Adika, pokazując na zagrożoną wioskę.

Ponownie rozległ się dźwięk rogu. Z chat zaczęli wysypywać się uzbrojeni ludzie, wznosząc

wojownicze okrzyki. Prowadził ich Beor. Alain rozpoznał go po wzroście i szerokich ramionach oraz po włóczni z brązu. Sześciu mężczyzn odłączyło się od grupy, śpiesząc ku domowi połogów. Byli wśród nich Urtan i mąż Weiwary.

- Idź! - powiedział Alain, ponieważ znał to słowo, a pomoc nadchodziła. - Ja ruszam po dziecko.

Kel wznosił bojowy okrzyk i oddał niemowlę w ręce Tostiego. Podniósł z ziemi włócznię martwej Aoi.

- Idę! - Uderzył się pięścią w pierś, a potem uderzył w pierś Alaina. - My idziemy!

Nie było czasu na dyskusje. Ci, których mieli zamiar dogonić, wyprzedzali ich, zaś Alain nie miał zamiaru pozwolić, by stracili niemowlę Weiwary. Nie teraz, kiedy Bóg sprowadził go do tej wioski, zsyłając błogosławieństwo narodzin bliźniąt w dniu, w którym się tu pojawił.

Schwycił tarczę Aoi i ruszyli biegiem w stronę lasu. Tymczasem na horyzoncie wstało słońce. Adika wołała coś do niego, jednakże jej głos utonął w bitewnym szczechu. Zatrzymali się w cieniu drzew. Alain gestem dał znać Kelowi i psom, by zachowali ciszę. Usłyszeli, iż w leśnych ostępach tuż przed nimi chowają się dwaj zbiegli z wioski Aoi - poznali to po trzaskach i szelestach. Furia skoczyła do przodu, a oni podążyli za nią.

Alain zobaczył dwóch Przeklętych zaraz po tym, jak wyłonił się zza drzew. Ujrzał też pole cmentarne. Smutek i Furia sadziły potężne susy. Nie tracąc ani chwili, dopadły kuśtykającego wojownika. Ten upadł na ziemię pod ich ciężarem. Kel dopadł go pierwszy. Nim Alain zdążył krzyknąć o litość, Kel dźgnął Aoi od tyłu. Kiedy ostrze z brązu przecięło skórę wroga, Kel wydał okrzyk triumfu.

Wrzask ten przeszył Alaina do szpiku kości. Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Od długiego czasu wiedział, że nie może służyć Bitewnej Damie, zabijając. Ale mógł uratować dziecko.

Psy szły z nim noga w nogę, kiedy ścigał Aoi, tego, który porwał dziecko. Wojownik kluczył w lewo i w prawo, jakby bał się, że dosięgną go strzały. Odwróciwszy się przez ramię, zobaczył Alaina i jego zwierzęta. To sprawiło, że zaczął biec szybciej. Szczerył zęby w uśmiechu. Wyglądał jak szaleniec w ekstazie ucieczki i furii. Jednakże Alain również czuł furję wzbierającą w jego sercu, a wzmocnioną wspomnieniem małego ciała, które dzięki niemu wróciło do życia.

Oddalili się już dość znacząco od rzeki. Z pobliskich skał spływał strumień, przecinający wschodnią stronę cmentarza. Kiedy Aoi chciał go przekroczyć, znalazł się w pułapce, mając za plecami skałę i klif nie wyższy niż dwóch ludzi razem wziętych. Można się było jednak po nim wspiąć, mając wolne obie ręce.

Wojownik nie był głupcem. Trzymał niemowlę i potrząsał ostrzegawczo włócznią. Jednocześnie skoczył do tyłu, tak by mieć skalną ścianę za plecami. Dziecko dostało czkawki, wyczerpane swoim własnym krzykiem. Po chwili ucichło. W oddali odezwał się Kel. Wołał Alaina po imieniu.

Ten odłożył tarczę i włócznię.

- Daj mi dziecko albo mnie zaatakuj. Jest mi wszystko jedno, co wybierasz.

Oczy wojownika rozszerzyły się z gniewu lub strachu. Przez maskę psa widać było połyskujące białka.

Alain zrobił kolejny krok do przodu, pokazując swoje puste ręce i wpatrując się jednocześnie w przeciwnika.

- Po prostu daj mi dziecko. Nie chcę od ciebie nic więcej.

Aoi wstrząsnął się nerwowo, wciąż unosząc włócznię. Zamierzył się nią na Alaina, lecz mężczyzna nie cofnął się, wręcz przeciwnie, zrobił kolejny krok do przodu.

- Jak widzisz, nie boję się śmierci, bo już jestem martwy. Nic, co możesz mi zrobić złego, nie przeraża mnie. Błagam cię, daj mi dziecko.

Może to przez Kela, który nadchodził, pokrzykując. Może sprawiły to milczące ogary. A może wojownik miał po prostu dość. Położył dziecko na ziemi i tak szybko, jak mógł, skoczył w stronę klifu. Alain wziął niemowlę na ręce, podczas gdy wojownik upuścił swą włócznię. Broń zawirowała, niesiona przez kaskadę wody i utkwiała między skałami. Z okrzykiem na ustach Aoi zniknął Alainowi z oczu.

Dotarłszy do Alaina, Kel wydał okrzyk radości. Dziecko zapłakało, choć był to raczej chrapliwy odgłos niż kwilenie. Kel podniósł włócznię i podał ją Alainowi.

- Nie, nie wezmę jej. - Alain pokręcił głową. Kel cofnął się, zdumiony. - Weź. - Alain podał Kelowi tarczę. Miał teraz wolne ręce, w które ujął swój dębowy kij.

Wracali szybko, lecz zachowując ostrożność. Minęli rozciągnięte na cmentarzu ciało. W lesie podążyli ścieżką wydeptaną przez jelenie. Nie wiedzieli, co zastaną w wiosce i czy nie będą musieli walczyć. Dziecko, na szczęście, zasnęło z wyczerpania.

Wydostawszy się z lasu, ujrzeni wioskę oblaną promieniami wschodzącego słońca. Tu i tam kręcili się ludzie, zajęci niczym mrówki. Kiedy Kel i Alain przyglądali się temu widokowi, starając się ocenić sytuację, słońce zakryły chmury i światło przygasło. Uderzył lekki piorun. Nad południowo-wschodnim



pasmem gór zaczął padać deszcz.

- Beor - powiedział łagodnie Kel, wskazując palcem.

Alain zobaczył Beora schodzącego z wałów z włócznią w ręku.

Jego postawa pełna była bitewnej zaciętości. Towarzyszyło mu przynajmniej piętnastu mężczyzn, wszyscy uzbrojeni, choć niektórzy kulejący. Nad wsią unosił się świeżo ugaszony dym. Na ziemi leżały martwe ciała, kilka z nich odzianych w brąz. Jedno, niestety, należało do mieszkańca wioski. Było dziwne, gdyby Aoi uderzyli z tak straszną dzikością i szybkością tylko po to, by się wycofać. Byłoby to zachowanie przypominające uderzenie gromu, który przecina niebiosa z furją i hałasem, po czym nagle niknie, pozostawiając kałuże i połamane gałęzie.

W połowie drogi pomiędzy rzeką a domem połogowym Alain zobaczył, że na ziemi leży jakiś przedmiot. Wystraszył się. Tak jak się obawiał, był to węzełek Adiki. Zawiniątko leżało dokładnie tam, gdzie je upuściła, pędząc do domu Weiwary. To chyba niedobrze, że deszcz zmoczył jelenie rogi. Kiedy Alain zawiązywał węzełek, znalazł pod nim wypolerowane lustro Adiki. W tym momencie ośladnęło nim identyczne poczucie bezradności jak wtedy, gdy Lavastine wpadł w pułapkę Krwawego Serca.

Ze wsi dobiegły ich głosy mieszkańców. Alain przewiesił zawiniątko przez plecy i wstał. Kel dreptał za nim, złękniiony.

- Nie. Nie - powtarzał nieustannie, wskazując na węzełek. Alain zignorował go i pospieszył dalej. Musiał znaleźć Adikę.

Weiwarę zabrano do domu zgromadzeń i ułożono na futrach, podobnie jak kilku rannych wieśniaków. Było ich sześciu. Kiedy Alain podał Weiwarze jej zaginione maleństwo, wybuchnęła płaczem. Urta dostał cios w głowę i leżał nieprzytomny. Jego córka Urta zwilżała mu wargi za pomocą mokrej szmatki. Tosti to tracił, to odzyskiwał przytomność. Jęczał. Miał dwie paskudne rany na prawym ramieniu i lewym biodrze. Kel ukląkł przy nim, przejęty.

Pomiędzy chorymi krążyła Matka Orla, opierając się na swoim kijaszku. Zawołała córkę Agdę i ta przyniosła lecznicze napoje oraz okłady. Alain poczuł, że ogarnia go wyczerpanie, jednak kiedy skierował się ku drzwiom, by szukać Adiki, Matka Orla zatrzymała go z ponurym wyrazem twarzy. Usłyszał głosy na zewnątrz, lecz do chaty wszedł Beor, nie Adika.

W chwili gdy ujrzał Alaina, splunął. Matka Orla uniosła swój kijaszek w górę, powstrzymując Beora od przedarcia się przez tłum i zaatakowania Alaina. Psy, czekające na zewnątrz, zawarczały ostrzegawczo.

Choć Beora niemal rozsadzała podsycona walką złość, musiał zadowolić się rzuconym Alainowi ostrym spojrzeniem. Potem rozpoczął dramatyczną opowieść. Kiedy przemawiał, marsowa mina Matki Orli nie zdradzała słabości, choć zgromadzeni wokół niej ludzie i ci, którzy czekali przed chatą, wydali jęk rozpaczny.

Uderzył piorun, po czym nastąpiła cisza. Zaczęło padać.

- Gdzie być Adika? - zapytał Alain, pokazując trzymany w ręku węzełek wypełniony rytualnymi przedmiotami, tak by wszyscy widzieli, że go znalazł.

Beor ryknął niczym ranny niedźwiedź, opanowany wściekłością. Inni zawodzili i jęczeli. I choć Alain znał tylko kilka słów w ich języku, szybko pojął, co się stało.

Adika została wprowadzona przez najeźdźców.

## **Rozdział szósty** **GROMADA OSTÓW**

Zachariasz podążał śladem księcia drogami biegnącymi na północ od gór Alfar. Nie było mu trudno zadawać niewinne pytania i starać się sprawiać wrażenie człowieka niepozornego, kiedy było to potrzebne. Po niefortunnej próbie ucieczki przed stadem wygłodniałych wilków, gdy stracił dwie kozy i nabawił się infekcji lewego oka, znalazł się w grupie petentów i pielgrzymów, podążających na północ,

by ujrzeć króla. Niektóre z tych pokornych dusz wysłuchały historii o szlachetnie urodzonym wojowniku, który jedną ręką powalił bandę złoczyńców.

- Zaiste, to musiał być książę między zwykłymi ludźmi - powiedział Zachariasz do jednego z towarzyszy podróży, siląc się na sarkazm. Wreszcie jeden z peregrynantów przyznał, iż słyszał od jakiegoś rządcy podążającego na południe, że książę Sanglant powrócił na dwór ojca.

Przybywszy do pałacu w Angenheim i dowiedziawszy się, że dwór niedługo opuści to miejsce, Zachariasz miał nadzieję przebić się przez tłum ludzi, którzy przybyli prosić króla o jałmużnę, radę lub sprawiedliwość. Nie różnił się specjalnie od obdartych żebraków i biednych rolników, obozujących na polach i w lasach otaczających pałacowe mury. Znaczna część z nich lubiła plotkować. I na pewno nikt nie zwrócił uwagi na kilka niewinnych pytań, zadanych strażom.

Jednakże po siedmiu latach bycia niewolnikiem qumańskich nomadów i po roku błąkania się jako wyrzutek wśród swoich Zachariasz zapomniał, że jego podarte odzienie, nieczyste oblicze i wschodni akcent sprawiają, że ludzie nie tyle nie zechcą zwracać na niego uwagi, co po prostu nie będą mu ufać.

W ten sposób Zachariasz zaczął się kręcić wokół pałacowych zabudowań, a potem po podwórzu. Pewnego razu zatrzymano go wraz z kozami i przeszukano jego zniszczoną skórzaną sakwę. Potem strażę poprowadziły go przez pięknie rzeźbione drzwi do siedziby jednego ze szlachciców. Trącając go końcami włóczni, strażnicy usiłowali zmusić Zachariasza, by ukląkł przed starym lordem, odpoczywającym na ławie z kielichem wina w ręce. Obok niego siedziała krzepka i przystojna młoda kobieta.

Stary lord wręczył jej kielich z winem i zmarszczywszy czoło, przyjrzał się Zachariaszowi. Palcami bębnił o kolano.

- Nie chcesz klęknąć.

W jego mowie znać było wschodni akcent, rozmyty nieco przez sposób, w jaki robił pauzy i wymawiał sam początek słowa, co z kolei było charakterystyczne dla mieszkańców księstw centralnych.

- Nie chciałem cię obrazić, panie - powiedział szybko Zachariasz. - Jestem bratem zakonnym i mogę klękać tylko przed Bogiem.

- Ach tak? - Szczupły służący w średnim wieku przystąpił do lorda, szepecząc mu coś do ucha. Kiedy skończył, lord postąpił do przodu.

- Czy wiesz, kim jestem?

- Nie, nie wiem, panie, ale po twojej mowie słyszę, że spędziłeś jakiś czas na wschodzie.

Lord zaśmiał się, choć nie tak głośno jak jego młoda towarzyszka, która wskazała na haftowany sztandar, wiszący na ścianie za stołem zastawionym złotymi i srebrnymi talerzami i miskami. Dostatek jadła - jabłek, gruszek, chleba, sera, porów i pietruszki - sprawił, że Zachariasz poczuł ślinę napływającą do ust. Natomiast widok herbu na sztandarze zmroził mu krew. Wtedy zauważył, że lord ma tylko jedną rękę; jeden z rękawów został spięty, tak by nie zwisał pusty.

- Srebrne drzewo jest znakiem domu Villamów, panie - rzekł, przeklinając się w duchu. To był jego błąd popełniony w stosunku do plemienia Pechanek: pozwolił, by zauważyli go ludzie u władzy. W tamtych dniach wciąż wierzył w Zjednoczonego Boga i uważał, że jego obowiązkiem jest nieść wiarę barbarzyńcom, tonącym w niewiedzy. - Czy to możliwe, byś był margrabią Villamem? Proszę o twoje wybaczenie, ale za czasów mej młodości o margrabim Villamie mówiło się jak o starym człowieku. Myślałem, że nie żyje, a tytuł margrabiego przeszedł na jego spadkobierców.

- Klękaj na Boga, żeś jeszcze żyw - rzekła śmiało dama. - Ufam, że masz dość sił na wypełnienie swego zadania podczas naszej nocy poślubnej.

Villam szczerze się uśmiechnął.

- Mawiają, że koń padnie, jeśli się go zajeździ na śmierć.

Dzięki Bogu, dama nie była głupią chichotką. Wybuchnęła śmiechem, tak że Zachariasz poczuł się nieswojo, przypomniał sobie, co obciął mu Bulkezu.

- Mam nadzieję, że nie wybrałam wierzchowca, który da się łatwo zajeździć.

- Nie, nie lękaj się o moją osobę. - Upił łyk wina z kielicha damy i skinął na służącego, by go napełnił. - Proszę cię, ukochana, byś pozwoliła mi porozmawiać z tym człowiekiem na osobności.

- Czy to intryga? Myślisz, że doniosę o wszystkim Teophanu?

Jeśli jej młodzieńcze przekomarzanie się zirytowało margrabiego, nie okazał tego.

- Nie chcę, by król się zdenerwował, tym bardziej, że wyjeżdża jutro rano. Jeśli jestem jedynym człowiekiem, który może wysłuchać tej historii, to nie będę już zajmował nią nikogo innego.

Dama nie ustępowała łatwo.

- Ten braciszek - jak on sam o sobie mówi - może roznieść swą opowieść dużo dalej niż ja, Helmut. Ma przecież język.

Zachariaszem owładnął okropny strach na myśl o tym, że osoba posiadająca władzę mogłaby pozbawić go tej części ciała, którą cenil nad wszystkie inne. Nogi się pod nim ugięły i padł na kolana. O mało nie zaczął błagać o litość.

- Wszyscy mamy języki, Leoba - odparł Villam cierpliwie. - Porozmawiam z tym człowiekiem w samotności.

Choć Leoba była szlachetnie urodzona i oboje z Villamem byli sobie równi pochodzeniem, dzieliła ich spora różnica lat. Leoba mogła być jego wnuczką. Autorytet związany z wiekiem margrabiego sprawił, że jego narzeczona musiała ustąpić. Wstała łaskawie, układnie pocałowała Villama w policzek i opuściła komnatę. Stary człowiek patrzył, jak wychodziła. Zachariasz rozpoznał rodzaj błysku w jego oku. Grzech żądz, słabość związana z przyjemnościami cielesnymi dotyczyły zarówno wysoko, jak i nisko urodzonych.

Kiedy Leoba zniknęła im z oczu, margrabia natychmiast przystąpił do sprawy.

- Nie potrzebuję znać twego imienia, ale doszło do mych uszu, że zadawałeś strażom pytania dotyczące miejsca pobytu księcia Sanglanta.

- Wydajesz się być rozważnym człowiekiem, panie. Teraz, kiedy jestem wrzucony w paszczę lwa, nie mogę czynić sekretu z mego celu. Szukam księcia Sanglanta. Czy jest tutaj?

- Nie, nie ma go. Był na tyle zuchwały, by wszcząć otwartą rewoltę przeciwko królowi. Tuszę, że człowiek wykształcony, tak jak ty, rozumie, jak poważną jest to obraza.

- Ach - rzekł Zachariasz, któremu przez chwilę zabrakło słów. Zawsze jednak miał giętki język i wiedział, jak sformułować pytanie, by ochronić siebie, a zarazem uzyskać informacje. - Jednakże jeden człowiek, nawet jeśli jest księciem, nie da rady przeprowadzić rewolty.

- To prawda, nie może. - Villam też znał tę taktykę. - Czy masz zamiar dołączyć do jego świty?

- Nie, mój panie. Nie szukałem księcia z tym zamiarem ani nie planuję dołączyć do jego rewolty. Moje cele nie są związane z ziemskimi walkami, lecz ze sprawami niebios i chwałą tworzenia. Prawdę rzekłszy, panie, nigdy jeszcze nie rozmawiałem z księciem.

- Po co więc przybyłeś do Angenheim, pytając o miejsce jego pobytu?

- Przybyłem prosić go o łaskę.

Villam zaśmiał się, ubawiony.

- Jestem porażony twymi słowami. Jednakże zmartwiłeś mnie, bracie, mówiąc o niebiosach. Czy wiesz, jakim rodzajem człowieka jest książę Sanglant?

- Co masz na myśli, panie?

- Proszę cię, nie udawaj niewiniątka. Wyglądasz mi na niecnotę, a nie naiwną duszyczkę, a z twych słów przebija chytrność. Książę Sanglant jest człowiekiem tylko w połowie, urodzonym z ojca ludzkiej rasy i matki Aoi. Jakiej pomocy możesz oczekiwać od kogoś takiego?

Zachariasz znalazł się na śliskim gruncie. Villam nie powiedział nic o miejscu pobytu Kansia-lari, choć jego rozmówca wiedział, że powędrowała ze swym synem na północ.

- Dobrze więc - rzekł po bardzo długiej przerwie. - Powiem prawdę. Powędrowałem na wschód, by nieść słowo Boga qumańskim plemionom, lecz oni uczynili mnie niewolnikiem. Żyłem między nimi przez siedem lat i wreszcie udało mi się uciec. Oto wieści, z jakimi przybywam: Qumanowie zbierają armię pod wodzą bega plemienia Pechanek, Bulkezu. Mają zamiar uderzyć na terytorium Wendaru. Tymczasem oddziały jeźdźców palą wioski, mordują i torturują poddanych króla Henryka. Wiesz, jak Qumanowie traktują swoje ofiary. Widziałem wiele ciał bez głów. Twoje włości na wschodzie też są w niebezpieczeństwie, panie.

- Księżniczka Sapientia została wysłana na wschód razem z armią i swoim mężem, księciem Bayanem z Ungrii.

- O tym nie słyszałem, panie.

- Jak dotąd nie mamy od nich wiadomości, tak więc najprawdopodobniej kampania nie toczy się dobrze, choć modłę się, by tak nie było. Ten wódz, Bulkezu, najeżdżał już ziemie Wendaru. Dlaczego jednak szukasz księcia Sanglanta? Dotarłeś na dwór, gdzie obecny jest król. Najlepiej byłoby przedstawić twą prośbę właśnie jemu.

- To prawda - odrzekł Zachariasz, myśląc szybko. - Jednak podczas mej podróży wiele słyszałem o ambicjach króla dotyczących Aosty. Król nie może maszerować jednocześnie na wschód i południe. Słyszałem natomiast wiele historii na temat waleczności księcia Sanglanta. Czyż królewski bastard infant nie był wychowywany na kapitana królewskich Smoków? Jeśli król nie może sam walczyć z Qumanami, by ich pokonać, potrzeba armii dowodzonej przez człowieka, który jest drugi po królu, odważnego i cieszącego się szacunkiem.

- Piękna historyjka. To prawda, że mówisz z akcentem charakterystycznym dla ludzi zamieszkujących wschodnie rubieże i wyglądasz jak ktoś, kto przebył długą drogę, nie mając nic więcej prócz odzienia i, jak słyszałem, kozy. Jednakże twoja opowiadka może nie być niczym więcej niż ładnie utkanym gobelinem, zakrywającym ścianę, tak by ukryć paskudny na niej ślad. Qumanowie oznakowują swoich niewolników w pewien szczególny sposób.

Dygocząc, Zachariasz wstał. Obrócił się, uchylił poły swego znoszonego odzienia, ukazując prawą łopatkę. Widniał na niej znak niewolnika bega plemienia Pechanek. Ślad był źle zagojony, tak że skóra wokół niego wciąż się marszczyła. Pokazawszy to, Zachariasz odwrócił się ku margrabiemu.

- Jest to znak pazura leoparda, panie.

- Zdesperowany człowiek potrafi zranić sam siebie, by uwiarygodnić swą historię - zauważył uprzejmie Villam.

- Czy człowiek może okaleczyć się w ten sposób, by uwiarygodnić swą opowieść? - zapytał Zachariasz, odważnie unosząc swą szatę.

Na widok okaleczonych genitaliów Zachariasza Villam stracił oddech, pobladł i złapał za kielich z winem. Przełknął haust, a potem dał sygnał służącemu, szczupłemu człowiekowi, który stał u drzwi.

- Przynies wina temu człowiekowi. Musi być bardzo spragniony.

Zachariasz wypił kielich do dna. Wino było bardzo dobre i nie widział powodu, by je marnować. Może szok wywołany widokiem krzywdy zadanej Zachariaszowi sprawi, że Villam straci czujność.

Jednakże margrabia był zbyt stary, zbyt przebiegły i w swoim życiu grał w zbyt wiele gier, by zrezygnować z ataku i dać się zwieść podstępemu i szokującemu działaniu. Upił jeszcze łyk wina i polecił służącemu:

- Humbert, przynieś mi tobolek tego człowieka.

Zrezygnowany Zachariasz patrzył, jak Villam opróżnia jego węzełek i oczywiście dobywa zeń rzecz, która mogłaby napiętnować każdego jej posiadacza - kawałek pergaminu, pokryty pismem Liath, zawierający zapiski matematyka.

Zachariasz wysączył ostatnie krople wina, zastanawiając się, co będzie pić, kiedy uznany za heretyka trafi do więzienia skoposy.

- Trzymasz pergamin do góry nogami, panie - rzekł Zachariasz, podczas gdy Villam milczał. Po chwili odwrócił pergamin i przeczytał go raz jeszcze.

- W ten sposób znaczy dla mnie jeszcze mniej. - Rzucił Zachariaszowi przenikliwe spojrzenie człowieka, który w swoim czasie przeżył i smutek, i radość, i trudności. Zaczął tracić cierpliwość. - Czy jesteś czarownikiem?

Takie przesłuchanie mogło skończyć się niedobrze, lecz Zachariasz nie zamierzał poddawać się, dopóki miał język w gębie.

- Nie, panie, nie jestem.

- Rzeczywiście, nie przypominasz czarownika. Zawsze mi mówiono, że magowie mają tak wielką moc, iż wyglądają na dobrze prosperujących, a ty, mój przyjacielu, na takiego nie wyglądasz. Dlaczego szukasz księcia?

- Aby dowiedzieć się, skąd pochodzi ten pergamin, panie. Mam powód, by uważać, że książę wie, kto jest autorem pisma na tym skrawku. Ten człowiek musiał w jakimś stopniu osiąść sekrety języka gwiazd. Nie pragnę być czarownikiem, panie. Lecz nawiedziła mnie wizja kosmosu. - Nie mógł powstrzymać drżenia głosu. Wciąż czuł niepokój, myśląc o spiralnym pałacu, pełnym chmur kurzu i oświetlonym przez błyszczące gwiazdy, tak olśniewające, że, podobnie jak anioły, miały aureole. Utrata wiary w Zjednoczonego Boga nie zakłócała mu już snu, ponieważ ogarnęła go żądza poznania sposobu funkcjonowania wszechświata. Oślepiające koło zawieszonych pośrodku ogromnej pustki gwiazd pochłaniało jego ducha i pożerało umysł.

- To jest to, czego się obawiam, panie: że mogę umrzeć, nie poznawszy budowy wszechświata.

*Że umrę, nie zobaczysz kolejnego smoka.* Jednakże tej myśli nie odważył się wypowiedzieć głośno.

Villam przyglądał mu się od dłuższego czasu. Zachariasz nie mógł nic wyczytać z jego twarzy i zaczął kręcić się nerwowo, oczekując odpowiedzi margrabięgo. Wreszcie powiedział prawdę. Nie musiał już kluczyć, może z wyjątkiem jednej rzeczy, która pograżałaby go całkowicie: że podróżował jako sługa z czarownicą Aoi i był świadkiem jej upokarzającej i przerażającej mocy. Gdyby to odkryto, nikogo nie obeszłoby, że w końcu czarownica wyrzuciła go, uznając za bezmyślnego, tak jak wyrzuca się kij do podpierania, gdy jest już bezużyteczny.

- Błagam o twe zmiłowanie, panie margrabię - rzekł wreszcie Zachariasz, gdy nie mógł już dłużej znieść ciszy.

- A więc docieramy do niej ponownie - wymruczał Villam. - Czy może być prawdą to, co powiedział księżę o jej pochodzeniu? Czy nie o cesarzu Tailleferze mówiono: „Bóg powierzył mu sekrety wszechświata?”. Zalety rodziców często są dziedziczone przez dzieci.

- Nie rozumiem, co masz na myśli, panie - rzekł, jękając się Zachariasz, grając na zwłokę.

Jeśli Villam wymieni za chwilę imię Kansia-a-lari, pułapka będzie zastawiona.

- Czyżby? - zapytał Villam, wyglądając na autentycznie zaskoczonego. - Czy księżę Sanglant nie poślubił kobiety zwanej Liathano?

Ulga niemal zwałała Zachariasza z nóg.

- Nie znam jej, panie.

Villam uśmiechnął się ironicznie.

- Gdybyś ją zobaczył, niełatwo byś ją zapomniał.

- Ach więc to ta! Czy była młoda i piękna, nie na zwykły sposób, bo bardziej przypominała cudzoziemkę o skórze z kremowo ciemnym odcieniem? Czy była przy nadziei albo może miała już maleńkie dziecko?

- Ta sama. - Villam westchnął, zlustrował zawartość swego kielicha, po czym wziął kawałek chleba i zaczął go przeżuwać. - Co się z nią stało?

- Nie wiesz, panie? Anioły zabrały ją do nieba.

- Anioły?

- Możemy też nazywać je demonami, mój panie.

- Nie wiem, co sądzić o twoich wieściach - rzekł z namysłem zakłopotany Villam. - Czy ona jest wysłannikiem Wrogięgo, czy może Boga? Czy pochodzi z nizin, czy w jej żyłach płynie szlachetna krew? Czy rzuciła na księcia urok, czy może zrobiła mu przysługę, tak by uwiarygodnić jego prawo do korony?

- Panie margrabi - powiedział służący Humbert tak nieoczekiwanie, że Villam zamrugnął, wyrwany ze swych rozważań. - Na zewnątrz czeka królewski Orzeł. Ma dla ciebie wiadomość.

Villam milczał przez chwilę. Dumając, przesuwając palcami po obłóściach jabłka.

- Będę potrzebował jeźdźca, który dostarczy wiadomość mej córce - powiedział wreszcie. - Godnego zaufania i lojalnego, kogoś z domowej służby. Może Waldhar. Jego ojciec służył mi wiernie przeciwko Rederii, a jego matka jest dobrym zarządcą posiadłości Arvi. Niech przygotowuje się do wyjazdu, a potem niech do mnie przyjdzie.

Służący skinął głową. Był człowiekiem solidnym, działającym sprawnie i ochoczo.

- Czy będziesz potrzebował kleryka, by napisał tę wiadomość na pergaminie?

- Nie. Wiadomość ma dotrzeć bezpośrednio do uszu mej córki. Daj mu eskortę trzech jeźdźców.

- Radziłbym sześciu, panie. Dotarły do nas wieści o napadach Qumanów.

- Tak. - Villam był margrabią przez wiele lat, nawykłym do rozkazywania i oczekującym, że służba spełni wszystkie jego polecenia szybko i skutecznie. - Przypilnuj, by temu bratu dano jedzenie i napitek, a potem, by wyruszył w swoją drogę. Najlepiej, by zostało zrobione to po cichu.

- Tak będzie, margrabi. - Humbert przyjrzał się Zachariaszowi na poły z ciekawością, a na poły z pogardą. - Czy wolałbyś, by ludzie, którzy będą go obsługiwać, byli z tych, którzy plotkują o tym, jaką drogą podążył księżę trzy dni temu, czy też raczej, by milczeli na ten temat?

- Niestety, ludzie lubią paplaninę. Dlatego na służbie pozostawiam tych dyskretnych, takich jak ty, Humbercie.

- Tak, panie. - Sługa skinął na Zachariasza. - Chodź, bracie. Nie pozostaniesz długo na królewskim dworze, bo nie wyszłoby ci to na dobre, gdyby dowiedziano się, czego poszukujesz.

- Dziękuję za twą gościnność, panie - rzekł Zachariasz, ale Villam już o nim zapomniał, jako że otworzyły się drzwi i do komnaty weszła kobieta. Nosila elegancki strój, na nim zaś czerwony płaszcz, spięty na ramieniu mosiężną broszą w kształcie orła.

Zachariasz poznał od razu tę pełną ekspresji twarz i sokoli nos. Poznał kobietę także po tym, że coś było nie tak z jej chodem. Znał tego przyczynę - kobieta ta spadła z jabłonki, kiedy była dzieckiem.

Gwałtownie usunął się na bok, w cień, kryjąc twarz w kapturze. Orlica miała cechy dobrego posłańca. Zlustrowała bystro komnatę, ogarniając wzrokiem ludzi w niej obecnych. Kiedy ujrzała Zachariasza, wzdrygnęła się. Bacznie na niego patrzyła. Znał ją na tyle dobrze, by wyczytać co nieco z jej twarzy. W dzieciństwie często robiła taką minę: jakby zobaczyła coś znajomego, ale będącego poza jej zasięgiem.

Złość i ciekawość sprawiły, że Orlica zacisnęła usta i już miała coś powiedzieć, gdy odezwał się Villam.

- Orlico, przynosisz mi wieści od króla?

- Tak, margrabi Villamie. - Jej dobrze mu znany głos stał się z wiekiem głębszy. Zmienił się także pod wpływem kobiecej dumy i pewności siebie. Teraz całkowicie skoncentrowała się na margrabi.

Jak różne okazały się ich losy - los podziwianego starszego brata i jego dziecinnej siostry. Ona stała się szanowanym Orłem, który stał za krzesłem króla, podczas gdy on był niewolnikiem, ściganym i zdesperowanym.

Zachariasz wyslizgnął się z komnaty, nim Hathui znowu mogła skupić na nim swoją uwagę. Był zawstydzony. Nie chciał, by go rozpoznała i zobaczyła, jakim jest obdartym nieszczęśnikiem, wykorzystanym i wyrzuconym. Pamiętał dumę malującą się na jej twarzy, gdy lata temu opuszczał ich wioskę jako misjonarz podążający na wschód. Nie powinna się nigdy dowiedzieć, co się stało. Lepiej gdyby wierzyła, że nie żyje.

Przyjął podane mu jedzenie i napitek, wziął swą kożę i węzełek, po czym opuścił pałac tak szybko, jak to było możliwe. Hathui mogła bowiem szukać go w celu zaspokojenia swej ciekawości.

Na zachód, powiedział mu Humbert, drogą w kierunku Bederbor.

I powędrował samotnie, niosąc ze sobą rozpacz. Wszystko, co widział, co mu uczyniono i na co się zgodził, otwierało pomiędzy nim a jego rodziną przepaść nie do pokonania. Wszystko, co mu pozostało, to sekretny język gwiazd, chmury czarnego pyłu i olśniewające światła, srebrno-złota wstęga, kręcąca się między sferami, niewysłowione piękno kosmosu, w którego sercu mógłby się zatracić, gdyby tylko pojął jego tajemnice.

Zdecydowany i przygnębiony zarazem, Zachariasz skierował się na zachód, podążając śladem księcia.

## 2

Używając grubego kija niczym miecza, Sanglant ciął kolczaste osty jeden po drugim, racząc je mocnymi uderzeniami.

- Jesteś w podłym nastroju - zauważył Heribert. Szczupły mnich siedział na zwalonym pniu, kończąc rzeźbienie czubka kija, który przybrał formę fortecy zdobytej przez Krąg Jedności. Za ich plecami, na pół schowany w zagajniku olch, kapitan Fulk usiłował rozłożyć prowizoryczny obóz pomiędzy kamieniami obróconego w ruinę fortu Dariyan.

- Król miał rację. - Sanglant trzymał w rękę ścięte główki ostu. Nie mógł znieść beczynnego siedzenia, nie teraz, kiedy ogarnęła go frustracja. Czuł się bezradny niczym te osty, które padały pod silnymi cięciami. - Jak mogę utrzymać święte, jeśli nie mam swych ziem?

- Gospodyni na zamku diuka Konrada nie protestowała. Gościła nas w Bederborze przez całych pięć dni.

- A Konrad nie powrócił, zaś ona nie była w stanie powiedzieć nam, gdzie się udał i kiedy się zjawi. Trzeba było ruszać w drogę. Jesteśmy zależni od hojności szlachetnie urodzonych. Albo od ich strachu.

- Albo od ich szacunku, który żywią w stosunku do ciebie, panie - powiedział Heribert cicho.

Sanglant podniósł rękę w geście rezygnacji. Nie przestawał ciąć ostów. Były świetnymi wrogami - licznymi i łatwymi do pokonania.

- Moja reputacja nie pozwoli mi wyżywić ludzi. Ani moi kuzyni, ani wysoko urodzeni nie będą utrzymywać mnie w nieskończoność, wiedząc, że może to sprowadzić na nich złość mego ojca. Może ich oskarżyć o wzniesienie rebelii i niełojalność.

- To tylko wzmoże ich gniew, jeśli opowiedzą się po twojej stronie. Ale o czym mówisz, jeśli nie o rebelii, mój przyjacielu?

Te słowa sprawiły, że ręka Sanglanta zawisła w powietrzu. Sieczone osty zakołysały się i zastygły. Rzeczywiście, o czym? Odwrócił się ku Heribertowi.

- Czy to nie jest to, czego chcesz? - mówił dalej Heribert. - Czy nie to planujesz? Wiesz, że podążę za tobą, dokądkolwiek pójdziesz, ale myślę, że najpierw powinieneś sam ustalić, dokąd zmierzasz, zanim pójdziesz dalej tą czy inną drogą.

W ten sposób wypełniony po brzegi bukłak na wino mógłby zostać opróżniony jedną dziurą zrobioną w jego boku.

- Tak więc przypomniano mi o ciężarze rządzenia - rzekł gorzko, podczas gdy Heribert dalej wycinał w drewnie. - Było łatwiej robić to, co mi polecono, kiedy byłem jeszcze kapitanem Smoków.

- Zawsze jest łatwiej robić coś na czyjeś polecenie - zauważył Heribert. Jego ręce znieruchomiały, gdy podniósł oczy na odległe drzewa, patrząc na coś, czego nie widzieli inni.

Sanglant nie miał cierpliwości, by uzalać się nad sobą. Stawał się przez to niespokojny.

- Jeśli Orły powrócą z wieściami o wielkim najeździe, a mój ojciec nie uwierzy im, wówczas na moje barki spadnie odparcie najeźdźców, czyż nie?

Wzrok Heriberta przeniósł się raptownie na księcia.

- Czy naprawdę? Jeśli zapewniłbyś bezpieczeństwo sobie i swoim ludziom...

Sanglant ściał jednym ciosem siedem ostów. Potem roześmiał się.

- Nie, przyjacielu, znasz mnie lepiej i wiesz, że tak bym nie postąpił. Jak mógłbym spocząć, gdyby Wendar był w niebezpieczeństwie? Przysięgałem strzec tej ziemi i każdej duszy, która żyje pod rządami mej rodziny.

Heribert uśmiechnął się leciutko, lecz nic nie odrzekł.

- Ale mam także obowiązki w stosunku do ludu mej matki. Twierdzi ona, że Aoi wymrą na wygnaniu, jeśli nie powrócą na ziemię. Jednakże siostra Anna odmawia im prawa do powrotu.

- Siostra Anna uważa, że ich powrót pociągnie za sobą wielki kataklizm.

- Anna twierdzi wiele rzeczy i o mało co pozwoliła Blessing umrzeć śmiercią głodową. Przez lata polowała na własnego męża i w końcu zabiła go, gdyż pragnęła powrotu córki. Nikt nigdy nie wytłumaczył mi dostatecznie dobrze, dlaczego człowiek taki jak Bernard uciekał z Liath i ukrywał ją tak desperacko. A co, jeśli wiedział coś, czego nie wiemy my? Nie, siostra Anna może mówić wiele rzeczy i przekręcać prawdę, tak by służyła jej celom, w konsekwencji czego nie wiemy, co jest prawdziwe, a co fałszywe. Wiemy natomiast, że jest na tyle bez serca, iż dąży jedynie do osiągnięcia swych własnych celów.

- Nie posłuchasz żadnego argumentu w tym względzie - wymruczał Heribert. - Wybudowałem jej piękny dwór, jednakże nie mam wątpliwości, że pozbyłaby się mnie bez chwili zastanowienia, gdybym nie był jej już potrzebny. - Westchnął i włożył nóż do pochwy. Powiódł palcami po rzeźbie, która zwieńczała jego kij. Wyobrażała kamienną budowlę, blanki i wrazone weń strzały. W środku dzieła widniał Krąg Jedności. - Wszystko zburzone, tak jak powiedziałeś - powiedział łagodnie.

- Wszystko. Dwór doszczętnie spalony. - Sanglant odłożył swój kij i położył przyjacielską dłoń na ramieniu Heriberta. - Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaką mają moc.

- Anna i jej czarownicy?

- Nie, choć rzeczywiście siostra Anna dysponuje mocą przechodzącą moje wyobrażenie i wszystko, co do tej pory widziałem. Mówiłem o demonach ognia, które porwały Liath. Wszystko, na co spojrzę, staje w ogniu. Nawet góry płoną. - Tak płonął w jego sercu gniew, wzmagany bezradnością i frustracją. Słowa płynęły zeń spontanicznie. - Nie mogę zrobić nic, by je powstrzymać. - Boleść uczyniła jego głos chrapliwym, choć po ranie otrzymanej w bitwie pięć lat temu głos Sanglanta zawsze był nieco ochrypły.

Koronami drzew zakołysał lekki wiatr. Sanglant nadstawił uszu, lecz wśród szumu liści nie mógł dosłyszeć żadnych słów: to nie były duchy powietrza, którym rozkazywała Anna, ale wiatr. Jednakże szum ten nasunął Sanglantowi myśl, że przecież wciąż istnieje nadzieja. W pałacu w Angeheim widział wrota otwierające się na miejsce osłonięte mocą i tajemnicą. Wrota te ukryte były w konstrukcji wszechświata, jak powiedziałaaby Liath. Usłyszał jej głos.

- Ona wciąż żyje - wyszeptał.

- To niesamowite, że ktoś przetrwał.

Sanglant podniósł kij, zważył go w ręku, popatrzył na osty i litościwie odłożył narzędzie zniszczenia.

- Wiem, że siostra Anna przeżyła wir. Ilu jej towarzyszy go przetrwało, nie mam pojęcia.

- Siostra Venia też przetrwała - powiedział Heribert.

- Skąd wiesz?

- Jest typem człowieka, który przetrwa wszystko.

- Wiesz o tym lepiej niż ja. Była twoją matką, wychowała cię.

- Jak psa na smyczy - mruknął Heribert. Sanglant obserwował, jak z jego twarzy znika wyraz zwykłej uprzejmości, a zastępuje go uraza, nurtująca Heriberta od lat. Ale, niczym pies, po chwili młody mnich otrząsnął się. Spojrzał na Sanglanta z chłodnym uśmiechem.

- Gdzie udadzą się ci czarownicy, gdy spalą własne domy? Czy spróbują odbudować Verne?

- Nie zamieszkałbym tam, nie po tym, jak zjawiły się demony o wielkiej mocy. To tajemnicza sprawa, Heribercie. Demony przybyły w poszukiwaniu Liath. Bernard uciekał przed Anną i jej towarzyszkami, gdyż obawiał się, że Siedmiu Śpiących wykorzysta Liath do swych celów. Być może obawiał się także demonów. Jest wiele spraw, których nie rozumiem. Wiem natomiast jedno: Anna nie spocznie. Nawet jeżeli nie znajdzie Liath, będzie się starała powstrzymać Aoi przed powrotem. Miała nadzieję, że powstrzyma ich Liath i pomimo że ta zniknęła, Anna nie zrezygnuje. Muszę powstrzymać ją i jej kompanię. Muszę zyskać pewność, że Aoi powrócą z wygnania.

- Zatem - rzekł Heribert, wskazując na obóz powstający w ruinach - ty, wyklęty mnich, siedemdziesięciu ludzi, dziecko i jedna dziwna istota. To słaba armia, by wystąpić przeciwko czarownikowi tak silnemu jak siostra Anna.

- Tak jest. - Sanglant pochylił się, by podnieść jedną ze świętych główek ostów. Ukłuła go w rękę, lecz przynajmniej ból złagodził złość i gorycz panującą w jego sercu. - Przypuszczam, że tak się czuje pies, gdy jego pani porzuca go na poboczu drogi. Myślałem właśnie, że moja matka... - zaklął, strząsając oset z ręki, podczas gdy skóra pulsowała bólem od ułucia. - Myślałem właśnie...

Nie mógł mówić. Przystanął na moment, podczas gdy Heribert przyglądał mu się ze współczuciem. W oddali usłyszał beczenie kozy, a potem odpowiedź drugiej. Szum drzew zdawał się je przedrzeźniać, choć przecież to był tylko wiatr.

- Jakimż jestem głupcem. Czy kiedykolwiek traktowała mnie inaczej niż kucyka, taszczącego jej pakunki?

Heribert chciał zaprotestować, ale nie zrobił tego. Zamyślił się.

- Kiedy stałem się bezużyteczny, opuściła mnie po raz kolejny, tak samo jak wtedy, gdy byłem niemowlęciem.

- Nie, Sanglant, nie oceniaj jej jeszcze zbyt surowo. Prawdopodobnie zatrzymał ją król.

- Król nie zdołałby zatrzymać czarownika o takiej mocy jak ona. Gdyby zechciała, poszłaby z nami. Nie zrobiła tego. Teraz gdy, jak mówisz, jestem niczym rebeliant występujący przeciwko memu ojcu, nie służę już żadnemu celowi w jej intrydze.

- Nie, mój przyjacielu, jestem pewien, że masz odegrać większą rolę - jeśli proroctwo jest prawdą.

- Lecz czy odegram rolę przez nich mi wyznaczoną? Nie jestem już kapitanem królewskich Smoków, pionkiem w szachach, którego można dowolnie przedstawiać. - Nagle zachmurzył się i osłaniając oczy, popatrzył na zachód, na obóz. Rwetes narastał. Jak to możliwe, że słychać dwie kozy, gdy mają jedną? Niech się tym martwi kapitan Fulk. On, Sanglant, miał inną bitwę do rozegrania.

Decyzja przysłała szybko, z całym jej słodkim posmakiem. Sanglant wiedział, że musi coś postanowić i że był jedynym, który może zrobić cokolwiek, by przegnać obiekcje i niepewność. Mężczyzna, który wątpi, źle kończy w bitwie, dlatego wiele lat ćwiczył, aby nie mieć wątpliwości.

- Siedmiu Śpiących musi być powstrzymanych, Heribercie. Jeśli ojciec mi nie uwierzy i nie zacznie działać, ja zacznę. - Wiedział, że ma rację, tak jak podczas bitwy wiedział, kiedy przemieścić skrzydło, a kiedy szarżować. Mylił się tylko raz, zwiedziony wizjami Krwawego Serca. Nie miał zamiaru popełniać błędu ponownie. - Rozważ, co zrobiła moja matka i dlaczego tutaj jestem. Nigdy nie dbała o Henryka. Nie została jego kochanką z powodu żądy, namiętności czy miłości. Zrobiła to wszystko tylko po to, by mnie urodzić. Miałem stać się pomostem między ludźmi a Aoi. Uciekłszy z Verny, szliśmy razem przez dwanaście dni. Wtedy opowiedziała mi o radzie Aoi, o tym, jak jest podzielona. Niektórzy z nich nienawidzą ludzi i chcą podbić nasze ziemie, podczas gdy inni chcą szukać kompromisu i ugody.

- Niestety, nawet legendarni Aoi nie są wolni od intryg.

- Nawet zwierzęta oznakowują swoje terytoria, przy czym jedne są pierwsze, a inne ostatnie w stadzie. Jeśli po powrocie na ziemię do władzy dojdzie grupa Aoi nienawidząca ludzi, władca zrodzony z ludzkiej krwi będzie musiał gotować się do wojny. Jeśli nie uczyni tego mój ojciec, będę musiał zrobić to ja.

Heribert zakasłał lekko.

- Mój księżę, panie. Mój przyjacielu. Jeśli nie będziesz przeszkadzał Annie i pozwolisz jej na kontynuowanie jej czarów, Aoi w ogóle nie powrócą na ziemię, a Wendar będzie bezpieczny.

Sanglant rozejrzał się.

- A wszyscy moi krewni zginą. Nie. Nie mogę tak. Nie mogę odwrócić się od ludu mej matki. Nie pozwolę, by wszyscy zginęli.

- Czy będziesz wobec tego bezwiednym narzędziem, z pomocą którego podbiją ziemię? Powiedziałeś, że wcale się tobą nie interesowali. Prawdę rzekłszy, Sanglant, może byłoby lepiej, gdybyś poprosił ojca o wybaczenie i pomógł mu w przywracaniu tronu Aosty królowej Adelheid. Posiadając Aostę, twój ojciec ma dostateczną władzę, by obwołać się Świętym Cesarzem Dariyan, tak jak to uczynił niegdyś Taillefer. Ta władza pozwoli mu oprzeć się groźbom Aoi, jeśli wydarzenia, o których mówisz, rzeczywiście nastąpią.

W wyobraźni Sanglant ujrzał łańcuchy Krwawego Serca. Wciąż mu ciążyły. Zawsze będą.

- Nie poproszę mego ojca o przebaczenie, ponieważ nie zrobiłem nic złego, żeniąc się wbrew jego życzeniom.

- Gdybyś poślubił królową Adelheid, tak jak chciał tego twój ojciec, byłbyś królem Aosty i następcą Henryka. I w ten sposób miałbyś dostateczną siłę, by zrobić to, co powinno zostać zrobione.



Sanglant zerwał się, doprowadzony do furii. Heribert skoczył na równe nogi, lekko ubawiony. Znał to spojrzenie dostatecznie dobrze. Mnich wyciągnął przed siebie swój kij, jakby chciał się osłonić, choć nie miał żadnego doświadczenia z bronią.

- Ja tylko mówię prawdę, Sanglant. Nie mogę oferować ci nic więcej.

Sanglant zaklął. Jednakże po tych mocnych słowach przyszedł nagły śmiech.

- Tak właśnie jest i to mi przypominałeś. Ale nie będę prosił ojca o przebaczenie.

- Niech tak będzie - rzekł Heribert, opuszczając kij. - Wiem, co to znaczy nie móc wybaczyć. Ale dobrze jest zrozumieć drogę, którą wybrałeś i to, co cię na nią sprowadziło.

- Cicho. - Sanglant podniósł rękę, usłyszawszy, jak ktoś w obozie wypowiada jego imię. - Chodź.

Heribert pospieszył za nim w kierunku ruin. Byli w połowie drogi, gdy zobaczyli biegnącego ku nim młodego Matto.

- Oto, Heriberce, lekcja dla ciebie. Potrzebuję doradców, których nie zaślepią podziw dla mych licznych zalet.

Heribert roześmiał się.

- Matto podziwia twoje umiejętności w walce. Wybac mu, panie, bo jest jeszcze młody.

- Obawiam się, że jeśli będzie mi nadal towarzyszył, nie zestarzeje się.

- Nie mów tak, niech ci Bóg wybaczy! - zbeształ go Heribert. - Nie znamy przyszłości.

Sanglant nie odpowiedział, bo dogonił ich Matto. Jego złamana ręka wciąż tkwiła na temblaku, ale już nie bolała. Miał różowe z podniecenia policzki. Wyglądał, jakby miał zamiar paść do stóp Sanglanta, by ucałować jego buty. Na szczęście nauczył się czegoś od kapitana Fulka i jego żołnierzy. Wyprostowawszy się jak należy, zakomunikował wiadomość z taką dumą, jak gdyby był królewskim Orłem.

- Wasza Wysokość! Kapitan Fulk prosi cię, byś przybył niezwłocznie. W obozie zjawił się mnich i mówi, że cię poszukuje.

Wszedłszy do obozu, Sanglant rozejrzał się najpierw za Blessing; spała spokojnie w hamaku zawieszonym między starym kamiennym filarem a pnem świeżego drzewka. Hamak kołysany był delikatnym powiewem, który wzniecała Jerna. Jako że dziecko jadło więcej normalnego jedzenia, a co za tym idzie, piło coraz mniej mleka Jerny, ta wyglądała znacznie lepiej. Jej kobiece kształty migotały niczym lśniąca woda w popołudniowym słońcu, rozlewającym światło nad filarami. Kształty te nawiedzały Sanglanta w snach oraz gdy budził się w nocy, a także podczas chwil wytchnienia. Lepiej było jej nie oglądać wcale, niżli być kuszonym w tak nieprzyzwoity sposób.

Poczuł ulgę, że musi zająć się czymś innym. Sanglant skierował swoją uwagę na przybysza. Zabrało mu chwilę, nim rozpoznał tego obdartego człowieka. Jego odzienie musiało być kiedyś zakonnym habitem. Mężczyzna przybył w towarzystwie krnąbrnej kozy, która próbowała właśnie przedrzeć się do drugiej kozy poprzez gąszcz ostów. Tuzin żołnierzy Fulka, nie wyłączając samego kapitana, obserwował go z pewnej odległości.

- Jesteś człowiekiem, który podróżował z moją matką - powiedział Sanglant, lustrując przybysza od góry do dołu. Wyglądał niepozornie, brudny, z chorym okiem. Dotkliwie cuchnął. - Mówiła, że nie żyjesz.

- Prawdopodobnie tak myślała - odparł mężczyzna.

- Zwracaj się do księcia Sanglanta we właściwy sposób - rzucił ostro kapitan Fulk. - On jest dla ciebie Waszą Wysokością. Jest księciem, synem króla Henryka.

- Wasza Wysokość - rzekł ironicznie mnich. - Jestem brat Zachariasz.

Przyjrzał się świcie księcia. Jego zbrojni stali teraz wokoło i obserwowali całą scenę, nie mając w ten piękny wieczór nic innego do roboty. Zachariasz nie powiedział, co myśli o tej prowizorycznej świcie. Sanglant niczego nie mógł wyczytać z jego twarzy. W końcu znowu spotkali się wzrokiem. Przybysz miał uparte spojrzenie, stępione nieco zmęczeniem.

- Podążałem za tobą, panie.

- To więcej, niż zrobiła moja matka - rzekł Sanglant półgłosem, popatrując na Heriberta, po czym wskazała na mnicha. - Tak więc szedłeś moim śladem. Czy czegoś ode mnie chcesz?

Zachariasz sięgnął do sponiewieranego garnuszka, zwisającego mu u pasa i wydobyl stamtąd umorusany pergamin. Rozwinął go delikatnie z najwyższą pieczołowitością, pokazując podarty skrawek pokryty numerami, cyframi, diagramami, epicyklami i punktami przypominającymi ukłucia szpilki, które oznaczały gwiazdy.

Sanglant natychmiast rozpoznał tę pospieszną bazgraninę. Wziął pergamin z rąk mnicha bez pytania o pozwolenie. Zachariasz cicho zaprotestował, ale zaraz potem zamilkł pod wpływem spojrzeń zbrojnych.

- Liath. - Sanglant przycisnął skrawek do policzka, tak jakby w pospiesznej gmatwaniu liczb i kół mogła zachować się jakaś część jej osoby, duszy i serca, które mógłby wchłonąć.

- Czy znasz osobę, która sporządziła te obliczenia, Wasza Wysokość? - zapytał mnich z narastającym podnieceniem. Miał zarumienione policzki i mrugał chorym okiem tak gwałtownie, że łzy stanęły mu pod spuchniętymi powiekami.

Po długiej ciszy Sanglant opuścił pergamin. Tak naprawdę były na nim tylko znaki. Wiedział, jak nazywała je Liath, lecz nie rozumiał, co oznaczały.

- Moja żona - odpowiedział.

- Tak więc to jej szukam! - zawołał mnich triumfalnie. Trzęsąc się nieznacznie, wyciągnął rękę po pergamin.

Sanglant zwrócił go z niechęcią.

- Z pewnością widziałeś, co się z nią stało. Została porwana przez demony ognia.

Żołnierze słyszeli już tę historię wcześniej, lecz zaczęli mruzczyć między sobą, słysząc takie słowa wypowiedziane bez żadnych ogródek. Niekiedy dziwiło Sanglanta, że podążyli za nim pomimo jego buntu przeciwko ojcu i królowi oraz opinii jego żony, którą ekskomunikowano za uprawianie czarnoksięstwa i która zniknęła z ziemi w niejasnych okolicznościach. Pomijając już osobę niezmiernie demona, towarzyszącego mu jako piastunka jego dziecka.

- Ach. - Zachariasz zauważył kozy, usiłujące zbliżyć się do siebie, maksymalnie naciągając sznurki, którymi były przywiązane. W końcu natknęły się na jeżyny. Jego twarz wydała się Sanglantowi znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Czy widział go już kiedyś? Nie sądził, jednakże coś w tym mężczyźnie budziło w Sanglancie pewne skojarzenia. Mnich miał wydatny, sokoli nos, nieco kobiecy rys szczęki, bardziej owalny niż ostry. Był chudy, tak jak chudzi bywają głodujący ludzie, a ciemne włosy miał zaczesane do tyłu. Jak przystało na dobrego sługę Kościoła, nie nosił brody. Jednakże jego spojrzenie było czyste i nie znał w nim było lęku.

- Czy wierzysz, że ją utraciłeś, Wasza Wysokość?

- Znajdę ją.

Zachariasz rozważył te słowa i ton, którym zostały wypowiedziane i wreszcie skinął głową.

- Czy mogę ruszyć w drogę z tobą, panie?

Pytanie to w niewytłumaczalny sposób zirytowało Sanglanta.

- Dlaczego szukasz Liath?

- Aby wytłumaczyła mi te obliczenia. Ona także chce poznać konstrukcję wszechświata. Musi wiedzieć coś na temat sekretnego języka gwiazd...

- Wystarczy. - Sanglant miał dość słuchania o tym, co słyszał również z ust Liath. Przypominało mu to rozmowę między Liath i siostrą Venią, jaką przypadkiem podsłuchał: Hugo znał się na gwiazdach i umiał żeglować po nocnym niebie, śledzić drogę księżycy; Hugo fascynował się wiedzą, podczas gdy Sanglant nie. Czy Liath wolałaby towarzystwo Zachariasza czy Sanglanta? Czasami żyła w świecie swego umysłu, natomiast Sanglant niekiedy zastanawiał się, czy jego żona zdaje sobie sprawę, że jej stopy dotykają ziemi. Może zresztą teraz w ogóle jej nie dotykają. Być może w jakiejś odległej części kosmosu poznała sekrety gwiazd i nie czuje potrzeby, by wracać na ziemię, do świata, który on rozumie.

Heribert zakasłał dyskretnie i Sanglant pojął, że wszyscy czekają na jego decyzję.

- Możesz podróżować z nami, bracie, tak długo, jak będziesz posłuszny moim rozkazom i nie będziesz przysparzał nam kłopotów.

- Mam niewyparzony język, Wasza Wysokość - oznajmił mnich - i to już nieraz wpędzało mnie w kłopoty. - W jego głosie słychać było gorycz. Uczynił gest ręką, wskazując na swoje biodra, następnie zaważał się i cofnął rękę, jakby w ogóle nie miał zamiaru wykonywać żadnego gestu.

- Niewinne plotki nie są niczym niezwykłym wśród żołnierzy, bracie, ale nie toleruję kłamstwa i zdrady. Nie karzę natomiast za powiedzenie prawdy.

- Zatem jesteś niezwykłym księciem, panie.

- Bo jest - wtrącił się Fulk. Kapitan podejrzliwie przyglądał się umorusanemu mnichowi. - Ufam, że będziesz wykonywał wraz z nami różne prace w obozie?

- Jestem niskiego stanu - odrzekł cierpko mnich. - Nie boję się ciężkiej pracy i wykonywałem moje obowiązki w przeszłości. A nawet więcej... Przez siedem lat byłem niewolnikiem wśród Qumanów.

Żołnierze zaszemrali, słysząc tę przechwałkę.

- Naprawdę? - zapytał Sanglant. - Które plemię uczyniło cię niewolnikiem i jak się zwał jego wódz?

Uśmiech mnicha był niczym lot sokoła - pojawił się nagle i nagle zniknął.

- Udałem się na wschód, by nieść światło wiedzy o Bogu zagubionym duszom. Jednakże plemię Kirakit,

którego znakiem jest róg antylopy, wżgardziło moimi chęciami. Sprzedali mnie plemieniu Pechanek jako część umowy ślubnej. Możesz ujrzeć to na moich plecach: mam tam znak pazura leoparda, który nosiłem jako niewolnik bega Bulkezu.

- Bulkezu - jak echo powtórzył Sanglant.

Zachariaszem wstrząsnął dreszcz. Nawet wypowiedziane w sposób łagodny i tak daleko od właściciela imię to miało swą moc.

Sanglant przyłożył dłoń do gardła. Wyczuł pod palcami bliznę po ranie, która miała być śmiertelna, jednakże nią się nie stała.

- Walczyłem z nim kiedyś, lecz żaden z nas nie zwyciężył w tym pojedynku. - Uśmiechnął się ponuro. - Przyjmę cię do obozu z ochotą, bracie, gdyż wydaje mi się, że człowiek, który przeżył siedem lat jako niewolnik u Qumanów, nie zachwieje się tak łatwo.

- Z pewnością - rzekł Zachariasz - choć marzę o kąpieli.

- Kto tym dziś się zajmuje, kapitanie?

Fulk wpatrywał się w brata z pełnym zaskoczenia podziwem. Teraz zwrócił się do księcia:

- Miałem właśnie poruszyć tę sprawę, Wasza Wysokość. Ruiny stanowią dobrą osłonę, ale w pobliżu nie ma wody. Posłałem ludzi z wiadrami, by jej przynieśli i wystarczy nam na noc. Brat Zachariasz może zejść na dół do strumienia, jeśli zechce.

- Nie, zaczekaj chwilę, kapitanie. - Heribert wysunął się do przodu. - To jest stary fort Dariyan, nieprawdaz? - Ogarnął ruiny wzrokiem człowieka znajdującego się na starożytnych budowlach.

Sanglant obozował już kiedyś w starych fortach Dariyan. Solidnie zbudowane, przetrwały zmiany pogody i wojny tak dobrze, że wciąż były znakomitym punktem obronnym, zaś Sanglant wojował dostatecznie długo, by móc rozbić obóz nawet w spokojnym terenie, gdzie nie trzeba było się osłaniać. Ten fort, jak wiele innych, miał kwadratowe ściany i dwa przecinające się przejścia, dzielące ciasne wnętrze na cztery części z czterema wyjściami. Fulk postawił strażę na zewnątrz budowli i ulokował obóz na centralnym placu, otoczonym niskim murem. Heribert podszedł do muru i zaczął podążać wzdłuż niego, od czasu do czasu strzepując kurz z reliefów, przedstawiających żołnierzy z orlimi głowami i kobiety o pyskach szakali. Wizerunki te wyrzeźbiono w kamieniach, okalających cały plac

Nieoczekiwanie Heribert uderzył w ziemię swoim kijem i zawezwał jednego z żołnierzy. Za pomocą łopaty oraz rękojeści włóczni podkopali i podważyli kamień. W górę uniosła się mgiełka wilgoci.

- Czarnoksiężstwo! - wymruczał jeden z żołnierzy.

- Cud! - powiedział drugi.

Heribert w porę usłyszał te komentarze.

- Nie, nie ma w tym magii ani cudu - powiedział, nieco zdegustowany. - Wszystkie forty Dariyan zostały zbudowane według tego samego planu. Jedna cysterna zawsze znajduje się na centralnym placu, oznaczona przez postać kobiety, ubranej w spódnicę ozdobioną błyszczącymi zaworami, która trzyma w ręku lilię wodną. Zazwyczaj w fortach zasiedlonych przez dłuższy czas istniała sieć rynien i kanałów, które odprowadzały deszczówkę do centralnej cysterny i...

Ponieważ wyglądało na to, że, wiedziony pasją, ma zamiar kontynuować wyjaśnienia w nieskończoność, Sanglant przerwał mu:

- Pozwól mi pierwszemu spróbować wody.

Znaleziono sznur i wiadro. Kiedy jeden z żołnierzy podał mu do połowy pełne wiadro, Sanglant zanurzył rękę w zimnej wodzie i upił łyk. Nie poczuł ani trucizny, ani stęchlizny. Woda była świeża i czysta. Żadne zwierzę z pewnością jej nie zabrudziło.

- Można jej bezpiecznie używać, kapitanie.

- To oszczędzi nam pracy, bracie - rzekł Fulk, wpatrując się w Heriberta z respektem. Kapitan i mnich odeszli, zaś Heribert zaczął wskazywać różne charakterystyczne punkty fortu. Zachariasz opuścił obóz, by się w spokoju umyć. Blessing kręciła się i przebudzała z drzemki. Sanglant wyjął ją z naprędcy skonstruowanego bujaka, zbrojni, zaś rozpalili ognisko i przynieśli rzeczy, by zająć się naprawą podartych opończy i tunik. Kucharze upiekli sześć jeleni ubitych za dnia, podczas marszu.

W ten sposób przygotowano się do spoczynku. Sanglant nakarmił Blessing papką z grochu i koziego mleka, przyprawioną miodem, który żołnierz Sibold skradł z gniazda pszczoł dwa dni temu. I choć ów żołnierz miał wciąż spuchnięte palce, jego wysiłek się opłacił.

- Ta ta! - powiedziała dobitnie Blessing. - Da ma ba! Wa! Ge! Ge! - Wierciła się na kolanach ojca i chwytowała jego palce, usiłując wstać. W ciągu ostatnich dziesięciu dni trzymała się na nogach tak pewnie, że mogła już biegać i chętnie to robiła, gdy tylko nie musiała leżeć w hamaku. Była tak przyzwyczajona do świty Sanglanta, że biegła do żołnierzy, krzycząc z radości. Ojciec gonił ją, a ona chowała się za ich

nogami. Stało się to wieczornym rytuałem wojennej zgrai. Kiedy już zmęczyła się zabawą, Blessing królowała na rękach ojca, przysłuchując się śpiewom przy kolacji. Każdy ze zbrojnych znał tuziny, dziesiątki i setki piosenek. Blessing towarzyszyła ich śpiewaniu, gaworząc i choć nie umiała jeszcze klaskać w ręce do wtóru, machała nimi z zapalem.

Kiedy wreszcie z na wpół przymkniętymi oczami przytuliła się do ojcowskiej piersi, Sanglant zawiązał brata Zachariasza i wypytał go dokładnie o Bulkezu i Qumanów. Mnich zdołał zmyć z siebie większość brudu, choć jego odzież nadal cuchnęła. Miał akcent człowieka urodzonego i wychowanego na wschodzie wśród wolnych chłopów, takich, którzy osiedlili się na zaoferowanych im ziemiach, oddając swoje grunty w zamian za królewską opiekę. Na temat Qumanów Zachariasz miał wiedzę niewolnika, niekompletną i nieco pobieżną, znał jednak szczegóły i wiedział, jak o nich mówić.

- Może najlepiej byłoby, gdybyśmy podążyli na wschód - powiedział Sanglant do Fulka i Heriberta. - Sapięntii nie spodoba się wieść o małżeństwie naszego ojca z królową Adelheid.

- To daleka droga - zauważył Heribert.

- Wszystkie drogi są długie. - Blessing zapadła w sen. Sanglant umieścił ją w hamaku, tak by żadne stworzenie nie mogło jej ukąsić. Reszta zwinęła się w koce. W oddali słychać było lekkie kroki wartowników. Sanglant nie mógł spać. Jego ręka wciąż piekła od pokłucia ostami.

Jerna pojawiła się nad nim, szemrząc niczym woda. Owinęła się jak ochronny welon wokół Blessing. Być może chroniła dziecko niczym amulet. Odkąd zaczęła ją karmić, dziecko nie chorowało. Nie kąsały jej również komary, zatruwające życie reszcie obozu. Gorące słońce nie wyrządzało jej skóry żadnej krzywdy, podobnie jak i zimno. Rosła tak szybko, że wszyscy zdawali sobie sprawę, iż jest to dziwne i nietypowe. Nikt jednak nie mówił tego głośno.

Może był głupcem, zgadzając się, by tak dziwne stworzenie niańczyło jego córkę. Ale co innego mógł zrobić? Dokonał jedyne go możliwego wyboru.

Więc niech tak będzie.

### 3

Armia króla Henryka z wysiłkiem podążała do przodu. Rosvita już po raz piąty znalazła się w martwym punkcie. Tkwiła za wozem, który utknął w miejscu, gdzie lodowa powłoka pękła pod ciężarem kół. Te następnie zaryły się w błocie.

Fortunatus skierował ku niej muła i westchnął.

- Czy sądzisz, że było mądrym ze strony Henryka, by przeprować się przez góry o tak późnej porze roku?

- Nie mów źle o królu, proszę, bracie. Maszeruje z Bożego rozkazu. Spójrz, słońce wciąż świeci.

Rzeczywiście, świeciło, choć światło było blade i mizerne na tle ciemnych chmur, masywu gór i zacinającego wiatru. Zbrojni i służba pospieszyli z deskami i kijami, by wydobyć wóz z błota. Klócili się przy tym, kompletnie zniecierpliwieni.

- Czy powinienem z nimi porozmawiać, siostrze?

- Nie, lepiej ich zostaw, chyba że dojdzie do walki na pięści. Ale możesz się zająć moim mułem, jeśli byłbyś tak uprzejmy. - Tak jak to bywało w chwilach przerw w podróży, Rosvita zsiadła ze swego zwierzęcia i podążyła do wozu, na którym znajdowali się chorzy żołnierze. Byli zbyt słabi, by chodzić.

- Pomódlmy się, przyjaciele - powiedziała, dotarwszy do wozu, choć prawdę rzekłszy, część zbrojnych była tak złożona gorączką, że nie słyszała jej słów. Dolatywała stamtąd koszmarna woń, gdyż niektórzy nieszczęśnicy nie mieli siły, by zejść z wozu i załatwić swe fizjologiczne potrzeby.

Od muła do wozu dzieliły Rosvitę cztery kroki. Z tej odległości mogła w pełni widzieć, z czym zmagala się armia.

Woznica miał owiniętą część twarzy, aby chronić się przed zapachami choroby, ale i tak Rosvita zobaczyła w jego oczach przerażenie. Potem usłyszała grzmot, trzask i ryk, który głuszył odległe wrzaski i ostrzegawcze nawoływania.

- Siostrze! - jęknął Fortunatus. - Boże, nadchodzi śnieżycy!

Rosvita odwróciła się. Nim zdążyła policzyć do dziesięciu, słońce zniknęło za białą zasłoną, która nadeszła z gór. Widok był o tyle zaskakujący, że wydawało się, że zasypują ich białe płatki kwiatów.

Śnieżycy uderzyła bez ostrzeżenia. Rosvita miała tylko tyle czasu, by chwycić za bok wozu. Fortunatus

rzucił się na ziemię z grzbietu muła, ciągnąc lejce. Potem pochłonęła go burza śnieżna, ciskając w kierunku Rosvity. Ta nie była w stanie usłyszeć jęków chorych żołnierzy. Wiatr smagał ją, a śnieg zasypywał. Kamienie niesione przez wiatr były ją po plecach, jak gdyby ciśnięte ręką giganta, okładającego swych wrogów. Szukała po omacku wozu, aż natknęła się na wołu. Na szczęście miała rękawice, ale i tak jej palce zeszytniały, gdy chwyciła za drewno i uprząż. Musiała odwrócić się od wiatru w celu zaczerpnięcia powietrza.

Przez straszliwie długi czas, kiedy ciepło zdawało się z niej uciekać, Rosvita myślała tylko o tym, jak przetrwać.

Kiedy opady śniegu ustały na tyle, że mogła się rozejrzeć, okazało się, że jest zasypana po kolana, a jej stopy zupełnie zeszytniały. Przez wściekłą nawałnicę prawie nie widziała ludzi na drodze. Nie maszerowali już na południe, w kierunku przełęczy prowadzącej do Aosty. Teraz szli na północ, całkiem zboczywszy z drogi.

- Boże! - krzyczał woźnica, starając się, by go dosłyszano przez wyjący wiatr. - Muszę obrócić wóz, inaczej utkniemy w śniegu!

Rosvita zawezwała gestami trzech żołnierzy. Wspólnymi siłami przekręcili nieco wóz, choć było to dość ryzykowne na wąskiej drodze, gdzie teren z jednej strony opadał stromo, a z drugiej wznosił się ukosem. Niestety, nic nie mogli zrobić z wciąż tkwiącym w błocie wozem, stojącym na przodzie.

- Siostro! - Fortunatus jakimś cudem zdołał utrzymać oba muły, choć było blisko krawędzi drogi. Pieczołowicie przywiązał lejce do tylnej części pojazdu, jakkolwiek trudno mu było ruszać przemarzniętymi palcami. Potem ruszyli wraz ze zwierzętami za wozem, który zawracał w dół przełęczy.

Burza śnieżna sprawiła, że cały świat stał się biały. Za ich plecami mozolnie przedzierały się jakieś postacie. Od czasu do czasu grupa zbrojnych przystawała, by pomóc się podnieść jakiemuś żołnierzowi. Wóz grzęznął na drodze pokrytej trzeszczącym pod jego kołami śniegiem. Wiatr pchał do przodu, jakby rad, że może się ich pozbyć. Rosvita potknęła się o kamień i pośliznęła na drodze. Fortunatus zdołał ją złapać. Rosvita zacisnęła wargi i pomimo braku sił skoncentrowała się, by uważnie iść krok za krokiem.

Przez wycie wichru przedarł się słaby dźwięk rogu, sygnalizujący przybycie króla.

Wkrótce zrównał się z nimi orszak władcy. Henryk siłą woli utrzymywał się na grzbiecie swego wierzchowca. Królowa Adelheid dzielnie podążała za nim, odziana w futrzany płaszcz. Jej okrycie było tak szczelnie zasypane śniegiem, iż królowa wyglądała jak pokryta lodem. Nadjechał król i okrzykami począł mobilizować swych zbrojnych do działania.

Pomimo burzy dostrzegł Rosvitę i przywołał ją.

- Siostro Rosvito! Czy potrzebujesz wozu?

- Nie, Wasza Wysokość. Chorzy żołnierze potrzebują go bardziej niż ja.

Skinął głową.

- Niedługo dotrzemy do miejsca, w którym obozowaliśmy ubiegłej nocy.

Król ruszył, znikając w śnieżnej zamięci. Rozpoczęli trwającą bez końca wędrówkę, podczas której Rosvita wiedziała, iż idzie tylko dlatego, że niosą ją nogi. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie wiatr nie był tak porywisty. Śnieg wciąż padał, delikatny, lecz obfity.

Ich kwatery została zbudowana w sposób prymitywny. Była jednak dostatecznie duża, by pomieścić sporą grupę osób. W stajniach mogło się zmieścić około czterdziestu wierzchowców. Poza tym mieli do dyspozycji pół tuzina szop i zabudowań. To jednak nie wystarczało całej królewskiej armii. Zeszłej nocy obozowali pod gołym niebem, a aura była jesienna i pogodna. Na ziemi nie zalegał śnieg. Wszyscy sądzili, że dobra pogoda utrzyma się przez kolejne pięć dni, co pozwoliłoby armii pokonać góry i dotrzeć do Aosty.

Woźnica ledwo mógł manewrować wozem pośród tuzina innych, zgromadzonych na drodze. Kuląc się z zimna, ześlizgnął się z kozła. Jeden z Lwów pospieszył i pomógł mu przykryć grzbiety wołów kocami. Potem wraz z kilkoma towarzyszami schronili się po zawietrznej stronie pojazdu. Służba nie miała się gdzie podziąć. Zbrojni i mnisi pospieszyli do chorych, pomagając tym, którzy byli w stanie chodzić i prowadząc ich do stajni. Około tuzina mężczyzn leżało z tyłu wozu. Byli martwi. Rosvita zmówiła nad ich ciałami krótką modlitwę wargami zeszytniałymi z zimna.

- Niestety - wymruczał Fortunatus, podchodząc do niej. - Obawiam się, że żaden z tych chorych ludzi nie przetrwa takiego zimna.

- Jeśli taka będzie wola Boga, przetrwają. Jeśli nie, otrzymają swą nagrodę w niebie.

- To prawda - przytaknął Fortunatus.

Gdy wszystko zostało już powiedziane i wykonane, Rosvita nie miała nic więcej do zrobienia.

- Chodźmy - powiedział Fortunatus. - Pora spotkać się z królem.

Henryk i jego świta znaleźli schronienie w hallu kwatery. Obecność wielu ludzi sprawiła, że zrobiło się ciepłej, choć w budynku paliły się tylko dwa ogniska. Dym drapał w gardło. Tyłu ludzi szukało tu schronienia przed zamiecią, że trudno się było przedrzeć do króla.

Henryk usunął się, oddając miejsce przy paleniskach chorym dowódcom i dworzanom oraz kilku zwykłym żołnierzom, których znał - Lwom albo członkom swej osobistej straży. Stał w gronie doradców pośrodku schroniska, dyskutując o ich rozpaczliwym położeniu. Towarzyszyła im pomarszczona zakonnica, przełożona zakonu, prowadzącego schronisko. Król pił piwo prosto z dzbana i słuchał jej słów, tłumaczonych przez drugą mniszkę.

- Nie, Wasza Wysokość, jeśli burza śnieżna nadchodzi tak nagle o tej porze roku, nie przejdzie zbyt szybko. Jeśli zaś burza ucichnie za dzień lub trzy, śnieg będzie zbyt głęboki, by iść dalej.

Obok króla stał Helmut Villam. Wyglądał na wyczerpanego przedzieraniem się przez zamieć. Jeszcze tydzień temu, podczas zaręczyn z Leobą, promieniował młodością. Teraz wyglądał na swe sześćdziesiąt lat, tak jakby cały młodzieńczy wigor, który zawsze go ożywiał, został wyssany przez dotkliwie zimno.

- Jednakże dzisiejszego ranka było tak niewiele śniegu! - zaprotestował. - Jeśli go przeczekamy, możemy podjąć jeszcze jedną próbę przekroczenia przełęczy, nim zima uderzy naprawdę.

- Możecie - zgodziła się zakonnica. - Możecie. Pamiętajcie jednak, że służę w tych stronach przez trzydzieści lat, panie. Znam tutejsze burze. Nie przejdziecie aż do późnej wiosny. Jeśli spróbujecie, armia bardzo na tym ucierpi, Wasza Wysokość.

Henryk upił kolejny łyk piwa, rozważając te słowa. Rosvita zaś poczuła nagle gwałtowny ból, jakby tysiąc cienkich noży zaczęło przeszywać jej pięty. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał jej Fortunatus.

Król to zauważył. Posłał jednego z Lwów po stołek, by Rosvita mogła na nim spocząć. Przyniesiono piwo, wypila je z przyjemnością. Przez chwilę, niczym wirujący śnieg, otaczały ją pomruki i strumień najprzeróżniejszych rozmów. Siedziała ze spuszczoną głową, łapiąc oddech i zaciskając zęby, podczas gdy ból z wolna mijał.

Potem służący odwinął jej nogawice i odsłonił stopy. Jej palce także przemarzły. Fortunatus ukląkł i zaczął rozcierać jej nogi, podczas gdy po policzkach Rosvity ciekły łzy.

Poprzez mgłę bólu usłyszała słowa Henryka.

- Nie, nie możemy ryzykować. Jest późna pora roku. Nie jest dyshonorem być pokonanym przez góry. Nie możemy tutaj zostać, gdyż jest zbyt mało miejsca dla wszystkich. Musimy zawrócić do Bederboru i liczyć na hojność Konrada przez zimę.

- Zrobi to z niechęcią - zauważył Villam.

- Ale robi - powiedział Henryk. - Skorzystamy z jego gościnności, przypominając mu o lojalności, która jest obowiązkiem wobec panującego. I tym sposobem nie osłabimy armii. Kiedy przełęcz będzie możliwa do przejścia w następnym roku, pomaszerujemy na południe i zaskoczmy Żelaznogłowego. Oczywiście ty, Helmutcie, będziesz zadowolony, gdy na północy nie będzie śniegu. Poślemy po twoją narzeczoną, a ona ogrzeje twoje łóżko!

Śmiech rozległ się po tym docinku, a nastrój wyraźnie się poprawił. Taka była moc króla.

Rosvita wciąż czuła ukłucia w stopach, jak gdyby kąsała ją setka pszczoł.

- Proszę cię, bracie, już wystarczy!

Fortunatus popatrzył na nią z ponurym uśmiechem.

- Lepsze to niż utrata palców, nieprawdaż, siostrze? Czy będziesz mogła jeździć konno?

Rosvita zgięła nogi i stwierdziła, że choć wciąż ją bołą, może nimi poruszać, a nawet na nich stać.

- To niedobre wieści - powiedziała do Fortunatusa - że musimy czekać do następnego roku, by pomaszerować na Aostę. Gdzie jest królowa?

Henryk skierował się ku drzwiom, by wydać rozkazy dotyczące wycofania się do Bederboru. Rosvita ostrożnie wstała i stwierdziła, że jej nogi nie są w najgorszym stanie. Poprzez tłum wyłapała spojrzenie Adelheid, siedzącej w kącie na łóżku, zbudowanym pod jedną z krokwi. Wymiotowała do miski, trzymanej przez służącą.

- Wasza Wysokość! - Rosvita pospieszyła ku niej, zaniepokojona. Wymioty były pierwszym objawem szerzącej się wśród żołnierzy choroby. Kiedy jednak stanęła obok Adelheid, królowa wyprostowała się z bladym uśmiechem i pozwoliła, by służąca przetarła jej twarz.

- Nie, to nic poważnego. - Królowa chwyciła rękę Rosvity. Dłonie Adelheid były ciepłe pomimo szalejącej na zewnątrz zamieci. Jej uścisk miał niezwykłą siłę, zaś oczy błyszczały triumfem, gdy patrzyła ponad głowę Rosvity w kierunku męża. - Sądzę, że jestem w ciąży.

Wszystkie zrujnowane forty Dariyan wyglądały podobnie. Sanglant poprowadził swoich ludzi na północ poprzez Wayland, podążając starożytnym traktem inwazji Dariyan, mającej miejsce setki lat temu. Forty przetrwały znacznie dłużej niż imperium.

Tej nocy, jak zresztą każdej, upewniwszy się, że Blessing zasnęła, Sanglant wyruszył zlustrować nocne warty. Pożartował z Siboldem, porozmawiał o pogodzie z Erwinem, poczynił wraz z Wracwulfem wnikliwe uwagi o terenie i ruszył dalej. Kiedy dotarł do ogniska, zarówno Heribert, jak i Zachariasz już spali pod na wpół zawalonym dachem, przykryci swymi opończami. Heribert uprzątnął połamane dachówki, robiąc miejsce dla Sanglanta, jednakże książę był zbyt niespokojny, by móc zasnąć. Usiadł przy ognisku i rozmyślał.

Cichy wiatr rozwiał chmury. Niebo było zupełnie czyste. Niepostrzeżenie podkradło się zimno, przeganiając resztki lata. Ostro świecące gwiazdy przypomniały mu o Liath, bo lubiła noce takie jak ta, tak pogodne i zimne, że gwiazdy wydawały się dwa razy jaśniejsze i sto razy liczniejsze niż zazwyczaj. Nad jego głową świeciły trzy kamienie, Diament, Cytryn i Szafir, zaś Królowa prowadziła Guivre'a ku zachodniej części nieba. Wzdłuż horyzontu płynęła Rzeka Dusz. Czy Liath szła teraz po niej? Czy go widziała? Gdy wypowiedział łagodnie jej imię i pozwolił, by uniósł je wiatr, nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Dobrze strzegli swych sekretów.

Po jakimś czasie wzeszedł bladawy księżyc, oświetlając niebo srebrnym światłem. Sanglant usłyszał je wcześniej niż straż: stłumione szelesty, ostrożne znaki, otarcie futra o wyschłe liście, może ogon wleczony wzdłuż krzaków. Sanglant porwał się na nogi, zaś Jerna wystrzeliła w górę, unosząc się z posłania Blessing. Z mieczem w rękę podążył za demonem - smugą połyskującą na tle nocnego nieba - w kierunku ścian fortu. Krótco pozdrowił go Wracwulf, czujny na tyle, by ujrzeć, jak Sanglant przygląda się leśnym ostępom. Żołnierz także zwrócił tam wzrok.

W ciszy wyłoniły się z gąszczu trzy wilki. Wartownik zasyczał, ale Sanglant położył mu rękę na ramieniu w geście uspokojenia. Niczym duch pojawił się przy kamieniu z lewej strony czwarty wilk. Zwierzęta nie podchodziły bliżej, patrzyły tylko. Ich bursztynowe oczy lśniły w świetle księżyca.

Wracwulf podniósł włócznię. Stojący na czatach Sibold napiął cięciwę łuku.

- Nie strzelaj! - zawołał Sanglant.

W obozie wybuchł alarm i krzyki. Wilki zniknęły między drzewami. Sanglant odwrócił się i z wyciągniętym mieczem rzucił się ku obozowi. Żołnierze uwijali się, zaalarmowani niczym zaniepokojone pszczoły. Zgromadzili się przy hamaku Blessing, jednakże zamieszanie jej nie przeszkodziło; nadal spała spokojnie.

- Wasza Wysokość! - Kapitan Fulk wskazał włócznią na ciemną figurę, stojącą obok śpiącego dziecka.

- Kto to? - zapytał Sanglant, wściekły. Strach zawsze wyzwalał w nim złość.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Jego włosy miały srebrzysty odcień księżyca, który oblewał ich swym delikatnym światłem.

- Kiedy zorientowałem się, że to ty, książę Sanglancie, musiałem zobaczyć dziecko.

- Wilkun!

Stary Orzeł wyglądał na zmęczonego. Kulał. Jego opończa i odzienie wyglądały schludnie, lecz buty były znoszone i brudne. Za nim, na ziemi, leżał jakiś pakunek.

- Wasza Wysokość. - Przyjrzał się otaczającym go żołnierzom z tak delikatnym uśmiechem, że Sanglant nie był w stanie powiedzieć, czy Wilkun był rozbawiony, czy podłamany. - Czuję się tak mile powitany, jak gdybym wskoczył do łóżka pełnego ostów.

Fulk nie opuszczał broni. Grot niespokojnie poruszał się w okolicy brzucha przybysza.

- Ten człowiek został skazany na banicję.

- Czyżby? - zapytał uprzejmie Sanglant.

- Niestety, to prawda - przyznał dość wesoło Wilkun. - Opuściłem dwór króla bez jego zgody. Kiedy mój koń okulał, nie byłem w stanie zdobyć następnego.

- Siadaj. - Teraz, gdy Blessing nie groziło żadne niebezpieczeństwo, Sanglant dostrzegł ironię sytuacji. - Będę szaszczycony, jeśli opowiesz mi swą historię. W każdym razie, jesteś pod moją opieką. To, że nie cieszę się teraz łaskami króla, działa na twoją korzyść.

- To prawda. Takie plotki słyszałem po drodze. - Z twarzy Orła spadła maska obojętności, pojawił się na niej cień niepokoju i rozemocjonowania. - Gdzie jest Liath?

- Kapitan Fulk - powiedział Sanglant - rozpałił ognisko niedaleko źródła. Porozmawiam z Orłem na osobności. Postaw podwójne straże przy mojej córce.

Większość żołnierzy udała się z powrotem na spoczynek. Księżę poprowadził Wilkuna do świeżo rozpalonego ogniska, siadając w kamiennej niszy, w której kiedyś musiał mieścić się jakiś bożek albo też broń.

Wilkun westchnął ciężko, z wdzięcznością przyjmując piwo i chleb.

- Nie jestem przyzwyczajony do chodzenia - powiedział do nikogo w szczególności. - Bolą mnie stopy.

W tym momencie z posłania podniósł się Heribert. Przetarł oczy. Wilkun przyjrzał mu się, lecz dostrzegł tylko odzienie. Potem popatrzył znowu.

- Jak się tu dostał? - zapytał.

- Jest moim doradcą i przyjacielem. - Sanglant gestem dał znać Heribertowi, by usiadł. Ponieważ jednak Wilkun stał, Heribert nie siadał, kręcąc się nerwowo za plecami Sanglanta, niczym trzepoczący skrzydłami ptak.

- Jesteś świadomy, jakiego rodzaju to człowiek? - zapytał Wilkun.

- I to bardzo. Ufam mu na śmierć i życie. Nawet życie mej córki.

- Wyklęty przez Kościół za współudział w czarnoksięstwie! Bastard biskupiny Antonii!

- W takim razie powinienem go potępić jako pierwszy, sam bowiem jestem bastarden - uśmiechnął się Sanglant, lecz, spojrzawszy na Heriberta, ujrzał, że kleryk zeszywniał, jak człowiek spodziewający się śmiertelnego ciosu. - Ten argument nie ma dla mnie sensu, Wilkunie. Heribert już dawno wyjawiał mi prawdę o swych narodzinach i wychowaniu, choć przyznaję, że nie wiem, kim był jego ojciec. - Wilkun zaczął mówić, lecz Sanglant uniósł rękę. - Nie próbuj mnie buntować przeciwko niemu. Wiem więcej o tym, co kryje się w sercu Heriberta i o jego lojalności niż o twojej!

Spokój malujący się na twarzy Wilkuna zaczął ustępować miejsca oburzeniu i bólowi.

- Czy to prawda, że biskupina Antonia udała się do Anny i została włączona w poczet Siedmiu Śpiących?

- Przysięgam na naszego Pana i Panią - wymruczał Heribert.

- Byłem z biskupiną Antonią, gdy uciekaliśmy spod twej kurateli, Orle, jak dobrze pamiętasz. Kiedy dotarliśmy najrozmaitszymi drogami do Verny, moja matka przysięgła służyć Annie jako... - tu przerwał, zanosząc się chichotem niczym dziecko, wyśmiewające znieawidzonego rodzica - jako siódma w jej grupie.

W oddali zawył wilk. Jerna westchnęła. Niesiona wiatrem, spłynęła na ramię księcia. Jej dotyk był delikatny i chłodny. Dwaj wartownicy przekomarzali się, zmieniając się na straży.

W tej chwili Sanglant pojął wszystko. Jakby wyczuwając jego wzrastającą złość, Jerna uniosła się w powietrze. Księżę wstał gwałtownie, imponując swą posturą.

- Tak więc znasz ich, Annę i innych. - Nie pytał, lecz stwierdzał.

- Cały czas byłeś jednym z nich, nigdy nie dotrzymując wierności memu ojcu ani jego ojcu. Nigdy nie byłeś wierny przysiędze Orła.

To było za wiele dla Wilkuna.

- Nie kpij z tego, czego nie rozumiesz, mój księżę! Król Arnulf ufał mi, a ja służyłem mu do dnia jego śmierci. Nigdy nie zdradziłem Wendaru. - Podniecony, mówił dalej zdławionym głosem, stanąwszy na kamiennym bloku. Było w nim znużenie człowieka, który przeszedł wiele mil, tylko po to, by zastać swój ukochany dom zburzony. - Ach, Pani! Że też do tego doszło! Anna powinna być gotowa używać narzędzi zła do dobrych celów. Czyżbym źle ją oceniał przez cały ten czas?

- Czy to cię zaskoczyło? - zapytał Sanglant. - Liath i ja byliśmy jej więźniami przez wiele miesięcy. To nie zaskakuje mnie.

- Nie byliście jej więźniami, Liath była... - Wilkun przerwał z bolesnym grymasem na twarzy.

Sanglant dokończył za niego.

- Jej narzędziem. Nawet jej córka była dla niej tylko narzędziem. Czy Anna kiedykolwiek ją kochała?

Wilkun zasłonił oczy ręką. W jego głosie z łatwością wyczuwało się ból.

- Nie, Anna nigdy jej nie kochała. Tylko Bernard darzył ją miłością.

„Anna zabiła go, by odzyskać Liath”.

- Bernard zabrał to, co do niego nie należało! Może i chciał dobrze, ale mylił się straszliwie. Był zawsze pewny swoich racji, nigdy nie słuchając nikogo prócz siebie. Zepsuł Liath, chowając ją przed tymi, którzy rozumieci, kim ona jest i jaką mocą włada od dnia swych narodzin. Nie mieliśmy wyboru - musieliśmy robić wszystko, by ją odzyskać!

Wstał z zaciśniętymi rękami i podszedł do ognia. Wpatrywał się w jego płomienie, jak gdyby



spodziewał się tam zobaczyć przeszłość. Wreszcie podniósł wzrok.

- Kiedy przybyłem do Verny, zastałem opustoszałe miasto. Wszystko było zrujnowane. Anna opuściła Vernę wraz z tymi, którzy przetrwali.

- Nie podążyłeś za nią?

- Przejść pieszo przez góry o tej porze roku? Nie posiadam jej umiejętności. Anna potrafi przechodzić przez kamienne pętle. Na miłosierdzie Boże, księżę Sanglancie, gdzie jest Liath?

Sanglant musiał zamknąć oczy, by odsunąć wspomnienia. Nie mógł o tym mówić; ból wciąż tkwił zbyt głęboko. Wiedział, że jeśli zacznie opowiadać, wybuchnie płaczem.

Heribert dotknął go lekko w ramię, po czym cofnął się.

- Nie było mnie przy tym - powiedział - i nie widziałem pożaru na własne oczy, lecz mój księżę pan powiedział mi, że nieziemskie istoty z ognistymi skrzydłami zjawiły się w dolinie, przeszedłszy przez kamienne koło i zabrały Liath ze sobą.

- Nawet kamień spłonął - powiedział chrapliwym głosem Sanglant. W jego umyśle pojawił się obraz płonących gór. Nie pomogło nawet zamknięcie oczu. Imponujące i straszne istoty zniszczyły Vernę, nie zauważwszy nawet istnienia miasta.

- Ach, Boże. - Ciszę przerwało westchnienie Wilkuna. Zwiotczał niczym marionetka, której sznurki podcięto. Siedział przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami. Ogień rzucał dookoła cienie, oświetlając jego pomarszczoną twarz i siwe włosy.

Sanglant czekał przez dość długi czas, lecz Wilkun nadal nic nie mówił. Wreszcie księżę zawezwał Matto i poprosił, by ten napełnił puchary piwem. Wilkun przyjął kielich z wdzięcznością i wychylił go, zabierając się za następny kawałek chleba i sera. Kiedy Matto wycofał się, Heribert wreszcie usiadł. Jego ruch spowodował, że Wilkun wypowiedział długo skrywane słowa.

- Przez wszystkie te lata ja i Anna rośliśmy razem, służąc tej samej sprawie. Zostałem odebrany rodzicom w wieku sześciu lat, by jej służyć. Sądziłem, że znam ją lepiej niż ktokolwiek, nawet siostra Klotylda. Nigdy nie została wtajemniczona w młodzieńcze marzenia Anny. Ja zaś tak. Anna była zawsze bardziej cnotliwa i wzniosła niż reszta z nas. Nigdy nie myślałem, że stowarzyszy się z kimś tak zbrodniczym jak Antonia, kimś, kto przelewał krew niewinnych, karmił guivre'a żywymi ludźmi i kto był gotów poświęcić lojalnych kleryków dla swoich egoistycznych celów. - Heribert skrzywił się przy tych słowach, lecz nie powiedział nic, zaś Wilkun bez namysłu ciągnął dalej: - Nie byliśmy wychowywani, by używać takich metod i by sprzymierzać się ze sługami Wrogięgo! Jak to się stało, że Anna weszła w zażyłość z taką osobą i dała jej dużą władzę?

- Łańcuchy skuwają tego, kto rządzi - odparł Sanglant. - Wielcy władcy używają jakiegokolwiek miecza, który wpadnie im w ręce. Czy to nie jest wybieg? Jeśli wasz plan powiedzie się, wszyscy Aoi zginą. Co za różnica, jakiego narzędzia użyjecie, jeśli waszym celem jest zabijanie?

- Ważne, jaki jest powód. Ważne, że nasi wrogowie są słabi. Ważne, że nasze wysiłki są honorowe, a nasze serca nie odwracają się od rzeczy świętych.

- Utopienie dziecka jest honorowe i święte? Nigdy nie zaprzeczaliście, że próbowaliście mnie utopić, gdy byłem jeszcze niemowlęciem.

- Zrobiłem to, co moim zdaniem było właściwe w tamtym czasie.

Sanglant zaśmiał się ze złością.

- Radujesz moje serce, wypowiadając te słowa! Spodziewasz się, że pozwolę ci przebywać choć jedną noc w pobliżu mej córki, do której zamordowania również możesz się poczuwać! Anna zagłodziłaby ją na śmierć. Czy ty jesteś lepszy? Odejdź i dołącz do Anny, która, jestem pewien, będzie szczęśliwa, znowu cię widząc.

Światło księżycy sprawiło, że twarz Wilkuna wydała się straszliwie blada.

- Było dość łatwo utopić dziecko, zanim dowiedziałem się, co znaczy jakieś kochać. Dbałem o Liath ze wszystkich sił. Anna jednak uważała, że nie robimy dobrze, kochając ją, że w ten sposób osłabiamy swe siły. Tylko Bernard nie zważał na nią. Bernard nigdy tego nie robił. - Gwałtownie odwrócił głowę, jak gdyby ktoś uderzył go w twarz. - Oddałem Annie wszystko, moje życie, moją wierność. Nigdy się nie ożeniłem ani nie spłodziłem dzieci. Nigdy więcej nie zobaczyłem mojej rodziny. Czy to w ogóle obchodziło niewiernego Bernarda? Skradł wszystko, co kochałem.

Przyglądając się twarzy Wilkuna, Sanglant nie potrafił stwierdzić, czy udaje niczym poeta deklamujący swą rolę, czy mówi prawdę.

- To rzewne wyznanie, ale nie jestem klerykiem ani bratem duchownym, by udzielać ci przebaczenia. - Sanglant pozwolił, by w jego głosie zadźwięczała ironia. Wilkun patrzył na niego. Teraz, gdy wylał z siebie te wszystkie słowa, był spokojniejszy, choć nadal czuł podniecenie. - Słyszałem o tobie wiele

rzeczy, ale nigdy nie mówiono, że jesteś naiwny.

- Nie. Ale byłem naiwny. Najbardziej ze wszystkich. Martwiło mnie to, że Anna nie próbuje pokochać dziecka, ale nie pozwoliłem sobie na domysły, co kryje się w jej sercu. Lękam się, że moje wątpliwości były słuszne. Anna jest innym człowiekiem, niż sądziłem.

Książę uniósł obie ręce na znak niesmaku, obwieszczając poddanie się, po czym zaczął się śmiać.

- Jestem bezbronny wobec takiego ataku. Albo jesteś najbardziej bezwstydnym kłamcą, jakiego kiedykolwiek spotkałem, albo przejrzałeś na oczy i wiesz, że Annie nie można ufać. To, co planuje, jest złe. Ona jest zła. Skąd ty czy ja możemy wiedzieć, ku czemu dążą Aoi? Czy pragną pokoju, czy wojny? Czy długie lata knuli zemstę, czy może wieki temu byli ofiarami ludzkiej magii, jak twierdzi moja matka? Anna planuje rzucić jakieś zaklęcie, by ich pokonać. Powiedz mi, co chce zrobić.

Przez długi czas Wilkun przyglądał się księżycowi. W jego świetle kamienna ściana za plecami Orła wydawała się wykonana z marmuru, z plamkami farb - czerwonej, niebieskiej i złotej i zniekształconymi figurkami, widniejącymi na wszystkich ruinach starych fortów: istoty o ciałach kobiet z głowami jastrzębi, węży i lwów. Daleko zawył wilk, jakby wzywał towarzysza na pomoc.

- Nie mogę. Moje talenty są nieliczne. Nigdy nie byłem dopuszczany do tajnych narad ani w pełni nie rozumiałem matematycznych wyliczeń. Nie jestem szlachetnie urodzony tak jak ty, panie. - Czy to był sarkazm, czy tylko cięte ostrze prawdy? - Byłem wychowywany po to, by służyć, nie rządzić.

- Dlaczego podążyłeś więc moim śladem, a nie Anny, skoro widziałeś, co stało się z Verną? Czego chcesz ode mnie?

Wilkun rozważał to pytanie w milczeniu. To, że się nie spieszył, było oznaką jego rozważliwej. Sanglant czuł ciarki na plecach. W końcu poddał się, zrobił dwa kroki ku ścianie, dotykając atrakcyjnej wypukłości rzeźbionego kobiecego ciała. Wydawało mu się, że każdy chropowaty kawałek kamienia pod jego palcami żyje. Kiedy zorientował się, co robi i że jego dłonie spoczęły na kobiecych piersiach, szybko cofnął rękę.

Wreszcie Wilkun otrząsnął się niczym wilk, który wyszedł z wody.

- Nie wiem. Pragnę znaleźć Liath, książę.

- Ja także. Jeśli jednak ją znajdziesz, co dalej? Chcesz ją zabrać z powrotem do Anny? Czy to ci kazała zrobić?

- Nie. Miałem zamiar podążyć za Anną i ludźmi z Verny, ale nie mogłem się do tego zmusić. Nie po tym, co zobaczyłem. Takie zniszczenie! Mnisi w schronisku widzieli człowieka pasującego do twego opisu, zmierzającego na północ. Nie było ciężko podążyć śladem twoim i twojej matki. Trudniej uniknąć ludzi twego ojca, ponieważ król Henryk i jego armia pomaszzerowali na północ.

- Gdzie udała się Anna?

Wilkun zawahał się.

Książę cofnął się o pół kroku. Dwóch mężczyzn, starego Orła i młodego księcia, który kiedyś był Smokiem, dzieliła teraz odległość ręki.

- Powiedz mi prawdę, Wilkun, a pozwolę ci podróżować z nami, jeśli tego chcesz. Pomogę ci szukać Liath. Musisz wiedzieć, że nie pragnę niczego więcej, niż ją znaleźć.

Wilkun przyglądał się księciu. Światło płomieni ogniska igrało na jego twarzy. Blask i cień toczyły ze sobą walkę i żadne nie zwyciężało.

- W jaki sposób masz zamiar szukać Liath, mój książę panie, jeśli mnie i Annie zabrakło osiem lat, by ją odnaleźć? Za pomocą jakiej magii chcesz znaleźć kobietę porwaną przez nieziemskie istoty, które fruują na skrzydłach ognia?

- Jeśli Liath kocha mnie i dziecko - powiedział Sanglant ponuro - znajdzie do nas drogę powrotną. Czyż nie? Czy nie jest to test miłości i wierności?

- Być może. Ale co masz zamiar czynić w międzyczasie? Nie podążyłeś na południe z armią twego ojca. Gdybyś to zrobił, odkryłbyś, że Anna i jej towarzysze poszli na południe, do Darre.

- Ach! I po to cię przysłała? Żebyś mnie szpiegował? Bardzo dobrze. Podejmę rzucone mi wyzwanie, teraz kiedy wiem, kim ona jest i co ma zamiar uczynić ludowi mej matki. - Jak zawsze, kiedy pojawiał się przed nim cel, Sanglant od razu dostrzegał cały plan działań. - Aby pokonać jej magię, potrzebuję piór gryfa i czarowników. Oraz armii.

- Wszystko to będzie bezużyteczne - rzekł Wilkun, zbyt stary i zbyt chytry, by dać się ponieść entuzjazmowi tak schematycznego planu; spodziewał się Orła, nie zaś oseska. - Nie pojmujesz jej mocy. Jest wnuczką Taillefera i matematykiem o niezrównanej mocy i mistrzostwie.

- Szanuję jej moc. Ale zapominasz, że jestem mężem jej córki, a jej wnuczka rośnie pod moją opieką. Blessing ma w połowie moją krew. Nie jestem pozbawiony pozycji i mocy.

- Nie nosisz już złotego naszyjnika, który wskazywał na two królewskie pochodzenie.
- Ten naszyjnik nosi teraz Liath, gdyż ma do tego prawo. Moja córka też ma taki.
- Czy jednak ty znów go będziesz nosił? A może odwróciłeś się od tego, co dał ci Henryk prawem ojca? Chłodne słowa poirytowały Sanglanta.
- Wezmę to, czego potrzebuję i na co zasługuję, kiedy będę gotów, nie wcześniej! Nie jestem własnością ojca. - Irytacja może jednak przerodzić się w coś użytecznego, tak jak złość pozwala szybciej rąbać drwa. - Pomóż mi przywrócić spadkobiercom Taillefera należne im prawa, Wilkun. To będzie przygotowanie na przybycie Aoi, tak byśmy mogli stawić im czoło z pozycji mocy. Pomóż mi odnaleźć Liath. Pomóż mi pokonać Annę. Prawdę rzekłszy, twoje doświadczenie będzie mi pomocne.
- Zaryzykujesz, że twa bezcenna córka znajdzie się blisko mnie, mój książę? - Czy na twarzy starego Orła pojawił się wyraz zranienia, gdy pochylał się, by przegarnąć ognisko patykiem? Iskry leniwie poszybowały w górę, trzaskając gwałtownie w zetknięciu z kamieniem.
- Nie mogę ci ufać, to prawda. Twoje zachowanie może być pułapką. Ale moja córka jest dobrze strzeżona przez istotę, która nigdy nie śpi i która szybko pozna, jakie zagrożenie możesz stwarzać. I wydaje mi się, przyjacielu, że kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się dzisiejszej nocy, podkradłeś się do obozu niedostrzeżony. Byłeś dość blisko mej córki, by ją zabić, jeśli byś to planował. Nóż w ciemności przynosi szybką śmierć. Lecz ona żyje, pomimo mego gapiostwa.
- Czy na policzku Wilkuna pojawiła się łza? Trudno było powiedzieć, a ciepło ogniska szybko wysysało wszelką wilgoć.
- Sanglant uśmiechnął się leciutko i popatrzył na Heriberta. Ten wzruszył ramionami na znak, iż nic nie może w tej kwestii radzić.
- Ruszaj ze mną i moją kompanią ostów, Wilkun. Jakie masz inne, lepsze wyjście? Nie ufasz Annie. Król Henryk skazał cię na banicję. Ja przynajmniej ochronię cię przed jego gniewem.
- Wilkun uśmiechnął się ironicznie.
- To nie gniewu króla się obawiam - rzekł, lecz poza tym nie miał żadnych obiekcji.

## **Rozdział siódmy**

### **KARA ŚMIERCI**

#### 1

Silnoręki dumał, że ludzie mają zwyczaj urządzania swoich świąt wtedy, gdy chcą uczcić jakieś pozytywne wydarzenie i zarazem coś sobie wynagrodzić. Pozwalają, by sfermentowane napitki mąciły ich umysły. Zbyt wiele jedzą. Często stają się hałaśliwi, kłótlivi i niezdyscyplinowani, szastają pieniędzmi i zdają się żyć tak, jakby ich kielichy nie miały dna.

Nawet wodzowie hołdowali tradycji świętowania zwycięstw. Ich żołnierze urządzali parady, a oni sami robili zakłady, kto zwycięży w walkach pomiędzy niewolnikami lub dzikimi zwierzętami. W ten sposób popisywali się przed rywalami i chwalili się swą władzą.

On sam nie miał takich potrzeb. Statki jego martwych wrogów tkwiły na brzegach i powiększały wielkość jego własnej floty. Gromadził broń, natomiast kowale z dwudziestu albo nawet i więcej plemion kuli ją z jego rozkazu. Wodzowie dwudziestu lub więcej plemion przybyli do Rikin Fjord, oddając się pod jego komendę, składając u jego stóp swe berła. Uznali go - niekiedy z ochotą - jako władcę wszystkich plemion: pierwszy pośród równych, tak jak to miało miejsce wśród ludzi, których król sprawował władzę nad książętami i lordami. Nazwał się Silnorękim, korzystając z prawa nadawania imion, przyznanego mu przez StarąMatkę jego plemienia. Był pierwszym wodzem, który zjednoczył wszystkie plemiona SkalnychDzieci pod swoimi rządami.

Nie czuł jednak podniecenia władzą i nie upajał się nią. Nie miał potrzeby świętowania. Piastował jedynie w swoim sercu i umyśle przeszywający nóż ambicji i zimną pustkę z powodu nieobecności tego, kogo w sercu nazywał bratem. Alain, syn Henriego, zniknął ze świata żywych.

Silnoręki nie śnił już dłużej. Dokuczliwe poczucie braku tego człowieka było źródłem goryczy i żalu.

Jednakże sny nie stanowiły całego jego życia. Nie potrzebował ich. Jego pragnienia nie pozbawione były bowiem kalkulacji. Nawet poniesiona strata nie mogła odwieść go od celu. W gruncie rzeczy, ambicja i wola służą najlepiej tym, którzy nie mają serca.

Ze swego tronu, z berłem w ręku, obserwował gromadzący się przed nim tłum. Członkowie plemion SkalnychDzieci zbierali się na delikatnie pochyłym terenie, opadającym aż do brzegu fiordu. U stóp Silnorękiego leżały dwadzieścia dwa berła, zaś wodzowie, którzy je złożyli, stali w pełnej szacunku odległości. Za jego plecami znajdowali się wojownicy plemienia Rikin, przemieszani z tymi, którzy przyплыли tutaj na statkach. Na brzegu zakotwiczone ich przynajmniej osiemdziesiąt. Na pokładzie każdego znajdowało się nie mniej niż pięćdziesięciu członków plemion SkalnychDzieci. Jednakże obecnie zgromadzeni stanowili ledwie część armii, którą Silnoręki chciał zebrać.

Większość podległych mu pozostała w rodzinnych fiordach. Mimo wszystko ludzie wciąż dysponowali większymi siłami niż wszystkie zjednoczone SkalneDzieci.

Krwawe Serce i inni wodzowie nie mogli zrozumieć, że ludzie byli od nich słabsi, choć ich liczba imponowała.

Zgromadzeni czekali. W oddali rozległ się śpiew wiatru, płynący z fjalli. Tam zebrały się w ciszy MądreMatki, co było przywilejem kamienia. Za ich plecami uwijały się PrędkieCórki. Nie miały cierpliwości swoich matek i babek. Nie dla nich powolna wieczność. Tak jak ich bracia i kuzyni, stąpały po ziemi przez nie więcej niż czterdzieści lat, by potem poddać się presji czasu.

StaraMatka plemienia Rikin stała u wejścia do swego dworu, obserwując wszystko wokół. Takie było jej prawo i obowiązek. Czuł jej oddech na karku, pomimo iż nic nie mówiła ani nie uczyniła żadnego gestu.

To był jego dzień. Nawet jeśli StaraMatka przekazałaby nóż władzy w ręce MłodejMatki i zaczęłaby swój powolny marsz ku fjalli, prawdopodobnie żyłaby dłużej niż którekolwiek z jej dzieci. Starania Silnorękiego musiały jej się wydawać sportem dla młodych, szybko zaczęłym i szybko wygranym.

On jednakże miał zamiar zrobić tyle, ile w jego mocy.

Wódz plemienia Hakonin postąpił naprzód jako ostatni i położył swoje berło na szczycie kupki innych. Uczynił to ostatni dlatego, że StaraMatka plemienia Hakonin była pierwszą, która zrozumiała cel Silnorękiego i zaproponowała współpracę. Wódz Hakoninów cofnął się, stanąwszy na przodzie zgromadzonych, pomiędzy Piątym i Dziesiątym Synem; sternikiem Silnorękiego i dowódcą, a także jego kuzynem.

Silnoręki wstał. Wyciął na trzonkach wszystkich insygniów władzy podwójne koło, co oznaczało jego władzę. Nacięcia pomalował na brunatno-żółto, tak by były bardziej widoczne. Nikt nie przemówił, gdy w ten sposób potwierdzał swą władzę: berła wodzów będą zawsze ozdabiane znakami władzy Silnorękiego.

Kiedy skończył, wszyscy wodzowie podeszli, by zabrać berła. Silnoręki zapatrzył się na fiord. Woda była zimna i spokojna. Nic nie mąciło jej gładkiej powierzchni.

Nic nie mąciło także ciszy, jaka zapadła wśród zgromadzonych.

Silnoręki pozwolił im zastanawiać się nad przyczyną jego milczenia. Niechaj się go boją, gdyż nie wyje na znak triumfu, jak zrobiłby to każdy z nich. Po cóż miałyby wyć, wrzeszczeć, skamleć, zawodzić? Niech czynią to ci, których pokonał. Ciska była jego sprzymierzeńcem, nie wrogiem.

Podczas gdy go obserwowano, Silnoręki przeszedł wzdłuż rzędów zgromadzonych nad brzegiem. Rzucił do wody kamień. Woda zafalowała. Jego sprzymierzeńcy nie mieli pojęcia, że już wcześniej zaplanował ten sygnał.

Wyskoczyły z wody wszystkie naraz. Było ich więcej, niż mógłby zliczyć. Pół ludzie, pół ryby zwane merfolkami wystrzeliły w górę i wirując, opadły w dół. Wszyscy zgromadzeni zobaczyli srebrne ciała, przerażające głowy i włosy rozwiewane na wietrze. Rozległ się plusk, gdy ciała stworzeń z powrotem zanurzyły się pod wodę. Merfolki znikły, plaskając ogonami o powierzchnię wody. Ta uspokoiła się i tafla znowu była gładka jak lustro. Odbijały się w niej drzewa i jeden kołujący sokół. W powietrze uniosła się smużka dymu.

Przez rzędy obserwujących to widowisko przeszedł szmer. Wszyscy wiedzieli, jaki koniec spotkał ostatnio ich potężnego wroga, Nokvi. Po przegranej i utracie rąk został wrzucony do wody i pożarty przez merfolki. Nie była to śmierć w chwale.

Silnoręki powrócił na swe krzesło i uniósł berło. Nie musiał krzyczeć: niechaj wiatr poniesie jego słowa tak daleko, jak to możliwe, zaś stojący z tyłu niech wyteżą słuch, by je usłyszeć.

- Słuchajcie tego, co rzeknę. Teraz zaczniemy działać. Moje statki zapolowały już na tych, którzy nie

chcieli z nami iść ramię w ramię. Jednakże nikt nie może spocząć, gdy inni będą pracować. Musimy być silni.

Wysokie stoki, otaczające dolinę, porośnięte były leśnym poszyciem. Odznaczały się na nich jaśniejsze plamy - wioski ludzi pojmanyh jako niewolnicy, którzy zajmowali się uprawą roli. Działki ziemi nie były duże, lecz wystarczały dla niewolników i ich rodzin. Silnoręki także miał z nimi związane plany. Wojna to wszak nie jedyny sposób budowania imperium.

Dziesiąty Syn Piątego Syna zadał ważne pytanie:

- Do czego mamy się przygotowywać?

- Czy mamy odwrócić się plecami do czarowników z Alby, którzy sądzą, że uczynią jednego z naszych wodzów marionetką i niewolnikiem? - Silnoręki ugodził spojrzeniem w tłum. - Uczynili głupca z tego, który nazywał siebie Nokvim. Czy pozwolimy czarownikom wierzyć, że nie jesteśmy lepsi niż Nokvi i jego poplecznicy? A może weźmiemy rewanż za zniewagę?

Odpowiedział mu ryk tysiąca głosów. Pozwolił mu przygasnąć i kiedy zapadła cisza, kontynuował. Jednak ciążyła mu za plecami obecność StarejMatki.

- Wracajcie w doliny, do swych domów. Przez jesień i zimę przygotujcie statki i broń. Kiedy powieją zimowe wiatry, uderzymy na wyspę Alba. Latem poproszę was, byście uderzali silnie i często. Atakujcie, gdzie to możliwe. Bierzcie, co chcecie. Jedna szóstka waszych zdobyczy przypadnie mnie. Powiadomcie mnie, gdy znajdziecie czarowników. Znajdę ich i wypenię, a gdy nadejdzie czas, wyspa Alba i jej bogactwa będą należeć do mego ludu. Tak to się zacznie.

Rozległy się gromkie okrzyki entuzjazmu, wycia i wrzaski gotowego do czynu i groźnego tłumu. Najważniejsze jednak było to, że obecni rozchodzili się spiesznie i sprawnie, z namysłem snując plany. Wreszcie ruszali się nie jak bestialska horda, upojona chwilowym zwycięstwem, ale jak istoty rozumne, potrafiące planować, działać i zwyciężać.

Odwrócił się ku StarejMatce, lecz ona weszła już do środka swego domu. Zamknęła za sobą drzwi. Zresztą, nie było potrzeby, by się wtrącała. Oświadczyła już, co swoje, w dniu, gdy nadawano mu imię: *Silnoręki będzie wyniesiony lub upadnie dzięki swoim własnym staraniom.*

Skinął na Dziesiątego Syna.

- Kiedy nasi sprzymierzeńcy opuszczą już fiord, nakaz rozbójnikom spieszyć do kraju Moerin. Niech się upewnią, że nie żyje każdy z popleczników Nokwiego. Niech kilka czołen patroluje wybrzeże, a kilku naszych braci, cichych i przebiegłych, wyruszy w podróż. Niech podążają do różnych miejsc i mają czujnie nastawione uszy. Może się zdarzyć, że ci, którzy twierdzą teraz, że są naszymi sprzymierzeńcami, staną przeciw nam. Muszę wiedzieć, czy są tacy.

- Rozkazy będą wykonane - skłonił się Dziesiąty Syn. Kilku zaufanych ludzi pospieszyło, by wynieść tron Silnorękiego. - Czy są tacy, którym ufasz mniej niż pozostałym?

Silnoręki zastanowił się.

- Isa. Wódz plemienia Ardaneka przybył tylko dlatego, że uczynili to inni. Musimy znaleźć szczenię Moerina, żeby objął władzę nad resztkami, które pozostały z tego plemienia. Na tę wyprawę wyślij tych, którzy mają oczy szeroko otwarte. - Do głowy przyszedł mu pewien pomysł i przez chwilę obracał go w myślach. Wreszcie rzekł: - Niech wezmą silnych i mądrych niewolników. Mogą dowiedzieć się wiele od niewolników innych plemion.

Spośród wszystkich sług Silnorękiego tylko Dziesiąty Syn nie dziwił się temu, że wódz wykorzystuje niewolników w taki właśnie sposób. Dziesiąty Syn przechylił głowę na jedną stronę, tak jak robią to psy, gdy słuchają, po czym zamyślił się.

- Zrobimy tak - powiedział. - Jest jeszcze inny sposób, aby dotrzeć do czarowników drzew. Wieści o nich z pewnością trafiły do kupców, podróżujących od portu do portu. I chociaż Krwawe Serce stracił miasto Hundse - które ludzie zwą Gent - dzięki niemu płynie do nas nadal wiele bogactw. Niektórymi z nich możemy handlować, a ci, którzy będą się tym zajmować, mogą zdobywać wieści.

Słowa te wyraźnie podziały na Silnorękiego. Cały aż pojaśniał, niczym słońce, które wydostało się spod chmur. Nie spodziewał się, że jego brat może myśleć tak mądrze.

- Muszę przemyśleć to, co powiedziałaś.

PrędkieCórki tymczasem zajmowały się najbardziej znaczącymi sprawami: kontynuacją życia plemienia. Niezauważalnie opuściły Silnorękiego, by robił to, co do niego należało. Nie było wątpliwości, że w ich oczach takie przedsięwzięcia jak najazdy i plądrowanie, walka i podbijanie, były nieważne i trywialne. Przez tysiące zim kamień może wytrwać na swym miejscu, podczas gdy kości Silnorękiego i jego wysiłki zostaną kiedyś pogrzebane w ziemi.

Z berłem w ręku udał się ku fjalli. Rzędami stały tu opustoszałe domy niewolników. Pozostało w nich

zaledwie kilku obdartusów, zbyt głupich, by je zostawić. Zawsze, gdy trafiał w tę okolicę, najpierw wyczuwał, a potem dostrzegał pół tuzina (albo więcej!) ludzi, grzebiących w śmieciach albo wałęsających się od ściany do ściany w ruinach swych domostw. Wałęsając się przybudówki i baraki, w których niegdyś żyli, zostały zrównane z ziemią, a kamienie i drewno użyte do budowy bardziej godziwych domostw. Diakonisa Urszula i jej ludzie byli ucywilizowani już wtedy, gdy Silnoręki objął panowanie nad Rikin.

Na niskich stokach rozciągały się pola, ogrodzone niewysokimi kamiennymi murami. Niewolnicy, których posiadali niegdyś pokonani bracia, teraz cieszyli się jakąś namiastką wolności. Funkcjonowali pod surowym okiem zbrojnych i zaufanych niewolników. Teraz harowali, by zasiać zbiory tam, gdzie gleba była dobra do uprawy i melioracji. Nieco wyżej podrostki wypasały stada owiec, kóz i bydła, dzięki którym żyły SkalneDzieci. Pracujący w polu i pasający zwierzęta zauważyli Silnorękiego, lecz nikt nie był tak głupi, by stanąć i patrzeć.

Za polami rozciągały się łąki, za nimi natomiast rósł rzadki las pełen świerków, sosen i brzoź. W miarę wznoszenia się dróżki las stawał się rzadszy. Na jego skraju rosły już tylko pojedyncze brzozy i wrzosi. Gdy minął ostatnie zwalone drzewa, Silnoręki dotarł na wysoką fjallę, gdzie otoczyły go skały i mech. Przeszywający wiatr wiał tak mocno, że kości i metalowe drażki na insygnium władzy zaczęły niespokojnie podzwaniać. Zaplecione w warkocze włosy Silnorękiego opadły na jedno ramię, co przypomniało mu o merfolkach.

Ziemie pokrywał delikatny szron. Od czasu, gdy ostatni raz szedł tą drogą, najmłodsza MądraMatka zrobiła pewien postęp. Przyniósł jej dar - wysuszony kawałek łożyska niewolnicy. Niechaj będzie symbolem przekazywania życia i jego siły. Nie zatrzymywał się, by zamienić z nią słowo, jako że nawet krótka rozmowa mogłaby zabrać długie godziny. Zamiast tego powędrował drogą ku kręgowi MądrychMatek. Z daleka wyglądały niczym potężne kolumny. Kiedy jednak podszedł bliżej (uwważając, by nie przekroczyć linii ze srebrnego piasku, wyznaczającej szlak lodowych wyrmów), ujrzał ich kształty znacznie lepiej. Choć wszystkie zastygły w kamieniu, widać było wypukłości głów i kończyn, widomy znak czasów, w których egzystowały.

MądreMatki stały w kole. Tutaj Silnoręki zatrzymał się, sprawdzając kamyki w swojej sakiewce. Popatrywał na rozciągającą się przed nim, wypełnioną piaskiem kotlinę. Tylko MądreMatki wiedziały, co się pod nim kryło.

Mijając kamienie, Silnoręki dotarł na znajdujący się pośrodku kotliny wzgórek. Okrągła kopuła promieniowała ciepłem i cuchnęła siarką. Kiedy stał na niej, nie zagrażały mu zamieszkujące kotlinę lodowe wyrmy. Z tego samotnego miejsca kontemlował ścieżkę, którą tu przyszedł, miejsce, gdzie stał teraz i drogę, jaką jeszcze miał do pokonania.

Nad kotlinę nadleciał zabłąkany liść i leciutko osiadł na piasku. Migocząca, półprzezroczysta łąpa wyłoniła się z piachu, porwała liść i szarpnęła go w dół, po czym wszystko zamarło. Wiał wiatr. Silnoręki słyszał, jak fale z hukiem rozbijają się o skały, tak daleko, że wydawało się to snem. Kiedy zamknął oczy, by zapaść w trans, napotkał ciemność, szarą i ciężką.

Alain odszedł, a nić ich łącząca została zerwana.

Odszedł na zawsze.

Zapadła noc. Stojąc nieruchomo niczym starożytny kamień pod kopułą gwiazd, usłyszał mowę MądrychMatek.

*Ruszać. Południe. Naglić. Wschód. Ruch. Ogień. Rzeka. Potok. Na zachód. Dziesięć. Długość.*

*Morze. Wody. Powstana.*

*Słuchaj.*

*Ziemia. Płacz. Nad. Ziemią.*

*Co. Było. Rozdarło. Jedno od drugiego. Powraca.*

*Robić. Miejsce.*

Nie tylko Silnoręki miał nowe pomysły. Inni z jego plemienia też potrafili myśleć. W jego pamięci zadźwięczały słowa Dziesiątego Syna: „Możemy handlować. Możemy pozyskiwać informacje w portach ludzi”.

W dawnych czasach, jeszcze zanim doszło do powstania wznieconego przez wodzów w epoce rządów ojca rodu, Krwawego Serca, SkalneDzieci handlowały z ludźmi i, oczywiście, z rybakami. Wojny o zwierchnictwo wszystko zmieniły. Zdobywanie niewolników i łupieżcze wyprawy zastąpiły dawne zwyczaje. Po co handlować, jeśli można wziąć coś za darmo?

Jednakże każdy kamień wrzucony w wodę wzbudza kręgi. Plemiona wciąż ze sobą walczące nie mogły urosnąć w siłę. Żadne z nich, opierając swą potęgę tylko na grabieży, nie mogło liczyć na długotrwałe powodzenie. Bogactwa zgromadzone przez Krwawe Serce mogły służyć Silnorękiemu, ale same w sobie

były tylko przedmiotami. Były warte tyle, ile znaczyły dla ich posiadacza. Silnoręki miał z nich, rzecz jasna, korzyści. Były przydatne podczas wojny, jednakże nie dało się za nie kupić wszystkiego.

Stał pośrodku kotliny, wsłuchując się w krzyk mew. Na horyzoncie świeciło. Żadne ludzkie życie nie znaczyło wiele wobec życia świata, którego długość mierzona była rozmowami MądrychMatek. Nie były one jak chwilowe, szybko zapomniane konflikty owadów czy nawet ludzi. To zaś, co planował i o czym myślał Silnoręki, nie czyniło go ważniejszym od innych stworzeń na ziemi. Może tylko dawało mu więcej wolności, by działać.

Władca, który kontroluje handel, kontroluje też przepływ towarów i podatków. Wie, co kto otrzymuje i dokąd wędrują poszczególne dobra. Władzę można sprawować na wiele sposobów.

O brzasku MądreMatki wpadły w swe zwykłe otępienie. Silnoręki ruszył w drogę powrotną. Jesienne dni były krótsze i dlatego, nim stanął na pewnym gruncie, minęło pół dnia. Wydobył berło z miejsca jego ukrycia w załomie wysokiej skały i zaczął podążać ścieżką poprzez fjall i dolinę. Mijając najmłodszą MądrąMatkę, wsunął w jej garść odrobinę mchu i szedł dalej.

Nad jego głową przeleciało stado krzyczących gęsi. Do lotu poderwała się pustułka. Silnoręki wkroczył do brzoźowego zagajnika i dalej, do gęstszego lasu, pełnego sosen i świerków. Z oddali słychać było rytmiczne stukanie siekiery. Powietrze przeciął odgłos walącego się drzewa. Głuchy dźwięk uderzenia rozniósł się wraz z wiatrem, a ten sam głos powtórzył polecenie.

Zaciekawiony, poszedł boczną ścieżką, prowadzącą na nieco wyżej położoną łąkę. Niewolnicy budowali na polanie swój kościół.

Powstawał szybko. Jeden z budowniczych sprytnie wymyślił, jak wykorzystać cienkie, słabo nadające się na deski, drzewa północy. Zrobiona z kłód budowla była przysadzista i niezdarna. Kilku wyrostków włóczyło się wokół polany, wznosząc dzikie okrzyki. Te pustogłowe kreatury wchodziły w drogę pracującym, ścinającym gałęzie powalonych drzew, zdejmującym z nich korę albo ociosującym kłody kamiennymi toporami i siekierami.

Diakonisa Urszula pospieszyła w jego stronę. Podążał za nią człowiek, będący dowódcą niewolników, choć sam nazywał siebie tylko Papą Otto. Nad polaną krążyła mewa, bez wątplenia szukając jakiegoś pożywienia. Jej krzyk był chrapliwy i nagły, a wkrótce pojawił się drugi ptak, wznosząc się powyżej linii drzew.

- Panie. - Urszula użyła formy obowiązującej między ludźmi, a Silnoręki to zaakceptował. Choć była ona tylko człowiekiem, czyli czymś w rodzaju dzikiego stworzenia, wciąż miała pewien autorytet i szacunek gwarantowany StarejMatce. Ponieważ jako jedyna spośród niewolników nie bała się go, mówiła otwarcie: - Jak oboje wiemy, postąpiłeś wobec nas sprawiedliwie, panie. Choć Bóg nie toleruje niewolnictwa, jest ono stosowane zarówno pomiędzy Eikami, jak i pomiędzy ludźmi. Dlatego ci, którzy zostali jeńcami, nadal są nimi z twojej woli. Pozwól mi jednak zadać ci pytanie: czy to ty zdecydowałaś, iż niektórzy z nas zostali zabrani tego ranka z oddziałem zbrojnych?

- Tak było. - Choć Alain nie pojawiał się już w jego snach, Silnoręki nadał władzę jego językiem, którego nauczył się podczas marzeń sennych. - Kilku spośród mądrych i silnych niewolników zostało zabranych, by działać jako szpiedzy. Będą podróżować wraz z moimi wojownikami i sprawdzą, czy któryś z moich nowych sprzymierzeńców nie spiskuje za moimi plecami. Ich zadaniem będzie rozmawiać z niewolnikami innych plemion, oni bowiem - zwłaszcza ci niegłupi - mogą słyszeć rzeczy, które są przed nami ukryte.

- Dlaczego niewolnicy innych plemion mieliby mówić prawdę? - zapytał Papa Otto.

- W ten sposób świat się poszerza - zauważył Silnoręki. - Tacy ludzie mają nadzieję osiągnąć taką swobodę, jaką cieszy się wy, przynajmniej dopóki ja rządzą Eikami.

- To, co mówisz, jest słuszne - powiedziała Urszula. Popatrzyła na Otto i niewypowiedziana słowami informacja - niezrozumiała dla jakiegokolwiek istoty prócz człowieka - została pomiędzy nimi wymieniona.

- Kim są ludzie tutaj pracujący? - Silnoręki wskazał mężczyznę, który najwyraźniej zrobił sobie przerwę w pracy. Kiedy jednak dostrzegł Silnorękiego, nieśmiało powrócił do swego zajęcia.

- Czy masz jakieś uwagi do naszej pracy? - zapytała delikatnie Urszula. - Czy nie wywiązaliśmy się z jakiegoś zadania, które zleciłeś nam ty lub twoi dowódcy? Czy zwierzęta nie są pilnowane? Czy pola są zaniedbane? Czy nie zgromadzono dość opału na zimę i węgla do pracy w kuźniach?

- Jesteś zuchwałą - rzekł Silnoręki, lecz podziwiał ją za odwagę.

Uśmiechnęła się, jak gdyby odgadując jego myśli.

- Nie masz uwag, bo pracowaliśmy ciężiej, teraz, kiedy wypełniłeś swe obietnice.

- Wciąż jednak sprawiają mi kłopot ci z was, którzy włóczą się bez celu niczym zwierzęta i nie pracują.

Są tylko ciężarem. Kiedy nadejdzie ciężka zima, będę musiał się ich pozbyć.

- Jak mamy pomiędzy nimi wybierać, panie? - zapytał Papa Otto.

- Zabijcie tych, którzy przypominają zwierzęta. Widzę ich tu i tam w dolinie. Są jak świnie wałęsające się po lasach, tylko nieco bardziej brudni. Są jak robactwo. Nie mam z nich pożytku. Wy także.

- Nikt z nich nie jest zwierzęciem, panie - rzekł Papa Otto. Niewolnicy uważali, że jest silnym wodzem, lecz w rzeczywistości był słaby, gdyż bał się zabijać. - Oni tylko byli traktowani jak zwierzęta przez twoje sługi. Zapomnieli, co to znaczy być ludźmi.

- To czyni ich bezużytecznymi, czyż nie?

- Nie, mój panie - podjęła szybko Urszula. Położyła rękę na ramieniu Otto, gestem nakazując mu, by zamilkł. - To prawda, że ci, którzy urodzili się i wychowali w niewoli, nie doświadczyli dobroczynnej nauki Kościoła, nie będą w stanie pracować czy mówić tak jak my. Ale wciąż możesz mieć z nich korzyść.

- W jaki sposób?

- Mogą się rozmnażać. Ich dzieci mogą być wychowywane przez tych z nas, którzy nie rośli w niewolniczych zagrodach, a ich dzieci będą ci służyły tak samo dobrze jak my, tak długo, jak będziesz traktował ich tak dobrze jak nas. Być może dzieci te będą ci służyły nawet lepiej niż my, ponieważ będą znały tylko lojalność i służbę twojej osobie. Nie będą tęsknić za innym życiem, tak jak my.

Tak, Urszula była mądrą kobietą. Silnoręki wiedział jednak, że używa słów po to, by go udobruchać i wywieść w pole. W jego snach - kiedy je miał - ludzie kłamali z łatwością. Nóż jest nożem, narzędziem służącym do cięcia lub zabijania. Nie potrzeba używać pięknych słów, by udawać, że nóż jest czymś innym, niż jest. Jednakże niewolnicy nie mogli w ten sposób sobie pomóc. Być może, niczym zwierzęta przeżuujące swoją paszę, będą zonglować słowami, przypochlebiać się i zwodzić, bo to była część ich natury.

- To, co mówisz, jest chyba prawdą. Jednak wydaje mi się, że wśród takich niewolników są i tacy, którzy nie będą się rozmnażać ani nie zechcą się uczyć. Nie potrzebuję zepsutych narzędzi. Za dwa miesiące moi ludzie będą prowadzić bydło na rzeź przed zimą. W tym czasie niewolnicy, którzy nie będą potrafili mówić, zostaną zabici tak jak zwierzęta.

- Dwa miesiące? - zaprotestował Otto. - Nawet w naszych krainach dzieci nie są w stanie nauczyć się mówić w tak krótkim czasie. Musi minąć pięć albo i sześć lat, nim dziecko będzie mówić sprawnie jak dorosły. - Otto miał w sobie ogień, pasję życia i coś, co ludzie nazywali sprawiedliwością. Silnoręki od razu zwrócił na to uwagę. - Jeśli mamy ich nauczyć mówić, jak również respektować proste komendy, które już znają, potrzebujemy tyle czasu, ile wymagają dzieci, by się nauczyć mówić.

- Nuży mnie ta dyskusja. Teraz posłuchajcie mego rozkazu. - Wyciągnął pazury, a ich ostre końce przecięły powietrze. - Plemię Rikin nie potrzebuje zbędnych obciążeń. Chcemy zajść daleko i nic, co posiadamy, nie może nam zawadzać. Nie przyjmuję żadnych argumentów w tej kwestii.

Przerwał, lecz ani diakonisa Urszula, ani Papa Otto nie komentowali. Po Otto widać było, że ma już swoje lata. Jego twarz przecinały głębokie zmarszczki. Ostry zimowy wiatr i jasne słońce zniszczyły jego skórę. Nawet włosy zmieniły kolor z brązowego na biały, tak że wydawało się, iż naśladuje ubarwienie swoich panów Eików. Silnoręki rozumiał naturalnie, że tego typu zmiany są kwestią wieku. Diakonisa Urszula po prostu słuchała, spokojnie i w milczeniu.

- Za dwa miesiące będziemy wybijali stada. Jeśli nie wybieriecie niewolników, zrobię to ja. Moja selekcja będzie ostrzejsza niż wasza, tak więc albo weźmiecie na siebie ten obowiązek, albo przekażecie go mnie.

Urszula była tak samo zawzięta, jak i cierpliwa.

- Pozwól mi mieć jedną prośbę, panie.

Miał już dość targowania się. Miał dosyć widoku skamlących, brudnych niewolników. Było z nich mniej pożytku niż z jego najchudszej kozy czy bydła, którego mięso było zbyt kwaśne, by je zjeść. Przerwał Urszuli stanowczym gestem. Następnie odwrócił się, unosząc nogę w górę, by zrobić krok.

*Zamknięte w obrębie ścian. Obija się o nie niczym w więzieniu. Jest zbyt słabe, by zrobić coś więcej, niż tylko uderzać w ściany. Czeka, aż światło słońca sprawi, że osunie się znowu w otepienie. Z ciemności rzadko przebłyскуje świadomość. Czuć ćmienię głodu. Kształty i myśli wirują w umyśle, po czym się rozplywają. Przypomina to pradawny ogień, a potem pożar. Czy to nie dziecka płomienia obawiają się wszystkie stworzenia? Głosy szepczą, ale ono nie rozumie znaczenia słów, a po chwili zapomina, czym jest w ogóle głos. Pamięć umiera. Kołyszą ją wody zapomnienia. Ono zasypia.*

Stopa Silnorękiego uderzyła o ziemię. Wrócił do siebie. Musiał zamrugać. Słabe jesienne słońce wydawało się teraz tak silne, że jego oczy nie mogły się do tego przyzwyczaić. Przerazenie przepłynęło



przez jego ciało niczym fala. W tarlisku rozmaitych plemion wyląg Skalnych Dzieci już dojrzał. On sam także był kiedyś embrionem, pływającym w wodach zapomnienia i nie oczekującym niczego ponad posiłek. W tarlisku przetrwały tylko te osobniki, które pożerały własnych braci, same nie dając się pożreć. Te, które pożerały innych, przekształciły się w dojrzałe stworzenia, te zaś, które po prostu przetrwały niezjedzone, przypominały psy.

Nim Alain uwolnił go z klatki Lavastine'a, Silnoręki był, podobnie jak jego bracia, niewolnikiem jednokierunkowego myślenia, żądy zabijania, wojny i grabieży. Większość z jego ludu tak zresztą do tej pory myślała. Jak bliski był przeistoczenia się w psa, zamiast w myślącą istotę? Jak blisko zdziczenia znajdowała się każda istota, zapominając, czym ono naprawdę było?

Z wysiłkiem odsunął strach. Nie mógł kąpać się w jego wodach zbyt długo. Wyszarpywał sobie drogę ku swobodzie. Alain uwolnił go z klatki, a on trwał w tym, czym kiedyś był. Nie mógł pozwolić, by zasnęła jego pamięć, zaś rządziły instynkty.

Powoli świat wokół niego stawał się normalny, a on znowu mógł widzieć bez kłopotu. Schwycił mocniej berło. Diakonisa Urszula i Papa Otto odwrócili oczy, nie chcąc pokazywać, że dostrzegli jego słabość. Mimo to wyglądali na kompletnie zaskoczonych.

Nie można pozwolić, by sądzą, że się zmienił albo załamał.

- To jest moja decyzja. To prawda, że ci półdioncy są waszymi braćmi, tak jak psy, rojące się po siedliskach, są moimi. Jeśli chcecie się nimi opiekować i jeśli nie będzie to przeszkadzać wam w pracy, nie tknę ich. Ale będą spoczywały na was te same obowiązki, które wam wyznaczyłem, zgadzając się na budowę domu waszego boga. Tak długo, jak obecność półdionców nie będzie kolidowała w wykonywaniu przez was powinności wobec panów, możecie z nimi robić, co chcecie. Jeśli jednak ogarnie mnie niezadowolenie, będę działał błyskawicznie.

- Nie możemy prosić o nic więcej ponad to - powiedziała diakonisa Urszula, chcąc szybko przypieczętować ustępstwa.

- Nie - zgodził się Silnoręki. - Nie możecie.

By nie zgodzić się na inne nieprzemyślane ustępstwa, Silnoręki szybko odszedł, wciąż drżąc. Dzięki przenikliwemu słuchowi wiedział, o czym mówią Urszula i Papa Otto zniżonymi głosami:

- Ci niewolnicy służyli Eikom do prac takich jak czyszczenie wychodków. Nie powinniśmy marnować sił mądrzejszych jednostek na takie prace, podczas gdy mogą się zajmować garbarstwem czy budowaniem. Z pewnością znajdziemy miejsce dla każdego człowieka, nawet jeśli umie on tylko zachowywać się trochę lepiej niż pies.

Diakonisa Urszula nie odpowiedziała od razu. Czują jakiś ból w piersiach, jak po uderzeniu. Kiedy ścieżka wkroczyła do lasu, Silnoręki stanął, by słuchać dalej. Jej słowa popłynęły ku niemu niewyraźnie niczym westchnienie:

- Służyłam panu w Saony, który był mniej sprawiedliwy niż on.

Papa Otto nie odpowiedział.

Silnoręki cicho podążył dalej. To, co mówił Papa Otto, było oczywiście mądre. Jeśli uwolni się silniejszych od zadań, które mogą wykonać słabsi, wszystko może idealnie funkcjonować. Zbyt pospiesznie podjął decyzję dotyczącą niedorozwiniętych niewolników. Mądry przywódca popuszcza wystarczająco dużo liny dostatecznie mądrym, by jej używać, tak jak to było w przypadku Dziesiątego Syna. Nie trzeba zbyt mocno wiązać lojalnych; ich posłuszeństwo opiera się na zaufaniu, nie zaś na strachu.

Jego niewolnicy do tej pory go nie zawiedli, nawet jeśli myśleli - teraz czy kiedykolwiek indziej - o rebelii i o wolności. Nie potrzebował mówić więcej ani robić nic ponad to, co zostało uczynione. Wiedzieli, jakie mogą być konsekwencje, jeśli zawiodą. Wiedzieli również, co stanie się z nimi, jeśli jego panowanie nad Fjordem Rikin się skończy.

Było w ich interesie, by Silnoręki pozostał potężny.

- To przedziwne, nieprawdaż? - powiedział Ingo przy ognisku tonem człowieka, który to samo rzekł już wcześniej i ma zamiar powtórzyć także i jutro. - Pada gdzieś za nami. Ale przynajmniej nie mam przemoczonych nóg.

- Czy to nie sprawka więdźmy od pogody? - rzekł impulsywnie Folquin. - Ściąga deszcz na qumańską armię, a nie na nas. - Jego kompanioni uciszeli go, rozglądając się wokół jakby w obawie, że wiatr poniesie jego słowa do kobiety, której się obawiali.

Hanna zaciskała ręce na kubku, desperacko próbując je ogrzać, bo choć było sucho, północo-zachodni wiatr siekł jak lód.

- Pilnuj się, Folquin. Matka księcia Bayana ma oko na przystojnych młodych mężczyzn, których zatrudnia do pilnowania niewolników. Może znaleźć w tobie upodobanie, jeśli zwróci na ciebie uwagę.

Ingo, Leo i Stephen zaśmiali się z jej żartu. Ponieważ jednak Folquin nie był typem mężczyzny, za którym kobiety by się oglądały, jej słowa go dotknęły.

- Czyżby księżę Bayan zwrócił na ciebie uwagę, Orle?

- Cicho, chłopcze - zgromił go Ingo. - To nie wina Hanny, że jej jasne włosy Ungryjczycy traktują jako znak powodzenia.

- Nieważne - odparła szybko Hanna, bo Folquin był już niemal gotów przeproszać za swój niewyparzony język. - Baczcie, że księżę Bayan to dobry człowiek...

- A byłby jeszcze lepszym, gdyby umiał trzymać ręce przy sobie - powiedział pokojowym tonem Folquin.

- Jeśli tylko rozbiegane oczy są jego najgorszą wadą, to Bóg widzi, że jest lepszy niż każdy z nas - odparł Ingo. - Nie skarzę się na jego dowodzenie w bitwie. Gdyby nie jego stalowe nerwy na starym kopcu w ubiegłym miesiącu, zostałyby z nas tylko głowy, przytroczone do pasa Qumanów.

- Gdyby prowadził nas księżę Sanglant - powiedział nagle małomówny zazwyczaj Leo - albo byśmy wygrali, albo w ogóle się nie angażowali, widząc, że mamy wszystko przeciw sobie.

- Ach, Boże, człowieku! - wykrzyknął szyderczo Ingo głosem żołnierza, który przeżył dwa razy więcej bitew niż jego zawzięty towarzysz. - Kto mógł wiedzieć, że margrabina Judith padnie w boju, a wraz z nią jej szeregi? Miała trzecią część naszej ciężkiej jazdy. Z jej Austransami nie mieliśmy szans. Księżę Bayan zrobił to, co było najlepsze w tej tragicznej sytuacji.

- Mogło być znacznie gorzej - zgodził się Stephen, ale ponieważ był uznawany za nowicjusza, który przeżył dopiero jedną walną bitwę, jego opinię pominięto milczeniem.

Ogień przygasł. Gałęzie zwęgliły się, pobłyskując przez chwilkę. Leo dołożył chrustu. Ogniska ciągnęły się wzdłuż całej drogi zastawionej wozami. Szlakiem tym wycofywano się do Handelburga.

Jednakże widok tak wielu świateł nie sprawiał, że Hanna czuła się bezpieczniej. Upiła łyk cydru, mając nadzieję, że ją rozgrzeje i poskromi przeszywające zimno.

Ivar zaginął. Szukała go we wszystkich szeregach wycofującej się armii i nie znalazła. Nie znalazła też nikogo, kto widziałaby go w dniu bitwy. No, może prócz rannego księcia Ekkeharda, który był tak poirytowany utratą swego ulubieńca Baldwina, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział Ivara po raz ostatni.

- Tylko Bóg zna losy bitwy - powiedziała w końcu, wzdychając. - Nie ma już sensu martwić się tym, co się stało.

- Czy masz trochę mleka do rozlania? - zapytał Ingo ze śmiechem, ale opanował się, zobaczywszy na jej twarzy smutek. - Proszę, napij się jeszcze cydru. Wyglądasz na zziębniętą, dziewczyno. Są jakieś wieści z obozu księcia?

- Księżniczka Sapienia poczuła sympatię do lorda Wichmana, teraz, kiedy leczy się z ran. A wiecie, że księżę Bayan pobłaża jej we wszystkim? Ale ten Wichman i jego lordowscy przyjaciele... - przerwała, dostrzegając, że jej wiadomości nikogo nie szokują. - Są tylko bandą robaczywych psów. Czasem myślę, że księżniczka... Cóż, niech ją Bóg błogosławi i nie powiem już nic więcej na ten temat. Aczkolwiek przydałaby się bardziej, służąc swemu biednemu bratu.

- Wciąż nie może ruszać ramieniem? - zapytał Ingo.

- O ile wiem, nigdy nie odzyska w nim władzy. Był boleśnie ranny. Lord Wichman stał się przez to niezdolny. To właśnie on uratował księcia Ekkeharda z rąk qumańskiego księcia, który o mało go nie zabił.

- Powiem wam szczerze... - rzekł cicho Folquin. - Nie chcę mówić źle o księżniczce, niech Bóg ją błogosławi, ale czy zastanawia się, co porabia księżę Ekkehard wieczorami w obozie?

- Co masz na myśli? - zapytała Hanna.

Folquin zawahał się.

- Powinno się jej na to zwrócić uwagę - rzekł Ingo. - Było o to parę walk w naszym obozie, a nasza armia nie powinna walczyć między sobą.

- Daj spokój - powiedział niechętnie Folquin.

Hanna opróżniła kubek i podała go Ingo. Cztery Lwy rozpały ogień w miejscu, gdzie wozy ustawiono w podkowę, tak by utworzyć barierę pomiędzy przednią strażą i tylnymi oddziałami. Drewniane ściany pojazdów dawały pewną ochronę przed uskrzydłonymi jeźdźcami, którzy atakowali ich uporczywie na drodze odwrotu na północ. Pogoda była fatalna. Ciągnęła się za nimi nawałnica. Wiatr i deszcz siekły lasy za ich plecami, ale nie tykały armii Bayana. Wyschnięta ziemia, po której podążali, zamieniała się w błoto, utrudniając życie ich prześladowcom na tyle, że Qumanowie nie byli ich w stanie dopaść i ostatecznie wykończyć.

To przez moc matki księcia Bayana, straszliwej czarownicy, księżniczki przerażającego ludu Kerayit.

Nawet jednak z pomocą jej magii przeżywali trudny miesiąc. Tyle już bowiem trwał odwrót po klęsce poniesionej podczas bitwy przy pradawnym kopcu. Ungryczycy mieli powiedzenie: „pokonana armia jest jak wędnący kwiat, którego opadające płatki znaczą drogę”. Każdego ranka wyruszając w dalszą wędrówkę, pozostawiali kilka świeżych grobów żołnierzy zmarłych od ran. Tylko stanowcze dowództwo księcia Bayana podtrzymywało resztę wojowników na duchu.

Ale nawet i to nie mogło uratować Ivara.

Lwy uformowały swą przednią straż z najdzielniejszych żołnierzy lekkiej kawalerii księcia Bayana, teraz pozostającej pod dowództwem drugiej córki margrabiny Judith i jej zbrojnych. Lady Bertha była jedyną spośród dowódców z Austrii i Olsatii, której oddziałów nie rozgromiono, podczas gdy Judith oddała życie na polu walki. Po obozie krążyła plotka, że lady Bertha tak nie lubiła swej matki, że jej śmierć raczej ją rozzuchwiała, niż przygnębiła. To na skraj jej biwaku Folquin prowadził teraz Hannę.

Sześć tworzących koło ognisk paliło się wesołym płomieniem. Pośrodku koła siedziała lady Bertha i jej faworyci, pijąc resztki miodu, pozyskanego z gospodarstwa w Salavii dwa tygodnie temu. Zazwyczaj Hanna słyszała, jak śpiewają, podążając w przedniej straży. Cała załoga lubiła popić. Dziś jednak siedzieli niespokojni i milczący. Lady Bertha nakazała im ciszę, bo rozmawiała z księciem Ekkehardem.

- Tę samą historię opowiada każdego wieczoru - szepnęła Folquin. Tuzin lub więcej Lwów również słuchało, stanąwszy w miarę możliwości poza zasięgiem dymu z ogniska. Ktoś, kto stał najbliżej Folquina, odwrócił się i, poirytowany, powiedział mu, żeby był cicho i dał posłuchać.

Księżę Ekkehard był atrakcyjnym młodym człowiekiem na granicy wieku pomiędzy chłopcem a mężczyzną. Jego prawa ręka tkwiła na temblaku, a włosy rozwiewał zimny wiatr. Jego widok wzruszał. Co więcej, miał głos niczym bard, czyniąc każdą najbardziej nieprawdopodobną historię tak prawdziwą, że można było niemal przysiąc, iż się ją widziało na własne oczy. Dochodził już do końca opowieści, oczarowawszy słuchaczy.

- Kopiec prochów i węgla lśnił niczym kuźnia i doprawdy była to kuźnia boskich cudów. Kurhan otworzył się niczym kwiat o brzasku. Z popiołów powstał feniks. To prawda. Widziałem to na własne oczy. Feniks uniósł się. Wokół nas spadały kwiaty. Jednak ich płatki zniknęły natychmiast, gdy dotknęły ziemi. Czy nie tak rzecz się ma z tymi, którzy nie chcą wierzyć? Ich zdaniem kwietny szlak jest iluzją. Lecz ja wierzę, gdyż widziałem feniksa. Ja, który byłem ranny, zostałem natychmiast cudownie uleczony. Wiedźcie, że powstawaniu feniksa towarzyszył dźwięk trąb, niosący się aż do niebios i słyszeliśmy nań odpowiedź. Wtedy poznaliśmy, co to było.

- A co to było? - zapytała lady Bertha, zainteresowana historią do tego stopnia, że przestała nawet popijać miód. Miała irytujący zwyczaj głaskania rękojeści swego miecza, jakby był to jej kochanek.

Ekkehard uśmiechnął się słodko, a Hanna poczuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz - tak intensywne było spojrzenie księcia, które kierował na słuchaczy.

- To był znak od błogosławionego Daisana, zmartwychwstałego, by być Życiem dla nas wszystkich.

Wielu słuchaczy zamruczało nerwowo.

- Herezja Ivara - wymamrotała Hanna.

- Czy z rozkazu skoposy nie ekskomunikowano całego narodu Aretuzjan i krain wasalnych za wiarę we Wniebowstąpienie? - zapytała lady Bertha. - Moja matka, niech odpoczywa w pokoju, miała lekarza, pochodzącego z Aretuzji. Biedny człowiek stracił swe męskie narządy w pałacu cesarza, ponieważ, jak wiadomo, w Aretuzji lubi się eunuchów, i był bliski stracenia głowy w Wendarze za wyznawanie herezji. Opowiadasz piękną historię, księżę Ekkehardzie, ale lubię swą głowę i wolałabym ją mieć na miejscu, nie zaś wbitą na pal przed pałacem biskupiny w Handelburgu.

- Zaprzeczanie temu, co widziałem, byłoby gorsze niż kłamstwo - powiedział Ekkehard. - Są tacy, którzy widzieli cud feniksa i których oczy otworzyły się na prawdę. Inni usłyszeli i zrozumieli słowo prawdy, jeśli mają odwagę stanąć tu i być świadkami.

- Są tacy? - Lady Bertha rozejrzała się wokół, omiatając spojrzeniem krąg zaufanych osób. Po chwili jej wzrok spoczął na młodym lordzie Dietrichu. Hanna przypomniała sobie, ile kłopotu sprawił na początku

podróży na wschód. Wyruszyli z Autun latem ubiegłego roku. Hanna została wówczas wysłana przez króla z dwiema kohortami Lwów i wybraną grupą innych zbrojnych jako posiłki dla księżniczki Sapientii. W którymś momencie podróży Dietrich zmienił plany. Była to zagadkowa zmiana, jednakże nie aż tak zdumiewająca, jak to, co miał zaraz uczynić.

Lord Dietrich wstał powoli. Jak na nieokrzesanego zbrojnego, wyglądał zdumiewająco niepewnie.

- Widziałem działanie Boga na ziemi - powiedział z wahaniem, jakby nie ufał własnemu językowi. - Nie jestem bardem, by mówić piękne słowa i czynić je przyjemnymi dla ucha. Otrzymałem naukę. Wiem w moim sercu, że to, co widziałem, jest prawdą. - Niespodziewanie zaczął ronić łzy ekstatycznego szczęścia. - Zobaczyłem światło Boga spływające na ziemię. Grzeszyłem przeciwko temu, kto jest moim nauczycielem. Byłem jak pusta muszla, nie lepszy od zgniłych zwłok. Żądza pożerała me serce i tak przeżywałem bezmyślnie jeden dzień za drugim. Ale światło Boga napełniło mnie ponownie. Dano mi ostatnią szansę, bym zdecydował, po której stronie chcę służyć, czy po stronie Boga czy Wrogię. To stało się wówczas, gdy odkryłem prawdę o ofierze i odkupieniu błogosławionego Daisana...

Hanna schwyciła Folquina za ramię i odciągnęła go na bok.

- Wystarczy. To nic innego jak czarnoksiężska herezja.

Światło wielu ognisk sprawiło, że wyraz twarzy Folquina zmieniał się.

- Nie sądzisz, że to prawda? Jak inaczej możesz wytłumaczyć pojawienie się feniksa? A cud uleczenia wszystkich ran?

- Przyznaję, że stało się coś, co zmieniło lorda Dietricha, bo pamiętam przecież, jak skarżyły się na niego Lwy podczas marszu na wschód tego lata. Czy właśnie o tego słowa ludzie się spierają?

- Tak. Niektórzy przychodzą każdego wieczoru, by posłuchać księcia Ekkeharda. On opowiada swoją historię każdemu, nisko czy wysoko urodzonemu. Inni twierdzą, że przemawia przez niego Wrogi. Co o tym sądzisz, Orle?

- Widziałam tak wiele dziwnych rzeczy...

Jak każdej nocy, odezwał się róg. Zatrąbiono na alarm. Słuchacze Ekkeharda rozpierzchli się, chwytając za broń i biegnąc na swe stanowiska. Za rzędami wozów pojawili się uciekający przed burzą skrzydlaci jeźdźcy. Galopowali ku tylnej straży, ale tylko kilka mokrych strzał dotarło do obozu. Nie wyrządziły nikomu krzywdy.

Lord Dietrich i jego kawaleria przegnali ich za pomocą włóczni i roju świszczących strzał.

Nim książę Bayan przybył sprawdzić, co się dzieje, panował już spokój, nie licząc wciąż wiejącego wiatru i kurtyny deszczu, przesuwanego się na południowy wschód. Książę przyjechał z niewielkim oddziałem przybocznej straży, tuzinem Ungryczyków na koniach. Ich niegdyś jasne ubrania były teraz zabrudzone. Żołnierze piechurzy oświetlali ich drogę pochodniami. Bayan miał zdolność do pozostawiania stosunkowo czystym nawet i w takich warunkach - w świetle pochodni Hanna dostrzegła błękit jego tuniki - i ten kontrast z resztą zbrojnych uczynił go tym bardziej uderzającym mężczyzną w kwiecie wieku, któremu nie mogły zaszkodzić żadne przeciwności losu.

- Dziś zaatakowało nas mniej Qumanów - powiedziała lady Bertha, wręczając mu strzałę, gdy zsiadł z konia. - Możliwe, że wycofują się i zaczynają zaprzestawać nękania nas. A może chcą uspić naszą czujność, a potem niespodziewanie zaatakować z całą siłą.

Książę Bayan obracał strzałę w rękach, przyglądając się rozmięklej lotce.

- Nie podobać mi się takie ataki, które następują każdej nocy tego samego czasu.

Lady Bertha była kręłą kobietą o pałakowatych nogach, charakterystycznych dla ludzi, którzy większą część życia spędzają na koniu i w zbroi. Wyglądała na więcej niż swoje dwadzieścia parę lat ze względu na ciężkie warunki, w których przyszło jej walczyć u granic kraju.

- Posłałam trzech zwiadowców, by dowiedzieli się, czy armia Bulkezu wciąż za nami podąża, lecz żaden nie powrócił.

Bayan skinął głową, kręcąc końce swoich długich wąsów.

- Do Handelburga iść musimy. Potrzebujemy odpoczynek, naprawy, jedzenie i wino. Z grubymi murami wokół, możemy czekać... - odwrócił się do swego tłumacza, Breschiusa, mnicha w średnim wieku, któremu brakowało prawej ręki.

- Jakie to słowo? Więcej oddziałów przybyć.

- Posiłki, książę panie.

- Tak! Posiłki. - Książę miał kłopoty z wymową tego słowa i jego starania skłoniły go do uśmiechu.

Lady Bertha nie odwzajemniała rozbawienia. Nierzęsto się uśmiechała, jeśli w ogóle.

- Póki co nie mamy o tym zapewnienia z Handelburga, ponieważ Bulkezu pomimo burzy przemieszcza swą armię i otacza nas.

- Nawet Qumanowie nie są w stanie być we wszystkich miejscach naraz - odparł księżę Bayan, dostrzegając spojrzenie Hanny skierowane na tłum, zebrany by obserwować, jak rozmawiają. - Śnieżna kobieta! - Na jego twarz wypłynął łobuzerski uśmiech. - Twój blask się tu skrywa. W moim obozie zrobiło się zbyt ciemno!

Hanna poczuła, że jej twarz pokrywa się rumieńcem zakłopotania. Na szczęście jednak Bayan zaczął rozmawiać z Breschiusem, który pochylił się ku księciu, mówiąc coś cichym głosem.

- Ekkehard? - wykrzyknął księżę Bayan, zdumiony.

Hanna popatrzyła na krąg ognisk, lecz Ekkeharda już tam nie było. Schwyciła wobec tego rękaw Folquina i wysliznęła się z tłumy. Hanna chciała zniknąć z pola widzenia księcia. Doświadczyła już gniewu Sapientii i nie miała zamiaru narażać się nań ponownie, przynajmniej jeśli miała jakiś wybór.

Poprosiwszy Sapientię o pozwolenie zdobywania wieści o Ivarze, pokazywała obojętną twarz podczas ostatnich dni marszu, aż wreszcie dotarli do przygranicznej fortecy i miasta Handelburg. Pokonywali wschodnie zbocza, zjeżdżając ku dolinie rzeki Vitadi. Hanna ujrzała miasto otoczone murami, położone na trzech wyspach, połączonych mostami przerzuconymi nad kanałami rzecznyymi. Na zachód od Handelburga znajdowała się marchia Villama, ciągnąca się wzdłuż rzeki Odry. Na wschodzie, poza słabo zaludnionymi terenami przygranicznymi, znajdowały się luźno zjednoczone, na w pół dzikie plemiona, tworzące królestwo Polenii.

Na szczycie wysokiej twierdzy powiewała flaga biskupiny. Był to znak, że biskupina pozostała w mieście pomimo niebezpieczeństwa grożącego ze strony Qumanów. Otwarto wszystkie bramy. Wzdłuż brzegu rzeki stało kilka ruder, zamieszkiwanych do niedawna przez rybaków i biednych robotników. Teraz były puste i ograbione ze wszystkich sprzętów. Nawet niezdarne wykonane meble zostały użyte jako podpałka, niezbędna w oblężonym mieście. Pola zaorano, a z brzegów rzek ścięto wszystko, co mogło być przydatne: trzcinę, siano, trawę, a wszystko to naturalnie po to, by przygotować się do ataku Qumanów. W ten sposób tereny otaczające Handelburg wyglądały, jakby dopadła je chmara szarańczy i pożarła wszystko, co napotkała na drodze, po czym odfrunęła, nie pozostawiając nawet kości.

W pewnej chwili pojawił się posłaniec z przedniej straży: Orzeł reprezentujący króla ma jechać na przodzie wojska.

Hanna opuściła swoich towarzyszy Lwów i wysforowała się naprzód, by najdyskretniej jak to możliwe, zająć miejsce obok brata Breschiusa.

- Bądź blisko mnie - powiedział Breschius cichym głosem. - Zrobię, co w mojej mocy, byś nie znalazła się na ich drodze.

- Dziękuję, przyjacielu.

Bramy stały otworem i pospieszili do miasta. Władze miejskie powitały Bayana i Sapientię oraz ich wynędzniałą armię uprzejmie, lecz Hanna zauważyła, że na ulice nie wyległ tłum. Zastanawiała się, ilu ludzi uciekło do marchii Villama.

Biskupina Alberada powitała ich na stopniach pałacu episkopalnego, ubrana z całym splendorem, należnym jej stanowisku. Na szyi miała złoty naszyjnik - oznakę przynależności do królewskiego rodu. Towarzyszyli jej szlachetnie urodzeni mężowie i damy, w tym jeden wojowniczo wyglądający człowiek w spiczastej czapce, noszonej w Polenii. Biskupina czekała, podczas gdy księżniczka Sapientia zsiadała z konia. Następnie Alberada zeszła po stopniach, by powitać ją i księcia Ekkeharda. Wysoko urodzeni dokładnie znali każdy szczegół powitania, świadczącego o ich statusie i posiadanych ziemiach. Gdyby do Handelburga przyjechał król Henryk, biskupina powitałaby go na drodze, poza murami miasta. Gdyby przybył margrabia Villam, w celu złożenia jej wyrazów szacunku, Alberada pozostałaby w swym pałacu, oczekując, iż to on przyjdzie do niej.

Sapientia i Ekkehard ucałowali jej rękę, a ona odwzajemniła się pocałunkami w policzki na znak pokrewieństwa pomiędzy nią a gośćmi. Trudno było jednak doszukać się podobieństwa. Alberada była starsza niż Henryk. Wchodziła już w zimę życia. W ciągu roku, dzielącego ją od momentu, gdy Sapientia i Bayan zawierali małżeństwo, znacznie się postarzała. Jej włosy posiwiały, a ramiona zgarbiły się pod ciężarem episkopalnych szat.

Odwróciła się teraz, by powitać Bayana i oddać szacunek ważniejszym dostojnikom. Hanna nie mogła stwierdzić, czy biskupina ma zamiar powitać matkę księcia, ukrytą w wozie, czy też może ją zignoruje. Jednakże wobec milczącego porozumienia wóz został odprowadzony do skrzydła dla gości.

Jeśli biskupina Alberada to zauważyła, nie dała nic po sobie poznać.

- Chciałabym mieć lepsze wieści na powitanie, lecz kłopoty sypią się na nas z każdej strony.

- Jakie to wieści? - zapytała ożywiona Sapientia. Długi marsz sprawił, że księżniczka jakby wyładniała; to, czego nie dostawało w jej bystrości umysłu, rekompensowała entuzjazmem i specyficznym błyskiem

w oczach, który pojawiał się w chwili, gdy coś ją zainteresowało.

- Armia qumańska zaatakowała miasta Polenii: Mimik i Girdst. Girdst zostało całkowicie spalone. Zarówno królewska forteca, jak i nowy kościół zostały zniszczone.

- To straszna wiadomość! - wykrzyknęła lady Bertha, stojąca po lewicy Sapientii.

- Jest jeszcze gorzej. - Zaczęło padać, a siąpiący deszcz był tym zimniejszy, że zaczął wiać przesywający wiatr. - Król Polenii nie żyje, jego żona, królowa Sfildi, jest więźniem Qumanów, a brat króla, książę Woloklas, zawarł z Qumanami pokój, aby ocalić swe życie i ziemie. To wiemy dzięki diukowi Boleslasowi - wskazała na mężczyznę stojącego stopień wyżej - który wraz z rodziną schronił się w mym pałacu.

- Kto sprawuje władzę na ludem Polenii, gdy król nie żyje? - zapytał Bayan.

Najwidoczniej diuk Boleslas nie mówił dostatecznie dobrze językiem wendarskim, bo odpowiedzi udzieliła Alberada:

- Jedyne dziecko króla Sfiatislava, córka, uciekła szukać pomocy na wschód, do pogańskiego plemienia Starviki. Czy mam kontynuować?

Bayan zaśmiał się.

- Wiadomości przyjmę lżej, jeżeli będę mieć wino do picia. W ostatnim miesiącu nie było wina.

- Chodźmy zatem do pałacu! - powiedziała biskupina. Wyglądała na bardziej zaszokowaną tym, co powiedział Bayan, niż informacją o przegranej Polenii. A może chciała po prostu uniknąć stania w padającym coraz intensywniej deszczu. Służba pospieszyła, by przygotować niezbędne rzeczy. - Oczywiście, będzie wino.

Biskupina Alberada przyjęła ich godną ucztą. Ponieważ była spokrewniona z królewską rodziną Polenii, otrzymała zezwolenie na utworzenie biskupiny Handelburga. Miało to miejsce trzydzieści lat temu, kiedy była jeszcze młodą kobietą, dopiero co przystąpiła do kościoła. Pięćdziesiąt lat wcześniej jedna z ciotek króla Sfiatislava została jeńcem podczas wojen między Wendarem a Polenią. Tą młodą osobą oddano Arnulfowi Młodszemu jako pierwszą konkubinę, tak by mógł zaspokoić swe młodzieńcze żądze, czekając, aż dorośnie jego narzeczona, Berengaria z Varre. Alberada zarządzała rozwijającym się Handelburgiem przez trzydzieści lat, natomiast szlacheckie rodziny Polenii nawróciły się na wiarę Daisanitów.

Gdy wino było rozlane, a na stół wniesiono pierwsze danie, biskupina przypomniała im o swych sukcesach w dziedzinie nawracania.

- Obawiam się o córkę Sfiatislava, księżniczkę Rinkę. Starviki bowiem są uparci, jeśli chodzi o tkwienie w pogaństwie. A co jeśli nakłonią ją do poślubienia któregoś z ich książątek? Rinka może stać się odstępczynią albo i gorzej - przystać do błędzących Aretuzjan, jako że Starviki handlują z nimi futrami i niewolnikami w zamian za złoto. Jakie są wieści o twoim ojcu, Sapientio? Ufam, że niedługo przybędzie na wschód. Bardzo potrzebujemy tu jego obecności.

Sapientia zerknęła w kierunku Hanny, stojącej z tyłu wśród służby.

- Ta Orlica przyniosła najświeższe wieści - rzekła tonem świadczącym, że wieści są niepomysłne z winy Hanny. - Król Henryk chce jechać na południe do Aosty. Wysłał nędzny kontyngent dwustu Lwów i nie więcej niż pięćdziesięciu jeźdźców, choć informowałam go, że jesteśmy w tragicznej sytuacji.

- Henryk pragnie korony cesarza - powiedziała Alberada.

- Zastanawiam się, jaki może być użytek z korony cesarza, jeśli wschód płonie - zamyślił się Bayan.

- To ciężkie czasy z wielu powodów. - Alberada skinęła na służącego, by ponownie napełnił kielichy. - Korona cesarza może przywrócić stabilizację i porządek w królestwie, w którym znaczący wpływ Wrogięgo. Qumańscy najeźdźcy to boża kara za nasze grzechy. Każdego dnia moi mnisi przynoszą mi informacje o korupcji, w którą popadamy...

Po tylu dniach skromnego jedzenia Hanna była całkiem zadowolona, że nakazano jej obsługę przy stole. Oznaczało to, że może zjeść to, co pozostanie na talerzach. Po gulaszu z węgorka przyszła pora na pieczonego łabędzia, wołowinę przyrządzoną na kilkanaście sposobów i ostry sos z dziczyzny. Pomijając elaborat biskupiny o grzeszności, wszyscy wysoko urodzeni jedli z ochotą i wystarczająco dużo zostało zarówno dla służby, jak i dla psów.

Książę Bayan zwrócił temat dyskusji, zahaczając o sprawę, która interesowała go najbardziej: o wojnę.

- Musimy tutaj zostać przez całą zimę.

- Zima z pewnością powstrzyma qumańskich najeźdźców. - Uwolniona ze zbroi i podróźnej opończy Sapientia wyglądała na dużo mniejszą niż uprzednio. Nie była tak wysoka jak ojciec i nie miała jego szerokich barków, lecz miesiące spędzone w siodle przydały jej trochę wagi, którą nie odznaczała się

przez zawarciem małżeństwa.

Bayan roześmiał się.

- Czy moja królowa Lew zmęczona wojną?

- Oczywiście, że nie! - Sapientia miała zwyczaj puszenia się, gdy mąż zwracał na nią uwagę. Lubiła, gdy ją chwalił, a książe wiedział, kiedy powinien skomplementować swą żonę. - Nikt jednak nie walczy podczas zimy!

- Nie, Wasza Wysokość - rzekł Breschius tak gładko, jak gdyby on i Bayan umówili się co do szczegółów odpowiedzi. - Qumanowie są znani z tego, że atakują zimą, kiedy lód skuwa drogi i zamienia strumyki w ścieżki. Śnieg ich nie powstrzyma. Nie powstrzyma ich nic prócz płynącej wody. A nawet jeśli, mają jeńców, którzy są budowniczymi i potrafią stawiać mosty, a także objaśniają, jak używać brodów i promów.

- Przygotowałam się do oblężenia - rzekła Alberada. - Choć, oczywiście - dodała z niezadowoleniem - oblężenie może przybrać różne postacie. - Przy końcu stołu lord Wichman wraz ze swoją kompanią raczył się winem. Siedział obok lorda Dietricha. Poza tym, że zasypywał go rubasznymi żartami i sugestiami, nie potrafił wyprowadzić lorda z równowagi. Porzuciwszy kolejne próby, Wichman zaczął zaczepiać jedną ze służących. - Jeśli twa armia ma tu przezimować, książe Bayanie, muszę mieć jakąś rękojmnię, że tutejsi mieszkańcy i służba nie ucierpią na tym.

- To także moja armia! - odparowała Sapientia. - Nie toleruję bezczelności i ludzi przysparzających problemów.

- Oczywiście, moja droga - odezwała się Alberada z kojącym wyrazem twarzy. Hanna wiedziała, że rozmowa będzie kontynuowana bez Sapientii, gdyż Alberada wiedziała, kto naprawdę dowodzi armią. - Spodziewam się, że twe siły Wendaru będą się trzymały w ryzach, tak samo jak oczekuję, iż książe Bayan będzie trzymał porządek wśród swoich Ungryjczyków.

Bayan wybuchnął śmiechem.

- Moi bracia Ungryjczycy nie przysporzą problemów, w przeciwnym bowiem razie będą ścięci mieczami z mego rozkazu.

- Nie akceptuję takiego barbarzyństwa - rzekła sztywno Alberada. - Mam nadzieję, że twoi żołnierze wprowadzą spokój, a nie będą go zakłócali.

Służący wnieśli cząber z gotowanymi gruszkami, jeżami w koprze włoskim, korzeniami i lukrecją. Miało to pomóc uczującym w trawieniu, gdyż ich żołądki były aż nadto pełne. Uczta przeciągnęła się do późnej nocy. Śpiewał bard ze świty diuka Bolesława. Głos miał pełen ekspresji, gesty zaś tak dramatyczne, że słuchacze siedzieli oczarowani, choć bard śpiewał w niezrozumiałym dla nich języku. Od dymu w komnacie Hannę piekły oczy. Na tyle długo pozostawała na otwartej przestrzeni, że zapomniała, jak duszno może być w zamkniętym pomieszczeniu, nawet tak pojemnym jak komnaty w zamku biskupiny.

Pomimo pozycji i bogactwa Biskupiny jej siedziba nie miała zdobień charakterystycznych dla starszych pałaców w Wendarze. Wykończono ją dziesięć lat temu, dlatego nie było na niej widać patyny czasu. Kolumny pałacu przytłaczały. Wyrzeźbiono na nich podobizny srogich świętych, którzy bez wątpienia nie akceptowali obżarstwa i śpiewów, mężczyzn przytupujących do wtóru nogami, psów czatujących pod stołami, służących zręcznie nalewających wino i jednocześnie wywijających się od natarczywych objęć. Prawdę rzekłszy, ungryjscy lordowie Bayana zachowywali się lepiej niż lordowie z Wendaru; być może żartobliwa groźba Bayana nie była tylko żartem.

Później wysoko urodzeni udali się na spoczynek, służba zaś rozdrapała co lepsze kaski z uczty. W pałacu było wiele miejsc, w których mogli spocząć usługujący panom, toteż kiedy Sapientia nie przywołała Hanny, aby ta towarzyszyła jej do prywatnej komnaty, dziewczyna znalazła sobie zaciszne miejsce do spania między służebnymi. Leżały blisko siebie w ciepłym gniazdku półnagich kobiet przykrytych futrami i plotkowały w ciemnościach.

- Ungryjczycy śmierzdzą. Mówiłam ci.

- Nie bardziej niż żołnierze z Wendaru. Ach, Boże, widziałas, jak biedna Doda musiała odpędzać się od lorda Wichmana przez cały wieczór. On jest bestią.

- To syn księżnej, więc jestem pewna, że dostanie, czego chce. - Po tej wypowiedzi rozległo się nerwowe chichotanie. Jedna z kobiet poruszyła się. Druga westchnęła.

- Nie w pałacu biskupiny, moja droga - powiedział jakiś głos. - Biskupina Alberada jest surowa, ale sprawiedliwa, więc w tym pałacu takie zachowanie nie przejdzie. Teraz będę wdzięczna, jeśli się uciszyście, bo chcę spać!

Ale nie wszystkie kobiety ucichły. Hanna odpywała w sen, ukołysana ich szeptami i dziwnie

wymawianymi „p” i „t”. Przypominało jej to wymowę człowieka, spotkanego w opustoszałej wsi na wschód od Machteburga, gdzie zaatakował ich oddział Qumanów. Kiedy ponownie zobaczyła Ivara, okazało się, że różni się on bardzo od impulsywnego, dobrodusznego młodzieńca, z którym dorastała. Widział cud feniksa. Czy to rzeczywiście możliwe, aby ta historia była prawdziwa? Czy Bóg dokonał uzdrowienia i dał Iwarowi, jego towarzyszącej i Ekkehardowi wizję prawdy?

Obróciła na palcu ciężki pierścień ze szmaragdem, podarunek od króla Henryka. Tutaj, skulona obok jakiejś innej kobiety, czuła fizyczne ciepło i bezpieczeństwo, lecz jej serce pozostało niespokojne. Znała swe obowiązki. Przede wszystkim pozostawała w służbie króla. Była jego posłańcem, jego Orłem, złożyła mu przysięgę i musiała wyznawać doktrynę Kościoła, uznawanego przez króla. Nie miała prawa kwestionować zdania tych, których Henryk traktował jako prawych liderów Kościoła. Jednakże - co z bogami jej babki? Czyż nie obchodzili się ze swymi wyznawcami sprawiedliwie? Czyż nie dawali im dobrych zbiorów, czyż czasem nie odwracali głów, gdy nastawały złe czasy? A co z wieloma innymi ludźmi, którzy nie znali Kręgu Prawdy? Czy byli przeklęci i skazani na Przepaść, gdyż mieli inną wiarę? Jak na te pytania odpowiedziałby brat Breschius, służący królowej Kerayit?

Hanna zasnęła i zaczęła snuć.

*Do pałacu wchodzi cicho niczym zaraza jeden z niewolników matki Bayana. Jego skóra jest tak czarna, że Hanna prawie nie widzi go w ciemności, teraz rozświetlanej tylko przez dwa paleniska, do których dorzucono węgiel. Pilnują ich drzemiące służące. Jednakże on dostrzega ją na wpół ukrytą pośród śpiących kobiet. Przyzywa ją ręką. Ona nie śmie się sprzeciwić, tak jak nigdy nie odmówiłaby wezwaniu króla. Kiedy rozpoznaje władzę, uznaje ją.*

*Wstaje, wsuwa tunikę i idzie boso w kierunku mężczyzny. Niewolnik kroczy po wykładanych płytami korytarzach pałacu bez pochodni, a mimo to nie gubi drogi. Nieoheblowane deski, z których zrobiona jest podłoga, drapią jej podeszwy, a kiedy wchodzi w nie drzazga i Hanna musi się zatrzymać, okrzyk więźni jej w gardle. Wie, że nie powinna budzić żołnierzy śpiących po drugiej stronie szerokiego korytarza.*

*Niewolnik schyla się i bierze jej stopę w swoje ciepłe dłonie. Ona opiera się o jego ramiona, doskonale zdając sobie sprawę z siły jego naprężonego ciała i spokojnych oddechów żołnierzy wokół nich. Niewolnik bada jej nogę, chwyta drzazgę i wyciąga ją. Hanna podziękowałaby mu, ale obawia się powiedzieć cokolwiek głośno, a poza tym on najpewniej nie rozumie jej mowy. Idą dalej w ciszy tak gęstej jak mgła.*

*Wreszcie mężczyzna otwiera drzwi i prowadzi ją do komnaty pełnej jedwabnych kotar. Jest ich tak wiele, że Hanna musi się przez nie przedzierać, aż wreszcie uwalnia się z tego luksusu i trafia do jakiegoś pomieszczenia. Jest zimno. Na pustym palenisku nie płonie ogień.*

*Jej serce kęsa niepokój, bo oto widzi zawoalowaną figurę, okazującą się matką księcia Bayana. Po jej głosie słyhać, że ma już swoje lata. Czuć w nim też zmęczenie po tygodniach tworzenia magii związanej z pogodą.*

*- Dokąd zmierzasz?*

*Hanna sądzi, że matka księcia nie ma na myśli czegoś prostego, jakiejś zwykłej odpowiedzi w rodzaju: „do łazienki”, „na zachód do króla”, „z powrotem do domu”.*

*- Nie wiem - odpowiada zgodnie z prawdą. Zimno kęsa jej ręce, sprawiając, że zaczynają boleć, a stopa pali Hannę w miejscu, gdzie weszła w nią drzazga.*

*- Żadna kobieta nie może służyć dwóm królowym, tak jak żaden mężczyzna nie może służyć dwóm panom - zauważa sędziwa kobieta. Jedna z jej ciemnoskórych służących wychodzi z cienia, niosąc tacę. Puchar jest tak pięknie wykonany, iż jego brzeg wygląda jak cienki liść. Spoczywa na emaliowanej tacy. Z jego wnętrza unosi się para.*

*- Pij - słyhać głos podobny do odgłosu świerszcza.*

*Ostry napój szczypie wargi Hanny i pali jej gardło. Sącząc napitek, odchylając głowę w tył, Hanna widzi scenę wygrawerowaną na dnie pucharu: kobieta-centaur karmi dziecko piersią.*

*- W końcu - mówi matka Bayana - będziesz musiała wybrać.*

*Hanna ostrożnie opuszcza kielich. Matka Bayana siada statecznie na krześle. Jej sękaty, pomarszczone i pokryte plamkami, choć wciąż silne ręce spoczywają na kolanach. Twarz skrywa za welonem. Służąca czeka cierpliwie niczym statua, trzymając tacę. Hanna nie widzi śladu niewolnika, który ją tutaj przyprowadził. Są same we trzy, poza zielono-złotym ptakiem w klatce, który przygląda się Hannie, gdy ta stawia puchar na tacy. Ptak podnosi jedną nóżkę, stawia ją i podnosi drugą jakby w majestatycznym i trwożnym zarazem tańcu.*

*Służąca znika za kotarą. Ta szeleści, kołysze się i wreszcie opada w ciszy. Jedyne światło w komnacie*



daje lampę. Po ścianie przemykają cienie, przypominające duchy.

- Nie mam pomiędzy czym wybierać - mówi Hanna, której lekko kręci się w głowie. - Jestem Orłem króla Henryka.

- I szczęściem Sorgatani.

Te słowa źle rokują. Hanna wzrusza ramionami.

- Sorgatani żyła wiele lat temu. Już nie żyje. - Nerwowo pociera ręce, pamiętając, że brat Breschius stracił rękę, kiedy księżniczka Keriyat, którą kochał i której służył jak niewolnik, zmarła także lata temu.

- Dusze nigdy nie umierają - Juka stara kobieta. - Miałam kiedyś kuzynkę... Jej dusza dwa razy zmieniła swoje przeznaczenie. To może być kobieta, o której mówisz, ta, która wzięła wendarskiego kapłana jako swego pura. Imię jest jak welon, można je przyjąć i zmienić. Może być użyte ponownie. Jesteś szczęściem Sorgatani, bo tak zwała się moja siostrzenica. W końcu będziesz musiała wybrać.

Kotary zakołysały się jakby poruszane wiatrem. W tej migoczącej otchłani Hanna zastanawia się, czy będzie mogła zobaczyć drogę prowadzącą do krainy, po której wędrują Keriyat i gdzie żyją pośród traw tak wysokich, że zasłaniają mężczyznę siedzącego na koniu. Tutaj, w snach, Hanna dostrzega gryfy. W oddali, nieco rozmazanej przez podnoszącą się mgłę, widzi obozowisko Bwrmena, przerażającego centaury. Wiatr targa jasnymi ścianami namiotów. Te wydymają się i opadają, jakby były żywymi stworzeniami. Czuje zapach płynnego metalu, niesiony przez wiatr. Ponad obozem leniwie szybuje orzeł, potem zniża lot i znika z pola widzenia. Młoda kobieta snuje się na krańcu obozu, ubrana w szatę tak lśniącą złotem, że wydaje się, iż utkano ją z promieni słońca.

W oddali słychać głos Sorgatani:

- Chodź do mnie, moje szczęście. Jesteś w niebezpieczeństwie.

Być może Hanna mogłaby przejść przez kotarę i znaleźć się w tym dzikim, odległym kraju podczas mglistego poranka. Nie rusza się jednak. Mówi:

- Nie znalazłam jeszcze twojego pura. Nie mogę przyprowadzić ci żadnego wspaniałego mężczyzny.

Poprzez mgłę przebija się słońce. Wschodzi coraz wyżej, a jego jasne światło odbija się w oczach Hanny.

- Liath - woła, bo wydaje się jej, że widzi ją na opalizującym niebie. Błyszczące kolory lśnią jak jedwab, kiedy Hanna przepycha się poprzez kotary, starając się dotrzeć do Liath. Za otwartymi drzwiami znajduje jednak milczącego niewolnika. Z przecuciem nieszczęścia w sercu, jak gdyby zamknęła uszy na mowę, której powinna była wysłuchać, Hanna podąża za nim do pałacu...

Zbudziła się nagle. Czyjaś ręka głaskała ją dość brutalnie. Na swoim policzku czuła czyjś kwaśny oddech, a na sobie - ciężar mężczyzny. Hanna kopnęła silnie i celnie. Z okrzykiem wściekłości nieznana, molestująca ją postać zatoczyła się i wpadła na jakąś inną osobę, która również pojawiła się przy legowisku kobiet. Te tymczasem kłęły i krzyczały. Futra falowały, gdyż zbudziły się wszystkie służące. Jedna z nich krzyczała zdławionym głosem, walcząc z krępkim mężczyzną, który się na niej położył.

Pojawili się służący i rządcy, niosąc pochodnie. Zaczęła się bójka. Zza pół tuzina mężczyzn wyłonił się książę Bayan, wściekły, iż wyrwano go z łóżka. Sześciu ungaryjskich żołnierzy, strzegących księcia dzień i noc, włączyło się w bijatykę, klnąc nie bez przyjemności. Nim przybyła biskupina w otoczeniu niosącej piękne ceramiczne lampy służby, sytuacja już się wyklarowała. Służące tłoczyły się na legowisku, wykrzykując oskarżenia tak głośno, że Hanna myślała, iż za moment ogłuchnie. Rządcy i służący stali stłoczeni pod jedną ścianą, licząc rany, zaś przy ledwie tłącym się palenisku stał buńczucznie lord Wichman ze swą bandą rozwścieczonych psów - tuzinem potłuczonych, zarozumiałych i zuchwałych młodzieniaszków wysokiego stanu.

- Dlaczego mi przeszkadzono? - Alberada pochwyciła lampę w kształcie gryfa. Z jego paszczy wydobywał się ogień. Dostojna, a zarazem wściekła, Alberada nie wyglądała na kobietę, z której można byłoby sobie kpić. - Czy miałeś czelność, Wichman, napadać w nocy na moje służące w moim własnym pałacu? Czy tak odwdzięczasz mi się za gościnność?

- Długo już nie miałem kobiety! Te zaś były dostatecznie chętne. - Wichman wskazał mimochodem na legowisko służby. Przez chwilę jeden z jego kompanionów wyglądał, jakby miał się przewrócić. - Nie możemy się wszyscy zadowalać owcami, tak jak Eddo. - jego towarzysze parsknęli śmiechem. - W końcu one są tylko prostaczkami. Nie tknąłbym twoich mniszek. - Znowu rozległy się śmiechy.

- Jesteś wciąż pijany i głupi jak bydlę. - Kąśliwa uwaga Alberady natrafiła na niewrażliwe uszy. Jeden z kompanów Wichmana zajmował się właśnie swoim krocem, najwyraźniej ogarnięty żądzą. Na ten widok Hanna miała ochotę zwymiotować. W tym czasie kilku uzbrojonych służących pospieszyło ku Alberadzie i stanęło za jej plecami.

- Zaprowadźcie ich do twierdzy. Pozostaną tam przez całą noc. Nie pozwolę im zakłócać spokoju w moim pałacu. Rankiem będą wypuszczeni i powrócą do księżnej Rotrudis. Bez wątpienia twoja matka będzie dla ciebie bardziej miłosierna niż ja, Wichman.

W tym momencie Hanna zorientowała się, że Bayan dostrzegł ją pośród innych kobiet. Wyglądał, jakby i on miał ochotę się na nią rzucić. Zaśmiał się nad czymś, co tylko on rozumiał, i zadumany zaczął kręcić końce swych wąsów. Skinął na Breschiusa i powiedział coś cichym głosem.

- Błagam, Wasza Świątobliwość - rzekł Breschius. - Księżę Bayan proponuje, byś ukarała winnych, tak jak chcesz po wojnie.

Spojrzenie Alberady było lodowate.

- A w międzyczasie jak mam chronić moje służące przed gwałtem i napaściami?

Bayan przyglądał się jej pytająco.

- Dziwki mieszkają w każdym mieście. Te opłacę z własnych środków.

- Wynagrodzić za popełnienie grzechu?

Wzruszył ramionami.

- By wygrać z Qumanami, potrzebuję żołnierzy.

- By walczyć z Qumanami... - powiedział Wichman, pyszniąc się w sposób właściwy pijanym młodzieńcom, którzy myślą tylko o sobie - ja potrzebuję...

- Jesteś młody i głupi - przerwał mu Bayan, nagle doprowadzony na skraj cierpliwości. - Ale dobrze walczysz. Potrzebuję cię. W przeciwnym razie rzuciłbym cię wilkom na pożarcie.

Wichman wydał z siebie piskliwy, lekko ochryply śmiech.

- Jeśli tak bardzo mnie potrzebujesz, mój księżę panie - wycedził - ustanowię własną cenę i spodziewam się być wynagrodzonym dziesięciokrotnie. - Zrobił sprośny gest w kierunku służących Alberady.

Bayan ruszył zdumiewająco szybko jak na mężczyznę, którego wyrwano w łóżka w środku nocy. Schwycił Wichmana za odzienie i mocno nim potrząsnął. Wichman nieco górował nad nim wzrostem i był o połowę młodszy, ale ungryjski księżę płonął słusznym gniewem i miał w sobie autorytet władcy; dowodził całymi armiami i walczył w niezliczonej ilości bitew. Aby przeżyć to, co on, trzeba było być twardym człowiekiem i Bayan o tym wiedział. Wiedział o tym także i Wichman.

- Nigdy nie rzucaj mi wyzwania, chłopcze - rzekł Bayan spokojnie. - Pozbywam się psów, gdy sikają na me stopy. Wiem, jak znaleźć rynek niewolników, gdzie zawsze potrzebują młodych mężczyzn. Ja nie boję się gniewu twojej matki.

Wichman stanowił teraz interesujący widok, przypominając nieudane ciasto na chleb. Każdy inny mężczyzna mógł powiedzieć takie słowa tylko dla postrachu, lecz gdy mówił to Bayan, zaczynały palić jak ogień.

- Do baraków. - Bayan wypuścił Wichmana z uścisku. Ungryjskie straże otoczyły Wichmana i jego kompanów.

- Nie zgadzam się - rzekła Alberada. - Ci ludzie powinni zostać ukarani i wygnani.

- Potrzebuję ich - odparł Bayan. - Ty i twoje miasto także.

- W ten sposób wojna rodzi zło, księżę Bayanie, ponieważ ze złych uczynków można skorzystać zarówno w dobrych, jak i w złych celach. By je osiągnąć, siejemy nasiona zła i zaczynamy źle postępować, kierowani desperacją lub tym, co zwie się koniecznością.

- Na twe słowa nie mam odpowiedzi, Wasza Świątobliwość. Jestem tylko człowiekiem, a nie jednym ze świętych.

- To oczywiste, że nikt z nas nie jest świętym - odparła Alberada z przyganą. - Gdybyśmy nimi byli, nie byłoby wojen, prócz tych z poganami i heretykami.

- Jednakże wojna nie jest przyczyną naszych grzechów - odrzekł Breschius. - Rzekłbym, że zły uczynek Wichmana był spowodowany nie przez wojnę, lecz przez jego własną lekkomyślność i nieposkromioną naturę. Nie każdy mężczyzna tak się zachowuje. Większa część żołnierzy nie poszła w jego ślady.

- Nie tylko ja grzeszę - zaprotestował nagle Wichman. Był tak oburzony, jakby oskarżono go o czyn, którego nie popełnił. - Dlaczego nikt nie widzi, co robi w nocy mój mały kuzyn Ekkehard, teraz, gdy stracił swego młodego kochasia?

Bayan wydał z siebie niezadowolony pomruk.

Ech, Boże, Bayan wiedział, o czym mowa. Dlaczego Hanna sądziła, że dowódca tak bystry jak Bayan nie miał pojęcia o tym, co działo się w szeregach jego armii? Wolał po prostu pominąć to milczeniem, podobnie jak przewinienie Wichmana. Wszystko, o co się teraz troszczył, to zwycięstwo nad Qumanami.

W obecnej sytuacji Hanna podziwiała jego pragmatyzm.

- Co masz na myśli, Wichman? - Biskupina Alberada miała zwyczaj przechylania głowy na jedną

stronę, co czyniło ją podobną, choć na krótko, do sępa z pustym żołądkiem i otwartym dziobem, mającym przed sobą smaczny kąsek. - Jakim czynem splamił się Ekkehard?

- Herezją - odpowiedział Wichman.

### 3

Liath znajdowała się w centrum czegoś perłowego. Jej wizja tonęła w księżycowym świetle. Otaczała ją mleczna substancja, lekka jak powietrze, lecz tak nieprzejrzysta, że kiedy wyciągnęła rękę, ledwie mogła dostrzec błękit pierścienia z lapis lazuli - jej światła przewodniego - który Alain dał jej tak dawno temu. Na szczęście słuch jej nie zawodził. Słyszała szmery, jakby ktoś poruszał się w otaczającym ją perłowym eterze. Grunt pod stopami, choć oczywiście nie kroczyła po ziemi, wydawał się dość stały. Przed sobą miała srebrną wstążkę ścieżki, spiralnie wznoszącą się do góry.

Liath nie wiedziała, czego może oczekiwać, z pewnością jednak to perłowe światło, to morze pustki, wydawało się - no cóż - rozczarowujące. W oddali falowały świetlne błyski, przypominające zwiewne welony, niesione przez niewyczuwalny wiatr. Czyżby przekroczyła wrota tylko po to, by wejść do środka księżycyca?

Na wprost pojawił się jakiś cień. Był tak blisko, że gdy przechodził obok, musnął jej włosy, po czym zniknął w eterze. Chwilę czy też wieczność później pojawił się drugi i trzeci. A potem kolejne. Były mgliste i przezroczyste jak woda. Cisnąc się i falując zarazem, przypominały stado małych rybek.

Tańczyły.

Liath rozpoznała je. Były to kuzynki Jermy, bardziej lśniące i mniej blade; zapewne niektóre z demonów, pochodzących z wnętrza księżycyca, uwięzione przez Annę w Vernie.

Były takie piękne.

Zachwycona, zauroczona Liath przystanęła, by się im przyjrzeć. Przez eter przedostawały się dźwięki rytmicznych uderzeń. Czy to była muzyka sfer? Rozbrzmiewały szybkie, jasne dźwięki Erekes i pełna energii muzyka Somorhas. Majestatyczność słońca oddawały dźwięki rogów, odbijane przez delikatne szarpnięcia strun harfy, symbolizującej drogę bladego księżycyca. Drogę Jedu oznaczał marsowy rytm. Mok miał głos majestatyczny, niespieszny i groźny, a mądra Atruna brzmiała jak łagodny basowy pomruk.

Demony obracały się i przesuwaly, rosły i nikły, wirowały i zatrzymywały się. Ich taniec hipnotyzował. Było nań wspaniale patrzeć, tak jak na każdą rzecz, stworzoną przez prawdziwego artystę.

Ona także mogła tańczyć. Demony zaprosiły ją do siebie; jeśli by się do nich przyłączyła, sekretny język gwiazd nie byłby już dla niej zagadką. Kosmos manifestował się ze zdumiewającą prostotą - poprzez taniec, który symbolizował ruch wyższego rzędu, ukryty przed świadomością śmiertelnika, ruch wprawiający w ruch gwiazdy, przeznaczenie i niezgłębioną tajemnicę egzystencji.

Liath musiałaby tylko zejść ze ścieżki. Byłoby łatwiej po prostu zatopić się w tańcu, w sercu wszechświata.

- Liath! - Głos Hanny sprawił, że wróciła do siebie. Czy to było echo głosu Hanny, czy tylko wyobraźnia Liath?

Stanęła na krawędzi przepaści. Jeszcze jeden krok, a spadłaby ze ścieżki w eter. Drżąc, Liath cofnęła się, o mało co nie spadając z drugiej strony ścieżki. Wreszcie złapała równowagę, ledwie łapiąc oddech.

Taniec splątał się. W obliczu wspaniałości niebios dla Liath nie miało to już jednak znaczenia. Jej własna tęsknota mogła doprowadzić ją do ruiny, ale nic nie zatrzyma jej na drodze, którą obrała.

To była lekcja róży, mająca osiągnąć pełnię swego piękna. Jej kolce były kolcami bezbrzeżnej tęsknoty. Kłuły każdego, kto chciałby zerwać kwiat, nie bacząc na to, co czyni.

Była tak bliska upadku.

Z gorzkim uśmiechem Liath kontynuowała wędrówkę. W pewnej chwili ścieżka rozdzielała się. Na dwie części przecinał ją żelazny mur, zdający się nie mieć początku ni końca. Na murze widniało nacięcie w kształcie lzy, przez które Liath dostrzegła pozbawioną jakichś szczególnych cech płaszczyznę. Czy to były Wrota Miecza, zapowiadające sferę Erekes, szybko krążącą planetę, którą kiedyś uznawano za posłańca pogańskich bogów?

Myśli Liath dostały skrzydeł i uformowały się w konkretny kształt, bo oto pojawił się strażnik, tak biały jak kości. Nie miał ust ani oczu, lecz raczej coś na kształt żywej twarzy. Delikatna struktura jego

rozwiniętych skrzydeł połyskiwała tak silnie, jakby pająk utkał nici, którymi przywiązano kości do skóry. Strażnik zagroził jej przejście mieczem, jaśniejącym tak intensywnie, iż zdawało się, że jednym cięciem może przeciąć eter.

Jego głos dźwięczał jak metal.

- Do jakiego miejsca szukasz przejścia?

- Chcę wkroczyć do sfery Erekes.

- Kim jesteś, by się tego domagać?

- Nazywają mnie Bystrą albo Dzieckiem Płomienia.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa nastąpiło błyskawiczne uderzenie. Liath zdążyła się uchylić. Instynktownie sięgnęła po miecz. Sparowała cios, a kiedy mocne, żelazne ostrze przyjaciela Luciana zetknęło się z jaśniejącym mieczem strażnika, strzeliły iskry. Strażnik zaatakował ponownie, a Liath zablokowała jego cios i odskoczyła na ścieżkę, gotowa do dalszej walki.

Jednakże strażnik stał ze wzniesionym mieczem.

- Masz w sobie zbyt wiele ze śmiertelnika, by przekroczyć tę bramę - zawołał triumfalnie. Jego głos brzmiał jak uderzenie kowalskiego młota.

Liath przytłoczył powiew gorącego wiatru Erekes. Była zbyt ciężka, by iść dalej.

Ale nie podda się. Nie upadnie. Nie cofnie się.

- Jeśli chcesz istnieć, zabierz miecz...

A potem krzyknęła i wbiła swoją broń w strażnika.

Żelazo przeszło istotę. Ta rozpadła się na tysiące lśniących, metalowych fragmentów. Nieoczekiwanie Liath poczuła, jak porywa ją silny wiatr i głową skierowaną w przód wpadła w smolisto czarny obszar Erekes.

#### 4

Rozprawa rozpoczęła się dwa dni później, ku wyraźnemu niezadowoleniu Bayana. Niespodziewanie Sapientia odmówiła odwodzenia ciotki od prowadzenia śledztwa w sprawie herezji. Kiedy zaś biskupina Alberada zajęła się czymś innym niż dyskusją nad grzechami ciała, Sapientia twardo stała na stanowisku, że doszło do herezji.

Padalo nieustannie, co sprawiło, że życie poza pałacem było wyjątkowo trudne. Sączący się z palenisk dym był nie do zniesienia, zaś grypa, która czyniła swe ofiary dotkliwie cierpiącymi, szalała pośród armii zgromadzonej w pałacu i przypałacowych barakach.

Kiedy więc rada biskupiny zebrała się w wielkim hallu, pełno było w nim kaszlących, prychających i pociągających nosem ludzi. Alberada przewodniczyła radzie, zasiadając na swym biskupim krześle. Z lewej strony znajdowali się Bayan i Sapientia, zaś po prawej, przy stole, zasiadał tuzin mnichów - skrybów. Herezja była tak poważnym przestępstwem, iż mnisi Alberady mieli za zadanie cały proces, jak też i wyrok Alberady, uwiecznić na piśmie. Następnie dostarczano go do skopos, aby matka Klemencja mogła dowiedzieć się o zepsuciu, jakie wkradło się w jej stadko.

Najczęściej Alberada wzywała przynajmniej dwie inne biskupiny. Ich obecność podczas procesu nadawała mu pełnię znaczenia. Biorąc jednak pod uwagę porę roku, tragiczną sytuację oraz fakt, iż z murów miast codziennie widziano qumańskie patrole, Alberada zadowolona była obecnością miejscowego opata i ksieni. Byli posłusznymi, szczerymi ludźmi, nieskorymi do buntu przeciw biskupinie, niezależnie, co by uczyniła.

Jako królewski Orzeł, Hanna miała obowiązek uczestniczyć w całym ponurym wydarzeniu, a później zdać zeń relację królowi, opowiedzieć o grzechach jego syna i śledztwie przeprowadzonym przez biskupinę, starszą, przyrodną siostrę Henryka.

Ekkehard zasiadał na krześle naprzeciwko swych oskarżycieli. Reszta oskarżonych o herezję stała za jego plecami w kolejności odpowiadającej ich randze. Świadkowie występowali do przodu i po wielu nudnych godzinach zeznań Alberada wydała wyrok:

- Książę Ekkehard użył swej władzy i stanowiska, by zgorszyć niewinnych ludzi grzechem herezji. Kiedy niektóre z ofiar, doświadczywszy gniewu biskupiny, wyparły się owej herezji, inni pozostali wyjątkowo uparci w wierze w bezbożne nauki.

Ekkehard słuchał procesu z rosnącym oburzeniem. Prawdopodobnie był za młody i zbyt pewny siebie,

by się naprawdę obawiać. Sześciu z jego bliskich towarzyszy przetrwało bitwę pod pradawnym kopcem. Biskupina Alberada okazała swój szacunek dla lojalności niezbędnej pomiędzy panem a jego świtą i nie próbowała ich naciskać, by wyparli się swego pana. Opuszczenie go w bitwie było dla nich gorszym przestępstwem niż duchowy błąd. Niechaj więc zostaną ukarani wraz z nim.

Nieprzejednany lord Dietrich, jego świta i około dwudziestu ludzi różnej pozycji stanowiło większy kłopot.

- Który ze sług Wrogiego zatopił w twej duszy pazury? - zapytała Alberada, kiedy lord Dietrich po raz trzeci odmówił wyparcia się doktryny ofiary i odkupienia. - Matka i Ojciec Życia, zwani Bogiem Jedności, stworzyli wszechświat. Swoje dzieło wyposażyli w cztery pierwiastki: światło, wiatr, ogień i wodę. Ponad naszym światem znajduje się Komnata Światła, a pod nim zamieszkuje Wrogi, którego nazywamy również ciemnością. O ile poszczególne pierwiastki istnieją w harmonii, czasem stykają się z mrokiem, który wyrósł z głębin. Razem tworzą mieszaninę. Wszechświat płacze z rozpaczyny spowodowanej takim stanem i dlatego Bóg zesłał Słowo Rozwagi, zwane także Logosem, będące Zbawieniem. Bóg stworzył świat poprzez Słowo Rozwagi, choć na ziemi istnieje także i ciemność. Dlatego na świecie mamy zło i chaos.

- Błogosławiony Daisan odkupił nas - rzekł z uporem Ekkehard, przerywając jej.

Lord Dietrich był na tyle rozsądny, by milczeć.

- Oczywiście, że to zrobił! Błogosławiony Daisan przyniósł nam Słowo Rozwagi. Modlił się przez siedem dni i siedem nocy, prosząc o zbawienie dla tych, którzy podążą drogą Boga Jedności i zostaną zabrani do Światła. A pod koniec życia anioły zabrały go do nieba, czemu towarzyszyło światło tak oślepiające, że święta Tekla, będąca świadkiem jego Ekstazy, straciła wzrok na siedem dni.

- Został złożony w ofierze! Jego oprawcami był zakon Cesarzowej Thaissanii! Jego krew przemieniła się w róże, a on sam zaś ożył! Powstał ze śmierci!

- Cisza! - Alberada uderzyła o podłogę końcem swego pastorału. Ostre uderzenie uciszyło Ekkeharda. Ustały też podekscytowane szepty, które rozległy się w sali po jego słowach. Nawet mnich, tłumaczący wszystko diukowi Boleslasowi, zamilkł.

- Jesteś winny herezji, książę Ekkehardzie. Karą za herezję jest ekskomunika, wygnanie lub śmierć.

- Jestem gotów na śmierć - rzekł spokojnie lord Dietrich nie bez triumfu. Zakasłał i wytarł nos w garstkę słomy.

- Nie możesz mnie ukarać - wykrzyknął mężnie Ekkehard. - Jestem synem króla, zrodzonym z legalnego związku!

- Reprezentuję Kościół, tutaj, w Handelburgu - odrzekła Alberada, ignorując przytyk do swego nieślubnego pochodzenia. - Nie karzę cię, książę Ekkehardzie. Czyni to Kościół w stosunku zarówno do ciebie, jak i tych, którzy podążyli za twymi heretyckimi naukami. Lecz to prawda, że masz specjalną pozycję. Będziesz odesłany na królewski dwór.

- Do mego ojca? - Ekkehard nagle wydał się dużo młodszy. Był niczym chłopiec, przyłapany na psocie, który teraz zrozumiał, że to przyczyni mu kłopotów.

Bayan chrząknął gniewnie.

- Jak wielką eskortę będę zmuszony mu przydzielić? Ilu mniej żołnierzy stanie na murach, gdy obiegna nas Qumanowie?

- Czy nie można po prostu odesłać księcia do monasteru aż do czasu, gdy pokonamy Qumanów? - Sapientia położyła rękę na ramieniu Bayana, jakby chciała uspokoić rozjuszoną bestię. - Jest w końcu opatem kościoła świętej Perpetuy w Gencie.

- I narażać mnichów na plagę herezji? Wystarczy, że każdego tygodnia otrzymuję wieści o tej zarazie, rozprzestrzeniającej się po kraju! Nie, książę musi podążyć do króla albo pozostać tutaj, w więzieniu, bez prawa do sakramentów, do czasu, aż Qumanowie zostaną zwyciężeni. Wówczas będzie mógł bezpiecznie udać się na dwór ojca z odpowiednią eskortą. W twierdzy książę będzie strzeżony, abyśmy mieli pewność, że nie kontaktuje się ze swymi zwolennikami...

- Ach! - Bayan załamał ręce w desperacji. Kopniakiem odsunął psa, który ułożył się przy jego nogach, schwycił kielich, a zawartość wypił do dna. Służący pospieszył, by dolać trunku. - Potrzebuję straży na murach, na warcie. Do walki z Qumanami. Nie po to, by siedzieli beczynnienie.

- Nie rozumiesz powagi naszej sytuacji, książę Bayanie. Muszę stwierdzić, że jako neofita masz pewne braki w pojmowaniu spraw religijnych. Nie pozwolę, by Wrogi zwyciężył. Nie pozwolę, by zaraza Aretuzjan zniszczyła królestwo i święty Kościół. Nie mogę się odwrócić i nie zauważać, że błąd księcia Ekkeharda zagraża nam wszystkim.

- Moim zdaniem - rzekł Bayan - to Qumanowie nam zagrażają.

- Lepiej być nieżywym niż heretykiem!

Bayan z irytacją kręcił końce swych wąsów, lecz nic nie odrzekł. Jak wcześniej, u stóp pradawnego kopca, tak i teraz rozpoznał moment, gdy należało się strategicznie wycofać, aby nie ponieść całkowitej klęski.

- Wybieram śmierć - rzekł lord Dietrich. - Niech moje męczeństwo udowodni, kto mówi prawdę.

Alberada wyglądała na zaskoczoną i zażenowaną.

- Nie mam zwyczaju przewodniczyć egzekucjom, lordzie.

- Nawet jeśli obawiasz się to uczynić, Wasza Świątobliwość, musisz przyznać, że to ja mam rację. Nie boję się śmierci, bo tę zwyciężył błogosławiony Daisan, gładząc nasze grzechy.

- Ja także! - wykrzyknął Ekkehard, nie chcąc wypaść na mniej odważnego niż zwykły lord. Ponieważ nie zaatakowała go grypa, jego głos był czysty i silny, wolny od wątpliwości i apatii. - Poniosę śmierć męczeńską!

- Sądzę, że egzekucja źle wpłynęłaby na morale - powiedziała rozsądnie Sapientia. Dziwne, ale wcale nie wyglądała na zdenerwowaną możliwością ewentualnej egzekucji młodszego brata. Po dwóch dniach pobytu w pałacu ciotki miała satysfakcję, przywierając do krewnej w taki sam sposób, w jaki kwaśny zapach zaczyna towarzyszyć ciału umarłego. Zachowywała się tak, jakby chciała pozbyć się Ekkeharda.

- Trzeba powiadomić króla Henryka - rzekła Alberada, grając na zwłokę. - Książę królewskiej krwi, który nosi złoty łańcuch, nie może być taktowany w taki sam sposób jak zwykły przestępca.

- Wobec tego pošlij moją Orlicę - odrzekła Sapientia, uśmiechając się z samozadowoleniem. - Dwukrotnie już podróżowała na wschód. Dostarczy królowi wieści.

Czy spadł wreszcie cios, którego Hanna obawiała się od wielu dni? Czyżby Sapientia chciała się pozbyć potencjalnej rywalki w każdy dostępny sposób?

Bayan nie rzekł nic. Stojący za jego krzesłem brat Breschius pochylił się, szepcząc Bayanowi coś do ucha, lecz ungryjski książę odwrócił niecierpliwie głowę, jak gdyby po ostatnim wybuchu postanowił pozostać poza całą tą rozgrywką.

Hanna czekała na finalny cios. W oddali uderzył piorun. Słyszała, jak pada deszcz, najpierw głośno i wyraźnie, a potem znacznie ciszej, jakby ktoś otworzył, następnie zamknął za sobą drzwi. Pomoc przyszła z niespodziewanego źródła.

- Wysłać Orła w taką podróż, kiedy Qumanowie stoją niemal u naszych bram? - Alberada obserwowała swych heretyków z niesmakiem. - To równa się karze śmierci, Sapientio.

- Zróbcie przejście! - Do sali wpadł ociekający wodą posłaniec. Woda z opończy pozostawiała na podłodze mokre ślady, zaś nogi obute w zawiązywane skórzane buty znaczyły dywany błotem. Służba pospieszyła ze ścierkami, lecz na posadzce i na dywanach nadal pozostały ślady wilgoci.

- Wasza Wysokość! - Posłaniec upadł na kolana. Wyglądało to tak, jakby po długotrwałym marszu i jeździe konnej wreszcie z ulgą dotarł do bezpiecznego portu. - Czy są tu księżniczka Sapientia i książę Bayan? Dzięki Bogu. Przynoszę straszne wieści. Machteburg jest oblężony przez Qumanów. Spalono miasto Dirden, a tych, których nie zabito, wzięto do niewoli.

Bayan wstał z ponurym wyrazem twarzy.

- Oto mamy odpowiedź. - Niczym maczugę podniósł pięść. - Bulkezu mnie drażni.

Pogodna natura Bayana gdzieś zniknęła, a Hanna pomyślała, że nad tym wszystkim zawisł duch zmarłego syna księcia. Wstrząsnął nią dreszcz, gdy przypomniała sobie, jak książę odcinał palce qumańskiego więźnia. Trudno było pogodzić dwa obrazy: człowieka pragmatycznego i pogodnego z zajmującym jego miejsce twardym, bezlitosnym żołnierzem.

- Wasza Świątobliwość, to nie jest czas, by wzięć dobrych żołnierzy. Każdy, kto może stanąć do walki, musi to uczynić.

- Qumanowie nie są naszymi jedynymi wrogami, książę Bayanie. Jeśli raz wpuścimy sługi Wrogiego do naszych serc, zniszczą nas. A to jest gorsze niż śmierć.

Alberada była nieprzejednana. Przywołała swoich służących i rzekła coś do nich przyciszonym głosem. Kiedy pospieszyli, by wykonać jej rozkazy, pałacowe strażnice poprowadziły Ekkeharda, Dietricha, ich swity i tuzin innych heretyków do kościoła. Z rozkazu Alberady reszta zgromadzonych podążyła za nimi.

Podobnie jak pałac, katedra biskupiny - o ile tak można było nazwać ten budynek - nie miała jeszcze na sobie patyny czasu. Ornamenty na zewnątrz i wewnątrz budowli wykonali rzemieślnicy. Na wschodnich rubieżach łatwiej było o drewno niż o kamień i nawet katedra biskupiny mogła wydać się skromniejsza w porównaniu ze starymi cesarskimi budowlami zachodu.

Tutaj także surowi święci obserwowali zgromadzonych - kilka setek dusz - tłoczących się w nawach. Wyrzeźbione w drewnie dębowym i orzechowym figury świętych wyglądały na tak strasznie

niezadowolone, że Hanna miała wrażenie, iż zaraz zaczną łąjąc zgromadzonych przed nimi grzeszników. Cztery z figur były wciąż nieskończone. Z ciemności wylaniała się nie do końca ociosana ręka, zarys czoła oraz skrzywione usta w pozbawionej oczu twarzy.

Gobeliny urozmaicały monotonię dębowych ścian, lecz zostały utkane tak ciemnymi kolorami, że w panujących w katedrze ciemnościach nie można było rozróżnić przedstawionych na nich postaci. W kościele było niewiele okien. Największe z nich, znajdujące się za ołtarzem, wychodziło na wschód. Fragmenty starego szkła z czasów Dariyan połączono razem, tak że tworzyły witraż, wyobrażający Krąg Jedności, ponieważ jednak było popołudnie, większość światła wpadała do kościoła poprzez drzwi. Z zewnątrz przedostawało się także zimne powietrze, tak intensywne, że aż poruszało opończami zgromadzonych. Ze swego miejsca na przedzie Hanna czuła na wargach chłodny i kojący zarazem powiew. Nad zatłoczonym miejscem unosiła się duszna, dręcząca atmosfera strachu, przewidywania i gniewu, tak gęsta, że można ją było kroić niczym ser.

Przybyli wszyscy szlachetnie urodzeni członkowie armii Bayana. Niepojawienie się mogłoby rzucić na nich podejrzenia. Ze swego miejsca Hanna obserwowała tłum, jednakże nie była dostatecznie wysoka, by zobaczyć cokolwiek poza czubkiem głowy kapitana Thiadbolda, którego łatwo było rozpoznać ze względu na jego rude, długie do pleców włosy. Biskupina rozkazała, by stały się także najwyższe rangą Lwy, aby potem mogły opowiedzieć o wszystkim swoim podwładnym. Herezja była najcięższym duchowym przestępstwem. Można ją było porównać do zdrady wobec władcy.

Hanna myślała głównie o utracie głowy w przypadku napotkania qumańskiego patrolu. Może powinna była pozwolić, by magiczna siła zabrała ją na wschód. Może powinna była wybrać Sorgatani zamiast Liath. Czy to był tylko sen? Czy byłaby ekskomunikowana, gdyby biskupina Alberada wiedziała, iż do pewnego stopnia miała kontakt z magią? Czasami lepiej milczeć. Zastanawiali ją też Ekkehard, Dietrich i zaginiony Ivar. Dlaczego tak uporcezywie trzymali się tego, w co wierzyli? Dlaczego postanowili być im wierni mimo łańcuchów niewoli?

Coś takiego mówiła jej matka, pani Berta.

- Po co samemu narażać się na kłopoty? - zwykła mawiać. - Jeśli problemy nie chcą zniknąć z twego życia, po cóż jeszcze samemu ich szukać? - Podobnie jak księżę Bayan, widziała świat w kategoriach praktycznych. Prawdopodobnie dlatego właśnie Hanna tak szanowała Bayana - pomijając jego denerwujący zwyczaj adorowania jej, który ledwie można byłoby nazwać flirtowaniem, wzięwszy pod uwagę przepaść, jaka ich dzieliła i który mógł doprowadzić do śmierci Hanny. Oczywiście, Berta nigdy nie obcinała niczych palców, ale bez wątpienia byłaby do tego zdolna, gdyby zaszła taka konieczność.

Smutna pieśń dobiegła końca. Hanna użyła łokcia, by się przepchnąć. Szturchnęła jednego ze służących Sapientii, chcąc więcej widzieć. Nadeszli mnisi w kolejności zgodnej ze sprawowanymi godnościami. Każdy z nich niósł zapaloną świecę na znak Kręgu Jedności, Światła Prawdy. Świece postawiono wokół Ekkeharda, Dietricha i innych heretyków, stojących z przodu nawy. Paliły się silnym blaskiem. Światło sprawiło, że drewniane figury zdawały się mieć na twarzach wyraz ulgi. Ich wargi opadały jak gdyby w wyrazie żałości, ręka z wyciągniętymi dwoma palcami wyrażała gestem sprawiedliwość. Spod najeżonych brwi padało ciężkie spojrzenie. Święci patrzyli i sądzili grzeszników.

Biskupina Alberada weszła po stopniach na podwyższenie. Podniosła ręce, nakazując ciszę.

- Wnieście ocet, tak by winni mogli zakosztować gorzkiego smaku herezji.

Jej słudzy wnieśli kielichy. Każde z naczyń odpowiadało pozycji tego, który miał z niego pić. Ekkehard otrzymał kielich ze złota, zaś jego szlachetnie urodzeni towarzysze kielichy wykonane ze srebra. Lord Dietrich także otrzymał srebrny puchar, a jego uparta świta - naczynia z mosiądzu. Heretycy niskiego stanu mieli pić z jednego, drewnianego kielicha. Jeden z oskarżonych odmówił wypicia octu i został trzykrotnie smagnięty batem, nim to uczynił. Wszyscy dławili się i z trudem łapali oddech, kaszląc. Jeden tylko lord Dietrich wypił kielich do dna, tak jakby był w nim miód i nie skrzywił się. Jego buntowniczy wzrok spoczął na Alberadzie.

- Niechaj ci, których do tej pory chronił Krąg, będą z niego wyłączeni. Nie będzie ich ochraniała jego moc i prawda. Niechaj obcięte będą ich włosy na znak hańby.

Jeden z młodych towarzyszy Ekkeharda, wyjątkowo dumny ze swych jasnych loków, zaczął płakać. Ekkehard pocieszał go, podczas gdy mnisi krążyli pomiędzy heretykami z nożami w rękach, tnąc ich włosy. Dopiero kiedy lord Dietrich zaczął łagodnie przemawiać do młodzieńca, ten przestał się trząść, zacisnął ręce i uniósł dumnie podbródek, gdy kleryk o kwaśnym wyrazie twarzy pozbawiał go włosów.

- Niechaj ujrzą, iż światło prawdy nie płonie już dłużej w ich sercach. - Opuściwszy ambonę, biskupina przekroczyła krąg i zgasła wszystkie świece. Dym uniósł się delikatnymi pasmami. - W ten sposób jesteście oddzieleni od Kościoła. W ten sposób jesteście ekskomunikowani. Nie stoicie już dłużej w

Kręgu Jedności. Bóg odwrócił się od was.

Ekkehard zatrząsał się, jakby go ktoś uderzył. Jeden z jego towarzyszy zemdłał. Inni szlochali.

- Nie lękam się - oznajmił lord Dietrich. - Niech Bóg okaże swą wolę. Jestem tylko Jej powolnym naczyniem.

Zapadła cisza. Alberada chyba czekała na znak. Ktoś w tłumie zakasłał.

Lordem Dietrichem wstrząsnął spazm, który wyrzucił go za obręb koła. Trzy świece potoczyły się po posadzce, gdy ciężko upadł na ziemię. Drgawki targnęły nim raz i drugi, po czym poraziła go apopleksja.

- Tak więc widzicie - rzekła Alberada triumfalnie. - Wrogi objawił swą obecność. Tym człowiekiem oładnął duch zła. Oto los, jaki czeka tych, którzy głoszą herezję.

Najodważniejsi z towarzyszy Dietricha ukłękli przed nim, przytrzymując kończyny tak długo, aż wreszcie znieruchomiały. Z jego ust wydobyła się piana. Z jednego nozdrza wydostała się krew i popłynęła po woskowo bladym policzku. Po raz ostatni ciałem lorda wstrząsnął dreszcz, a podłoga pokryła się cuchnącymi wymiotami.

- Nie żyje - powiedział Ekkehard zdławionym głosem, odsuwając się od martwego ciała.

W zapadłej, pełnej przerażenia ciszy głos Alberady zadźwięczał czysto niczym dzwon wzywający na bitwę.

- Zabierzcie ekskomunikowanych do więzienia. Nikomu nie wolno z nimi rozmawiać. Jeśli ktoś to uczyni, także zostanie ekskomunikowany. Wrogi gnieździ się w ludziach. Jutro ci, którzy ocaleją, zostaną wychłostani, a Wrogi wygnany z ich ciał.

Nikt się nie sprzeciwił. Widzieli przecież, na co stać Wrogiego.

Kościół szybko opustoszał. Alberada wyszła w asyście tłumy mnichów. Straże wyniosły ciało, a służba pozostała, by posprzątać. Hanna czekała, ponieważ Sapientia nie wyszła od razu. Brat Breschius zaś podniósł jeden ze srebrnych kielichów i kiedy w katedrze nie pozostał nikt poza Bayanem, Sapientią i kilkunastoma najwierniejszymi sługami, wręczył go Bayanowi.

Ten przejechał palcem po krawędzi kielicha, po czym posmakował jego zawartości i splunął, skrzywiwszy się.

- Trucizna - rzekł cicho.

Zapadła długa cisza, podczas której Hanna marzyła o tym, by stać się niewidzialną. Miała nadzieję, iż nikt nie widział, że stała się świadkiem tego strasznego odkrycia. O ile było ono prawdą.

- Czy otruje Ekkeharda? - zapytała Sapientia. - Czy powinniśmy ją powstrzymać, jeśli wiemy, że może to zrobić?

Wciąż stali odwróceny tyłem do Hanny, badając srebrny kielich i okopcony ślad, powstały na posadzce po przewróconych świecach. Hanna cofnęła się do cienia.

- Ekkehard nie jest dla nas zagrożeniem - rzekł Bayan.

- Teraz nie. Jest wciąż młody. Ale może zacząć być groźny. A co z Kościołem? Z pewnością ciotka wie, co robi, jeśli herezja jest tak straszliwa. Musimy ją wesprzeć.

Bayan potrząsnął głową, podczas gdy Hanna dotknęła krawędzi jednego z gobelinów.

- Jeśli nie pokonamy Bulkezu, zginiemy albo zostaniemy jego niewolnikami. Najpierw wojna musi się skończyć. Niech Kościół walczy z herezją, lecz później. Orlico...

Wszyscy, prócz Breschiusa, podskoczyli. Odkrywszy jej obecność, wyglądali jak konspiratorzy, zaskoczeni i zaniepokojeni, że ktoś ich słyszał. Hanna nie mogła już dłużej ukrywać się w cieniu gobelinów. Bayan przez cały czas zdawał sobie sprawę z jej obecności.

- Orlico - powtórzył teraz, kiedy na niego patrzyła. - O świcie wyruszysz do króla Henryka.

- Tak, Wasza Wysokość - ledwie wykrztusiła. Oczyma duszy ujrzała siebie, skurczoną, ze szerniałą głową zwisającą z paska jakiegoś gumańskiego wojownika. Czy Bayan składa ją w ofierze, bo słyszała ich rozmowę? Czy to tylko gest, by uśmierzyć zazdrość żony, z którą układał plany dotyczące sukcesji?

- Żono. - Wstał i podał rękę Sapientii. Księżniczka nie poruszyła się. Jeden ze służących trzymał ceramiczną lampę w kształcie koguta. Ten piał, a z jego wnętrza tryskały języki ognia. Światło sprawiło, że twarz Sapientii złagodniała, a jej czarne włosy lśniły jak jedwab.

- To zadanie dla ciebie. Ekkehard musi jutro wyruszyć z tą Orlicą.

- Czy to rozsądne? - zapytała Sapientia.

- On i inni więźniowie muszą opuścić to miejsce. Nie potrzebujemy... Breschius, jakie to słowo, oznaczające, że nic nie powinno odciągać naszych umysłów od wojny?

- Żadnego rozpraszania się, Wasza Wysokość.

- Otóż to. Żadnej takiej rzeczy. Nie umiem wymówić tego słowa. Rozważ, jak źle stoją sprawy. Biskupina jest pobożną kobietą, wiem to. Ale sądzi, że sprawy boże są ważniejsze od wojny. Bulkezu zaś



nie czeka na Boga. - Wskazał na ołtarz i na wieniec ze świec płonących Światłem Jedności.

- Ale gdzie pošlemy Ekkeharda?

- Niech przyłączy się do maszerującego Villama. Tam może walczyć. Tam zginie lub przeżyje, według woli Boga. On i jego świta będą eskortowali Orlicę. Jej obecność tutaj jako więźnia wywoła niesnaski w armii. Mamy złą sytuację. Jeśli król Henryk nie przyśle posiłków, jeśli sam nie pomaszeruje na wschód, Bulkezu zawładnie wszystkimi tutejszymi ziemiami. Taka jest straszna prawda. Może utrzymamy się przez jakiś czas, jeśli nie będzie problemów wewnątrz armii. Jeśli nie będzie roz... ach! Rozpraszenia się.

- To dobry plan - powiedziała Sapientia, rozważywszy jego słowa. Ostatnio, dzięki Bayanowi, zaszła w niej spora zmiana: zaczęła zastanawiać się nad pewnymi sprawami. - Ekkehard może zginąć, walcząc z Qumanami, lecz będzie to lepsza śmierć niż egzekucja za popełnienie herezji. Jako więzień przysporzy nam tylko kłopotów. Sam najprawdopodobniej ubolewa nad sytuacją, w jakiej się znalazł. Być może wciąż rozsiewa swe historie wśród straży. Może są w armii i tacy, którzy wciąż mu wierzą, lecz kłamali podczas procesu, bo nie chcieli ponieść kary.

Bayan skinął głową.

- Ale jak zdołam go uwolnić z twierdzy? Nałóży na mnie ekskomunikę za pomoc bratu.

Naprzód wysunął się brat Breschius.

- Jesteś sukcesorką, Wasza Wysokość. Udowodniłaś już swe zdolności do rządzenia. Potraktuj to jako test swej władzy. Biskupina Alberada nie będzie walczyć z królem Henrykiem, jeśli tylko powiesz jej, że księżę Ekkehard ma być posłany do fortecy Villama dla jego bezpieczeństwa. Będzie mu towarzyszyć eskorta, choć w tych czasach nie możemy sobie pozwolić na stratę dużej liczby ludzi. Biskupina nie powinna także ci się przeciwstawić, tobie, której przeznaczeniem jest objąć władzę po ojcu, niech Bóg pobłogosławi go długim życiem.

Sapientia obracała w palcach pięknie wyhaftowany skraj swej szaty, ściskając w rękach naszyte nań paciorki. Gest ten czynił ją podobną do prostej gęsiareczki, mającej zbesztać kochanka. Jednakże nawet i gęsiareczki mogą osiąść sztukę dowodzenia.

Nagle Hannie przypomniało się powiedzenie Hathui: Bóg sprawił, że słońce świeci tak samo dla wysoko, jak i dla nisko urodzonych, bowiem wszyscy ludzie są równi wobec Boga. Co tak naprawdę rozdzieliło Hannę i Sapientię?

Sapientia opuściła ręce. Miała prezenję królowej. Teraz, w ciemnym kościele, w którym milczący święci patrzyli na nich z wysoka, nikt nie mógłby dopatrzeć się w niej braku królewskości.

- Porozmawiam z ciotką. Ekkehard opuści miasto o świcie, eskortując Orła aż do momentu, gdy ta będzie mogła bezpiecznie podróżować sama.

Hanna uśmiechnęła się lekko pod nosem. Bóg był daleko, oddzielając od siebie wysoko i nisko urodzonych, niezależnie od tego, co mówi Hathui. Wystarczyło kilka słów, a jej los został przypieczętowany.

- Orle. - Bayan wstał. Jego wzrok był spokojny, wciąż można było w nim wyczytać pewien rodzaj admiracji, lecz zdradzał finalny koniec sprawy, jak gdyby Bayan wiedział, że żegna się z nią po raz ostatni. - Kieruj się na południe, a potem na zachód, ku rzece Odrze. I bądź ostrożna.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Ekkehard jest młodym głupcem, śnieżna kobieto - rzekł Bayan. - Opiekuj się nim.

- Chodź, musimy iść - powiedziała z naciskiem Sapientia. Bayan ruszył za nią posłusznie. Nie odwrócił się nawet. Jego silna, władcza postać zniknęła w ciemnościach wraz z Sapientią. Hanna słyszała jeszcze, jak rozmawiają ze sobą, lecz nie mogła już rozróżnić słów.

Breschius czekał. Ujął jej dłoń i poprowadził do ołtarza.

- Ufaj Bogu, Hanno. - Pobłogosławił ją.

- Dziękuję, bracie. Prawdę rzekłszy, lękam się.

Poszli razem ku wyjściu, wciąż trzymając się za ręce. Jego uścisk działał kojąco, niczym rzucona lina ratunkowa. Kiedy stanęli w kruchcie, Breschius rzekł cicho:

- Nigdy nie zapominaj, że księżniczka Kerayit nazwała cię swoim szczęściem.

Cisza, sekretność i dziwny ton jego głosu, brzmiącego niczym fatum, sprawiły, że Hanna zadrżała. Śmierć musnęła ją swą zimną, nieczułą ręką.

Wyruszyli bladym świtem - Hanna, księżę Ekkehard, jego sześciu towarzyszy i dwudziestu innych heretyków, także ekskomunikowanych. Szesnastu z nich maszerowało, ponieważ Bayan nie zgodził się tracić tylu koni.

Chłód zmroził ziemię. Końskie kopyta i buty kruszyły cienką powierzchnię lodu. Kiedy przekroczyli

zachodni most, Hanna obejrzała się i zobaczyła głowę lorda Dietricha, wbitą na pal widniejący nad główną bramą. Nie mogła się zmusić, by spojrzeć ponownie. Ivar i tak już zapewne nie żył. Patrzenie wstecz nie przywróci mu życia. Utkwiła wzrok w sztandarze Ekkeharda. Poruszał nim wiatr. Natomiast prześladowający ich deszcz przestał wreszcie padać. Było zimno i nieprzyjemnie. Choć świeciło słońce, nie czuło się ani odrobiny ciepła.

Hanna nie miała nawet szansy pożegnać się ze swymi przyjaciółmi Lwami. Wokół wyjazdu Ekkeharda wytworzyła się przykra atmosfera, splugawiona upiorną śmiercią lorda Dietricha i groźbą ekskomuniki.

Nie było śladu gumańskich zwiadowców.

Droga zdawała się zaczynać pod złymi auspicjami.

## **Rozdział ósmy** **NIEZNANA KRAINA**

### 1

Alain przepchnął się przez klócający się i lamentujący tłum w domu zgromadzeń. Będąc na zewnątrz, zagwizdał na psy i pobiegł do małego domku, obwieszona talizmanami, dzwonekami i wiankami Adiki. Za każdym razem, gdy wchodziła do środka, wykonywała rytualne gesty. Podobnie było, kiedy opuszczała dom. Alain nigdy nie widział, by wchodziła do niego choć jedna osoba ze wsi. Jeżeli jednak tutejsi bogowie albo rada wioski mieli zamiar go ukarać, będą mogli uczynić to później.

Znalazłszy się wewnątrz chaty, Alain schował skórzany węzełek z cennymi precjozami do drewnianej skrzyni. Schwycił jedną z futrzanych skór i pospieszył na dwór.

Smutek i Furia czekały na niego, lecz nie były same. Jak się okazało, za Alainem podążyła połowa wioski, choć nikt nie odważył się wejść do chaty. Reszta ludzi pozostała w domu zgromadzeń.

Kiedy ogary obwąchały futro, do przodu wystąpił Kel, lecz Beor odepchnął go i przyłożył włócznię do piersi Alaina. Ostrze z brązu lśniło zdradziecko. Alain chwycił drzewce broni. Jego przeciwnik był silniejszy, miał zwalistą postawę niedźwiedzia, lecz Alain był jak w ogniu.

- Usuń się - powiedział w swoim języku, patrząc na Beora z góry. - Jeśli będziemy działać szybko, być może doścignemy porywaczy i uwolnimy Adikę. Jeśli planowaliby zabić ją od razu, zapewne by to uczynili. Ale ponieważ ją zabrali, mamy trochę czasu. W imię Boga, nie powstrzymuj mnie.

Twarz Beora przybrała dziwny wyraz. Za jego plecami mieszkańcy wioski mruzcili pomiędzy sobą. Beor odstąpił niechętnie.

- Idę - powiedział Alain, szukając odpowiednich słów. - Znajdę Adikę.

Matka Orli coś wyszeptwała. Natomiast do wioski wbiegło nagle kilkunastu ludzi.

Znow wyskoczył Kel, trzymając w ręku nóż z brązu i włócznię, skonfiskowaną martwemu najeźdźcy.

- Idę! - wykrzyknął triumfalnie.

- Ja też - dorzucił Beor.

Znalazło się jeszcze przynajmniej tuzin chętnych, ale duża grupa nie mogłaby poruszać się szybko i po cichu.

- Kel. - Alain skinął głową. - I Beor. Idziemy.

Zaczęli szybkie przygotowania. Alain pragnął odzyskać swój nóż i miecz, nie wiedział jednak, gdzie Adika je schowała. Nie było czasu na poszukiwania. Zdecydował się więc na nóż z brązu. Dostarczyciele wiadomości Matki Orli przynieśli linę, bukłaki z miodem, drewnianą tubę wypełnioną gorącymi węglami, zapas suszonych ryb, chleb i pęczek porów. Zarówno Beor, jak i Kel mieli na plecach drewniane ramy, w które włożyli pełne prowiantu skórzane sakwy.

Alain poprowadził ogary do domu połogów. Córka Urtana pokazała mu miejsce, w którym ziemia była zdarta i gdzie miała miejsce potyczka; za pomocą gestów i mimiki dziewczynka przekazała, co widziała, obserwując wszystko ze strażnicy przy głównej bramie. Urtan i jego towarzysze podbiegli do Adiki i Tostiego na chwilę przed tym, jak od strony kopca nadjechała grupa przynajmniej dwudziestu jeźdźców.

Rozdzielili się na dwie grupy. Jedna pospieszyła do wioski, druga zajęła się Wybraną.

Psy obwąchiwały teren, a potem, na rozkaz Alaina, podążając wyczutym śladem, pognały ku kurhanowi. Alain biegł za nimi truchtem, mając za plecami Kela i Beora. Wieśniacy zgromadzili się przy bramie niczym kondukt żałobny i obserwowali ich poczynania. Potem wrota ostrożnie zawarto. Na wpół skończona palisada z daleka wyglądała na dość wątłą. Alain dostrzegł w rowie ciało.

Kim byli najeźdźcy? Dlaczego wyglądem przypominali księcia Sanglanta? Wszyscy wiedzieli, że na ziemi nie ma już Aoi - chyba że byli widmami, schwytanymi w czyściec pomiędzy ciałem i cieniem.

Czego chcieli od Adiki?

Beor i Kel prawdopodobnie mogli odpowiedzieć na te pytania, ale Alain nie znał odpowiednich słów, by ich zapytać. Mógł tylko podążać jej tropem.

Spodziewał się, że psy poprowadzą go do kamiennego kręgu, ale one przemknęły po najwyższej partii okopów i zniknęły w cieniu serpentyny na wschodniej krawędzi, po czym zaczęły schodzić w dół wałów.

Tutaj znajdowało się kamienne nadproże, wyznaczające początek drogi, prowadzącej do wnętrza wzgórza. Kel aż jęknął, gdy psy zaczęły węszyć na polanie. Dawno nieżyjąca rzemieślniczka wyrzeźbiła w stojącej po lewej stronie kolumnie figurę człowieka noszącego skórę i jelenie rogi. Obok leżały martwe zwierzęta i zwichrzone wiatrem oraz zdeptane kwiaty. Jeleń, który zakosztował roślin z wieńca, pozostawił swe odchody, co przykuło uwagę psów.

Beor przykłąkł. Kiedy wstał, w rękę trzymał łuskę z brązu. Alain przeszukał teren, upewniając się, że nie przegapili jakichś innych śladów ucieczki najeźdźców. Ze zbocza wzgórza spadł kamień i spoczął pomiędzy chabrami. Znaleźli tylko odcisk stopy na wzgórzu, nic więcej.

Smutek szczechnął i podążył ku przejściu. Kel był błydy jak kreda. Beor tylko chrząkał, lecz miał na twarzy bojowy uśmiech. Popatrywał w stronę Alaina, jak gdyby chciał się upewnić, że ten jest dość odważny, by iść dalej.

Przy skalnym wejściu leżał stos pochodni. Alain zapalił nasyoną smołą głównię. Buchnął płomień. Badając kijem ziemię, Alain wcisnął za pazuchę niezapaloną zapasową pochodnię i podążył za Smutkiem.

Beor i Kel zamienili ze sobą kilka słów. Aby iść, Alain musiał kucnąć. Na przedzie węszył Smutek. Pochodnia osmalala ściany. W migocącym świetle uwidaczniały się skalne figury: romby i spirale. Gdzieś widać było dziwne rysunki podobnych do patyków rąk, które dotykały narysowanych nad nimi czterech linii. Takie symbole potęgi znamionowały obecność starych bogów, lecz Alain się ich nie obawiał. Nie mieli władzy nad tymi, którzy wierzyli w Panią i w Pana.

Sufit wznosił się ukośnie, a grube kamienne ściany pięły się coraz wyżej, aż wreszcie dochodziły do miejsca, gdzie tworzyły skalną komnatę. Pośrodku znajdowała się kamienna płyta. Smutek węszył intensywnie, jakby wyczuł szczura.

Alain trzymał pochodnię w górze, podczas gdy Beor ostrożnie wkroczył do skalnej sali, trzymając w pogotowiu włócznię. Nigdzie nie było widać Kela.

Wysoki sufit ginął w ciemnościach, których pochodnia nie zdołała rozświetlić. Naprzeciwko Alaina, po drugiej stronie komnaty, znajdowały się nisze. W każdej z nich stała wyrzeźbiona figura starożytnej królowej.

W głębinach skały nie było słycać nawet wiatru. Jednakże ktoś ich obserwował.

- Gdzie ona jest? - Alain zwrócił się do tej ukrytej osoby.

Pochodnia zgasła niczym za sprawą podmuchu wiatru. Dał się słyszeć syk, a w powietrze uniósł się dym. Było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć, lecz Alain wyczuł zapach palonej smoly, który po chwili się rozwiął. Teraz można było już tylko czuć zapach ziemi, wilgoci i zimna oraz przyjemny zapach psa. Beor mruczał pod nosem, co brzmiało bardziej jak modlitwa niż przekleństwo.

Kiedy i te wrażenia ustały, Alain nadal nie czuł i nie słyszał nic - ani oddechu psów, ani ziemi pod stopami. Był sam, jeśli nie liczyć świszczącego oddechu, brzmiącego tak, jakby wzgórze było żyjącą istotą.

- Gdzie ona jest? - zawołał znowu.

Wizja uderzyła jak strumień światła, oślepiając oczy.

*Przed nim stały trzy królowe, jedna od strony północnej, druga południowej, trzecia od zachodniej.*

*- Kim jesteś, by domagać się od nas czegokolwiek? - woła najmłodsza. W rękę trzyma luk, który na całej długości ozdobiony jest złotymi salamandrami, płonącymi niczym ogień. Na jej mogile wyrzeźbiono dwa sfinksy. Jej mądra twarz o kocich rysach świeci, jakby była natarta fosforem.*

*- Kim jesteś, święta? - Królowa nie jest błogosławioną tak jak Daisan, lecz Alain chce okazać jej szacunek. Jest kobietą o wielkiej mocy, nawet jeśli nie żyje.*

*Jej głos brzmi niczym bojowe uderzenie pioruna.*

*- Jestem tą, którą zwą Promienną Strzałą. Czyż nie słyszałeś o mnie? Czy nie byłam wychowywana przez lwie kobiety pustyni, które nauczyły mnie sekretów znanych tylko Bładej Łowczyni?*

*- Jest wiele rzeczy, o których nie wiem - przyznaje Alain.*

*- Czego chcesz? - pyta druga królowa, stojąca po stronie południowej. Jej grobowiec lśni złotem odlanym w kształcie lochy, zaś sama królowa ma promienny wygląd bogatej kobiety.*

*- Czego chcesz? - Tylko człowiek pochopny zdradza od razu swe cele, nie orientując się, z kim ma do czynienia.*

*Królowa śmieje się.*

*- Jestem Złota Locha. To dzięki mej magii wszystkie kobiety mego plemienia były płodne, a ich dzieci zdrowe. Czy nie tego chcą wszyscy ludzie?*

*- Jak to się stało, że dotknęła cię śmierć, a stoisz przed nami żywy? - pyta trzecia królowa. Jej głos jest tak chrapliwy, że po plecach Alaina przechodzą ciarki. Jej grób zwrócony jest na zachód. Bardziej prymitywny od pozostałych, jest kopcem usypanym z pozbawionych koloru kamieni, przypominających zęby, które kiedyś należały do istoty tak wielkiej, że każdy jej ząb był duży niczym ludzka głowa. Królowa także żyła dawno temu, jest bezzębna, lecz jej oczy lśnią jak gwiazdy.*

*- Skąd wiecie, że żyję? - naciska Alain.*

*- Tylko żywe stworzenia czują pożądanie - odpowiada Bezzębna.*

*- Co ofiarujesz nam w zamian za odpowiedź?*

*Alain uśmiecha się.*

*- Nie mam nic, co mógłbym wam dać, gdyż do tego miejsca przybyłem nagi.*

*- Nie mów, że nie masz nic - łaje go Złota Locha. - Masz młodość i witalność. Masz życie.*

*- Jesteś nietknięty, wciąż cały - mówi Promienna Strzała. - Jesteś dziewiczy, tak jak wszyscy w służbie Bładej Łowczyni.*

*- Nie służę Bładej Łowczyni - odpowiada Alain z szacunkiem, ponieważ nie chce obrazić królowych o tak wielkiej mocy, tym bardziej, że są martwe.*

*- Służysz Pani, jak my wszyscy. - Bezzębna robi krok do przodu. Jej ciało i płaszcz cuchnie grobem. Zapach przeplatany jest wonią trawy i wiatru. - Pani rządzi zarówno życiem, jak i śmiercią.*

*- Tak więc jestem w Jej rękach. - Alain schyla się pod ciężarem obecności kogoś wielkiego. Komnatę wypełnia bezruch, który wzrasta i zdaje się rozszerzać na cały wszechświat.*

*Bezzębna śmieje się.*

*- Niech się stanie.*

*- Wiem, gdzie ona jest - mówi nieoczekiwanie Promienna Strzała. - Lecz jest to miejsce, o którym nie można nic rzec bez otrzymania przyrzeczenia.*

*Alain gotów jest dać im wszystko, byle tylko Adika wróciła do wioski. Stracił tak wiele. Pragnie tylko jej powrotu.*

*- Czy mam coś, czego chcecie... Przybyłem tu nagi...*

*Nagle domyśla się, czego od niego chcą. Rumieni się, zdenerwowany, a gorąco rozpływa się po jego ciele.*

*- Obiecuj nam to, co posiadasz tak długo. Jeśli ją znajdziesz, przyprowadź ją tutaj. Tutaj też dotrzymasz obietnicy.*

*- Niech tak się stanie - mruczy Alain.*

Smutek warknął. Alain zatoczył się, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Beor złapał pochodnię, chroniąc ją przed upadkiem. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, gdyż usłyszeli upiorne wycie. Obaj odwrócili się z uniesioną bronią. Do komnaty wtoczył się Kel, spocony ze strachu, lecz z wyrazem determinacji na młodej twarzy.

Furia zaczęła kopać z werwą przy kamiennym ołtarzu. Ziemia rozprysła się, brudząc ściany i w chwilę później powiększająca się wciąż dziura ujawniła zbite z desek drzwi, tkwiące w kamiennej podłodze. Naprężony Beor mocno je szarpał. Ukazały się wydrążone w skale schody. Smutek natychmiast na nie wszedł. Kel mruzczał pod nosem przekleństwa, kiedy jednak Alain podążył za psem, dołączył do nich. Błysnęło światło; Beor zapalił drugą pochodnię.

Schody były gładkie, jakby je wypolerowano. Były bardzo kręte i długie. Tak długie, że zdążyliby odśpiewać Nokturn i obejrzeć wschód słońca w pierwszej godzinie brzasku. Zamiast liczyć schody, Alain skierował wzrok ku Smutkowi. Nagle, usłyszawszy jakiś dźwięk, zatrzymał się gwałtownie i Kel wyładował na jego plecach. Cała grupa zawahała się.

Dźwięk rozbrzmiał ponownie. I znowu. Lecz to była tylko woda, ściekająca do niewidocznej sadzawki.

Beor podał im bułak i po kawałku chleba. Wystarczyło, by zaspokoić głód i pragnienie.

Światło pochodni igrało na pustych ścianach. Sufit wisiał tak nisko, że można go było dotknąć, wyciągnąwszy rękę. Gdyby Alain wyprostował ręce, dotknąłby ścian. Byli zamknięci w skale. Starali się jednak o tym nie myśleć. Woleli nie zastanawiać się nad tym, czy w ciemnościach nie czają się uzbrojeni wojownicy z włóczniami mogącymi z łatwością przebić ludzkie wnętrzości. Lepiej cieszyć się faktem, że wewnątrz skały było sucho i że nie otaczała ich zewsząd ściekająca woda. Było mądrą decyzją dziękować Bogu za drobne łaski. Uśmiechnął się ponuro, gdy Smutek wciąż schodził w dół, w ciemność. Czy powinien się obawiać czegokolwiek, skoro przeżył najgorsze, co może przytrafić się śmiertelnikowi?

Schodzili tak długo, aż dotarli do miejsca, w którym schody zamieniały się w podest, szeroki na tyle, by pomieścić dwa psy i trzech mężczyzn. Beor podniósł włócznię i postukał nią w sufit, znajdujący się teraz zbyt wysoko, by go dotknąć gołymi rękoma. Przed nimi otwierały się dwa tunele. Twarz Alaina musnęła prąd powietrza. A potem wszystko ustało.

Każdy z nich wziął po łyku wody, by zwilżyć gardło. Powietrze zmieniło się - czuć w nim było jakiś ostry zapach. Skała także uległa przeobrażeniu; nie wyglądała już dokładnie jak kamień, miała bowiem gładką, wypolerowaną powierzchnię.

Kel powiedział coś przestraszonym głosem na temat wzgórza albo tego, co kryje się pod nim. Nie, chodziło o ludzi, którzy żyli wewnątrz skały. Użył kilkanaście razy słowa *skrolin-sisi* - wystarczająco dużo, by Alain wychwycił je z potoku innych. Czy chodziło o plemię, żyjące głęboko pod ziemią? Ktoś przecież wykuł te tunele.

Beor odpowiedział swoim niskim, męskim głosem. Alain nie był w stanie określić, czy tamten odczuwa strach.

Furia weszła przy dwóch czarnych korytarzach i wybrała ten po prawej stronie. Poszli nim dalej, jednakże wkrótce tunel rozdzielił się na dwie kolejne odnogi, a potem na następne. Gdyby nie psy, kompletnie by się pogubili. Utkwili w labiryncie, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kamienne ściany pozostawały suche i nie zawierały żadnych śladów. Były dziwnie ciepłe i nienaturalnie gładkie. Czyjakolwiek ręka budowała tunele, nie zadbała o jakąkolwiek ornamentykę. Alain bez trudu uczynił pochodnią okopcony znak na prawej ścianie skały. Być może dzięki niemu odnajdą drogę powrotną.

Pochodnia zaczęła przyskać. Przystanęli na chwilę, aby posilić się kawałkiem suszonej ryby i napić się wody. Smolisty dym niósł się w kierunku Alaina, co przyprowadziło go o kaszel. Łzawiły mu oczy. Próbuje złapać powietrze, nawdychał się jeszcze więcej szkodliwego dymu. Odwróciwszy głowę, przywarł do kamiennej ściany, starając się dojść do siebie. Z głębi skały dochodził dźwięk, który sprawił, że serce zabiło mu szybciej: zgrzytliwy łoskot powtarzał się co jakiś czas, powodując głośny szczeł, tak jakby ktoś uderzał gigantycznym kowalskim młotem.

Alain zamknął oczy, starając się opanować zawroty głowy. Przez chwilę miał halucynacje: jego oparty o skałę policzek dotykał teraz żelaza, tak jakby mężczyzna zasnął na własnym mieczu.

Przesunął ręką po ścianie i wtedy zrozumiał. Ściany nie były zrobione z kamienia. To metal wykuto i uformowano tak, że stanowił coś w rodzaju pokrywy dla ścian. W ten sam sposób delikatna skóra okrywa ludzką dłoń.

Pochodnia zgasła. Sięgnął po drugą, zatkniętą za pazuchą, ale czyjaś silna ręka zacisnęła się na jego dłoni, powstrzymując zamiar. Przed nim stał Beor w całej swej okazałej postaci. Nic nie mogłoby teraz powstrzymać go od zabicia Alaina. Psy nie wydawały żadnego dźwięku.

W zapadłej ciszy Alain usłyszał to, w co wsłuchiwali się Beor i Kel: daleki odgłos bijatyki, niosący się po labiryncie żelaznych korytarzy. Beor wysunął się przed Alaina, by objąć prowadzenie, uczynił jednak nie więcej niż dziesięć kroków. Odgłosy przycichły. Przez moment zagłuszał je syk pochodni. Potężny mężczyzna odwrócił się, by wejść w inny tunel, ale psy wyprzedziły go, pędząc do przodu. To samo uczynił Alain. Kiedy tunel zakręcał, odgłosy walki wydawały się bliższe, potem znowu dalsze. Szli szybko, jednak Alainowi udawało się pozostawiać znaki na ścianach.

Jego wzrok przywykł do ciemności. Dzięki temu, że Beor niósł zapaloną pochodnię, rzucającą cienie i refleksy światła na dziwnie równe korytarze tunelu. Alain nie miał kłopotu z pokonywaniem drogi. Psy wiernie podążały za nim. Pochód zamykał Kel.

Szedł szybko, dopóki się nie potknął na obniżeniu terenu. Następnie poślizgnął się i wpadł do magicznie oświetlonej sali. Oślepiło go jasne, żółto-białe światło.

Jeden z psów dołączył do niego. Alain zatoczył się do tyłu i wylądował pod sklepieniem łukiem tunelu. Upadł na kolana. Podniósł kij, sądząc, że zostanie zaatakowany, lecz nic takiego się nie stało.

Jakieś cztery kroki dalej znajdowała się przepaść, do której na szczęście nie wpadł. Z miejsca, gdzie

przebywał, nie mógł zobaczyć jej dna.

W całej podziemnej komnacie rozlegał się dźwięk uderzeń rękami, lecz trudno było powiedzieć, skąd pochodzi. Co najdziwniejsze, nie było słyhać żadnych ludzkich głosów, jak gdyby bijatyka odbywała się w całkowitej ciszy. Psy nie szczekały ani nie warczały ostrzegawczo. Kel wyszeptał: *skroplin!*, a Beor syknął, nakazując mu milczenie.

Zupełnie nieoczekiwanie rozbłysło światło. Jasny płomień buchnął niczym oddech giganta, który za jednym zamachem zdmuchuje dziesięć pochodni, pozostawiając tylko jedną. Dzięki temu światłu Alain zobaczył walkę, toczącą się po drugiej stronie przepaści. Około tuzina zamaskowanych wojowników walczyło z małymi istotami, przypominającymi dzieci, których wypolerowana skóra była jak stop cyny i miedzi. Gwałtowne ruchy wprawiały w ruch pióra ozdabiające zbroję i hełmy wojowników. Wielu zsunęło - maski, chcąc lepiej widzieć w ciemnościach. Ich wykonane z brązu włócznie odbijały się o tarcze, trzymane przez małych ludzi. Tarcze te ozdobione były dziwnymi geometrycznymi znakami, zbyt osobliwymi, by móc je rozpoznać. Małe istoty trzymały w lewych rękach guzowate maczugi, które zdawały się zupełnie nieodpowiednie do takiej walki.

Nagle w całym tym zamieszaniu Alain ujrzał Adikę. Miała związane ręce. Człowiek ze śnieżnobiałymi piórami na hełmie oddał ją w ręce stojących na przedzie żołnierzy, starając się wepchnąć ją w jeden z korytarzy, stanowiących ich drogę ucieczki.

Beor trącił Alaina, wskazując ów widok.

Nad przepaścią widniał most.

- Ashioi - rzekł Beor cichym głosem. - Fe skrolin d'Ashioiket.

Alain przyłożył dwa palce do ust, nakazując milczenie i popętnął do przodu.

Wąski most wykonany był z grubych metalowych lin. Szybko go pokonał. Podążały za nim psy i dwaj mężczyźni. Most zakolysał się. Pozostali niezauważeni przez walczących, zbyt zajętych walką o przetrwanie. Dało się słyszeć sapanie, kasłanie, a wreszcie krótki okrzyk bólu.

Zrobiło się jaśniej. Gromada skrolinów ostro nacierała. Teraz dopiero Alain dostrzegł, że ich broń była bardziej niebezpieczna, niż się to wydawało: z maczug wystawały dwa wilgotne kolce oraz węzowate żądła, nasycone trucizną, lśniące w magicznym świetle. Mali ludzie razili nimi kończyny wyższych od siebie przeciwników, sprawiając, że ci padali na ziemię. Jeden z zamaskowanych wojowników, upadłszy na kolana, znalazł się oko w oko z małą istotą, której maczuga została przygnieciona ciężarem Ashioi. Skrolin uderzył pięścią w maskę przeciwnika. Ta pękła, lecz kiedy zamierzał wykonać następny cios, klęczący wojownik chwycił swą włócznię i wbił ją pomiędzy oczy małego stwora. Jego głowa rozprysła się na kawałki. Hełm natomiast potoczył się na skraj przepaści z rytmicznym brzęczeniem, po czym wpadł w ciemny otwór.

Pokonawszy most, Alain przyłgnął do twardej skały. Zamierzwszy się maksymalnie swym kijem, uderzył wojowniczkę Ashioi w głowę i przygwoździł do ziemi. Walczący z nią skrolin zatoczył się. Ashioi zamrugła. Jej usta, widoczne przez potrzaskaną maskę, były otwarte. Czyżby ją zabił? Nie. Jęknęła i podniosła się, lekko zataczając.

Najbliżej stojący zamaskowany wojownik uderzył stojącego naprzeciw skrolina tarczą, po czym zamierzył się na Alaina. Ten odparował cios i przygotował kij, by wbić jego koniec w trzewia przeciwnika. Udało mu się ugodzić go w ramię i sprawić, że Ashioi upadł na ziemię.

Beor i dwa psy ominęli Alaina. Wojownik z białym pióropuszem wysunął się do przodu, stawiając czoło nowym przeciwnikom. Furia i Smutek rzuciły się do ataku, ale dopadła je chmara komarów. Smutek zaskowyczał i padł na ziemię, podczas gdy Furia chwyciła drzewce włóczni. Zacisnąwszy szczęki na drewnie, szarpała broń, starając się ją wydrzeć z ręki dowódcy. Beor szybko wykorzystał moment bezradności Białego Pióra, egzekwując cios w plecy wojownika. Ten jednak, straciwszy włócznię, zręcznie uniknął ciosu, przetaczając się po ziemi. W mgnieniu oka skoczył na nogi i chwycił swój miecz. Beor nie miał tarczy, by osłonić się przed jego uderzeniem. Z szaleńczą odwagą, a może z szybką kalkulacją doświadczonego wojownika, odrzucił włócznię, uskoczył przed ciosem i zaczął mocować się z przeciwnikiem za bary.

Do Alaina dołączył Kel i razem odparowywali ciosy Ashioi, starając się siać dezorganizację w ich szeregach. Furia rzuciła się w wir walki i Alain stracił ją z oczu. Smutek zszedł z toru bitwy, wciąż rozpaczliwie walcząc z komarami.

Kel był odważny, ale niezbyt doświadczony w bójkach. Jego zawahania dużo ich kosztowały i tylko pomoc skrolinów sprawiała, że przeciwnik ich jeszcze nie pobił. Jednakże wiele skrolinów już padło. Alain doskonale ich widział - rannych, martwych. Ta świadomość sprawiła, że zaczął powoli przygotowywać się do okrążania pola potyczki, starając się jednocześnie chronić życie swoje i

przeciwników i podążać ku miejscu, gdzie znajdowała się Adika. Pani Bitew tym razem mu nie towarzyszyła. Nie chciał zabijać; sama myśl o tym wywoływała w nim bunt. Kiedy odparowywał ciosy i uderzał, ochraniając Kela i omijając padłe w boju skroliny, bitwa stawała się dziwnie przewidywalna, zwalniając tempo, jak gdyby na wszystkich jej uczestników rzucono zaklęcie.

Alain doskonale wiedział, skąd padną ciosy i łatwo mu było je parować. Jako dziecko śnił o freskach, zdobiących ściany kościoła:

*Upadek pradawnego miasta Dariyan związany z napaścią jeźdźców. Rozstrzygająca bitwa pod Auxelles, podczas której siostrzeniec cesarza Taillefera i jego zbrojni stracili życie, lecz ocalili imperium. Wielkie zwycięstwo króla Henryka nad qumańskimi najeźdźcami nad rzeką Eldar, gdzie jego wnuk z nieprawego łoża Konrad Smok poprowadził swą kawalerię przeciw straszliwym Qumanom, przełamał ich linię i zmusił do ucieczki w rozsypce.*

Pole walki przypominało jeden z gobelinów, przedstawiający obraz, na którym każdy wojownik był dla Alaina otwartą księgą, jak gdyby ktoś otworzył okno w jego umyśle. Wiedział, kto z walczących jest przerażony, kto niechętny do walki, kto bez doświadczenia, a kto niebezpieczny, gdyż je posiada. Wiedział, kto chciałby uciec, a kto gotów jest na śmierć.

Wojowniczką, z którą teraz przyszło mu się mierzyć, nie miała ochoty walczyć; nie zamierzała mieć do czynienia z ludźmi i sądziła, że głupotą jest wkraczać na czyjś podziemny teren. Przeciwnik Kela był młody i gotowy udowodnić swą odwagę. Był przerażający, co dawało mu pewną przewagę. Alain odbił cios włócznią, którego Kel, chwilowo rozproszony upadkiem Beora, nie zauważył. W tej samej chwili doświadczony wojownik wymierzał cios w głowę Alaina, uderzenie jednak zostało sparowane. Alain rąbnął końcem swojej broni w nogę przeciwnika i powalił go na ziemię, podczas gdy drugiemu przyłożył w czoło. Obaj upadli.

Kel wydał głośny okrzyk. Przełamali linię przeciwnika. Uwolniona od pilnującego ją Ashioi, Adika czołgała się w kierunku ukrytej w cieniu skalnej grotki.

Kobieta leżąca u stóp Alaina próbowała się podnieść. Przygwoździł ją ręką do ziemi. Jej oczy rozszerzyły się: świeciły na zielono niczym jadeity, jasne i przenikliwe. Takie oczy miał Sanglant - lśniły jak klejnoty. Alain wpatrywał się w przeciwniczkę, a ona w niego. On myślał, że jest piękna i waleczna. Ona przyglądała mu się, zaintrygowana, z rosnącym zaskoczeniem i podziwem. Alain bez słowa pozwolił jej odejść. Ashioi porwała się na nogi i wycofała, ciągnąc za sobą potykającego się młodzika. Furia przypadła do nóg Alaina.

Beor nie miał tyle szczęścia. Białe Pióro uderzył go silnie w ramię i przewrócił, następnie skoczył do góry z głośnym okrzykiem. Wojownicy Ashioi, niektórzy jeszcze walczący, inni już wycofujący się, uformowali szyk, na końcu którego znaleźli się ranni.

Gdzie była Adika?

Wiele ze skrolinów krwawiło. Ich krew miała zielonkawą barwę. Czekwały w straszliwej ciszy, tak jakby nie mogły mówić. Alain wyczuł, że na coś czekają, starając się opóźnić przeciwnika. Czekają - ale na co?

Beor wstał, pośliznął się na własnej krwi i zatoczył w kierunku Kela. Adika przynajmniej na razie była wolna i parła ku swoim wybawicielom.

Z wściekłymi okrzykami zamaskowani wojownicy walczyli z czwórką ludzi i pół tuzinem skrolinów. Potyczka znowu stała się chaotyczna. Adika, nadal mając związane ręce, sięgnęła po leżącą na ziemi włócznię. Upuściła ją, po czym sięgnęła ponownie, w samą porę, by niezręcznie odparować cios. Kel otrzymał uderzenie mieczem w plecy, kiedy się odwrócił w złą stronę, jednakże drewniane ramy, które wciąż miał na plecach, zamortyzowały cios. Skórzana sakwa obsunęła się i wypadł z niej prowiant. Jeden z wojowników pośliznął się na suszonej rybie i ciężko upadł na ziemię.

Reszta jednak parła do przodu pod wodzą Białego Pióra, szukając Adiki. Kel upadł i podczołgał się ku Wybranej. Beor wciąż walczył, siejąc postrach pomimo odniesionych ran.

Gdzie się podziała ta klarowność walki, która uczyniła potyczkę podobną do wizerunku na gobelinie? Wszystko jeszcze przed chwilą wydawało się tak proste. Teraz Alain ledwie zdołał zablokować cios wojownika z białym pióropuszem, skierowany na głowę Adiki. Jego miecz ciął kij Alaina. Nigdzie nie było Smutka, a Furia także zniknęła z pola widzenia. Czyjeś pazury zadrapały łydki Alaina. Być może człowiek może umrzeć dwa razy. Ta myśl wywołała bardziej zdziwienie niż strach.

Nagle świat rozdzielił się.

Światło rozbłyskiwało pomiędzy jednym a drugim oddechem, wciągając ich w ciemność. Ziemia zafalowała. Kel krzyknął ze strachu. Usłyszeli trzask przypominający uderzenie pioruna. Następnie ziemia rozdzieliła się pomiędzy prawą i lewą nogą Alaina. Złapał Adikę i próbował odciągnąć ją, ale

czuł, że spada w przepaść. Z otchłani mroku uderzyło gorąco, niewidoczne, lecz wyczuwalne. Z wąskiej czeluści powiał silny strumień powietrza. Kiedy Alain otworzył usta, by wydać okrzyk ostrzeżenia, wir powietrza oparzył mu język. Przez szum wiatru nie słyszał własnego głosu.

Nagle poczuł dotyk zwierzęcych kłów. Na jego prawej nodze zacisnęła się psia szczeka. Ogary starały się nie dopuścić, by ześliznął się w przepaść. Adika szukała jakiegoś punktu oparcia. Włócznia Alaina także zaczęła się zsuwać, drasnęła jego tydkę, a potem wpadła w czeluść i zaczęła spadać coraz głębiej, głębiej i głębiej, nie osiągnąwszy dna. Wydawało się, że moment, gdy Alain nieubłaganie zsuwał się ku przepaści, trwał w nieskończoność. Naprężoną ręką próbował się chwycić gładkiej skały, lecz nadal się zsuwał. Pochodnia wysliznęła mu się zza pasa i potoczyła, niesiona siłą wiatru.

Mała ręka schwyciła jego lnianą tunikę, a potem pasek. Otoczyły go setki rąk. Chwytały go, gdzie się dało i uparcie ciągnęły. Tarł plecami o ziemię, bezsilny.

Wreszcie ręce puściły go. Wszystkie, prócz jednych, poszturchujących mocno jego klatkę piersiową. Twarz Alaina musnął cierpki, śmierzdzący siarką oddech. Pazury drapały jego prawe ramię i mocno szczypały. Jęknął. Trysnęła krew. Na ramieniu poczuł chłodny ciężar. Były przy nim psy. Lizwały go i obwąchiwały. Atakująca istota zniknęła.

- Adika? - Gardło i plecy paskudnie bolały. Ogarnęła go kompletna ciemność. Nie słyszał nic poza wyciem wiatru.

A potem błysnęło światło.

Obok niego leżała Adika. Wyglądała na ogłuszoną.

Ich wrogowie wpatrywali się w nich, stojąc po drugiej stronie przepaści. W czeluściach przerażającej szczeliny hulał wiatr, który pędził w kierunku niewidocznego skalnego sufitu. Płomień chwiał się, po czym zapłonął równo, gdy dowódca osłonił go ręką. Tuzin wojowników wciąż mogło walczyć. Sześcioro z nich miało łuki. Trzymali je w pogotowiu, mierząc w ciemnościach. Białe Pióro wydał komendę. Alain osłonił sobą Adikę. Zbrojni wystrzelili.

Żadna ze strzał nie była w stanie pokonać szczeliny. Porywał je prąd powietrza, unosząc w górę, aż zniknęły z pola widzenia.

- Hej! Hej! - krzyknął o pomoc Kel.

Alain porwał się na nogi, przecierając smagane wiatrem oczy. Beor i Kel przyłgnęli do krawędzi szczeliny. Alain zaczął ich wyciągać. Porywisty wiatr okazał się pomocny. Beor stracił swe pochodnie, jego zranione ramię wciąż krwawiło, ale mógł chodzić. Pocięty pakunek Kela zwiślał niebezpiecznie. Nie mieli żadnej broni, ale na płaskiej powierzchni pomiędzy nimi a mostem leżało kilka potrzaskanych włócznie. Kel pospieszył, kulejąc, by je pozbierać, Alain zaś uklęknął przy Adice i przeciął więzy krępujące jej ręce. Potrząsając głową i krzywiąc się, Adika podniosła się na nogi.

Przepaść tak przedzieliła grunt pod ich stopami, że nie mogli wrócić na drogę, którą tu przybyli. Zamiast tego mieli jeden mały tunel - mogli nim uciec ze swej części jaskini.

Białe Pióro wykrzyknął coś na podobieństwo przekleństwa, ale ani on, ani jego ludzie nie mogli nic zrobić. Jego dumną twarz wykrzywiła złość; świeże cięcie biegło od wargi ku podbródkowi, a na lewym policzku widniał siniak. Z jednego ucha sączyła się krew, plamiąc skórzaną, chroniącą ramiona zbroję. Białe Pióro nosił napierśnik, na którym widniał wizerunek kobiety z głową sępa, walecznej i komenderującej. Warknąwszy, odwrócił się od przeciwników.

Jeden ze strzelców ponownie wypuścił strzałę, lecz wiatr porwał ją, aż zniknęła gdzieś wysoko. Ashioi nie mogli przeskoczyć przepaści, ziemia zaś pękła trzykrotnie jak uderzona trójzębem, dzieląc podłoże jaskini na trzy małe wysepki, po których hulał wiatr. Najmłodszy z wojowników zamierzył się swoją włócznią, inni jednak go powstrzymali. Po krótkiej naradzie Ashioi zaczęli ostrożnie się wycofywać, holując trzech towarzyszy, zbyt ciężko rannych, by mogli iść o własnych siłach. Zniknęli w tunelu, tak małym, iż większość z nich musiała się skulić, by do niego wejść.

Kel zaklął z wściekłością. Kiedy światło nieco przygasło, Alain zobaczył, że most nad jedną z przepaści jest przedzielony na połowę. Każda z jego części zwiślała nad czeluścią.

Byli uwięzieni na małej powierzchni pomiędzy dwiema szczelinami.

Białe Pióro zniknął w tunelu, a wraz z nim zniknęło i światło. Zapadła ciemność. Z czeluści dobył się dźwięk podobny do kroków stawianych przez olbrzyma, każdy głośny jak uderzenie pioruna. Potem znów zawył wiatr.

Furia zaszczekała jakby w osłupieniu, a potem wszystko pograżyło się w zupełnej ciemności.



Piekły ją ręce, gdy powoli napływała do nich krew. Zaczęła wykonywać delikatne ruchy, biorąc zarazem kilka głębszych oddechów. Wolna, ale jeszcze nie bezpieczna. Jednakże i to było lepsze niż bycie jeńcem Przeklętych.

- Wybrana, możesz mówić?

- Beor, jak się tu dostaliście? Co się stało w wiosce? Kogo jeszcze porwali?

Beor stał po jej prawej stronie, dysząc jak człowiek, który walczy z bólem zadanych mu ran.

- Jedno z niemowląt Weiwary zostało porwane, ale obcy je odbił. Nie, Wybrana, nikogo poza tobą nie porwano. To było zmylenie przeciwnika.

- Chcieli mnie dostać.

Przytaknęła.

- Jesteśmy w pułapce. - Głos Kela załamał się i przez chwilę brzmiał jak głos małego chłopca.

- Adika.

Nie widziała Alaina, ale czuła jego obecność, tak jak się czuje ciepło ogniska. Stał na wyciągnięcie ręki. Zamiast odpowiadać, Adika poszukała w ciemności jego dłoni. Uścisnęła jej rękę. To było wszystko. Ciemność jaskini była gęsta i nie mogli nawet zobaczyć swoich twarzy.

Do pewnego momentu.

Światło rosło powoli, lśniąc w magiczny sposób. W pierwszej chwili Adika nie umiała powiedzieć, skąd pochodzi ów blask. Kel zaklął.

Alain świecił.

Nie. Krótco potem Adika ujrzała brązową opaskę, owijającą jego rękę. To ona świeciła. Alain był tak samo zaskoczony jak Adika. Ostrożnie dotknął opaski, obrócił ją i skrzywił się z bólu, gdy nie drgnęła.

- Moje babki opowiadały taką starą historię - powiedział Beor dziwnym tonem - że skroliny darują prezenty tym, którzy im pomagają.

Alain odwrócił się, kryjąc twarz i przyglądając się opasce. Wydostający się z czeluści wiatr, teraz lekki i zimny, powiewał jego tuniką. Obserwowany z tyłu, ze swoimi czarnymi włosami i szczupłą budową ciała, mógł uchodzić za kuzyna Przeklętych. Ale nim nie był. Był dostatecznie ludzki, Adika czuła to w momencie poprzedzającym najazd Przeklętych, kiedy stała blisko niego i kiedy go pocałowała.

- Lina - powiedział Kel. Na dźwięk jego głosu podniosła oczy i ujrzała, iż Kel stoi przy zwałonym moście, patrząc w dół czeluści z młodzieńczym zakłopotaniem. W sakwie miał zwój liny. Wzrokiem zmierzył odległość pomiędzy jednym a drugim krańcem czeluści. Beor zaczął badać wytrzymałość jednego z przęseł mostu. Adika podeszła do niego i zmusiła, by usiadł, tak by mogła obejrzeć jego rany. Miał ich kilkanaście, zwłaszcza na obu nogach, zaś jedno głębokie rozcięcie widniało na ramieniu. Ktoś mądrze zdecydował, że w sakwie Beora powinien znaleźć się kompres i kawałek tkaniny do obwiązywania ran. Adika użyła ziół z własnej sakiewki, kładąc je wraz kompresem na zranione miejsca.

Beor wymruczał podziękowania, nic więcej.

Kel miał wesoły, krzywy uśmiešek. Bał się, choć usiłował po sobie tego nie pokazywać.

- Czy skroliny zabijają nas za wkroczenie na ich terytorium?

- Już mogły to zrobić - rzekł Beor - jeśli by chciały. Jak to się stało, że doszło do walki pomiędzy nimi a twoimi porywaczami?

- Nie wiem. - odrzekła Adika - Z początku myślałam, że przystrojony w biały pióropusz dowódca chce nas zabrać do kamiennej pętli.

I Kel, i Beor wyglądali na zaszokowanych.

- Przekłęci przecież nie znają magii pętli - rzekł Kel, wypowiadając głośno to, co Beor już wiedział. - Czy to nie jedyna moc, którą mamy, by chronić się przed ich dominacją?

- Tak samo i ja myślałam - wymruczała Adika. - W każdym razie inna grupa pobiegła do pętli, chyba jako przynęta. Białe Pióro i jego ludzie przywlekli mnie do grobowców królowych, a tam, jak odkryliście, znajdował się tunel zbudowany przez żyjących pod ziemią Wiedzących.

Beor zakasłał z powagą niczym człowiek, który przestaje się kryć przed uzbrojonym przeciwnikiem.

- Nigdy nie słyszałem historii o podziemnym przejściu, biegnącym pod grobami pradawnych władczyń.

- Ja też nie. Być może Wiedzący zaatakowali Białe Pióro po prostu dlatego, że wkroczyli na ich teren. Wiedzący nie są naszymi sprzymierzeńcami, by przychodzić nam z pomocą.

Kel odezwał się nerwowo:

- Nie byłem pewny, czy oni w ogóle istnieją.

Adika szybko rzuciła zaklęcie, by odwrócić pecha.

- Nie mów tak! To, że czegoś nie widziałeś, nie oznacza, że tego nie ma! Czy dostrzegłeś ocean, tak jak ja? Nie, nie dostrzegłeś. Czy widziałeś matkę swej matki? Niech jej dusza spoczywa w pokoju po Drugiej

Stronie. Nie widziałeś. Czy to jednak oznacza, że jej nie było, że nie dała życia twojej matce, która z kolei urodziła ciebie? Starszyzna nie jest głupia, by opowiadać coś po próżnicy. Słuchaj ich słów i nie zamykaj uszu na to, co mają do powiedzenia!

Kel schylił się, dotykając czołem ziemi na znak przeprosin. Obawiał się duchów, które, wyczuwając śmierć, krążyły wokół Adiki.

- Proszę o twoje wybaczenie, Wybrana! Nie przeklinaj mnie! - Prawie płakał.

Poczuła się straszliwie stara, patrząc na jego twarz, choć obydwójce urodzili się w tym samym roku. Kel nie był nawet na tyle dojrzały, by zapuścić brodę, chociaż lekki puszek już pokrywał jego szczękę.

- Nie mam zamiaru cię przeklinać. Postąpiłeś odważnie, ratując mnie.

- Nie, to nie był mój pomysł - powiedział i dodał prowokująco: - Ani nawet Beora. To był pomysł Alaina. My mu tylko towarzyszyliśmy.

Alain przestał się mocować z opaską. Odwrócił się i przystanął, zauważywszy, że wszyscy mu się przyglądają. Babki opowiadały wiele historii o dawnych czasach. Adika domyślała się, że część z nich była prawdziwa, a część nie, teraz jednakże miała przed oczami Alaina z magiczną opaską. Zawsze wiedziała, że żyjący pod ziemią Wiedzący naprawdę istnieją, lecz nawet ona - widziała tak wiele! - nigdy wcześniej ich nie spotkała i nie wierzyła opowieściom o ich mocy. Dziś była świadkiem ich magii: pojawienia się światła bez płomienia i rozstąpienia się ziemi. To, co ujrziała, napawało ją trwogą, nie znała bowiem źródła tej mocy.

Ale tutaj stał także i Alain, noszący opaskę zrobioną i darowaną przez Wiedzących. Widziała, jak walczył. Nic go nie było w stanie zranić. Nie wahał się. Nie wyglądał też na przerażonego i teraz, przyglądając się im z zaskoczonym wyrazem twarzy, spodziewał się chyba, że zaczną mu zadawać pytania. Światło opaski rzucało na jego twarz dziwne cienie, lecz to tylko sprawiało, że jego oczy wydawały się jaśniejsze i bardziej słodkie.

Może Adika rozumiała, że Alain nie był jak inni ludzie. Coś niewytłumaczalne dzieliło go od innych - może to, że szedł ścieżką prowadzącą ku krainie zmarłych. A jednak jej nie ukończył. Powrócił do świata żywych. Został dotknięty mocą z zewnątrz, której Adika nie rozumiała.

Kochała go.

Jeden z psów niespodziewanie otarł się o jej nogę, a potem oparł się o nią całym ciężarem. Adika wybuchnęła śmiechem, bo oto jej serce zabiło tak mocno. Drugi pies, stojący w kręgu światła, zawył cichutko i wycofał się w ciemność, w dół krawędzi, z której widać było odległą ścianę skalną.

- Myślę, że musimy podążyć za przewodnikiem duchowym. - Jej palce wciąż piekły, gdy sięgnęła po trzy włócznie i dwie strzały, leżące na ziemi. Trudno jej było pracować rękoma, ale za to miała sprawne nogi.

Kiedy Alain poruszył się, poruszyło się także i światło. Razem szli ostrożnie nad krawędzią przepaści.

Tymczasem psy znalazły otwór. Tunel znajdował się nisko nad ziemią. Swobodnie mogli się w nim zmieścić Wiedzący i psy, ale Alain musiał się schylić, aby móc do niego wejść.

- Nie chcę tam wchodzić - zaprotestował Kel.

- Chodź. - Głos Alaina odbił się echem w podziemnym korytarzu.

Kel niechętnie poszedł za nim.

- Idź - powiedziała Adika do Beora - Jesteś ranny. Nieś, co możesz. Ja będę zamykała pochód.

Beor miał wiele wad, ale klócenie się, gdy był ranny, a wszyscy znajdowali się w pułapce, uznał za bezsensowne. Szli teraz niskim tunelem z psami uwiązanymi na sznurku.

Korytarz biegł prosto. Miał tylko kilka niewielkich odnóg. Po pewnym czasie tunel wznosił się, toteż mogli iść wyprostowani, jedno za drugim. Wreszcie Beor poczuł się zmęczony i przystanął. Podzielili się jedzeniem i piciem. Potem znowu szli i znowu odpoczywali. Utrata zapasów Kela utrudniała im sprawę; jedzenia mieli wystarczająco, aby przetrwać, ale o zaspokojeniu głodu nie mogło być mowy.

Nie mówili wiele. Dla Beora sporym wysiłkiem była sama wędrówka, zaś Kel również nie zamierzał się odzywać. Ciemność i cisza dostatecznie go przerażały. Alain pogwizdywał pod nosem. W przerwach zwracał się jakimiś komendami do psów, ale i on najczęściej milczał.

Adika martwiła się. Czy Przekłęci nie czają się gdzieś w ciemnościach? Jeśli wiedzieli, kim była, czy porwali także sześciu innych ludzi, tworzących ich grupę? Jeśli nie będzie siedmiu do rzucenia zaklęcia, wówczas ono nie zadziała, a Przekłęci stworzą na ziemi imperium krwi, ofiar i niewolnictwa.

I co najgorsze - czyżby wiedzieli, co planują czarownicy? Czy posiadli sekret pętli? Ludzkość nigdy nie wygra tej walki, jeśli straci swą tajemną moc.

Te niewesołe myśli rozproszyły ją. Nie usłyszała drapania za plecami, aż było za późno. Coś upadło na jej pięty, pchając do przodu. Wrzasnęła. Alain również. Pies zaszczekał, zgasło światło.

Adika odwróciła się z włócznią w rękę, by stawić czoło niebezpieczeństwu, które kryło się za jej plecami, lecz w ciemnym tunelu nic nie zobaczyła. W końcu, usłyszawszy, że Beor coś do niej mówi, uklękła. Macając po ziemi, znalazła ich zagubione pochodnie, te same, które wpadły do przepaści. Niedługo potem zorientowała się, że widzi blade plamy - swoje ręce.

- Wybrana! Znaleźliśmy wyjście! - krzyknął Kel.

Adika pozbierała pochodnie i podążyła za jego głosem.

Kel pomagał Beorowi wdrapać się na nierówny skalny występ. Na jego szczycie sączyło się światło. Dostrzegli korzenie drzew. Opierając się jedną nogą o kamień i chwytając się grubych konarów, Adika zdołała się wydostać. Stała w gęstym zagajniku. Światło poraziło jej oczy. Z pozycji słońca wywnioskowała, że jest południe. Byli jednak tak długo pod ziemią, iż zdawało jej się, że od momentu jej porwania minął cały dzień i noc. Odetchnęła chłodnym, świeżym powietrzem.

Z pewną trudnością wydostali z tunelu psy i pomogli wyjść Beorowi. Wreszcie legli na skale, dysząc ciężko. Adika czuła ulgę. Chciało jej się śmiać, lecz nie odważyła się na to. Gdzieś w pobliżu mogli czaić się wrogowie. Kel wziął włócznię i poszedł na zwiady. Powrócił triumfalnie z eskortą sześciu ludzi z plemienia Białych Jeleni.

- Jesteśmy w pobliżu Czterech Domów! - wrzasnął Kel i w towarzystwie Ulfregi i jej kompanów podążyli do wioski.

Beorem zajął się tutejszy uzdrowiciel. Do Grobowców Królowych posłano Rączą z wiadomością, że Adika się odnalazła. Mieszkańcy Czterech Domów wiedzieli, jak urządzić prawdziwą fetę: dziczyzna, gruszki i jabłka zanurzone w polewce, chleb i owsianka z miodem. Lał się miód i potoczyła się długa opowieść, opowiedziana po raz drugi, gdy najbardziej doświadczeni w walce mężczyźni zaczęli dopytywać o szczegóły.

Jakiej broni używali Przekłęci? Jakimi maczugami posługiwali się Wiedzący? Czy ludzie żyjący pod ziemią mieli oczy, czy byli ślepi? Czy to prawda, że nie umieją mówić? Czy obcy został zaczarowany przez Wiedzących, czy sam był czarownikiem dysponującym potężną mocą? Czy Cztery Domy mogą zatrzymać jedną z włóczni z brązu w zamian za gościnność okazaną Wybranej?

W odpowiedzi Beor zbeształ ich za niedokończoną palisadę, a Kel zyskał kółko podziwiających go młodzików, chcących słuchać o jego bohaterskich czynach. Alain siedział w milczeniu. Był zbyt dziwną postacią, by się płaszczyć i nie dbał o to, że pozostawiono go samego, aby się posilił. Przywykł do tego, że go obserwowano. Co i rusz rzucał spojrzenia w kierunku Adiki, zaś jej serce biło na myśl o tym, co się jeszcze może zdarzyć. Z wzrastającą niecierpliwością oczekiwała na powrót Rączej. Ta powróciła późnym popołudniem. Czekał tam na nią Wędrujący zwany Dorrenem; przynosił jej wieści od Upadających.

Adika spędziła niespokojną noc. Następnego dnia żyła w nerwowym oczekiwaniu, podczas gdy Alain i Kel pomagali mieszkańcom Czterech Domów ustawiać kłody na palisadę. Beor zaś odpoczywał. Wreszcie przybyli ludzie z jej wioski, nie posiadający się z radości na jej widok. Przynieśli wieści, że nikt z Grobowców Królowych nie zginął podczas ataku ani nie dostał śmiertelnej infekcji ran. Droga do domu minęła szybko. Na miejscu wciąż widoczne były ślady ostatniej walki. Czyniono też przygotowania do fety, jaka miała odbyć się nazajutrz.

Dorren siedział na ławie w domu zgromadzeń, sącząc piwo. Jakże gorliwie ją powitał!

- Wybrana! - Nie mógł jej dotknąć. Stał przy stole, zadowolając się obracaniem kubka zdrową ręką. - Przynoszę wieści od Upadających. Kiedy przybyłem do waszej wioski i dowiedziałem się o ataku, targnęła mną obawa, że się spóźniłem. - Spojrzał w kierunku drzwi i zarumienił się, dostrzegając wchodzącego Alaina. Oczy Dorrena rozszerzyły się ze zdumienia. - To jest ten przybysz. Tak jak przepowiadał Upadający. Widział go w swoich snach.

- Naprawdę? - Adika poczuła, że coś utkwilo jej w gardle. Upadający miał dar proroczych snów. Jeśli ktoś sprzeciwi się jego obecności w wiosce, Matka Orla będzie mogła powołać się na zdanie Upadającego.

- Widział mężczyznę, który, płacząc, przekraczał bramę błękitnego ognia, z dwoma psami po bokach. Obok niego znajdowała się istota z płonącymi skrzydłami, służący bogów.

- On przybył tutaj przez pętlę. Przywiódł go Wiedząca.

- Upadający nie wie, czy jego wizja dotyczy przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. Powiedział, że muszę tu przybyć, by przyjrzeć się obcemu i przynieść ci wieści.

Adika nie oglądała się dłużej za Alainem. Nie musiała. Dokładnie wiedziała, gdzie teraz stoi; czuła, że trzyma w ręku kubek z piwem, wręczony mu przez wnuczkę Matki Orli, Getsi, i że już czuje na ustach smak napitku.

- Jakie to wieści?

Dorren skoncentrował się, szukając odpowiednich słów. Po jego twarzy było widać, że jest delikatny, inteligentny i że posiada poczucie humoru. Tymi cechami zawsze przyciągał do siebie Adikę. Teraz wszystko to w jakiś sposób było przyćmione. Bo pojawił się Alain. Kiedy Dorren mówił, jego głos stawał się melodyjny, zupełnie jak u wszystkich Wędrujących, gdy dostarczali informację. Gdy mówił, jego zdrowa ręka wykonywała małą pantomimę, co pomagało mu przypomnieć sobie o wszystkich istotnych rzeczach.

- Upadający plemienia Fen mówią te słowa Adice z plemienia Białych Jeleni. Szu-Sza Miedzianych ludzi przesyła to ostrzeżenie swoim siostram i braciom. - Ręka Dorrena zatrzepotała jak żuraw, którego nie sposób zaskoczyć, gdyż jest zbyt czujny. - Przekłęci odkryli, że tworzymy przeciwko nim ligę. Mogą uderzyć w każdej chwili, z każdej strony. Bądźcie uważni. - Wykonał ręką gest atakującego nieoczekiwanie sokoła. - Róg sądzi, że Przekłęci znają sekret pętli i trzymają to w tajemnicy aż do czasu, gdy uderzą. Jasność-Która-Mnie-Słyszysz mówi: człowiek może dostrzec krew płynącą z kobiety, a nie z własnego ciała. Dwa Palce widział niepokoje w głęboko położonych miejscach. Uważajcie na ziemię i to, co pod nią, bo Przekłęci mogą uderzyć z każdego miejsca. Ufortyfikujcie swoje osady i skończcie na czas budowę domów. Uciekajcie w leśne ostępy albo otoczcie wasze siedziby zaklęciami ochronnymi. Nie przechodźcie przez pętle bez potrzeby. Jeśli Przekłęci odkryją sekret pętli, żaden człowiek przez nie przechodzący nie będzie bezpieczny. Posyłajcie Wędrujących, jeśli istnieje potrzeba dostarczenia wiadomości. Bądźcie jak gryfy, które strzegą swoich jaj przed lwami. Strzeżcie się dobrze, bo nadchodzi dzień, gdy uderzymy.

Kiedy skończył, Adika podała mu napitek, by mógł odetchnąć. Nie mogła jednak przestać niecierpliwie przestępować z nogi na nogę, czekając, aż Dorren opróżni kubek z piwem. Kiedy skończył, powiedziała:

- Przekłęci już uderzyli. Jeśli chcieliby niewolników, mogli pojmać wielu, a porwali tylko mnie.

- W takim razie to, czego obawia się Szu-Sza, niedługo się stanie - rzekł Dorren. - Nie mieliśmy wieści o tym, co się stało, kiedy opuszczałem bagna. Z pozycji księżycy wnioskuje, że odkąd przekroczyłem pętle, minęły trzy dni.

- Musisz szybko wracać, by sprawdzić, czy nic się nie stało Upadającym. Powiedz im, co tu się wydarzyło i niech Wędrujący poniosą tę wieść moim siostram i braciom, tak by byli świadomi niebezpieczeństwa.

- Te słowa przekażę Upadającym. Co z naszymi sprzymierzeńcami, Ludźmi-Końmi?

- Wiedząca czasem odwiedza to miejsce przy pełni księżycy. Czekam wtedy na nią.

Dorren skinął głową. Adika zerknęła za siebie. Zastanowiła ją wszechobecna cisza.

Alain nasłuchiwał uważnie. Wyraz jego twarzy wyrażał zmartwienie. Potrząsnął głową i z grymasem na twarzy opróżnił swój kubek.

- Pozwól mi przy nim usiąść, nim będę musiał ruszać - rzekł Dorren. - Mogę pouczyć go trochę naszego języka. Wędrujący, który był moim preceptorem, zdradził mi kilka sekretów szybkiego uczenia się języków.

- Oczywiście, będę wdzięczna, jeśli to zrobisz.

Spojrzał na nią wymownie.

- Czy to prawda, że Wiedząca przysłała go, bo ma zostać twym mężem?

Musiła odwrócić wzrok. Suszone ryby i zioła zwisały z belek; w pomieszczeniu unosił się zapach dymu.

- Przychylę się do woli Wiedzącej.

Czy uznano by to za gorszące, gdyby ktoś dowiedział się, jak szybko uległa urokowi Alaina? Czy podejrzewano, że Wiedząca mogła użyć magii, by przywiązać ją do niego? Nie wszyscy ufali Ludziom-Końmi i ich potężnej szamance, ale Adika tak. Nie było w tym magii, ale niekiedy namiętność ogrania ludzi.

Dorren z uznaniem przyglądał się domowi zgromadzeń, po czym z szacunkiem zwrócił się do Matki Orli.

- Gdzie jest moja uczennica, Dagfa? Nie towarzyszy Wybranej, a powinna.

- Jej matka wydała ostatnie tchnienie, gdy tylko zaczęły się zbiory. Musiała wracać do Błotnistej Drogi i pomóc snuć ścieżkę, po której duch jej matki przejdzie na Drugą Stronę. Twój stary nauczyciel jest zbyt niedołązny, aby odbyć drogę ze Starego Fortu, a jego uczennica pojechała uczyć się języka Czarnych Jeleni.

- Dziwne, że chce to robić w momencie, gdy powinna być przez cały czas tutaj, z Wybraną - rzekł Dorren. - Poślij Rączą, by sprowadziła Dagfę z powrotem. Jej siostra może sama dokończyć spiralę.

Kiedy odejdę, Dagfa mogłaby zająć się nauczaniem przybysza waszego języka. Upadający nie śniliby o nim, gdyby nie był ważny. Co, jeśli przynosi wieści z Drugiego Świata? Co, jeśli bogowie chcą przez niego mówić, lecz my go nie rozumiemy?

- Niech tak będzie - odparła Matka Orla, uznając słuszność jego argumentów.

Jednakże Alain potrafił się komunikować, choć niekoniecznie słowami. Tego wieczoru Adika poprowadziła Dorrena do pętli. Alain poszedł z nimi, choć żaden z mieszkańców wioski nie odważyłby się przyglądać magicznym praktykom w obawie przed wirami fatum, które mogło uderzyć.

Tamto popołudnie Adika spędziła u Pura kamieniarza, reperującego jej zwierciadło. Obiecał wykonać nowe, tymczasem zaś sklecił stare za pomocą kleju z kopyt żubrów. Była to reperacja wystarczająca, by tej nocy utkać pętlę.

Kiedy ponownie spotkała Dorrena i Alaina przed zachodem słońca, Alain pozdrowił ją bardzo pięknie, choć na pewno łatwiej mu było powtórzyć słowa, których nauczył go Dorren, niż rozumieć odpowiedź Adiki. Opuścili wioskę i szli przez wały w stronę kopca.

- Pamiętam, jak mój ojciec tutaj harował - mówił Dorren. - Sądził, że te fortyfikacje uchronią Białe Jelenie przed najazdami Przeklętych, jednakże jak byłoby to możliwe, skoro Przekłęci odkryli sekret podróży przez pętlę?

Przystanęli, patrząc na leżącą w dole wioskę, domy o długich ścianach, wychodzące na południe, tak aby w zimowym czasie słońce maksymalnie je nagrzewało. W ogródkach nic już nie rosło z wyjątkiem liściastych rzep. Obok przechodziło stadko owiec, zapędzanych na noc do zagrody. Przy palisadzie kręcili się jeszcze ludzie, znosząc kłody drewna.

- Każda wioska musi bronić się sama - powiedziała cicho Adika - aż do dnia, gdy pozbędziemy się Przeklętych.

Dorren spojrział na nią szybko, przypominając sobie o jej przeznaczeniu.

Alain przyklęknął i dotknął ręką gleby.

- To się nazywa „ziemia” - oznajmił, skrupulatnie wymawiając każde słowo, choć nie umiał jeszcze wymawiać wszystkich słów prawidłowo. Wskazał na następny wał obronny: - To się nazywa „ściana ziemi”.

Dorren zachichotał.

- Z dobrym nauczycielem szybko nauczysz się języka!

- Dobry nauczyciel - powtórzył Alain, wycierając ręce o trawę.

Do pętli dotarli w nocy. Kamienny krąg trwał jak zawsze w milczeniu. Adika stanęła w wyznaczonym miejscu. Dorren wiedział, że ma stanąć po jej prawej stronie. Po lewej stanął Alain, choć wydawało się, że miał ochotę powłóczyć się chwilę wokół kręgu.

Niebo zakrywały chmury, co komplikowało tkanie. Jako że Naostrzony Kamień był teraz niewidoczny, Adika musiała tkać wrota, patrząc na Topór i Tura. Ich ciężkie ramiona posłużyły do otwarcia wrót na zachód.

Podniósłszy lustro, Adika zaczęła wypowiadać modlitwę budzącą kamienie: „Zważ na mnie, ty, która otwierasz się na wchodzie. Zważ na mnie, ty, która otwierasz się na zachodzie”.

Alain nie trząsał się ze strachu ani nie uciekał, tak jak wielu ludzi by uczyniło, widząc magię tkania za pomocą światła gwiazd i kamieni. Wzgórze pod stopami Adiki ożywiło się. Świadomość starożytnych królowych przeszła jej serce, tak jakby ich ręce sięgnęły poprzez kamień, ziemię i śmierć po swą żyjącą następczynię, by zawładnąć nią dla własnych celów.

Światło księżyca zostało uwięzione w kamieniach, a Adika tworzyła z nich wrota światła. Prawie nie słyszała, jak Dorren wymruczał: „Do zobaczenia” i przekroczył bramę - a potem zniknął z pola widzenia.

Alain zrobił dwa kroki za nim. Adika powstrzymała go.

- Nie. Nie idź...

Alain usłuchał. Na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie, jakby jego myśli, dusza i serce pragnęły wkroczyć w nieznaną krainę. Spontanicznie i nieoczekiwanie głos Adiki załamał się.

- Nie chcę, byś mnie opuszczał, Alain.

Światło bladło, wrota rozsypały się, a ona nagle zaczęła płakać.

Jeden z psów zaskowyczał. Jego szczęki zacisnęły się delikatnie, lecz stanowczo na jej rękę. Nie było mowy o zranieniu, Adika poczuła tylko pociągnięcie. Alain wyjął jej lustro z dłoni i zatknął za pasek. Lekko połajał psa i uwolnił jej rękę, biorąc ją w swoją dłoń.

- Chodź - powiedział grzecznie, ale stanowczo. - Muszę podarować coś tym już nie oddychającym. Królowym. - Zmagał się, by poprawnie wymawiać słowa, których nauczył go Dorren. - Do królowych,

im mam złożyć ofiarę.

Do królowych. One wciąż w niej były. Echo ich obecności rozlegało się z każdym uderzeniem jej serca. Królowe domagały się ofiary tylko od kogoś, kto błagał je o pomoc. Jednakże to nigdy nie była prosta sprawa. Nieważne, jak gorzka to miała być ofiara dla tego, kto odważył się naruszyć święte miejsce i o coś prosić. Trzeba było ją spełnić. Nawet ona, a może szczególnie ona nie mogła uciec przed obietnicami złożonymi władczyniom.

Niczym patyk pchany prądem rzeki, Adika poszła w stronę, w którą prowadził ją szlak. Alain siedł wraz z nią do wschodniego zbocza wzgórza, ku kamiennemu nadprożu, będącym sekretnym wejściem do grobowca królowych, zwanego przez wieśniaków świętym miejscem. Tutaj znajdował się początek drogi, prowadzący do sekretnej krypty, miejsca spoczynku władczyń. Niebo zakryły chmury, tłumiąc też światło gwiazd.

Alain miał przy sobie pochodnię. Potarł krzemień i zapalił ją. Pochodnia osmalila skalny sufit, odsłaniając symbole mocy wyryte w kamieniu: statki wiozące słońce do podziemnego świata, spiralną drogę prowadzącą na Drugą Stronę, ręce Wiedzących, które już odeszły, sięgające po cztery berła wiedzy. Alain i Adika najpierw musieli poruszać się na kłęczkach, potem jednak, w miarę jak korytarz wznosił się do góry, mogli iść wyprostowani. Każda władczyni miała własny grobowiec w osobnej niszy.

Grobowce pokryte były inskrypcjami właściwymi dla spoczywających tutaj kobiet. Na znajdującej się po stronie zachodniej płycie nagrobnej Promiennej Strzały wyrzeźbiono dwa sfinksy: kobiety-lwy pustyni, od których nauczyła się tajemnic Łowczyni. W niszy umieszczonej po stronie południowej połyskiwał złotem grób Złotej Lochy. Widniały na nim odlane z cennego kruszcu pióra feniksa i święta locha, a także duch przewodni władczyni, która czyniła wszystkie kobiety swego plemienia płodnymi, a ich dzieci zdrowymi. Ostatni, znajdujący się po stronie północnej kurhan Bezzębnej, był bardziej prymitywny od dwóch pozostałych, królowa bowiem panowała w czasie, gdy magia metali nie była jeszcze znana rodzajowi ludzkiemu.

Tutaj, do czeluści kurhanu, nie dochodził nawet szum wiatru.

Adika wykonała parę kroków do przodu. Chciała rozpocząć modlitwę, ale Alain odepchnął ją, zajmując jej miejsce. Stał wyprostowany i dumny, jasny i nieustraszony. Przemawiał w swoim własnym języku, którego nie rozumiała.

Co takiego mówił? Wiedziała, że królowe go słuchają, bowiem zmarli tak zawsze czynią.

Pochodnia zgasła, pozostawiając ich w zupełnych ciemnościach. Adika nie wyczuwała nawet obecności Alaina ani poszczekiwania jego psów.

Wizja uderzyła jak błysk ognia, rażąc ją w oczy.

*Alain, odziany w ubranie, jakiego Adika nigdy nie widziała, stoi obok kamiennego grobowca wyrzeźbionego w kształcie leżącego na wznak człowieka. Adika ma wrażenie, że kamień za chwilę ożyje, a człowiek ów usiądzie. Obok niego widnieją dwa psy - jeden spoczywa przy jego głowie, drugi - przy nogach. Alain lka bezgłośnie. Łzy płyną po jego twarzy. Do pomieszczenia będącego wysokim hallem o zdumiewającej architekturze wchodzi grupa kobiet. Alain odwraca się do stojącej na czele grupy niewiasty. To królowa. Jest tak chuda i zbiedzona, że aż brzydka; doprawdy, Obfita nie dała jej swego błogosławieństwa. W jej sercu nie ma jednak radości, a jej duch obumiera i pełen jest lęku. Jednak Alain ją kocha. Młoda królowa nic mu nie ofiarowuje, lecz mimo to on darzy ją uczuciem.*

*Adika płacze gorzko, a jej łzy rozrzedzają wizję. Adika widzi, że oto płynie po szerokiej wodzie. Wokół niej gromadzi się piana. Nadpływa zwierzę gładkie jak smok i szybkie jak wąż. Adice wydaje się najpierw, że to żywe stworzenie, chude i długie, lecz nagle dostrzega, że jest to statek. Nie przypomina statków, na których nadmorskie plemiona penetrują wybrzeża w poszukiwaniu ryb i ptactwa. Jego dziób ozdabia wyrzeźbiona w drewnie głowa smoka. Na dziobie stoi mężczyzna, lecz nie jest to człowiek. Wypatruje czegoś pośród otaczającej go mgły. Kim jest? Czego szuka?*

*Adika wie. Podczas wizji dostrzega kawałek żyłkowanego mięsa wewnątrz jego ciała. To serce. Mężczyzna szuka Alaina.*

*Mgła nadpływa jak fala. Adika niewiele może ujrzeć. Płynące wokół niej pasma zaczynają się palić.*

*W powietrzu unoszą się duchy z płonącymi skrzydłami i oczami lśniącymi jak noże. Jednakże jeden z nich tonie, bo jest śmiertelny. Upada na próg z błękitnego ognia, stanowiący przejście między światami. Poprzez wrota te upadająca kobieta spogląda na świat środka, świat znany ludziom: to w nim spoczywa w ciszy ogromny kurhan, otoczony na wół zniszczonymi okopami. Pomiedzy okopami leżą porozrzucane ciała poległych ludzi. Zabójczo silny wiatr rozproszył je. Polegli leżą porozrzucani jak liście wokół kamiennego pierścienia. Niektóre płyty są roztraskane, inne pęknięte w pół. Kamienny krąg znajduje się na szczycie wzgórza.*

*Adika modli się o opiekę Obfitej i odwagę Dzikiej Królowej, choć jej wargi nie wymawiają żadnych słów - a nawet jeśli, ona sama ich nie słyszy. Zna to wzgórze i wały, teraz porozwalane ręką niezmierniejszej siły, której Adika nie umie nazwać. Rozpoznaje krąg kamieni, pełnych porostów i startych przez czas. To Grobowce Królowych, ale to nie są te Grobowce, które zna, ze świeżo wykopanymi rowami wokół wzgórza i kamienną pętlą na wzniesieniu, pamiętającym jeszcze czasy jej rodziców.*

*To Grobowce Królowych w szatach Bezzębnej, starej wiedźmy. Młodość i dojrzałość tego miejsca już przeminęły, naruszone mijającymi porami roku, wiatrem i zimnym deszczem. Jednakże w kamiennej pętli wciąż stoi jeden kamień. Płonąc biało-niebieskim ogniem, stanowi schronienie dla umierającego wojownika. Ubrany w metalowe pierścienie, zsuwa się po płonącym kamieniu, czekając na śmierć. Towarzyszą mu dwa duchy, które przyjęły formę psów. Upadająca kobieta z płonącymi skrzydłami eterycznego ognia zbliża się, wirując ku Adice. Sięga po umierającego wojownika, chwytając go i ciągnie za sobą. Adika rozpoznaje Alaina. Ale jej uścisk słabnie, i mężczyzna wypada jej z rąk. Spada ze ścieżki, prowadzącej do krainy umarłych. Teraz nie podąża ani po drodze prowadzącej do jego świata, ani do świata umarłych. Zagubił się. Jego duchy opiekuńcze są u jego stóp. Lecz oto magiczna siła Ludzi-Koni chwytając go w sieć i wciągu. W końcu krwawiący, umierający i zagubiony Alain znajduje się w grobowcu królowych.*

Adika ocknęła się. Świadomość wróciła jej dokładnie w chwili, gdy ręka Alaina spoczęła na jej ramieniu. Wypowiedział jej imię i upadł na kolana z mokrą od łez twarzą.

- Alain - wyszeptła i odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz. Teraz oboje klęczeli. Alain przyłgał do niej albo ona do niego; trudno powiedzieć.

Adika pomyślała, że nie klęcza na kamieniach, lecz na trawie, pod gwiazdami, podczas nocy pełnej tajemnic. Otaczały ich drzewa. Gdzieś niedaleko słychać było wodospad szumiący przy porośniętych mchem kamieniach. Nie miała pojęcia, jak się tu dostali. Wiatr szeptał jej coś subtelnie do ucha. Alain był blisko. Adika poruszyła się, wyciągając ręce do tyłu. Jego dłonie błądziły po jej ciele. Alain mruzczał coś po cichu, a choć słowa były dla niej zagadką, język ciała nie potrzebuje żadnych słów, by przesłać komunikaty.

Alain mówił bez użycia słów: nie powinienem, lecz bardzo tego pragnę. Jestem niepewny, niespokojny, ale moje pragnienie jest tak silne.

To była zachęta. Nie wahał się.

Adika nie została Wybraną, gdyby myślała powoli. Wyciągnęła rękę i znalazła sznurek, którym Alain wiązywał swą lnianą tunikę. Kiedy pocałował ją, Adika rozwiązała supeł, tak że tunika opadła. Ich ręce połączyły się. Trzymanym w dłoni sznurkiem oplótła ich ręce, raz, drugi i trzeci. Pewne słowa znała wystarczająco dobrze:

*Co jest związane, niechaj trwa. Niechaj Obfita pobłogosławi nasz związek. Niechaj Zielony Człowiek przyniesie nam szczęście i same dobre rzeczy. Niechaj Dziką Królową pokaże nam, co znaczy iść razem. Niczym węgielki w palenisku, Alain płonął gorączką i nieśmiałością zarazem. Lecz w końcu królowe osiągnęły to, czego pragnęły. Bez wątplenia w swoich milczących grobach śniły o spotkaniu, słodkim jak łąka pełna kwiatów. Adika czuła, że królowe są w niej, że w jej ciele płonie ich moc, schwytna w nieprawdopodobne piękno ich czynów. Rzeczywiście, czy w takim miejscu jakikolwiek mężczyzna mógłby się jej oprzeć? Nie on.*

## **CZEŚĆ TRZECIA**

### **LODOWA DOLINA**

## Rozdział dziewiąty

### KAWAŁEK JABŁKA

#### 1

Pogoda, jak to zwykle bywa zimą, nie nastrojała optymistycznie. Przez trzy dni wiał przeszywający wiatr z północy, sprawiając, że brzegi i mielizny rzeki Vesper zamarzyły. Wszystkie kałuże na ulicach Gentu również zamieniły się w lód. W pewnym sensie, myślała Anna, dobrze, że tak się dzieje. Zimno zamrozi fetor, deszczówkę i ścieki. Na takie zamrożone powierzchnie lubiła wskakiwać mała Helena, bo bawiło ją słuchanie, jak wierzchnia warstwa pęka z trzaskiem. Dziś Anna wspominała miesiące, gdy kryła się wraz ze swoim bratem Matthiasem w garbarniach: miasto było czystsze, gdy zamieszkiwali je Eikowie, ale to pewnie dlatego, że było prawie wymarłe.

Co innego teraz. Nawet pod koniec zimy ludzie przechadzali się po alejach wzdłuż niedawno pobielonych ścian pałacu burmistrza. Po drugiej stronie alei znajdowały się otoczone murami domy, w których mieszkali dobrze sytuowani rzemieślnicy i rodziny kupców. Pod jedną z bram podszedł właśnie uliczny sprzedawca z wózkiem, wołając głośno i licząc na zainteresowanie kupujących. Z bramy wyłonił się służący i, przyjrawszy się sprzedawcy oraz jego zimowej tunice i zimowym butom, wypchanym słomą, wpuścił go do środka. Takie oznaki zamożności cieszyły Annę. Nie minęły jeszcze dwa lata, gdy uchodźcy i nowi przybysze zaczęli napływać do Gentu po klęsce Eików.

Annę zajmowały podobne myśli, gdy zabierała ze sobą Helenę, co wymagało wielkiej cierpliwości. Mając ręce pełne wełnianej odzieży, nie mogła złapać jej za ramię i pociągnąć do domu. Małe dziewczynki nie rozumieją potrzeby pośpiechu ani nie czują zimna, gdy tymczasem ręce Anny całkiem już zeszywniały, mimo że nosiła wełniane rękawiczki. Helena świergotała jak ptaszek. Stała na powierzchni pięknie zamrożonej kałuży, a ta pękła z przyjemnym trzaskiem.

- No, moja mała, to nie jest pogoda dobra do zabawy dla małych dzieci - rozległ się jakiś głos za ich plecami. Helena nadal nucila pod nosem i bawiła się w najlepsze.

Anna ujrzała przeora Humilikusa, idącego ulicą w kilkunastoosobowej asyście. Za jego plecami wynurzała się z mgły katedra, charakterystyczny punkt miejskiego rynku, leżący na północ od domu burmistrza. Przeor nowego kościoła pod wezwaniem świętej Perpetuy był w mieście znaną postacią, zwłaszcza od czasu, gdy opat, książę Ekkehard, podążył wraz z lordem Wichmanem, by walczyć na wschodzie. Humilikus odwiedzał biskupinę każdego dnia, niezależnie od pogody.

- Ach - mruknął, widząc Annę i jej ciężki pakunek. - Jesteś siostrzenicą tkaczki. - Jak przystało na wysoko urodzonego, miał zwyczaj dotykania rzeczy bez prośzenia o pozwolenie. Zdjął rękawice z owczej skóry i dotknął odzieży z podziwem. - Bardzo piękna, doprawdy. Prawdziwy szkarłat. Czy mistrzyni Zuzanna sama farbuję wełnę?

Anna skinęła głową. Helena podeszła do kolejnej kałuży i roztrzaskała zamrożoną powierzchnię.

Wąska twarz przeora naprężyła się, a wargi zacisnęły.

- Czy jesteś niemową? Bóg dwukrotnie doświadczył twoją rodzinę. - Annie nie spodobał się sposób, w jaki przyglądał się Helenie. Z brudnego, opuszczonego, na wpół zagłodzonego niemowlęcia wyrosła całkiem ładna dziewczynka, mająca jakieś cztery do sześciu lat. - Ma niezaprzecalnie miły głos. Zastanawiam się, czy nie dałoby się wyuczyć jej śpiewania kościelnych hymnów.

Jego wzrok powędrował dalej. Długa ściana pałacu burmistrza była niegdyś pokryta malowidłami przedstawiającymi życie i śmierć błogosławionego Daisana, lecz trzy dni temu została przemalowana.



Humilikus zerwał pokrytą szronem różę i badał każdy jej płatek ze skrupulatnością, z jaką chłopci przyglądają się robactwu na zgniłych owocach.

- Sądziłem, że wszystkie róże zostały już usunięte w ubiegłym tygodniu.

- Były, przeorze - powiedział najstarszy z mnichów. Jego cienki nos był niebieski z zimna. Podmuch wiatru zatrzepotał sztandarami zatkniętymi na pałacu burmistrza i sprawiał, że zęby Anny dzwoniły. - Klerycy biskupiny przychodzą tutaj każdego tygodnia i zbierają tego typu dary. Wczoraj przynieśli dwa wieńce, jedną rzeźbę i cztery świece.

Helena podskoczyła i pochwyciła różę, którą trzymał przeor, a następnie schowała się za Annę.

- A sio! - połajał ją mężczyzna z długim nosem.

- Nie pozwól jej na to - rzekł Humilikus. - Pobielenie ściany nie zatrze wspomnień. Jeśli zwykli ludzie nadal składają tu ofiary pomimo upływu czasu, karanie jednej głupiutkiej dziewczynki nie będzie miało wpływu na ich skalane dusze. Winny jest ten opasty młodzieniec i jego milczący współnik.

Pomijając jego groźne spojrzenia, przeor miał usposobienie łagodne, z pewną dozą ironii. Przerwał, przyglądając się ścianie z sardonicznym uśmieszkiem.

- Brat Ermanrich był mądrym człowiekiem i doskonałym mówcą - dodał. - Nie rozumiem, jak to się mogło stać, że Bóg zezwolił, by Wrogi nawiedził tak obiecujące naczynie.

- Boskie wyroki są niezbadane, przeorze - rzekł jego towarzysz. - To dobrze, że twoi mnisi odjechali wraz z księciem Ekkehardem.

Humilikus schylił głowę na znak uległości wobec bożej woli. Grupa duchownych ruszyła w dalszą drogę.

Anna zatupała dwa razy, czym zwróciła uwagę Heleny. Dziewczynka ruszyła za nią, skacząc i śpiewając. Dotarli do głównej bramy domu pilśniarza. Pani domu usadziła je wokół paleniska, sama zajmując się sprawdzaniem, czy na odzieży przyniesionej przez Annę nie ma wad. Annie nie przeszkadzało, że musi czekać, bo w domu było ciepło. Miała ze sobą kądziel oraz wrzeczono i zaczęła prząść wełnę. Helena odłamywała kolce z łądygi róży, a potem zatknęła ją sobie za ucho jako ozdobę. Była śpiąca i co chwilę szeroko ziewała. Na korytarzu kręciło się kilka dziewcząt, lecz zdecydowana większość prac o tej porze dnia toczyła się na podwórzu albo w warsztatach, na polach poza murami miasta.

- To wszystko - rzekła gospodyni. Zazwyczaj o nikim nie mówiła nic dobrego. To, że nie znalazła na tkaninach żadnej usterki, było już wysoką pochwałą. - Nie chcę, by ktoś mówił, że uszkodziliśmy materiały podczas folusznicstwa. - Pomocnik szybko zabrał tkaniny na podwórze. - Mam dwanaście długości tkanin dla twej ciotki, ale widzę, że musisz coś załatwić, nim wrócisz do domu. - Wskazała na szkarłatną opończę, już spilśnioną i wykończoną, którą Anna położyła wcześniej na ławie. Pilśniarka sprawdzała materiał w ten sam sposób co przeor Humilikus. - Niewielu potrafi uzyskać tak znakomity kolor. Czy mistrzyni Zuzanna dostaje już ufarbowaną wełnę?

Anna pozwoliła sobie na skąpy uśmieszek. Nie znosiła być niemową. Brak głosu przypominał brak rąk, ledwie zauważalny, gdy się o nich nie myślało, lecz których używało się instynktownie, by sięgnąć za pas lub pokroić jabłko.

- Cóż, nie masz nic do powiedzenia! Nic dziwnego. Twoja ciotka zważniała, odkąd Eikowie się stąd wynieśli. Gdybym nie wiedziała, że jesteś niema, pomyślałabym, że ogarnęła cię zbyt wielka duma, aby ze mną rozmawiać. - Na twarzy pilśniarki często pojawiał się szeroki uśmiech, lecz w jej oczach nie było radości, a jedynie zazdrość. - Jesteś dostatecznie dojrzała, by się zaręczyć. Czy mistrzyni Zuzanna znalazła ci już męża?

Anna potrząsnęła głową. Nie dbała o to, że jej ciało się zmienia, to był normalny proces. Ale nie podobał się jej sposób, w jaki ludzie namawiali ją na małżeństwo. W gruncie rzeczy, nikt tak naprawdę się o nią nie troszczył.

- Masz śmieszny kolor skóry, ale jesteś zdrowa i dobrze by było, gdybyście pomyśleli o związaniu się z jakąś dobrze sytuowaną rodziną. Wtedy związek byłby korzystny dla obu domów. Mam miłego siostrzeńca. To dobry chłopak, ma dziewiętnaście lat. - Pilśniarka miała chyba zamiar kontynuować w nieskończoność, lecz z podwórza dobiegły jakieś hałasy, a także podniesione głosy. - Gutta, daj siostrzenicy tkaczki ten gotowy materiał. - Ku uldze Anny pospieszyła na podwórze, gdzie zajęła się energicznym połajaniem.

Dziewczyna w wieku Anny podała jej przygotowany materiał. Anna zatknęła kołowrotek i przędzę za pasek. Szkarłatną opończę umieściła na wszelki wypadek pomiędzy warstwami tkanin i tupnęła dwa razy, dając znak Helenie. Wzięła tuzin złożonych tkanin, które mistrzyni Zuzanna albo sprzeda krawcom, albo sama uszyje z nich zimowe płaszcze i wszelką odzież. Z westchnieniem zadowolenia opuściła dom

piłśniarki.

Jak zawsze, najlepsze zostawiła sobie na koniec.

Uwielbiała odwiedzać pałac burmistrza. Strażnicy przy bramie znali ją i przepuścili bez trudu, choć jeden z nich, chłopak lat około dwudziestu, podszedł bliżej i odezwał się:

- Błagam cię, siostrzo, powiedz za mną dobre słowo do pięknej Frederun. Wiem, że ona cię lubi za te wszystkie piękne tkaniny, które jej przynosisz.

Drugi ze strażników parsknął.

- Ta dziewczyna jest niema, Ernust. Nie może nic powiedzieć pięknej Frederun. Zresztą nawet gdyby mogła mówić, i tak niewiele by to dla ciebie znaczyło! Nie przyjęła mężczyzny do swego łóża, odkąd lord Wichman wyjechał. Idź załatw swoje sprawy, dziecko, a my zostaniemy tutaj, na zimnie. Może niektóre części ciała biednego Ernusta zdołają nieco oziębnąć!

Siedziba burmistrza była tak zaprojektowana, aby łatwo można się było po niej poruszać. Po jednej stronie znajdowały się stajnie i spichlerze, po drugiej zaś stał pałac. Na dalekim końcu podwórca mieściła się kuchnia. Jej położenie miało na celu ochronić inne budynki, w razie gdyby wybuchł pożar. Pomijając okupację w czasie najazdu Eików, pałac przetrwał w całkiem dobrym stanie. Jedno skrzydło stajni wciąż było w ruinie, a trzy magazyny, które spłonęły doszczętnie, znajdowały się na różnych etapach odbudowy.

Wschodnia brama powoli stawała się kupką gruzu, wkrótce sytuacja miała ulec zmianie, gdy tej zimy ich lordowskie moście wyprawiły się do Kessel i Autun, by znaleźć inżynierów, mających odbudować wrota.

Pałac mieścił hall i kilka skrzydeł. Jedno z nich, dobudowane wiele lat temu, miało trzy piętra. Anna udała się do wejścia dla służby i znalazła się w pomieszczeniu pełnym zajętych kobiet. Zszywały dziury w bieliznie, przygotowywały saszetki z fiołkami, służące do odświeżania powietrza w zamkniętych na zimę pałacowych komnatach i polerowały srebrną zastawę burmistrza, uratowaną podczas karkołomnego odwrotu spod Gentu.

Frederun została przełożoną służby pałacowej, bo wybrał ją na to stanowisko lord Wichman. On z kolei został lordem Gentu po wielkim zwycięstwie nad Krwawym Sercem i Eikami. Frederun siedziała przy największym stole, co było oznaką jej pozycji. Ujrzawszy Annę, skinęła na nią i wzięła z jej rąk opończę. Następnie wstała i rozłożyła odzienie. Praca w pokoju służby na moment ustała.

- Doprawdy - rzekła Frederun - mistrzyni Zuzanna przeszła tym razem samą siebie! - Płaszcz miał wspaniałą szkarłatną barwę. Był obszyty futerkiem. Złotą nicią wyszyto nań wizerunki smoków.

- To chyba nie dla ciebie, Frederun? - zapytała starszawa kobieta z twarzą naznaczoną blizną po cięciu siekierą przez Eików.

- Nie, to dla lorda Hrodika. Teraz, kiedy lord Wichman wyjechał, dumnie ogłasza siebie obrońcą miasta. Opończa będzie okrywała jego zbroję.

- Chyba zbroję jego siostry - mówiła dalej kobieta z blizną. - On nigdy nie będzie nawet w połowie takim wojownikiem, jakim była jego siostra Amelia, niechaj Bóg błogosławi jej imię.

Wszystkie kobiety zrobiły na piersiach znak Kręgu Jedności i wymruczały modlitwę o pokój. Wiele z nich pamiętało szlachetnie urodzoną panią, zmarłą od ran odniesionych w walce o Gent, w której zwyciężyli hrabia Lavastine i król Henryk.

- Nie ma sensu mówić o biednych młodych mężczyznach, niezależnie od ich wad - upomniała Frederun. - Szczury opuściły miasto. Z kolei mysz, która nas opuściła, jest panem lepszym od wszystkich wcześniejszych.

- Prawdziwe to słowa - powiedziała kobieta ze szramą, kładąc rękę na ramieniu Frederun. - Przyjęłaś ten ciężar na siebie. Nikt z nas ci tego nie zapomni.

Frederun miała marzące, przejrzyście brązowe oczy, jakie płoną zazwyczaj u namiętnych kochanek. Jasne włosy, zebrane do tyłu i osłonięte szalem, spływały luźno falistymi lokami, okalając jej piękną twarz. Wszyscy byli zgodni co do tego, że jest drugą najpiękniejszą kobietą w Gencie.

- Tak więc - powiedziała Frederun, wrywając się z chwilowego rozmarzenia i nie odpowiadając nic na słowa swej podwładnej - mamy tutaj dwie siostry, które zmarły zapewne, idąc po wietrznych ulicach po to, by lord Hrodik miał swą upragnioną opończę! Chodźcie, dzieci, napijcie się ciepłego cydru. Na zewnątrz jest okropny ziąb, prawda? Usiądźcie przy palenisku. Daj im po kawałku jabłka i ciasta, które, bądźcie pewne, jest z lordowskiego stołu - poleciała jednej ze służących i dwukrotnie klasnęła w ręce. - Wracać do pracy! Nie śpijcie. I tak mamy mało światła podczas tych zimowych miesięcy. Fastrada! - Starszawa kobieta wzięła opończę z jej rąk i złożyła ją. - Proszę cię, zajmiesz się dostarczeniem jej lordowi Hrodikowi?

- Oczywiście, Frederun, choć wiesz, jak on się będzie skarżył, gdy to nie ty mu ją zaniesiesz.

Frederun odpowiedziała na to gwałtownym westchnieniem. Sięgnęła po opończę i zwinęła ją wprawny ruchem. Lata pracy sprawiły, że jej ręce były silne, choć nie miała więcej niż dwadzieścia lat.

- Dlaczego on uważa, że należy mu się to, co pozostawił Wichman?

Zdawało się, że nikt jej nie słucha, może dlatego, że wszyscy byli już znużeni jednostajnością dobrze im znanej sytuacji.

- Czy nie możesz porozmawiać z biskupiną Suplicią? - zapytała Fastrada.

- Ona jest spokrewniona z rodziną lorda Hrodika. Dlaczego miałaby czuć jakiegokolwiek współczucie dla prostej służącej, takiej jak ja? Czy nie jestem na służbie u szlacheckiej rodziny?

- Sądziłam, że służysz w pałacu burmistrza, a nie w jego łóżku.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że burmistrz Werner był ostatnim ze swego rodu. Teraz Gent jest w rękach lordów, a oni nie zrezygnują ze swych praw.

Starsza ze służących skrzywiła się ponuro.

- Dobrze więc, zaniósę mu ten płaszcz i pozwolę mu becząć, ile tylko zechce.

Frederun opuściła wzrok, jak gdyby wyczerpana.

- Dziękuję ci. - Wyprostowała jeden z rękawów i strzepała z oka odrobinę popiołu, który nadleciał z paleniska. - Zrobił się gorszy...

- Bo zła pogoda trzyma go w zamknięciu i nie może wyjeżdżać na polowanie. Więcej w nim fanfaronady niż rozsądku!

- A czy tak nie jest z większością mężczyzn? - odrzekła jedna z młodszych dziewcząt. Miała ładne usta, jasne oczy i ślady po ospie na twarzy. - Hej, Fastrada, ja zaniósę opończę jego lordowskiej mości. Lubi mnie, a ja chcę trochę tego miodu, który gromadzi... Moja rodzina potrzebuje tkanin na posag mojej siostry.

- Uwważaj, Uota, żebyś nie weszła w ogień - powiedziała cicho Frederun.

- Nie słyszałam o twej nieśmiałości - odparowała Uota, zarumieniona z gniewu - gdy lord Wichman bił cię dla swojej przyjemności. Mówi się, że łatwo mu się oddawałaś, kiedy był w swoim księżęcym nastroju.

- Cicho, Uota! - krzyknęła Fastrada, choć Frederun nie odpowiedziała, przysiadłszy na ławce obok Anny. - Przybyłaś do miasta niedawno. Nie wiesz, ile my tu przecierpiałymy...

Uota wzięła płaszcz i wyszła.

- Do pracy - zaczęła Fastrada, podczas gdy reszta dziewcząt udawała, że cała ta sprawa nic jej nie obchodzi, choć tak naprawdę w pokoju służby nie było sekretów. - Frederun...

Młoda kobieta uniosła rękę, uprzedzając dalsze komentarze. Po chwili Fastrada wstała, chcąc dopilnować trzech kobiet, które czyściły srebrną zastawę.

Anna przyglądała się Frederun z zainteresowaniem i współczuciem zarazem. Wydawało się jej, że one dwie mają ze sobą coś wspólnego. Przetrwały najgorszy rodzaj doświadczeń, a teraz wiodły spokojne i względnie dostatnie życie, mając ciepłe łóżka i dwa obfite posiłki dziennie. A jednak po wyrazie twarzy Frederun poznała, że dziewczyna odczuwa tak samo jak i ona pewien rodzaj niezadowolenia, przykry i tajemniczy jednocześnie. Dlaczego ona, Anna, nie potrafiła być szczęśliwa, tak jak na przykład Matthias?

Mała Helena podniosła nagle głowę, wyjęła różę zza ucha i wręczyła ją Frederun.

- Och, dziękuję ci, dziecinko. - Z oczu Frederun pociekły łzy. Przytuliła różę do twarzy i powąchała ją, uśmiechając się ze smutkiem. - Cały zapach zniknął. Gdzie znalazłyście taki skarb?

Anna pokazała to gestami na tyle precyzyjnie, na ile mogła. Frederun obserwowała ją uważnie, starając się wszystko odczytać.

- Przy murach miejskich? Nie... Tutaj, przy murach pałacu. Ach, oczywiście! To jeden z darów, którzy przynoszą ludzie. - Jej twarz spochmurniała i nabrała wyrazu namysłu. Frederun dotknęła zwisającego na szyi drewnianego Kręgu. - O niektórych rzeczach trudno zapomnieć - wymamrotała, głaszcząc płatki róży, po czym potrząsnęła głową i zmytygowała się. - Czy twoja ciotka, teraz, kiedy jest zaręczona z garbarzem, przygotowała i dla siebie taki piękny płaszcz?

Anna uśmiechnęła się i skinęła głową. Jednakże to, co przemknęło po twarzy Frederun, było trudne do określenia. Czy to był ból? Tęsknota? Zazdrość?

- Postępuje słusznie. Nikt nie wie lepiej ode mnie, co ona wycierpiała w Steleshame w rękach lorda Wichmana. Pamiętam, jak jej wtedy współczułam. Skąd mogłam wiedzieć, że i mnie coś takiego się przydarzy? - Wyprostowała się nagle, zachmurzona. - Nie ma sensu roztkliwiać się nad przeszłością, czyż nie tak, mała siostrzyczko? Wycierpiałaś więcej ode mnie, biedne dziecko, nie możesz wyrzec nawet słowa. - Wytarła plamkę sadzy z buzi Heleny. - A to biedne stworzonko, co stanie się z nią? Ma taką

śliczną buzię, że będzie to kiedyś jej utrapieniem.

Helena uśmiechnęła się do Frederun. Była najszczęśliwszym ze stworzeń, przynajmniej dopóty, dopóki była najedzona i czysta. W słowach Frederun zabrzmiała prawda i dlatego serce Anny przeszył ostry ból. Najprawdopodobniej z głową Heleny nigdy nie będzie wszystko w porządku, a gdy dorośnie, jej dziecięcy wdzięk przyniesie jej tylko cierpienie.

- Chodźcie - powiedziała energicznie Frederun. - Dokończcie swoje jedzenie i wyprawię was do domu, bo mistrzyni Zuzanna będzie się niepokoić o ciebie i to małe kaczątko. Niedługo zapadnie zmierzch.

Wstała i przywołała jedną ze służących, gdy tymczasem drzwi pchane porywem wiatru otworzyły się i do pokoju służby weszło dwóch strażników. Ich brody pokryte były szronem, oni sami zaś pocierali dłonie, by je nieco ogrzać.

- Ho, pani Frederun! - zakrzyknął jeden z nich donośnie. Był przyzwyczajony do głośnego mówienia, gdyż wymagała tego jego praca. - Nadjeżdża duża grupa szlachetnie urodzonych panów i jego lordowska mość. Chcą skorzystać z gościnności lorda Hrodika.

Frederun zamarła niczym królik, na którego nieoczekiwanie padł cień sowy.

- Kto to może być? Czy to powraca lord Wichman?

- Nie. Oni przybywają z zachodu. Zdążają na wschód, by walczyć z Qumanami. Nie widziałem sztandaru ani nie rozmawiałem z forysiami. Musisz sama zobaczyć, kto to taki.

Frederun nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo oto do wnętrza wpadło trzech zaaferowanych służących lorda Hrodika z jego rozkazami.

Anna schwyciła kawałek ciasta i szybko go przełknęła. Potem wzięła swoje ubranie i wraz z Heleną pospieszyła do wyjścia. Kiedy wyszły na podwórzec, uderzył je silny wiatr. Stajenni konferowali ze sobą, a plac przypominał ul, po którym kręciły się zabiegane pszczoły. Dwóch forysiów dyskutowało ze stajennymi, lecz po ich ubiorach nie można było wywnioskować, jakiemu panu służą. Gdy Anna i Helena wychodziły przez zachodnie wrota, nikt nie zwrócił na nie uwagi. One z kolei nie widziały żadnego pocztu wojennego, kiedy przechodziły przez rynek, mijając katedrę i pałac burmistrza. Wschodnie wrota były teraz kupą kamieni, na której niejedno dziecko złamało rękę lub nogę. Za rynkiem mieściły się stoiska handlarzy, w zimie puste z wyjątkiem kramu rzeźnika.

Z Heleną depczącą po piętach, Anna przeszła przez rynek ku bramie prowadzącej do miejsca, który teraz nazywała domem. Był to warsztat prowadzony przez Zuzannę, kobietę nazywaną jej ciotką. W Steleshame znano ją jako siostrzenicę mistrzyni Giseli, zaś w Gencie uważano Zuzannę po prostu za tkaczkę. Oczywiście w mieście tak dużym jak Gent, które - według szacunków biskupiny - zamieszkiwało pięć tysięcy ludzi, byli jeszcze inni tkacze. Jednakże u nikogo z nich nie zamawiano pięknych płaszczy i tunik dla lordów zamieszkujących pałac burmistrza.

Na podwórku, przy rynnicy, stał osioł z wyciągniętą do przodu nogą, jak gdyby starał się utrzymać równowagę na wietrze. Raimar piłował drewniane kłocce. Jego jasne włosy związane były do tyłu. Miał na sobie letnią tunikę. Lekki materiał ukazywał jego szerokie bary. Spod piły leciały drzazgi, rozpryskując się jak drobiny złota na zamrożonej ziemi.

Młody Autgar trzymał za drugi koniec piły. Śpiewał, fałszując, o bólu rozdzierającym jego serce, bo kilka dni temu ujrzał piękną pasterkę. Była to dziwna pieśń jak na żonatego od dwóch lat Autgara. W Steleshame poślubił jedną z tkaczek Zuzanny i miał z nią dwoje dzieci.

Raimar zagwizdał krótko i odłożył piłę. Z uśmiechem odwrócił się do dwóch dziewcząt.

- Idź do warsztatu, Anno. Weź te tkaniny. Zuzanna pytała o ciebie. Na twarzy masz jeszcze okruszki. Mówiłem ci, że ugoszczą cię w pałacu burmistrza!

W odpowiedzi Anna uśmiechnęła się, natomiast Helena pobiegła, by poobserwować bulgocący gar do farbowania. Tym razem farbowano w nim materiał na intensywnie żółty kolor.

Anna pozostawiła Helenę na zewnątrz i poszła do warsztatu. Był to długi, niski i zadymiony budynek. Stały w nim cztery krosna, przy których pracowały trzy tkaczki Zuzanny. Każdej towarzyszyła jedna uczennica. Pomiędzy nimi raczkowało dziecko, a w kołysce spało niemowlę, doglądane przez jedną z dziewcząt.

Anna przeszła przez boczne drzwi, prowadzące do ciemnego pokoju, gdzie składowano surową, nieobrobioną wełnę, jej motki i niesprzedaną jeszcze odzież. Lubiła panujący tu ciężki, ostry zapach. Zuzanna stała za stołem, targując się z farmerem z Zachodnich Farm nad przędzą, którą jej przywiózł.

- Ta partia nie jest tak dobrej jakości jak poprzednia. Nie mogę ci tyle za nią zapłacić...

Anna położyła tkaniny na stole i wyciągnęła swój mały kołowrotek. Chciała się czymś zająć, podczas gdy targi dobiegały końca. Farmer wziął pieniądze i zostawił przędzę.

- Masz okruszki na twarzy, Anno - zauważyła Zuzanna, zabierając się do sortowania przędzy i

układania jej na półkach zgodnie z jakością i czystością. - Mam nadzieję, że nakarmili cię dobrze, bo dziś wieczorem pościmy. Raimar przyniósł wieści z garbarni. - Popatrzyła na Annę z uśmiechem. Ten uśmiech, niestety, sprowadził na nią kłopoty, ponieważ czynił jej twarz różaną i śliczną. - Nie, pozwolę, by powiedział ci to Matthias! Chodź, pomóż mi z tą przędzą. Weź tę ze spodu. Z tej półki. Zaszedł do nas przeor Humilikus. Przyjmują dwunastu nowicjuszy w dniu świętego Euzebiusza i potrzebują materiału na dwanaście szat. Wiesz, że córka Hano siodlarza wychodzi za mąż następnej jesieni? Za młodego człowieka z Osterburga, wyobraź sobie!

Paplała w przyjacielski sposób tak długo, aż uprzętnęły całą przędzę. Był to jej sposób na to, by Anna poczuła się dobrze. Potem Zuzanna powróciła do swego krosna, natomiast Anna wzięła na ręce dziecko, które obudziło się i zaczęło marudzić. Dzięki temu matka mogła spokojnie dokończyć pracę.

Po południu, kiedy zmrok zaczął już z wolna zapadać, zjawili się Matthias, Raimar i Autgar. Matthias był wyższy od niej i bardziej postawny w wyniku obfitych posiłków i ciężkiej pracy. Czuć było od niego zapach garbami, a gdy umył ręce, wreszcie zdradził najważniejszą wiadomość tego dnia:

- Anno! Zostałem przyjęty do garbarni jako czeladnik!

Jego słowa sprawiły, że zrobiło jej się zimno, choć zdobyła się na przytulenie Matthiasa. Odsunawszy się od niej, mówił dalej, wymieniając spojrzenia ze swą narzeczoną, najmłodszą z tkaczek Zuzanny, która wraz z nią opuściła Steleshame. Była to dziewczyna w jego wieku o okrągłych policzkach i zręcznych rękach.

- Zamieszkać przy garbarni i będę miał wolny każdy Hefensday.

Wszyscy zaczęli mówić, przygotowując się do wigilii tego dnia. Zaczęto myć ręce, czyścić ubrania, kobiety poprawiały szale na włosach. Ponieważ Anna nie mogła wziąć udziału w rozmowie, stała przy drzwiach jak zagubione dziecko, przyglądające się towarzystwu, do którego nie jest dopuszczone. Matthias zaczynał własne życie. Po wszystkim, co razem przeżyli, teraz ją opuszczał. Nidy już nie będzie w jego życiu niczym więcej niż tylko wspomnieniem. Nie była też niczym więcej w życiu innych ludzi, choćby starali się traktować ją nie wiem jak uprzejmie.

Zamyślona, pociągnęła palcem po swoim drewnianym Kręgu Jedności. Był to gest, który wykonywała jej matka w chwilach strachu, smutku czy zmartwienia. Co stało się z księciem Eików, który, kiedy podkradli się do drzwi katedralnej krypty, przyjrzał im się w milczeniu i pozwolił odejść wolno? On także przejechał palcem po noszonym na piersi Kręgu Jedności. Anna wciąż nie mogła pojąć, dlaczego dziki Eika nosił znak Kręgu, symbol wiary w Zjednoczonego Boga.

Nagle w jej oczach stanęły łzy, przynosząc gorzkie wspomnienie młodego lorda, klęczącego przed nią w Steleshame i mówiącego do niej tak pięknie. Nic mu nie odrzekła i wówczas straciła mowę, jak gdyby Bóg ją pokarał za to milczenie.

- A więc, Anno, to wspaniały dzień dla Matthiasa, nieprawdaż? - Zuzanna uśmiechem przyciągnęła ją do siebie, gestami wskazując na innych, by się zbierali do wyjścia. - Wyglądasz całkiem dobrze, dziewczyno. Nie będziesz nam miała za złe, jeśli pójdziemy jako jedna wspaniała, bogata rodzina do kościoła?

Helena bawiła się na rękach u Raimara, a on śmiał się dobrodusznie, gdy próbował zetrzeć ślady sadzy z jej policzka. Reszta obecnych ruszyła za Zuzanną niczym stadko owiec i po chwili szli już w pięknym pochodzie ciemnymi ulicami ku katedrze.

W dniu zwanym Lordsday w katedrze kłębiło się mnóstwo ludzi. Jutro miał być Hefensday, siódmy, najważniejszy dzień tygodnia. Kiedy Zuzanna wraz ze swoją grupą weszła do kościoła, nabożeństwo właśnie się zaczęło. Poszli szybko do nawy, znajdującej się pod oknem, na którym widniał wizerunek błogosławionego Daisana, zwracającego się do swoich uczniów. Na jego ubraniu wciąż widniał ślad po pocisku, którym Eikowie przestrzelili okno. Większa część kolumn przetrwała jednak najazd Eików. Kamienne anioły, chimery i orły nosiły na sobie ślady ostrzału, jak gdyby poszarpała je bestia zdolna rozkruszyć kamienie. Wyłożona kostką podłoga została już oszlifowana na tyle, że pozostało na niej zaledwie kilka śladów po ogniu, który trawił to miejsce. Potraskane okna już wymieniono i tylko jedno z nich wciąż było zabite deskami.

Kleryk rozpoczął mszę od siedmiodniowego hymnu *Szczęśliwy jest człowiek, który szuka ucieczki w Bogu*.

Ołtarz wyczyszczono, wypolerowano i umieszczono na nim święty kielich ze złota oraz księgę w oprawie z kości słoniowej, zawierającą Święte Wersy, które mnisi i kleryk czytali podczas mszy. Tylko jeden przedmiot wprowadzał dysonans: gruby łańcuch przybity żelaznym gwoździem do podstawy ołtarza.

Anna przypominała sobie, jak Krwawe Serce przykuł do ołtarza demona. Te wspomnienia nachodziły ją

zawsze, gdy przychodziła na mszę. Zuzanna zauważyła, że Anna drży. Położyła jej rękę na ramieniu.

„W krypcie jest droga, której szukacie”, powiedział demon swoim chrapliwym głosem. Tą właśnie drogą ona i Matthias uciekli z Gentu.

A jednak to Eika stał w milczeniu, pozwalając im uciec. Matthias zapomniał o tym, ale ona nie zapomni nigdy.

Niemowlę zasnęło, ale tylko na chwilę. Wkrótce zaczęło szukać piersi matki. Mnisi natomiast śpiewali rozpoczynając mszę pieśni.

- Gdzie twoim zdaniem jest lord Hrodik? - zapytał Zuzannę

Raimar. Zauważył, że Anna mu się przygląda i uśmiechnął się do niej. Eikowie zabili całą jego rodzinę, młodą narzeczoną, rodziców i trzech braci. Podobnie jak Zuzanna próbował odbudować swoje życie. Z tego powodu, a także ze względu na wzajemny szacunek, kilka miesięcy temu postanowili się zaręczyć. Ślub miał się odbyć w lipcu.

Zuzanna wyciągnęła szyję i przyjrzała się ludziom stojącym z przodu kościoła. Miejsce lorda blisko ołtarza było puste.

- Nie opuścił żadnej wigilii Hefensday, odkąd lord Wichman wyjechał z miasta. To chyba było jakieś osiem miesięcy temu.

- Nie, mój drogi. Opuścił mszę wtedy, gdy złapała go burza i kiedy złamał nos.

Zuzanna zachichotała. W Steleshame nie śmiała się wiele. Nikt zresztą nie śmiał się wtedy często. Gdy ciotka Gisela wyrzuciła ją jak psa, Zuzanna nie miała już w ogóle żadnego powodu do śmiechu. Teraz dobrobyt uleczył jej rany. Wyglądała na całkiem szczęśliwą.

Anna też chciałaby taka być, ale każdej nocy śniła o młodym lordzie, spadkobiercy hrabiego Lavastine'a. Nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Wydawało się jej, że łąka i jest zagubiony, rozdarty pomiędzy smutkiem a wściekłością ze względu na poniżenie i ból, które musieli cierpieć ci, których kochał.

Pewnie mogłaby mu pomóc, gdyby miała głos. Bóg ją jednak pokarał.

Mnisi zaintonowali hymn. W tym czasie z bocznej kruchty wyłoniła się biskupina i zajęła miejsce na podwyższeniu za ołtarzem.

*Niczym sucha i spragniona kraina, w której nie ma wody,  
Tak ja szukam Boga,  
Moje ciało marnieje z tęsknoty  
I przychodzę przed oblicze Boga do sanktuarium.  
Podnoszę swoje ręce do modlitwy  
I jestem tak szczęśliwy jak podczas uczty  
A podczas czuwania w nocy  
Ufam miłości, która mnie chroni.*

Mnich nagle zgubił ton, jego twarz pobladła i w całej katedrze, poczynawszy od drzwi aż do ołtarza, zapadła cisza. Wszyscy odwrócili wzrok.

W drzwiach katedry stał jakiś szlachetnie urodzony młodzieniec. Wyglądał na zmarzniętego. Wahał się nieco, jak gdyby nogi nie mogły go ponieść w stronę nawy. Wysoki i barczysty, wyglądał jak cudzoziemiec: miał ciemną cerę, wysokie kości policzkowe i kruczoczarne, luźno opadające na ramiona włosy. Jego widok zatrwożył Annę i sprawił, że poczuła suchość w ustach. Przybysz wyglądał znajomo, lecz nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go spotkała. Za jego plecami stał zażenowany lord Hrodik. Patrzył na obcego z trwogą.

Wzrok przybysza spoczął na zgromadzonych. Przez krótką chwilę Annie zdawało się, że obcy spogląda na Zuzannę. Ona zaś wymamrotała coś pod nosem - nie wiadomo, czy miał to być protest, czy modlitwa - i ukryła twarz na ramieniu Raimara.

Nieznajomy przeszedł pomiędzy rzędami wiernych, nie rozglądając się na boki. Raźno zbliżył się do ołtarza i popatrzył na łańcuch, leżący przy kamiennej podstawie ołtarza. Jego nozdrza rozchyliły się jak u konia. Biskupina powstała z miejsca, a on uklęknął. Nie powitał jej. Dotknął łańcucha tak, jakby to był wąż truciciel.

- Boże chroń nas. - Matthias złapał rękę Anny tak mocno, że aż poczuła ból. - To demon!

Anna potrząsnęła głową. Demon uwięziony w tym miejscu przez Krwawe Serce nie był człowiekiem; on tylko przyjął ludzką postać, gdy pojawił się na ziemi.

- To wcale nie demon - ciągnął Matthias bez tchu - ale wysoko urodzony pan, księżę, o którym mówiono. Ale jakim cudem ocalał?

Spocony i drżący, księżę upadł na kolana. Wyglądał tak, jakby miał się więcej nie poruszyć. Lord Hrodik pospieszył za nim, chcąc protestować, lecz szczupły mnich stanął pomiędzy nim a klęczącym i gestem poprosił lorda, by odszedł.

Nielatwo było zaskoczyć biskupinę Suplicię, ale tym razem otworzyła usta ze zdumienia. Następnie na nowo podjęła śpiew dźwięcznym sopranem. Stopniowo, z trudem łapiąc powietrze, dołączyli się do niej mnisi. Wielu z nich nie mogło przestać wpatrywać się w mężczyznę w pięknej tunice, z bogato zdobionym pasem. Trudno było powiedzieć, czy człowiek ten był nadzwyczaj pobożny, doznał łaski Boga, czy po prostu starał się nie upaść na duchu. Mocno ścisnął łańcuch, aż zbieleły mu kostki, a z jego zranionego palca pociekła krew.

Tak oto zgromadzeni w kościele, z niezadowolonym lordem Hrodikiem na czele, dotrwali do końca mszy. Księżę nie wypowiedział ani jednego słowa, a gdy biskupina wzniosła ręce do nieba podczas finalnej modlitwy, podniósł się tak gwałtownie, jak gdyby ktoś go uszczypnął. Niczym wiatr zesłany z nieba podążył szybko wzdłuż rzędów w kierunku wyjścia, a potem wszedł w tłum, który się przed nim lekko rozstał.

Anna usiłowała przedostać się do przodu, używając łokci. Wierni byli mocno podekscytowani, wszyscy mówili naraz. Księżę skierował się ku prowadzącym do krypty drzwiom. Nikt za nim nie pospieszył. Krypta w czasie najazdu Eików służyła jako kostnica i rzadko kto miał odwagę tam wejść.

Ale Anna musiała go znaleźć, przekonać się, czy to ta sama istota. Prawdopodobnie tylko udawała człowieka, a może rzeczywiście nim była, ulepionym z innej gliny niż reszta ludzi.

Zaczęła się spuszczać po stromych schodach, pamiętając, że ciemność uderza gwałtownie. Hałasy dobiegające z kościoła nagle ustały jak ucięte nożem, a ona potknęła się na ostatnim stopniu, ale nie upadła.

Nic nie widziała.

Przybysz natomiast odezwał się ciemnościach:

- Liath?

To był szept. Gdy go usłyszała, wspomnienia uderzyły w nią z ogromną siłą. Zrobiło jej się niedobrze ze strachu, a serce waliło jak oszalałe. Ten chrapliwy głos... Teraz nie brzmiał zbyt wyraźnie, ale... Nigdy go nie zapomni.

Milczała.

Po chwili usłyszała stukot butów. Bezdźwięczne przekleństwo spłynęło z jego warg jak syk. Potem schwycił jej ramię.

- Kim jesteś? - zapytał.

Dotknął jej twarzy, przesunął po niej ręką, chrząknął i, zrezygnowany, puścił ją.

W ciemności pojawiło się nagle światełko, które jednak zaczęło się przybliżać. Anna zamrugła. Szczupły mnich ostrożnie schodził po krętych stopniach.

- Sanglant? - Poruszył pochodnią i krąg światła padł na Annę.

- Czy znasz tę dziewczynę? - zapytał księżę. - Wygląda znajomo, ale nie pamiętam, gdzie ją widziałem.

Anna pragnęła mu to powiedzieć, lecz nie mogła wyrzec słowa.

- Kim jesteś? - zapytał łagodnie kleryk, przyglądając się jej. Potrafiła tylko potrząsnąć głową. Nagle ruszył w głąb krypty, ku płytom nagrobnym zmarłych świątobliwych osób, tych, które sprawowały godność biskupiny i diakonis. Anna pospieszyła za nimi, wiedzona ciekawością i pragnieniem. A poza tym nie chciała pozostać sama w ciemnościach.

- Przyprowadziła ich tutaj - rzekł księżę do swego towarzysza. - Liath przyprowadziła tutaj uciekinierów. Tutaj było przejście, jak mówią. W ten sposób uratowano dzieci z ruin Gentu.

Ruszyli dalej w mrok rozpraszany tylko światłem niewielkiej pochodni. Anna była zbyt przestraszona, by ich opuścić. Na każdym kroku spodziewała się natknąć na kości i rozkładające się ciała poległych żołnierzy. Gdy uciekała tędy z Matthiasem, było ich sporo, ale nie teraz. Nie było nawet kostki małego palca czy czegokolwiek innego. Cudowne światło świętej Krystyny wskazywało im drogę poprzez kryptę ku tajemnemu przejściu, ale w chwili obecnej Anna nie mogła sobie przypomnieć, którędy szli.

Księżę zatrzymał się przy jednym ze świeżo wyrzeźbionych kamieni, przedstawiającym kobietę w zbroi. Jej twarz była spokojna, lecz pomimo to zdradzała jakiś upór.

- To musi być grób siostry lorda Hrodika, lady Amalii. Zginęła podczas zdobywania miasta.

- Chodź, przyjacielu - rzekł ze smutkiem mnich - opuścimy to miejsce. - Popatrzył na Annę, świadomy, że za nimi podążała.

- Czy umiesz mówić, dziecko? Czy znasz przejście, o którym mówi książę Sanglant?  
Zdobyła się tylko na potrząśnięcie głową. Wiedziała, że nigdy już go nie odnajdzie.

- Przejście jest zamknięte nawet dla mnie - rzekł z goryczą książę. - Ach, Heribercie, serce wyrywa mi się z piersi. Minęło pięć miesięcy. Czy to, co widziałem pod Angenheim, było tylko mirażem? Liath już chyba nie żyje.

- Nie, nie mów tak. Skąd możemy to wiedzieć? Jest tak wiele tajemnic, których nie możemy ogarnąć.  
Książę odrzucił głowę w tył i zawył jak pies. Odgłos ten rozbrzmiał w całej krypcie, odbijając się szerokim echem. Mnich potknął się i wpadł na Annę, o mało nie upuszczając pochodni.

Księżcia przeszył dreszcz, przyłożył dłoń do głowy. Oświetlający go płomień drżał, po czym z wolna się stabilizował, Heribert bowiem schwycił pochodnię pewną dłonią.

- Wasza Wysokość? - powiedział łagodnie.

Na twarzy księcia Sanglanta malował się smutek i złość, a spojrzenie miał niezupełnie przytomne.

- Nie, wybac mi, przyjacielu. Liath kiedyś stała tu ze mną, gdy Krwawe Serce rozwałował mury. - Stracił oddech, po czym mówił dalej: - Panie, pomóż mi. Nigdy nie sądziłem, że będę miał dość odwagi, by dotknąć tego łańcucha.

- Chodź - rzekł Heribert. - Wykazałeś dość odwagi jak na jeden dzień. Lord Hrodik obiecał nam najlepsze wino w Saony.

- To nie jest największe pragnienie, jakie żywię. - Sanglant wyszedł z kręgu światła w ciemność. Ponieważ stał odwrócony plecami, Anna nie widziała wyrazu jego twarzy. - Słyszałem, że moje Smoki zostały tu strącone, by zgniły, lecz nie widzę po nich śladu.

- Przez chwilę stał w milczeniu. Pochodnia przyskała i strzelała. Dym podrażniał nos Anny. Odetchnęła głęboko i kichnęła.

- Chodź - powiedział książę, po czym wziął pochodnię z rąk mnicha i zaczęli wracać do katedry.

- Dlaczego zesłaś do krypty? - pytała potem Zuzanna, kiedy już wydostali się z tłumu i znaleźli się w domu przy płonącym palenisku. Było tak ciepło, że mogli zdjąć płaszcze i usiąść przy ogniu, popijając rozgrzewający cydr. Służąca, która została, by doglądać domu, przyniosła im kubki, następnie nalala także sobie. - Tam było ciemno. Mogłaś upaść.

Anna nie rzekła nic.

Zuzanna upiła łyk cydru, lecz nie porzuciła nurtującej jej sprawy.

- Co on ci powiedział? - Jej palce zdawały się zadawać kolejne pytanie, gdyż bawiła się swoimi włosami. Zerknęła na Raimara. Ten odwzajemniał spojrzenie z namysłem i błyskiem zmartwienia w oczach. - Dlaczego poszłaś za księciem do krypty?

Anna nie mogła odpowiedzieć, nawet używając znaków, którymi zazwyczaj się komunikowała. Nie mogła odpowiedzieć, bo sama nie wiedziała.

Było tak wiele tajemnic, których ludzie nie mogli ogarnąć.

## 2

Ku swemu zdziwieniu Zachariasz zaczął podziwiać księcia. W trakcie tych miesięcy, gdy podróżowali od jednej szlacheckiej siedziby do drugiej, okazało się, że książę był szczerzy i uczciwy. Był także dobrym przywódcą i nigdy nie prosił nikogo o wykonanie tego, czego sam by nie chciał zrobić.

- Nie, nigdy nie spodziewałem się, że z własnej woli będę podążał w jakimś pańskim orszaku - powiedział Zachariasz do Heriberta, z którym dzielił talerz w wielkiej sali pałacowej w Gencie. Wino lało się strumieniami, a młody poeta zaintonował hymn upamiętniający spotkanie pomiędzy sędziwą Herodią z Jeshuvi a błogosławionym Daisanem, podczas którego przyszła święta przepowiedziała, że młody Daisan przyniesie światło pogrążonemu w barbarzyństwie światu.

- Prawdę rzekłszy, nigdy nie sądziłem, że będę wieczerzał z człowiekiem niskiego stanu - rzekł z namysłem Heribert. Sanglant siedział przy wysokim stole. Pił sporo, lecz niewiele mówił. Za to młody lord Hrodik gadał wiele o polowaniu na dzika, kiedy to złamał nos.

- Unikałem ludzi takich jak ty i dlatego wolałem zostać bratem zakonnym niż mnichem, bo w klasztorze musiałbym skłaniać głowę przed panem z możnego rodu. Moja babka nienawidziła wysoko urodzonych tak samo jak złodziei i gburów. Mówiła, że żyją z pracy uczciwych rolników i zmuszają do wiary w



Zjednoczonego Boga, choć oni woleliby wyznawać stary obrządek.

- Była poganka?

- To prawda, była. Czcila starych bogów. Oni wynagrodzili jej silną wiarę długim życiem, pomyślnością i wieloma wnukami.

Heribert westchnął. Młody mnich miał wąską, rozumną, delikatną twarz i najbardziej arystokratyczne manery ze wszystkich szlachetnie urodzonych, jakich znał Zachariasz, choć szczerze mówiąc, nie znał ich aż tak wielu. Ku swemu żalowi spędził większą część młodości pomiędzy barbarzyńskimi plemionami Qumanów.

- To, co spotkało twoją babkę, to zupełnie inna sprawa. Boję się o twą duszę, Zachariaszu. Nie modlisz się wraz z nami.

- Modłę się na swój sposób, lecz nie do bogów mej babki. Ale nie rozmawiajmy już o tym, proszę cię, bo nic, co powiesz, nie zmieni mego zdania. Miałem widzenie...

- Masz zamiar powiedzieć, że to nie Wrogi zamydla ci oczy?

- Daj pokój, przyjacielu. Wiem, co widziałem.

Heribert podniósł rękę na znak kapitulacji.

Zachariasz zachichotał.

- Nie będę już ranił twych uszu wizją, którą mi zesłano. Przynajmniej od tego jesteś wolny.

- Ale niestety nie od zawodzenia poety.

Zachariasz prychnął, bo zaiste poeta nie był tak utalentowany, jakby tego należało oczekiwać. Może był pijany...

- Lepsze już występy poety niż przechwałki lorda Hrodika. Czy pośród służących jest tu jakiś mężczyzna? Wszystkie są kobietami, których łóżka odwiedza każdej nocy. - Zachariasz nigdy nie pozbył się niechęci do narzucanego jarzma i w jego głosie dało się słyszeć zdegustowanie. - Przypuszczam, że te służące nie są wolne i nie mogą porzucić służby, nawet jeśli by tego pragnęły.

Heribert popatrzył na niego zaskoczony.

- Wszyscy w jakiś sposób od kogoś zależymy. Władcy i skoposy są wasalami Boga. Jaka tu jest różnica?

Zarządzająca służbą stała nieco na uboczu, kierując przepływem dań i napojów. Była wyjątkowo ładną dziewczyną, choć jej twarz szpeciła blizna usytuowana na dolnej wardze, jak gdyby kobietę bito aż do krwi. Lord Hrodik był zdecydowany zrobić z siebie osła, wciąż ją przywołując, choć każdy idiota widział, że biedna dziewczyna uległa czarowi księcia Sanglanta. Usilnie próbowała nie patrzeć na księcia, przez co wszyscy wiedzieli, że ma na to ochotę.

- Ach, Panie - rzekł Heribert ze smutnym uśmiechem - jest tu jedna kobieta, której książe Sanglant wpadł w oko.

- Skąd to możesz wiedzieć? Wydaje mi się, że on nie patrzy na nią częściej niż na innych.

Heribert zachichotał.

- Tak ci się wydaje? Ona zapewne uważa co innego. Jest zgrabna i ładna. Obawiam się, że nasz książe jest podatny na wdzięki takich kobiet jak ona.

- Ładna, to prawda - przytaknął Zachariasz. Nigdy nie sprzeciwiał się admiringowi urodziwych niewiast, a przed kastracją kilka razy zламаł różne mnisie przysięgi. - Może jednak powinieneś zadbać bardziej o własną cnotę niż o cnotę księcia.

Heribert chrząknął.

- Nie, przyjacielu, uroki kobiet na mnie nie działają. Żal mi biednego lorda Hrodika. Przy księciu Sanglancie wypada blado, głównie przez swoje nieustanne przechwałki.

- Doprawdy, nie przetrwałby ani jednego dnia pomiędzy qumańskimi plemionami. Byli poganami i żaden mężczyzna pośród nich nie odważyłby się na chępliwość, dopóki by nie udowodnił, że jest wojownikiem albo myśliwym.

- Świta lorda Hrodika jest zgodna, że w zeszłym miesiącu ubił capa, tak więc może uchodzić za myśliwego.

Zachariasz wybuchnął śmiechem, nie przywykł bowiem do tego, by Heribert uciekał się do sarkazmu.

Nagle książe Sanglant wstał. Poeta przerwał swoje recytacje, rozglądając się niespokojnie, jak gdyby bał się, że do sali wkroczy jakaś uzbrojona grupa.

- Proszę cię, bracie - rzekł książe, zwracając się do Zachariasza, od którego dzieliły go dwa stoły - jeśli możesz wyrecytować hymn do świętej Herodii, zrób to. Znasz go świetnie, czyż nie tak?

Zachariasz wstał.

- Mogę go wyrecytować, jeśli tego sobie życzysz, Wasza Wysokość.

- To mnie wielce ucieszy. - Sanglant wstał zza głównego stołu i ruszył ku Heribertowi. Usiadł na miejscu Zachariasza i wypił to, co zostało na dnie pucharu, pozostawiając tylko osad. - Nie mam cierpliwości, by słuchać, jak szczenię chwali się machaniem ogonem, ani nie mam jej do pochlebcy, który nazywa siebie poetą. - Rozejrzał się z desperacją, opróżnił kielich, a ładna dziewczyna pospieszyła go napełnić, przelewając wino przez srebrne sitko, zatrzymujące męty. Sanglant przyjrzał się jej. Nie spuściła wzroku, toteż tym razem ksiązę był pierwszym, który go odwrócił. Lekko się przy tym zarumienił, choć rumieniec był trudno dostrzegalny przy jego ciemnej cerze. Lord Hrodik zwrócił się do niej ostrym tonem, a ona żwawo ruszyła, by mu usługiwać.

- Ach, Panie - wymruczał ksiązę - nie jestem stworzony na mnicha.

- Nasz ksiązę pan idzie ku zatraceniu - powiedział Heribert do Zachariasza.

Kiedy był młody, Zachariasz wymyślił sposób ułatwiający zapamiętywanie ulubionych hymnów i wersów. Wyobrażał je sobie mianowicie jako zwierzęta w stajniach, zamknięte w oddzielnych przegrodach. Każda zaś z przegród była oznaczona przez jakiegoś ptaka lub roślinę, tak by przypominać Zachariaszowi pierwszą frazę lub wers. Przechodząc w swej wyobraźni między przegrodami, zobaczył sępa, który nosił miano proroka wśród zwierząt. Sęp miał w dziobie kłos jęczmienia, zwany *hordeum* w języku Dariyan, co brzmiało podobnie do tytułu „Herodia”. Przypomnienie sobie pierwszych słów zabrało mu tyle czasu, co księciu opróżnienie kielicha.

*Pozwólcie mi wygłosić pochwałę pierwszego proroka, zwanego Herodią,  
Która przemierzała ulice i świątynie Jeshuvi  
I nie odwracała oczu od słabości śmiertelników,  
Ani też nie obawiała się surowo gromić tych, którzy łamali Boże prawa.*

Słowa popłynęły z łatwością, jedno następując po drugim jak w łańcuchu. Zachariasz miał do tego talent. Jak mawiała jego babka, zapewnili mu go bogowie. Mnich, który niósł słowo Zjednoczonego Boga do przygranicznych wiosek, pochwalił go kiedyś, mówiąc, że nadano mu właściwe imię, bo zaprawdę anioł zsyłający pamięć, Zachriel, musiał przelać na Zachariasza swe łaski.

*Pozwólmę więc, by święta Herodia pobłogosławiła i nas.  
Słowo jej bowiem jest słowem prawdy.*

Gdy skończył, usłyszał okrzyk księcia. Lord Hrodik natomiast porwał się na nogi.

- Spójrz, kuzynie! - zakrzyknął młody lord, gdy do sali weszła grupa ludzi, popatrując po sobie niepewnie. Na czele grupy stała młoda kobieta z szalem okrywającym włosy, co oznaczało, że jest właścicielką i głową domu. Była nawet ładniejsza od urodziwej służącej. Sanglant wstał z poufałym, czarującym uśmiechem na ustach.

- Pozwól tu, mistrzyni Zuzanno - rzekł Hrodik niecierpliwie. Zarówno kobieta, jak i jej towarzysze wahali się. - Wołam cię, byś mi dotrzymała towarzystwa. Chcę cię uhonorować, a nie zjeść. - Zaśmiał się z własnego żartu. Niektórzy z jego dworaków również się roześmiali.

Sanglant nie spuszczał wzroku z mistrzyni Zuzanny, odkąd tylko weszła do sali. Hrodik bardzo spektakularnie opuścił swe miejsce przy głównym stole i śpiesznie ruszył na środek pomieszczenia. Zawsze musiał być w centrum uwagi.

- Możesz bez obawy stanąć przy księciu Sanglancie, ponieważ jest księciem krwi i nie uczyni ci krzywdy. Chodź tutaj, bo chcę pokazać księciu Sanglantowi, jaką pomoc możemy mu okazać w Gencie. Jego żołnierze nie mają odpowiedniego odzienia na zimę. Chcę go przekonać, by zatrzymał się u nas przez chwilę, a w tym czasie my zapewnimy jemu i jego świcie płaszcze i zbroje, które będą dla nich odpowiednie. - O mało nie przewrócił się z gorliwości, a po chwili skinął na służącą. - Frederun. Przynies teraz, proszę, podarki, które mam zamiar ofiarować księciu, tak by potem mógł chwalić gościnnosć, której tutaj doświadczył!

Sanglant nie spuszczał wzroku z mistrzyni Zuzanny, lecz ona nie patrzyła na niego. Rzuciła mu tylko jedno krótkie spojrzenie. Człowiek stojący za piecami księcia położył rękę na jego ramieniu.

- Cóż - wymruczał Heribert, podczas gdy Zachariasz stanął za jego krzesłem. - Jest kobieta, która dorównuje urodą Liath.

Sanglant popatrzył na Heriberta z góry z ostrym uśmiechem, w którym więcej było irytacji niż

rozbawienia.

- Ja to nie mój ojciec, Heribercie.

- Nie. Król Henryk nigdy nie schodził na drogę rozpusty, nawet po śmierci żony.

- Jak bezgrzeszne spotkanie, podczas którego mężczyzna i kobieta z własnej woli łączą się ze sobą dla obopólnej przyjemności, można nazwać rozpustą? Pan i Pani poczeli Święte Słowo, bracie, czyż nie tak? Czy wszechświat i ziemia nie jest ich dziełem, dokonany dzięki pożądaniu?

- Połączyli się w prawy sposób.

Sanglant wybuchnął śmiechem, zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych na sali.

- Doprawdy, Heribercie, nie powinienem toczyć z tobą dysput religijnych. - Usiadł energicznie i zniżył głos. - Ale przysięgam ci, przyjacielu, nie sądzę, bym dłużej mógł pozostać cnotliwym.

Lord Hrodik pospieszył, by wziąć z rąk Frederun przepiękny szkarłatny płaszcz. Idąca za nią służąca niosła jakiś pakunek owinięty w kawałek płótna. Hrodik rozwinął płaszcz. Na jego widok podniosły się pełne aprobaty głosy gości. Szkarłatny płaszcz był starannie utkany i przyozdobiony. Wyhaftowano na nim dwa złote smoki, jeden obok drugiego.

- Oto dzieło mistrzyni Zuzanny, którą polecam twej uwadze, Wasza Wysokość. Racz przyjąć ten płaszcz jako podarek, wart jest twej znakomitości. - Zakładając płaszcz na ramiona Sanglanta, Hrodik niemal stracił dech. Jego szczupła, pryszczata twarz pęczniała z dumy. Skinął na młodą tkaczkę, by podeszła bliżej. Ta uczyniła to z wahaniem.

- Piękna rzecz, to prawda - rzekł książę tonem oznaczającym, iż chwali zarówno twórczynię, jak i płaszcz.

- Jak wiele płaszczy potrzebujesz dla swych żołnierzy? - zapytał Hrodik. - W swej świątyni masz, panie, sześćdziesięciu ludzi.

- Siedemdziesięciu jeden - odrzekł Sanglant.

Tkaczka poblądła.

- Panie, nie jestem w stanie zaopatrzyć cię w taką ilość odzieży w tak krótkim czasie!

- Nie! - zawołał władczo Hrodik. - To nie będzie krótki czas. Nie mogą udać się na wschód w tym zimnie ani też podczas wiosennych roztopów. Nie widzę powodu, by nie mieli tu zostać przez dwa lub więcej miesięcy!

Biedna tkaczka wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Zachariasz miał jednak silne przecucie, że do tego stanu doprowadziła ją nie wiadomość o ilości potrzebnej odzieży, ale widok księcia. Sanglant wciąż obserwował kobietę, wodząc palcem po wyszytym srebrną nicią wizerunku smoka.

Lord Hrodik przechodził sam siebie w próbach zadowolenia księcia. Teraz dostrzegł jego zainteresowanie smokiem. Skoczył do przodu i wyjął z rąk służącej zawiniętą w płótno rzecz. Zdjął z niej materiał i oczom zebranych ukazał się wspaniały hełm. Żelazo było ozdobione złotym wizerunkiem smoka.

Książę Sanglant podskoczył tak gwałtownie, że jego krzesło upadło, uderzając z trzaskiem o podłogę. Rzucił płaszcz w ramiona Heriberta i oparł się na stole, niepewny, czy nogi zdołają go utrzymać.

- Skąd masz ten hełm?

Hrodik wyglądał na zaskoczonego i odrobinę przerażonego gwałtownością księcia.

- Wydobyto go z krypty, Wasza Wysokość. Wydobyliśmy stamtąd mnóstwo zbroi, po tym jak król i hrabia Lavastine przywrócili w mieście panowanie ludzi. Z rozkazu lorda Wichmana naprawiono ten hełm i wypolerowano, lecz nikomu nie pozwolono go nosić. Wichman nie wziął go ze sobą nawet wtedy, gdy wyruszał na wschód walczyć z Qumanami.

Sanglant powoli się wyprostował.

- A co z resztą zbroi? - Te zwykle słowa nie mogły zamaskować bólu wyczuwalnego w jego głosie, choć książę zawsze miał chrypkę.

- Jej większą część zarekwirowali ludzie Wichmana - rzekł Hrodik - a jego matka księżna Rotrudis przysłała służących po resztę. Nie było drugiej tak cennej rzeczy jak ten hełm, choć wszystkie zbroje były znakomitej roboty... - Przerwał, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Bełkocąc jakieś nonsensy, położył hełm na stole pomiędzy półmiskiem z kurczakiem i misą ryby w rosole. - Proszę o twe wybaczenie, Wasza Wysokość. - Ręce mu się trzęsły. - Popełniłem błąd. Nie mogę ci podarować tego hełmu, ponieważ należy do ciebie, nieprawdaż? Był twą własnością, kiedy byłeś kapitanem Smoków.

Sanglant wahał się, po czym nieomal z niesmakiem dotknął hełmu. Po chwili wsunął palce do otworów na oczy i podniósł go, aby się baczniej przypatrzeć. Obrócił hełm i przyjrzał się inkrustowanemu wizerunkowi smoka. Zachariasz nie był pewien, o czym świadczy wyraz jego twarzy. Pod napięciem Sanglant skrywał głębokie emocje. Bez słowa wetknął hełm pod pachę gestem bardziej odruchowym niż

świadomym i wyszedł z sali biesiadnej, nie patrząc na nikogo ani nikogo nie przeprasząc. Po prostu wyszedł, a jego zaszępiła mina pasowałaby do człowieka, którego towarzysze padają przed nim kolejno, bez nadziei, by ocalić choć jednego.

Zachariasz słyszał historie o walce w Gencie od żołnierzy Fulka, ale wszystkie były opowiadane pod nieobecność księcia.

Zachariasz wiedział, że żołnierze szli za Sanglantem z zamkniętymi oczami. Może dlatego, że dawał im w zamian swe serce? Księżę Sanglant znał imię i historię każdego żołnierza ze swojej świty. Żaden jego zbrojny nie wątpił, że księżę poprowadziłby ich odważnie. Walczyłby u ich boku do końca, żałowałby każdego poległego i nie zapomniałby o rodzinach tych, którym z woli Boga nie udało się przeżyć.

- Chodź ze mną - powiedział Heribert po cichu.

Zachariaszowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy, jednak przy drzwiach zatrzymał się i obejrzał za siebie. Lord Hrodik szedł jak w otępieniu, mówiąc głosem niemal apoplektycznym:

- Chodźmy teraz, mistrzyni, do jego komnat. Musimy omówić, jakiego rodzaju odzienia potrzebuje księżęca świta.

Tkaczka miała miły głos, niski i melodyjny. Teraz nieco drżał.

- Wydaje mi się, lordzie Hrodiku, że księżę nie jest w nastroju, by nachodziła go zwykła prosta kobieta taka jak ja. Ja i inni tkacze z Gentu zaopatrzymy was we wszystko, jeśli tylko zechcesz...

- Nie! Nie! Księżę musi dostać dokładnie to, czego zapragnie! To wciąż ja jestem lordem tego miasta. Masz słuchać mego rozkazu!

- Proszę cię, bracie...

Heribert opuścił salę, a Zachariasz obejrzał się i zobaczył urodziwą służącą, Frederun, stojącą w cieniu, tuż przy drzwiach. Ponieważ wszystkie okna w korytarzu były zamknięte, trudno było dojrzeć jej twarz.

- Czy księżę zna tamtą kobietę? Tkaczkę?

- Towarzyszę księciu dopiero od pięciu miesięcy. Wiem niewiele o jego przeszłości. Po prostu chcę ci radzić, siostrze, byś nie dała owładnąć sobą żądzy. Nie wiem, w jaki sposób jesteś związana z tym miejscem, ale księżę wkrótce odjedzie. Ty zostaniesz....

- Jestem tutaj służącą, bracie. Czy radzisz mi pokornie znieść to, co dla mnie wyznaczył? Czy nie zasługuję na odrobinę szczęścia?

- Nie, siostrze, nie jestem tym, za kogo mnie uważasz - rzekł Zachariasz, którego lekko ubódl jej ton. - Moja rodzina wolała powędrować na wschód, niż cierpieć pod jarzmem władzy wysoko urodzonych. Powinnaś zadbać o siebie, nim ulegniesz cielesnym żądzom. Co, jeśli zajdziesz w ciążę?

- Lord Wichman przez sześć miesięcy zmuszał mnie, bym była jego dziewczką - powiedziała z goryczą - lecz nie zaszłam w ciążę. Boże. - Westchnęła rozdzierająco. - Czy widziałeś, jak on na nią patrzył?

Nagle odwróciła się i żwawo ruszyła korytarzem.

Strapiony Zachariasz udał się w stronę komnat księcia. Ten powitał go spojrzeniem tak ponurym, iż znać było, że coś mu leży na sercu. Stał pośrodku pomieszczenia, wysoki i barczysty. Na głowie miał hełm, który jednak zdjął, usłyszawszy kroki Zachariasza, zupełnie jakby nie chciał, aby ktokolwiek go w nim widział.

- Obawiam się, że zaraz odwiedzi cię lord Hrodik - poinformował Zachariasz.

- Panie, chroń mnie - wymruczał księżę, przechylając głowę i nasłuchując. - Ona jest z nim.

- Jaka ona? - zapytał Heribert ze swego miejsca przy stole. Przyglądał się Sanglantowi uważnie ze współczującym uśmiechem na ustach.

- Pani Gisela ze Steleshame miała urodziwą siostrzenicę o imieniu Zuzanna. Była doskonałą tkaczką. Tkała między innymi płaszcze dla królewskich Orłów. Po drodze do Gentu spędziliśmy tydzień w Steleshame, czyniąc przygotowania u płatnerza. - Sanglant zaklął i potoczył hełm w kierunku Matto, który pilnował śpiącej Blessing. Jej bezwładne ciało spoczywało wygodnie pośrodku wielkiego łoża Sanglanta.

Matto schwycił hełm, dziwiąc się, że jest taki ciężki. Przejechał palcami po złoceniach, oniemiały z zachwyty.

- Panie, pobłogosław mnie. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nawet król nie ma tak wspaniałego hełmu!

- Cicho, Matto - rzekł niezbyt uprzejmie Sanglant. - Nie mów bez szacunku o królu Henryku. Jego władza pochodzi od Boga.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odparł posłusznie chłopak.

Teraz wszyscy posłyszeli nadchodzącego lorda Hrodika, wydającego rozkazy swym służącym.

- Idź i powiedz księciu, że będziemy mu towarzyszyli, jeśli oczywiście sobie tego życzy.

Sanglant usiadł na jedynym stojącym w komnacie krześle - bogato zdobione siedzisko stało na aretuzjańskim dywanie tkanym w kwiaty i winorośl. Gestem nakazał Matto, by stanął przy drzwiach. Reszta miała ledwie dość czasu, by przystanąć obok niego, bo oto podniecony służący zaanonsował wejście lorda Hrodika.

Siedząc, księżę zaakcentował różnicę pomiędzy pozycją swoją a lorda. Wiedział, jak używać atutów swego ciała, by onieśmielić natrętów. Pochylił się, opierając ręce na kolanach. Hrodik wdzięczny się, jękał i wreszcie usunął, pozwalając wejść młodej tkaczce. Miała wyraźne rumieńce na policzkach i wciąż nie patrzyła w kierunku księcia.

- Miło poznać - rzekł księżę bez żadnej ironii w głosie. - Jesteś pani sławną tkaczką w tym mieście.

- Tak, Wasza Wysokość. - Śmielej podniosła wzrok, po czym spojrzała na Heriberta, Zachariasza, młodego Matto, trzy ogary leżące pod stołem (księżę otrzymał je w darze od mnichów z kościoła świętego Galla). Wreszcie popatrzyła na łóżko. Jej twarz wyraziła zdziwienie, a oczy rozszerzyły się. Delikatnie się cofnęła.

- Czy to wasze dziecko, Wasza Wysokość?

- Tak - odrzekł. - To moja córka, Blessing.

Mistrzynie Zuzanna najpierw przyjrzała się dywanowi, a potem ponownie spojrzała na dziecko. Pomiędzy tkaczką i księciem przechodziły takie prądy, że Zachariasz pomyślał, iż mógłby je nakreślić, gdyby tylko możliwe było zobaczenie emocji.

- Śliczne i zadbane dziecko, Wasza Wysokość. Każde dziecko powinno być błogosławieństwem dla swych rodziców... - przerwała, jakby wzruszona, lecz kiedy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał spokojnie i pewnie. - Jednakże nie każde dziecko jest poczęte z błogosławieństwem. Niektórzy z nas są tylko zabawkami w rękach tych, których władza przeważa nad lękiem przed Bogiem. - Po raz pierwszy zwróciła uwagę na swą małą świtę, domowników, którzy stali za nią w grupce, wpatrując się z zachwytem i jednocześnie z obawą w księcia. Mężczyzna stojący z przodu skinął głową w sposób zdradzający, że jest związany z Zuzanną więzami zaufania i uczucia. Nie był tak przystojny jak księżę, lecz miał szerokie bary i ręce człowieka nawykłego do pracy. Na jego życiu zaważyło już ciężkie brzemię, co widać było po jego oczach.

Jego rywal - pomyślał Zachariasz, odgadując to niemal od razu.

Mistrzynie Zuzanna mówiła dalej. Z każdym słowem przychodziło jej to łatwiej:

- Po upadku Gentu wpadłam wbrew swej woli w ręce lorda Wichmana, który wraz z wojskiem stacjonował w Steleshame i walczył z Eikami. Po ich wygnaniu z miasta opuściłam ciotkę i miasto i przeniosłam się do Gentu, by rozpocząć nowe życie i uciec od Wichmana. Byłam wtedy w ciąży. Kiedy przyszedł właściwy czas, urodziłam nieślubne dziecko. Lord Wichman zaczął rezydować w Gencie, a ja bałam się go o wszystkim poinformować. Nie chciałam go... więcej widzieć...

To było zbyt wiele i Zuzanna nie mogła dokończyć swej opowieści.

- Znając mego kuzyna Wichmana - rzekł łagodnie Sanglant - odgaduję, że nie chciałaś ujawnić, że mieszkasz w pobliżu.

Zuzanna przytaknęła z wdzięcznością i, pozbierawszy się, kontynuowała:

- Jednakże każde dziecko musi być ochrzczone, Wasza Wysokość. W ten sposób wieść o dziecku dotarła do księżnej Rotrudis. Nim ukończyło szósty miesiąc życia, do naszego domu zawitał pewien mnich i je zabrał. - Zuzanna nie płakała i mówiła pewnie. - Przyznaję, że zdjęto ze mnie ten ciężar. Jestem pewna, że księżna zapewni mu lepsze życie, niż ja kiedykolwiek bym zdołała. Prawdę rzekłszy, nigdy tego dziecka nie kochałam, pamiętając, wskutek jakich wydarzeń pojawiło się ono na świecie.

Sanglant nie potrafił usiedzieć w bezruchu. Jedną nogą postukiwał o dywan, ale słuchał w skupieniu. Otaczała go aura siły i wielkości. Nawet Hrodik nie odważył się odezwać bez zgody księcia. Jego milczenie było jak zgoda na wysłuchanie dalszej części opowieści Zuzanny.

- Mój warsztat zaczął się rozwijać, Wasza Wysokość. Księżna Rotrudis była hojna, odwiedzając mi się za trudy wydania na świat jej wnuka. Potem obiecałam rękę tu obecnemu Raimarowi. Powodziło nam się coraz lepiej i mogliśmy zaręczyć się przed biskupiną. Bierzemy ślub wiosną. Raimar porzucił pracę w garbarni, gdzie jako niewolnika umieścili go Eikowie w ostatnich tygodniach okupacji. Przed ich atakiem terminował u stolarza. Z pomocą naszego służącego Autgara zbudował dwa nowe krosna i drewniane pomieszczenie, a także zrobił półki i krzesła do domu oraz parę innych pomniejszych rzeczy...

- Nie, nie - powiedział Sanglant, podnosząc rękę. - Rzeczywiście, doszłaś do dobrobytu, którym możesz teraz się cieszyć. Nie będę cię dłużej trudił. Jeśli lord Hrodik dopilnuje, bym otrzymał dwadzieścia ciepłych płaszczy, nie będę cię o nic więcej prosił.

- Nie myśl, proszę, że jestem niewdzięczna, Wasza Wysokość. - Wreszcie napotkali się wzrokiem.

Usłyszawszy decyzję księcia, mistrzyni Zuzanna uspokoiła się. Drżące światło kandelabru sprawiło, że uwydatniły jej się usta, a oczy nabrały blasku, tak że nawet Zachariasz poczuł pożądanie.

Sanglant westchnął głęboko.

- Nie sądz, że jestem obojętna wobec letnich róż - kontynuowała Zuzanna. - Nigdy nie można ich ponownie odzyskać, choć w sercu pamiętamy ich zapach, słodycz i piękno.

- Możesz odejść - oświadczył poirytowany Sanglant. - Ty także, Hrodik.

Kiedy przybyli zbierali się do odejścia, Sanglant ponownie się odezwał:

- Poczekajcie chwilę. Kim jest ta dziewczyna? - Wskazał na jedną z towarzyszek Zuzanny. Nie wyróżniała się niczym szczególnym prócz dziwnie ciemnej cery, jak gdyby zanurzono ją w kadzi do farbowania skór. Nie była jeszcze zupełnie dojrzałą kobietą, lecz już nie dzieckiem. Odważnie wystąpiła naprzód. Nie sięgała księciu nawet do ramienia.

- Znam cię - powiedział chyba z rozmarzeniem.

Heribert zrobił parę kroków do przodu.

- To dziecko towarzyszyło ci w krypcie, panie.

- Tak, to prawda, ale ja ją skądś znam. Znam ją. Jak masz na imię, dziecko?

- Jest niema, Wasza Wysokość - odrzekła Zuzanna, stając opiekuńczo za jej plecami i kładąc jej dłoń na ramieniu. - Ma na imię Anna. Ona i jej brat Matthias uciekli z Gentu na długo po tym, jak Eikowie zajęli miasto. Nie mam pojęcia, jak zdołali tu przetrwać przez tyle miesięcy, ale wydostali się z Gentu dzięki pomocy świętej Krystyny i przybyli do Steleshame. Zabrałam ich ze sobą. Jej brat Matthias jest zaręczony z jedną z moich tkaczek. Teraz pracuje w garbarni.

- Jesteś demonem - powiedziała nagle dziewczyna głosem ochrypłym jak papier ścierny.

Zuzanna krzyknęła, a jej domownicy zaczęli mówić wszyscy naraz, tłocząc się i dotykając dziewczyny.

- Ach, Boże - wykrztusiła Zuzanna ze łzami w oczach. - Od dwóch lat nie powiedziała ani słowa.

- Sanglant? - Heribert pospieszył ku księciu i położył rękę na jego ramieniu. Zachariasz uczynił to samo, gdyż Sanglant wyglądał na kompletnie oszołomionego, jak gdyby otrzymał nieoczekiwany cios w głowę.

Blessing obudziła się i zaczęła płakać, przestraszona całym zamieszaniem.

- Tata! Tata! Chcę taty!

- Boże - powiedział Sanglant - a więc to nie był sen. Tych dwoje dzieci, chłopiec z nożem i dziewczynka z drewnianym Kręgiem Jedności na piersiach... Myślałem, że byli złudzeniem.

Blessing płakała. Miała silne płuca i głos zdolny przekrzyczeć hałas bitewny. Anna pospieszyła do niej pierwsza, wzięła na ręce i podała ojcu. Sanglant odebrał małą bez chwili zastanowienia.

Blessing oparła główkę na jego ramieniu. Przez chwilę miała czkawkę, a potem uspokoiła się.

- Czy nie macie tutaj opiekunki do dziecka? - zapytała dziewczyna zwana Anną, rozglądając się po komnacie. Zachariasz usłyszał znajomy dźwięk, jakby lekkie wyładowanie pioruna, które zwiastowało pojawienie się Jerny. Nigdzie jej jednak nie zobaczył.

Poczuł natomiast powiew wiatru, który wznieciła.

Wicher wzmagał się, jakby ktoś pootwierał wszystkie okna. Pośrodku komnaty pojawił się nienaturalny wir mlecznego powietrza. W jego centrum zaślniła Jerna.

W ostatnich miesiącach rosnąca zdumiewająco szybko Blessing przerzuciła się z pokarmu mamki na owsiankę i ser. Dlatego Jerna zaczęła tracić kobiecą mimikrę, która czyniła ją istotą bardziej cielesną. Niemowlęce potrzeby Blessing pomagały zachować Jernie bardziej ludzką formę.

Strumień światła nie miał z Jerną nic wspólnego. To było coś zupełnie innego. Pośrodku komnaty ujawniła się jakaś magiczna siła.

Rozległy się okrzyki. Zgromadzeni cofnęli się, przerażeni. Zachariasz nie mógł powiedzieć, co przeraziło go bardziej: delikatne ciało Jerny czy wir światła, rozlewający blask na całą komnatę. Blessing zakryła sobie uszka rękami. Służący Hrodika zemdłał, zaś młody Matto usiłował udzielić mu pomocy.

Rozległ się delikatny szept, emanujący z kręgu światła.

- Sanglant.

- Cisza! - krzyknął Sanglant dzwicznym głosem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów podczas bitew.

Zgromadzeni zamilkli. Przez chwilę było tak cicho, że Zachariasz sądził, iż ogłuchł, lecz potem Hrodik zachichotał nerwowo.

Wir powietrza przemówił.

- Sanglant. Blessing?

Blessing zaczęła kręcić się na rękach ojca i wrywać ku światłu. Przypominało ono otwarte okno, prowadzące ku innemu, odległemu światu.

- Mama! Mama, chodź!

- Ach, Boże! - Głos Sanglanta był pełen nadziei i bólu. Zrobił krok do przodu. - Nie widzę cię. Gdzie jesteś?

Zachariasz był oślepiiony blaskiem, przypominającym ostre zimowe słońce w lodowej dolinie.

Czy to rzeczywiście kobieta, której szukał? Gdzie przebywała?

Głos odezwał się ponownie:

- Sanglant, jeśli mnie słyszysz, wiedz, że żyję, lecz mam przed sobą czasochłonną wędrówkę i nie wiem, jak długo ona potrwa.

- Wróć do nas, Liath! - wrzasnął desperacko.

- Proszę, czekaj na mnie. Pomóż mi, jeśli możesz, bowiem zagubiłam się. Potrzebuję przewodnika. Czy jest tu Jerna?

Przez światło przedarł się ciemny kształt z wyciągniętymi rękami. Błękitne światło bijące od postaci mrugało i oślepiało. Na plecach miała łuk, widoczny dzięki ognisto czerwonej salamandrze, znajdującej się po wewnętrznej stronie broni. Figura ruszyła i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że przedrze się przez zasłonę światła. Zachariasz złapał oddech i zatoczył się do tyłu, uderzwszy Heriberta. Sanglant natomiast usiłował dotknąć świetlną postać.

Jego dłoń przeniknęła przez powietrzny wir.

- Chwyć moją rękę, Liath!

- Widzę cię! - odrzyknęła Liath, lecz nie do Sanglanta. Jerna powirowała na dół, opiekuńczo owinąwszy Blessing. - Chodź, jeśli chcesz, Jerna. Przejście jest otwarte.

Demon spłynął w dół ciała Blessing, przesycając je światłem i eteryczną substancją. Dziecko krzyknęło ze zdumienia i radości; w chwilę potem Jerna zwinęła się w cienką trzcinkę, obróciła i zniknęła w świetlnym oknie. Wir powietrza nagle opadł. Wciąż usiłujący go pochwycić Sanglant upadł. Blessing śmiała się i klaskała w rączki, jak gdyby wszystko, co się wydarzyło, było tylko zabawą. Lecz jej ojciec był błądliwy i niemal sztywny. Blessing spoważniała. Wyglądała na przestraszoną gniewnym wyrazem twarzy ojca.

Heribert wziął kwilące dziecko z jego ramion. Księżę odwrócił się i uniósł krzesło do góry.

Walnął nim o ziemię.

Drewniane drzazgi prysnęły wokół. Mistrzynie Zuzanna i jej domownicy uciekli z komnaty. Nawet lord Hrodik podążył za nimi.

Zachariasz ruszył z miejsca, chcąc uspokoić księcia, lecz Heribert powstrzymał go jednym gestem.

- Nie dla mnie! - wrzasnął Sanglant. - Przejście jest otwarte, lecz nie dla mnie! Czy nie znaczę dla niej nic, skoro wezwała kogo innego, nie mnie? - W prawej ręce trzymał szczątki krzesła i gotów był uderzyć nimi o ziemię. Pewnie tak by zrobił, gdyby nie to, że stanęła przed nim Anna. Nie uciekła wraz z innymi ani nie okazała strachu.

- Czy rzeczywiście jesteś demonem z niebios? - zapytała swoim zachrypniętym głosem. - Dlatego chcesz tam wrócić?

O gniewie króla Henryka słyszeli wszyscy w kraju. Szlachetnie urodzeni bali się złości króla z wielu powodów, choć on gniewał się rzadko. Z pewnością to właśnie księżę Sanglant był jednym z najbardziej wyrozumiałych wysoko urodzonych ludzi - a przynajmniej tak uważał Zachariasz. Po raz pierwszy ujrzał gniew na twarzy księcia, co sprawiło, że schował się za Heriberta, uspokajającego pochlipującą Blessing. Nigdy jeszcze nie widziała ojca tak rozszluszczanego.

Anna zaś stała spokojnie.

Sanglant rozchylił dłoń i pozwolił, by na podłogę upadły resztki krzesła.

Nastąpiła cisza, nie licząc syku, dobywającego się z koksownika. Pochodnie zapłonęły żywiej, jak gdyby Sanglant swą złością podsycił ogień, choć prawdopodobnie stało się to dzięki powiewowi eterycznego wiatru, który nieoczekiwanie wpadł do pomieszczenia i równie nagle zanikł. Komnata wyglądała najzupełniej normalnie ze stojącymi w niej skrzyniami i gobelinami na ścianach, przedstawiającymi popularne sceny: łowy, ucztę, zgromadzenie kobiet w kościele.

Sanglant minął dziewczynę i podszedł do bocznego stolika. Nalał wody z dzbana do miedzianej umywalki i ochlapał twarz. Przeciągnął ręką po podbródku. Bez namysłu zlizął krople z mokrej ręki. Cały zesztyniał. Z gniewu? Rozpaczy?

- Nie ma godziny, bym o niej nie myślał - rzekł w stronę umywalki - jednakże czy ona mnie potrzebuje? Czy mnie szuka? Żyje, lecz odbywa jakąś wędrówkę. Zupełnie tak jak moja matka.

- Czy macie niankę do dziecka? - zapytała Anna dziewczęcym głosem.

- Miałem - odpowiedział gorzko księżę. - Ale moja żona zabrała ją ode mnie.

- Potrafię zadbać o dzieci.

- Jedziemy na wschód na wojnę, dziecko. Nie będzie tam komfortowych dywanów i wygodnych mebli. Nie mogę wziąć ze sobą tych, którzy będą opóźniali pochód i uciekną ze strachu w obliczu byle jakiego niebezpieczeństwa.

Dziewczyna spojrzała na niego ostro niczym jastrzęb. W jakiś sposób przypominała Zachariaszowi Hathui: odważna, lotna, pewna siebie i irytująco uparta.

- Przetrwalam wojnę i lato w Gencie, gdy rządził tutaj Krwawe Serce. Nie boję się.

Książę przyjrzał się jej z lekkim uśmiechem na twarzy. Miała włosy zaplecione w warkocz i nosiła starannie utkaną z dobrej wełny tunikę, ozdobioną dwiema różyczkami, wyhaftowanymi przy kołnierzyku. Na jej piersi widniał drewniany Krąg Jedności.

- Książę panie? - odezwał się stojący przy drzwiach Matto. - Tkaczka powróciła i chce z tobą mówić.

Na progu pojawiła się - mistrzyni Zuzanna z zafrasowaną twarzą. Ręką ścisnęła swą spódnicę.

- Wasza Wysokość ja... Anno! Tutaj jesteście! Myślałam, że zgubiliśmy cię po drodze.

- Jadę na wschód - oświadczyła stanowczo Anna. - Będę niańką małej księżniczki.

- Ależ...

- To znak, czy nie widzicie? Po cóż innego Bóg zwróciłby mi głos?

- Proszę cię, pani Zuzanno - rzekł Sanglant - uszykuj dziewczynie ekwipunek i przyprowadź ją tu jutro rano. Zobaczę, czy jest dobrze przygotowana.

Nawet dobrze prosperująca tkaczka nie mogła przeciwstawić się woli księcia. Zuzanna zabrała Annę ze sobą i obie opuściły komnatę.

- Chcę na dół, na dół - nalegała Blessing, wierząc się na rękach u Heriberta. Ruszyła ku ojcu, szukając pocieszenia, a on wziął ją na ręce.

- Matto - odezwał się książę, przytulając córkę do siebie. - Hełm wymaga reperacji. Niech zajmie się tym kapitan Fulk. A teraz potrzebuję więcej wody. - Matto skinął głową i szybko wziął dzban i hełm, po czym wyszedł z komnaty.

- Zachariaszu.

- Tak, mój panie.

- Potrzebujemy słomianego siennika dla dziewczyny. Niech zadba o to sierżant Cobbo.

Zachariasz popatrzył na Heriberta, ale kleryk tylko wzruszył ramionami. Ukłoniwszy się, Zachariasz wyszedł spełnić polecenie.

Nieprzyzwyczajony do pałaców, szybko się zgubił, lecz pomocny służący wskazał mu drogę do pokoju służby. Zachariasz przemierzył opustoszały korytarz i wyszedł na zewnątrz. Na podwórku panowała wieczorna cisza. Nad głową świeciły gwiazdy. Silny mróz przeszył go do szpiku kości. Odezwały się jego stare blizny. Poczul, że musi się wysikać. Szukając ustronnego miejsca, gdzie nikt nie zobaczyłby, jak bardzo został okaleczony, zaszedł do kuchni. Tam zapytał o drogę do łazienki.

Z pałacowej kuchni napłynęły zapachy pieczonego mięsa, połączone z jakąś ostrą wonią. W obozie Qumanów Zachariasz nauczył się chodzić cichuteńko, gdyż Bulkezu wymagał tego od niewolników. Pewnego razu zabił człowieka, który kichnął podczas występu muzyków.

Kiedy Zachariasz zerknął do zadymionego wnętrza, ujrzał kobietę stojącą na dużym kamiennym stole. Trzymała w ręku talerz w kształcie kwadratu, po bokach którego umieszczono świece. Na drewnianym półmisku leżało pokrojone jabłko. Musiało zostać pocięte stosunkowo niedawno, bo z owocu wypływał świeży sok, lśniąc w blasku świecy. Zachariaszowi ślina napłynęła do ust. Poza nim w pomieszczeniu nikogo nie było.

- Błagam cię, wzywając twego imienia i twej mocy. W jakimkolwiek miejscu przybywasz, Książę Światła, który pociągnąłś Wrogiego do Przepaści. Niechaj twa obecność napełni to jabłko, zaś ten, kto je zje, niechaj zapłonie żądzą ku mnie. Niech pożerają go płomienie tak potężne jak ogień, w którym ty, Święty Panie, zamieszkujesz. Niech on otworzy przede mną drzwi i niech nie zadowoli go żadna rzecz, póki mnie nie posiadzie...

Nie, w pomieszczeniu był ktoś jeszcze. Stał przy rożnie. Kobieta. W średnim wieku. Wychyliła się z cienia. Jej prawy policzek przecinała biała blizna.

- Co to za szaleństwo, Frederun?

Urodziwa służąca wybuchnęła płaczem.

- Sądziłam, że nie żyje! Byłam taka szczęśliwa, będąc jego kochanką...

- Cicho! - wysyczała starsza kobieta. - Ktoś jest przy drzwiach.

Zachariasz zniknął w cieniu. Powiał wiatr, przynosząc zapach z mieszczącej się przy stajni toalety. Oddając mocz, Zachariasz wciąż czuł ból, lecz nie był pewien, czy to była fizyczna dolegliwość, czy



tylko pozostałość po wrazeniu, jakie utkwiło w jego głowie w pierwszych tygodniach po kastracji.

Pomiędzy przegrodami w stajni stał sierżant Cobbo wraz z innymi zbrojnymi. Przyglądali się grze w szachy. Kapitan Fulk umieścił planszę i figury na beczce i przytaszczył dwie bele siana, by służyły jako siedzenia. Na kolanach miał hełm Smoka, na którym spoczywała władczo jego dłoń. Kiedy Zachariasz się zbliżył, kapitan użył orła i zabrał lwa.

- Moja biskupina zabiera twego orła - rzekł jego przeciwnik, skazany na banicję Orzeł Wilkun. Przerwał, wciąż trzymając figurę w rękę i popatrzył po zebranych. Jego wzrok napotkał Zachariasza.

- Przychodzisz od księcia? - Starszy mężczyzna był zdumiewająco inteligentny i we wszystkich sytuacjach pozostawał tak spokojny, że Zachariasz nie bardzo mu ufał.

Zachariasz przekazał polecenie księcia, a Cobbo wyznaczył człowieka, który miał się zająć tym rano. Żołnierze powrócili do dyskusji o grze.

- Umiesz grać w szachy, bracie? - zapytał Fulk. - Nie mogę go pokonać.

- Nie, nie znam zasad tej gry. Jest stworzona dla szlachetnie urodzonych i dla żołnierzy, nie zaś dla prostych braci takich jak ja. Nie jestem jednym z ludzi, potrafiących przesuwac figury do przodu i do tyłu w tej grze o władzę.

Wilkun zachichotał.

- Ale co ci szkodzi, bracie, poznać zasady gry, jeśli mogłyby się okazać przydatne dla naszej ochrony?

- Sądzę, że nie potrzebujesz żadnej ochrony, Orle, poza tą, którą już posiadasz.

- Dajcie spokój - zaapelował Fulk. - My, armia księcia, żyjemy w zgodzie.

- Ależ ja się nie kłócę z Wilkunem - rzekł Zachariasz. - On jest tylko zwykłym człowiekiem, tak jak ja.

- Ano, jestem - zgodził się Wilkun dobitnie, lecz z wilczym uśmiechem. Kiedyś Wilkun był ulubionym doradcą króla Arnulfa Młodszego, teraz przyłączył się w sekrecie do świty księcia Sanglanta, król Henryk bowiem wyjął go spod prawa, oskarżywszy o zdradę i praktyki czarnoksięskie. Uznany został za przyjaciela matematyków, którzy podburzyli księcia Sanglanta do buntu.

A jednak ten człowiek, jak mówiono, uwolnił Liath z niewoli wysoko urodzonego mnicha. Ponadto Wilkun był ulubieńcem małej Blessing.

- Żona księcia Sanglanta pojawiła się nam w wizji - rzekł nagle Zachariasz, chcąc zaskoczyć starego człowieka i sprawić, by ze zdumienia skoczył na równe nogi.

Wilkun zacisnął wargi, to wszystko. Obrócił orła w rękę, powiódł palcem po jego rzeźbionych skrzydłach, po czym podniósł wzrok i łagodnie popatrzył na Zachariasza.

- To nieoczekiwana wieść. W jaki sposób ją zobaczyłeś?

- Całkiem niespodziewanie. Doprawdy, Wilkunie, jesteś człowiekiem, który po mistrzowsku gra w szachy. Ale o szczegóły musisz zapytać księcia Sanglanta. Nie odważę się powiedzieć więcej. Kościołowi nie podobają się jakiegokolwiek przejawy magii ani ci, którzy są ich świadkami.

Wilkun zaśmiał się, stawiając orła na szachownicy, lecz kapitan Fulk wstał, opierając hełm na biodrze.

- Czy nie możesz rzec czegoś więcej, bracie? Podróżując z księciem, widzieliśmy wiele dziwnych rzeczy. Wszyscy widzieliśmy demona, który nakarmił małą księżniczkę. A jeszcze bardziej zdumiewające rzeczy widzieliśmy, kiedy towarzyszyliśmy księżniczce Teophanu w Aoście. Wieść taka jak twoja ma znaczenie dla nas wszystkich. Wychodzi na to, że książę Sanglant nie powinien aż tak boleć nad zniknięciem żony i że może wkrótce się połączyć.

- Albo książę połączy się z jakąś inną kobietą - zażartował jeden z żołnierzy.

- Nie chcę słyszeć więcej takich komentarzy, Sibold! - rzucił szorstko Fulk. - Kto z was zachowałby się inaczej? To nie nasza sprawa, czy książę chce żyć jak mnich czy jak mężczyzna.

Wilkun zrobił kwaśną minę.

- Dobrze powiedziane, kapitanie Fulk, choć powszechnie wiadomo, że książę Sanglant był znany ze swych miłosnych przygód. Czy opowiadałem wam kiedyś o córce margrabiego Villama, która jest jego spadkobierczynią? Mówi się, że zapłonęła takim pożądaniem w stosunku do księcia...

Zachariasz opuścił stajnię i wrócił na podwórzec. W zimie ręce zawsze szybko mu marzły, a teraz zeszytywniały z zimna, jednakże pozostawał na powietrzu.

Przywara żądzy cielesnej, jaką miał książę Sanglant, czyniła go takim samym jak większość ludzi. Jednakże w przeciwieństwie do wielu szlachetnie urodzonych panów, a zwłaszcza w przeciwieństwie do gumańskich wojowników, którzy brali, co się dało, wiedząc, że ich życie może się w każdej chwili skończyć, książę trzymał swe żądze na uwięzi. Z tego powodu Zachariasz darzył go szacunkiem.

Jednakże to nie księcia sądził.

Czuł bowiem, że do jego serca zakrada się sekretne uczucie: zazdrościł Wilkunowi jego wiedzy. Skazany na banicję Orzeł miał chłodną głowę oraz zasznurowane usta i pomimo zachariaszowych

przycinków i insynuacji podczas kilku miesięcy wspólnej wędrówki, Wilkun nigdy nie zdradzał się ze swą wiedzą, którą - Zachariasz czuł to w kościach - trzymał w ukryciu niczym stary człowiek, skrywający cenny bochenek chleba i garść fasoli.

Czy Zachariasz nie był nic wart? Księżę Sanglant przystał na to, by dołączył do jego świty ze względu na wiedzę o Qumanach, ale także dlatego, że jego silne ciało i chłodny umysł skrywały sentymentalne serce. Przyjął Zachariasza, ponieważ ten mówił o swej wizji z Liath, bo miał kawałek pergaminu, na którym ukochana i zaginiona żona księcia nakreśliła niezrozumiałe znaki i symbole, rozumiane tylko przez matematyków.

Zachariasz dotknął sakiewki przy pasku, wyczuwając sztywną rolkę: zwinięty pergamin, jego jedyne łącze z wiedzą, której poszukiwał. Liath także chciała poznać sekrety nieba. Zadawała te same co on pytania i może - lecz tylko może - słuchałaby z zachwytem i zafascynowaniem jego opisu wizji kosmosu, która objawiła mu się w pałacu spirali.

Może mogłaby odpowiedzieć na jego pytania. Może pragnęła dotrzeć do prawdy.

Stojąc tak i mając nad głową zimowe niebo, Zachariasz pomodlił się, by Liath powróciła na ziemię.

Drżąc z zimna, zawrócił do pokoju służby i jakimś cudem znalazł korytarz, prowadzący do komnat zajmowanych przez księcia.

Ktoś jednak dotarł tutaj przed nim.

Rozpoznał ją po stroju, po sposobie, w jaki odrzuciła szal, ukazując wijące się loki jasnych włosów. Zrobił krok do tyłu, kryjąc się w cieniu. Nie usłyszała go albo po prostu nie zwróciła na niego uwagi.

Stał przy drzwiach. Gdy te otworzyły się, Zachariasz ujrzał Sanglanta.

- Księżę panie - powiedziała dziwnie spokojnym głosem - posyłałeś po wino i przekąski?

Sanglant trzymał w ręku świecę, której żółty płomień podkreślał ostre rysy jego twarzy, a także uwidaczniał osiem kawałków jabłka, leżących na tacy i ułożonych w kształt gwiazdy. Obok nich stał srebrny kubek.

- Nie, nie prosiłem o nic więcej - odparł, nadal stojąc w drzwiach. Po chwili dziewczyna wślizgnęła się do środka pomieszczenia.

Szóstym zmysłem, ostrym jak u psa, Sanglant popatrzył w stronę Zachariasza. Choć nie był w stanie go dostrzec, stało się inaczej.

- Co takiego, Zachariaszu? - zapytał łagodnie.

Zachariasz niepewnie wyszedł ze swej kryjówki.

- Nie, nic, księżę panie - odrzekł. - Wszystko jest tak, jak sobie życzyłeś, Wasza Wysokość. Pójdę już. Wilkun obiecał, że nauczy mnie grać w szachy.

Kiedy odchodził, usłyszał szcęk zamykanych drzwi.

## **Rozdział dziesiąty WELON SIĘ UCHYLA**

### **1**

Nie sposób było dostrzec sferę Erekas, gdyż było zbyt ciemno. Kiedy wiatr nieco złagodniał, - Liath zdołała pozbierać swoje rzeczy. Straciła opończę, która osłaniała jej skórę, a jeszcze bardziej odczuwała brak butów. Powierzchnia, na której stała, sprawiała ból, lecz gdy usiłowała przystanąć na czymś, co przypominało mniej więcej stały grunt, jej noga utonęła w lepkiej cieczy, tak zimnej, że natychmiast zesztyniała jej stopa.

Odskoczyła w tył, potknęła się i omal nie upadła. Wróciło jej czucie w nodze, lecz to nie przyniosło ulgi. Skóra zaczęła palić i pokryła się bąblami. Kulejąc, Liath zawróciła ku wysokiej kamiennej ścianie, która stanowiła pewną osłonę przed wiatrem. Żelazny mur i wrota zniknęły. Oparła się o kamień, łapiąc oddech, ale przenikliwie zimno zmroziło jej palce, a po chwili ten sam piekący ból przebiegł po jej całej ręce.

Stała bezradnie, zziębnięta i obolała. Wpatrywała się w otaczający ją teren. Widziała zarys linii brzegowej. Krajobraz rozciągający się w oddali był gładką, czystą płaszczyzną, przypominającą morze z punkcikami światła. Po jego powierzchni krążyły lśnienia - zwodnicze demony, lecz poprzez niekończące się zawroty ciepłego wiatru Liath nie mogła usłyszeć muzyki sfer.

Czy wiatr tłumił słońce? A może tu w ogóle nie było słońca?

Jedno pytanie zawsze pociąga za sobą drugie. Zaczęła się zastanawiać nad swoim krótkim pobytem u Ashioi. Jak to się działo, że czas płynął tam inaczej niż na ziemi? Dlaczego dni i noce następowały po sobie tak nieregularnie? Dlaczego w krainie Ashioi nie wschodził i nie zachodził woskowoblady księżyc? Najstarszy Wuj pokazał jej zwinięty pas prowizorycznie obrazujący ścieżkę, na której znaleźli się Ashioi, lecz nie wyjaśnił, gdzie dokładnie znajdują się w stosunku do Liath.

Było tyle niewiadomych.

Lepiej nie tkwić tutaj, zastanawiając się nad tym wszystkim, pomyślała. Mogłaby tu stać przez wieki, pogrążona w zadumie, jednak jej twarz owiewał gorący wiatr, a podłoże raniło nogi. Ręka i stopa zaczynały drętwieć. Coś podobnego działo się z jej sercem.

Zimno podkładało się zdradziecko niczym trucizna. Wiatr sprawiał, że piekły ją oczy. Pod jedną stopą nie czuła już szorstkiego piasku, a brak czucia zdeorientował ją tak bardzo, że trudno jej było utrzymać równowagę.

Najwyższa pora ruszać dalej.

Poszukiwała ścieżki i z ulgą stwierdziła, że jest ona dobrze widoczna. Świeące iskierki okazały się kamieniami, każdy o średnicy długości ramienia, które okalały pęcherzykowane morze. Trudność polegała na tym, że Liath musiała przechodzić z jednego kamienia na drugi, nie posiadając kija do podpierania się i nie mając czucia w jednej stopie. Przycisnęła kolczan do ciała i ruszyła, najpierw ostrożnie, potem śmielej. W końcu mogła pewniej poruszać zranioną nogą i dała radę iść pod wiatr, silnie dmuchający jej w twarz.

Ciemny brzeg zniknął za jej plecami, otoczyło ją morze. Liath czuła obecność jakichś ciężkich kształtów, niemożliwych do rozpoznania. Wiatr był gorzki jak piołun. W oddali migotały i gasły błędne ogniki. Nawet w ciemnościach kraina wydawała się opustoszała jak puste serce kobiety.

W pewnej chwili, nim zdążyła dać kolejny krok do przodu, wiatr zmienił się. Nagle uderzył w twarz Liath falą gorącą; w następnej chwili powiało arktycznym chłodem. Następny powiew był tak silny, że o mało nie spadła z kamienia, na którym się znajdowała.

Rozejrzała się dookoła.

Sfera Erekes była doliną lodu, oślepiającym morzem bieli.

Zawsze wydawało się jej, że Erekes, ukryta za lśniącym słońcem, musi mieć w sobie coś z istoty słońca: być spalona, zwęglona, a przynajmniej pustynna. Ale na tym właśnie polega słabość przypuszczeń. Erekes nie była taka, jak sądziła Liath.

Czy to była lekcja miecza? Jeśli przystępujesz do bitwy, sądząc, że wiesz, czego się spodziewać, nagle zaskoczenie zacznie siać chaos i śmierć w twoich szeregach.

Jak jednakże miała się przygotować do tego, co czeka ją tutaj? Nie miała przed sobą jasno wytyczonego szlaku. Wokół niej znajdowały się porozrzucane na lodowatym morzu kamienie. Trudno było nawet je policzyć. Liath napięła łuk i wypuściła strzałę w kierunku skały znajdującej się naprzeciwko. Ta przeszła przez iluzoryczny kamień i, zaskwierczawszy w zetknięciu z trującą morską wodą, obróciła się w popiół. Ostał się jedynie żelazny grot, który unosił się na powierzchni lodowatej wody.

Trzy kolejne kamienie znajdowały się całkiem blisko i można było na nich stanąć, a dalej rozciągały się kolejne, sto, a może więcej, trudno orzec, gdyż zniknęły przy dalekim horyzoncie. Lodowate morze nie miało końca, a przynajmniej Liath go nie widziała. Pozostało jej tylko siedemnaście strzał. Bardzo przydałby się miecz Luciana, zwłaszcza teraz, gdy okazało się, że lodowata woda nie może spalić metalu. Ale Liath nie miała go ze sobą.

Ostry wicher uderzył ją w plecy. Tunika owinęła się wokół jej kolan. Długi warkocz Liath spływał po plecach, utrudniając marsz. W końcu przerzuciła go przez ramię. Teraz z kolei smagał jej podbródek. Od łokcia aż do ramienia lewej ręki nie miała czucia, a jej prawa noga zeszywniała od kolana w dół.

Naprzeciw Liath pojawił się jakiś kształt, lekki niczym bryza. Demon. Tylko po co przybył? Aby się z niej naigrawać?

A może chciał być jej przewodnikiem? Czy mogła liczyć na pomoc?

- Czy jest tu ktoś, kto został uwięziony pod Verną? - zawołała. - Czy mnie znacie? Jestem Liathano, córka Anny i Bernarda, żona Sanglanta, matka Blessing. Czy możecie mi pomóc?

Zobaczyła kolejne istoty. Obracały się i wirowały wokół lodowych kier. Ich ruchy wydawały się

przypadkowe, niezaplanowane i bezcelowe. Czy w ogóle obchodziło je, co się stanie z Liath?

Na wargach poczuła smak trucizny. Potrzebowała przewodnika, kogoś, kto wiedział, jak przetrwać w eterze. Miała niejakie pojęcie, gdzie kogoś takiego znaleźć. Grunt to szybko działać.

Na ziemi nauczyła się wykuwać okno za pomocą ognia. Tutaj to także musiało zadziałać. Nawet w skutej lodem sferze Erekes potrafiła przyzwać ogień.

Pojawił się ze słyszalnym trzaskiem, po którym nastąpił hałas podobny do tego, jaki czynią skrzydła obijające się o mur. Dźwięk trwał jednak krótko. Demony obracające się wokół najbliższych lodowych kier spłonęły z gorąca.

Liath uformowała z ognia bramę, rodzaj okna, poprzez które mogła widzieć odległą ziemię.

- Sanglant! - krzyknęła, ponieważ połączenie z nim było najsilniejszym ogniwnem łańcucha, jakiego potrzebowała.

Poparzoną ręką osłaniała oczy, drugą zaś wyciągnęła ku uformowanemu z ognia łukowi. Iskry płonęły i ulatywały ku innemu światu, blade i rozmyte jak poprzez welon mgły. Czy te niewyraźne kształty to zarysy ludzi? Morze wokół niej syczało.

- Sanglant! - wrzasnęła ponownie. Po drugiej stronie łuku pojawił się zarys postaci dziecka, widoczny nawet w Erekes.

- Blessing? - Głos Liath uwiązł w gardle, gdy wymawiała imię ukochanej istoty.

Liath doznała szoku, gdy usłyszała odpowiedź.

- Mama! Mama, chodź!

O, Pani! Blessing była taka duża i mówiła jak dwuletnie dziecko. Czy w świecie Ashioi czas naprawdę biegł tak wolno? Desperacko pragnęła być z bliskimi, lecz musiała nałożyć pancierz na swe serce.

- Sanglant, jeśli mnie słyszysz, wiedz, że żyję, lecz mam przed sobą czasochłonną wędrówkę i nie wiem, jak długo ona potrwa. - *By wrócić do ciebie.*

Liath zawahała się. Sanglant był tylko ledwie widocznym w oddali cieniem. Blessing lśniła. Liath nie była pewna, czy ktokolwiek ją usłyszał lub zdawał sobie sprawę z przejścia, które otworzyła pomiędzy ziemią a sferą Erekes.

- Proszę, czekaj na mnie. Pomóż mi, jeśli możesz, bowiem zagubiłam się. Potrzebuję przewodnika. Czy jest tu Jerna?

Gdyby Blessing była mniejsza, Liath z pewnością czułaby się winna, zabierając demona. Ale dziecko w wieku dwóch lat może już odżywiać się owsianką, serem, mięsem, chlebem i kozim mlekiem.

Poza welonem mgły pojawił się demon w postaci srebrnego kształtu.

- Widzę cię! - Liath zbliżyła się do mglistej zasłony. Jerna lśniła, opiekuńczo owinięta wokół Blessing, przesycając ją eteryczną substancją. Blessing zapiszczała, zaskoczona i zachwycona. Jej słodki głos ugodził Liath w serce. Musiała się jednak powstrzymać. Nie czas na to. Trucizna już sięgnęła jej lewego ramienia i prawego uda. Jeśli nie ucieknie z morza lodu, umrze.

- Chodź, jeśli chcesz, Jerna. Przejście jest otwarte.

Kiedy ręka Liath powędrowała w strumień światła, wiatr boleśnie ją poranił. Odskoczyła i krzyknęła z bólu. Łuk ognia załamał się i rozpadł na części, które przez moment wirowały na wietrze, po czym wpadły do morza. Chwiejąc się, Liath poniewczasie przypomniała sobie o groźbie wpadnięcia do trującego morza.

Jednakże nie poszła na dno. Zimna powierzchnia otoczyła ją i uniosła.

Oślepił ją lśniący kształt demona. Jerna była delikatna i miała niewyraźny zarys ludzkiej postaci, jaki przyjęła na ziemi.

- Chodź - powiedziała. Szept przepłynął przez jej ciało, przenikając przez eteryczny wiatr. Na ziemi Liath nie rozumiała mowy demonów, podobnie jak Sanglant. Tutaj wszystkie języki były dla niej jak otwarta książka. - Blessing już mnie nie potrzebuje. To mogę ci zagwarantować, jej matce. Tak więc jestem wolna od rodzaju ludzkiego.

Wzniosła się ruchem wirowym. Wokół niej pojawiła się przezroczysta mgiełka. Ręka i noga Liath tętniły bólem. Jerna otoczyła bolące miejsca swoją poświatą. Ból przyprawiał Liath o bicie serca, a odbijające się od powierzchni kier światło i biel morza oślepiły ją.

Liath kręciło się w głowie. Nie potrafiła powiedzieć, czy znajduje się w dole, w górze i czy ziemskie kierunki mają jakiegokolwiek zastosowanie w niebiosach.

Na najdalszej granicy Erekes pojawiło się różane lśnienie. Przy ciągu łuków, tworzących mur, zgromadziła się grupa demonów o jedwabistej strukturze. Porowaty mur stanowił pewną granicę i złożony był z tak przemyślnie ułożonych elementów, że Liath zastanawiała się, czy nie stworzył go jakiś bredzący w gorączce architekt.

- Teraz powróciłam do domu - wyszeptła Jerna.

Kiedy jednak dotarły do muru, ciężar znowu zaczął ściągać Liath w dół.

- Nie mogę cię przenieść - powiedziała Jerna. - Wciąż dźwigasz ze sobą zbyt wiele rzeczy z ziemi, Bystra. Ze względu na dziecko, które poleciłaś mej opiece, przeniosłam cię aż tutaj, ale dalej nie mogę.

Liath wpadła w panikę, czując, że wyslizguje się z uścisku Jerny. Ach, Boże, wpadnie znów w odmęty trującego morza. Jej niezdarne palce poszukały klamry pasa. Kiedy go poluzowała, rzemień spadł wzdłuż jej nóg i zaczepił się na stopach, zaś to, co podtrzymywał, a więc skórzana sakiewka i żelazny miecz w pochwie - spadły w dół.

Jerna chwyciła ją ponownie. Pod nimi mignął mur z tuzinami wrót, następnie Liath znalazła się pośród ciepłego i różanego światła sfery Somorhas.

## 2

Pierwszą noc po opuszczeniu Handelburga spędzili w ruinach fortu znajdującego się na wzgórzu. Było to schronisko, które jednak z trudem osłaniało ich przed zimnem. Hanna zasugerowała wówczas, że wszyscy, nie wyłączając księcia i jego towarzyszy, powinni ogolić głowy. W ten sposób każdy napotkany miał sądzić, że dopadły ich wszy, a co za tym idzie, nikt nie powinien ich podejrzewać, że zostali ekskomunikowani za herezję. Być może sama ryzykowała ekskomunikę za ten pomysł, lecz to było najlepsze, co mogli zrobić.

Odmówiła jednak ogolenia swej głowy. Aż do tej chwili nie wiedziała i nawet nie podejrzewała, że jej jasne włosy mogły czynić z niej przedmiot pożądania. Może atencja księcia Bayana nie była jej tak obojętna, jak to sobie i innym wmawiała. Czyżby zazdrość księżniczki Sapientii uchroniła ją przed pokusą?

Bóg działał na rozmaite sposoby.

Kiedy śnieżna burza na miesiąc zatrzymała maszerujących w ufortyfikowanej wiosce, pięć dni na zachód od Handelburga, Ekkehard rzekł surowo do swej świty:

- Nie wiem, na jak długo przyjdzie nam zatrzymać się w tej wiosce. Ale nie będę tu wygłaszał kazań.

- Ale, książę panie - odrzekł lord Benedykt, zawsze pierwszy do wygłaszania swych opinii, gdy miał ku temu okazję - gorszym grzechem jest pozostać milczącym, gdy można ratować swe życie, mówiąc prawdę!

- Otóż to, obiecałem jednak księciu Bayanowi, że nie będę tego czynił, dopóki wojna się nie skończy i nie pokonamy Bulkezu. Stracę twarz, jeśli nie dotrzymam obietnicy i nikt nie będzie mnie szanował. Dołączymy do Villama i razem z nim będziemy walczyć z Qumanami. - W jaki sposób miał stanąć do walki z nie do końca wyleczonym ramieniem, pozostawało kwestią, której nikt nie odważył się poruszyć.

- Nie jedziemy więc do twego ojca, książę panie? - Lord Frithuric był najroślejszy z przyjaciół Ekkeharda, nieco młodszy od Hanny.

Ekkehard wzruszył ramionami.

- Nie zdam się teraz na łaskawość mego ojca. Wciąż jest najprawdopodobniej zły na mnie za skradzenie Baldwina ze świty margrabiny Judith.

Lord Lothar był najstarszy z młodzików i, zdaniem Hanny, tylko on dysponował zdrowym rozsądkiem.

- Ale margrabina Judith nie żyje, książę. Jej córki, lady Berthy, nie obchodzi, co się dzieje z Baldwinem. Ona troszczy się tylko o swe zamążpójście.

- Prawda - mruknął Ekkehard, zamyślony. Od bardów, którzy przewinęli się przez królewski dwór, przejął manierę modulowania głosu tak, iż wydawało się, że zwykłe zdania wyjęto z epickiego poematu, pełnego wątków o fatalnym przeznaczeniu, mądrych rozważań, ciętych replik i szlachetnych postanowień. - Pamiętaj, co powiedział Bayan. Nie będzie komu głosić kazań, jeśli przegramy z Qumanami. Bóg chce, byśmy walczyli i uczynili Jej ziemie bezpiecznymi, tak by można było głosić słowo prawdy.

- Dokładnie tak, Wasza Wysokość - zgodziło się jego sześciu towarzyszy, dwóch kuzynów lorda Dietricha i dziewiętnastu innych, którzy przetrwali pięciodniową wędrówkę. Jeden nieszczęśnik utonął podczas przekraczania rzeki. Wywołało to dyskusję, czy jego wiara w Ofiarę i Zbawienie nie była na tyle silna, by go ocalić. Osobiście Hanna uważała, że wszystko to stało się dlatego, iż człowiek ten nie umiał pływać - po prostu pośliznął się i spanikował. Nikt nie był w stanie przyjść mu z pomocą na czas.

- Przypomnijmy sobie feniksa - rzekł pompatycznie Ekkehard, przejechawszy dłonią po włosach tak ostrożnie, jak gdyby za chwilę miały z nich wyrosnąć osty. - On wznieś się, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Musimy wierzyć, że mamy inne zadania do wypełnienia, nim Kościół będzie gotów przyjąć prawdę.

Grupa dwudziestu sześciu podróżnych w zamieszkaną przez nie więcej niż sześćdziesiąt osób wsi, z których połowa była dziećmi, miała faktycznie sporo do zrobienia. Zważywszy na to, ile jedli, Hanna uznała, że dobre porozumienie z mieszkańcami wioski trzeba ustanawiać, będąc użytecznym - i tak czyniła. Gręplowała i zwijała wełnę, szyła, gotowała, mielila ziarno, robiła masło i spędzała wiele miłych godzin, czesząc włosy swoich nowych przyjaciół. Na szczęście część wygnanych z Handelburga żołnierzy posiadała różne praktyczne umiejętności. Pomagali usuwać śnieg po tym, jak przyszła jego pierwsza, najgorsza fala, reperowali uszkodzone części palisady, budowali ławy i stoły, zrobili z kłód drewna dwa czółna i znaleźli zaginioną owcę. Dwaj kuzyni lorda Dietricha zajmowali się końmi. Obecność dwunastu wierzchowców w wiosce nastroczała duże problemy z zapewnieniem im paszy. Ponieważ padał gęsty śnieg, Ekkehard i jego przyjaciele tylko dwa razy byli na polowaniu, ale i tak udało im się upolować to i owo. Hanna aż bała się pomyśleć, jakiego głodu doświadczą mieszkańcy wioski, gdy zima ustąpi miejsca pierwszym przeblysłom wiosny, a ich wszystkie zapasy będą zjedzone przez nieoczekiwanych przybyszy.

Było oczywiście nieuchronne, że to chwilowe zawieszenie nie będzie trwać wiecznie, nawet jeśli lord Ekkehard każdego wieczoru raczył mieszkańców śpiewaniem eposów. Pieśni nie mogły zastąpić jedzenia. Drobne utarczki przemieniały się w walkę na pięści. Jedna z gospodyń skarżyła się, że zjedzono jej cały zapas jabłek. Ekkehard dał jej złotą opaskę na rękę jako wynagrodzenie za poniesione straty. Niepomny na swe religijne przysięgi, zajmował się jedną z dziewcząt z wioski. Ani ona, ani jej matka nie wyglądały na niezadowolone z pierścionków i innych prezentów, jakie jej darowywał w zamian za wdzięki.

Szczęście się do nich uśmiechało. Kiedy drogi stały się przejezdne, lord Manegold został przyłapany na sianie z młodą żoną kowala i jej młodszą siostrą. Na wściekłego kowala rzuciło się dwóch w gorącej wodzie kąpanych młodzików z zamiarem ugodzenia go nożem i tylko interwencja wiarołomnej żony, która rzuciła się osłaniać męża, zapobiegła morderstwu. Tak czy inaczej, zaczęło być jasne, że w wiosce nie są już mile widziani.

Kiedy wyjeżdżali w południe, księżę Ekkehard był wściekły.

- Gdybym wiedział, że żona kowala jest chętna, nie zajmowałbym się dużo brzydszą córką Aabbe.

- Nie podzieliłbym się nią z tobą - zaprotestował Manegold. Nie był tak przystojny jak Baldwin, niemniej jednak przyciągał wiejskie dziewczęta, które preferowały ładnych, jasnowłosych, szlachetnie urodzonych panów, nie lubiących się obciążać jakimikolwiek zobowiązaniami. Jego podbite oko tylko dodawało mu uroku. - Sam dopiero co odkryłem, jaka była ochocza! A ta siostra! Nie pomyślałbyś, że te proste dziewczyny tak dobrze wiedzą, jak postępować w tych sprawach.

Wieśniacy zgromadzili się przy bramie z widłami i sztancami w rękach, upewniając się, że księżę i jego drużyna naprawdę odjeżdżają. Na przedzie grupy podążało czterech żołnierzy, przecierając szlak. Tuż za nimi jechał konno lord Welf, wioząc złoto-czerwony sztandar. Był poszarpany i nosił ślady wielokrotnych reperacji. Ocalał z bitwy pod kurhanem, toteż uznawano go za znak opatrności i statusu księcia, i jego świty zarazem. Nieważne, że orszak był wyjątkowo niewielki.

- Być może, księżę panie - rzekła z ociąganiem Hanna - w przyszłości ty i twoi towarzysze będziecie bardziej ostrożni podczas swoich miłosnych schadzek. W wioskach takich jak ta kowal jest szanowaną osobą i nie powinien być tak obrażany.

- Nie masz prawa zwracać się do mnie w ten sposób! - warknął oburzony Ekkehard.

- Jestem królewskim wysłannikiem, księżę. Wieśniacy przyjęli nas bardzo gościnnie. Sądzę, że król Henryk uznałby takie odwdzięczanie się za ich hojność za nierozsądne.

- W jaki sposób król miałby się o tym dowiedzieć, skoro nie ma nikogo, kto mu o tym doniesie? - zapytał lord Thiemo, kładąc rękę na rękojeści miecza.

- To zdrada zabijać królewskiego Orła - powiedział starszy z kuzynów lorda Dietricha.

- To prawda - odparł Ekkehard. - Zostaw ją.

- Czy bycie zdrajcą jest gorsze od bycia heretykiem? - zastanawiał się Lothar, szczerze zdziwiony.

Ekkehard nie dysponował odpowiedzią na tak trudne pytanie.

- Nieważne. Obiecałem księciu Bayanowi, że dostarczę Orlicę bezpiecznie do Villama, i to uczynię. Do króla będzie musiała już dotrzeć sama.

Hanna zauważyła, że kuzyn lorda Dietricha pozostał nieco z tyłu i że intensywnie naradza się z innymi.

Promienie słońca szybko sprawiły, że śnieg zaczął przemieniać się w bieżącą wodę i Hanna współczuła

podążającym na początku orszaku, zmuszonym torować drogę dla koni. Pogoda była zmienna - w nocy dawał się we znaki mróz, w dzień czasem robiło się ciepło, a czasem padał śnieg. Jeden z koni pośliznął się i złamał nogę. Jego mięso zjedli w ciągu następnych kilku dni. Co gorsza jednak, jego jeździec uderzył się w głowę, stracił przytomność i w końcu zmarł na atak apopleksji. Jeden z żołnierzy torujących drogę orszakowi odmroził nogi, a kiedy wdała się infekcja, błagał, by go zabito, jednak Ekkehard nie miał odwagi tego zrobić. Zamiast tego pozostawili go w małym przysiółku u starej kobiety, zapewniającej, że zna się na ziołolecznictwie. Hanna wyczuła w tym miejscu zapach magii, nie mogła jednak sprzeciwić się rozkazom Ekkeharda. Krzyki nieszczęsnego człowieka dobiegały ich jeszcze kilka mil dalej, choć wydawało się, że znaleźli się już zbyt daleko, by je słyszeć.

Tej nocy kuzyni lorda Dietricha i siedmiu innych żołnierzy zdezerterowało.

Rankiem księżę Ekkehard złazał warty, choć dezercerzy byli także wśród wartowników. Orszak podążył drogą wydeptaną przez uciekinierów - na śniegu widoczne były świeże ślady. W dalszej części dnia jeden z żołnierzy torujących drogę ciężko zachorował i musiał być niesiony przez towarzyszy. Zostali daleko z tyłu za dezercerami.

Zewsząd otaczały ich lasy, od czasu do czasu poprzecinane łąkami, bagnami i wyżej położonymi wrzosowiskami. Tej nocy zatrzymali się w opuszczonej wiosce. Większa część chat zawaliła się albo została zrujnowana, jednakże jedna z nich ocalała. Strzecha zdarta z pozostałych zabudowań posłużyła im za sienniki. Znaleźli też mnóstwo drewna i rozpalili ogniska.

Ekkehard przechadzał się niecierpliwie wokół jednego z ognisk, podczas gdy reszta słuchała, jak cierpiący żołnierz ciężko łapie dech. Lord Lothar także zachorował; jego oddech był chrapliwy, on sam zaś siedział przy ognisku w marnej kondycji. Hanna stała wsparta jedną nogą na ruinach fundamentów, obserwując krajobraz.

Za welonem nocnej mgiełki lśniły gwiazdy. Pokryte śniegiem drzewa stały w absolutnej ciszy. Księżyc rzucał cienie na opustoszałą wioskę. Raz czy dwa wydawało się Hannie, że widzi cienie jej dawnych mieszkańców, przemykające przez podwórzec, lecz okazało się, że za pierwszym razem dostrzegła sowę, a za drugim doznała przywidzenia. Śnieg leżał nietknięty z wyjątkiem miejsc, gdzie zdeptały go ludzkie nogi. Zakasłał wartownik czuwający po prawej stronie, tuż na skraju lasu. Stojące blisko ludzi konie niespokojnie przestępowały z nogi na nogę.

Przejechała ręką po swoim warkoczu. Narastało w niej zimne podejrzenie, że księżę Bayan wyprawił ich w drogę, wiedząc, że posyła na pewną śmierć. Czy był bardziej ambitny, niż o tym świadczyły pozory? Czy chciał wyeliminować zagrożenie, stojące na drodze ku koronie Sapientii? Czy było możliwe, że flirtujący z nią Bayan z rozmysłem wyprawił Hannę w tak niebezpieczną podróż? Co prawda, Qumanowie mogli być wszędzie, choć podczas takiej zimy wątpliwe było, by wyprawiali się w obce strony. Tylko głupiec maszerowałby poprzez obcy kraj, zdając się na łaskę tej pory roku. Albo królewski Orzeł, wysłany z rozkazem króla.

Ale, oczywiście, to nie Bayan mianował ją Orłem. Przyjęła swą rolę, zdając sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo się za tym kryje. Każdy człowiek przemierzający długie dystanse ryzykował. Na ile jednak płaszcz Orła i jego odznaka była jakąś gwarancją bezpieczeństwa, żaden podróżny nie wiedział.

Nie, Bayan nie przychyliłby się do zdrady czy intrygi. Prawdę rzekłszy, księżę Ekkehard był kłopotliwy: młody, niedoświadczony, niedojrzały i lekkomyślny. I, podobnie jak Ivar, na tyle głupi, by dać się w mieszać w posądzenie o herezję. Na miejscu Bayana zrobiłaby chyba to samo. Teraz Hanna marzyła o tym, by spać w bezpiecznym miejscu, takim jak to w pałacu Alberady, zamiast stać pośrodku dziczy, w której nawet po dniu jazdy ich oczom nie ukazywały się żadne zabudowania. W takim miejscu ich mała grupka mogła być łatwo zaatakowana i pojmana.

W tej samotni jedynym słyszalnym dźwiękiem było dalekie wycie wilka. Ciche rozmowy przy ognisku ustały. Żołnierze wsłuchiwali się w zwierzęce nawoływanie, lecz wilkowi nie odpowiedział żaden inny zwierz.

Z jakiegoś drzewa odłamała się gałązka.

Czy za pokrytymi śniegiem gałęziami nie pojawiła się jakaś postać? Czy pośród drzew nie zamigotały jasne skrzydła?

- Kto to? - zapytał strażnik. Jego głos drżał.

- Hsst! - Ekkehard podszedł bliżej, wyciągnąwszy miecz. - Widzisz coś, Orle? - wyszeptał.

Jego towarzysze również wyciągnęli miecze, żołnierze zaś przygotowali włócznie i tarcze. Trzęsącymi się rękoma Hanna przygotowała łuk i napięła strzałę.

Jednakże nic się nie działo. Śnieg opadał z gałęzi jodły, obsypując wymaginowane skrzydła, a potem wszystko zamarło. „Światło księżycy rzucało na cichy las senne światło.

- Hai! - krzyknął zaskoczony wartownik. Włócznia wypadła mu z ręki, ze szczękiem upadając na ruiny fundamentów.

Nadleciała zupełnie bezgłośnie i usiadła pośrodku kupki śniegu. Była to największa sowa, jaką Hanna kiedykolwiek widziała. Miała sterczące uszy i cętkowane pióra. Ptak przyglądał się jej nieruchomym wzrokiem, w którym nie było lęku. Wyglądał, jakby miał zamiar pochwycić Hannę niczym myszkę.

- Byłaby smacznym kąskiem - powiedział Ekkehard, trącając Hannę łokciem. - Zastrzel ją.

- Nie, książę panie - odrzekła Hanna, zdjeta nagłym przerażeniem na myśl o zabiciu tak wspaniałego stworzenia. - Wszyscy wiedzą, że mięso sowy jest dla człowieka trucizną.

Ekkehard zawahał się. Tymczasem sowa odleciała i zniknęła im z oczu.

- Cholera! Mamy mało zapasów. Tą sowę można było podzielić! Nikomu by nie zaszkodziła! - Był gotów ją ukarać, lecz nagle pojawił się lord Benedykt.

- Wasza Wysokość, chodź szybko. Chory żołnierz wymiotuje krwią i sierżant mówi, że to chyba jego koniec. Byłoby lepiej, gdybyś go pobłogosławił. W ten sposób dusza przejdzie bezpiecznie na Drugą Stronę.

Biedny człowiek rzeczywiście skonał przed świtem. Hanna nie spoczęła przez całą noc. Była zbyt zziębnięta i zdenerwowana, by zasnąć. Księżyc tymczasem wznosił się wyżej, a las tonął w coraz głębszym uśpieniu. Ekkehard i jego towarzysze spali niespokojnie, przeszkadzał im bowiem nieustający kaszel lorda Lothara. Hanna zastanawiała się, czy nie lepiej by było, gdyby przyłączyła się do dezertersów.

Ich ciała znaleźli następnego dnia.

O świcie osiedłali osiem wierzchowców i ruszyli w drogę, podążając wytyczonym przez innych podróżnych szlakiem. W nocy śnieg zamarzł i pokrył się skorupą, która pękła dopiero pod wpływem nacisku. Ułatwiało to drogę ludziom, ale nie koniom. Hanna zsiadła ze swego wierzchowca i prowadziła go za uzdę. Po chwili młodzi lordowie zrobili to samo. Nie byli głupcami, aby tracić swe rumaki. Hanna zauważyła, że szlachetnie urodzeni lepiej traktują swoje psy, konie i sokoły niż ludzi, będących u nich na służbie.

- Spójrzcie tutaj - rzekł Frithuric. - Wydeptano tu ścieżkę oddzielającą się od głównej drogi. Prowadzi do lasu, prawdopodobnie z powrotem do opuszczonej wioski. Może powinniśmy nią podążyć? Może jeden z tych cholernych dezertersów zmienił zdanie i jednak nas szukał?

Ruszyli. Na zimnym powietrzu ich oddechy zamieniały się w kłęby pary. Marsz sprawił, że Hanna spociała się, lecz jej stopy i palce pozostały lodowate. Szli ścieżką jakieś pół mili, kiedy znajdujący się na przodzie lord Frithuric wydał głośny okrzyk. Przyspieszyli kroku i ujrzeli go obok szafasu, wokół którego krążyły wrony.

Kuzyni lorda Dietricha i siedmiu pozostałych dezertersów musieli szukać tu schronienia. Na próżno. Trzech z nich nie miało głów. Reszta też była martwa. Pozbawiono ich broni, zbroi i trzech koni. Na śniegu znać było ślady krwi. Ogień strawił strzechę, a potem zgasł. Spalona słoma leżała wszędzie, rozwleczona tak daleko, jak tylko Hanna sięgała wzrokiem. Ślady podków świadczyły o tym, że dezertersy zostali zaatakowani przez przynajmniej tuzin jeźdźców. Kilka zgubionych piór leżących na śniegu lub wokół ciał podpowiadało, że napaści dokonali Qumanowie.

Nikt nie odważył się wypowiedzieć słowa w obawie, że w zimowej ciszy ich słowa popłyną w powietrzu przez morze śniegu i las i dotrą do Qumanów. Pewnie czaili się w pobliżu.

Nie mieli czasu ani sił, by wykopać grób w zmrożonym gruncie, zostawili więc ciała na pożarcie wilkom. Nie zbudowali nawet kopca z kamieni, który przysłoniłby umarłych. Nie mogli tego uczynić.

Kiedy pozostali przygotowywali się do drogi, Hanna przyjrzała się szlakowi, którym podążyli Qumanowie. Chciała dowiedzieć się, w jakim kierunku się udali. Być może skierowali się ku opuszczonej wiosce. Jeden z jeźdźców krwawił tak silnie, że pozostawił ślady krwi na śniegu. Wydawało się możliwe, że odciski podków jednego konia na ścieżce odbiegającej od głównej drogi pozostawili Qumanowie, a nie dezerters.

Czy jasne pióra pośród drzew, które dostrzegła wczoraj, były przywidzeniem?

Oczywiście, to było przywidzenie. Gdyby Qumanowie ich zauważyli, zaatakowaliby.

Nigdy nie drocz się z Fortuną, mawiała jej matka.

Hanna drżała za każdym razem, gdy słyszała, jak trzaskają gałęzie, łamane pod ciężarem śniegu. Wróciła do reszty. Chcieli jak najszybciej opuścić miejsce masakry.

- Czy nie udało im się zabić chociaż jednego Qumana? - zdziwił się lord Frithuric. - Sądziłem, że kuzyni lorda Dietricha byli dzielnymi żołnierzami.

- Prawdopodobnie zostali zaskoczeni - odrzekła Hanna, ucinając wszelkie dyskusje.



Cisza panująca wokół przytłaczała. Klótnie wybuchały o zupełne drobiazgi, co chwila ktoś eksplodował gniewem. Wlekli się drogą, wchodząc coraz dalej w las. Dotarli do samej głębi, gdzie rozpościerały się olbrzymie, nigdy nie ścinane drzewa i gdzie panowała absolutna cisza. Ich jedyny punkt orientacyjny stanowiła leśna ścieżka. Brodzili po kolana w śniegu. Poza okólnymi drózkami, prowadzącymi ku skarpiemu albo ku brodowi przy strumieniu, droga wiodła prosto przez las. Na ich szczęście strumień zamarł, co czyniło łatwiejszym jego przejście.

Dzień był długi, zimny, szarpiący nerwy, a na dodatek zmrok zapadł szybko. Znaleźli się w ciemności bez żadnego schronienia nad głową.

Na szczęście sierżant Gotfrid znalazł się nieco na leśnych ostępach. Dostrzegł dogodny do postoju miejsce między gęstymi gałęziami jodeł. Pod nimi w ogóle nie było śniegu. Co dziwne, Hanna poczuła się tu bezpiecznie, tak jakby znaleźli się w pradawnym azylu. Osiemnastu ludzi i osiem koni zdołało się tu pomieścić. Dwóch zbrojnych stanęło na warcie, wpatrując się w ciemniejący las. Zwisające nisko chmury zdawały się dotykać czubków drzew. Padał śnieg, jego płatki obracały się i wirowały.

- Jest naprawdę pięknie - wymruczała Hanna do starego Gotfrida, gdy podchodzili do wartowników, by przyjrzeć się krajobrazowi. - Albo byłoby, gdybyśmy mieli ogień i miód.

- I gdyby nie byłoby Qumanów, tropiących nas jak wilki - zgodził się Gotfrid. Był dobrym człowiekiem - zrównoważonym, bystrym i spokojnym. Znaczoną część życia spędził na służbie jako Lew.

- Jest jednak coś, czego nie rozumiem, Gotfridzie. - Hanna upewniła się, że nikt ich nie słyszy. Od reszty grupy oddzielało ich kilkanaście rzędów drzew, jedno wyższe i grubsze od poprzedniego. - Dlaczego człowiek praktyczny tak jak ty odrzucił wszystko, by głosić herezję?

Gotfrid roześmiał się, nie traktując jej słów jako ataku, a przynajmniej Hanna sądziła, że tak tego nie potraktował. Był już na tyle posunięty w latach, że w jego włosach pojawiły się srebrne nitki, a na twarzy zmarszczki.

- Sądzisz, że młodzi lordowie mogli głosić herezję dlatego, że mieli niewiele lat, byli nierozważni i głupi, nieprawdaż? To dlatego, że jesteś praktyczną młodą kobietą. - Wypowiedział te słowa z aprobatą. Hanna nabrała do Gotfrida wielkiego szacunku podczas ich niełatwej wędrówki i teraz uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu. - Ale to nie ich fanaberia, droga przyjaciółko. - Umilkł, nagle poważniejąc.

Prószył lekki śnieg, pokrywając wszystko białą kołderką. Zapadły ciemności utrudniające dostrzeżenie wroga.

- Czy widziałas kiedykolwiek różę? - zapytał w końcu.

- Tak, widziałam raz czy dwa. Widziałam królewski ogród róż w Autun.

- Dobrze więc... - zawahał się. Hanna spojrzała na niego. Nie był ani przystojny, ani brzydki. Miał szerokie ramiona i masywne ręce żołnierza. Prawdopodobnie był w wieku króla, lecz wyglądał starzej, pewnie ze względu na trudy, jakich doświadczył, służąc w piechocie. Czasami szukał odpowiednich słów, a to dlatego, że miał edukację godną żołnierza, nie zaś kleryka. - Pomyśl o róży, która gwałtownie zakwita w twoim sercu. - Wskazała na cichy las, zimny, biały, istne morze zimy. - Wyobraź sobie, że oto w śniegu zakwita róża, choć nigdy nie spodziewałaś się jej tu zobaczyć. Czy to nie byłby cud? Czy nie myślałabyś, że oto natknęłaś się na przynętę, która ma przyciągnąć cię do bożej prawdy?

- Przypuszczam, że tak bym myślała.

Mówił tak cicho, że Hanna ledwie go słyszała.

- Święty jest pośród nas. Nie możemy jednak o tym mówić, bo Pani jeszcze nie wybrała swego posłańca. Ale w moim sercu zakwitła róża. Nie znam lepszego sposobu, by to wyjaśnić, lecz wiem, że prawdą było kazanie o Ofierze i Odkupieniu. Róża zakwitła, a ja raczej umrę, niż odwrócę się od prawdy. Wolałbym nie żyć, niż to uczynić.

To nie był powiew wiatru.

- To nie są właściwe słowa, przyjacielu, zważywszy na naszą sytuację - powiedziała wreszcie Hanna.

- Nie mamy szczęścia, prawda? Bóg nas sprawdza.

- A więc Oni istnieją. - Hanna poczuła zimno w kościach i klasnęła w dłonie, by je nieco rozgrzać. - Ale lord Dietrich został porażony i zmarł, kiedy wyznał wiarę w herezję.

- Sądzę, że został otruty przez biskupinę. - Gotfrid wypowiedział te słowa tak spokojnie, jakby niebo miało się za moment zawalić, lecz nic takiego nie nastąpiło. Wszystko, co słyszała, to przytłumione odgłosy żołnierzy, ukrytych pośród jodeł: przyciszone rozmowy, zapach dymu z ogniska, niespokojne przytupywanie koni. Dwa razy usłyszała suchy kaszel lorda Lothara.

- To ciężkie oskarżenie - rzekła wreszcie.

- Ty myślisz tak samo - rzekł ponuro Gotfrid. - Inaczej wystąpiłabyś w jej obronie. Myślę, że go otruła, bo wiedziała, że Dietrich się nie podda. Z nas wszystkich wierzył najsilniej. Miała nadzieję, że nas

zastraszy i odwołamy wszystko. - Pochylił się tak blisko, że jego oddech poruszył jej włosy - Nie sądz, że pośród obecnych nie było innych, którzy słyszeli i uwierzyli. Prawdę ukryli w swoich sercach.

- Ale nie mieli odwagi zrobić kroku naprzód.

- Cóż - rzekł z wyrozumiałością - nie każdy chce umierać, gdyby przyszło co do czego. Ktoś musi przetrwać, by ocalić prawdę.

Hanna uśmiechnęła się. Wydało jej się zabawne, że dyskutują o herezji, walcząc o życie w lodowej dolinie.

- Kocham życie i nie miałabym nic przeciwko gorącemu kubkowi wina z przyprawami.

- Wszyscy mielibyśmy na to ochotę.

Kiedy wróciła do kryjówki, okazało się, że nie mają nic prócz czerstwego chleba. Zdołała zasnąć, zwinęta pod własną opończą. Potem ją obudzono. Nastął czas jej warty. Sen pomiędzy wieloma ciałami stłoczonymi obok siebie nie rozgrzał Hanny, ale był znośny. Teraz, przedzierając się przez gałęzie, czuła, jak ucieka z niej ciepło, wysane przez chłód tak dotkliwy, iż zdawał się mrozić nawet jej serce. Dotarła do krańca drzew i od razu wpadła w świeżą zaspę białego puchu. Śnieg dostał się do jej butów, ziębiąc kostki i palce u nóg. Ponownie schroniła się pod jodeł i przyjrzała temu, co się pod nią znajdowało.

Słyszała to i czuła bardziej, niż widziała, ponieważ wciąż panował gęsty mrok. Powietrze było takie jak wtedy, gdy pada śnieg, a chmury wiszą tak nisko, iż wiadomo, że zbliża się śnieżna burza. Płatki śniegu osiadały na jej nosie, policzkach oraz powiekach i prędko topniały.

Ach, Boże, jeśli Qumanowie ich nie zabiją, to zamarną podczas nadchodzącej zawiei.

Śnieg osiadły na gałęzi po prawej stronie zsunął się nagle na ziemię. Hanna zeszywniała niczym królik, który zobaczył cień sowy. Coś się kryło gdzieś niedaleko.

Za śnieżną zasłoną przedzierały się jakieś postacie.

Qumanowie.

Nie, wcale nie. Zbliżał się świt i było już na tyle widno, że Hanna mogła dostrzec ich zarysy: szczupli i bladzi, szli, a nie jechali konno. Ich twarze kryły ciemne kaptury. Stopy dotykające śniegu nie zapadały się weń ani nie dotykały gruntu. To były cienie.

Duchy.

Jedna z postaci zsunęła kaptur. Hanna ujrziała twarz Aoi, bardziej widmową niż ludzką, o ostro zarysowanych kościach policzkowych i wyraźnych rysach, charakterystycznych dla przodków księcia Sanglanta. Włosy Aoi zdobiły pióra, a łuk połyskiwał lekko, jak gdyby nie był wykonany z drewna, ale z wypolerowanej kości. Jego oczy były zimne jak grób. Aoi stanął i nabrał powietrza w płuca, jak gdyby wietrząc ofiarę.

Istniał ktoś bardziej przerażający niż Qumanowie.

Hanna wydała z siebie ostry gwizd. Dźwięk zdradzał jej obecność. Nim zdążyła dać krok i schronić się za zasłoną jodeł, w jej rękawie utkwiała strzała. Delikatna jak igła, nie miała piór. Zwisiała teraz, utkwivszy w miejscu, w którym materiał fałdował się na łokciu, po czym zamieniał w dym. Po prostu zniknęła.

Hanna instynktownie uchyliła się w prawo. Druga strzała przeszła obok niej, skierowana w miejsce, gdzie przed chwilą stała. Trzecia utkwiała w drzewie ponad jej głową, następnie także zniknęła.

Alarmujący wrzask rozdarł powietrze. W obozowisku pośród jodeł rozległy się krzyki.

Hanna zanurkowała w gąszcz. Gałęzie drapały jej twarz, zaczęły o płaszcz i zerwały kaptur z włosów. Jej warkocz zaczepił się o jedną z gałęzi. Kiedy pochyliła się, aby go odzłepić, tuż obok jej głowy świsnęła strzała. Druga trafiła ją w piętę, lecz cienki jak igła grot nie przebił skóry. Taką przynajmniej miała nadzieję, nie miała czasu, by to sprawdzić.

Chroniąc się pod najwyższymi drzewami, wypadła na otwartą przestrzeń. Unosił się tu dym i iskry - ktoś rzucił do ogniska kupę igieł, by je zagasić. Hanna nabrała tchu i spróbowała krzyknąć, ale zakrztusiła się dymem. Ledwo mogła oddychać. Kaszląc, ze szczypiącymi oczami, schwyciła za lejce najbliższego konia i w tym momencie dostrzegła Gotfrida. Stary Lew uformował szyk złożony z trzech ludzi, osłaniając tarczami księcia Ekkeharda.

Ktoś wrzasnął:

- Boże, chroń nas! Moja strzała przeszła przez nich! To demony!

Głos urwał się. Potem jeden z żołnierzy upadł wprost na dogasające ognisko, szarpiąc histerycznie tkwiącą w jego gardle strzałę.

Ekkehard i jego towarzysze wpadli w panikę.

Hanna ledwo zdołała utrzymać konia. Ludzie i zwierzęta wpadali na siebie. Oślepiła ją dym i zatoczyła się ku gąszczowi drzew. Miała zadrapania na twarzy, rozpleciony warkocz i zgubiła jedną rękawicę. Nie

wiedziała już, dokąd uciekać i wypuściła z ręki lejce. Obróciła się, by je pochwycić. Jęknęła.

Przed nią stała, przypominająca cień, postać o bladej twarzy. Miała ciało kobiety, lecz twarz sępa. Nosiła napierśnik z wizerunkiem kobiety o głowie sępa, walczącej za pomocą włóczni.

Przez jej ciało prześwitywał zarys gałęzi, a może, co straszne, po prostu gałęzie przeszywały jej ciało.

Postać opuściła łuk i powiedziała:

- Czuję od ciebie zapach naszego wroga, człowieka. Oto jak cię zniszczymy. - Wyciągnęła długi, masywny nóż.

Hannę zalała fala przerażenia.

Aoi chciała ją zabić. W gęstwinie nie miała szans, by sięgnąć po łuk. Jej palce natrafiły na rękojeść noża, którego używała do krojenia, wiedziała jednak, że to beznadziejne. Zimne żelazo utkwiliby co najwyżej w pniu drzewa widniejącego za plecami widziadła, podczas gdy nóż czy strzała Przeklętej mogły zabić śmiertelnika.

Aoi pragnęła jej śmierci.

Boże, nigdy już nie zobaczę Liath, to była jej ostatnia myśl.

A potem z nicości wyłoniła się sowa, bijąc skrzydłami i hucząc. Ten moment wystarczył Hannie. Upadła na kolana i zaczęła pełznąć jak szalona pod gałęziami najniższych drzew. Jej łuk ocierał się o pnie, a strzała zaczęła się o gałąź i upadła na ziemię, gdy Hanna posuwała się naprzód. Wreszcie trafiła prosto w zaspę śniegu. Zanurkowała pomiędzy dwie zwieszające się gałęzie i ugrzęzła w białym puchu.

Myślała jedynie o tym, by się stąd wydostać.

Było coraz jaśniej, choć nadal szaro. Dzień dopiero się zaczynał. Wokół leżał śnieg, a niebo przykrywały gęste chmury. Ujrzała inne postacie, salwujące się ucieczką, i jednego konia.

Z trudnością pochwyciła lejce wierzchowca. Rzucił się do tyłu, przerażony i Hanna o mało nie straciła nad nim kontroli.

Za pobliską zaspą ukazał się jeden z młodych lordów. Porwał z jej rąk lejce i po chwili okiełznał konia. Miał sprawne tylko jedno ramię, po czym Hanna poznała, że to książe Ekkehard. Odwrócił się do niej. Był bladej, przerażony i bardzo młody.

- Ruszajmy, Orle. Lothar nie żyje, Thiemo gdzieś się zagubił. Musimy uciekać.

Za ich plecami rozległ się straszny krzyk. Chciała się odwrócić, biec na pomoc, lecz Ekkehard podążył naprzód, jak gdyby napędzany wrzaskiem. Hanna nie chciała zostać sama i stanąć twarzą w twarz z wrogami. Z bólem serca pospieszyła za księciem. Z miejsca, w którym się znajdowała, zauważyła, że koń ma ranę na boku. Płaszcz Ekkeharda był rozdarty. Nie przeszli więcej jak dwadzieścia kroków, gdy ktoś ich zawołał.

- Mój książe p-panie. - Głos był drżący ze strachu. Czterech lordów ukryło się za wiązem. Mieli trzy konie. Kiedy tylko ujrzeli, że Ekkehard jest bezpieczny, uciekli w las. Pragnęli tylko opuścić miejsce, które początkowo miało im zagwarantować schronienie.

Hanna zobaczyła grupkę ludzi wycofujących się po drugiej stronie. Czy wśród nich był Gotfrid? Nie miała pewności, a nie odważyła się go zawołać. Zresztą postacie zniknęły za śnieżną zasłoną i rzędami drzew. Może były to tylko cienie krążących w pobliżu elfów.

Jeden z młodych ludzi łkał i zawodził:

- Lothar nie żyje. Lothar nie żyje.

Ekkehard rzekł bez tchu:

- Zamknij się, Manegold. Usłysz nas.

- Nie hałasujemy przecież jak cała armia - wymruczał Frithuric.

Lord Welf wciąż dzierżył sztandar, choć drzewce pękło na pół, a młodzieniec był tak załamany, że ciągnął go po śniegu, co chwila się potykając. Wokół nich padał gęsty śnieg. Hanna pomyślała, że zasypie ich żywcem.

Po dłuższym czasie odezwał się Benedykt:

- Chyba udało nam się uciec.

Wszyscy przystanęli. Z ich ust leciała para. Konie rżały nerwowo. Frithuric zakasłał. Ekkehard wyszczał ostrzeżenie. Stali ukryci pośród drzew, niemal niewidoczni w śnieżycy. Było zupełnie cicho, z wyjątkiem delikatnego osypywania się śniegu z gałęzi i wiatru, kołyszącego koronami drzew. Opady spowodowały, że nie było widać nic dalej niż na rzut kamieniem. Zresztą wokół był tylko śnieg i las, las i śnieg.

- Zgubiliśmy się - powiedział Benedykt cichym, przestraszonym głosem.

- Będę rzygał - oświadczył nagle lord Welf.

- Bolą mnie stopy - wymamrotał Ekkehard zdziwionym tonem.

- Jeśli się nie ruszymy, zamarzniemy tutaj - wtrąciła rozsądnie Hanna. - Nie mamy jeszcze pewności, że zdołaliśmy uciec tym... Tym ceniom, czymkolwiek były...

- To pradawni ludzie - odezwał się Manegold, na wpół bełkocąc ze strachu - którzy zostali przeklęci za bycie poganami i składanie w ofierze dzieci. Zostali przeklęci tak, iż całą wieczność będą się błakali jako duchy. Moja niania opowiadała mi historie...

- Jeszcze jeden powód, by iść dalej - przerwała mu bezpardonowo Hanna, mając nadzieję, że wreszcie ruszą.

I tak się stało. Jej twarda ręka na coś się zdała. Zupełnie jak kiedyś matka, która stosowała podobny trik, gdy trzeba było wyciągnąć mężczyzn z karczmy późną nocą.

Przejęła z rąk księcia lejce konia. Nie wiedzieli dokładnie, dokąd zdążają. Mieli tylko pojęcie, skąd uciekli. Hanna podejrzewała, że cienie Aoi będą mogły ich tropić niezależnie od pogody, lecz samą siebie by przeklęła, gdyby stała i czekała tutaj na niewiadome. Jeśli zginie - trudno, ale tak jak powiedziała do Gotfrida kilka godzin temu, wolałaby żyć, nawet nie otrzymawszy gorącego wina w zamian za poniesione trudy.

Ekkehard i jego towarzysze szli posłusznie. Pomimo że się skarżyli, byli silnymi, dobrze odżywionymi młodymi ludźmi, zaprawionymi do konnej jazdy i noszenia broni. Poza tym każdy z nich lękałby się zostać w lesie sam.

Hanna miała zimne stopy. Marzyły jej ręce. Na jej rękach osiadały płatki śniegu. Wzdragała się, usłyszawszy jakikolwiek trzask lub odgłos osypującego się białego puchu, jednak z determinacją parła do przodu. Dopóki szli, oznaczało to, że nie są martwi.

To jedyna rzecz, której Hanna była pewna.

Rozciągający się przed nimi las stawał się coraz gęstszy. Charakterystyczna linia drzew z zaroślami świadczyła o tym, że gdzieś w pobliżu może być ludzka osada lub strumień. Jeśli to pierwsze, znalazłby schronienie, jeśli drugie, byłoby łatwiej podążać po jego zamrożonej powierzchni jak po ścieżce. Była szansa, że strumień doprowadziłby ich do bezpiecznego miejsca.

Hanna dotarła do granicy drzew i znalazła wydeptany przez jelenie szlak. Czy poczuła zapach dymu? Jeśli tak, szybko się ulotnił. Być może był tylko jej pobożnym życzeniem, które rozplynęło się jak mgiełka w porannym słońcu. Zaczęło silniej padać. Jeśli wkrótce nie znajdą schronienia, zginą.

Ścieżka urywała się tuż za zakrętem. Poprzez zasłonę drzew Hanna dojrzała otwartą przestrzeń.

- Stój! - krzyknął jeden z młodych lordów.

Za późno przypomniała sobie o konieczności zachowania ostrożności. Cienie elfów nie były jedynymi, od których należało trzymać się z daleka. Ale ona już dała krok do przodu. Pośliznęła się, skręcając łydkę i runęła ze stoku. Ocknęła się, czując zawroty głowy i dreszcze. Leżała plecami w śniegu, mając nad sobą zimne, ciężkie niebo. Nagle przestało padać.

Najpierw spostrzegła grot włóczni, skierowany prosto w czubek jej nosa. Z wysiłkiem, mrużąc oczy, spojrzała w kierunku napastnika. Ktokolwiek trzymał tę włócznię, był wielki i silny.

Postać miała żelazne skrzydła. Jej twarz schowana była pod żelazną przyłbicą z wyciętymi oczodołami.

Nagle napastnik wydał z siebie coś na kształt śmiechu i zdjął hełm. Lśniące czarne włosy rozsypały się na jego ramionach, przypominając jedwab. Wciąż oszołomiona, Hanna wpatrywała się w twarz najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek widziała: qumańskiego wojownika, noszącego skrzydła gryfa.

### 3

Trafili do obozu Qumanów.

Oczywiście. Nie mogło być gorzej.

Hanna nie odważyła się ruszyć, mimo że śnieg przesiąkał przez jej ubranie i ziębił skórę. Qumanowie nawoływali się niezrozumiałym językiem. Rżały konie.

Czy to odgłosy potyczki? A może to tylko stukot garnków? Hanna miała nadzieję, że usłyszy głos Ekkeharda, ale nic takiego się nie stało.

Wojownik usunął włócznię sprzed jej nosa i wręczył ją komuś, kogo nie potrafiła dostrzec. Przyklęknął na kolana i z widocznym zadowoleniem pogładził jej włosy. Hanna zacisnęła szczęki, starając się nie ruszać, podczas gdy Quman dotykał jej na wpół rozplecionego warkocza, jak gdyby to była najcenniejsza

rzecz, jaką zdarzyło mu się widzieć.

Fakt, że wojownik miał piękną twarz i jednoczesna świadomość, że może poderznąć jej gardło, sparaliżowały Hannę. Quman miał ciemną cerę, przeszywające ciemne oczy, skąpy wąsik i brodę. Jednak tym, co wyróżniało go najbardziej, był ładny zarys twarzy, dołek w lewym policzku i jasne spojrzenie. Jego włosy rozsypały się na ramionach. Były tak wspaniałe, że Hanna chciała ich dotknąć.

Potem jej wzrok spoczął na straszliwej ozdobie jego pasa. Zwisiała z niej odcięta głowa. Była przerażająca, ze zniekształconymi rysami i poczerzniętą skórą. Hannie wydało się, że całkiem niedawno zdobyła czyjeś ciało. Porastały ją złocistobrązowe włosy. Nieszczęsny zabity człowiek musiał mieć kiedyś włosy równie jasne jak ona.

Odezwał się jakiś głos. Barbarzyńca wstał. Hanna zaryzykowała wsparcie się na łokciu. Nikt jej póki co nie zamordował, więc mogła zobaczyć, jak książe - kim innym mógłby być z tymi skrzydłami i butną postawą? - przemierza polanę, by obejrzeć jeńców.

Qumanowie pochwycili Ekkeharda i jego towarzyszy niczym ptactwo. Jeden z qumańskich żołnierzy rzucił księciu fragment odzieży. Jego skrzydła były tak szerokie, że Hanna nie potrafiła go pomiędzy nimi wypatrzeć. Były przymocowane do zbroi i obleczone piórami gryfa. Breschius opowiadał jej o tych piórach. Tylko najwięksi qumańscy bohaterowie mogli je nosić, to znaczy ci, którzy sami upolowali i zabili bestię.

Quman podniósł sztandar i roześmiał się, widząc wyhaftowane na nim godło Ekkeharda: harfę i gotującego się do skoku lwa na czerwonym polu. Wojownik sprawiał wrażenie rozweselonego. Krótkim gwizdnięciem przywołał do siebie mężczyznę w nieokreślonym wieku, który zdecydowanie miał rysy człowieka z Wendaru. Zamienili kilka słów. Wendarczyk odwrócił się, obrzucając pięciu młodzików cierpkim spojrzeniem.

- Który z was niósł ten sztandar?

Ekkehard i jego kompania uparcie milczeli.

Wendarczyk splunął.

- Na litość miłosiernego Daisana, czy chcecie mieć odcięte głowy? Oni nie będą czekać, jeśli nie udzielicie im satysfakcjonującej odpowiedzi. Nie liczcie, że będziecie się targować z Jego Wyniosłością.

- Gdy wyrzekł te obraźliwe słowa, skłonił się z szacunkiem w stronę mężczyzny o wspaniałych włosach.  
- Możecie mi wierzyć, macie szczęście, że nie jesteście martwi. On chce wiedzieć, czyj to sztandar i kto ma do niego prawo.

Tak odważnie jak tylko potrafił, starając się ignorować związane ręce, stan swoich włosów i twarzy oraz plamy i dziury w ubraniu, wystąpił do przodu książe Ekkehard.

- Jestem Ekkehard, syn króla Henryka, książe Wendaru i Varre. Noszę złoty naszyjnik na znak przynależności do królewskiego rodu. Darujcie nam życie, a przysięgam, że mój ojciec zapłaci za nas okup.

Tłumacz przestał słuchać już po słowach „złoty naszyjnik” i szybko powiedział coś swemu panu.

Qumanski książe słuchał uważnie. Wydawało się, że zapomniał o Hannie albo był człowiekiem koncentrującym się w danym momencie tylko na jednej rzeczy. Hanna ostrożnie usiadła.

Obóz Qumanów składał się z jednego wielkiego namiotu, nieudolnie zamaskowanego warstwą śniegu i tuzina mniejszych, mogących pomieścić czterech mężczyzn. Każdy z namiotów wieńczył długi i wąski sztandar. Na białym tle widniały trzy skośne pasy. Po chwili Hanna rozpoznała, że to trzy szpony, znak plemienia Pechanek. Pani Fortuna kpiła sobie najwyraźniej z Hanny: wpadła w ręce samego Bulkezu, dowódcy qumańskiej armii.

Książe podszedł bliżej, odpiął płaszcz Ekkeharda, odwinął połę jego tuniki i powiódł palcami po złotym naszyjniku, zdobiącym szyję młodzieńca. Przez chwilę Hannia sądziła, że zedrze mu naszyjnik z szyi, ponieważ barbarzyńcy znani byli ze swej żądzy złota. Ale on tylko chrząknął i odsunął się, pozostawiając syna Henryka w spokoju. Zrobił szeroki gest i powiedział coś do tłumacza, który przełożył jego słowa:

- Jego Wysokość mówi: „Uciekliście synowi mej siostry na polu walki, lecz teraz mam wasze życie w swoich rękach, tak jak tego chciałem, bracie”.

- To z nim walczyłeś? - wykrzyknął Benedict. - O mały włos cię nie zabił.

- Nie, walczyłem z innym zbrojnym ze skrzydłami na helmie - odrzekł Ekkehard, wyglądając na coraz bardziej zdenerwowanego. - Dlaczego on nazywa mnie bratem?

Było rzeczywiście trudno pozostać spokojnym, widząc ścięte i przytroczone do pasków głowy ludzi. Hanna uklęknęła. Dziwne, że nie ma tu ognisk. W jaki sposób mają zamierzać upiec mięso zawieszonych na gałęziach jeleni? I co znajduje się po drugiej stronie obozu - urwisko? Zwały śniegu? Nie mogła tego zobaczyć.

- Książęta są braćmi, nieprawdaż? - odrzekł tłumacz sarkastycznie. - Nie tak jak my, biedni niewolnicy, którzy cierpią pod jarzmem książąt i modlą się, by dożyć choćby do następnego wschodu słońca.

- Zawsze jesteś tak zuchwały? - zapytał Frithuric. - Nie boisz się gniewu swego pana?

Uśmiech tłumacza wydawał się szczery, lecz sposób, w jaki wysunął podbródek do przodu, zdradzał jego złość.

- Tylko głupiec nie obawiałby się gniewu Bulkezu, choć on prawie nigdy nie traci zimnej krwi, co czyni go zresztą najgorszym z tyranów. - Tłumacz w gruncie rzeczy też był swoistym tyranem, zadowolonym, że może okazać swą wyższość ludziom jeszcze bardziej bezradnym niż on. Hanna zachwiała się, a Ekkehard i jego kompani zadrżeli i pobladli.

Bulkezu.

Ach, Boże, ten wspaniały mężczyzna to był Bulkezu? Myślała, że to, co najgorsze, już się stało.

- Tak czy inaczej - mówił dalej tłumacz - nikt z tych nędznych Qumanów nie rozumie naszego języka, więc mogę mówić, co chcę. Mógłbym powiedzieć Jego Wysokości Arogancji, że obraziłeś jego matkę, a potem zobaczyłbyś coś, czego z pewnością nie chciałbyś ujrzeć, na przykład to, jak wypruwane są twoje flaki. - Na szczęście w tym momencie odwrócił się do Bulkezu i powiedział parę twardo brzmiących słów.

Ekkehard ciężko złapał oddech, lecz zapanował nad sobą, przypomniawszy sobie, że bohaterowie eposów umierają, zachowując godność. Wyprostował się i przybrał surowy wyraz twarzy, oczekując swego przeznaczenia.

Tłumacz zaśmiał się szyderczo.

- Książę Bulkezu chce wypić wino ze swoim wendarskim bratem na znak pokrewieństwa.

- Czy ma zamiar mnie otruć? - zapytał Ekkehard, starając się wyglądać na odważnego i opanowanego.

- Nie, książę panie, ma zamiar zrobić to, co powiedział, wypić z tobą wino. To twoich bogobojnych ludzi zabił. Teraz leżą niepochowani, stanowiąc pokarm dla wron. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Hannie wydawało się, że żaden z mężczyzn obecnych w obozie nie zwraca na nią uwagi. Nigdzie też nie było widać wart. Większa część z dwóch tuzinów mężczyzn stała, przypatrując się scenie rozmowy z księciem i jego więźniami. Po prawej stronie pomiędzy namiotami uwijało się siedmiu ludzi. Zajmowali się końmi. Przysadziste zwierzęta Qumanów wyglądały na niezdarne w porównaniu z wierzchowcami, które prowadził ze sobą Ekkehard. Jeden ze starszych mężczyzn o wytatuowanej twarzy, ubrany w dziwaczne, zszyte z różnych części odzienie, które wyglądało jak patchwork, odszedł na bok, gdzie oglądał zraniony bok konia. Z nieobecny, dzikim uśmiechem posmarował rany żółtawą maścią. Inny człowiek przytrzymał łeb zwierzęcia, by nie pierzchnęło.

Hanna usunęła się na bok, wciąż na kolanach, podczas gdy Ekkehard przygotowywał się w duchu, by wejść do namiotu Bulkezu godnie, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu jego związane ręce. Wszyscy obserwowali tę scenę. Istniał cień szansy, że Hannie udałoby się wtedy uciec.

Ale jaki czekałby ją koniec? Czy jej ucieczka pociągnęłaby za sobą egzekucję Ekkeharda? I czy w ogóle powinna myśleć o ucieczce, skoro musiałaby uciekać pieszo? Czy widmowe elfy czaiły się gdzieś w gęszczach?

Jednakże nie zważając na ryzyko ani na konsekwencje, powinna próbować dostać się do króla. Powinna mu donieść, że qumańscy jeźdźcy przekroczyli wschodnią granicę jego królestwa.

Hanna przykucnęła.

I wtedy ujrzała cienką jak igła strzałę, która upadła naprzeciwko niej. Po chwili zniknęła w dymie. Chmura wydychanego ustami i nosem powietrza przesłoniła jej widok, ale bez wątplenia to były cienie Przeklętych. Dawni wrogowie polowali na nią. Wciągnęła powietrze i chmura zniknęła. Widmowe postacie zgromadziły się na skraju lasu, z łukami w pogotowiu.

Z czyich rąk było gorzej ponieść śmierć?

Niczym głównie zanurzone w wodzie, strzały zasyczały i przemieniły się w dym i uniosły w powietrze. Dwie upadły, jedna po prawej stronie Hanny, a gdy dziewczyna potoczyła się w bok, druga strzała upadła z lewej. Strzały stopniały, pozostawiając po raz kolejny smużkę dymu.

To niemożliwe, by tak delikatne przedmioty mogły siać śmierć.

Polanę wypełnił głośny okrzyk. Qumański żołnierz zatoczył się, rękami obejmując swoją głowę. Z jego ręki pociekła krew. Zachwiał się i upadł, a jego krzyk niósł się echem.

Hanna zaczęła się wycofywać. Tym razem strzała została wysłana w stronę qumańskiego księcia. Czy to na skutek szczęścia, czy kalkulacji, odwrócił się i grot trafił w skrzydła gryfa. Świt rozjaśniła, niczym w kuźni, fontanna iskier.

Bulkezu wydał jakieś niezrozumiałe rozkazy. Zbrojni z końmi utworzyli szpaler, będący tarczą przeciw widmowym wrogom. Kilku Qumanów wypuściło strzały, lecz poleciały beładnie, a cienie zdążyły rozmyć się w zaroślach, nim broń wyrządziła im jakąkolwiek krzywdę.

Sześciu Qumanów pchnęło księcia Ekkeharda i jego towarzyszy do wielkiego namiotu. Lord Welf upadł, choć Hanna nie dostrzegła, gdzie został ugodzony. Krzepki żołnierz schwycił go pod pachy i powłókł za innymi.

Odziany w patchworkowy strój człowiek wydał okrzyk radości, tańcząc wokół księcia, który zdjął hełm z głowy. Szaman zsunął swe odzienie, ukazując nagi tors i plecy pokryte fantastycznymi, niebiesko-czarnymi tatuażami. Kiedy bełkotał coś i skakał, wzory na jego ciele - dzikie zwierzęta, sceny bitewne, ciała niebieskie - zaczęły się wić, jak gdyby obudzone do życia.

Hanna potrząsnęła głową i schroniła się za krzepkim kucem. Nie mogła oderwać oczu od tańczącego człowieka, jego rozłożystego torsu, umięśnionych nóg i silnych ramion. W każdym uchu nosił łańcuszek złożony z trzech ludzkich nosów. Jego przegrodę nosową przebito złotą igłą. Każdy jej koniec zdobyło wysuszone ludzkie ucho. Na rękach miał rękawice zrobione ze skóry z ludzkich nóg, a na nogach buty ze skóry ludzkich rąk.

Bulkezu zrobił unik i strzały znowu trafiły w gryfie skrzydła. Ukrył się za dereszem. Szaman wciąż kuczał, doskonale widoczny. Śpiewał. Z każdą frazą schylał się coraz niżej. Hanna zastanawiała się, czy ma zamiar zakopać się w śniegu. Wokół szamana utworzyła się lekka mgiełka, jak gdyby wiatr poruszył górną warstwę śnieżnej zasy. Tatuaże ześlizgnęły się z jego ciała i jak tysiące wijących się robaków zaczęły wstępować na ciało Bulkezu oraz na konia, potem na sześciu, a wreszcie na dwunastu zbrojnych.

Bulkezu dosiadł konia i wydał rozkaz. Przygotowawszy łuki, włócznie i miecze, Qumanowie ruszyli ku zbroczu. Powitał ich grad strzał, lecz ani Bulkezu, ani jego ludzie nie stchórzyli. Kiedy dosięgły ich strzały, wytatuowane bestie i wojownicy pochwycili je i połknęli. Nie został zraniony żaden koń ani żaden jeździec. Z Bulkezu na przodzie wojownicy zaczęli zbliżać się do przeciwników.

Bitwa rozgrywała się pośród drzew. Qumanowie pokonali wrogów. Nigdzie nie było widać Bulkezu. Tuzin zbrojnych rozbiegł się, łapiąc konie, zaś szaman, podniósłszy się ze śniegu, odrzucił płaszcz i pospieszył do rannych, włączając w to i lorda Welfa.

Nikt, zupełnie nikt nie zwracał uwagi na Hannę.

Pani Fortuna w dziwny sposób okazywała swe łaski niektórym nieszczęśnikom. Dotarła do rzędu drzew i upadła dokładnie w tym samym co poprzednio miejscu. Usłyszała gwizd powietrza. Uderzyła się w głowę, zeszytywniały jej ręce. „Wydostanę się stąd!”, pomyślała. Podparłszy się na łokciach, starała się podnieść, jednak chwycił ją za kostki.

Kłęła bezsilnie, podczas gdy jeden z Qumanów ciągnął ją do namiotu. Jedyne, co mogła zrobić, to unosić głowę, by nie udusić się w śniegu. Quman nie wypuszczał jej z rąk, dopóki nie dotarli do głównego wejścia do wielkiego namiotu. Tutaj puścił jej nogi i Hanna potoczyła się przez próg - drewniany wał, w zetknięciu z którym na jej ramieniu i biodrze pojawiły się siniaki - i spoczęła na cudownie miękkim dywanie. Leżała tak, łapiąc oddech, aż drobiny białego puchu tkwiące w załamaniach jej odzienia zaczęły topnieć, powodując, że cierpła jej skóra. Chciało jej się płakać, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Po chwili podparła się rękami i uklękła. Gdy uświadomiła sobie, że w namiocie zgromadził się z tuzin ciekawskich ludzi, wstała.

Bulkezu swobodnie zasiadał na zydlu. Obserwował ją. Wciąż miał na sobie zbroję, lecz hełm ze skrzydłami leżał obok. Na skórze księcia i na jego odzieniu nie było śladu po chroniących go tatuażach. Jeśli potyczka wytrąciła go z równowagi, Hanna nie dostrzegła tego ani w jego postawie, ani w pogodnym wyrazie twarzy. Bulkezu powiedział kilka słów do tłumacza. Ten, podobnie jak Hanna, ciężko oddychał. Wyglądał na szczęśliwego, iż uniknął śmierci.

- Jego Cesarskość księżę Bulkezu sugeruje z całą uprzejmością, byś nie próbowała znowu uciekać. Podobają mu się twoje jasne włosy. Jeśli będziesz miała szczęście, potraktuje cię dobrze i zatrzyma przy sobie na trochę, zanim porzuci na pożarcie wilkom.

- Zastanawiam się, czy z tonu twego głosu odgaduje, jakim jesteś nikczemnikiem - rzekła Hanna. - Będę ci wdzięczna, zdrajco, jeśli przekażesz Jego Wysokości księciu Bulkezu, że byłoby lepiej, gdyby mnie zostawił w spokoju, bo jestem królewskim Orłem i moja osoba jest nietykalna.

Tłumacz parsknął, po czym powtórzył jej słowa. Bulkezu tylko się zaśmiał. Po chwili wstał i zbliżył się do niej. Jakimś cudem jej płaszcz nadal pozostał zapięty pomimo tego, co przeszła. Bulkezu złapał za mosiężną broszę i płaszcz opadł z jej ramion na dywan.

Bulkezu westchnął, podnosząc rękę, by pobawić się jej włosami.

- Przykro mi to mówić - odezwał się tłumacz, nie ruszając się ze swego miejsca za książącym zydlem. - Qumanowie uznają jasne włosy za symbol szczęścia. Widziałem kiedyś, jak stoczyli walkę o jasnowłosą nałożnicę.

Narastało w niej przerażenie, strach wzbudzał złość i wściekłość. Bulkezu dotykał jej tak, jakby była zwierzęciem albo jego nałożnicą. Schwyciła jego nadgarstek i energicznie odsunęła rękę od swych włosów.

Książę nie spodziewał się, że Hanna będzie się opierać i że posiada taką werwę. Przez trwający dwa oddechy moment ich siły były równe. On odciągała jego rękę od swoich włosów, on próbował się przeciwstawić. Byli prawie tego samego wzrostu. Stali tak blisko, że Hanna dostrzegła cień migocący w jego oczach, przebłysk gniewu. Coś się w nim zmieniło - postawa, przechylenie głowy, napięcie ramion. Atmosfera w namiocie zmieniła się w mgnieniu oka. Tłumacz zdławił okrzyk przerażenia.

Zawisła nad nimi chmura grozy.

Bulkezu zmusił Hannę do powolnego opuszczenia ręki. Nie przyszło mu to łatwo, lecz był od niej silniejszy. Przeciwdziałała mu się z całej mocy. Zmusił ją do opuszczenia ręki aż do biodra, udowadniając, że góruje nad nią i że nic nie zmieni faktu, że jest teraz jego własnością. Utkwił w niej spojrzenie, domagając się całkowitej uległości.

Nie cofnęła się. W tym starciu mógł ją zabić, ale ona nie miała zamiaru pozwolić mu na całkowite zwycięstwo.

Nagle z zakamarków jej pamięci wyłoniły się słowa brata Breschiusa.

Nie spuszczać wzroku z qumańskiego księcia, Hanna odezwała się stanowczym głosem:

- Proszę cię, zdrajco, byś powiedział swemu panu, że skrzywdzenie mnie grozi mu śmiercią, gdyż jestem szczęśliwym znakiem szamanki Kerayit.

Ujrzała, że słowo „Kerayit” uderzyło Bulkezu niczym strzała prosto w oczy. Jego uścisk zelżał, wprawdzie tylko na chwilę, ale wahanie ma na ogół fatalne skutki. Hanna wyswobodziła rękę z jego uścisku.

Tłumacz wydał stłumiony dźwięk, jak gdyby kość utkwiała mu w gardle. Niemniej jednak przemówił. Książę Bulkezu odsunął się od Hanny, zaniepokojony i zaskoczony. Potem wydał rozkaz w swoim języku. Wszyscy obecni w namiocie rozstąpili się, a jeden z żołnierzy wybiegł na zewnątrz. Po chwili wrócił, prowadząc mężczyznę ubranego w patchworkowy płaszcz.

Szaman szukał czegoś w jednej ze swych skórzanych sakiewek. Podeszedł do Hanny i wysypał na nią garść jakiegoś prochu. Kaszłąc, zaczęła go strzepywać, biały proszek osiadł bowiem na jej włosach i ramionach, a także na dywanie. Poczula jego fetor, zaś w sercu jak gdyby ukąszenie osy. Oczy szamana rozszerzyły się. Wybełkotał coś wysokim, przerażonym głosem, wykonał kilkanaście gestów, przypominających te, które wykonują wiedźmy, osłaniające się ochronnym zaklęciem i wyglądał na tak wstrząśniętego, że aż pociekła mu piana z ust. Większa część zbrojnych uciekła z namiotu. Jego tkwiąca w nosie igła drżała, podczas gdy szaman trząsał się. Wreszcie osunął się na podłogę, wyczerpany.

Miał prawo być wyczerpany, stoczywszy magiczną walkę z widmowymi wrogami.

Zapadła cisza. Hanna zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Ekkehard i czy w ogóle żył.

A potem książę Bulkezu roześmiał się, jak gdyby usłyszał najlepszy żart w życiu. Ten beztroski śmiech działał jej na nerwy.

Bolały ją nadgarstki. Po tym, jak ciągnięto ją po ziemi, czuła ból także w barkach i okolicach żołądka. Stopy zaś na przemian ogarniało gorąco i zimno. Teraz jednak nie mogła pozwolić sobie na słabość.

Z zadowolonym uśmiechem na swej pięknej twarzy Bulkezu zasiadł z powrotem na swym zydlu i wydał jakieś polecenia, których Hanna nie rozumiała. Stary szaman wybudził się z odurzenia, wstał i opuścił namiot bez jakiegokolwiek gestu. Powrócił, niosąc miedzianą miskę ozdobioną wizerunkami gryfów pożerających jelenie i miedzianym dzbankiem wypełnionym gorącą wodą. Jakim cudem mieli ciepłą wodę w tej zapomnianej przez Boga głuszy, skoro nie rozpalili nawet jednego ogniska?

Szaman wskazał na zasłonę, podczas gdy Bulkezu przyglądał się Hannie z żywym zainteresowaniem. Reszta służby pospieszyła wypełniać jego polecenia. Hanna pozwoliła, by szaman poprowadził ją za zasłonę. Znajdowały się tam poduszki, futra i pluszowe pośłanie godne księcia nomadów. Szaman gestem wskazał, że Hanna może się tu umyć.

Dlaczego nie? Opłukała ręce, twarz i starała się zmyć z ubrania najbardziej widoczne plamy. Wreszcie zdjęła buty i zanurzyła zmarznięte stopy w ciepłej wodzie. Chyba nigdy w życiu nie czuła nic podobnie cudownego. Ze swej sakwy wydobyła drewniany grzebień, uczesała włosy i zaplotła je w warkocz.

Szaman obserwował ją z zainteresowaniem i szacunkiem. Co dziwne, nie budził w Hannie strachu, mimo przerażających tatuaży, które zdobiły jego ciało. Szaman pielęgnował swoich pobratymców tak



samo gorliwie, jak i lorda Welfa. Nie wyglądał też na takiego, który chciałby ją zgwałcić. A poza tym, u jego pasa, w przeciwieństwie do reszty Qumanów, nie zwisały ludzkie głowy. Co prawda nosy i uszy wyglądały strasznie, ale Hanna mogła udawać, iż to tylko wysuszone morele, które zmieniły barwę i kształt. Szaman wyglądał na trochę niespełna rozumu, ale w złagodzonej wersji, jak gdyby nawdychał się zbyt wiele dymu lub zbyt często rozmawiał z bogami.

- Dziękuję - rzekła do niego, kiedy skończyła. Chciała naciągnąć z powrotem podwinięte nogawice, lecz szaman pokazał jej, że zamiast tego powinna je rozwiesić i wysuszyć. Zaczął szperać w jakichś książęcych rzeczach i wyciągnął piękną jedwabną szatę. Potrząsnęła głową, czując, że ktoś obserwuje ją przez szparę w zasłonie

- Nie, dziękuję. Zostanę we własnym odzieniu, jeśli pozwolisz. Nie chcę, by Jego Łaskawa Wysokość książę Bulkezu choć przez chwilę sądził, że jestem od niego uzależniona albo że jestem mu coś winna.

Szaman uśmiechnął się radośnie, kiwając głową w rytm jej słów. Oczywiście nie rozumiał nic z tego, co powiedziała. Hanna wstała, podeszła do zasłony i pociągnęła ją, odsłaniając ukrytego za kotarą księcia Bulkezu. Pozbył się już zbroi i teraz odziany był w ognistej purpurowej szacie, która aż raziała oczy. Jego rozczesane włosy spływały na ramiona, prezentując swe piękno. Na twarzy Bulkezu widniał wciąż ten sam irytujący uśmiech. Podglądał ją? Był ciekawy, czy się rozbierze?

Jeśli się zaśmieje, pomyślała, uduszę go.

Ale on wskazał tylko na poduszki ułożone w półkole w samym środku namiotu. Siedzieli już tam książę Ekkehard i jego lordowie. Wyglądali na tak zrelaksowanych, jak gdyby codziennie gościli w namiocie swego wroga. I pomyśleć, że był to człowiek, którego Bayan nienawidził bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Razem z innymi siedział i lord Welf, któremu opatrzono rany. Nadal jednak był błądy.

- Jego Wysokość prosi cię, byś zaszczyliła go swą obecnością, pani - rzekł tłumacz z o wiele większym szacunkiem niż poprzednio. - Teraz, kiedy Przekłęci zostali pokonani, nastał czas świętowania zwycięstwa i naszego przypadkowego spotkania.

- Zastanawiam się, dla kogo ono było szczęśliwe - wymruczał lord Benedict.

- Te widma z pewnością by nas wytropiły i zabiły, gdybyśmy nie natknęli się na księcia Bulkezu - rzekł gniewnie książę Ekkehard do swego towarzysza. Popatrzył na tłumacza. - Czy Orlica ma usiąść wraz z nami, choć nie jest szlachetnie urodzona?

- Gdybym był na twoim miejscu, książę panie - rzekł zuchwale tłumacz - trzymałbym usta zamknięte na kłódkę, mówiąc o niej.

- Czy książę Bulkezu ma zamiar wziąć ją jako swoją konkubinę? Widziałem ładniejsze kobiety, lecz jej włosy są piękne.

- Jesteś pełnym ignorancji opojem. Czy wiesz, kim ona jest?

- Jest cholernym królewskim Orłem i zasługuje tylko na taki szacunek, jaki można okazać sługom króla Henryka. Poznaję pierścień na jej ręku, znak łaski mego ojca. Nie mogę uwierzyć, że twój barbarzyński pan jeszcze nie obciął jej palca, na którym go nosi.

- Albo że jeszcze nie uciął ci głowy za twą bezczelność - dodał Frithuric.

Książę Bulkezu chrząknął znacząco i poprowadził Hannę ku poduszkom, po czym, niczym elegancki dworzanin, wskazał jej poduszkę w kolorze starego wina, na której widniały dwa ścierające się orły. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami, znalazłszy się pomiędzy lordami Wendaru. Bulkezu usadowił się pomiędzy Hanną i Ekkehardem. Klasnął w ręce i służba pospieszyła z przepięknie rzeźbionymi tacami, na których uwidocznił winorośl. Kielichy były mniej wytworne, lecz ciepłe w dotyku, a kiedy Hanna poczuła zapach napoju, o mało się nie roześmiała. Tym napojem było bowiem gorące wino z przyprawami.

W sercu poczuła nagłe ukłucie. Co stało się z Gotfridem i jego towarzyszami? Czy udało im się uciec, czy leżeli martwi w śniegu?

Jednakże nawet myśl o Gotfridzie nie mogła popsuć jej przyjemności, którą teraz odczuwała po tym wszystkim, co przeszli. Gotfrid prawdopodobnie byłby pierwszym, który zachęcałby do cieszenia się chwilą, tym bardziej, że nie wiadomo było, kiedy ta może się skończyć.

Jak to mawiał Bayan: żadna wojna nie jest przegrana, jeśli zostało jeszcze trochę wina.

Bulkezu obserwował ją w milczeniu, podczas gdy wszyscy raczyli się winem i twardymi ciastkami z dodatkiem kolendry. Teraz wojna toczyła się na wiele sposobów i Hanna pomyślała, że nieprędko nastanie jej koniec. Poza tym, pomijawszy strach przed Kerayit, wciąż była więźniem.

Jeden z żołnierzy wniósł dziwnie wyglądającą dwustrunową lutnię. Usiadł z boku i zaśpiewał chrapliwym, nosowym głosem. Po dość długim czasie skończył i wszyscy udali się na spoczynek. Choć Hannie bardzo uprzejmie zaproponowano futra Bulkezu, ona ulokowała się po przeciwległej stronie

namiotu, niedaleko od wejścia i przykryła się swoim płaszczem. Była tak zmęczona, że natychmiast zapadła w sen.

Obudził ją odgłos chrapania. Nie podnosząc głowy i starając się nie zwracać na siebie uwagi, przyjrzała się ciemnemu wnętrzu. Księżę Ekkehard i jego kompani spali w pobliżu, porozkładani w różnych pozycjach na podłodze namiotu. Każdy z młodych lordów miał swego strażnika, który spał obok na wypadek, gdyby któremuś z więźniów zachciało się ucieczki. Tylko Hanny nikt nie pilnował.

A może jednak była pilnowana.

Jeden człowiek nie spał. Pośrodku namiotu siedział na złotej poduszce księżę Bulkezu. Miejsce to oświetlała pojedyncza lampka, zwisająca ze słupka podtrzymującego namiot. Siedział w swobodnej pozycji ze skrzyżowanymi nogami, oparłszy łokieć na kolanie, podczas gdy drugą bawił się końcówką długiej fajki. Z jej wnętrza dobywał się dym. Bulkezu zaciągnął się. Otoczył go woal dymu. Popatrzył w stronę Hanny. Czy wiedział, że się obudziła?

Dym o dziwnym zapachu wypełnił jej płuca i sprawił, że świadomość uniosła się wraz z mglistymi oparami, opuszczając namiot. Teraz znajdował się on w dole, otoczony złotym pierścieniem ochronnym. Obok stały ustawione kołem pozostałe namioty, także otoczone magicznymi zaklęciami. Dalej były konie, niespokojne tej zimnej nocy, pilnowane przez krzepkiego żołnierza. Po jednej stronie obozu znajdowała się niedostrzeżona wcześniej zagroda dla bydła, a za ogrodzeniem widniał patchwork należący do szamana, który przyrządzał mięso w garnku umieszczonym na rozżarzonych węglach. Nieoczekiwanie spojrzął w górę, wyczuwając czyjąś obecność. Jednakże świadomość Hanny uniosła się dalej, ku strażnikom na warcie. Na gałęzi usiadła para sokołów, oczekujących świtu.

To, co wyczuła poza obozowiskiem Bulkezu, wprowadziło ją w przerażenie. Im wyżej się unosiła, niesiona eteryczną bryzą, tym wyraźniej widziała, że obóz Bulkezu jest tylko jednym z wielu. Obozowisk było całe mnóstwo. Nie sposób je było policzyć w ciemnościach. Namioty Qumanów rozrzucono w lesie niczym kamyki.

To nie była tylko grupa jeźdźców. To cała qumańska armia.

Bulkezu zrobił odwrót spod Handelburga. Porzucił nękanie Bayana i jego rozbitej armii, pozostawiając ich bezsilnych na wschodzie. Teraz zmierzał na zachód, do samego serca Wendaru.

W nocnych ciemnościach czaili się nie tylko Qumanowie. Przeróżające istoty, które wkraczały na ziemię, cierpliwe i ukierunkowane na jeden cel. Poza zasiekami i wałami obronnymi kryły się elfie cienie, dokonujące najazdów w małych grupach, pełne wściekłości tak silnej, że przypominały naprężone struny lutni. Czy nigdy nie uda się od nich uciec? Dlaczego ją prześladowały, ją, która nigdy ich wcześniej nie widziała? Czym w jakiś sposób wzbudziła ich gniew, czym zwróciła ich uwagę? Czy one, podobnie jak straszliwa *galia*, nauczyły się jej imienia?

Na wargach uczuła zimny, przypominający pocałunek, powiew wiatru. Świadomość zaczęła wracać do jej ciała. Czowała, że serce wali jej ze strachu. Nie poruszyła się jednak ani też nikt jej nie dotykał. Nocny wiatr sprawił, że wejście do namiotu stało otworem. Ujrzała przestrzeń i stojące obok siebie namioty. Znowu padał śnieg. Ślady bitwy zasypał biały puch.

Nagle nadleciała sowa i przysiadła na nietkniętym śniegu. Zamrugła. Dziewczyna wiedziała, że ptak patrzy prosto na nią.

To był ten sam ptak, który pojawił się w opuszczonej wiosce dwie noce temu, sowa, do której mówiła Liath zupełnie tak, jak gdyby zwierzę mogło ją zrozumieć.

Wiedziała teraz, co to było. To była sowa kobiety-centaura, którą Hanna widziała w swoich snach.

Ptak czekał, wpatrując się w dziewczynę złotymi oczami. Panowała absolutna cisza.

A potem Hanna usłyszała śmiech Bulkezu. Mężczyzna zaciągnął się swoją fajką i powiedział zrozumiałym językiem wendarским:

- Nie, nie skrzywdzę kobiety o białych włosach. Czuję twoją moc. Ale ona jest teraz moja. Odbierz mi ją, jeśli potrafisz.

## **Rozdział jedenasty** **ODGŁOS ICH PRZEBUDZENIA**

Pierwszego pogodnego dnia wiosny Adika wracała z kamiennej pętli po męczącym, spędzonym na medytacji popołudniu. Ładna pogoda nie sprzyjała koncentrowaniu umysłu. Śpiew ptaków i rozkwitające pierwiosnki oraz wschodzący len sprawiły, że ziemia zakwitła kolorami żółci, błękitu i fioletu. Adika zastanawiała się, gdzie jest jej mąż i co teraz robi.

Jak zwykle, nie miała kłopotów z tym, by go znaleźć. Musiała tylko pójść za odgłosem śmiechu, udać się w dół rzeki, gdzie zgromadziła się połowa wioski. Ludzie śmiali się i pokrzykiwali, oglądając jakieś idiotyczne męskie zawody. Nadeszła wiosna, a to oznaczało, że mężczyźni zapadli na głupawkę Zielonego Pana.

Alain stał po kolana w rzece, biorąc udział w rzecznych zapasach. Adika przybyła dokładnie w momencie, gdy cisnął biednego Kela na głęboką wodę i przytopił go. Kel wypłynął, trzęsąc się z zimna. Sześciu mężczyzn stało na brzegu. Byli mokrzy i pomimo że również drżeli z zimna, głośno dopingowali zawodników:

- Rzuć go!  
 - Na nic więcej nie zasługuje! Przytrzymaj go pod wodą!  
 - Hu! Ha! Woda jest tak zimna, że do lata moja żona nie będzie ze mnie mieć pociechy w łóżku!  
 - Dobrze więc - rzekła stojąca w tłumie żona - że o tej porze roku przybywają handlarze z plemienia Czarnych Jeleni. Zabawię się z nimi, dopóki ty nie wrócisz do formy. - To wywołało falę komentarzy takich jak: „Mój mąż nie ma nawet siły wspiąć się ścieżką do chaty”.

Większość kobiet miała coś do powiedzenia.

Alain śmiał się, pomagając wyjść Kelowi z wody. Miał na sobie tylko przepaskę; był to dopiero pierwszy dzień na tyle ciepły, że można było zrzucić odzienie. I chociaż Adika знаła już jego ciało doskonale, wciąż podziwiała wąskie biodra i szerokie ramiona. Czesłała i zaplatała jego długie włosy w warkocze, ale teraz luźno spływały po ramionach. Na jego twarzy przez zimę pojawiła się broda, co ostatecznie udowodniło sceptykom, że w żyłach Alaina nie ma ani kropli krwi Przeklętych.

Obok Adiki stanęła Weiwara. Na rękach trzymała jedno z niemowląt, Niebieskooką. Adika zapragnęła potrzymać na rękach śliczne i pulchne stworzonko, ale nie odważyła się o to poprosić.

- Wygląda, jakbyś poślubiła go wczoraj, a nie ubiegłej jesieni, tak zalotnie na niego patrzysz - powiedziała ze śmiechem Weiwara, przenosząc dziecko na drugie biodro. - Popatrz, idzie Beor.

Kel piszczał, wychodząc z rzeki. Schwycił skórzane okrycie i owinał się nim. Beor zszedł na brzeg i zsunął swoją tunikę.

- Teraz zobaczycie, co potrafi prawdziwy facet - warknął.

Kontrast pomiędzy dwoma mężczyznami był uderzający: Alain był szczupły i nieowłosiony, zaś klatka piersiowa Beora była gęsto porośnięta. Na twarzy Alaina często gościł uśmiech. Miał wyraz twarzy człowieka, który niczym się nie martwi, podczas gdy na twarzy Beora malowało się ponure malkontenctwo. Choć, przyznać trzeba, Beor złagodniał przez zimę. Nie był już tak kłótniwy jak wcześniej. Może to dlatego, że zima była lekka i wioska nie cierpiała głodu, a jedynym problemem było to, że musieli siedzieć w zamkniętych pomieszczeniach. Odkąd Alain zamieszkał między nimi, wszyscy zrobili się spokojniejsi, choć zagrożenia ze strony Przeklętych nie lekceważyli.

- Stawię czoło wszystkim mężczyznom, ale nie niedźwiedziom - rzekł Alain, wzbudzając ogólną radość.

Beor podniósł ręce, udając ociężałe zwierzę i z rykiem zaatakował. Jakieś dziecko zapiszczało, podniecone. Alain uskoczył w bok, jednak nie dość szybko. Beor schwycił go za ramiona i zaczęli się mocować. Beor przewrócił Alaina na plecy i z brutalną siłą podniósł go, a potem wrzucił do wody. Wielki jak dąb, podniósł ręce do góry i wydał okrzyk triumfu, który dotarł odbity echem aż do kurhanu. Adika śmiała się wraz z innymi.

Pokonany i mokry, Alain wygramolił się z wody.

- Pokój! - zawołał. - Wygrałeś!

Wyciągnął rękę. Gdy Beor podał swoją, by pomóc pokonanemu wyjść na brzeg, ten mocno go pociągnął i wepchnął do lodowatej wody. Rozszczękały się psy, zaś mężczyźni usiłowali wyjść z rzeki, ochlapując się wzajemnie i śmiejąc na cały głos. Zwierzęta dołączyły do nich, po czym w szale zabawy powaliły, i zarówno Alain, jak i Beor z powrotem wylądowali w wodzie.

- Boli mnie brzuch ze śmiechu - jęknęła Weiwara, ocierając łzy rozbawienia.

- W wiosce od razu będzie inny zapach - rzekła Etora, siostra Beora. - Patrzcie, jak zmienił się kolor rzeki.

Adika spostrzegła, że wełniana opończa Alaina leżała na skałach. Kiedy wyszedł z wody, okryła nią jego ramiona. Zimą spędzili w większej części w zamkniętych pomieszczeniach i nagły kontakt z zimną wodą sprawił, że Alain pobladł, a jego skóra pokryła się gęsią skórą.

- Chłodno - oświadczył pogodnie, zapinając opończę za pomocą zapinki z brązu. Pocałował ją w policzek.

Jego wargi były zimne jak śmierć.

Zadrżała.

- Adika. - Alain wyczuł jej nastrój i dotknął jej dłoni. Ręce również miał chłodne.

Wizja uderzyła tak nagle jak fala lodowatej wody.

*Sześć postaci, których nie można rozpoznać w ciemnościach, siedzi skulonych w skalnej komnacie. Siódma postać spoczywa na ziemi. Śpi, jest ranna albo umarła. Na jej tunice widoczny jest wyhaftowany lew. Na granicy kręgu światła, które rzuca dymiąca pochodnia, leży kamienna płyta. Tutaj spoczęła królowa. Jej kości złożono z szacunkiem, składając do grobu także jej ubranie i biżuterię, kawałki zbutwiałego materiału, koraliki, pierścień z lapis lazuli i złote obręcze na ręce. Jedna z postaci podnosi pochodnię, by widzieć lepiej i dostrzega złote jelenie rogi na trupiej czaszce.*

*To noszone przez Adikę rogi, będące oznaką funkcji, jaką pełni wśród swego ludu.*

- Adika.

Zachwiała się i złapała Alaina za rękę.

- Widziałam swoje martwe ciało - wyszeptała zachrypniętym głosem. - Widziałam swój grób.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nie opowiadaj takich strasznych rzeczy! Nic złego cię nie spotka, ukochana. Nie pozwolę na to.

- Kocham cię - wyszeptała w jego włosy.

- Zawsze będziesz mnie kochała - powiedział gorąco. Psy podskakiwały, ocierając się nosami i futrami o jej biodra, usiłując wcisnąć się pomiędzy nich. - I ja zawsze będę cię kochał.

Adika nie miała odwagi powiedzieć mu całej prawdy o zadaniu, jakie na nią czekało. Sama myśl o opuszczeniu go bolała. To był sekret Obfitej o podwójnej twarzy, na wpół oblanej światłem, a na wpół ukrytej w cieniu. Ona była dawczynią wszystkiego: bólu i śmierci, bogactwa oraz przyjemności. Czy to nie cud, że Adika wybrała przyjemność, gdy tuż za progiem czyhały smutek i śmierć?

Tymczasem zebrali się wokół nich mieszkańcy wioski, czekając z szacunkiem, aż Adika będzie mogła im poświęcić uwagę.

- Wybrana, Getsi znowu ma kaszel.

- Wybrana, mój mąż wpadł we wnyki w południowym lesie i od tej pory jest nawiedzany przez złośliwe duchy.

- Wybrana, skończyliśmy naprawiać dach, który zawalił się pod naporem śniegu i potrzebujemy twego błogosławieństwa.

Nawet gdy się nie uśmiechał, Alain miał pogodną twarz, a kiedy było mu wesoło, jego twarz po prostu jaśniała. Tak jak teraz. Ze wszystkich ludzi znanych Adice miał najbardziej roziskrzony oczy.

- Los wioski od ciebie zależy, tak więc muszę sprawić, by twoje życie było wesołe.

Nietrudno natknąć się w życiu na śmierć, o wiele większą sztuką jest wnosić życie. Alain to potrafił.

Pojawił się w życiu Adiki późnym latem. Naturalną kolejną rzeczą miały dni i miesiące, księżyc rósł i malał, rósł i malał. Po lecie nadeszła jesień, zima pokryła świat bielą, a teraz Zielony Pan unosił głowę z zimowego snu. Tak było i tak będzie, nawet wtedy, gdy Adika odejdzie z tego świata. Nawet jeśli wiedziała, co za los ją czeka, koło cyklu, w jakim toczył się rok, musiało się kręcić. Nawet gdy nadejdzie jej ostatnia jesień, będzie szczęśliwa.

Wiedząca wybrała mądrze.

Teraz jednakże mieszkańcy wioski czekali na jej pomoc.

Późnym popołudniem skończyła tkanie ochronnego zaklęcia wokół miejsca, gdzie zastawiono wnyki w południowym lesie. Było ono nawiedzane przez złe duchy. Wróciwszy, zastała wszystkich gotowych do świętowania ostatniego dnia powitania wiosny. Ruszyła do domu, wypowiadając odpowiednie słowa i zaklęcia, nałożyła wszystkie niezbędne atrybuty Wybranej - jelenie rogi i obręcze z brązu. Z laską w rękę poprowadziła procesję mieszkańców wioski ku wielkiemu kurhanowi. Zima się skończyła. Teraz mogli zacząć siewy.

Adika zaintonowała:

- Proszę cię, Zielony Panie, pozwól, by zboża wzeszły. - Obróciła się, by powitać księżyc w pełni, który pojawił się na wschodniej stronie nieba. - Proszę cię, o Obfite, daj wsi dostatek. Niechaj twoja pełnia będzie zapowiedzią obfitości w tym roku.

Każdy z mieszkańców wioski przyniósł jakąś ofiarę: bukietek fiołków, miedzianą opaskę, krzemienią siekiere, grot strzał, sztylety. Księżyc oświetlał drogę, gdy ruszyli okrążyć kopiec, a potem podążyli ścieżką prowadzącą ku wschodniej krawędzi wzgórz. Adika знаła sekretną drogę wysokich traw, wiodącą przez bagna na świętą wyspę As. Na czele procesji szedł najstarszy człowiek w wiosce, kamieniarz Pur, który dostąpił honoru niesienia darów.

Plusnęła ryba. Księżyc oświetlał srebrzyście wodę i trzciny oraz trawiasty pagórek. Wiatr przynosił zapach gotowanych potraw i pieczonej świni.

Święta wyspa była niewielka - mogło się na niej zmieścić dwóch leżących naprzeciwko siebie mężczyzn. Stary kamienny ołtarz pokrywały rzeźby pucharów i spiralnych kół. Wzniesiono go tutaj w czasach pradawnych królowych. Adika przyklękła przed nim i położyła ręce w dwóch wrytych w kamieniu zagłębieniach. Pur czekał cierpliwie. Umiał słuchać. Opanował sztukę czekania do perfekcji. W przeciwieństwie do niektórych mieszkańców wioski nie bał się ciemności. Rozpoznał znajome odgłosy. Wiedział, że to magia spoczywająca pod powierzchnią ziemi. Po chwili Adika usłyszała pradawny głos kamienia. Było to bardziej buczenie niż rzeczywista mowa, na tyle żywa, na ile obudził się kamień o tej porze roku, kiedy gwiazdy i ziemia działały jednomyślnie. Adika przemówiła do kamienia, szepcząc mu nadzieje i pragnienia mieszkańców wioski, a także wspominając o wszystkich drobnych znakach, które oznaczały koniec zimy: o zakwitających fiołkach, o nowej odnóźce strumienia, o tym, że Weiwara i owca dały światu bliźnięta, jak wiele stad dzikich gęsi odleciało zeszłej jesieni na południe. Kamień znał sekretny język ziemi i chłonał swym niepoznanym wnętrzem całe życie wioski.

Kiedy Adika odmówiła niemal wszystkie modlitwy, razem z Purem wrzucili ofiary do bagna, tak jak czynili to podczas każdego święta wiosny. Była to ceremonia mająca na celu zapewnienie pomyślnego roku.

Po tym wszystkim Adika mogła przestać już być kobietą w jelenich rogach, kimś rozmawiającym zarówno z ludźmi, jak i z bogami. Pur usunął się w obawie, że może ujrzeć coś, czego nie wolno mu zobaczyć. Adika odmówiła ostatnią modlitwę i wypowiedziała parę zaklęć. Była z powrotem zwykłą Adiką.

Gdy wracali, woda chlupotała im pod nogami. Najniższe części pagórka tkwiły w błocie. Ponad taflą prześliznęła się wąż. Bagna porastało zielsko. W ciemności Adika usłyszała rozmowę oczekujących na nią mężczyzn.

- Całą zimę mówiłeś o ataku Przeklętych - ciągnął Alain. - Czy myślisz, że uderzą wiosną?

- Oczywiście, że uderzą. - Głos Kela brzmiał tak, jakby ziemia paliła mu się pod stopami. - Nienawidzą nas.

- Powiedz, dlaczego? Czy nie można pertraktować, rozmawiać? Dlaczego ma istnieć tylko nienawiść?

Alain miał zawsze mnóstwo pytań dotyczących kwestii dla wszystkich oczywistych. Na wietrze unosiły się kawałeczki żdźbeł trzciny. Pur poruszył się za plecami Adiki, a ona przystanąła. Gdziekolwiek by szła, ludzie zauważali, dokąd zmierza. Rzadko miała okazję słyszeć, co mówią inni.

Kel parsknął.

- Nigdy nie należy ufać Przeklętym. Składają ofiary z ludzi, żywcem obdzierając ich ze skóry, a potem wycinają im serca i pożerają je!

- Czy widziałeś coś takiego, Kel? - zapytał Alain cicho.

- Nie! Ale wszyscy wiedzą...

- Ludzie zawsze walczyli z Przeklętymi - wtrącił Urtan. - Odkąd tylko przybyli tu przez morza na swych statkach. Teraz walka jest bardziej desperacka, bo Przekłęci zaczęli używać żelaznej broni.

- Teraz mamy szansę pokonać Przeklętych - powiedział z werwą Kel. - Dlatego próbowali porwać Wybraną. Ponowią próbę. Musimy czuwać dzień i noc!

- Cicho, Kel - rzekł półgłosem Urtan. - Obudzisz śpiących. Musimy czekać, aż Wybrana wróci z miejsca składania ofiary. Dawniej mogłaby pójść na bagna sama i sama stamtąd powrócić, ale teraz nie możemy ryzykować. Przekłęci nie zrezygnują.

- Ochroń ją - oświadczył Alain zaciętym tonem, a jednocześnie z tkliwością.

- Nikt nie da rady jej obronić - fuknął Kel, nieco urażony, że Urtan go zgromił. - Ona ma swoje fatum...

- Co masz na myśli? - zapytał Alain.

Adika nagle zdała sobie sprawę, że trzyma w ręku jakąś trawkę. Zahuczała sowa. Gdzieś w oddali rozległ się plusk wody, po czym zapadła cisza.

Pur syknął z niezadowoleniem, następnie zwrócił się do Kela:

- Gdyby żyła twoja matka, wstydziłaby się za ciebie, bo kraczesz jak wrona. Robisz dużo hałasu o nic. W twoich ustach słowa są jak kamienie. Można je chwycić i rzucić na wiatr. To, że śpisz w domu

mężczyzn, nie oznacza, że jesteś mężczyzną.

- Poczekaj... - powiedział Alain, gdy Kel oddalił się, urażony.

- Pozwól mu odejść - poprosił Urtan. - Następnym razem pomyśli dwa razy, zanim coś powie.

- Ale co miał na myśli?

Pur zakasłał głośno.

- Cicho - uciął Urtan. - Nadchodzą Wybrana i Pur.

Adika weszła na polanę, gdzie czekał na nią tuzin ludzi, uzbrojonych we włócznie i kije.

- Chodźmy na ucztę - powiedziała.

Matka Orla umarła na gorączkę płucną podczas przesilenia dnia z nocą. Pochowano ją w złotym naszyjniku, z setką bursztynowych kamieni, bukłakiem pełnym piwa i pięknym krzemienem sztyletem. Wieśniacy przeciągali naradę ponad miesiąc - nie było w zimie nic ważniejszego do roboty - i wreszcie wybrali nową naczelnik wioski, mającą przynieść im szczęście i dostatek.

To nowa młoda Matka Weiwara wystąpiła do przodu, podając Adice warzuchę pełną piwa uwarzonego z borówek i miodu, przyprawionego mirtem. Napitek stracił nieco ostry smak podczas zimy, wciąż jednak miał dobry, mocny aromat. Piwo ani nie skwaśniało, ani się nie zepsuło.

To była kojąca noc, słodka, jak nowo narodzone dziecko. Wszyscy raczyli się pieczonym świniakiem, przyprawionym rdestem i listkami pokrzywy. Jedzono płaskie jęczmienne chlebki i pieczone jeże z zieleniną. Wypito tyle piwa, że wystarczyłoby, by zapełnić dwie rzeki. Wreszcie Weiwara opowiedziała historię, jak królowa Bezzębna zbudowała za pomocą magii starożytny kurhan. Urtan odśpiewał pieśń o tym, jak to na polowaniu królowa Promienna Strzała pochwyciła smoka i puściła go wolno. A ponieważ księżyc rzucał na wioskę czarodziejskie światło, niektóre kobiety oddaliły się w ciemność z mężczyznami, nie będącymi ich mężami, lecz nikt o to nie dbał. Zielony Pan miał swe własne prawa.

Adika siedziała zadowolona u boku męża. Dziś rano umyła jego włosy w wodzie z dodatkiem fiołków i wciąż czuła ich zapach. Alain zawsze pachniał kwiatami.

On także znał pieśni, które śpiewał w języku umarłych. Dlatego żadna żyjąca istota nie mogła ich zrozumieć. Umarli wciąż świętowali, kochali się i walczyli po Drugiej Stronie. Oczywiście potrzebowali też pieśni, podobnie jak i ofiar. Adika i Alain długo siedzieli przy ogniu, wpatrując się w płomienie. Słyszeli, jak pękają i syczą węgielki. Wszyscy już wrócili do swoich chat. Księżyc wisiał bardzo wysoko. Adika pragnęła, by ta noc nigdy się nie skończyła, by mogli siedzieć tak, nie myśląc o przeznaczeniu.

Alain przytulił ją, po czym pogłaskał po brzuchu. Na moment się zawahał. Wreszcie zapytał:

- Poczniemy dziecko?

Jeden z psów leżących u jego stóp zawarczał.

Adika przeciągnęła palcem po policzku mężczyzny, odnalazła jego wargi i namiętnie pocałowała.

- Nie ma dziecka...

Brakowało jej sił, by mówić o żalu nad dzieckiem, które nigdy się nie urodzi. Niczym wypuszczona strzała, nie miała już odwrotu. Musiała wytrwać, pozostać prawą i osiągnąć cel. Bycie Wybraną przyniosło jej więcej, niż na to liczyła i nie mogła teraz żałować tej decyzji.

Nie zrozumiał jej.

- Tu jeszcze nie ma dziecka. - Pieszczotliwie dotknął skóry na jej brzuchu. - Możemy zrobić dziecko, prawda?

Westchnęła.

- Nie ma dziecka, kochany.

- Nigdy nie pozwolę, by tobie albo dziecku stała się krzywda. - Nagle zapalczywie, prawie ze złością, odsunął od siebie Adikę, wciąż jednak trzymając ją za łokcie i patrząc jej w twarz. - Myślisz, że nie potrafiłbym cię ochronić, tak jak nie potrafiłem ochronić...

Psy zawarczały i wstały.

- To warsztat! Ktoś jest przy warsztacie! - Adika zerwała się na równe nogi i pobiegła. Zwierzęta ruszyły za nią. Alain również. Znalazł pochodnię, ale jej nie zapalił.

- Czy słyszysz kamienie? - Adika poczekała aż strażnicy otworzą bramę wioski i przeszła przez nią. Alain podążył za nią. Przebiegając przez most, odwróciła głowę w stronę wzgórza. Tkano nici na niebiańskim warsztacie, posługując się magicznym czółenkiem, tworząc wzór tak nikły, że mogło go poznać tylko wprawne oko. Kamienie leżały poza zasięgiem wzroku Adiki, ukryte za wzgórzem.

- Popatrz! - zawołał Alain, a psy zaszczekały. Na wałach obronnych pojawiło się światło pochodni.

Kto nadchodził? Czy to znowu Przekłęci?

Nocna warta zaalarmowała wioskę dwoma ostrzegawczymi sygnałami. Alain pociągnął Adikę z

powrotem za bramę. Za palisadą byli bezpieczni. Wybrana wspięła się na drabinę, prowadzącą na wieżę wartowniczą. Człowiek niosący pochodnię zbliżał się, zaś mieszkańcy wioski gromadzili się z bronią w rękach wokół domu.

Do bram wioski podeszła kobieta, której Adika nigdy wcześniej nie widziała. Wysoko trzymana pochodnia oświetlała jej drogę. W drugiej ręce nieznajoma trzymała włócznię z krzemiennym grotem. We włosy miała wplecioną kość i paciorki, lśniące w świetle pochodni. Jej skórę pokrywały dziwne ślady, będące być może pamiątką po chorobie.

Jednakże jej głos był czysty i silny.

- Niechaj będzie pokój pomiędzy sprzymierzeńcami.

- Niechaj ci, którzy cierpią, złączą swe ręce - odrzekła Adika, dając znak strażnikowi. Kiedy otwierał wejście, zeszła z drabiny - jeśli gość przywiódł ze sobą jakieś złe duchy, niech ucierpi tylko ona. Przy domu zgromadzeń zebrała się grupa ludzi, mrucząc pomiędzy sobą, ale nikt głośno się nie odezwał. Wszyscy czekali.

Znaki na twarzy nieznajomej nie były śladami po chorobie. To były tatuaże charakterystyczne dla ludu Tych-Którzy-Plują-Ostatni. Oni sami nazywali siebie „Akka”, ludźmi Starej Kobiety. Mówiła językiem Czarnych Jeleni z tak obcym akcentem, że Adika z trudem ją rozumiała.

- Jestem Wędrującą ludu Akka. Przynoszę wiadomość dla Wybranej ludu Jeleni od tych, którzy upadają, gdy nawiedzają ich duchy.

- Jestem Wybraną Czarnych Jeleni. Czy przynosisz wieści od Upadających?

- Mam wiadomość od tego, który upada, gdy nawiedzają go duchy: „Idź z tą, która przyniesie ci tę wieść. Dziś i jutro są czasem niebezpieczeństwa. Nóż Przeklętych tnie nasze nici. Wiedzą, kim jesteśmy. Udaj się na północ, do kraju Akka. Idź szybko, szybko. Tam czekam”.

Adikę przeszył dreszcz.

- Ruszam - wykrztusiła.

Alain był maksymalnie skoncentrowany. Usiłował zrozumieć słowa nieznajomej. Nagle Adika uświadomiła sobie, że upłynie wiele czasu, nim znowu się zobaczą. Jedną z właściwości pętli polegała na tym, że nigdy nie wiadomo było, ile dni czy miesięcy zajmie przejście.

Ciężar powinności nigdy nie wydawał się jej tak wielki jak teraz. Co ma zrobić, by Alain pojął gorycz, jaka w niej tkwiła na myśl o rozłące?

To on przemówił pierwszy:

- Pójdę z tobą. Będę cię chronił. - Następnie odwrócił się, nie czekając na jej odpowiedź. Posłał Kela, by ten przyniósł mu jego kij, sztylet i opończę.

Adika poczuła taką ulgę, że zaniemówiła.

Naprzód wysunęła się Matka Weiwara.

- W kraju Akka zima kończy się później niż u nas. - Posłała wieśniaków po wodę i chleb oraz zimowe ubrania - nogawice i koszule, futrzane opończe zapinane na miedziane klamry i owijacze z trawy i skóry, chroniące nogi przed zimnem.

Alain skinął na Beora.

- Wystaw więcej wartowników - polecił. - Niech uzbrojeni ludzie pełnią wartę także na polach. Jeśli Przekłęci mają zamiar zaatakować, musimy być przygotowani.

- Daj mi miecz z brązu, ten, który trzymasz ukryty - powiedział Beor do Adiki. - Jeśli zaatakują nas Przekłęci, twoja nieobecność będzie oznaczać dla nas klęskę. Skoro mamy broń, musimy jej użyć w walce.

W umyśle Adiki pojawiło się wspomnienie doznanej wizji - Beor z mieczem w ręku, siejący spustoszenie. Miała przed sobą wielce trudny wybór. Ponieważ jednak nie było czasu, poddała się.

- Dobrze więc. Chodźmy zatem do warsztatu. Dostaniesz miecz.

Poszli w milczeniu wzdłuż wałów, ściskając w ręku kije i pochodnie. Z ramion zwisały im sakwy podróżne. Beor adorował Wędrującą; Adika rozpoznawała jego wojowniczy sposób flirtowania. Kobieta ludu Akka nie odwzajemniała jednak tego zainteresowania. Nie zwracała na niego uwagi. Wydawało się, że bardziej interesują ją psy Alaina. Miała wyraźne rysy twarzy, charakterystyczne dla ludzi Akka i szerokie ramiona. Trudno było orzec, czy obserwowała psy dlatego, że uznała, iż okazałyby się pomocne, czy może dlatego, że dumiała nad tym, czy by jej smakowały.

Adika pozostawiła ich przy wałach, sama zaś wspięła się na najwyższy bastion, by odkopać miecz. Sześć miesięcy pod ziemią sprawiły, że miecz pokrył się zieloną barwą, a jego dusza zasnęła. Kiedy jednak na ostrzu broni odbiło się światło księżyca, Adika poczuła, jak coś budzi się pod jej palcami. Uczucie było podobne do tego, gdy ręka człowieka natrafia na pajęczynę blokującą wejście do jaskini.

*Wojna nadchodzi. Głos miecza był kuszący. Uwolnij mnie.*

Nie posiadała zaklęć, by poskromić niepokorną duszę miecza i uspić ją ponownie. Być może Beor miał rację. Jeśli wojna rzeczywiście miała nastąpić, będą musieli bronić się sami. Nie byłoby rozsądne opuścić wioskę, pozostawiając jej mieszkańców bez zdobytej od Przeklętych broni. Być może czarownik ze Starego Fortu przyjrzy się mieczowi i odkryje sekrety jego wykonania. Może będzie potrafił wytworzyć więcej takich mieczy. Wtedy ludzie z plemienia Białych Jeleni nie będą musieli się już borykać z brakiem broni.

Wciąż jednak niełatwo było oddać miecz Beorowi.

- Idź - powiedziała do niego. - Muszę utkać przejście, a ty wracaj do wioski.

Odciągnął ją na bok, niespokojny.

- Byłem dla ciebie dobrym mężem, Wybrana. - Pociągał za prawe ucho, jak zawsze, gdy był zdenerwowany. - Ale ty nigdy tego nie powiedziałaś.

Mówił dalej, nie czekając na odpowiedź.

- Nie żebym był zazdrosny o twego mężczyznę. Wiem, że on jest inny od nas. Skoro Wiedząca przywiodła go do ciebie, nie mogłem się jej sprzeciwić, ale to nie znaczy, że byłem dla ciebie złym mężem albo że odszedłem bez protestu.

- Nie, nie odszedłeś bez protestu - wymamrotała Adika.

To usatysfakcjonowało go na tyle, że mógł odejść, niosąc przed sobą triumfalnie halabardę i miecz. Adikę wstrząsnął dreszcz. Na końcu miecza załśniło światło i przez chwilę wydawało się jej, że widzi krew. Potem Beor zniknął jej z oczu.

- Szybko, szybko - powiedziała kobieta ludu Akka.

- Stań tutaj, po tej stronie - poleciła Adika.

Sama stanęła na obrysowanym kredą gruncie i zaczęła obserwować gwiazdy. Przejście do magicznego krosna Akka było najdogodniejsze, gdy Oko Oracza weszło po wschodniej stronie nieba. Były też inne, bardziej skomplikowane drogi prowadzące do każdego krosna, tak jak istniały różne sposoby tkania przejść. Było zbyt późno, by uchwycić i zacząć tkanie nici Obfitej i jej rączego, cichego dziecka, Sześciu Skrzydeł. Jednak na niebie pojawiły się już Siostry, a ich podwójne światło mogło posłużyć do tkania na podstawie gwiazd, zwanych Uczesaniem Szamana, by potem dostać się do podążającego na północ Obniżonego Kielicha.

Adika podniosła obsydianowe zwierciadło, pochwyciła światło złotowłosej siostry i, delikatnie przesuwając lustro, także światło jej srebrnej bliźniaczki. Błysk został pochwycony przez kamienie. Adika tkła wzór za pomocą innych gwiazd. Świetlne nici ożywały, tworząc między owalnymi kamieniami przejście, prowadzące do innego krosna.

Adika sięgnęła po sakwę i wraz z pozostałą dwójką weszła w lekki jak piórko, śnieżny obłok chmur. Stali na wysokim płaskowyżu, na którym znajdowały się liczne kamienie, pokryte porostami, mchem i kupkami śniegu. Kamienisty teren rozciągał się aż do horyzontu, na którym widniały zwały gładkich, tworzące coś w rodzaju kurhanu. Nie było drzew, mogących dać schronienie od porywistego wiatru. Jedyne zaporą dla śniegu był zaś kamienny krąg i wzgórze. Na wschodniej linii horyzontu rysowało się pasmo gór. Światło poranka było szarawe. Adika nie dostrzegła słońca.

Kobieta Akka podążyła kamienistą ścieżką, która szybko przekształcała się w pokrytą białą kredą drogę. Co dziwne, nie było na niej śniegu. Adika pospieszyła za Wędrującą. Alain natomiast podążał na końcu, podpierając się swoim kijem. Psy deptały mu po piętach. Ścieżka urywała się w miejscu, gdzie wyrastała skała. Opadając stopniowo, prowadziła do pełnej drzew i śniegu doliny. W tej krainie wciąż trwała zima. Po pewnym czasie ujrzeli kilka polanek, powstałych po wykarczowaniu części lasu. Na leżącym na nich śniegu widniały ślady świń i jeleni. Poza tym nie widzieli żywego ducha.

Po niższych partiach doliny wiała się rzeka. Nieopodal niej stało kilka kamiennych zagród z reniferami. Przy brzegu zauważyli trzy łodzie. Na kamienistej plaży zaś ujrzeli sześć niewielkich, smukłych czółen. Łód pokrywał płycizny, ale głębsza woda była niezamarznięta i gładka jak szkło, mimo iż panowało przesywające zimno.

Za zagrodami znajdował się oświetlony pochodniami długi dom. Służył całemu plemieniu jako schronienie, magazyn i stajnia. Nawet Ten-Który-Pluje-Ostatni, czarownik plemienia, żył razem z innymi, nie znając samotności.

W powietrzu wirowały płatki śniegu. Wiatr ostro zaciął na płaskowyżu, ale w sercu doliny zima była już mniej dokuczliwa. Nagła zmiana temperatury sprawiła, że Adika dygotała. W pewnej chwili przystanęła, by zaczerpnąć powietrza. Alain otoczył żonę ramieniem. Miał poważny wyraz twarzy.

- Ta kraina mnie zna - powiedział z pewnym wysiłkiem - i ja ją znam. Narodził się tu piąty syn piątego



pokolenia, który rządził silną ręką. - Potrząsnął głową, z trudem dobierając słowa.

- Jego ręce są silne. Hej! Tutaj żyli ludzie skał, ale teraz ich nie widzę. Kiedyś było ich tutaj wielu. Teraz tu nie mieszkają.

- Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Szybko! - Wędrująca ludu Akka skinęła na nich ręką. - Wędrująca ludzi Wody żyje albo już jest martwa. Musisz z nią pomówić.

Z długiego budynku wyszli ludzie. Wpatrywali się w nich. Jakiś chłopiec zagasił pochodnie. Było zbyt pochmurno, by Adika mogła zorientować się w pozycji słońca, które wychodziło zza klifów i pagórków. Za domem ujrzała inne budynki, piwnice i mogiły. Tego-Który-Pluje-Ostatni Adika odwiedziła tylko jeden raz. Wtedy także była zima.

Weszli do długiego budynku i z miejsca powitał ich gęsty dym. Niskie, długie wnętrza oświetlały trzy paleniska. Dookoła unosiły się gęste opary dymu. Adika poczuła zapach bydła i owiec. Czuć też było odór zgniłych jabłek, wymieszany z zapachem ludzkich ciał. Alain powiedział coś do swoich psów i te usiadły po drugiej stronie drzwi. Wędrująca poprowadziła ich przez ciżbę ludzi, torując im drogę końcem swej włóczni. Adika i Alain nie mieli tyle szczęścia co psy: co i rusz wyciągały się jakieś ręce, dotykając nagiej skóry Adiki albo frędzli jej spódnicy. Ledwie wyślizgiwała się z jednych rąk, natychmiast pojawiały się kolejne. Ludzie mówili coś w swoim twardym języku i dźgali ją palcami, chcąc się przekonać, czy jest żywą istotą.

Obok drugiego paleniska, nieopodal przykrytej sosnowymi igłami martwej kobiety, leżał na sienniku Upadający. Miał zamknięte oczy i przez moment Adika sądziła, że on także nie żyje. Uklękła i dotknęła jego ręki. Upadający natychmiast podniósł powieki. Miał migdałowe oczy, charakterystyczne dla jego ludu, kaprawe z powodu wieku, lecz wciąż bardzo bystre.

- Adika! - W jego łamliwym głosie znać było radość. Pomogła mu usiąść. - Posłałem po ciebie Wędrującą ludu Tanioinin dwanaście dni temu. Na nieszczęście przybyłaś za późno. Moja kuzynka nie żyje. Zmarła o świcie.

- Co się stało?

Alain uklękł przy kobiecie i bez najmniejszego lęku wobec śmierci i związanego z nią tabu odgarnął sosnowe igły. Położył rękę na jej gardle i zaczął nasłuchiwać.

Upadający przypatrywał mu się, skonsternowany.

- Czy to jest mężczyzna, którego przywiodła do ciebie Wiedząca i który miał zostać twoim mężem? Skąd przybywa, nie bojąc się śmierci?

- Wędrował już ścieżką prowadzącą na Drugą Stronę. Nie wiem, gdzie żył wcześniej.

Alain również przykucnął. Ludzie zgromadzeni za jego plecami odsunęli się, jak gdyby w obawie, że dotknąwszy nieżywego, sam jest tknięty tchnieniem śmierci. Alain zdawał się tego nie zauważać. Po niedługiej chwili spojrzął na Adikę.

- Jej dusza nie mieszka już w ciele.

- Jak sam widzisz - Adika zwróciła się do Upadającego - on wie, czy dusza wciąż jest między żywymi. Dlaczego jesteś tutaj, Upadający? Dlaczego opuściłeś swe plemię? Tak długa podróż nie była dla ciebie prosta. Teraz zaś, gdy czają się na nas Przeklęci, nie jest bezpiecznie przechodzić przez pętle.

Upadający podniósł rękę, prosząc o ciszę. Jakieś dziecko podało mu kielich wypełniony po brzegi miodem. Upił łyk, po czym zaczął swą opowieść. Wędrująca ludu Akka tłumaczyła jego słowa zgromadzonym.

- Do brzegów mego kraju dotarły statki Przeklętych. Wypatrzyli ich zwiadowcy naszych braci, ludu Trzcina. Wysłali Rączego Młodzieńca, by nas zawiadomił. Potem przybył kolejny posłaniec. Statki zacumowały niedaleko gniazd guivre'ów. Te napadły na Przeklętych i urządziły sobie małą ucztę.

Podniosły się głosy pełne satysfakcji z powodu strasznego, ale sprawiedliwego losu. Wędrująca Akka powiedziała coś ostro i wszyscy, choć nie bez protestów, umilkli. Upadający kontynuował:

- Czujemy się zadowoleni, gdy docierają do nas te wieści. Potem otwiera się pętla. Przechodzi przez nią moja kuzynka, Wędrująca mojego ludu. Jest ranna i przynosi ze sobą złe wieści. - Kiedy rozpoczął swą opowieść, słowa zaczęły mu się wymykać; przeszłość stała się teraźniejszością, a język Adiki, którego nauczył się w ciągu swego życia, stał się mniej poprawny. - Przeklęci atakują ludzi Rogu. Pałają ich domy i wioski.

Zebrani wydali zbiorowy jęk, który znowu uciszyła stanowcza komenda Wędrującej.

- Nawet dzieci zabijają, tną, tną. - Wykonał ruch pokazujący szatkowanie. Dzieci stojące w tłumie zaczęły wydawać z siebie przerażone okrzyki. Nikt się nie roześmiał. - Ludzie Rogu uciekli na wzgórze. Róg jest starą kobietą. Nie jest silna. Jednak przysłała do nas mą kuzynkę z ostrzeżeniem. Być może Róg

już nie żyje.

- Ale jeśli Róg nie żyje, nie możemy utkać wielkiego zaklęcia! - krzyknęła zaszokowana Adika. Alain położył jej uspakajająco rękę na ramieniu.

- Ta Wędrująca nie przyniesie już żadnych wieści - rzekł Upadający, wskazując zmarłą kobietę. - W mojej ojczyźnie jeszcze żyje, ale żaden uzdrowiciel nie może już jej pomóc. Więc przynoszę ją tutaj. Uzdrowicielka ludu Akka jest sławna.

Adika rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła słynnej uzdrowicielki, niewielkiej kobiety, noszącej opończę z orlich piór.

- Nie mogła jej ocalić nawet kobieta ludu Akka?

- Nie. Obfita odwróciła swe oblicze. Teraz uzdrowicielka i nasz brat Tanioinin modlą się do przodkini, do starej matki swego plemienia. Ja jestem stary, a Tanioinin nie może chodzić, ale ty, Adiko, masz silne nogi. Powiedz mi: dlaczego Przekłęci zaatakowali mój lud i lud Rogu jednocześnie? Dlaczego usiłovali cię porwać?

- Wiedząca ostrzegła nas. Dowiedzieli się, że chcemy działać przeciwko nim. Chcieli nas zabić, tak byśmy nie mogli utkać wielkiego zaklęcia.

- Tak. Musimy się dowiedzieć, czy Róg żyje. Musimy się dowiedzieć, czy Przekłęci zaatakowali inne plemiona i czy lud Szu-Sza jest bezpieczny. Wędrująca nie jest wystarczająco silna, by sama temu podołać. Ty masz silne nogi i dysponujesz silną magią. Musisz ostrzec innych.

Adika wskazała na okap.

- Niebo jest pokryte chmurami. Musimy zaczekać aż się ściemni. No i pogoda musi się poprawić.

- Nie możemy czekać. - Powiedział to tak ponuro, że Adika sposepniała. Zdawała sobie sprawę, że Wiedząca ma władzę nad pogodą, lecz jej magia była pradawna i jeszcze bardziej straszna od magii Przeklętych. - Czekamy, aż przybędą inni czarownicy Akka. Z północy i południa przybędą bracia i siostry Tanioinina oraz kuzyni uzdrowicielki. Kiedy się zjawią, przywołają to, co rozproszy chmury i będziesz mogła ruszyć.

- Szybko, szybko - powiedziała Wędrująca Akka. Tupnęła nogą i klasnęła w ręce. Ludzie zgromadzeni w chacie powtórzyli jej słowa. Obce sylaby zabrzmiały w ich ustach dziwacznie. Ktoś wrzucił do ognia sosnowe igły, suszone zioła i małe kamyczki. Syknęło i trzasnęło, po czym podniosła się chmura gęstego dymu, który zasłonił Adikę. Zakasłała gwałtownie i zatoczyła się. Alain wyczuł ją dotykiem i wyciągnął z dymnego oparu. Tymczasem ludzie Akka zaczęli głośno intonować jakąś pieśń. Niezbyt zgranymi głosami nieustannie powtarzali te same słowa: „nok nok ay-ee-tay-oo-noo nok nok”.

Gdy Adika doszła do siebie, w chacie nie było już siennika ani zmarłej kobiety. Czy zniknęła na skutek działania magii, czy po prostu ją wyniesiono? Adikę nie obchodziło, jaka jest odpowiedź. Sekrety jej bogów i własna magia całkowicie jej wystarczały.

- Chodź. - W niezrozumiały dla Adiki sposób Alain znalazł w kącie siennik. Tam ułożyli pakunki i położyli się. Była tak zmęczona, że mogła tylko odpoczywać w ramionach Alaina.

Co będzie, jeśli z ich planu nic nie wyjdzie? Co, jeśli Przekłęci odkryli wszystkie ich zamiary? Co się stanie, jeśli Przekłęci użyją swych krwawych rytuałów, by zabić wszystkich zagrażających im czarowników? Adika byłaby gotowa poświęcić swoje istnienie, gdyby wiedziała, że to uratuje jej lud. Wszystko jednak wskazywało na to, że bogowie sobie z niej zakpili.

Zaczęła płakać.

- Ciii - uspokajał Alain, głaszcząc ją po ramionach. - Śpij, kochana. Nie obawiaj się tego, co ma nastąpić. Po prostu śpij.

Jego cichy głos nieco ją odprężył. W końcu zasnęła.

Alaina obudziło czyjeś nucenie. Najpierw pomyślał, że to Adika, która podczas modlitw i rzucania zaklęć wydawała najprzeróżniejsze dźwięki. Uśmiechnął się. Był tak szczęśliwy, że nie chciało mu się nawet otwierać oczu. Jakże straszna była myśl, że mógłby utracić to, co zyskał, i co znaczyło dla niego najwięcej. Przytulił ją mocniej do siebie. Nagle zorientował się, że to wcale nie Adika.

- Hsst! - Kobieta klęcząca na focznych skórkach szturchnęła Alaina i zbudziła dziecko. Wykonując przynaglające gesty, skinęła, by Alain poszedł za nią. Wstając z postania, uderzył głową o powalę;

wszystko tutaj, na północy, zostało zbudowane z myślą o niższych ludziach. Długi budynek był pusty, cichy i chłodny. Zima wyssała całe ciepło palenisk. Prócz Smutka i Furii, siedzących wiernie przy drzwiach, byli w chacie tylko we troje. Mrucząc i rozcierając bolącą głowę, Alain podążył za kobietą i dzieckiem na zewnątrz.

Tutaj także słychać było nucenie. Wibrowało w jego głowie. Smutek zaskowytał, poirytowany hałasem, Furia jednak nie wydała żadnego dźwięku. Kobieta znowu zachęciła Alaina, by szedł za nią, ale on zatrzymał się i rozejrzał za Adiką.

- Ta! Ta! - zawołała kobieta, kiwając ręką. Popchnęła dziecko, idąc wzdłuż kopców, które przycupnęły za długim budynkiem jak stadko owiec.

Alain pospieszył za nią. Kilkunastu ludzi wchodziło właśnie do wnętrza kopca. Przed nimi rozpościerał się niski tunel, przypominający przejście do grobowców królowych w wiosce Adiki. W kamiennym tunelu brakowało krokwi. Kucając, Alain pokonał długość pomieszczenia i znalazł się w dość obszernej sali. Roznosił się w niej zapach warzyw trzymany przez dłuższy czas w chłodnym i wilgotnym miejscu. W nieiluminowanej skalnej komnacie było cieplej niż na powierzchni. Obok niego stała grupa ludzi, cuchnących zjełczałym olejem.

- Adika?

Nie odpowiedziała. Nie było jej tutaj. Wiedział to w taki sam sposób jak to, że na końcu jego ręki znajduje się dłoń. Księżyc osiągnął pełnię siedmiokrotnie od czasu, gdy nagi znalazł się przy kotle z brązu pomiędzy kamieniami. Czasami wydawało mu się, że minęło tylko siedem dni, innym razem, że siedem lat. Tak czy inaczej, nie miał zamiaru się kryć, nie wiedząc, gdzie jest Adika.

Na klęczkach odbył drogę powrotną i wydostał się na świeże powietrze. Przyćmione chmurami popołudniowe światło na moment go oślepiło. Ciągłe dudniące nucenie nie ustawało. Adiki nie było wewnątrz żadnego z ośmiu kopców. Ludzie w nich zgromadzeni wyglądali na zdenerwowanych, ale nie spanikowanych. Za każdym razem, gdy nurkował w ciemny korytarz, jakieś ręce wciągały go głębiej, a gdy chciał wydostać się na zewnątrz, zachęcano go, by został w kryjówce.

Ale on musiał znaleźć Adikę.

Biegiem wrócił do długiego domu. Budynek był pusty, a psy nie mogły złapać śladu Adiki. Palenisko niemal przygasło. Jak niezadowolona byłaby ciotka Bel, widząc przygasający ogień! Alain przyniósł kilka wysuszonych krowich placków i położył je na węgielkach, podsycając płomień zrobioną ze skóry i drewna dmuchawką. Jej odgłos nie zagłuszył wycia Furii.

- Szybko. Szybko! - rozległ się krzyk kobiety, która go tu przyprowadziła

Porwał się na nogi.

- Do domów z ziemi musisz iść. Smoki nadchodzą.

Zagwizdał na psy i wyszedł na zrobiony z desek ganek długiego domu. Stał obok Wędrującej. Teraz, kiedy było jasno, zobaczył na jej skórze błyszczące tatuaże - czerwone szewrony, białe linie i czarne koła.

Zmarszczyła się, gestykulując z irytacją.

- Szybko, ty idź.

- Gdzie jest Adika?

- Poszła z tym, który upada, gdy nawiedzają go duchy i moim bratem zwanym Tanioininem, co oznacza, że on pluje ostatni. Poszli do wysokiej fjalli. - Wskazała na ścieżkę, którą wędrowali dziś rano. Droga ta wiała się poprzez dolinę i znikła między drzewami. Ponad wzgórzami unosiła się mgła, przypominająca oddech jakiejś śpiącej bestii. Potem Wędrująca ludu Akka wskazała na leżące w dole morze. Na oblodzonym wybrzeżu spoczywało sześć czółen. Było ich dwa razy więcej niż o świcie. - Inni czarownicy mojego ludu przybyli na wezwanie. Teraz obudzą smoki, by przegnały chmury. Potem pójdziemy do pętli do dalekiego kraju, do tej, której bóg uśmiecha się w jej twarzy.

Nic z tego nie miało sensu i Alain poczuł się zaniepokojony. Nie wracał myślami do swego poprzedniego życia, ale - jakby wstrząśnięty magiczną iskierką - teraz aż zadrżał, wspomniawszy tę straszną noc, gdy zamknięte drzwi nie pozwoliły mu się dostać do Lavastine'a.

- Gdzie jest Adika?

Kobieta Akka wykonała gest pełen frustracji.

- Ruszyła w drogę z innymi czarownikami. Teraz musisz do schronu iść. Tylko w schronie jesteś bezpieczny od smoczego wiatru.

- Pójdę za nią.

- Głupota iść za czarownikami. Musisz do schronu iść. Tak?

- Nie. Pójdę za Adiką.

Mierzyli się wzrokiem przez czas trwania pięciu oddechów. W końcu Wędrująca podniosła ręce do

góry.

- Chodź.

Alain schwycił swą sakwę i wraz z psami podążył ścieżką prowadzącą ku fjalli. Obok niego szła Wędrująca, najwyraźniej wcale niezmartwiona tą zmianą planów.

- Ty nie poszłaś do schronu? - zapytał ją Alain.

Uśmiechnęła się cierpko, jak kobieta, która zrobiła psikus komuś, kto ją oszukał. Poruszyła naszyjnikami z niedźwiedziich pazurów i poźółkłych kłów, wiszącym na jej szyi.

- Ten talizman mnie chroni.

Droga stawała się coraz bardziej stroma i Alain zaczynał ciężko dyszeć.

- Nie wiem, jakim imieniem mam cię nazywać.

- Jestem starszą siostrą Tego-Który-Pluje-Ostatni. - Mówiąc to, nie przestawała się wspinać. Nie miała zadyszki. Jak przystało na Wędrującą, była wytrzymała jak wół. - W języku mego ludu zwą mnie Laoina.

Weszli w gęstwinę świerków i sosen, których gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu. Potem zaczął się niezbyt gęsty lasek brzoź, targanych przez wiatr. Na wschodniej linii horyzontu lśniło światło, jakby zaczynał się dzień. Światło miało jednak bursztynową, intensywną barwę, wyraźnie odcinającą się od szarych, wysoko wiszących chmur, które w całości zakrywały niebo. Słyszeli śpiewny pomruk. Skąły wydawały się wibrować od tych dźwięków. Ściemniało się.

Alain nie zdawał sobie sprawy, że spał tak długo. Powinien był czuć i pilnować Adiki. Nienawidził czasu rozłąki. Zawsze się wtedy obawiał o jej życie.

- Szybko. Smoki się budzą - usłyszał.

Zaczęli biec. Alain sapał, bardziej ze złości niż z powodu zadyszki. Słyszał co prawda historie o smokach, ale wszyscy przecież wiedzieli, że one nie istnieją. Wszystkie obróciły się w kamień dawno temu, tak jak smok z Osna Sound, który przemienił się w skałę dzielącą wioskę i zrujnowany klasztor.

Ta cała rozmowa o smokach tylko go zdenerwowała. Zaczynał wątpić. Bo jeśli istniały tylko w opowieściach, dlaczego ludzie ukrywali się w podziemnych korytarzach?

Tak wiele rzeczy było tutaj innych. Od siedmiu miesięcy nie widział żelaznego narzędzia. Posługiwano się tylko kamiennymi. Wiadra robiono z kory radła z jelenich rogów, a czółna z kłód drewna. Narzędzia do orki nie były lepsze od kawałka oszlifowanego drewna i orały na głębokość nie większą niż palec. Nie hodowano też koni, choć wszyscy wiedzieli, do czego one służą. Nawet ziarno i pożywienie były inne: nie było pszenicy i owsa, winorośli, a nawet rzepy czy kapusty, tylko mięso. Alain nigdy w życiu nie jadł tyle żubrzego mięsiwa.

W jego obecnym życiu może i nie było wina, ale za to istniały smoki.

Próbował je sobie wyobrazić. Ponoć były to istoty z ziemi i ognia. Ich płomienny oddech zabijał każdego przybysza, a przypadkowe machnięcie ogromnym ogonem mogło wgnieść w ziemię.

Adika podążyła tutaj, by spotkać te stworzenia.

Alain złapał oddech. Teraz wyprzedzał swoją towarzyszkę. Niespokojne psy pozostały z tyłu, jak gdyby strzegąc maszerujących. Kiedy dostali się na ścieżkę prowadzącą ku fjalli, owiał ich bardzo silny, zwodniczo przyjemny wiatr. Alain zobaczył kamienny krąg. Nic a nic niezniszczony, nie przypominał starych zrujnowanych kamiennych kręgów. W jakiś sposób wydawało się to dziwne, że wyglądał jak... nowy.

Wewnątrz koła stało dwanaścioro ludzi. Ośmioro z nich nosiło stroje typowe dla ludu Akka, w które wszyto skóry i kawałki futer. Kamiennymi młotkami uderzali w kamienie w tylko sobie znanym rytmie.

Te kamienie śpiewały, wydając wysokie i niskie dźwięki, dudniąc w powietrzu, podczas gdy na ich powierzchni spadały kolejno pierwszy, potem drugi i trzeci młotek.

Laoina stanęła na krawędzi osypiska, popatrując na dogodnie do ukrycia się miejsce za skalnym otoczeniem.

- Poczekamy tam.

Jednakże pieśń kamieni pociągnęła Alaina ku kamiennemu kręgowi. W jego środku stała kobieta w płaszczu z orlich piór, zaś przed nią znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wytatuowany jak jego współplemieńcy Akka, siedział na ściółce. Wątle ciało kiwało się w przód i w tył, w rytm uderzeń młotków. Obok niego znajdował się stary człowiek z białymi włosami i pomarszczoną skórą. Twarz chował w dłoniach i recytował jakieś modlitwy.

Gdzie podziewała się Adika?

Alain przekroczył niewidzialną linię, znakującą wewnątrz kamiennego kręgu. Opuścił strefę dudniących dźwięków i wszedł w obszar ciszy, wypełnionej tylko mamrotaniem dwóch czarownic. Otaczała ich niewidzialna aura mocy, zupełnie jak Adikę i wszystkich Wybranych, których zadaniem było kroczyć po

ścieżce magii.

Stary człowiek był Upadającym, o którym Adika zawsze wypowiadała się z dużą czułością. Drugi, Tanioinin, prawdopodobnie nie był starszy niż Adika, lecz miał niesprawne ciało. Wnioskując z faktu obecności noszy, nie mógł chodzić.

Wreszcie Alain dostrzegł Adikę, skuloną za plecami Tanioinina. Psy przegoniły go i zaczęły ją obwąchiwać. Adika wstała, niespokojna na jego widok. Alain pospieszył ku niej. Ukłął.

- Posłałabym po ciebie, gdyby minęło niebezpieczeństwo - wyszeptała.

- Nie opuszczę cię - powiedział z uporem. - Nie prosź mnie, żebym odszedł, bo tego nie uczynię.

Znała go na tyle, że wiedziała, iż nie ma sensu się kłócić, gdy przemawia takim tonem.

Alain zerknął wymownie na Tanioinina, po czym pochylił się nad uchem Adiki. Śpiew kamieni sprawił, że słowa słyszała tylko ona, przyzwyczajona do jego czułych szeptów.

- Jak to możliwe, że ten człowiek jest czarownikiem? Czy on w ogóle może chodzić?

- Ten-Który-Pluje-Ostatni jest najpotężniejszym czarownikiem, jaki przyszedł na świat pośród ludzkich plemion. - Wskazała na Tanioinina z szacunkiem i, być może, współczuciem. - Jego plemię wychowywało go ze względu na jego inteligencję i głęboki umysł. Był ich czarownikiem przez wiele lat. Jego ciało jednak jest niesprawne i inni muszą się o niego troszczyć. Tylko w świecie duchowym może być naprawdę wolny. Dlatego jest tak silny.

Po wyrazie twarzy i po wywróconych oczach Alain poznał, że mężczyzna znajduje się w świecie duchów. Nawoływał smoki, gdziekolwiek by one były.

- Psst... - Adika chwyciła nadgarstek Alaina i wskazała na pewną rzecz.

Wzgórza, które lśniły złotawo po wschodniej stronie horyzontu, wcale nie były wzgórzami. Świeciły intensywnym bursztynowym światłem i płonęły ogniem płynnego złota. Wydawały z siebie charakterystyczne buczenie, a kiedy Alain osunął się w dół - zbyt oszołomiony, by krzyknąć ze zdumienia - zaczęły się budzić.

Najpierw podniosły wielkie głowy. Ich oczy płonęły gorączką ognia. Niektóre miały grzebienie wzdłuż głów i szyj. Wstając, rozwijały te złote wachlarze. Ich ogony poruszały głazy, przesuwane z taką lekkością, jakby były kamykami. Alain zorientował się wówczas, jak wielkie to były stworzenia i jak daleko się znajdowały. Odgłosy ich przebudzenia grzmiały i dudniły wokół, odbijając się o niebiosa.

Pierwszy smok, a potem kolejny, sapnęły z całą mocą. Z ich nozdrzy wydobyły się iskry. Pojawił się ogień, który zgasł pomiędzy skałami, mchami i zaroślami, porastającymi fjallę. Alain patrzył w zdumieniu. Smutek i Furia skowyczały, choć trudno to było usłyszeć poprzez odległy łoskot, jaki towarzyszył przebudzeniu smoków.

Adika porwała się na nogi. Wciąż mocno ścisnęła nadgarstek Alaina, lecz zupełnie o tym zapomniała. Młotki znowu uderzyły o kamienie. Świat wydał pomruk. Jak gdyby we śnie, Adika puściła rękę Alaina i ruszyła w kierunku dwóch czarowników. Stała na granicy magicznego kręgu ze wzniesionymi rękami. W tym momencie pierwszy smok wzbiał się w górę.

Alain chciał podążyć za Adiką, ale nie zdążył. Powietrzny wir wzniesiony przez smocze skrzydła powalił go na ziemię. Wiatr narastał, gdy drugi, a potem trzeci smok wzbijał się w górę, rozpościerając swe szersze od domów skrzydła. Ich brzuchy świeciły ogniście, a ogony cięły powietrze. Z odległych wschodnich wzgórz zaczął spadać lód, poruszony silnym wiatrem. Czwarty i piąty smok szykowały się do lotu. Chłostany wichrem Alain walczył o to, by utrzymać się na kolanach. Jego plecy owiał gorący strumień powietrza. Włosy falowały, skóra na rękach i wargach pękała pod wpływem uderzenia gorąca, zaś ciekące z oczu łzy natychmiast wysychały.

Popelznął do przodu. Adika wciąż stała z wzniesionymi rękami. Wiatr nie przewrócił jej na ziemię ani nie zmusił do pochylenia się. Nie potrzebowała jego pomocy. Była Wybraną swego plemienia, pełną siły niczym wschodzące słońce, zdolną, by stać prosto wobec potęgi stworzeń, jakie obudzono. Wszystko, co mógł zrobić Alain, to przyłgnąć do ziemi i modlić się.

Smoki unosiły się w powietrzu, świetliste niczym błyskawice. Wiatr, który wzniesiły, spowodował, iż chmury zbiły się w jeden obłok. Wiatr zamienił się w wicher silniejszą niż jakikolwiek sztorm.

W pewnej chwili chmury rozpięzły się we wszystkich kierunkach. Na kamienie zaczęły spadać krople deszczu. Spadł pojedynczy płatek śniegu i stopniał na oczach Alaina.

Kiedy lśniące ciała smoków zaczęły się oddalać, zrobiło się mroczniej. Na wolnym od chmur niebie pojawiły się gwiazdy. Z północy nadpłynął chłodny wietrzyk. Smoki rozproszyły chmury. Teraz czarownicy mogli przystąpić do tkania gwiazdnego światła na krosnach.

Drżąc, Alain wstał z ziemi. Jego odkryta skóra piekła jak ogień.

Adika odwróciła się, sprawdzając, co się z nim dzieje.

- Powinieneś zaczekać, aż cię wezwiemy. - Dotknęła palcami jego skóry.

Wzdrygnął się.

- Mogę iść - powiedział chrapliwie. - Wiesz, że nigdy cię nie zostawię.

Wyraz jej twarzy złagodniał. Odeszła i zaczęła coś cicho mówić do Upadającego. Alain chwiał się. Miał zawroty głowy i wciąż był oszołomiony tym, co ujrzał. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mogą istnieć stworzenia o takiej sile. Życie w świecie środka, w którym lata mijały szybko, były dla smoków niczym. Mogły przespać sto lat tak, jak gdyby była to jedna noc. Alain usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. Furia i Smutek położyły się u jego stóp. W pewnej chwili podeszła do niego kobieta w płaszczu z orlich piór i zaczęła wcierać w poparzoną skórę Alaina jakąś maść.

Uderzenia młotów skończyły się. Fałdziste okrycia i kaptury czarowników chroniły ich znacznie lepiej niż podrózne odzienie, które nosił Alain. A może otoczyli się po prostu magiczną osłoną. Porozumiewając się po cichu, czarownicy wynieśli nosze Tanioinina z kamiennego kręgu i postawili je na łacie ziemi wymieszanej z kredą.

Chociaż ciało Tanioinina było słabe, jego duch był wyjątkowo silny. Był czujny. Spojrzał wprost na Alaina. W jego oczach pojawiał się błysk. Alain śmiało odwzajemnił spojrzenie czarownika. Cała moc Tego-Który-Pluje-Ostatni uwidaczniała się w jego oczach. Nawet jego ramiona były tak słabe, że przypominały cienkie patyczki. Czarownik nie miał w sobie współczucia - prawdopodobnie był tak udręczony własnymi cierpieniami, że nie umiał odczuwać litości dla tych, którzy cierpieli tylko od czasu do czasu. Alaina przyciągnął wyraz jego twarzy. Głębokie oczy były brązowe, zaś brwi gęste. Twarz czarownika skrywała wiele sekretów. Alainowi wydawało się, że Ten-Który-Pluje-Ostatni przejrzał go na wylot, że widzi wszystkie jego dobre i złe uczynki, lecz ich nie ocenia. Najsurowszym bowiem osądem jest ten, gdy człowiek sądzi samego siebie.

Potem Ten-Który-Pluje-Ostatni odwrócił wzrok. Alain pochylił się do przodu, ledwie łapiąc oddech.

Ten-Który-Pluje-Ostatni z wysiłkiem uniósł obsydianowe zwierciadło. Było wąskie, ozdobione wrytymi trójkątami i kołami. Pochwyił żółtawe światło Oka Guivre'a, które pojawiło się w północno-wschodniej części horyzontu. Czarownik przeciągnął jego lśniące światło przez kamienną osnowę ku południowemu zachodowi, wplatając je w nici Węza, przeslizgującego się po piaskach pustyni.

Portal utkany ze światła gwiazd był gotów.

- Niechaj szczęście wam sprzyja - powiedział z oddali Upadający.

Kobieta w płaszczu z orlich piór wetknęła do ręki Alaina sakwę. Wstał, zataczając się. Laoina złapała go za łokieć i pomogła odzyskać równowagę. Skąd się tu wzięła?

- Szybko! - popchnęła go, gdy już pewnie stał na nogach.

- Uważajcie na królowe lwów! - krzyknął za nimi Upadający.

- Gdzie Adika? - zapytał Alain.

- Tutaj! - odezwała się zza jego pleców. Pazury psów zachrobotały na kamienistym podłożu. Przed nimi pojawiła się brama światła. Puścił pomocną dłoń Laoiny i wszedł w krąg ciepła. Promienie słońca uderzyły go jak młotem. Wszędzie rozpościerało się pustkowienie. Nie było nic prócz piachu.

Szok zmiany, ciężar być może straconych podczas przejścia przez bramę dni, uderzyły Alaina silniej niż słońce. Świat, promienie, nieskończony bezmiar piaskowych wzgórz - wszystko to falowało przed jego oczami. Było tak, jak gdyby ktoś nimi potrząsnął. Ale być może to tylko Alainowi tak się wydawało. Potknął się i upadł, a kiedy jego dłonie dotknęły piasku, poczuł ogień. Wszystko płonęło.

Laoina i Adika przechodziły przez kamienny krąg. Świetlny łuk zamigotał i zniknął. Adika upadła na gorący piach, zemdlona. Alain złapał ją i pomógł zawisnąć na jego ramionach.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

Wokół nich rozciągało się piaszczyste pustkowienie. Nie było żadnych śladów życia. Obok widniał jedynie kamienny krąg. Wszędzie rozciągały się piaskowe wzniesienia.

Laoina użyła swej włóczni, by zmierzyć kąt pomiędzy dwoma kamieniami, szukając właściwego kierunku.

- Chodźmy tędy - wskazała. Wzięła sakwę Adiki i ruszyli.

Alain jęknął, lecz podążył ze wszystkimi. Trwało wieczność, nim dotarli na szczyt wzgórza, gdzie oblały ich gorąco i piekące promienie słońca. Na szczęście piach pod stopami był raczej twardy. Na szczycie wzniesienia stał głaz. Nim Alain do niego dotarł, był całkowicie zlany potem.

W oddali, w dole wzgórza, za połacią splekanej, okrytej lekką mgiełką ziemi znajdowało się skupisko zieloności, nagle wyrastające z pustynnego krajobrazu. Alain poczuł wodę i miał wrażenie, że za chwilę umrze z pragnienia. Jego usta były kompletnie suche. Nie mógł już zrobić nawet kroku naprzód. Spoczął w cieniu głazu, ostrożnie kładąc Adikę na ziemi. Trząsł się tak bardzo, że nawet nie mógł sięgnąć po

bukłak z wodą.

Ziemia zatrzęsała się pod jego stopami. Najpierw pomyślał, że to on sam się trzęsie, ale nie... To naprawdę ziemia drżała, jakby przechodziła po niej jakaś ogromna bestia.

Powiew gorącego wiatru zmierzwił mu włosy. Zazwyczaj nieporuszona niczym Laoina teraz krzyknęła. Alain podskoczył na równe nogi i odwrócił się. Furia i Smutek wpadły w szal szczekania.

Szła przez piasek jak królowa, potężna i prędką. Płynność i godność, z jaką się poruszała, czyniły ją piękną i przerażającą zarazem. Kroczyła na czterech nogach jak lwica. Jej masywne łapy nie zapadały się w piach. Na wiele sposobów przypominała lwa - miała żółto-brązowe futro i lśniące ciało. Była dwa razy większa niż byk.

Miała też skrzydła z nastroszonymi piórami koloru wosku. Ponad jej szerokimi ramionami widniała głowa kobiety. Wyraz jej twarzy był bardziej próżny niż dumny. Posiadała wojownicze oblicze, otoczone atłasową, złotą grzywą, spływającą wzdłuż barków.

- *Maoisinu* - wyszeptala Laoina. - Lwia królowa.

Alain zrozumiał, że odbył podróż rozpoczynającą się w wiosce Osna i dotarł dalej, niż kiedykolwiek sądził, że zdoła dotrzeć. Może to było życie po śmierci. Może trafił do jakiegoś legendarnego kraju. A może znalazł się w zdumiewającej krainie, w której nie było żelaza, rzepy, radeł, statków i nawet Zjednoczonego Boga. Wszystko to różniło się od świata, do którego przywykł, w którym się narodził.

## **Rozdział dwunasty** **GŁĘBOKIE WODY**

### 1

Sliesby chwaliło się siecią drewnianych chodników, które oplatały miasto niczym dzikie wino. Dzięki temu zabiegani kupcy, przemierzając drogę z doków do magazynów, nie musieli się martwić, że przemoczą nogi. Silnoręki podziwiał taki postępek, choć starsi ludzie nie uważali tego za dobry pomysł. Podobnie jak sieć handlowa, chodniki łączyły zatokę z miastem, warsztaty ze składami i karczmami. Nawet w dzień taki jak dzisiaj, gdy panowała wczesna wiosna i padały obfite deszcze, zamieniając ulice w błoto, kupcy mogli maszerować bez zmartwień, o ile mieli dobrze chroniące ich płaszcze.

Deszcz siekł plecy Silnorękiego, kiedy przypatrywał się stojącym przed nim ludziom. Większość z nich kasłała i trzęsała się, bo nad miastem przeszła burza. W powietrzu czuć było strach. Dziesiąty Syn Piątego Syna przewodził uderzeniu. Wspomagali go rybacy, którzy mieli zatarg z mieszczanami Sliesby, dotyczący połowu śledzi.

Na nizinach znajdujących się poza miastem grupa rozbrojonych żołnierzy kopała zbiorowy grób dla swych poległych kompanów. Silnoręki czuł napływający z daleka zapach krwi i odpadków, przebijający się przez deszcz. Choć walka była raczej krótka, tutejsi ludzie nie poddali się łatwo.

Za plecami Silnorękiego rozciągała się zatoka. W cieśninie znajdowało się wiele wysepek i większych wysp. Wszystkie dopiero niedawno zostały zagospodarowane przez ludzi. Padał gęsty deszcz, lecz niebo na południu już się przejaśniało.

Zgodnie z plemiennymi opowieściami dwa pokolenia temu ziemie te były niezasiedlone. Żyły tu tylko zwierzęta i okazjonalnie pojawiali się rybacy, szukający sitowia albo konopi do wytwarzania koszy i sieci. Wreszcie, w regionie znanym z jezior, SkalneDzieci zbudowały dom StarejMatki. O plemieniu Sviar usłyszano dopiero, gdy dostrzeżono ich dwa statki płynące na południe. Było to w czasach, gdy plemieniem rządził ojciec Silnorękiego. Podczas najazdów na plemiona ludzi, uzbrojonych, czujnych i tylko nieco mniej wojowniczych niż SkalneDzieci, nikt nie myślał, by odwiedzić bratnie plemię Sviar.

Ale Silnoręki mógł to uczynić. Z przedsionka jednego z budynków, służącym jego jeńcom za tymczasowe schronienie, wyszła kobieta. W przeciwieństwie do tutejszych nosiła skrywający twarz welon. Jej płaszcz lśnił od deszczu.

- Wodzu - podjęła we wspólnym języku, używanym przez wszystkich kupców, będącym mieszaniną

języka wendarskiego, salijskiego i dariyańskiego - co będzie z tymi, którzy nie uczynili nic złego, a jedynie chcieli handlować?

Inni kupcy tłoczyli się pod ścianami miejskiego ratusza. Różnica w ich sytuacji i sytuacji kupców stłoczonych w przedsionku uwidoczniła się w ostrym tonie, jakim przemawiała kobieta.

- Jak was zwą? - zapytał Silnoręki. - Jaki naród ludzkich plemion zwiesz swoim macierzystym?

Kobieta wyraziście gestykulowała. Szerokim gestem wskazała na dwóch ciemnych i niespokojnych mężczyzn, stojących w tłumie. Nosili spiczaste kapelusze, a rękawy ich odzienia były zdobione ornamentami.

- Jesteśmy dziećmi ludu zwanego w języku wendarskim Hessi, a w innych językach Essit. Zwą mnie Riavka, córka Sarenhy. Jestem Świętą Matką ludzi, którzy odwiedzają ten port i w nim zamieszkują. Przychodzę do ciebie z prośbą, bo wiem, jakie historie są opowiadane i jakie poniżenie cierpią ludzie, którzy przegrali walkę z twoim ludem.

Silnoręki wyszczerzył zęby, tak by wszyscy widzieli, ile klejnotów je zdobi. Kobieta nie cofnęła się.

- Nie miałem zamiaru atakować, a jedynie ochraniać port. Godna opłata od każdego załadowanego statku sprawi, że z mojej strony nie spotkają was żadne przykrości. Czy to nie jest sprawiedliwe?

Kupcy zaczęli szemrać pomiędzy sobą, a potem, pamiętając, że on ich nie rozumie, zamilkli. Byli jak króliki złapane w sidła - czekali, aż spadnie cios. Deszcz zaczął. Burza z wolna mijała.

- Jakiej opłaty żadasz? - Albo sądziła, że nie cierpi ludzi płaszczących się przed nim, albo nie bała się śmierci. - Ten port został zbudowany przez tych, których obarczono wielkimi opłatami w krajach południa. Jeśli będziesz nas mocno uciążliwym, nie wiadomo, czy nie powstaniemy przeciwko tobie.

- Wobec tego wszyscy zginiecie.

Kilkunastu kupców patrzyło w kierunku odległej palisady, na wpół zasłoniętej przez budynki. Wiedzieli, jaka ponura praca trwa na zewnątrz miasta. Kopano tam zbiorowe groby. Postawny mężczyzna wyszedł na ganek budynku i zaczął szeptać coś kobiecie do ucha. Nie odpowiedziała mu, kontynuując rozmowę z Silnorękiem.

- Kto wie, a może po prostu opuścimy to miasto? Odplyniemy latem i poszukamy innego miejsca, gdzie będziemy mogli handlować?

Przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

- Wiesz, że mógłbym cię zabić za twą arogancję? Nie boisz się?

Jej wilgotne ręce dotknęły skraju welonu. Nim ponownie opadł, Silnoręki zdążył dostrzec zagłębienie w jej szyi.

- Gdybyś chciał nas po prostu zabić albo uczynić z nas niewolników, twoi zbrojni, którzy zaatakowali nas wczoraj, już by to uczynili. Spotykasz się z nami dzisiaj, bo masz jakiś inny zamiar.

- Jaką opłatę uważałabyś za słuszną, Riavko, córko Sarenhy?

Nie zwlekała z odpowiedzią.

- Jedną dziesiątą zysku.

- Jedną szóstą - odrzekł szybko. - Stworzycie też radę złożoną z sześciu starszych, która będzie kontrolowała pobieranie opłat. Mój zarządca pozostanie tutaj wraz z garnizonom.

- Niech tak będzie. - Pochyliła głowę na znak zgody. Kupcy skwapliwie przytaknęli.

- To nie wszystko. Chcę utworzyć kolejny port, podobny do tutejszego. Znajdowałby się u wybrzeża, nad którym mieszkają moi poddani. Wybrałem już cieśninę w kraju Moerin, w południowej części mego kraju. Jest tam bezpiecznie i są dogodne połączenia z morskimi drogami handlowymi. Prowadzą na zachód do Alby, na południe do Salii i na wschód do innych krajów. Czy ktoś spośród was chciałby wziąć udział w budowie tego portu?

Postawny mężczyzna zdecydował się odezwać. Zadał trwożne pytanie:

- To długa i trudna podróż o tej porze roku, panie. Kraj Eików jest nam znany z powieści jako dziki i niegościnnie. Niewielu chciałoby się tam osiedlić.

- A więc wybiorę kilku spośród was. - Zgromadzeni kupcy zareagowali z tak komicznym przerażeniem, że Silnoręki musiał stłumić narastający śmiech. Tego nauczył się od Alaina, który nie znajdował przyjemności w wyśmiewaniu się z ludzkich słabości.

Riavka wskazała młodszego z dwóch mężczyzn Hessi.

- Wyślę mego syna i jego służbę. - W taki sam sposób, jak woda zalewa szczątki rozbitych wraków, blokujących wąski kanał i w końcu je usuwa, słowa te wyzwoliły kupców z paraliżu. Zaczęli mówić wszyscy naraz. Ten szum zirytował Silnorękiego. Przez hałas przebił się dźwięk rogu.

Silnoręki podniósł rękę, wysuwając pazury. Od razu zapadła cisza.

Nad powierzchnią wody znowu zaczęło padać, a nad dalekimi wysepkami zebrały się kłęby chmur. Na



maszcie jednego ze statków załopotala raz i drugi karmazynowa flaga.

Silnoręki podszedł ku krawędzi pomostu. Woda podmywała deski, szumiąc w rytm niewidocznych fal. Deszcz uderzający o powierzchnię morza ustał. Wzdłuż pomostu stały wyładowane towarem knarry. Dalej, w zatoce, widniały wojenne statki Silnorękiego, kołyszące się na niespokojnych wodach, otoczone pasmami mgły.

W pewnym punkcie zatoki woda kłębiła się i było jasne, że nie jest to miejsce ani dla statków, ani raf. Wir z pewnością wzniecały niewidoczne merfolki.

Silnoręki odwrócił się do Dziesiątego Syna:

- Czy ostrzegano cię o tym?

Dziesiąty Syn wysoko podniósł podbródek, by podkreślić swoje „nie”.

Dwa lśniące, prążkowane ciała przesliznęły się po powierzchni wody i zniknęły. Mieszkańcy miasta krzyknęli i cofnęli się. Tylko kobieta w welonie zrobiła krok do przodu, by mieć lepszy widok. Wydała z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk i wyciągnęła rękę, rozczapierzając palce, jakby chciała dotknąć dziwnego zjawiska własnymi dłońmi.

Bez żadnego ostrzeżenia na powierzchni wody pojawiło się wielkie ciało. Przypominało to skok wieloryba w wodzie. Co widziały te czerwone, zimne oczy, Silnoręki nie wiedział. Węgorze, będące włosami merfolków, wiły się dziko. Nie miały oczu, powietrze chwytaly rozwartymi pyskami. Merfolk wykonał połowę obrotu i plusnął do morza z taką siłą, że woda rozprysnęła się na wszystkie strony, wzniecając nowy prysznic deszczu, słony i pełen odpadków, bezmyślnie wrzucanych do zatok.

Silnoręki parsknął śmiechem i otrząsnął się z wody. Kobieta Hessi cofnęła się, strzepując krople z odzienia, ale nie odeszła. Kupcy stłoczyli się na chodnikach, przerażeni. Ich głosy przypominały krakanie wron.

Z wody wyłoniło się blade oblicze, wyniesione na powierzchnię ostro zakończonymi rękami merfolka. Rozkładające się lico zatknięte było na czymś w rodzaju pala. Wokół tego, co kiedyś było twarzą, zwisały przypominające winorośl liście. Silnoręki odsunął się. Dziwna rzecz z plaśnięciem upadła na pomost, ładując u jego stóp.

Pal był pozostałością masztu jednego ze statków trzech czarowników. Silnoręki w pierwszej chwili nie rozpoznał pokrytego liśćmi, rozdętego i bladego oblicza.

- Panie, miej litość! - wrzasnął postawny mężczyzna. - To głowa.

W pustych oczodołach głowy wiły się morskie robaki. W niektórych miejscach zesza skóra, odsłaniając kości czaszki.

- Jeden z albańskich statków nie uszedł spotkaniu z naszymi sprzymierzeńcami - zauważył Dziesiąty Syn.

Silnoręki podszedł do pala i zatkniętej na nim głowy. Na powierzchni wody tworzyły się koła. Deszcz już nie padał, a przez chmury nad wysepkami zaczynało przebijać się słońce.

- To było nieoczekiwane. Nie zapomniałem, że Alba czeka.

Nie rozumiał zachowania swoich tajemniczych sprzymierzeńców. Po pierwsze, myślał, że pragną tylko ciał swoich wrogów, by się nimi żywić. Ale widać miały inny jeszcze cel, co świadczyło o inteligencji, powolnie realizowanym planie. Istniała jakaś idea zrodzona w głębinach morza, dojrzewająca na falach głębokich wód.

Czego pragnęły merfolki?

Negocjacje mogły być trudne, bo merfolki nie władały żadnym językiem. One znały pragnienia Silnorękiego, on zaś nie miał pojęcia, jakie przyświecają im cele. Jednakże merfolki musiały sądzić, że istnieje coś, co on pomoże im zdobyć. Nie mógł o to zapytać. Nie odważył się okazać swej niewiedzy, bo niewiedza oznaczała słabość.

Silnoręki nigdy nie okaże słabości. Zbyt wiele rąk czekało, by wbić mu nóż w plecy.

Woda zmętniała. Tuzin ogonów uderzył o taflę na znak hołdu, na rozkaz, a może wyrażało to jakieś pytanie lub wręcz odpowiedź. Silnoręki nie wiedział. Prążkowane ciała zanurzyły się w wodzie i popłynęły ku zatoce. Pozostawiając ślady na wodzie, dotarły do kanału i statków, a potem zniknęły.

upamiętniające życie świętej, z których słyneła kaplica. Antonia nie widziała także dokładnie potężnych kolumn, na powierzchni których wyrzeźbiono wizerunki siedmiu uczniów, a które otaczały sanktuarium. Marmurowe kolumny stały ukryte w cieniu. Przyciemnione światło umożliwiło tylko zobaczenie wyrzeźbionych twarzy Mateusza, Marka i Joanny po lewej stronie oraz Łucji, Marianny i Piotra po prawej. Przy głównych drzwiach znajdowała się kolumna z uwidoczną świętą Teklą. Kolumna stała dokładnie naprzeciwko ósmego filaru, który z kolei znajdował się za ołtarzem. Nie wyrzeźbiono na nim żadnej podobizny, a jedynie koło złożone z rozet, umiejscowione u podstawy.

Ale po co obserwować wyrzeźbione twarze, skoro jasna lampa doskonale oświetla twarz mężczyzny, klęczącego przed ołtarzem? Lampkę postawił na marmurowej posadzce w taki sposób, że jej płomień nadał twarzy blasku, tak jakby Bóg dotknął go Ich światłem.

Czy zdawał sobie sprawę, że na niego patrzyła? Czy podejrzewał, że podczas długich godzin modlitwy ludzie stoją czasem na galerii, by popatrzeć z góry na sanktuarium? Czy domyślał się, że go widzą, tak jasnego jak brzask, pobożnego jak święty i wzniesłego w swej enocie?

Piękny Hugo.

Jestem na to za stara, pomyślała zirytowana. Gdybym wyszła za mąż w wieku piętnastu lat, mogłabym być jego babcią. Tak było w przypadku jej sióstr i kuzynek, które powydawano za mąż, by umocnić więzy pomiędzy dwoma rodami. Jej jednakże pozwolono wstąpić do klasztoru, gdy przeznaczony jej małżonek zmarł w noc poprzedzającą ślub. Pomyliła dawkę. Nie chciała, aby jego śmierć była tak niesmaczna. W końcu miała wtedy tylko czternaście lat.

Lata spędzone w klasztorze przeminęły łagodnie.

W ciągu czterdziestu lat miała tylko jedno potknięcie. Jedna błędna ocena, kiedy wydawało się jej, że Sabella ma zamiar obalić króla Henryka. Teraz straciła zarówno syna, jak i pozycję w kościele. Nie było już miejsca na błąd. Nie ma mowy o nietrafnych sądach i niewłaściwych kalkulacjach. Żadnego fałszywego kroku.

Hugo opuścił głowę, opierając ją na złożonych rękach. Wiedziała, że się nie modli. Studiował tajemniczą księgę, zwaną *Księgą Bernarda*. Hugo nigdy się z nią nie rozstawał, z wyjątkiem tych wypadków, gdy chował ją do skrzyni, zamykanej i strzeżonej. Klęcząc tutaj, w kaplicy, tak ułożył swoją szatę prezbitera, że kryła ona rozłożoną księgę. Szata ułożona była w piękne fałdy, co tworzyło wyjątkowo malowniczy widok. Artysta nie stworzyłby piękniejszego wizerunku gorliwego i szlachetnego prezbitera, doradcy króla, powiernika Świętej Matki.

Nieoczekiwanie podniósł wzrok, jakby usłyszał jej oddech. Ale spojrzął tylko na kopułę, oddzielającą go od niebios. Jego wargi poruszały się. Wypowiedział jakieś imię, wzdychając.

- Liath.

Było coś przerażającego w sposobie, w jaki wypowiedział to słowo. Jakby uniosła się, odsłaniając coś, czego lepiej nie widzieć. Znowu pochylił głowę. Pomyślała, że tym razem chyba rzeczywiście się modli, desperacko, z pasją.

Jego gorliwie złożone ręce, pochylone w bólesci plecy i zarliwość bijąca z całej osoby były jak płomień, który ją ogarnął. Uwierzyła w jego cierpienie, jeśli rzeczywiście to było cierpienie. Zabiła w sobie silne emocje, bo utrudniały jej życie, ale nigdy nie zatraciła umiejętności ich wyczuwania, nawet jeśli oznaczało to doświadczanie ich tylko pośrednio.

Biedne dziecko. Jakże to straszne, że jego świetność została zeszepecona tą jedną słabością, obsesją w stosunku do jedynej rzeczy, której nie mógł posiadać.

Ale właściwie dlaczego nie? Liath wypowiadała się z aprobatą o wiedzy Hugona. Powstała pomiędzy nimi więź, którą dziewczyna niechętnie potwierdziła w Vernie. W pewnym sensie Hugo jednak ją posiadał, bo Liath nigdy nie mogła go zapomnieć ani mu wybaczyć. W głębi serca zapewne wiedziała, że Hugo byłby dla niej lepszą partią niż książę Sanglant.

Dał się słyszeć odgłos kroków. Prosto, lecz zarazem bogato odziany prezbiter (miał na sobie szatę i długi, szkarłatny płaszcz) stanął w cieniu za plecami Hugona. Uczynił znak Kręgu na znak szacunku dla świętego ołtarza i znajdującego się na nim złotego kielicha. Kiedy Hugo poruszył się i odwrócił, by na niego spojrzeć, mężczyzna skłonił się głęboko i z rewerencją. Potem zaczął mówić cichym głosem, jak przystało na miejsce, w którym się znajdowali:

- Wasza Świętobliwość, Świętobliwa Matka już się obudziła i prosi cię do siebie. Wiesz, jak bardzo cieszy ją twa obecność.

- Dziękuję, bracie Ismundusie. Jesteś bardzo uprzejmy, wstając w środku nocy.

- Proszę tak nie mówić! Powiniennem modlić się o to, by Bóg ją uleczył, lecz... lecz nie mam twej siły.

Hugo skrzywił się leciutko, odwracając głowę ku kolumnie, której gładka marmurowa powierzchnia

obrazować miała całkowitą czystość błogosławionego Daisana. Nie było potrzeby przedstawiać surowej ziemskiej twarzy, skoro błogosławiony Daisan został wzięty żywcem do nieba na obłoku boskiej chwały i przeniesiony wprost do Komnaty Światła.

- To nie jest siła, lecz grzech. - Czy Hugo zdawał sobie sprawę, jak pięknie wygląda jego twarz, oświetlona płomieniem świecy? - Proszę cię, bracie Ismundusie, nie przypisuj mi cnót, których nie posiadam. Pójdę natychmiast. Pozwól mi tylko skończyć moje psalmy.

- Oczywiście, Wasza Świątobliwość. - Ismundus skłonił się i opuścił kaplicę. Oczywiście stary człowiek nie miał obowiązku honorować w ten sposób innego prezbitera. Od trzydziestu lat służył w pałacu skoposy i został podniesiony do godności pokojowca sypialni Jej Świątobliwości. Prawdę rzekłszy, zwyczaj był taki, iż młody prezbiter taki jak Hugo powinien się pokłonić starszemu, a nie na odwrót.

Ale w obecnych czasach, jak Antonia doskonale wiedziała, nic nie szło utartym trybem. W ostatnich latach na świecie szerzyły się grzech i nieposłuszeństwo. Jeśli wszystko, czego ją nauczono w ostatnich latach, miało być prawdą, świat zostanie niedługo pokarany katastrofą z rąk Boga albo czarnoksiężskimi praktykami Aoi.

Z narastającego chaosu mógł, a wręcz musiał, wyłonić się jakiś przywódca.

Może się myliła, sądząc, że do takiej roli są predysponowani Liath i książę Sanglant. Oprócz Sanglanta byli jeszcze inni mężczyźni o większej mocy i bardziej wysublimowanych ambicjach.

- Wiem, gdzie jesteś - powiedział nagle Hugo w ciszy sanktuarium. Lampa zamigotała, zaś Antonia zamarła, zastanawiając się, jakiego rodzaju magii użył, by wykryć jej obecność w cieniu galerii. - Wiem, co teraz robisz, mój skarbie. Widzę cię i mogę sprawić, że gładz gorejący otworzy okno prowadzące do miejsca, w którym teraz się znajdujesz. Przysięgam, Liath, że podążę tam za tobą.

Pochylił głowę i zaczął śpiewać:

*Usłysz moje wołanie o zmiłowanie, gdy wołam do ciebie,  
kiedy podnoszę ręce ku twemu świętemu sanktuarium.  
Nie zaliczaj mnie w poczet słabych i siejących zło,  
którzy przemawiają słodko do swych towarzyszy,  
choć w ich sercach mieszka zła wola.  
Odpląc im stosownie do ich uczynków.  
Wynieś tych, którzy sławią Boga.  
Błogosławieni ci, którzy słuchają mego błagania o zmiłowanie.*

Zamknięty, Hugo czekał chwilę w kompletnej ciszy. Czy w drżącym świetle lampy zamigotały przechodzące anioły, zwabione słodyczą jego głosu? Jeśli Hugo na coś czekał, to nie nastąpiło. Zamknął sekretną księgę, założywszy jedno miejsce czerwoną wstążeczką. Wsunął ją pod pachę i opuścił kaplicę. Lampka wypaliła się. W ciszy słychać było syczenie zgasłego knota.

Antonia pozostała w cieniu galerii, biegnącej naokoło całego sanktuarium. Hugo dopiero co wyszedł i nie można było ryzykować zbyt szybkiego opuszczenia kryjówki. Wnętrze kaplicy świętej Tekli podobało się Antonii. Cesarz Taillefer zbudował królewską świątynię w Autun, wzorując się na tejże kaplicy. Był to budynek ośmioboczny z podwójnymi sklepieniami i dachem w kształcie kopuły. Według opinii Heriberta kaplica świętej Tekli miała lepsze proporcje niż świątynia w Autun, która z kolei dzięki swej wspaniałości wzbudzała strach i gorliwość religijną.

Liath była prawnuczką cesarza Taillefera, spadkobierczynią jego ziemskiej chwały i mocy. Ona zaś, kiedyś znana jako biskupina Antonia z Mainni, teraz zwana siostrą Venią, rozumiała delikatną grę o władzę, toczącą się obecnie, na przełomie zimy i wczesnej wiosny. Świątobliwa Matka Klemencja leży umierająca. Wkrótce jej dusza opuści ciało i pójdzie przez siedem sfer ku Komnacie Światła. Tutaj natomiast, na ziemi, jakaś odpowiednio urodzona kobieta, zajmująca wysoką godność i odznaczająca się gorliwością religijną, zostanie wybrana, by rządzić w pałacu.

- „Nasze serca nie upadły - wyszeptwała - a nasze stopy nie zeszyły z Twej ścieżki. ”

Liath drzemiała wygodnie, znajdując się w delikatnej sferze Somorhas. Czuła się tak, jakby zanurzyła się w kąpeli pełnej różanych płatków, w wodzie o idealnej temperaturze. Było jej tak przyjemnie, że nie miała ochoty ani się ruszać, ani nawet otworzyć oczu. Nic ją nie bolało i nie czuła najmniejszego dyskomfortu. Nie musiała się nigdzie spieszyć. Wędrowała tak długi czas, że byłoby okrucieństwem nie odpocząć przez moment.

W oddali słyszała niewyraźny śpiew. Ktoś wtórował muzyce sfer. Można tak było leżeć w nieskończoność i wsłuchiwać się w perfekcyjny kontrapunkt muzyki, która nigdy się nie kończyła, była melodyjna i doskonale harmonijna.

Wiatr owiał twarz Liath. Na wargach poczuła lekki jak piórko dotyk. Chłodny prąd popłynął wzdłuż jej gardła, tak jakby tchnienie wiatru przedostało się do jej ciała.

- Przejdź przez wrota Somorhas, a zobaczysz pragnienie swego serca.

Otworzyła oczy, zdziwiona tym słodko brzmiącym głosem, płynącym niczym woda. Kto to mówił? Brzmiało to niemal jak jej własny głos. Nieoczekiwanie dla samej siebie wstała. Otaczała ją równina. Wygodne łóżko, na którym spoczywała, było w rzeczywistości ziemią, okrytą różową warstwą mgły. Na horyzoncie widniały alabastrowe wieże, liczne niczym włócznie ogromnej armii. Pomiedzy nią a lasem wież znajdował się ogromny marmurowy budynek z dachem w kształcie kopuły. Od razu wiedziała, że w tym budynku znalazłaby bibliotekę, a w niej każdy zwój czy księgę, jakie chciałyby przeczytać. Im bliżej była kopuły, tym bardziej wieże rozpląwały się we mgle. Wokół nich znajdowały się kamienne aleje, pełne ogromnych pomników wszystkich zwierząt znanych na ziemi i na niebie: kruków, pawi, panter i niedźwiedzi, koziorożców i węży. Aleje zbiegały się na podwórku, na którym znajdowały się schody, nad nimi zaś podparty dwoma filarami łuk, zdobny w rzeźbienia dzikich róż i belladony.

Kiedy Liath znalazła się pod łukiem, przez jej ciało przepłynął dreszcz, mogący kojarzyć się ze strumieniem drżącej, falującej, a następnie zastygającej wody. Liath znalazła się w ogromnym hallu, w którym duchowni, odziani w szkarłatne płaszcze i suknie w kolorze wina i zieleni, spieszyli gdzieś w sobie tylko znanych kierunkach. Wzdłuż całego hallu stały liczne stoły, oświetlane przez ceramiczne lampy. Siedzieli przy nich uczeni, pochyleni nad starożytnymi zwojami i świeżo skopiowanymi tomami starożytnych tekstów. Dwie młode kleryczki, które ledwie przekroczyły próg dojrzałości, szeptały pomiędzy sobą, przeglądając jakąś grubą kronikę.

Na specjalnym podwyższeniu pośrodku hallu leżała gruba księga. Liath minęła stoły i skierowała się ku temu miejscu. Nikt nie patrzył na nią ze zdziwieniem. Nikogo nie zastanawiała jej obecność tutaj, choć Liath miała na sobie tylko tunikę, nogawice, kołczan ze strzałami, łuk oraz złoty naszyjnik, подарowany jej przez Sanglanta, oraz pierścionek z lapis lazuli. Podłoga pod jej stopami była przyjemnie ciepła.

Tak jak w Quedlinhame, na podwyższeniu znajdował się katalog: różni skrybowie w różnym czasie dodawali do listy kolejne pozycje. Przeglądając księgę, Liath zauważyła, że kwadratowe pismo Dariyan z charakterystycznymi dużymi literami ustąpiło miejsca okrągłym literom Scripta Actuarialia, który był stylem preferowanym przez matki wczesnego Kościoła. Stopniowo zaczęto stosować minuskułę, a to oznaczało, że nastały czasy kleryków salijskich, znajdujących się pod wpływami szkoły dworu Taillefera. Stosowany w obecnych czasach prostszy krój pisma zwany Scripta Gallica był pełen zawijasów, majestatyczny i elegancki.

Jakież bogactwa zawierał katalog! Nie tylko *Tetrabiblos* Ptolemeusza, ale także podstawę jej studiów *Kompilację matematyki*, *Heleniadę* Wirgiliusza oraz jego *Dialogi*, rozmaite atlasy nieba i ziemi, sporządzone przez starożytnych uczonych, *Memoria* Alisy z Jarrow, zawierająca szczegółowe instrukcje sztuki zapamiętywania i wiele innych woluminów, dotyczących historii naturalnej i astronomii. Było ich więcej, niż Liath sobie wyobrażała. Prześliznęła wzrokiem po spisie dzieł matek Kościoła, lecz ich dokładne studiowanie wymagało bardziej skupionej uwagi. Liczne krytyki i traktaty przeciwko herezjom nie stanowiły atrakcji, Liath jednak miała nadzieję, że były wśród nich także zakazane teksty na temat magii, jak na przykład *Dzieła Magiczne Chaldeosów* i *Sekretna Księga Aleksandrosa*, *Syna Pioruna*.

Jakże zdumiewające było to, iż tak ogromna biblioteka znajdowała się w sferze Somorhas. Czy jednak głos nie powiedział, że za wrotami znajdzie pragnienie swego serca?

Gdzieś z głębin jej jestestwa odezwał się słaby głos, będący niczym cierń. Liath czuła ukłucie bólu za prawym okiem. Czy nie czytała gdzieś, że w Somorhas znajdują się tylko sny i iluzje?

- To niemożliwe - wyszeptał głos, zupełnie, jak gdyby była w dwóch osobach, z których jedna obserwuje, a druga mówi. - W trzeciej sferze, w mieście pamięci, gdzie kołysz się Kielich Bezkresnych Wód, śmiertelnikom dostępny jest ocean wiedzy.

To była prawda, czyż nie? Najlepszym wyjściem było wykorzystać dany jej czas. Znalazła wzmiankę o

umiejscowieniu w jednej z sal *Wiecznej geometrii* świętego Piotra z Aron, a widząc, że inni cierpliwie czekają w kolejce, by móc skorzystać z katalogu, zaczęła się spieszyć. W każdej chwili, słysząc jakikolwiek odgłos kroków, Liath spodziewała się, że zaraz jakiś kleryk zapyta ją: co tu robisz? Kim jesteś? Skąd przybywasz?

Ale tak się nie stało. Oczywiście, ludzie ją dostrzegali. Spojrzenia prześlizgiwały się po niej ze spokojem, jak gdyby była kimś, kogo się spodziewano. Nie była nikim niezwykłym. Nikim obcym.

Korytarz, o którym myślała, iż zaprowadzi ją do pokoju z księgami o astronomii, nieoczekiwanie wiódł do kaplicy, bogato udekorowanej połączanymi lampami, zwisającymi z sufitu oraz freskami, przedstawiającymi żywot świętej Łucji, strażniczki światła wiedzy. Kolana Liath ugięły się pod nią i tak oto klęczała teraz za parą kleryków, odzianych w białe szaty i długie do ziemi szkarłatne płaszcze, które w świetle Liath były charakterystyczne dla prezbiterów w służbie skoposy.

Dziwne, jak bardzo jej myśli się rozpięzchały. Ponieważ nie mogła uspokoić umysłu na tyle, by myśleć o Bogu, zaczęła słuchać. Dwaj klerycy klęczący przed nią najwidoczniej także nie mogli uspokoić umysłów, ponieważ rozmawiali przyciszonymi głosami. Z przodu kaplicy starszy mężczyzna dyrygował chórem mnichów o słodko brzmiących głosach.

- Słyszałeś? Rozkazał biczować biednego brata Sylwestriusza.

- Jak to możliwe, żeby brat Sylwestriusz popełnił jakieś wykroczenie? Rzadko kiedy się w ogóle odzywa, a czasem wydaje mi się nawet, że nawet nie zna nas wszystkich, tak zawsze śpieszno mu do ksiąg.

- Nie chodzi o to, co powiedział, lecz o to, co napisał w swoich annałach.

- Nic uwłaczającego, jak sądzę? To było bardziej w stylu biskupiny Liutprandy.

- Oczywiście, że nie. Sylwestriusz napisał obiektywną relację z koronacji, unikając pochlebstwa.

- Zaś Żelaznogłowy nie mógł tego znieść. Wolałby raczej słuchać jednego z tych mało utalentowanych poetów, którzy go sławią, głosząc, że jest równie wielki jak Taillefer. Nie chce słyszeć, kim naprawdę jest.

- Wiesz, w jaką wściekłość potrafi wpaść Żelaznogłowy.

- Wiem i nawet noszę ślad teje na policzku. Jednakże w jaki sposób Sylwestriusz uniknął biczowania? Nie, nie musisz nic mówić, wiem, kto musiał interweniować.

- Tak, bracie, on wnosi kojący wpływ, zwłaszcza teraz, gdy Świętobliwa Matka, Boże, obdarz ją zdrowiem, leży chora. Jest to jedyny człowiek, który stoi pomiędzy ordynarnością i barbarzyństwem Żelaznogłowego a życiem tak wielu niewinnych.

Zupełnie jakby myśl ta uderzyła ich wizją bożej łaski, pochylili głowy i zaczęli się modlić. Stary prezbiter zaintonował *Glorię*.

Liath miała dziwne uczucie, że jest w nie swoim ciele. Niespodziewanie wstała i wyszła z kaplicy. Musiały tu być jeszcze jedne drzwi, których nie zauważyła wcześniej, ponieważ zamiast wyjść na korytarz, którym się tu dostała, znalazła się w ponurym, ciemnym przejściu, oświetlonym tylko jedną pochodnią. Światło było słabe, ale swoimi oczami salamandry Liath zobaczyła trzech strażników, stojących przy ciężkich drewnianych drzwiach. W korytarzu było jeszcze dwanaście takich samych drzwi. Po ścianach sączyła się wilgoć. Podłoga pachniała ziemią i chłodem. Nie było wysokiego, pięknego sklepienia. Żaden utalentowany artysta nie starał się uczynić tego miejsca przyjemniejszym dla oka.

- A, tu jest klucz - powiedział jeden ze strażników. - Biedni chłopcy. Myślę, że ich głowy będą zatknięte na murach tylko dlatego, że ukradli trochę chleba, którego nie mieli za co kupić.

- Kawałek chleba to jedno - odrzekł drugi strażnik - ale kradzież królewskiego chleba to co innego.

- Phi! Królewski chleb, rzeczywiście - trzeci strażnik roześmiał się gorzko. - Koszyk niesiono do królewskiego domu publicznego.

- A jednak to, co należy do króla, jest jego własnością, nie żebraków, takich jak tych dwóch.

Obrócili klucz w zamku i z wysiłkiem otworzyli drzwi.

- Wychodźcie, chłopcy - odezwał się trzeci ze strażników.

Dwaj chłopcy, mający nie więcej niż czternaście lat, mieli znękany wzrok dzieci, które stale doświadczały głodu. Przypominali wygłodzone szczury. Jeden płakał. Drugi starał się być dzielny.

- Byliśmy po prostu głodni - zaskomlał płaczący chłopak. Ta fraza przewijała się jak refren aż nazbyt często.

- Nie, nie dawaj im satysfakcji - wysyczał jego kompan. - Odważnie pójdziemy na śmierć...

- Mam rozkaz wypuścić was na wolność - oznajmił trzeci ze strażników - Tutaj macie srebrną lusirę. Spożytkujcie ją mądrze i najlepiej wynieście się z miasta. Nasz król długo pamięta tych, którzy weszli mu

w drogę i jeśli kiedykolwiek by was rozpoznał, zetnie wam głowy wprost na ulicy.

Płaczący chłopak wybuchnął jeszcze większym potokiem łez. Jego odważny towarzysz padł na kolana, starając się ucałować rękę strażnika i przyciskając jednocześnie srebrną monetę do piersi.

- Jak mam ci dziękować, przyjacielu? Bóg cię wynagrodzi za twe miłosierdzie.

- To nie mnie powinieneś dziękować. Ja musiałbym cię powiesić. Ale jest ktoś na dworze, kto przedkłada różę miłosierdzia ponad miecz sprawiedliwości.

- Ach, na Pana i Panią! - rzekł odważniejszy z chłopców tonem dziecka, które właśnie zobaczyło anioła.

- Czy to ten człowiek, którego widzieliśmy na placu obok króla?

- Tak, ten właśnie. Nie zapominajcie, że niektórzy kroczą bliżej Boga niż reszta grzeszników. Możecie mu podziękować w swoich modlitwach. - Dwaj strażnicy wspólnym wysiłkiem zamknęli hałaśliwie trzęcę o podłogę drzwi. Nieprzyjemny dźwięk rozszedł się po całym korytarzu.

Chrzążnąwszy, pierwszy ze strażników poprowadził chłopców na zewnątrz. Liath zamarła.

- Mogłeś zatrzymać sobie monetę i pozwolić im zawisnąć - wyszeptał drugi strażnik. - Jak śmiałeś sprzeciwić się królewskim rozkazom?

- Król po tygodniu zapomni o całej sprawie. Biedni chłopcy, tak naprawdę nie wyrządzili żadnej szkody. Pamiętam, że sam byłem kiedyś głodny i zdesperowany. Ale nie myśl, że kiedykolwiek odważyłbym się zatrzymać monetę, chłopcze. - Głos strażnika stał się cierpki, gdy połajał drugiego. - Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, kto dał mi ją dla tych biednych chłopców. Będąc w służbie króla, dostajemy dwa posiłki dziennie. Oni nie mają nic i muszą włóczyć się po ulicach, podczas gdy król ściągają podatki, by powiększyć swą armię.

- Skąd ten, który dał ci monetę, miałby się dowiedzieć, że ją zatrzymałeś dla siebie? Mogłeś ich wypuścić, a pieniądze zostawić sobie. Toż to twoja miesięczna zapłata!

- Sza! On by się dowiedział.

- I ukarałby cię?

- Zapewne. To byłaby kara - zostać wezwanym przed jego oblicze i popatrzeć w oczy człowiekowi lepszemu niż my wszyscy. Nie chciałbym stać przed nim, podczas gdy on wybaczyłby mi pójście za głosem pokusy, nie winiąc mnie o nic. On wie, jak grzeszni są ludzie i jak musimy się zmagać z pokusami złego. Wolę nie zgrzeszyć i nie wstydzić się przed nim.

- Oho, to dlatego od miesiąca nie chodzisz do burdelu w Paryżu.

- Tak jest, chłopcze, i nigdy więcej tam nie pójdę. Zalecam się do młodej praczki, pracującej niedaleko doków. Chcę się z nią ożenić i żyć po bożemu.

- Kiedy skończy się wojna.

- Kiedy skończy się ta cholerna wojna. Słyszałeś ostatnie plotki?

Strażnicy ruszyli ku kamiennemu sklepieniu, wiodącemu ku schodom i zniknęli Liath z oczu, a wraz z nimi jedyna pochodnia. Ich rozmowę tłumili kamienne ściany i odległość. Nogi poniosły Liath w tym samym kierunku, w którym podążyli strażnicy, ale gdy dotarła do schodów, mogła iść już tylko za słabnącym światłem pochodni. Zaczęła wspinać się szybko, pchana nagłym powiewem wiatru. Płomień zgasł i pochłonęły ją ciemności. Po omacku szła po schodach, dotykając ścian. Czuliła pęknięcia i zaprawę murarską. Wreszcie dotarła do niej, że stoi na wąskim półpiętrze. Sufit znajdował się tak nisko, że dotykała go głową. Jej palce trafiły na zasuwę. Zawahała się.

Zacisnęła szczęki, a ból wywołał lawinę pytań. Gdzie była? Czy pomimo swej woli trafiła z powrotem na ziemię?

Szybko otrząsnęła się i ruszyła dalej.

- Przejdź przez drzwi - wyszeptał jej głos - a będziesz o jeden krok bliżej do pragnienia swego serca.

Położyła rękę na zasuwie, gdy po swej prawej stronie usłyszała stłumione odgłosy łkania. Zdziwiona, odsunęła się, tymczasem zasuwa drgnęła i nieznacznie się przesunęła.

A potem drzwi stanęły otworem.

Ładna młoda kobieta wpatrywała się w mrok. Miała świeżą bliznę na górnej wardze. Nosila tylko bieliznę uszytą z tak delikatnie utkanej tkaniny, że odznaczały się pod nią brodawki jej piersi.

- Och, dzięki ci, pani - powiedziała, chwytając Liath za nadgarstek i wciągając ją do mocno oświetlonej komnaty. - Dobrze się ukryłaś.

Łagodne światło kładło się na podłodze i opromieniało freski tak nieprzyzwoicie, że Liath zarumieniła się. Jej nowa przyjaciółka przeszła obok kredensu i wyciągnęła z cienia płaczącą kobietę. Ta miała na sobie długą i bezkształtną wełnianą tunikę, ufarbowaną na czerwono, taką, jaką zazwyczaj nosiły proste kobiety. W przeciwieństwie jednak do mody obowiązującej w Wendarze, miała na sobie ciasno przylegający gorset i brązowy fartuszek. Włosy zaplecione w warkocze nosiła upięte w koronę. Nie

zakrywał ich szal, jak w przypadku szanującej się wendarskiej kobiety. Nieznajoma miała zapłakaną twarz i przerażenie na niej wypisane, ale i tak Liath zauważyła, że jest wyjątkowo urodziwa, czarnowłosa, o oczach, w które można byłoby wpatrywać się godzinami. Kobieta zadrżała na widok łóżka pod jedwabnym baldachimem.

- Nie dam się sponiewierać bez walki! - powiedziała głosem zachrypniętym od krzyku. - Może jest królem, ale ja jestem mężatką. Przyszłam do katedry, by modlić się w intencji mojego chorego dziecka.

- Cicho - syknęła skąpo ubrana kobieta. - On już wyszedł. Jak ci na imię?

- Zwią mnie Terezia. Ach, Pani! - znowu zaczęła pochlipywać, tym razem z ulgi. - Byłam w kaplicy Pani, modląc się, gdy on się pojawił i siłą mnie tu zaciągnął. Co mogłam powiedzieć królowi? Nigdy nie sądziłam... - Zaczęła łkać, podczas gdy ładna kobieta w białej bieliźnie rzuciła Liath spojrzenie, świadczące o tym, że nie pierwszy raz widzi taką scenę i że budzi to jej odrazę. - ...że on będzie próbował mnie zgwałcić. Gdyby nie ten świątobliwy człowiek, który wszedł tu i położył temu kres...

- Tak, to wszystko dzięki niemu.

- Myślałam, że król zabije go na miejscu. Ach, Pani, jakież on był dzielny! - Jej oczy zalśniły podziwem. - I taki przystojny.

- Jest czcigodnym prezbiterem, siostrze, a nie obiektem do zachwyty. Wracaj do swego zacnego męża i chorego dziecka. Pośpiesz się, bo król może wrócić w każdej chwili. - Po otwarciu drzwi ich oczom ukazały się dwa korytarze - jeden bogato wyposażony, drugi dla służby. - Idź. Ten korytarz poprowadzi cię do wyjścia dla służby. Moja przyjaciółka Teuda pomoże ci się wydostać z pałacu. Będzie na ciebie czekała przy schodach.

- A co z tobą? Czy nie chcesz uciec?

Ładna kobieta zaśmiała się lekko.

- Nie, jesteśmy królewskimi nałożnicami. Płaci nam dobrze, więc zostaniemy.

- Ale jesteś taka urodziwa... - Terezia wyglądała tak, jakby znowu miała zamiar się rozplakać. Podeszła ku drzwiom i oparła się o krzesło. - Dlaczego on udaje się do katedry, aby porwać pobożne kobiety, chcąc się modlić, skoro ma niewiasty, chętne, by mu zagrzać łóżko?

- Biedna niewinna duszyczko - odparła nałożnica z lekką pogardą. - Robi to, bo mu wolno. A teraz słuchaj. Słyszę, że ktoś tu idzie.

Terezia zniknęła w korytarzu dla służby. Nim ustały odgłosy jej pospiesznej ucieczki, nałożnica rzuciła się ze śmiechem na łóżko. Sięgnęła po srebrną tacę, znalazła kielich i podniosła się, by upić łyk wina.

- Ach, Pani. Kiedy myślę o tych biednych kobietach, które harują każdego dnia jak niewolnice, piorąc, gotując i wychowując gromadę dzieci w brudnej chacie gdzieś przy bagnach, dziękuję Bogu, że ja i ty spoczywamy tutaj na jedwabkach.

- Uroda nie trwa wiecznie - powiedziała Liath, czując, że zaczyna ją na powrót boleć głowa. Musiała stanowić dziwny widok w swej luźnej tunice bez paska i z kołczanem na ramieniu. Jednakże nałożnica uśmiechała się do Liath tak uwodzicielsko, jakby ta także nosiła piękną bieliznę na znak wyższego statusu i jak gdyby pozostawała w jakiejś zażyłości, czekając na króla. Liath zrobiła nawet krok naprzód. Miała straszną ochotę spocząć obok nałożnicy. Czy jej ciało chciało zrobić coś bez jej woli? Liath czuła, że walczy z upartym koniem. Miała ochotę chwycić krzesło i solidnie na nim odpocząć.

- Och, nie mów tak - rzekła jej towarzyszka. - Widziałam, jak na niego patrzysz, gdy wszedł tutaj z Żelaznogłowym. - Zaśmiała się mało przyjemnie. - Żelazna głowa, doprawdy. Jest wytworny niczym topór, ten nasz król. Nadęty i burkliwy, to cały on. Zupełnie inny niż jego prezbiter, prawda, kochanie? Panie, on jest prawdziwym mężczyzną, mądrym, pięknym i uprzejmym. Ma tak piękny głos, że można się w nim zatracić, i ręce świętego. Nie zakradłaś się kiedyś do kaplicy, by na niego popatrzeć? Ja to zrobiłam i wiem, że ty także. Zastanawiam się, jakby to było, gdyby te ręce zaczęły mnie pieścić. Myślałaś o tym? Czy tak? On jest dowcipny, elegancki, pełen namysłu i mądrości. Ale widziałam jego spojrzenie. Ma wewnątrz światło wybrańca Boga. - Westchnęła tak namiętnie i tak zmysłowo przewróciła się na łóżku, że w Liath zapłonął ogień na myśl o ekstazie ciała. - Nie chciałabyś, żeby wybrał ciebie?

- Tak - odrzekła, nie bardzo wiedząc, na jakie pytanie właściwie odpowiada, bo zaczęło jej się zbierać na mdłości. Skoncentrowała myśli. Musi się stąd wydostać.

Ruszyła ku drzwiom.

Zamiast jednak natrafić na bezpieczny korytarz dla służby, znalazła się w przedpokoju wysłanym dywanami tak miękkimi, że poruszała się bezszelestnie. Bez tchu oparła się o framugę drzwi, zdobną we freski przedstawiające starożytnego cesarza Tianathano, powożącego rydwanem zaprzężonym w gryfy.

Za drzwiami widniała mroczna sala. Znajdujący się w niej mężczyzna czytał Święte Wersy głosem tak pięknym i melodyjnym, że Liath poszła niczym owca na sznurku wzdłuż drewnianego, rzeźbionego

parawanu w kierunku wielkiej sypialni, w której unosił się cień śmierci.

- W tamtych dniach - czytał głos - młoda Savamiał rozpoczęła służbę poświęconą Bogu. Pewnego dnia otrzymała zadanie, by spać za świętą kurtyną, przesłaniającą chwałę Boga. Lampa tam płonąca nie wypaliła się jeszcze, zaś kiedy Savamiał zasnęła w świątyni, przywołał ją głos Boga, a ona odpowiedziała; „Idę”. Podbiegła ku kobiecie w welonie i rzekła: „Oto jestem. Wołałaś mnie”. Lecz kobieta odrzekła; „Nie wołałam cię. Wracaj i zaśnij”.

Ten melodyjny głos sprawił, że Liath przeszedł bolesny dreszcz.

Z trójnogu znajdującego się przy łóżku zwisała lampa. Oświetlała sędziwą kobietę, tak słabą, że jej pokryte błękitnymi żyłkami, leżące na pościeli ręce były cienkie jak pergamin. Miała zamknięte oczy. O tym, że żyje, świadczył tylko fakt, że miała lekko zaróżowione policzki, a jej powieki drżały, gdy czytający zmieniał intonację głosu. W cieniu krył się jeszcze jeden człowiek, zatopiony w myślach. Liath nie widziała twarzy czytającego, bo był odwrócony do niej plecami, ale zobaczyła, że jego odzienie sływa na ziemię w wytwornych fałdach. Jego włosy błyszcząły złotawo w świetle lampy.

- Tak więc wróciła i zapadła w sen. Jednak Bóg zawołał po raz drugi: „Savamiał!”. Dziewczyna podniosła się i pobiegła ku zawołanej kobiecie, mówiąc: „Oto jestem. Wołałaś mnie”.

- Hugo - szepnęła Liath. Jej wargi poruszyły się, choć ona sama nie miała zamiaru wydać nawet dźwięku. Opętał ją potworny ból. Nie mogła się ruszyć.

Czytający odwrócił się, aby sprawdzić, kto wszedł.

- Kto tu jest? - zapytał miękko.

Liath wiedziała, że powinna uciec, lecz jej nogi poprowadziły ją do światła lampy. Ujrzawszy ją, Hugo wyglądał na zdumionego, a nawet nieco zawstydzonego. Czy zawstydził się niczym młodzik, który zobaczył kobietę, w stosunku do której żywił szczerą namiętność? Trudno było powiedzieć, bo lampa znajdowała się za jego plecami.

Ostrożnie zamknął książkę i wręczył ją swemu towarzyszkowi, który przyjął rzecz bez sprzeciwu. Hugo wstał i podszedł do Liath. Ból, jaki odczuwała, nieco osłabł, stłumiony falą jej myśli.

Zapomniała, jak bardzo był piękny - nie powierzchownym rodzajem urody, która rozkwita nagle, by równie szybko zblednąć. Było to coś leżącego głębiej, gdyż złote włosy i regularne rysy nie tworzą jeszcze piękna twarzy. Dlaczego Bóg obdarzył go połączeniem doskonałych rysów i ich wyrazistością, urokiem i intensywnością, co w sumie stanowi o urodzie?

- Liath! Ja... - Przerwał, zmieszany i zaczerwieniony. - Skąd przybywasz? Dlaczego tutaj przysłałaś? - Zerknął na starszawego prezbitera, stojącego przy łóżku sędziwej kobiety, patrząc, jak cień lampy przesuwają się po jej bladej twarzy. - Nie, chodźmy stąd, porozmawiamy na zewnątrz. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że jesteś tutaj.

Ledwie jednak przekroczyli próg prowadzący do przedpokoju, a Liath otworzyła usta, by coś powiedzieć - choć nie miała pojęcia, co chce rzec - pojawił się prezbiter w średnim wieku. Musiał być od dziecka dobrze odżywiany, gdyż miał sporą nadwagę.

- Dzięki Bogu, Wasza Świątobliwość. Miałem nadzieję cię tu znaleźć. Jak się czuje Świątobliwa Matka?

- Niestety, nie ma żadnej zmiany, bracie Petrusie. Niech Pan Bóg się zlituje. Czytałem jej.

- Tak, tak. - Grubas był czymś najwyraźniej mocno zaabsorbowany, ręce mu się trzęsły i przestępował z nogi na nogę jak dziecko, któremu chce się siusiu. - Musisz przyjść zaraz. Król...

- Oczywiście, pójdę. - Hugo popatrzył na Liath, rozkładając ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Cóż mogę zrobić?”. - Czy poczekaś na mnie? - zapytał cicho. - Albo może, nie wiem... nie sądzę... Nie, pewnie nie poczekaś.

Prawdopodobnie zadecydowała ciekawość, nawet jeśli dotarło do Liath, że nie ma się czego obawiać.

- Pójdę z tobą, jeśli mogę - odrzekła.

Jego twarz pojaśniała. Uśmiechnął się słodko, potem zerknął w bok, jakby zawstydzony jej reakcją.

- Proszę cię, Wasza Świątobliwość, dojdzie do okrutnej rzeczy, jeśli nie przyjdiesz szybko...

- Bez obawy, bracie Petrusie. Chodźmy.

Jeden bogato przystrojony korytarz wiódł do następnego. Liath zagubiła się w labiryncie schodów, sklepionych przejść, kolumnad i podwórców. Wreszcie przeszli z jednego budynku pałacowego do drugiego. Długi hol rozgałęział się na wiele korytarzy, a oni weszli na mały podwórzec, otoczony drzewami figowymi i cytrynowymi. Pośrodku trwała musztra żołnierzy. Z nieba zakrytego chmurami emanowało różowe światło, tak dziwnie jasne, że Liath nie mogła się zorientować, która była godzina. Coś na podwórku było nie tak.

Jakiś mężczyzna w żelaznym hełmie na głowie i w podbitym skórą płaszczu bił leżącego na ziemi



żołnierza.

Brat Petrus tak się zdyszał, że ciężko sapał, usiłując wyjaśnić, co się stało.

- Wiesz, jak to jest... kobieta modliła się w katedrze... zobaczył ją... poczuł pożądanie... przyprowadził ją tutaj... potem jednak wywołano go z jego komnat... wrócił i już jej nie było... Jest w furii. Wiesz, jak nienawidzi, gdy ktoś go wyprowadzi w pole.

Hugo zacisnął wargi. Podniósł rękę, przyciskając ją do policzka, jakby nawiedziło go jakieś niechciane wspomnienie. Żelaznogłowy człowiek miał drewniany miecz, ale teraz okładał ciosami młodego człowieka, jak gdyby zapomniał o wszystkim innym. Nieszczęsny chłopak głośno krzyczał, błagając o litość. Żołnierze stali z tyłu, niespokojnie, lecz nikt nie ruszał się, by zareagować.

Hugo odpiął pasek, przytrzymujący jego prezbiterką szatę, ukazując pod spodem prostą lnianą tunikę i nogawice, jaką zwykli nosić młodszy synowie szlacheckich rodzin, podążający w poczcie swoich starszych kuzynów. Był wysoki, szczupły i silny. Na jego znak służący podbiegł, podając mu miecz.

- Nie, mój królu panie - rzekł czystym, donośnym głosem. - Ten młody człowiek nie jest dla ciebie odpowiednim rywalem. Ja się z tobą spróbuję.

Król zawahał się pomiędzy jednym a drugim ciosem, podnosząc głowę. Liath pochwyciła jego pełne okrucieństwa spojrzenie. Przemówił głosem człowieka trawionego złością.

- Niewątpliwie to ty sprawiłeś, że kobieta uciekła z pałacu, mój drogi doradco.

- Była zamężną kobietą, modlącą się o zdrowie swego dziecka. Jej ojciec i mąż są murarzami, mój królu panie. Czy opłaci ci się obrażać ludzi, którzy naprawiają mury miasta?

- Nie zraniłbym jej grzbietu!

Widząc, że Hugo nie ma hełmu, król zrzucił swój. Hugo był gotów. Nie miał szerokich ramion żołnierza, ale z pewnością umiał walczyć. Bo dlaczego nie? Opaci i osoby duchowne prowadzili przecież oddziały na wojnę. Tacy ludzie muszą być gotowi, nawet w środku modlitwy, odpowiedzieć na rozkaz króla.

Król miał mniej gracji niżli byk. Był silny, rozgniewany i posiadał doświadczenie w walce, lecz nie czuło się przyjemności, obserwując go w działaniu. Jego nałożnica określiła go jako kochanka eleganckiego niczym topór, sapiącego i pochrząkującego. Obserwując walkę, Liath była skłonna uwierzyć jej słowom.

Patrząc na Hugona widziała, jak oceniał przeciwnika i jak gromił go krok po kroku. Obserwowała grację jego ruchów, nigdy zbyt subtelnych czy zuchwałych. Na jego karku pojawiły się krople potu. Liath pamiętała, jak pot błyszczał kiedyś na jego plecach. Jak wilgotniały mu ręce. Kropelki pojawiły się na jego czole. Hugo nie spuszczał oczu z przeciwnika; był jak kochanek, który patrzy tylko na jedną osobę.

Nie była nią Liath.

Poczuła, że przykłada ręce do szyi i że się dławi i trzęsie. Taniec mieczy zaczął się robić chaotyczny, powstawały guzy, wargi krwawiły, włosy zlepiały się od potu. Król miał bliznę na policzku, która stawała się tym widoczniejsza, im bardziej on się pocił. Miał spojrzenie i postawę człowieka, który nie walczy dlatego, że to kocha, lecz tylko po to, by wygrać. Król przewyższał Hugona wzrostem i zręcznością, ponieważ jednak Hugo nie walczył dla samej wygranej, mógł skoncentrować swój wysiłek na obronie.

Liath opuściła ręce. Reagowała w dziwny sposób. Nie miała się czego obawiać. Wreszcie król zrobił krok do tyłu i, dysząc, odrzucił swój miecz. Otarł pot z brwi, śmiejąc się.

- Dobra walka, doradco. Uczynię cię swym żołnierzem.

- Niestety, to niemożliwe, mój królu panie. Bóg przeznaczył mnie do innej służby. Muszę wracać i towarzyszyć Świętobliwej Matce.

- A ja muszę się udać do koszar, rzucić okiem na nowe oddziały. Dziś będziesz towarzyszył mi podczas uczy.

- Jak sobie życzysz, mój królu panie.

Król przywołał swoich dowódców i odeszli.

Hugo nachylił się do służącego, upewniając się, że ranny chłopak zostanie otoczony opieką.

Podwórzec opustoszał. Hugo i Liath zostali sami. Dwaj służący przechadzali się pod kolumnadą, gotowi pospieszyć, by wykonać jego rozkazy. Złotowłosa wytarł twarz odzieniem i przyłączył się do Liath, stojącej w cieniu figowca.

- Przybyłaś po księgę. Dziwię się, że sama. Nie masz powodu, by mi ufać.

„Nie, nie mam” - przeleciało jej przez głowę, lecz odparła:

- Książka.

Hugo gestem zaprosił ją na przechadzkę.

- Znalazłem uczzonego, który umie odczytać jej środkową część.

Minęło tak wiele czasu, odkąd skradł jej ojcowską *Sekretną księgę*, że Liath zabrało chwilę, nim zrozumiała, co miał na myśli. Księga taty składała się właściwie z trzech książek, zebranych razem. Pierwsza z nich, napisana na pergaminie, zawierała wyjątki z pism różnych autorów, dotyczące magii. Cytaty i komentarze tata przepisywał przez lata. Trzecia książka, napisana na papierze, była kopią astronomicznego traktatu al-Haithana *O kształcie świata*. Liath nigdy nie była w stanie odczytać drugiej książki. Napisana na papirusie w nieznanym jej języku, pozostawała zagadką. Ręką inną niż ręka autora dopisano kilka słów w języku Aretuzan. Te Liath rozumiała, bo Hugo nauczył ją nieco tej mowy.

Nauczył ją tego, gdy była jego niewolnicą w Spoczynku Serca.

Liath weszła ociężale pod kolumnadę. Wspomnienie tej strasznej zimowej nocy przeszływało ją dreszczem. Czy zupełnie zwariowała, krocząc obok Hugona, jak gdyby był zwykłym człowiekiem? Hugo wyprzedził ją o dwa kroki, a gdy Liath zatrzymała się, posłał jej pytające spojrzenie. Widząc jej twarz, wyraz jego twarzy zmienił się.

- Proszę o twoje wybaczenie. Byłem zbyt zuchwały. Jeden z moich służących pokaże ci wyjście z pałacu. Proszę, uwierz, że nie musisz się mnie obawiać.

„Nie boję się ciebie, ja cię nienawidzę” - chciała odrzec, ale jej głos powiedział:

- Co masz na myśli?

Popatrzył niepewnie w bok.

- To niewiarygodne, czego dowiedziałem się z tego starożytnego tekstu. Nie spodziewałem się tego, choć muszę przyznać, że miałem nadzieję, że przeczytam rozprawę na temat magii, wykład o wiedzy długo przed nami skrywanej.

- Doprawdy? - zapytała, nie mogąc opanować chęci uzyskania informacji na temat sekretów, jakie krył starożytny tekst.

- To, co przeczytałem, odmieniło moje życie. Bóg objawił mi, jak bardzo się myliłem i jak bardzo muszę się zmienić. - Cień kolumnady przydał głębi jego twarzy, podkreślając jego piękne oczy i wypuklenie ust. - Nie, to się stało nawet wcześniej. Przede wszystkim za sprawą kobiety, która zabrała cię z Werlidy. Upokorzyła mnie. Sprawiała, że zacząłem zastanawiać się nad niektórymi sprawami. Zmiana nie przyszła łatwo.

Lekki wiatr przepłynął pod kolumnadą, poruszając oplatającą kamienne kolumny wistarię. Rozległ się słaby dźwięk dzwonu, ale Liath nie umiałaby powiedzieć, skąd pochodził. Był wszędzie i nigdzie. Dwaj służący czekali cierpliwie pod łukiem kolumnady, prowadzącej na podwórzec łączący dwa pałace, jeden świecki, drugi zakonny, siedziby władcy i skoposy.

*Wiem, gdzie jestem. Znajduję się w Darre, świętym mieście, w którym rezyduje Świętobliva Matka, przewodnicząca Kościołowi.*

Liath wyczuwała atmosferę imperium, które istniało tu wieki temu, a potem obróciło się w ruiny, zniszczone najazdami Bwrmenów, ich pogańskich sprzymierzeńców, oraz wewnętrzną korupcją. Jeśli minęłaby kolumnadę, weszłaby do miasta - tyle że nie mogła zrobić kroku.

- Gdzie jest książka? - zapytała.

Hugona zaskoczyło to proste pytanie.

- Jeśli sobie życzysz. - Wskazał na przejście. - Mam swoje własne komnaty w pałacu skoposy. Wszyscy prezbiterzy mają, oprócz tych, którzy są ambasadorami. - Nie zająknął się, mówiąc te słowa. Był zbyt dobrze wykształcony, zbyt opanowany, zbyt biegły w dworskiej etykiecie. - Tu znajduje się także biblioteka. Ach, Boże, Liath! Nie możesz sobie wyobrazić, jakie to miejsce! Nikt nie mógłby posiadać całej wiedzy zawartej w tamtych książkach! Czasami idę tam i siedzę między książkami, przytłoczony ich ogromem. Niekiedy mam ochotę przytulić je do siebie i pozwolić, by wiedza każdego autora przeniknęła do mego ciała.

Czy zrobiło się nagle gorąco? Policzki Liath płonęły.

- Czy wiesz, co tam znalazłem? - spytał, pozwalając, by Liath szła pierwsza obwieszonym długim rzędem zasłon hallem. Nim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pojawił się spieszenie chudy prezbiter o trupio bladej twarzy.

- Wasza Świętoblivość, przybyła delegacja mieszkańców miasta. Znowu są kłopoty. Wiesz, jak się sprawy mają z najemnikami, wynajętymi przez Żelaznogłowego. Niepokoją mieszczan, a teraz, gdy Świętobliva Matka jest chora, nie ma nikogo, kto podjąłby się mediacji. Nie możemy o tym mówić z królem...

- Pójdę - orzekł Hugo, po czym zwrócił się do Liath: - Jeden z moich służących zaprowadzi cię do biblioteki. Przyjdę tam, gdy tylko będę wolny. - Zawahał się. - Ale tylko wówczas jeśli... Cóż, nie powiem już nic więcej. Jeśli ci to odpowiada...

Odparła krótko:

- Będę tam na ciebie czekała.

Wkrótce Liath stała przed katalogiem, przebiegając palcami po welinie i odczytując tytuły. *Komentarz do snu Kornelii* autorstwa Eustacji. *Sny Artemizji*. Kopia *Annalów Autunu* leżała pozostawiona na stole obok. Była to kronika napisana pod koniec panowania Arnulfa Młodszeo i oprawiona w zestawienia wszystkich faz księżycy i jego wędrówek poprzez zodiak w okresie stu sześćdziesięciu ośmiu lat.

Jej ręce powędrowały ku kartom książki, podczas gdy umysł usiłował skoncentrować się na słowach. Najmłodsza córka cesarza Taillefera, Gundara, żona diuka de Rossalia...

Jej wzrok powędrował ku drzwiom. Liath zastanawiała się, czy mężczyzna, który właśnie wchodził, to Hugo. Zastanawiała się, czy dałaby radę go odnaleźć w którymś z halli albo w komnacie, przeznaczonej do przeprowadzenia delikatnych negocjacji, jakimi były próby utrzymania spokoju w królestwie, w którym konflikt mógł prowadzić jedynie do śmierci niewinnych.

W końcu poddała się uczuciu, przenikającemu jej umysł i wzbudzającemu dreszcz w całym ciele. Usiadła na ławce i pozwoliła, aby widok wielu książek koił ją. Wdychała ich zapach. Czy to możliwe, by te wszystkie słowa, napisane przez skrybów i uczonych, przepływały ku niej i wnikały w nią, na zawsze stając się jej częścią? Zawsze łatwiej jest po prostu pozwolić, by tak się stało, poddać się temu.

Liath zapadła w sen.

*W swoich snach szła oszołomiona przez różaną mgłę, próbując znaleźć ścieżkę, ale zagubiła się, zagubiła się na wieczność. Musi znaleźć drogę prowadzącą w górę, ktoś ją jednak chwyta... Jest przywiązana jedwabną wstążką, która splywa wzdłuż jej ciała. Nie może się ruszyć...*

- Liath.

Ocknęła się gwałtownie, następnie cofnęła przed jego zniechęconym dotykiem. Kiedy jednak usiadła, czując ból w plecach od twardej ławki i ucisk w udzie od kołczanu, wbijającego się w jej ciało, ujrzała Hugona. Stał na wyciągnięcie ręki. Wspaniała sala, przykryta kopułą, była ciemnawa, jak gdyby słońce zaszło. Za plecami Hugona stało dwóch służących, trzymających lampy.

Uśmiechnął się.

- Myślałem, że zastanę cię czytającą książki.

- Zasnęłam. - Poczula irytację. Uczucie to trwało krótko i szybko zniknęło.

- Proszę o twoje wybaczenie. Negocjacje trwały dłużej, niż się spodziewałem. Teraz znowu muszę cię przeprosić, gdyż powinienem wziąć udział w uczcie. Król łatwo popada w złość, a dzieje się to szczególnie często, gdy pije. Dobrze, gdy wówczas jest blisko ktoś, kto umie powstrzymać jego wybuchy. Jeśli jesteś głodna, możesz się posilić w prywatnych komnatach.

- Nie - powiedział za nią jakiś głos. - Pójdę z tobą.

Czy w jego wzroku zabłysło pożądanie? Tak, pożądanie; nie umiał go ukryć, choć starał się być wstrzemięźliwy. Zmarszczył brwi.

- Jeśli chcesz założyć bardziej odpowiednie odzienie, postaram się, by ci je przyniesiono.

Dotyk jedwabiu na skórze, będący jak pieścizotliwe dotknięcie ręki... Błysnęło wspomnienie, gorzkie i ostre: jego ręka w jej włosach.

- Nie - wydusiła, choć jak żółć narastało w niej inne słowo: tak. - Zostanę tak ubrana, jak w tej chwili. -

Gdy stanęła i spojrzała mu w twarz, kołczan spoczywał już na jej plecach. Hugo skinął głową z namysłem, wyraźnie zaintrygowany rzeczami, jakie miała ze sobą, albo jej słowami. Znow ubrany był w strój prezbitera w kolorze kości słoniowej.

- Jesteś piękny - powiedziała Liath. Słowa po prostu z niej popłynęły. Ale to była prawda, czyż nie? Niektóre rzeczy są prawdą, niezależnie od tego, czy tego chcesz, czy nie.

Zarumienił się i odwrócił tak, że widziała tylko jego profil.

- Liath... - zaczął niepewnie. Targały nim silne emocje. To, co chciał powiedzieć, nie nastąpiło. Był zawstydzony albo onieśmielony, spłoszony albo pokorny - trudno określić. Wreszcie potrząsnął głową i dodał: - Król czeka. Muszę iść.

Wyciągnął do niej rękę, lecz po chwili cofnął ją zaciśniętą w pięść.

Opuścili bibliotekę. Choć szli obok siebie, dzielił ich jakiś wewnętrzny dystans.

Królewska sala bankietowa była dwa razy większa od tych, które Liath do tej pory widziała. Była cała z kamienia, utrzymana w stylu dariyańskim, idealnie nadająca się na oficjalne przyjęcia. Ściany pokrywały gobeliny i zasłony w płonących kolorach czerwieni i złota.

Liath pomyślała o ogniu. Tutaj nie płonął żaden. Nie było paleniska, a jedyne światło płynęło z lamp. Było cieplej niż w Aoście, i to przez cały rok. Prawdopodobnie nie potrzebowali w tym miejscu wielu palenisk. Mimo wszystko wydawało się to dziwne.

Król siedział przy głównym stole na podwyższeniu. Otaczali go najlepsi kompani. Po prawej stronie zasiadał Hugo. Jan Żelaznogłowy, król Aosty, miał najgłośniejszy śmiech, najdosadniejszy ton i najordynarniejsze spojrzenie wśród wszystkich obecnych. Nosił żelazną koronę, co miało być chyba oznaką kpiarstwa - on tak samo jak inni wiedział, że koronę zdobył mieczem, nie zaś ze względu na skoligacenie z królewską krwią. Prawdopodobnie nosił żelazną koronę, by przypominać ludziom o swej władzy. Przechwycił skarbiec królowej Adelheid, a ten, w którego posiadaniu on się znalazł, mógł żyć tak, jak chciał.

- Zamierzał pochwycić jeszcze inny skarb królowej Adelheid - powiedział mężczyzna siedzący obok Liath i zachichotał. - Ale nie zdołał jej złapać. To dlatego nosi żelazną koronę. Nie posiada ani autentycznych królewskich insygniów, ani pieczęci. Adelheid uwiozła je ze sobą.

- Jak więc może tu panować, jeśli nie posiada królewskich pieczęci? - zapytała Liath. Po jej lewej ręce siedział Hugo, a po prawej diuk Aosty.

Diuk prychnął.

- Ma dwa tysiące aretuzańskich i nakriańskich najemników w mieście i pięćdziesięcioro szlacheckich dzieci jako zakładników.

- Wskazał na stół, przy którym siedziały wystraszone, milczące dzieci w różnym wieku. Przynoszono im właśnie jedzenie. Jedno z nich, jasnowłosa dziewczynka w wieku około trzynastu lat, została przyprowadzona, by zasiąść po lewej stronie Żelaznogłowego. Natarczywie częstował ją winem, czule klepiąc po ramieniu. Dziewczynka miała szklany wzrok i była bliska hysterii. Była w jego mocy i wiedziała o tym. On zaś, dobrze zdając sobie z tego sprawę, delektował się tą sytuacją.

Liath szybko odwróciła głowę i napotkała wzrok Hugona. Poczęstował ją winem ze swego kielicha. Milcząco pokręciła głową i znowu odwróciła się do rozmówcy.

- Świętobliwa Matka ukoronowała Żelaznogłowego, czyniąc zeń króla - rzekł diuk Aosty. - Jak możemy przeciwstawić się jej słowu?

- Czy Świętobliwa Matka nie jest umierająca?

- Tak, w istocie, Bóg niech się nad nią ulituje. Choroba przyszła nagle. Niektórzy mówią, że ją otruto.

- A jak ty uważasz?

Wzruszył niespokojnie ramionami.

- Dlaczego Żelaznogłowy miałby otruć tę, która potwierdziła jego władzę?

- A co z Hugonem z Austry?

Zamrugał oczami. Przez moment Liath sądziła, że jej nie zrozumiał, tak jakby nagle zaczęła mówić językiem jinnijskim.

- Prezbiter Hugo? To, że dożyła takiego wieku, jest wyłącznie zasługą jego troski. Odkąd został jednym z jej prywatnych doradców, znacznie się ożywiła. Ale w ostatnim tygodniu poczuła się naprawdę źle.

- Nie jest młoda.

- To prawda. Bóg rządzi, jak Oboje to postanowią. Jeśli Oni zadecydowali, że Świętobliwa Matka ma powrócić na ich łono, tak się stanie. - Wniesiono wołowy udziec, ale Liath nie była głodna. Żelaznogłowy pił coraz więcej i robił się agresywny. Przerywał poetom, wyśpiewującym peany na jego cześć, krzyczał o więcej wina i wmuszał je w biedną, siedzącą obok niego dziewczynkę, która zaczęła płakać. Nagle porwał się na nogi.

- Mam pragnienie, którego nie zaspokoi żadne wino! - zaryczał.

W całej sali zapadła martwa cisza. Żelaznogłowy szarpnął dziewczynkę i wywłócił ją z komnaty. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Hugo porwał się z krzesła i pospieszył za królem.

- Jediną osobą, która może uratować tę biedną dziewczynkę, jest prezbiter Hugo - powiedział diuk Aosty. - Czy masz ochotę na więcej wina?

- Nie, dziękuję. - Złapała za kołczan zawieszony na oparciu krzesła i szybko wstała. Nim jednak dotarła do korytarza prowadzącego z sali bankietowej do królewskich komnat, nie zobaczyła śladu króla, lecz tylko Hugona i dziewczynkę łkającą u jego stóp.

- Niech Bóg cię błogosławi, Wasza Świętobliwość. Chciał mnie zgwałcić, a ja nie wiedziałam... Nie wiedziałam jak... Są plotki, że moja matka, pani na Novomo, ukrywała królową ubiegłego roku. Wiedziałam, że ukarze mnie, by jej dopiec. Ale ty mnie uratowałeś! Jesteś jedynym odważnym, który potrafi mu się przeciwstawić...

- Cicho, dziecko. - Pomógł jej się podnieść i przywołał służącego. - Dopilnuj, by trafiła do swej komnaty. Trzymaj ją z dala od króla.

- Oczywiście, Wasza Świętobliwość.

- To było bardzo szlachetne - powiedziała Liath, gdy dziewczynka odeszła. Słowa te zabrzmiały

sardonicznie, lecz były wypowiedziane jako pochwała.

- Czyn króla nie był słuszny. - Przy ścianie znajdował się trójnóg, na którym wisiała lampa w kształcie pulchnego koguta, z którego grzebienia wydobywały się płomienie ognia. Światło padało na włosy Hugona i sprawiało, że jego szata lśniła. - Ona jest taka młoda i nieskłonna do grzechu.

Złość stopiła łańcuchy, którymi miała spętany język.

- A ja, Hugonie? A ja byłam skłonna?

Zmienił się na twarzy.

- To moja hańba - wymamrotał chrapliwie. Potem szybko się oddalił - od niej, od komnaty, gdzie wciąż, pomimo braku znieawidzonego króla, rozlegały się śmiechy i śpiewy. Liath pospieszyła za Hugonem, ale nie mogła go dogonić. Przebiegła wyłożonymi dywanami korytarzami, wbiegła na schody, których poręcze były rzeźbione w wijące się smoki, wreszcie przekroczyła most, prowadzący pod różowym od zachodu słońca niebem do pałacu skoposy. Wreszcie znalazła go na występie skalnym, wychodzącym na rzekę. Widziała światła zatoki znajdującej się na zachodzie. Byli sami, nie licząc lampy, która kołysała się na wietrze. Delikatny podmuch sprawiał, że płomienie zadrżały.

Odwrócił się ku niej.

- Dlaczego za mną poszłaś? Czy możesz mi wybaczyć to, co ci uczyniłem?

- Jak możesz mieć nadzieję, że mogłabym?

- Dlaczego więc tu przybyłaś? Dlaczego mnie torturujesz? Jeśli chcesz mnie ukarać, to masz do tego prawo.

- W jaki sposób ja ciebie torturuję?

- Słyszeć twój głos i widzieć twą twarz po tak długim czasie? Stać tak blisko i nie móc cię dotknąć? Czyż to nie tortura? Nie... - Odwrócił się nagle, otwierając drzwi, których Liath wcześniej nie dostrzegła.

- Pozwól mi nie opowiadać o torturach, mnie, który ciężko zgrzeszył i przyczynił ci tak wiele bólu.

Liath panowała już nad swoim głosem, lecz nogi wciąż nie podlegały jej woli. Podążyła za nim do skromnie umeblowanej komnaty. Stało tam jedno łóżko, stół zasłany książkami, ława, skrzynia i zwisająca z sufitu lampa. Kotary okrywające ściany nie miały żadnych wzorów. Były po prostu złote, tak samo jak włosy Hugona, przypominające odbicie słońca. Stał przy stole, nie patrząc na nią. Jego profil oświetlała lampa. Słońce, które weszło w cieniu.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Słowa po prostu wylały się z Liath. Ona sama palcami dotykała swej szyi.

- Chciałeś trzymać rękę na wszystkich rzeczach, których pragnąłeś, a ja byłam jedną z nich...

Wzburzony, dotknął pergaminu, leżącego w rogu stołu i zaczął przesuwając ręką po linijkach tekstu w górę i w dół, w górę i w dół.

- Byłaś wszystkim, co się liczyło. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, doznałem po prostu zaćmienia. Nie widziałem nic prócz ciebie. - Zamilkł, po czym ciągnął dalej: - Znam twój sekret, wiem, kim jesteś, ale nigdy cię nie wydam.

- Kim jestem?

Podniósł wzrok. Ich oczy spotkały się. Spojrzenie Hugona było tak intensywne i tak płomienne, że Liath zapragnęła, by zniknął z jej oczu. Lepiej było nie patrzeć na tego człowieka, pełnego wad, lecz wciąż pięknego jak poranek. Ale on stał przed nią, płonąc z pożądania.

- Ogień - powiedział chrapliwym głosem. - Ach, Liath, idź. Idź. Pożadam cię zbyt silnie. Nie mogę sobie ufać, gdy jesteś tak blisko. Próbowałem wieść uczciwe życie prezbitera, służąc uczciwie Bogu i to miało wystarczyć.

- Odejść - odparła, z trudem wymawiając słowa i czując, jak pętają ją jedwabne łańcuchy i jak narasta w niej chęć pozostania. Zostanę. - Powiedziałeś, że masz księgę taty.

- Księga... - Uniósł rękę, by ukryć twarz. Stał jakiś czas nieruchomo, tłamsząc przed nią swoje emocje. Przez moment Liath była zdezorientowana, tak jakby świat wirował pod jej nogami, ona zaś miała upaść albo już spadała poprzez sfery w sidła, z których nigdy się nie uwolni.

- Księga - powtórzył, po czym opuścił rękę i zaszleścił pergaminem. Ruch ten sprawił, że Liath popatrzyła na starannie na nim narysowane figury.

- Co to takiego? - zapytała, wskazując na uporządkowane linie i powtarzające się kształty. Kajdany pętały ją coraz silniej. Czowała to, przysuwając się bliżej do niego, tak by nie zasłaniać światła. - To data.

- Data? Próbowałem to odczytać. Nie wiem, co to znaczy, ale to chyba wzór. Wiesz, czego dotyczy?

- Tak, tak - mówiła ze wzrastającym podnieceniem. - Tata i ja widzieliśmy glinianą tablicę w ruinach Kartiako. Miały identyczne napisy. Był tam bardzo stary człowiek, mędrzec, który posiadał wiedzę z najdawniejszych czasów swego plemienia. Oczywiście nie umiałam odczytać tego pisma, tych

wszystkich kresek i kątów, lecz on powiedział, że jest to wykres przedstawiający bieg Somorhas. Pokazuje, kiedy pojawia się na wieczornym niebie, a kiedy za dnia.

- A przerwy, podczas których znika?

- Właśnie! Ale tu jest cała strona! Wcześniej to były tylko fragmenty. Czy jest tego więcej?

- To jedyna strona, którą widziałem. Sądzę, że skopiowano ją z jakiegoś starożytnego źródła, być może z glinianej tablicy, o której mówiłaś. Widzisz, tutaj... - wskazał na plamę - tutaj skryba popełnił błąd, a potem go poprawił. Jak to działa?

- Starożytni Babaharszanie obserwowali gwiazdy przez tysiące lat. Uznawali Somorhas za gwiazdę zarówno wieczorną, jak i poranną, która kryjąc się w cieniu słońca, znika, czasem na osiem, a czasem na pięćdziesiąt dni.

Hugo skinął głową. Udzielił mu się entuzjazm Liath.

- Lecz Somorhas jest częścią boskiej kreacji. Jej drogę wyznacza przeznaczenie. Czy to nie co osiem lat powraca na swe uprzednie miejsce, zgodnie z pozycją słońca?

- Tak, oczywiście. Spójrz tutaj. Ten rząd znaków to data, jak twierdził mędrzec z Kartiako. Nazwał ją...

Tylko chwilę zabrało Liath cofnięcie się w myślach do miasta z jej wspomnień. Przeszła przez siedem wrót, Różę Uzdrawienia, Miecz Mocy, Kielich Bezczesnych Wód, Pierścień Ognia, Tron Cnoty, Berło Mądrości i wreszcie minęła Koronę Gwiazd, docierając do najwyższej partii miasta, gdzie znajdowało się obserwatorium astronomiczne, okrągły budynek otoczony niewysokimi murami. To tutaj Liath ujrzała rysunki przedstawiające drogę gwiazd i precesję równonocy. To tutaj, w niszy z ulotnego pustynnego piasku, oblanej szafirowym światłem, Liath znalazła to, czego szukała.

- Nazwał ją miesiącem Ishan. Te linie wskazują na liczbę jedenastcie. Nie wiem, jak odczytać resztę, ale i tak można wywnioskować, że jedenastego dnia miesiąca Ishan Somorhas miałyby... Cóż, to zagadkowe, prawda? Jej pierwsze pojawienie się jako porannej gwiazdy w tym cyklu i prawdopodobnie zniknięcie w blasku słońca. - Liath urwała, pamiętając, jak szybko ludzie nudzili się, gdy zaczynała mówić o cyklach i epicyklach, koniunkcjach i precesjach, i niekończącym się cudzie, jakim był wszechświat.

- Czy wiesz - powiedział powoli Hugo, śledząc palcem wzór na pergaminie - że odbyła się tutaj debata pomiędzy astronomami z uniwersytetu na temat punktu zrównania się według Ptolemeusza? Wielu twierdzi, że jeśli planety poruszają się z różną prędkością, to nieboskłon nie porusza się ruchem jednostajnym, tak jak to zakładamy. Bez punktu zrównania się nie ma jednak mowy o jakimkolwiek ruchu planet na nieboskłonie.

- Chyba że Ptolemeusz się mylił i Ziemia nie jest nieruchoma.

Oszołomiony, zapatrzył się na nią. Zasycał płomień lampy, a lekki wiaterek zaszeleścił papierami rozrzuconymi na stole.

Liath mówiła dalej, podniecona całą rozmową, jego zdumieniem, porwana lekkością, z jaką mogła wypowiadać zakazane teorie znane matematykom.

- A co jeśli niebo jest nieruchome, a Ziemia kręci się z zachodu na wschód?

Hugo pochylił się do przodu, opierając ręce na stole. Rozważał coś z zamkniętymi oczami.

- Z zachodu na wschód - mruknął. - To spowoduje ten sam efekt. A jeśli i nieboskłon, i Ziemia będą się poruszać, jedno ze wschodu na zachód, a drugie z zachodu na wschód... - Przerwał, zbyt zaprzątnięty rozmyślaniami, by skończyć wywód. Pasja zdobywania wiedzy pochłonęła go równie mocno jak Liath.

Czy źle go oceniała? Czy upokorzenie, jakiego doznał ze strony Anny, sprawiło, że zajrzał w swoje serce? Jak to się stało, że jedwabisty dotyk, oplatający jej ciało niczym łańcuch lub kajdany, zmienił się w pożądanie jej serca?

Wiatr delikatnie poruszył drzwiami. Płomień lampy zakołysał się lekko, oświetlając Hugona. Był tak blisko niej. Miał zamknięte oczy, a wyraz twarzy taki niewinny... Jeśli pasję do wiedzy można nazwać niewinną. Pachniał leciutko winoroślą i cyprysami. Z bliska czuła ciepło jego ciała, nie mniej silne niż tęsknota jej serca. Czy to było to, czego zawsze szukała? Kogoś, kto miałby tę samą pasję, kto zadawałby sobie w swym poszukującym umyśle te same pytania?

To jej ręka uniosła się, by dotknąć jego piersi? Czy to ona pochyliła się ku niemu, muskając jego policzek swymi wargami?

Rozchylił usta w bezgłośnym westchnieniu. Pocałowali się. Przez chwilę stali razem, blisko niczym demony eteru, zapadające w ekstazę i zdające się stapiać wzajemnie, jak gdyby ich ciała przenikały się i stawały jednością w prawdzie, połączeniem tak doskonałym, że żadna ziemską bliskość nie mogła się z nim równać głębią.

- Ach, Liath - wyszeptał pieszczotliwie. Oblewało go światło lampy.

Cichutki głos rozległ się w najgłębszym zakamarku jej umysłu. Był ledwie słyszalny, rozlegając się

także w jej sercu.

*Chcę się obudzić i znaleźć się w łóżu Hugona.*

Przez chwilę Liath czuła, jakby w jej wnętrzu wił się robak. Jedwabna, żywa wstęga wpełzała do jej ciała i wirowała, nakazując dotknąć Hugona.

Liath była gotowa mu się oddać.

*To nie była ona...*

Kłamstwa i oszustwa. W sferze Somorhas mieszkają sny i iluzje.

- Nie, Liath - powiedział Hugo, jakby czytając jej w myślach. A może wypowiedziała je na głos? - To jest prawda twego serca. Jestem z tobą. Nie jestem snem. Nienawidź mnie, jeśli musisz, ale spójrz: jesteśmy tacy sami, ty i ja.

Czyż to nie była prawda? Pomimo tego, co działo się teraz i tego, co zdarzyło się kiedyś? Czy nie rozpoznała w nim duszy jej podobnej, pełnej pasji i gorliwości? Ach, Pani, czy nie było tak, że nienawidziła i kochała go w równej mierze?

Nie, to mówił robak.

Demon tak dokładnie ją opętał, że było prawie niemożliwe, by odróżnić własne myśli od tego, co słyszała gdzieś na zewnątrz i co mieszało się z jej własnym głosem.

- Nie jestem podobna do ciebie, Hugonie - oświadczyła, a każde słowo było walką, gdyż demon próbował wkładać w jej usta własne słowa: „Zostanę z tobą, będę kochała ciebie i tylko ciebie”.

- Liath, jeśli teraz się ode mnie odwrócisz, to czy będę miał inny wybór, niż stać się tym, kim byłem kiedyś? Jesteś ogniem. Możesz mnie oczyścić. Twoja miłość może mnie oczyścić. Zostań ze mną, Liath.

Ogień.

Pochwyciła lampę. Płomień drżał, kołysany wiatrem.

Przywołała ogień.

Pokój zaczął się palić.

Hugo zniknął.

Stała na pustej równinie. Wokół jej ciała przepływała różowa mgiełka - opar kłamstw i oszustw, w których siła wpadła. We mgle, przenikającej do wnętrza jej ciała, ujrzała jasny błysk demona, opętującego jej ciało.

Na horyzoncie szalał ogień. Ściana płomieni była bramą do słońca.

Wszystko zbladło, gdy komnata wieży zniknęła z pola widzenia, tak jakby demon wepchnął ją w sen, w kłamstwo.

Liath zrobiła jeden krok ku słońcu, potem z ogromnym wysiłkiem drugi. Hugo krzywił się z bólu, zaś ona zapragnęła biec ku niemu, zetrzeć boleść z jego czoła, pokazać mu, że tak naprawdę to on był pragnieniem jej serca. Nikt inny. Nikt inny bardziej by do niej nie pasował.

Trzeci krok był jak wędrówka po rozbitym szkle. Liath szła po równinie. Ubranie na niej zaczęło się palić.

Musi się oczyścić. Nie bała się ognia. Nigdy. Sięgał głębiej, paląc jej ciało, lecz to raczej nie było jej ciało, a demona, który wił się, aż słoneczny ogień zmusił go do opuszczenia ciała Liath. Poszybował wzdłuż świecącego pasma w dół, ku ziemi.

- Cholera. - Głos Hugona był ledwie słyszalny podczas szalejącego żywiołu. Przed Liath wyrosła brylantowa ściana ognia.

To wszystko to kłamstwo? A może prawda, którą długo nosiła w sobie i której nie odważyła się uznać? Czyż pod powierzchnią pozorów nie dzielili tej samej pasji?

Czy nie miała więcej wspólnego z Hugonem niż z Sanglantem?

Prawda była zbyt straszna, by ją rozważyć. Naga Liath rzuciła się prosto w płonące palenisko słońca.

Bez wątplenia pradawne imperium Dariyan rozpadło się z powodu korupcji, jaka trawiła cesarski dom i zakończyła się wreszcie finalnym rozkładem. Starożytnie posągi i obsceniczne pogańskie rzeźby wciąż zalegały w kątach i nieużywanych pomieszczeniach pałacu skoposy. Nie wszystkie były obtłuczone czy zastąpione figurami świętych, bardziej odpowiednimi w kraju, w którym rząd dusz sprawował kościół Daisanitów.

Jednakże korupcja wciąż wkradała się do serca ziemskiego imperium, czy to duchowego, czy to świeckiego. Było to bolesne dla Antonii, siedzącej na uroczystości świętej Joanny Posłańca i obserwującej, jak król Jan, znany jako Żelaznogłowy, publicznie molestuje córkę pani na Novomo, która udzieliła schronienia zbiegłej królowej Adelheid. Dziewczynka dopiero wkraczała w okres dojrzewania. Żelaznogłowy pił na potęgę i zachowywał się w każdym calu jak ordynarny bastard. W istocie nim był! Posunął się nawet do tego, że pieścił niewielkie piersi dziewczynki, rysujące się pod jej sukienką. To, że dziecko płakało w milczeniu, wstydząc się publicznego upokorzenia, nie wzruszało króla w najmniejszym stopniu.

Ale Hugona owszem.

Przywołał służącego i szeptem wydał mu jakieś instrukcje. Wkrótce na dźwięk lutni i bębna pojawiły się trzy królewskie nałożnice - Żelaznogłowy miał ich w swoich komnatach z tuzin. Były wyjątkowo urodzive i szkolone w lubieżnym tańcu, który nie powinien być prezentowany publicznie. Antonia była odporna, ale ich wybryki zbulwersowałyby nawet ją. Wiedziała, czym są podniety ciała, ale już dawno zdołała je w sobie zdusić. Tylko jej przeszkadzały.

Prezbiter Hugo nie był głupcem. Wiedział, że w gruncie rzeczy Żelaznogłowy jest słabeuszem. Kiedy uwagę króla pochłonęły nieprzyzwoite tańce dziewcząt, Hugo cichaczem odesłał dziewczynkę z sali, podstawiając na jej miejsce jedną z prostytutek. Zamroczony winem i pożądaniem Żelaznogłowy albo tego nie zauważył, albo już o to nie dbał.

Uczta trwała dalej. Gdzie jednak było czytanie pobożnej księgi o świętej Joannie, by przypomnieć jej apostołską wędrówkę i jej męczeństwo? Nikt nie powstał w celu zaintonowania psalmu lub przytoczenia wersów ze Świętej Księgi. Święte dni zawsze były obchodzone z powagą, której wymagano w Mainni, gdzie Antonia sprawowała funkcję biskupiny. Lecz skoposa była martwa i nie mogła kontrolować ekscesów króla.

W środku zabawy Hugo nieoczekiwanie wstał i opuścił salę. Schronił się przed deszczem pod kolumnadą. Rozpierzchłe chmury układały się w rozmaite wzory na niebie.

Nie był sam. Ktoś pochylał się ku niemu. Antonia domyśliła się, że była to jedna z nałożnic króla.

- On nawet nie zauważy, że się wymknęłam - mówiła bez tchu młoda kobieta. - Pragnę cię. Odkąd cię zobaczyłam, zapagnęłam cię...

Hugo położył ręce na jej ramionach i odepchnął ją.

- Wybacz, córko. Moje serce należy do innej.

Niespodziewanie zasyczała jak kocica gotowa wysunąć pazury.

- Jak się ona zwie? Gdzie jest?

- Nie chodzi po tej ziemi.

Prostytutka zaczęła pochlipywać.

- Nienawidzę Boga za to, że cię ukradł. Powinieneś grać łoża kobiet, nie zaś modlić się na zimnych kamiennych płytach.

- Nie nienawidź Boga - powiedział łagodnie. - Módl się o uzdrowienie.

- Co miałabym uzdrawiać? Ty możesz mnie uzdrowić, jeśli do mnie przyjdiesz. Czy nie jestem ładna? Wszyscy to mówią. Wszyscy inni mężczyźni mnie pożądają.

- Uroda nie trwa wiecznie. Kiedy mężczyźni nie będą cię już potrzebowali, zostaniesz wyrzucona na ulicę. Co ci posłuży lepiej, córko? Męskie pożądanie czy miłość Boga?

- To dobre dla ciebie: paplać o bożej miłości! Jaką inną drogę mogłam wybrać? Moja matka była nałożnicą. Jest przynajmniej pięciu prezbiterów w pałacu skoposy, z których każdy mógłby być moim ojcem! Co ma zrobić dziewczyna taka jak ja, bastarda prostytutki? Mogę tylko także nią być. To jedyne życie, jakie znam. Jaki szanujący się mężczyzna chciałby kobietę taką jak ja?

Hugo nie cofnął się wobec ataku jej furii.

- Wiem skądinać - powiedział cicho - że jest pewien szanowany sierżant straży pałacowej, który ma brata krawca, zamieszkującego w dolnej części miasta. Ten człowiek odwiedził kiedyś sierżanta i widział cię kilka razy w ogrodzie. Myślę, że szuka powodów, by móc odwiedzać brata i w ten sposób patrzeć na ciebie. Ale jego zdaniem jakie szanse miałby u ciebie zwykły krawiec, nie mający wiele do zaoferowania w porównaniu do jedwabi i wina, które masz w królewskim pałacu?

- Gdyby wiedział, że jestem prostytutką, zniechęciłby mnie za to - wymruczała, a złość w jej głosie nieco przygasła i brzmiała niepewnie, jakby bała się mieć nadzieję. - A on sam jest pewnie brzydkim, brudnym, pomarszczonym karłem, który nie może dostać godnej żony.

- Dobrze więc. Tak się składa, że odwiedza swego brata w każdy Dzień Pani, a potem idą razem na mszę do kaplicy dla służby.



- Ty odprowadzasz mszę - rzekła zaskoczona. - Wszyscy to wiedzą. Ale ja wiem, że prezbiterzy nie wpuszczają prostytutek do kościoła, starzy hipokryci, którzy obściskują nocami swoje kochanki, a za dnia je lżą.

- Kiedy ja odprowadzam mszę, nikt nie jest wypraszany. Nieważne, jaka jest jego przeszłość i co kiedyś robił.

Niespodziewanie dziewczyna przypadła do jego nóg, skłaniając głowę.

- Proszę cię, ojczu, wybac mi. Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko w zamian za twoją dobroć i miłosierdzie.

- Niech tak się stanie, córko - powiedział Hugo i dotknął jej głowy na znak błogosławieństwa. Dziewczyna załkała, podniosła się i umknęła.

Było zbyt ciemno, by zobaczyć jego twarz. Stał w milczeniu tak długo, że Antonia zaczęła się zastanawiać, czy Hugo ma zamiar wrócić do sali biesiadnej. Dzwon obwieścił koniec komplety, a ona przypomniała sobie zbyt późno, że ma przecież inne obowiązki.

Ale nie odważyła się ruszyć, dopóki Hugo nie otrząsnął się wreszcie i nie poszedł wzdłuż kolumnady do sali, w której trwała uczta. Kiedy przebrzmiały jego kroki, Antonia poszła tą samą drogą w kierunku wielkiego hallu, po czym przemierzyła ogromny podwórzec, na którym czasami spotykali się król i skoposa, by zrobić przegląd wojska w czasach kryzysu. Podeszwy jej butów postukiwały cicho o kocie łby. Lekki deszczyk spowodował, że jej twarz zwilgotniała. Obok przemknął służący, niosący lampę i koszyk, zaś grupka prezbiterów, którzy zakończyli modlitwy, podążała teraz na ucztę.

Słowa nałożnicy wciąż dźwięczały jej w uszach. Czyżby pobożni prezbiterzy rzeczywiście spędzali noce na miłosnych uciechach, zaś następnego dnia jak gdyby nigdy nic potępiali grzesznych ludzi? Doprawdy, boskie dzieło zsuwało się na krawędź Otchłani. Potrzebna była silna ręka, by z powrotem nawrócić ich na prostą drogę.

Pałac skoposy składał się z wielu komnat i był wprost stworzony do snucia intryg. Albo tak tylko się Antonii wydawało. Heribert mógłby ją poprawić; spędził rok w Darre, studiując w pałacowej uczelni i powrócił z wiedzą na temat sposobu, w jaki zbudowano pałac na ruinach starej rezydencji z czasów Dariyan. Potem częściowo strawił ją ogień i została przebudowana, a następnie unowocześniona za czasów Taillefera.

Póki jednak trzeba było trzymać wszystko w sekrecie, nie mogła jak złodziej zakradać się do pałacu skoposy. Dotarła wreszcie do komnat przeznaczonych dla duchownego wyższej rangi oraz grupy służących i kleryków, którzy jej posługiwali. Kiedy stanęła w tajnej komnacie apartamentów Anny, gdzie Siedmiu Śpiących zbierało się co tydzień, by przedyskutować postępy ich sprawy, okazało się, że wszyscy inni już przybyli i zajęli swe miejsca. W świetle lamp połyskiwały wypolerowane srebrne kielichy. Służący nalali wina, po czym bezszelestnie zniknęli, zamykając drzwi i pozostawiając Annę oraz czworo jej towarzyszy w samotności.

- Spóźniłaś się, siostró Venio - zauważyła Caput Draconis, mająca pozycję pierwszej wśród wszystkich. Ten przeklęty ogar zawsze leżał u jej stóp, warcząc.

- Przepraszam. Znowu zgubiłam drogę.

- Tak jak niestety niekiedy my wszyscy. Jeśli usiądziesz, siostró Venio, wreszcie zacniemy.

Ogar podniósł głowę, patrząc, jak Antonia zasiada na ławie obok brata Marcusa. Powitał ją, tylko lekko skrzywiwszy usta, nic więcej. Miał na sobie szatę prezbitera i płaszcz. Prócz Anny to właśnie jemu z najmniejszą trudnością przyszło opuścić ruiny pałacej się Verny. Antonii wciąż trudno było przyzwyczaić się do Darre, miasta - labiryntu starożytnych ruin i nowoczesnych budowli, podwórców i alei, pastwisk i brukowanych placów oraz pałacowego kompleksu złożonego z gmatwaniny korytarzy, komnat i przejść dla służby, w których często się gubiła. Marcus tutaj dorastał. Dla niego poruszanie się po pałacu skoposy było naturalne niczym oddychanie.

- Nie jestem pewien, czy on jest właściwą osobą, by do nas dołączyć - mówił Severus. - Nie ufam mu.

Marcus zaśmiał się ostro.

- Nie ufasz mu, bo obawiasz się jego ambicji albo jesteś zazdrosny o jego wpływ na Świętobliwą Matkę i kolegium prezbiterów?

- Nie ufam osobie, która posługuje się swoją urodą, by awansować - rzekł kwaśno Severus. - Ty też nie powinienesz.

- Uroda to nie broń - odezwała się ze swego miejsca Meriam - lecz dar od Boga. Grzechem byłoby kryć to, co Bóg ukształtował.

- Kobiety zawsze tracą rozum, gdy znajdują się w towarzystwie przystojnych mężczyzn, jak zauważyłem - rzekł Severus.

- Nawet jeśli to prawda - powiedziała Antonia, rozbawiona tematem konwersacji, a w szczególności oburzeniem Severusa. - Jest nas sześcioro, a powinno być siedmioro. Hugo z Austrii jest potomkiem szlacheckiej rodziny, ma księgę Bernarda, zna się na magii i chyba jest pobożny. Czy mamy odrzucić szansę, by poszerzyć naszą grupę do właściwej liczby tylko dlatego, że nie dowierzasz jego pięknej twarzy, bracie Severusie?

Chrząknął poirytowany.

- W moim klasztorze sądziliśmy, że próżność jest śmiertelnym grzechem.

Anna podniosła rękę, prosząc o ciszę.

- Mamy mało czasu, a jesteśmy w wielkiej potrzebie.

W bogato umeblowanej komnacie płonęły trzy lampy - wystarczająco dużo, by oświetlić stół i pięknie rzeźbione ławy, na których siedzieli. Ściany ozdobione były gobelinami, lecz lampy oświetlały głównie sceny męczeństwa świętej Agnieszki i świętej Aselli, młodych dziewcząt, które we wczesnym okresie istnienia Kościoła wołały śmierć niż małżeństwo z poganinem.

- W ubiegłym roku w Werlidzie widziałam, jak Hugo złożył przysięgę. Dlatego pozwoliłam mu zatrzymać księgę Bernarda.

- Ty mu pozwoliłaś? - Severus wyprostował się na krześle z oburzeniem. Na twarzy wciąż miał ślady po pożarze w Vernie. Spośród całej grupy, nie licząc oczywiście biednej zmarłej Zoe, to on właśnie ucierpiał najbardziej. - Po tym wszystkim, jak starałem się wykorzenić tę wiedzę, - byśmy tylko my mogli ją posiadać?

- Oczywiście. Mogłam pilnować, by nie pozostawał sam na sam z książką. Zrobiłam jednak co innego. Teraz kiedy widzę, jak wykorzystał szansę pozyskania wiedzy, wiem, że miałam rację. Jest mądry i wydaje się, że powściągnął swą obsesję względem Liathano, która przeszkadzała mu w studiach. Posiada dużą wiedzę.

Antonia przypomniała sobie o znaczącym epizodzie w kaplicy świętej Tekli. Sekret, niczym skarb, powinien zostać zachowany aż do dnia, gdy będzie go można sprzedać z korzyścią dla jego posiadacza.

- Niedługo nowy rok - mówiła Anna - a deszcze wkrótce przestaną padać nad Aostą. Drogi staną się przejezdne. Musimy podjąć konkretne kroki.

Na jej szyi lśnił złoty naszyjnik, oznaka przynależności do królewskiego rodu. Był jednak mało widoczny pośród zwojów szaty w kolorze starego wina, który Anna nosiła, by podkreślić, iż jest członkiem grupy najbardziej zaufanych doradców Świętobliwej Matki. Antonię drażniło, że Anna, która przybyła do pałacu skoposy ledwie ostatniej jesieni, od razu zajęła miejsce w radzie. Denerwowało ją to tym bardziej, że ona sama została odesłana na uczelnię jako zwykła kleryczka. Lecz Anna miała moc, której nie można było lekceważyć ani tym bardziej rzucać jej wyzwania. Jeszcze nie teraz.

- Siostrze Meriam, musisz kontynuować swoje obowiązki związane z osobą Hugona.

- Oczywiście - zgodziła się Meriam. - To przyjemność pracować z młodym człowiekiem, mającym doskonale maniery i tak bystrym. Moje zadanie postępuje niespiesznie, bo Hugo nie wypuszcza książki z rąk i jest jednocześnie zajęty wieloma obowiązkami, które ma w pałacu. W każdym razie jednak wzmożę czujność. - Przerwała, by złapać oddech.

- Kontynuuj - powiedziała Anna po stosownej przerwie.

- Tekst, który Bernard włączył do swej księgi jako drugi w kolejności, nie jest tym, czego się spodziewałam. Jeśli jego dalsza część będzie taka sama jak początek, który do tej pory przetłumaczyliśmy, może się okazać, że tekst jest bardziej niebezpieczny, niż wszyscy sądziliśmy.

- Jednakże to, czego szukamy, wciąż może tam być. Działaj dalej, siostrze. Jeśli nie znajdziemy klucza do koron Aoi, poprzez które tkają swą magię, nie będziemy w stanie ich powstrzymać przed powrotem.

- Będę kontynuowała prace - oświadczyła Meriam. Jej szczupłe ciało prawie zniknęło w mroku. Światło lampy nie padało na nią. - A co z innymi sprawami? Co z obietnicami, złożonymi memu synowi?

Anna zamyśliła się, jakby zapomniawszy, co miała powiedzieć, po chwili jednak rozchmurzyła się.

- To musi poczekać, dopóki nie zobaczymy, co stanie się z Żelaznogłowym. To, co się dzieje w umyśle króla Henryka, jest dla mnie czytelne, ale osłaniają go jego Orły. Zobaczymy, co się wydarzy, potem zaczniemy działać. W międzyczasie musimy zająć się inną ważną kwestią. Zaginął brat Lupus.

- Sądzisz, że nie żyje? - zapytał Severus.

- Masz nadzieję, że tak jest? - dorzucił Marcus z uśmiechem. - Nigdy specjalnie nie troszczyłeś się o brata Lupusa.

- O człowieka niskiego stanu, który nie ma wpływowej rodziny? Który nie ma szacunku dla wysoko urodzonych?

- Wiedziałabym, gdyby nie żył - rzekła Anna, kończąc ich dyskusję. - Zaginął, a ja nie wiem czemu. Nie

mogę go także odnaleźć, kiedy szukam za pomocą ognia czy kamienia. Bracie Marcusie, musisz się tym zająć. Okaż mu pomoc, jeśli jej potrzebuje.

- Znowu wyruszać w podróż! Siostra Venia jest zdrowa i krzepka i zna północne królestwa lepiej niż ja. Nie mówię dobrze w języku wendarskim. Ona powinna jechać.

- Siostra Venia jest wyjęta spod prawa w północnych królestwach i jako taka może być tam rozpoznana. Ty pojedziesz, bracie Marcusie.

- Dobrze więc - westchnął.

Anna skinęła głową. Spokojny wyraz jej twarzy nigdy się nie zmieniał. Czy zresztą był ku temu powód? Jej życzeniom nikt się nie sprzeciwiał.

- Pozostaje jeszcze niezafatwiona sprawa mojej matki Lavrentii, o której sądziłam, iż nie żyje. Jedno z nas musi udać się do klasztoru świętej Ekatariny w Capardii. Jeśli nie będzie nas siedmioro, nie mamy wystarczającej mocy, by podporządkować demona naszej woli i zrobić to, co konieczne, jak to było w przypadku Bernarda. - Popatrzyła na wszystkich wzrokiem, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić. - Tym razem osobą, która pojedzie, będziesz ty, siostrze Venio.

Antonia westchnęła. Podobnie jak Marcus niechętnie porzucała luksusy pałacu skoposy. Ostatniej nocy na przykład, podczas uczty z okazji uroczystości świętej Joanny Posłańca, podano wyjątkowo pyszne jedzenie. Nie mogła się jednak sprzeciwić.

- Jakie będzie moje zadanie?

- Zdobądź zaufanie sióstr. Odwiedź konwent jako gość. Dowiedz się tyle, ile zdołasz. Kiedy nadarzy się okazja, zabij moją matkę.

Anna nie zatrzymywała ich dłużej. Antonia nie porzuciła swego polowania, tylko chwilowo z niego zrezygnowała. Upewniwszy się, że wszyscy udali się na spoczynek, ruszyła do komnat skoposy.

Dywan rozesłany w przedpokoju, prowadzącym do sypialni skoposy, tłumiał jej kroki. Antonia podkraśniała się więc po cichu i zatrzymała za drewnianym parawanem. Od razu wyczuła działanie magii - w powietrzu unosił się zapach migdałów. Zawsze nosiła określone amulety, mające ją chronić przed pospolitymi zaklęciami, które znały zarówno proste mądre kobiety, jak i szlachetnie urodzony kleryk. Zaklęcie miłosne, zaklęcie na sen, zaklęcie niewidzialności: tych się nie obawiała. Zapach migdałów owionął ją niczym welon. Zaklęcie to działało w jej przypadku jak obosieczny miecz. Jeśli Hugo użył prostej magii, by ukryć swe intrygi, musiał być pewien w swej arogancji, że w pałacu nikt nie jest na nie odporny. Nikt z wyjątkiem Anny.

Zerknęła do komnaty. Prezbiter towarzyszący Hugonowi zasnął na krześle stojącym pod ścianą i lekko pochrapywał.

Hugo był sam z umierającą kobietą. Antonia początkowo sądziła, że wydobywa z wątłego ciała matki Klemencji jej duszę, w jego ręku bowiem widniała blada, wijąca się nitka światła. Jednakże dostatecznie długo mieszkała w Vernie, by szybko rozpoznać eteryczną formę demona. Marcus miał rację: Hugo podporządkował sobie demona i używał go, by kontrolować skoposę.

Podziwiała jego zuchwałość i zręczność. Poza tym używał swej mocy do dobrych celów. Czy ma więc znaczenie, kogo wykorzystywał do pomocy?

Matka Klemencja westchnęła przez sen. Kiedy Hugo zaczął zwijać opierającego się demona w czerwoną wstążeczkę, różowa barwa zaczęła znikać z policzków skoposy. Kobieta pobleadła. Teraz już szybko opuści ten świat. Tylko demon trzymał ją przy życiu tak długo.

Wreszcie Hugo wyprostował się. Czerwona wstążka w jego rękach trzepotała i obracała się jak żywa istota. Prawdopodobnie spoczywał w niej demon. Hugo schował wstążkę do rękawa i, ku zdziwieniu Antonii, wyciągnął spod kołdry, otulającej skoposę, swą cenną książkę. Antonia wróciła za parawan, Hugo bowiem wstał i podszedł do drzwi, tak zamyślony, że nie zwrócił nawet uwagi na cienie, kładące się na podłodze.

Zniknął jej z oczu. Usłyszała przyciszone głosy. Miejsce Hugona zajął brat Ismundus, zaś chrapiący prezbiter zaczął się budzić, uśmiechając się, jak gdyby właśnie nawiedził go przyjemny sen.

Antonia wysłiznęła się z pomieszczenia niezauważona. Hugona nie było już w przedpokoju. Wiedziała, dokąd mógł się udać.

Znalazła go pogrążonego w modlitwie w kaplicy świętej Tekli. Tym razem dobrze sprawdziła progę dwóch par drzwi, prowadzących do galerii. Hugo posunął się znacznie dalej niż do zastosowania suszonych ziół, których używali chłopcy, by chronić kłmiki przed wizytami lisów albo by zdobyć władzę nad czyimś sercem. Każdy próg w pałacu skoposy był zdobny w artystyczne rzeźbienia, mające słać chwałę Boga. Jak przystało na kaplicę świętej Tekli, rzeźbienia miały kształt szaty i kielichów, symboli

skoposy. Kiedy jednak Antonia powiodła palcem po wypukłości kielicha, wyczuła, że jej skórę dosięgnęło ukłucie magii. Poczula też zapach lawendy i narcyza, zwiastunów snu i rozproszonej uwagi. Starł je na proszek i pokrył nim rzeźbienia, aby otumanić każdego, kto miał zamiar wspiąć się na galerię i go obserwować.

Jednakże umysł Antonii nie uległ wpływowi magii. Ostrożnie wspięła się po wąskich schodach, omijając jedenasty, trzeszczący stopień. Galeria wydawała się pusta; wszyscy spali albo ucztowali.

Jednakże Antonia nie była w kaplicy sama. Poniżej, oświetlony płomieniem pojedynczej lampy, klęczał Hugo.

Może zaczynała mieć na jego punkcie obsesję. Mimo wszystko tęskniła za Heribertem. Zawsze miała kogoś, kim rządziła, choć oczywiście nigdy nie popełniła błędu i nie wierzyła w to, że Hugo dałby sobą sterować tak jak Heribert. Nie teraz, gdy ten drugi okazał się nie tak znowu skłonny do posłuszeństwa - przeklęty książę Sanglant.

Hugo szeptał słowa zbyt cicho, by je mogła zrozumieć. Wstążka wiła się zmysłowo wokół jego palców, co przypominało Antonii o pewnym flircie, będącym trwającą trzy miesiące zmysłową przyjemnością, luksusową niczym jedwab...

Wstążka nagle bezwładnie opadła. Demon uciekł. Ale Hugo nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Przez długi, bardzo długi czas klęczał maksymalnie skoncentrowany, z zamkniętymi oczami.

Co i rusz Antonię dobiegały jakieś fragmenty słów, cicho wypowiedane do jakiejś niewidocznej osoby.

- Zmiana nie przyszła łatwo... Pozwól mi nie mówić o torturach... mnie... zgrzeszył tak ciężko... Przeznaczenie wyznacza jej drogę...

Nagle podniósł głowę. Dzięki lampie Antonia ujrzała, że na twarzy Hugona pojawił się wyraz rozkoszy, jakże podobny do grymasu wywołanego przez ekstazę.

Ach, Boże, gdyby tylko wiedziała, jak pochwycić takie emocje i przejąć je. Ludzie są słabi i łatwo ich przejrzeć. Nawet tak sprytny człowiek jak Hugo był gotów się zatracić w ekstazie. Jego żądza była gęsta niczym śmietana, którą Antonia miała ochotę wypić do dna. Wargi Hugona rozchyliły się i młody człowiek westchnął jak ktoś, kto spełnił najszybsze fizyczne pragnienia.

- Ach, Liath - wymruczał. Jego słowa brzmiały rozkosznie.

Antonia zwilżyła wargi.

Hugo drgnął. Ocknął się. Otworzył oczy. Wyglądał na zaskoczonego, zdezorientowanego, ale to trwało króciutką chwilę. Z grymasem na twarzy chwycił mocno wstążkę i znowu zamknął oczy. Wstążka wiła się lekko w jego rękach. Z góry, jak gdyby z niebios, spłynęła nić eterycznego, bladawego światła, która przyjęła wreszcie kształt wstążki. Lampa zapłonęła intensywnie. Hugo drgnął, jakby przeszyty bólem.

- Cholera! - zaklął, gdy wstążka ożyła, poruszając się jak wąż próbujący uciec od swego posiadacza. Hugo trzymał ją jednak mocno, mamrocząc okiełznujące słowa. Przez moment Antonia widziała we wnętrzu wstążki demona, po czym Hugo zatknął ją za rękaw.

Wstał. Był zbyt zdenerwowany, by zwrócić uwagę na otoczenie. Z księgą pod pachą wybiegł z kaplicy, jakby uciekał z piekła.

Opanował sztukę ukrywania przed innymi pragnień swego serca. Antonia umiała jednak patrzeć i słuchać, dzięki czemu znajdowała się w posiadaniu sekretów, które mogła wykorzystać w odpowiednim czasie do swoich działań. Kompetencje Anny, pomimo całej jej mocy, były zbyt wąskie. Anna myślała tylko o nadchodzącym kataklizmie, a nie o tym, co powstanie na jego popiołach.

Antonia nie miała zamiaru popełniać błędów, lecz wiedziała, że musi zdobyć sprzymierzeńców, czy tego chcą, czy nie.

Hugo nie powrócił do prywatnych komnat skoposy. Odbył skomplikowaną wędrówkę, która w końcu doprowadziła go do miejsca na granicy klifu, położonego w najwyższym punkcie wzgórza Amurrine, na którym stały dwa pałace - symbole odwiecznego napięcia między władzą duchowną i świecką w Darre.

Tutaj, podczas krótkich dni kończącego się roku, powietrze miało zapach świeżości, zapach zmian. W Aoisie pora intensywnych deszczy zbliżała się do końca. Po nastaniu nowego roku nadejdzie czas letniej i wczesnojesiennej posuchy. Póki co, w doniczkach ustawionych wzdłuż skalnej ścieżki zaczęły zakwitać lilie, fiołki i róże. Ktoś zawiesił na trójnogach z lampami mirtowe wianki. Światło znakowało drogę wędrującym w mroku.

Hugo schronił się w zacisznym kącie ścieżki, opierając się o poręcz schodów. Wiatr rozwiewał jego szatę, sprawiając, że wyglądała jak żywa. A może poruszał ją demon, który spłynął gdzieś z niebiańskich sfer.

Dzwony wezwały na wieczorne nabożeństwo, ale tutaj, na murach, ich dźwięk wydawał się nieważny wobec boskiego dzieła, ukazującego się ludzkim oczom. Chmury rozpierzchnęły się, odsłaniając niebiosa w

całej ich chwale.

Antonia zatrzymała się w ciemności, patrząc w dół, na rzekę, płynącą u podnóża góry. Cienista wstęga błyszczała srebrzyście w świetle księżycy. Ten, prawie w pełni, już zachodził, przytłumiając światło Somorhas. Antonia przyglądała się gwiazdom. Rozpoznawanie konstelacji nie przysparzało jej trudności. Odczuwała z tego powodu przyjemność. Somorhas znajdowała się na wierzchołku Uzdrawiacza i Pokutnicy. Czerwony Jedu świecił powyżej nich, schwytyany w sieć psotnych Sióstr, lecz na niebie błyszczała także stateczna Aturna, wnosząc do układu obietnicę mądrości.

Nieoczekiwanie Hugo przemówił, wciąż wpatrując się w powietrzną otchłań:

- Nie, nie wchodź w krąg światła. Wiem, że przybywasz od siostry Anny. Król nadchodzi i będzie lepiej, jeśli cię tu nie zobaczy.

Nagle, z taką łatwością, jej władza nad nim przestała istnieć. Serce Antonii waliło nerwowo jak kurze, która stanęła twarz w twarz z lisem. Czy to możliwe, że przez cały czas wiedział, że ona podąża za nim i go obserwuje? Dotknęła zwisającego na piersi amuletu ukrytego w fałdach szat i zaczęła głęboko oddychać, starając się uspokoić. Nie, nie nazwał jej po imieniu. Prawdopodobnie usłyszał ją, lecz jej nie widział. Nie był całkiem pewien, kto kryje się w mroku. Jej poczynania były nadal sekretem, przynajmniej tak długo, jak długo Anna o nic jej nie podejrzewała.

Zachowując ciszę, nadal stała w bezruchu, pochłonięta przez mrok.

- Jeśli możesz, powiedz siostrze Annie, że rozważyłem to, co miała mi do powiedzenia. Ale musi zrozumieć, że jestem lojalny wobec mego króla.

Rozległy się ciężkie, pośpieszne stąpnięcia. Ktoś szedł po schodach. Antonia cofnęła się jeszcze dalej w mrok. Dzwon znowu zaczął bić, odzywając się siedmiokrotnie, co oznaczało, że nastąpiła czyjaś śmierć. Po chwili w odległej kaplicy odezwał się drugi dzwon, potem kolejny. Ich ciężki i ponury dźwięk rozbrzmiewał w całym mieście.

Na skalny występ wspinał się Żelaznogłowy. Ciężko dyszał.

- Matka Klemencja nie żyje! - Podszedł do Hugona z rękami zaciśniętymi w pięści, tak jakby spodziewał się, że Hugo przyjmie na siebie odpowiedzialność za to, co się stało. - Co teraz mamy zrobić? Potrzebuję skoposy, która mnie poprze! Wiesz, jak bardzo nienawidzi mnie cała szlachta.

- Mój królu panie, z korzyścią dla ciebie byłoby, gdybyś nie molestował trzynastoletniej dziewczynki w obecności wielmożów i setki duchownych.

Żelaznogłowy splunął na wyłożoną drewnem drózkę.

- Nigdy nie zaskarbię sobie ich sympatii, tak więc po co mam zważać na to, co robię?

- To prawda, że bastard nie może oczekiwać sympatii - zgodził się Hugo - ale może zdobyć szacunek.

- Czy szacunek zapewni mi poparcie nowej skoposy, kimkolwiek by ona nie była?

- Nie irytuj się, panie. Na stanowisko skoposy będzie wybrana odpowiednia osoba.

- Doprawdy? Obiecałeś mi to już kiedyś.

- Czy nie wypełniłem wszystkiego, co obiecałem ci w klasztorze w Capardii?

Żelaznogłowy chrząknął, zrobiwszy kilka kroków w małym kółku pomiędzy schodami a balustradą.

- Obiecałeś mi, że zyskam koronę i że Matka Klemencja własnoręcznie nałoży mi diadem na głowę. I tak się stało.

- Tak więc, co cię trapi, mój królu panie?

- Mam wystarczająco dużo złota, by kupić kolejny tysiąc najemników, ale złoto ma i król Henryk. Niedługo wiosna. Wkrótce drogi będą przejezdne. Jeśli pomaszkuje do Aosty, może kupić moją armię za wendarskie złoto i co wtedy pocznę? Bez pomocy skoposy nie utrzymam się w Darre, nie mówiąc już o reszcie Aosty.

Tak gwałtownie rzucił się ku balustradzie, że Antonia aż się wzdrygnęła, obawiając się, że drewno pęknie i król spadnie w dół, wprost na dachy domów, stojących na dole klifu.

Ale balustrada wytrzymała.

- Plotka mówi, że Henryk ożenił się z Adelheid - warknął Żelaznogłowy.

Światło lampy złagodziło melancholijny uśmiezek Hugona. On sam wpatrywał się w miasto na dole. W oddali nad zatoką płonęły pochodnie.

- Słyszałem plotki, że morskie stwory, ludzie z ogonami ryb, widziani byli na głębinach za zatoką. Czy wierzysz we wszystko, co usłyszysz, mój królu panie?

- Byłbym głupcem, gdybym tak postępował i jeszcze gorszym idiotą, gdybym nie sądził, że Adelheid nie zaoferuje się Henrykowi w zamian za jego pomoc. Ostatnio widziano ją w Novomo, a potem ponoć udała się na północ poprzez góry wraz z resztkami swej świty i księżniczką Teophanu. A co, jeśli wielmożowie opowiedzą się po stronie Adelheid? A co, jeżeli Henryk zgłosi swe prawa do tronu Aosty ze

względu na małżeństwo z jej królową?

Bicie dzwonów ustało. W zapadłej ciszy Antonia usłyszała szmer wiatru, który poruszał mirtowymi wiankami. Płomienie lamp zadrżały, zbladły i zgasły.

- Mając mnie po swojej stronie - powiedział Hugo łagodnie - nie musisz obawiać się niczego ze strony króla Henryka.

## Rozdział trzynasty WIZJA DAWNYCH CZASÓW

### 1

*Historie o królowych pustyni słyszała, gdy opowiadano je nocami przy ognisku. Wiele z tych stworzeń przechadzało się majestatycznie po dzikich krainach, do których ludzie nie odważyli się dotrzeć. Nigdy nie sądziła, że zobaczy je na własne oczy.*

*Nawet jeśli to tylko sen, coś przecież generuje tę przemożną chęć oglądania żyjących w dziczy stworzeń. Prawdopodobnie to wizja przeszłości i wkrótce zobaczy Promienną Strzałę, młodą i niebezpieczną, podążającą na grzbiecie lwiej królowej ku tym, którzy dawno już udowodnili swe mistrzostwo w sztuce tropienia i zabijania. Promienna Strzała chce się od nich uczyć.*

*To musi być wizja, ponieważ ilekroć podnosi wzrok, widzi niewielką ludzką postać wychodzącą z szalasu, znajdującego się za ogromną skalą, wyciągającą ręce w pokojowym geście. Dwa czarne psy, które wydają się małe w porównaniu z wielkimi jak wieże sfinksami, warczą cichutko, krocząc przy jego boku.*

- Alain! - Adika wystraszyła się, gdy poczuła na ramieniu jego rękę.

- Cicho - wyszeptała Laoina.

Adika leżała w cieniu wielkiego głazu. Uwierały ją kamienie, ale nie miała siły się podnieść. Z trudem sięgnęła po sakwę z cennymi precjozami, ale nie dosięgnęła jej, natrafiła tylko na futrzaną opończę.

Ziemia zatrzęsała się. Laoina gwałtownie nabrała powietrza. Cień rzucany przez kamień nagle zniknął i słońce poraziło oczy Adiki.

Laoina rzuciła się na ziemię. Adika natomiast ujrzała nieczłowieczą twarz kobiety, która przednią łapą odtrąciła głaz, i tym samym odsłoniła znajdujących się za nim dwoje ludzi. Głaz spoczywał przy jej łapie niczym piłeczka do zabawy.

Srebrną grzywę królowej rozwiewał wiatr. Kobieta-lew przyglądała im się bursztynowymi oczami. Szerokie źrenice czyniły jej wzrok jeszcze mniej ludzkim niż wzrok Ludzi-Koni; choć centaury posiadały końskie ciała, miały klatki piersiowe oraz twarze - i oczy - podobne do ludzkich. Twarz kobiety-lwa posiadała ludzkie rysy, lecz Adika nie odkryła w jej spojrzeniu ludzkiej inteligencji.

- Błagam cię... - zza sfinksa rozległ się głos Alaina. - Mamy pokojowe intencje. Nie chcemy zrobić nikomu nic złego.

Kobieta-lew odepchnęła kamień jeszcze dalej. Z hukiem potoczył się w dół zbocza. W głębokiej kotlinie znajdował się kamienny warsztat. Adika nie pamiętała, jak przemierzyła dystans dzielący ją od niego ku miejscu, w którym byli teraz. Powietrze drżało od gorąca. Laoina nie poruszała się, lecz w pewnym momencie kobieta-lew położyła łapę na jej plecach i przewróciła ją.

Adika podniosła się na kolana.

- Błagam cię, Królowo. - Jej głos był chrapliwy, w ustach czuła suchość. - Szukamy plemienia, w którym żyje mądra kobieta, Jasność-Która-Mnie-Słysz.

Kobieta-lew pochyliła głowę w jedną stronę, nasłuchując jakichś odgłosów, i przysiadła. Podniosła łapę, która spoczywała na Laoinie i polizala ją z namysłem. Miała przerażające zęby, wielkie i mocne.

Gdy już skończyła zajmować się swoimi łapami, wstała i odeszła, jak gdyby zapominając o jeńcach. Prawdopodobnie nie była głodna.

Laoina wstała. Zachwiała się, potem powiedziała coś w swoim języku, a następnie zwróciła się do Adiki:

- Nigdy nie sądziłam, że *maoisinu* jest tak wielka.

- Co to jest? - zapytał Alain, klękając przy Adice. - Boże, musimy zabrać cię z tego słońca.

Lekko pojękując, Adika wstała. Wciąż kręciło jej się w głowie.

- Czy zmierzyłaś kamienie? - zapytała Laoinę. - Gdzie znajdziemy plemię Jasności-Która-Mnie-Słyszysz?

Laoina wskazała oazę znajdującą się na horyzoncie pustyni.

- My iść, szybko, szybko.

Z pomocą Alaina, opierając się na grzbiecie Furi, Adika zdołała zejść ze wzgórza i przemierzyć piaski oraz pokryty kamieniami teren. Słońce przypiekało niemiłosiernie. Wędrownka zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Oaza zdawała się oddalać. Kobieta-lew zniknęła.

Może była tylko halucynacją...

Nagle poczuli zapach wody. Podążyli ku drzewom. Ich palmowe liście kołysały się na wietrze. W rzucanym przez nie cieniu można było odsapnąć. Napili się wody. Wtedy do ich uszu dobiegły odgłosy wydawane przez niewidocznych ludzi: śpiew, uderzanie młotka o metal, rżenie osła i beczenie kóz.

- Spójrzcie! - zawołał Alain.

Zbliżała się ku nim mała, zawoalowana od stóp do głów figurka. Obie ręce wyciągała w pokojowym geście. Na jej dłoniach widoczne były namalowane błękitnym kolorem wzory. Adika szybko wyciągnęła ręce w ten sam sposób, pokazując, że i oni przybywają z pokojowymi zamiarami. Poszli za swym przewodnikiem wąską ścieżką, wiodącą poprzez ogrody, gęste krzaki i drzewa o małych, zielonych owocach. Gdzieniedzie wokół rosły fioletowo-białe kwiaty. Brzegi kanału porastało sitowie, a sam kanał był tak wąski, że mogli go przeskoczyć. Po plecach Adiki spływał pot. Bolały ją nogi. Gdy przekroczyli kolejny, szerszy kanał, poczuła ulgę. Mogła brodzić w wodzie, co dawało jej ukojenie.

Wreszcie dotarli do ogrodu, w którego środku znajdował się otoczony kamieniami zbiornik wodny. Niczym szprychy w kole, odchodziło od niego promieniście sześć kanałów. Furia i Smutek napiły się.

Wokół zieleniły się inne ogrody, rosły mocno pachnące zioła, młode pędy zboża i drzewa o owocach przypominający jabłka, lecz bardziej pękate i okrągłe. Na wzgórzach pięła się winorośl. Za ogrodami znajdowały się namioty. Od jednego spojrzenia nie sposób było je policzyć. Jeden był większy od pozostałych: wysoki, szeroki i tak biały, że aż lśnił. Ludzie z plemienia Essit wykonywali swoje obowiązki. Wszyscy od stóp do głów owinięci byli w powłóczyste zawoje. Dostrzec można było tylko ich oczy i ręce. Kilku ludzi, noszących miedziane obręcze, pracowało w słońcu. Mieli na sobie lekkie szaty i luźne nakrycia głowy. Na ich policzkach widniały blizny.

Wokół biegały nagie dzieci. Piszczwały i przekomarzały się. Czasami zatrzymywały się, by popatrzeć i zagadać coś do obcych, zachowywały jednak dystans. Poza obrębem obozowiska pasły się owce, kozy i osły, które robiły niezły harmider.

Przewodnik poprowadził wędrowców do jednego z namiotów, gdzie było przyjemnie chłodno. Gdy z ulgą usiedli na miękkich poduszkach, dwaj młodzieńcy przynieśli im wino w złotych pucharach i kosz pełen przypominających orzechy owoców. Nie można było dostrzec twarzy młodych ludzi, jedynie ich pomalowane henną ręce. Ktoś grał na czterostrunowej harfie. Z brązowymi oczami, gęstymi brwiami i delikatną twarzą człowiek ten mógł być zarówno kobietą, jak i mężczyzną. W nosie tajemniczej osoby tkwił kolczyk, na rękach miała bransolety, zaś na policzku piętno.

Przy melodii Alain pochylił się do przodu i rzekł:

- Jakaś kobieta obserwuje nas z zewnątrz.

- Gdzie? Nikogo nie widzę. - Adika wbiła zęby w owoc. Był słodki i wcale nie przypominał orzecha. Pyszny.

- Obserwuje nas - powtórzył Alain. Smutek i Furia wypadły z wody. Położyły pyski na wyciągniętych łapach, rade, że mogą odpocząć. - Dlaczego musiałaś dokonywać pomiarów kamieni, by odnaleźć to plemię? Przecież każdy magiczny warsztat jest w tym samym miejscu.

- Plemię Jasności-Która-Mnie-Słyszysz nie mieszka w domach tak jak my. W swoim kraju mają więcej niż jeden warsztat. Kiedy zmieniają miejsce pobytu, ich Wiedząca tworzy kamienny krąg w pobliżu ich nowego siedliska. Kamienie są tak ułożone, że linie pomiędzy nimi przeprowadzone wiodą do zbiornika wody, przy którym aktualnie koczuje plemię.

Kiedy odpoczęli, zawoalowana postać podeszła do Adiki i Laoiny, zapraszając je do przekroczenia progu największego namiotu. Gdy Alain wstał, by im towarzyszyć, Adika potrząsnęła głową.

- Mężczyzna nie może spotkać się z Jasnością-Która-Mnie-Słyszysz. Takie jest prawo tego plemienia.

- Czy będziesz bezpieczna? - zapytał cichym głosem. - Nie chcę zostawiać cię samej.

- Nie, ukochany, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Po chwili wahania Alain z powrotem usiadł, choć już nie potrafił się odprężyć.

W namiocie nie było całkiem ciemno, ponieważ w miejscu, gdzie jego ściany stykały się z sufitem, materiał przepuszczał nieco światła. Podłogę tworzył twardo ubity piasek. Do namiotu ściągnięto sześć palików, z których uformowano dwa nachodzące na siebie trójkąty, spełniające podobną rolę jak kamienie magicznych warsztatów - dzięki nim sześć kobiet tkalo błękitno-fioletowo-szkarłatną tkaninę. Adika nie wiedziała jeszcze, do czego będzie ona służyć. Kobiety nie miały zasłoniętych twarzy. Z ich włosów spływały szale, zaś one same odziane były w jasne, luźne szaty. Miały ciemną cerę i brązowo-czarne oczy. Podobnie jak u innych mieszkańców wioski, ich ręce pokrywały wykonane henną kropki i zygzaki. Ich rozmowa układała się melodyjnie, to opadając, to wznosząc i zdając się niemal wplatać w tkaninę. Najmłodsza z kobiet podniosła wzrok, by przyjrzeć się Adice śmiałymi oczami, ale szybko je spuściła, szturchnięta w udo przez swą sąsiadkę.

Znajdującą się wewnątrz namiotu zasłonę uniosły niewidoczne ręce i Adika oraz Laoina weszły do osobnej jego części. Stara kobieta wskazała im miedzianą miskę. Obmyły ręce. W tej części namiotu znajdowały się dwie skrzynie z rzeźbieniami wyobrażającymi kobietę-lwa, pluszowe dywany i stosik poduszek, wyszywanych w kwiaty i winorośl. Zasłony wiszące w namiocie były utkane z niebieskich, fioletowych i szkarłatnych nici i także przedstawiały kobietę o głowie lwa w całym jej splendorze.

Zasłona kryjąca osobną część namiotu uniosła się. W słabym świetle Adika ujrzała stół i złote krzesło misternej roboty, grube dywany, a za nimi przezroczystą, pięknie tkaną materię, zasłaniającą tył namiotu. Wyszła spoza niej sędziwa kobieta. Nosiła takie same szaty jak reszta plemienia, lecz jej głowę i twarz skrywał szal. Nie widać było nawet jej oczu, choć ona widziała wszystkich spod tkaniny o niezwykle luźnym splocie. Zgodnie z wierzeniami tutejszego ludu reprezentowała bogów na ziemi, zaś boska siła promieniowała z jej twarzy z taką mocą, iż mogłaby zabić każdego, kto spojrzy jej w twarz.

- Pozdrawiam cię, Jasności-Która-Mnie-Słyszysz - rzekła z szacunkiem Adika, podczas gdy Laoina tłumaczyła jej słowa. - Doniosłe sprawy sprowadziły mnie do twego zdumiewającego i niebezpiecznego kraju.

Jasność-Która-Mnie-Słyszysz lekko się jąkała. Mówiła z pewnym trudem, jednakże jej słowa miały siłę, jakby przemawiał sam bóg.

- I ja cię pozdrawiam, Młoda-Która-Stoisz-Pomiędzy-Nami. - Umilkła, czekając w ciszy zakłócanej tylko mrużeniem kobiet w przyległym pomieszczeniu. Wreszcie przemówiła. - Skąd przybył człowiek, który się jeszcze nie narodził?

- Z magicznego warsztatu - powiedziała Adika, zaskoczona. - Wiedząca przywiodła go z drogi prowadzącej ku krainie umarłych, toteż ma być towarzyszem mego życia do końca mych dni.

- Nie mógł umrzeć - powiedziała Wiedząca - ponieważ jeszcze się nie narodził.

- W takim razie jak to możliwe, że jest tutaj w ludzkim ciele?

- To tajemnica. Przeznaczeniem jego duszy nie jest jeszcze chodzić po ziemi.

Adika zastanawiała się, czy Laoina przetłumaczyła jej słowa prawidłowo. Jednakże nikt, włączając Adikę, nie patrzył nigdy wprost w twarze bogów. Ta zdolność z pewnością zmieniała człowieka. Oznaczało to zapewne, że taka osoba mogła widzieć rzeczy, jakich nie dostrzegali inni.

- Obawiam się, że nie rozumiem, co mówisz.

Jasność-Która-Mnie-Słyszysz zamilkła, nasłuchując - być może samego boga.

- Większa część ludzkiego życia to tajemnica. Nawet ja, która widzi boga, nie wiem wszystkiego. Powiedz mi, co się dzieje w innych krainach?

Pod dyktando Adiki Laoina wymieniła wszystkie wydarzenia, które doprowadziły do ich przybycia tutaj.

- Co zrobimy, jeśli okaże się, że Róg nie żyje? - zapytała Adika, nieco bojąc się odpowiedzi.

Zaległa tajemnicza cisza. Adika nie słyszała już mamrotania tkaczek. Nie dochodził do niej żaden dźwięk, nawet łopotanie płacht namiotu na wietrze. Czy nagle straciła słuch? Laoina zaszurała nogami. Lekko zadzwonił dzwonek.

Jasność-Która-Mnie-Słyszysz zaczęła mówić szeptem, jak gdyby powtarzając słowa dyktowane jej przez jakieś nieznane źródło.

- Jeśli Róg nie żyje, musimy wychowywać nasze dzieci na wojowników. Każde pokolenie zostanie wciągnięte do walki, w której weźmie udział ich niezliczona ilość. Wojna nigdy nie wygaśnie, gdyż Przekłęci są naszymi wrogami od dnia, gdy po raz pierwszy zjawili się wśród nas. Walka z nimi trwa po dziś dzień i będzie trwała przez dni, które nastaną. Kiedyś mój lud był ich niewolnikami. Lecz nasz bóg wyprowadził nas z niewolnictwa i osiedliśmy na dzikich terytoriach. Tutaj służy boga, którzy mają ciała



lwów, skrzydła aniołów i twarze ludzi, chronią nas przed gniewem Przeklętych. Ale mimo to wciąż zagraża nam ich magia. Z każdym rokiem zmniejsza się liczba bożych sług, bo Przeklęci polują na nie dla zabawy i składają z nich ofiary.

Uniosła rękę. Proroctwo dobiegło końca. Pojawiła się służąca z kielichem. Wiedząca opróżniła jego zawartość i zwróciła puste naczynie. Adika znowu usłyszała dziecięcy śmiech, beczenie kóz, mamrotanie tkaczek i dźwięki harfy.

Swoim normalnym tonem, jękając się lekko, Jasność-Która-Mnie-Słyszy powiedziała:

- Udajcie się do krainy kamiennych gigantów, w której mieszka feniks. Poprowadzi was człowiek o dwóch palcach. Nie możecie przejść przez warsztat poza miastem, które zostało zbudowane przez plemię, gdzie żyje Róg. Trafilibyście na ostrza noży Przeklętych. Użyjecie sekretnego przejścia. Jesteś młoda. Polegamy na twojej sile. Reszta z nas musi czekać. Jeśli Róg nie żyje, musimy mieć nadzieję, że jej obowiązki podejmie jej uczennica.

- Jeśli przeżyła atak Przeklętych... - wymruczała Adika.

- Musimy zwyciężyć, inaczej staniemy się ich niewolnikami.

Na tych słowach ich rozmowa skończyła się.

Alain tymczasem odpoczywał, zapadłszy w drzemkę na miękkich poduszkach. Nigdy jeszcze nie wydał się Adice piękniejszy niż teraz, gdy obudził się i spojrzał na nią: miał promienną twarz, błyszczące oczy, błyszczały nawet jego włosy, jak gdyby umyto je w kurzym białku.

Ziewnął i upił łyk wina.

- Śniłem dziwny sen - oznajmił. Miał wymowną twarz, szczerą i otwartą, lecz nie prostacką. - Z nieba spadały niczym śnieg płatki róż. Za plecami czułem powiew wiatru. Wiedziałem, że za mną stoi jakaś wielka, uderzająca skrzydłami bestia.

Adika wzdrygnęła się. Przypomniała sobie, co powiedziała o Alainie Jasność-Która-Mnie-Słyszy. On jednak zdawał się nie zauważać jej niepokoju. Wyciągnął rękę, podając jej owoce, kiedy jednak Adika pochylała się, by je wziąć, służący delikatnie odsunął rękę Alaina, nim ich dłonie zdążyły się ze sobą zetknąć.

- Musimy ruszać - rzekła Laoina.

Ze zdumieniem zauważyli, że oto pojawił się nowy przewodnik, odziany w czarne szaty z kapturem. Uzupełniono zapasy wody i jedzenia. Założyli na plecy swój ładunek i podążyli tą samą drogą, która wiodła wzdłuż zbiornika wodnego ku oazie. Było straszliwie gorąco, nawet w cieniu. Słońce stało w zenicie. Z trudem brnęli przez rozgrzany piach w kierunku warsztatu. Kiedy zatrzymali się w cieniu jednej z palm, ich przewodnik przyłożył do ust barani róg. Jednakże Adika nie usłyszała, by wydobywały się z niego dźwięki.

Na odległym piaszkowym wzgórzu dostrzegli wielki tuman. Trzy kobiety-lwy z na wpół rozłożonymi skrzydłami zbiegały pełnymi gracji susami z wydmy. Przypatrywały się Adice, Alainowi i kobiecie ludu Akka swoimi nieczłowieczymi oczami osadzonymi w ludzkich twarzach, po czym przysiadły na ziemi. Przewodnik wskazał na ich grzbiety.

Laoina zakłęta. Adika ani drgnęła. Nie wiedziała, co jest intensywniejsze: słońce czy jej strach. Alain ostrożnie wysunął się do przodu. Wychodząc z cienia, aż się pochylił pod wpływem gorąca. Rozgrzany piach sprawiał, że przeskakiwał z nogi na nogę, aż wreszcie podszedł do najbliższego sfinksa. Podczas gdy niezręcznie gramolił się na jego grzbiet, psy zaczęły obwąchiwać tylne łapy olbrzymiego stworzenia. Kobieta-lew machnęła ogonem, odganiając je, po czym wbiła pazury w piach.

- Chodźcie - rzekł Alain. Był zadowolony niczym dziecko, którego niewinność chroni przed strachem.

Adika dotknęła łokcia Laoiny.

- Chodź - powiedziała, widząc, że kobieta ludu Akka zamarła ze strachu. - Widziałas budzące się smoki. Te stworzenia z pewnością nie są od nich groźniejsze.

- Robię to tylko dlatego, że walczymy z Przeklętymi - wtrąciła Laoina z pełnym rezygnacji westchnieniem. - Poza tym mam swoje zadanie.

Wykonała skomplikowany gest, odpędzający złe duchy i bez ostrzeżenia podbiegła ku drugiemu sfinksovi. Adika weszła na straszliwie gorący piach. Wspięła się na tylną łapę sfinksa, który podniósł łapę do góry. Adika siadła okrakiem na jego plecach, tak jak to czyniła na grzbiecie Wiedzącej-centaura. Przez ciało sfinksa przeszło dudniące pomrukiwanie.

Chwiejąc się na grzbiecie królowej pustyni, Adika przyłgnęła do jej pleców, starając się znaleźć jakieś zaczepienie. Wreszcie mocno ścisnęła nogami skrzydła i płasko przywarła do szyi sfinksa.

Podróż na grzbiecie kobiety-lwa okazała się łatwiejsza, niż to się wcześniej Adice wydawało. Grzbiet był gładki i wygodny, choć futro drażniło skórę jej ud. Sakwa z magicznymi precjozami objęła się o jej

plecy, uderzając wciąż w to samo miejsce, jednakże Adika nie odważyła się poprawić pakunku.

Słońce grzało niemilosiernie. Przemierzili wzgórze i Adika ujrzała kamienny krąg. W tym momencie chwyciły ją mdłości. Powietrze wydawało się gotować, a piasek drżał i falował. Spod magicznego warsztatu sypały się iskry. Nagle, bez ostrzeżenia, nadleciały z tamtej strony strzały. Laoina krzyknęła z bólu. Sfinks Adiki odrzucił głowę do tyłu, jakby chciał zaryczeć, lecz z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Kobieta-lew, na której siedział Alain, w ostatniej chwili zmieniła kierunek, uciekając przed kolejną strzałą.

- Przeklęci! - krzyknęła Laoina.

Pomiędzy kamieniami przemykały postacie w zwierzęcych maskach, lecz o ludzkich ciałach.

Wierzchowiec Adiki zachwiał się, ona sama zaś o mało nie spadła z jego grzbietu. Gdyby tak się stało, zginęłaby.

Rozległ się przerażający okrzyk Przeklętych. Było ich około dwunastu. Sfinksy podkuliły ogony i pobiegły w kierunku pustyni. Usiłując utrzymać się na grzbiecie, Adika nie rzuciła nawet zaklęcia rozpraszania.

Okrzyki Przeklętych słabły w miarę, jak się oddalali. Usłyszeli odległy dźwięk baraniego rogu, ostry i nagły. Dźwięk zniknął, podczas gdy sfinksy przemierzyły wzgórze i znalazły się na równinie tak płaskiej i pozbawionej jakiegokolwiek roślinności, że wydawało się, iż teren ten nawiedził pożar. Serce Adiki waliło jak młotem. Jej lepka od potu skóra ocierała się o chropowate futro sfinksa. Biegli, biegli, biegli bez końca. Zamknęła oczy, marząc o wytchnieniu i wodzie.

Przeklęci poznali sekret magicznych warsztatów. Wydawało się, że ludzkość jest skazana na zagładę. Nie mogli w żaden sposób powstrzymać Przeklętych przed rozpoczęciem walki, jeśli ci potrafili przechodzić przez magiczne przejścia.

Nachodziły ją fale mdłości. Rozpaczliwie trzymała się futra sfinksa. Przed oczami fruwały jej czarne płatki. Ziemia, niczym lustro, odbijała gorące promienie. Wszystko, co widziała, przybrało szarą barwę. Adika walczyła o zachowanie świadomości. Jak daleko się zapędzili? Gdzie zabrali ich kobiety-lwy? Czy uda się jej jeszcze trochę utrzymać na grzbiecie?

Jakby w odpowiedzi na jej myśli kobieta-lew zwolniła, zrównawszy się z innymi sfinksami. Stworzenia rozłożyły skrzydła, tworząc osłonę, przez którą przeświecało bledsze i słabsze słońce. Kiedy Adika popatrzyła na ziemię, poraziło ją światło, toteż zamknęła oczy i oparła głowę o kark sfinksa. Pod osłoną z jego skrzydeł powiał chłodniejszy wiatr. Podróżowali dalej, lecz teraz Adice było już łatwiej.

Dała radę to przetrwać.

Przetrwałaby wszystko, byleby tylko udało im się pozbyć Przeklętych.

## 2

Na skutek niespodziewanego ataku serce Alaina waliło jak szalone. Strzały nadlatujące od strony kamiennego kręgu świszczały złowrogo. Migwały pierzaste hełmy. Być może Kel miał rację. Może Przeklęci byli po prostu żądnymi krwi poganami, dążącymi do wojny. Zwilżył wargi językiem. Odruchowo sięgnął po zwisający mu u pasa bukłak z wodą i wtedy został draśnięty strzałą.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Zdążyli dotrzeć do pasma stromych skał, wielkością dziesięciokrotnie przewyższające ogromne koty, na których podróżowali. Sfinksy zaniósł ich w cień klifu, gdzie nie sięgało popołudniowe słońce. Pomiędzy skałami tryskało ukryte źródło. Alain pozwolił, by Smutek i Furia napiły się, po czym zaspokoił własne pragnienie. Potem zaczął wcierać masę w łapy obu psów. Adika tymczasem oglądała lekkie draśnięcie na lewym udzie Laoiny. Zaczęło ropieć po truciźnie z grotów strzał Przeklętych. Używając źródlanej wody i lawendowej maści, oczyściła ranę. Laoina oparła się o skałę. Potrzebowała odpoczynku.

Alain ukląkł obok Adiki i pogłaskał jej włosy. Nawet jeśli dziwnie się zachowywała (a zdarzało się to dość często), zawsze z przyjemnością na nią patrzył. Podobnie jak Tego-Który-Pluje-Ostatni, przepelniała ją witalność, będąca w rażącym kontraście ze smutkiem, jaki nieraz pojawiał się w jej oczach. Alain usiadł przy skale, a Adika oparła się o jego ramię. Podzielili się kawałkiem chleba. Trzymając go w ręku, Alain przysnął.

Kiedy się przebudził, kawałek chleba już nie było. Smutek i Furia położyły głowy na przednich łapach,

wpatrując się w niego żałośnie, najpewniej mając nadzieję na więcej.

W słońcu leżały trzy sfinksy. Machały ogonami. Jeden z nich miał przeciętą łapę, drugi lizał ranę. W ich spojrzeniu jednak nie sposób było dostrzec strachu.

- Czuję się jak mysz, którą za moment połknie wielki kot - wymamrotała Adika.

Alain roześmiał się, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Nie zjedzą cię.

Adika oparła głowę na jego piersi i zasnęła. Alain westchnął, czując miły ciężar ukochanej na swym ciele - znak jej zaufania. Czy nie to liczyło się najbardziej na świecie? Mogliby przeżyć wiele lat razem, wychować dzieci, uprawiać ziemię.

Wszystko to może się udać, pomyślał.

Obudził go kaszel. Na horyzoncie wstawało słońce, rozlewając różowy i purpurowy blask. Na niebie nie było ani jednej chmury. Linia pomiędzy ziemią a niebem wydawała się tak wyraźna, jak gdyby narysowała ją ludzka ręka, używając do tego węgla i farb. Był sam, nie licząc Smutka, sprawującego wartę. Kto kasłał? Alain czuł, że przeszywa go wzrok jakiejś niewidocznej osoby, nie wrogiej, lecz zaciekawionej.

Ostrożnie wstał. Bolała go szyja, bo spał ułożony pod dziwnym kątem, zaś jego ręce, kolana i łydki piekły, poparzone słońcem, pokryte bąblami. Gardło miał całkowicie wysuszone. Na szczęście pomiędzy skałami płynęło źródelko. Ściany skał porastał mech. Alain użył go jako gąbki do mycia.

- Gdzie jest Furia? - zapytał psa. - Szukaj Adiki.

Ogar wstał, ziewając potężnie. Przypadł do ziemi, węsząc, po czym ruszył przed siebie. Alain schwycił swój kij i podążył za nim. Ponad nimi wznosiły się spiralne wierzchołki skał. Spowijała je ciemność. Tylko wschodnie szczyty oświetlały ostatnie promienie słońca.

Alain spotkał powracającą ku skale Laoinę.

- Ty chodź, szybko - rzekła. - Noc idzie. Gwiazdy idą.

Pozbierali swoje rzeczy i ruszyli. Klif przechodził w wąwóz, w którym znajdowały się kamienne stopnie. W powietrzu unosił się zapach wody. Na kamiennych ścianach rosły nieliczne rośliny. Niektóre były koleczaste i klujące w dotyku, inne płożły się na ziemi, wijąc się w skalnych otworach.

Wąwóz kończył się stromą ścianą. Tutaj jakieś nieznanne plemię wzniosło magiczny warsztat o nietypowym kształcie, tworzyły go bowiem kolumny, nie zaś megality. Adika przeszła pomiędzy nimi, mierząc ich odległość. Często spoglądała w mroczne niebo. Filary wyglądały jak wykute z granitu, lecz w dotyku przypominały zamrożoną w kamieniu skórę węża. Wyższa część kolumny miała formę klatki piersiowej kobiety, z rękami przyciśniętymi płasko do łuskowatego, szarego boku. Kapitel zdobiły fantazyjne rzeźby - wianki i winorośl na wpół przykrywały szczupłe twarze roześmianych dziewcząt. Alain dopiero po chwili zauważył, że te wieńce były tak naprawdę wyrzeźbionymi węzami.

Jego oczy poraził blask złota. Ukląkł u stóp jednej z kolumn, zatopiwszy ręce w piasku i wydobył naszyjnik, wykonany ze złotych sztabek. Każdą z nich zdobił wizerunek uskrzydłonej bogini, odzianej w kilkuwarstwową szatę. Obok widniały dwa lwy, całość zaś otaczały rozety, podobne do tych, zdobiących pałace Przeklętych. Jak to się stało, że naszyjnik się tutaj znalazł?

Alain przyłożył naszyjnik do szyi Adiki.

- Wygląda pięknie, gdy nosi go piękność. - Złote sztabki były dziwnie chłodne, ich dotyk był przeszywający niczym dotyk śmierci, zapewne dlatego, że naszyjnik spoczywał w swoistym grobie pośród piasków pustyni.

Trzęsąc się, Adika odepchnęła jego ręce.

- Nie mogę go nosić, gdyż nie do mnie należy. Jest pełen pradawnej magii.

Zdziwiony jej gwałtownością Alain zakopał naszyjnik w piasku.

- Nie wezmę zatem rzeczy, która nie jest nasza - odparł. - Gdzie są kobiety-lwy?

Wstała, spoglądając w niebo.

- Musimy przejść przez magiczny krąg. Chodź.

Furia zawarczała cicho, stając czujnie przy wejściu do szczeliny, znajdującej się w skale i blokującej koniec wąwozu. Ze szczeliny dobywał się dziwny zapach. Za ich plecami Laoina pogwizdywała jakąś melodię, wijącą się niczym zaklęcie. Do Furii dołączył Smutek. Również stanął na warcie.

- Szybko. - Laoina włócznią wskazała na psy. - Idziemy, szybko, szybko. Coś nadchodzi.

Nad ich głowami pojawiły się pierwsze gwiazdy.

- Nie wiem, ile czasu minęło - rzekła Adika, wkładając na plecy sakwę. - Widzisz księżyc? Hej, niech dni nie mijają tak szybko, proszę cię, o Obfita. Niech nie będzie za późno.

- Czego mam szukać? - zapytał Alain, stając u jej boku. - Poinstruuuj mnie, jak mam ci pomóc tkać wzór.

- Kraina Dwóch Palców leży na zachód stąd. Jeśli więc mamy podążać na zachód, musimy tkać, biorąc to pod uwagę. - Obserwowała niebo, czujna i świadoma swego celu. Trzymała lustro oparte na piersi. - Gwiazdy nie poruszają się w stosunku do siebie. Ale to, jak wysoko bądź nisko znajdują się na niebie, może się zmieniać. Popatrz tam. - Wskazała na jasne zakole gwiazd, świecące mocno na nocnym pustynnym niebie. - W naszych stronach Wąż przesuwa się wzdłuż wzgórz. Tutaj, na pustyni, Wąż potrzebuje niewidzialnych skrzydeł, które pozwolą mu się unieść. Tamta jasna gwiazda to jego czerwone oko. Tak, tamta. Teraz idź krok do tyłu. Zaczynam tkać pierwszą nicią...

Uniósłszy lustro, Adika nachyliła je pod takim kątem, iż odbijało pierwszą z gwiazd. Zdawało się, że zapomniała o jego obecności, intonując zakłęcie. Gwałtownie odsunęła się od Alaina, tak jakby w przestrzeni ich dzielącej powstała jakaś rozpadlina. Jak mógł pomóc, przypatrując się jej magicznym działaniom? Plotła się wokół gwiazd zwanych Naszyjnikiem Wiedzącej. Znajdowały się wysoko na niebie, w jego zachodniej części. Adika utkała wrota do zachodnich krain. Alain nigdy jeszcze nie asystował tej czynności z tak bliska. W podeszwach stóp czuł dudnienie. Widoczny był już łuk wrót. Psy skowyczały, wycofując się. Zapadała coraz głębsza noc.

- Chodź! - zawołała Adika, wciąż zajęta tkaniem labiryntu.

O skalne klify odbiło się syczące echo. Laoina nie potrzebowała zachęty: już przechodziła przez próg.

- Idź! - krzyknęła Adika. - Pójdę za tobą!

- Nie zostawię cię! - odrzyknął. Psy przebiegły przez wrota, wystraszone.

Co, na Boga, tak je przeraziło, że biegły jak szalone?

O skalną powierzchnię otarło się coś ciężkiego. Alain obrócił się, unosząc swój kij, zobaczył jednak tylko cień. Po ziemi zaszurały ciężkie kroki. Kobieta-lew przemknęła obok niego w absolutnej ciszy.

- Alain!

Odpowiedział jej syk. Z rozpadliny wyłoniło się stworzenie, wijące się na podobieństwo węża. Ale to nie był wąż.

Stworzenie miało jasnokremową skórę i klatkę piersiową kobiety. Twarz należała do młodej kobiety i rysowała się na niej duma oraz szaleństwo. Włosy wirowały wokół głowy niczym targane wiatrem. Były żywe, tworzyły je bowiem wijące się węże.

- Alain! - Wrota uwidoczniły się, a magiczne nici zaczęły znikać. Sfinks przygotował się do ataku, Alain zaś usłyszał płacz Adiki. Wskoczył w iskrzące wrota, w osłepiającą burzę piaskową.

Porwany przez wir, rozpaczliwie machał rękami. Nie mógł oddychać.

Pochwyciły go jakieś ręce i zaczęły ciągnąć. Wciąż się potykał. Siła burzy piaskowej była potężna. Alain zdołał pochwycić skraj swej opończy i zasłonił nim twarz. Suche drobiny piachu przedostawały mu się do ust, a za każdym razem, gdy przełykał ślinę, drażniły gardło.

Szli, potykając się o wyboisty grunt. To wszystko zdawało się trwać całe wieki. Piasek sprawiał im ból, ranił. Siekł z wielką siłą, zwłaszcza nagą skórę Alaina. Nie widział kompletnie nic. Wreszcie poczuł, że przed nim znajduje się masywna, kamienna ściana. Silny uchwyt pociągnął go na bok. Zaczął wzdłuż gładkiego zbocza. Upadł na kolana, na kamienną płytę. Wysoko w górze szalał wiatr. Splunął, zakasłał i zwymiotował. Oczy i uszy miał pełne piachu.

Gdzie była Adika? Czy udało jej się uciec przed burzą? Alain z trudem wstał. Jakiś mężczyzna powiedział coś do niego w niezrozumiałym języku. Po chwili przemówił znowu, używając języka plemienia Białych Jeleni, z akcentem nawet dziwniejszym niż akcent Laoiny, lecz z lepszym wyczuciem subtelności tej mowy.

- Wstań, przybyszu. Podejdz, jeśli masz ochotę. Tu jest miejsce, gdzie możesz się umyć.

Alain zmrużył oczy. Przypatrywał mu się śniady mężczyzna o dumnej twarzy i orlim nosie. Czy wykrzywił usta z litości? Eleganckim gestem wskazał tunel, oświetlony przez płonący w glinianej misce olej. Alain zerknął w kierunku, z którego przybyli. W wejściu ukazały się trzy postacie w szatach, z włóczniami w rękach. Wpatrywali się w burzę piaskową. Słychać było wycie wiatru i duchów. Czego jeszcze obawiali się prócz burzy, Alain wolał się nie dowiadywać. Nie po tym, jak zobaczył kobietę-węża.

Nigdy nie sądził, że zobaczy tak wiele zdumiewających rzeczy, jak choćby wizje przeszłości. W lesie wokół zamku Lavas żyły żubry, czasem można było zobaczyć jednorożca, który nagle się pojawiał i znikał, było też mnóstwo wilków, lecz drapieżcy, nękający ludzi w starych legendach - guivre'y z bagien, smoki czy gryfy latające nad łąkami - nie występowały w północnych lasach. Prawdę rzekłszy, w ogóle ich nie widywano i uważano, że są to tylko stwory z baśni, wymyślone, by straszyć dzieci.

Może trzej nieznajomi byli strażnikami, pilnującymi, czy nie pojawią się Przeklęci. Wydawało się

prawie niemożliwe przeprowadzenie kogokolwiek podczas burzy piaskowej.

- Gdzie jest Wybrana?

- Przybyła przed tobą, nim uderzyła burza. Chodź ze mną.

- Muszę mieć pewność, że jest bezpieczna.

Spojrzenie jego przewodnika było ostre jak brzytwa.

- Uprzedziła, że o to zapytasz. Adika udała się do Dwóch Palców. Mam ci to pokazać na znak, że jest bezpieczna. - Wyciągnął dłoń, w której spoczywała miedziana bransoleta Adiki. - Psy także dotarły do nas bezpiecznie. Teraz chodźmy. - Odwrócił się i poszedł wzdłuż tunelu.

Gliniane lampki rozmieszczono w całym korytarzu. Idąc, odpalali jedną od drugiej. W ten sposób nie pozostawali w całkowitych ciemnościach dłużej niż na parę chwil. W ich kamiennej kryjówce pachniało anyżkiem. Przy każdym kroku z Alaina sypał się piasek. Pomyślał, że chyba już nigdy nie pozbędzie się go do końca.

Tunel przechodził w niewielkie kamienne pomieszczenie, w którym znajdowały się wykonane ze zwierzęcych skór i naciągnięte za pomocą lin namioty. Kamienna sala była pusta. Złotnik został zaskoczony w połowie swej pracy - wokół leżały narzędzia i zdumiewająco piękny naszyjnik oraz napierśnik z dwoma ścierającymi się sokołami. Przy dwóch warsztatach tkackich nie było nikogo; jedna z tkanin, prawie ukończona, lśniła barwami złota, błękitu, czerni i czerwieni. Na stołku leżała skóra, porzucona przez kogoś, kto ją oprawiał. Na ziemi znajdował się dziecięcy wózek; odpadło od niego koło, zaś zabawka przechyliła się na jedną stronę.

Przewodnik czekał cierpliwie, podczas gdy Alain przypatrywał się komnacie. Wreszcie wskazał wejście do małego tunelu.

- Tędy. - Usłyszał.

Drugi, mniejszy tunel, był krótszy, lepiej oświetlony i prowadził do kolistej skalnej sali, przedzielonej w połowie zasłoną. Przewodnik uchylił ją i wskazał na wypełnioną wodą sadzawkę. Nie był wcale skrępowany. Przypatrywał się z zainteresowaniem, jak Alain podchodzi ku bajorku, zanurza rękę w wodzie i wyraźnie stwierdza, że jest przyjemnie ciepła. Z westchnieniem Alain przepłukał twarz.

- Jesteś małżonkiem Wybranej - rzekł mężczyzna, wręczając Alainowi chropowatą gąbkę. - Nie boisz się, że jej przeznaczenie dosięgnie i ciebie?

- Nie boję się. Ochronię ją.

Mężczyzna miał podobnie jak Liath ciemną cerę i krzaczaste brwi, teraz uniesione na znak sceptycyzmu.

- Przeznaczenie jest już postanowione. Kiedy Czepiec Szamana będzie na szczycie niebios, siedmiu rozpocznie tkanie. Nic nie powstrzyma tego, co nastąpi potem. - Dotknął palcami warg, jak gdyby zmuszając się do milczenia. - Ale o tym nie wolno nam mówić. Przeklęci słyszą wszystko.

- Adice nic się nie stanie - powiedział z naciskiem Alain.

Mężczyzna chrząknął lekko w odpowiedzi. A potem zaczął prac w sadzawce ubranie Alaina.

Kiedy Alain dokładnie się umył, przyjrzał się swemu ciału. Zimą zeszczuła, a praca sprawiła, że stał się silniejszy. Na biodrach miał ślady od sieczenia piasku, zaś jego pięty były czerwone i otarte. Oparzenia słoneczne, których nabawił się na pustyni, już zniknęły, a na skórze nie było żadnych śladów, jakby od chwili, w której przekroczyli wrota, minęły dni i tygodnie.

- Jesteś dzielnym człowiekiem - powiedział przewodnik uroczyście, wręczając Alainowi mokre, wyżęte odzienie.

Alain zaśmiał się. Słowa te w takiej scenerii zabrzmiały nieco zabawnie.

- Kto jest odważny, mój przyjacielu? Chcę tylko zapewnić bezpieczeństwo kobiecie, którą kocham. - Zaczął się ubierać. - Jak cię zwą pośród twoich ludzi?

- Mam na imię Hani. A jak ciebie wolno nazywać?

- Mam na imię Alain. Czy twój lud zawsze zamieszkuje w jaskiniach?

- Nie. Tutaj schroniliśmy się przed atakiem Przeklętych.

Alain potrafił to zrozumieć. Miał jednak pytania. Kiedy Przeklęci zaatakowali po raz pierwszy? Jak często dokonują najazdów i z jakiego kierunku przybywają? Hani odpowiadał według swej najlepszej woli.

- Czy sądzisz, że Przeklęci potrafią już przechodzić przez magiczne warsztaty? - rzucił Alain.

- Możliwe. Albo też przybili statkami do brzegów i ukryli je. W ten sposób chcą, byśmy wierzyli, że potrafią przechodzić przez magiczne wrota.

- W takim razie musimy obawiać się zarówno ich najazdów, jak też ich wiedzy, gdyż nie umiemy powiedzieć, jak jest wielka.

Hani uśmiechnął się ironicznie, co przydało jego dumnej twarzy dziwnego wyrazu.

- Myślę podobnie, lecz Wybrane i starszyzna mego ludu nie chcą mnie słuchać.

Rozmawiając łamanym językiem, powrócili do głównej groty, a następnie zanurkowali za zasłonę, za którą krył się niewielki tunel. Podążali wieloma korytarzami, skręcając nieskończoną ilość razy. Alain pomyślał, że nigdy nie poradziłby sobie w tym miejscu bez przewodnika.

W przerwach w wędrówce po labiryncie tuneli słyszeli szalejący na zewnątrz wiatr. Dźwięk ten jednak cichł, w miarę jak zbliżali się do okrągłego otworu w skale. Alain dał krok ponad kupkę kamieni znajdujących się w poprzek korytarza, jednocześnie pochylił się, by nie uderzyć głową w niski sufit. Znalazł się w skąpanym w czerwieni świetle. Ściany groty pomalowane były na kolor brunatnożółty.

Hani ukląkł i odmówił modlitwę. W powietrzu wisiał zapach słodkiego pachnidła. Znajdowali się w skalnej komnacie. W kamieniu wyrzeźbiono schody i drzwi, nisze i strop, i pomalowano je czerwono-pomarańczową farbą. Można było pomyśleć, że znaleźli się w podziemnej krypcie, starożytnym domu najstarszych matek rodzaju ludzkiego.

Zgromadzili się tutaj ludzie. W milczeniu siedzieli lub klęczeli. Ich włosy osłaniały szale. Alain nie dostrzegł dzieci. Klęczała tutaj także Laoina, tuż przy drzwiach wyrzeźbionych na wzór skalnego nadproża.

Osloniła ręką oczy, chroniąc je przed ostrym światłem. Kiedy Alain zatrzymał się przy niej, spojrzała na niego z wyrazem ulgi na twarzy.

- Nie straciliśmy cię! Usiądź obok.

Alain wciąż nie widział Adiki. Ignorując stanowczy protest Haniego, przekroczył próg.

W kolejnym skalnym pomieszczeniu siedziało troje ludzi. Dwoje z nich miało zasłonięte twarze, trzecią osobą była Adika. Woń kadzidła zaparła Alainowi dech. Smutek i Furia usiadły po obu stronach drzwi, czekając na swego pana.

W milczeniu, z pochyloną głową, Adika czekała, podczas gdy zawołowany człowiek intonował jakąś pieśń, piastując w ręku węzełek. Jego druga ręka wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała w takt pieśni. U jednej z dłoni brakowało mu dwóch palców.

U jego stóp spoczywał biało-czerwony tygiel, na którym wryto kręte spirale. Na ich delikatnych liniach, tak jak w przypadku róży, pojawiały się kolce. Mężczyzna pochylił się i włożył węzełek do tygla. W tym momencie zawiniątko rozchyliło się na tyle, by Alain dojrzał znajdującą się wewnątrz głowę martwego niemowlęcia. Potem Dwa Palce przykrył tygiel pokrywką.

Drużyna z zawołowanych postaci wysunęła się do przodu i umieściła tygiel w rzędzie dwunastu takich samych naczyń. Stały one na półkach, wyrzeźbionych w skalnych niszach. Potem obydwójce wrócili na środek groty, śpiewając modlitwy.

Adika dostrzegła Alaina. Miała łagodny i zarazem smutny wyraz twarzy, jednakże w kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech. Dotknęła palcami warg. Od czasu do czasu zachowywała się dość niezrozumiale, lecz Alain na dobre już pojął język jej ciała: pragnęła, by pozostał tam, gdzie jest, tak by nie przeszkadzał w ceremonii. Skinął więc głową i wycofał się ku Smutkowi i Furii.

Modlitwy ucichły. W grocie zapadła cisza, gęsta niczym dym z kadzidła. Słyszeć było tylko gwizd wiatru, raz słabnący, a raz narastający. Alainowi przez chwilę zdawało się, że słyszy płacz dziecka, jednakże przez upiorne wycie wiatru nie miał pewności, czy rzeczywiście słyszy płacz.

Asystująca Dwóm Palcom postać uchyliła welon, ukazując młodą twarz o poważnym wyrazie i gniewnej zmarszczce. Pociągnęła sznurkiem, na który nanizano kamień, kość i wypolerowane drewniane paciorki. Alain usłyszał, jak zgromadzeni za zasłoną tłum wstaje i odchodzi.

Nad wejściem wisiała zasłona, utkana z metalicznie połyskujących włókien. Widniał na niej wizerunek złotych skrzydeł na błękitnym tle. Zasłonę zdobiły koraliki i muszelki. Dwa Palce zdjął kryjący go zawój. Miał poważną, spaloną słońcem i wiatrem, gładko wygoloną twarz. Trudno było określić, ile ma lat, choć w kącikach jego oczu pojawiły się już zmarszczki. Wypowiedział zwyczajowe powitanie, pokazując otwartą dłoń o trzech palcach. Blizna wskazywała, że rana już się zagoiła. Prawdopodobnie powstała wskutek ataku bestii.

- Dlaczego przybywasz, córko? Jakie wieści przynosisz?

Adika opowiedziała mu historię ich pośpiesznej podróży. Dwa Palce słuchał uważnie, podczas gdy Hani i Laoina tłumaczyli spoza kurtyny. Dwa Palce przerywał nieraz, zadając pytania, bo nie wszystko rozumiał z niedoskonałego tłumaczenia.

- Doprawdy - rzekł, kiedy Adika skończyła - obawialiśmy się najgorszego. Teraz musimy postawić strażę wokół każdego warsztatu, bo Przekłęci przechodzą przez magiczne wrota, kiedy chcą.

- Czy poznali sekret warsztatów? - zapytał Alain. - A może te grupy najeźdźców zostały wysłane po to,

by zasugerować wam, że Przekłęci wiedzą więcej, niż to jest w rzeczywistości?

Dwa Palce uśmiechnął się. Na jego twarzy pojawiły się dołeczki.

- Czy mówi te słowa mąż Adiki, czy syn mej kuzynki, Hani? Przekłęci wysyłają mniejsze grupy wojowników, którzy nękają nas przez wiele księżyców i pór roku. Tak robili w przeszłości - nękali ludzi. Może się nam tylko wydawać, że podróżują, używając warsztatów, podczas gdy w rzeczywistości posługują się inną magią, której nie znamy. Jednakże jakie to ma znaczenie, skoro zabili Róg i złamali tajemnicę tkania?

- Nie mów tak - poprosiła Adika poważnie. - By dostać się tutaj, przebyliśmy długą drogę. Nie możemy pozwolić, by nas teraz pokonali.

- Musimy mieć pewność - odparł Dwa Palce z namysłem.

- W jaki sposób ja i moi towarzysze możemy znaleźć Róg, nie wpadając w pułapkę zastawioną przez Przeklętych?

Hani zamilkł, zaś Dwa Palce popadł w zadumę. Alain zerknął w kierunku niszy, gdzie stały ofiarne tygrysy. Czy w jednym z nich rzeczywiście znajduje się nieżywe dziecko? Czy intensywnie pachnące kadzidło miało przesłonić zapach gnicia? Pomalowane czerwoną farbą ściany niszy pokrywały malowidła przedstawiające ciężarne kobiety o okrągłych biodrach, będące wyobrażeniem Obfitej, wędrującej w górę i w dół ścian niszy. Jej zadaniem było czcić umarłych i chronić ich.

- Burza może trwać przez wiele dni. Niektórzy spośród ludzi mego plemienia wierzą, że Przekłęci nasyłają na nas burze piaskowe, by złamać naszego ducha.

Podniósł swą okaleczoną dłoń w geście poddania się.

- Wiem niewiele. Taka jest prawda, że każdego roku nawiedzają nas coraz silniejsze burze. Ale nie jestem pewien, czy nawet Przekłęci dysponują magią na tyle potężną, by wywoływać burze w odległym przeciw kraju.

- Mają statki.

- Tak jest. W jaki sposób burza może pomóc Przeklętym, kiedy są na morzu? Chyba że potrafią obrócić na swoją korzyść każdy powiew wiatru. - Znowu uczynił gest pełen rezygnacji. Popatrzył na swą młodą pomocnicę. Dziewczyna przełknęła ślinę. Wydawało się, że nic nie może zakłócić jej koncentracji i wywabić z jej twarzy surowej zmarszczki.

- Wszystko się wkrótce okaże. Miesiąc Adiru zbliża się do końca. Teraz słońce trwa w spoczynku...

- Minęło tyle czasu? - zapytała chrypliwie Adika. - Kiedy wyruszyliśmy, wiosna dopiero się zaczynała!

Czy było już lato? Adika powiedziała Alainowi, że kiedy przechodzi się przez magiczne wrota, czas płynie inaczej. Jak mogła jednak zajść tak wielka zmiana, skoro minęło tylko kilka dni?

- Tak, wiele czasu upłynęło - potwierdził poważnie Dwa Palce. - Czas tkania nie będzie na nas czekał. Nadejdzie, czy będziemy gotowi, czy nie.

- Musimy być gotowi. - Na twarzy Adiki malował się upór, który Alain nauczył się szanować.

Dwa Palce skinął głową.

- Aby nam się udało, jedno z nas musi pojechać do kraju Roga, by sprawdzić, czy ona żyje. Udam się tam z tobą.

- Wystarczy, że ja ryzykuję - powiedziała Adika. - Nie możesz wystawiać się na niebezpieczeństwo.

- Nie, bo zastąpi mnie Hehoyanah. - Wskazał na młodą kobietę. - Utkam moją część wzoru. Ciebie nie zastąpi nikt, Adiko, bo nie masz uczennicy. Choć posiadasz opiekuńczego ducha, który z tobą wędruje. - Wskazał na Alaina, rzucając mu znaczące spojrzenie. Dołeczek na jego twarzy pogłębił się, gdy przelotnie się uśmiechnął. - Muszę być pewien, że powrócisz bezpiecznie do naszego kraju.

Adika poczuła, jak sztywnieją jej ramiona. Szarpnęła rękaw swego odzienia, tak jak to miała zwyczaj robić, gdy była zdenerwowana.

- Starszyzna z dużą łatwością poświęca młodych. Czy twoja uczennica przyjmie ze spokojem swój los, który przyszykowałaś jej tak nagle?

Alain wystąpił do przodu, chcąc ją uspokoić, ale kiedy uczennica Dwóch Palców uniosła skrawek welonu, pomyślał, że lepiej będzie się nie wtrącać. Sprawa nie była w jego rękach.

Dwa Palce popatrzył na Adikę ze spokojem, jak gdyby złość malująca się na jej twarzy nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Jednakże jego głos nie brzmiał spokojnie.

- Czy naprawdę sądzisz, że starsi tak łatwo poświęcają młodych? - Wskazał na tygrysy znajdujące się w niszy. - Niech twoje oczy widzą wyraźnie. Jest mi przykro, że młodzi muszą dzielić ciężar ze starszymi. Nie mamy jednak wyboru, jeśli nie chcemy przegrać wojny z Przeklętymi i nie chcemy pozwolić, by ludzie stali się ich niewolnikami.

Słowa zaniepokoiły Alaina. Dlaczego wszyscy tak uparcie mówią o przeznaczeniu i śmierci? Adika

była taka młoda. I choć wszyscy ludzie muszą kiedyś umrzeć, a niektórzy przedwcześnie, ona powinna mieć przed sobą jeszcze wiele lat życia. Z Alainem u boku.

W dali zawył wiatr. Przypominało to krzyk dziecka, oderwanego od matczynej piersi.

- Chodź. - Tym razem wraz z nikłym uśmiechem, na twarzy Dwóch Palców nie pojawiły się już dołeczki. - Nie możemy czekać, aż burza ustanie sama z siebie. Musimy podążyć drogą feniksa do kraju, gdzie mieszka Róg.

Z glinianego naczynia, stojącego w niszy, wydobyl papkę w kolorze czerwonej ochry i posmarował nią czoło Adiki. Po chwili wahania uczynił to samo z Alainem. Owinął się szczelnie swym zawojem, po czym zasłona uniosła się w górę i mogli opuścić grotę.

W większej kamiennej sali pozostało sześciu ludzi. Ujrzawszy ich, Laoina uspokoiła się nieco. Dwa Palce przemówił do swych współplemieńców w ich rodzimym języku. Skomplikowane i tajemnicze zdania sprawiły, że Laoina potrząsała głową, oszołomiona.

Hani przysunął się do Alaina.

- W tej sytuacji Wybrany pożegna się z rodziną.

Tak było. Dwa Palce faktycznie dokonywał pożegnania: ręka na czole, jakieś polecenia, dotknięcie się czołami. Przypominało to pocałunek lub spotkanie dwóch umysłów.

Jako ostatnia pożegnała się Hehoyanah. Miała dumną twarz, nie skrywającą emocji, jak gdyby wszystkie zasłony jej wnętrza i zewnętrzne maski zostały odrzucone. Przykłęknęła i pochyliła się, przyjmując błogosławieństwo. Potem wstała i z uniesionymi rękoma podeszła do Adiki. Ta dotknęła jej swoimi dłońmi. Ręce Hehoyanah były mniejsze i pulchniejsze, lecz wyglądały na dostatecznie mocne, by skrócić kark każdemu, kto śmiałby ją obrazić. Również nie miała palców i miała taką samą bliznę jak Dwa Palce.

- Tak więc podążamy tą samą ścieżką. Poznam cię, gdy nadejdzie czas, Adiko.

- Niech twoi bogowie i twój lud pobłogosławią cię...

- Jest tylko jeden bóg - odparła Hehoyanah. - Jest wszędzie, ale nie można go zobaczyć.

- Tsst! - wymruczała Laoina. W tej samej chwili Hani skrzywił się, jak to robią ludzie, gdy jakiś krewny po raz kolejny opowiada o tym, jak własnoręcznie zabił żubra. - Skąd możesz czerpać wiedzę o bogu, którego nie widzimy i którego nie ma w konkretnym miejscu?

- Proszę cię - rzekł Alain, zaskoczony, po czym wysunął się naprzód. Dopiero kiedy wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem, zorientował się, że zaczął używać języka wendarskiego.

Z trudem znalazł słowa w języku Białych Jeleni. - Czy nie słyszałaś o Bogu, którego tworzą dwie osoby?

- Bóg jest tylko jeden! - sprzeciwiła się Hehoyanah. - Bóg nie ma ciała, ponieważ jest duchem.

Dwa Palce przeciął dyskusję energicznym gestem.

- Tak mówi ta, której twarz musi być zasłonięta, gdyż ogląda bożego ducha, a Jego światłość wciąż jaśnieje w jej twarzy tak mocno, iż poraziłaby śmiertelnie każdego człowieka. To nie czas, córko, na takie dyskusje.

- Jeśli nie powiedziałabym prawdy, byłoby tak, jakbym modliła się do bożków!

- Jeśli tak, powinienem odesłać cię do obcych ludów! Córko, usłuchaj mnie tym razem. Postępuję tak, jak prowadzą mnie bogowie i jak nakazuje konieczność. Moim zadaniem jest uwolnić ludzkość od Przeklętych. Jeśli ludzie dostaną się pod ich jarzmo, co wówczas powie nam twój bóg i w jaki sposób przyjdzie nam z pomocą?

- Bóg uratuje tych, którzy w niego wierzą - odrzekła Hehoyanah.

- Rób to, co przyrzekałaś, córko, ponieważ uczyłem cię, oczekując w zamian twego posłuszeństwa. Jeśli wrócę, a ty będziesz żyła, wówczas postąpisz, jak uznasz za stosowne. Moim celem nie jest spieranie się z tobą. Chodźmy.

Wyszli z groty i udali się w głąb tunelu. Adika i Laoina podążały za nimi.

Alain zwlekał, wreszcie skinął na Hani.

- Proszę cię, przyjacielu, powiedz Hehoyanah, że znam Boga, o którym mówi. Nie jest sama w tym, co w wierzy.

Hani popatrzył na niego zdziwiony.

- Czyżby ten bóg zawędrował aż do plemienia Białych Jeleni?

- Bóg się nie przemieszcza.

- W jaki więc sposób dotarł aż na północ? W jaki sposób może przebywać jednocześnie na pustyni, jak i na zamrzniętych równinach?

- A w jaki sposób słońce dociera na północ? Jeśli ono może świecić wszędzie, tym bardziej i Bóg może



być wszędzie.

- Huh - chrząknął Hani. Zadumał się, lecz nie wyglądał na przekonanego.

Furia zaskomlała za Adiką, jednakże Alain nie mógł odejść, nie zapewniwszy Hehoyanah, że nie jest sama.

- Proszę, powiedz jej, że znam tego Boga. On jest moim Panem. - Narysował krąg na piersiach.

Hehoyanah głośno westchnęła. W rozgorączkowaniu wypowiedziała kilka słów. Hani rzekł coś w odpowiedzi, zaś na twarzy dziewczyny na moment pojawił się uśmiech. Pochyliła się, by dotknąć stóp Alaina, a potem dotknęła swego serca i czoła, pochylając się w geście hołdu.

Tak pochylali się przed nim prości ludzie, gdy był jeszcze spadkobiercą hrabstwa Lavas.

Cofnął się i oparł o skalną ścianę.

- Nie, proszę - powiedział po wendarsku. - Nie oddawaj hołdu temu, kto na to nie zasługuje. Z mego starego życia nic już nie pozostało. To grzech sięgać po to, co było mi zakazane, co nigdy do mnie nie należało.

Jakby zawstydzona, osłoniła twarz welonem. Hani nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Na jego dumnej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Hehoyanah mówi, że po tym znaku poznać można wysłannika Boga. Prosi cię o wybaczenie, że nie rozpoznała boskiego światła w twojej twarzy. - Zniżył głos i zwrócił się do Alaina w taki sposób, w jaki książę mógłby przemawiać do innego szlachetnie urodzonego mężczyzny, poruszając kwestię nieprzewidywalności kobiet. - Wiesz, o czym ona mówi, przyjacielu? Trochę jej się pomieszało w głowie, odkąd skończyła karmić dziecko.

W ciągu całego czasu spędzonego z Adiką Alain był niczym liść unoszony przez rzekę - po prostu płynął, napawając się harmonią codziennego życia, niosącego ze sobą wiele radości. Widział przecież drugą stronę rzeczywistości - śmierć - i po tym doświadczeniu życie wydawało się lepsze.

- Nie kpj z niej - powiedział łagodnie. Ujął rękę Hehoyanah i uniosł dziewczynę w górę. W jej oczach lśniły łzy. Resztę jej twarzy zakrywał welon. - Idź z Bogiem. Może znajdziesz spokój.

Alain i Hani skierowali się ku tunelom, które oświetlało blade światło sączące się z oliwnych kaganków. Po przejściu kilkunastu zakrętów zrównali się z Dwoma Palcami, Adiką i Laoiną. W miejscu, gdzie zbiegało się kilka korytarzy, leżały na ziemi niezbędne im rzeczy: pakunek z jedzeniem, cztery buklaki, para sandałów, pasiasty płaszcz, który nałożył Dwa Palce, i kij, nie dłuższy niż ręka Adiki.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział niecierpliwie Dwa Palce. Hani przykląkł, by otrzymać jego błogosławieństwo. Skłonił się również z szacunkiem Adice. Pożegnał się z Laoiną, dokonując krótkiego rytuału rozstania z Wędrującą i wreszcie zwrócił się do Alaina:

- Mam nadzieję, że wolno mi nazywać cię „przyjacielem”.

- Oczywiście, druhu.

Uścisnęli sobie dłonie. Hani odwrócił się szybko i odszedł.

- Nie bójcie się - rzekł Dwa Palce i, odsłoniwszy twarz, ruszył podziemnym korytarzem.

Wędrowali w ciemnościach w niemal kompletnej ciszy. Alain widział jedynie płaszcz Dwóch Palców, którego paski świeciły w mroku. Jednakże to nie ubranie emitowało światło. Istniało jakieś inne jego źródło. Jak gdyby promienie słoneczne przeniknęły poprzez skały do podziemnego świata. Na ścianach tunelu pojawiały się lśniące plamki. Może jakaś ognista istota oznakowywała szlak ich wędrówki?

Alain zlizwał wilgoć z warg. Czy ciepło promieniujące przez skały powodowało, że się pocił, czy może zbliżali się do jego źródła?

Tunel nagle skręcił w prawo i obniżył się, a potem wznosił w górę. Uderzyła ich fala gorąca. Dwa Palce wyjął zza pazuchy złote pióro, lśniące tak intensywnie, że aż uwidoczniły się wszystkie szczegóły na jego ręku - biała blizna w miejscu, gdzie brakowało mu dwóch palców, pomarszczona skóra na kostkach, zgrubienie na palcu wskazującym, pierścień na środkowym palcu prawej dłoni.

Dwa Palce przyłożył pióro do swoich warg i dmuchnął. Melodia, która się ozwała, nie była właściwie muzyką czy też odgłosem dmuchania, lecz jakimś niezmiernym dźwiękiem, który tak jak szept promieni słońca, świecącego nad wzgórzami o świcie, nie jest możliwy do określenia. Jakby w odpowiedzi, zewsząd odezwały się kolejne szepty. Potem rozległo się ogłuszające zawodzenie. Smutek i Furia, skowycząc, schowały głowy za nogami Alaina.

Zawodzenie nie powtórzyło się. Dźwięk, wydany przez jakąś tajemniczą bestię, spowalniał, cichł, aż wreszcie ustał.

Dwa Palce poprowadził ich dalej.

Weszli do wąskiej groty. Kamienne kolumny wyrastały z podłogi i zwisały z sufitu, przypominając oszczepy i włócznie. Wnętrze groty błyszczało srebrem, złotem, barwami pomarańczy i zieleni. Po

ścianach spływały długie strużki krystalicznej wody, przypominającej skamieniałe wodospady. Grota lśniła blaskiem, bijącym od śpiącego w gnieździe feniksa.

Być może stworzenie wydawało się tak wielkie ze względu na ograniczoną przestrzeń. Feniks miał głowę, dziób i ciało olbrzymiego orła. Wszystkie jego pióra połyskiwały barwą złota, z wyjątkiem szmaragdowozielonego ogona, rozłożonego niczym wachlarz. Ptak siedział w gnieździe z trawy i trzciny, skrawków materii i białawych kości, z których kilka wyglądało jak ludzkie. Pod jego ciałem spoczywało gniazdo wijących się, ślepych węży.

Jeśli chcieli podążać dalej, musieli obok niego przejść.

Alain pochylił się ku psom.

- Idźcie z Adiką - powiedział bardzo cicho.

Sam ostrożnie ruszył ku kamiennym kolumnom. Na podłodze groty leżały różności: kamienie, połamane patyki, fragment deski, włócznia, skórzany hełm, dziurawa skórzana sakiewka i piękne, połyskujące złotem naszyjniki i bransolety. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, by móc odeprzeć ewentualny atak feniksa, dał znak reszcie, by przechodzili. Syk węży narastał. Feniks miał oczy zamknięte, lecz jego ogon lekko się poruszył. Widniały na nim oczy.

Oczy te poruszały się, obserwując, jak intruzi przechodzą obok. Alain odwrócony był do towarzyszy plecami, wyczuwał jednak, jak przechodzą po kolei, obserwowani przez te dziwne okopodobne wzory. Feniks mruczał przez sen. Jego ogon rozwijał się coraz bardziej, aż wreszcie zielonozłote pióra otarły się o sufit. Dwa Palce po raz drugi dmuchnęły lekko w swoje pióro. Echo tego dmuchnięcia rozniosło się po całej grocie. Słyszeli syk węży, który narastał.

Alain odsunął się, robiąc przejście dla innych. Pośród porzucanych w grocie śmieci zamigotało coś złotego. Przykucnął i znalazł złote pióro.

Oczy na ogonie feniksa otworzyły się na całą szerokość. Było to tak niespodziewane, że Alain odskoczył do tyłu. Jeden z węży wypełził z cuchnącego gniazda na kamienną posadzkę, wysuniętym językiem testując powietrze.

Alain podniósł pióro do ust i dmuchnął. Rozległ się cichy jęk. Połowa oczu zamknęła się.

Jednakże w grocie wciąż był ten okropny wąż. Alain nie widział go teraz, bo zwierzę wpełzło w śmieci. Po podłodze potoczył się pęknięty kielich.

Trzymając wzniesiony kij w pogotowiu, Alain minął kolumny i biegiem ruszył ku Dwóm Palcom.

- Teraz, szybko, chodźmy. - Dwa Palce brzmiał tak, jakby miał zamiar się roześmiać.

I roześmiał się, gdy przemierzywszy tunel, znaleźli wąską szczelinę, gdzie mogli zatrzymać się i usiąść. Alain także się śmiał. Starał się jednak zachowywać cicho, by echo nie rozniosło dźwięku. Wreszcie otarł łyżę.

- Jesteś odważny - rzekła z podziwem Laoina.

- Albo głupi - dorzucił Dwa Palce. Wyciągnął krzesiwo i trochę suszonych grzybów, które posłużyły mu za hubkę.

Adika nie rzekła nic. Nie musiała. Miała u boku dwa psy, które wiedziały, jak bardzo Alain ją kochał. Chciała tylko uśmiechnąć się do niego. Blade światło, emanujące ze złotego pióra, oświetliło jej twarz. Co dziwne, sprawiło to, że blizna na jej policzku stała się bardziej widoczna. Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Alaina. Przesunęła palcem po jego znamieniu w kształcie róży.

Może to wcale nie wszechogarniający wybuch miłości, którą czuł do Adiki, sprawił, że hubka zaiskrzyła i zaczęła się palić. Sprawilo to na pewno krzesiwo. Ale nawet płomień pochodni nie mógł być silniejszy niż miłość Alaina. Pochylił się i szybko pocałował Adikę w policzek. Potem ruszyli za Dwoma Palcami.

Przez dym z pochodni podziemne korytarze wydawały się jeszcze węższe. W powietrzu czuć było wilgoć, a po ścianach spływały strużki wody. Wreszcie dotarli do dużej groty, wypełnionej wodą, z wyjątkiem niewielkiego skalnego występu tuż przy skalnej ścianie. Ten podziemny strumyk miał źródło w dalekim końcu groty, gdzie mieścił się mały wodospad. Psy dopadły do wody, napiły się, po czym przysiadły na skalnym występie, podczas gdy inni gasili pragnienie. Woda była mocno słona, lecz tak chłodna i orzeźwiająca, że nawet miód tak by im nie smakował.

Alain z westchnieniem oparł się o zimną powierzchnię skały i rozejrzał po grocie. Wilgoć była wszędzieobylska. Na ścianach rósł błękitnozielony mech. Po drugiej stronie źródła widniały dwa tunele. Woda była czysta i płytka, miała głębokość co najwyżej wyciągniętej ręki. Na dnie znajdował się żółtawy, brązowy i białawy szlam, a także małe, bladawe rybki, salamandry i węgorze. Gdy podniesiono pochodnie, by im się lepiej przyjrzeć, stały się bardziej ruchliwe.

- Hrm huum - chrząknął Dwa Palce z namysłem, obserwując Alaina. Wyczerpał już chyba swoją całą

znajomość mowy Białych Jeleni, bo zaczął mówić w swoim języku, mając Laoinę za tłumacza. Odgłosy płynącego wodospadu sprawiały, że musieli krzyczeć, by się usłyszeć. - Jak wszedłeś w posiadanie złotego pióra?

- Znalazłem je na ziemi.

Furia nagle wstała i zaszczekała. Przebudził się również Smutek, a jego uwaga szybko się wyostrzyła, gdy popatrzył na tunel znajdujący się naprzeciwko nich. Dwa Palce zanurzył pochodnię w wodzie.

- Psst! - Zrejterowali do tunelu, którym tu przyszli. W końcu drugiego korytarza pojawiły się dwie postacie, oświetlone światłem pochodni. Nieśli dwie włócznie.

Przekłęci.

Furia szczerknęła ostrzegawczo. Zaniepokojeni, dwaj zwiadowcy weszli do ich jaskini. Okrzyki, którymi wzywali posiłki, zmieszały się z szumem wodospadu.

- Chodźmy - powiedział Dwa Palce.

- Szybko, szybko - ponagliła Laoina.

O skałę roztrzaskała się strzała. Laoina, pociągnięta gwałtownie przez Dwa Palce, potknęła się i omal nie upadła. Alain przywołał psy. Do groty dostała się grupa Przeklętych z włóczniami i mieczami. Ich dowódca rzucił włócznię, chcąc ugodzić Smutka. Alain za pomocą kija wytrącił broń z toru lotu, był jednak zbyt daleko, by uderzyć przeciwnika. Przekłety odskoczył i pośliznął się w wodzie. Smutek chciał pobiec w jego kierunku, lecz Alain krzyknął ostro, blokując mu drogę kijem.

- Wracaj!

Przekłęci zawyli triumfalnie, przygotowując broń.

- Alain! - krzyknęła Adika za jego plecami.

- Idź, Adiko!

Alain znowu za pomocą kija wytrącił włócznię z toru jej lotu. Furia podążyła za Adiką, zaś Smutek kąsał stopy walczącego Przekłętego, który, znalazłszy się na śliskim gruncie, próbował się uwolnić od psa, kopiąc. Zdezorientowany Alain zaczął wycofywać się wraz z psem. Wbiegli do tunelu w chwili, gdy w skałę trafiła kolejna strzała.

- Wracamy do feniksa! - krzyknęła Laoina.

- Jesteś ranna? - zapytał Alain. W ciemności złapał równowagę, opierając się jedną ręką o ścianę.

- Tylko jakiś pyłek dostał mi się do oka, nic więcej.

Kamienne ściany odbiły wrzaski i wycia Przeklętych. Zamigotało światło - pochodnie Przeklętych były coraz bliżej. Przed Alainem biegła Adika, a dalej, dosłownie o rzut kamieniem, Laoina. Psy wysforowały się naprzód i teraz doganiały Dwa Palce, podążającego na czele w ciemnościach. Minęli zakręt i światło zniknęło.

Alain zatrzymał się, odwrócił i krzyknął:

- Haililili!

Potem ruszył za pozostałymi. Pokonawszy pewną część drogi, zatrzymywał się i znowu krzyczał, mając nadzieję, że zmyli prześladowców i że pogubią się w ciemnościach. Jednakże okrzyki Przeklętych słyhać było coraz bliżej. Mimo że Dwa Palce świetnie znał tunele, Przekłęci zdołali się połapać w labiryncie.

Blask pochodni zyskiwał na wyrazistości. Dwa Palce zatrzymał się przy kupie kamieni, gdzie tak niedawno jeszcze serdecznie się śmiali. Tutaj tunel był na tyle wąski, że trzeba było iść gęsiego. Alain stał na straży, gdy reszta wolno posuwała się do przodu. Dwa Palce wydobył złote pióro i dmuchnął w nie.

Palce Adiki musnęły kark Alaina - pełna pocieszenia pieśczoć. Przed nią wysforowały się psy, lekko uderzając ogonami o ziemię. Dwa Palce schował pióro i zaczął ostrożnie podążać ku legowisku feniksa. Laoina deptała mu po piętach.

- Chodź - szepnął Alain, obawiając się mówić głośniej. Adika jednak nie ruszyła się z miejsca.

Skalną ścianę oblało światło pochodni. Ostrze włóczni sondowało przestrzeń. Trzymając swój kij pionowo i kryjąc się za skałą, Alain uderzył przeciwnika w twarz tak mocno, że ten zatoczył się w tył, padając w ramiona innych.

- Biegiem! - Alain pchnął Adikę i pobiegli do jaskini feniksa. Potykali się o śmieci i rumowisko, podczas gdy Dwa Palce i Laoina wkraczali już do znajomo wyglądającego korytarza. Oczy widoczne na ogonie feniksa otworzyły się i omiotły grootę spojrzeniem. Z gniazda wypełzły węże, wślizgując się w śmieci i kości. Skalne gruzy poruszyły się, zatrzęsły i posypały, gdy po nich przebiegli. Nadchodzili Przekłęci. Ich głosy rozbrzmiewały triumfalnie.

Dwa Palce czekał na Adikę i Alaina w długim tunelu. Podniósł w górę pióro i po raz kolejny w nie

dmuchnął. Feniks drgnął, otwierając jedno oko.

- Budzi się! - krzyknął Alain. Pchnął Adikę na ziemię i sam na nią padł. Nad ich głowami przeleciała włócznia. Smutek i Furia biegły ku Dwóm Palcom, przerażone falą gorąca, która wypełniła podziemia. Zaniepokojony feniks rozpostarł skrzydła.

Po ręce Alaina prześlizgnął się wąż, zimny i śliski. Nie miał oczu, lecz jego język nieustannie badał otoczenie, dotykając skóry Alaina. Pojawił się drugi, trzeci i czwarty gad; Alain poczuł, że pół tuzina tych stworzeń prześlizguje mu się po nogach, wysuwając swe rozwidlone języki. Adika cicho zachlipała. Alain nigdy nie widział, by się bała. Tymczasem wąż dotknął opaski skrolińców i zasyczał, dziko się wijąc. Potem gady odpełzły.

Alain wstał, chwycił Adikę za ramię i podążyli za psami. W tym momencie jaskinię zalał potok strzał i włóczni. Towarzyszyły temu krzyki Przeklętych.

Feniks przebudził się na dobre. Wrzasnął wściekle. Dwa Palce wciągnął Adikę na korytarz. Ukryli się w kamiennej niszy. Alain uklęknął, próbując ochronić własnym ciałem innych. Oddech syczącego ptaka oparzył mu łydki. Feniks ogłaszał swe niezadowolenie.

Chwilę potem w grocie rozległ się krzyk. To Przekłęci, wpadłszy do groty, odkryli źródło światła. Feniks odezwał się ponownie. Zewsząd rozległy się krzyki.

- Tam, gdzie jest gniazdo feniksa, nie ma mowy o ataku - powiedział Dwa Palce zagadkowo. Trudno go było słyszeć pośród okrzyków paniki, jaka wybuchła wśród ich prześladowców.

Krzyki i hałasy zaczęły się oddalać, zaś światło przygasało. Feniks podążył za ich prześladowcami.

Po jakimś czasie, gdy słyszeli już tylko niegłośne syczenie ptaka, Dwa Palce ponownie zapalił pochodnię. Alain odważył się zajrzeć do jaskini. Posadzka była gorąca niczym wrząca woda. Wszystkie węże wypełzły z gniazda, tworząc gniewne morze. Nie było innego wyjścia, jak przedrzeć się przez ich kłębowisko.

- Ach, litości... - wymamrotała Laoina, mrugając swym bolącym okiem. - Chyba nadszedł moment mej śmierci.

- Węże są jadowite - rzekł Dwa Palce. - To fatalnie.

- Mam pomysł - powiedział Alain. Zdjął swą opaskę i przymocował ją do kija. - Zapalcie wszystkie pochodnie, dla każdego po jednej i idźcie blisko mnie. Oczyszczę drogę.

Ruszyli, Alain na samym przedzie, za nim Adika, dwa psy, Dwa Palce i Laoina - dzielna Laoina! - zamykająca pochód. Węże uciekały przed opaską, zaś Alain bezlitośnie spychał je na bok, torując drogę. Narastający syk przypominał odgłosy powodzi. Za plecami Alaina jego towarzysze odganiaли węże za pomocą pochodni. Grotę wypełnił dym.

Najśmielszy z ich prześladowców odpierał atak feniksa. Skończył z rozerwanymi wnętrznościami. Jego ciemna skóra przybrała purpurową barwę. Była spuchnięta od ukąszeń węży. Jego ciało zaczęło natychmiast cuchnąć.

Wreszcie otworzył się przed nimi długi tunel. Alain pociągnął za sobą Adikę i poklepał psy. Laoina nawdychała się dymu i zaczęła kasłać. Alain dźgał wijącą się masę węży, pokrywającą ciało zmarłego.

- Uwważaj! - krzyknęła Laoina.

Uderzył o niewielką przeszkodę, następnie potknął się i wpadł prosto w objęcia okaleczonego ciała, blokującego wejście do tunelu. Kij wypadł mu z rąk

- Hej! - krzyknęła Laoina, podchodząc bliżej i wyciągając pochodnię.

Alain sięgnął po kij, a jego ręka natrafiła na coś chłodnego i mokrego. Wzdrygnął się.

Wąż znalazł schronienie w otwartej klatce piersiowej martwego mężczyzny. Taplał się teraz swobodnie we krwi i właśnie w tym momencie ręka Alaina, szukającego oparcia, znalazła się w zasięgu węzowego języka.

Nastąpiło ukąszenie.

Niewypowiedziany ból sparaliżował rękę Alaina.

Laoina wyrzuciła z rąk pochodnię. Węże zaczęły odsuwać się od płomieni, zaś Laoina dźgała je włócznią. Przebiła na wylot stworzenie, które ukąsiło Alaina. Z wściekłym przekleństwem rzuciła gadem, następnie zniknęła w ciemnościach.

Alain wstał i sięgnął po swój kij. Szybko opuścili jaskinię i zatrzymali się przy szczelinie, gdzie czekali ich towarzysze. Obok leżały dwa straszliwie poszarpane ciała.

- Ukąsił go wąż - oznajmiła Laoina.

Dwa Palce chwycił Alaina za nadgarstek. Brzydka, czerwona opuchlizna zdążyła już zdeformować jego rękę.

- Na to nie mam lekarstwa - oświadczył ponuro.

- Ja spojrzę. - Adika przyłożyła rękę męża do swych ust, ale Dwa Palce chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

- Nie robić tego! W ustach to zabije! W ręce - może przeżyje. Szybko musimy iść. Jeśli feniks powróci, wszyscy zginiemy.

- Chodźmy - rzekł Alain, przygryzając dolną wargę. Pomogło mu to utrzymać się na nogach. Ból przemieszczał się, ogarniał już głowę. Dwa Palce miał rację. Trzęsąc się tak mocno, że ledwo mógł poruszać palcami, Alain wsunął na zranione ramię opaskę skrolinów. Co dziwne, ból natychmiast zelżał na tyle, że mógł zebrać myśli. Mały palec, w który został ukąszony, spuchł.

- Będę żył - powiedział Alain.

- Szybko, szybko - nakazała Laoina. Za plecami słyszeli syczenie. Wracają węże? Może chciały zbadać tunel. Ich rozwidlone języki służyły im do rozpoznawania terytorium. Jedno z ciał blokowało przejście. Laoina usunęła je z drogi.

- Za mną - powiedział Dwa Palce.

Zgasili dwie pochodnie i ruszyli wcześniejszą drogą. W podziemnej sadzawce odkryli jeszcze jedno ciało Przekłętego. Nie było łatwo przepłynąć przez wodę, zanieczyszczoną fragmentami zmarłych i ich wnętrznościami. Wszystkie rybki i salamandry zniknęły. Nikłe pasemka złota sprawiały, że ściany pobłyskiwały, oznakowując drogę, którą przebył feniks.

Dzięki zimnej wodzie ból w ręce Alaina zelżał, lecz niepokojące było to, że zaczął puchnąć drugi palec.

Dwa Palce podążył prostym niczym tor leżącej strzały tunelem. Jedna pochodnia zgasła, więc zapalili drugą. Idąc, Alain odczuwał ból stóp. Nie mógł zginać trzech palców, zdecydował więc, że będzie lepiej na nie nie patrzeć. Adika chciała z nim porozmawiać, ale uciszył ją, obawiając się, że żona niepotrzebnie się zaniepokoi.

Zgasła druga pochodnia i Dwa Palce zapalił trzecią. Wreszcie kamienna podłoga skończyła się. Pod stopami mieli teraz ziarnisty piasek.

Alain przystanął i wziął głęboki oddech.

- Słona woda.

Intensywny zapach rozbudził go. Ból głowy zelżał. Nie mógł jednak zacisnąć dłoni. Wydawało mu się, że ręka jest dwa razy większa, kiedy jednak przyjrzał się jej w przyćmionym świetle, nie zauważył żadnej różnicy.

Dwa Palce zgasił pochodnię i odłożył ją na stosie innych. Niektóre były nowe, inne wypalone. Wszystkie znajdowały się w niszy ukośnej ściany.

Opuścili niewielką jaskinię i wyszli na brzeg morza. Niebo zasnuwały ciężkie chmury, a na horyzoncie widać było słabnący sztorm. Wiatr sprawił, że Alaina piekły palce. Dotyk powietrza kasał niczym wąż. Jego przedramię aż do łokcia pokrywały czerwone paski, jednakże bladły w miejscu, gdzie znajdowała się opaska skrolinów.

- Niech zerknę - powiedziała Adika, teraz już bardziej nieustraszenie. Alain wyciągnął rękę. Tam, gdzie dotykały jej palce żony, ból narastał. Alain odwrócił wzrok, nie chcąc patrzeć, jak opuchnięte miejsca dotykane przez ukochaną stają się białe, jak gdyby ręka obumierała bądź gniła.

Smutek i Furia pobiegły na brzeg. Wreszcie mogły trochę pohasać. W ścianie niedaleko klifu znajdowało się wiele wejść do skalnych tuneli. Na piasku leżała drewniana łódź o zgrabnych krawędziach, wyrzucona przez fale przyplwy.

Adika badała rękę męża, zagadując do niego. Jej rzeczowy głos sprawiał, że przestawał myśleć o bólu i obawie, że trucizna zaatakuje jego organizm.

- Tylko Przekłęci budują statki tak wspaniałe, piękne jak gwiazdy i mocne, że mogą wypływać za najdalszy horyzont. Takimi statkami Przekłęci przemierzali ocean. Przybyli ze wschodu wiele wieków temu, w czasach pradawnych królowych. Tutaj, na ziemiach człowieka, stworzyli nowe imperium, zbudowane z ludzkiej kości i krwi.

- Boże, spójrz. - Alain stracił dech. Skrzywił się, bo ręka Adiki natrafiła na miejsce, gdzie został ukąszony.

Przed nimi był tu feniks.

Statek nie zaczął płonąć, lecz paliły się jego żagle. Deski były osmalone, lecz nienaruszone. Umarli leżeli na plaży wraz ze szczątkami statku.

Nawet wróg nie zasługuje na taką śmierć, rozdarty na kawałki i nadpalony.

- Zrobię okład - powiedziała Adika, puszczając rękę Alaina.

- Gdzie feniks? - zapytała nerwowo Laoina. Ruszyła wzdłuż brzegu, by pozbiierać broń zmarłych.

Czy na piasku coś się poruszyło? Alain pospieszył i ukląkł przy jednym z dwudziestu czterech ciał. Za

życia leżący wokół umarli tworzyli groźny oddział, uzbrojony w miecze z brązu i włócznie oraz pokryte brązem tarcze, przedstawiające wojenne sceny.

Byli straszni, lecz już martwi.

Jeden z Przeklętych jęknął i coś wybełkotał. Jego pierzasty hełm był na wpół ściągnięty z głowy, z twarzy spadła mu maska wilka. W okolicach płuc dosięgły go pazury feniksa, zadając śmiertelne rany.

- Biedna cierpiąca dusza - wymamrotał Alain. Ukląkł przy umierającym. Jego dumna twarz boleśnie przypomniła Alainowi Sanglanta: ta sama ciemna cera, wystające kości policzkowe, głęboko osadzone oczy. Pomimo ran, umierający widząc pochylającego się nad nim Alaina, zdołał jeszcze wyszeptać przekleństwo. Alain zrozumiał je: „Chociaż pokonałeś mnie, nie uda ci się pokonać mojego ludu, ty pomocię bestii”. Tak rzecze walczący do końca żołnierz.

- Cicho - powiedział Alain. - Mam nadzieję, że znajdziesz spokój, bracie...

Zjawiała się Laoina i wbiła włócznię w gardło Przeklętego.

- Sa'anit! Niech umiera następny! - Splunęła na jego twarz.

Alain wstał.

- Po co traktować umierającego tak okrutnie?

- Czy szybka śmierć jest okrutna? To i tak lepsza śmierć niż ta, jaką gotują Przekłeci swoim niewolnikom!

- Może i tak, ale nie znaczy to, że musimy się stawać do nich podobni! Jeśli pozwolimy, by uczynili z nas bestie, to znaczy, że przegraliśmy coś więcej niż tylko bitwę. Jeśli utracimy litość, staniemy się dzikimi bestiami. - Zdrową ręką wskazał grootę feniksa. Na piasek spłynęła krew i strużką popłynęła ku morzu, ginąc w jego falach.

Laoina wbiła włócznię w piasek, starając się ją oczyścić z krwi. Alain przyglądał się jej z szacunkiem.

- Może w tym, co mówisz jest prawda, ale oni muszą zginąć - dodała, po czym poczerwieniała, patrząc na jego chorą rękę.

- Nie umrę - zapewnił. Nagle jednak pomyślał o Lavastinie i klątwie Krwawego Serca, która powoli zmieniała hrabiego w kamień. Alain dotknął swych spuchniętych, gorących palców, jednakże wciąż czuł kości, mięśnie i skórę. Nawet lekkie poruszenie nadgarstkiem sprawiało taki ból, że kręciło mu się w głowie. W kamień się jednak nie zmienił.

Morze zaszumiało. Fale rozbiły się o brzeg i cofnęły, pozostawiając pianę.

- Hej! - Dwa Palce stał przy klifie, rozchylając krzaki i ukazując ukryte wejście do jaskini.

Alain stanął na warcie, podczas gdy inni wyciągnęli z kryjówek wąską łódź o głębokim kadłubie i burtach zakładkowych, z wiosłem sterowym, czterema otworami na wiosła na każdej burcie i jednym masztem. Alain zagwizdał na psy. Przybiegły natychmiast.

Dwa Palce rozwinął dwie ciężkie liny przywiązane do haków na dziobie i przerzucił je przez burtę. Stanął na przodzie łodzi. Kiedy zakołysała się na falach, Dwa Palce wyjął z sakiewki flet i zaczął na nim grać.

Pojawili się niczym kręgi na wodzie.

Pośród fal ukazały się dwa stworzenia. Ich ciała oblewała morska piana. Mieli ludzkie twarze i ostre zęby drapieżnika. Skóra ich twarzy, ramion i piersi była śliska i jasna niczym u czerwi. Jeden ze stworów zanurkował, uderzając o powierzchnię wody olbrzymim ogonem.

- To merfolk! Nigdy nie myślałem... - Łódź zakołysała się i Alain omal się nie przewrócił. Jak wiele czasu minęło od chwili, gdy śnił o Silnorękim?

Ale przecież Alain nie żył. Nieżywi nie mają snów, a on nie widział Silnorękiego w swoich snach, odkąd szamanka przywiodła go do Adiki. Wpatrywanie się w morze było niczym śnienie o Silnorękim.

Jeśli rzeczywiście nie żył, nie mógł umrzeć ponownie, nawet od jadu węża. Zaśmiał się, chwycił ramię Adiki i przyciągnął ją do siebie, całując w policzek.

- Jad sprawił, że straciłeś rozum - stwierdziła Laoina.

Obawa Adiki była silna niczym słony zapach morza, jednakże ona należała do osób zbyt praktycznych, by płakać albo jęczeć. Uklękała na pokładzie i zaczęła grzebać w swojej sakwie. Dwa Palce wciąż grał na flecie, a merfolk zataczał koła w wodzie.

Nadpłynęły dwa kolejne merfolki, potem następne. Łódź nagle przechyliła się i Alain z rozmachem usiadł na pokładzie. Jego kij uderzył o ster. Zdołał go chwycić, nim wpadł do wody. Psy przysiadły, cicho skomląc. Laoina powiedziała coś, co wydawało się modlitwą. Z podziwem i przestachem patrzyła, jak merfolki chwyciły liny i, w rytm melodii granej przez Dwa Palce, wciągały łódź na pełne morze.

Pojawiła się czwarta, piąta i szósta para merfolków. Krążyły wokół, zręcznie ciągnąc łódź. Wybrzeże powoli znikało z pola widzenia.

Alainowi cały czas dokuczał ból ręki. W uszach lekko mu dzwoniło i czuł, że ma gorączkę, a może trząśił się tylko dlatego, że wiał wiatr, a od morza szedł chłód.

- Wypij to. - Adika podsunęła mu do ust skórzany bukłak. Przełknął posłusznie. Potem żona położyła na jego spuchniętą rękę zimną papkę i zawinęła chore miejsce kawałkiem czystego płótna.

Zapadła noc. Alain nie dostrzegał merfolków. Miał spieczone wargi, piekły go też oczy. Łódź przechylała się, zdając się tańczyć pod jego stopami. Włosy, ubranie i skóra - wszystko było pokryte solą. Adika zasnęła, przykryta futrzanym płaszczem.

Alain zapadł w drzemkę, oparłszy głowę na szerokim grzbiecie Smutka, po czym przebudził się, zamarznięty i w złej kondycji. Dwa Palce stał wyprostowany przy sterze, wciąż grając. Alain usłyszał, jak wypowiada zaklęcie. Jeśli Dwa Palce pomylił się, zostaną pośrodku morza, dryfując. W końcu umrą z pragnienia albo z powodu złej pogody. Alain sięgnął po bukłak, ale nie wypił wiele, choć był bardzo spragniony. Trzeba było oszczędzać wodę.

Przez dłuższy czas siedział w ciemnościach w milczeniu. Jego ręka i ramię bolały zbyt mocno, by mógł zasnąć. Łódka prućła fale. Merfolki wydawały ciche odgłosy, przypominające skrobanie psich pazurów o deski na pokładzie. Jednakże natężenie i odległość owych dźwięków zmieniały się: w ten sposób merfolki komunikowały się ze sobą, a ich system zakłócany był tylko przez plusk wody.

Alain zasnął. Śnił, że rozumie mowę merfolków: „Wydostań ich na świat, tak byśmy mogli ich pożreć. Nie, musimy być posłuszni królowej. Nie możemy oprzeć się jej pieśni”.

Czasem, kiedy merfolki zmieniały kierunek, woda przelewała się przez burtę. Za każdym razem, gdy zimna morska woda moczyła stopy Alaina, zaczynał wybierać ją z łodzi. Psy skowyczały. Tutaj, na pełnym morzu, dwa ogary prawie wcale nie przypominały przerażających stworzeń, którymi były na lądzie. Dla merfolków były niczym innym jak tylko smacznym kąskiem do schrupania. Także i pasażerowie łodzi nie mogliby się spodziewać jakiegokolwiek litości. Alain wolał nie myśleć, co stałoby się z tymi, którzy wypadliby za burtę.

Rytm fal wprowadził Alaina w drzemkę. Chora ręka pulsowała gorącem. Spał niespokojnie, śniąc, iż w niebiosach otwiera się ogromna przepaść, zaś ziemia rozstępuje się pod jego nogami, a on wpada do piekła bez dna i spada, spada, spada... Przysięgał chronić Adikę, tak samo jak Lavastine'a, lecz przegrał.

- Alain.

Adika lekko nim potrząsała. Obudził się i o mało nie rozplakał z ulgi, że widzi ją żywą i zdrową. Jej twarz była jak cień na tle nieba, przypominając nieco lico ducha.

- Lękałam się o ciebie, ukochany. - Dotknęła jego ust, musnęła palcami czoło i sprawdziła puls.

- Czuję się dobrze. - Zbadał swą rękę. Wciąż nie mógł jej zgiąć. Była sztywna i dwa razy większa niż zwykle. Po wielu trudach udało mu się lekko zgiąć ją w łokciu.

Za plecami Dwóch Palców przykucnęła Laoina. Wpatrywała się w morze.

- Musisz to zobaczyć. - Głos Adiki miał trudny do zinterpretowania ton.

Woda śpiewała jakąś straszliwą pieśń. Z głębin morza przeświecało światło. Alain wszedł na zwoje lin i, opierając się o burtę, spojrzał na tafle.

Ich oczom ukazała się spirala światła. Otworzyła się przed nimi niczym muszla. Ujrzeni płataninę zakręcających alabastrowych ścian, pulsujących w rytm fal i w rytm oddechu morza. Było to niezrozumiałe dla człowieka i wszystkich stworzeń, żyjących na świecie i oddychających powietrzem.

Na krawędzi morza i nieba pojawił się tłum merfolków. Roili się także wokół statku. One także zdawały się zaczarowane przez flet Dwóch Palców. Pływały, zataczając koła i spirale wzdłuż łodzi. Ich ruch przypominał taniec, zrodzony na równi z agresji i oczarowania. Magiczne więzy. Były bezradne wobec zaklęcia, które snuł Dwa Palce.

Niekiedy merfolki chwyciły się lin, a następnie zniknęły w morskich czeluściach. Ich śpiew towarzyszył podróżnym, choć nie była to dająca wytchnienie kołysanka.

- Co się kryje za Szybka? Jak to się dzieje, że podlegamy magii słabego świata? Pożarlibyśmy ich, gdyby nie ta skorupka. Czy oni oddychają w Wolnej?

Alain był tak zmęczony, że jego umysł przetwarzał usłyszane dźwięki w zrozumiałe język. Czy merfolki były zwykłymi potworami? Silnóręki tak nie myślał. Zawierał z nimi układy, bazując na zasadzie krew za krew, bowiem tę walutę znał najlepiej. Merfolki okazywały ślady inteligencji i przed oczami Alaina widniał tego dowód: wielkie miasto. Jak można było rozróżnić, co było prawdą, a co ułudą i czy zewnętrzne pozory kryły serce? Czy jeden człowiek był w stanie unieść welon, który mamił wzrok i słuch?

Wreszcie podziemne miasto zniknęło i merfolki zanurkowały w głąb wód, powracając do swego domu. Zrobiły to wszystkie prócz dwóch, nadal holujących łódź. Po pewnym czasie pojawiała się nowa para

tych stworzeń, zmieniając poprzedników. W ten sposób podążali naprzód. Noc mijała. Alain znowu zasnął.

### 3

Światło poranka oblewało wody morza, kiedy zaś wstało słońce, Adika usłyszała ptaki, zwiastuny przybliżającego się lądu. Drewniana łódka huśtała się na falach. Od czasu do czasu sunęła po wodorostach. Na powierzchni morza pojawiły się trzy morświny, ale szybko zniknęły.

Adika odwróciła wzrok od tego zajmującego widoku i przyjrzała się ręce Alaina. Choć skóra była nadal spuchnięta i miała paskudną czerwoną barwę, nie wyglądała gorzej niż wczoraj. Jeśli jad węża miałby zabić Alaina, cierpiałby teraz bardziej.

- Tam! - krzyknęła Laoina.

Na horyzoncie zamigotała biel. Czy to ląd?

- To statek - rzekł Alain.

- Zabiją nas, jeśli nas złapią. - Laoina zahaczyła ręką o maszt, starając się zobaczyć coś więcej. Wreszcie zakłęła siarczyście. - To statek Przeklętych.

Dwa Palce trwał na posterunku, choć wyglądał na wyczerpanego. Merfolk wciąż podążał do przodu, ciągnąc naprężoną linę. Statek trzeszczał, gdy pokonywał co bardziej spiętrzone fale.

Adika grzebała w sakwie. Jej palce były sztywne i kleiły się od soli. Chuchnęła w dłonie, usiłując je rozgrzać i znowu podjęła próbę rozsypiania sznurków sakwy, które także zeszywniały od soli. Wewnątrz znalazła węzełek z królewskim żarnowcem i warkocz wysuszonego ostu. Wtarła żarnowiec w swoje ciało i z pewnym wysiłkiem wykrzesła ogień, podpalając warkocz ostu.

Kiedy płonął, wypowiedziała zakłęcie:

*Pofruń teraz, oście,*

*Od mniejszego do większego,*

*Od większego do mniejszego.*

*Niechaj nie będzie spotkania*

*I przelewu krwi.*

Starając się zachować równowagę na rozkołysanym statku, ruszyła w stronę steru. Statek pokonał właśnie wysoką falę i Adika zachwiała się. Alain złapał ją swą zdrową ręką, uchroniwszy przed wypadnięciem za burtę. Adika ujrzała, jak obcy statek kołysze się na falach i zmienia kierunek. Czyżby ich nie dostrzegli?

Szybko przywiązała żarnowiec do steru i, czując wciąż silny zapach ostu, wypowiedziała ponownie zakłęcie.

Powoli stawało się jasne, że nie zostali zauważeni. Statek nie podpłynął bliżej, a wkrótce zniknął za horyzontem.

W oddali widać było już brzeg. Kiedy ich łódź pokonała przybrzeżne wody, merfolki puściły liny, pozwalając, by niosły ich fale. Merfolki śmigwały po wodzie, obserwując całą sytuację. Jeden śmiały młody merfolk podpłynął na tyle blisko, że Adika zobaczyła na końcu jego włosów otwierający się niewielki pysk węgorza. Paciorkowate oczy przyglądały się statkowi z ponurym oczekiwaniem, a potem stworzenie zanurkowało pod łódź. Jego barki zakołysały kadłubem statku tak silnie, że Dwa Palce musiał chwycić się steru, tak by nie wypaść za burtę. Merfolk pojawił się tuż koło statku i wreszcie wycofał się. Fale zaczęły rozbijać się o brzeg.

Ochlapywany przez nie Alain zamierzał wskoczyć do wody i wyciągnąć łódź na brzeg, lecz Dwa Palce chwycił go za ramię.

- Zostań! - przetłumaczyła szybko Laoina. - Uważaj na wodę. Merfolki mają ostre zęby i nie okażą nam żadnej litości.

- To prawda.

Kiedy statek wreszcie osiadł na brzegu, Alain wyskoczył za burtę, a wraz z nim pozostali. Wszyscy razem wyciągnęli łódź. Psy skowyczały, podskakiwały i goniły własne ogony



Dwa Palce przyglądał się morzu, klęcząc w wodzie. Ta z szumem oblewała jego nogi. Podniósł obie ręce.

- Dziękuję wam, bracia i siostry. Wykonaliście swoją część pracy, nawet jeśli pomimo swej woli. Zwrócę wam kość, która niegdyś należała do waszej królowej.

Rzucił wykonanym z kości fletem bardzo daleko i wysoko. Zniknął w wodzie. W miejscu, gdzie upadł, zaroiło się od morskich stworzeń. Nagle wszystkie merfolki zniknęły. Morze wydało głęboki oddech, a poranne słońce złożyło piasek. Jedyne dźwiękiem, jaki słyszeli, był plusk wody i pieśń kulika.

W oddali coś zamigotało. Ujrzeni jeden szary ogon, który plusnął o powierzchnię wody. Potem nie było już nic. Merfolki zniknęły.

- A więc. - Laoina odwróciła się, ogarniając wzrokiem krajobraz. Kamienista plaża rozciągała się daleko na wschód, zaś na jej zachodnim krańcu znajdował się cypel pełen chaszczki i drzew, wykrzywionych od porywów wiatru. Za nimi widniały usiane grotami wzgórza. - Znajdźmy schronienie i coś do jedzenia.

Dwa Palce brodził w wodzie, zmierzając do brzegu. Pociągnęli łódź po plaży i ukryli ją w jaskini, zasłaniając wejście kawałkami drewna. Schowali tam również broń, której nie byli w stanie nieść ze sobą. Mijali skorupiaki i ostrygi. Stworzonka były pewnie niezadowolone, że czworo ludzi wkroczyło na ich terytorium. Wreszcie znaleźli kotlinę, która nosiła ślady bytności ludzi: znajdowało się tam palenisko, przybudówka spleciona z gałęzi, kupka wiórków z krzesiwa i połamane narzędzia. Wzdłuż ścieżki leżały kupki muszli. Zebrawszy nieco drewna, Adika rozpałała ognisko.

Odпочęli. W pobliskim strumieniu wyplukali z włosów i ubrań resztki morskiej soli.

Adika odciągnęła Alaina do zagajnika złożonego z niskich drzew. Pragnęła go. Było przekleństwem pragnąć kogoś tak strasznie, w dodatku był chory. Jednakże słodka obecność męża była dla Adiki niczym nektar. Całował ją zachłannie - robił tak zawsze, jak ktoś, kto od dłuższego czasu marzył o wodzie. Było trochę trudno kochać się z tylko jedną zdrową ręką, ale czy nie jest prawdą, że miłość sprawia, iż człowiek zapomina o bólu i niepokoju? Alain udowodnił to Adice.

Potem ona zasnęła na chwilę. Przechodzenie do innych światów bardzo ją wyczerpało. Walka z kłopotami, lęk i obawa przed przyszłością sprawiały, że była zmęczona. Przez tę chwilę w zagajniku naprawę żyła, wykorzystując każdą chwilę, każdy pocałunek.

Zbudziło ją wołanie Laoiny. Psy kręciły się wokół nich, liżąc twarz Alaina i wachając jego spuchniętą rękę. Alain roześmiał się i odegnął je. Wreszcie mógł lekko zacisnąć dłoń chorej ręki. To sprawiło, że zaczął całować Adikę z taką pasją, iż Laoina musiała przyjść do nich i z rozbawieniem, lekko trącąc ich swą włócznią, przypomniawszy, że czas ruszać.

Ich ubrania, umieszczone na zwalanej kłodzie drewna, zdążyły już wyschnąć. To był gorący dzień, co szybko odczuli.

Przemierzali trakt, używany tylko przez pewną część roku. Była to dość wygodna droga, która to wznosiła się, to opadała. Minęli dębowe i sosnowe zagajniki i weszli na polany. Po pniach dębów piął się bluszcz, a gdzieś rosnęły krzaki tak wysokie jak Adika. Psy zniknęły w gęstwinie liści. Adika słyszała, jak szcękają i potrącają gałęzie. Często zniknęły z oczu, ale nigdy nie gubiły Alaina. Wzdłuż ścieżki rosła marzanna i gęste krzaki iglicy. Tutejszy las był inny od lasów w stronach Adiki.

Noc spędzili w kolejnym obozowisku, w którym zrobiony z gałęzi szałas obłożono mchem. Chmury odpłynęły i ta noc była wyjątkowo ciepła i przyjemna. Można było nawet obejść się bez szałasów.

- To obóz zimowy - wytłumaczył Dwa Palce, kiedy on i Adika zajmowali się ustalaniem pozycji gwiazd. Zając świecił na południowej stronie nieba.

- Popatrz na Siostry i Byka - powiedziała Adika. Laoina tłumaczyła. - Czy to możliwe, że tu już mamy lato? Opuściliśmy moją wioskę podczas wiosennej równonocy.

Cóż jednak mogła począć? To było przekleństwo magicznych warsztatów - pożerały twoje życie niczym wilki, gotowe zjeść cię w kawałkach. Wszystko, co mogła zrobić, to żyć dniem dzisiejszym. To musiało jej wystarczyć.

Rankiem Laoina odarła ze skóry i upiekła na ognisku trzy króliki, które schwytyli w sidła. Adika przygotowała kompres z liści jeżyn i przyłożyła go na rękę Alaina, by zniwelować opuchliznę. Kiedy byli gotowi do drogi, zwinęli obóz, spalili śmieci i wyruszyli. Laoina przewiesiła przez ramię królicze skórki, toteż wyglądała tak, jakby miała na plecach skrzydła. Znała te strony na tyle dobrze, że mogła objaśniać swoim towarzyszom niektóre szczegóły. Gościła tu tak wiele razy, że znała język tutejszych ludzi, znała także nazwy i sposoby zastosowania wielu roślin. Rozpoznawała też ptaki po ich śpiewie. Nawet Dwa Palce nie dorównywał jej w tym względzie wiedzą. Jak sam powiedział, żył wśród tutejszego ludu jako

chłopiec i uczył się od Roga, która była już wówczas dorosłą kobietą. Tak jednak zafascynowała go pradawna sztuka i tajemnice podziemnych grot, że przepadał w nich na całe dni, nie widząc wcale słońca.

- Teraz zabiorę was do jaskiń. Zobaczymy, czy prawdą są tragiczne wieści, które usłyszeliśmy od Wędrującej.

Droga zrobiła się bardziej stroma, gdy wspinali się wzdłuż ściany wąwozu. Zaprowadziła ich na płaskowyż, gdzie rosły dęby. Do lasu wtargnęły trzy kozy. Dwa Palce wyprzedził ich nieco, szukając strażnicy. Okazało się, że pogoda ją nieco zniszczyła: drewniany dach zwałił się. Obok leżał pojemnik z wodą. Najpierw spróbował jej Dwa Palce i zdecydował, że nadaje się do picia. Napełnili więc swoje bukłaki, Alain zaś wspiął się na szczyt strażnicy. Stwierdził, że może już posługiwać się chorą ręką. Kiedy znalazł bezpieczny punkt obserwacyjny, reszta podążyła za nim.

Wzgórze porastały drzewa, które, im dalej w dół zбочa, ustępowały miejsca gęstemu gajowi oliwnemu. Potem zaś pojawiały się pola, nawadniane przez skomplikowany system kanałów. Miasteczko znajdowało się na wzniesieniu. Silnie ufortyfikowane i osłonięte palisadą, zdawało się Adice nie do zdobycia, jednakże postacie, które widniały na wałach, nosiły pierzaste hełmy i zwierzęce maski, co było oznaką Przeklętych. Niektóre domy były zrujnowane albo spalone. Kilkoro ludzi pracowało w garbarni bądź na polach, stanowiąc żalospny widok. Na ziemi obok wałów obronnych widniały świeże ślady. Adika zdradzała: wiedziała, że Przeklęci mają zwyczaj wrzucania ciał swoich wrogów do dołów, tak by uchronić się przed zemstą zmarłych, jako że ci nie mogli przejść na Drugą Stronę bez specjalnych ceremonii i przygotowań. Na północy ujrzała kilka wzgórz. To tam, w miejscu niemal niewidocznym dla oka, znajdowały się grobowce tego plemienia. Przynajmniej one nie wyglądały na zniszczone. Ujrzała też kamienny warsztat i postacie go pilnujące. Przeklęci zablokowali przejście do tej krainy.

- Róg i jej lud musieli szukać schronienia w jaskiniach przodków - powiedział Dwa Palce, nie komentując zniszczeń.

Zeszli z murów strażnicy i podążyli ku dębowemu lasowi. Zarówno Dwa Palce jak i Laoina znali tę drogę dobrze, choć była nieźle ukryta i miała wiele ślepych końców, pułapek i fałszywych tropów. Dotarli wreszcie do skały wapiennej, gdzie znajdowało się wejście do jaskini, lecz Dwa Palce ominął je i poprowadził ich w dół kamiennego stoku. Za pomocą włóczni rozgarnął gęste krzaki powojnika. Wzgórze przecinała niewielka rozpadlina, na tyle duża, że mógł zmieścić się w niej dorosły człowiek. Dwa Palce wszedł w nią bez wahania. Laoina przepuściła wszystkich. Rozkazawszy psom, by zostały na miejscu, Alain podążył za Dwoma Palcami. Odzyskawszy czucie w ręku, odzyskał pewność siebie.

Adika weszła za nim. Nad jej głową zamknęła się skała i bardzo szybko oślepiła ją ciemność. Poruszała się wolno, bo niepewnie, jednakże wyczuwając obecność dwóch mężczyzn przed sobą i Laoiny za plecami, zaczęła posuwać się szybciej. Tunel skręcał w prawo, po czym obniżał się i rozszerzał. Teraz panował w nim smoliste czarny mrok. Adika po omacku znalazła Alaina i przyłgnęła do niego. Za nią podążała Laoina. Noc nigdy nie przerażała Adiki, podobnie jak jej wizyta w grobowcu królowych w kurhanie, lecz to miejsce, wąskie, wilgotne i zimne, było wyjątkowo nieprzyjazne, jak gdyby ziemia miała własną świadomość.

- Chodźcie - rzekł Dwa Palce, a Laoina tłumaczyła. - Trzymajcie się razem i podążajcie za mną. Tu jest pułapka, której musimy się strzec.

- Nie sądzisz, że od momentu ataku wykonano ich więcej? - zapytała Laoina.

- Możliwe. Mam jednak kilka talizmanów, które mnie ostrzegą.

Tak też było. Kilka razy zatrzymywał ich. Za pierwszym razem usłyszeli jakąś rozmowę i musieli precyzyjnie się przez szczelinę wąską jak szyjka od butelki. Aby przez nią przejść, zmuszeni byli iść bokiem. Adika poczuła, że jej głowy dotyka czyjaś ręka, szukając charakterystycznego dla Przeklętych węzła włosów.

Było to dobre miejsce na zasadzkę. Adika czuła się ślepa niczym kret; nie widziała nawet swoich rąk. Nie miała pojęcia, jak innym udawało się tu poruszać. Jednakże to błędzenie w ciemnościach nie mogło się równać z wysiłkiem Wybranych, które poznawały tajemnice magicznego tkania - to również przypominało błędzenie w ciemnościach.

Nikt z ludzi nie wiedział, jakie są granice magii Przeklętych. Potrafili wyczarowywać ogień z kamienia i ziemię z wody; potrafili wywoływać wiatr z płomieni i wodę, która uderzała w powietrze. Znali moc przemian i umieli pozyskać ukryte pierwiastki ziemi. Za tę moc płacili cenę, lecz splacali ją nie własną krwią, a krwią wrogów.

Ludzkość musiała więc z konieczności poznać inną magię, tę pozyskiwaną pracą rąk: kowalstwo i garncarstwo; wyplatanie; słowa, melodie i tańce. W tej formie ludzka magia rozkwitała, zaś pradawni

ojcowie i matki nauczyli się obserwować wędrowkę niebios i sposób, w jaki wędrujące gwiazdy przemieszczały się pośród tych, które nigdy nie zmieniały swego położenia. Adika uczyła się u boku swej preceptorki przez lata i była dopuszczona do największych tajemnic, a także do sekretu magicznego tkania: gwiazdy na niebie były utkane jakby na wielkim warsztacie, a moc nici mogła być sprowadzana na ziemię i wpleciona w siłę, która mogła się na ziemi manifestować.

Wszystko to doprowadziło do zbudowania magicznych warsztatów, porozrzucanych po świecie w tak ogromnych odległościach, że jeśli Adika chciałaby je pokonywać pieszo, nie starczyłoby jej na to życia. Jednak na każdym z nich tkano gwiezdnymi niciami i można było stworzyć wrota, łączące poszczególne warsztaty. Wrota te umożliwiały wędrowkę na wschód lub południe w przeciągu jednej nocy, w zależności od konfiguracji gwiazd. Innej nocy zaś można było przemieścić się na zachód i północ.

Wiedząca twierdziła, że warsztatem na niebiosach kieruje jakaś potężna ręka, dokonująca również zmian niewidocznych dla ludzkiego oka. To wielka tajemnica.

Gdzieś daleko w ciemności zabłysło światło, bardzo jasne, choć była to tylko niewielka pochodnia, zrobiona z wiązki trzciny, wysuszonych i przesyconych smołą. Dwa Palce trzymał ją w górze, kiedy przechodzili przez drewniany most, zawieszony nad przepaścią. Dzięki blaskowi pochodni Adika zobaczyła starożytne rysunki, umieszczone na skalnych ścianach: odciski rąk, konie z czarnymi cętkami, czworonogie bestie, których długie włosy zwisały im po bokach, róg, który zdobiło trzynaście pasków.

Adika wyczuła innych ludzi, zanim jeszcze ich usłyszała. Dwa Palce zgasił pochodnię i w ciemnościach podążyła za nim i za Alainem poprzez wąski korytarz. Czują lekki ucisk w żołądku. Przed sobą niosła kij, zaś sakwę ciągnęła za sobą.

Nagle ujrzeli wejście prowadzące do jaskini. Adika poczuła obecność ludzi - część z nich była martwa. Czują dotknięcie duchów i strażników i słyszała szepty żywych. Zapłonęła pochodnia, lecz nim Adika zdążyła zauważyć postacie skulone na podłodze jaskini, naszła ją wizja:

*Słysząc stado podobnych do bydła bestii, kudłatych i z rogami. Ptaki podrywają się z gniazd ku niebu. W oddali porusza się ogromna bestia z długim, krętym nosem i rogami przy pysku. Przewodzi stado jej podobnych stworzeń. Adika widzi ludzi na skraju sosnowego lasu. Przypominają ludzi, których zna, lecz są odziani w skóry i mają ze sobą narzędzia zrobione z kamienia i kości. Nie posiadają ani metalu, ani żadnych naczyń. Niosą starannie wyplatane koszyki, zaś ich ubrania ozdobione są paciorkami z kości słoniowej, muszelkami i kamykami. Pojawia się wielkie stado jeleni.*

Adika znowu była w jaskini, wpatrując się ze zdumieniem w rysunki, pokrywające sufit grotu.

Była sama: Alain już podążył za Dwoma Palcami ku tłumowi, do miejsca, w którym w jednej ze skał wyrzeźbiono dwie włochate bestie. Ostrożnie poszła w ich kierunku, przyglądając się otaczającym ją ludziom.

Czy to wszyscy, którzy ocalili z plemienia Roga? Nie było ich więcej niż dwadzieścioro, z czego połowę stanowiły dzieci. Wielu było rannych, a część nie mogła nawet usiąść. W centrum tej grupy znajdował się zrobiony z patyków siennik. Leżała na nim osoba przystrojona miedzianymi ozdobami od stóp do głów, toteż Adika z trudem dojrzała jej włosy i twarz. Postać na sienniku miała ozdobne nakrycie głowy wykonane z miedzi, miedziany napierśnik, obręcze i bransolety, i szeroki pas w kształcie dwóch skrzyżowanych siekier. Kościste ręce spoczywały na piersiach, ściskając złoty puchar. Kiedy Adika podeszła bliżej, poczuła ostry zapach napoju, zaprawionego anyżkiem. Zamknięte powieki kobiety pomalowane były czerwoną ochrą, zaś na jej twarzy widniał znak półksiężyca.

Róg nosiła swe imię ze względu na zniekształconą twarz. Kiedy patrzyło się na nią z jednej strony, widziało się kobietę w zaawansowanym wieku, pomarszczoną, lecz przystojną. Kiedy spojrzano się z drugiej, dostrzec można było twarz obwisłą i bez życia, a także odrażające oko, które - Adika była tego pewna - widziało to, czego nie mógł zobaczyć zwykły śmiertelnik.

Jakaś dziewczyna odsunęła się, robiąc miejsce dla Adiki. Ta przykleknęła przy sienniku.

- Czy ona żyje? - zapytała, po czym ujrzała, że pióro znajdujące się na ustach Rogu lekko drży, poruszane oddechem i duchem, który wciąż jeszcze był w tym słabym ciele.

- Ciężko ranna - przetłumaczyła Laoina słowa Dwóch Palców. Odwrócił się i rozmawiał z dziewczyną, która, pomimo młodego wieku, była najwidoczniej uczennicą Roga. Ubrana w długi strój, ona także przystrojona była miedzianymi ornamentami, charakterystycznymi dla Wybranych. We włosy miała wplecione muszelki i koraliki. Nosiła też napierśnik, który był tak ciężki, że jej ramiona gięły się pod jego ciężarem - a może pod ciężarem odpowiedzialności, jaki spocząłby na niej, gdyby Róg umarła i nie mogła wziąć udziału w tkaniu.

Dziewczyna musiałaby zająć jej miejsce.

Alain tymczasem oglądał skalne rysunki. Kiedy Adika odszukała go wzrokiem, ujrzała, że próbuje

dotknąć zdrową ręką miejsca, w którym na skalnej ścianie widniał rysunek dłoni dorosłego mężczyzny, umieszczony tam wiele lat temu.

Rozległo się lekkie sapnięcie. Piórko uniosło się, poruszone strumieniem powietrza, a Róg otworzyła oczy. Przez moment Adice wydało się, że patrzy dokładnie na Alaina. Nagle puściła kielich spoczywający na jej piersiach i schwyciła Adikę za nadgarstek. Druga ręka, miękka i zwiotczała, puściła kielich, który stoczył się, a jego zawartość wylała się na ciało kobiety. Nawet jeżeli napój poparzył ją, nie zwróciła na to uwagi.

Przemówiła w swoim języku. Laoina przetłumaczyła to szybko, zaś Dwa Palce pospieszył i przykląkł obok Roga, naprzeciwko Adiki.

- Idźcie drogą milczenia. - Kiedy mówiła, poruszała się tylko połowa jej ust, co sprawiało, że sepleniała. Laoina jednakże spędziła wiele lat, słuchając jej i teraz nie miała problemu ze zrozumieniem tego, co mówi stara kobieta.

Dwa Palce pochwycił jej prawą rękę i przycisnął do jej piersi. Postawił kielich na kamiennej podłodze, przejechał palcem po jego brzegu i przytknął wilgotny palec do warg Roga.

- Jesteś chora, kuzynko - rzekł, zaś Laoina tłumaczyła Adice jego słowa. - Nie jesteś wystarczająca silna, by wziąć udział w tkaniu.

Róg oblizła usta, smakując napój.

- Jestem bardzo chora. Nie pożyję długo. Ale moja uczennica zmarła rok temu, a ta młoda dziewczyna - spojrzała na nią swym zdrowym okiem - za mało potrafi.

- Ja jestem gotów - powiedział Dwa Palce. - Moje miejsce zajmie zaś uczennica o imieniu Hehoyanah.

- Niech tak będzie - wyszeptała Róg. Popatrzyła na Adikę. - Jak będziecie tkali na magicznym warsztacie, skoro Przekłęci kontrolują nasze ziemie?

- Adika musi się udać do Szu-Szy... - zaczął Dwa Palce, lecz Róg przerwała mu.

- Nie. Nie możemy ryzykować. - Zakasłała, jak gdyby wypowiedzenie tak wielu słów było dla niej ogromnym wysiłkiem i jednocześnie miarą faktu, jak jest słaba. W jej płucach szumiało. Po chwili przerwy, podczas której wszyscy czekali cierpliwie, Róg mówiła dalej: - Adika pójdzie drogą milczenia z córką mego serca, Laoiną. Ludzie Burzanu poprowadzą cię swoimi sekretnymi drogami do Grobowców Królowych. Laoina podąży do swej krainy i przywieździe mi najlepszych wojowników. Mamy zbyt mało dorosłych, by uderzyć na Przeklętych. Musimy mieć na tyle sił, by odeprzeć ich podczas wieczoru, gdy zostanie dokonane tkanie. Dwa Palce musi dotrzeć do warsztatu i utkać swą część. Tylko wówczas będziemy bezpieczni.

Róg zakasłała i zatrzęsa się. Słabła w oczach.

Alain pojawił się obok Adiki niczym ogar, gotowy warować przy swej pani. Położył rękę na jej ramieniu i przyjrzał się starej kobiecie współczująco.

- Wierzę, że znajdziesz spokój - oświadczył.

Na te słowa Róg odwróciła głowę. Co dziwne, znowu zdawała się spoglądać na Alaina swoim chorym okiem, jak gdyby było ono jedynym potrafiącym dostrzec wszystko w sposób właściwy. Jej nierówny oddech stanowił akompaniament dla innych odgłosów słyszalnych w jaskini: wzdychających dzieci, lekkiego chrapania, które rozlegało się gdzieś w ciemnościach, nikłych odgłosów kroków niewidzialnych tancerzy i flecistów, biorących udział w jakiejś starożytnej ceremonii, a namalowanych na ścianach. Wydawało się też, że słychać nikły dźwięk rogu, lecz było to tylko wrażenie, wywoływane przez echo, odbijające westchnienia dzieci.

Róg przemówiła nagle zupełnie innym głosem, zbyt dźwięcznym, by mógł się wydobywać z tak słabego gardła.

- Nie należysz do tego świata, Wędrowcze - powiedziała językiem ludu Jeleni. - Wracaj tam, skąd przyszedłeś. Twój ojciec płacze za tobą.

Wyraz twarzy Alaina zmienił się. Współczucie ustąpiło miejsca bólowi i zdumieniu.

- Nie mam domu. Nie mam ojca. Ani matki. Nie mam krewnych. Przybyłem tutaj sam, bez niczego, z miejsca, w którym kiedyś żyłem. Nie wrócę. - Popatrzył wojowniczo na chore oko Roga, po czym odwrócił się do Adiki. - Tutaj mam dom. Nie opuszczę Adiki. - Wziął jej dłoń w swoje ręce. Uścisk chorej ręki był mocny.

- Wielu czeka tam na ciebie - powtórzyła Róg uparcie. - Widzę twą koronę, jaśniejszą niż gwiazdy. Zboczyłeś z drogi dla ciebie przeznaczonej i musisz wrócić. Takie jest twoje przeznaczenie, Wędrowcze.

W czasie tej przemowy Alain coraz mocniej ścisnął rękę Adiki. Poczowała ból w palcach. Słowa Roga były jak cięcie, otwierające bliznę, która przesłaniała jej strach przed śmiercią. Czy stanie się coś, co sprawi, że Alain będzie musiał ją opuścić? Adika nie była pewna, czy zdoła iść dalej wraz z innymi,

wiedząc, gdzie prowadzi ich ścieżka, jeśli nie będzie miała Alaina przy sobie. Zaczęła się uzależniać od jego obecności; sprawiła ona, że Adika mogła jakoś przetrwać ostatnie dni.

Alain nie uląkł się.

- Nie opuszczę jej.

Adika poznała po wyrazie jego twarzy, jak straszliwego bólu wcześniej doświadczył. Nie tylko ona znalazła ukojenie w ich związku. On także.

Róg chrapanęła, wydała z siebie lekkie pogwizdywanie i gardłowy dźwięk. Jej uczennica podbiegła ku niej i przemyła jej twarz resztką napoju z kielicha. To ukoilo starą kobietę. Kiedy jej ciało przestało się trząść, leżała nieruchomo. Zdrowe oko pozostawało zamknięte, chorym zaś wpatrywała się w sufit, na którym gromadka jasno odzianych flecistów tańczyła wokół złapanego w sidła łosia.

Nikt nie wiedział, co czynić najpierw. Przyniesiono cydr, uschnięte warzywa bez smaku i upieczone na smalcu ciastka owsiane. Adika jadła to, co podano. Wiedziała, że ludzie wygnani z wioski nie mają wiele do zaoferowania gościom.

Nagle Róg ocknęła się. Sepleniąc, przemówiła. Powróciła do wątku, który poruszała, nim zaczęła mówić o Alainie:

- Laoina i wojownicy Akka, których tu przywiedzie, schronią się w grotach aż do momentu, gdy nadejdzie czas naszego wielkiego zadania. Potem będą mogli wrócić do swych domów. Ci z moich ludzi, którzy przetrwają, zbudują nową wioskę, tak byśmy nigdy nie osiedli w miejscu zatrutym przez Przeklętych. Ci, którzy zginą, wkroczą wraz ze mną na ścieżkę prowadzącą na Drugą Stronę. Dziewczyno, zabierz ich do ludzi Burzanu. Wciąż mam nad nimi władzę ognia, a oni są mi winni wyświadczyć dobrodziejstwo. - Sięgnęła po opaskę na rękę, usiłując ją zdjąć. - Zwróć ją ludziom Burzanu. Poznają dzięki temu moją wolę. - Róg wzięła oddech, wypuściła go i wyrzekła słabo: - Niech taki będzie koniec.

Z ciemności nadleciało piórko i osiadło na ustach Roga. Adika czekała, aż stara kobieta weźmie kolejny głębszy oddech, a piórko poruszy się, lecz nic takiego się nie stało. Jej pierś już nie drgnęła. Całe jej ciało zwiótczało. Z jego wnętrza wydostała się cienka smużka. Był to duch, który przybrał formę podobną do ciężarnej kobiety, namalowanej na skalnym suficie, zupełnie inną od ciała słabej, starej kobiety, w którym dotychczas zamieszkiwał.

Nagle podniósł się silny wiatr. Pochodnie zgasyły, pogrążając grotę w ciemnościach. Błada dusza Roga zaczęła wirować, unoszona przez wiatr.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - Przemówił obcy głos, donośny i dźwięczny. - Pochwycono ją! Przybywajcie szybko albo wszystko będzie stracone. Wybrana została uprowadzona przez Przeklętych. Nie mamy dość sił, by ją odbić. Przybywajcie, bo inaczej wszystko będzie stracone!

- Szu-Sza! - krzyknął Dwa Palce.

W grotcie rozległo się uderzenie przypominające łoskot pioruna. Dusza Roga załśniła tysiącem światełek i nagle zniknęła. Młoda uczennica głośno zawyła.

Najszybciej jak się dało, zapalono światła.

Róg nie żyła, a jej duch zniknął w ciemnościach.

## **CZĘŚĆ CZWARTA LUSTRO PRZESZŁOŚCI**

### **Rozdział czternasty JASKINIA ZŁOWROGIEGO JEDU**

Płomienie ją oczyściły. Wypaliły emocje, oczyściły przeszłość, strawiły więzi z wszelkimi substancjami z wyjątkiem ognia - ponieważ ona sama była ogniem. Dawno temu tata stworzył i zamknął drzwi cytadeli w pałacu jej pamięci, chroniąc ją przed poznaniem prawdy na temat tego, kim naprawdę jest. Nawet jeśli pochłonął ją ogień słońca, prawdziwy ogień serca jaśniał goręcej niż samo słońce, fale żaru czy twierdze płomieni. Drzwi w pałacu pozostały, lecz teraz mogła zerknąć przez dziurkę od klucza i zrozumieć, czym było to, co płonęło, zrozumieć tę rzecz, którą tata przed nią ukrył: duszę, błękitną, gorącą iskrę, która dała jej życie i przeniknęła jej istotę.

*Jestem tylko w połowie uformowana jako człowiek. Liath nie potrzebowała słów czy głosu, bo ogień sam w sobie był jej głosem. Demony, które porwały mnie z Verny, są moimi krewnymi.*

*Jestem ogniem.*

Triumfalnie zbliżyła się do osłepiającego słonecznego ognia i przemieniła go w skrzydła. Wzniosła się na nich ku migocącemu skrajowi słońca.

Ale nawet wówczas, ku swemu zdziwieniu, nie pozostawiła wszystkiego za sobą. Może to po prostu było niewykonalne. Wciąż miała swój łuk i kołczan ze strzałami; nadal miała złoty naszyjnik, czuła jego chłód na szyi. Był on dowodem na to, że przynależy do Sanglanta. Miała też pierścień z lapis lazuli, dar Alaina. Jednakże nic poza tym. Jej ciało owiewał wiatr.

Na horyzoncie widniała siedziba Anioła Wojny. Oświetlał ją krwawym, złowrogim blaskiem Jedu. Wrót strzegła para ponurych demonów, dzierżących kryształowe włócznie. U ich pasków wisiały czaszki, a na twarzach malowała się żądza krwi. Liath napięła łuk i wypuściła płonąca strzałę.

Demony zaśmiały się, widząc, jak żałośnie małą istotą jest Liath. Choć była ogniem, nie czuły lęku. Były wielkie jak zamki, o udach potężnych niczym domy i ramionach o szerokości pnia drzewa.

- Przejdź, proszę, przejdź! - wołały kpiąco głosami, przypominającymi łoskot. - Popatrzymy, jak zostaniesz upolowana i zabita, Bystra.

- Dziękuję - odrzekła Liath, nie widząc sensu w utarczkach z istotami, mogącymi zgnieść ją jak robaczka.

Przeszła przez bramę. Ich głosy goniły ją, głębokie i dźwięczne.

- Wchodź, jeśli chcesz, Dziecko Płomienia, ale stracisz tu część siebie...

Liath podążyła do jaskini złowrogiego Jedu.

O świcie Bulkezu rozkazał rozpocząć oblężenie Echstattu. Być może bezbronni mężczyźni, kobiety i dzieci mogliby znaleźć litość w Komnacie Światła, bo takowej nie znaleźli u Bulkezu. On mądrze robił użytek ze swych więźniów. Można było to nazwać bezwzględny rozsądek. Pognawszy pod mury Echstattu nieuzbrojony tłum zmusił obrońców miasta do użycia cennych zapasów strzał, oszczepów i gorącej smoły na niepotrafiących się bronić ludzi.

Hanna usiłowała nie płakać, gdy Bulkezu na nią patrzył. Lubił to robić, podobnie jak lubił demonstrować każdy atak swej armii, wdzierającej się do Wendaru. Próbował ją zdruzgotać i przełamać jej wewnętrzne mury, lecz Hanna nie poddawała się.

W południe Qumanowie obiegli mury miasta i walka rozgorzała. Domy, dwory i chaty zaczęły płonąć, a śnieg zalegający na ich dachach topił się. Siedząc na grzbiecie kosmatego qumańskiego konia, otoczona przez grupę dowódców, obserwujących oddziały atakujące miasto, Hanna widziała każdy gorzki moment bitwy.

Czuła smak rozpacz, kiedy skrzydlaci wojownicy rozpoczynali rzeź, odcinając palce tych mieszkańców miasta, którzy nie zdążyli dostatecznie szybko ściągać pierścieni. Qumanowie wyciągali mężczyzn na ulice, zabijając tych, którzy okazywali opieszałość.

Ogień płonął, a dym bił w górę. Tuzin wojowników wybiegł z kościoła, którego dach trawiły płomienie. Czterech Qumanów chwyciło za rogi haftowanego obrusa okrywającego ołtarz; spoczywały na nim ornaty, złote naczynia, srebrne kielichy. Widniała na nim także plama krwi diakona. Po chwili zostało wybite okno nad ołtarzem.

W bogatym mieście takim jak Echstatt oprócz paszy dla koni, zapasów żywności i skarbów kościelnych było wiele rzeczy, mogących stanowić cenny łup. Intencje Bulkezu nie były dla Hanny jasne, ponieważ nie interesowały go łupy. Chodziło raczej o to, by zadowolić żołnierzy, spragnionych grabieży i pozyskiwania niewolników.

Teraz nastąpiła najgorsza część ataku. Qumanowie wygnali ocalałych mieszkańców miasta na pola. Na znak dany przez Bulkezu jego dowódcy ruszyli. Otoczona przez nich Hanna musiała jechać wraz z nimi.

Na drodze, znaczonej śladami krwi, upadła stara kobieta. Młody mężczyzna przytulał dziecko do piersi. Idąca obok niego młoda, ładna żona miała wypisany na twarzy przestach i brak nadziei. Zmusiła dziecko, by było cicho i przytuliła je do siebie. Łzy płynęły po jej policzkach gęstym strumieniem. Dzieci łkały. Jakaś dziewczynka na próżno starała się połączyć dwie części rozerwanego rękawa. Puciołowaty człowiek w odzieniu służącego upadł na ziemię, jęcząc bezradnie, z twarzą w błocie.

Widok przesłonił Hannie dym unoszący się z płonącego miasta. W oczach miała łzy. Mieszkańcy ujrzeli ją, królewskiego Orła, pośród znienawidzonych Qumanów.

Naprzód wystąpił starszy, dostatnie odziany mężczyzna, unosząc swoją kupiecką laskę.

- Błagam cię, Orlico - zapłakał. - Wstaw się za nami.

Jakiś Quman powalił go ciosem na ziemię. Ze skroni starszego mężczyzny połała się krew, spływając w zagłębienie, które pozostawił w ziemi but qumańskiego żołnierza. Jakiś wyrostek ze szramą na policzku krzyknął głośno, a starsza od niego dziewczynka, wyglądająca na jego siostrę, szybko zatkała mu ręką usta. Mieszkańcy miasta spuścili wzrok i skulili się, jakby chcieli pozostać niedostrzeżeni.

Bulkezu zaśmiał się. Śmiech, stłumiony przez jego hełm, zabrzmiał upiornie. Wykonał drobny gest i zjawił się tłumacz, gotowy, by służyć. Dziesięć dni temu zdarł z ciała zmarłego człowieka nową tunikę, a w ruinach kościoła zdobył srebrny łańcuch. Strojny przyodziewek wbił go w pychę. Hanna jak dotąd nie знаła jego imienia, teraz jednak, kiedy miał sześciu jeńców jako niewolników, kazał się tytułować „lord Boso”. Czasami, kiedy Bulkezu był w łaskawym nastroju, Boso dostawał spośród świeżo wziętych jeńców nową kobietę i nie musiał kontentować się tymi, którymi już zadowolili się qumańscy żołnierze.

Bulkezu zsunął hełm. Tłumacz przekładał jego słowa.

- Jego Szczodrość ma w swym sercu wiele łaskowości. Cieszcie się, że nie doświadczyliście jego gniewu. Jest dziś w dobrym usposobieniu i dlatego pozwala obecnej tutaj Orlicy wybrać dziesięć spośród was. Qumańscy wojownicy obejrzeni już trzystu jeńców, testując wytrzymałość ich kończyn, sprawdzając, jak apetycznie okrągłe są młode kobiety i jak odporni są ci mężczyźni, którzy przeżyli i nie poległi w walce. Niektórzy będą dobrymi niewolnikami, inni zaś nie. Bulkezu i jego ludzie dostrzegają te różnice.

- Co stanie się z tymi, których wybiorę? - zapytała Hanna.

Bulkezu zachowywał nieporuszony wyraz twarzy, podczas gdy Boso tłumaczył. Jego odpowiedź była krótka i szybka:

- Jego Hojność daje słowo, że pozostaną nietknięci. Wybieraj, Orlico.

Pozycja szamanki Kerayit do tej pory chroniła Hannę. Bulkezu trzymał od niej ręce z daleka, jednakże najprawdopodobniej miał zamiar zdobyć jej szacunek, używając różnych metod - łaskowości i perswazji. Hanna przyjrzała mu się podejrzliwie, lecz on tylko się uśmiechnął.

Popęłniła błąd, ponownie spoglądając w stronę mieszkańców miasta. Zostali pobici, byli zgubieni, kilku jednak usłyszało słowa Boso. Choćby nie wiedzieć jak bardzo starali się zachować obojętny wyraz twarzy, w ich oczach pojawił się błysk nadziei, lecz jednocześnie nienawiść, że Hanna ma moc decydowania o ich życiu.

Dziewczynka z rozdartym rękawem wysyczała:

- Niewolnica! Zdrajczyń!

Nie mówiła do Boso.

Wszyscy mieszkańcy miasta popatrzyli na Hannę; mieli o niej własne zdanie, skoro zobaczyli ją pośród Qumanów. Niczym echo słów dziewczyny rozległo się syczenie dogasającego w mieście ognia. Boso powiedział coś szeptem do Bulkezu i wódz wydał rozkaz. Dziewczynę wyciągnięto z tłumu i rzucono przed nim na kolana. Zaczęła biadolić i płakać. Nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat. Bulkezu wyciągnął miecz.

- Wybieram ją - powiedziała szybko Hanna. - Ja także jestem więźniem. Nie miałam wyboru, zmuszono mnie, bym z nimi jechała.

Słowa te wypowiedziała do tłumu mieszczan, ale nie dano jej wiary. Nienawidzili jej tak czy inaczej, niezależnie od tego, co o niej sądzili - miała bowiem władzę nad ich życiem i śmiercią, władzę decydowania, kto pozostanie wolny, a kto będzie niewolnikiem. Okrucieństwem było igrać z nimi i z nią.

Nadzieja jest zawsze okrutna.

Jednak jeśli Hanna nie dokona wyboru, ci ludzie zostaną niewolnikami Bulkezu.

Kiedy wybierała, Bulkezu śmiał się. Wskazała na butną dziewczynkę, młodą parę z dwójką małych dzieci, mężczyznę o szerokich ramionach kowala, kobietę, która przypominała jej matkę i wtuloną w nią kilkunastoletnią dziewczynkę. Pozostały tylko dwie osoby. Ludzie błagali, by ich wybrała albo ich niewinne dzieci. Błagała ją tak wielu...

Zimny wiatr zmroził jej policzki i sprawił, że w oczach Hanny zalśniły łzy. Qumańscy wojownicy odseparowywali od niej zdesperowany tłum.

Dzieci płakały. Chłopiec ze szramą na policzku dygotał. Jego siostra chwyciła go mocno, ale nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Służący skulił się i zaczął jęczeć, grzebiąc rękami w ziemi, jak gdyby chciał przekopać się ku wolności. Nie miał trzech palców. Na przodzie jego lnianej tuniki widniała krew.

- Jeszcze dwoje - zawołał Boso. Strach ludzi wprowił go w podniecenie. Jego oczy błędnymi po kobietach, których nie wybrano. Oceniał je, a jego wzrok płonął pożądaniem.

Qumanowie beznamyślnie się wszystkiemu przyglądali. Tylko Bulkezu uważał scenę za zajmującą. Hanna nienawidziła go za jego śmiech. Byłoby łatwiej nienawidzić go za brzydotę fizyczną. Ale nawet gdy się śmiał, rozkoszując się bólem i desperacją jeńców, nawet gdy jego śmiech ujawniał okrucieństwo i złe serce, ta wewnętrzna ciemność nie tykała jego twarzy.

Nie było prawdą to, co pojawiała się nieraz w kościelnych kazaniach: jak wewnątrz, tak i na zewnątrz.

Hanna nie chciała okazać, że w duszy łka. Jak na królewskiego Orła przystało, jej obowiązkiem było ocalić jak najwięcej istnień. Wybrała jeszcze dwie dziewczynki, obie w wieku małej z rozdartym rękawem. Były dostatecznie duże, by przetrwać, w razie gdyby miały zostać same. Dostatecznie duże, by zostać zgwałcone i wzięte jako konkubiny, jeśli pozostaną wśród Qumanów.

Boso zaklął, miał bowiem oko na jedną z tych dziewczynek. Bulkezu wreszcie przestał się śmiać. Obserwował Hannę z przymrużonymi oczami. Dowódca wydał rozkaz marszu. Zabrzmiał róg. Płacząc i zawodząc, jeńcy zostali pognani w kierunku oczekującej armii.

Brańcy potykali się. Jedno z raczkujących dzieci zostało upuszczone. Zabito je, leżące na ziemi i płaczące. Jadąc wśród grupy dowódców, Hanna szybko ich wyprzedziła, lecz ścigały ją płacze i żale, które wkrótce przerodziły się w trzęsawisko ludzkiego bólu. Tłum więźniów prowadzono wraz z żywym inwentarzem i końmi.

Tego samego popołudnia sytuacja powtórzyła się w niewielkiej wiosce. Wojownicy wysłali naprzód tłum niewinnych ludzi, którzy mieli wziąć na siebie impet pierwszego ataku. Kiedy skończył się pierwszy ostrzał, Qumanowie zaatakowali. Spalili palisadę, domy i wzięli jeńców. Bulkezu znowu nakazał Hannie, by okazała litość dziesięciorgu z nich.

- Nie uczynię tego - odparła. - Igrasz ze mną. Nie chodzi o okazanie litości.

Bulkezu parsknął. Boso tłumaczył.

- Zatem ja wybiorę i pozostawię dziesięcioro na pożarcie wronom.

Tym razem jakaś kobieta splunęła w kierunku Hanny, wypowiadając słowa gorsze niż „niewolnica” i „zdrajczyń”. Po chwili została zabita.

Hanna wybrała wreszcie dziesięcioro ludzi, podczas gdy jedni stali w milczeniu, a drudzy przyglądali się jej oskarżycielsko.

- Litość to marnowanie czasu - skomentował Bulkezu. - Ludzie nienawidzą tych, którzy okazują im litość.

- Sądzą, że ich zdradziłam - odrzekła Hanna. - I może tak jest.

Straż przednia zaczęła rozbijać obóz, tak by odseparować się nieco od reszty armii oraz jeńców i cuchnącego żywego inwentarza. Ale Bulkezu lubił przyglądać się swoim zdobyczom. Rozkoszował się bogactwami, jedwabnymi szatami, pięknymi złotymi kielichami, słodko pachnącymi kobietami, których wcale nie traktował źle, jeśli mu się nie opierały. Jednakże wszystkie te rzeczy porzuciłby bez chwili zastanowienia. O ile Hannie było wiadomo, najbardziej fascynowało go nieszczęście, jakie gotował innym ludziom.

W towarzystwie nocnej straży i zabranej przymusem Hanny Bulkezu lustrował swe oddziały, zatrzymywał się przy ogniskach, zaglądał do namiotów, aż wreszcie dotarł do jeńców, zgromadzonych wraz z inwentarzem, bydłem, beczącymi kozami i owcami, gdaczącymi w klatkach kurami i kaczkami oraz wszelkiej maści osłami i końmi, poczawszy od wytrzymałych i zdatnych do pracy kucyków, a skończywszy na wierzchowcach, na których jeździli teraz mali chłopcy. Nawet odczuwając strach, nadal czynili tyle hałasu, że obudziliby umarłego. Hanna nie mogła ich policzyć; w ostatnich dniach liczba jeńców wzrosła alarmująco, jako że qumańska armia wkroczyła na gęsto zasiedlone tereny. Szacowała, że



w tej chwili jeńców było dwukrotnie więcej niż żołnierzy.

Nadeszła wiosna, choć śnieg leżał jeszcze gdzieniegdzie na dachach domów i na gałęziach drzew. Zimno i wilgoć dawały się we znaki nawet podróżującym we względnym komforcie. Dla jeńców, często bosych i bez żadnego okrycia, wiosna była zabójcza. Każdego ranka znajdowali się tacy, którzy nie mogli wstać. Dzieci nie miały siły płakać, kwiliły tylko. Mężczyźni mieli na nogach ropiejące rany. Jakaś matka przystawiała dziecko do piersi, lecz nie miała pokarmu. Tu i tam snuły się grupki, strzegąc zapasów jedzenia, zdobytych dzięki krewnym, którzy w taki czy inny sposób dostali się pod opiekę jakiegoś gumańskiego żołnierza - na przykład młoda dziewczyna stawała się jego konkubina, jej matka gotowała dlań mięso i naprawiała ubrania, a jej syn oporządzał jego konie i polerował zbroję.

Hanna patrzyła, jak tuzin żołnierzy ogląda nowych jeńców. Otoczyli ich, przerażonych i zrozpaczonych, a potem popchnęli do przodu. Bulkezu obserwował ich z irytacją. Dzisiejszego dnia najechano kilka wsi. Hanna zauważyła jeńców, których nie widziała wcześniej. Pośród nich była apetycznie okrągła dziewczyna, co Qumanowie szczególnie cenili. Żołnierze przepychali się pomiędzy sobą, by się do niej dostać, poszturchiwać ją i podszczypywać, sprawdzali jej zęby i włosy. Wkrótce przerażona dziewczyna wybuchnęła płaczem. Jeden z Qumanów popchnął drugiego, by utorować sobie drogę. Rzucono kilka przekleństw.

Bulkezu pognął naprzód. Przepychanka natychmiast ustała, zaś walczący posłusznie od siebie odstąpili. Wiatr wzmagał się, poruszając gryfie pióra Bulkezu. Wódz trzymał swoją armię żelazną ręką. Nie tolerował walk pomiędzy żołnierzami. Lord Wichman i jego towarzysze nie przetrwaliby pomiędzy Qumanami nawet przez jeden dzień, niezależnie od tego, jak byli waleczni.

Bulkezu zsiadł z konia. Dotknął włosów młodej kobiety, palcami sprawdzając ich gęstość i jedwabistość. Młoda dziewczyna miała na tyle rozumu, by przestać płakać, a może była po prostu zaszokowana.

Wódz zdecydował wziąć ją dla siebie.

Wydał rozkazy. Potem wszyscy cierpliwie czekali, aż dwaj przyboczni strażnicy udadzą się do straży przedniej. Bulkezu pogwizdywał radośnie. Jego wojownicy zadowolili się innymi kobietami. Wśród jeńców zapanował płacz i przerażenie. Młoda dziewczyna stała sztywno, tylko jej wzrok błędził jakby w poszukiwaniu pomocy, odsieczki czy ucieczki.

Hanna postąpiła do przodu, gdy straż Bulkezu powróciły z jego pięcioma konkubinami, które miały zostać oddane walczącym przed chwilą żołnierzom w zamian za tę jedną. Jedna z nich - blondynka, którą znaleziono schowaną w piwnicy - rzuciła się przed konia Bulkezu, szlochając i starając się chwycić jego but. Rozradowany Bulkezu kopnął ją w twarz i dał sygnał swoim żołnierzom, by ją zabrano.

Hanna wykorzystała zamieszanie i podjechała do nowej wybranki wodza. Przejeżdżając obok niej, pochyliła się i powiedziała szybko:

- Żadnego przypochlebiania się. Żadnego błagania. Nie okazuj strachu. Nie płacz.

Minęła dziewczynę, nie spojrzawszy nawet, jak ta zareagowała. Blondynka wciąż płakała, gdy żołnierz, który zaczął zwadę, odciągnął ją na bok. Pozostali jeńcy tylko patrzyli, zbyt chorzy, słabi i pozbawieni nadziei, by zrobić cokolwiek. Kilkoro bystrych dzieci przysiadło się do rodzin kobiet, które zabrano. Wiedziały, że jedzenie będą mieć tylko ci, którzy zadowolą swoich panów.

Qumanowie traktowali niewolników nie gorzej, niż ci traktowali się wzajemnie.

- Mężczyźni, którzy walczą o kobiety, są słabi - powiedział Bulkezu po wendarsku, gdy zrównał się z Hanną. Znajdowali się na tyle daleko od jeńców, że nikt nie słyszał ich rozmowy.

- Po co bierzesz tylu jeńców, skoro ich los to tylko cierpienie? Nie masz z nich żadnego pożytku. Po ci oni?

- Potrzebuję ich, by cierpiał cały Wendar.

- Co osiągasz, paląc i niszcząc? Co daje ci to, że zniszczysz Wendar? Masz nadzieję rządzić tutaj? Zrobiłbyś lepiej, oświadczając się jednej z królewskich córek.

Bulkezu splunął.

- Który z moich ludzi chciałby poślubić obcą? Jeśli zechcę, wezmę królewską córkę jako moją nałożnicę.

- Królewskie córki mają swe własne armie. Nie jest tak łatwo je pojmać jak tych biednych, bezbronnych ludzi. Jaki to honor dla wojownika takiego jak ty pokonać takich ludzi? - Wskazała na jeńców.

Skrzydła Bulkezu załopotwały na wietrze. Przez chwilę Hannie zdawało się, że jej nie słuchał. Jego straż czekała cierpliwie na swoich koniach. W pewnym sensie Hanna i Bulkezu byli sami, oddzieleni od armii, od jeńców, od jego osobistej straży. Byli oddzieleni nienaturalną mgielką, identyczną, która chroniła ich przed cieniami elfów.

Hanna rozejrzała się wokół, podświadomie szukając szamana, ale ujrzała tylko wojowników, ogniska i namioty, tłum więźniów i ich inwentarz. Po drugiej stronie obozowiska ciągnęły się pola. Dalej znajdowała się linia drzew i poszycia leśnego. Kręcili się tam wieśniacy, szukający chrustu i drewna na budowę szałasów. Dziesięciu szczęśliwców, których wybrała Hanna, nie zostało w obozie, by sprawdzić, czy litość najeźdźców potrwa do następnego ranka.

- W moim własnym kraju nienawidzą mnie - powiedział wreszcie Bulkezu łagodnie. - Starszyzna plemienia Pechanek jest słaba i tchórzliwa. Zostaliśmy wygnani z naszych pastwisk przez Shatai, a mieszkający na południu Tarbagai są blisko Ungryjczyków, tych bastardów, niechaj zgniją im jądra. Teraz syn mojej siostry, tej dziwki, jest ulubieńcem starego bega. W dodatku jest przystojniejszy ode mnie.

Hanna przyjrzała się jego delikatnym policzkom, żywym oczom w kształcie migdałów, szerokim ramionom, ukrytym pod zbroją, dumnie uniesionemu podbródkowi i zarysowi twarzy. Zdjął hełm i wetknął go pod pachę. Gest ten przypominał Hannie księcia Sanglanta. Bulkezu bez wątpienia zsunął go dlatego, żeby pochwalić się swymi gęstymi, czarnymi włosami.

- Jak to możliwe? - zapytała Hanna, nauczycywszy się czegoś o nim przez ostatnich kilka tygodni. - Czy jest ktoś bardziej urodziwy od ciebie?

- Jest taki jeden - przyznał. - Widziałem go we śnie. Ale on ma jasne włosy, oblane światłem słońca. - Uśmiechnął się. - Kobiety kochają pięknych mężczyzn. Kobiety już zamężne ryzykują śmiercią, wchodząc pod futra mego łoża. Dlaczego masz takie twarde serce? Uczyniłbym cię pierwszą pośród moich żon.

- Sądziłam, że Qumanowie zawierają małżeństwa tylko z kobietami ze swego plemienia.

- Każdy, kto nie chciałby poślubić szamanki Kerayit, byłby głupcem.

- Ale ja nie chcę.

Roześmiał się.

- Tak, lepiej trzymaj się z daleka od mojego łoża. Szanuję cię teraz, co nie miałyby miejsca, gdybym posiadał twoje ciało.

- Czego zatem chcesz? - zapytała Hanna, poirytowana jego gierkami.

- Zwycięstwa.

- Nad kim?

- Nad każdym, kto stanie na mej drodze.

Z daleka ozwał się głos bębna. Odpowiedział mu drugi. Bulkezu przechylił głowę, słuchając wieści, które w ten sposób przekazywano. Gwizdnął, zawrócił konia, a jego straż podążyła za nim. Hanna nie miała innego wyjścia, jak tylko dołączyć do nich. Zmrok kładł się na jeńcach barwą szarości, lecz nawet ciemność nie mogła ukryć zapachu biegunki i choroby. Jakieś dziecko płakało bez końca. Hanna zgłodniała. Doleciał ją przyniesiony przez wiatr zapach pieczonego mięsa, lecz apetyt zniknął, gdy przejeżdżała wzdłuż rzędów jeńców. Wielu z nich nic nie jadło od kilku dni.

Gdy ona będzie się posilała, z głodu umrze jakieś dziecko, jak to się działo wczoraj i przedwczoraj. Ciężar bycia Orłem nigdy nie był tak ciężki jak teraz, gdy od kilku miesięcy była jeńcem Qumanów.

Musiła wszystko zapamiętać, by potem zdać z tego raport królowi. Niekiedy przy życiu trzymała ją tylko determinacja, by opowiedzieć o wszystkim władcy.

Bulkezu jechał na spotkanie grupy wojowników, mającej mu zdać raport. O niektórych rzeczach będzie bardzo trudno mówić królowi Henrykowi.

Książę Ekkehard i jego towarzysze nosili książęcą zbroję Qumanów, okrywając się żołnierskimi płaszczami, zdartymi z poległych wojowników i ozdobnymi wendarskimi opończami, obszywanymi futrem. Mieli skórzane rękawice, zdobione tarcze, jednym słowem wszystko - prócz piór. Nie mieli też wyschniętych głów przeciwników, na co nawet Ekkehard nie miał ochoty.

Przynieśli łupy i wieści. Lord Boso został przysłany i przekładał słowa lorda Welfa, składającego raport.

- W fortecy lorda Hedo brakuje żołnierzy i jest ona łatwa do zdobycia. Służący twierdzą, że wyruszył zeszłej jesieni wraz z pięćdziesięcioma ludźmi na walki do Saony.

- Kto walczył w Saony? - zapytała Hanna.

- Dzieci księżnej Rotrudis. - Ze swoją wielkopańską arogancją, mięsistymi rękami i wargą, na której widniała blizna, Welf wyglądał w jej oczach jak głupiec. Z musu zniżał się do rozmowy z nią, gdyż była niskiego stanu. Odzywał się do Hanny tylko dlatego, że Bulkezu miał zwyczaj chłostać albo kastrować tych, którzy traktowali ją bez szacunku: nie zagrzali wody do jej kąpieli, nie zeszli dostatecznie szybko z drogi, którą właśnie szła, albo ośmielili się patrzeć w oczy szamance Kerayit.

Łupy zdobyte w forcie były obfite: złote naczynia, srebrne kielichy, łyżeczki z kości słoniowej i dwa gobeliny.

- Jego Nadętość pozwala wam zachować to, co zdobyliście - przetłumaczył Boso słowa Bulkezu. - Bo czyż nie jesteście braćmi? Czy nie jesteście szanowani, jak przystało na ludzi wysoko urodzonych?

W jaki sposób Bulkezu utrzymywał obojętny wyraz twarzy, Hanna nie miała pojęcia, zważywszy na obelżywy ton, jakim przemawiał Boso. Była to kolejna z zagadek, gra, którą toczył ze swymi więźniami. Nawet bowiem Ekkehard, choć teraz walczył w qumańskiej armii, nie był niczym więcej niż jeńcem wysokiego rodu, prowadzonym na smyczy. Ekkehard miał kobiety, jedwabie, mięso i wino, miał nawet honorową straż, która w rzeczywistości pełniła funkcję jego dozorców. Jeśli dłużej będzie paradował w brudzie pod sztandarami Bulkezu, zniknie sens, by wracać na królewski dwór ojca i odzyskać należny mu autorytet.

Niewątpliwie na to właśnie liczył Bulkezu. Miał swoje sposoby, by zniszczyć Ekkeharda

- Jestem zdumiona, mój książę panie - powiedziała Hanna - że walczysz z ludźmi twego ojca. Czy to nie jest zdrada?

Książę Ekkehard nie raczył odpowiedzieć, ale lord Benedykt pochwycił przynętę.

- Lord Hedo nie przybył królowi Henrykowi z pomocą, gdy jego siostra Sabella wznieciła przeciwko niemu rewoltę. To jest więc kara. Odplącamy mu się za nieposłuszeństwo.

- Pomaganie wrogowi, który dewastuje kraj twojego ojca i zabija jego lud, nie wygląda mi na akt lojalności.

- Pożałujesz tych słów - powiedział zapalczywie lord Welf - kiedy już nie będzie księcia, który cię chroni. - Wskazał głową na Bulkezu.

- Nie, ja nie mam księcia, który mnie chroni. - Hanna uniosła prawą rękę, demonstrując szmaragdowy pierścień. - Jestem królewskim Orłem.

Ekkehard poczerwieniał, zaś jego kompani zaczęli mruczeć między sobą, popatrując w stronę Bulkezu i oceniając, w jakim jest nastroju. Towarzysze Ekkeharda nie lubili Hanny. Z wzajemnością. To po prostu zdrajcy. Czy jednak byli inni od większości szlachetnie urodzonych, prowadzących swoje wojny z wykorzystaniem zwykłych ludzi?

Bulkezu zaśmiał się, gdy Boso przetłumaczył tę wymianę zdań. Podjechał konno i zrównał się z Ekkehardem, częstując go kwiecistymi komplementami, tłumaczonymi nader sarkastycznie. Bulkezu chwalił Ekkeharda, jak wiele zyskał w boju, jak wiele ma kobiet i jak bardzo niesłusznie postąpili jego krewni, przeznaczając go do klasztoru, podczas gdy każdy głupiec widzi, iż Ekkehard stworzony jest do wojennej chwały. Łykał te komplementy niczym śmietanę. Zapomniał nawet o obecności Hanny, jadącej nieopodal, potrafiącej ukąsić żądłem wyrzutów sumienia, nie pozwalając zapomnieć księciu, że postępując tak, popiera sprawę Bulkezu.

Senny półmrok rozdarł nagły krzyk. Gdzieś w tłumie zmęczonych, pogrążonych niemal w letargu jeńców zrodził się jakiś ruch, przypominający wirowanie liści, wzniesionych przez nieczystą siłę.

- Czarnoksiężstwo! Demony! Wrogi jest wśród nas!

Panika wybuchła niczym burza. Ludzie wpadali na siebie w popłochu, bardziej obawiając się siły nieczystej niż pilnujących ich Qumanów. Przerażeni jeńcy zatrzymali się na niewidzialnej granicy, tuż przy włóczykach wroga. Niczym krople deszczu, które zapowiadały ulewę, niewielka grupka przerażonych przekształciła się w powódź ludzi, gotowych uciekać od obecnego wśród nich niebezpieczeństwa.

Nawet przyzwyczajone do wojny konie spłoszyły się z powodu tego nagłego poruszenia. Wierzchowiec Ekkeharda przysiadł na zadzie, cofając się ku koniowi Bulkezu. Nocna straż, która musiała przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo swemu wodzowi, ruszyła naprzód.

Hanna dostrzegła swoją szansę.

Pognała konia i galopem ruszyła w kierunku drzew. W tutejszym lesie trudno było się ukryć. Otoczyły ją bladawe pnie, a nagie gałęzie łopotwały na wietrze. Słyszała śpiew skrzydeł i stukot kopyt. Goniono ją. Przywarłszy do końskiego karku, pognała wzdłuż sosen. Sforsowali płytki, rozdzielający się na trzy odnogi strumień i dopadli do gęstych krzaków jeżyn. Natychmiast w jej opończę wbiły się ich igły. Hanna wyszarpnęła odzienie, pogoniła konia i znalazła się twarzą w twarz z Bulkezu.

Nawet w lesie, w porze, gdy zbliżał się zmierzch, było wystarczająco dużo światła, by zobaczyć wyraz jego twarzy. Śmiał się, jakżeby inaczej. Trzymał napięty łuk z przygotowaną strzałą. W takiej chwili, widząc wyraz jego twarzy, Hanna nie była pewna, czy może wierzyć, że Sorgatani uchroni ją od krzywdy. Ciężko oddychając, ściągnęła lejce i spojrzała na Bulkezu z rezygnacją i zdegustowaniem.

Podniósł łuk, wymierzył i wypuścił strzałę w kierunku kępy jeżyn, wykurzając stamtąd dwóch

zbiegłych więźniów, mających nadzieję pozostać niezauważonymi. Hanna rozpoznała kilkunastoletnią dziewczynkę i jej brata. Chłopiec bezgłośnie przetykał ślinę, starając się nie wpaść w histerię. Siostra chwyciła go za ramiona, mierząc wszystkich buntowniczym spojrzeniem.

Bulkezu wzruszył ramionami, co spowodowało, że głowy przypięte do jego paska poruszyły się, uderzając o udo. Wymierzył drugą strzałę i skierował na chłopca.

- Biegnij - powiedział miękko po wendarsku.

Chłopiec potknął się. Bulkezu wymierzył w jego plecy. Hanna mocno kopnęła konia i pognęła w stronę dziecka, robiąc wszystko, by zepsuć plan Bulkezu.

Ale strzała już leciała.

Dziewczyna krzyknęła i popchnęła brata. Strzała utkwiała w pniu wiotkiej brzozy, ledwie o głowę od pędzącego co sił w nogach chłopca.

Straż chciała ich dogonić, lecz Bulkezu wydał krótki rozkaz i jego żołnierze nie zrobili już nic, by dopaść uciekinierów.

Na wargi Hanny spłynęły łzy ulgi.

- Nie trafiłeś!

Zaśmiał się tym swoim przeklętym śmiechem. Łkając, Hanna wyjęła kolejną strzałę z jego kołczanu i obróciła ją w palcach. Wiatr poruszył skrzydłami Bulkezu. Doleciał do nich z obozu słaby zapach zgnilizny.

- Zawsze trafiam. - Jego twarz pociemniała. - Jeśli znowu dostaną się w moje ręce, pożałują.

- Kto mógłby cię pokonać, książę Bulkezu? - Hanna, zła na siebie, na los, na arogancję wodza, nie wahała na swój sarkazm, choć wiedziała, że nie postępuje mądrze.

- Wiedźma Ashioi. I ten złotousty mnich.

- Tolerujesz obelgi ze strony Boso. Rozumiesz przecież każde słowo, które on wypowiada.

- Boso jest głupcem. Pies byłby lepszym lordem. Bawi mnie czekanie na moment, w którym każę go zabić. Zacharias... On był mądrym człowiekiem. Prowadził ze mną wojnę na słowa. Powinienem zamiast penisa obciąć mu język. Nie znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, co zraniłoby go bardziej. Moja strzała chybiła celu. - Poprawił się w siodle i musnął ręką pióra gryfa, przytroczone do drewnianych skrzydeł. Na jego ręku pojawiła się krew, lecz szybko zniknęła. Z gałęzi drzew posypał się obłoczek śniegu, który stopniał w zetknięciu z mokrą, wiosenną ziemią. - Kiedy chcieli mnie upokorzyć, stałem się mocniejszy. Jestem jedynym mężczyzną wśród plemion, który zabił dwa gryfy, a nie jednego. - Jego twarz znamionowała powaga.

- Nie nosiłeś tych skrzydeł, kiedy walczyłeś z księciem Bayanem i księżniczką Sapientią.

- Chciałem, żeby Bayan wiedział, iż nawet bez skrzydeł mogę go pokonać, a także jego szlachetnie urodzonych sprzymierzeńców. - Nagle parsknął śmiechem i Hanna zaczęła się zastanawiać, czy coś mu nie utkwilo w gardle. Odcięte głowy podskakiwały na jego biodrze i patrzyły na Hannę oskarżycielsko. - Nigdy wcześniej nie zabiłem kobiety lorda w bitwie - powiedział wreszcie - więc pomyślałem, że byłoby dobrze odesłać moich opiekunów i przypiąć nowego. - Jego śmiech przeszedł w chichot. Potarosił ręką włosy na jednej z głów. - Czy znasz ją?

Hanna poczuła w gardle gorycz. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Niewątpliwie głowa, choć poczerniała i pomarszczona, wyglądała znajomo. Hanna wiedziała, kto zginął w tej bitwie.

- Judith - wyszeptęła. - Margrabini Olsatii i Austrii.

Podjechał jeden ze strażników z raportem. Bulkezu słuchał uważnie, mrużąc oczy. Zapomniał już o głowie. Jego wyraz twarzy z wolna się zmieniał. Jedyną rzeczą gorszą od jego śmiechu były zmarszczki. Bulkezu skrzywił się, gdy nocny wiatr przyniósł z obozu cuchnący zapach. Hanna nie mogła złapać tchu. Nie mogła patrzeć na Bulkezu, nie teraz, gdy u jego paska wisiała głowa margrabiny Judith.

Jeden ze strażników zapalił pochodnię. Na tyłach wojska zapłonęło ich wiele.

Pośród nocy narastał krzyk.

- Co się dzieje? - zapytała przerażona Hanna. Krzyki brzmiały tak, jakby Qumanowie rzucili się na bezbronnych jeńców i zaczęli ich zabijać.

- Jak się zwie rzecz, która wkradła się w szeregi moich jeńców i którą musimy wyplenić, nim przejdzie na moich żołnierzy? - dumał głośno Bulkezu, nieświadomie dotykając grotu strzały. Przechylił głowę na jedną stronę, wsłuchując się w odległe odgłosy mordy. Na jego włosach widniał śnieg. Osypał się z drzewa, pod którym stali. - Najpierw demon wkłada się niepostrzeżenie w ciało. Potem ciało staje się szare i zaczyna się trząść. Potem z ust, nosa i uszu wydobywa się nieczysta wydzielina. Kał, krew i płwocina wylewają się z człowieka. Zach'rias mówił mi nazwę tego...

Hanna już wiedziała. W sercu poczuła zimnego robaka strachu. Sparaliżował ją. Zawsze sądziła, że

widmowe elfy są jedyną rzeczą groźniejszą od Qumanów. Pomyłka.

Bulkezu skinął głową, przypominając sobie właściwe słowo.

- Zaraza.

W obozie trwała rzeź.

### 3

Zeszli z gór Alfar latem, które było tak złociste, że Rosvicie wydawało się, iż słońce rozlało się po świecie. Na północy światło nigdy nie było tak jasne i wyraziste.

Kiedy w południe zatrzymali się, by napoić konie i woły, Fortunatus zdjął buty i zanurzył palce stóp w spływającej ze skał wodzie.

- Ach! - mruknął ukontentowany. - Zapomniałem już, co to znaczy mieć ciepłe i suche stopy. Po tej koszarnej zimie i wiośnie miałem wrażenie, że nigdy już nie poczuję się komfortowo.

Rosvita z westchnieniem ulgi zsiadła ze swego muła i znalazła płaski kamień, na którym spoczęła. Z tego miejsca - wcale nie twardszego od siodła - mogła obserwować strumień, gdzie klerycy z królewskiej uczelni obmywali twarze albo pili. Choć król lubił jej towarzystwo, otrzymała zgodę na to, by podróżować z klerykami. Miała ich pilnować, a także mieć oko na cenne księgi, które wieziono.

Służący przynieśli z wozów świeży ser. Rosvita rozkoszowała się jego delikatnością, przypatrując się jednocześnie zwierzętom, gromadzącym się przy strumieniu, w miejscu, gdzie widniała zwalona kłoda drzewa. W górze kołował sokół, niesiony podmuchem wiatru, omiatającego wysokie szczyty gór porośnięte lasami. Gdzieś w pobliżu słychać było stukot dzięcioła. Rosvita zobaczyła go wśród gałęzi sosny.

- Nie zmarnowaliśmy tych miesięcy zupełnie, bracie. Wreszcie mogłam posunąć się w pracy nad *Historią Wendaru*.

Fortunatus uśmiechnął się smutno, wciąż przyglądając się zanurzonym w wodzie stopom.

- Tak jest, siostrze. Chciałbym tylko, żeby była z nami siostra Amabilia, która przepisywałaby twe słowa ręką wprawniejszą od mojej.

- To prawda - odrzekła niczym echo Rosvita. - Ja również chciałabym, żeby była z nami. Brakuje mi jej.

Fortunatus westchnął. Jakiś czas temu stracił dawną zdrową zażywność, która czyniła jego twarz okrągłą i pełną optymizmu; ich perypetie związane z trzykrotnym przekraczaniem gór Alfar w przeciagu ostatnich dwóch lat odcisnęły na nim piętno.

- Czy kiedykolwiek dowiemy się, co się z nią stało? - zapytał.

- Tylko jeśli będziemy wierzyć snom. Obawiam się, że kłamią tyle samo razy, ile mówią prawdę.

Rosvita skończyła posiłek złożony z sera i chleba, następnie zawołała służącą, Aureę, polecając jej przynieść sakwę, przytroczoną do grzbietu muła. Aurea przyniosła zarówno sakwę, jak i deskę, służącą jako podpórka pod książkę. Rosvita wytarła ręce o odzienie i otworzyła *Historię Wendaru* w miejscu, gdzie zatrzymała się trzy tygodnie temu, podczas ostatniego dnia ich pobytu w pałacu w Zur. Pałac ten był pierwotnie willą, zbudowaną za czasów cesarstwa Dariyan, teraz zaś posłużył jako miejsce, w którym król i jego orszak zatrzymali się na kilka dni.

*Niektórzy twierdzą, że prawie dwieście tysięcy barbarzyńców rederiańskich zostało zabitych tamtego dnia. Zginęli od miecza albo utonęli podczas odwrotu. Potem młody margrabia Villam poprowadził swoją armię do ataku na Rederię. Jednakże mieszkańcy miasta poddali się, złożyli broń, prosząc o możliwość bezpiecznego opuszczenia miasta. W ten sposób miasto wraz z całym jego bogactwem i zasobami znalazły się w posiadaniu króla Arnulfa Młodszeo.*

*Kiedy margrabia i jego towarzysze powrócili do Saony, król Arnulf przyjął ich z wdzięcznością i chwalił ich zwycięstwo. Tak się złożyło, że w tym samym czasie powrócił z Aretuzy ulubiony królewski Orzeł z wieścią wielce oczekiwaną przez króla: aretuzjańska księżniczka Sofia jest gotowa poślubić jego syna, Henryka, młodzieńca pełnego wszelkich cnót. Kiedy przepiękna Sofia przybyła wraz ze wspaniałym orszakiem, odbyło się wesele, świętowane z przepychem i radością.*

*Ze związku Henryka i Sofii narodziła się trójka dzieci: pełna zalet córka Sapientia, droga całemu ludowi, która poślubiła Bayana, księcia Ungrii, oraz córka Teophanu, mądra i zręczna we wszelkich kwestiach i wreszcie syn Ekkehard, który zaczął sprawować funkcję opata kościoła Świętej Perpetuy w*

*Gencie.*

W tym miejscu Rosvita przestała tworzyć. Trudy przeprawy przez góry, nawet przy pięknej pogodzie, jaką raczył zesłać Bóg, nie pozwalały na pisanie. Długa zima i ponura wiosna były nieprzyjemne, lecz Rosvita miała odrobinę wolnego czasu, by pracować. Zatrzymywali się bowiem na co najmniej dziesięć dni w różnych siedzibach i pałacach. Co czekało ich w Aoście, Rosvita nie wiedziała, aczkolwiek podczas trwania wojny z pewnością nie popracuje w spokoju, to oczywiste. Trudno też było pracować podczas przerw w podróży.

W chwilach takich jak ta Rosvita zaczynała rozumieć, dlaczego tak wiele siostr zajmujących się pisaniem ksiąg wybierało życie w klasztorze, przedkładając je nad podróże po kraju w królewskim orszaku.

- Siostrze Rosvito!

Podniosła oczy i ujrzała na drodze ulubionego królewskiego Orła.

- Przynoszę wieść, iż brat Eudes jest znowu chory i król pragnie, byś się zjawiła.

Fortunatus podszedł do niej bosy i troskliwie zaczął zbierać luźne kartki księgi, tak by Aurea mogła je włączyć do całości.

- Zajmę się tym, siostrze - obiecał.

Przyprowadzono jej muła i Rosvita z grymasem wsiadła na jego grzbiet. W ostatnich dniach nieustannie strzelało jej w kościach. Wraz z Hathui minęły grupki żołnierzy i jeźdźców. Droga wiodła poprzez urwistą dolinę, otoczoną klifami i spływającymi zeń wodospadami, nad którymi tworzyły się niewielkie, szybko znikające tęczce.

Ostrożnie podążyły ścieżką i trafiły na łąkę. W tym miejscu król i jego świta urządzili sobie popołudniowy odpoczynek. Służba napoiła konie i przyniosła swoim panom piwo, ser, chleb i warzywa. Adelheid siedziała na kocu. Była w zaawansowanej ciąży i jej brzuch był tak wielki, że ze względu na wygodę wolała siedzieć na ziemi niż na jakimkolwiek krześle.

Henryk znajdował się nieopodal żony. Naradzał się z dowódcami, rządcami i szlachetnie urodzonymi panami, wydając osąd na temat dysputy, która powstała pośród jego świty. Sporadycznie zwracał się do Adelheid, zaś uczestnicy sporu śpiesznie przed nią klękali. Jeden ze służących pośpieszył ku Rosvicie. Wziął jej drewnianą podpórkę i umieścił obok króla. Rosvita usiadła na stołku i przygotowała swe gęsie pióro i tusz. Henryk tymczasem przysłuchiwał się kłótni między furmanem i jednym z Lwów, którzy wdali się ze sobą w bójkę. Chodziło o kurę, zabraną z chłopskiej zagrody. W ruch poszły noże i obaj mężczyźni byli poranieni.

- A co zrobić z wieśniaczką, której ukradliście kurę? - zapytał król. - Czy daliście jej za to jakąś rekompensatę?

- Nie, Wasza Wysokość, bo to była kobieta z Aosty, a nie z Wendaru. - W tym względzie obaj mężczyźni byli zgodni.

- Gdyby więc była z Wendaru, czy też potraktowalibyście ją w tak niegodziwy sposób? Co zrobili ludzie z Aosty, że traktujecie ich jak naszych wrogów? Nie mają cierpieć i być traktowani jak nasi przeciwnicy, lecz jak normalni poddani. Każdy z was ma jej wynagrodzić szkodę. Poślę do wioski Orła z pewną sumą pieniędzy. A co się was tyczy, będziecie kopać ramię w ramię doły kloaczne przez tydzień, tak byście nauczyli się pracować razem.

Odprawił ich, po czym wezwał rządcę.

- Oto siostra Rosvita, Wito. Złóż raport, proszę.

Rosvita sumiennie notowała słowa rządcy. Przejście przez góry zabrało im trzy tygodnie, poruszając się nie więcej niż pięć mil na dobę. Pogoda była najczęściej sprzyjająca. Stracono dwanaście koni, osiemnaście wozów, dwudziestu pięciu żołnierzy, przy czym siedemnastu z nich zmarło na skutek dyzenterii, która na szczęście ograniczyła się jedynie do tylnej straży.

Kiedy rządcą skończył, naprzód wystąpił jeden z dowódców Henryka z zamiarem przedyskutowania drogi, jaką należało obrać. Rosvita zaś powróciła do zapisków nieszczęsnego brata Eudesa, który oszczędnymi słowami opisywał nieudaną próbę przekroczenia gór ubiegłej jesieni, kiedy to pogoda zmusiła ich do wędrówki na północ. Ciężką zimę spędzili, przemierzając się z miejsca na miejsce, dręczeni śniegiem, zepsutym jedzeniem i niedostatkiem wina i piwa. Było albo zbyt zimno, by podróżować, albo niedostatecznie zimno i błoto na drogach nie zamarzało. Armia straciła siedemdziesiąt dziewięć koni i czterdzieści dwie sztuki bydła, a także dziewięćdziesięciu czterech żołnierzy, którzy zmarli na gorączkę płucną i dyzenterię, zwłaszcza podczas jej pierwszej fali. Sam brat Eudes ledwie ją przetrwał, lecz od tej pory miewał nawroty choroby, najgorszy podczas ich drugiej nieudanej próby przejścia przez góry.

Henryk odesłał swoich dowódców i na chwilę zapanował spokój. Rosvita zamknęła oczy i wsłuchiwała się w mamrotanie towarzyszących Adelheid dam i śmiech najbliższej świty króla. Większość z jej członków podążyła do strumienia, by nieco ochłodzić twarz.

Przez chwilę Rosvita słyszała to, co mówi Adelheid.

- Jednakże ostre słońce nie wróży dobrze. Nie lubię spalonej trawy. Powinno być więcej deszczu zimą i wiosną. Jest zbyt mało zieleni...

- Siostrze Rosvito. - Henryk przemówił tak cicho, że słyszała go tylko ona. - A co jeśli to prawda, że jego żona jest praprawnuczką cesarza Taillefera? Będzie miała prawo do rządzenia imperium.

Rosvita upuściła swe gęsie pióro. Henryk siedział obok i podbródkiem na rękach, oparłszy łokieć o poręcz królewskiego krzesła. Wpatrywał się w dal, wzrokiem ogarniając sosnowy las, a oczyma duszy lustrując swe obawy i wątpliwości. Małżeństwo z Adelheid ujęło mu lat, ale czuł się bardziej samotny niż w okresie swego wdowieństwa. W ostatnim czasie miał niewiele okazji, aby ujawnić przed żoną swoje najskrytsze myśli.

- Ta młoda kobieta nie udowodniła, iż ma prawo rządzić. Nie ma też żadnych popleczników. Królowa bez zwolenników nie może zostać obwołana władczynią.

- Jednakże zgodnie z tym, co donosi mój Orzeł i inni posłańcy, Sanglant udał się na wschód i gromadzi armię.

- Na wschodzie są Qumanowie. Czy sądzisz, że będzie wśród nich szukał sprzymierzeńców? - Rosvita nie chciała, by jej słowa zabrzmiały sarkastycznie, lecz Henryk spojrzał na nią nad wyraz ostro.

- Nie, nie wierzę, by jakikolwiek szlachetnie urodzony Wendarczyk mógł szukać porozumienia z Qumanami. Myślę, że Sanglant ma zamiar ich pokonać. Ale Qumanowie nie są jedynymi ludźmi na wschodzie, posiadającymi armię. Od miesięcy nie mamy słowa wiadomości od Sapientii i księcia Bayana. Margrabina Judith także się nie odzywa ani nie przysłała na mój dwór jakiegokolwiek reprezentanta.

- Z jakiego powodu mieliby występować przeciwko tobie? W jaki sposób mógłby ci zagrażać potomek Taillefera? Królowa Radegundis nie uczyniła nic, by osadzić syna na tronie. Oddała go służbie Bogu, a nie sprawom tego świata. Żaden jego potomek zaś nigdy nie rościł sobie praw do tronu cesarza.

- Ty wierzysz, że synowi Radegundis i Taillefera urodziło się dziecko

- Wierzę, Wasza Wysokość.

Henryk zmarszczył brwi, wpatrując się intensywnie w drzewa. Rosvita nagle zrozumiała, jaka była różnica pomiędzy Henrykiem a Sanglantem: Henryk miał umiejętność zachowywania spokoju, podczas gdy Sanglant nie umiałby wytrwać w bezruchu.

- To źle wróży - powiedział miękko. - Obawiam się, że na Sanglanta rzucono urok.

- To poważne oskarżenie, Wasza Wysokość, któremu książę Sanglant już raz zaprzeczył.

- Musi zaprzeczać, jeśli jest pod wpływem czarnoksięskiego zaklęcia. Czy jesteś pewna, że nie uległ urokowi, rzuconemu przez Krwawe Serce albo przez tę kobietę?

- Nie, Wasza Wysokość, nie mogę tego wiedzieć na pewno. Wszyscy widzieliśmy, że niewola w Gencie bardzo zmieniła księcia Sanglanta. Prawda, że kobieta o imieniu Liathano ma nad nim jakąś władzę, nawet jeśli jest to tylko pożądanie.

- A więc nie myślisz, że rzucono na niego urok?

Jak mogła odpowiedzieć na to pytanie? Ona także widziała demona karmiącego dziecko Sanglanta. Wzruszyła ramionami, wspominając odrazę, jaka ich wówczas ogarnęła. Henryk uśmiechnął się lekko, choć wyraz twarzy miał raczej ponury.

Kiedy otworzył usta by kontynuować rozmowę, nadbiegł służący, a za nim zakurzony forys. Posłaniec skłonił się najpierw królowej Adelheid, a potem Henrykowi. Adelheid podniosła się przy pomocy służących i stanęła u boku Henryka.

- Przybywam z polecenia Lavinii, pani na Novomo, przynosząc pozdrowienia. - Mężczyzna władał tylko językiem aostańskim, jednak Henryk rozumiał go całkiem dobrze, o ile nie mówiono zbyt szybko i nie używano zbyt trudnych słów. - Znajduje się w drodze i chce pokłonić się Waszym Królewskim Mościom.

Henryk wstał. Na jego rozkaz armia zaczęła się gromadzić niespiesznie, niczym wielka bestia, która powoli zaczyna poruszać łapskami, a potem leniwie wstaje i rusza naprzód.

Dolina, którą podążyli, zaczęła się w sposób widoczny poszerzać. Przed nimi widniała droga biegnąca prosto niczym strzała. Na skalnych klifach rosły paprocie, brązowe z powodu suszy, mech i krzaki oleandrów, których białe kwiaty spływały w dół niczym wodospady. Widoczne były też pola, sady i chaty.

Kapitan straży przedniej zarządził alarm i po chwili zabrzmiał dźwięk rogu. Wzdłuż drogi posuwała się grupa jeźdźców. Jej złote i białe sztandary łopotały na wietrze, podobnie jak proporce królewskiej armii. Na sztandarze królowej Adelheid widniał ukoronowany leopárd, powyżej zaś świeciło słońce Aosty. Sześć innych proporców przedstawiało symbole władzy Henryka nad sześcioma księstwami, wchodzącymi w skład jego królestwa: ogier Varingii, jastrzęb Waylandu, lew Avarii, czerwony orzeł Fesse, zielony guivre Arconii i czerwony smok Saony - księstwa, z którego jego dziad Arnulf Starszy przejął kiedyś kontrolę nad królestwami Wendaru i Varre. Poza królewskimi sztandarami powiewały chorągwie szlachetnie urodzonych dworzan króla, tych, których wybrano lub którym rozkazano wziąć udział w wyprawie: księżnej Lutgiardy z Fesse, Helmuta Villama, księcia Burcharda z Avarii i wielu innych lordów i dam. Armia króla Henryka wypełniła całą dolinę i zniknęła za zakrętem. Widok maszerujących żołnierzy był zaiste imponujący.

Straż przednia uformowała ochronny szyk. Lady Lavinia zbliżała się i wreszcie zsiadła z konia, pieszo idąc na spotkanie króla Henryka i królowej Adelheid. Odkąd Rosvita widziała ją po raz ostatni - a było to rok wcześniej - Lavinia postarzała się o jakieś dziesięć lat. Miała ponuro zaciśnięte usta, a jej włosy posiwiwały. Przykłęknęła pośrodku drogi w błocie, rozkładając ręce w błagalnym geście.

- Wasze Wysokości, oddaję siebie i wszystkie swoje ziemie pod wasze władanie. Moi zbrojni są do waszej dyspozycji. Możecie korzystać z moich zapasów, choć niestety nawiedziła nas susza.

Henryk chciał coś odrzec, lecz Adelheid wykonała delikatny gest. Król zauważył go i skinął głową, dając pierwszeństwo żonie. Królowa z pomocą służby zsiadła z konia. Ruszyła do przodu, wyciągając ręce ku Lavinii.

- Błagam cię, pani, wstań. Nie kłękaj tutaj w kurzu. Przybyliśmy, tak jak ci to obiecałam w zeszłym roku. - Lavinia ujęła jej dłoń, lecz nie wstała. Nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa, owładnięta emocjami. Opanowana, stanowcza kobieta, która pomogła Adelheid ubiegłego lata, zniknęła.

- Co cię trapi, pani? - zapytała Adelheid. - Zmieniłaś się bardzo.

Głos Lavinii był szorstki od gniewu.

- Wiesz pani, iż Żelaznogłowy zabrał mą córkę do Darre jako zakładniczkę, by zmusić mnie do posłuszeństwa. Teraz wziął ją wbrew jej woli jako swą konkubinę. Ona ma tylko trzynaście lat. Zemszczę się za krzywdę wyrządzoną mej rodzinie.

- Tak uczynisz. - Było zawsze dziwne słyszeć tak stalowy głos, wydobywający się z delikatnej, słodkiej kobiety, lecz Adelheid przeszła twardą szkołę - przetrwała narzucone jej małżeństwo, oblężenie, pościg Żelaznogłowego i uciekła tylko dzięki zakazanym magicznym praktykom.

- Moja córka nie jest jedynym szlacheckim dzieckiem, wykorzystywanym w tak niegodny sposób - mówiła dalej Lavinia. - Słyszając o twoim przybyciu, inni szlachetnie urodzeni przybyli do Novomo. Błagamy cię, abys pozwoliła nam cię wesprzeć. Żelaznogłowy zhańbił honor naszych rodów. Sami co prawda także się zhańbiliśmy, nie powstając przeciwko niemu, gdy cię ścigał, Wasza Wysokość. Jak widzisz, Bóg odplacił nam za nasze grzechy, jako że minionej zimy nie było wcale deszczu. Jeśli nie zacznie padać, grozi nam głód.

Wskazała na pola i sady. Rosvita spostrzegła, że zboże było skarłale i wyschnięte, a młode listki na drzewach jabłoni i grusz pomarszczone.

- Przybyłam wraz z królem Wendaru i Varre, tak jak obiecałam - powiedziała Adelheid. - Wzięliśmy ślub. Noszę dziecko, które połączy krew Wendaru i Aosty.

Łzy potoczyły się po twarzy lady Lavinii. Ucałowała dłoń królowej.

- Niech cię Bóg błogosławi, Wasza Wysokość.

- Wstań, pani. Nie pomaszujemy wszak do Darre na kolanach.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. - Lavinia wstała i podeszła do Henryka, by ucałować jego pierścień, okazując mu w ten sposób lojalność, lecz oczywiście było, że w pierwszej kolejności zwraca się do Adelheid.

- Kto oczekuje nas w Novomo? - zapytał Henryk, kiedy podprowadzono konia Lavinii, a ona i królowa wsiadły na swe wierzchowce. Na sygnał króla jego orszak ruszył niespiesznie. Zbrojni Lavinii rozstąpili się, pozwalając przejść wojsku króla i przez chwilę owacje żołnierzy Novomo uniemożliwiły jakąkolwiek rozmowę.

- Kto oczekuje nas w Novomo? - powtórzył Henryk, podczas gdy świta lady Lavinii zajęła honorowe miejsce za wielmożami z Wendaru i kohortami Lwów. Na samym końcu pochodu znaleźli się klerycy i żołnierze króla Henryka.

- Richildis, markiza Zuoli. Gisla, księżę Placentii i Gisla, lady Piaty. Tedbald, księżę Maroca i jego kuzyn, Czerwony Gisla. Księżę Lambert z Uscaru, który poprowadzić może wszystkich panów ze swoich



ziem, odpowiedzą bowiem na jego apel.

- To połowa północy kraju - powiedziała Adelheid. - Niektórzy z nich odmówili mi pomocy; gdy zmarł mój pierwszy mąż. Jak mogę im teraz ufać?

- To prawda, że niektórzy mogą być szpiegami Żelaznogłowego, lecz wszyscy przybyli, by ślubować ci lojalność, Wasza Wysokość. Nienawidzą Żelaznogłowego nie mniej niż ja. Susza dotknęła nas wszystkich, a ponadto lękamy się tym bardziej, iż Najświętobliwsza Matka Klemencja, która została wybrana skoposą osiem lat temu, nie żyje.

Rosvita ujęła wiszący na jej piersi Krąg Jedności i odmówiła modlitwę o Boże zmiłowanie, podobnie jak wszyscy inni, w tym również król.

- Niech Bóg pozwoli jej odpoczywać w pokoju - rzekła Adelheid. - Była moją cioteczną babką.

- To prawda, pochodziła z wysokiego rodu - przytaknęła Lavinia. Na jej twarzy znowu rozkwitła złość.

- Plotka głosi, że Żelaznogłowy ma zamiar ustanowić skoposą swoją kuzynkę, choć ona nawet nie jest kleryczką!

Rosvita zapytała:

- Czy słyszałaś coś o mnichu z Wendaru, będącym doradcą króla?

- Nie, siostrze Rosvito, choć mówi się, że urodzony w Wendarze prezbiter miał ogromny wpływ na schorowaną skoposę. Słyszałam nawet, że posługiwał się magią, by utrzymać ją przy życiu, jako że w ostatnich latach Matka Klemencja cierpiała na bezwład. Nikt nie wie, czy ów prezbiter popiera Żelaznogłowego, czy też mu się sprzeciwia, choć mówi się, że próbuje uchronić młode dziewczęta, by nie wpadły w łapy Żelaznogłowego. Ale to tylko plotki. Żaden szlachetnie urodzony człowiek, przybywający do Darre, nie może być pewny, że z ręki Żelaznogłowego nic mu nie grozi. Nikt z nas nie odważyłby się tam jechać, bo obawiamy się, że król z miejsca by nas zabił. Wiesz oczywiście, panie, że zawładnął tronem i ziemiami, mordując swego przyrodniego brata, a potem zamordował swoją żonę, uznając, że nie jest mu już potrzebna.

- Jak wielu panów oczekuje nas w Novomo? - Katalog grzechów Żelaznogłowego sprawił, iż Henryk zaczął się niecierpliwie. - Kto jeszcze będzie maszerował pod naszymi sztandarami? Jak wielu pieszych żołnierzy i jeźdźców możemy się spodziewać?

- Wojny odcisnęły na nas swoje piętno, Wasza Wysokość. Prawdopodobnie siedmuset zbrojnych.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Podzwaniały uprząże. Odgłos obracających się kół wozów brzmiał jak odległe uderzenie pioruna, lecz na niebie, przypominającym błękitną muszelkę, nie było ani jednej chmurki.

- Czy mamy próbować zgromadzić więcej posiłków, Wasza Wysokość? - zapytała lady Lavinia, nie mogąc już dłużej znieść panującej ciszy.

- Nie - powiedziała wojowniczo Adelheid. - Uderzmy na Żelaznogłowego nagle i z całym impetem, nim lord Jan zdąży odbudować swoją armię. - Jednak kiedy to mówiła, spoglądała w stronę męża. No cóż, to była jego armia.

Henryk patrzył przed siebie. Zobaczyli Novomo. Otwierała się przed nimi piękna kraina, pełna falujących wzgórz, pól, sadów i winnic. W dali widać było mury i wieże miasta. Zajechali tak daleko, iż patrząc na północ, Rosvita mogła zobaczyć odległe szczyty gór, niemal dotykające nieba.

Od Novomo biegła droga na południe, prowadząca wprost do serca Aosty. Rosvita mogła dostrzec płaskie szczyty wzgórz. Ujrzała na nich czarne kształty, które początkowo wzięła za owce. Z dreszczem złego przeczucia zorientowała się jednak, że są to kamienne bloki. Przez te właśnie kamienie przedzierali się ona, Adelheid, Teophanu i resztki armii, pchani magią Hugona. Było to wiosną. W sercu poczuła ukłucie strachu. Udało im się uciec przed zbrojnymi Żelaznogłowego, lecz pozwolili sobie pomóc człowiekowi, parającym się potępianą przez Kościół magią. Rosvita wciąż nie mogła wyrzucić z pamięci widoku demona, którego Hugo sobie podporządkował. Wciąż widziała złość bestii, słyszała jej donośny głos, będący niczym uderzenie młota, czuła przeszywające zimno, które zapalało płomień w jej ciele, o ile istoty takie jak demony mają w ogóle ciała.

- Silna armia z końmi i piechotą jest w stanie dotrzeć do Darre w przeciągu dziesięciu dni - oznajmiła Lavinia, gdy przekraczali bramy Novomo.

Darre było kluczem do cesarskiego tronu, o którego posiadaniu Henryk marzył od dawna.

- Bóg jest z nami - powiedział król. - Adelheid ma rację. Nie możemy czekać. Pozwól, że dziś będziemy mieli ucztę w twoim dworze. Jutro wyruszymy na południe.

Wydawało się, że na ich powitanie wyległa cała ludność Novomo. Ludzie stali wzdłuż ulic i dróg, wychylali się z okien domów. Ich okrzyki i owacje zdawały się uderzać pod niebiosa. Kiedy dotarli do

stopni pałacu lady Lavinii, dwa tuziny wysoko urodzonych mężczyzn i kobiet złożyło u stóp Henryka i Adelheid swoje miecze. Nastrój wieczornej uczt przypominał zachowanie człowieka trapionego gorączką. Od czasu do czasu ucztę przerywał odległy dźwięk pioruna, tak jednak słaby, iż Rosvita zastanawiała się, czy to nie wozy przetaczają się po ulicach miasta.

Na kilka godzin przed świtem nadciągnęła ulewa, zaś rano armia rozpoczęła swój marsz na południe w potokach ciągle padającego deszczu. Bóg znowu uśmiechał się nad Aostą.

Podczas pięciodniowego marszu natykali się na zwiadowców Żelaznogłowego. Królewscy konni ścigali ich, jednakże około południa droga zawiodła wojska Henryka do dogodnego punktu, z którego mogli widzieć jak na dłoni równinę, rozciągającą się na południe i ginącą w oddali w mgiełce gorąca.

Żelaznogłowy czekał na nich. Jego armia obozowała wzdłuż drogi, a flanki stały także i po drugiej stronie trasy przemarszu Henryka, osłonięte pospiesznie zbudowaną palisadą. Żelaznogłowy nie tracił czasu i zebrał armię liczniejszą od wojska Henryka, liczyła bowiem - sądząc po namiotach, sztandarach, koniach i wozach - ponad dwa tysiące ludzi.

- Zapewne dowiedział się, że nadciągamy - powiedział Villain. - Jakiś człowiek musiał opuścić Novomo i w przeciągu trzech dni dostać się do Darre. Wydaje mi się jednak niemożliwe, żeby Żelaznogłowy działał tak szybko i przemieścił się na północ od Darre z całą armią w przeciągu pięciu dni.

- Chyba że ma kogoś w swojej armii, kto ma wzrok Orła - powiedział Henryk łagodnie, patrząc na jadącą po jego prawej stronie Hathui.

Villain nie dosłyszał tych słów, lecz Rosvita owszem.

- Jeśli Żelaznogłowy ma na swych usługach maga, kto wie, do czego mogli się posunąć. A Żelaznogłowy nie ma reputacji człowieka honoru. Doradzam, byś postępował rozważnie, Wasza Wysokość.

- Tak uczynię.

Było ciepło, a zapowiadało się na upał, bez względu na fakt, iż do letniego przesilenia zostało jeszcze osiem dni. Czoło Henryka było mokre od potu. Z roztargnieniem wytarł je kawałkiem płótna i oddał skrawek materii służącemu. Za jego plecami czekało trzech dowódców. Jeden trzymał królewską tarczę, drugi hełm, trzeci zaś włócznię świętej Perpetuy, znak Bożej łaski.

- Gdzie jest królowa? - zapytał Henryk, spoglądając przez ramię.

- Nadchodzi, mój królu panie - odrzekła Hathui.

W przeciągu ostatnich pięciu dni Adelheid stała się jeszcze bardziej ociężała. Wyglądała, jak gdyby zaraz miała pęknąć. Mogła wsiadać na konia i zsiadać z niego tylko przy pomocy służących. Nadal jednak była w stanie utrzymać się na grzbiecie zwierzęcia.

- Co to takiego? - zapytała, gdy rozstąpiono się, by przepuścić ją i damy dworu oraz służące. Rosvita odjechała nieco na bok, ustępując miejsca królowej. - Ach! Żelaznogłowy przyjechał nas przywitać!

- Wychodzi na to, że sprawy przesądzą się szybciej niż później - powiedział Henryk.

Adelheid miała oko godne żołnierza. Oceniała wielkość armii Żelaznogłowego i przyjrzała się sztandarom.

- Ma więcej najemników niż stałego wojska. Czy można ich przekupić, by opuścili jego szeregi?

- To możliwe - odrzekł Villain - Ale Żelaznogłowy pomyślał o tym samym, jeśli jest tak chytry, jak mówią.

Henryk przyjrzał się Adelheid. Upał go nie męczył; siedział wyprostowany niczym młody człowiek, nietknięty bólami i dolegliwościami późniejszego wieku, jakie Rosvita odczuwała każdego dnia. Ona tak samo jak i król miała czterdzieści dwa - a może czterdzieści cztery lata? Trudno było spamiętać wszystkie mało ważne rzeczy.

Ale miłość może człowieka odmłodzić, Henryk zaś był zafascynowany swoją młodą, piękną królową. Kiedy żyła jego pierwsza żona Sofia, także ją w cudowny sposób adorował, a kiedy miał osiemnaście lat, zakochał się w Alii. Niektórzy mężczyźni mają taki charakter, że przedkładają przywiązanie nad pożądanie, a u Henryka, któremu przypadło w udziale rządzenie, to przełożyło się na wszystkie związki. Jego uczucia były silne i mogły ulec zakłóceniom tylko wtedy, gdy władcę opanował silny gniew. Raz rozżarzony, niełatwo ostygł.

- Kiedy bitwa się rozpocznie - powiedział, marszcząc się z namysłem i spoglądając w stronę swej ciężarnej żony - byłoby najlepiej dla ciebie, byś powróciła do fortecy lady Gisli, gdzie zatrzymaliśmy się ubiegłej nocy.

- Nie cofnę się nawet o krok przed Żelaznogłowym. Jeśli będzie trzeba, sama wezmę udział w bitwie, lecz nigdy się nie wycofam!

- To prawda, że jesteś mężna niczym leopold, którego wizerunek widnieje na sztandarach twego rodu, moje serce. Ale jak sama wiesz, bitwa może przybrać różny kierunek i byłoby wielkim niebezpieczeństwem, gdybyś dostała się przypadkowo w jej wir...

- Nie wycofam się.

Na twarzy Henryka pojawił się wyraz irytacji, lecz uparte spojrzenie Adelheid, którym ogarniała armię Żelaznogłowego, sposób, w jaki unosiła podbródek, gdy była zła, rozbroił go.

- Niech tak będzie. Czy poprowadzisz szarżę, moja królowo?

Adelheid roześmiała się. Chociaż cięża sprawiła, że ostre rysy jej twarzy nieco złagodniały, nie straciła zdolności do błyskawicznej zmiany mimiki, co czyniło jej twarz tak żywą. Przesunęła ręką po swej sukni, gdzie wstawiono pas materiału, tak by można było ją nosić pomimo zwiększonego obwodu talii. Jakiś młody służący trzymał lejce jej konia, czuwając, by zwierzę nie wykonało żadnego gwałtownego ruchu.

- Wolałabym raczej nie jechać do fortecy lady Gisli, widziałam natomiast mały, stabilny fort nie więcej jak milę stąd. Chciałabym poczekać tam właśnie, żeby być pewną, iż żadna krzywda nie stanie się dziecku.

- Mój królu panie - odezwała się Hathui, wskazując na równinę, gdzie mała grupka zbrojnych wyłamała się z linii wojsk Żelaznogłowego i jechała w ich kierunku. Jechali, wioząc trzy sztandary: jeden ze słońcem Aosty, drugi był sztandarem szkoły prezbiterów, na trzecim zaś widniała gałązka oliwna na białym tle, oznaczająca „pertraktacje”.

- Czyżby Żelaznogłowy chciał pertraktować? - zapytał sceptycznie Villam.

- Zobaczymy.

Henryk odsunął się od linii frontu. Służba pospieszyła, by przynieść jego tron, którego używał podczas podróży. Oparcie miało kształt skrzydeł orła, nogi - łap lwa, zaś poręcze wyobrażały ognistego, pomalowanego jasnymi kolorami smoka. Adelheid siedziała obok niego na pięknym, wyściełanym poduszkami krześle, posiadającym specjalne oparcie. Dwórki przyniosły Adelheid koronę Aosty. Korona ta i królewskie pieczęcie były wszystkim, co udało się jej ocalić podczas ucieczki.

Henryk doskonale wiedział, jak ma wyglądać cała ceremonia. Jego służący szybko ubrali go w królewskie szaty, zaś Rosvita namaściła mu skronie olejkiem. Wokół króla zgromadzili się wielmoże Aosty. Henryk gotów był przewodniczyć posłuchaniu.

Słońce przygrzewało, a wiatr łopotał sztandarami i targał trawą. Wendarska armia czyniła wielki hałas, rżały konie, ludzie wznosili okrzyki. Słychać było też chrzęst odzienia zbrojnych, przygotowanych do działania na wypadek podstęp.

Henryk nie wstał, gdy emisariusze Żelaznogłowego przybyli i zostali dopuszczeni przed jego oblicze. Zdziwił się jednak, gdy ujrzał, że jeden z posłańców odziany jest w szaty i płaszcz noszone tylko przez prezbiterów. Był piękny niczym słońce.

Hugo.

Henryk nie rządziłby szczęśliwie przez dwadzieścia lat, gdyby zaskakiwało go byle co. Jednym palcem gładził rzeźbioną głowę smoka; poza tym jednak nie poruszał się ani w żaden sposób nie zdradzał swego zaskoczenia. Powiewający sztandar Wendaru i Varre wyrzucił się, po czym nieco opadł, dzięki czemu lepiej było widać wyhaftowane nań zwierzęta, oznaki jego władzy.

Henryk przemówił najbardziej nieprzyjemnym z królewskich tonów:

- Hugonie z Austrii, synu Judith. Czy nie posłałem cię do Aosty, byś stanął przed sądem świątobliwej skoposy ze względu na fakt, iż splamiłeś się grzechem czarnoksięstwa?

Hugo pochylił się z szacunkiem, niezbyt głęboko ani też zbyt nisko.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Zostałem osądzony i uznano mą winę, jednakże skoposa była pełna miłosierdzia, niech jej dusza odpoczywa w pokoju. Uznała mnie za odpowiednią osobę, bym służył Bogu i Kościołowi. Było to odkupienie moich grzechów.

- Jednakże komu w rzeczywistości służysz - powiedział niebezpiecznie słodkim głosem Henryk - skoro przybywasz tutaj jako emisariusz Żelaznogłowego?

- Służę Bogu, Wasza Wysokość.

Uśmiech Henryka był równie niebezpieczny jak jego ton.

- Mądrze powiedziane. Jednakże wciąż stoisz tutaj, podczas gdy moja armia i oddana mi świta stoi za mną.

Hugo dał znak swoim służącym, którzy przynieśli kosz i postawili u jego stóp.

- Żaden człowiek nie może służyć dwóm ziemskim panom, Wasza Wysokość. To wiem dostatecznie dobrze, ponieważ byłem wychowywany przez mą matkę, a ona zawsze była ci oddana.

- Tak, w istocie.

- Zawsze byłem twoim wiernym poddanym. Dlatego właśnie zapewniłem sobie miejsce na dworze Żelaznogłowego.

Mówiono, że Bóg wspiera cnotliwych, a Hugo wyglądał na tak pobożnego, iż Rosvita zadygotała. Krótco potem ruszyła w stronę króla, licząc, że uda jej się uchronić go od zaklęcia, jakie mógł rzucić na niego Hugo.

Adelheid skrzywiła się.

- Czuję, że coś straszliwie cuchnie.

Rosvita także poczuła kwaśny, metaliczny zapach, przypominający odór magii. Dotknęła królewskiego ramienia i schyliła się, szepcząc mu do ucha:

- Wasza Wysokość, błagam...

Jednakże Hugo był od niej szybszy.

Dał znak. Jeden z jego służących uniósł płótno, zakrywające koszyk. Adelheid krzyknęła, zakrzuszyła się i zachwiała. Po chwili opadła na krzesło i zwymiotowała, podtrzymywana przez jedną z dam.

Henryk wstał.

- Proszę o twe wybaczenie, królowo Adelheid. - Hugo wziął płótno z rąk służącego i elegancko zakrył nim przerażający przedmiot. - Nie chciałem nikogo niepokoić.

Jednakże przedmiot ów wzbudził w Rosvicie jakieś wspomnienia. Nawet jeśli nic jej nie mówił kształt nosa i wstrętne rysy, zastygłe w śmiertelnym grymasie, rozpoznałaby wszędzie żelazną koronę, którą lord Jan nosił na złość swoim wrogom. Teraz korona ta umazana była krwią.

Adelheid upiła łyk wina i odwróciła głowę. Choć blada, jej twarz znamionowała poczucie triumfu.

- Na to zasługiwał. Zatknijcie ją na pice. Głowa Jana będzie sztandarem, który poprowadzi nas do Darre.

Król podszedł do kosza i zdjął z niego skrawek materiału. Zawsze był ostrożnym człowiekiem, skłonny słuchać innych, lecz i lubiący sprawdzać wszystko na własne oczy. Schwycił głowę za włosy i ją uniósł. Na ziemię spłynęła jakaś ciecz. W skroni lorda Jana tkwił kołek.

- Dobrze zatem - rzekł Henryk, przywołując jednego ze swych dowódców. - Żelaznogłowy poprowadzi nas do Darre. - Wrzucił głowę z powrotem do kosza. Odwrócił się do Hugona. - Jego ciało?

- W obozie.

- Jego najemnicy?

- Byli lojalni ze względu na pieniądze. Niezle im zapłacił. Sami zobaczycie, ty, Wasza Wysokość i królowa, że nikt szczególnie nie będzie żałował jego odejścia.

- Jednakże taka armia płatnych żołnierzy jest niebezpieczna, jeśli pozostawi się ją własnym rządom. Będziemy musieli negocjować z nimi przemyślnie, aby nie doprowadzić do bitwy i nie pozwolić znaleźć się krajowi w rękach maruderów.

Stojąc w pełnym blasku słońca, Hugo nie czuł żaru; wydawało się, że słońce jest częścią jego natury i istnieje tylko po to, by uwypuklać jego piękne rysy.

- Dowódcy najemników są gotowi do zawarcia pokoju, Wasza Wysokość. Nie ma potrzeby kłopotać twojej armii.

- Haniebny los dla wojownika - rzekł Henryk, kiedy wyniesiono kosz. - Jak to się stało?

Hugo wzdrygnął się.

- Zbierzesz to, co posiejesz. Lord Jan miał naturę okrutnika, mój królu panie i sędzę, że został zamordowany we śnie przez jedną z dziewcząt, którą zgwałcił.

- Niech tak będzie - rzekła Adelheid. - Bóg nagradza cnotliwych.

- Czy coś jeszcze? - Henryk popatrzył na dworzan. Ci milczeli, oszołomieni paskudnym widokiem, jaki jeszcze chwilę wcześniej zmuszeni byli oglądać. Popatrzył na Hathui i wreszcie na Rosvitę. Hugo także ogarnął ją wzrokiem, unosząc pytająco brew. Słowa ugrzęzły jej w gardle. Słońce przypiekało, oślepiając ją, a wiatr gwałtownie powiewał sztandarami. W milczeniu potrząsnęła głową.

- Lordzie Hugonie - rzekł król, kiedy podprowadzono konia. - Pojedziesz przy moim boku.

Za czasów swej młodości Helmut Villam wybudował dobrze strzeżony fort u zbiegu rzek Odry i Floyer. W ciągu czterdziestu lat od tego momentu Walburg stał się dużym miastem, otoczonym dwoma rzędami

murów i osłoniętym przez rzekę Odrę z jednej strony i strome urwisko z drugiej. Ród Villamów wzbogacił się na łupieżczych wyprawach przeciw pogańskim plemionom Rederii i Polenii, tak więc były środki na to, by ufundować dwa konwenty, monaster oraz katedrę.

Pomimo mżawki Zachariasz widział jego czworoboczną wieżę. Znajdowali się w ufortyfikowanym obozie tuż obok zrujnowanej strażnicy, z której można było zaobserwować dolinę i przepływającą przez nią rzekę.

Widział również armię Qumanów, stacjonującą na równinie za rzeką. Od wroga dzieliła Walburg palisada i podwójne okopy.

Gdyby go pojmano, wybrałby szybką śmierć. Strach mieszał się w duszy Zachariasza z nienawiścią, lecz żadne z tych uczuć nie brało góry. Wszystko, co się teraz liczyło, to fakt, że Zachariasz nie dostrzegał nigdzie znaku klanu Pechanek. Póki Bulkezu był daleko, Zachariasz był w stanie mężnie przetrwać ranek.

- Mój księżę panie. - Kapitan Fulk przybył z porannym raportem. - Everwin i Wracwulf zabili kolejnego zwiadowcę Qumanów i przynieśli jego skrzydła.

Pod osłoną rozpiętego między ścianami wieży płóciennego daszku odpoczywał wsparty na poduszkach książe Sanglant. Bawił się kostką z córką i jej nianią. Wokół nich siedzieli żołnierze, ostrząc miecze, polerując hełmy i reperując uprzęże. W tym prymitywnym obozie siedziała także grupka młodych lordów, przyzwyczajonych do zgoła innych warunków podczas kampanii. Sanglant jednak podróżował bez ekstrawagancji w rodzaju adherentów, konkubin i mnóstwa bagażu. W przeciwieństwie do większości szlachetnie urodzonych, dzielił trudy obozowego życia ze swymi żołnierzami. Dlatego między innymi tak bardzo go kochali.

Rozpalono kilka koksowników, nad którymi przypiekano mięso. Dym sprawił, że oczy Zachariasza łzawiły.

- To już piąta grupa, którą napotkaliśmy. Ta była największa. Czy możemy oszacować, ilu ich jest?

- Nie więcej niż dwustu, Wasza Wysokość.

Blessing wstała i popędziła w kierunku Fulka, jednego z jej ulubieńców, pokazując mu swoje kostki.

- Uć je! - powiedziała zachwycona. Był to najbardziej stanowczy rozkaz, jaki kiedykolwiek słyszał Zachariasz. - Uć je, kapan Fulk!

Fulk uśmiechnął się. Jak i reszta kompanii, był gotów przejść przez ogień dla tej małej cesarzowej, jak ją nazywano.

- Rzucę je, Wasza Wysokość, tylko muszę najpierw złożyć księciu raport.

Blessing spojrzała na ojca, tupnęła nogą, ale zamilkła natychmiast, gdy Sanglant spojrzał na nią surowo. Z miną pełną oburzenia dziewczynka założyła ręce na piersiach i nadała się.

- Proszę cię, Wasza Wysokość, usiądź przy mnie i poczekaj. - Lekko ochryply głos nianki brzmiał jak echo słów Sanglanta. - Jeszcze nie zgręplowałyśmy wełny.

- Nie cie - odrzekła dziewczynka.

- Ale powinnaś - powiedział Sanglant.

- Nie!

- W takim razie zgrępluję sama - rzekła cierpko nianka, siadając i nawijając wełnę na gręplę. - Lubię to robić. Sama...

To było za dużo jak dla Blessing. Podbiegła na swoich krótkich nóżkach i przykucnęła, żeby lepiej widzieć. Niecierpliwie przygryzła wargę.

- Mogę spróbować? Mogę?

- Proszę, trzymasz trzonek w ten sposób...

Zachariasz otarł z czoła krople deszczu i usiadł obok Heriberta, grającego w szachy z Wilkunem.

- Boże, jak ona urosła - powiedział, przyglądając się Blessing. Straciła już okrągłość maleńkiego dziecka. Jej twarzyczka stała się szczuplejsza, a niebieskozielone oczy zrobiły się jeszcze wyraźniejsze. Z ciemnego warkoczka wymykały się wijące się loczki włosów.

Heribert zerknął na Zachariasza.

- Ona nie ma na to wpływu.

- Nie twierdzą, że ma. Ale musisz przyznać, że to niezwykle moc widzieć dziecko, które tak szybko dorasta. To nie jest normalne. W przeciągu jednego dnia ona rośnie tyle, ile zwyczajne dziecko w przeciągu jednego tygodnia.

- Kiedy demon nas opuścił, sądziłem, że to ustanie - wymruczał Heribert, sprawdzając, czy książe ich nie słyszy, lecz Sanglant był pogrążony w rozmowie z kapitanem Fulkiem. - Ale Bóg świadkiem, że tak się nie stało. Panie, bądź miłosierny. Blessing urodziła się siódmego Avrila w dzień świętej Radegundis.

Rok i trzy miesiące temu. Jednakże wygląda jak dobrze wyrosnięta trzylatka.

- Twój ruch - powiedział cierpliwie Wilkun.

- Czy wiesz, Orle - rzekł poirytowany Zachariasz - że szczególnie nie lubię tego głupawego uśmiešku, który masz na twarzy przez cały czas? Wiesz znacznie więcej, niż chcesz nam powiedzieć.

- Tak jest, lecz w kwestii dziecka wiem tyle, ile wy.

- Cóż za wzgardliwa wypowiedź!

- Cisza - rzekł Heribert. - Niepotrzebnie się kłóćcie. Jeśli ja umiem żyć w zgodzie z Wilkunem, potrafisz i ty.

- Nie mam zamiaru się spierać - odrzekł Zachariasz, zły, że ujawnił się ze swoją zazdrością o wiedzę Wilkuna. - Po prostu nie lubię sekretów. Wiesz dobrze, Wilkunie, że będę twoim uczniem we wszystkim, czego zechcesz mnie nauczyć. Ale ty stawiasz sprawę jasno: nie nauczysz ani mnie, ani nikogo innego. Poza nieobecną Liath, której, przysięgam, zaczynam nie lubić, choć nigdy jej nie widziałem.

- Ty zazdrosny podrzutku - wybuchnął śmiechem Heribert.

- Wciąż czekam na twój ruch - rzekł Wilkun.

- Idę - powiedział Zachariasz, przechodząc przez liny, które rozciągnięto, by podtrzymać płócienny daszek. Letni zmrok kładł już cień na leżący na zachodzie las. Wiatr szeleścił gałęziami. Znad rzeki nadchodziła mgła, spowijając białą wieżę katedry oraz fortecę. Za palisadą i rowem znajdowały się stratowane pola. Plony zostały zniszczone decyzją jednego złowrogiego człowieka, lubującego się w destrukcji. Tu i tam stały opuszczone rudery, domy i garbarnie. Zniszczono nawet sady, choć w obrębie murów pozostały nietknięte.

Główne siły Qumanów stały u przednich wrót, jednakże mniejsze obozowiska rozbito wzdłuż całej doliny w sposób, którego Zachariasz nie mógł zrozumieć. Nie był strategiem. Nigdy nie ćwiczył się w sztuce wojennej. Może Bulkezu krył się teraz w swoim namiocie, gotowy, by schwytać Zachariasza...

Nie, nie wolno pozwalać sobie na takie myśli. Strach paraliżuje, to normalne. Ale muszę z nim walczyć, pomyślał Zachariasz. To jedyny sposób, by pokonać Bulkezu.

Zresztą Zachariasz miał też inne zmartwienia. Myślenie o nich odsuwało nieco strach przed Bulkezu.

Dlaczego Wilkun był tak uparty? Po co te sekrety? Wiedza ma znaczenie tylko wtedy, gdy można się nią dzielić. Ludziom powinno być wolno poznawać nowe rzeczy. To lepsze niż trwanie w ignorancji. Myśl o Wilkunie, strzegącego swej wiedzy niczym smok nagromadzonych skarbów, mocno go drażniła.

- Tutaj - powiedział głos małej cesarzowej, ona sama zaś pojawiła się wraz z niańką i młodym Matto, swymi stałymi towarzyszami. W lewej ręczce trzymała drewniany miecz, którym entuzjastycznie wymachiwała. - Teraz walczymy! Teraz walczymy, Matto!

Kiedy ujrzała Zachariasza i widok, jaki rozpościerał się zza niskiego muru, podbiegła bliżej. Podskakując, starała się zobaczyć coś więcej. Próbowwała znaleźć oparcie dla stóp na wyłomach muru, wreszcie zwróciła się do Zachariasza.

- Podnieś mnie!

Wziął ją na ręce. Blessing, wsparta rękami o jego ramiona, patrzyła wokół szeroko otwartymi oczami, następnie wdrapała się Zachariaszowi na barki, by zyskać jeszcze lepszy widok.

- Co to jest?

- To miasto margrabiego Helmuta Villama, zwane Walburg. Czy widzisz sztandar na twierdzy? To oznacza, że jego pan jest w swej rezydencji. Wszyscy ludzie w tym mieście są obleżeni przez Qumanów.

- Ci Qumanowie są źli - wygłosiła Blessing.

- Tak, chcą dostać się do miasta i wszystko spalić.

- Ale tata im nie pozwoli. Tata ich zabije i sobie pójdą.

Ponieważ Zachariasz nie odpowiedział od razu, zdławiony nagłym strachem, Matto wysunął się żywo naprzód.

- Oczywiście, że tak! Nie ma nikogo, kto potrafiłby zwyciężyć księcia.

- Pewnie, młodzieńcze - rzekł słabo Zachariasz, patrząc z góry na armię i jej jasne namioty, które niczym larwy panoszyły się na ziemi.

Blessing wywinęła się z jego ramion i zaczęła z pomocą Matto wspinać się na mur. Chłopak czuwał, by nie spadła. Dziewczynka była wyraźnie niezadowolona.

- Pozwól jej zaliczyć parę upadków, Matto - powiedziała Anna, patrząc na zmagania małej. - W ten sposób więcej się nauczy.

Zachariasz parsknął śmiechem.

- Gdzie się nauczyłaś takiego podejścia do dzieci?

Zacisnęła usta. Nie dowierzała mu, odkąd dowiedziała się, że Zachariasz nie modli się do Boga.

Westchnąwszy, Zachariasz odwrócił się. Deszcz przestał padać i w powietrzu czuło się wilgoć, niemal tak gęstą, że można ją było zlizywać. Zapadł zmrok i zaczął odczuwać niepokój. Musi być cierpliwy. Przecierpiał siedem lat jako niewolnik Qumanów. Z pewnością przetrwa jedną noc na czekaniu i rozmyślaniu. Przetrwa też przekłete milczenie Wilkuna.

Zanurkował pod linami przytrzymującymi daszek dokładnie w chwili, gdy naprzeciwko pojawił młody żołnierz w rozchełstonym i brudnym odzieniu, zmierzający do kapitana i księcia.

Sanglant siedział w stanie gotowości. Odsunął na bok puchar.

- Sibold. Ciesz się, że wracasz szczęśliwie. Jakie przynosisz wieści?

Sibold miał uśmiech zawadiaki i szramę od noża pod lewym uchem, dokładnie taką, jaką lekkomyślny młody człowiek może zarobić na patrolu, podjechawszy nieco bliżej linii Qumanów. Wysunął się naprzód.

- Mój księżę panie. Rowy były na tyle miłosierne, by mnie ukryć. Najwidoczniej nienawidziły Qumanów nie mniej ode mnie. Qumanowie mają trzy proporce. Główne siły skierowano ku głównym wrotom prowadzącym do miasta, ale rozbito także dwa mniejsze obozy, jeden na południowym zachodzie na wybrzeżu rzeki Floyer, drugi zaś na północ i wschód od brodu. Widziałem cztery grupy zwiadowców, żadna nie liczyła więcej niż siedmiu mężczyzn.

Sanglant popatrzył na Wilkuna, nadal skoncentrowanego na grze z Heribertem.

- Orzeł ma wzrok dokładnie tak ostry, jak głosi plotka.

- Nawet jeśli księżęta temu nieraz nie dowierzają - wymruczał Wilkun, nie podnosząc głowy znad szachownicy.

Księżę uśmiechnął się, lecz nic nie odrzekł. Zsunął pierścień z palca i wręczył go młodemu żołnierzowi.

- Ryzykowałeś życie, by złożyć ten raport. To cenne informacje.

- Wasza Wysokość. - Z filuternym uśmiechem Sibold wycofał się, znikając we mgle. Niewątpliwie pognął do swych kompanów, by pochwalić się prezentem.

Sanglant podniósł wciąż leżącą na kocu kostkę.

- Zaatakujemy rankiem.

Jego wielmożni towarzysze wstali.

- Ale, Wasza Wysokość... - zaproponował lord Hrodik. - Wszyscy Qumanowie mają konie. Jest ich trzystu! My mamy sto trzydzieści wierzchowców.

Sanglant uśmiechnął się.

- W takim razie nie będą w bardzo niekorzystnej sytuacji. - Księżę wziął hełm z rąk sierżanta, zajmującego się jego polerowaniem i zaczął obracać go w dłoniach. - Masz lepszy plan, Hrodik?

Wobec powyższych słów młody lord wycofał się, przepaszając i Zachariasz nie musiał już znosić jego skamlenia i niezręcznych pochlebstw. Wślizgnął się do kąta, w którym sypiał i, zawinięty w opończę, zapadł w sen.

Obudził się, poczuwszy obok siebie bijące od Heriberta ciepło. Wiatr przyniósł odgłos kroków warty. Strach, niczym oddech zimnego nocnego powietrza, wyciągał ku Zachariaszowi swe pazury. Co będzie, jeśli Qumanowie najadą na ich obóz? Co się stanie, jeśli księżę Sanglant przegra bitwę, która zacznie się o świcie? Czy będzie lepiej odebrać sobie życie, choć to sprawi, że będzie przeklęty na wieki? Czy będzie miał na tyle odwagi, by znaleźć się na drodze lotu strzały lub włóczni? Czy może znowu trafi do niewoli?

Zadrżał, myśląc o znaku na swych plecach. A co, jeśli Qumanowie pochwyć go i, zobaczywszy znak pazurów leoparda, oddadzą w ręce Bulkezu?

Śmierć byłaby lepsza. Gdyby tylko miał odwagę ją przyjąć.

Noc była mglista, zaś światło gwiazd przyćmione. Obóz trwał w ciszy, spowity mgłą. Naprzeciwko zadaszonego miejsca siedziało dwóch ludzi. Nie mówili nic, podczas gdy płomienie ognia tańczyły, a drewno trzaskało. Wilkun siedział tyłem do Zachariasza, a drugi człowiek, szczuplejszy od starego Orła, siedział naprzeciwko Wilkuna. Człowiek ten nie był mężczyzną, lecz kobietą, przygarbioną ze starości, tak chudą, iż wydawała się cieniem.

Zachariasz uniósł się na posłaniu i oparł na łokciu.

Po drugiej stronie ogniska nie było nikogo.

Opadł na posłanie bez tchu. Mgła zasłoniła gwiazdy. Gdzieś w lesie zawył wilk. Wśród skał przemknęło jakieś nocne stworzenie.

Wilkun nie ruszał się. Zachariasz znowu zerknął...

Kobieta, choć przezroczysta, była widoczna.

Była cieniem.

Chciał wstać z posłania, lecz jakiś mężczyzna w milczeniu przykucnął obok niego. Na ramieniu

Zachariasza spoczęła silna ręka.

- Przestań, Zachariaszu - powiedział książe. - Teraz nie czas...

- Kiedy ten czas nadejdzie? - zapytał Zachariasz ochryplym głosem.

Sanglant nie zwolnił uścisku, zmuszając, by rozmówca spoczął na swym posłaniu.

- Kiedy nie będziemy już musieli walczyć o życie.

- To ja! To ja! - wołała triumfalnie Blessing, gdy jej ojciec wsiadał o świcie na konia. Miał na sobie zbroję, szkarłatny płaszcz i wspaniały hełm ze smokiem. Podążała za nim armia. Na jego sztandarach nie widniały żadne herby. Były to proste, zrobione z materiału w złotym kolorze chorągwie, symbolizujące królewskie pochodzenie księcia i płynącą w żyłach jego córki cesarską krew.

Dla Anny czekanie na rezultat potyczek stanowiło najcięższą część jej podróży w orszaku księcia. Książe Sanglant był znakomitym wojownikiem, ale lekkomyślnym ojcem.

- Proszę zejść z muru, Wasza Wysokość - powiedział nerwowo Heribert. - Można stąd spaść.

Blessing zignorowała go, balansując z zacięciem na ruinach muru i obserwując odjeżdżających żołnierzy.

- Będę walczyć następnym razem! - Wymachiwała swoim drewnianym mieczykiem, dźgając i tnąc powietrze. Słychać było spadające z muru na ziemię kamyki, czemu towarzyszyło podzwanianie końskich podków - książe i jego armia zniknęły z pola widzenia.

Anna podniosła się, niespokojna, podczas gdy Heribert dosłownie ściągnął Blessing i zaniósł ją - mała była zbyt głodna, by walczyć - do na wpół zrujnowanej twierdzy. Musieli ominąć pułapki; Matto i Everwin zainstalowali dwie, gdy tylko zaczęli tu obozować. Obóz był teraz cichy - miejsce pod płóciennym dachem, namioty, odłożona porządnie uprząż, choć faktycznie wszystko, co miało jakąś wartość, zniesiono do strażnicy. Anna pokonała schody i stanęła obok Heriberta na szczycie twierdzy, skąd rozciągał się widok na całą dolinę. Blessing przytuliła się do ramienia Heriberta i ziewnęła.

Dolinę przysłaniała mgła. Rozpraszały ją tylko płomienie ognia na szczycie dwóch baszt - symbol oporu Villama. Mury obronne Walburga wyglądały na o wiele bardziej solidne niż zrujnowana forteca. Pozostało w niej tylko sześciu mężczyzn, nie licząc kleryków i Orła, mających opiekować się i chronić Blessing. W chwilach takich jak ta Anna żałowała, że opuściła Gent, porzucając spokojny rytm życia w warsztacie mistrzyni Zuzanny. Była głupia, głupia, głupia...

Otarła łzy, bliska płaczu, lecz Matthias dobrze ją wyćwiczył. Gdyby płakała, usłyszeli by ją Eikowie. Nigdy nie zapomniała lekcji, jaką odebrała podczas oblężenia Gentu. Wiedziała, jak radzić sobie ze strachem i nie okazywać go pomimo okoliczności.

Słońce świeciło na wschodzie, lecz wiatr ustał. Nad dwiema rzekami unosiły się pasma mgły. Spoza zamkowych murów dobiegał głośny dźwięk bębnow. To na pewno nie był sygnał księcia, który preferował walkę w ciszy. Do zgiełku dołączył odgłos rogu, brzmiący jak wycie upartego dwulotka. Pomiędzy dwiema basztami widniały otwarte, drewniane wrota, zabezpieczone żelaznymi sztabami. Naprzeciw nich uzbrojeni żołnierze formowali się w szyk.

Qumanowie, których siły znajdowały się nie dalej niż odległość lotu strzały, dosiadali swoich koni, spodziewając się lada chwila szarży przeciwnika. Na każdego jeźdźcę, który wyłaniał się spoza wrót, przypadało pięciu Qumanów. Skrzydła sprawiały, że wyglądali złowieszczo. Zdawało się, że jest ich więcej, niż było w rzeczywistości. Wreszcie we wrotach pojawił się opadający na słabnącym wietrze sztandar. Jeden z lordów zajął pozycję na czele armii. Zwrócił się w kierunku swoich oddziałów, złożonych z czterech tuzinów jeźdźców. Stał odwrócony tyłem do Qumanów, jak gdyby oczekiwał ich szarży. Jednakże wrogowie uformowali tylko bojowy szyk, oczekując na rozkazy lub podejrzewając jakąś pułapkę.

Po krótkiej chwili lord Walburga zwrócił się twarzą ku przeciwnikom, opuszczając lancę niczym w geście powitania.

Wojsko księcia Sanglanta, dotarłszy na skraj lesistego zbocza, wyłoniło się z lasu i ruszyło ku równinie. Zbrojni przeszli w kłus. Póki co, od Qumanów dzieliły ich zagajnik i sad. Zwiadowcy, znajdujący się naprzeciwko atakującej flanki, zaczęli się wycofywać w stronę swego obozu, wypuszczając w kierunku armii Sanglanta pojedyncze strzały.

Qumanski wódz dołączył do zgromadzonej hordy. Łatwo było go zauważyć, gdyż jego skrzydła połyskiwały niczym nóż wykonany z polerowanej stali. Dołączyła do niego połowa armii i ruszyli w kierunku wyłaniających się z sadu zbrojnych Sanglanta. Obie armie przeszły w galop i zwały się ze sobą.

Zachariasz cicho pochrząkiwał, jakby to on sam odbierał ciosy. Heribert mamrotał modlitwy. Blessing ssała dwa palce, popatrując na rozpościerający się przed nimi krajobraz. Ciężko stwierdzić, czy



rozumiała, co się działo.

Anna pochyliła się do przodu. Słońce świeciło jej w oczy, utrudniając obserwację.

Księżę w hełmie ze smokiem prowadził szarżę, zmierzając dokładnie ku wodzowi o stalowych skrzydłach. Sanglant zaatakował i skrzydła rozpadły się, zaś jeździec i jego koń zniknęli w ferworze walki. Za kawalerią Walburga zamknęły się wrota i zbrojni oblężonego miasta włączyli się do potyczki.

- Jak przebiega walka? - zaskoczył Annę głos Wilkuna.

- Chyba dość dobrze, jak sędzę. Nie pojechaliście z księciem?

Wilkun roześmiał się lekko, obserwowany przez Zachariasza.

- Nie, dziecko. Jestem już za stary.

- Patrzcie - powiedział Heribert. - Rozgromili ich.

Na polu bitwy panował chaos. Wendarczycy ścigali Qumanów, którzy rozpiechli się we wszystkich kierunkach.

Sanglant podzielił swą grupę na trzy części. Widać było, jak rycerz w hełmie ze smokiem ściga jakiegoś Qumana aż do rzeki. Zbrojni Walburga także siali pogrom. Anna straciła z oczu lorda Walburga, gdyż zbocze i las zasłoniły jej widok.

- Qumanowie! - zaalarmował nagle Matto.

Z lasu wyłoniła się grupa czternastu Qumanów i ruszyła poprzez polanę. Dostrzegli rozbite namioty, zrujnowaną strażnicę i mały fort w kształcie kwadratu. Wilkun wyciągnął swój krótki miecz i podpełzał ostrożnie do ściany, zręcznie unikając stąpania po przegniłych deskach i wyrwach w podłodze.

Zachariasz zmusił Annę, by położyła się na ziemi. Poprzez dziury w podłodze ujrzeli Matto, Everwina i człowieka, na którego wołano Zgryźliwy. W pogotowiu mieli włócznie i zasłaniaли wyłomy w murze, prowadzące na piętro strażnicy. Z miejsca, w którym się znajdowała, Anna nie mogła widzieć Dena, Johannes a i Lewenhardta. Sięgnęła do niszy wykutej w kamiennej ścianie i wyciągnęła nóż, który tam ukryła. Zachariasz i Heribert mieli kije, ale wiadomo było, że jeśli chodzi o walkę, Heribert był właściwie bezużyteczny. Czy Zachariasz umiał walczyć, było dla wszystkich sekretem. Jednakże wyraz desperacji malujący się na jego twarzy sprawił, że Annie zrobiło się go żal.

Heribert podczołgał się ku niej.

- Nie martw się - wyszeptał. - Ograbią obóz i odjadą. Nawet nie wiedzą, że tu jesteśmy.

- Zabiję ich - oświadczyła Blessing. Kleryk zasyczał cicho i zatkał ręką usta małej. Dziewczynka westchnęła z niezadowolaniem i zamknęła oczy.

Teraz dobrze było słycać odgłosy koni przemierzających obóz i żołnierzy pokrzykujących do siebie w swoim twardym języku. Słycać było darcie jakiegoś materiału. Zagrzechotały garnki. Zarżał koń. Anna znalazła odrobinę pociechy w słowach Heriberta. Wsunęła nóż w rękaw sukni na wypadek, gdyby dostała się w ręce jakiegoś Qumana. Niech myśli, że jest nieuzbrojoną, łatwą ofiarą.

Co ich zdradziło, nigdy się nie dowiedziała. Może to była tylko ciekawość któregoś z Qumanów.

Najpierw to usłyszała, ponieważ patrząc w dół, nie widziała nic więcej poza swymi towarzyszami, walącą się ścianą i niebem. Jeden ze zbrojnych musiał wejść na schody, gdzie zastawiono pułapkę.

Odgłosy plądrowania obozu przeszył nagły krzyk. Ciało upadło w absolutnej ciszy. Qumanowie natychmiast zaczęli wołać coś do siebie i przez wyrwę w murze posypał się grad strzał. Jeden z nich wdrapał się na mur i skoczył na deskę tuż obok Heriberta. Anna ostrożnie wyjrzała za mur.

Szalony Lewenhardt wspiął się na występ znajdującego się w ruinie muru. Najlepszy łucznik w drużynie Sanglanta zaczął strzelać, starannie wybierając swe ofiary. Jeden z Qumanów, który biegł do strażnicy, zatoczył się. Strzała utkwiała w jego udzie. Posypał się kolejny grad strzał; Anna skuliła się. Poprzez wyrwy w podłodze ujrziała Everwina, który chwycił za sznur, podczas gdy Matto krzyczał:

- Trzech po prawej stronie!

Odlamki muru posypały się, gdy skrzydlaty żołnierz przeciskał się przez wyłom, pomagając sobie włócznią. W pewnym momencie pośliznął się. Anna nie widziała nic poprzez obłok kurzu. Zgryźliwy ciał już przy środkowym wyłomie, wymieniając ciosy z niewidocznym przeciwnikiem. Den i Johannes wrzasnęli, gdy Qumanowie znaleźli schody, prowadzące do strażnicy. Anna usłyszała ostre „twang” i uruchomiła się druga z zasadzek. Wilkun ruszył na dół, by im pomóc, lecz nie przebiegł więcej niż dziesięć kroków, gdy drogę zastąpił mu jeden z Qumanów. Stał pod kamiennym łukiem, jedyną pozostałością starych drzwi. Powiał wiatr i jego skrzydła zafalowały; kilkanaście piór, poluzowanych podczas wspinaczki, pofrunęło z wiatrem.

Anna krzyknęła ostrzegawczo, wstając i wyciągając nóż.

Strzała Lewenhardta dosięgnęła mężczyznę od tyłu. Upadł, powalony ciosem Wilkuna. Ale przeciwnik wciąż żył. Anna rzuciła się do przodu. Quman przygnał do ściany. Anna kopnęła jego włócznię, a

Wilkun przewrócił go na plecy i poderżnął mu gardło.

- Wilkun! - krzyknął Heribert desperacko.

Anna odwróciła się i ujrzała Matto, znajdującego się na małych schodkach, wiodących z niżej położonej izby do tej na piętrze. Młodziak dźgał wrogów włócznią, ściskaną w prawej ręce, podczas gdy lewą ręką trzymał się Everwina, próbującego go wciągnąć na górę. Matto kopał jak szalony, rozpaczliwie usiłując zmieść wrogów z drogi i jednocześnie trafić nogą na jakiś stopień.

- Cholera - powiedział Wilkun mimochodem. - Rzucił Annie włócznię martwego Qumana. - Rób, co możesz, dziecko. - Odwrócił się do Dena i Johannesesa. Obaj znajdowali się na schodach, przypierani do muru.

Heribert posadził Blessing na podłodze i pospieszył pomóc Everwinowi. Niespodziewanie mała zasnęła. Nigdzie nie było widać Zachariasza.

Anna podbiegła do Matto, który gramolił się na deski. Everwin miał teraz wolne ręce i Anna szybko podała mu włócznię. Potem zaczęła z pomocą Heriberta wyciągać z muru poluzowane kamienie i zrzuciła je na schody. Skrzydła roztrzaskały się. Słychać było przekleństwa Qumanów. Bojowość ataku powstrzymała ich na chwilę.

- Anno, Anno, daj mi dziecko! - dobiegł ją nagle głos Zachariasza.

Przedostawszy się do części wieży, wychodzącej na wewnętrzny placik małego fortu, ujrzała Zachariasza wspinającego się na występ w murze i ześlizgującego na tenże plac. Przed atakującymi chroniły go tylko zburzone ściany muru.

Trzech qumańskich łuczników walczyło z Lewenhardtem. Den był ranny. Z ramienia sterczała mu strzała. Upadł za Johannesem i Wilkunem, który wycofywał się pod naporem wroga. Z hełmu Johannesesa sterczała strzała, on sam zaś zatoczył się, pchnięty przez Wilkuna, unikając w ten sposób qumańskiej włóczni.

- Kamienie! - krzyknął Everwin.

Dwóch Qumanów przeskoczyło przez blokujące wejście do wewnętrznego placu kamienie i wdarło się do środka. Zachariasz krzyknął ze strachu i rzucił się na ziemię w geście całkowitego poddania się. Anna nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Był na tyle głupi, by opuścić jedyne miejsce, z którego mogli się jakoś bronić. Ale być może wciąż mogła uratować Blessing.

Kiedy jeden z Qumanów skierował się ku leżącemu Zachariaszowi, Anna zacisnęła zęby i wyszarpała jeszcze jeden kamień z muru, po czym zrzuciła go wprost na głowę Qumana, który próbował dostać się na drugie piętro. Matto zaśmiał się słabo, gdy Quman został trafiony. Z jego obu nóg płynęła krew. Usiadł ciężko z pobielającą twarzą, zbyt słaby, by walczyć.

- Nigdy jej nie dostaną! - zawył Heribert, wydzierając włócznię z rąk Matto.

Rozległ się jasny, słodki dźwięk rogu. Qumanowie krzyknęli coś do siebie. W mgnieniu oka zniknęli obrońcom z pola widzenia i popędzili ku skałom, a następnie wskoczyli na konie. Szczęk miecza Wilkuna ucichł. Anna podbiegła do krawędzi muru, stanęła na palcach i ostrożnie wysunęła głowę. Zobaczyła, jak Qumanowie znikają w lesie.

Dzięki Bogu, przybył lord Walburga i jego dwudziestu zbrojnych.

Dobra wendarzka stał szybko pozwoiliła im pozbyć się ostatnich Qumanów. Kiedy wszyscy byli już martwi, a zbrojni stanęli w szeregu, lord zdjął hełm. Damski kornet ujawnił, że lord Walburga była kobietą.

- Miło widzieć waszą wielmożność - zawołał Wilkun. Ku zdziwieniu Anny uśmiechał się, co niezwykle rzadko się zdarzało. - Zejdźmy na dół i złożmy nasze uszanowanie - zachęcił swoich towarzyszy.

Zachariasz wytoczył się ze swej kryjówki. Nie odniósł żadnych ran poza zadrapaniami na kolanach i rękach. Tylko Anna i Heribert zauważyli jego haniebną ucieczkę. Jeśli jednak Heribert nie powiedział nic, Anna zdecydowała, że i ona będzie trzymała usta na kłódkę. Zgryźliwego wydobywano spod kupki gruzów na pierwszym piętrze strażnicy; otrzymał silny cios w głowę i dopiero odzyskiwał świadomość, poza tym jednak nic mu nie było. Reszta nadciągała, wlokąc się, kulejąc i przeklinając, lecz mając poczucie zwycięstwa.

- Boże, miej litość - powiedziała lady Waltharia, kiedy obrońcy zgromadzili się wokół niej. - Nigdy nie widziałam grupy większych nieszczęśników. Gdzie jest dziecko?

Pojawił się Heribert, niosąc Blessing, ziewającą i mrużącą oko. Krzywiła się, niezadowolona, że ją obudzono. Ziewnęła po raz kolejny, wtuliła buzię w ramię Heriberta i nieoczekiwanie znowu zasnęła.

Lady Waltharia zsiadła z konia i przyjrzała się dziecku.

- Śliczne małe stworzenie. Przypuszczałam, że takie jest, skoro ma księcia za ojca. Kim jesteście?

- Jestem brat Heribert, pani. Brat Zachariasz i ja tworzymy książęcą scholę.

Lady Waltharia roześmiała się serdecznie i przyjacielsko.

- Schola, Orzeł, berbec i ta istota o kolorze brązowego orzecha.

- Mam na imię Anna, pani - powiedziała Anna twardo.

- Tak więc nią jesteś, skoro sama to mówisz, ale dlaczego, na Boga, dziewczyna tak młoda jak ty podróżuje ze zbrojną bandą Sanglanta?

- Jestem niańką, pani.

- Ach. To mądra decyzja zatrudnić niańkę, jeśli ksiązę postanowił wlec dziecko na wojnę. Czy jesteś zaradna? Czy łatwo cię przerazić? Jesteś w stanie nadażyć za armią?

- To wiele pytań, pani.

- Nie powinnaś na nie odpowiadać, jeśli jesteś mądra. No i jest tutaj kilku przyjemnie wyglądających młodzików - powiedziała Waltharia, przenosząc wzrok na Matto i pięciu innych żołnierzy. Była wysoką kobietą około trzydziestki. Wyglądała imponująco w kolczudze. Miała rumiane policzki i brązowe włosy splecione w opadający na plecy warkocz. Na jej czole perlił się pot. Jednemu z jej płatków usznych brakowało końca, a kiedy uśmiechnęła się, okazało się, że straciła jeden z zębów. Skinęła na Wilkuna, który z szacunkiem wystąpił do przodu.

- Cóż, Orle, słyszałam plotkę, że znowu zostałeś wygnany. Albo że opuściłeś króla. Trudno stwierdzić, co jest plotką, a co prawdą, czyż nie? Czy mam cię puścić wolno, czy uwięzić?

Wilkun uśmiechnął się. Wyglądało na to, że lubi tę kobietę. Był zazwyczaj tak pełen rezerwy, że trudno było zobaczyć na jego twarzy choćby cień emocji.

- Obiecałem służyć księciu. Zdałem się na jego łaskę.

Waltharia parsknęła, ubawiona odpowiedzią.

- Na łaskę księcia! Którego próbowałaś zamordować, kiedy był jeszcze kwilącym niemowlęciem, jeśli ta stara historia jest rzeczywiście prawdziwa, a mój drogi ojciec twierdzi, że jest, ponieważ to właśnie on mi ją opowiedział.

Zza drzew dał się słyszeć trzykrotny ostry gwizd.

- Ufam jednak, że możemy go zapytać o to sami - zakończyła Waltharia, odwracając się w kierunku nadjeżdżających zbrojnych.

Blessing obudziła się nagle, podnosząc głowę. Zaczęła się tak gwałtownie kręcić, że Heribert poddał się i pozwolił jej wyswobodzić się z jego objęć.

- Tata! - zawołała radośnie, gdy pośród drzew pojawiły się złote sztandary. Chwilę później pojawił się ksiązę w swoim szkarłatnym płaszczu i świecącej zbroi oraz hełmie ze smokiem, który wyglądał tak, jak gdyby szykował się właśnie do ataku.

Ksiązę zatrzymał konia i zsiadł. Ledwie zdążył zdjąć hełm, gdy Blessing już była przy nim, wołając, by wziął ją na ręce.

- Cicho, córeczko - powiedział Sanglant, śmiejąc się i podnosząc ją w górę. Popatrzył na Waltharię, która przyglądała mu się z podziwem. - Zdziałało.

- Zawsze działa. - Uśmiechnęła się jak do starych wspomnień. Ich spojrzenia spotkały się.

- Tato, popatrz na mnie! - zawołała Blessing, po czym zanosła się śmiechem, gdy ojciec uszczypnął ją lekko w nos.

- Jak się miewa Hedwig? - zapytał Wilkun.

Waltharia chrząknęła, rozbawiona.

- Nienawidzi cię, co wywnioskowałam ze strumienia jej pomstowania, gdy dowiedziała się, że przybyłeś wraz z orszakiem księcia.

- Powiniennem schodzić jej z oczu - wymruczał Wilkun.

- Rzeczywiście, jeśli cenisz sobie swe członki. - Waltharia zwróciła się do Sanglanta. - Wizyta w odpowiednim czasie. Qumanowie zaatakowali Walburg sześć dni temu. Widziałeś, co zrobili z polami i sadami. Z tuzin rolników straciło cały dobytek. - Waltharia podeszła do Sanglanta i ujęła rąbek tuniki Blessing, przybrudzony i rozdarty podczas zabawy. Mała dziewczynka przyglądała się jej podejrzliwie. - Jestem zaskoczona, że zabierając dziecko na kampanię wojenną, wystawiasz je na takie niebezpieczeństwo.

- Przy mnie grozi jej mniejsze niebezpieczeństwo niż przy jakimkolwiek innym opiekunie. - Anna wiedziała, jak gorąco Sanglant kocha swoją córkę. Poznała to po wyrazie jego twarzy, gdy wyzywająco patrzył na lady Waltharię, jak gdyby jej zdanie wiele dla niego znaczyło. - Lepiej, jeśli zginęłaby wraz ze mną, niż miała żyć bez mej opieki.

- A jej matka? Ach. Lepiej zostawmy ten temat na inną okazję. Osobiście odprowadzę twoją scholę i opiekunkę dziecka do mej bezpiecznej twierdzy.

- Dziękuję - powiedział sztywno Sanglant, wciąż wyglądając na poirytowanego. Ucałował Blessing. - Pójdiesz z Anną, maleńka. Nie, żadnych protestów. - Podał dziecko Annie i wraz ze swymi żołnierzami podążył wzdłuż równiny, bez wątpienia po to, by wytropić i zabić uciekających Qumanów.

Lady Waltharia poprowadziła ich do swej warowni. Przy bramie pozostawiła ich pod opieką służby, a sama popędziła ścigać wrogów.

Nad zewnętrznym wałem obronnym przerzucono deski, aby ułatwić przejście. Anna przeszła po nich, podczas gdy służący prowadził jej muła. Deski uginały się pod nogami, zaś ona sama musiała rozłożyć ręce, by utrzymać równowagę. Drugi pomost wiódł wprost pod murami. Po drugiej stronie widać było strażnice i cele więzienne. Z podziemnych cel dobiegało jakieś mruczenie, zaś strażnicy strzegli bezpieczeństwa ze swoich stanowisk. Wrota zatrzeszczały i oto Anna i jej towarzysze znaleźli się w Walburgu.

W oblężonym mieście było nieoczekiwanie porządnie i czysto. Wokół wzgórza, na którym wybudowano fort, widać aleje. Od placu z katedrą odbiegały promieniście wyłożone deskami ulice. Na wolnym terenie rozstawiono rzędem namioty, stanowiące schronienie dla uciekinierów. Składowano tu również zapasy, umożliwiające przetrwanie oblężenia. Mniejsza niż bazylika w Gencie, katedra świętego Walaricusa wyglądała na bardzo zadbaną. Ozdobiono ją malowidłami splatających się spirali i kół tworzących wieńce, natomiast wieżę świątyni zdobiło z każdej strony wyrzeźbione, pomalowane na srebrno drzewo.

- Herbem Villama jest srebrne drzewo - wyjaśnił Zachariasz, kiedy przechodzili przez plac, zmierzając do ufortyfikowanego pałacu.

- Tak jest - odparł Heribert - ale chodzi również o to, że święty Walaricus był męczennikiem, powieszonym na drzewie przez jednego z pogańskich książąt.

- Mądrze wobec tego ze strony Villama, że rozkazał udekorować katedrę tym symbolem, nieprawdaż? Upamiętnia obie rzeczy.

Heribert wyglądał zdumiewająco. Anna lubiła go o wiele bardziej niż Zachariasza, który pluł Bogu w twarz, lecz nawet biorąc to pod uwagę, czuła się trochę niekomfortowo, widząc, że Heribert w najgorszych warunkach obozowych jest zawsze taki czysty i schludny. Czasami nie było sensu być aż tak drobiazgowym.

- Myślisz, że Villam postanowił wybrać na patrona katedry świętego Walaricusa właśnie po to, by móc umieścić na kościelnej wieży swój herb bez posądzania go o pychę?

Zachariasz wybuchnął śmiechem.

- Przypuszczasz, że Villam mógłby tego nie zrobić? Jest mądrzejszy ode mnie, przyjacielu.

- Muszę się więc pomodlić, byśmy uniknęli jego intryg.

Zachariasz tylko się uśmiechnął. Anna nie ufała temu uśmiechowi, podobnie jak nie ufała starymu Orłu Wilkunowi, który, jak każdy wilk, mógłby zarówno ugryźć cię, jak i polizać twą rękę.

Zbrojni Sanglanta, w tym również Matto, zostali ulokowani w barakach, a Blessing i jej opiekunowie otrzymali komnatę w pałacu, z której widać było płynącą rzekę. W komnacie znajdowało się jedno mięciutkie łóżko, drugie mniejsze, zasłane puchową kołdrą i cztery sienniki rozłożone pod ścianą. Chłodnawy pokój ocieplało sześć koksowników. Anna usiadła ze skrzyżowanymi nogami na grubym dywanie, zaś Zachariasz, Wilkun i Heribert usiedli na ławie i krzesła. Blessing zdecydowała ulokować się pośrodku stołu, skąd komenderowała służbą, wnoszącą obfity posiłek, złożony z kurczaka faszerowanego gorczycą i pietruszką, rosółu, porów w maśle, kawałków cielęciny w miętowym sosie i miodowych klusek.

Obfity posiłek sprawił, że Anna dostała czkawki. Zwinęła się u stóp łóżka, nagle tak zmęczona, że marzyła tylko o śnie.

Zbudził ją krzyk.

- Tata! Tata! Zobacz, tutaj jestem!

- Boże, chroń nas, Wasza Wysokość! - zawołał przerażony Heribert. - Spadniesz i zabijesz się!

Nabrawszy wprawy w czasach oblężenia Gentu, Anna nauczyła się budzić szybko i natychmiast być przytomną. Porwała się na nogi, lecz w tym momencie Wilkun schwycił Blessing i ściągnął ją z okiennego parapetu. Dziewczynka wrzasnęła, usiłując wyrwać się z jego uścisku i mocno ugryzła go w nadgarstek.

Wilkun krzyknął i upuścił ją.

- Oto dziecko, którego gust popieram. - W drzwiach pojawiła się starszawa kobieta z odznaką Orła, opierająca się ciężko na lasce. Zmierzyła obecnych w komnacie uważnym spojrzeniem, w którym więcej było chłodu niż ciepła. Nawet Blessing, która nabierała tchu, by wrzasnąć z całej siły, zamilkła nagle,

przypatrując się nowo przybyłej ze zdziwieniem.

- Wilkunie, modliłam się, by nie mieć przyjemności już nigdy więcej cię oglądać.

- Proszę o twe wybaczenie, Hedwig - odrzekł. - Z całym szacunkiem, nie przynoszę ze sobą gradobicia. Miło cię spotkać.

- Myślałam, że nie żyjesz.

- Słyszałem, że to ty byłaś bliska śmierci.

Parsknęła.

- Potrzeba więcej niż pięciu qumańskich strzał, by mnie zabić.

- Słyszałem, że to byli bandyci.

Roześmiała się sucho.

- Qumanowie nie byli jedynymi, którzy próbowali mnie zabić. Bandyci, o których mówisz, dostali nauczkę. Lady Waltharia przygotowała im stryczki na szyję. Wisieli na placu katedralnym, aż kruki i wrony objadły ich do kości. - Pogmerala w jednym ze swych szerokich rękawów i po chwili wyjęła nanizane na sznurek kości palców ręki. - To wszystko, co z nich zostało.

- Przyjemne trofeum - zauważył Wilkun.

- Noszę je ze sobą, by przypominać ludziom, co pozostaje z tych, którzy wprawili mnie w złość.

Wilkun mruknął pod nosem, lecz Anna poznała po sposobie, w jaki się zarumienił i zmrużył oczy, że kocha Hedwig nie mniej niż ona jego. Przywołała Blessing i postarała się, by dziewczynka z wdziękiem zaakceptowała powitanie starego Orła.

- A więc to jest to dziecko. - Przyjrzały się sobie nawzajem, kulawa stara kobieta i mała księżniczka. Włosy wymykały się z warkoczyka Blessing, wijąc się wokół jej twarzy.

- Usiądę - oświadczyła Blessing. Usiadła na środku dywanu i władczym gestem wskazała na ławę, z której Zachariasz natychmiast się usunął. - I ty też usiądziesz.

- Dziękuję, Wasza Wysokość, ale jeśli usiądę, minie z półtora dnia, nim znowu będę mogła unieść moje stare kości. Przysłała mnie lady Waltharia, bym zaprosiła was na ucztę. Ma zamiar służyć tobie i twemu ojcu jak najlepiej, jak przystało na margrabinę goszczącą księcia królewskiej krwi.

- Myślałem, że margrabią tutaj jest Helmut Villam - zdziwił się Zachariasz.

Komentarz ten sprawił, że stara Hedwig posłała mu ostre spojrzenie.

Wilkun pospieszył z wyjaśnieniem.

- Lady Waltharia sprawuje tu obowiązki margrabin, choć jeszcze nie ma tego tytułu.

- Jej ojciec wciąż żyje! Wyglądał cholernie dobrze, gdy miałam nieszczęście widzieć się z nim ostatnim razem.

Heribert wzruszył ramionami.

- Sekrety dworu króla Henryka są dla mnie tajemnicą. Jestem tylko skromnym klerykiem ze scholi w Mainni.

Wilkun chrząknął, trochę zaskoczony protestem eleganckiego Heriberta.

- Jak sądzisz, dlaczego Villam podróżuje w orszaku króla Henryka? On i jego córka darzą się szacunkiem, ale ich stosunki nie układają się zbyt dobrze. Ona jest zdolna zarządzać marchią, a on nie będzie żył wiecznie. Nie stoi jej na drodze, w żadnym razie. Powiedzmy, że w jakiś sposób przebywa na emeryturze, skoro nie jest zdolny wstąpić do klasztoru. - Popatrzył na Hedwig. Ona odwzajemniła spojrzenie. To było jak wymiana ciosów. - Tak jest lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Wiadomo, że nie mający zajęcia ludzie buntują się przeciwko rodzicom. Villam jest mądrym człowiekiem i udało mu się wychować córkę lepiej niż niejednemu wielmoży.

- To, że szanujesz lady Waltharię tak, jak na to zasługuje, jest jedyną dobrą rzeczą, którą w tobie widzę - zauważyła Hedwig.

- Niech i tak będzie. - Wilkun podniósł rękę w geście poddania. - Nie rozdrapujmy starych ran, proszę cię.

- Nie walczcie! - rozkazała Blessing, opierając piąstki na biodrach. Miała zwyczaj tak srogo marszczyć twarz, że wprost nie można było się z niej nie śmiać.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - odrzekła Hedwig, nie mrugnawszy okiem. - Niech mi będzie wolno poprowadzić was na ucztę.

Anna z podziwem patrzyła, jak stara kobieta dzielnie pokonuje każdy stopień, choć musiało jej to sprawiać ból. Schody biegły kręto ku dołowi, prowadząc ich do baszty. Anna nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiej wieży zbudowanej z kamienia, wyjąwszy katedrę w Gencie. Ta tutaj była zimna, posępna i ciemna. Wreszcie dotarli na dół i przeszli przez zabezpieczone żelaznymi sztabami drzwi. Następnie ruszyli przez spory dziedziniec, po którym roili się żołnierze. Anna poczuła krew i podniecenie -

intensywne niczym perfumy zapachy zwycięstwa. Po jednej stronie leżała kupa drewnianych skrzydeł. W powietrzu niczym płatki śniegu wirowały pióra. Książę Sanglant stał przy jednym z koryt. Pozbył się znacznej części ubrania i teraz wylewał wodę na klatkę piersiową i ramiona, zmywając z siebie krew.

Blessing radośnie krzyknęła. Popatrzyła na Hedwig i widocznie jakaś myśl przebiegła jej przez głowę, bo zaczęła pośpieszać Annę. Żołnierze usuwali im się z drogi, wołając ją po imieniu. Blessing zaś zmierzała wprost ku ojcu.

Kiedy tylko podeszły do niego, Sanglant powiedział:

- Nie, maleńka, teraz nie jestem w nastroju do zabaw.

Nawet się nie odwrócił.

Czasami zdawał się tak pochłonięty pasją do czystości, że mógłby zawstydzić nawet drobiazgowego Heriberta. Anna nigdy nie widziała człowieka tak silnie się szorującego. Pamiętała jednak, jak wyglądał, kiedy skuto go łańcuchami w katedrze w Gencie dwa lata temu. Być może nigdy nie pozbył się tamtego brudu, nie ze swej świadomości.

Zbrojni lady Waltharii po cichu między sobą rozmawiali i obserwowali księcia.

- Nie, w to nie uwierzę. Przysięgam, że tamten Quman uciekłby przed nim, nawet gdyby książę był sam.

- Nigdy nie widziałem człowieka, który walczyłby tak odważnie.

- Słyszałem, że wpadł we wściekłość, gdy niosący sztandar człowiek poległ.

I dalej ciszej:

- Czy to prawda, że on nigdy nie będzie królem?

Nagły wybuch komentarzy urwał się, gdy na dziedziniec weszła lady Waltharia w towarzystwie potężnie zbudowanego lorda. Na jego krótkich, okalających twarz blond włosach widniała zaschła krew. Waltharia pozbyła się już swej kolczugi, lecz przy kołnierzu i pod pachami na wutowanej opończy, którą teraz miała na sobie, widoczne były ślady potu oraz odcisnięte kółka pancerza.

Żołnierze zaczęli wiwatować.

Waltharia podniosła rękę, prosząc o ciszę.

- Oddajmy cześć księciu Sanglantowi. Gdyby nie on, wciąż bylibyśmy oblężeni.

Żołnierze zaczęli wznosić okrzyki. Tymczasem nadbiegł Matto, niosąc odświętną tunikę Sanglanta. Była uszyta z miękkiej wełny w kolorze soczystej pomarańczy. Wzdłuż jej brzegów i rękawów wyhaftowano żółte i białe smoki, które wiły się niczym węże. Sanglant nie prosił o ciszę, bowiem i tak zapadła, kiedy skończył związywać tunikę wokół bioder.

- Nie cieszymy się jednak zbyt. - Nie krzyczał, lecz jego chropawy głos rozbrzmiewał wśród tłumu dostatecznie silnie. - Świętujcie dzisiaj, lecz pamiętajcie, że czekają nas jeszcze kolejne bitwy. Spotkaliśmy się tylko z niewielką częścią qumańskiej armii. Ich wódz wciąż żyje, a oni sami nie uciekają jeszcze na wschód jak smagane batogiem psy.

Kiedyś będą, pomyślał.

Żołnierze zaczęli wykrzykiwać imię Sanglanta, potem lady Waltharii i jej męża lorda Druthmara. Uroczystość przeniosła się do wielkiego hallu. Książę niósł pokrzykującą radośnie córkę na ramionach. Anna bała się, że zostanie zdeptana, ale Matto i kapitan Fulk wzięli ją pomiędzy siebie, chroniąc przed zgnieceniem w tłumie i podążyli za Sanglantem. Ostatnie miesiące nie były dla niej tak łaskawe jak dla Matto, który urósł nieco i zmężniał. Choć Anna nie głodowała, to jednak zrobiła się szczuplejsza. Waga, której nabrała w domu mistrzyni Zuzanny, zniknęła podczas trudów kampanii. Znalazłszy się w tłumie silnych i szybkich żołnierzy, czuła się jak patyczek porwany prądem wartkiej wody.

W sali wypełnionej radosnym, triumfującym tłumem, w której wznoszono toasty i śpiewano, trudno było cokolwiek usłyszeć. Anna jak zawsze pilnowała Blessing. W przerwach skubała kąski, pojawiające się na talerzu małej: pieczoną gęś z nadzieniem z pietruszki i chleb, mięsny gulasz z płatkami róż i konfiturą z czereśni, chlebki ostrygowe; pieczywo posypane kminkiem i koprem; rosół z wołowiny gotowany z porami; polewka z orzechów, mąki i bzu oraz kluski miodowe.

Zwycięzcy żołnierze pili tęgo. Lady Waltharia osobiście nalewała Sanglantowi wina, przesączaając je przez złote sitko, które, jak powiedziała, otrzymała w spadku po swej zmarłej matce, trzeciej i ukochanej żonie Villama.

Lord Druthmar wyglądał na człowieka z gatunku solidnych - otwartego, uczciwego, dobrodusznego i wcale nie przytłoczonego autorytarnością swej żony.

- Słyszeliśmy wieści, że Bulkezu pojmał księcia Ekkeharda.

- Czy Bulkezu żądał okupu? - zapytał Sanglant, odganiając ogara, usiłującego polizać odrobinę tłuszczu, która skapnęła na jego tunikę. - Czy sądzicie, że ma go zamiar zabić?

Lady Waltharia usadowiła się pomiędzy mężem a księciem Sanglantem. Anna ruszyła szybko, by

powstrzymać Blessing przed rzuceniem ogarowi kawałka mięsa.

- To tylko plotka, że Qumanowie pojмали Ekkeharda - powiedziała Waltharia. - Książę Bayan i księżniczka Sapientia spędzili zimę w Handelburgu. Słyszeliśmy, że książę Ekkehard był tam więziony, lecz uniknął sądu biskupiny i opuścił miasto. Podróżowanie zimą nie jest łatwe, a wtedy właśnie widziano go po raz ostatni. Sądzę, że książę nie żyje.

Sanglant sączył wino, zamyślony.

- To nieprawdopodobna historia. Znaćcie Bayana równie dobrze jak ja. W jaki sposób młodzik taki jak Ekkehard mógł wymknąć się spod kurateli Bayana, a także biskupiny Alberady? - Potrząsnął głową. - O jakie przestępstwo został oskarżony?

Blessing upuściła łyżeczkę. Anna przyklękła w samą porę, by zobaczyć, że krnąbrny ogar trąca łyżeczkę nosem i oblizuje z niej resztki rosółu. Zasyczała i pies odczołgał się. Sitowie, którym posypano podłogę, pryskało jej w twarz. Będąc do połowy pod stołem, z porzuconą kością wpijającą się jej w kolano, Anna usłyszała cichą odpowiedź lady Waltharii:

- Herezję.

Czy w hallu zapadła cisza, czy też może ciężki stół i przykrywający go haftowany obrus stłumiły dźwięki uczyty? Lord Druthmar zaczął się śmiać z żartu opowiedzianego mu przez wielmożę siedzącego po jego prawej stronie. Uwaga księcia przeniosła się w całości na lady Waltharię.

- Mówi się, że heretycy używają magii, by pozyskać zwolenników. Mówi się także, że to Bóg prowadził Ekkeharda. Osądź sam.

- Spory religijne pozostawiam duchownym.

Waltharia roześmiała się i poprosiła o więcej wina. Anna uznała, że bezpieczniej będzie wyjść spod stołu. Prześliznęła się pod ławą. Wstając, wytarła łyżeczkę o swą tunikę i podała ją Blessing.

Do lady Waltharii zbliżyli się petenci, prosząc ją o to, by teraz, gdy Qumanowie odeszli, mogli powrócić do swoich farm. Poeta zaintonował pieśń, którą ułożył specjalnie z okazji zwycięstwa. Główka Blessing opadła, dziewczynka przymknęła oczy i ziewnęła, po czym zaczęła się wdrapywać na kolana ojca.

- Położę ją spać. - Sanglant wstał z córką w ramionach. Zebrani żołnierze zaczęli wiwatować na jego cześć i książę uśmiechnął się po raz pierwszy od zakończenia bitwy. Podniósł rękę, prosząc o ciszę i tłum ucichł, czekając na jego słowa.

- Bawcie się dobrze dziś wieczór - zawołał. - Jutro zapolujemy na Qumanów.

Wśród wciąż rozbrzmiewających wiwatów żołnierzy Anna podążyła za księciem ciemnymi korytarzami, prowadzącymi do koszar. Pomieszczenia dla zbrojnych zostały zbudowane nad stajniami. Znajdowały się tam sienniki wypchane słomą i konopiami. Choć nieco wyboiste, były lepszym posłaniem niż deski podłogi. Anna czuła zapach koni i nawet widziała je przez szpary w podłodze. W koszarach panowała cisza; większość wciąż ucztowała. Leżeli tutaj tylko ci, którzy zostali ranni we wczorajszym starciu, tak by mogli powrócić do zdrowia albo spokojnie umrzeć.

Wraz z Blessing książę odwiedził każdego rannego. Żartował z nimi, sprawdzał okłady i wypytywał dokładnie, co widzieli czy czego dokonali podczas bitwy. Kilku zbrojnych odniosło zbyt ciężkie obrażenia, by móc mówić, tak więc wymienili z księciem tylko uścisk dłoni. Jeden z rannych miał szarą twarz, tak jakby życie z niego wyciekało. Anna знаła ich wszystkich po imieniu: Chustaffus, Fremen, Liutbald i nawet lekkomyślny Sibold, który miał brzydką ranę na klatce piersiowej, lecz żartował z zapałem, gdy tylko ujrzał księcia. Może uda mu się przeżyć...

Trzy ciała cudem wyniesiono z pola bitwy. Teraz leżały przykryte całunami. Było pośród nich ciało wiernego Wracwolfa, któremu podczas bitwy przypadł honor niesienia książęcego sztandaru. Przez długi czas Sanglant klęczał przed nim, podczas gdy Blessing oddychała miarowo. Potem księcia zmienił kapitan Fulk. Dopiero wtedy Sanglant poszedł ze śpiącą córką do komnaty, gdzie stało jej łóżko. Anna niosła lampę, oświetlając im drogę. Kiedy znaleźli się na miejscu, zawiesiła ją na wystającym ze ściany metalowym haczyku. Potem pomogła księciu umyć ręczki Blessing, lepiące się od miodu i tłuszczu, rozebrać ją do spodniej tuniki i wreszcie położyć do łóżka. Sanglant stanął przy zasypiającej córce. Przyglądał jej się tak uważnie jak rannym żołnierzom.

- Jesteś dobrą dziewczyną, Anno - oznajmił nagle. Za pomocą pogrzebacza przegarnął węgle w stojącym najbliżej koksowniku. - Jak sądzisz, czy powinienem pozostawić Blessing w Walburgu pod opieką Waltharii, a sam podążyć na wschód? Komu jednak naprawdę mogę ufać? Czy w ogóle jest ktoś taki?

- Mnie możesz ufać, książę.

Popatrzył na nią i szeroko się uśmiechnął. Był to czarujący uśmiech. Gdyby ją o to poprosił, Anna

byłaby gotowa wyskoczyć dla niego oknem; książe Sanglant miał taki rodzaj godności, iż Annie wydawało się czasem, że otaczała go niczym nimb. Jej serce kochało go tak, jak kochali go jego żołnierze.

- I ufam - powiedział.

Anna odczuła ogromną radość. W zamian za oddanie otrzymała zaufanie księcia.

Przez długi czas Sanglant stał nieruchomo. Potem zaczął przemierzać komnatę, zataczając koła i spirale, aż obserwującej go Annie zaczęło się kręcić w głowie. Zdjęła buty i położyła się na łóżku obok Blessing. Było ono tak miękkie, iż wydawało jej się, że zaraz się zapadnie. Zmęczenie i jej dawało się we znaki, a od czasu opuszczenia warsztatu mistrzyni Zuzanny nie spała w tak komfortowych warunkach. Jednak wciąż przyglądała się zmrużonymi oczami, co robi Sanglant. Książe przystanął przy drzwiach i stał tak, nasłuchując, trzymając rękę o cal od klamki.

Klamka skrzypnęła i poruszyła się, obracając. Książe odsunął się, tak że kiedy drzwi stanęły otworem, pozostał za nimi ukryty.

Do komnaty weszła lady Waltharia. Ironicznym spojrzeniem ogarnęła puste łóżko, sienniki, dziecko i stół, na którym znajdował się dzban cydru i trzy srebrne kubki. Drzwi za nią gwałtownie się zamknęły i Waltharia podskoczyła, przestraszona. Odwróciła się i ujrzała bezgłośnie śmiejącego się Sanglanta.

Również się roześmiała i odgarnęła włosy na plecy. W jakiś sposób pomiędzy salą biesiadną i tą komnatą rozplotły się, opadając teraz aż do pasa.

- Nie zmieniłeś się - powiedziała, przysiadając na brzegu łóżka i odsuwając jego zasłonki.

- Nie? - zapytał.

- Kiedyś powiedziałeś mi, że się nigdy nie ożenisz.

- Tylko dlatego, że zabronił mi tego ojciec. Byłem kapitanem królewskich Smoków. Nie miałem prawa decydować o swoim ożenku.

- Może się myłę - powiedziała, podchodząc do okna. - Jednak nie jesteś taki sam jak kiedyś. - Oparła się o parapet. Ze swego miejsca Anna nie widziała, na co spogląda Waltharia, jeśli rzeczywiście obserwowała coś więcej niż tylko niebo i gwiazdy. Na zewnątrz było może nawet cieplej niż w samej komnacie. Wewnątrz kamiennych budynków panowała wilgoć i chłód.

- Jaka ona jest? Mam na myśli twoją żonę.

- Jesteś o nią zazdrosna?

Odwróciła się.

- Kiedyś myślałam, że będę. Ale nawet gdybym mogła cię mieć, wyniknęłyby z tego same problemy. Mój ojciec miał w tym względzie rację. Potrzebuję bardziej spolegliwego męża. - Ponieważ Sanglant nadal milczał, Waltharia uśmiechnęła się z zadowoleniem i przysiadła na parapecie. Wiatr mierzwił jej włosy. - Druthmar jest dobrym człowiekiem. Naprawdę dobrym.

- Dzisiaj dzielnie się spisywał.

- O tak. Ale on to nie ty. Ty jesteś najlepszym ogierem w królewskiej stajni. Nie mogę się powstrzymać, by nie podziwiać tak wspaniałego ciała. Szczególnie, jeśli mam je w zasięgu ręki.

Sanglant zrobił wielkie oczy.

- Potrzebuję kąpieli - stwierdził po chwili.

- Możesz umyć się tutaj. Rozkażę przynieść wody.

- Nic się nie zmieniłaś.

- Prawdopodobnie nie. W dawnych czasach, nim jeszcze Kościół Zjednoczonego Boga uratował moich przodków od Otchłani, mówiło się, że niektóre kapłanki mego ludu parzyły się z ogierami, tak by przynieść plemieniu szczęście. Muszę pochodzić od jednej z nich.

Sanglant podszedł do łoża i rzucił się na nie z wdziękiem. Obserwował Waltharię. Ze swego miejsca Anna widziała go oblanego światłem lampy. Jej łagodny blask nadał jego zmierzwionym włosom jedwabistego połysku.

Waltharia nadal siedziała na parapecie.

- Poślubiłeś kobietę, która twierdzi, że jest praprawnuczką cesarza Taillefera i którą ekskomunikowano i wyjęto spod prawa za czarnoksiężstwo. Nie ma jej z tobą od czasu, gdy razem opuściliście Werlidę. Prawdę rzekłszy, nie pozostało po niej nic poza dzieckiem. To samo można rzec o twojej matce.

Usta Sanglanta skrzywiły się, lecz nie w uśmiechu.

- Wiesz bardzo dużo.

- Czyżby? Wydaje mi się, że osoba, która wierzy, iż wie bardzo dużo, tak naprawdę wie mało.

- Mądrze powiedziane.

- Mój ojciec był dobrym nauczycielem. - Podeszła do stołu i nalała sobie kubek cydru. Podniosła go do



ust, językiem smakując zawartość. - Co się stało z twoją żoną? Czy ją porzuciłeś?

Sanglant zeszytniał.

- To jakby ona mnie opuściła. Mam powód, by wierzyć, że wciąż żyje. Jednak czy ma zamiar powrócić do mnie i do dziecka... nie wiem. Ale masz rację. To samo można powiedzieć o mojej matce. W jaki sposób dowiedziałas się tak wiele, tutaj, na rubieżach?

- Otrzymałam wieści od ojca kilka tygodni temu. - Umilkła znacząco, stawiając kubek na stole. Anna o mało co się nie poruszyła, lecz w porę przypomniała sobie, że przecież udawała pogrążoną we śnie. - Sugeruje, że powinnam ci pomóc najlepiej, jak potrafię.

- Co przez to rozumiesz?

- A jak myślisz, o czym on może mówić? Dlaczego opuściłeś dwór ojca, lekceważąc jego autorytet?

- Ponieważ mnie nie słuchał. Nadciąga kataklizm i musimy być na niego gotowi.

- Ludzie, którzy zamieszkują moje włości, twierdzą, że najazd Qumanów jest wystarczająco wielkim kataklizmem.

- Bo tak jest, ale i tak ich napaść jest niczym w porównaniu z tym, co nastąpi.

Waltharia postawiła kubek na stole i zamilkła.

Anna przyglądała się jej twarzy widzianej z profilu: twarz dumna, jak przystało na córkę margrabiego, jednocześnie biała jak len. W okolicach szczęki, tuż pod okaleczonym uchem, miała nikle blizny, zaś na szyi znamię w kolorze wina. Lecz w jej twarzy nie było żadnego zła, żadnej ukrytej nienawiści czy zazdrości. Wiedziała, co posiada i nie obawiała się tym rządzić.

- Oczywiście, jestem skłonna pomóc ci w każdy możliwy sposób, Sanglancie.

- Jesteś? - Był albo bardzo pijany, albo zmęczony.

Jej uśmiech nie miał w sobie łagodności.

- Żyjemy w ciężkich czasach. Eikowie najechali nas z północy, zaś ze wschodu uderzają Qumanowie. Machteburg został całkowicie spalony, słyszałeś o tym? Przez ostatnie dwa lata mieliśmy bardzo słabe zbiory. Wiosną grad zniszczył tutejszy kościół. We włościach księżnej Rotrudis urodziła się dwugłowa owca. W Walburgu przyszło na świat dziecko z sześcioma palcami. Na północnym wybrzeżu znaleziono tysiące martwych ptaków. Połowa wędrujących po kraju mnichów głosi herezję zamiast prawdy i znajduje posłuch wśród ludzi. W ciężkich czasach kraj potrzebuje silnego przywódcę.

- Mój ojciec jest silnym przywódcą.

- Jest, lecz zbyt wiele myśli o Aoście i koronie Taillefera. W Wendarze i tutaj, na rubieżach, potrzebujemy kogoś o silnej woli. Sapientia jest słaba, Teophanu obojętna, zaś Ekkehard zbyt młody i wszystko wskazuje na to, że głupi, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Ale tutejsi lordowie nie zapomnieli, że król Henryk ma jeszcze jedno dziecko.

Sanglant nadął wargi.

- Jaką intrygę knuje Villam?

- Mój ojciec kocha Henryka. Żaden człowiek nie uwielbia króla bardziej. Lecz mój ojciec jeszcze bardziej kocha Wendar. - Waltharia wyciągnęła z rękawa złoty naszyjnik i podniosła go w górę. Na jego grawerowanej powierzchni zaświeciło światło. - Nie nosisz już złotego naszyjnika, księżę. A powinieneś.

Sanglant zasyczał gwałtownie, zaskoczony widokiem cennego klejnotu w rękach Waltharii.

- Proszę cię - jej głos przybrał słodki, rozmarzony ton - pozwól mi zobaczyć, jak ten naszyjnik ci pasuje.

Anna była dostatecznie dorosła, by wiedzieć, co może się zdarzyć pomiędzy kobietą i mężczyzną. To, że Sanglant był pobudzony, było oczywiste; był zarumieniony nie tylko od wina. Zachowanie kobiet, z natury subtelniejszych, też nie było trudne do zinterpretowania. Tylko głupiec albo dziecko nie domyśliłoby się, o co chodziło Waltharii.

Blessing mruknęła przez sen i obróciła się, trącając Annę. Dziewczyna zamknęła oczy i ze wszystkich sił starała się leżeć nieruchomo, choć łokieć Blessing wbijał jej się w zebra.

- Zimę spędziliśmy w Gencie. - Lekko ochrypli głos księcia zabrzmiał nostalgicznie, choć właściwie jego głos zawsze tak brzmiał. - Była tam pewna kobieta, służąca w pałacu. Frederun. Kiedy odjeżdżałem, płakała.

- Myśląc o prezentach, których już więcej od ciebie nie otrzyma.

- Nie. Było jej szczerze smutno, że odjeżdżam.

- Mnie także będzie, Sanglancie. - Powiedziała te słowa pieszczotliwie, lecz księżę nie podjął tego tonu.

- Nie to miałem na myśli. Nie zachowałem się właściwie, wykorzystując ją w ten sposób. Wyszło tak, jakbym oferował jej coś, czego desperacko pragnęła, a potem wyrwał jej to z rąk.

- Nie rozumiem - powiedziała niecierpliwie Waltharia. - Jestem kobietą, tak jak ona. Doskonale wiesz, jakim cieszysz się powodzeniem, a przynajmniej wiedziałeś kiedyś, kiedy to podobały ci się westchnienia

i propozycje ze strony płci przeciwnej. Nigdy nie cierpiełeś na brak zainteresowania z naszej strony. Ta dziewczyna i tak miała szczęście, że w ogóle zwróciłeś na nią uwagę.

- Czyżby? - bąknął, lecz Waltharia nie odpowiedziała. Sanglant westchnął. Jakby w odpowiedzi, Blessing chrapnęła i obróciła się przez sen, wykonując gwałtowny ruch ręką. Wyrastała na osobę, która nie umiała spać spokojnie.

Wciąż leżąc nieruchomo, Anna zaryzykowała otwarcie oczu.

Sanglant nadal siedział na łóżku. Wyglądał na skupionego, lecz zmęczonego, jak gdyby przewalił kilka rolek siana. Przegarnął włosy, jakby starał się czymś zająć ręce.

- Gdzie jest moja schola? - zapytał wreszcie.

- Otrzymali moje pozwolenie, by spać przy palenisku w hallu.

Sanglant wstał, podszedł do okna i wychylił się. Waltharia podeszła bliżej. Haftowana tunika Sanglanta uwidaczniała szerokość jego ramion i muskularną klatkę piersiową. Anna była dostatecznie dorosła, by zauważyć, iż książę był bardzo przystojnym mężczyzną. Czasami popatrywała na Matto, zauważając zmiany, jakie zachodzą w jego młodym ciele, lecz nigdy nie pomyślała w tych kategoriach o księciu. Był od niej starszy, dzieliła ich też pozycja społeczna. Nocny wiatr rozwiął jego włosy. Ciemne pasma opadły na szyję księcia.

- Powstać przeciwko mojemu ojcu byłoby zdradą - powiedział w nocne niebo.

- Walburg to potężna forteca, Wasza Wysokość. Nie wątpię, że mogę tutaj przetrwać wojnę i głód. Ale czy zdołają moi ludzie? Jeśli oni będą cierpieć, jakim zarządcą się okażę? Czy zostanie cokolwiek dla moich dzieci i dla ich dzieci? Nie podejmę takiego ryzyka.

- I ja nie mam zamiaru podejmować tak ryzykownego kroku.

- Nie czekaj zbyt długo, książę Sanglancie. - Jej głos stał się szorstki, nie tylko ze względu na uczucia. - Twoje dziecko jest skarbem, lecz dzieci łatwo jest stracić w czasach takich jak obecne. - Sanglant odwrócił się zdziwiony i przyjrzał się kobiecie. W jej oczach lśniły łzy. - Nasza córka miała dwa lata, gdy zmarła.

- Nigdy mi o tym nie powiedziano. Miała być umieszczona w klasztorze. To wszystko, co słyszałem. Mój ojciec dał mi do zrozumienia, że tak uczyni, by położyć kres całej sprawie.

- I to był w istocie koniec - rzekła gorzko. - Czyż kościół nie jest odpowiednim miejscem dla nieślubnych dzieci? Kiedy ogień zapłodni już kłacz, czyż nie wraca do swego pana?

- Co się stało?

Anna bała się odetchnąć, wiedząc, że książę wstał i że ma doskonały słuch.

Po chwili Waltharia mówiła dalej:

- Na grupę, która eskortowała dziecko do klasztoru w Warteshausen, napadli bandyci. Zapolowałam na nich i powiesiłam, po czym pozwoliłam, by ich ciała zgniły na miejskich murach. Ale to nie zwróciło dziecku życia. - Uśmiechnęła się dzielnie, wytarła twarz i opróżniła kolejny pucharek cydru. - Odbyłam czas żałoby. To w końcu zdarzyło się cztery lata temu, a nie wczoraj. Dwie zimy temu odszedł z powodu gorączki mój drugi syn, ja zaś modłę się do Boga każdego ranka i każdej nocy, bym nie straciła trzech kolejnych. - Złość spowodowała, że jej łzy obeschły. - Nie zaryzykuję utraty ziem Villamów, które mój ojciec powierzył w moje ręce po to, by Henryk mógł podążyć do Aosty, szukając iluzorycznej korony pomiędzy obcymi.

- Jeśli doradzasz rebelię, narażasz się na gniew Henryka. Możesz stracić wszystko, nawet życie.

Emocje Waltharii opadły. Uspokoila się. Była typem kobiety, która rzadko traci nad sobą panowanie, chyba że naprawdę tego chce i jest przygotowana na konsekwencje takiego czynu. Jeszcze raz wskazała na złoty naszyjnik. Zmysłowym ruchem dotknęła swego warkocza. Sanglant, drżąc, zamknął oczy. Jego ręce, spoczywające na parapecie, zacisnęły się.

Waltharia uśmiechnęła się, jak gdyby wyzwanie zostało rzucone i zaakceptowane.

- My, lordowie żyjący na rubieżach, musimy być przygotowani na wszystko.

Sanglant zadrżał i otworzył oczy.

- Czy to zaproszenie, czy propozycja?

- Co zechcesz. Czy założysz złoty naszyjnik, mój książę panie?

Eikowie wypłynęli z cieśniny Rikin, jeszcze zanim powiał dogodny wiatr. Ich flota liczyła sto dwadzieścia trzy statki i czterdzieści sześć knarrów. Wszystkie okręty załadowane były po brzegi. Za nimi płynęło osiem statków różnego kształtu i rozmaitej wielkości. Sterowali nimi w większości młodzi mężczyźni z kolonii kupieckich, którzy płacili Silnorękiemu daninę, chętni na zbijanie fortuny poprzez rabowanie bogatych miast Alby i pogańskich świątyń.

Początkowo wiatr im sprzyjał. Ledwie jednak ujrzeni krążące nad głowami morskie ptactwo, ledwie usłyszeli okrzyk z przedniego okrętu, że za burtą widać zielone wzgórza Alby, a już zerwał się sztorm, który zagnał statki floty Eików na północ i wschód.

Silnoręki rozkazał ludziom refować żagle i udało im się przetrwać sztorm bez szwanku, lecz dopiero po sześciu dniach merfolki zdołały odnaleźć zagubione statki i przywieść je ku wyspie Cackling na północno-wschodnim wybrzeżu Alby. Miejsce to leżało daleko od południowej części wyspy, gdzie znajdowały się najbogatsze miasta, a także pola i świątynie.

Silnoręki spotkał się ze swymi dowódcami na skale Cracknose. Ich czółna przycumowały na wąskiej mieliźnie, niedaleko ziarnistych, przypominających pumeks, skał. Skała Cracknose znajdowała się w centrum wyspy i sięgała aż po morze. Wspinając się na jej szczyt i potykając o skalne rozpadliny, w których chłupotała woda, Silnoręki ujrzał statki rzucające kotwice na wzburzonych wodach. Większa część okrętów była jednak odpychana od brzegów przez silny wiatr. Fale rozbijały się o mniejsze skały u stóp Cracknose. Ciemne chmury nadawały niebu kolor metalu. Widoczny na wschodnim horyzoncie cypel zniknął z widoku, gdy nadchodziły kolejne ataki sztormu.

Burza morska sprawiła, że kilku ze sprzymierzeńców Silnorękiego odczuło lęk.

- A co jeśli prawdą jest, że czarownicy z Alby wywołali sztorm? - zapytał wódz Isa. - Nasi kapłani nie mają mocy wywoływania deszczu i fal tak ogromnych, że uderzają o skały.

W centrum zgromadzenia wodzów plemion Eików Silnoręki ustawił zatknięty na drzewcach proporzec. Obszedł ten krąg, patrząc każdemu z nich w oczy. Żaden nie odwrócił wzroku, ale Silnoręki wiedział, że nie wszystkim może ufać.

- Nie mam się czego obawiać ze strony czarowników z Alby. To oni powinni obawiać się mnie, ale być może są na to za głupi.

Po krótkiej chwili, podczas której niektórzy z wodzów badali palcami swoje włócznie, tak jakby zastanawiali się, czy nie przebić nimi Silnorękiego, jego kuzyn Dziesiąty Syn wysunął sprzeciw. To była zagrywka. Wszystko zaplanowali.

- Głupotą jest nie obawiać się tych, którzy władają magią.

- Jestem przed nią zabezpieczony. - Silnoręki uniósł sztandar. Ozdabiały go pióra i powiązane ze sobą kości, uderzające lekko o koraliki i kawałki skóry. Sztandar zdobiły też łańcuszki, wplecione w warkocze PrędkichCórek - metalowe i złote, cynowe i srebrne, podzwaniały delikatnie. Świstawka z kości pojękiwała, kiedy dmuchał przez nią wiatr.

- Ty może jesteś chroniony, ale co z nami? - zapytał wódz plemienia Skuma, potężny wojownik o rękach wielkości szpadli i skórze białej niczym sproszkowany arsen.

- Temu, co trzymam w ręku, nie może zagrozić żadna skierowana przeciw nam magia.

- A co ze strzałami i włóczniami?

Silnoręki uśmiechnął się szeroko, ukazując klejnoty wprawione w zęby.

- Nawet ja nie mogę uchronić waszych żalonych cielsk przed działaniem zwykłego żelaza. Czy jest ktoś spośród was, kto potrzebuje tarczy w bitwie? Ktoś boi się walczyć?

Wodzowie ryknęli w odpowiedzi, podczas gdy wiatr powiewał ich sztandarami. Powstał piekielny zgiełk.

Po chwili wiatr nieco ustał, a krzyki ucichły, toteż Silnoręki przemówił znowu:

- Tych, którzy wiernie pójdą za mną, ochronię. Ci, których serca nie są lojalne, ochrony nie dostaną. - Wskazał na flotę, po czym policzył wodzów. - Kogo brakuje? Kto podwinął ogon, by uciec do domu?

Spośród statków, które wypłynęły w morze osiem tygodni temu, brakowało ośmiu okrętów i dwóch knarrów. Widziano, jak jeden z knarrów żeglował bez śladu załogi po otwartym morzu. Żaden z kapitanów nie odważył się wejść na pokład ze strachu, iż magowie drzew unicestwili załogę za pomocą czarów.

- Tam powiewa sztandar plemienia Ardaneka - powiedział wódz Hakoninów. - Nie widzę żadnego z ich statków.

Paru wodzów nerwowo zerknęło na odległy brzeg. Nad cypłem kładła się lekka mgiełka, a rosnącymi na nim pnączami targał wiatr. Rozległ się przenikliwy, ostrzegawczy gwizd. Tam, gdzie skała opadała ukośnie ku morzu, tłoczyli się ludzie. Nałożyli na siebie oponcze dla ochrony przed żywiołem. Teraz

wykrzykiwali coś głośno, pokazując w kierunku północno-wschodnim.

Nadpływał ogromny statek. Jego maszt był złamany. Na pokładzie leżały strzepy żagla. Na dziobie osiadły wodorosty. Na wraku ostało się osiem wioseł, lecz nie było widać nikogo z załogi. Kadłub był uszkodzony, zaś pokrywająca go czerwono-żółta farba w kilku miejscach popękana. Wszędzie zwisały liny, przypominające wijące się w morzu węże. Tylko dwie z nich na samym przodzie statku pozostały naprężone.

Statek holowany był przez merfolki.

Przy dziobie pojawiły się cztery z nich wraz z jakimś ciałem. Dwa z nich podpłynęły bliżej i wyrzuciły je na plażę. Zwłoki potoczyły się po kamienistym brzegu i utkwili u stóp skał.

Nawet z wysokości Cracknose wszyscy rozpoznali ciało. Jak wszyscy członkowie tego plemienia, wódz Ardaneka miał charakterystyczne znaki na piersiach. Woda morska i kraby sprawiły, że na klatce piersiowej wodza widać było tylko część wizerunku trzygłowego żółtego węża, zaś robaki dobrały się już do rozkładającej się twarzy, lecz mimo to nie było problemów z rozpoznaniem ciała.

Wódz Hakoninów zasyczał szyderczo.

- Wódz plemienia Ardaneka skłonił przed tobą kark podczas bitwy pod Kjalmarsfjord tylko dlatego, iż zobaczył, że nikt nie jest w stanie cię pokonać. Jego wiara w twą siłę nie była wystarczająco silna, by uchronić go przed magią czarowników drzew.

- Nie była - potwierdził Silnoręki.

Wszyscy, jeden po drugim zgodzili się, że wódz Ardaneka był fałszywy i podstępny, chciwy na złoto i srebro, a także niechętny, by stawać w pierwszej linii walki. Załogą też nie mógł się pochwalić, sam natomiast pojawiał się tylko tam, gdzie nietrudno było o łupy, a nie tam, gdzie napotymano na prawdziwy opór.

- Był słaby. - powiedział wreszcie Silnoręki, po czym dodał: - I nielojalny. - Spokojnie popatrzył na wodzów i kontynuował: - Ten sztorm był tylko pierwszą manifestacją czarów, którą wytoczyli przeciwko nam magowie drzew. Ale ja się ich nie obawiam. A wy?

Nikt się nie poruszył. Nikt nie odważył się okazać słabości czy wahania, nie teraz, kiedy zobaczyli magię czarowników na własne oczy.

Być może to właśnie czarownicy drzew byli odpowiedzialni za wywołanie tak wielkiego sztormu, jednak Silnoręki w to wątpił. Wiedział oczywiście, że czarownicy stanowią zagrożenie dla nieprzygotowanych na ich magię, lecz także widział, że czary nie sięgały daleko poza ich fizyczne ciała: zasłona z mgły, krótki sztorm w pobliżu szturmujących statków, zaćmienie umysłu tych, którzy ulegali sile i sprytowi magów. Burza, która rozproszyła jego flotę, objęła swym zasięgiem całe morze północy. Zaobserwował to sam podczas zmagania własnego statku ze sztormem, o tym samym donosili mu też lojalni kapitanowie.

Być może magowie drzew rzeczywiście wywołali burzę, widząc, że jego flota nadciąga ku brzegom Alby. Niezależnie jednak od tego, czy fale powstały drogą naturalną, czy były wywołane poprzez magię, Silnoręki wiedział, jak wykorzystać szansę.

To dlatego właśnie gdy nadchodził sztorm, rozkazał merfolkom zapolować na statki plemienia Ardaneka i zniszczyć je, a następnie dostarczyć ciało wodza.

Niechaj wszyscy chwiejni żyją w lęku, że oni także mogą ucierpieć, tknięci magią.

U stóp skały czerwono-żółty statek zaczął przechylać się na jedną stronę. Pokład zalala woda, zaś okręt zaczął znikać w morskich odmętach. Po pewnym czasie całkowicie zniknął pod powierzchnią wody, zaś na jej powierzchni unosiły się tylko jego szczątki.

I ciało. Ramię było zupełnie zgniłe, oderwane. Reszta też wyglądała paskudnie.

Rozległ się plusk. Węgorze wiły się, otwierając paszcze umieszczone na pozbawionych oczu łbach - to jeden z merfolków wysunął na powierzchnię swoją przerażającą głowę i połknął rozkładające się ramię. Kończyny i korpus zniknęły w odmętach szaroniebieskiego morza.

Z nisko zalegającej mgły wyłonił się cypel. Słońce oświetliło kredowe skały. Chmury zaczęły odpływać na północ. Krzyczały mewy.

Silnoręki po raz kolejny uniósł swój sztandar. Drzewce odezwały się na podobieństwo roju pszczoł, lecz to był głos magii, zawsze czujnej, zawsze gotowej. Zawsze przebudzonej.

Magia, która go chroniła, nigdy nie zasypiała i nigdy nie śniła.

- Lato przemija - powiedział łagodnie. Fale rozbijały się o skały. Wył wicher. - Alba czeka. I nikt nie może nic uczynić, by nas powstrzymać.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko: triumfalny wjazd Henryka i Adelheid do Darre, bóle porodowe Adelheid i szczęśliwe przyjście na świat zdrowej córeczki w obecności tuzina świadków, co miało miejsce szesnastego dnia Cintre, a dwudziestego po ich przybyciu do Darre. Królowa była zbyt wyczerpana, by podróżować; trudy przeprawy przez góry podczas ostatnich miesięcy ciąży sprawiły, że musiała teraz leżeć. Król zaś nie mógł czekać, a Adelheid również nie była skłonna doradzać mu, by beczynnie tkwił w pałacu, czekając, aż ona dojdzie do siebie.

W ten sposób już miesiąc później Rosvita znalazła się raz jeszcze na czele triumfalnego pochodu, wjeżdżającego do Darre. Król Henryk odbył krótki przemarsz po północnych księstwach i hrabstwach Aosty, zwracając rodzicom dzieci zabrane przez Żelaznogłowego w charakterze jeńców i pozwalając, by lordowie i damy żywili i dawali schronienie jego imponującej armii. Otwierały się przed nimi każde drzwi. Było jasne, że każdy hrabia, lord i książę był szczęśliwy, iż z pomocą króla Henryka Adelheid powróciła na tron. Jednakże lordowie zamieszkujący północ Aosty nie chcieli walczyć.

- Jeśli nie prą do wojny, możemy liczyć na pokój, gdy tylko Henryk utwierdzi swą władzę na południu - powiedział Villam, kiedy podchodzili do masywnych wrót Darre.

Wspaniałość Darre wciąż zachwycała Rosvitę. Miasto zostało zbudowane na pięciu wzgórzach. Na szczycie wzgórza Amurrine wybudowano dwa pałace - reprezentujące władzę świecką i duchowną. Od czasów imperium miejskie mury przetrwały w miarę dobrym stanie. Reperowano je i przebudowywano w przeciągu czterystu lat, jakie minęły od czasu, gdy ostatnia cesarzowa zginęła, broniąc swego tronu przed najazdem hordy Brw. Armia Brw pozostawiła miasto nietknięte, zrównując z ziemią jedynie świątynie, okazawszy w ten sposób nienawiść do żadnych krwi bogów cesarzowej. Zrobione ze skalnych bloków, wydobywanych w kamieniołomach na wschodzie, mury miasta wznosiły się na wysokość dziesięciu ludzi. Mówiło się, że można przejść po nich pięć mil i jeszcze nie dotrzeć do ich końca.

Villam także podziwiał mury, lecz o tym nie mówił.

- Dobre zbiory, łagodna zima, bandyci jinnijscy zostali odegnani ku morzu - wszystko to powinno nastroić pokojowo wielmożów Aosty.

- Musimy mieć nadzieję - odrzekła Rosvita - jeśli bowiem doniesienia są prawdziwe, południowe hrabstwa łatwo się nie poddadzą. Czy to królowa wyjechała nam na spotkanie?

Henryk ożywił się, zobaczywszy tłum zgromadzony przy bramie, lecz szybko doznał rozczarowania.

- Są wszyscy klerycy. - Villam starał się nie okazywać zaskoczenia.

Hathui wyjechała na spotkanie witającej ich grupy. Prezbiterzy w czerwonych płaszczach i klerycy w białych szatach zaintonowali hymn. Ze złotych trybularzy uniosła się chmura kadzidła. Wyczuwalny nawet z daleka silny zapach przyprawił Rosvitę o zawroty głowy, a może były one wynikiem strasznego gorąca i przypiekającego słońca. Przyzwyczała się do noszenia kapelusza o szerokim rondzie, takiego, jaki nosili tutejsi klerycy, lecz było tak gorąco, że nie przynosiło to pożądanego efektu. Fortunatus powtórzył kilkanaście razy, że jest tak upalnie, iż nawet muchy dały im spokój.

Hathui powróciła, eskortując mężczyznę odzianego w bogaty ornat i szkarłatny płaszcz obszyty przy kołnierzu klejnotami. Słońce nie było jaśniejsze niż jego włosy. Ukłękł przed królem.

- Wasza Królewska Mość, Jej Wysokość królowa Adelheid posłała mnie, bym powitał cię w mieście i przyprowadził do niej. Oczekuje cię w pawilonie z kości słoniowej.

- Oczekiwałem, że powita mnie sama przy bramie naszego miasta - powiedział Henryk niebezpiecznie niskim głosem. - Nie przemierzałem Aosty w jej imieniu po to, by być zaprowadzonym przed jej oblicze jak zwykły książę, który ma jej złożyć uszanowanie.

Hugo nie nosił kapelusza. Na jego czole perlił się pot, poza tym jednak wyglądał świeżo. Zniżył głos, mówiąc tak, by być słyszany tylko przez króla i jego najbliższych towarzyszy.

- Królowa jest po porodzie w dobrym stanie, królu panie, lecz jej lekarze wciąż zalecają, by nie wychodziła na zewnątrz w taki upał. W dziesięć dni po narodzinach dziecka zemdląca kilka razy i medycy obawiają się, że upał mógłby spowodować kolejne.

Twarz Henryka zmieniła kolor, zaś jego usta, zacięte w linijkę, zdradziły teraz troskę.

- Zaprowadź mnie do niej natychmiast.

Wjechali do miasta przy akompaniamencie wiwatów. Ludność rzuciła kwiaty. W przeciągu miesiąca nieobecności Henryka Adelheid pozyskała ich miłość. Błogosławili cudzoziemskiego króla Wendaru za uwolnienie ich od tyranii Żelaznogłowego.

Villam nachylił się ku Rosvicie, mówiąc cicho:

- Czy zwróciłaś uwagę, jak wykrzykują „ojciec Hugo”? Popatrz na ich twarze. Kwiaty są dla tego prezbitera, nie dla króla.

Jednakże Hugo podążał skromnie obok władcy, prowadząc jego konia, jak gdyby był jego sługą. Co dziwne, nie miał butów, niczym pokorny brat zakonny - pomijając oczywiście strojność jego szat.

- Tak sądzisz? - zaszepiała Rosvita. Jak można było cokolwiek wywnioskować, kiedy na ulicę padały wieńce, zrobione z lilii i róż, maków i narcyzów, tworząc słodki dywan dla triumfującego króla. Villam przymknął oczy, patrząc na to sceptycznie. Kiedy stał się taki podejrzliwy?

Północna droga prowadziła prosto do serca miasta, tam, gdzie mieściły się dwa bliźniacze pałace. Niższe, południowe zbocze wzgórza Amurrine było prawie w całości przesłonięte przez mury, zaś północno-zachodnie skaliste zbocze opadało aż ku rzece. Droga prowadziła w górę, pośród serii kamiennych łuków. Zsiedli z koni na podwórcu, oddając zwierzęta w ręce stojących.

W przeciągu miesiąca ich nieobecności zniknęły wszystkie ślady po Żelaznogłowym. Jego nałożnice i wszystkie jego rzeczy zostały wyrzucone z pałacu. Aretuzańskie dywany, zdobiące korytarze. Mosiężne kołki wpuszczone w ścianę, na których zawieszano lampy w kształcie zwierząt: kogutów i orłów, gryfów i smoków, feniksów i stada złotych jaskółek. Zlikwidowano wszystkie zasłony, do każdej komnaty wpuszczając światło. Służący wytrzepali gobeliny. Trzy dziewczęta wypolerowały mosiężne okucia drzwi.

Pawilon z kości słoniowej nie był największym hallem w pałacu, lecz jego intymność i piękne urządzenie dodawały mu świetności, której nie miały większe pomieszczenia. Przez wąskie okna wsączała się letnia bryza, wietrząc komnatę, a grube kamienne ściany i cień rzucany przez cyprysowe drzewa, rosnące w ogrodzie usytuowanym po drugiej stronie pałacu, sprawiały, że w pawilonie z kości słoniowej można było znaleźć wytchnienie od gorąca. Król Henryk i jego świta weszli na ganek, na którym znajdowały się drzwi tak sprytnie ozdobione przeplatającymi się kółkami, że można było przez nie widzieć oczekujących na przyjęcie dworzan.

Komnata wewnątrz pawilonu była na tyle ciemna, że potrzebowano oświetlenia. Zapewniało go sześć pięknych lamp w kształcie leopardów, z których paszcz wydobywały się płomienie. Ściany wykonano w całości z kości słoniowej, przy czym każda płyta przedstawiała inną scenę: bitwy, męczeństwo świętych, podróż Heleny i założenie przez nią starożytnego miasta Dariya, historie przedstawiające królów i królowe Aosty oraz procesy prowadzone przez Świątobliwe Matki Kościoła tuż obok pogańskich opowieści o bogach i magii.

Królowa Adelheid spoczywała na sofie wykonanej w stylu dariyańskim, jedząc winogrona, popijając wino i rozmawiając z kobietą o włosach białych niczym światło księżyca. Rosvita pomyślałaby, że jest to jakaś skromna osoba duchowna, gdyby nie fakt, iż kobieta odziana była w bogate szaty, zdobione w orły i koła wyszyte czerwono-złotą nicią na jedwabiu. Siedząca nieopodal niańka kołysała pulchne niemowlę.

Dwie kobiety, jedna młoda i piękna, druga w wieku niemożliwym do określenia, podniosły głowy w tym samym momencie i spojrzały w stronę wchodzącego Henryka i jego towarzyszy. Rosvita natychmiast zobaczyła tę rzecz. Nawet Hathui złapała gwałtownie oddech.

Adelheid nie nosiła złotego naszyjnika, który byłby oznaką jej królewskiego pochodzenia. Był to zwyczaj wendarski i salijski, który nigdy nie przeniósł się na południe od gór Alfar. Aosta zresztą nie mogła się pochwalić prawdziwą królewską linią. Prawdę rzekłszy, każda szlachecka rodzina mogła ubiegać się o tron, jeśli tylko miała wystarczające siły.

Jednakże złoty, pięknie wykonany naszyjnik lśnił na szyi towarzyszki Adelheid. Złote końce naszyjnika miały kształt twarzy anioła. Kiedy Henryk zbliżył się, kobieta nie wstała.

Zrobiła to Adelheid.

- Henryku! Proszę, wybac mi, że nie powitałam cię przy bramie. Moi lekarze...

Mąż ucałował ją w oba policzki, po czym poprosił, by usiadła.

- Odpoczywaj, moje serce - powiedział czule. Adelheid usiadła wygodnie, Henryk zaś skinął na niańkę.

- A oto moja słodka Matylda. Jakże ona się miewa?

Śpiąca Matylda wyglądała zdrowo. Miała zarumienioną niczym jabłuszko buzię, pulchne rączki i nóżki, a na główce puszek ciemnych jak u matki włosów.

- Miewa się świetnie - odrzekła z dumą Adelheid. - Dobrze je i szybko rośnie.

- Lecz nie tak szybko jak twoja wnuczka - powiedziała siedząca obok Adelheid kleryczka.

Henryk oddał dziecko w ręce niańki i przyjrzał się kobiecie, która nie okazała mu żadnego szacunku. Król i kleryczka wpatrywali się w siebie nawzajem. Ciężka zima i wiosna, spędzone w Waylandzie, trudna przeprawa przez góry i miesiąc w ciągłym ruchu, najpierw na wyprawie, a potem na odwiedzaniu szlacheckich rodzin Aosty - wszystko to zostało zrekomensowane Henrykowi przez nową połowicę,

kolejne dziecko i kolejny tron. Miał może więcej siwych włosów na głowie, lecz to w pewien sposób dodawało mu szlachetności. Mężczyźni w jego wieku mogli pomarzyć o takiej sile życiowej. Adelheid nie mogła uskarżać się na wigor Henryka w łożu. Teraz zaś wpatrywała się w niego z podziwem, dostrzegając, jak pięknie prezentuje się w nowej tunice, z włosami wciąż zmierzwionymi od konnej jazdy.

Lecz kleryczka była także osobą pełną sił. Była wyniosła na sposób zdradzający wysokie pochodzenie i oczekiwanie, że inni będą okazywali jej posłuszeństwo. Była również opanowana. Siedziała z rękami spoczywającymi na kolanach, wpatrując się w króla wzrokiem pełnym namysłu, w którym próżno by szukać jakichkolwiek emocji. Jeśli odczuwała strach, złość czy radość, nie można tego było wyczytać w jej oczach.

- Kim jesteś, że ośmielasz się siedzieć w mojej obecności? - zapytał Henryk.

- Proszę cię, Henryku... - zaczęła Adelheid, chwytając go za rękę.

W tej samej chwili do przodu wysunął się Hugo.

- Wasza Wysokość, jeśli mogę odejść...

- Nie, Hugonie - sprzeciwiła się Adelheid, zwracając się do niego w bardzo bezpośredni sposób. - Jeśli ma się to stać, niech się stanie szybko. - Zwróciła się do Henryka. - Mamy wieści z południa. Kuzyn Żelaznogłowego zbiera armię, by go pomścić. Najeźdźcy z Jinny dotarli do brzegów Navlii i Tratanto. Władca Aretuzy twierdzi, że ma prawa do całej prowincji Aelia, zaś księżę Sirriki błaga nas o pomoc w walce z piratami, którzy atakują jego porty. Sześciu lordów północy nie posłuchało mego rozkazu i nie chce przybyć na dwór, by uznać moje panowanie. Przedwczesne deszcze niszczą uprawę winogron w Idrii, a zapasy zboża tutaj, w Darre, uległy zepsuciu. Dwóch diakonów w Fiorze zginęło od uderzenia pioruna. Pojawiły się plotki, że na północnym wschodzie szerzy się herezja. W międzyczasie, trzy miesiące temu, zmarła matka Klemencja, natomiast tron skoposy pozostaje pusty.

- Z pewnością zbiorą się prezbiterzy i będą radzić, tak jak to jest w zwyczaju. - rzekła Rosvita.

- Rada prezbiterów może nie dojść do porozumienia miesiącami - powiedział Hugo, po czym skłonił głowę, oczekując na rozwój wypadków.

Adelheid popatrzyła na Hugona, jakby spodziewając się, że powie coś jeszcze, lecz on spuścił pokornie oczy, wpatrując się w podłogę, zrobioną z drewna w dwóch odcieniach - jasnym i hebanowym, na której widniał wzór powtarzających się kwadratów. Wszystko to przypominało nieco walkę dobra i zła, która toczy się w ludzkiej duszy.

- Prezbiterzy snują własne intrygi, które nie mają nic wspólnego z dobrem Aosty - mówiła zapalczywie Adelheid, znowu ujmując dłoń Henryka. - Wielu z nich nie ma zamiaru działać na rzecz odbudowy imperium. Jednakże ci sami duchowni nie przeciwstawiają się silnej ręce, która wprowadzi cesarza do pałacu.

- Co masz na myśli? - zapytał Henryk.

Instykt podpowiadał Rosvicie, co się dzieje. W jej uszach zadźwięczało oświadczenie Sanglanta. Nie było problemem dodać dwa do dwóch.

- Ty jesteś siostrą Anną z konwentu świętej Valerii.

- Matka Liath! - wymruczała Hathui, stając tuż za królem. - Żadnego podobieństwa!

Henryk natychmiast zorientował się w sytuacji.

- Czy jesteś kobietą, twierdzącą, że jest wnuczką cesarza Taillefera?

Anna nie wstała. Podniosła tylko jedną rękę, niczym prosząca o ciszę królowa.

- Po co mam to twierdzić, skoro jest to prawdą? Po cóż innego miałabym nosić złoty królewski naszyjnik?

Ten argument sprawił, że Henryk zamilkł, lecz Villam nie mógł się powstrzymać:

- Każda kobieta i każdy mężczyzna mógłby włożyć naszyjnik i powiedzieć, co zechce. W marchiach zdarza się, że po wioskach wędrują oszuści, twierdzący, że są klerykami albo lordami, albo pogańskimi czarownikami, którzy sprawiają, że ptaki zaczynają mówić, a w rzekach pojawia się złoto. Jaki masz dowód na potwierdzenie swoich słów?

Anna nie była ani zaskoczona, ani rozzłoszczona. Jej spokój był głęboki niczym ocean.

- A jakiego dowodu żądasz? Czy sprawa nie jest oczywista?

Nieoczekiwanie ta kobieta w nieokreślonym wieku zagwizdała.

Za drewnianego, rzeźbionego parawanu wyłonił się wielki, czarny ogar. Służący odsunęli się, spłoszeni, lecz pies zachowywał się pokornie i posłuszenie położył się przy nogach Anny.

- Wygląda jak jeden z ogarów Lavastine'a - rzekł Henryk, przyglądając się psu z zainteresowaniem charakterystycznym dla człowieka, który ma własną wielką psiarnię i zna swe psy po imieniu. - Sądziłem,

że wszystkie już nie żyją.

- Nie wiem, skąd pochodzi to zwierzę - powiedziała Anna. - Wiem tylko tyle, że pewnego dnia pojawiło się, gotowe mi służyć. Sądzę, że ten ogar pochodzi od czarnych ogarów, oddanych Tailleferowi. Mówi się o nich w poematach, a ich podobizny uwieczniono także na gobelinach.

- Jedną z nich wyryto w kamieniu umieszczonym w kaplicy Taillefera w Autun, tak by pokazać, że pies był wierny zarówno za życia, jak i po śmierci - oznajmiła Rosvita, a choć prawdą było, że istniało jakieś podobieństwo pomiędzy rzeźbą a psem Anny, upłynęło zbyt wiele czasu od rządów Taillefera, by stwierdzić, czy to przerażające stworzenie było faktycznie potomkiem słynnych psów Taillefera.

- Nie, Wasza Wysokość. - Villam kucnął, by przyjrzeć się zwierzęciu lepiej, choć nie odważył się podejść zbyt blisko. - To rzeczywiście jeden z psów Lavastine'a. Poznaję to po wyglądzie. Uszy. Rozmiar. Szerokość klatki piersiowej. Mógłby połknąć beczkę. Podziwiałem te psy i nie mógłbym ich zapomnieć.

- Czego chcesz? - zapytał Henryk.

- Służyć Bogu - odrzekła Anna. - To wszystko.

- Jeśli królowa i król wyrażą zgodę, nie będzie przeszkód, by uznać siostrę Annę za skoposę - powiedziała Adelheid.

Anna pozostała poważna.

- Jeśli zostanę skoposą, nie będę z tobą rywalizowała o królewski tron, który mi się z prawa należy.

Na ustach Henryka pojawił się ostry uśmiech. Wysunął rękę z uścisku Adelheid i skinął na służbę. Dwóch służących natychmiast pospieszyło, by wnieść królewski tron z poręczami w kształcie smoków, oparciem w formie skrzydeł orła i nogami w kształcie lwich łap. Henryk zasiadł na tronie, opierając podbródek na rękę i łokieć na kolanie. Przyglądał się Annie bardziej z ciekawością niż niechęcią.

- Za pomocą jakiej to armii miałabyś rywalizować o królewski tron?

- Boża łaska i prawo do tronu związane z moim pochodzeniem byłyby wystarczające. Ty także, jak sądzę, twierdziłbyś, że masz prawo do korony.

Henryk popatrzył na Hathui. Ta z kamienną twarzą dotykała palcami swej broszy Orła. Co myślała? Czy o tym, co ma zamiar uczynić Henryk?

Jak przystało na dobrego dowódcę, król zaatakował flanki.

- Czy to prawda, że dziewczyna zwana Liathano jest twoją córką? Czy wiesz, co się z nią stało?

- Nie więcej niż o tym, co się stało z twoim bastarden Sanglantem.

- Który ci nie dowierza i wyraża się potępiająco o twojej mocy i zamiarach. Jesteś czarownikiem, jak sądzę, i matematykiem. Mówi się, że niedługo czeka nas kataklizm. Powrót Przeklętych. Wojna albo inna katastrofa.

- Proszę cię, królu Henryku, nie kpij z tego, czego nie rozumiesz. - Kiedy rozmawiali, zrobiło się ciemno, a w komnacie zapanował mrok. Wiatr zakołysał rosnącymi na zewnątrz cyprysami. Sztandar Adelheid, wiszący na ścianie za sofą, zafalował, jak gdyby bawiła się nim ręka niewidzialnego demona. Nikt nie zapalił lamp; nawet bowiem służba patrzyła w pełnej ciszy na króla rozmawiającego z Anną.

Również służący rozumieli, że dzieje się coś ogromnie ważnego. Oni zawsze wyczuwają upojną woń walki o władzę o wiele wcześniej niż inni.

- Dobrze - odezwał się łagodnie Henryk. - To prawda, że rozumiem praktyczne sprawy lepiej niż czarownicy. Wiem, że kobieta nie może władać Salią. Lecz jeśli rzeczywiście jesteś prawnuczką Taillefera, równie dobrze możesz zdobyć zwolenników i wciągnąć Aostę w walkę o koronę. Tej walki żadne z nas nie chce. Twoje aspiracje wydają się mieć jakiś sens, siostró Anno, lecz w jaki sposób miałabyś być mi użyteczna, jeśli poparłbym twój wybór na skoposę, czuwającą nad Kościołem?

Uniosła złożone ręce. Nad jej dłońmi pojawiła się kula srebrzystego światła. Villam zaczął mrużyć modlitwę. Adelheid westchnęła gwałtownie, jak kobieta zaznajająca rozkoszy. Henryk milczał. Tylko się przyglądał.

Anna podniosła ramiona i, niczym kobieta rzucająca płatki róż na wiatr, wyrzuciła ręce w górę. Srebrzysta kula eksplodowała na iskierki błyszczącego białego światła, które zamieniły się w świetliste motyle. Skrzydlate światło padło na sceny wyrzeźbione w reliefie z kości słoniowej; złożenie do grobu świętej Aselli, sprawiedliwa Helena na murach Ilios, zwołująca oddziały do walki, torturowanie świętego Jana z Hamby. Każda ze scen została przedstawiona ze wszystkimi detalami.

Anna wstała. Każdy biały motyl nabrał koloru szlachetnych kamieni - rubinu, szafiru, szmaragdu, karneolu, akwamaryny, ametystu, różowego kwarcu, chalcedonu, opalu. Motyle wirowały po komnacie, przygotowując Rosvitę o ból głowy i radość jednocześnie. Henryk wstał powoli, patrząc, jak owady gromadzą się wokół jego głowy, formując na jego czole koronę z lśniących gwiazd.



Przez chwilę unosił się nad nim blask i splendor.

Iskierki zniknęły. Pozostał tylko błysk magicznego światła i blada, średniego wzrostu kobieta o potężnej mocy. Szepcząc, na wpół przestraszeni, a na wpół zachwyceni służący pospieszyli zapalać światła. Magiczny blask zaczął się układać w delikatne niteczki, następnie zaczął rzednąć i wreszcie zupełnie zniknął.

- Iluzja - wymruczał Villam.

W spojrzeniu Hugona z Austry był blask równy światłu iskier. Wyraz jego twarzy zdradzał żądzę.

Królowa Adelheid wyglądała nie inaczej. Kręciło się jej w głowie i chciała więcej takich widoków.

Nawet Henryk. Boże chroń ich, nawet on.

- Czego chcesz? - zapytał znowu. Jego chrapliwy głos przypominał głos wygłodniałego człowieka, który zobaczył zastawiony stół.

Ręka Villama musnęła palce Rosvity. Był to sygnał, którego nie mogła odczytać. Nie mogła też nic powiedzieć, o nic zapytać, nie w głębokiej ciszy, jaka zapadła w komnacie.

Czy możemy jej ufać?

Rosvita nie wątpiła już w prawo Anny do noszenia złotego naszyjnika. Wnuczka Taillefera i Radegundis, córka Fidelisa i dziewczyny - podrzutka o imieniu Lavrentia; matematyk o potężnej mocy. Nikt nie mógł zlekceważyć tej kobiety.

Anna schyliła się, by podnieść z podłogi kawałek szkła, błękitnego niczym lapis lazuli. Pokazała go na dłoni, dmuchnęła weń leciutko i świetlisty błękitny motyl otworzył swe skrzydła i odleciał, szybko znikając w ciemnościach. Kiedy zwróciła się do króla, nie uśmiechała się. Kobieta o jej mocy nie musiała się uśmiechać ani krzywić.

- Nie lekceważ mnie, Henryku, królu Wendaru i Varre - powiedziała, zupełnie nie zwracając uwagi na poruszenie panujące wokół. - Bez mojej pomocy nie będziesz miał cesarstwa, którym mógłbyś rządzić.

## 7

Każdy człowiek tknięty dotykiem ziemskiej śmiertelności zna cienie i czarne zakamarki, w których kryje się to, co najmniej oczekiwane: nienawiść, miłość, obawa, namiętność, zazdrość i złość, kłamstwo i prawda. Żaden człowiek narodzony na ziemi nie jest od nich wolny. Nieważne, jak mocno płonie oczyszczający ogień, ona nigdy nie będzie samym ogniem.

Zawsze będzie uwięziona w swoim ciele.

Dotknęła ziemi w biegu, na pół klęcząc, z gotowym łukiem. Tutaj, w sferze Jedu, padał lekki śnieg. Przemknęła ponad równiną, pełną wykopów, popękanych głazów, stosów kamieni, nieregularnych fałd. Każda wyniosłość i grudka pokryte były białym puchem. Jej palce stóp zeszywniały z zimna; każdy krok był agonią i przypominał chodzenie po szpilkach. Nie było to dobre miejsce dla kogoś, kto nie miał ubrania.

Było to również złe miejsce do bycia uwięzionym w ciele. Oglądając się do tyłu, nie zobaczyła ani bramy, ani punktu granicznego, tylko ślady swych stóp, które dymiły, gdy rozgrzewał je krótkotrwały powiew wzbudzony przez jej przejście. Mogła tylko iść do przodu. To był wszak zawsze jej cel, nieprawdaż? Nigdy nie zamierzała się cofać.

Strząsnęła śnieg z włosów. Czują, jak osiada na jej rzęsach i na końcu nosa. Płatki topniały na jej sutkach i tworzyły płaszcz na ramionach, przetarty w tych miejscach, w których znajdował się skórzany rzemyk jej kołczanu. Paliły ją uszy. Pomimo zeszywniałych palców miała łuk i strzałę w pogotowiu. W jaskini złowrogiego Jedu wszystko było możliwe. Musiała spodziewać się najgorszego.

W oddali przewalił się piorun. Błysnęło. Na horyzoncie pojawiły się brylantowe iskry. Zatrzymała się. Nie widać było chmur zwiastujących burzę, lecz jedynie bezdennie szare niebo.

Nie było mowy o burzy. Najpierw postać ta wydawała się maleńka. Nim jednak Liath zdążyła dwa razy odetchnąć, zrobiła się dwukrotnie większa, a w powietrzu rozległ się dźwięk jej kroków. Liath straciła oddech. Jej pole widzenia całkowicie przesłonił gigant.

Anioł Wojny.

W miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, Liath ujrzała świecące lustro. Usta były ogromne i gorejące, czerwone jak maki. Ciemne włosy były niczym splecione krzewy. Wyrastały z nich dwa przerażające rogi, każdy zakończony krwawą skazą. Zbroję anioła tworzyły maski, setki i tysiące masek,

przykrywających ogromne ciało. Na każdym ramieniu widniała maska o lustrzanych oczach. Kolana również przykrywały maski, połyskujące przy każdym ruchu; umieszczone były nawet na plecach i brzuchu anioła, każda zastygła w chytrym wyrazie lub grymasie. Lustra zawieszane na całym ciele sprawiały, iż anioł zdawał się patrzeć we wszystkich kierunkach.

Anioł miał włócznię i miecz, lecz nie tarczę. Maski - lustrzane oczy - były jego tarczą.

Tam, gdzie stąpnął, ziemia ożywała. Śnieg drżał. Liath widziała, jak skały i głazy przekształcały się w żywe stworzenia. Szedł nie po równinie, a po polu bitewnym, rozciągającym się niewyobrażalnie daleko, pełnym ciał i martwych szczątków zwierząt i roślin.

Ciała poległych nie wyglądały jednak na nieżywe. Podnosiły się ze śniegu z bronią w rękach.

Najłatwiej było uciec.

Liath zdołała wykonać dwa kroki, gdy zorientowała się, że ucieczka nie jest wyjściem. Umarli byli wszędzie. Było ich zbyt wielu, by móc ich zliczyć.

Uderzył piorun. Jedu zaśnił, wypełniając całe niebo. Na twarzy anioła pojawił się wyraz wściekłości, który sprawia, że piękna twarz przekształca się w odrażającą. Tysiące ogromnych lustrzanych oczu wpatrzyło się w Liath, choć ich spojrzenie jej nie dostrzegało. W lśniących oczach Liath dostrzegła nie siebie, lecz śmierć na polu walki, żądzę mordy, śmiertelną ranę, ostatni oddech i bąbelki krwi.

Na polu pełnym zgniłych kości i połamanej broni pojawiły się mgliste figury, które jednak zaczęły nabierać formy niczym tężejący wosk. Po lewej stronie Liath pozycje zajmowała setka żołnierzy. Każdy z nich miał pikę dwa razy dłuższą niż te, które Liath kiedykolwiek widziała. Rozpoznawała wojowników w napierśnikach i pierzastych hełmach z gobelinów i fresków, którzy nosili sztandary imperium Dariyan. Inne grupy walczących gromadziły się tymczasem na równinie. Niektóre z kohort Liath rozpoznawała - Aoi, Qumanowie i Eikowie. Innych знаła tylko z opowieści albo ze snów - centaury, mężczyźni dosiadający wielbłądów albo koni, łowcy wiodący swe mastiffy, guivre'y i podrywające się do lotu gryfy. Rozległy się przeróżne dźwięki, rozkazy w tysiącach języków, ryki bestii, hałas maszerującej armii.

W sferze Jedu wojna nigdy się nie kończyła.

Armia powoli się przybliżała. Falanga po jej lewej stronie zaczęła się posuwać krok za krokiem, rząd ich sariss nakierował się na nią... Nie, wcale nie na nią, a na słonie stojące po prawej stronie. Czysty dźwięk trąbki obwieścił natarcie. Kiedy słonie ruszyły w kierunku falangi i Liath, ziemia zadrżała pod ich ciężarem.

Strzały, grot i oszczepy uniosły się pod niebo. Rozgorzały walki. Kamień z procy uderzył Liath w udo. Upadła na kolana. Krew pociekła jej z nogi. Zwierzęta ruszyły naprzód, zaś tworzący falangę zbrojni zwarli się przeciwko tej szarzy.

Jedna z ogromnych, szarych bestii wysforowała się naprzód, zmierzając dokładnie w kierunku Liath, tratując wszystko, co stało na jej drodze. Liath zaczęła się cofać, a kiedy zwierzę było już w jej zasięgu, wypuściła strzałę. Grot prześliznął się między dwiema płytami, chroniącymi jego gardło i zniknęła, utkwivszy w głębinach cielska. Zwierzę zawył z bólu; echo jego ryku niesło się wzdłuż rzędów słoni, które odpowiedziały na ten śmiertelny krzyk. Bestia zrobiła jeszcze kilka kroków i upadła na kolana. Dwóch mężczyzn skoczyło na jej grzbiet. Jeden potoczył się bez szwanku, lecz drugi uwiązł pod cielskiem kreatury, gdy ta przewracała się na bok, wydając słabe, ostatnie wycie.

Potem ruszyła reszta słoni. Minęły Liath i starły się z włóczniami. Falanga rozsypała się. Zwierzęta tratowały broń i kości, kończyny i szyje, miotały jeźdźcami, ich przeciwnikami i wszystkim, czego tylko dosięgnęły. Na śnieg lała się krew. Pojawili się żołnierze, dźwigający ogromne topory; ich zadaniem było dobić rozsypującą się falangę. Liath nie potrafiła powiedzieć, czy ktoś ją dostrzegł, lecz wolała nie czekać, aby się o tym przekonać. Wstała, strzelając do każdego stworzenia, które zdawało się zmierzać w jej kierunku. I tak nie były one rzeczywiste. Po prostu usiłowała się obronić.

Wypuściła dziesięć strzał i dziesięciu mężczyzn padło trupem.

Ach, Pani. Ci wojownicy byli takimi samymi ofiarami gniewu Jedu, jak i Liath. Mogła tu pozostać, pochwycona przez agonię wojny, albo szukać wrót, prowadzących do sfery Mok. Z wysiłkiem, jako że szalała wokół niej bitwa, przypominała sobie o skrzydłach. Przywołała ogień i wzniosła się nad polem walki. Strzały wysyłane w jej kierunku eksplodowały ogniem, zaś ich popioły sypały się na pobojuwisko.

Wojownicy krzyczeli. Konie padały, kopiąc. Rzeź trwała i zdawała się nie mieć końca.

Napięła łuk i skierowała Łowcę Serc wprost w skrzywioną twarz Jedu. Niech to się skończy, pomyślała.

Wypuściła strzałę. Anielski uśmiech zadowolenia zaczął zniknąć z pięknej, potwornej twarzy. Zastąpił go wyraz okrucieństwa. Otworzyły się trzewia anioła, ukazując zęby niczym tysiące sztyletów; w tej ciemnej grocie strzała natychmiast zniknęła.

Z walącym sercem i ciężkimi skrzydłami, którymi zawzięcie machała, by utrzymać się w powietrzu,

Liath sięgnęła po ostatnią strzałę. Jej palce dotknęły złotego pióra, które dał jej Najstarszy Wuj i którego użyła jako lotki do ostatniej strzały.

Nim wyjęła ją z kołczanu, Jedu wydał ryk, ostry i przeszywający, pod wpływem którego zadrżały wszystkie istoty na równinie. Ryk Jedu sprawił, że Liath zaczęła spadać. Walczyła, by się utrzymać w powietrzu. Tymczasem nad polem bitwy rozbrzmiewały słowa anioła:

- Umiera milion umarłych. Cierpienie na całą wieczność. Nikt, Córko Ognia, nie wejdzie do Jedu nieproszony. Mojemu ukąszeniu nie ujdzie żadne ciało.

Potem poruszył swą klatką piersiową, zasysając powietrze.

Liath walczyła z całej siły, by wznieść się wyżej, lecz była przyciągana ku aniołowi pomimo stawianego mu oporu. Lustrzane oczy stawały się coraz większe, a w ich głębinach Liath ujrzała morderców i zabójców.

Niektórych z nich znała. Oto guivre, zabity przez Alaina. Oto wódz Eików, padający od miecza Lavastine'a. Oto qumański wojownik, zgładzony przez Ivara. Oto piękna konkubina Żelaznogłowego, która wbija gwóźdź w głowę śpiącego króla

Lord, odziany w kolczugę i hełm, spadł z konia, ugodzony włócznią. Człowiek, który go trafił, też nie miał szczęścia; stracił równowagę pod wpływem siły uderzenia i runął z konia na ziemię, tracąc hełm. Tymczasem wokół niego trwała potyczka. Otaczała ją mgielka światła rzucanego przez lustrzane oko, w którego czeluść Liath spoglądała z przerażeniem.

To był Sanglant, młody, bardzo młody... ledwie przestał być chłopcem.

Cuchnący zapach kostnicy sprawił, że Liath poczuła mdłości. Anioł otworzył szerzej usta, by połknąć ją całą.

Odwróciła się, starając się dotrzeć do Sanglanta, do swej miłości. Wirując, zbliżyła się do lustrzanego oka.

Znalazła się na miękkiej zielonej łące. Raziło ją słońce, ale przynajmniej nie czuła tego potwornego chłodu. Nie udało jej się jednak ująć gniewowi Jedu. Jej koń przeskoczył nad nią i pogalopował. Liath wciąż miała w uszach zgiełk pola bitwy.

Nie była sama. Leżała w objęciach mężczyzny, lorda Hesbaye, siostrzeńca hrabiny, który wszczął rebelię, ponieważ majątek matki przypadł po jej śmierci ciotce, a nie jemu. Król Henryk potraktował go niezbyt rozsądnie, wysyłając przeciwko lordowi swojego syna - młodzieniaszka, prawie dziecko mające nie więcej niż piętnaście czy szesnaście lat, niedoświadczony i niezdatny do tego typu obowiązku, nawet ze starszym, mądrym kapitanem u boku.

Jak to zatem możliwe, że to dziecko strąciło lorda z siodła?

Hesbaye upadł na trawę, potrącony przez jakiegoś człowieka. Sanglanta. Zgubił hełm i jego ciemne włosy rozsypały się. Był taki młody, szczupły, gibki jak trzcina. Nie osiągnął jeszcze wzrostu i postawności dorosłego mężczyzny. Jednakże, leżąc obok niej, był mocny i opiekuńczy.

- Sanglant! - wyszeptwała. Brakowało jej oddechu, by krzyknąć. - To ja, Liath!

Przesunął ręką wzdłuż jej klatki piersiowej. W jego ręku załśnił nóż, który zbliżył do jej gardła. Szybkim ruchem wbił w nie ostrze. Słowa ugrzęzły jej w gardle i utonęły we krwi. Życie wyciekło z niej poprzez szyję. Starła się dotknąć rany, zrobić cokolwiek, by zahamować krwawienie, lecz on przycisnął ją swoim ciężarem do ziemi. Z trudem chwytając oddech, spojrzała w jego zielone oczy, lecz zobaczyła tam tylko wściekłość Jedu. Promienie słońca sprawiły, że w jej wizji pojawiły się dziury; mroczne plamy zamazały twarz Sanglanta. Świat skurczył się, dźwięk wyblakł i wszystko zalała czerń.

Ocknęła się, usłyszawszy zwanie się dwóch armii i rzenie konia. Po jej lewej stronie wódz pogańskiego plemienia z przerażającymi piórami gryfa sterczącymi ze skrzydeł zakładał zbroję i żelazną przyłbicę. Prowadził swoje wojska. Sztandar powiewał na wietrze, ukazując wizerunek łapy leoparda, znak dumnego plemienia Pechanek. Wojownicy rozpoczęli szarżę i Liath, tak jak ich wódz, pochyliła lancę. Sztandar Smoków powiewający nad wendarskimi i ungryjskimi żołnierzami wysunięto do przodu.

Szarżę prowadził królewski Smok. Sanglant, teraz starszy, pędził wprost ku wodzowi z uniesionym do góry toporem. Zgrabnym ruchem jeździec ze skrzydłami gryfa prześliznął swoją włócznią po tarczy Sanglanta i ugodził księcia w samo gardło.

Młody książę odchylił się na koński zad, lecz jakimś cudem zdołał się podnieść. Przywarł do siodła. Krew z rany trysnęła na jego płaszcz Smoka. Jego rumak przedarł się przez tłum walczących i przez tylne straże Qumanów. Za nimi Smoki podniosły krzyk i wpadły w furię.

Liath próbowała się przedrzeć konno i dotrzeć do Sanglanta. Sanglant był tak blady, jakby uszła z niego cała krew. Leżał pośród martwych koni. Kiedy Liath krzyknęła i podjechała bliżej, z jego oczu popłynęły łzy, a ciałem wstrząsnęły konwulsje, jakby wypluwał własną śmierć. Gdy nagle podniósł się, uderzył z

szybkością węża.

Miażdżąca siła walnęła w głowę Liath i przez chwilę widziała drugą stronę wystającego z jej głowy ostrza topora. Jednakże tym, co naprawdę ujrzała, było desperackie spojrzenie oczu jej miłości. Widok przesłoniła jej krew. Osunęła się z siodła.

Czując fetor ciała jednego ze swych towarzyszy, Liath starała się dotrzeć do kamiennego podłoża. Natknęła się na rannego mężczyznę, którego zapach krwi sprawił, że poczuła dziki głód. Odepchnęła na bok innych i padła na klatkę piersiową mężczyzny, przyciskając go do ziemi.

W jej umyśle błysnęło światelko wrażliwości. Czy ten mężczyzna był częścią jej juków? Jednakże w zółdaku czuła głód, a ten człowiek pachniał tak słodko. Liath poczuła żądzę mordy.

Był dla niej zbyt szybki. Złapał ją poniżej gardła i jak pies ukąsił w tchawicę. Walcząc, czuła, jak smaga ją wiatr, jak dusi ją powietrze. Zapach śmierci osłabł, aż wreszcie świat był już tylko zimnym żelazem. Liath na chwilę przypomniała sobie wody płodowe, w których pływała. Potem nawet to uczucie zniknęło.

Uciekała z Gentu wraz ze SkalnymiDziećmi, umykając przed sztandarami wojowników plemienia Isa. Jakaś postać najechała na nią i z szaleńczą siłą odcięła jej głowę.

Teraz nie miała ciała, zaś zapach ludzkiego mięsa i krwi sprawił, że poczuła pragnienie i szarpiący, ostry ból. Nie chciała przybywać w to miejsce. Wyrwana z krainy żelaza, kołysała się niesiona podmuchem gorącego wiatru, szepcząc imię tego, którego szukała. „Sanglant”. Jego krew mogłaby ją uwolnić i sprawić, że powróciłaby do domu. To jedno wiedziała. Im jednak dalej się posuwała, czując zapach jego krwi, on atakował, dżgającą przesywającym końcem pióra gryfa. Magia, która przywiązała ją do ziemi, spłonęła, została zerwana, Liath zaś przechodziła agonię.

Liath wzdygnęła się z przestachu, gdy mężczyzna na koniu przedarł się przez tłum jej różnobarwnych towarzyszy, tnąc ich jak trzciny. Liath zawyła, prosząc o zmiłowanie, gdy jej ostatnia strzała utkwiała w ziemi.

Panie, czemuż opuszczała dom swej matki? Była głupia, kłócąc się z bratem i jeszcze bardziej nierozumna, pozwalając, by kierował nią gniew, a najgorszą głupotą było dać się przekonać Drogo, że można zdobyć majątek i jedzenie, napadając na nieszczęsnych podróżnych. Lecz ona była zbyt zdesperowana i zbyt dumna, by wracać do domu. Była taka głodna, zaś Drogo ofiarował jej chleb w zamian za przyłączenie się do jego bandy.

Zatrzymała się w paprociach i szalwii.

- Litości! - krzyknęła.

A on już był na niej, mając śmierć w oczach.

Sanglant.

Ból zalał wszystko.

- Nie, Welf! - zawołał Ekkehard, zatrzymując go końcem swej lancy. - Nie opuścisz mnie teraz.

Liath zapłakała w swoim ciele młodego chłopaka. Nie wiedziała, że strach może tak boleć.

- Nigdy cię nie opuszczę, mój księżo panie. Wiesz o tym. Lecz to nie jest w porządku, że walczymy po stronie Qumanów przeciw własnym rodakom. To zdrada.

Ekkehard zarumienił się.

- Zbrukaliśmy już swoje ręce zanadto, by się cofać. Lepiej zginąć w walce, niż zawisnąć na szubienicy.

Czekali, aż sztandary ich wrogów przybliżą się. Frithuric i Manegold czekali z kamienną cierpliwością, lecz on widział, ona widziała desperację w ich oczach. Jak mogli być tak głupi? Jak mogli pozwolić, by Bulkezu ich zwiódł? Dobrze, że nie widziała go teraz jego matka, bo ujrzałaby syna, który splamił honor rodziny.

Bębny i dźwięk rogu zasygnalizowały początek szarży. Welf wysunął się naprzód, podczas gdy ich konie przeszły do kłusa, a potem do galopu. Jego uszy wypełnił huk, podobny do odgłosu pioruna. Wysforował swego konia przed księcia, tak by wziąć siłę uderzenia na siebie. Lanca ugodziła go prosto w serce. Kiedy upadał, usłyszał wycie pełne żalu i złości i męski głos, wykrzykujący ze zdumieniem imię Ekkeharda.

To był księżo Sanglant!

Ziemia usunęła mu się spod nóg i ostatnią rzeczą, jaką widział, były kopyta konia, miażdżące jego głowę.

Jeśli nie będzie się poruszała, jej skrzydła znikną w srebrnej trawie i wypatrzy ją jedynie bardzo uważne oko. Sanglant był skoncentrowany na jej towarzyszu, srebrzystym gryfie śpiącym na oblanym słońcem kamieniu. Włócznia księcia była przygotowana. Jego oczy kalkulowały następny ruch gryfa. To samo oczy Liath. Nie mogła pozwolić, by zabito jej towarzysza.

Wykonała błyskawiczny ruch. Sanglant odwrócił się, lecz przewaga była już po jej stronie. Drzewce

jego włóczni pękły pod jej ciosem, zaś ciężar jej ciała przygniótł Sanglanta do ziemi. Gryf zbudził się, słysząc jej wrzask triumfu. Wrzeszcząc dziko, otrząsała się ze snu i rzuciła do przodu, by wziąć udział w zabijaniu.

Jej pazury przycisnęły księcia do ziemi. Ale on się nie poddał. Kopnął ją, ugodził kolanem w brzuch. Ale nie poddawała się. Nie mogła pozwolić, by nadal zabijał.

Dostrzegła bliznę na jego szyi. Teraz częściowo skrywał ją złoty naszyjnik. Kiedyś sądziła, że nie żył i że zginął przez jej błąd. Na granicy pola widzenia tańczył Anioł Wojny. Ostry niczym brzytwa dziób ciał mięso lepiej niż jakikolwiek miecz.

Nie mogłaby umrzeć ponownie z jego ręki. I ponownie.

I ponownie.

W jego gardle narastał ryk, kiedy próbował się od niej uwolnić. Zdołał oswobodzić rękę i desperacko chwycił ją za gardło, nie zwracając uwagi na krew płynącą z kilkunastu ran na jego palcach. Sięgał po jej żelazne pióra. Uderzyła go w oczy.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszała, był jego krzyk. Uwolniła się od luster, które wirowały i spadały. W piekło.

Zabiła księcia Sanglanta... Sięgnęła ku swemu gardłu, szukając miejsca, w którym była duszona. Jej złoty naszyjnik zniknął.

Z okrzykiem wściekłości wzniosła się ku niebu na swych ognistych skrzydłach i skierowała ku światłu, przypominającym płonący półksiężyc. Świat poniżej stał się biały jak śnieżna zadymka i gniew zastąpił ból. Umarli i ci, którzy ich zabili, wszyscy zniknęli w zasłonie bieli. Złamana włócznia potoczyła się po lodowym pustkowiu, pochwycona zimną ręką wiatru.

Lustra zamigotały jak błyskawice, na wpół zasłonięte przez burzowe chmury.

- Teraz jesteś pokonana. Kto wygrał, a kto przegrał?

- Uciekłam ci! - krzyknęła Liath triumfalnie, zbliżając się do srebrzystej granicy i dostrzegając lukę, otwierającą się na powierzchni sfery Mok.

Lecz śmiech Jedu zagościł w jej sercu. Wciąż czuła krew i życie, wyciekające z jej niedraśniętego gardła.

## **Rozdział piętnasty WZROK ORŁA**

### 1

Bulkezu ze swą armią miał zniszczenie w południowych krainach księstwa Avarii, by pod koniec lata zwrócić się ku północy; Hanna jednak nigdy nie zobaczyła księcia Ekkeharda płaczącego nad splądrowanym królestwem swego ojca, dopóki pierwsi maruderzy z armii Bulkezu nie dotarli do ruin pałacu Augensburg. Opuszczony pałac był już tylko zarośniętą zielską siedzibą owadów - i pary jeleni, które na widok ludzi czmychnęły do lasu. Młody książę zapłakał cicho. Czy był tu owego dnia, kiedy Liath podpaliła pałac w desperackiej próbie ucieczki przed Hugonem? Hanna nie mogła sobie przypomnieć, pamiętała jedynie przerażające płomienie i gorąco, palące jej skórę, kiedy odciągała Liath od tego piekła. Gdzie byli teraz Folquin, Leo, Stefan, jej dobry przyjaciel Ingo? Czy przeżyli zimę w Handelburgu? Czy w końcu odnajdzie ich na polu bitwy? Czy którakolwiek z wendarskich armii przeciwstawi się jeszcze Bulkezu, czy też przemaszkuje on przez cały kraj, pustosząc go i sięjąc przerażenie?

Bulkezu zarządził postój. Żołnierze i niewolnicy zajęli się rozstawianiem obozu na noc i odprowadzili konie wraz z resztą zwierząt, aby pasły się na bujnej trawie. Miejsce było całkowicie opuszczone, las porastał przestrzeń dookoła pałacowych terenów. Było tu pięknie, spokojnie i cicho; w każdym razie tego popołudnia, kiedy nie odbywały się mordercze walki. Hanna miała już dość zabijania. Widziała więcej śmierci, niż była to w stanie pojąć.

Każda pozostawiała bliźnę w jej sercu, niewypowiedzianą ranę, która nigdy się nie goiła, choć z czasem przestawała krwawić.

- Usiądź, panie. - Lord Welf skierował Ekkeharda ku składanemu krzesłu, naprędce ustawionemu przez jedną z dziewcząt, blondynkę o twarzyczce zaszczutego królika. Otarła łyzy z twarzy księcia kawałkiem płótna, podczas gdy inni niewolnicy wznosili za jego plecami okrągły gumański namiot, który miał stanowić osłonę przed popołudniowym słońcem. Panował upał. Hanna usiadła w cieniu drzewa i oparła o pień, rozkoszując się dotykiem łaskoczących źdźbeł trawy na nadgarstkach. Nie odstępowały jej strażnicy stali cierpliwie jak głązy po obu stronach; nie zanadto blisko, lecz wystarczająco, by złapać ją przy próbie ucieczki. Jeden żuł źdźbło trawy i obserwował ptaki trzepoczące wśród drzew. Pozostali dwaj po prostu stali, nieszkodliwi jak owce, dopóki nie spojrzano się w ich oczy.

Namiot Bulkezu był wzniesiony w pierwszej kolejności; Bulkezu wyszedł zeń, pogwizdując wesoło i prowadząc najładniejszą z niewolnic, krągłą młodą kobietę o sięgających talii czarnych włosach, prawie tak gęstych jak jego własne. Nazywała się Agnetha. Wypatrzył ją w tłumie więźniów tego straszliwego wieczoru, gdy rozpętała się zaraza. Jako jedna z niewielu przeżyła tamtą noc, a nawet udało jej się ocalić kilkunastu ludzi z rzezi. Bulkezu podszedł z nią do Ekkeharda i dał znak, by uklękła przed młodym księciem. Hanna pośpiesznie wstała. Boso już tam był, dumny z siebie jak kogut.

- Jego Majestat nie może patrzeć, jak mażesz się i jęczysz niczym chory dzieciak. Aby więc podnieść cię na duchu oraz podnieść twego kutasa, ofiarowuje ci jedną ze swych sprawdzonych cipek.

Hanna dawno już przyzwyczała się do szorstkiego i aroganckiego stylu Boso, ale często zastanawiała się, co dokładnie Bulkezu powiedział swemu tłumaczowi i jak bardzo Wendarczyk przekręcał słowa swego pana. Bezszelestnie stanęła za lordem Frithurikiem. Agnetha zobaczyła ją, ale była zbyt mądra, by protestować czy nawet odezwać się albo płakać, gdy przekazywano ją z rąk jednego mężczyzny na łaskę drugiego; patrzyła tylko prosząco.

Mimo swej formy oferta osuszyła łyzy Ekkeharda. Oczywiście nie brakowało mu dziewczyn, ale Agnetha była najładniejszą kobietą wśród dostępnych w tamtej chwili, a poza tym należała do Bulkezu. Ekkehard uważał, że to królewski prezent i dziękował Bulkezu wręcz przesadnie wylewnie. Młoda kobieta klęczała u jego stóp, starając się ze wszystkich sił nie okazywać żadnych emocji. Wreszcie Bulkezu znudził się podziękowaniami Ekkeharda. Na dyskretny sygnał dłonią przyprowadzono konie - dla gumańskiego Księcia, jego strażnika i dla Hanny. We troje, zostawiwszy nawet Boso, podjechali na wzgórze zbadać ruiny pałacu.

Hanna nie dostrzegła żadnych śladów odbudowy. Ogień zniszczył wszystko. Przez dwa lata deszcze i wiatry zmyły popiół pokrywający wzgórze, ale osmalone krokwie wciąż znaczyły miejsca, gdzie kiedyś rozciągał się pałac. Mury kamiennej kaplicy były prawie nietknięte, lecz poznaczone śladami ognia. Okna z resztkami potraskanego szkła były tylko pustymi otworami; dach zapadł się, dachówki leżały rozrzucone po nawie. Bulkezu dźgnął je włócznią, ale nie znalazł nic interesującego poza brązową zapinką od pasa, nadtopioną przez ogień, która kiedyś musiała mieć kształt skaczącego jelenia. Uśmiechnął się pod nosem.

- Gdybym to ja miał taką moc! - Spojrzał w górę, zaalarmowany milczeniem Hanny i wpatrzył się w nią nieustępliwie. - Wiesz, jak to się stało? - Zatoczył ramieniem, wskazując ruinę na szczycie.

Zacisnęła usta.

- Stłuczona lampa? Rozlany olej? Czary? - Wyszczrzył się.

W takich chwilach ogarniała ją niepowstrzymana wściekłość; chęć, by walnąć go pięścią w twarz i pogalopować ku wolności. Ale miał zbyt wielu strażników, by mogła ryzykować, a od czasu ostatniej próby pilnowali jej znacznie staranniej.

Gniew Hanny sprawiał mu przyjemność. Bulkezu sycił się nim.

- Czary! - odparł z satysfakcją, jak gdyby to ona odpowiedziała. Może tak było.

Zagwizdał przenikliwie. Po chwili Cherbu, szaman, nadjechał na srokatym koniu o maści podobnej do koloru płaszcza i spodni, noszonych przez jeźdźca. Mężczyźni zamienili kilka stów, po czym szaman zsiadł z konia, opadł na czworaki i zaczął węszyć niczym pies, idąc za niewidzialnym szlakiem wiodącym przez ruiny. Bulkezu jechał za nim konno, śpiewając sobie dla rozrywki irytującym nosowym tonem, którego Qumanowie zawsze używali w swych ulubionych pieśniach. Hanna rozpoznała piosenkę, którą jej kiedyś przetłumaczył:

*Kto wycierpiał tyle, co ja?*

*Kto żałuje sieroty, kto ptaszka, który wypadł z opuszczonego gniazda?*

*Lepiej być martwym, niż żyć bez matki.*

*Los jednak już się dokonał.  
Gdyby matka teraz wstała z łoża boleści i mnie ucałowała,  
Nie przyniosłoby mi to żadnej radości.*

Przerwał. Szaman zniknął. Hanna rozejrzała się wokół, ale wśród belek rozrzuconych na gołej ziemi nie zobaczyła łaciatego płaszcza Cherbu. Odgłosy obozowiska w dole wydały się nagle przytłumione. Chmura przesłoniła słońce, przynosząc ulgę w skwarze, ale cienki jak wąż promień nadal ślizgał się po rumowisku.

Zahuczała sowa. Z boku przemknął biały kształt i Hanna odwróciła się w samą porę, by dostrzec wielkie ptaszysko sadowiące się na najwyższej ścianie spalonej kaplicy.

- Tu jestem - wyszeptła, zastanawiając się, czy sama wola wystarczy, by sowa zauważyła jej obecność wśród Qumanów. Zwierzę uniosło skrzydła, jakby w pozdrowieniu. Jeden ze strażników naciągnął cięciwę, celując w ptaka, ale Bulkezu wypowiedział cicho trzy słowa i wirujący obłok pyłu podniósł się z ruin, kłując oczy Hanny. Zamrugła gwałtownie, ocinając oczy dłonią, a kiedy odważyła się znów spojrzeć, sowy już nie było. Szaman w okrytym warstwą białego pyłu płaszczu stał pośród rozwalonych baraków, gdzie zginęło pięciu Lwów.

- Tam - wskazał Bulkezu. - Tam zaczął się pożar. Wiesz, on potrafi to wyczuć smakiem.

- Wyczuć co?

- Magię.

- Dlaczego jeździ z tobą, skoro jest taki potężny? Co mu dajesz, żeby go do tego skłonić?

Bulkezu roześmiał się. Och, na bogów, jakże nienawidziła tego śmiechu!

- Cherbu to mój brat. Nasza matka kazała mu służyć mi. Czy wy, Wendarczycy, jesteście tak mało cywilizowani, że nie posłuchalibyście własnej matki? Prawdą jest, że walczyacie między sobą więcej niż z kimkolwiek innym, czyż nie? - Ten koncept tak go rozbawił, że aż musiał otrzeć łzy śmiechu z twarzy. Wściekłość Hanny rosła. Cherbu przedzierał się przez butwiejące deski i pochylone drewniane słupy, poznaczone dymem i ogniem. Wystygłe, spopielone resztki kruszyły się pod jego dłońmi. Oznaczył sadzą fragment gruntu i jał tańczyć w dziwaczny sposób, tupiąc i śpiewając piskliwym głosem, który od czasu do czasu przybierał niższe tony. Nagle z jego ust wydobyło się słowo znane Hannie, dziwnie zaakcentowane, lecz niemożliwe do pomylenia:

- *Liathano.*

Drgnęła, i to ją zdradziło. Bulkezu gwizdnął. Cherbu otrząsnął się, uderzył w ziemię otwartą dłonią i zawrócił, nucąc pod nosem. Miał w zwyczaju przyglądać się słuchaczom jednym okiem, przekrzywiając głowę na bok jak ptak. Bulkezu dokładnie go wypytał, ale szaman odpowiadał półsłówkami, aż wreszcie wrzucił ramionami, definitywnie kończąc rozmowę.

- Dokąd odeszła ta Liathano? - Bulkezu zmarszczył brwi, zwracając się do Hanny. - Mój brat mówi, że to kobieta, ale nie może jej wywęszyć. Dokąd odeszła?

Hanna ostentacyjnie pociągnęła nosem, pozwalając swej złości zatriumfować.

- A dlaczego miałabym ci powiedzieć?

Jej spokój sprowokował go, co łatwo było zauważyć. Rozdął nozdrza, aż koń zatańczył nerwowo, wyczuwając nastrój jeźdźca. To jednak tylko wzmogło jej upór. Patrzyła na niego. Pogładził głowę swojej zdobyczy, niemal ją pieszcząc. Brat przemówił do niego, zerkając na Hannę i Bulkezu rzucił się, jakby uderzony; bez słowa zawrócił konia i pogalopował do obozu. Zarys ramion wyraźnie zdradzał jego złość. Połowa strażników ruszyła w ślad za nim, pozostali ani drgnęli, tylko patrzyli. Hanna roześmiała się, zarumieniona z radości, że wreszcie odniosła maleńkie zwycięstwo.

Cherbu cmoknął, potrząsając głową, aż zakołysały się jego kolczyki. Zaczął coś mówić i choć Hanna nie rozumiała słów, brzmiało to tak, jakby matka strofowała ją i dwóch braci podczas mszy. „Przecież wiesz, jak się zachować...”

- Wiem, przyjacielu - odparła, zaskoczona, że nie był dla niej wrogiem, nawet mimo odrażających ozdób. Ani razu nie widziała, by wzniosł broń czy rzucił niszczący czar. Jego magiczny płaszcz chronił Bulkezu przed magią i nic ponadto. Przyglądał się jej z niepewnym uśmiechem, gdyż nie rozumiał nic z jej słów: - Wiem, nie powinnam była go rozgniewać. Ale to jedyna broń, jaką w tej chwili mam.

Marna broń, zwłaszcza że próby walki i tak nie miały sensu. Gdyby nie łut szczęścia Sorgatani, byłaby teraz martwa.

Światło zachodzącego słońca złościło otwartą przestrzeń i dwie, trzy setki ludzi skulone w trawie wśród zwierząt, ciężko było policzyć, gdy patrzyło się pod słońce. Zabijając wielu ludzi, Bulkezu wstrzymał zarazę, ale to nie znaczyło, że przestał brać więźniów.

Jej gniew był mało znaczącą przeszkodą na jego drodze, ale nic nie mogła na ten czas na to poradzić.

Gdy Hanna wróciła do obozowiska, wydawało się, że Bulkezu zapomniał już o całym zajściu. Podano potrawy: ser, świeżo upieczony chleb z małej farmy, którą najechali rano, pieczoną dziczyznę i kobyle mleko. Bulkezu nigdy nie pił zbyt wiele wina czy piwa, obserwował tylko, jak Ekkehard z kompanami upijali się do nieprzytomności. Qumańscy żołnierze stanowili w większości mrukliwą, nieciekawą grupę, nijak się mającą do wesołej kompanii, jaką stanowili jej wcześniejsi towarzysze podróży ze szlachty wendarskiej czy ungryjskiej. Na szczęście można było się oddalić i załatwić naturalne potrzeby we względnym odseparowaniu, pomijając trzech żołnierzy, którzy nigdy nie oddalali się na więcej niż dziesięć kroków. Qumanowie nie mieli w zwyczaju kopać dołów służących za toalety, ale przynajmniej na postojach wybierali w tym celu jedno miejsce, jak dobrze wytresowane psy. Została na obrzeżach obozu, jak długo się dało, patrząc na migoczące gwiazdy.

Gdzie się teraz podziewała Liath?

Nie było sposobu, aby ją znaleźć. Nie odważyła się użyć Sokolego Oka, obawiając się, że gdyby Bulkezu dowiedział się o jej zdolności - nie całkiem magicznej, ale mającej wystarczająco dużo wspólnego z czarami - mógłby użyć Hanny dla własnych celów.

Z namiotu wybiegła jakaś kobieta. Dławiła się. Upadła na kolana obok Hanny i zwymiotowała żółcią. W powietrzu rozniósł się kwaśny odór.

- Wszystko w porządku? - Hanna przyklękła przy kobiecie. To była Agnetha. Chwyliła dłonie Hanny.

- Nie jest ze mnie zadowolony - wyszeptała rozpaczliwie. - Robiłam tak, jak mówiłaś. Żadnego przypochlebiania się, próśb, płaczu. Ale nie był zadowolony. Posłuchaj!

Ekkehard śpiewał, wtórując sobie na lutni. Najwyraźniej był pijany. Miał czysty tenor i talent do zgrabnego skomponowania frazy:

*Niegdyś w tej jasnej sali balowej  
Zatrzymałem wzrok na najpiękniejszej z kobiet.  
Lecz teraz wracam, ona odeszła,  
Ściany zburzono,  
Palenisko wygastło,  
Nie krążą kielichy ni pieśni,  
By uradować moje serce.  
Śmierć zabrała wszystko, co mi drogie.*

- Co mam robić? - zapytała Agnetha. Znowu zachciało jej się wymiotować. Złapała się za brzuch. - Zagroził, że odda mnie wilkom. Prostym żołnierzom. Powiedz mi, co mam robić, proszę cię, Orlico...

- Niech Pani cię ochrania - mruknęła Hanna. Prosta wiejska dziewczyna, jaką była Agnetha, nie miała pojęcia, jak przypodobać się mężczyźnie. Bo niby skąd miała mieć? Hanna nauczyła się negocjować i słuchać w karczmie matki; te umiejętności przydały się jej także na dworze. - Nie możesz traktować wszystkich mężczyzn jednakowo. Co lubi Bulkezu, nie będzie podobało się księciu. Dla Ekkeharda ważne są pochlebstwa. Mów cokolwiek, byle go chwalić. Jeśli cię odrzuci, proś, by odesłał cię do któregoś ze swoich towarzyszy. Manegold jest próżny i płytki. Welfto choleryk, ale wstydzi się tego, co robi. Benedykt ostro reaguje. Nie da się nabrać na powierzchowne komplementy, no i często bije swoje kobiety. Frithuric lubi zarówno kobiety, jak i mężczyzn, głównie zależy mu na pieszczotach, one dają mu poczucie komfortu. Jest dość przyzwoity.

Twarz Agnethy była bladą plamą pod drzewami.

- Skąd to wszystko wiesz? Byłaś ich dziwką, zanim trafiłaś do Bulkezu?

- Nie jestem niczyją dziwką i nigdy nie byłam! Spędziłam tylko trochę czasu na dworze. Orzeł musi mieć oczy otwarte i poznać tych, którym służy.

Agnetha otarła usta wierzchem dłoni. Miała na sobie lekki strój odslaniający większość kremowobiałej piersi. Nawet zwykle obojętni strażnicy gapili się na nią, o ile mogli coś zobaczyć w cieniu drzewa i przy księżycu w pierwszej kwadrze. Może byli w tej dwunastce, która walczyła o nią tego wieczoru, gdy przyciągnęła wzrok Bulkezu.

- Pani, chroń nas - wymamrotała niepewnie. - Czy to się kiedykolwiek skończy?

- Nie wiem.



Agnetha robiła, co w jej mocy, by się nie rozplakać.

- Tak się staram... Moja matka i czworo rodzeństwa, wuj i troje jego dzieci, i dwoje kuzynów. Tylko ja stoję między nimi a śmiercią - wzdrygnęła się. - I tak mam więcej szczęścia niż większość, wszystkie te biedne martwe dusze... Ale czasem nie wiem, czy wytrzymam kolejny dzień. - Wciągnęła powietrze, zakaszła i wstała, garbiąc się. - Po prostu muszę. Muszę.

Zanim odwróciła się, by wrócić do namiotu, położyła pocieszająco dłoń na ramieniu Hanny.

- Przynajmniej nie jestem już w namiocie Bulkezu. Nie bił mnie, ale jest w nim coś takiego zimnego, nienaturalnego... I jest taki brzydki!

- Brzydki? - Hanna z trudem zachowała powagę.

- Z tymi skośnymi oczami i cerą jak błoto? Lord Manegold wygląda przy nim jak słońce przy obrzydliwym goblinie!

Hanna uważała, że Manegold jest jeszcze mniej ciekawy niż niesławny Baldwin, i nawet w połowie nie tak przystojny, ale nic nie powiedziała.

- Przynajmniej nie jest mi teraz tak źle, jak tobie było przez ten cały czas.

- Mnie? - Hanna ze wstydem odsunęła się od Agnethy. Czym były jej cierpienia w porównaniu z więźniami, których krzyki słyszała, gdy Qumanowie wycinali ich w pień?

- Cały czas na ciebie patrzy. Wiem, że byłaś jego kochanką dłużej niż jakakolwiek inna kobieta. Nie mam pojęcia, jak możesz to znosić z takim spokojem i godnością. Jesteś taka silna! Pewnie dlatego nie myślisz o sobie jako o jego dziwce.

Może czasem ludzie nie byli w stanie usłyszeć prawdy? Może nie warto było tłumaczyć?

- Nie jesteś nawet ładna, wiem, że gwałci cię tylko dlatego, że jesteś królewskim Orłem. To tak, jakby gwałcił króla, prawda? Wiem, że przez ciebie chce poniżyć króla. Podziwiam cię, że nigdy nie dałaś się upokorzyć...

Albo może ludzie nie byli w stanie dostrzec prawdy, jeśli znajdowała się poza obrębem tego, co znali i rozumieli?

Gdzieś z tyłu zamigotało światło lampy. Zobaczyła Bulkezu w towarzystwie kogoś z nocnej straży. Szukał jej, znikła na zbyt długo.

- Dziękuję - powiedziała do Agnethy. - Zapomniałam słów tej piosenki.

Agnetha również dostrzegła Bulkezu. Król Henryk byłby dumny z jej kamiennego oblicza. Nie była głupia, była tylko niewinną dziewczyną, próbującą przeżyć.

- Panie - rzekła, kłaniając się nisko w dowód poddania. Nie odpowiedział, więc z uniesioną głową powróciła do uczujących. Żadnych pochlebstw, lęku, błagań.

- Zaśpiewaj mi tę piosenkę - szepnął Bulkezu z niekłamana powagą.

Dzień był męczący, ale Hanny nie opuściła straceńcza odwaga. Ostrożnie wyszła z cienia drzew. Jej matka często nazywała ją „szybkostopą”.

- Książę panie - powiedziała cicho - nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Na usta cisnęły się jej niegrzeczne komentarze i złośliwe uwagi, ale zdołała je stłamsić.

- To tylko stara piosenka, którą nucą sobie dziewczęta. Zapomniałam pierwszej linijki. To szło jakoś tak...

Miała niezły głos i słuch i nieraz zabawiała gości gospody śpiewem, choć nie marzyła o ucieczce i zostaniu nadwornym bardem.

- Złote jego włosy i głos słodki ma; nie chcę go kochać, lecz któż mi wybór da? - zaśmiała się, widząc dołeczek w jego twarzy, mogący być zapowiedzią wybuchu śmiechu lub wściekłości. Nienawiść buzowała w niej jak dobrze rozpalony ogień. - Widziałam go, mężczyznę piękniejszego od ciebie. Zaiste jest piękniejszy.

Jego prawa dłoń zadrzała.

- Dlaczego tak się starasz mnie rozzłościć? Nawet cię nie dotknąłem.

- Nie dotknąłeś mego ciała. Ale splugawiłeś moje serce i duszę.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Za nimi Ekkehard zabrał się za jakąś weselszą piosenkę, zachęcony aprobującym chichotem Agnethy.

- Gdzie jest Liathano? - spytał wreszcie. - Zaprowadź mnie do niej, a puszcę cię wolno.

- Ona już ma męża, książę.

- A ja mam cztery żony. I szamańskie błogosławieństwo Kerayit.

- Albo przekleństwo.

To go rozbawiło, ale śmiech tkwił tylko na jego ustach, nie w oczach.

- Nie próbuj mnie rozzłościć - warknął, dając znak, by powróciła z nim na miejsce uczyty.

Podróżowali dalej na północ z biegiem dopływu rzeki. Po trzech dniach, minawszy siedem wiosek, dotarli do miejsca, gdzie łączył się z Vesper. Koło południa pojawili się patrolujący jeźdźcy i zabili jednego zwiadowcę. Wysłano kilka większych grup, a gdy powróciły z wieściami, Bulkezu nakazał zmienić sposób poruszania się; jak zwykle, kiedy zbliżali się do ufortyfikowanej osady, więźniów wysyłano przodem, a za nimi armia przedzierała się przez zarośla.

- Tak, oto fort Barenberg - stwierdził Ekkehard, gdy wreszcie zatrzymali się na urwisku. Obserwowali z niego rzekę Vesper. - Jesteśmy teraz w księstwie mojej ciotki Rotrudis.

Jego towarzysze w milczeniu przyglądali się odległemu fortowi. Rzeka wiała się ku północy poprzez dojrzewające pola i sady. Była to zaiste bogata kraina.

- Nie mogę z nią walczyć - szepnął Ekkehard, zerkając w stronę Bulkezu, podjeżdżającego na skraj urwiska. Zbocze ostro schodziło w dół, wiatr śpiewał słodko w gryfich skrzydłach qumańskiego wierzchowca. Bulkezu nosił hełm, więc Hanna nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Czyja to chorągiew powiewa na wieży? - spytał Benedykt.

Ekkehard zakrztusił się, a krew odpłynęła mu z twarzy. Bulkezu zawrócił konia.

- Dwie chorągwie - poprawiła Hanna z nagłą nadzieją. - Jedwab regenta i jastrzęb Waylandów. Wygląda na to, że spotkamy się z księżniczką Teophanu i księciem Konradem, Wasza Wysokość.

## 2

Nawet z pomocą Orla Sanglant i jego oddziały stawili trzy tygodnie na tropieniu krętego szlaku, którym książę Bayan i księżna Sapienia podróżowali poprzez marchie Olsatii, Austrii i Eastfalii. W końcu dogonił ich wojska na targu niewolników w ruinach fortecy Machteburg. Nietrudno było poznać, że armia Bulkezu przeszła tędy dwa tygodnie wcześniej. Rozkładające się ciała więźniów, przeważnie nieuzbrojonych, leżały w stosach przy zewnętrznym murze, tam, gdzie upadli zabici przez własnych ludzi, wystraszonego zdumieniem, że tłum niewolników to awangarda qumańskiego najeźdźcy.

Sanglant odszukał Bayana, błądzącego po wypalonych ruinach, dżgającego włócznią popioły centralnej wieży. Mimo zmęczenia ungaryjski książę wyglądał świeżo i dorodnie. Z błyskiem w oku zwrócił się ku nadchodzącemu Sanglantowi:

- Przyjacielu! - Klepnął serdecznie Sanglanta w ramię, po czym zamknął go w miażdżącym uścisku, ucałował w oba policzki i wreszcie puścił. - Jaka szkoda, że spotykamy się w tak trudnych czasach.

- Trudnych, o tak.

- Skąd ta ząsępiona twarz, bracie? Wyglądasz, jakbyś od dawna nie oddawał się igraszkom w łożu...

- Czy aby rzeczywiście to cię martwi? - mruknął Sanglant. - Myślałem, że chodzi ci o wojnę z Qumanami.

Ale Bayan nie dał się zwieść.

- W czym problem? Chłop z ciebie na schwał. Czyżby kobiety już tak nie uważały?

To pytanie rozżłościło Sanglanta ponad wszelką miarę.

- Przeciwnie, męczą mnie właśnie kobiety. Łatwiej było podróżować przez księstwa. Zasypiałem bezpiecznie w gościńcach monastyrów, ukołysany czystą muzyką Boga. A tu, w marchiach, co noc nachodzi mnie jakaś pięknotka i doprasza się, abym uczynił honor jej rodzinie i ofiarował nieco książęcego nasienia!

- Pięknotka co noc? Nie dwie? Nie doczekasz się mojego współczucia, jeśli je odrzucasz. Zeszłej zimy kupiłem na targu w Handelburgu pięć ładnych salawijskich niewolnic i muszę je odesłać do pracy w kuchni. Nie mówiąc o mojej ukochanej śnieżnej kobiecie, która musiała zginąć, bym miał spokój w łożu.

- Westchnął, przyglądając się Sanglantowi ponuro. - A gdzie twoja żona? Ta, którą poślubiłeś wbrew woli ojca?

Każda rana w końcu się goi, każdy ból łagodnieje, chociaż nigdy nie sposób do końca zapomnieć o smutku, nadziei i złości. Upał późnego lata okrywał martwą fortecę. Na szczęście nadjechali, gdy najgorszy odór już zanikał, choć od czasu do czasu gaz wydostający się ze zwalów trupów drażnił nozdrza Sanglanta.

- Należałoby pogrzebać zwłoki - odparł szorstko.

Bayan uniósł lewą brew.

- Nadchodzi wieści o zarazie w Avarii. Jeszcze tylko tego nam trzeba! Mężczyźni już teraz kopią groby,

by pochować tych nieszczęśników. Bo chyba nie są zbyt szczęśliwi, prawda? Z muchami i robakami wijącymi się w brzuchach...

- Twój wendarski bardzo się poprawił.

- A twoje samopoczucie wcale. Co się stało z twoją żoną?

Sanglant niecierpliwie wyrwał włócznię z dłoni Bayana i nakłuł miejsce, gdzie coś błysnęło wśród popiołów, ale znalazł tylko kolejną czaszkę. Ukucnął, by wydobyć ją spośród śmieci. Czaszka oddzieliła się od reszty ciała. Dolna szczeka była strzaskana, prawdopodobnie kamieniem. U góry wciąż trzymało się kilka pasemek skóry z rudawymi włosami, poza tym była oczyszczona do cna przez insekty i deszcz.

- Nie dam rady znów tego opowiadać. Moi wierni żołnierze i bystrzy uczeni znają tę historię na pamięć, o czym łatwo możesz się przekonać.

- Ojcie! Tato! - Blessing znów uciekła Heribertowi i Zachariaszowi i pędziła przez ruiny, wymachując swym drewnianym mieczem. Za nią biegła Anna. - Chcę tego człowieka, tato. Widziałam go. Chcę go! - Podbiegła, wycierając rękawem sadzę z twarzy, ale tylko bardziej ją rozmazała. Stała przed Bayanem z rękami na biodrach. - To księżę - oznajmiła, zamyśliła się, po czym nachyliwszy się do Bayana, szepnęła konfidencjonalnie: - Możesz mi go przyprowadzić?

- Kim jest to urocze dziecko?! - wykrzyknął zachwycony Bayan - I czemuż nosi złoty naszyjnik?

- Jestem Blessing, następczyni cesarza Taillefera! - Była arogancka jak cesarzowa i Bayan pomyślał, że sam jest sobie winien. Zauroczyła go całkowicie. Jeśli w ogóle kontrolowała swoje zachowanie, to tylko dzięki spokojnej, stanowczej postawie Anny, której nawet szaleństwa Blessing nie były w stanie wyprowadzić z równowagi.

- Jakiegoż to mężczyzny pożąda młoda cesarzowa? - spytał, powstrzymując śmiech.

- Widziałam go. W łańcuchach. Chcę go mieć. Pić mi się chce.

- Zaraz napijemy się piwa, dziecko. Ale najpierw zajmijmy się tym mężczyzną w łańcuchach. - Skinął na swój oddział, dwunastu ungryjskich szlachciców i żołnierzy, przyglądających się Blessing z mieszanką rozbawienia i zainteresowania, co zarówno irytowało Sanglanta, jak i sprawiało mu przyjemność.

- Księżę Sanglant? Przyłączysz się? Niedaleko jest obóz Wendarczyków i ludu Polenii, sprzedają dobra i niewolników. Niektórzy z więźniów to na pewno uciekinierzy z pola bitwy. Mogą mieć ciekawe rzeczy do opowiedzenia na temat qumańskiego wojska.

Blessing ostatnio przestała lubić noszenie na rękach, więc Sanglant zwolnił, by mogła dotrzymać mu kroku. Przecięli dziedziniec fortu. Osmalone dachówki wały się strzaskane na bruku. Sępy oskubały martwego konia do kości. Jasnoniebieska tunika wdeptana w błoto stanowiła zaskakująco kolorowy element wśród tego ponurego widoku.

- Co zamierza Bulkezu? - spytał Bayana Sanglant.

- Wiele razy zadawałem sobie to pytanie. Ale przecież nie myślę tak, jak brudny Quman. - Bayan splunął. - Wstyd, ale całą zimę chowałem się za murami Handelburga, liżąc rany. Wiosną wypelzłem na zewnątrz... ale on dużo wcześniej pojechał na zachód, zostawił mnie w mojej norze... tfu! - Znowu splunął. Teraz aż kipiał złością, widać było, że tłamsi dawne urazy. Zamaszystym gestem wskazał ruiny Machteburga, niegdyś dumnej fortecy granicznej, teraz kupy śmieci i odpadków. - Czego chcą Qumanowie oprócz niewolników, złota i unieszczęśliwiania ludzi?

Z wysokości cytadeli, stojąc wśród rozwalonych kamieni, niegdyś będących bramą, Sanglant obserwował rzekę Odrę, wijącą się w dole ku północy. Północ, gdzie zostawił Waltharię z małym garnizonem... i złotym naszyjnikiem. Jej mąż Druthmar stał obok, cicho rozmawiając z kapitanem Fulkiem.

- Musi mu chodzić o coś innego. Albo wisi nad nim bat, o którym nie wiemy. - Nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu, podniósł Blessing i postawił ją na olbrzymim głazie, by miała lepszy widok. Następnie odwrócił się do Bayana. - Gdzie jest moja siostra?

- Ach - Bayan odpowiedział równie złośliwym uśmiechem. - Mówiąc o batach... Chodźmy, jest z moją matką na targu niewolników.

Wojska Sanglanta zatrzymały się na północ od Machteburga, na wschodnim brzegu rzeki. Targ niewolników był zbieraniną wozów, podejrzliwych kupców i nerwowych najemników. Rozłożyli się na noc w miejscu dawnych murów obronnych. Aby tam dotrzeć, Sanglant i Bayan skierowali się na południe zachodnim brzegiem rzeki, mijając armię maszerującą pod dowództwem Bayana i Sapientii.

Wendarscy nie zapomnieli o Gencie. Radośnie wiwatowali Bayanowi, a na widok Sanglanta wręcz zaryczeli. Wkrótce po obu stronach ścieżki tłoczno było od Lwów, zbrojnych i młodych lordów z oddziałami, spieszących, by go powitać. Nawet Ungryjczycy Bayana złożyli księciu hołd w postaci przenikliwych gwizdów, od których o mało mu nie popękały bębenki, a Blessing zakryła uszy dłońmi, by

stłumić hałas.

Sapientia usłyszała ich nadejście. Gdy ją dostrzegli, była już przygotowana na spotkanie, stojąc w miejscu zburzonej bramy. Sanglant zsiadł z konia i wspiął się pod górę, by ją powitać. Łaskawie pochylała się i ucałowała go w geście zażyłości w oba policzki.

- Siostró - odezwał się wesoło, choć na jej twarzy nie dostrzegł ciepłej reakcji.

- Czy ojciec przysłał wreszcie posiłki? - spytała.

- Nie, udał się za południe, do Aosty...

- Znów do Aosty!

Bayan miał zamiar się odezwać, ale Sanglant uniemożliwił mu to, mówiąc:

- Pojechał na południe, do Aosty, gdzie czyhają inne zagrożenia...

- Co może nam zagrażać bardziej niż Bulkezu i jego wojsko? Słyszałeś o zarazie w Avarii? Na własne oczy widzieliśmy zniszczenia, jakie zostawia za sobą qumańska armia - spalone wsie, zdeptane pola. Sam możesz zobaczyć trupy, jakie zostawił za sobą, leżą tu pod murami. Wszyscy, którzy przeżyli, mówią, że forteca jest nawiedzana przez niepomszczonych zmarłych. Duch dziecka płacze o północy za swoją matką!

- Wiele dzieci płacze za matkami - Sanglant zřęcznie przejął jej styl - ale płkanie za tym, czego nam brak, nie pokona Qumanów. Pozwól, Sapientia... Oto Blessing, moja córka, twoja bratanica.

Ciotka i bratanica mierzyły się nawzajem wzrokiem. Sapientia wyszła obronną ręką, rumieńce zaróżowiły jej policzki, poruszała się swobodnie. Patrząc na Blessing, widziała w jej oczach odwieczną walkę zazdrości i zainteresowania.

- Wydawała mi się podobna do ciebie, ale nie może być córką Orła. Jest za duża. Czy spłodziłeś ją z jakąś nałożnicą, zanim uwięziono cię w Gencie?

Nauczył się nie protestować przeciwko tym pytaniom. Czasami najlepszą odpowiedzią była prawda.

- Nie zapominaj, że ma we krwi magię. Inaczej nie umiem wytłumaczyć, dlaczego tak szybko rośnie. Urodziła się wiosną zeszłego roku.

- Wygląda jak dorodna trzylatka, a może nawet jak czterolatka - sprzeciwiła się Sapientia - a nie jak raczkujące kilkunastomiesięczne dziecko.

- To prawda.

Nauczył się też ukrywać swój strach. Nie rozumiał, co dzieje się z jego córką. Najpierw myślał, że nieziemskie mleko, którym karmiła ją Jerna, spowodowało tę nienaturalną szybkość, z jaką Blessing rosła. Może i tak było, ale Jerna odeszła, a dziewczynka nadal dorastała znacznie szybciej, niż powinna. Obawiał się, że może tak być aż do powrotu Liath, jak gdyby więź łącząca Liath i Blessing była tak silna, że wszystko, co przydarzyło się jednej, czuła i druga. Gdyby Liath wiedziała, czyż nie wróciłyby, aby ratować swoją córkę?

Wróciłyby, jeśli jej na nich zależało.

W takich chwilach zastanawiał się, dokąd odeszła jego własna matka. Alia też go opuściła - po raz drugi.

- Jesteś księżniczką! - wykrzyknęła Blessing.

- Jestem spadkobierczynią króla Henryka - odparła Sapientia bez mrugnięcia okiem.

- Och - skomentowała Blessing z uznaniem, nieświadoma tych niuansów. - Lubię go. Jest moim dziadkiem. A ja jestem spadkobierczynią cesarza Taillefera - kontynuowała, gdyż była dzieckiem lubiącym dzielić się posiadanymi informacjami.

- Czy wszystkim to mówi? - spytał Bayan.

Sapientia wyduła usta z niezadowoleniem i wyglądała, jakby zamierzała ostro odpowiedzieć.

- Tylko tym, którzy zasłużą... Chodź, kochanie, gdzie widziałaś tego mężczyznę?

Blessing ujęła go za rękę i po chwili wyteżonego zastanawiania się pochwyciła też dłoń Bayana.

- Tędy!

- Faktycznie, to wnuczka Henryka! - Nawet Sapientia się roześmiała.

- Jesteś księżniczką! - zawołała Blessing. - Pomożesz mi dostać tego mężczyznę?

Gniew pomieszany z rozbawieniem odbił się na twarzy Sapientii.

- Nie będę słuchać innych, niezależnie od ich potrzeb. Ci mężczyźni mogą służyć w wojsku, niektóre kobiety też, jeśli będą chętne i silne.

- Doskonały pomysł! - zawołał Bayan. - Moja królowa wie dobrze, co jest ile warte. Ty musisz wybrać tych, którzy będą dobrze walczyć i służyć.

- Tak sądzisz? - Księżna zarumieniła się, spoglądając na męża. Dla Sanglanta nie był to nowy widok; jego siostra wyglądała tak samo, chociaż udawało się jej zachować szlachecką wyniosłość, gdy razem

skierowali się ku targowisku.

Sanglant nie miał wyrobionej opinii o handlarzach niewolników. Pogańskie imperium Jinna i zmyślni Aretuzjanie mieli nienasycony apetyt, zwłaszcza na wykastrowanych chłopców, którzy stawali się eunuchami. Wendarscy kupcy też nie gardzili sprzedażą pojmanych na prymitywnym wschodzie tubylców w cywilizowanych krainach zachodu. Posiadali też na sprzedaż inne towary: tkaniny lniane i wełniane, futra z północy, beczulki soli, łyżki z drewna, kości słoniowej i cyny, sierpy, kosy, żelazne toporki; dziwki, zioła i przyprawy, jedne bardziej słodko pachnące od drugich. Jednak po roku spędzonym w niewoli u Krwawego Serca Sanglant wiedział dobrze, jak cierpią ludzie, będący towarem.

Blessing pociągnęła go razem z Bayanem ku grupie związanych obszarpańców. Wyglądali na pokonanych żołnierzy, których trzeba skrępować, aby nie sprawiali kłopotów, na przykład nie próbowali uciec podczas długiego marszu. Podbiegł do nich kupiec z Polenii, bystro obserwując wendarski strój Sanglanta i ungryjską elegancję i szyk Bayana. Nosił typowy dla ludu Polenii spiczasty skórzany kapelusz o wywiniętym rondzie.

- Najwyższe eksceleńce! - zawołał łamanym wendarskim. - Mam tu silnych mężczyzn, których prowadzę na południe, na targi niewolników w Aretuzie. Wy chcecie kupić ich teraz? Ja mogę dać wam dobrą cenę.

Blessing podeszła do najmłodszego z pojmanych, może szesnastoletniego bosego chłopaka z podbitym okiem i odmrożonym nosem i uszami.

- Powiedziałaś mi, że wrócę - zwróciła się do kupca ze zdecydowanym wyrazem twarzy. - Thiemo jest mój.

- Pani - zaczął kupiec, zerkając na Sanglanta, nie chcąc obrazić księżęcej córki.

Chłopak zaczął popłakiwać, nie wiadomo, czy z radości, czy gasnącej nadziei.

- Pani, to prawda? Przybyłaś, by zapłacić okup za mnie i moich towarzyszy? - W tym momencie on również zauważył Sanglanta i Bayana. - Wasza Wysokość! - zawołał, rumieniąc się. Pięciu towarzyszących mu mężczyzn padło na kolana. Pod warstwą brudu Sanglant rozpoznał w ich strojach królewskie płaszcze Lwów.

- Boże, uchwaj - mruknął Bayan. - Heretycy!

Podeszła Sapientia. Stała obok Bayana. Zmarszczyła brwi.

Nietrudno było odgadnąć jej myśli.

- Czy to być może? Niewolnicy skazani na banicję po sądzie w Handelburgu? Jak się tu dostali? I gdzie reszta?

- Nie żyją - odparł najstarszy z Lwów. - I dobrze, biorąc pod uwagę, na co się natknęliśmy. Wasza Wysokość... - skłonił się Sanglantowi z szacunkiem. - Wiem, że jesteś księciem Sanglantem. Mówią, że uczciwym człowiekiem. Błagam...

- Tato, chcę tego człowieka.

- Nie wiem. - Sapientia nerwowo zatarła dłonie. - Biskupina Alberada ekskomunikowała ich za herezję. Nie powinniśmy występować przeciwko Kościołowi, jeśli nie chcemy narazić się na to samo. To, że sprzedano ich w niewolę za grzechy, jakie popełnili, to kara boska.

Ale mówiła to bez przekonania. Sanglant zobaczył, że spogląda na Bayana, czekając na jego opinię. Bała się sama ferować sądy. Zwróciła się do kupca:

- Ci mężczyźni są Lwami króla Henryka. Wykupię ich za uczciwą cenę.

- Nomia za każdego - odparł błyskawicznie kupiec.

- Pamiętaj - ostrzegł Sanglant - że ja mam armię, a ty dwudziestu strażników. Mógłbym ich po prostu odebrać, równie łatwo, jak ich wykupiłem, a ponieważ znajdujemy się na ziemi wendarskiej, miałbym pełne prawo zwrócić im wolność, gdyż są zaprzysiężonymi żołnierzami króla.

- Już nie - sprzeciwiła się Sapientia. - Z powodu herezji...

- Nie obchodzi mnie, jak długo wojska qumańskie są na wendarskich ziemiach, czy są heretykami, cudzoziemcami, mają dwie głowy albo niebieską skórę. Mają tylko lojalnie walczyć w imieniu króla. Jak masz na imię? - zwrócił się do starego Lwa.

- Gotfrid, panie. Nikt z nas nie zdradził. To, co Bóg zechciał nam objawić, nie ma nic wspólnego z naszą wiernością królowi.

- Daj temu kupcowi dziesięć sceattas - zawołał Sanglant do Heriberta, który właśnie nadciągnął z resztą swojego oddziału.

- Niech Bóg cię błogosławi, księżę - rzekł Gotfrid. - Przysięgam w imieniu wszystkich, że będziemy dobrze ci służyć.

Pozostałych czterech mężczyzn gorliwie powtórzyło przysięgę ze szczerym zapalem i wdzięcznością.

Kupiec jako jedyny nie wydawał się szczęśliwy, ale miał na tyle rozumu, by siedzieć cicho. Bayan odezwał się do uwolnionych:

- Orlica? Książę Ekkehard?

Pod warstwą brudu strój lorda Thiemo miał szlachecki krój, kolor i przepych, a gdy mężczyzna wstał, widać było, że ma lekko pałakowate nogi, typowe dla chłopaka, który w okresie dorastania więcej czasu spędzał w siodle niż na ziemi.

- Nie żyją - odparł szorstko.

- To pewne? - chciał wiedzieć Bayan.

- Obawiam się, panie, że tak - odezwał się stary Lew. - Była zima. Padało, jakby chciało pogrzebać nas pod śniegiem. Zaatakowały nas cienie. - Zniżył głos do szeptu i rozejrzał się, jakby w obawie, że wspomniane cienie zmaterializują się za jego plecami. - Straceni.

Z wysiłkiem starał się odepchnąć wspomnienia i opanować lęk. Jego towarzysze mrużeli do siebie, kuląc się, jakby samo wspomnienie istot, które ich zaatakowały, mogło spowodować burzę śnieżną. Gotfrid kontynuował:

- Nie wiem, co stało się z pozostałymi. Dwóch mężczyzn zginęło od elfich strzał w lesie. Rozproszyliśmy się. Znaleźliśmy lorda Thiemo - wskazał na chłopaka - w lesie i staraliśmy się uciec. W końcu pojмали nas bandyci, ale zlitowali się i tylko zabrali naszą broń, płaszcze i pasy, a nas samych sprzedali handlarzom niewolników. Nie zabili nas... - Otarł łzę. - Orlica była dobrą kobietą. Serce mi pęka, że zginęła.

Bayan mruknął coś niewyraźnie, po czym dodał głośniejszym głosem:

- Mnie też.

- Ekkehard nie żyje? - wykrzyknęła Sapientia. - Młody głupiec!

Wyglądała na przejętą.

- Słyszałem co innego - odezwał się Sanglant. - Aż do Walburga dochodzą plotki, jakoby Ekkehard zdradził i podróżował teraz z Bulkezu.

- To nieprawda! - Lord Thiemo zerwał się na nogi. - Ekkehard nigdy by nie zdradził króla. Gdyby ojciec dał mu to, na co zasługiwał...

- Cicho! - Donośny głos Blessing uciął protest młodzieńca jak trzaśnięcie biczem. - Nie krzycz na mojego tatę. Nie podoba mi się to.

- Tak, pani. - Chłopak przyklęknął na jedno kolano i posłusznie pochylił głowę.

Nikt nie zachichotał ani nawet nie uśmiechnął się, gdy Blessing wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego głowy.

- Wstań, lordzie Thiemo - nakazała. - Tylko nie krzycz.

- Nie sądzę, aby te plotki były prawdziwe - stwierdził Bayan. - Może poległ, qumański złodziej ściągnął zbroję z trupa i teraz w niej paraduje.

- A ja myślę, że to jest prawda - mruknęła Sapientia - a w każdym razie mogłaby nią być. Ekkehard jest łasy na przymilne pochlebstwa. Przy ich umiejętnym dawkowaniu zrobiłby wszystko.

- Nawet zdradziłby? - spytał z naciskiem Sanglant.

- Nie znasz go tak jak ja. - Znów wydeła usta w odruchu, który skrycie ją martwił, ponieważ zdradzał, że tak naprawdę nie wie, o czym mówi. Zawsze martwiła się, by innemu biesiadnikowi nie przypadł większy kawałek tortu.

- Chodź, Sapientia - powiedział Bayan śpiesznie, gdyż znał nastroje swojej żony. - Osądzisz, których więźniów uwolnić, by służyli w naszym wojsku.

- Chodź! Chodź! - zawtórowała Blessing, podskakując na zmianę na lewej i prawej nodze. - Chcę zobaczyć!

Nie czekając na pozostałych, pomknęła przed siebie, z Anną i lordem Thiemo próbującymi za nią nadążyć.

- Co to? - zapiszczała nagle, wskazując odległy mur starego fortu na wzgórzu, gdzie wśród różnych wozów i stoisk zatrzymał się palankin matki Bayana.

Czterech niewolników postawiło go na ziemi. Zasłony były zaciągnięte i z tej odległości nie sposób było zorientować się, na co patrzy kerayicka szamanka, ale Sanglant był pewien, że dostrzegła tam coś godnego zainteresowania. Wraz z Sapientią i Bayanem podążył za swoim dzieckiem.

W tej części niewielkiego targu niewolnikami byli głównie qumańscy więźniowie, skrupowani lub zakuci w kajdany. Nawet dzieci uważano za zbyt niebezpieczne, by pozwolić im chodzić swobodnie. Gdy zbliżyli się do nich, nieszczęsny Zachariasz zaczął nerwowo trzeć nadgarstkiem jednej ręki o drugą, jakby przypominając sobie drażniący dotyk łańcuchów. Im bliżej podchodzili, tym bardziej nerwowo drżała

jego prawa powieka.

- Strasznie śmierdzą - stwierdził Heribert, wachlując się pod nosem kawałkiem lnianej chusteczki. Podeszli do wozów wendarskiej handlarki, potężnej kobiety o spojrzeniu gronostaja, który wypatrzył gniazdo z jajami. - Nie można ich jakoś umyć?

W chichocie Zachariasza brzmiała źle skrywana histeria.

- Wrzucicie ich do wody. Nienawidzą jej. - Otarł czoło. Wyglądał, jakby sam miał za chwilę rzucić się do rzeki.

- Odwagi, bracie Zachariaszu - powiedział cicho Sanglant. Zachariasz spojrział na niego zaskoczony, ale uczynił wysiłek, by uspokoić oddech i wyprostować ramiona, jak mężczyzna gotowy do bitwy.

Handlarka podbiegła, by ich powitać.

- Książę panie, witaj w tym strasznym miejscu... mam nadzieję, że wśród moich towarów znajdziesz, czego ci potrzeba. Jestem pani Otlinde z Osterburga, gdzie twa czcigodna ciotka, księżna Rotrudis, pewnie włada swymi poddanymi. Lordzie Druthmarze, wielokrotnie przebywałam w czarownym Walburgu - może pamiętasz doskonały srebrny jedwabny adamaszek, który lady Waltharia kupiła ode mnie na ceremonię nadania imienia twemu najmłodszemu synowi?

- Niestety - odrzekł Druthmar, uśmiechając się szeroko. - Nie pamiętam.

Wyglądało na to, że pani Otlinde pamięta dobrze każdą zawartą transakcję, a jeszcze lepiej, ile na każdej z nich zarobiła.

- Proszę, pozwól, panie, by mój syn przyniósł ci piwa. Czego ci trzeba?

Uwagę Sanglanta przykuła jego córka, która oddaliła się od Bayana, by obejrzeć palankin i czterech niewolników. Nagle złapała za krawędź, podciągnęła się na rękach i wśliznęła do środka przez obfite draperie, chroniące kobietę wewnątrz przed wzrokiem ciekawskich. Anna krzyknęła, zbyt późno zakazując Blessing takiej zabawy. Ungryjczycy wołali do siebie, zszokowani i przerażeni. Bayan próbował schwycić małą, obutą stopkę, ale ta znikła już za zasłonami. Niewolnicy skoczyli na równe nogi, wystraszeni, jak stado ptaków zaskoczonych przez lisa. Bayan przeklął po ungryjsku. Dotknął zasłony, drgnął, jakby go coś ugryzło i odskoczył ze zbielełą twarzą.

- Na litość boską! - wykrzyknęła Sapiaientia, nie bez satysfakcji. Zobaczyła Sanglanta i zatoczyła ramieniem szerokie koło. - Zobacz, ile to dziecko już narobiło kłopotu! Jak kiedykolwiek ubłagamy szamankę, by nam wybaczyła?!

Może miała nadzieję, że Sanglant, zawstydzony, przyzna, iż nie doceniał mocy kerayickiej szamanki, ale ten spędził już szmat życia z Bayanem, a jeśli gdzieś był Bayan, jego matka z pewnością nie znajdowała się daleko. Dobiegł do palankinu, ale tam zatrzymał go Bayan, zagroździwszy mu drogę ramieniem.

- Nie, przyjacielu, błagam cię, nie pogarszaj sprawy.

- Moja córka... - zaczął Sanglant.

- Tato, zaczekaj, proszę - dobiegł zza zasłon melodyjny, radosny głos Blessing. - Rozmawiam ze starszą panią.

Bayan otarł czoło z potu i zawołał, by przyniesiono mu kufel piwa. Jego tłumacz, brat Breschius, odciągnął go na bok i wdali się w konwersację szeptem, aż nadbiegł żołnierz z kuflem i dzbankiem. Napelniony kufel krążył z rąk do rąk, po czym ponownie nalano do niego piwa. Panowała cisza, poza poszczękiwaniem koralików, gdy tragarze palankinu zmieniali pozycję. W letnim upale nie mieli na sobie wielu ubrań i Sanglant wyobraził sobie, jak Waltharia zachwyczałaby się nimi. Dziwne, że stara kobieta jak matka Bayana mogła mieć cokolwiek wspólnego ze spadkobierczynią Villama, nawet jeśli była to tylko tendencja do pożądlivego wpatrywania się w męskie ciała. Niewiele kobiet, a nawet i mężczyzn, posiadało zdolność Waltharii do budowania autorytetu, jej brutalny zdrowy rozsądek i ostry jak brzytwa intelekt. Ile razy przez ostatnie tygodnie przyłapał się na tym, że nieświadomie porównuje Waltharię do Liath? Liath nie miała żadnej z zachwycających cech Waltharii; była skryta, poważna i ani trochę nie próbująca kontrolować kogokolwiek poza samą sobą. Jednak i tak była najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał i sama myśl o niej budziła w sercu bolesną tęsknotę.

Ale czy ona myślała o nim - i o dziecku - dokądkolwiek odeszła?

Słyszał szczebiot Blessing i od czasu do czasu przytłumioną odpowiedź, ale coś - ciężkie zasłony spowijające palankin czy też magia kerayickiej szamanki - sprawiało, że nie rozumiał słów. Z tonu córki wywnioskował, że rozmowa była wesoła i ożywiona; o czym, na litość boską, mogła rozmawiać stara szamanka z małą dziewczynką?

Nie był w stanie cierpliwie czekać, więc zajął się taksowaniem towarów pani Otlinde, rozłożonych na stoisku: bure płótna i tkaniny w rombówy wzór z wyspiarskiego królestwa Alby, kunie, bobrowe i lisie

skóry z księstw Starviki, dwa małe gobeliny przedstawiające upadek imperium dariyańskiego pod naporem hord Bwr. Gdzieś zdobyła czterdziestu Qumanów o zwodniczo tępych spojrzeniach, na swój sposób skrytych tak samo, jak skryta była matka Bayana za swymi zasłonami. Znał ten wyraz oczu: widział go u innych, najbardziej niebezpiecznych więźniów. Każdy z tych mężczyzn z radością wydlubałby mu oczy, gdyby tylko podszedł wystarczająco blisko.

Zachariasz wśliznął się na miejsce obok niego, lekko drżąc i odezwał się cicho:

- Są z plemienia Shatai. Widzisz rozdwojone kopyto czerwonego jelenia wycięte na ramieniu tego mężczyzny?

- Czy są sojusznikami Pechanka?

- Nie, i nigdy nie byli. Od kilku lat walczą na pastwiskach Karkaihi, ciągnących się niemal do Gorzkiego Morza.

Przyjrzał się więźniom. Odpowiedzieli mu spojrzeniem nie zdradzającym ani nienawiści, ani strachu. Podziwiał ponurą powściągliwość, z jaką znosili swój los. Nigdy nie nienawdził Qumanów, w przeciwieństwie do Bayana. Wiele lat temu Bulkezu zrujnował mu głos i zabił wielu jego żołnierzy, ale Qumanowie nie uczynili mu większej krzywdy niż spora część jego innych wrogów. Nic, czego on by im nie uczynił w rewaniu.

- Qumański wojownik znosi niewygody lepiej niż jakikolwiek żołnierz. Jak zdobyć ich lojalność?

- Czego od nich chcesz, panie? - przestraszył się Zachariasz. Pot wystąpił mu na czoło.

- Jeśli któryś chciałby przysiąc wierność mojej sprawie, chciałbym go mieć w swojej armii.

- Panie! - Kapitan Fulk usłyszał go, podobnie jak lordowie Druthmar i Hrodik, i kilku innych szlachciców.

- Uważasz za rozsądne wpuścić Qumanów w nasze szeregi, książę? - spytał Druthmar. - Co powstrzymałoby ich wtedy przed wymordowaniem nas nocą? Mieliby swobodny dostęp do naszych namiotów!

- Dajże spokój, bracie. - Sanglant zwrócił się do Zachariasza. - Jak mam przekonać qumańskich żołnierzy, by wstąpili do mojej armii, służyli pod moim dowództwem i nie myśleli cały czas o zadaniu mi ciosu w plecy?

- Może złotem? - zasugerował lord Hrodik.

- Tak, wezmą je, a potem cię zarzną, żeby sprawdzić, czy nie masz przy sobie więcej - zaśmiał się Zachariasz.

- A co, gdyby złożyli wiążący ślub, jak każdy porządny Wendarczyk? - zaproponował kapitan Fulk.

- Złożą go równie łatwo, co spluną ci w twarz, zanim skrócą cię o głowę!

- Czy to takie dzikusy, że zupełnie im nie można ufać? - zdziwił się lord Druthmar. Był mężczyzną na schwał i dobrym towarzyszem podróży, ale Sanglant odkrył, że brakuje mu wyobraźni i ambicji.

Zachariasz wybuchnął gardłowym śmiechem, co zirykowało Sanglanta.

- Wybacz, proszę - odezwał się. - Pióra gryfa, panie.

- Pióra gryfa! Jak te, które moja matka miała pod Verną, gdy zestrzebiła atakujące nas istoty!

- Takie właśnie. Pióra Bulkezu. Pamiętam, jak go pokonała. - Twarz Zachariasza rozjaśnił wredny uśmieszek, gdy sycił się tym wspomnieniem.

- Tak, to było niezwykle zwycięstwo. Gdybyż tylko została i użyczyła swych zdolności mej sprawie! Ale nigdy mi nie mówiła, że pokonała wtedy Bulkezu.

Zachariasz uśmiechnął się kwaśno. Jego też Alia opuściła, gdy tylko przestał być potrzebny. Nie miał złudzeń co do jej lojalności.

- Nie, książę, nie myśl, że chciała cię zwieść. Wątpię, czy w ogóle znała jego imię albo że ją to obchodziło. On jednak z pewnością nie zapomniał jej tak łatwo, jak ona jego.

- Pewnie nie.

- To szaleniec, książę. Nie kręć głową, jakbym był jakimś poetą zarabiającym opowieściami na kolację... Taka jest prawda. To szaleniec.

- Ja też wtedy byłem szalony. Ale jemu nie przeszkodziło to zakraść się i zabić gryfa.

- Człowiek musi być szalony, by skradać się za gryfem - wtrącił się Heribert do rozmowy. - Zachariaszu, naprawdę twierdzisz, że Quman pójdzie za człowiekiem noszącym skrzydła gryfa, nawet jeśli ten nie zaoferuje mu nic poza tym? A co z lojalnością? Koniecznością? Honorom rodziny?

- Widziałeś kiedyś gryfa, Heribercie? - spytał Zachariasz.

- Nie.

- Nie pytałbyś, gdybyś widział - odchrząknął. - Każdy w plemienu może porzucić swojego bega, zabrać namiot, stada, rodzinę i wynieść się na step. Każdy mężczyzna może żyć jak książę, a jego żona jak



królowa, jeśli wybiorą życie z dala od współplemieńców. Jeśli nie przeszkadza im samotność i wystarczy nieduże stado, rodzina może rządzić się sama.

- To znaczy, że nikomu nie dochowują wierności? - upewnił się Druthmar. - Nie składają ślubów? Nie dotrzymują ich?

- To najwierniejsi żołnierze, jakich widziałem. Żaden qumański jeździec nie będzie się skarżył na niewygody. Wolą umrzeć, niż wyrzec słowo przeciwko begowi, któremu towarzyszą.

Lord Hrodik polubił Druthmara, który tolerował jego towarzystwo, i zaprotestował głośno:

- Jeśli tak ich kochasz i sławisz jak królów, to dlaczego przed nimi uciekałeś, bracie? - Wyglądał, jakby chciał opluć bezradnych więźniów.

- Nienawidzę ich - odparł cicho Zachariasz. - Nie wątp w to. Traktowali mnie jak psa, albo jeszcze gorzej.

Sanglant czasem dostrzegał na twarzy Zachariasza szczególnie wyraz, zmarszczenie nosa, jakby za sprawą brzydkiego zapachu albo jakby nagle chciał szyderczo warknąć - czy też zaskomleć z przerażeniem. Teraz właśnie tak wyglądał. W napięciu obserwował więźniów i nawet podszedł do nich chwiejnym krokiem, ale nie za blisko, w razie gdyby któryś chciał spróbować go kopnąć. Qumanowie patrzyli na niego nienaturalnie pustymi oczami, by wreszcie obojętnie odwrócić wzrok; ale Zachariasz jeszcze nie skończył. Z jego ust posypał się gładko strumień słodko brzmiących słów. Apatia Qumanów znikła tak nagle, że lord Hrodik krzyknął w zaskoczeniu i rzucił się do tyłu. Jeńcy ryczeli i przeklinali, plując. Jeden szarpnął się tak mocno, że niemalże zerwał sznury, którymi wraz z towarzyszymi był przywiązany do głęboko wbitego w ziemię słupka. Druthmar dobył miecza. Nadbiegli ungrzyjscy strażnicy Bayana. Sanglant śmiał się, czując, jak wali mu serce, a w kończynach wzbiera znajome podekscytowanie.

Wynajęta straż pani Otlinde pomknęła naprzód z kijami i okładając nimi jeńców, próbowała przywrócić porządek. Nie był to miły widok. Qumanowie, przed chwilą miotający przekleństwa na Zachariasza, skulili się, przyjmując ciosy bez jednego jęku. Była to odpychająca, ale przekonująca demonstracja ich hardości. Lecz na próżno.

- Na litość boską! - zawołał Sanglant szorstko, starając się odciągnąć najbardziej zajadłego strażnika, który walił bez opamiętania Qumana klęczącego przed nim. - Przestań!

Strażnik odwrócił się, zamierzając uderzyć księcia, ale Sanglant złapał go za ramię i przytrzymał, patrząc mu w oczy. Po chwili mężczyzna opamiętał się, zwołał towarzyszy i odeszli na bezpieczną odległość, wciąż jednak patrząc zaczepnie. Jego ofiara wypluła kilka zębów i wytarła krew z podbródka. Wstał, lekko się chwiejąc i uniósłszy głowę, spojrzał na Sanglanta. Mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Quman pierwszy odwrócił głowę.

- Co to było?! - Sanglant złapał Zachariasza za ramię i odwrócił go do siebie. Ten oddychał ciężko, jak po biegu, a po twarzy spływał mu pot. - Lepiej bym się bawił, gdybym wiedział, jaki jest cel bicia ich do nieprzytomności!

- Wybacz mi, książę - Zachariasz ledwo mógł mówić. Jąkał się. - Żałuję, że... to nie Bulkezu... był na ich miejscu. Matka zawsze mówiła, że mój... język jest lepszą bronią, niż włócznia... i tarcza.

- Gdyby nie byli związani, rozerwaliby cię na strzępy - zauważył Heribert, który cofnął się o kilka kroków i schował za szerokimi ramionami lorda Druthmara.

- Skrzydła gryfa, panie - przemówił znów Zachariasz chrapliwie, z trudem chwyając oddech. - Nigdy nie zadadzą zdradzieckiego ciosu człowiekowi, który nosi gryfie skrzydła.

Westchnął i odszedł, znikając w tłumie.

- Nie, Heribert - rzekł Sanglant, powstrzymując kapłana, który chciał za nim pobiec. - Pozwól mu odejść. On musi sam zwalczyć własne demony. Choć przyznaję, ciekaw jestem, co im powiedział.

Qumańscy niewolnicy podnieśli się już, rozprostowując posiniaczone ramiona i oblizując krew wyciekającą im z nozdrzy. Robili to niezdarne, gdyż związane za plecami ręce nie ułatwiały im poruszania się. Podbiegli Bayan i Sapientia, którzy usłyszeli hałas.

- Czy się naprzykrzali? - spytał Bayan władczo. - Mogę kazać moim ludziom zabić ich wszystkich, ale najpierw muszę poczekać na matkę. Czasem ma kaprysy wziąć takiego... - Splunął pod stopy najbliższego więźnia, trzymając dłoń na rękojeści miecza, jakby sam zamierzał poderznąć wszystkim gardła - ...jako niewolnika. Ale takie glisty nie są warte nawet tego, by być niewolnikami.

- Myślę, że w ich żyłach nie płynie ludzka krew - rzekł Druthmar ściszym głosem. - Wyglądają, jakby nie doznali żadnej krzywdy. Nie wstyd cierpieć, gdy rana jest skutkiem honorowej walki... albo gdy została niehonorowo zadana. - Spojrzał w stronę wynajętych strażników, bezładną zbieraninę najemników, którzy prawdopodobnie jeszcze dwa miesiące temu byli bandytami, napadającymi na

niewinnych podróży.

- Nie, to nie wstyd - zgodził się Sanglant. Gestem przywołał brata Breschiusa. - Czy wiesz, co Zachariasz do nich powiedział? Wiem, że masz doświadczenie z tymi plemionami.

- Nie, książę - odparł Breschius. - Byłem niewolnikiem Kerayit, nie klanów qumańskich. Znam parę qumańskich słów, to prawda, i wydaje mi się, że rzucił jakąś uwagę o ich matkach, ale poza tym nie rozumiałem niczego.

- Co cię obchodzi, co im powiedział? - spytała szyderczo Sapientia. - Przecież to tylko Qumanowie. Bardziej zwierzęta niż ludzie!

- Są żołnierzami, a my potrzebujemy żołnierzy, jak sądzę. Jeśli nie są Qumanami związanymi z Pechankiem, nie ma przeszkód, by wstąpili do naszej armii i walczyli przeciwko Bulkezu.

Bayan zeszywniał, jakby ktoś go opluł. Odwrócił się gwałtownie i odszedł w stronę targowiska. Sapientia, zła, zaatakowała Sanglanta:

- Wiesz, jak on nienawidzi Qumanów. Zabili mu syna. Jak możesz proponować, byśmy tworzyli qumańskie oddziały?

- Stworzę wszystko, co jest potrzebne, by pokonać Bulkezu. Gra toczy się o najwyższą stawkę, Sapientia. Powiem ci wszystko, kiedy znajdziemy chwilkę bez świadków. Przyjmę do swojej armii każdą kobietę i każdego mężczyznę, którzy będą chcieli walczyć po mojej stronie. Jeśli Bulkezu nie zostanie wkrótce pokonany, jeśli Siedmiu Śpiących będzie robiło, co im się podoba, a my w tym czasie będziemy się kłócić, kto się nadaje do naszej armii, a kto nie, wkrótce wszyscy skończymy, jak ten nieszczęśnik, w kajdanach. - Wskazał lorda Thiemo, kręcącego się jak wierny pies w pewnej odległości od palankinu i czekającego na Blessing. - Nie, będziemy mieli szczęście, jeśli pójdziemy w niewolę. Bardziej prawdopodobne, że będziemy martwi, a królestwo naszego ojca zostanie najechane i rozbite.

Siła w jego słowach sprawiła, że Sapientia poczuła się niepewnie. Widział to w jej oczach: czy powinna mu wierzyć? Zaoponować? Odejść? Zawołać pomoc? Wydać rozkaz? Pamiętał ten wyraz twarzy z tamtej nocy, gdy Waltharia ofiarowała mu złoty naszyjnik.

- Aby rządzić, siostró, musisz dowodzić - rzekł cicho. - Albo się usuń.

Wściekłość zapłonęła na jej twarzy.

- Gdzie twój złoty naszyjnik, bracie?

- Zostawiłem go u żony.

- Której nie ma przy tobie, jak widzę.

- Której nie ma przy mnie, jak widzisz.

- Na litość boską, opuściła ciebie i dziecko? Tak jak matka cię opuściła? - zacmokała z dezaprobatą. - Szkoda. I ojciec, i ty zdaliście się na łaskę niestałych kobiet.

Ale Sanglant też umiał grać w tę grę.

- Proszę, siostró, nie wyrażaj się tak lekceważąco o swojej błogosławionej matce, królowej Sophii. Zawsze była dla mnie uprzejma. Nawet jeśli prawdą są te rzeczy, które mówią o niej inni.

Sapientia oblała się krwawym rumieńcem. Zawołała swoje damy i odjechała za Bayanem.

- Obawiam się, że to próżne zwycięstwo. - Heribert pojawił się u boku Sanglanta.

- Prawda. I nieprzystojne, niech mi królowa wybaczy, bo rzeczywiście była zawsze miła dla mnie. To ci wendarscy kapłani. Nigdy jej nie ufali, bo była z Aretuzy.

Dał się słyszeć dziecięcy chichot Blessing i dziewczynka wysliznęła się spod zasłon. Potknęła się i upadła na kolana, ale wstała, zanim Anna zdążyła podbiec. Pozwoliła jej otrzepać z kurzu kolana i poprawić rękawy, ale zanim się odezwała, Sanglant wziął ją na ręce.

- Cóрко, to było bardzo nierozważne!

Twarzyczka Blessing zadrzała, usta wykrzywiły się w podkówkę, a oczy napelniły łzami, tak bardzo zaskoczył ją gniew ojca. Ale musiała odebrać tę lekcję.

- Włożyłabyś rękę w gniazdo os i wpełzła tam za nimi? Wiedząc, że ci nie wolno?

- Ale...

- Nie, Blessing, nie chcę słyszeć żadnych „ale”. Weszłaś bez pozwolenia tam, gdzie ci wchodzić nie wolno. Dlatego dzisiaj nie będziesz już spacerować po obozie. Anno, zabierz Blessing do mojego namiotu i dopilnuj, żeby została tam przez resztę dnia. Matto ci pomoże. Lordzie Thiemo, będziesz jej pilnował. Bądź łaskaw pamiętać, że wykonujesz moje rozkazy, nie mojej córki, która ledwo wyrosła z niemowlęctwa.

- T... tak, książę - wyjąkał Thiemo i chrząknął.

Blessing rozwrzeszczała się, protestując, ale wrzask wkrótce przeszedł w czkawkę i pociąganie nosem. Sanglant szorstko przekazał córkę Annie.

- Ale, tato...

Jedną ręką złapał jej dłoń, a drugą ujął za brodę, tak że musiała na niego spojrzeć.

- To tak powraca spadkobierczyni cesarza Taillefera? Rycząc jak dziecko pojmane w niewolę? Przyjmij z godnością karę, na którą zasłużyłaś.

Kilkakrotnie przełknęła ślinę, walcząc ze łzami i ze złością, widoczną w zasznurowanych usteczkach. Wreszcie wysliznęła się z objęć Anny i odmaszerowała, sztywno wyprostowana i z zaciśniętymi pięściami. Anna i Thiemo śpiesznie ruszyli za nią.

- Ja pójdę - odezwał się cicho Heribert u boku Sanglanta.

- Nie, przyjacielu, będzie się starała nakłonić cię do złagodzenia kary. Nie należy jej ufać, kiedy jest w takim nastroju. Zacznie pociągać nosem i od razu pobiegiesz przynieść jej pierniczki, żeby osłodzić uwięzienie. Wolę cię trzymać przy sobie, w razie gdybym sam potrzebował jakichś słodkości.

Sapientia nadeszła niespiesznym krokiem z uśmiechem źle skrywanej satysfakcji. Widziała, co się stało i wróciła z Bayanem w samą porę, by nasycić się łajaniem dziewczynki.

- Cóż, chyba widzieliśmy więcej, niż mieliśmy ochotę. - Zwróciła się do męża. - Na targu jest może dwudziestu więźniów wartych uwolnienia. Każę zarządcom zająć się nimi, reszta może zgnieć w łańcuchach. Nie sądzisz, Sanglancie? - wskazała na Qumanów.

Bayan nie odzywał się i nie było po nim znać żadnych emocji, poza tym, że ręce zacisnął w pięści. Sanglant uznał to za rozsądne z jego strony.

- Tak, przed nami długa droga w pościgu za Bulkezu - zgodził się uprzejmie.

Uniosła brodę, przyglądając mu się z królewską wyniosłością.

- Przybyłeś ze swymi oddziałami, aby nas wesprzeć, więc możesz wziąć jutro udział w naradzie wojennej. Pojutrze opuszczamy Machteburg.

Skinęła na towarzyszących jej żołnierzy i wraz z Bayanem ruszyli wolno przez zgromadzony tłum, składający się głównie z żołnierzy chcących obejrzeć obóz kupców, a zwłaszcza przyjrzeć się dokładniej przywódcom. Jakiś młodzik przedzierał się przez ciżbę w przeciwnym kierunku, ale gdy zobaczył Sanglanta, zawrócił.

- O co chodzi, Matto? - spytał Sanglant, gdy chłopak podbiegł bliżej.

- Stary pan chce z tobą mówić, książę. Twierdzi, że ma wieści.

Serce Sanglanta załomotało. Miał silne przeczucie, że coś się wydarzy, jak podczas burzy, gdy spieniona fala ma się przelać przez nabrzeże.

Opuścili targ. Tratwa służąca za prom przewiozła ich przez rzekę do schludnego obozowiska, gdzie jego wojska, trzystu jeźdźców i mnóstwo innych wojowników, rozstawiły namioty. Wykopany rów był prawie na ukończeniu - najprostsza obrona przed kawaleryjskim atakiem z zaskoczenia, gdyby okazało się, że Qumanowie czają się w pobliskim lesie.

Wilkun czekał w cieniu markizy; wewnątrz namiotu nadąsana Blessing odbywała swą karę. Słyszał, jak opiekunowie przemawiają do niej cichymi głosami. Lord Thiemo chyba opowiadał jakąś bajkę o feniksie. Nieszkodliwe, a możliwe, że uda się powstrzymać dziewczynkę przed wpakowaniem się w kolejne kłopoty tego wieczoru.

- Jakież nowości? - spytał Wilkuna. Odeszli od namiotu, aby porozmawiać na osobności. Towarzyszyli im tylko Heribert i Druthmar. Reszta czekała niespokojnie pod markizą, sącząc miód.

- Znalazłem Hannę - odparł Wilkun zmartwionym głosem. - Nie było miejsca, które bym ominął, szukając jej przez te kilka miesięcy. Nie mogłem trafić na żaden ślad, myślałem, że nie żyje...

- Kim jest Hanna? - zaciekał się Heribert.

- Młodym Orłem. Podróżowałem z nią, gdy pomogliśmy ci przeprowić się przez góry - odburknął Wilkun. - Już nie pamiętasz?

Heribert mądrze powstrzymał się od odpowiedzi, ale widać było po jego zmieszonym wyrazie twarzy, że nie pamięta. Natomiast u Sanglanta imię Hanny wywołało lawinę wspomnień - jak pierwszy raz zobaczył Liath podczas wypadu za mury Gent; to, jak warkocz podskakiwał zmysłowo na jej plecach, kusząc, choć Liath nie była typem kusicielki, nie po tym, co przeszła w rękach Hugona z Austrii. Hanna oceniła, że Liath jest głupia, wychodząc za Sanglanta.

- Sprawiała wrażenie mądrej i uczciwej - oznajmił w końcu, ku własnemu zaskoczeniu uśmiechając się na myśl o Liath.

Wilkun skinął lekko głową.

- To prawda, odkryłem, że Hanna jest czymś więcej, niż się wydaje. Nie była martwa, lecz uwięziona i ukryta przed światem za pomocą qumańskiej magii.

- Qumańskiej magii?! - Sanglant odwrócił się gwałtownie. - Bulkezu ją uwięził.

- Tak, panie. Zaiste, straszny los. Czy Ekkehard też był z Bulkezu?

- Nie widziałem go, panie. Ją zobaczyłem tylko przez chwilę, bo... - Wahanie w głosie tak bardzo nie pasowało do Wilkuna, że Sanglant położył rękę na ramieniu starego Orła, by go uspokoić. Druthmar był cierpliwy jak wół i bardziej męski. Najwyraźniej słyszał od Hedwig tyle okropnych rzeczy na temat Wilkuna, że stary zafascynował go w taki sam sposób, w jaki może kogoś zafascynować biegający po pokoju skorpion.

- To było przez sowę - westchnął wreszcie Wilkun.

- Przez sowę?

- Wiele oczu patrzy - ciągnął zagadkowo Wilkun - ale ja rozpoznałem z łatwością to, co zobaczyłem, gdy sowa rozproszyła mgłę. To było w królewskim pałacu w Augensburgu, teraz spalonym. Tam zobaczyłem Hannę. Pojawiła się na moment i znikła, ale to bez wątpienia była ona, otoczona qumańskimi żołnierzami. To znaczy, że Bulkezu ze swą armią jedzie na północ wschodnim brzegiem jednego z dopływów rzeki Vesper.

- Niech bogowie nas chronią! - wykrzyknął Druthmar. - Bulkezu uderzył na Wendar, myślałem, że nadal wędruje po marchiach.

- Księżę Burchard poprowadził swe siły na południe do Aosty, na odsiecz Henrykowi - rzekł Sanglant. - Nie ma nikogo, kto powstrzymałby Bulkezu przed dotarciem tą drogą do Osterburga.

- Jakże on może myśleć o zdobyciu miasta księżnej Rotrudis? - zdziwił się Druthmar. - Musiałby oblegać je miesiącami.

- To prawda. Być może błędnie myślimy. Po co oblegać miasto, jeśli można je ominąć? Po co jechać na północ do Osterburga, kiedy równie dobrze mógłby uderzyć na zachód, Fesse i zachodnie Saony? Księżna Liutgarda też wyruszyła na południe z moim ojcem. Kto więc został, by ochraniać Wendar?

Jednakże następnego wieczoru na radzie wojennej dyskusja koncentrowała się nie na zagrożeniu ze strony Bulkezu i jego armii, lecz na prawdziwości tego, co opowiedział Wilkun.

- Nie mamy dowodu, że Bulkezu jest w Aarii i jedzie na północ wzdłuż Vesper - powtórzyła Sapientia po raz trzeci, a niektórzy towarzyszący jej żołnierze przytaknęli, kiwając głowami. - Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz temu Orłu Wilkunowi podróżować z tobą po tym, jak wyklął go król. To niemalże tak, jakbyś się otwarcie sprzeciwił rozkazom ojca...

Sapientia zachowywała się jak źle ułożony pies myśliwski, powracający cały czas do przeżutej już kości, zamiast węszyć za świeżym mięsem.

- Nie zrobiłem tego, siostrzo. Ale on mi wiernie służył. Nigdy bym nie znalazł ciebie i Bayana, gdyby nie jego Orzeł.

- Zapłaciłeś utratą zaufania ojca - odparowała. - To wysoka cena.

- Jak bardzo możemy ufać banicie? - zabrała głos lady Brigida, ulubienica Sapientii, rumiana kobieta, która zdaniem Heriberta miała więcej włosów niż rozumu.

Lordowie stojący za plecami Sapientii zaszemrali w poparciu dla pytania Brigidy. Nawet Thiadbold, poznaczony bliznami, rudowłosy kapitan dwóch kohort Lwów, maszerujących z księżniczką, niezręcznie pokiwał głową.

- Zastanawiam się, jakie wieści na nasz temat dotarły do ojca w Aoście? - ciągnęła Sapientia. - Na pewno jest już bezpiecznie w Darre. Czy twój Orzeł nie może ci tego powiedzieć?

- Wygląda na to, że armia dotarła do Darre. Ale żaden Orzeł nie jest doskonały, poza tym istnieją zaklęcia i amulety, które zasłaniają widok.

Zgromadzeni w namiocie zamruczeli, słysząc o czarach.

- Nie wiemy też nic o księżniczce Teophanu - przerwała lady Bertha, która wydawała się Sanglantowi najrozsądniejszą z dworu Sapientii, choć była przyrodnią siostrą Hugona z Austrii. - Nie dotarł do nas żaden z jej posłańców, jeśli w ogóle udało jej się jakiegoś wysłać.

- Tym bardziej powinniśmy wrócić do tematu wojsk Bulkezu. - Sanglant uniósł puchar i zauważył, ku swej irytacji, że już go opróżnił. Ale ungryjscy służący Bayana, dwóch eunuchów, byli tak samo dobrze wyszkoleni, jak ungryjscy żołnierze Bayana. Mężczyzna o gładkich policzkach podbiegł z dzbanem mocnego napitku, który sprawił, że Sanglantowi już zakręciło się lekko w głowie. Ungryjczycy nie rozcieńczali wina wodą.

- Jeśli Bulkezu zamierza ruszyć na Osterburg, utknie tam na całe miesiące - stwierdziła Sapientia.

Sanglant westchnął i pierwszy raz spojrział na Bayana, który nie odezwał się ani słowem od początku rady.

- Jeśli... - podjął wreszcie, lecz przerwał. Zapadła głęboka cisza. Widać było jak na dłoni, kto faktycznie dowodzi armią, choć według oficjalnych praw rządu nad Wendarczykami należały do Sapientii.

- Chyba naprawdę możemy ufać Orłu twierdzącemu, że od miesięcy magiczna chmura skrywa teren, na którym znajduje się Bulkezu. Znam potęgę magii jak nikt inny. Może chmura się rozproszy i Orzeł uzyska lepszy widok. Tak więc, jeśli Bulkezu jedzie na północ wzdłuż Vesper, co powstrzyma go przed ominięciem tego miasta szerokim łukiem i kontynuowania, jak sugeruje książkę Sanglant? Bulkezu może pozostawić niewielkie siły obozujące za murami i w ten sposób przekonać księżną Rotrudis, że miasto jest oblegane. Jeśli mu się uda, księżna nie ruszy przeciwko niemu, aż będzie za późno - dla niej i dla Saony.

- A on może w tym czasie niszczyć do woli - zgodził się Sanglant. - Albo uderzyć na zachód, zanim jeszcze dotrze do Osterburga i ruszyć na Kassel czy centralne tereny Rhowne, niedaleko Autun. W takim razie moglibyśmy liczyć jedynie na to, że wyładuje całą swoją furię na zachodzie, pustosząc Salię.

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, książę? - spytał kapitan Thiadbald ze swego miejsca za plecami siedzących dam i lordów.

- Wyruszyć jak najszybciej i próbować dotrzeć do Osterburga przed nim.

- To niemożliwe - zaprotestowała lady Brigida i zachichotała, jak zawsze, gdy była zdenerwowana.

Lampy oświetlały wnętrze obszernego namiotu. W ich mrugającym świetle Sanglant widział twarze przyglądające mu się z zainteresowaniem i rosnącym podnieceniem. Na stole, dokoła którego siedzieli, resztki kolacji zastygały na brązowych i cynowych talerzach: kości kurczaków i gęsi, wydrążone resztki bochenków chleba, w których podano pudding, smażone naleśniki, małe, słodkie pierniczki i jagody w sosie miętowym - dania, które łatwo przygotować i podać podczas postoju.

- Wtedy, nawet jeśli Bulkezu skieruje się ku zachodowi, będziemy mogli podążyć za nim, zanim jesienne deszcze i zimowe śniegi uczynią drogę nieprzejezdną.

Żołnierze pokiwali głowami, a lordowie i damy zaszemrali potakująco. Bayan odkaslnął.

- Muszę się wysikać... - oznajmił radośnie, wstając - ale nienawidzę sikać samotnie! Książę Sanglancie, zechcesz się przyłączyć?

- Ach, przyjacielu, któż odrzuciłby taką propozycję? - zażartował Sanglant. Wstał, wychylił puchar do końca i tylko lekko się zachwiał, przepychając się przez tłum za Bayanem.

Rubaszny humor Bayana zniknął, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz. Jego wierni ungaryjscy strażnicy - twardzi mężczyźni, którzy w jednej chwili częstowaliby kordialnie kielichem mocnego piwa, a w drugiej zbili na kwaśne jabłko każdego, kto by obraził ich pana - przypatrywali się, gdy Bayan podszedł do miejsca, gdzie były uwiązane konie. Załatwił się szybko i czekał, cicho pogwizdując, aż Sanglant też skończy.

- Teraz, przyjacielu - rzekł półgłosem - musimy porozmawiać.

- Porozmawiać. A o czym?

- Nie jesteś głupcem, przyjacielu, więc nie będę obrażał twej inteligencji kłamstwami, tylko powiem prawdę.

- Przerazasz mnie, Bayanie. Czy zamierzasz mi powiedzieć, że muszę się przespać z lady Brigidą, gdy w przeciwnym razie obrażona zabierze swój oddział i odjedzie? Już wolałbym to zrobić z Bulkezu. Albo z rumakiem lady Brigidy.

Bayan parsknął, ubawiony, ale potrząsnął głową i ruszył ku końcowi rzędu, w którym stały konie. Sanglant podążył za nim, uważając, by nie wdepnąć w świeże łajno. Noc była pochmurna, ale przyjemnie ciepła, mrok rozświetlały tylko ogniska straży, dwanaście lamp rozwieszonych dokoła królewskiego namiotu i odległa czerwona poświata stosu, na którym palono resztki trupów w Machteburgu. Na południu Sanglant widział rozproszone ognie obozowiska kupców na wzniesieniu dawnego fortu.

Bayan nie był tak wysoki jak Sanglant, ale szeroki w ramionach, i nie tłusty, jak niektórzy szlachcice w jego wieku. Zwrócił się do Sanglanta, ale ten w słabym świetle nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Tak więc, czy zgadzamy się, że Bulkezu zagraża Wendarowi?

- Oczywiście.

- Ta druga sprawa, o której wspomniałeś... ale nic nie widzę. Ognie armii Bulkezu płoną zbyt jaskrawo. Jakie ma znaczenie, czy twoi czarownicy spiskują, czy nie, jeśli mamy skończyć jako głowy dyndające przy qumańskich pasach?

- Prawda. Dlaczego więc mnie tu przyprowadziłeś?

- Porozmawiamy wprost. Ona nie ma twojej charyzmy, twojej sprawności w boju ani twojej inteligencji. Ale ty jesteś bękartem, a ja mężem Sapientii. Henryk wyznaczył ją, nie ciebie, na następcę tronu. A co, gdybyś dobył miecza i zażądał objęcia dowództwa nad wojskami? Może nie zamierzasz przeciągnąć jej żołnierzy pod swoje skrzydła, ale gdybyś to zrobił, dałbyś jej powód do wstydu. Jeśli zaś ją zawstydzisz, nie będzie miała innego wyjścia, jak wycofać się. Wtedy ja wycofam się również,

przyjacielu.

- Nie jestem przyzwyczajony, by rozkazywał mi ktokolwiek poza królem.

Bayan wzruszył ramionami.

- Jeśli się nie dogadamy, będziemy musieli podzielić nasze wojska.

- Będziemy mieli większą szansę pokonania Bulkezu, jeśli się zjednoczymy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Owszem.

- Wiesz również, jakie jest najrozsądniejsze wyjście. Jeśli to, co mówi Orzeł, jest prawdą, powinniśmy skierować się na zachód do Osterburga i tam założyć bazę wypadową, z której będziemy wyprawiać się na ludzi Bulkezu.

- Tak, ale to ja ożeniłem się z następczynią tronu Wendaru i Varre. I nie po to się z nią ożeniłem, żeby dawać sobą kierować bękartowi. Nie chcę obrazić ciebie ani twojej matki. Mówię ci tylko, jaka jest prawda, bo cię szanuję. Dobrze cię znam, Sanglancie. Zrobisz to, co najlepsze dla krain twego ojca.

Straceńcza odwaga, którą wypełniło go wypite mocne wino, uczyniła Sanglanta nierozważnym.

- Czy wiesz, Bayanie, że mój ojciec chciał, abym poślubił Adelheid z Aosty i został koronowany na króla w Darre?

- Twój ojciec to mądry człowiek. Zrobiłbyś lepiej, słuchając go, niż uciekając z tą wiedźmą. Wtedy ty walczylibyś w Aoście, a Henryk byłby tutaj i zajmował się wyganianiem Qumanów.

- Nie, przyjacielu, to nie takie proste. Tylko mały kroczek dzieli królowanie w Aoście od zostania następcą tronu Świętego Cesarza Dariyan.

- To tylko takie gadanie, jak sądzę. Nie ty jesteś mężem Adelheid, tylko twój ojciec. Nie tobie włożono na głowę królewską koronę, tylko twemu ojcu. A ty sikasz tu ze mną przy koniach w piękną letnią noc.

Bayan zręcznie ominął kupę śmierdzącego gnoju. Zupełnie jakby nie wypił ani kropli alkoholu, pomyślał Sanglant. Z pewnością nie wyzwaliłby go na pojedynek w picciu.

- No więc, Sanglancie? Powiedz mi, co zamierzasz. Zakwestionujesz władzę siostry czy poddasz się jej?

- Boże! Prosisz o zbyt wiele.

Odeszli kawałek. Ognisko rozpalone przez straż oświetliło krzywo uśmiechniętą twarz Bayana, na której widać było starannie skrywany gniew.

- Wendarska duma!

Przez szczelinę w chmurach widać było księżyc w nowiu, wznoszący się nad wierzchołkami drzew. Wiatr przyniósł na chwilę smród ze stosów, na których palono zwłoki. Sanglant potrząsnął głową. Bardzo się starał, by przypomnieć sobie, jak to było - być królewskim dragonem, poświęcającym życie, by zapewnić bezpieczeństwo Wendarowi - ale nie mógł do tego wrócić, już nie.

- To, co mówisz, ma sens, ale prosisz o zbyt wiele. Nigdy nie chyliłem głowy przed nikim prócz ojca. Mam to zrobić teraz? Nie, nawet przed tobą, Bayanie, a niewielu jest ludzi na świecie, których szanowałbym tak, jak szanuję ciebie.

Krzywy uśmieшек nie zniknął z twarzy Bayana. Jego wargi zadrgały, jakby w ataku złości, ale nie stracił kontroli nad sobą.

- Nie proszę, byś chylił swą szlachetną głowę, nawet przede mną, choć według prawa powinienes to uczynić. Ale połączmy nasze wojska, a przywódca może być tylko jeden i będzie nim Sapientia.

- Na litość boską, Bayanie, mówmy bez owijania w bawełnę, skoro nalegasz. Nominalnie byłaby to Sapientia, a faktycznie - ty. Tak, jak jest teraz.

- A dlaczego cię to trapi? Przecież będziesz miał tyle samo możliwości wpływania na jej opinię co ja.

Sanglant zaśmiał się szorstko.

- Ja nie dzielę z nią łoża. Broń Boże, niczego nie śmiałybym sugerować.

- Przyznaję, niełatwo nauczyć się kłaniać. Zgódźmy się więc, że Bulkezu musimy pokonać wspólnie, a potem pójdziemy każdy swoją drogą. Sapientia jest również margrabiną Eastfall, jak pewnie pamiętasz. Kiedy zostanie królową, mogę ją przekonać, by przekazała ci władzę nad tą prowincją. Chcę zobaczyć Bulkezu martwego, a Qumanów przegnać z powrotem na wschód, gdzie ich miejsce. I ty też tego chcesz, Sanglancie. Nie byłoby cię tu teraz, gdyby było inaczej. I nie zapomnę o twojej wendarskiej dumie.

Doszli do końca rzędu koni i zgodnie skierowali się ku stanowiskom straży.

- Ani o swojej cholernej ungryjskiej zarozumiałości!

- Henryk przyjął ofertę Ungrii, nie Salii. W ten sposób wiadomo, kogo poślubi jego najstarsze prawowite dziecko.

Nocne powietrze wreszcie rozjaśniło umysł Sanglanta. Zatrzymał się i odchylił głowę, obserwując chmury wirujące wokół księżyca.

- Nigdy przedtem nie miałem dzieci - rzekł cicho.

- Więc rozumiesz mnie teraz? - Bayan stał obok, też przyglądając się księżycowi, którego drżące światło pełzło wśród strzępów mgły. - Dziecko z mojej krwi wstąpi na tron Wendaru i Varre. Uważaj, czego uczysz swoją córkę, księżę Sanglancie. Wielki cesarz Taillefer od dawna nie żyje. Jego moc odeszła z nim do grobu. Ale żyją ci, pamiętający ucztę, której przewodził. Błagam, uważaj, nie chwal się tak otwarcie dzieckiem, które nauczyło się tych nęcących słów: „Jestem spadkobierczynią cesarza Taillefera”. Wilki są ciągle głodne.

### 3

Biedny lord Manegold! Próżny i powierzchowny, musiał nieść sztandar Bulkezu, gdy zjeżdżali ze swoich pozycji na szczycie urwiska, aby rozpocząć pertraktacje. Nie wyglądał na zachwyconego, mimo zachęcających słów, jakie Ekkehard wyszeptał mu do ucha, zanim został odeskortowany - z gwardią honorową trzymającą się blisko, w razie gdyby próbował ucieczki.

Wstępne negocjacje były męczące. Najpierw zwiadowcy, potem emisariusze wysyłani z obozu do fortu i z powrotem przekazywali różne żądania, propozycje i kompromisy.

Bulkezu przywdział pełen strój bojowy, ze skrzydłami lśniącymi w mocnym letnim słońcu. Zjechał ze wzgórza w towarzystwie stu wybranych jeźdźców z tyłu, lordem Manegoldem trzymającym sztandar z przodu i Hanną przy boku. Ręce Hanny były związane, jak na więźnia przystało. Boso ubrał się w najbogatsze szaty, jakie udało mu się ściągnąć z trupów i wyglądał równie dziwnie, jak wyglądałby pies biegnący przy nodze pana w bogato zdobionym płaszczu i obwieszony klejnotami.

W połowie drogi między linią urwiska a zewnętrzną palisadą fortu, na neutralnym terenie, ustawiono duży pawilon. Boczne ściany były uniesione w celu zapewnienia odpowiedniego przewiewu. Przy pawilonie czekało stu jeźdźców. Księżniczka Teophanu już przybyła; jej twarz wyrażała równie niewiele, co szczelina w hełmie Bulkezu. Tylko w skrzywieniu ust dało się wyczytać trudne do zinterpretowania emocje. Czekala na trawie w cieniu podniesionych skrzydeł namiotu, siedząc na krześle niemal równie ozdobnie rzeźbionym, co podróżny tron jej ojca. To było sprytne posunięcie - Bulkezu musiał podjechać do niej, jakby to on przychodził po prośbie. Diuk Konrad Czarny, stojący za plecami księżniczki, nerwowo przebierał palcami - podobnie jak Sanglant wołał walczyć niż stać w miejscu. Towarzyszyło im dwóch wysoko urodzonych asystentów, dziesięcio-, a może dwunastoletnia dziewczynka w pysznym stroju stojąca za pustym krzesłem obok Teophanu i trzech kelnerów, gotowych w każdej chwili podać puchary z winem.

Jeźdźcy Bulkezu zatrzymali się w dokładnie takiej odległości od pawilonu, w jakiej po drugiej stronie czekała jazda Teophanu. Sam Bulkezu podjechał bliżej z Hanną i Boso po lewej stronie, trzema kapitanami po prawej i Cherbu za plecami. Wiatr pogwizdywał w skrzydłach konnych i poruszał gryfimi skrzydłami, a światło odbijało się od metalowych powierzchni. Bulkezu zlustrował pozycje swoich i księżniczki oddziałów, i ustawienie krzeseł - jego, puste, dziesięć kroków naprzeciwko krzesła księżniczki, tak by siedzieli twarzą w twarz. Nadal był w hełmie, więc nie było widać jego twarzy. Spojrzał na Cherbu, który dał znak ręką. Dopiero wtedy Bulkezu, usatysfakcjonowany, zdjął hełm i rzucił go jednemu z kapitanów. Ten złapał go zrzęcznie.

Teophanu nie odezwała się. Konrad patrzył, niespokojnie przestępując z nogi na nogę, jak Bulkezu zsiada z konia i daje znak Hannie i Boso, że mają uczynić to samo. Inny kapitan ujął wodze ich koni i odprowadził zwierzęta na bok.

Oczy Hanny i Konrada spotkały się na chwilę. Jego fizyczna siła miała odbicie w śmiałym spojrzeniu. Miał bardzo ciemne, prawie czarne oczy - dziedzictwo jego jinnijskiej matki. Dziewczynka położyła dłoń na oparciu pustego krzesła i otaksowała Bulkezu pogardliwym spojrzeniem, podobnym do tego, jaki malował się na obliczu diuka. Także cera i rysy twarzy zdradzały, że jest jego córką.

Boso wystąpił do przodu.

- Jego Wysokość księżę Bulkezu wysłucha waszych prośb z zainteresowaniem i przychylnością, jako że jest hojny oraz tolerancyjny. Woli was najpierw wysłuchać, niż od razu zaatakować i roznieść w proch.

- Chce złota - mruknął Konrad ponuro.

Wyraz twarzy Teophanu nie uległ zmianie.

- Proszę, księżę Bulkezu, usiądź i pozwól, by nalano ci wina.

Boso tłumaczył, a Bulkezu wpatrywał się tępym wzrokiem w jakiś punkt między Konradem a Teophanu, doskonale udając całkowity brak zrozumienia. Kiedy Boso skończył, Bulkezu skinął na niego, by przyniósł składany stołek. Mebel uratowano z komnaty opata w płonącym monasterze, a uwagę Bulkezu przyciągnął dzięki głowom gryfów wyrzeźbionym po obu stronach podłokietników i inkrustowanym złotem. Na tym to stołku zasiadł Bulkezu. Skrzydła zaszeleściły, gdy uniesieniem ręki odprawił kelnera o kamiennej twarzy, który przyniósł mu srebrny puchar z winem. Puchar wziął Boso i wypił zawartość nieco zbyt szybko.

Na krześle obok Teophanu usadowił się Konrad. Troje negocjatorów mierzyło się spojrzeniem. Bulkezu pozwolił sobie na ironiczny uśmiech. Wreszcie Teophanu przemówiła:

- Powiedz swemu panu, że wolę szczere negocjacje. Oferujemy mu dwa tysiące funtów srebra za opuszczenie Wendaru i Varre.

Hanna zrozumiała tylko kilka z tłumaczonych przez Boso słów. Bulkezu nie zadawał sobie trudu, by uczyć więźniów swojego języka - w ten sposób Boso miał na nich większy wpływ, jako jedyny pośrednik w porozumiewaniu się. Gdy skończył, Bulkezu znów uniósł dłoń. Kolejny kapitan podbiegł, przynosząc złoty kubek wypełniony po brzegi sfermentowanym mlekiem kłaczy. Bulkezu popijał z namysłem, zanim odpowiedział. Boso przetłumaczył:

- Książę Bulkezu chciałby, abyście zrozumieli, że jego szlachetny brat, książę Ekkehard, jest w tej chwili więźniem własnej armii. Oto jego pierścień i chorągiew.

Pokazano pierścień i chorągiew, które następnie zostały zabrane.

Diuk Konrad zamruczał coś półgłosem. Córka poklepała go po ramieniu i szepnęła do ucha. Gest był tak czuły, że Hanna boleśnie zatęskniła za swoim ojcem.

- Pierścień i chorągiew można zabrać trupowi - odparła Teophanu, ani na jotę nie zmieniając wyrazu twarzy.

Boso nosił przy sobie krótki bicz, którego używał na krnąbrnych niewolników i odporne dziwki. Była to jego jedyna broń. Teraz ukłął Hannę w pośladek ręką; po to ją przyprowadzono. Hanna zrobiła krok do przodu.

- Znasz mnie, jak sądzę, pani. Zostałam wzięta do niewoli na zachód od Handelburga wraz z księciem Ekkehardem i jego czterema towarzyszami. Jeden z jego oddziałów udał się w tamtą stronę - wskazała Manegolda brodą, gdyż przeszkadzały jej związane ręce. - Przysięgam na mój honor i na królewskiego Orła, że książę Ekkehard żyje i jest w rękach księcia Bulkezu.

Teophanu odezwała się cicho do obsługujących ich kelnerów, którzy przynieśli więcej wina. Bulkezu znów odmówił, a Boso wypił wszystko.

- Trzy tysiące funtów srebra i sto złotych nomii w zamian za wasze opuszczenie tych ziem i oddanie nam Ekkeharda i jego towarzyszy. - Po raz pierwszy Teophanu zwróciła uwagę na Hannę, omiótłszy ją przelotnym, nieuważnym spojrzeniem. - I Orlicę.

Bulkezu odpowiedział. Boso przetłumaczył:

- Jego Wysokość nie weźmie okupu za Orlicę. Pięć tysięcy funtów srebra i tyle samo złota za księcia, i córka diuka Konrada jako nałożnica.

Głowa Konrada obróciła się błyskawicznie. Dziewczynka zeszywniała, oburzona i przestraszona. Tłumacz nagle wydał dziwny jęk, złapał się za brzuch i bez słowa rzucił się ku trawie. Nie przebiegł więcej niż sto kroków. Zgiął się wpół i zaczął wymiotować. Bulkezu nadal popijał swoje mleko. Na policzku drżał mu dołeczek i Hanna widziała, że z całej siły stara się nie roześmiać.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Konrad, przypatrując się cierpiącemu tłumaczowi. - Słyszałem plotki. Myślicie, że przywlekli zarazę?

- Może tak być, Konradzie - odezwała się Teophanu. - Tym bardziej trzeba się szybko zdecydować. Dziewczynka w zamian za ich odejście.

Podniósł się, zmieniony na twarzy.

- Sama go poślub, Teophanu. Od dawna brakuje ci chłopca.

- Kiedy mój ojciec wróci...

- Jeśli wróci.

- Kiedy mój ojciec wróci - kontynuowała, jakby jej w ogóle nie przerwał - zrobię to, co do mnie należy pod jego dowództwem. Teraz jest czas, byś ty wypełnił swoje zobowiązania i oddał dziewczynkę. Sytuacja jest desperacka.

- Będzie jeszcze bardziej, jeśli wycofam swe poparcie! - Im bardziej Konrad stawał się zły, tym głośniej mówił. Oboje już kłócili się podniesionymi głosami. - Czemu mam cię wspierać, Teophanu? Dlaczego mam w ogóle bronić Wendaru? Zdaje się, że twój ojciec porzucił nas na rzecz cesarskich uczt w Aoście!



Wyprowadził armię z Wendaru, opróżnił moje magazyny i pobrał wszystkie kontyngenty, więc jak masz zamiar pokonać najeźdźców...

- Na litość boską, panie, pani! - zawołała Hanna. - On rozumie każde słowo!

Nigdy nie widziała, by ktoś poruszał się tak szybko. Uderzył ją w twarz. Mocno, bardzo mocno. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. W gardle czuła palący, kwaśny smak, przed oczami tańczyły mroczki. Nie czuła w ogóle nóg. Z oddali słyszała kaszel Boso. Cały czas wymiotował.

- Nie robiłbym tego, diuku Konradzie - rzekł Bulkezu przyjaźnie. - Płaszcz utkany przez brata chroni mnie, a nie zawaham się dać sygnału, jeśli poczuję się zagrożony. Mogę przysłać wam głowę księcia Ekkeharda o, tak - pstryknął palcami - jeśli tego właśnie sobie życzycie. Może zauważyliście, że jest ze mną Judith z Austrii, która daje mi siłę? Nie poznajecie jej?

Hanna nadal nie była w stanie poruszyć ręką czy nogą, ale jej słuch powoli wracał do normy.

- O Boże... - jęknął Konrad cicho. - Na litość boską. Milo, zabierz moją córkę z powrotem do fortu. Natychmiast.

Po krótkim proteście kroki śpiesznie oddaliły się.

- Smuciłaby mnie śmierć brata - odezwała się Teophanu, jak gdyby nigdy nic; jakby wraz z Konradem nie zdradzili swoich tajemnic, jakby Bulkezu nie nabrał ich na najstarszą sztuczkę świata. Jakby wewnętrzne kłótnie Wendarczyków nie stanowiły największej słabości. - Tak jak żałuję margrabiny Judith. Niestety, księżę, zrozum mnie dobrze: on jest dopiero trzecim dzieckiem króla Henryka.

- Raczej czwartym. Czy któreś z dwojga starszych zmarło?

Hannie wróciło czucie w palcach. Podłożyła związane ręce pod plecy i spróbowała się unieść. Zakręciło jej się w głowie i o mało nie zwymiotowała. Musiała przyklęknąć. Widziała cztery postacie Konrada i Teophanu, potem osiem, aż wreszcie z wolna jej oczy znów ukazywały tylko dwie postaci.

- Sądzę, że powiedzieliśmy więcej, niż trzeba, by otrzymać rekompensatę - stwierdziła Teophanu. - Oddaj mi Orlicę. Nie będziesz z niej miał żadnego pożytku.

- Skąd możesz wiedzieć, z czego będę miał pożytek? - Bulkezu wydał rozkaz w swoim języku.

Prawe oko Hanny tak spuchło, że niemal na nie nie widziała, a cała prawa strona twarzy boleśnie pulsowała. Zakaszła i splunęła krwistą śliną. Nagle ktoś ją złapał i brutalnie postawił na nogi. Tego było zbyt wiele. Zwymiotowała, ale trzymający ją mężczyzna nie zważając na to, pociągnął ją za sobą. Walczyła z ogarniającą szarością. Czy to Teophanu poprosiła beznamytnym głosem o zwrot Orlicy? Z trudem oddychała. Usłyszała jeszcze zniechęcony głos Bulkezu, a potem zemdląca.

- Pięć tysięcy funtów srebra, tysiąc złota, a objadę Barenberg i zostawię ziemie dookoła nietknięte.

Obudził ją dotyk rąk przykładających okład na jej pulsujący policzek. Okład był zimny, piekący i pachniał musztardą. Udało jej się otworzyć jedno oko. Była przerażona. Sądziła, że drugie jest wylupione, ale to opuchlizna uniemożliwiała jego otwarcie.

Obok niej siedział Cherbu, nucąc pod nosem. Trzymał kubek przy ustach Hanny. W nosie poczuła gorącą parę, a aromat trochę złagodził ból głowy. Udało jej się przełknąć odrobinę bulionu i nie poczuć mdłości. Uniosła się na łokciu i wypila resztę. Światło w małym namiocie rozszczępiło się na setki kolorów. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że leży na owczej skórze w pozszywanym z kawałków namiocie szamana, na jakimś wozie. Ziemia znów niebezpiecznie się zakotyła, a sufit zadrżał, gdy ruszyli. Cherbu wysliznął się na zewnątrz. Zanim zasłona opadła na swoje miejsce, Hanna zdążyła zobaczyć kilku jeźdźców i drzewo, przez którego liście przeświecało słońce. Wóz trząsał się na wybojach, ale mimo to zapadła w niespokojną drzemkę, choć budziła się za każdym razem, gdy pojazd wpadał w nierówności terenu. Co jakiś czas Cherbu wracał, by zmienić jej okład lub dolać bulionu. Dziwne, ale mimo niewygód tej podróży czuła się coraz lepiej, a nawet udało jej się wreszcie otworzyć prawe oko. W gruncie rzeczy, gdy wóz się zatrzymał, była w zupełnie dobrym nastroju. Usłyszała znajome odgłosy - rozbijano obóz. Ściągnęła okład z twarzy i ostrożnie wypełzła na zewnątrz. Musiała się wysikać i rozejrzeć po okolicy.

Nogi i ramiona były sprawne, twarz nadal bolała, choć Hanna mogła już swobodnie otwierać oczy i poruszać mięśniami policzka. Znalazła ustronne miejsce z przodu wozu i załatwiła swoje potrzeby. Następnie zlustrowała okolicę. Starła się zapamiętać jak najwięcej. Widziała żołnierzy, bydło, szeroką polanę otoczoną lasem.

„Może o niej zapomnieli?“, pomyślała. Szybko się jednak zmytygowała.

A może nie.

Cherbu nadszedł z nowym kubkiem gorącego bulionu. Wypiła z wdzięcznością. Teraz odczuwała już głód. Żołądek cicho zaburczał. Cherbu skinął ręką, więc poszła za nim do okrągłego namiotu,

wzniesionego obok chorągwi Pechanek. Wyszedł z niego Bulkezu z kpiącym uśmiechem na twarzy, jednak jego oczy były zimne. Ku zdziwieniu Hanny towarzyszył mu Boso. Wyglądał dużo lepiej, niż kiedy widziała go wymiotującego podczas negocjacji. Może cieszył się na myśl o karze, jaka ją czekała.

- Powinnaś się bać, kobieto. Jego Straszliwość ma już dość twojego nieposłuszeństwa i słów pozbawionych szacunku.

Czyżby Boso nie wiedział, co stało się podczas rozmów? Nie zdawał sobie sprawy, że Bulkezu go rozumie? Czy to ona była głupia, myśląc cały czas, że Boso nic nie wie? Zachwiała się, bo znów zakreśliło jej się w głowie; starała się za wszelką cenę utrzymać równowagę. Była to kwestia jej godności.

- Skończyła się jego cierpliwość. Bardzo go rozzłościłaś.

Cisza przeciągała się. Hanna zaczęła odczuwać zimny strach.

Kilku niewolników przypatrywało się z ciekawością, ale strażnicy Bulkezu odpędzili ich. Bulkezu nie zależało na publicznych pokazach - pod tym względem różnił się od wendarskiej szlachty, której faworyci byli wywyższani, a potem spychani z piedestału zawsze na środku dziedzińca, by każdy mógł się przyglądać. On załatwiał swoje sprawy bez publiczności.

Boso zachichotał. Najwyraźniej tak go podekscytowała perspektywa ostatecznego ponizenia Hanny, że aż darował sobie wszelki sarkazm.

- Możesz zachować swój strój i płaszcz Orła, żeby nikt nie zapomniał, kim jesteś, ale wszystkie inne ochrony książę Bulkezu usunie.

- To znaczy odda mnie księżniczce Teophanu? - spytała Hanna chrapliwie.

Boso ryknął śmiechem. Wyraz twarzy Bulkezu nie uległ zmianie. Czterech strażników wystąpiło do przodu. Jeśli będzie się szarpać, zobaczą, jak bardzo jest przerażona. Czy szczęście Sorgatani nie obroniło jej? Czy kerayicka szamanka nie będzie jej strzegła? Popatrzyła za Cherbu, ale ten zniknął już wśród drzew. Czy naprawdę liczyła na jakikolwiek ratunek inny niż łaska Bulkezu, na którą teraz nie mogła już liczyć?

- Uważałaś, że jesteś lepsza od innych - powiedział Boso.

- A ty nie? - mruknęła ledwo słyszalnie. Mówienie bolało. Otoczyli ją obojętni strażnicy ze wzniesionymi lancami. Zrobiła krok do tyłu, zarumieniona i spocona; słońce wyszło zza chmur i grzało z całą siłą.

Krok po kroku cofała się przed strażnikami. Zdała sobie sprawę, że spychają ją, jak krowę albo owcę, ku żalosnemu tłumowi niewolników, rozrzuconych niczym więdnące kwiaty po całej polanie. Nie była już honorowym zakładnikiem, modelowym więźniem, tylko jeszcze jednym nieszczęsnym niewolnikiem zmuszonym do wleczenia się za wojskiem, tuż przed lancami tylnej straży. Większość pokładła się w trawie, próbując osłonić głowę przed palącym słońcem. Niewielu przeżyło noc rzezi i może z tego powodu zaraza nie pojawiła się znowu. Bulkezu pognał przed siebie, zostawiając ją, nadal jednak chwycił ludzi i kazał im iść za sobą - dla rozrywki, by mieć się nad kim znęcać, czy jakiegokolwiek innego chorego powodu. Kilku jednak podniosło się i patrzyło, jak wpychają między nich Hannę.

Bardziej niż cokolwiek innego uderzał smród niemytych ciał, sączących wrzodów, kałuż odchodów, moczu i rzygowin otaczających najsłabszych. Wszędzie brzęczały muchy, żerując na zaropiałych oczach i rękach pokrytych skorupą brudu. Z pewnością czaiła się tu zaraza, czekając, by uderzyć znowu, jak w tamtą straszną noc. Tak, Hanna bała się zarazy bardziej niż Bulkezu.

Mężczyzna z podbitym okiem i zwisającymi na podbródku fałdami skóry uniósł się z ziemi i splunął w jej stronę.

- Dziwka! Wreszcie dostałaś, co ci się od dawna należało. Mam nadzieję, że ten demon sprawił ci trochę przyjemności, bo tu jej nie znajdziesz.

- Spróbuję, jak smakują resztki po nim! - Jego towarzysz, wysoki obszarpaniec, wyciągnął rękę, by złapać Hannę za ramię. Uchyliła się, cudem dostrzegła porządny kij leżący w trawie i złapawszy go, walnęła mężczyznę w twarz. Był od niej dużo większy, ale głodny, a ona nie. Zataczając się, odstąpił i ciężko usiadł na ziemi. Policzek Hanny pulsował bólem, ale nie mogła tu okazać żadnej słabości. Nikt się jednak nie zaśmiał, nie zaprotestował czy w ogóle zareagował. Większość była zbyt chora i wyczerpana, by czuć cokolwiek - nawet nienawiść. Qumańscy strażnicy odeszli, zostawiając Hannę z bólem pulsującym w głowie i spuchniętej twarzy w środku tłumy.

- Też jestem więźniem, prostym człowiekiem z Wendaru, jak wy. Królewskim Orłem, pojmanym na wschodzie...

Człowiek umierający z głodu może żywić się nienawiścią, jeśli nie ma nic innego.

- Dziwka i zdrajczyni - odezwała się apatycznie jedna z kobiet. Przy piersi trzymała kłęb brudnych szmat. Gdy się poruszyła, Hanna zobaczyła wyniszczone dziecko z oczami zlepionymi wyschniętą ropą.

Muchy łąziły po jego bledziutkiej twarzy, ale ani dziecko, ani matka nie miała siły, by je odegnąć.

W pewnej odległości od obozu płynęła rzeka. Pachniało wodą, choć drzewa zasłaniały jej widok. Większość więźniów patrzyła teraz na Hannę, porządni Wendarczycy, jak ona sama.

- Kiedyś będziesz musiała spać. - Wysoki mężczyzna zakaszał i wsparł się na dłoniach, łapiąc oddech. Kiedy się uśmiechnął, zobaczyła, że brakuje mu wszystkich przednich zębów.

- Nie rozumiecie? - zwróciła się do pozostałych. - Im więcej się kłócimy między sobą, tym łatwiej mu panować nad nami!

Nikt nie odpowiedział. Po jakimś czasie wysoki mężczyzna i jego towarzysz powlekli się w inne miejsce na brzegu grupy. Pozostali byli zmęczeni, głodni i apatyczni. Po prostu położyli się na ziemi i zamknęli oczy.

Qumańscy strażnicy nie przeszkadzili Hannie nabierać trawy. Po kilku nieudanych próbach uplotła płaski koszyk i ozdobiła go liśćmi. Wąska leśna ścieżka prowadziła na brzeg rzeki. Hanna przykłękała na płyciznie. Patrząc w górę koryta, widziała tylko las, ale daleko w dole dostrzegła smugę dymu wzbijającą się ku niebu. Czy Bulkezu przyjął ofertę Teophanu i pojechał dalej, omijając Barenberg? Dziś nie toczyły się żadne walki, a rzeka była dość szeroka, by rozpoznać ją jako potężną Vesper, płynącą na zachód do Morza Bursztynowego.

Koszyk był szczelny i mogła zanieść wodę tym, którzy byli zbyt zmęczeni albo zanadto bali się Qumanów, by sami mogli dojść do rzeki. Najlepiej zacząć od najsłabszych. Nie mieli siły pluć na Hannę i przeważnie byli wdzięczni za wodę. Jednak gdy podeszła do matki z chorym dzieckiem, na początku spotkała się z podejrzliwością.

- Czego ode mnie chcesz, dziwko? - warknęła kobieta, odsuwając się. - Nie dość mnie jeszcze pokarała ta bestia?

- Jestem więźniem, tak jak ty - powtórzyła Hanna. - Prawda, byłam traktowana lepiej, bo dawano mi jeść i pozwolono jechać konno. Ale to nie dlatego, że byłam księżką dziwką...

- Wendarski księżę? - Gniew rozgorzał w oczach kobiety, dając jej nową siłę. - Niektórzy mówią, że to syn króla we własnej osobie podróżuje z bestią. To prawda?

- Tak, to Ekkehard. Syn Henryka. - Nie był to najlepszy sposób, by przekonać tych nieszczęśników, że nie jest zdrajczynią, ale Hanna nie widziała powodu, by ukrywać przed nimi swą tożsamość.

Kobieta splunęła. Może Qumanowie zostawili ją w spokoju z powodu brodawki na nosie, a może została zgwałcona i porzucona podczas ataku na jakąś wioskę, w której miała pecha mieszkać.

- Królewski syn prędzej by dał się zabić, niż zdradził! - Wypiła łyk ofiarowanej wody. Chłopczyk też, ale nie mógł otworzyć oczu. Jego pojękiwania rozdzierały Hannie serce.

- Masz, zamoczyłam róg płaszcza w wodzie. Może wytrzymy mu buzię.

- Jak chcesz - odparła kobieta głucho - ale on i tak umrze. Moje biedne dzieciątko, nic nas już nie uratuje. Jeśli nie zabije nas bestia i jego ludzie, umrzemy z głodu albo od zarazy. Słyszałam, że na południe stąd plaga jest wszędzie. Gdybyśmy umarli tu i teraz, byłaby to łaska boska.

- Co ty mówisz?! - zawołała Hanna, wstrząśnięta.

- Lepiej umrzeć z głodu albo z poderżniętym gardłem niż na zarazę. Widziałas trupy? Słyszałam od kuzynki, dwa lata temu widziała człowieka, który zmarł od zarazy niedaleko ich wioski. Rzucono go na pożarcie psom, nikt nie miał odwagi go dotknąć, nawet diakon. Powiedziała, że najpierw dostajesz dreszczy i siniejesz, a umierający krzyczą, że coś ich zjada żywcem od środka, taki jest ból. A potem demon, który siedzi w tobie, wypluwa wszystko przez twoje usta, nos, oczy, skórę, tyłek. Krew, smarki, gówna, wszystko, co zeżarł i skażił swoją trucizną...

- Dosyć! - przerwała ostro Hanna. Ludzie zbliżyli się, by posłuchać i niektórzy zaczęli pojękiwać ze strachu. - Moja matka zawsze mówiła, że nie ma co przejmować się rzeczami, na które nie mamy wpływu.

- Twoja matka żyje? - spytał jeden z więźniów.

- Modłę się, by tak było. Jest w północnej marchii...

- Aha! - odezwał się chudy starzec z iskierką ciekawości ledwo migoczącą w oczach. - To tłumaczy twój akcent i te jasne włosy. Jak zostałam królewskim Orłem?

- Sądzę, że tak, jak każdy. Szukali Orła, a ja byłam akurat na miejscu.

Kilka osób zachichotało. Hanna nadal wycierała twarz dziecka, próbując usunąć zaschniętą ropę z jego oczu.

- To dlaczego cię schwytali? - spytała matka.

Już jakieś pięćdziesiąt osób do nich podeszło i przysłuchiwało się rozmowie. Byli tam też dwaj mężczyźni, którzy wcześniej ją napastowali; przypatrywali się z gorzką, nieustępliwą nienawiścią, jakby

to ona była odpowiedzialna za wszystko, co stracili i przecierpieli.

- Od ubiegłej zimy podróżowałam ze wschodu. Wyjechałam z Handelburga na rozkaz księżnej Sapientii, następczyni króla Henryka, aby mu donieść o qumańskiej inwazji. Złapano mnie w lesie, podczas burzy śnieżnej.

- I od tamtej pory cały czas byłaś z bestią?

- Tak - przyznała, znów mocząc róg płaszcza w wodzie. Nie widziała, kto zadał pytanie.

Wysoki mężczyzna przepchnął się do przodu, opierając się na trzymanym w ręce kiju.

- I przez ten czas nie spałaś z bestią? To jakim cudem jesteś taka domyta i nakarmiona, Orlico? I skąd masz ten pierścień?

Uderzył szybciej, niż się spodziewała. Pierwsze uderzenie odbiło się od jej skroni. Upadła, słysząc krzyk kobiety z dzieckiem. Wsparła się na rękach, co znowu wywołało falę palącego bólu w oku i całej głowie. Macając na oślep, znalazła swój kij i podniosła go, w porę, by zablokować następny cios. Kij złamał się. Hanna odpełzła na bok. Mężczyzna walił kosturem w trawę po prawej i po lewej. Czując narastającą wściekłość, rzuciła się do przodu, zwalając go z nóg. Zaczęli się szarpać. Oset ukłął Hannę w plecy; wysliznęła się i z całej siły przycisnęła twarz mężczyzny do kłującej rośliny. Krzyknął, zadrżał i znieruchomiał. Dzięki Bogu za dawne bijatyki z jej starszym bratem Thanmarem. Dzięki Bogu, że przeciwnik był osłabiony przez głód. Oddychając ciężko, podniosła jego kij i wstała, patrząc na dygoczącego towarzysza swego wroga. Qumańscy strażnicy przypatrywali się beznamiętnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Twarz Hanny pulsowała. Co z obietnicą, którą Bulkezu złożył Władczyni Sów, że nie stanie się jej żadna krzywda? Krew ciekła ze skroni, gdzie trafił ją kij przeciwnika, a ucho boleśnie rwało.

- Jestem królewskim Orłem, do cholery! - wykrzyknęła szorstko - i dostałam pierścień z rąk króla Henryka, w podzięce za moje usługi! Cokolwiek mi uczynicie, uczynicie to królowi!

- A gdzie jest król? - zwrócił się do niej towarzysz wysokiego mężczyzny; widać było, jak schudł, tunika wisiała na nim jak worek. - Dlaczego nie przybył nam na pomoc?

Inni więźniowie, którzy podeszli, by zobaczyć bójkę, poparli jego słowa.

- My tu cierpimy, a gdzie jest król?!

- Nie wiem - przyznała. Ale domyślała się, gdzie może być, choć nie chciała mówić tego tym ludziom. Korona cesarza Taillefera nie zrekompensowałaby im utraty wszystkiego: spalonych domów, stratowanych pól, zgwałconych córek i siostr, zaszlachtowanych mieszkańców miast. - Nie wiem. Ale wiem jedno, przyjaciele. Wszyscy zginiemy, jeśli najsilniejsi z nas nie pomogą najsłabszym.

- Łatwo ci mówić! Jadłaś jak królowa i wysypiałaś się na jego jedwabkach. Może teraz cię wyrzucił, ale byłaś, czym byłaś!

Dźgnęła końcem kija w jego mostek, aż cofnął się o pół kroku. Nikt się nie roześmiał ani nie odezwał. Panowała cisza.

- Prawda, jadłam, co mi podano, i było to lepsze jedzenie niż to, czym karmią was. Ale nigdy nie spałam w jego jedwabkach. Nigdy mnie nie zgwałcił.

Opuściła kij, trzymając go jednak w pogotowiu i odwróciła się, eksponując odznakę Orła.

- Nie śmiał mnie tknąć...

Zawahała się. W ich twarzach widziała dziwne połączenie nadziei i cynizmu. Co oni wiedzieli o kerayickich kobietach i szamankach, które miały ciała pół kobiet, pół klaczy?

- Nie śmiał mnie tknąć, bo nie odważył się obrazić króla Henryka. To, co zrobiłby mnie, zrobiłby królowi. On wie, że w końcu król się zemści. Za mnie. Za nas wszystkich.

Tak, jak zrobiłaby to ona.

W tym momencie wiedziała już, co robić. Bulkezu zapomniał o jednej rzeczy, kiedy wyrzucił ją ze swego namiotu.

- Ale król potrzebuje naszej pomocy. A ja potrzebuję waszej.

Strażnicy nie próbowali jej przeszkodzić, gdy zbierała drewno na opał na skraju lasu, choć prawdopodobnie uważali, że jest szalona, jeśli planuje rozpalić ognisko w taki upał, zwłaszcza że nie miała nic do upieczenia nad ogniem. W zapadającym zmroku ułożyła patyki. Wyrwała wełnianą nić z rękawa tuniki i owinęła dokoła gałązki. Cierpliwie tarła, aż kawałki kory i suche liście rozgrzały się i pojawił się dym, a potem ogień. Płomienie były coraz większe. Więźniowie zebrali się wokół, zasłaniając widok strażnikom. Stary mężczyzna rozpoczął opowieść.

- Tak rozpoczyna się historia Sigisfrida, który zdobył złoto Hevelli. Był synem wilczyicy i wojownika...

Hanna siedziała przy ogniu ze skrzyżowanymi nogami, pozwalając płynąć opowieści. Pod czujnym

okiem Bulkezu nie odważyłaby się użyć Orła, ale tu, wśród więźniów, była wolna.

Nie patrz na nic, nawet na płomienie, powiedział jej Wilkun. Łączy nas cisza, będąca u źródła wszystkich rzeczy.

- Liath - szepnęła. Ogień zadrżał i na moment ujrzała niewyraźne cienie mężczyzn w zbrojach, usłyszała szcęk broni, ale wizja zaraz rozmyła się w płomieniach. Liath nadal była przed nią ukryta. Czy żyła? Czy wszyscy, na których jej zależało, byli martwi?

- Boże - szepnęła znowu. - Ivar, znajdę cię wreszcie? Gdzie jesteś?

Kłoda wrzucona do ognia buchnęła błękitnym płomieniem. Czy to kobiety poruszały się w ogniu? Królowe spacerujące pod cmentarnym wzgórzem, jedna młoda, druga stara, trzecia złota jak słońce; ale ich dłonie były puste, a kamienny wzrok świadczył, że są odwiecznymi boginiami: Łowczyni, Obfita i Bezzębna Wiedźma, która przecina nić życia. Ivara tam nie było.

Chwilę siedziała pogrążona w smutku. Ktoś znów dorzucił do ognia i płomienie podskoczyły, wesoło trzaskając.

*Jest sową, prześlizgującą się nad wierzchołkami drzew, szukającą tego, co straciła. Porywisty wiatr niesie ją na wschód, gdzie trawa rośnie na wysokość człowieka. Dwa gryfy czają się na skraju piaszczystego łądu, zbliżając się do zdobyczy.*

*W oddali lśnią namioty, ale wzrok Hanny przykuwa błędząca po pustyni kobieta. Tu, wśród ludu Bwr, Sorgatani nie potrzebuje welonów czy innych masek. Idzie i przemawia z pasją do swej towarzyszki. Hanna nigdy przedtem nie widziała szamanki Bwr tak wyraźnie: lśniąca, szara maść klaczy i kremowa skóra kobiety. Twarz i górną część ciała ma pomalowane w zielono-złote pasy. Spiczaste uszy, porośnięte sztywnymi czarnymi włosami, wystają spośród rozpuszczonych włosów, które opadają jak srebrna fala aż tam, gdzie tułów gładko przechodzi z kobiecych bioder w klatkę piersiową klaczy. W rękach trzyma luk, rogowe wygięcie rzeźbione w podobizny białych smoków.*

- Dlaczego nie możemy zaatakować? - pyta Sorgatani zdenerwowana, żywo gestykulując. - Wiążąc ją, spluwa na nas!

- Miała szansę, by do ciebie przybyć - odpowiada rozmówczyni. - Teraz ponosi konsekwencje swego wyboru.

- Nie można jej uratować? Tak mało jest warta nasza magia?

*Szamanka potrząsa głową ze smutkiem, jak kapłanka patrząca na ruiny niegdyś świętego kościoła.*

- Nie zapominaj, że magia chroni również jego. Nie jesteśmy już tym, czym byliśmy. Zaraza przerzedziła nasze szeregi. Jesteśmy najsłabsi od wielu lat, więc musimy postępować ostrożnie. Nie możemy się odstąpić zbyt wcześnie. Ale nie lękaj się. - Spogląda ostro w górę. - Kto na nas patrzy?!

*W chwili, trwającej tyle co jeden oddech, Hanna widzi Wilkuna ze zmarszczonymi brwiami, przyglądającego się jej przez płomienie. Znika nagle, jakby starty z tabliczki. Płoną lampy, jaśniejsze punkty w skaczącym ogniu.*

*Do jej uszu dobiega znajomy głos. Słyszała go tak często, że teraz jest zaskoczona, iż po tylu miesiącach znów słyszy księcia Bayana:*

- Jeśli Bulkezu jedzie na północ wzdłuż Vesper, co powstrzyma go przed ominięciem tego miasta szerokim łukiem i kontynuowaniem, jak sugeruje książę Sanglant? Bulkezu może pozostawić niewielkie siły obozujące za murami i w ten sposób przekonać księżną Rotrudis, że miasto jest oblegane. Jeśli mu się uda, księżna nie ruszy przeciwko niemu, aż będzie za późno - dla niej i dla Saony.

*Zamazane kształty, zbyt niewyraźne, by je rozpoznać, przesuwały się wśród płomieni. Żadna twarz nie jest znajoma, ale bezbłędnie rozpoznaje głos następnego mężczyzny. To Sanglant:*

- A on może w tym czasie niszczyć do woli. Albo uderzyć na zachód, zanim jeszcze dotrze do Osterburga i ruszyć na Kassel czy centralne tereny Rhowne, niedaleko Autun. W takim razie moglibyśmy liczyć jedynie na to, że wyladuje całą swoją furię na zachodzie, pustosząc Salię.

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, książę?

*Jakim cudem zbrali się razem? Ilu ich było? To był z pewnością głos kapitana Thiadbolda, jednego z Lwów. Siedzące postacie zasłaniają go, ponura grupa wojowników na naradzie wojennej. Światło lamp oślepia ją, więc może polegać tylko na tym, co słyszy.*

- Wyruszyć jak najszybciej i próbować dotrzeć do Osterburga przed nim.

*Głos zanika, kiedy ktoś chwyta Hannę za ramię i odciąga do tyłu. Przez moment widzi czarnowłose dziecko śpiące na stosie futer. Wydaje się, że biało-niebieski płomień pali się w sercu dziecka, skręcając się i sycząc, jak żywa istota.*

- Liath - szepnęła, budząc się z transu. Syczący dźwięk narastał. Upadła, w ostatniej chwili podpierając się na rękach.

Po drugiej stronie ogniska siedział Cherbu. Gwizdnął cicho i płomienie w jednej chwili skurczyły się i znikły, pozostawiając tylko żarzące się węgielki i warstwę popiołu. Chłodny wiatr poruszył koronami drzew. Gdzieś daleko zawył przejmująco wilk.

- No więc... - Bulkezu nachylił się nad nią, ściskając za ramię. Wiedziała, że tym razem nie puści, dopóki się nie dowie. - Gdzie ona jest?

Wszyscy więźniowie odsunęli się na bezpieczną odległość albo udawali, że śpią. Nie mogła ich winić za to, że ją opuścili; i tak by nic nie poradzili. Udało im się uniknąć kary. Nocna straż stała w oddaleniu, słabo widoczna w ciemności. Zauważyła ich tylko dzięki rozproszonemu światłu młodego księżycy.

Z najbliższego drzewa zwisał na sznurze strach na wróble, okręcając się dookoła własnej osi.

Nie... To nie strach na wróble, lecz człowiek. Poznała go po ubraniu...

Boso, powieszony za szyję.

Zahuczała sowa, lecz nie widać było śladu ptaka. Może to tylko pozostałość wizji, którą zobaczyła w płomieniach? Może nadzieja w połączeniu ze strachem sprawia, że widzisz te półprawdy, dzięki którym życie staje się znośniejsze? Inaczej pozostałoby tylko położyć się i umrzeć.

Bulkezu znów przemówił, zaciskając mocnej dłoń na jej ramieniu. Jego oddech, pachnący mięta, połaskotał jej policzek tam, gdzie wcześniej ją uderzył.

- Gdzie jest Liathano, czarodziejka, która potrafi przywołać ogień niszczący cały pałac?

Schwytana w pułapkę. Pokonana. Może to wszystko było sztuczką mającą odsłonić jej niewielką moc, zwaną Orłem?

Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że jej ramiona drżą. Chciała, by uwierzył, że to w poczuciu ostatecznej klęski. Pomyślała o Ivarze, jak śmiał się z własnych głupich żartów; jak chowali się razem w gałęziach dębu, żeby wyspać koszyk sosnowych igieł na jej brata Thancmara i jego ukochaną; o wyprawie do domu starego Johana, by ratować rudego kurczaka; niekończące się wyścigi na łące, kiedy ją pocałował po raz pierwszy i ostatni, zanim zjawiała się Liath i nieświadomie go usidliła.

Kiedy wystarczająco dużo łez napłynęło jej do oczu, opuściła dłonie.

- Osterburg - wyszeptła. - Jest w Osterburgu.

## Rozdział szesnasty W MROK

### 1

Róg była martwa, a jej dusza odeszła w mrok. Dookoła rozlegały się jęki i płacz, ale Adika usiłowała zachować spokój. Widziała coś ulatującego spiralnie do góry - czy to była dusza Roga? Czy rzeczywiście słyszała grzmiący głos Szu-Szy? Czy mieli jakąkolwiek szansę pokonać Przeklętych, jeśli Wiedzącą uwięziono?

Alain ukląkł przy Rogu, ale zanim zdążył dotknąć bezwładnego ciała, młoda praktykantka gwałtownie odsunęła jego rękę.

- Szu-Sza wzywa nas na pomoc - rzekł Dwa Palce. - Ale jakże mogła to zrobić z tak wielkiej odległości poprzez ciało Roga?

Nie było czasu, by roztrząsać takie pytania.

- Musimy się śpieszyć, jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę uratowania Wiedzącej - odezwała się Adika. - Róg mówiła o ścieżce, którą możemy pójść.

Dwóch ludzi Roga podeszło i powiedziało coś ściszonymi głosami do Laoiny.

- Chodźcie. - Kobieta Akka wprowadziła ich do tunelu oświetlonego chwiejnym światłem pochodni. Dwa Palce obejrzał skaleczoną rękę Alaina. Zdziwiony potrząsnął głową.

- Goi się - wymamrotał, po czym uściśnął dłonie Adiki. - Powodzenia, siostrzyczko.

Zniknął błyskawicznie, a wraz z nim światło pochodni. Prawdopodobnie już go nigdy nie zobaczy. Powstrzymała jęk bólu. Mrok szarpał ją swymi pazurami, obnażając lęk, który tyle czasu starała się

ukryć. Teraz też walczyła bezgłośnie, spychając go w podświadomość, by jej nie zdradził.

Laoina odezwała się w ciemności, mówiąc językiem ludzi Roga. Odpowiedział jej mężczyzna, a Laoina przetłumaczyła:

- Ta osoba przychodzi, aby nas poprowadzić. Musimy zejść na dół, do serca ziemi. Są tam ścieżki nieznanie ludziom, gdzie żyje lud Burzanu. Oni zaprowadzą nas nieoglądanymi drogami do fortu plemienia Szu-Sza.

Nastąpił jeszcze jeden szybki dialog, po czym Laoina kontynuowała:

- On mówi, że tam, dokąd idziemy, nie możemy zabrać psów. Musimy je zostawić.

- Nie zostawię psów - sprzeciwił się Alain, nie podnosząc głosu.

Laoina westchnęła rozdzierająco, gdy niewidzialny mężczyzna znów przemówił.

- Mówi, że w takim razie ty też musisz zostać.

Czy Alain opuściłby ją, by zostać z psami? Adika odepchnęła tę złą myśl.

- Ja też nie pójdę, jeśli on zostanie. Stwórzcie taką drogę, żebyśmy mogli zabrać psy.

Wybuchła kłótnia. W ciemności rozlegały się coraz bardziej żywe głosy i szepty.

- Nie podoba im się upór - wytłumaczyła Laoina. - Mówią, że znają górskie drogi, a wy nie. Pytają, czy zamierzacie narażać wszystkie przyszłe pokolenia dla dwóch psów i tego mężczyzny?

- A któż wie, czy oni nie są ważniejsi? - Jej własna nauczycielka odezwała się władcym tonem, za który wielu ludzi Jelenia jej nienawidziło. Adika postępowała inaczej, ale teraz postanowiła zrobić to, o czym wiedziała, że skutkuje. - Czy zostawimy człowieka, którego być może obserwuje potężniejsze oko niż wzrok śmiertelników? Jeśli chce iść tylko z duchowymi przewodnikami, niech tak będzie. Znajdźcie jakiś sposób, i to szybko.

Zapadła cisza, w której było słychać tylko przytłumione tłumaczenie Laoiny. Ciche kroki oddaliły się.

- Błagają o wybaczenie, o Wybrana. Musimy poczekać, aż przyniosą, co jest potrzebne.

Alain objął ją. Położyła głowę na jego piersi i zamknęła oczy, mając nadzieję na odrobinę spokoju. Nie odzywał się. Nie musiał. Zostanie z nią do końca. Tak jej obiecała Wiedząca. Smutek i Furia łączyły się do niej, wpychając mokre nosy między fałdy spódnicy. Laoina przestąpiła z nogi na nogę, stukając trzonkiem włóczni w podłogę. Czekala. Dźwięk usypiał Adikę, silne ciało Alaina Było przy niej; nucił cicho, cierpliwy jak wiatr. Niech ta chwila trwa wiecznie, ta i żadna inna. Niech zniknie wszystko, co było i wszystko, co ma nadejść. Przynęła, a może zobaczyła wizję - trudno było stwierdzić w ciemności.

*Idzie salą, gorejącą od światła. Pełno tu kolorowo odzianych ludzi. Jest ich tak wielu, że nie można policzyć, wielu więcej niż wszystkich mieszkańców jej wioski. W jaki sposób budynek może pomieścić taki tłum? Wszystko ją zadziwia: ich mowa, piosenki, talerze, z których jedzą, strumień potraw wnoszonych i wynoszonych z sali. To musi być sala Obfitej, z tym przepychem i nadmiarem wszystkiego. Nigdy nie sądziła, że tu może być tak zdumiewająco; żadnego znaku orientacyjnego, który by rozpoznała. Ale jeszcze ktoś błąka się po sali jak zagubiona dusza, niezauważony przez uczujący tłum. Najpierw wygląda na kobietę; jest naga, tylko w ręce trzyma łuk z jedną strzałą zakończoną piórem feniksa. Włosy okrywają jej tułów. Pierścien na palcu błyszczy biało-niebieskim ogniem. Potem jednak dostrzega swój błąd. To nie kobieta, a płomienna istota, w której sercu biało-niebieski płomień błyszczy równie mocno co w pierścieniu. Znowu pomyłka. To połączenie kobiety i ognia, nie da się ich oddzielić.*

Obudziło ją ostrzegawcze warknięcie Smutka. Ścierpła jej lewa stopa, zaklinowana w ścianie. Tupnęła kilka razy, by pozbyć się mrowienia, cały czas analizując w myśli sen. Nie mogła w nim odnaleźć żadnych ukrytych znaczeń. Najlepiej na razie przestać o tym myśleć.

- Chodźcie - nakazała Laoina.

Po omacku pokonali tunel. Na ścianach połyskiwało słabe światło wydzielane przez rosnące na wystających kamieniach grzyby.

Widziała w nim tylko swoje stopy i dłonie oraz niewyraźne sylwetki ludzi idących przed i za nią. Ich przewodnikiem był lekko odziany mężczyzna, chudy jak trzcina.

Tunel zakończył się gwałtownie na skraju przepaści, w której zniknęła niedbale upleciona drabinka.

- Jak sprowadzimy psy na dół? - spytała Laoina.

Przewodnik zapalił jeszcze dwie pochodnie i wyjął linę. Drabiny stykające się końcami prowadziły w tak przepastną otchłań, że słaby poblask pochodni sprawiał, iż ściany jaskini wydawały się jeszcze większe. Transport psów był ciężkim zadaniem. Drogę oświetlano pochodniami przywiązanymi na końcu liny, z których od czasu do czasu sypała się sadza i płonące płatki. Większość pracy wykonał Alain bez słowa skargi, mimo bólu, jaki na pewno odczuwał w gojącej się ręce. Adika przejęła pracę, opuszczając psy na linie na wąskie skalne półki; na niektórych dwoje ludzi nie mogłoby nawet stanąć obok siebie. Gdy dotarli na dół, jej ramiona i plecy były jednym ogniskiem bólu. Gorący popiół poparzył jej powiekę.

Na szczęście psy, być może świadome sytuacji, były łagodne jak baranki. Gdyby jeszcze ważyły tyle co baranki...

Ale Alain nigdy by nie zostawił psów. Tak jak nigdy nie opuściłby jej.

Gdy tylko wszyscy znaleźli się bezpiecznie na dole, przewodnik pośpiesznie zgasił pochodnie, jakby ich światło było jakimś zakazanym luksusem. Laoina szeptała modlitwy, zaś Alain przemawiał cicho do psów w swoim języku. Tu, w głębi ziemi, nagły powiew wysuszył pot na ciele Adiki i sprawił, że zadygotała. Był ciepły, jak oddech smoka i tak samo zalatywał siarką, aż zakręciło jej się w głowie. Gdyby choć przez chwilę pomyślała o tym, jakie pokłady dzielą ją od powierzchni, wpadłaby w panikę. W jaki sposób powietrze mogło podtrzymywać ciężkie skały i taką ilość ziemi? Na pewno zaraz wszystko zwali jej się na głowę. Na twarzy czuła wyziewy; ogniki rozbłysły i zgasły. Straciła orientację. Zdażyła jeszcze zauważyć przewodnika, klęczącego przy urwisku, jakby się modlił. Zrobił dziwny ruch ramieniem.

Rozległ się wysoki, słodki dźwięk. Dzwoneczki?

A potem przepaść zalało światło.

Oślepiąca nie widziała zbyt wiele. Następnie światło równie gwałtownie zgasło. Zaszczekały psy. Ktoś na nią wpadł.

- Wybrana. - Ten tytuł brzmiał podobnie we wszystkich językach, nawet jeśli wymawiał go głos zduszony strachem, jak teraz. Przewodnik wsunął jej na przedramię opaskę.

- Mówi, że musisz to oddać stworzeniu, które zostanie wezwane i powiedzieć mu o życzeniach Roga - przetłumaczyła Laoina drżącym głosem. Adika nigdy nie słyszała jej tak przerażonej. - Wtedy będą musieli zrobić to, czego zażądałaby Róg. Taka jest umowa.

- Jakie stworzenie...

Potruchtał w mrok, nie odpowiedziawszy. Usłyszała, jak gramoli się na drabinę.

- Opuścił nas - wyszeptała chrapliwie Laoina.

- Czego się boi? - dobiegł z ciemności głos Alaina.

Powietrze dookoła nich zawirowało z pojawieniem się niewidzialnych istot. Siarkowy powiew podziemnego wiatru znów uderzył gorącą falą w twarz Adiki. Zakaszła. Znów rozbłysło światło, lecz tym razem była to opaska na jej ramieniu. Identyczną miał Alain i ona też świeciła.

- Skrolin - szepnęła.

- Patrzcie!

Laoina była całkiem dobrze widoczna w miękkim świetle. Paciorki w jej warkoczach błyszcząły niezwykle mocno. Wskazała niski tunel o tak gładkich ścianach i doskonale owalnym kształcie, że Adika poczuła, jak strach skręca jej wnętrzności. To nie był naturalny tunel. Ktoś go wykopał.

Smutek i Furia zawarczały, stojąc na sztywnych łapach, z nastawionymi uszami. W tunelu ukazała się kula światła. Tej lampy, zwisającej z łańcucha, nie niosła żadna ludzka istota i nie płonął w niej ogień znany ludziom. Laoina padła na kolana. Psy rzuciły się do ucieczki, ale Alain złapał je za obroże i z całej siły przyciągnął do siebie. Głośno zaklął.

Adika widziała już tyle dziwów, że kolejny nie wywarł na niej wrażenia. Od dzieciństwa wiedziała, że ziemię przemierzają różne dziwaczne i nieznanne człowiekowi istoty i że rasa ludzka jest jedną z młodszych zamieszkujących glob. Przez moment widziała skrolina w tunelach, gdy porwali ją Przeklęci, ale nie z tak bliska i nie tak wyraźnie jak teraz.

Groteskowa postać zatrzymała się przed nimi. Schylona i powykręcana, nie miała ani skóry, ani łusek. Powierzchnia jej ciała lśniła jak granit w słońcu, pokryta odrażającymi strupami wyglądającymi jak krystaliczne skały czy bryły soli. W miejsce oczu miała dwa blade wybrzuszenia, w których wirowała mgła. Istota miała na sobie wiele cicho podzwaniających dzwoneczków i amuletów. Okrążyła lampę kołysała się w przód i w tył na końcu łańcucha.

Adika odzyskała mowę. Wyciągnęła ramię, aby pokazać opaskę.

- Przychodzimy od mojej siostry, znanej mi jako Róg.

Istota bez słowa odwróciła się i ruszyła kołyszącym krokiem z powrotem w głąb tunelu.

- Tyle nieznanymi mi stworzeń tu żyje - mruknął Alain.

Ruszyli za postacią. W miarę jak światło zanikało, schodzili w dół gładko wyrzeźbionego w skale tunelu. Adika nigdy nie podążała tak prostą i wygodną drogą. Prowadząca ich istota ani razu się nie obejrzała. Szli długo, aż nagle tunel zakończył się potężną skalną półką, zagrodzoną poręczą.

Żadne z jej wcześniejszych doświadczeń, nawet krótki rzut okiem wiele lat temu na miasto zbudowane przez Przeklętych, nie przygotowało jej na widok, który się teraz przed nią rozpościerał. Skroliny nie żyły w wilgotnych, ciemnych pieczarach, ale w mieście o tak rozległej i skomplikowanej konstrukcji, że w



porównaniu z nim olbrzymie świątynie, pałace i ogrody Przeklętych wyglądały jak sporządzone przez dzieci niezgrabne zabawki. Tak jak myszy mogłyby wygryźć labirynt tuneli w okrągłym serze do samego środka, tak skroliny zbudowały swoje miasto w sercu skały - w sercu ziemi.

Ich przewodnik dotknął wystającego fragmentu poręczy i otworzyła się brama, ukazując stopnie wiodące do wnętrza urwiska. Zeszli nimi do płataniny kolumn i łuków przyozdobionych drogimi kamieniami. Jaskinie łączyły się ze sobą. Wszystkie powierzchnie były wypolerowane, a każda ściana miała wzór z wyciętych w skale znaków. Adika przypuszczała, że muszą to być słowa w języku czytany dotykaniem palców. Istota będąca ich przewodnikiem faktycznie dotykała tych powierzchni, pocierając je i stukając palcami w skomplikowanym kodzie.

Nie uszli daleko, gdyż przewodnik skierował ich do łodzi wyglądającej jak gigantyczna muszla. Wewnątrz znajdowały się ławki. Wspólnym wysiłkiem wpakowali psy do łodzi i sami niezgrabnie weszli. Przewodnik z zaskakującą gracją przeskoczył wysoką burtę i zajął miejsce w środkowej części. Łódź uniosła się w powietrze. Laoina pisnęła, zaskoczona, a Alain głośno westchnął, opierając się o grzbiety psów dla zachowania równowagi. Adika przygryzła wargę, aby nie krzyknąć. Nie chciała, by ich przewodnik myślał, że ją, świętą kobietę, zadziwia ich magia. Ale zadziwiała; wstrząśnięta i przerażona przyglądała się podziemnemu miastu, nad którym się unosili. Ciągnęło się bez końca - kręte korytarze, długie tunele otwierające się na groty z żyłami złota i miedzi. Magia i moc przejawiały się tu z taką siłą, że nie była w stanie tego pojąć. Jak mogła kiedykolwiek sądzić, że Przekłęci są potężni? W porównaniu z tym, co widziała teraz, byli jak dzieci.

Przewodnik ani razu na nich nie spojrział. Był obojętny wobec ich zdumienia. Niemniej Adika czuła, że jest obserwowana. Otaczające ich dekoracje - kawałki metalu, srebrne pręty, złote kwadraty, odbijające światło - sprawiały wrażenie czujnych. Wyczuwała w nich magiczne życie, świadome, choć nieme. Kilkoro mijających ich skrolinów zatrzymało się, by przyjrzeć się z ciekawością, ale większość obojętnie śpieszyła do swoich spraw. Nikt nie wyprawiał skór, patroszył ryb, plótl koszyków, lepił garnków czy łupał obsydianu na narzędzia. Nie widziała niczego, co by przypominało czary kowali, pracujących w buzującym ogniu, by nasycić miedź czy cynę jego magią. Nie było tu pól ani stad zwierząt, ale gdy dotarli nad wielką rzekę, której brzegi stanowiła skała, zobaczyła coś, co wreszcie rozpoznała, choć było tak wielkie, że zaparło jej dech w piersiach.

- Zaiste, więcej jest rzeczy na tym świecie, niż bym sobie kiedykolwiek wyobraziła - wymamrotała Laoina, zaciskając pięści, aż kostki jej palców zbieleły.

Adika wiedziała, że patrzą na olbrzymi jarmark. W ich lesie odbywał się trzy razy do roku targ dla wszystkich plemion Jelenia, połączony ze świętowaniem. Wędrowni handlarze i kupcy przyjeżdżali na kilka dni czy nawet tygodni na Festiwal Słońca, gdy ludzie uporali się z pracami polowymi i mogli przybyć na zakupy. Pewnego razu, kiedy Adika była dzieckiem, na jarmark w czasie przesilenia letniego przyjechali Ludzie-Konie. Ich namioty i wozy uczyniły z targu egzotyczne, kolorowe miejsce, niepodobne do niczego, co widziała wcześniej. Ludzie zostali wtedy dużo dłużej niż zwykle siedem dni, ale wkrótce nastąpiły pierwsze najazdy Przeklętych i Ludzie-Konie nigdy potem już nie wyprawiali się tak daleko na zachód. Widziała też tętniący życiem targ w mieście Szu-Sza, zanim Przekłęci je spalili, a także - z daleka - wielki targ niewolników, na którym Przekłęci handlowali ludźmi. Ale wszystkie te miejsca były tylko bladym cieniem tego, na co właśnie patrzyła. Wzdłuż rzeki rozciągał się wykuty w skale targ. Po jednej stronie długiej alei biegła zmyślnie brukowana droga, a po drugiej płynęła rzeka, także będąca drogą; niektórzy korzystali z niej z równą łatwością, jak ze zwykłej ścieżki... Skroliny handlowały z morskim ludem. Czy możliwe, by jedni i drudzy żyli tu nieświadomi tego, co działo się za morzem, za jaskiniami?

Nie widziała, jakie towary były przedmiotem handlu - ich statek powietrzny zwalniał tylko wtedy, gdy miał przepuścić inny. Długie nabrzeże, udekorowane muszlami i mozaikami od strony rzeki, zaś od strony lądu zabudowane monumentalnymi kolumnami i łukami jak gigantyczne smoki, prowadziło do przystani, gdzie spotykali się przedstawiciele obu ras. Ludzie morza pluskali się tu w specjalnie w tym celu wyrzeźbionych korytach. Ich włosy wiły się leniwie, jak węgore, wokół głów. Skroliny, w porównaniu ze smukłymi, mokrymi postaciami wyglądające sucho i solidnie, kucaly wygodnie na mocnych nogach przy niskich stolikach i basenach, w których prawdopodobnie wystawiano towary. Jedyne światło pochodziło z wnętrza skały, rozproszone i chłodne, jakby świeciło pod wodą. Na pewien sposób sprawiało, że wszystko wyglądało jak we śnie, jak całe to podmorskie miasto, zbyt dziwaczne, by je pojąć.

Adika nie byłaby w stanie przebiec z jednego końca targu na drugi bez zadyszki, jednak teren wreszcie się skończył. Alain nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył szeroko rozwartymi oczami, zaś Laoina

mamrotała pod nosem pogrózki przemieszanej modlitwami. Jedynym odgłosem wydawanym przez przewodnika było pobrzękiwanie ozdób zwisających z jego ciała.

W końcu odwrócili się od rzeki i skierowali ku spokojniejszym obszarom, by zatrzymać się w głębokim cieniu. Ich przewodnik wysiadł przed prostą kamienną konstrukcją, wyraźnie dłuższą niż szeroką. Drugi skrolin wyszedł z budynku. Nawiazali kontakt, opukując się nawzajem palcami, a czynili to tak szybko, że Adika nie była w stanie dostrzec poszczególnych ruchów. Wreszcie przewodnik nakazał im wsiąść gestem, który sugerował przeganianie szczurów ze świeżo sprzątniętego domu. Sam wsiadł z powrotem do łodzi i wraz z nią zniknął w mroku.

- To wy jesteście zwierzętami żyjącymi w Osłepieniu - zabrzmiał zgrzytliwy głos skrolina. Słowa brzmiały dziwnie i choć mówił językiem ludzi Roga, Laoinie nie było łatwo zrozumieć jego wymowę. Jednak żadnemu Chodzącemu nie mogło się powieść bez dobrego ucha; jakkolwiek wystraszona i zdumiona, Laoina zrobiła to, co jej zdaniem do niej należało.

- Nie jesteśmy zwierzętami, ale ludźmi, jak wy.

Adika pokazała opaskę na ramieniu i dotknęła noszonej biżuterii na znak, że też pochodzili z rasy umiejaczej wytwarzać przedmioty. Skrolin delikatnie podrapał jej opaskę pazurem.

- Taka jest umowa. Musimy wam pomóc z powodu zagubionego dziecka. Czego od nas chcecie? Damy wam to szybko, żebyście mogli odjechać.

- Chcemy móc przejść na ziemię plemienia Szu-Sza, które graniczą z ziemiami Przeklętych.

Skrolin odwrócił się bez słowa i poczłapał do kamiennego budynku. Adika podążyła za nim, ale drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem. Nie miały klamki ani niczego, co mogłoby służyć do ich otwierania. Posiadały strukturę skały, zaś w dotyku były gładkie jak drewno, ale nie były z niego wykonane.

- Z takimi sojusznikami na pewno pokonamy Przeklętych - powiedziała.

- Nic nie wiem - powtarzała Laoina w oszołomieniu. - A myślałam, że wiem tak wiele! Jak potężni muszą być ich bogowie, strzegący takiego miejsca!

- Jest tylko jeden Bóg, Jedność Żeńskości i Męskości - sprzeciwił się Alain. - On stworzył wszystkie istoty i wszystkie miejsca. To też.

Laoina prychnęła. Nie po raz pierwszy spierali się na ten temat.

- Nie widziałam go. Gdzie masz tego Boga? W kieszeni? W rękawie?

- Bóg jest wszędzie. Jest częścią każdego z nas i częścią świata, więc my jesteśmy częścią Boga.

Zanim Laoina mogła odpowiedzieć, drzwi uchyliły się i skrolin wezwał ich gestem.

- Chodźcie.

Człapiąc, poprowadził ich do wnętrza budynku, a potem schodami na dół. Wkrótce zrobiło się bardzo ciemno i poruszali się po omacku. Alain prowadził psy, został trochę z tyłu. Skrolin najwyraźniej nie miał zamiaru zwolnić, by dostosować się do ich niezdarności, jednak kiedy Adika przestała słyszeć jego dyszenie i sapanie, zatrzymał się, by mogli go dogonić. Przestała liczyć schody, ale gdy dotarli na miejsce, uda i kolana niemiłosiernie ją bolały. Znaleźli się w olbrzymiej komnacie, gdzie każdy dźwięk budził głośnie echa. W twarz uderzył Adikę powiew gorącego powietrza. Nie widziała kompletnie nic. Pazurzasta dłoń ujęła ją za ramię i popchnęła niespodziewanie naprzód. Wpadła na śliską ścianę, uderzyła kolanami o ławkę i usiadła z rozpedu. Z kolei Laoina wpadła na nią i zakłęła, a potem rozszczękały się psy.

- Alain!

Huczące echo zagłuszyło odpowiedź. Ściany wydawały niski dźwięk. Znow coś rzuciło ją na niewidzialny mur. Jeden z psów usiłował wdrapać się na nią, jego łapa wbijała się jej w udo. Z wysiłkiem zepchnęła psa, pomacała dookoła ręką, złapała Laoinę za pachę, spróbowała wstać i nagle wpadła w panikę. Pojawił się przy niej Alain, usiadł obok i mocno przytulił.

- Zabrali mi opaskę - szepnęła.

- Ja swoją mam, ale tu nie rzuca światła.

Czekali w ciemności długą chwilę, ale nic się nie działo. Ziemia pod ich stopami lekko się kołysała, jakby byli w łodzi, ale żadne fale nie uderzały o burty. Było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

- Czy jesteśmy na morzu? - spytała wreszcie Laoina.

- Chyba nie. - Adika wyciągnęła rękę, ale wszystko było poza jej zasięgiem. Równie dobrze mogli znajdować się wewnątrz wielkiego żółędzia; ani śladu drzwi, sufitu, podłogi - tylko nieznanne wzory pokrywające ściany. - Jesteśmy w pułapce.

- Nie mów tak - zaprotestował Alain. - Poczekajmy, prześpijmy się i nabierzmy sił. Może potem się coś wyjaśni.

- Dobra rada - przystała Laoina. - Nawet jak na mężczyznę, którego Bóg mieści się w rękawie.

Alain roześmiał się. Ten śmiech jakby rozjaśnił trochę mrok, choć w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Podzielili się wodą i częścią pozostałych zapasów. Adika nasłuchiwała. Laoina próbowała wymościć sobie w miarę wygodne miejsce do snu. Potem jej oddech zwolnił i stał się głębszy. Psy przestały dyszeć i zaczęły chrapać.

Ciemność skrywa sekrety, odrażające, chore. Czy nie lepiej było zaakceptować prawdę, jaka by potworna nie była?

- Ja umrę - wymamrotała, przyciągając Alaina do siebie.

- Nie, nie umrzesz. Wiedząca mnie wysłała, żebym cię chronił. Przeprowadzę cię przez to bezpiecznie. Do Wielkiego Tkania, o którym mówiłaś. Nie wierzysz, że potrafię?

Oparła policzek tam, gdzie jego obojczyk przechodził w miękką skórę gardła. Jej łzy spływały po skórze mężczyzny.

- Oczywiście, kochany. Oczywiście, że potrafisz.

Nie mogła mówić dalej. Żal odebrał jej głos.

Alain odnalazł w ciemności supły podtrzymujące jej ubranie. Mrok i cisza, wściekłość i smutek wzmocniły intensywność ich dotyku; wściekłość na los, który odebrał jej możliwość życia tak, jak chciała, smutek z powodu straty, która miała nadejść. Śmierć nie znaczyła dla niej tak wiele w tej chwili, jak to, że utraci Alaina. Nauczyła się żyć w samotności, nawet kiedy była żoną Beora, ale dopiero, kiedy spotkała Alaina, zdała sobie sprawę, jak bardzo była przedtem samotna.

Jego palce odnalazły i pieściły brodawkę jej piersi, podczas gdy Adika podciągnęła tunikę i objęła jego uda swoimi. Kołysali się w pulsującym rytmie ziemi. Ubrania ześliznęły się z ich ciał. Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła jego głowę do siebie, by go pocałować.

Niech tak zostanie na zawsze.

*W snach znów widzi ognistą kobietę, walczącą z wysiłkiem, by przepchnąć się przez migoczący, złoty tłum, który napiera jak bzyzcący i żądłący rój pszczół.*

*„Przepuście mnie!”, krzyczy kobieta histerycznie. „Nie wolno dać jej berła skoposy. Nie ufajcie jej!”. Ale nie może się przedrzeć. Nikt nawet nie dostrzega, że ona tam jest, choć jej postać płonie.*

*Stoją w niezwykle wysokim i długim korytarzu. Postacie w złotych szatach, znajdujące się na podwyższeniu w odległej części korytarza, są o połowę niższe od ludzi. Może to tylko gra światła? Może to wszystko gra? Sny i wizje też mogą być fałszywe. Ale Adika czuje głębokie przeświadczenie, że to prawdziwa wizja.*

*Podnosi łaskę, zaskoczona. „Chodź, Siostrze, nie daj się!”, krzyczy, bo wyraz cierpienia na twarzy ognistej kobiety porusza ją do głębi. Ona też wie, czym jest cierpienie i izolacja. „Zwykle jest odpowiedź - jeżeli wiesz, gdzie i jak jej szukać”.*

*Oczy, niebieskie jak czysty lapis lazuli, rozszerzają się, zaalarmowane. Tym razem ognista kobieta odwraca się i widzi ją.*

## 2

W szóstej sferze zawsze było dość jedzenia i wszystko zalewało złote światło dostatku, dzięki cesarzowej obfitości, znanej w dawnych czasach jako bogini Mok. Jednak Liath czuła rozpacz od momentu, gdy weszła do królewskiej sali bankietowej w pałacu w Darre, akurat by usłyszeć toast króla Henryka za kobietę, która za tydzień miała być mianowana nową skoposą, Świątobliwą Matką wszystkich wiernych Daisanitów.

- Pomódlmy się, jak przystało, do Boga, który obdarzył nas Swą łaską i dał nam nową skoposę, kobietę znaną ze swej wiedzy, bogobojności i szlacheznego pochodzenia.

Jak mogli koronować Annę na skoposę? Jak mogli jej ufać, kiedy stanowiła największe niebezpieczeństwo? Jak Liath mogła ich powstrzymać, kiedy nikt w sali nie zdawał sobie nawet sprawy z jej obecności?

Przepchnęła się przez świętujący tłum do siostry Rosvity, która już wcześniej występowała w jej sprawie. Dobra kapłanka była raczej zamyślona niż zadowolona, raczej zaniepokojona niż wesoła, ale Liath i tak nie mogła zwrócić na siebie jej uwagi. Sardoniczny kapłan siedzący obok Rosvity i cały czas czyniący sarkastyczne uwagi uczynił tylko gest, jakby strzepywał muchę z rękawa i nawet nie spojrział,

gdy Liath pociągnęła go za szatę.

Nie ośmieliła się podejść do największego stołu, przy którym na honorowym miejscu między królową Adelheid a nową skoposą siedział Hugo. Nie chciałby jej wysłuchać; zarówno Adelheid, jak i Henryk znajdowali się w jego pułapce. Najwyraźniej stał się ulubionym sojusznikiem Anny, choć przecież poznała go od najgorszej strony, gdy molestował jej córkę. Mimo to pozwoliła mu wziąć *Księgę Sekretów*. Czyżby od początku wiedziała, czym może się stać i zamierzała wykorzystać go do własnych celów, czy to Hugo wykorzystywał ją? I czy to w ogóle miało znaczenie? Cele Hugona mogła przynajmniej zrozumieć - chciał wiedzy i władzy. Dla Anny zaś liczyło się tylko unicestwienie Ashioi. Liath nie miała pojęcia, jak ją powstrzymać bez pomocy sojuszników.

- Chodź, siostrze, nie daj się. Zwykle jest odpowiedź - jeżeli wiesz, gdzie i jak jej szukać.

Odwróciła się. Spoglądająca na nią kobieta z pewnością była człowiekiem - nie wysoka, ale też nie niska, o starannie zaplecionych czarnych włosach i szerokiej twarzy ze zmysłowymi ustami i blizną po oparzeniu na policzku. Była przyodziana w prymitywne strój: dopasowane do ciała wdzianko z krowiej skóry z rękawami obciętymi na wysokości łokci i obrębionym dekoltem i sznurkową spódnicę z rozcięciami, odsłaniającymi uda, gdy robiła krok naprzód. Na obu nadgarstkach miała miedziane bransolety, każdą z wyrytym wizerunkiem głowy jelenia. Odbite w metalu światło na moment ją oślepiło. Liath zamrużyła i rozpoznała kobietę.

- Widziałam, jak klęczysz przy kotle. Gdzie jest Alain? Żyje?

Kobieta zadrżała, jakby powiał zimny wiatr i uczyniła skomplikowany gest przy klatce piersiowej, mający przepędzić złe duchy.

- Żyje. Jest moim mężem.

- Żyje - powiedziała cicho Liath i poczuła nieśmiałą nadzieję rodzącą się w jej sercu. - Przynajmniej jest wolny i żyje.

- Wiedząca sprawiła, że wrócił z krainy umarłych. Czy to tutaj? - Kobieta wskazała wesoły tłum świętujący mającą nastąpić wkrótce inwestyturę.

- Nie - odparła Liath z goryczą. - Ten kraj istnieje... ale nie mogę do nich dotrzeć. Nie mam sposobności powstrzymać ich przed zrobieniem rzeczy, której im zrobić nie wolno.

- Nie rozumiem. - Kobieta zbliżyła się do niej. - Myślałam, że to kraina Obfitej.

- Nie znam takiej krainy.

- Oczywiście, że znasz. Obfita jest dawczynią wszystkiego, bólu i śmierci, obfitości i przyjemności. Nie czujesz jej ręki w tym miejscu? W półświatle i półcieniu?

- Kim jesteś? Skąd przybywasz? Gdzie jest Alain?

- Nazywam się Adika, Wybrana ludu Jeleni. Przybywam ze świata żywych, ale teraz poruszam się w krainie snów i wizji, tak jak ty. Alain śpi przy mnie, w sercu kraju skrolinów, głęboko pod ziemią.

- Teraz ja nie rozumiem - uśmiechnęła się Liath.

Rozległ się dźwięk rogu. Sala zafalowała w bogatym, złotym świetle, spływającym na nią jak zasłony poruszone wiatrem. Czy świat się kończył? Czy pas się przekreślał?

Liath zachwiała się, bo zakręciło jej się w głowie. Złapała swoją towarzyszkę za rękę. Ludzie nadal tłoczyli się w hallu wyłożonym ciemnym drewnem, cisi jak duchy.

Pusty tron Świętobliwej Matki stał na niewielkim podwyższeniu z kości słoniowej i drogich kamieni. To z kolei umieszczone było na większej platformie przykrytej złotoczerwonym kobiercem. W jego kierunku szła procesja, torując sobie drogę wśród tłumu - księża w jedwabnych płaszczach, kapłani kołyszący kadzielnicami, z których wydobywały się gryzące chmury o woni kadzidlanej róży, co przyprawiało Liath o ból głowy. Bukiety róż i lilii zdobiły podstawy lamp i okiennice. Anna kroczyła na przedzie, eskortowana przez Hugona i trzech innych księży, dużo od niego starszych. Przyćmiewał ich tak, jak słońce przyćmiewa księżyc.

- O Boże - jęknęła Liath w desperacji. - Nie mogę pozwolić, by popełnili taki błąd. Ale jestem uwięziona tu, w sferach, zamiast być w Aoście. Nie mogę ich powstrzymać.

Adika zrobiła poważną minę, ale wyraz jej twarzy był tak miły, że jej słowa zaszokowały Liath:

- Ale jeśli zagraża tobie i twojemu ludowi, musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy... Nie możesz jej zabić?

- Nawet gdybym miała wystarczającą moc, nie mogę - szepnęła. - To nie byłoby naturalne.

Anna dotarła do schodków prowadzących na mniejsze podwyższenie. Jej czterech towarzysze odstępili. Tylko skoposa mogła wejść na schody z kości słoniowej prowadzące do tronu Świętobliwej Matki. Postawiła stopę na najwyższym stopniu i odwróciła się, by spojrzeć na tłum. W jej surowych rysach Liath zobaczyła wyraźne podobieństwo do maski pośmiertnej jej dziadka, wykutej w skale w kaplicy w Autun.

Nikt, kto widział spoczywającą tam kamienną postać Taillefera, nie mógł się pomylić. To była jego zagubiona następczyni, dziecko chłopca zrodzonego i wychowywanego w tajemnicy, aby oszczędzić mu śmiertelnego zagrożenia związanego z walką o cesarski tron.

Gdyby Anna została skoposą, zwierzchnikiem świętego Kościoła, kto w rzeczywistości miałby większą władzę? Henryk czy ona?

- Czy zabijanie nie jest naturalne, gdy polujemy na jelenie, by się wyżywić? Albo gdy zabijamy, by ochronić nasze dzieci? Nie jest naturalne, gdy zabijamy wrogów, pragnących spalić nasze wioski, a nas pojmać w niewolę?

W hallu zapanowała głęboka cisza. Wszyscy czekali, by Anna wstąpiła na tron. Liath miała szalone wrażenie, że ogłuchła, ale udało jej się wykrztusić:

- Nie to miałam na myśli. Ona jest moją matką.

- Twoją matką? Przecież ty masz ogniste serce.

Adika dotknęła Liath w okolicy serca i zamknęła oczy. Ze skupionym wyrazem twarzy i ściągniętymi ustami przechylała głowę w prawo i w lewo, jak gdyby szukając, słuchając. Nagle otworzyła oczy, ale nie było w nich widać tęczy, tylko białka. Strużka śliny pociekła jej po brodzie. Przemówiła chrapliwym szeptem, tak innym od poprzedniego lekkiego tonu, jakby jej wewnętrzne widzenie odezwało się własnym głosem z dymu i popiołu:

- Dziecko Płomienia, wejrzyj w siebie. Ona nie jest twoją matką.

Pierścień na palcu Liath rozbłysnął oślepiająco błękitnym światłem. Zimno ukuło ją w palec, pomknęło w górę ramienia i ugodziło w serce. Krzyknęła. Daleko, daleko usłyszała ich huczące głosy wołające ją: „Dziecko!”. Wiedziała, że to prawda; prawda boli o wiele bardziej niż kłamstwo.

- Czy Alain przysłał cię, byś mnie chronił?! - zawołała, gdy odzyskała głos. - Byś mnie poprowadził?

Zrozumiała, jaką pułapkę zastawiła na nią Mok - fałszywego zobowiązania. Uwierzyła ślepo, nie słuchając własnej wiedzy i instynktu.

- Jeśli nie jestem następczynią Taillefera, mogę się uwolnić od jego cienia i ciężaru! Mogę robić, co chcę!

Ściągnęła pierścień i wcisnęła go w dłoń Adiki.

- Błagam, Siostrze, przechowaj ten pierścień dla niego - w podzięce za pomoc, jakiej mi udzielił. Niech go chroni od niebezpieczeństw, jak chronił mnie. Jeśli będzie mnie kiedykolwiek potrzebował, przyjdę.

- Dokąd się udajesz?

Liath rozwinęła swe ogniste skrzydła. Druga kobieta cofnęła się z lękiem i respektem.

- Do sfery Aturny, Czerwonego Maga, władającego berłem mądrości. Znaleźć moją matkę.

Pozbywszy się pierścienia, który wiązał ją z krainą Mok, Liath wzniosła się lekko z wiatrem wciąż intensywnie pachnącym kadzidłem. Pod nią, w dole, Anna zajęła miejsce na tronie Świętej Matki i ujęła w dłoń wysadzane klejnotami berło skoposy Kościoła Zjednoczonego Boga.

### 3

Cisza i spokój wyrwały Alaina ze snu. Leżał na brudnej ziemi, ciężar ciała Adiki przytłaczał jego lewe ramię do ziemi, a Smutek lizał go po uchu. Kanciaste kamyki kłuły go w pośladki. Jęknął cicho, poruszył się, by uwolnić ramię i usiadł, rozcierając dłoń. Ścierpła, ale energicznie potarł skórę i kłujące igielki znikły. Zaciśnął dłoń w pięść. Jad węża nie zabił go ani nie okaleczył, lecz Alain wciąż słyszał nikłe dzwonięcie w uszach. Przez szczelinę wpadał do jaskini promień dziennego światła z tańczącymi w nim pyłkami kurzu. Na ziemi obok leżała jego laska, puste worki po zapasach i zawiniątko Adiki z jej świętymi przedmiotami. Furia piszczała w dalszej części jaskini, drapiąc skałę, blokując tylne wejście. Laoina dźgała ściany włócznią, jakby chciała wypłoszyć węże ze szczelin. Adika spała z zaciśniętymi pięściami. Smutek obwąchał jej ucho i legł obok, opierając swój wielki czarny łeb na przednich łapach i patrząc na Alaina smętnymi ślepiami. Alain potargał go po łbie; zwierzę zamruczało z zadowoleniem. Furia nadbiegła i szczełnęła krótko, również domagając się pieczyoty.

- Gdzie jesteśmy? - Alain podniósł laskę. Zmierzył wysokość wejścia do jaskini i wielkość rozrzuconych dookoła głazów. Mogli się stąd wyczołgać, ale z wyciągnięciem psów byłby kłopot.

Laoina podeszła do niego.

- Tak sobie myślę, jak to dobrze, że lud Burzanu nie jest zainteresowany ludzkimi niewolnikami. Chyba

dysponują potężną magią. Może mają statki, które mogą przenikać przez skały, bo jak inaczej byśmy się tu znaleźli? Dzięki jakimś czarom łódź przeniosła nas pod ziemią do kraju plemienia Szu-Sza. Kiedy terminowałam u Wędrujących, poznałam człowieka, który przeszedł na piechotę od Szu-Sza do plemienia Roga. To było wtedy, gdy Przekłęci zniszczyli kamienne tkalnie i całe piękne miasto zbudowane przez Szu-Sza. Ten mężczyzna wyruszył podczas pierwszej kwadry księżyca i minęły trzy pełnie, zanim doszedł do klanu Roga. To długa droga jak na jedną podróż. Nie wiem, jakiej magii użyli ludzie Burzanu, by nas tak głęboko uśpić, ale chyba nie spaliśmy trzy miesiące!

- To długa droga - zgodził się. Może Laoina postradała zmysły? Albo wszystko się jej pomieszało? Mówiła teraz inaczej, bez przerw i zająknięć, jakby język ludu Jeleni stał się dla niej łatwiejszy. On zresztą też nie miał lepszego wytłumaczenia dla rzeczy, które widzieli w mieście skrolinów. - A skąd wiesz, gdzie jesteśmy teraz?

Wskazała otwór za jego plecami. Wdrapał się na górę, kalecząc sobie kolana. Na jego głowę posypała się ziemia z korzonków, za które chwycił, by podciągnąć się wyżej. Początkowo było zbyt jasno, ale po chwili światła i cienie ukazały obraz nierównego, niknącego w mroku wąwozu. Przeciwnie zbieżne porośnięte było kolczastymi krzakami, kurczowo trzymającymi się spadzistej ściany. Na szczycie naprzeciwko potężny mur wznosił się nad wzgórzem niczym budzący się smok.

Laoina pociągnęła Alaina za stopę.

- Wracaj, szybko. Ten fort należy do Przeklętych.

Zsunął się z powrotem na dół. Adika nadal spała. Furia węszyła przy ścianach jaskini.

- Chyba mówiłaś, że jesteśmy w kraju Szu-Sza?

- Jesteśmy. Ale Przekłęci zabili albo uwięzili większość jej ludu, a reszta się ukrywa.

- Dlaczego Przekłęci tak nienawidzą ludzi?

Spojrzała na niego zagadkowo.

- Potrzebują krwi, inaczej ich bogowie zwrócą się przeciwko nim. Może są też jak ten stary człowiek Joa, który zakopał w ziemi dziesięć skór i sześć kamiennych toporów, żeby nikt z nich nie korzystał. Potem umarł i dwa lata później pewna dziewczynka przypadkowo je odkopła. Skóry oczywiście do niczego się nie nadawały. Może nie chciał, aby komukolwiek przyniosły pożytek? Są ludzie, którzy zawsze chcą więcej; kolejny kawałek mięsa, choć już się najedli, albo kilka zapasowych grotów do włóczni, podczas gdy inni nie mają ani jednego.

- Myślisz, że Przekłęci są samolubni w taki właśnie sposób?

- Czy nie mają dosyć tego, czego im trzeba?

- Nie wiem - przyznał i westchnął rozdzierająco. - Jeśli to nie kraina umarłych, to gdzie jesteśmy?

- W krainie plemienia Szu-Sza... - urwała, widząc, że nie o to mu chodziło. Alain przebierał palcami po szczerzącym kły psim pysku, zdobiącym głowicę laski.

- Widziałem smoki, feniksa, sfinksy. Widziałem olbrzymie podmorskie miasto, gdzie żyje morski lud. Widziałem podziemną krainę skrolinów. Widziałem Przeklętych i wydają mi się bardzo podobni do mężczyzny, którego znalazłem jako księcia Sanglanta. W snach widziałem dolinę, w której żyje twój lud. Ale kiedyś mieszkali tam inni ludzie, zwący się SkalnymiDziećmi, których matki były jak żywe kamienie.

Laoina wyglądała na zmieszaną.

- Ja ich nie widziałam, przyjacielu. Nic nie wiem o ludzie zwącym się SkalnymiDziećmi. Co do reszty... jestem Wędrującą, więc widziałam wiele rzeczy, więcej niż zwykły człowiek. Przyznaję, że miasta ludu Burzanu i ludu morskiego zadziwiają mnie - jak to możliwe, że posiadają tak silną magię, a my tak mało o nich wiemy?

- Żyją w skale i w wodzie, gdzie my żyć nie możemy. Skąd więc mamy o nich wiedzieć?

- Więc dlaczego nam się nie pokażą? Nie, znam odpowiedź. Co ich obchodzimy? Żyjemy tam, gdzie oni nie mogą. Pewnie nas nie potrzebują, w przeciwieństwie do Przeklętych. Pewnie nie mamy nic, co by ich interesowało.

- Widziałem morski lud w snach - mruknął, myśląc o Silnorękim. - Byli jak bestie. Takie istoty nie zbudowałyby wielkiego miasta.

Ukląkł przy Adice, głaszcząc jej włosy, by ją łagodnie obudzić.

- Ważne jest tylko to, że tu i teraz jestem po to, by chronić Adikę. Czasami po prostu nie wiem, gdzie jestem.

- Może tak jest lepiej - odparła cicho, ale gdy spojrzał na nią, zaskoczony tonem współczucia w jej głosie, odwróciła twarz.

Adika leżała nieruchomo, równo oddychając. Nie był w stanie otworzyć jej zacisniętych w pięści dłoni.

Poklepał jej kolana, pogłaskał pod brodą, ale nie zareagowała. Wreszcie odsunął się i przysiadł na piętach. Była w transie. To czyniło ją Wybraną, podobnie jak nagłe ataki, konwulsje, długi sen, w jaki zapadała.

- Jak stąd wyjść?

Laoina nakreśliła dłonią znak przeciwko złym duchom i splunęła. Potem nachyliła się obok Alaina i przyjrzała się Adice beznamiętnie. Była przyzwyczajona do drgawek, ślinienia się, pustych spojrzeń czy nagłego zapadania w sen, z którego nie można człowieka wybudzić; jej młodszy brat był Wybranyim plemienia Akka.

- Najpierw musimy poczekać na noc.

Możliwe, że istniało bardziej przygnębiające doświadczenie niż wyjście do wąwozu obserwowanego z twierdzy przez bezlitosnych nieprzyjaciół, w bezksiężycową noc, z nieprzytomną kobietą na plecach i świadomością, że w jaskini zostawiasz dwóch wiernych przyjaciół, którzy umrą z pragnienia, jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz mógł wrócić do nich najpóźniej po dwóch dniach. Ale nawet jeśli, Alain nie był w stanie wyobrazić sobie w tej chwili niczego takiego.

Laoina wspinała się tuż za nim, prowadząc go mamrocącym głosem - półka na prawo, na której zmieści się jego lewa stopa; odłamki piaskowca, na które należy uważać; mocny korzeń wystający z ziemi, dobry, by się chwycić.

Było gorzej, niż gdyby nic nie widział. Potwornie bolały go ramiona, a gojąca się ręka paliła żywym ogniem. Palce miał zdarte do mięsa i cały czas wdychał kurz podnoszący się z każdym krokiem. Adika nie była szczególnie ciężka, ale zwisała mu bezwładnie na plecach, a liny, którymi przywiązał ją do siebie, wpijały się w biodra i klatkę piersiową. Jej oddech łaskotał mu szyję, ale nadal na nic nie reagowała. Może już nigdy się nie obudzi. Nie, nie wolno tak myśleć. Przysiągł, że będzie ją chronił. I przysięgi dotrzyma.

Laoina dobrze sobie radziła, choć też była obciążona. W jaskini, wraz z psami, zostawili tylko resztę prowiantu i całą wodę, którą wleli do płytkiego zagłębienia w skale. Laoina wspinała się cierpliwie i nadal prowadziła, gdy zaczęli schodzić w dół stromego zbocza. Ten świat był inny niż znane mu krainy, nawet ta, do jakiej się przyzwyczaił w Grobowcach Królowych. Silne krzewy pachniały inaczej, żywicą - mocno i aromatycznie, i porośnięte były wąskimi liśćmi. Wiele miało kolce, które go kłuły lub zaplątywały się w sznurkową spódnicę Adiki. Minęli niewielkie wejście do pieczary, gdzie jakiś duży ptak zbudował gniazdo. Teraz było puste. Alain położył się w nim, by odpocząć wśród gałązek, trawy i resztek skór, sierści i kości małych zwierząt, które gospodarz przynosił tu, by karmić swoje młode.

- Kiedy jest wojna - odezwał się do Laoiny, gdy przykucnęła przy nim - to tak, jakby wrogowie żywili się kośćmi naszych dzieci, i nawet my też, prawda?

Wiatr wzdychał dokoła nich, szeleszcząc gałęziami krzaków rosnących w pobliżu.

- Zjedzą nasze dzieci, czy będziemy walczyć, czy nie. Ale wolę walczyć.

- Nie o to mi chodziło... - urwał. Wiatr przyniósł dźwięk wysokiego, ostrego śmiechu mężczyzny. Znieruchomieli, choć wiedzieli, że w słabym blasku gwiazd nikt nie dostrzegłby ich z góry.

- Chodźmy - szepnęła Laoina. - Lepiej się schowamy nad strumieniem.

Ześliznęli się na dół, gdzie zbocze pagórka przechodziło w skałę, którą przecinał strumień. Alain był tak pokiereszowany, że z zadrapań na całym ciele ciekła mu krew. Ból w uszkodzonej ręce przeszedł w tępe pulsowanie. Laoina przytrzymała gałęzie, rozchylając je na boki. Przedarli się przez gęstwinę drzew nad bulgoczącą wodą płynącą przez kamienie. Potem pomogła Alainowi odwiązać bezwładne ciało Adiki. Ciężko było brodzić w dół strumienia, choć Laoina szła przed nim, sprawdzając każdy krok, a on sam podpierał się laską. Raz pośliznął się na kamieniu i upadł na kolana. To sprawiło mu taki ból, że zapłakał.

- Ja ją poniosę - wyszeptala Laoina.

- Nie, w porządku. Nie jest ciężka.

Słychać było tylko melodyjny dźwięk wiatru i wody. W górze świeciły gwiazdy, z Mieczem Królowej w zenicie, prawie dokładnie nad nimi. Adika miała inną nazwę dla tego gwiazdozbioru - nazywała go Czapłą i pokazywała Alainowi, jak gwiazdy układają się w zarys szerokich skrzydeł, odrzuconej w tył głowy i wyprostowanych nóg ptaka w locie.

Wsparł się na lasce i z jękiem dźwignął na nogi. Adika zajęczała cichutko, szepcząc coś bezgłośnie. Dookoła ćwierkały świerszcze, a o twarz Alaina otarł się brzęczący owad. Mężczyzna zachwiał się, zaskoczony. Laoina syknęła ostro i złapała go za ramię. Znow usłyszał śmiech mężczyzny, tym razem bliżej. Towarzyszył mu inny głos.

Coś zaszeleściło wśród drzew. Usłyszał jakby chrząknięcie, pełne bólu i zdławiony krzyk, przechodzący w straszny gulgot. Komuś poderżnięto gardło. Ktoś umarł w ciszy.

Spośród gałęzi dokładnie na wprost nich wypadło dziecko i zwinnie wylądowało w strumieniu. W jednej ręce trzymało łuk, a drugą wykonało niecierpliwą, popędzającą gest. Na biodrach miało przepaskę z białego materiału, poza tym było nagie, nie licząc sandałów i ciemnych pasów namalowanych na wąskiej klatce piersiowej.

- Chodź - szepnęła ponaglająco Laoina.

Ruszyli przez poszycie, Laoina i dziecko z przodu, Alain za nimi, potykając się na nierównym gruncie. Nie uszli więcej niż sto kroków, kiedy ścieżkę zagroził im tuzin postaci, każda dzierżąca okrągłą tarczę i niedługi miecz. Wszyscy byli wymalowani na twarzach i piersiach w ciemne pasy, co czyniło ich prawie niewidocznymi w mroku - światło i cienie sprawiały, że ich ciała zlewały się z roślinnością. Przywódca, mocno zbudowany młody mężczyzna, zagał do Laoiny:

- Usłyszeliście nasze wezwanie.

- Tak. Gdzie jest Wiedząca?

- Nikt nie wie. Ale z pewnością uwięzili ją Przeklęci. Ludzie-Konie ruszyli na szlak.

- Co więc mamy robić?

- Idźcie szybko. Królowa potrzebuje siły dziewczyny Jelenia - wskazał Adikę i pośpiesznie ją obejrzał. - Utknęła w wizji - oznajmił Laoinie, ignorując Alaina. - Musimy natychmiast zanieść ją do królowej Szuasaany.

Nie zapytawszy o pozwolenie, zaczął rozwiązywać sznury, które trzymały Adikę na ramionach Alaina.

- Niech ją poniosą - powiedziała Laoina, gdy Alain miał zaprotestować. - Jesteś zmęczony.

- A psy? - Ta myśl trapiła go najbardziej.

- Ach! - Odwróciła się do przywódcy i rozpoczęła intensywną wymianę zdań, ale był zbyt zmęczony, by się przysłuchiwać. Wreszcie zwróciła się do niego, podczas gdy trzech mężczyzn odłączyło się od grupy i wymieniało swoje pakunki z towarzyszami. - Zrobimy tak: kiedy Przeklęci znajdą ciała swoich ludzi, wyroją się w tym wąwozie jak szerszenie. Trzeba zabrać psy teraz, przed wschodem słońca, później się nie da. Zabierzemy Wybraną do obozu Szu-Sza, a ci mężczyźni pomogą ci z psami. Ten - wskazała mężczyznę w średnim wieku z migoczącym naszyjnikiem z paciorków - szkolił się na Wędrującego i będzie twoim tłumaczem, a ja pójdę z Wybraną. Potem do nas dołączycie.

- Nie mogę zostawić Adiki!

- Więc musisz zostawić psy - przerwała mu Laoina. - Albo, albo. Pójdziemy do obozu najszybciej, jak się da. Wśród tych wojowników Wybrana będzie bezpieczna.

Przyglądając się grupie przed nimi, stwierdził, że prawdopodobnie Laoina ma rację. Dwanaścioro ludzi, w tym trzy kobiety, wyglądało na silnych, zdeterminowanych i bezlitosnych. Nie uśmiechało mu się opuszczenie Adiki, gdyż miał świadomość, że Przeklęci mogą zastawić pułapkę na oddział, ale ci ludzie z pewnością znali teren lepiej od niego i już przekonał się, że nie zawahają się zabić wroga. Gdyby chciał teraz iść z nimi, musiałby opuścić Smutka i Furię.

- No dobrze, tak musi być. Wezmę buklaki. - Pocałował Adikę w ciepły policzek, zanim jeden z mężczyzn dźwignął ją i przewiesił przez ramię. Nie zareagowała. Nadal miała zaciśnięte pięści. W ciemności nie sposób było odróżnić jej rysy; była jak cień, zamazany i niewyraźny. Grupa znikła w ciemności i stracił z oczu Adikę, zwisającą bezradnie na plecach innego mężczyzny. Lęk o nią wycisnął mu łzy z oczu. Czuł ściskanie w żołądku, ale wysiłkiem woli skierował swoją frustrację na bolące ramiona i nogi, napędnijając je ciemną energią smutku i rozpacz. Wkrótce dołączy do niej w obozie Szu-Sza. Jeśli będzie wierzył, to tak się stanie.

Zwrócił się ku swoim nowym towarzyszom. Obserwowali go z zaciekawieniem. Dwóch było tak podobnych do siebie, że przez chwilę wydawało mu się, że widzi podwójnie. Tak jak Alain, nosili schludnie przystryżone brody, ale ich włosy były czarne, szorstkie i kręcone.

- Powinniśmy wziąć wodę. Psy będą spragnione. Nazywam się Alain.

Mężczyzna w naszyjniku otaksował go wzrokiem. Miał bardzo ciemną cerę i siwe włosy w brodzie.

- A ja się nazywam Agalleos. Ci dwaj to synowie mojego brata, bliźniacy, Maklos i Shevros. Pośpieszmy się.

Bliźniacy rozgarnęli gałęzie krzaków i stanęli jeden w górze, drugi w dole strumienia, gdy Alain napędniał wszystkie cztery szawłoki.

- Jak na nas trafiliście? - spytał.

- Królowa zobaczyła was w swej wizji i nas wysłała. Przeklęci mają tu fort i bała się, że mogą was pojmać, a to byłby koniec wszystkiego. Wysłałiby was na spacer po sferach. Skau! - zasyczał, robiąc



dłonią wymowny gest cięcia przy gardle.

- Co to znaczy, na spacer po sferach? - Wyrażenie kołatało mu się gdzieś w pamięci, ale nie pamiętał, gdzie je usłyszał.

- Szybko - ponaglił Agalleos. - Musimy zabrać tych duchowych przewodników i zniknąć, zanim zacznie się rozjaśniać.

Brodząc w wodzie, ruszyli z powrotem w górę strumienia. Alain poczuł zapach śmierci, zanim zobaczył trupy. Na szczęście ciemność skrywała ciała pięciu żołnierzy leżące pod jaworem, gdzie dopadł ich oddział Agalleosa. Byli nie dalej niż kilkaset kroków od Alaina i Laoiny, gdy zostali zabici.

Maklos zaświstał cicho jak ptak i wskazał przerwę w poszyciu, która powstała, gdy Alain i Laoina przedzierali się w dół zbocza. Wstawał malejący księżyc. Agalleos nabrał błota z dna strumienia i posmarował nim ramiona, nogi i twarz Alaina. Ruszyli z Shevrosesem na przedzie. Bliźniacy najwyraźniej mieli doświadczenie we wspinaniu się na nierówne zbocza; poruszali się tak szybko, że Alain, nie będąc pewnym, gdzie oprzeć dłoń i stopy, musiał ich wreszcie poprosić, by zwolnili. Księżyc był teraz wyżej. Odpoczęli w opuszczonym gnieździe i ruszyli dalej, oglądając się przez ramię i spoglądając na majaczący pośepnie fort. Właściwie nie bali się, ale byli napięci niczym struny. Jak czujny wzrok mieli strażnicy Przeklętych?

Shevros pierwszy dotarł do otworu jaskini, skąd dobiegało niskie warczenie. Alain podciągnął się na rękach i zjechał w dół, do wnętrza. Smutek i Furia niemal go przewróciły przy powitaniu. Uspokoił zwierzęta i dał im pić. Agalleos przykląkł obok, rozpalił ogień i zapalił pochodnię.

- Czy wasi duchowi przewodnicy są zbyt ciężcy, by mieć skrzydła?

- Nie mają skrzydeł, ale my mamy linę.

Trzymając się z dala od psów, Agalleos obszedł jaskinię, oświetlając pochodnią każdą szczelinę i dziurę w wapiennej ścianie.

- Czy to lud Burzanu sprowadził was tutaj? Jakim statkiem tu przybyliście? Albo na jakim zwierzęciu?

- Nie wiem. - Alain starał się opisać ich podróż najlepiej, jak mógł, ale przestał, gdy Maklos wydał głośny, niedowierzający dźwięk sceptycyzmu podczas opowieści o olbrzymim targowisku, na którym skroliny handlowały z morskim ludem.

- Spokój! - odezwał się ostro Agalleos.

Maklos zadzierał podbródek w specyficzny, zarozumiały sposób, jakby sądził, być może nie bez powodu, że wszystkie napotkane młode kobiety natychmiast padają ofiarą jego wdzięku.

- Razem z bratem przygotowują się do bycia Wędrującymi. Dlatego uważa, że wie więcej, niż to ma miejsce w rzeczywistości. - Innym już tonem odezwał się do bratanka: - Nie zapominaj o swoim kuzynie. Też myślał, że jest mądrzejszy od nas wszystkich i stał się żerem dla wron.

Smutek przyczłapał do Maklosa i obwąchał go. Młodzieniec stał spokojnie, ale jego dłoń drgała na rękojeści miecza schowanego w pochwie. Alain gwizdnął na psa.

- Nie szkodzi. Widziałem wiele rzeczy, w które ciężko uwierzyć. Czy widziałeś ludzi Burzanu na własne oczy?

- Ja nie. - Agalleos potrząsnął głową. - Ani nikt, kogo znam. Dla mnie zawsze to była dobra historyjka do opowiadania przy ognisku, nic więcej. Ale nasza wielka królowa Szuaszaana wie o wielu rzeczach, których prosty człowiek jak ty czy ja nie ogarnia rozumem. Ona jest kobietą, mistrzynią słów, chyba tak to nazywacie w języku ludzi Jelenia? Jest spadkobierczynią Aradousy, matki naszego ludu, córki lśniącokiej Akhini.

Zakończył badanie jaskini i podszedł do Alaina.

- Jaskinie ciągną się nieprzerwanie pod tymi wzgórzami. Mój dziadek nazywał je „ustami starych”. Mówił, że ludzie w nich giną i już nigdy się nie znajdują.

- Majaczenia starucha, który nawdychał się dymu z ziół! - prychnął Maklos.

Agalleos spojrział na niego spode łba.

- Mów, co chcesz. Mój dziadek był mądrym człowiekiem. Nie należy ignorować mądrości.

Uśmiechnął się do Alaina.

- Na szczęście ty też jesteś Wędrującym. To ułatwia rozmowę.

- Nie jestem Wędrującym.

- Więc skąd znasz nasz język?

- Znam tylko język ludzi plemienia Jeleni. I oczywiście język mojego kraju.

Agalleos zmierzył psy spojrzeniem i zwrócił wzrok na Alaina.

- Dziwne - stwierdził. - Od chwili, gdy przekonałem się, że mnie rozumiesz, mówię do ciebie w moim własnym języku.

- Jak to? - Alaina zaniepokoiło i zmieszało oświadczenie Agalleosa.

Przez otwór w jaskini dało się słyszeć odległy głos rogu wzywającego żołnierzy do walki. Shevros wpelzł do środka i zeskoczywszy, stanął obok brata. Podobieństwo tych dwóch było niesamowite. Alain mógł ich odróżnić tylko po tym, że Shevros miał bliznę na brzuchu, zaś Maklos zawiązał lnianą przepaskę niżej na biodrach, odsłaniając sporą część umięśnionego brzucha.

- Nadchodzą Przekłęci - powiedział Shevros. - Odezwał się róg w forcie. To znaczy, że znaleźli ciała.

Agalleos zmarszczył brwi.

- To niedobrze. Zaleją wąwóz niczym szarańcza. Nie możemy wrócić tą samą drogą.

- A więc jesteśmy tu uwięzieni? - spytał Alain.

- Jest inna droga, dłuższa. Musimy się śpieszyć, zanim zrobi się jasno.

Nie było łatwo wyciągnąć psy przez otwór w jaskini i ustawić je w odpowiedniej pozycji. Alain wziął Smutka na ramiona, a odważny Maklos zajął się Furią. Shevros szedł pierwszy, wspinając się ku zarysowi krawędzi na górze, zaś Agalleos zamykał grupę. Chmury co chwila przesłaniały malejący półksiężyc, ale Alain cały czas czuł na plecach wzrok niewidzialnego wroga, obserwującego ich zejście. Róg zagrał jeszcze trzy razy. Powiew wiatru przyniósł wrzaski i nawoływania. W chwili, gdy wreszcie wspięli się na górę i postawili psy na ziemi, ujrzeli rząd pochodni zapalających się wzdłuż murów twierdzy.

Agalleos popatrzył poważnie na psy.

- Znamy dwie ścieżki, które doprowadzą nas stąd bezpiecznie do obozu królowej. Ale krótszej z nich psy nie pokonają.

- Nawet z linami i przy naszej pomocy? - spytał Alain.

- Nawet. To wąziutka ścieżka, biegnie pod ziemią i pod wodą. Nie możemy ryzykować. Będziemy musieli pójść na północ i obejść rzekę.

Maklos syknął ostro.

- Musimy się śpieszyć - ponaglił Shevros. - Patrzcie!

Pochodnie dotarły już na dno wąwozu. Tuzin ruszył w poszukiwaniu drogi pod górę, a reszta skierowała się z biegiem strumienia. Przekłęci byli wszędzie, liczni jak miot pajaków. Na wschodzie niebo zaróżowiło się zapowiedzią świtu.

- Czy Adika dotrze bezpiecznie do obozu Szu-Sza? - szepnął Alain, poirytowany, że pozwolił ją oddać w ręce obcych ludzi. Powinien był pójść z nimi i jej pilnować.

Leżący obok Smutek cicho zaskomlał, a Furia polizała go po ręce.

- Nic nie jest pewne - przytaknął Agalleos - ale poszli najbezpieczniejszą i najszybszą drogą. Oshidos to silny wojownik, zresztą i tak będą szli przez labirynt. Przekłęci nigdy nie złapali tam nikogo z naszych.

Alain dołożył wysiłków, by stłumić swój lęk. Jaki pożytek miałyby z niego Adika, gdyby dał się zabić Przeklętym?

- No dobrze. Na północ od rzeki, jeżeli to jedyna możliwość. Przebyłem długą drogę z tymi kompanami i nie opuszczę ich teraz.

- Stuknięty cudzoziemiec - mruknął Maklos.

- Widzę, że są potężnymi przewodnikami duchowymi. Bogowie upletli tajemnicę dookoła ciebie, towarzyszu. - Agalleos dźwignął się do pozycji w kucki, czujny i gotowy. - Żeby wydostać się z Doliny Cierni, musimy pójść przez Wrzeszczące Skały. Shevros, ty prowadzisz. Maklos, idziesz z tyłu. Zastaw pułapkę i wejdź po drabinie.

Maklos wydawał się zadowolony z niebezpiecznego zadania, jakie otrzymał. Alain wyobraził sobie, jak się będzie później przechwalał przed podziwającymi go dziewczętami.

Jeśli uda im się wyjść z tego bezpiecznie.

Zaczęli wolno podążać, najpierw wzdłuż brzegu urwiska, kryjąc się za głazami i krzakami, potem schodząc na dno kolejnego kanionu, gdzie z gęstej roślinności wystawały skruszałe wapienne kolumny, znacząc krajobraz. Dolina Cierni w pełni zasługiwała na swoją nazwę - urwiste zbocza porastały krzewy z kolcami długości psich pazurów. Nie było mowy, żeby mogli się tędy przedostać.

Shevros znikł w jednej z mniejszych jaskiń wypłukanych w wapieniu.

- Idźcie - rzucił Agalleos, zerkając za siebie. Na krawędzi urwiska pojawiła się pochodnia, potem druga. Wewnątrz jaskini, przemyślnie ukryte za zdającym się wyrastać z kruszejących ścian głazem, leżało wejście do tunelu. Shevros był już w połowie drogi na dół; Alain widział światło odbijające się w tarczy, którą umocował na plecach. Ruszył za nim, ale Agalleos go powstrzymał.

- Musi unieść pułapkę, zanim będzie można przejść.

Wnętrze jaskini śmierdziało padliną, co zaniepokoiło psy, chcące odnaleźć źródło woni. Nagle tarcza

Shevrosa znikła. Alain wczuł się za nim w zakurzony wijący się na górze i w dole korytarz, kończący się wyjściem w zagłębieniu otoczonym ze wszystkich stron kolczastymi krzakami. Rosły tak gęsto, że prawie nie było przez nie widać nieba, a już z pewnością nikt stojący powyżej nie dostrzegłby poruszających się tu ludzi. Ruszył za Shevrossem zacienionym tunelem wyciętym wśród gałęzi, deptając po opadłych, chrzęszczących kolcach. Poczekali na pozostałych.

- Pułapka jest zabezpieczona - powiedział Agalleos.

Kontynuowali, uważając na ręce i ramiona. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Zeszli na sam dół wąwozu. Alain musiał cały czas pilnować zwierząt, by nie zleciały na dół, w gęstwą kłujących chaszczę. Po tym, jak Maklos wielokrotnie pomógł Furii przeciskać się przez wąskie szczeliny, pies postanowił zaprzyjaźnić się z młodym zarozumiałcem i nawet polizał go po twarzy, na co Maklos zareagował prychnieniem i pluciem. Agalleos szedł na końcu, często znikając za zakrętem. Ile pracy musiało kosztować plemię Szu-Sza wycięcie tego labiryntu wśród kolczastych krzewów?

Shevros zatrzymał się i czekał przy rozwidlających się ścieżkach, następnie rzekł, jak gdyby odczytując podziw Alaina z jego wyrazu twarzy:

- Magia królowej jest silna.

Po tym ruszył dalej, przygarbiony jak starzec i skręcił w prawe odgałęzienie ścieżki. Alaina znowu zaczęła boleć ręka, ale zacisnął zęby i szedł dalej.

Wydostali się z ostatniego kolczastego tunelu, przeciskając się obok zagłębienia przy olbrzymim głazie. Znaleźli się na wąskim rumowisku, pozostałości po wielkiej lawinie, która zeszła zachodnim zboczem i wdarła się w kolczaste poszycie. Alain oczekiwał, że usłyszy jęczący pośród kamieni wiatr, ale jedynym dźwiękiem, jaki odbierał, było szuranie stóp Agalleosa, chodzącego w tę i z powrotem, oceniającego rozmiary zniszczenia. Było jeszcze bardzo wcześnie i cała wschodnia strona doliny leżała w cieniu. Wołania i odpowiedzi zwiadowców Przeklętych przeszukujących teren dźwięczały w powietrzu. Słońce powoli pełzło wzdłuż szerokiego zachodniego zbocza. Miało ich zaraz oświetlić. Skały już emanowały gorąco - zapowiadał się upalny dzień.

- Chodźcie - dał znak ręką Agalleos.

Posuwanie się naprzód było utrudnione przez skały, które się tu stoczyły, potraskane kamienie, łupki i całkiem spore odłamki. Trudno było utrzymać ciszę - kamyki nieprzerwanie skrzypiały pod stopami. Przeszli przez obszar pokryty głazami, z których każdy miał wielkość owcy, przeciskając się przez szczeliny tam, gdzie dwa takie olbrzymy niemal stykały się ze sobą. Shevros znał dobrze te pokręcone, zapyłone ścieżki, prowadził ich pewnie, ani razu nie zawahawszy się. Czy spędził całe swoje życie na tej grze o życie i śmierć, zawsze jeden krok przed Przeklętymi? Alain pomyślał o dziecku, które wyskoczyło na nich przy strumieniu, i zadrżał. Takie młode, a już na zwiadzie, uczące się tylko walczyć.

Na rumowisku nie rosło nic poza skąpymi porostami. Nie przeleciał żaden ptak. Były jednak znaki obecności człowieka: gdzieś tam, wepchnięte między skały, leżały ludzkie kości, ogryzione do czysta przez padlinożerców, rozsypane bezładnie przez wiatr albo prąd wiosennych potoków, teraz wyschniętych. Słońce weszło wyżej. Skały były już gorące w dotyku. Szli naprzód, wspinając się w górę po przekątnej zbocza.

- Dlaczego to miejsce nazywa się Wrzeszczące Skały? - spytał Alain, gdy wreszcie przystanęli, by odetchnąć w cieniu nachylonego głazu, przypominającego palec olbrzyma oderwany od skarpy powyżej. Nalał wody w splecione dłonie, by psy mogły ją wychłptać. - Myślałem, że będą tu jakieś... naturalne dźwięki.

Agalleos lekko się uśmiechnął. Shevros poszedł sprawdzić teren przed nimi - Alain widział tylko trzepoczący na wietrze brzeżek jego przepaski. Maklos z kolei został z tyłu i tam trzymał straż.

- Nie wiatr tu wrzeszczał. Gdy mój ojciec był młody, Przekłęci podpalili wielkie miasto mojego ludu, zbudowane w czasach królowej Aradousy. Całymi dniami trwały walki wśród tych skał. Wrzeszczeli tu ludzie - ranni, pozostawieni dla skorpionów i wron albo by umarli z pragnienia na słońcu, bo nikt nie mógł do nich dotrzeć.

- Kto wygrał?

Agalleos podniósł kość z palca i toczył ją wzdłuż dłoni.

- Śmierć wygrała. Mój ojciec umarł gdzieś tu, między tymi skałami. Nigdy nie znaleziono jego ciała. Jak widziałeś, wielu jego towarzyszy zginęło w ten sam sposób. Przekłęci nie lubią tego miejsca. Królowa Szuaszaana twierdzi, że to dlatego, iż wciąż słyszą zawroźdzenia duchów, które nie mogą spocząć w pokoju.

Alain nie słyszał nic poza odgłosami wydawanymi przez ich kompanię - węszenie Furii, skrzypienie, gdy Agalleos przestępował z nogi na nogę. Nad ich głowami przeleciał złoty orzeł. Wiatr wzmógł się,

sypnął im pyłem w twarze.

- Chodźcie - powiedział Agalleos. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Dotarli na drugą stronę osypiska, tym razem wspinając się w górę zachodniego zbocza. Ponad nimi zbocze przechodziło w długi nawis, ciemny i złowrogi, biegnący wzdłuż całej długości szerokiego wąwozu. Dalej znów rosły obficie kolczaste chaszczce. Ciężko było zorientować się, w którą stronę powinni iść. Wkrótce dołączył do nich Maklos, szczerzący zęby jak chłopiec, który zamierza splatać figla rywalowi. Słońce stało w zenicie, bijąc tak jaskrawo, że wydawało się, jakby światło miało fizyczny ciężar. Alain lepił się od potu i znów zaczęła boleć go ręka. Psy ciężko dyszały. Przykucnął w południowym cieniu i ścierając z czoła pot, spojrzął na dolinę.

Czy coś się poruszyło na wschodnim zboczu?

- Jeszcze dwudziestu - pokazał Agalleos.

Alainowi wydawało się, że zobaczył szybki jak strzała ruch na krawędzi dalekich krzaków na wschodnim zboczu, ale po chwili stwierdził, że to podrywający się do lotu ptak. Znów zabrzmiał róg. Czy Przekłęci odkryli ich trasę, czy zamierzali przerwać poszukiwania?

- Czysto - ocenił Shevros, wynurzając się z zacienionej szczeliny, uformowanej na kształt komina dawno temu przez nieznaną siłę.

- Obwiążemy psy linami na wypadek, gdybyśmy musieli je wciągać - polecił Agalleos.

Alain oplótł linową uprzężą piersi, grzbiety i brzuchy psów, wiążąc ją tak, żeby się nie podusily. Poprowadził zwierzęta ku szczelinie; nadal panował przytłaczający upał, ale tu cień dawał trochę wytchnienia. Budowniczości, wykuwając w skale schody, wykorzystali naturalne nachylenie, ale wspinaczka była ciężka z powodu ich nierówności. Czasami trzeba było stawiać drobne krocзки, innym razem dawać olbrzymie susy. Alain szybko się zdyszał, za to prowadzący Shevros oddychał miarowo, jakby codziennie przed śniadaniem wspinał się na zawrotne wysokości.

Po jakichś stu krokach dotarli do pułapki. Stanowił ją chwiejny most spleciony z gałęzi i sznurów, nad którym za ażurową zaporą leżała sterta kamieni, wciśnięta w poziomą rozpadlinę. Żołnierze po wejściu na most i rozciągnięciu się w szereg zostaliby przysypani, a sam most zerwałby się i uniemożliwił dalszą wędrówkę szlakiem. Maklos zabezpieczał przejście, a psy skomlały, zaniepokojone chwiejącym się oparciem dla łap i Alain musiał je przeprowadzić pojedynczo.

- A jak Maklos przejdzie?

- W skale jest wykute wejście. Widzisz? Tam się zaczyna.

- Będzie się wspinał po tej skale?

- Tam są miejsca do oparcia stóp i dłoni. Stąd ich nie zobaczysz.

W dole Maklos pogwizdywał, nadal szczerząc zęby.

- Czy Maklos ma ukochaną? Chciałbym jej dokładnie opisać jego odwagę.

- Więc będziesz musiał opowiadać to dziesięciu albo dwunastu - zachichotał Agalleos.

Kontynuowali wspinaczkę, często odpoczywając. Raz czy dwa musieli wciągnąć psy, gdy podejście stało się bardzo strome, ale wreszcie dotarli na górę. Alaina bolały nogi i dokuczala mu zraniona ręka. Krzaki rosły tu rzadko, poszarpany brzeg urwiska składał się głównie z kamieni. Wrócili na brzeg nawisu, na zawrotnej wysokości nad Doliną Cierni. Przed nimi rozpościerała się panorama kamienistej krainy poniżej. Na południu i wschodzie ostre wzniesienia i wąwozy przechodziły nagle w ledwie widoczne niziny, rozświetlone letnim słońcem, gorące i kolorowe.

- To ziemia Przeklętych, oby wszyscy zgnili - splunął Shevros. To była najdłuższa przemowa, jaką do tej pory wygłosił.

- Dlaczego ich tak nienawidzicie? - zapytał Alain. Shevros spojrzął na niego zbulwersowany i odwrócił się, zręcznie wślizgując się pod osłonę skał.

- Przekłęci wyganiają nas z naszych siedzib - powiedział Agalleos. - Niszczą nasze miasta. Zginęło wielu naszych ludzi. Ci, którym udało się uciec z ruin, musieli iść na wschód do kraju naszych kuzynów, plemion Ilios, błagać o schronienie, budować w miarę możliwości nowe domy. Oczywiście, że ich nienawidzimy.

- Mnie też przegnano z mojego domu.

- I nie nienawidzisz tego, kto ci to uczynił?

Potrząsnął głową, myśląc o Geoffreju.

- On nie rozumiał, co robi. Myślał, że ma rację, że tylko odbiera to, co kiedyś należało do niego.

- Cóż - skwitował Agalleos - jesteś jeszcze młody. Chodź.

Wśród skał leżał ukryty zbiornik, w którym było dość wody, by każdy mógł napić się do syta, a nawet oplukać twarz i ręce. Ku zaskoczeniu Alaina, Maklos już tam był, gawędząc z bratem i wyglądając na

bardzo zadowolonego z siebie.

- Zgubiliśmy ich - zwrócił się do Agalleosa. - Doszli tylko do śpiących się kolumn.

- Dobrze. - Agalleos polał sobie głowę wodą, pozwalając, by ściekła strumyczkami po twarzy. - A więc dziś możemy jeszcze iść tędy. Jutro może ta droga ocali kogoś innego. - Spojrzał na słońce znajdujące się w połowie horyzontu po zachodniej stronie nieba. - Ruszemy znów o zmroku. Chcę, żebyśmy nocą przeszli Kredową Ścieżkę.

Alain z wdzięcznością powitał możliwość drzemki, z której zbudził go zapach dymu i pieczonego mięsa. Agalleos rozpałił ognisko głęboko wśród skał, gdzie zeschnięte drewno i wiele otworów w skale pozwalały ukryć ich obecność. Smutek i Furia żarły z pośpiechem, kości tylko trzaskały w ich paszczach. Shevros schwytał w sidła tuzin niewielkich skalnych cietrzewi; zostały zjedzone co do jednego przez głodnych mężczyzn. Gdy słońce dotknęło horyzontu na zachodzie, zarzucili pakunki na ramiona i ruszyli na północny zachód, gdzie urwisko przechodziło w olbrzymi masyw. Było jeszcze dość światła, by szybko przejść wzdłuż grzbietu urwiska. Zanim zapadły zupełne ciemności, znaleźli się na wysoko położonej równinie, z której prowadziły wszystkie wąwozy, kaniony i kolejne urwiska.

- Czy pozostali dotarli już bezpiecznie? - spytał Alain, gdy przystanęli przy następnym zbiorniku, aby napić psy.

- Już dawno - odparł Agalleos. - Teraz odpoczniemy do wschodu księżyca, a potem musimy iść cicho, bez rozmów.

Alainowi pozwolono spać, a pozostali na zmianę trzymali wartę. Z pewnością wiedzieli lepiej od niego, na co trzeba uważać - znali te tereny, a on nie. Zmęczenie połączone z nieustającym bólem ręki zwały go z nóg i zasnął, wdzięczny towarzyszom za wyrozumiałość. Zbudzili go o wschodzie księżyca. Niebo było tak czyste, że półksiężyc dawał wystarczającą ilość światła, by nie potykali się na kamienistym gruncie, którym zmierzali w stronę sosnowego lasu. Noc odzywała się głosami ptaków i owadów. Pod stopami chrzęściło zeschnięte runo. Od czasu do czasu z ziemi wyrastały stosy kamieni, na których nie rosło nic poza kilkoma marnymi źdźbłami traw. Korony drzew nie były gęste, przeświecały przez nie gwiazdy, Rzeka Dusz była bardzo dobrze widoczna. Czy już zaczynał zapominać nazwy gwiazdozbiorów, których uczył go kapłan Miria? Czapla wyciągała się do góry i ku zachodowi. Podobnie Orzeł, schodzący ku zachodowi z zenitu. Których nazw nauczyła go Adika, a które pamiętał ze swojego dawnego życia? Czy to miało jeszcze znaczenie? Teraz tu było jego życie. Oddał wszystko, by je odzyskać. Świadomość, że na końcu tej mozolnej drogi Adika będzie czekała na niego, dodawała mu sił. Niemniej cień lęku trzepotał w mroku, jak nietoperz. Czy wybudziła się z transu? Co, jeśli utknęła wewnątrz swojej wizji i nie obudzi się nigdy? Odepchnął te myśli od siebie. Siedział już przy niej, gdy wpadała w gorsze transy niż ten... Dopóki będzie jej pilnował, Adice nic się nie stanie. Im szybciej do niej wróci, tym będzie bezpieczniejsza.

Kredowa Ścieżka przed nimi przecinała las migoczącą bielą. Szli ostrożnie, nasłuchując, ale w mroku nie było słyhać odgłosów innych wędrowców. Niebo na wschodzie poszarzało - nadchodził świt. Szlak oznaczony kredą był wystarczająco szeroki, by dwóch jeźdźców mogło jechać konno obok siebie - mocny kontrast gładkiej, posypanej kredą drogi i nierównych wykrotów i chaszczki po jej obu stronach.

Zatrzymali się tuż przed początkiem szlaku. Agalleos wyciągnął woreczek i nasypał z niego na dłoń mieszaninę nasion, łupin, sproszkowanych suchych ziół i płatków kwiatów.

- Trzymajcie się blisko siebie. Poruszajcie się żwawo. Musimy przejść od razu, kiedy rzucę to w powietrze. W przeciwnym razie Przekłęci będą wiedzieli, że tędy szliśmy.

- Jak to możliwe? - Alain złapał Smutka mocno za obrozę, ale pozwolił, by Furią zajął się Maklos.

- Kredowa Ścieżka stanowi granicę ziem, które Przekłęci uważają za swoje. Każdy, kto tędy przejdzie, ma kredę na podszwach. Jeśli ich zwiadowcy odkryliby miejsce wejścia, byłiby w stanie wytropić nas jeszcze po wielu dniach, przez kredowy pył na naszych stopach. Ale magia królowej Szuszaany nas ukryje. Teraz. Idźcie.

Wyrzucił proszek trzymany w garści w powietrze. Rzucili się naprzód, by przekroczyć ścieżkę, gdy opadał na ziemię, migocząc jak iskry. Sapiąc, wpadli w mizerne ukrycie, jakie dawały drzewa po drugiej stronie. Agalleos i bliźniacy pędzili nadal, chcąc jak najszybciej oddalić się od ścieżki, ale Alain obejrzał się za siebie.

W miejscu, gdzie przekroczyli ścieżkę, nie było żadnych śladów.

Znikły nawet rozsypane nasiona i łupiny. Ostatni opadający płatek, lekki jak puch, rozbłysnął niewielkim płomykiem nad samą ziemią i - gdy już miał opaść na zdradliwą kredową powierzchnię - zniknął.

Podróżowali cały dzień. Nocą zatrzymali się na odpoczynek w ruinach dawno opuszczonego miasta, choć sadza nadal pokrywała zawalone ściany. Na kolację zjedli wędzoną dziczyznę i kruszący się kwaśny chleb z dodatkiem anyżu.

- Ta droga jest dłuższa, niż myślałem - stwierdził Alain, wyciągając się na posłaniu z liści. Chmury zakryły gwiazdy, ale nie padało. - Jak daleko uszliśmy? I ile jeszcze przed nami?

Agalleos klęczał obok, konstruując z kamieni i płytek łupkowych dół do rozpalenia ognia. Shevros i Maklos poszli zastawić sidła. Łatwo było łapać ptaki na pustkowiu, jakim stał się kraj po wojnie.

- Magia królowej Szuasaany jest zbyt silna nawet dla Przeklętych. Dlatego tu została, choć większość tych, którzy przeżyli, poszła szukać domu gdzie indziej. Skała jest tu miękka, toteż wzgórza tej krainy kryją wiele wyżłobionych jaskiń i tuneli. Królowa zamknęła labirynt za pomocą magii. Stworzyła bramę, przez którą można przejść z ziem Przeklętych do miejsca tuż obok jej obozu. Ale wędrówka tą drogą zajmuje wiele dni. Musimy kierować się na północ, a potem zawrócić na południe i zachód.

- Chyba że pójdziemy tą wąziutką ścieżką, o której wspominałeś.

Agalleos uśmiechnął się.

- Prawda jest taka. Biegnie pod wzgórzami prosto do labiryntu i idąc nią, skraca się podróż o trzy dni. Ale to droga dla młodych ludzi. - Usiadł i poklepał się po brzuchu; nie miał dużo tłuszczu na ciele, ale jednak sporo więcej niż jego młodzi bratankowie. W odróżnieniu od nich był już w średnim wieku. - Obawiam się, że nie dałbym rady przeczołgać się tamtędy, choć jako chłopiec nie miałem z tym problemu.

Alain podniósł kilka odłamków kamienia.

- Nie, przyjacielu, oszczędzaj rękę. Zrobię to sam.

W mroku dało się słyszeć gwizd przepiórki, na który Agalleos odpowiedział cichym, słodkim dźwiękiem. Pojawił się Shevros, niosący nawleczone na sznurek cietrzewie i dwa bażanty.

- Cierpliwości - zakończył temat Agalleos, rozpalając ogień. - Ostrożność nie zaszkodzi. Jeszcze trzy dni.

O świcie Alain zjadł swoją porcję soczystego mięsa i całkiem sporo zostało jeszcze na później. Wkrótce po wyruszeniu natknęli się na wieżę strażniczą, ulokowaną na niskim pagórku. Z ukrycia między drzewami Alain dostrzegł wartowników w hełmach. Stali na murze.

- Ta wieża należała do klanu Narvos - mruknął Maklos tonem sugerującym, że czuł się osobiście dotknięty tą stratą. - Przekłęci zawładnęli nią, kiedy byłem chłopcem.

- To wszystko należało kiedyś do nas - dodał Agalleos.

- I znów będzie! - odparował wściekle Maklos.

Popatrzyli na siebie. Coś w błyskawicznej zmianie wyrazu twarzy, ponurym zmarszczeniu brwi sprawiło, że Alain zadrżał, jakby powiał zimny wiatr i złożył lodowatymi ustami pocałunek zła na jego sercu.

Weszli w las, kierując się na północ, ku spustoszonej ziemi. Przed południem dotarli do rzeki. W niczym nie przypominała wielkich rzek Północy, Rhowne i Vesper, o szerokich brzegach i rwącym prądzie. Żaden statek ludu Eika nie dałby rady tędy przepłynąć. Koryto było zbyt kamieniste i płytkie jak w górskim strumieniu. Bród był strzeżony przez posterunek Przeklętych - ziemna palisada, kamienna wieża i dwie koncentryczne fosy chroniące przed atakami. Ku północy biegła brukowana droga - wspaniała przykład prac inżynierskich.

- Ich armie idą teraz na północ i zachód, walczyć z ludem Koni - szepnęła Agalleos.

Alain opowiedział im o grupie, która zaatakowała i porwała Adikę.

- Myślicie, że mogli przejść przez bramę, o której wspominaliście? Jak się tu dostali?

Agalleos podrapał się po brodzie, jakby temat był dla niego niezręczny.

- Tak słyszałem. Ale nigdy nie widziałem. Nie jestem Wybranym, by mieć dar widzenia niebiańskich czarów. Przekłęci mają mocne nogi, a ich armie rosną w siłę. Mają drogi i własną przeklętą magię. Po co im jeszcze kraść nasze? Mamy tak niewiele.

- Żeby zrobić z nas niewolników - odparł Maklos. - Nie zostawią nam nic prócz śmierci, a nawet i śmierć nam zabrają, żeby ofiarować ją swoim bogom. Chciałbym, żeby wrócili na swoje statki i żeby morze ich pochłonęło...

- Ale czy Wybrani nie planują wykorzystania wielkiej magii? - spytał Alain. - Takiej, żeby pokonała... Agalleos uderzył go otwartą dłonią po ustach.

- Nie mów o tym, co zakazane. Nie jesteśmy Świętymi i nie wolno nam słuchać takich sekretów ani nawet mówić, że istnieją.

Shevros gapił się na Alaina, jakby nagle wyrosły mu z głowy rogi. Furia zawarczała i Agalleos, zerkając

nerwowo na psy, odstał o krok.

Maklos, stojący najbliżej skraju lasu, burknął:

- Stryju, chodź, popatrz.

Twarc Alaina paliła po niespodziewanym uderzeniu, a serce biło jak szalone, jednak było też mu wstyd. Jakie miał prawo wgłębiać się w sekrety Adiki i jej towarzyszy, sekrety, które studiowali latami i za które cierpieli, a nawet umierali? Chociaż z drugiej strony, im więcej wiedział, tym bardziej mógł pomóc Adice. Teraz zawrzał w nim gniew. A jakie prawo miała Wiedząca rzucić go do świata, którego nie rozumiał, kazać mu odgrywać narzuconą rolę i nigdy nie powiedzieć mu prawdy?

Miał mnóstwo pytań. W jaki sposób rozumiał swych kompanów? Czy dlatego, że to było życie po życiu? Ale przecież nie rozumiał Dwóch Palców, ludzi pustyni czy plemienia Akka. Może to nie było życie po życiu, tylko po prostu - inne życie? Ludzie tutaj nie różnili się zbyt od tego, co znał, choć ich zwyczaje i tajemnice - owszem.

Smutek polizła jego dłoń. Tak czy inaczej, przybyli do kraju Szu-Sza uratować Świętą i kiedy to zrobią, ona odpowie na jego pytania.

- Psst! - Agalleos przywołał Shevrosa ruchem dłoni. - Widzisz chorągiew? Czyje znaki?

Alain pochylił się do przodu, żeby też zobaczyć. Na posterunek strażniczy przybyli goście, co najmniej dwieście osób - w większości żołnierze w zbrojach i hełmach z brązu, niosący długie włócznie, które rozpoznał jako typowe dla Przeklętych.

- Krwawy Nóż. - Shevros miał najlepszy wzrok. Alain nie widział dokładnie insygniów na białym proporcu, będącym tylko wąskim paskiem materiału przywiązany pionowo do kija. - Patrzcie, pióra Najwyższego Kapłana.

Słowa Shevrosa uciszyły pozostałych. Patrzyli z ukrycia, jak oddział wjechał przez bramę i zniknął za palisadą. Wszyscy zdążyli dostrzec postać we wspaniałym przybraniu głowy ze świecących zielono-niebieskich piór.

Agalleos odezwał się zmartwionym głosem:

- Jest tylko jeden powód, dla którego Najwyższy Kapłan Żmijowej Sukni opuściłby swoją świątynię w Mieście Czaszek. Jedzie nadzorować powrót ważnego więźnia. Albo zabić...

Stryj i dwóch młodych bratanków popatrzyło na siebie. Nie porozumiewali się słowami, ale wyrazem twarzy. Zadano pytania, podjęto decyzję, a Alain nadal nie wiedział, o co chodzi.

Ale oni wiedzieli.

- Ja wrócę - odezwał się Shevros. - Najlepiej znam wężową ścieżkę. - Uśmiechnął się lekko, spoglądając na brata. - Znam cię, Maklos. Nie jesteś zadowolony, gdy nie przesz do przodu. Życzę ci blasku chwały... tylko nie daj się zabić.

Schwycił bliźniaka za ramiona i siarczyście ucałował w oba policzki.

- Co się dzieje? - wtrącił się Alain. Spojrzeli na niego, jakby w ogóle zapomnieli o jego obecności. Słowa Agalleosa obudziły w jego umyśle wspomnienie rozmowy z Laoiną tuż przed rozstaniem. Furia zaskomlała. Przy północnej bramie pojawił się ponownie kapłan ze swą eskortą i tuzinem mężczyzn z posterunku. Szykowali się do sforsowania brodu.

- Myślicie, że idą po Świętą? Zabrać ją z miejsca, gdzie jest uwięziona?

- Musimy iść za nimi - powiedział Agalleos. - Nie możemy ryzykować, że ich zgubimy. Shevros wróci wężową ścieżką do obozu i zaalarmuje królową. Wtedy będzie mogła wysłać posiłki, przynajmniej do tego miejsca. W ten sposób może uda nam się uratować Wiedzącą. W przeciwnym razie... - wzruszył ramionami i znów wykonał gest podrzynania gardła.

- Muszę iść do obozu, do Adiki.

- Jeśli musisz, idź. - Agalleos wypowiedział te słowa bez gniewu czy oskarżenia. - Ale jeżeli idziesz z Shevrossem, musisz to zrobić teraz i zostawić z nami swoich przewodników duchowych. Zajmiemy się nimi najlepiej, jak umiemy i przyprowadzimy z powrotem do ciebie, o ile będzie to możliwe.

Shevros już podniósł z ziemi większość rzeczy, które zamierzał zabrać ze sobą - nóż, dwa szawłoki i woreczek z żywnością. Tarczę, włócznie, a nawet miecz, zostawił.

- O Boże - wymamrotał Alain. Psy cierpliwie wpatrywały się w niego. Ból rozrywał mu serce, a do oczu napłynęły łzy, ale nie pozwolił im spłynąć po policzkach. Shevros, gotowy do drogi, czekał na jego decyzję.

- Dlaczego Wiedząca jest tak ważna? - spytał wreszcie Alain. Własny głos brzmiał dla niego obco. Czuł się jak człowiek, który spada ze zbocza i stara się chwycić jakiejś gałęzi.

- Bez szamanki Ludzi-Koni Wybrani nie są w stanie używać magii. Tak słyszałem - wyjaśnił Agalleos. - To wszystko, co wiem.

Zerknął niecierpliwie w kierunku brodu. Połowa eskorty kapłana przeszła już na drugą stronę. Dla mężczyzny w pierzastym przybraniu głowy przygotowano tratwę.

- I to wszystko, co muszę wiedzieć. Jestem na ich rozkazy w wojnie z Przekłętymi.

- Wiedząca przywiodła mnie tutaj - wymamrotał Alain. - Ocaliła mi życie.

Właściwie nie miał wyboru. Miał za to dług do spłacenia, do czego zobowiązywał go honor. Poza tym nie mógł przecież zostawić psów.

- Zostanę z wami - wyszeptał po chwili.

#### 4

Śniła.

Siedem błyszczących klejnotów na siedmiu szpicach korony cesarza Taillefera cofa się przed nią... albo to ona się cofa, z dala od nich i do góry, a ich światło rozprasza się, aż między każdym świecącym punktem rozciąga się ciemność, wydająca się mieć tysiące mil, gwiazdna korona unosząca się nad ziemią. Tam zaś, gdzie błyszczy jaskrawe światło, panuje ruch, jak w legowisku niespokojnej bestii. Wkracza do pieczary pełnej skarbów. Młody Berthold, zaginiony syn Villama, śpi spokojnie na kupie złota i srebra. Obok niego drzemie sześciu służących. Ich oddechy tworzą lekką mgiełkę, unoszącą się w powietrzu, przez którą widzi inny krajobraz. Kobieta o ognistych skrzydłach idzie przez zimny, jałowy teren. Jej twarz jest odwrócona...

- Siostrze, proszę, obudź się...

Zbudziła się nagle. W ciemności kołysała się tylko lampa trzymana nerwową dłonią jej służącej Aurei.

- Siostrze...

- O co chodzi, bracie Fortunatusie?

Usiadł na brzegu łóżka i ujął ją za rękę.

- Czy czujesz się dziś wystarczająco dobrze, by wstać? - spytał, zerkając z niepokojem na drzwi, jeszcze skryte w porannym cieniu.

Aurea postawiła lampę i zmarszczyła brwi. Rosvita dawno podejrzewała, że Aurea ma słabość do Fortunatusa, ale on ofiarował swe życie Kościołowi i, w przeciwieństwie do niektórych braci, twardo przestrzegał ślubów czystości i oddania Bogu.

- Mówiłam, żebyś nie niepokoił pani, choć to prawda, że czuje się dużo lepiej.

- Ty też byłeś chory, Fortunatusie - odezwała się Rosvita.

- Letnia gorączka dotknęła wielu z nas, siostrze - zgodził się - ale już jestem zdrowy.

- Jesteś zbyt szczupły. Widzę, że łatwo się męczysz.

- Siostrze, to nie może czekać.

Usiadła. Kręciło jej się w głowie, ale poza tym czuła się dobrze, była nawet głodna.

- Bracie, jeśli możemy...

Pospiesznie wycofał się do zewnętrznego korytarza. Wbiegły trzy młode kapłanki i jęły rozpyliwać się nad nią, podczas gdy Aurea pomagała jej umyć się i ubrać.

- Siostrze Rosvito! Jak świetnie dziś wyglądasz! - wykrzyknęła młoda siostra Heriburg, niska, krępa, o nieciekawej, lecz przyjaznej twarzy i anielsko pięknym charakterze pisma.

- Siostra pielęgniarka mówi, że kilka dusz odeszło ubiegłej nocy. - Siostra Ruoda podeszła do okna i otworzyła okiennice. Nieśmiała siostra Gerwita pisnęła z przerażeniem.

- Nie, gorączka mija, powietrze nie jest już zarażone, a muszę powiedzieć - proszę o wybaczenie, siostrze Rosvito - że tu śmierdzi.

Rosvita roześmiała się, zaś Aurea, z oczami wybałuszonymi od szoku, ściągnęła usta w pełen dezaprobaty ryjek. Ale jak powiedzieliby starożytni, te młode kobiety same w sobie były jak powiew świeżego powietrza. Patrzyła, jak uwijają się po pokoju, wygładzając koce, zamykając książki, które Rosvita czytała, zmiatając piasek ze stołu, czyszcząc pióro, o którym Rosvita zapomniała ubiegłego wieczoru, kiedy pracowała nad *Historią*, aż zmęczenie skłoniło ją do pójścia spać. Były takie młode, zdolne, pełne energii. Pamiętała, gdy sama taka była, oszołomiona przepychem królewskiej szkoły.

- Czujesz się lepiej, więc powiem służącym, żeby przeniosły tu z powrotem nasze posłania. Nie powinnaś spać sama - stwierdziła siostra Heriburg, wcale nie taka nieciekawa, jak sugerowałyby to jej wygląd.



- Nawet w kuchni mówią, że ostatniej nocy nikt nie umarł - dodała Aurea, pomagając Rosvicie ubrać się. - Miejskowi mówią, że gdy nastaje ranek, a w nocy nikt nie umarł, jest już po zarazie i wkrótce nastanie jesień.

- To byłoby zaiste błogosławieństwem.

Rosvita siedziała cierpliwie, gdy Aurea rozczesywała jej splątane włosy, zaplotła je, upięła na karku i okryła czepkiem przybranym siateczką z drogimi kamieniami. Fortunatus, wyraźnie czymś przejęty, wśliznął się z powrotem do pokoju i usiadł na łóżku.

- Co cię trapi, bracie?

- Wiadomości. Widziałem przyjazd Sokolego Oka z północy, od księżniczki Teophanu, ale zamiast do królowej Adelheid, zaprowadzono ją do Starszego Kościoła, Hugona.

- Może królowa odpoczywała. Spędza teraz wiele bezsennych nocy z niemowlęciem. - Zawahała się, widząc jego zatroskane oblicze. - Nie ma chyba żadnych nieprzystojnych plotek o... bliskości między królową a Starszym?

- Nie. - Rozciągnął usta w złośliwym uśmiechu. - Żadnych, oprócz tego, co sama właśnie powiedziałaś.

Ruoda miała jakieś osiemnaście lat, ale jeszcze nie nauczyła się trzymać języka na wodzy:

- Są taką ładną parą, kiedy rządzą dworem. Tak jak teraz, kiedy król Henryk walczy na południu.

- Królowa Adelheid jest oddana królowi! - zaprotestowała Heriburg ze zniecierpliwieniem.

- Tak, ja też bym była, gdyby zwrócił mi mój tron i był ojcem mojego dziecka.

- Cicho, skarbie - powiedział Fortunatus tak spokojnie, jak tylko mógł. Podobnie jak Rosvita, lubił ruch i zamieszanie. Zwrócił się do niej: - Nikt w Darre nie powie złego słowa o Starszym Hugonie. Nie ma powodu. To człowiek o nieskazitelnych manierach i szlachetnym sposobie bycia.

Czy jego usta wygięły się z sarkazmem, kiedy to mówił? Tym razem nie była w stanie stwierdzić.

- Jest przystojny - odezwała się niespodziewanie Aurea. Zwykle nie wygłaszała swoich opinii ani też Rosvita jej o to nie prosiła. - Ale pamiętam Werlidę - on, ten złośliwy Orzeł i dobry książę Sanglant pomiędzy nimi... Moja matka zawsze mówiła, że tojad to ładny kwiat, ale może zabić cię tak samo jak gnijące mięso.

- Doskonale wyrażenie - mruknął Fortunatus, śmiejąc się pod nosem i patrząc na służącą, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Zarumieniała się. Była jeszcze dość młoda, by myśleć o małżeństwie. Póki co, nie spotkała odpowiedniego kandydata, a nie mogła przecież się oświadczyć bratu Fortunatusowi. Rosvita zastanawiała się, czy nie będzie musiała rozwiązać złudzeń młodszej kobiety; tu, w Darre, pełnym kleryków, było też pełno „towarzyszek”, zwykle mieszkających w małych domkach przy wzgórzu Amurrine. Prawdę mówiąc, kobietom łatwiej było oprzeć się podszeptom pokus, gdyż ich serca były odporniejsze na nagłe impulsy. Mimo to wiele z nich dawało posłuch uwodzicielskim słowom Wroga. Ludzie są słabi, wbrew nauczaniu wielebnego Daisana. Życie to ciągła walka.

- Aurea, jeśli jest chleb, podaj mi trochę, proszę.

- Oczywiście, pani. - Aurea wyszła z komnaty, nadal zarumieniona, zasłaniając policzek dłonią.

- Siostrzo Gerwito, czuję się lepiej i chciałabym, żeby bracia Eudes i Ingeld złożyli mi dziś wizytę, jak zwykle.

Młoda kapłanka skinęła posłusznie głową i wybiegła z pokoju. Rosvita obserwowała Heriburg i Ruodę w milczeniu. Nie odwróciły wzroku. Były bardzo młode, ale pochodziły z Korvei i wybrała je sama Matka Otta, aby służyły Rosvicie. Westchnęła, rozumiejąc, że będzie potrzebować sojuszników i znów spojrzała na Fortunatusa.

- Kontynuuj, bracie. Mam nadzieję, że jesteśmy sami i nikt nas nie podsłuchuje.

Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, jakby szukając szpiega ukrytego w kącie, choć podobnie jak Rosvita ufał dwóm dziewczynom. W pokoju było dość światła, by wydobyć z mroku dekoracje na ścianach: geometryczne ramy obwiedzione kwiecistym wzorem, a wewnątrz freski przedstawiające śmierć męczenników - święta Asella zamurowana żywcem w pustelniczej celi, święta Krystyna od Noży, święty Jerzy rozerwany przez psy, sto strzał przeszywających ciało świętego Sebastiana.

- Pamiętasz klasztor świętej Ekatariny? - spytał.

- Jak mogłabym zapomnieć? Królowa Adelheid ufa teraz Hugonowi dlatego, gdyż właśnie tam nam pomógł.

- Za pomocą czarów.

Heriburg otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Ruoda pochyliła się, pozwalając chuście zsunąć się i odsłonić włosy koloru miodu.

- To prawda - zgodziła się Rosvita. - Wszyscy nosimy to piętno. Jednak nawet wiedząc, jakimi mocami dysponuje, nie możemy wystąpić przeciwko niemu, ponieważ wtedy pozwoliliśmy mu ich użyć bez

słowa protestu, abyśmy mogli uciec od Żelaznogłowego.

- Błagam, siostrze, nie bądź taka surowa dla siebie.

Przerwał, jak lis gotujący się, by schwycić jajko w zęby, i wsunął dłoń do rękawa. Usłyszała szelest.

- Przypominasz sobie tę młodą siostrę z laikatu, Palomę?

- Tę gołąbkę? Biedne dziecko, zmarnieje szybko, pracując tak ciężko i w tak samotnym miejscu.

- Ona jest tutaj.

- Tutaj! W Darre?

- Cicho, siostrze.

Czy na czole wystąpił mu pot? Naprawdę tak się obawiał?

Powiew wiatru przegnał zaduch zamkniętego pokoju. Wiele dni tu spędziła, dochodząc do siebie po chorobie.

- Nie rozpoznałem jej, ale ona rozpoznała mnie. Nalegała, byśmy się spotkali po wieczornej mszy, przy żywoptocie, gdzie zwykle o tej porze spaceruję. Powiedziała, że przybyła z klasztoru na polecenie Matki Obligatii z wiadomością dla ciebie, ale byłaś chora i nie mogła się do ciebie dostać.

- Mogła przyjść do którejś z nas! - wykrzyknęła Ruoda.

- Przecież was nie znała - odparował. - Żadna z was nie była w świętej Ekatarinie.

Ponownie zwrócił się do Rosvity:

- Przyniosła mi to.

Wyciągnął z rękawa ciasno zwinięty zwój pergaminu i wręczył jej tak ostrożnie, jakby rzecz była śpiącym węzłem, który w każdej chwili może się zbudzić i ukąsić. Rozwinęła pergamin na małym stoliku przy wschodnim oknie. Słońce było już dość wysoko i rzuciło światło na charakterystyczne linie na dokumencie.

- Mapa!

Fortunatus wstał i stanął obok niej. Ruoda i Heriburg stłoczyły się za nim. Wszyscy widzieli różne mapy w swoim życiu, głównie te kreślone w czasach Imperium Dariyańskiego w klasztornych bibliotekach i w szkole w Autun. Cesarz Taillefer zamawiał u kartografów mapy z naniesionymi granicami swego świętego imperium, ale były one niechlujne i powierzchowne w porównaniu z dziełami starożytnych uczonych. Wielka biblioteka w pałacu skoposy też dysponowała paroma rozsypującymi się starymi mapami, sporządzonymi na kruchym papirusie, łuszczącym się przy najlżejszym dotyku. Ta mapa była nakreślona byle jak i w pośpiechu. Nie wyczyszczono plam z tuszu, linia brzegowa Aosty, doskonale opisana przez żeglarzy i kupców starego imperium, była ledwo rozpoznawalna, przy zachodnim wybrzeżu tylko owal podpisany „Alba” oznaczał dużą wyspę, chociaż Rosvita wiedziała, że w Autun istnieje mapa dokładnie pokazująca południowe wybrzeże. Wykonano ją w czasach dziadka Taillefera, którego młodszy syn poślubił królową Alby.

- Co to za znaki? - Fortunatus wskazał maźnięcia, wyglądające jak ślady kurzych łapek, rozrzucone bezładnie po całym lądzie, lecz ponumerowane. - Niektóre liczby się powtarzają. Co mogą oznaczać?

Wiedziałyby nawet bez pomocy snu. Nigdy nie zapomniła kronik, przechowywanych przez święte siostry w klasztorze świętej Ekatariny. Ani rozmowy, którą przeprowadziła tamtego pamiętnego dnia.

- Matka Obligatia mówiła, że wcześniejsze przeorysze wierzyły, iż kamienne kopce są Przejściami.

- I są - potwierdził Fortunatus - ale to nie tłumaczy...

- Nie, bracie, zobacz, co napisała tutaj.

Zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze znam aretuzjański, siostrze. Co tam jest napisane?

- Heriburg, przeczytasz? - Rosvita znała aretuzjański całkiem biegle, ale zawsze dobrze było pozwolić młodemu wykazać się wiedzą. Młoda kapłanka zaróżowiła się, zadowolona, i odczytała starannie aretuzjańskie litery.

- „Zrobiliśmy, co się dało. Czy istnieje zasada?”.

- Co to znaczy? - wyrwała się Ruoda, nie będąc w stanie wysiedzieć cicho.

- To są kamienne kopce. Ta liczba oznacza ilość kamieni w danym kręgu. Tu mamy Albę, zaznaczone dwa kopce, jeden z siedmiu kamieni, jeden z dziewięciu. Tu wybrzeże Salii. Na południe leżą ziemie, gdzie jinnijscy poganie zbudowali wewnętrzne drogi. Na wschód - Varre i Wendar. A to Północny Znak, skąd pochodzę, wcinający się w Morze Bursztynowe.

- A ten ład tutaj? - Fortunatus pokazał słabo widoczną linię ciągnącą się na północ od morza.

- To musi być wybrzeże Eików. Na wschód od Wendaru leżą marchie, a dalej pustkowia, nic nie zaznaczone.

- Kraina mroku - mruknął.

- Tak. Góry Alfar leżą na południe od naszej ojczyzny, a tu jest Aosta. A tu, wzdłuż brzegu Śródmorza, Aretuza.

- „Strzeż się Aretuzjan przynoszących dary”. W kraju heretyków nie widzę kopców.

- Ja też nie, ale ciężko powiedzieć, czy ich tam nie ma, czy tylko siostrzyczki od świętej Ekatariny o nich nie wiedzą. Mogły zaznaczyć tylko te im znane, a z pewnością nie sądzą, że wiedzą wszystko.

- Niewielu z nas wie.

Uśmiechnęła się, słysząc typowy dla niego złośliwie słodki żart.

- Widzicie tu jakąś prawidłowość?

- Nie ma żadnego z tylko jednym kamieniem - wykrzywił się Fortunatus.

- Ani z dwoma. Dobra filozoficzna kwestia do rozważenia w szkole skopos, prawda?

- Bez wątpienia święty Piotr Geometra miałby coś do powiedzenia w kwestii, ile punktów jest potrzebnych, by stworzyć okrąg - skomentowała Ruoda.

- Pozwolę ci prowadzić dyskusję, siostrzo - rzekła Rosvita, znów się uśmiechając. Ruoda zaczerwieniła się, choć Rosvita nie przepadała za karceniem młodych kapłanek będących pod jej opieką za to, że odrobinę zanadto lubiły się popisywać wiedzą. Z wiekiem każda nabierała pokory - przypominały jej o tym bolące plecy i głowa, pozostałości po chorobie. Heriburg i Ruoda też chorowały, ale bardzo szybko wyzdrowiały; niech na razie wierzą, że będą je chronić młodość i świetne zdrowie. Wystarczająco szybko odbiorą swoją lekcję.

Fortunatus gwałtownie podszedł do okna i wychylił się, jakby chciał się upewnić, że żaden ptak nie usiadł na zewnętrznym parapecie, by podsłuchiwać. Wreszcie się odwrócił.

- Gołąbka przekazała ci też ustną wiadomość, siostrzo. Mam się z nią spotkać jutro po wieczornej mszy i przekazać twoją odpowiedź.

- Sama nie może do mnie przyjść?

- Boi się, że i tak mogła zwrócić na siebie uwagę tym, że rozpytywała o ciebie. Nie wiem, czego się boi, ale obiecałem, że uszanuję jej prośbę. Chyba mi ufa.

Rosvita chrząknęła.

- Nie bądź taki przygnębiony, bracie Fortunatusie. Dobre zachowanie całkowicie zrujnowało twoją reputację jako grzesznika, ale z pewnością możesz to jeszcze nadrobić.

Ruoda zachichotała, nawet Fortunatus uśmiechnął się kątem ust. Rosvita kontynuowała:

- Proszę więc, powiedz, jaką wiadomość przesłała Matka Obligatia.

- Niejasną, to wiem na pewno. Do klasztoru przybyła kobieta szukająca schronienia, mieszka tam do tej pory. Chce zostać zakonnicą. Mówi o sobie „siostra Venia” i twierdzi, że przez jakiś czas uczęszczała do szkoły w Mainni, a potem do świętej Hillary w Karrone. Z jej akcentu i sposobu bycia mateczka wnioskuje, że jest kobietą szlacheckiego pochodzenia, z południowego Varre lub z królestwa Karrone. Jest świetnie wykształcona i obyta ze zwyczajami pałacowymi skoposy. Mateczka jest ciekawa, czy wiesz o niej cokolwiek. Starsza kobieta, uprzejma, nienawykła do pracy fizycznej, ale o dużej wiedzy.

- Nie znam takiej kobiety. - Popatrzyła na obydwie dziewczęta, które tylko wzruszyły ramionami. Przybyły z południa z Rosvitą i królem i wiedziały jeszcze mniej niż ona. - Coś jeszcze?

- To wszystko, co mi powiedziała. Szczerze mówiąc, siostrzo Rosvito, zastanawiam się, czy Matka Obligatia nie powinna pomyśleć o tym, by w klasztorze znalazły się bardziej oddane zakonnice. Chyli się ku upadkowi i chyba nie jest łatwo zachęcić nowicjuszek, by przybywały do tak niegościnnego miejsca.

- Niestety, w tak niespokojnych czasach wszyscy musimy być podejrzliwi. Prawdę mówiąc, nawet tu, w pałacu wśród kapłanek, trzeba uważać, aby nie ściągnąć na siebie uwagi, jak Paloma.

- My możemy popytać - zaproponowała Ruoda. - Wszystkie te eleganckie aostańskie kapłanki i tak mają nas za beznadziejnych wendarskich barbarzyńców. Jeśli będziemy ostrożne, nikt nawet nie zwróci uwagi na nasze pytania.

- Zwłaszcza jeśli pytanie o siostrę Venię będzie tylko jednym z wielu - mruknęła Heriburg. Była porządną, cichą dziewczyną, ale czasem w jej oczach pojawiał się zadziwiająco szelmowski błysk.

Ojciec Rosvity, hrabia Harl, wytresował swoje najlepsze psy, dając im z każdą kolejną lekcją trochę więcej wolności. Dzięki temu były mu posłuszne.

- Dobrze więc, tylko nie...

Drzwi otworzyły się bez pukania. Rosvita szybko przykryła pergamin dłońmi w nieudanej próbie ukrycia go. Wkroczyła Aurea, niosąc tacę z winem i chlebem. Była zaróżowiona na twarzy, jakby wcześniej biegła.

- Pani, przybył Starszy od lorda Hugona. Masz iść natychmiast do królowej.

Pochyliła się, by postawić tacę na stole, ale dostrzegła pergamin i zamarła w pół ruchu.

- Aureo, nikomu o tym ani słowa. - Rosvita zwinęła mapę. - Rozumiesz?

- Tak, pani. - Aurea nigdy nie zadawała kłopotliwych pytań, dlatego też tak długo już pracowała u Rosvity.

- Fortunatusie, muszę cię prosić, żebyś jeszcze przez jakiś czas tego popilnował. - Wręczyła mu zwinięty pergamin. Po chwili wahania wsunął go do rękawa. - Idź, zobacz, dlaczego tak długo nie ma Ingeld i Eudes.

Gdy wyszedł, usiadła, a Aurea naląła jej wina do srebrnego kubka i odkroiła kromkę chleba. Po raz pierwszy od wielu dni Rosvicia zaburczało w brzuchu.

- Wpuść go, Ruoda.

Posłańcem lorda Hugona był krępy, nieśmiały mężczyzna, starszy od Rosvity, o spokojnym sposobie bycia i zadbanych dłoniach.

- Siostrze Rosvito, królowa prosi cię o przybycie.

Odczekał chwilę i kontynuował powoli, co pozwalało go bez trudu rozumieć:

- Raduje mnie, siostrze, gdy widzę, że się posilasz. Wszyscy wiemy, jak ciężko przeszłaś letnią gorączkę. Wydaje się, że ludzie z północy są bardziej podatni na tę chorobę.

- Dziękuję, bracie... Petrusie, prawda?

- To bardzo uprzejme z twojej strony, pani, że mnie zapamiętałaś.

A czy było miłe ze strony Hugona, że przysłał Starszego jako zwykłego chłopca na posyłki, jak gdyby Petrus nie był nikim lepszym, jak tylko służącym? Czy może okazywał w ten sposób respekt, który jego zdaniem należał się Rosvicia, gdyż była jednym z najbardziej cenionych doradców Henryka?

- Już kończę, bracie Petrusie.

Szybko skończyła posiłek w towarzystwie młodych kapłanek i Aurei, która zjadła resztki. Normalnie Rosvita nie konsumowałaby przed mszą, ale rozumiała, że jako rekonwalescentka musiała jeść częściej, by odzyskać siły. Dziewczęta były oczywiście głodne cały czas.

Petrus emanował ciszą i spokojem. Składając ręce, pochylił głowę, zacisnął powieki i poruszał ustami w bezgłośniejszej modlitwie. Paradoksalnie, zaniepokoiła ją ta spokojna pobożność. Dlaczego miałyby nie ufać Hugonowi? Odkąd przybyli do Aosty, zawsze był stuprocentowo lojalny w stosunku do króla i do Boga. Niektórzy nawet twierdzili, choć nigdy w obecności Hugona, że Henryk i Adelheid napotkaliby na dużo większy opór, gdyby Hugo nie zdławił najemnych oddziałów Żelaznogłowego.

Wrócił Fortunatus, prowadząc ze sobą resztę towarzystwa: cichutką Gerwitę, poważną Eudes, varingiańskich braci Jehana i Jerome'a oraz Ingeld, która była jeszcze młodzieńcem, ale wstawiła się za nią specjalnie przełożona Konstancja. Pokrzepiona ich obecnością, jak szlachcianka otoczona doborowymi wojownikami, pozwoliła Petrusowi poprowadzić się przez Korytarz Zwierząt. Wyszli na zewnątrz pod arkady ozdobione postaciami świętych, pięknie rzeźbionymi w marmurze.

Hugo czekał na nich przed apartamentami królowej.

- Bardzo proszę, siostrze Rosvito, bądź pogodna. Właśnie przyszły złe wieści z Wendaru. Księżniczka Matylda nadal gorączkuje.

Mężczyźni musieli zostać na zewnątrz, nawet Hugo nie miał wstępu do prywatnych apartamentów królowej. Adelheid siedziała w łóżku, a służąca zaplatała jej gęste ciemne włosy w warkocz, przewijając go złotą wstążką. Głowę królowej zdobiła też złota siateczka z wplecionymi maleńkimi szafirami.

Dwóm szlachciankom pozwolono usiąść na stołkach przy łóżku. Rosvita rozpoznała w nich ród Gisla, sąsiadów z regionu Ivrii. Najwyraźniej się kłóciły.

- To nie może trwać wiecznie - mówiła Adelheid zdecydowanym tonem. - Piraci jinnijscy już trzykrotnie tego lata zaatakowali wybrzeże, a wy się kłóćcie o kawałek ziemi zamiast się zjednoczyć i skończyć te najazdy.

- Ale, Wasza Wysokość... - zaczęła Gisla zwana Czerwoną, o płomiennorudych włosach.

- Już podjęłam decyzję. Obydwie macie dzieci w wieku odpowiednim do małżeństwa, poza pierwszoplanowymi. Twój drugi syn... nazywa się Flambert, tak?

- Tak, Wasza Wysokość - odparła Gisla Czerwona - ale...

Adelheid zwróciła się do drugiej Gisli.

- Flambert ożeni się z twoją trzecią córką, Rozą, która ma... trzynaście lat, prawda?

- Ależ, Wasza Wysokość! - zaprotestowała druga Gisla.

- Dostaną sporne ziemie, a ich dzieciom nadam tytuł hrabiów Ivrii. Wtedy będziecie mieć udziały w ziemiach, które, od tego zaczniemy, nigdy nie należały całkowicie do was, tylko leżały odlego w następstwie jinnijskich ataków.

Gisla Czerwona skłoniła głowę.

- Sprawiedliwy sąd, Wasza Wysokość.

Czy od początku o to jej chodziło? Rosvita zbyt słabo ją znała, by wiedzieć na pewno. Druga Gisla miała więcej zastrzeżeń, ale też dość rozumu, by ich teraz nie zgłaszać.

- Zrobię, jak każesz, Wasza Wysokość, ale oczekuję twego wsparcia w kwestii zapasów i wojska, jeśli mamy odegnąć piratów.

- Otrzymasz je.

Adelheid skinęła na służące, które podeszły i pomogły jej wstać. Dwie szlachcianki wycofały się w tłum dworzan, natychmiast otoczone przez popieczników chcących wysłuchać ich wersji rozmowy.

Służące Adelheid odziały ją w południowym stylu, w płaszcz bogato haftowany przy szyi i rękawach sięgających łokcia, i trzykrotnie przepasany złotą szarfą zdobioną kaboszonami. Królowa zasiadła na tronie i skinęła dłonią.

- Siostrze Rosvito.

- Wasza Wysokość.

Przyklękła; trzy kapłanki natychmiast poszły w jej ślady. Gerwita, mimo swej nieśmiałości, poruszała się ze szczególnym wdziękiem, co stanowiłoby wielką zaletę na dworze.

- Mam nadzieję, że księżniczka Matylida dochodzi do zdrowia?

- Tak jest. Lekarze mówią, że za tydzień powinna być zdrowa. Ciągle jeszcze gorączkuje, ale już chętnie ssie.

- Bogu dzięki, Wasza Wysokość. Jakież wieści z Wendaru?

Czoło królowej ściągnęło się, uwidaczniając przyszłe zmarszczki. Nadal była zbyt szczupła; poród, odbyty dwa miesiące po chorobie, wycieńczył ją bardziej, niż oficjalnie przyznano. Na twarzy jednak widniały zdrowe rumieńce.

- Dlatego cię wezwałam, siostrze. Potrzebuję twej rady.

Znow skinęła dłonią. Z grupy kobiet otaczających królową wystąpiła Orlica, wyraźnie zmęczona podróżą.

- Proszę, Orlico, powtórz siostrze, z czym przybywasz.

Orlica była mniej więcej w wieku Aurei - starsza od Adelheid i wyjątkowo wysoka. Miała duże, poznaczone odciskami dłonie i zaskakująco delikatne rysy, choć na jej twarzy malowało się znużenie.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - odrzekła posłusznie. Zamknęła oczy i wyrecytowała zapamiętane słowa. Jej głos był piskliwy, niepasujący do wzrostu i szerokich ramion. - Jej Wysokość księżniczka Teophanu przesyła pozdrowienia swemu szanownemu ojcu Henrykowi, królowi Wendaru i Varre, i ukochanej kuzynce Adelheid, królowej Aosty. Kraj trapią złe wieści. Były doniesienia o zarazie na południu. W Varingii słabe zbiory zeszłej jesieni, susza na wiosnę. Wojska qumańskie uderzyły na zachód, idąc przez marchie. Widziano je nawet w Echstatt w Avarii. Palą i plądrują, zostawiając za sobą zgliszcza i ruiny. Żadnych wiadomości od armii Sapientii od ubiegłej jesieni, poza plotkami o jakiejś bitwie. Boję się o marchie, a nawet o centralne krainy Wendaru, jeśli tego nie powstrzymamy. W tym celu uczyniłam biskupinę Konstancję regentką w Autun, a sama wyruszam na wschód z wojskiem, jakie uda mi się zebrać. Brakuje mi jednak żołnierzy, gdyż tak wielu walczy na południu, w Aoście. Księżna Rotrudis zachorowała, a jej dzieci walczą o podział mienia, poza synem Wichmanem, który ruszył na wschód i znikł wraz z armią Sapientii. Książę Ekkehard opuścił Gent, jadąc za Wichmanem i również zaginął w walkach na wschodzie. Księżna Yolanda twierdzi, że salijska wojna o tron wyczerpała jej siły zbrojne, bo wielu ze szlachty musiało bronić swych granic przed renegatami, których walki w Salii zepchnęły na wschód. Diuk Konrad obiecał pomoc, ale pewne inne doniesienia sprawiają, że waham się, czy mu ufać. Ożenił się z księżniczką Tallią, dlatego nie było go w Bederborze w ubiegłym roku. To nastąpiło, kiedy Konstancja zdobywała Arconię; gdy wróciła, lady Sabella oddała już Tallię Konradowi. Słyszy się, że dziewczyna oczekuje dziecka. Błagam, Wasza Wysokość. Sprawy w Aoście muszą być załatwione szybko. Armia jest potrzebna tutaj, na północy.

Rosvita odczekała chwilę z zadawaniem pytań, aby upewnić się, że Orlica skończyła. Wiedziała, że przerwanie w nieodpowiednim momencie może zniszczyć sedno przesłanej wiadomości.

- Co o tym sądzisz? - spytała wreszcie Adelheid. Służąca przyniosła kubek wina dla Orlicy. Dziewczyna z ulgą usiadła na ławce.

Rosvicie aż zakręciło się w głowie od tylu złych wiadomości naraz.

- Myślę, że król Henryk nie będzie zadowolony ze związku Konrada i Tallii. Konrad powinien był poprosić króla o pozwolenie poślubienia dziewczyny - Henryk jest jej opiekunem w zastępstwie jej matki, Sabelli.

- Która jest uwięziona w Autun - myślała głośno Adelheid. Pół roku temu była jeszcze całkiem nieświadoma wendarskich intryg. - ...za to, że przewodziła rebelii przeciwko jej bratu.

- Tak.

- A czy dla nas ten związek jest korzystny?

- Obawiam się, że nie - musiała zaprzeczyć Rosvita. - Tallia rości sobie prawa do tronu Wendaru, podobnie jak Konrad. Niektórzy nawet twierdzą, na przykład szlachta z Varren, która brała udział w buncie Sabelli, że jej prawa do tronu Varre są większe niż Henryka.

- Diuk Konrad to ambitny mężczyzna.

- Tak sądzę, Wasza Wysokość. Ma też silną wolę i śmiały temperament.

- I często wydaje mylne sądy?

- Trudno jednoznacznie stwierdzić. Nie wyrażałabym się źle bez dobrego powodu o kimś tak wpływowym jak Konrad, a na razie nie dał takiego powodu.

- Czy ruszy na pomoc Teophanu?

Służąca podeszła z tacą z winem. Pucharek przypominał z wyglądu Adelheid - piękny przedmiot z rzeźbionego sardonixu, ozdobiony koronką ze złotego drucika wysadzaną kaboszonami przypominającymi te na pasie noszonym przez królową. Podobnie jak ona sprawiał wrażenie rzeczy delikatnej i kruchej, która roztrzaska się, jeśli ktoś ją upuści na podłogę; lecz młodość i uroda Adelheid sprawiały, że łatwo było jej nie docenić.

- Byłoby niemądre ze strony każdego szlachcica w królestwie pozwolić, by Qumanowie poruszali się swobodnie po ich ziemiach - stwierdziła Rosvita.

- A czy oni nie powrócą do swoich domów, gdy nadejdzie zima? Nie można ich przekupić? - Adelheid upiła łyk wina i odstawiła pucharek. - Gdyby to tylko była prawda, że ich wyprawy łatwo stłamsić. Ale nie możemy wycofać wojsk z Aosty. Sytuacja jest nadal napięta, nawet w Darre zdarzają się zamieszki na ulicach, ludzie domagają się, żeby ta czy inna kapłanka została skoposą zamiast Matki Anny. W Tarveni rządzą bandyci, a szlacheckie domy Calabardii odmawiają wysyłania przedstawicieli, którzy przysięgliby lojalność władzy. Henryk walczy na południu, a mimo to połowa południowych prowincji nadal jest w rękach aretuzyjskich złodziei. Obiecałam, że wyślę oddziały, aby uwolniły moich poddanych od nękających wybrzeża jinnijskich piratów. Jeśli Henryk wróci teraz do Wendaru, wszystko pójdzie na marne. - Jej spojrzenie mogło złamać serce, tyle w nim było pasji. - Wiem, jak to jest być dzieckiem znakomitego rodu na łasce ambicji swoich krewnych. Kiedy zaszłam w ciążę, przysięgłam sobie, że moje dziecko nigdy nie będzie musiało przechodzić przez to, co ja wycierpiałam w młodości, rzucona wilkom na pożarcie. Że odziedziczy to, co jej się słuszenie należy, w kraju, w którym panuje pokój. Co mam robić, siostrze Rosvito? Co radzisz?

- Wyślij Orła do króla Henryka, Wasza Wysokość.

- Mogę pojechać sama!

- Nie, Wasza Wysokość. Słusznie postępujesz, pozostając w Darre, kiedy król wyjechał jednoczyć sojuszników. - I rozbić kilka opornych głów albo ich nastraszyć tak, by poprzysięgli wierność. - Musisz umocnić swoją władzę, żeby król wrócił do bezpiecznego, solidnego miejsca. Jeśli wyjedziesz, poparcie Darre może się załamać. Nikt nie kwestionuje twoich praw jako królowej.

- Nie - zgodziła się Adelheid spokojniejszym tonem.

- Czy były jakieś wieści od króla, Wasza Wysokość? Jak wiesz, dopiero co wstałam z łoża po chorobie. Nie widziała potrzeby mówić Adelheid, że kapłanki codziennie dzieliły się z nią świeżymi plotkami. Bez wątplenia królowa zdawała sobie z tego sprawę.

- Zaatakowali Navlię. Lord Gezo zawarł jakieś pakty z Żelaznogłowym i teraz odmawia przekazania większej części skarbów, które od nich otrzymał w zamian za dostarczanie najemników. Księżna Liutgarda została lekko ranna w walkach. I krążyły plotki, że ponownie wyjdzie za mąż.

Coś w wyrazie twarzy Adelheid zaalarmowało Rosvitę.

- Tak? - spytała ostrożnie. - Będzie wielu starających się czy księżna ma na myśli kogoś konkretnego?

Adelheid zarumieniła się wdzięcznie.

- Zasugerowałam Henrykowi, że księżę Sanglant byłby odpowiednim mężem dla kobiety o pozycji i pochodzeniu Liutgardy.

- Ach...

Aby zapanować nad chaotycznymi myślami, kłębiącymi się w jej głowie, Rosvita złożyła dłonie i pochylała się, przyglądając starannie ułożonym zygzakom na podłodze, składającym się na przemian z czarnych i białych kamieni. Była pewna, że ani Liutgarda, ani Sanglant nie byliby zainteresowani takim związkiem, ale wolała głośno tego nie mówić. Liutgarda dopiero co objęła władzę w księstwie i nie

zniosłaby u swego boku żadnego mężczyzny, który próbowałby rządzić z nią albo za nią.

- Każdy gest dążący do pojednania będzie powitany z radością, Wasza Wysokość. Wiadomość od księżniczki Teophanu nie mówi nic o księciu Sanglancie.

Adelheid uśmiechnęła się blado. Jej oczy błyszczały w miękkim świetle poranka, wpadającym przez wschodnie okna i oświetlającym ładne freski na zachodniej ścianie, przedstawiające sceny z dawnych opowieści, jak Pieśń o Helenie czy podboje Aleksandra, Syna Grzmotu.

- Zaiste, nie, siostró. Niektórzy są zdania, że król zbyt pobłażał swemu nieślubnemu synowi. I że małżeństwo Henryka z Aretuzanką Sophią nigdy nie powinno być uznane. I że jej dzieci nie powinny mieć żadnych praw do tronu.

## 5

Trzy dni podróżowali w szybkim tempie przez rzadkie lasy, trzymając się z dala od dróg, aby ich nikt nie wytropił. Prawie cały czas widzieli chorągiew z zakrwawionym nożem, a kiedy ukazała się droga, dostrzegli Najwyższego Kapłana w oszalałym nakryciu głowy; pióra tak błyszczały, jakby przechodziły przez nie małe tęcze. Czasami musieli szerokim łukiem obejść wioskę, jej winnice i pola, uważając, by ich nie dostrzeżono. Za pierwszym razem Alain spytał, dlaczego się nie zatrzymali.

- Przecież tutejsi z pewnością by nam pomogli, jeśli tak nienawidzą Przeklętych.

Maklos wskazał pracujących w polu ludzi. Chwilę trwało, zanim Alain dostrzegł, że i oni, i Przekłęci pracowali tu ramię w ramię; dawało się ich odróżnić tylko po kolorze skóry i po tym, że Przekłęci przeważnie byli niżsi. Niektórzy z ludzi nosili nawet włosy upięte do góry w charakterystyczny koczek.

- To niewolnicy - objaśnił Agalleos.

- To psy, liżące stopy naszych wrogów! - odparował Maklos i splunął, by pokazać swą pogardę.

- Wydaje mi się, że są w zgodzie. Patrzcie, ci tam śmieją się. A ta kobieta, przecież jest człowiekiem, jak my... dotyka tamtego mężczyzny jak brata...

- To nie jest mężczyzna, to Przekłęty - znów splunął Maklos. - Oby zgnął...

- Cisz! - nakazał Agalleos i zwrócił się do Alaina: - Przyjacielu, jesteś tu obcy i nie rozumiesz tego, co widzisz. Niewolnicy uśmiechają się i kłaniają, chcąc uniknąć bata. Magia może sprawić, że człowiek zaczyna dostrzegać nieistniejące rzeczy. No, chodźmy. Nie możemy się ociągać, bo zgubimy tych, za którymi idziemy.

Może i tak. Tyle tu było rzeczy, których nie rozumiał. Nawet domy były inne, zbudowane z jasnych cegieł, o dachach krytych drewnianymi gontami. W miarę jak szli, zobaczył więcej wiosek, w których ludzie i Przekłęci pracowali i żyli razem. Jedynymi miejscami zamieszkiwanymi wyłącznie przez Przeklętych były małe forty, oddalone od siebie o dzień drogi, gdzie Najwyższy Kapłan i jego eskorta zatrzymywali się na noc.

Trzeciej nocy, gdy układali się na spoczynek w sosnowym lesie, tak by widzieć wały dookoła fortu, Agalleos dostrzegł, że ta sprawa nadal gnębi Alaina.

- Przyjacielu Alainie, nie byłeś w tych wioskach. Nie stąpałeś po ruinach, w jakie Przekłęci obrócili miasto mojego dzieciństwa. Podążamy za Kapłanem i jego ludźmi, ale czy możesz powiedzieć, że patrzyłeś mu w oczy, widziałeś ich wyraz? Jesteśmy zbyt daleko, by wiedzieć cokolwiek o tych ludziach poza tym, jakiego koloru mają płaszcze. A to nie powie nam, co kryje się w głębi ich serc.

Tej nocy nie rozpalali ognia, bo ukształtowanie terenu zmusiło ich do obozowania bliżej drogi, prawdopodobnie w zasięgu wzroku kogoś, kto stał na niskim nasypie albo w drewnianej wieży strażniczej. Maklos wziął pierwszą wartę. Dużo później Agalleos obudził Alaina na ostatnią i leżał obok Maklosa. Obydwa psy spały. Przebywały tę długą drogę bez jednego dźwięku skargi. Dobrzy z nich byli towarzysze.

Alain oparł się o pień sosny, chłonąc nocne dźwięki: hukanie sowy, brzęczenie owadów. Maklos chrapnął i przewrócił się na drugi bok. Alain podszedł ostrożnie do skraju lasu. Na odległość lotu strzały od fortu wycięto drzewa. Ogniska zwiadowców płonęły po obu stronach bramy. Światło odbijało się w prostokątnych tarczach opartych o nasyp i tworzących jakby palisadę. Księżyc nie świecił, ale gwiazdy połyskiwały tak mocno, że przez chwilę miał ochotę zapłakać nad ich pięknem.

Jakaś postać wyszła poza krąg strażniczych ognisk i oświetlając sobie drogę, wolno ruszyła w stronę polany, na której obozowali. Mężczyzna machał lampą nisko nad ziemią. Dwa razy przyklęknął i

błyszczącym nożem ściał jakieś rośliny. Alain zamarł w bezruchu. W mężczyźnie było coś znajomego, jakiś ulotny cień, ale nie umiał tego zdefiniować. W mroku nie było widać jego twarzy, ale kiedy się zbliżył, Alain dojrzał osobliwy strój; przepaska zawiązana luźnym węzłem na biodrach i biały płaszcz sięgający bioder, wyszywane koralikami ochraniacze na przedramionach i łydkach. A na głowie - czy to było pióro, wetknięte we włosy, pojawiające się i znikające w świetle lampy?

Mężczyzna ukucnął, by zbadać kępę liści w bujnej trawie. Podniósł przy tym lampę tak, że Alain w jednej chwili zobaczył wyraźnie jego rysy.

To był Książę Cienia, choć nie w stroju księcia i z pewnością nie cień. Alain widział tego mężczyznę i rozmawiał z nim w ruinach nad twierdzą Lavas, a dokoła nich płonął niewidzialny cienisty fort. Ten człowiek prowadził kolumnę uchodźców przez kohorty Thiadbolda po tym, jak Alain wynegocjował pośpieszny rozejm, jeśli można było mówić o jakichkolwiek negocjacjach między ludźmi a cieniami.

Alain głośno wciągnął powietrze; być może to, co nagle zrozumiał, ukłuło go w serce jak kwiat o płatkach z ostrzy. Jeśli Książę Cienia żył, Alain nie mógł przebywać w krainie życia po życiu - cienie nie mogły przebywać po Drugiej Stronie. Wtedy nie byłyby uwięzione jako cienie na ziemi.

- Kto tam? - mężczyzna podniósł głowę i przykręcił lampę. Odchylił głowę, jakby węszył, starając się złapać trop. Podobny zwyczaj miał książę Sanglant.

Jeden ze zwiadowców podniósł się od ogniska i szybko podszedł do mężczyzny.

- Coś nie w porządku, Poszukiwaczu?

Książę czekał, nasłuchując. Alain był aż do bólu świadomy, jak skrzypią drzewa; jak wiatr wzdycha w bujnym letnim listowiu; jak tuż za nim Smutek wydał krótki dźwięk we śnie.

- To tylko jakieś zwierzę.

- Nie powinieneś się tu włóczyć, Poszukiwaczu - mówił żołnierz szorstko, ściskając oburącz włóczę. - Wciąż są tu bandyci, wiesz, jakimi bestiami są Bładzi. Porąbią cię na kawałki i zjedzą na surowo. Tak zginął mój kuzyn. Mam nadzieję, że wybijemy ich co do nogi.

- Nawet ludzie w tych wioskach, które mijaliśmy? Ta kobieta z klanu Królika, która sprzedaje kadzidło na Zachodnim Targu? Żeglarze z Białego Kwiatu? Ich kapitan jest półkrwi...

Żołnierz wykonał gest w stronę płonących ognisk i nasypu, chcąc wrócić w bezpieczne miejsce.

- Dzikie psy można nauczyć paru sztuczek, ale nie da się ich oswoić. Ugryzą, kiedy będziesz je karmił.

- Uhuu - skomentował książę cicho. - Szybki i surowy osąd.

Dotknął knota lampy kciukiem i palcem wskazującym. Ogień rozjarzył się tak gwałtownie, że Alain rzucił się do tyłu, uderzając głową o pień drzewa.

- Co to było? - Żołnierz uniósł włóczę i postąpił krok w stronę lasu.

- Jeleń. Chodźmy z powrotem, mam już to, czego szukałem.

- Książę podniósł czworokąt płótna pełen liści oraz gałązek i zawiązał rogi na krzyż, żeby móc go nieść.

Budząc towarzyszy bladym świtem, Alain usłyszał niski, drżący odgłos rogu.

- Wcześniej dziś wyruszają. - Maklos rażno chwycił za broń.

- Nie ma pośpiechu - powiedział Agalleos łagodnie, przeciągając się, by pozbyć się dyskomfortu, o jaki przyprawiło jego ciało spanie na nierównej ziemi. - Ach, znowu być młodym! - Wykrzywił się. - Cała szyja mnie boli. Nie ma innej drogi, więc nie zgubimy ich. Po południu dotrzemy do Pajęczego Fortu. Myślę, że zatrzymają się tam na noc.

- Skąd wiesz? - spytał Maklos krytycznie. - Czyżby im się nie śpieszyło?

- Chłopcze, tam są rozstaje. Na zachód i północ biegnie ścieżka do krain wrogów, aż do samej granicy. Na południowy wschód mogą podróżować Drogą Padliny i przekroczyć Kredową Ścieżkę przy Jasnej Rzece, a stamtąd już tylko dzień marszu do Miasta Wysp. Tam mogą stracić więźnia równie łatwo co w Mieście Czaszek.

- Czym jest Poszukiwacz? - odezwał się Alain.

Agalleos spojrział na niego pytająco, więc opowiedział, co się wydarzyło.

- Znasz też język Przeklętych? - Agalleos był zaskoczony.

Maklos już ruszył w drogę i teraz machał na nich niecierpliwie, na pół ukryty wśród drzew. Alain podniósł swoje rzeczy i tarczę zostawioną przez Shevrosa, rozmyślając o tym, co powiedział Agalleos.

- Mówiłem ci już, znam tylko swój własny język i mowę ludu Jelenia.

Popatrzyli na siebie, odczytując nawzajem w swoich twarzach niepokój i zdumienie. Furia zapiszczała i ponaglająco trąciła Alaina nosem.

- Chodźmy - rzekł Agalleos. - Bez wątpienia twoi przewodnicy duchowi obdarowali cię czymś, o czym nie miałeś pojęcia.



Bez wątpienia. Jednak w jego myślach panował taki chaos, że trzy razy potknął się o wystające korzenie, a raz wpadł na pień drzewa.

- Hej, uważaj! - Maklos doskoczył do Alaina i mocno nim potrząsnął. - Przez ciebie wszyscy możemy zginąć!

To nie miało sensu. Z jakiegoś powodu znów zaczęła go boleć ugryziona ręka, choć od dnia, w którym przeszli Kredową Ścieżkę, nie czuł dyskomfortu. Jedna zwłaszcza rzecz nie dawała mu spokoju: w jaki sposób rozumiał Agalleosa i Maklosa? I język Przeklętych?

I jeszcze jedno: książkę nie był Cieniem. Żył. Zaś w dawnym świecie Alaina był zjawą z dawnej przeszłości.

Czym więc był teraz?

Pajęczy Fort zbudowano na ruinach innego miasta, wznosząc grube kamienne mury na niskim wzgórzu, aby uczynić zeń prawdziwą fortecę. Resztki starych ścian rozrzuconych w trawie dookoła ponurych wież strażniczych i masywnych murów nadawały jej wygląd wielookiego pająka siedzącego w środku sieci. Znajdowało się tu dużo więcej żołnierzy, którzy nawet rozłożyli obóz na płaskim gruncie, ciągnącym się na południowy wschód na zewnątrz murów - okrągłe pawilony z białego płótna pozłoczonego przez zachodzące słońce. Żołnierze wbijali w ziemię na wschodnim zboczu ukośne pale, jakby miały one stanowić ochronę przed jazdą konną.

- Myślisz, że mają tu Wiedzącą? - Maklos wyszczerzył zęby. - Mogę się prześliznąć wzdłuż starych ścian i zerknąć do środka.

- Nie, ja muszę iść - sprzeciwił się Agalleos. - Kiedy byłem w wieku Maklosa, spędziłem tu trochę czasu w wojsku. Już wtedy przegrywaliśmy wojnę, a teraz Przekłęci są aż tutaj. Co rok rozciągają szerzej swoją sieć.

Splunął, jakby chciał pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach.

- Ja pójdę - wtrącił się Alain, a kiedy pozostali dwaj zaczęli protestować, uniósł dłoń. - Rozumiem ich język. A wy?

- No tak, to prawda - przyznał Agalleos. Maklos skrzyżował ramiona i skrzywił się, niezadowolony, że przepada mu okazja do kolejnego śmiałego wypadu.

- Nawet jeśli nie uda mi się podejść na tyle blisko, żeby zajrzeć do fortu, posłucham, o czym plotkują zwiadowcy. Co wiecie o tych starych murach? Jest jakaś droga lepsza od innych?

- Wzdłuż północnego zbocza ziemia jest zryta starymi rowami i pokryta zwalonymi murami. Tamtędy możesz podejść naprawdę blisko. - Agalleos rysował patykiem po ziemi. - Tu, z węższej strony wzgórza, ściany wystają jak dziób statku.

Wydrapał w ziemi głęboką linię położoną ukośnie w stosunku do wcześniej naszkicowanych ścian.

- Podejź pod górę wzdłuż tej rozpadliny. Po lewej dostrzeżesz stary taras, na którym kiedyś było herbarium. Dawniej były tam schody, ukryte przez magię królowej, zanim żołnierze musieli opuścić fort. W rogu, gdzie schodzą się trzy ściany, znajdź płaskorzeźbę przedstawiającą kobietę-lwa. To symbol, który uaktywni magię i pozwoli ci przejść.

Pokazał Alainowi, w jaki sposób umieścić dłonie i nacisnąć usta i oko płaskorzeźby.

- Wejź po schodach. Trafisz do ukrytego miejsca, z którego będziesz widział wnętrze fortu.

- W porządku - zgodził się Alain.

Zjadł, napił się i pobaraszkował z psami, czekając na zapadnięcie nocy. Wziął tylko laskę, nóż i mały bukłak z wodą, odrzucając tarczę, włócznię i miecz ofiarowane mu przez Maklosa.

- Laska jest jedyną bronią, jakiej używam, a tarcza tylko by przeszkadzała - wyjaśnił.

Agalleos wyjął spośród swych rzeczy małą, zalakowaną buteleczkę i otworzył ją.

- Niedużo tego jest, ale to czas, by go użyć. Daj lewą rękę.

Nalał trochę olejku na dłoń Alaina.

- Natrzyj sobie twarz i powiedz: „Niech szybki bóg Erekes położy dłoń na moim czole i uczyni mnie niewidzialnym dla wrogów”.

Alain zawahał się. Olejek pachniał słabo liliami, ale także czymś ostrym i nieprzyjemnym.

- To ludzka magia - wyjaśnił Agalleos. - No, dalej.

Alain wtarł olejek w skórę twarzy, zaczynając od ucha i mamrocząc pod nosem słowa. Zapięły go wargi.

Z nocą pojawił się księżyc - nisko na zachodnim niebie, ale wystarczająco jasny, by w połączeniu ze światłem gwiazd pozwolić Alainowi wymknąć się z ich kryjówki. Teren dookoła był płaski, choć tu i ówdzie zdarzały się doły i sterty kamieni, między którymi można było poruszać się niezauważonym

nawet bez pomocy magii. Na murach fortu płonęły światła. Słysząc było odgłosy obozowiska; męskie głosy śpiewały o statkach i morzu, co było mocnym kontrastem w porównaniu z pyłem pod stopami Alaina. Od czasu do czasu natrafiał dłońmi na kępy zeschniętej trawy lub kopru. Raz musiał się przyczołgać, gdyż blisko niego przeszedł patrol. Może ukryła go magia, a może wystarczyły cienie. Gdy tylko strażnicy odeszli, wstał i ruszył dalej, pochylony, trzymając się blisko rowów i zburzonych murów, kalecząc sobie kolana o wystające kamienie, wdychając zapach suchej ziemi. Grunt pod jego stopami pisał się ostro w górę, a wyżej płonęły pochodnie, przyćmiewając najbliższe znajdujące się gwiazdy. Na murach poruszały się sylwetki wypatrujące wroga w lesie za otwartą przestrzenią.

Przemknął przez rumowisko, niegdyś będące murem otaczającym niższy stok wzgórza. W jakiś dziwny sposób czuł, jakby odzyskał dawne, wyostrzone zmysły, których w snach użył mu Silnoręki. Trawa wzdychała pod dotykiem wiatru. Owady drążyły korytarze w ziemi, a nad głową Alaina przeleciała sowa, wołając w języku, którego nie zrozumiałaby żaden człowiek poza nim: Uważaj! Uważaj!

Podciągnął się na nasyp i przeturlał na jego drugą stronę. Ogarnęła go chmura dzikich zapachów lawendy, rozmarynu, ruty i szaławii. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Na czworakach Alain przeszedł przez zapuszczony ogród i znalazł miejsce, w którym stykały się trzy ściany, tak stare, że prawie pochłonięte przez wzgórze. W ciemności odnalazł płaskorzębę sfinksa o wygiętych skrzydłach i potężnych przednich łapach. Włożył kciuk do ust płaskorzęby, palec wskazujący do oka, a mały w szczelinę pod skrzydłem.

Poczuł na twarzy powiew wilgotnego, zimnego powietrza. Księżyc zachodził szybko za zachodni horyzont. Alain potknął się i upadł, uderzając kolanami o wykute w zboczu schody. W ciemności nie widział nic więcej. Z wysiłkiem macał przed sobą laską i dłońmi, szukając drogi. Po dziewięćdziesięciu siedmiu schodach - policzył wszystkie - dostrzegł chwiejne czerwone światło po prawej stronie. Nie mógł posuwać się do przodu, gdyż drogę zagrodziła mu ściana, skręcił więc i szedł wąskim przejściem, przeciskając się przez stopy kamieni. Jeszcze piętnaście kroków i dotarł do framugi osadzonej w skale. Z niewielkiego pomieszczenia mógł spoglądać na rozległy dziedziniec przed główną bramą i dwie kwadratowe wieże.

Żołnierze szykowali się do wymarszu. Ich pochodnie oświetlały złowrogą scenę. Na dziedzińcu widać było tylko płomienie, dym i błyski rzucane przez brązowe hełmy i tarcze. Chorągiew z zakrwawionym nożem powiewała w środku. Do trzymającego ją żołnierza podeszła smukła postać, przepchnąwszy się przez tłum. Alain rozpoznał ją od razu: księżę, którego strażnik nazywał „Poszukiwaczem”. Zamienili kilka słów, zaś żołnierze cierpliwie czekali. Potem księżę pośpiesznie odszedł, znikając Alainowi z oczu w niskich drzwiach.

Pojawił się Najwyższy Kapłan, ale zwalony mur zasłaniał Alainowi widok. Dostrzegł tylko błyski nakrycia głowy. Rzędy włóczyki kiwały się dookoła więźnia, przywiązanego między dwoma mniejszymi wozami.

Dzięki ciału konia była o głowę wyższa od strażników, ale piękną, dumną głowę trzymała opuszczoną, a oczy przesłonięto jej opaską. Gęste włosy spływały na ramiona, poplątane i brudne. Nagi tors pokryty był siniakami i niezagojonymi zadrapaniami. Utykała, nie mogąc oprzeć ciężaru ciała na prawej przedniej nodze. Ręce miała związane za plecami, na kłębie, a liny pod brzuchem i na plecach trzymały ją między wozem z przodu i z tyłu, przez co nie mogła uciec ani kopać. Woźnica szarpnął za lejce, osadzając ją w miejscu. Odblokowano zamki i mężczyźni pobiegli otworzyć bramy. Nie zamierzali czekać do świtu z zabraniami więźnia.

Jej piękna czarna sierść, niegdyś lśniąca, była teraz pomazana brudem i krwią i pokryta warstwą pyłu. Przeszła z nogi na nogę, by ulżyć zranionej kończynie. Jeden z poganiaczy świsnął ją batem po zadzie, aż oparła się na skaleczonej nodze i krzyknęła z bólu. Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Ciężkie bramy otwarły się z łoskotem. Droga dla wymarszu Kapłana i jego ludzi stała otworem.

Alain popęzł do przodu. Oślepił go dym z pochodni. Liczył stopnie, by nie upaść, ale szło to bardzo powoli. Musiał wymacywać drogę w ciemności stopami i dłońmi. Czy to szczęk i brzęczenie, jakiego narobili, odjeżdżając? Czy mógł tu słyszeć skrzywienie kół w pyłe, gdy wozy wyjeżdżały opadającą pochyłą drogą? Czy to tylko wiatr jęczący w szczelinach skał? Albo ciche głosy ludzi rozmawiających szeptem?

Dziewięćdziesiąt siedem stopni doprowadziło go do ukrytego wejścia. Jego dłonie namacały rzeźbione skrzydła sfinksa, na wieki uśpionego w kamieniu. Zatrzymał się przy połączeniu trzech ścian, widząc blade światło na małym występie nad zapuszczonym ogrodem; wołał pozostać w cieniu.

Ktoś tam stał, tyłem do niego. Żołnierz w hełmie z piórami i w białym, sięgającym bioder płaszczu. Brązowe nagolenniki ochraniały jego podudzia. Powiew wiatru uniósł płaszcz, odsłaniając doskonale

wykuty pancerz, przybrany zwisającymi do kolan skórzanymi frędzlami.

- Mylisz się - żołnierz zwrócił się do kogoś ukrytego za wyłomem muru. - Pokonamy ich, bo nasze wojska są silniejsze. Są niewiele lepsi od stada dziczających psów.

W bladym świetle zarysował się jego profil: to naprawdę był księżę, jedynie zmienił strój na żołnierski. Alain widział go już w takim ubraniu - gdy ukazał się jako cień w ruinach nad Lavas. Dziwne, że tak szybko się przebrał.

- Nie doceniasz ich - odparł niewidoczny towarzysz księcia. Ponieważ szeptali, ich głosy były bardzo podobne. - To dlatego nadal walczymy.

Księżę roześmiał się ochryple.

- Wojna dobiegnie końca dopiero, kiedy te blade psy i shanaret'zeri przestaną na nas polować, a tego nigdy nie zrobią. Są nadal bestiami, nie umieją żyć w pokoju i nie dadzą nam żyć w pokoju.

- Mówisz jak żołnierz.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie, bracie. Wiesz, że są naszymi wrogami.

- Wiem, że nie zapanuje pokój, dopóki nasi przywódcy będą ich uważać za bestie.

- To przekonaj mnie, że nie cieszyłeś się, kiedy do Pana Skrwawionych Noży przyszły wieści, że pojmano tę wiedźmę, która się zwie Li'at'dano!

Dźwięk tego imienia zaskoczył Alaina. Zrobił nieostrożny krok i na ziemię posypały się małe kamyczki, lądując u jego stóp. Jednak drugi mężczyzna już odpowiadał i wydawało się, że żaden z nich niczego nie usłyszał.

- Ona nie jest najniebezpieczniejszym z naszych przeciwników. Ale przynajmniej kiedy ją złożymy w ofierze, nie będzie ich wspierać swoją mocą.

- Nie potrzebujemy magii, żeby ich pokonać.

- Jeśli tak sądzisz, jesteś głupcem.

- Znów słuchałeś mamrotania tych gapiących się w niebo idiotów. Wystarczą nam włócznie i miecze.

- Dlaczego nie chcesz posłuchać, starszy bracie? Włócznie i miecze nigdy nie wystarczą.

- Cóż za wielką magię ukrywają te blade psy? Jak zamierzają powstać i pokonać Płaszcz z Piór i jej czarodziejów? Na co czekają? Wiedźma-klacz zostanie zabrana do świątyni Tego-Który-Płonie i na spacer po sferach, więc się jej pozbędziemy. A wtedy reszta zginie, podda się albo ucieknie.

Skąd ten człowiek, który był żywą istotą, wiedział o Liath? Czyż ona już nie odbyła „spaceru po sferach”? A może wcale nie o niej mówił? Liath nie była „wiedźmą-klaczą”.

- Właśnie tego się obawiam - powiedział drugi mężczyzna, pojawiając się w polu widzenia Alaina. Niósł lampę olejną, rzucającą drżące światło w podmuchach nocnego wiatru. Oświetlił twarz księcia. - Obawiam się, że gdy nasze wojska pomaszerują ku granicy i zostawią miasta bez ochrony, blade psy ujawnią swoją magię. Tak nas zaatakują. Dlatego obserwatorzy nieba wysłali zwiadowców na cztery strony świata.

- Na pożarcie wyvernem, rozszarpanie przez sfinksy albo żeby szczyli w burzach piaskowych!

Mężczyzna z lampą poruszył się i światło padło na jego twarz. To był Poszukiwacz, w prostym stroju żołnierskim przybranym piórami.

Być może Alain niechcący wydał dźwięk zaskoczenia, może obsunęła mu się stopa, tak czy inaczej żołnierz odwrócił się i zniżył lancę, celując prosto w brzuch Alaina.

- Kto tam?! - zawołał, mrużąc oczy i wpatrując się w ciemność.

- Nie postępuj nierozważnie. - Poszukiwacz położył dłoń na ramieniu brata, powstrzymując go. - Już go wcześniej wyczułem.

Podniósł lampę na wysokość ramienia. Miał młodą twarz, przystojną i dumną, lecz nie okrutną. Uniósł brodę, aż pióra w jego włosach podskoczyły.

- Wyjdź. Jesteś w pułapce.

Alain ostrożnie postawił krok do przodu, ściskając laskę w prawej dłoni.

- Jestem sam - powiedział spokojnym tonem - i nie rozumiem tej długiej wojny. Czy nie żyłoby się wam lepiej, gdybyście zawarli pokój?

Żołnierz zasyczał przez zęby. Trzymał lancę w pogotowiu, lecz nie zaatakował.

- Nie masz zamiaru przesyć tego bladego psa na wylot i skończyć z jego szczekaniem? - spytał Poszukiwacz z niejakim rozbawieniem. Teraz, gdy widział ich razem, Alain dostrzegał pewne różnice postury i wyrazu twarzy. Żołnierz był spięty i trochę szczuplejszy, ponury jak śmierć - Poszukiwacz ze złośliwym błyskiem w oku i sardonycznym grymasem w kącikach ust. Poza tym wyglądali identycznie, oprócz stroju.

- Co tu robisz? - Szpic lancy kołysał się naprzeciwko podbrzusza Alaina. - Jak przedostałeś się przez

mury? Nie dostrzegli cię ani zwiadowcy, ani patrole.

Alain dotknął twarzy, ale wiatr dawno zwał ostatnie ślady olejku, który dał mu Agalleos. Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał szczekanie, jakby nagle wyrwano ze snu stado psów. Ze wschodu z kolei dobiegło beczenie rogów. Ziemię wstrząsnął odległy grzmot. Na skraju lasu wzdłuż jego północnej krawędzi zapłonęły pochodnie, a na murach fortu wszczęto alarm. Ludzie wykrzykiwali do siebie ostrzeżenia. Światła pochodni szybko zbliżały się do fortu.

- I co teraz powiesz, bracie?! - zawołał żołnierz. - Czy przychodzą zaofiarować nam złote pióro pokoju? Wysyłają emisariuszy z podarkami? Nie, atakują nas nocą, jak wilki!

Zaatakował Alaina. Ten zdążył się uchylić, ale księżę natarł po raz drugi.

- Stój! - zawołał Poszukiwacz. - To Ludzie-Konie, przyszli po swoją wiedźmę. Tego tutaj nie powinno być.

- Więc się go pozbądźmy! - Żołnierz uderzył ponownie. Alain odepchnął ostrze laską i rzucił się ku ścianie, unikając kolejnego ataku.

- Bracie! Za tobą!

Dwie potężne postacie gramoliły się pod górę. Jedna, zwinniejsza i szybka, zbliżyła się. Lampa trzymana przez Poszukiwacza rozbłysła, gdy pierwszy centaur wdarł się do ogrodu, deptając wysoką po pas lawendę. Żołnierz obrócił się, by wyjść jej na spotkanie - bo to była ona. Piękna. Długie, czarne włosy odrzucone w tył odsłaniały pełne piersi, lśniące w bladym świetle jak doskonale księżycy. Podskoczyła na tylnych nogach, w dłoniach trzymając najeżoną kolcami pałkę. Natarła na księcia. Ten utrzymał pozycję i trafił ją włócznią między piersi. Ostrze wyszło jej plecami. Księżę wycofał się pod niski murek okalający nasyp. Pałka zbyt późno rozłupała drzewce włóczni. Ciało centaura zważyło się na jej zabójcę i oboje stoczyli się za resztki muru, znikając pozostałym z oczu. Towarzyszka zabitej wydała przejmujący okrzyk, widząc, że może już tylko ją pomścić. Natarła na Poszukiwacza. Odskakiwał z lekkością, której brakowało masywnemu ciału centaura, ale w końcu zapędziła go w róg obok Alaina. Nie miała zjawiskowej urody swej towarzyszki; szerokie plecy i baryłkowata klatka piersiowa, piersi niknące pod umięśnionymi ramionami. Wspięła się na tylne nogi, mlóćąc przednimi kopytami. Alain obronił się laską. Obróciła się i powaliła go na ziemię. Przygotowała się do następnego ataku, ale zablokował jej ruch, całym ciężarem ciała napierając na kij, opierający się o jej tylne nogi. Drewno wytrzymało. Wojowniczką przewróciła się na bok. Skoczył, opierając się o jej ramię i przyciskając laskę do szyi.

- Musimy uratować Wiedzącą! - wrzasnął.

- Jestem So'ska. - Odwróciła głowę i ujrzała Poszukiwacza, stojącego nieruchomo pod ścianą. - Bar'ha i ja zostałyśmy tu wysłane, by znaleźć kogoś imieniem Alain. Jeśli to ty, to dlaczego ze mną walczysz?

Poszukiwacz wyciągnął nóż, ale ani drgnął, by zaatakować. O dziwo, nie upuścił lampy. Alain wsparł się na lasce i wstał. So'ska podniosła pałkę i z pewną trudnością stanęła na czterech nogach. Zobaczyła Poszukiwacza i na jej twarzy zagościła nienawiść. Uniosła pałkę i skierowała się ku niemu, ale Alain zagroził jej drogę.

- Nie. Dość już zabijania.

Potrząsnęła głową, wydając dźwięk bardziej podobny do rżenia niż mowy. Spiczaste, kosmate uszy wystawały pomiędzy jej czarnych włosów. Przyjrzała się Alainowi pionowo osadzonymi oczami, których koloru nie sposób było rozpoznać w ciemności.

- Chodź - rzekła wreszcie, rzucając przelotne spojrzenie na Poszukiwacza, który nadal trwał w bezruchu. Może młody księżę, tak niesamowicie podobny do brata, nie miał umrzeć tego dnia. Może jego brat stał się - lub stanie się wkrótce - cieniem, uwięzionym na zawsze po cieniejszej stronie świata.

- Szybko! - So'ska schwyciła Alaina silnym ramieniem i pomogła mu niezgrabnie wdrapać się na jej grzbiet. Wcisnął kij pod ramię i spróbował usiąść wygodniej, podczas gdy So'ska bez trudu przeskoczyła mur i pokłusowała w dół zbocza, lekko się ślizgając. Chwycił się grzywy. Poruszała się pewnie i zwinnie, ale teren był nierówny i trochę nim rzucało. Obejrzał się i zobaczył Poszukiwacza, pochylającego się, aby podnieść coś z ziemi. Świeciło w ciemności intensywnym złotym kolorem, prawie tak jasno jak lampa.

Alain pomacał swoją tunikę, szukając piórka feniksa i zobaczył, jak księżę-żołnierz odpycha od siebie martwe ciało centaura, leżące tuż pod nasypem. Poszukiwacz natychmiast rzucił się pomóc bratu przejść w bezpieczne miejsce.

- Uwaga! - zawołała So'ska, skacząc przez rów i lądując ciężko po drugiej stronie. Nie spadł tylko dzięki temu, że zdążył mocniej złapać się grzywy. Znow pomacał się po piersi, ale piórka nie było, zapadziało się gdzieś podczas walki. Było za późno, żeby wracać. W mroku przed nimi toczyła się kolejna bitwa.

Trzymał się mocno, gdy So'ska przebyła najgorszy kawałek terenu i pogalopowała szerokim łukiem,

okrażając walki, jakie wybuchły w obozowisku. Pawilony płonęły, rzucając blask na pole bitwy. Przekłęci padali, atakowane centaury potykały się, powietrze przecinały przeraźliwe wrzaski, straszliwy smród palonego ciała kłuł go w nos, uniemożliwiając oddychanie. Pochodnie okrążały fort, a płonące strzały zakreślały świetlne łuki na nocnym niebie.

- Na południowo-wschodnią drogę! - ryknął, po czym zakaszłał. So'ska odpowiedziała rzeniem, na co jakieś cztery tuziny centaurów przyłączyły się do nich, porzucając walkę. Połowa niosła pochodnie. Wypadły na drogę, krzesząc kopytami iskry na kamieniach i pomknęły galopem. Bruk, owoc słynnej sztuki inżynieryjnej Przeklętych, czynił drogę tak gładką i prostą, że mogły biec szybko bez obawy, że się potkną. Z centaurów emanowała taka wściekłość, że Alain czuł, iż żadna przeszkoda, nawet nocna ciemność, nie stanie pomiędzy nimi a tą, której szukali.

Grupa Najwyższego Kapłana miała już dobry kawałek drogi za sobą i wyglądało na to, że wkrótce pokonają kolejny dystans, gdyż poruszali się szybkim, sprawnym krokiem wyćwiczonych żołnierzy. Tylna straż wydała ostrzegawczy okrzyk i połowa oddziału zatrzymała się, by odeprzeć niebezpieczeństwo. Rozstawili się w wachlarzowatą linię, trzymając włócznie nisko opuszczone, a reszta grupy pośpieszyła dalej. Sztandar ze skrwawionym nożem zniknął w ciemności, oświetlany tylko dwiema pochodniami. Dwa wozy, między którymi przywiązano Wiedzącą, toczyły się drogą.

Centaury zaatakowały żołnierzy z włóczniami, zmiatając ich z drogi. Cztery padły, ale reszta parla naprzód, nie zważając na to, że wrogowie, którzy nie zostali powaleni na ziemię, ciskali za nimi włóczniami. Jeden centaur, ugodzony w udo, padł i został zadżgany przez żołnierzy. Alain odwrócił wzrok.

Grupa z przodu, widząc, że pościg ich dogania, wstrzymała marsz i zwróciła się w stronę centaurów. Sierść So'ski była śliska od potu, a z jej ust wydobywała się piana, gdy wrzeszczała w bitewnym szale, atakując linię wroga. Alain ścisnął jej boki kolanami, by utrzymać się na grzbiecie i nastawił kij jak lancę. Przekłęci uformowali szyki, trzymając włócznie i miecze w pogotowiu.

Gdy przedarli się przez ich linię, Alain uniknął pchnięcia włócznią i z całej siły uderzył żołnierza w twarz, zwalając go na ziemię. Pałka So'ski zaświszczała obok, spadając na hełm Przeklętego; całe jej ciało zadrżało od mocy ciosu, który zmiążdżył mężczyźnie czaszkę. Ostrze upuszczone przez umierającego, który upadł pod kopyta So'ski, lekko przecięło jej ramię i udo Alaina. So'ska zwolniła i z pewnym wysiłkiem obróciła się, wychodząc na spotkanie nowej grupie żołnierzy. Pałka w jej dłoniach zataczała szerokie kręgi, bijąc na prawo i lewo. Alain musiał uchylać się przed jej ciosami, sam waląc laską po twarzach otaczających ich wrogów. Uderzał mocno, zbijając ich z nóg. Jeden z żołnierzy podciął nogi So'ski; wspięła się na tylne kopyta i Alain zleciał z jej grzbietu, ale, o dziwo, wylądował dość pewnie i od razu skoczył, blokując kijem miecz żołnierza. Broń wbiła się w drewno. Alain szarpnął i uderzył przeciwnika płazem jego własnego ostrza, ogłuszając go. Uwolnił kij i przyłożył żołnierzowi. Ten padł na ziemię.

Wozy musiały się zatrzymać, gdyż woźnice nie radzili sobie ze spłoszonymi końmi. Najwyższy Kapłan, w tęczowym nakryciu głowy, zsuniętym niedbale na bok, wyskoczył z tyłu pierwszego wozu i ruszył biegiem w stronę Li'at'dano, trzymając w dłoni odrażający obsydianowy nóż. Szamanka centaurów, nadal uwiązana i bezradna, odrzuciła głowę i zarżała. Przekłęci walczyli ze wszystkich sił, by nie dopuścić do niej pozostałych centaurów do czasu, aż Kapłan ją zamorduje. Alain gorączkowo przepychał się w jej stronę, ale na miejscu każdego obalonego na ziemię przeciwnika zaraz pojawiał się następny.

- Niech Ten-Który-Płonie przyjmie ofiarę! - zakrzyczał Kapłan, uderzając. Centaury ryknęły w lęku i bezradnej wściekłości.

Słup światła rozdarł niebo nad nimi. Po oślepiającym błysku nastąpił wybuch, który powalił wszystkich na ziemię. Potem nastąpiła cisza. Alain nie byłby w stanie powiedzieć, czy trwała sekunda, czy godzina; czuł w skórze silne klucie, które spychało na bok wszelkie inne doznania. Stopniowo wracał mu wzrok. Z jednego ucha ciekła krew. Podniósł się na kolana. Jego włosy ożyły, wijąc się jak u ludzi morza.

Wiedząca nadal stała, gdyż przytrzymały ją liny, którymi była przywiązana do wozów. Jej ciało było spalone, a czarne włosy, grzywa i sierść osmalone. Ciało Kapłana leżało dwadzieścia kroków dalej, zwęglone, powykręcane. Na brzegu płaszczą tańczyły gasnące płomyki. Obsydianowy nóż leżał u stóp szamanki, stopiony w kałużę płynnego szkła.

Alain z trudem wstał i powłókł się w kierunku lasu. Zwęglone ciała pospadały z wozów. Jeden z koni zaplątał się w uprzęż i bezskutecznie próbował się podnieść. Alain kopnął żołnierza, również usiłującego wstać. Dotarł do Li'at'dano i przeciął krępujące ją więzy. Z wdziękiem padła na ziemię. Centaury podnosiły się, z włosami i grzywami nastroszonymi jak u przestraszonych kotów. So'ski nie było między nimi.

Przekłęci potrzebowali więcej czasu, by dojść do siebie. Niektórzy odczuli się dalej, wielu zabiły centaury. Alain nie potrafił pomóc żadnemu z nich. Mógł tylko pomóc wstać szamance. Z bliska widział okropne ślady na jej tułowi, ślady bata i poszarpany strzęp z uciętym końcem w miejscu jednego ucha.

W końcu pojawiła się So'ska, osmalona, lecz żywa.

- Do wozu - nakazała.

Nie było łatwo wprowadzić Li'at'dano do środka i ułożyć ją na łóżku przeznaczonym dla dwunogich istot, ale jakoś się udało. Centaury odwiązały od wozów oszalone konie i zaprzęły się na ich miejsce.

- Co ona zrobiła? - spytał Alain, opierając się o wóz, aby odetchnąć. Jego włosy powoli wracały do normalnego stanu. Na środku drogi widniała olbrzymia wyrwa.

- Li'at'dano włada magią pogody - odparła So'ska. - Wezwała błyskawice.

Przybyła nowa grupa centaurów z pochodniami. Posługując się nimi jak pałkami, rozgoniły lub zabiły pozostałych Przeklętych. Dopiero teraz dotarły do Alaina odległe dźwięki bitwy przy forcie, zagłuszone przez wzmagaający się wiatr, szeleszczący w pobliskich drzewach. Usłyszał też szczekanie.

So'ska zagwizdała. Podbiegł centaur o skórze koloru spalonego masła i lśniącej, szarej sierści. Miała łuk i kołczan pełen strzał przerzucony przez grzbiet.

- Jeśli ma iść z nami, będzie musiał kogoś dosiąść - powiedziała So'ska.

- Nie idzie z nami - odparła Szara Sierść. - Nadjeżdżają jego towarzysze na źrebackach Ni'at. Muszą wrócić do swego stada i zanieść wieści.

- Przeprowadźcie go do mnie - rozległ się głos Wiedzącej. Mówiła z wysiłkiem, cicho, lecz melodyjnie. Spojrzał na nią. Szamanka podniosła głowę.

- Tu jestem. - Wyciągnął dłoń i dotknął jej ręki.

- Tak. - Nienormalnie mocno chwyciła jego palce. - Jesteś tu. O co chciałbyś mnie spytać?

Skąd wiedziała?

- Czy to ciebie zwą Liathano? Li'at'dano - poprawił się.

Uśmiechnęła się lekko spuchniętymi wargami.

- Tak mnie zwą. Ale ktoś inny będzie nosił to imię w przyszłości.

- O Boże.

Jej słowa zahaczały mu w głowie jak dźwięk dzwonu. Rozejrzał się. Centaury chciały już odejść, zabrać uratowaną szamankę w bezpieczne miejsce, by wyzdrowiała. Ale on miał tyle pytań...

- Gdzie właściwie jestem?

- Tutaj.

- A gdzie byłem przedtem? Kiedy żyłem?

- Ty żyjesz.

- Żyję gdzie? - Z trudem wypowiadał słowa, splątane i ciężkie na języku. - Żyję kiedy?

Pojawił się tuzin nowych centaurów. Agalleos i Maklos jechali na dwóch srokach; Agalleos ponury, Maklos flirtujący z ładną istotą, z której grzbietu właśnie zsiadł. Coraz więcej centaurów wracało z bitwy pod fortem, kołysząc pochodniami.

Przypomniał sobie: księżę-żołnierz nie zginął. Nie był cieniem. Był tak samo żywy jak Alain.

- O Boże. Nie jestem w życiu po śmierci, prawda?

- Nie - odparła ze smutkiem. - Odnalazłam cię tylko dlatego, że ta, którą zwiesz Liathano, odciągnęła cię ze ścieżki wiodącej na Drugą Stronę.

- To znaczy, naprawdę umierałem! - wyrzucił z siebie gorzko. - Służyłem Pani Bitew, tak jak mnie prosiła. Zginąłem na polu bitwy.

- Nie zginąłeś. Tylko dlatego, że dziecko ognia odciągnęła cię ze ścieżki. Zobaczyłam cię tam, gdzie krzyżują się światy i życia, gdzie styka się ze sobą wszystko, co było, jest i będzie. Tam cię spotkałam i przywiodłam tutaj, do tego czasu, do Adiki. Ona cię potrzebuje. - Jej twarz skurczyła się w bólu, gdy wypowiadała ostatnie słowa.

O Boże. Adika!

Furia i Smutek rzuciły się do niego, bez strachu roztrzaskując stado centaurów, przeskakując nad ciałami. Skakały, by polizać go po twarzy.

- Leżeć! Leżeć! - wołał.

Szara Sierść podniosła róg do ust i zadęła. Z szacunkiem pochyliła się, by dotknąć jednego z kopyt szamanki.

- Musimy iść. Nasze tylne strażnice nie dadzą rady tak długo trzymać Przeklętych na dystans. Powinnaś być daleko stąd, zanim znów na nas ruszą.

- Tak - zgodziła się Li'at'dano. - Już raz wpadłam w ich pułapkę, nie chcę tego powtarzać. Złożyła głowę na poduszce i oddychając ciężko, zamknęła oczy.

Alain odsunął się od boku wozu w tej samej chwili, gdy ten potoczył się naprzód, ciągnięty przez dwa silne centaury. Pochodnie świeciły po obu stronach drogi, a zgromadzone centaury wydawały z siebie niesamowity gwizd, gdy wóz przejeżdżał obok nich.

- Chodź. - Agalleos ujął ramię Alaina. - Musimy iść z nimi.

- Ale przecież wracamy do Adiki!

- Nie przejdziemy teraz drogą za nami, to nie jest bezpieczne. Przekłęci będą wszędzie.

- Ale...

Podbiegła do nich So'ska.

- To moja kuzynka. - Wskazała dorodnego centaura, uderzająco podobnego do So'ski, o szerokich plecach i umięśnionych ramionach. Jak i wszystkie, była całkiem naga. - Pojedziecie na niej przez pierwszą część drogi.

- Chodź - ponaglił Agalleos.

Furia i Smutek trącały jego dłoń nosami i lizały ją. W oddali dało się słyszeć krzyki z Pajęczego Fortu. Większość centaurów podążyła już za wozem. Pochodnie znikwały w ciemności, w miarę jak grupa poruszała się coraz szybciej.

Sam nie trafi do obozu Szu-Sza w nieznanym terenie, pełnym zawziętych żołnierzy szukających wrogów. Wydawało się, że utrata piórka była niedobłą wróżbą. Złość walczyła w nim ze strachem, aż przypomniał sobie słowa wyszeptane przez Wiedzącą o Adice: „Ona cię potrzebuje”.

Niezależnie od tego, co się stanie, odnajdzie drogę powrotną do niej.

## **Rozdział siedemnasty**

### **TRUCIZNA**

#### **1**

Po dwudziestu dniach marszu na zachód w dwóch równoległych kolumnach pod osobnymi dowództwami obie armie zaczęły otrzymywać sporadyczne i być może przesadzone doniesienia o wielkim wojsku Qumanów, posuwającym się na północ wzdłuż Vesper i okrążającym Osterburg. Sama myśl o ponownym spotkaniu z Bulkezu tak przybiła Zachariasza, że z trudem zmuszał się do jedzenia.

Wśród żołnierzy krążyły plotki, często w akompaniamencie walk na pięści. Kto ma dowodzić, kiedy dojdzie do bitwy, której wszyscy się spodziewali? Henryk mówił kiedyś, że ma zamiar wyznaczyć na następczynię księżniczkę Sapientię. Nigdy jej jednak nie namaścił, bo stronnicy Sanglanta byli temu przeciwni. Słyszeli, że król zaproponował Sanglantowi Aostę i jej koronę. Czy to się nie liczy? Nie, skoro odmówił, brzmiała odpowiedź. Mimo wszystko, był przecież bękartem, choć i wielkim wojownikiem oraz wodzem. Nikt nie umiał odeprzeć tego zarzutu.

Krążyła plotka, że księżniczka Sapientia jest w ciąży. Kiedy w końcu ogłoszono w szeregach, że prawo do dowództwa zostanie rozstrzygnięte drogą walki, wszyscy wiedzieli, iż wybierze ona męża jako swego stronnika. Kościół korzystał czasem z takich sądów, by poznać, kogo Bóg wyznaczył zwycięzcą, gdy nierozstrzygnięty spór zanieśiono przed biskupinę. Tylko jeden mógł wygrać i ten jeden wygra prawo dowodzenia połączonymi armiami. Liczyły one obecnie prawie trzy tysiące konnych wojowników. Była to potężna siła, z orszakiem ludzi z dóbr pańskich i zakonnych, dołączających do nich każdego dnia, gdy maszerowali na zachód, nabierając sił i stanowczości.

Drogi w tej części Saony były raczej koleinami, ale za to miejscowi wieśniacy i posiadacze ziemscy usłyszeli już wcześniej o okrucieństwach popełnionych na południu przez Qumanów i dlatego byli zaledwie odrobinę niechętni przekazywaniu armii składów świeżo zebranego zboża.

Tego wieczoru rozbili obóz w miejscu, gdzie trzy trawiaste łąki wycinały w lesie połacie otwartej przestrzeni. Pod nadzorem pasterzy pasły się tam owce i bydło. Dowódcy nakazali zabrać ze stad połowę

zwierząt, żeby wyżywić armię i odesłać resztę, by zniechęcić głodnych żołnierzy do rabunku pod osłoną nocy.

Obie armie zgromadziły się przed świtem na środkowej łące, której stok zbiegał w dół do strumienia. Trawa rosła tu bujnie. Żołnierze zajęli stanowiska na stoku, a tymczasem słudzy ustawili przy brzegu strumienia pawilon dla szlachetnie urodzonych, godnych towarzyszyć księżniczce Sapientii: ungryjskich członków świty Bayana, lorda Wichmana, Bolesłasa diuka Polenii, Hrodika i Druthmara, Brygidy z jej lennikami z Avarii, jakiejś szlachetnej pani z Fesse i kilku szlachciców z pogranicza, którzy przyłączyli się, by pomścić krzywdy wyrządzone na ich ziemiach przez Qumanów.

Matka księcia Bayana wysunęła się naprzód w swym palankinie, ale oczywiście przy zaciągniętych zasłonach nikt nie mógł ani nawet nie chciał jej widzieć. Miała nowego niewolnika, jednego z tych, których kupiła w Machteburgu, dobrze zbudowanego młodego Qumana, stojącego przy jednym z drążków krytej lektyki. Tak jak pozostali trzej, czekał na rozwój wydarzeń z miną zupełnie bez wyrazu, jakby był głuchoniemy.

Czy stara kobieta zaczarowała wszystkich, którzy jej służyli? Czy rzuciła czar na Sapientię, by księżniczka zawróciła mężowi w głowie?

- Dziwnie mi to wygląda - powiedział Zachariasz do Heriberta, uprzednio sprawdzwszy, czy nikt nie zwraca na nich uwagi. - Księżę Bayan dowodzi armią we wszystkim prócz tytułu. - Stali za krzesłem ustawionym dla Blessing na lewo od krzesła Sapientii.

- Dziwi mnie co innego. Król Henryk musiał się domyślać, że ten, kto poślubi Sapientię, będzie rządził jak równy jej, nie będzie tylko księciem małżonkiem. Bayan to dobry mąż, ale nie jest Wendarczykiem, tylko zaledwie Daisanitą. Jak mógł Henryk myśleć, że wendarscy nobile, a tym bardziej diuk tak dumny jak Konrad, pogodzą się z rządami cudzoziemskiego króla?

Za ich plecami Blessing krzyknęła. Przykucnęła na skraju strumienia, na wpół zagubiona w zarastającym brzegu sitowiu, rzucając kamyki do wody. Anna, Matto i lord Thiemo krążyli obok, by mieć pewność, że w nią nie wpadnie.

Zachariasz uśmiechnął się drwiąco.

- Mnie nie pytaj, bracie. Jestem tylko nisko urodzonym braciszkiem.

- Jesteś - zgodził się przyjaźnie Heribert. - Ale o wiele przyzwoitszym, niż byłeś przy pierwszym spotkaniu. Tak po wierzchu jak wewnątrz. Cenię twoją wnikliwość.

- Nie mam nic wnikliwego do powiedzenia na ten temat. Co do postępów króla i jego intryg, pozostają tak nieświadomy, jak to przystoi mojej pozycji.

Zgromadzone armie wzniosły okrzyk. Blessing zerwała się, tracąc równowagę na brzegu strumienia i została pochwycona przez Thiemo, który odprowadził ją do pawilonu. Wspięła się i stanęła na siedzeniu swego krzesła.

- Ależ, Wasza Wysokość - powiedział z wyrzutem Heribert, gdy oparła się o jego ramiona, starając się o dobry widok na łąkę. - Pamiętaj o godności.

- Patrzcie! - Słowa Thiemo rozbrzmiały echem wśród nobilów skupionych w cieniu pawilonu. - Jadą!

Wskazywał dwóch jeźdźców zbliżających się przez trawy z północy i z południa. Oba konie były prowadzone, co nadawało im zbliżaniu się dostojną powolność, odpowiednią do powagi chwili.

- Dlaczego Wilkun? - domagał się odpowiedzi Zachariasz, czując znajome ukłucie zawiści, gdy patrzył na starego Orła, prowadzącego konia księcia Sanglanta.

Heribert odpowiedział ze słodko-kwaśnym uśmiechem.

- To nie jest dla niego łatwe, sam to wiesz. To najlepsze przypomnienie wszystkim na początku, jak daleki jest od aprobaty króla.

Zachariasz potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, że Heribert nie mówi o Wilkunie.

Bayan i Sanglant mieli na sobie zbroje, chociaż nie założyli hełmów. Sanglant przewiesił miecz przez plecy na modłę podróźnych, podczas gdy Bayan nosił swój u pasa. Bayan założył jakę ze śnieżnobiałego płótna z dwugłowym orłem wyszywanym czerwienią i rozciętymi czerwonymi i białymi połami powiewającymi u kolan. Sanglant nosił zwykłą złotą jakę bez żadnego godła. Jedyną jego ozdobą był wspaniały smoczy hełm, który trzymał pod pachą. Sapientia ruszyła naprzód z trójką dam. Jedna niosła tacę z dwoma srebrnymi pucharami, a druga dzban. Trzecia, kleryczka, stanęła nieco z boku.

- Nie wygląda na ciężarną - mruknął Thiemo.

- Panie mój! - powiedziała ostro Anna, jakby mówiła do błędzącego brata. - Kobieta może przybierać, nie zmieniając figury. Mówi się, że nie paliła od trzech miesięcy świętych przepasek. Jeżeli kobieta nie krwawi, musi być w ciąży. Tak powiadają w Gencie.

- Widziałem przypadki, gdy kobiety nie krwawiły, a mimo to nie były... - zaczął Zachariasz, ale Thiemo



uciał:

- Nie! Anna ma rację. Nie powinienem tego mówić.

Spojrzał na nią, a ona na niego. Dziwny sojusz, jeśli się nad tym zastanowić: młody panek i zwykła, smagła dziewczyna, prawie kobieta. Zachariasz nie mógł się pozbyć wrażenia, że było w tym coś więcej niż ich oddanie Blessing. Nawet Matto, stojący za nimi, zbliżył się, jakby po raz pierwszy zrobił się zazdrosny o Thiemo. Tworzyli ścisły krąg, otaczający dziewczynkę.

Dwaj współzawodnicy zatrzymali się dziesięć kroków od siebie. Sanglant przejął wodze od Wilkuna i wręczył Orłowi swój hełm. Bayan wymienił hełm na wodze ze swoim ungryjskim koniuszym.

Potem jeźdźcy stanęli łeb w łeb jakby gotowi do wyścigu. Nie patrzyli na siebie.

Kleryczka uniosła ręce.

- Sąd się rozpoczyna!

Sapientia nalała do obu pucharów.

Trzej szlachetnie urodzeni świadkowie z każdej z armii obejrzeni puchary i zaaprobowali ich zawartość. Ostrożnie podano je Bayanowi i Sanglantowi.

Przez cały ten czas Blessing przywierała do ramion Heriberta. Nie odzywała się, patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami.

Piesi odstąpili, pozostawiając pole pojedynkującym się. Kapitan Thiebold z Lwów wystąpił i podniósł do ust róg.

Zadał.

Dwie armie wybuchnęły okrzykami zachęty i gwizdami, kiedy dwaj jeźdźcy ponagli konie, trzymając w jednej ręce wodze, a w drugiej puchar. Łeb w łeb przejechali łąkę i dotarli do skraju lasu. Tam zawrócili zgrabnie konie i pocwałowali z powrotem. Minęli kleryka, ramię przy ramieniu, łeb w łeb, i zatrzymali się. Tłum ucichł, gdy wręczyli swe puchary kapłance, a ta porównała poziom trunku.

Podniosła jedno z naczyń i krzyknęła:

- Księżę Bayan zwycięzcą!

Krzyki i śmiech zagłuszyły wszystko inne, gdy Bayan, śmiejąc się, zażądał pełnego pucharu. Sanglant także przyjął na nowo napełnione naczynie, wychylił je jednym łykiem i poprosił o dolewkę. Chociaż twarz miał uśmiechniętą, wyglądał ponuro.

Blessing zaczęła płakać.

- Przegrał - powiedziała, a potem z furią dodała: - Przegrał naumyślnie.

- Nie, gołąbko - odrzekł surowo Heribert. - On nie przegrał. Zrobił to, co powinien zrobić dla królestwa. Nawet nie myśl, że mogło być inaczej. Pokonanie Qumanów znaczy teraz więcej niż wszystko inne.

Nie pocieszyło jej to, ale uciszyło smutek, jak to jej wcześniej nakazał ojciec i ukryła twarz na ramieniu Heriberta. Stawała się już dużą dziewczynką i szybko pojmowała zakręty i zwroty intrygi, która trapiła szlachetnie urodzonych.

Zachariasz rzucił okiem na Thiemo i Annę. Byli pogrążeni w cichej rozmowie, podczas gdy na łące za nimi trwała ceremonia, a obie armie zaczęły się rozchodzić do namiotów. Wiedział, że nie byli kochankami. Annie trochę brakowało do dorosłości. Mogła mieć trzynaście albo czternaście lat. Tak czy owak, księżę Sanglant nigdy by na to nie pozwolił. Ta jego hipokryzja raczej ucieszyła Zachariasza. Dobrze wiedzieć, że nawet najbardziej godny podziwu człowiek może ulegać słabości. To sprawiało, że on sam poczuł się lepiej, bo przez kontrast jego własne słabości wydawały się wyraźne, a miał ich tak wiele.

Blessing otarła twarz rękawem Heriberta i wyslizgnęła się z jego objęć. Zeskoczyła na ziemię. Heribert zmarszczył brwi, przesuając w palcach rzemyk, który ostatnio zaczął nosić na szyi.

- Nie podoba ci się to - powiedział cicho Zachariasz, widząc, jak tamten patrzy na tłum otaczający dwóch rywali. Sanglant opróżnił właśnie czwarty puchar.

- Tak właśnie postąpiłby kapitan Smoków - odrzekł Heribert - lecz on już nie jest kapitanem Królewskich Smoków.

- Mało tego, bracie, sam wiesz, że największym zagrożeniem nie są Qumanowie. Tak mi przynajmniej mówiłeś.

- To prawda. - Heribert spostrzegł, że Wilkun przebija się ku nim przez tłum. - Największym zagrożeniem jest siostra Anna.

- Ruszył na spotkanie Wilkuna.

Heribert i Wilkun porozumiewali się ostatnio niczym para łotrów, spiskując i planując z Sanglantem, podczas gdy Zachariasz jak zawsze zostawał na zewnątrz, na chłodzie, równie nieświadomy jak głodujące dziecko żebraka. Zawieść przyprawiała go o zawroty głowy, kiedy patrzył jak ci dwaj - elegancki kleryk i

podstarzały człowiek z ludu - spotykają się i rozmawiają. Czy mu nie ufają? Czy Zachariasz wydaje się mniej lojalny niż renegat Orzeł? Nienawiść do Wilkuna nic mu nie dawała, ale nie mógł sobie z nią poradzić. Jedną z jego słabości było to, że trzymał się urazy tak mocno jak tonący brzytwy. Nie był nawet tyle wart, co każdy z tamtych oberwańców, którzy pozostali w zrujnowanej warowni pamiętnego dnia pod Walburgiem. Żaden z nich nie doniósł księciu o haniebnym zachowaniu Zachariasza. Żaden o tym nie wspominał, choć wszyscy widzieli, jak ucieka, gotów porzucić dziecko, dla którego walczyli.

Nic dziwnego, że nie darzono go zaufaniem.

W swoich licznych złych snach wciąż widywał tamtych dwóch żołnierzy qumańskich, gotujących się do strzału. Czasami żałował, że go nie zastrzelili.

Blessing chwyciła dłoń Anny i pociągnęła ją w tył na skraj strumienia, szczebiocząc przenikliwym głosem.

- Opowiedz mi coś jeszcze o feniksie!

Wilkun i Heribert pochylili głowy, rozmawiając. Heribert marszczył brwi. Zachariasz podkradł się bliżej, ale mówili tak cicho, że mógł rozróżnić zaledwie pojedyncze słowa. Po chwili podszedł do nich sam książę. Nie widać było, że sporo wypił, póki się nie ujrzało jego oczu, zwężonych z gniewu, mimo przyjaznego wyrazu twarzy. Ujął Wilkuna za ramię.

- Powiedz mi prawdę, Wilkunie, czy ten orli wzrok to iluzja czy rzeczywistość?

- Niestety, książę, panie mój, nigdy mi nie skłamał.

- Twój wzrok jest więc bardziej prawdopodobny niż twój język, Orle. Anna została skoposą z błogosławieństwem mego ojca!

Spojrzał na Bayana. Ungryjski książę, jowialny jak zawsze, przyjmował gratulacje od różnych nobilów z orszaku Sapientii. Nikt mu nie zazdrościł zwycięstwa. Udowodnił, co jest wart, mimo że był cudzoziemcem.

- Proś Boga, Heribercie. - Rozejrzał się i zobaczył Zachariasza. - I ty także, Zachariaszu, w cokolwiek teraz wierzysz. Proście Boga, by mi dał cierpliwość do wytrwania w tym, co muszę znieść dla dobra królestwa, i mądrość, bym się nauczył intryg. - Roześmiał się szorstko, przywołując z tłumu swój niewielki orszak i szukając córki, która pluskała się wesoło w strumieniu, udając wlatującego z wody ptaka. - Krwawe Serce dobrze mnie wyuczył, chociaż nie zamierzał wyświadczać mi przysługi. Skoro jego psy nie rozdarły mi gardła w Gencie, z pewnością nie zrobią tego teraz. Aj, Boże, pomyśleć tylko, że mój ojciec oferował mi królestwo, a ja je odrzuciłem!

- Wasza Wysokość! - Wilkun był zaskoczony. - Co masz na myśli?

- Mniejsza o to! - Sanglant wydłużył krok, oddalając się od pozostałych i przywołując córkę. Zaniepokojony, wyciągnął z zanadru i położył na dłoni okrągły srebrny liść, pokryty różnymi znakami. - Mój ojciec nigdy by nie mianował Anny skoposą i nie padłby ofiarą jej kłamstw, gdybym był przy nim i doradzał mu. Nigdy by nie zdobyła takiego wpływu, gdybym to ja pojechał do Aosty z Adelheid jako moją królową. - Zatrzymał się, gdy jego córka zapiszczała w triumfie, wymykając się Thiemo, i zwrócił się do Wilkuna: - Albo mógłbyś powiedzieć Annie wszystko, czego się dowiedziałeś, jeżdżąc ze mną. Mógłbyś też ukrywać przede mną, co ona mówi tobie.

- Mógłbym, Wasza Wysokość. Mógłbym też zabić twoją córkę we śnie. Thiemo to dobry chłopak, ale ze mną nie może się równać.

- Stary Wilkun jest mądry i chytry. Powiedz mi, jak się nauczyć intryg.

- Jakiego rodzaju intryg chcesz się nauczyć?

- Intryg królewskiego dworu. Mówi się, że byłeś ulubieńcem mego dziada, Arnulfa. Ty, człowiek z ludu. Ludzie musieli cię nienawidzić, bo on słuchał przede wszystkim ciebie.

- Toteż nienawidzili. A najbardziej twój ojciec.

- Naprawdę? Myślałem, że cię nienawidził, bo próbowałeś mnie utopić.

- Cóż, to mi nie pomogło. Ale Henryk nienawidził mnie na długo przedtem. Zazdrościł mi miejsca u boku króla Arnulfa. Młodzi ludzie są skorzy do zazdrości, panie mój, i do dziwnych pomysłów. Arnulf jednak zawsze znał wartość Henryka. Nigdy nie miał wątpliwości, które z jego dzieci urodziło się z królewskim szczęściem.

- A co z dziećmi Henryka? - Sanglant obejrzał się na tłum nobilów zebranych, by uczcić zwycięstwo Bayana. Sapientia stała przy mężu, przystojna, promienna i szczęśliwa. Przy ungaryjskim księciu wydawała się lekka jak piórko, gotowa ulecieć przy byle podmuchu.

- Ach - Wilkun uśmiechnął się, szczerząc zęby jak wilk. - Co z dziećmi Henryka? Nie zapominaj, że on ma jeszcze jedno dziecko, infantkę Matyldę zrodzoną z Adelheid. To silna i zdrowa dziewczynka, choć jeszcze osesek.

- Co sugerujesz?  
- Że dzieci Henryka i Sophii nie są jedynymi, które mogą odziedziczyć jego tron, Wasza Wysokość. Ma dwoje innych, noworodka Matyldę i ciebie.  
Sanglant patrzył z furią na Wilkuna, dopóki stary Orzeł nie zaczął się niepokoić, dziwnie nerwowo w obliczu żalu i gniewu księcia.  
- Znajdź moją żonę, Orle. Dlaczego cię zawodzi orli wzrok? Czy się przed tobą ukryła? Dokąd się udała?  
Wilkun nie znalazł odpowiedzi.  
Sanglant wzdrygnął się, spojrzął na srebrny medalion w swej dłoni i wsunął go pod tunikę.  
- Proszę cię, panie mój - powiedział cicho Heribert. - Trzymany zbyt długo, jest trucizną dla skóry. Nie powinienes go też pokazywać.  
Zachariasz zdał sobie sprawę, że wszyscy trzej - książę, kleryk i Orzeł - nosili ukryte pod ubraniem podobne amulety, chroniące przed czarami.

## 2

Zdawało się, że to było wtedy, gdy mogła siedzieć w skrytorium i bez pośpiechu pracować nad swą *Historią Wendaru!* Tak dawno temu błogosławiona królowa Matylda, chwalebnej pamięci, której dedykowane było dzieło, zmarła, nie zobaczywszy ukończonej pracy. Teraz Rosvita zastanawiała się, czy to dzieło w ogóle będzie ukończone.

Kiedy szła przez słoneczne skrytorium, widziała skrybów zajętych swoją pracą, kleryków z królewskiej scholi kopiujących wyciągi z prawa kościelnego, akty prawne i statuty, a także listy odnoszące się do spraw króla tu i na północy. Tak wiele przygarbionych ramion, tak wiele zajętych rąk. Od czasu do czasu klerycy podnosili wzrok znad swej pracy, żeby jej skinąć głową albo prosić ją o radę. Raczej z przypadku niż jakiegoś planu kierowała teraz scholą Henryka. Królowa Adelheid miała swoją własną scholę złożoną z kleryków z Aosty i nadzorowaną przez Hugona, przydzielonego do królowej jako oficjalny wysłannik Świętobliwej Matki.

- Siostrzo Rosvito, czy to my powinniśmy pisać ten kartulariusz, by ustanowić hrabstwo Ivrii?  
- Nie, bracie Eudesie. Zamierzamy ustanowić prawo i obowiązek króla Henryka do władania tymi ziemiami, żeby nikt nie protestował, gdyby skoposa zgodziła się koronować go na cesarza. Wobec tego, każde nadanie musi pochodzić od Henryka i Adelheid łącznie.  
- Siostrzo, otrzymałyśmy kolejny raport o herezji, tym razem od biskupiny Odili w Mainni. Co mamy odpowiedzieć?

- Cierpliwości, siostrzo Elsebet. Skoposa już dała znać, że w przyszłym roku zamierza zwołać w tej sprawie sobór. Napisz do biskupiny Odili, że musi powściągać tych, którzy nie chcą się pokajać, lecz aby nie działała pochopnie. Za wszelką cenę należy unikać publicznych procesów, chyba że po soborze. W naturze ludzkiej jest tworzenie męczenników, gdzie się tylko da. Musimy się wystrzegać robienia z tych heretyków męczenników. Czy zdołasz to powtórzyć własnymi słowami, siostrzo?

Elsebet była w scholi już dziesięć lat. Jako kleryczka spisywała się lepiej, gdy dawano jej odrobinę niezależności. Uśmiechnęła się przebiegle.

- Oczywiście, siostrzo Rosvito. Rada jestem, że tobie przypadło kierowanie królewską scholą. Prawdę mówiąc, klerycy i prezbiterzy skoposy rządzą zbyt ciężką dłonią, moim zdaniem. Zapewne tu w Aoście panują inne zwyczaje niż na północy.

Nieco dalej siedziały obok siebie Ruoda i Heriburg, skupione na kopiowaniu. Jedna głowa była w białej chuście, a druga w bładoniebieskiej.

- Jak idzie praca? - spytała Rosvita, zatrzymując się przy nich.

Miały przed sobą, opartą na pulpicie *Żywot świętej Radegundis*. Heriburg kontynuowała kopiowanie rozpoczęte przez siostrę Amabilię, a Ruoda zaczęła drugą kopię, którą Rosvita miała nadzieję przesłać na przechowanie do Korvei.

- Nieźle. - Ruoda wyskrobywała kleksa nożykiem do ostrzenia piór.

Heriburg liniowała czysty arkusz pergaminu. Nie podniosła wzroku, odpowiadając tak cicho, że Rosvita musiała się pochylić, by dosłyszeć.

- Nie miałyśmy odwagi rozmawiać z tobą dziś rano, siostrzo, bo miałaś u siebie wielu gości. Mamy

więcej plotek, niż byś sobie życzyła.

- Nigdy nie lekceważ plotki, Heriburg, bo może być użyteczna dla króla. Mów dalej.

Ruoda podniosła wzrok, aby przeczytać następną linijkę i umoczyć pióro w kałamarzu.

- Siostra Venia przybyła do tego pałacu w orszaku Świętobliwej Matki Anny, kiedy ta zjawiała się tu zeszłego lata po raz pierwszy. To starsza kobieta, siwowłosa, z miłą okrągłą twarzą, wymowna, o dobrych manierach, wykształcona i dobrze urodzona. Mówiła, że pochodzi ze szlacheckiego rodu z Karrone. Wkrótce po jej przybyciu pewien prezbiter oświadczył, że ona jest jego kuzynką, z karrońskiej rodziny księżęcej, którą mianowano biskupiną, a potem ujęto za uprawianie czarnej magii. Wkrótce jednak zmarł na apopleksję, nie mógł zatem dowieść swego. Tak czy owak, nikt go nie lubił. W każdym razie siostra Venia nie narobiła sobie wrogów, gdy tu przebywała.

- Przebywała?

Heriburg oceniała świeżo poliniowany pergamin. Marszczyła brwi, gdy mierzyła przestrzeń i ilość możliwych do napisania słów. Pozostawiła miejsce na ilustrację, które miał wykonać brat Jehan.

- Zaginęła, siostrze. Ostatni raz widziano ją w tamtych rozpaczliwych dniach po śmierci Matki Klemencji, błogosławiona niech będzie jej pamięć, a przed przybyciem królowej Adelheid i króla Henryka.

- Dziwne też - mruknęła Rualda, przerywając, by naostrzyć pióro - że póki nie przypominamy ludziom o tej kobiecie, nikt o niej nie pamięta.

- Mam nadzieję, że nie zwracacie na siebie uwagi.

Heriburg spojrzała w górę. Twarz miała słodką jak budyń, ale wzrok ostry jak szpilki.

- Czy zauważyłaś kiedyś podobieństwo słów „przebaczenie” i „trucizna” w dariyańskim? „Venia” i „veneni”. Wielu w tym pałacu wciąż się zastanawia nad śmiercią Żelaznogłowego i śmiercią Świętej Matki Klemencji, niech się Bóg nad nią zlituje. Wystarczy małe przejęzyczenie, by imię zabrzmiało inaczej, a klerycy są najgorszymi plotkarzami, gdy mają po temu zachętę.

- Czy brat Fortunatus zna tę nowinę? On wciąż czeka na spotkanie ze świecką siostrą od Ekatariny.

- Powiedziałyśmy mu wczoraj wieczorem, siostrze. Ma nadzieję, że się z nią spotka przed laudami.

- Dziękuję wam, siostry. Dobrzeście się spisały.

Rualda uśmiechnęła się, jakby się spodziewała pochwały, ale Heriburg skromnie opuściła wzrok. „Klejnot i skarb”, jak mawiała Matka Otta o swych najlepszych nowicjuszach, godnych służyć panującej koronie.

- A teraz wracajcie do pracy. Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że tu ze mną plotkujecie.

Dalej stał stołek i pochyły pulpit do pisania, do jej osobistego użytku. Z westchnieniem ulgi i nadziei usiadła, przygotowała cztery pióra i przejrzała słowa, które przepisała rankiem ze swej woskowej tabliczki: ostatnie dni Arnulfa Młodszego.

*W owym czasie, kontrolując w pełni Wendar i Varre, został obwołany przez swoją armię Władcą, Królem i Protektorem wszystkiego. Jego sława szerzyła się na wszystkie kraje i wielu szlachetnie urodzonych z innych królestw przybywało, by go odwiedzić, z nadzieją znalezienia łaski w jego oczach. Zaprawdę, można było o nim rzec, że nie odmawiał niczego przyjaciółom i nie okazywał litości nieprzyjaciółom. Ujarzmiwszy w końcu wschodnie plemiona i odrzuciwszy do morza najeźdźców Eików, ogłosił zamiar odbycia pielgrzymki do świętego miasta Darre, by się tam modlić.*

*W ciągu tygodnia jednak po tym ogłoszeniu niemoc tak go osłabiła, że zleżał w łóżu.*

*Wezwał czołowych nobilów królestwa i w ich obecności wyznaczył swego syna Henryka na panującego. Innym swym dzieciom nadał tytuły i ziemie wielkiej wartości, jak również udziały w skarbie, ale Henryk został władcą nad swymi siostrami i braćmi, królem Wendaru, Varre i pogranicza.*

*Gdy jego ostatnią wolę zalegalizowano i wszyscy obecni obwołali Henryka królem, odszedł ów wielki władca, który dzięki swym wysiłkom zjednoczył Wendar i Varre. Będąc zaś pierwszym między równymi i niezrównanym we wszystkich tych cnotach rządzących ciałem i umysłem, został największym z wszystkich monarchów królujących we wszystkich krajach. Panował przez osiemnaście lat i dożył wieku lat pięćdziesięciu i czterech. Został pochowany w Quedlinhame przed Paleniskiem Pani. Owego dnia wielu płakało i pogrążyło się w smutku.*

Otarła łzę. Wspomnienie tamtego gorzkiego dnia, którego była świadkiem jako młoda kobieta, wciąż miało poruszającą moc. Przetarła pergamin pumeksem, zanim wzięła nożyk i pióro, żeby zacząć pisać.

*Tu kończy się Pierwsza Księga Czynów Wielkich Księżąt.*

Musiała wydrapać ostatnią literę i napisać ją na nowo. Trudno było uwierzyć, że ta część jest nareszcie zakończona. W istocie jednak nie będzie odpoczynku dla grzeszników: wciąż miała do napisania część drugą, swoją kronikę panowania Henryka. Czasami wydawało się jej, że ta praca nigdy się nie skończy.

Zawsze było więcej do opowiedzenia niż miejsca do zapisania tego.

Umoczyła pióro w kałamarzu.

*Tu się zaczyna Księga Druga...*

- Siostró Rosvito. - Fortunatus nadszedł z tyłu. Pochylił się, jakby przyglądał się pergaminowi. - Paloma nie spotkała się ze mną dziś rano. Jest cierpliwa, ale przysięgam, że kiedy spotkałem ją wczoraj, była przerażona. Przekonałem ją, by pozostała jeszcze jeden dzień... ale teraz się lękam... - Urwał, gdy ktoś noszący czerwony płaszcz prezbitera wszedł do skryptorium, wypatrzył Rosvitę i skierował się ku niej.

- Porozmawiamy później, bracie.

Sklepiony strop czynił skryptorium miejscem pełnym światła i przestrzeni. Obserwując podchodzącego do niej brata Petrusa, Rosvita miała czas przyjrzeć się malowanemu fryzowi w przeciwległym końcu sali: męczennikom i świętym otrzymującym korony chwały z rąk aniołów.

- Siostró Rosvito. - Skłonił głowę. Przyjrzała mu się posepnie. Miała zaufanie króla, szacunek scholi i dostęp do królowej. Prezbiter jak Petrus, chociaż szlachetnie urodzony, nie rozporządzał takim wpływem jak ona. - Przysłała mnie wielmożny Hugo, by cię prosić o obecność w komnatach skoposy.

Rosvita westchnęła, odkładając nożyk i wręczając Fortunatusowi wilgotne jeszcze pióro. I on mógł tylko westchnąć, zawiedziony i bezradny, gdy mu powierzała pieczęć nad swoją historią.

Przeszli przez pałac królewski i weszli w napiętym milczeniu w połączane korytarze pałacu skoposy, gdzie grupa prezbiterów, kleryków i służących przemykała w swoich sprawach przez sale. Nie było tu białych ścian. Wszystkie były pokryte muralami, fryzami, malowidłami i tkaninami. Kolumny były wykładane płytkami albo malowane na jaskrawe kolory. Rzeźbiarze zapełnili dziedzińce i ustawili szpalery rzeźb w kolumnowych arkadach, którymi szli w błogosławionym cieniu, gdy słońce paliło puste zwirowe ścieżki na zewnątrz. O tej porze roku, nawet gdy popołudnie chyliło się ku zmierzchowi, nikt nie wychodził na słońce z powodu upału.

Było tak cicho, jakby na pałacu zaległ jakiś urok. Zatrzymawszy się raz przy przerwie w murze, skąd mogła patrzeć ponad miastem, zauważyła, jak rzeka oślepia blaskiem, wijąc się przez ulice, przecięta w czterech miejscach mostami. Nad Darre wisiało jakieś letargiczne otumanienie. Czyżby nawet budynki usnęły?

Dzięki Bogu, wkrótce nadejdzie jesień z chłodniejszą pogodą.

Pociła się obficie i musiała ocierać czoło rękawem. Weszli do serca pałacu i doszli do drzwi opatrzonej pieczęcią skoposy, prywatnej komnaty audiencyjnej. Brat Petrus odstąpił na bok. Rosvita weszła samotnie.

Komnata Płytek była ciemna i chłodna, otoczona grubymi glinianymi murami i wyłożona jasnymi płytkami ułożonymi w geometryczne wzory. Miały one przedstawiać drogę duszy, która wznosi się przez siedem sfer ku Komnacie Światła. Skoposa siedziała na prostym krześle, wyróżniającym się wysokim oparciem z rzeźbionym wzorem połączonych kół. Jej groźny czarny pies leżał u jej nóg, warcząc cicho, gdy Rosvita się zbliżała, nie podnosząc głowy. Krzesło, wyniesione na niskim podwyższeniu, przewodziło zestawowi ław, głębokiemu na pięć rzędów i ustawionemu w półkołu zwróconym ku podwyższeniu. Między pierwszymi ławami a stopniem podwyższenia stał stół.

Tylko pięcioro ludzi zajmowało tę komnatę: skoposa, Hugo, służąca ubrana w długą płócienną koszulę przepasaną sznurem i dwoje starszych ludzi w szatach kleryków. Kobieta leżała na leżance w cieniu, półukryta, milcząca. - Hugo i ten drugi człowiek stali przy stole, trzymając rozwinięty zwój. Po obu stronach mapy stały zapalone lampy, ale Rosvita odniosła wrażenie, że ich światło rozjaśnia raczej przystojną twarz Hugona niż słabe znaki na zwoju.

- Zbliź się, proszę, siostró Rosvito - powiedziała skoposa swym chłodnym głosem, wyciągając prawą dłoń.

Rosvita podeszła ostrożnie, świadoma, że wielki pies mógłby jej odgryźć rękę jednym kłapinięciem, on jednak nie zareagował, poza kolejnym cichym warknięciem, gdy uklękła na schodkach, by pocałować pierścień Anny, oznakę jej godności.

- Świętobliwa Matko, zaszczycasz mnie swym wezwaniem.

Twarzy skoposy nie musnął nawet cień uśmiechu. Mogłaby być wyrzeźbiona w kamieniu. Trudno było wyobrazić sobie kogoś bardziej królewskiego z wyglądu, siedzącego na tym krześle. Henryk mądrze postąpił, dając jej tron skoposy. Dzięki temu nie mogła współzawodniczyć z nim o ziemski tron.

- Zechciej, siostró, obejrzeć ten zwój.

Hugo zrobił jej miejsce przy stole, a ona usiadła obok niego. Ten drugi, starszy, o surowej twarzy pobrużdżonej przez dawne urazy i niedawną chorobę, przyglądał jej się z dezaprobatą.

- To papirus - powiedziała - prawdopodobnie starożytny. Te symbole umieszczone przy granicy mapy

nie są daisanickie. Powiedziałabym, że są pogańskie i prawdopodobnie miały przedstawiać pogańskich bogów albo może siedem ciał niebieskich. To jest mapa. - Dotknęła jej z wahaniem, bo coś w znakach wywołało w jej umyśle dźwięk dzwonu. - Są tu góry, rzeka, las i morze. Wydaje się, że mapa przedstawia położenie siedmiu miejsc, zapewne miast albo świątyń. Trudno powiedzieć. Sześć jest rozrzuconych po kraju w równej odległości od siódmego, które leży w środku otoczone górami. Każde miejsce jest oznaczone siedmioma znakami, podobnymi do grotów strzał, naśladujących większy wzór: sześć w kręgu wokół siódmego.

- Czego to jest mapa, siostró Rosvito? - spytała Anna.

Starszy człowiek chrząknął. Hugo odsunął się od stołu.

Rosvita nauczyła się w twardej szkole nie okazywać zaskoczenia i nie zrobiła tego teraz, gdy przypuszczenie, na co patrzy, zapaliło się w jej umyśle.

- Zapewne kontynentu Novarii, Świątobliwa Matko. To morze mogłoby być morzem północnym, a tu mogłoby być morze środkowe, tu zaś góry Alfar. To tylko przybliżone przedstawienie, widziałam jednak mapy żeglarzy, które pokazywały podobny zarys wybrzeża. Ja sama trzy razy przekroczyłam góry Alfar i wiem, że stoją mniej więcej w tym miejscu.

- Co wiesz o nadchodzącym kataklizmie, siostró? - zapytała Świątobliwa Matka. - O napaści Zaginionych, którzy chcą odzyskać swoje imperium i zniewolić całą ludzkość?

- Nic więcej ponad to, co słyszałam, Świątobliwa Matko. Książę Sanglant mówił o tym kataklizmie, tak samo jak jego matka, kiedy przebywali tu krótko przed królewskim objazdem tej wiosny. Oboje jednak odjechali, gdy zrozumieli, że król nie zwraca uwagi na ich słowa.

- A ty zwróciłaś na nie uwagę?

- Potrzebowałabym więcej dowodów, Świątobliwa Matko. Przyznaję, że trudno uwierzyć w tę historię. Przeczytałam w swoim czasie wiele kronik. Wiele razy dobre dusze wołały, by ostrzec panującego o nadchodzącej zagładzie, tylko po to, by się dowiedzieć, że błędzą w swym odczytaniu gwiazd albo wróżebnych znaków, albo samych Świątych Wersetów. Wola Boża jest trudną księgą do odczytania przez śmiertelników.

- Czy uczyłaś się astronomii, siostró?

- Przyznaję się do ignorancji w takich sprawach. Nie nauczyłam się więcej, niż każda zdolna uczennica mogłaby się nauczyć w konwencie. Mogę rozpoznać konstelacje i potrafię zidentyfikować gwiazdy błędzące po niebie. - Uśmiechnęła się lekko. - Pamiętam, że Aturnie okrążenie zodiaku zajmuje dwadzieścia osiem lat, podczas gdy Mokowi dwanaście, wyznaję jednak, że nie mogę sobie przypomnieć okresów obiegu innych. Somorhas i Erekas leżą między Ziemią a sferą Słońca, więc często giną w jego blasku. Somorhas pojawia się zarówno jako Gwiazda Poranna, jak i Wieczorna, nigdy w tym samym czasie, a czasami znika całkowicie. Proszę o wybaczenie, Świątobliwa Matko. Na początku moich studiów rozkochałam się w historii i zaniedbałam inne sztuki na jej korzyść.

- Na to wygląda - powiedziała skoposa, ale nie z przyganą.

Cicho zadzwonił dzwonek. Służąca pośpieszyła do drzwi, chwilę z kimś rozmawiała, po czym wróciła do Świątobliwej Matki.

- Emisariusz z Salii, Wasza Ekscelencjo.

- Wpuść go.

Tęgi człowiek, poczerwieniały na twarzy od upału, ukląkł na stopniu, by ucałować pierścień skoposy.

- Świątobliwa Matko! - Otarł twarz chusteczką, ale może to strach przed psem, nie zaś upał, sprawiał, że obficie się pocił. - Jestem do usług.

- Oto jest brat Severus. - Anna wskazała starszego kleryka. - Zabierz go osobiście do Salii i dopilnuj, żeby każde jego życzenie było spełnione. To mój osobisty wysłannik.

- Jestem na twoje rozkazy, Święta Matko. - Mówił po dariyańsku z wyraźnym akcentem salijskim, wymawiając twardo miękkie „v” i zmiękczając twarde „gn”. - Nie wiem tylko, czy zdołamy przebyć przełęcz o tak późnej porze roku. Dostałem wiadomość, że na przełęczach północnych spadły już obfite śniegi, o wiele za wcześnie.

- Nie miałeś jednak żadnych doniesień z przełęczą zachodnich, bracie. Czuję pewność, że jeśli wyruszyście niezwłocznie, będziecie mieli udaną podróż.

Przyglądał się jej z mieszaniną lęku i zrozumienia. Być może słyszał plotki, że była potężną czarodziejką, dokładnie tego rodzaju osobą, jakich działalność została potępiona nie dawniej niż przed stu laty na soborze w Narvone. To nie było coś, o czym się mówiło głośno, a z pewnością nigdy w jej obecności.

A może bał się tylko, że ten czarny pies zerwie się i rozedrze mu twarz.

- Jak kazesz, Świętobliwa Matko. Możemy wyruszyć rano, jeśli sobie życzysz.

- Tego sobie życzę. - Anna odprawiła go, a służąca odprowadziła do drzwi. Po chwili milczenia wstała i, z psem przy nodze, zeszła do stołu, gładząc dłonią starożytny papirus. Pożółkł z wiekiem i strzępił się na skrajach.

- Jakiego dowodu potrzebujesz, siostrze Rosvito, by się przekonać o niebezpieczeństwie, które czeka nas wszystkich, jeżeli nie będziemy działać?

- Być może nie jest możliwe przekonanie mnie, Świętobliwa Matko, bez mocnych dowodów, ale to nie znaczy, że nie widzę sensu w przygotowaniu się na taką ewentualność. Dlaczego jednak matka Sanglanta przybyła do Henryka z propozycją przymierza, jeżeli jej lud chce nas tylko zniewolić i zdominować? Dlaczego nie rozpocząć dialogu?

- Z kim? Gdzie jest teraz ta kobieta Aoi, siostrze? Gdzie jest książę Sanglant?

- Nie umiem odpowiedzieć na te pytania.

- Kobieta Aoi wróciła do swego ludu, żeby zwołać armię, teraz, gdy widzi, że ludzie nie mają zamiaru walczyć. Książę Sanglant także został, by zgromadzić armię.

- W jakim celu? Skąd to wiesz?

- Z pewnością wiesz o darze zwanym potocznie „wzrokiem Orła”? Orły nie są jedynymi, którzy nim władają.

Knot w jednej z lamp zasyczał, gdy skończyła się oliwa. Służąca pośpieszyła dopełnić lampę, podczas gdy Rosvita zbierała myśli. Była tak przerażona, że nie potrafiła wygłosić bezmyślnych uprzejmości, aby przerwać niezręczną ciszę. Jeżeli Anna umie użyć wzroku Orła, może szpiegować każdego.

Każdego.

A jednak nawet Anna nie może szpiegować ludzi stale, w dodatku tylko jednego naraz, używając daru. Wiadomo było, że każda skoposa ma szpiegów, kleryków poruszających się po rozległych dworach panujących, którzy donoszą Świętobliwej Matce, co zaobserwowali. Żadna różnica.

- Gdzie jest teraz książę Sanglant?

Dziwne było i kłopotliwe widzieć, jak irytacja muska ostrymi szponami tę pogodną twarz.

- Jest dobrze ukryty - odparła Anna, sięgając uszu psa, by je podrapać i ukryć w ten sposób wyraz twarzy. - Niewątpliwie z pomocą magii jego matki. Po co się kryć, jeśli nie ma się nic do ukrycia?

- No właśnie, po co? - Rosvita dostrzegła, że Severus badał mapę, podczas gdy Hugo przysłuchiwał się rozmowie z wielkim zainteresowaniem. - Nie zapomniałam jednak Orlicy wysłanej przez księżniczkę Teophanu, która mówiła o kłopotach z qumańskimi najeźdźcami.

Gdy Anna się wyprostowała, jej rysy ukazywały równie beznamiętną maskę jak zawsze.

- Bądź pewna, że się rozglądam, siostrze Rosvito. Nie widziałam żadnej armii Qumanów.

- Czy nie sądzisz, że książę Sanglant może gromadzić armię do walki z barbarzyńcami?

- Nie czytam w myślach księcia Sanglanta. Wendar jest w tych dniach nękany wielkimi niepokojami, które przybywają w różnych przebraniach. Mądry umysł rozpoznaje te kłopoty jako znak nadchodzącego kataklizmu, bo sama ziemia porusza się i drży, wiedząc o strasznym losie, który ją czeka, gdy Zagubieni użyją swej straszliwej magii, aby wymusić swój powrót.

- Trudno się z tobą spierać, Świętobliwa Matko, zważywszy zasięg i głębię twojej wiedzy.

- I tak jest - zgodziła się Anna. Podniosła dłoń. Natychmiast kilku służących, przedtem niewidocznych, wyłoniło się z cienia. Spoczywająca kleryczka leżała, jak się okazało, na noszach. Czterech służących wyniosło ją bez trudu z komnaty. Nawet wtedy Rosvita dostrzegła tylko, że była drobna i śniada. Dziwne, że przyglądała się wszystkiemu w milczeniu.

Brat Severus opuścił pomieszczenie z uśmiechem, podobnie Hugo, a na końcu wyszła służąca. Czarny pies ziewnął, ukazując przerażające zęby.

- Powiedz mi teraz, siostrze - zwróciła się Anna do Rosvity - dlaczego mi nie ufasz? Służę jako Świętobliwa Matka dopiero od miesiąca. Czy cię uraziłam? Ktoś ci powiedział, że planuję uczynić coś złego?

Rosvita chrząknęła, zaskoczona pytaniem.

- Tylko to, Świętobliwa Matko, że Hugo z Austrii został wysłany na południe, by stawić czoło oskarżeniom o zbrukanie sobie rąk czarną magią. Dzisiaj jest zaufanym w radzie królowej, ty zaś udzielasz mu wyjątkowego autorytetu w kolegium prezbiterów.

- Z których większość zapracowała na to własnym wysiłkiem podczas ostatnich dni mojej poprzedniczki Klemencji, niech będzie błogosławiona jej pamięć. Czy to moje zaufanie do Hugona sprawia, że mi nie ufasz?

Trudno było ocenić wiek Anny. Mogła mieć około czterdziestu lat, jak Rosvita, albo trochę więcej. Nie

wyglądała młodo; ciężar czasu, mądrość i pozycja były wyczuwalne. Miała w sobie moc głęboką i trwałą. Gdyby zdecydowała się poprzeć Henryka, zaprawdę nie byłoby dla niego rzeczy niemożliwych. Dlatego Rosvita była skłonna wiele wybaczyć, gdyby okazało się, że Anna zamierza poprzeć Henryka, nie zaś tylko wykorzystać go dla własnych celów, aby udaremnić powrót Przeklętych.

Rosvita wiedziała, że takich wątpliwości się nie wypowiada. Było jednak wiele innych pytań.

- Jestem historyczką, Świętobliwa Matko. Dobra matka przełożona Korvei, gdzie otrzymałam wykształcenie, mawiała, że jestem zarazem zbawiona i potępiona przez swoją ciekawość. Wyznam otwarcie, że przeczytałam kroniki, ale nie całkiem zrozumiałam twoją genealogię. Proszę o wybaczenie, jeżeli to, co mówię, wydaje się niegrzeczne. Wierz mi, proszę, że nie tylko grzeszną ciekawość każe mi o to zapytać.

- Wątpisz, że jestem potomkinią cesarza Taillefera? - Czy był to błysk gniewu, czy rozbawienia? Pies warknął groźniej niż poprzednio. Jego ogon uderzył niczym bicz o nogę stołu. Mebel drgnął.

- Jestem w posiadaniu *Żywota świętej Radegundis*, jak wiesz, Matko. - Niełatwo było zachować spokojny głos przy tym wielkim zwierzęciu, wbijającym w nią ślepią.

- Widziałam go. - Jak chłodno powiedziała te słowa, zważywszy, że ów *Żywot* napisał jej własny ojciec, którego nigdy nie spotkała. - Kiedy twoi klerycy skończyli kopie. Z radością przyjmę tak błogosławioną pracę w tej bibliotece, siostrze.

Rosvita umiała przełknąć żal, chociaż to zabolowało.

- To było najbardziej odpowiednie, Świętobliwa Matko. Chociaż jednak jestem pobłogosławioną, jako ta, przez której ręce *Żywot* przeszedł w twoje, dziwi mnie okoliczności małżeństwa Fidelisa. Mogę zrozumieć, że został ukryty w klasztorze i wychowany jako mnich. Mogę zrozumieć, że w jesieni swego życia uległ pokusie, i właściwie żał mi go, bo wydaje mi się, że mimo wieku i mądrości nadal myślał o tej kobiecie z uczuciem i żałował do końca życia każdej krzywdy, która mogła ją spotkać z powodu jego słabości. - To była długa przemowa i zawiła argumentacja. Musiała starannie dobierać słowa. - Nigdy jednak nie zrozumiałam do końca tożsamości twojej matki ani tego, co się z nią stało potem. Jak zostałaś wychowana? W jakim sekrecie, jaką edukację odebrałaś, byś sobie uświadomiła swoje pochodzenie, tak mądra i uczona, a jednak nieznaną tym z nas, którzy przez całe swoje życie studiowali kroniki?

- Wychowała mnie siostra Klotylda, służąca świętej Radegundis, a później służąca mojej ciotki Tallii. Moja matka zwała się Lavrentia. Była niechcianym dzieckiem szlacheckiego rodu w Varre. Tamtejsze rodziny mają zwyczaj oddawać takie dzieci Kościołowi.

Rosvita uśmiechnęła się gorzko, wspominając, jak jej brat Ivar został wepchnięty do Kościoła bez powołania i zamiłowania do swojej nowej pozycji. Hrabia Harl był pamiętliwy, a nierozważny, impulsywny, młody Ivar sprawił mu jakiś kłopot o jeden raz za wiele.

- Tak jest, Świętobliwa Matko. Możemy tylko modlić się, żeby wszyscy szli służyć Bogu ze szczerego i otwartego serca.

Skoposa wymamrotała w odpowiedzi jakieś błogosławieństwo, płynnie i prawie bezmyślnie. Tego zwyczaju nabiera się w otoczeniu kleryków. Pies przysiadł.

- Kiedy umarła, była bardzo młoda. Nie miała więcej niż piętnaście lat. Siostra Klotylda wiedziała dobrze, jakie kłopoty mogą wyniknąć w Salii, gdyby się dowiedziano, że prawowita potomkini Taillefera żyje. Wiedziała, że Salijczycy pozwalają kobietom rządzić jedynie we współwładztwie, nigdy samotnie. Wiedziała też, że jeśli dowiedzą się, że żyję, jakiś potężny salijski wielmoża uczyni mnie zakładniczką, wychowa i ożeni ze swym synem, by ten miał prawo żądać królestwa Salii, bo wykorzystał me ciało.

- Zaprawdę, barbarzyński zwyczaj - mruknęła Rosvita.

- Nie tak bardzo różny od małżeństwa króla Henryka z Adelheid.

To zabolowało.

- Adelheid uciekła do Henryka i błagała go o pomoc, Święta Matko. To prawda, że ich małżeństwo zostało podyktowane przez politykę i korzyść, ale było też w nim prawdziwe uczucie i wzajemny szacunek.

Pies warknął. Skoposa weszła na podwyższenie i usiadła, kładąc ręce na poręczach krzesła, nie posiadających żadnych ozdób, prócz polerowanych złotych liści pokrywających drewno. Wydała cichą komendę i pies natychmiast zaległ przy niej.

- Czasami zastanawiam się, siostrze Rosvito, czy w twoim sercu pierwszy jest Bóg, czy król.

- Służę monarchom Wendaru i Varre, jak zostałam wychowana, Świętobliwa Matko.

- A ja służę ludzkości, jak zostałam wychowana. Biskupina Tallia i siostra Klotylda poznały groźby rzucane przez Przeklętych, zostałam więc wychowana, by iść ich drogą, by ratować ludzkość, wrzucając Przeklętych z powrotem do Otchłani. Czy mi pomożesz, czy też będziesz przeszkodą, siostrze? Król cię



ceni. Jesteś bardzo szanowana, jest więc oczywiste, że królewska schola i duża część dworu pójdą za twoim przewodem, jeśli opowiesz się za mną. Albo przeciw mnie.

Dzięki Bogu, że jej twarz i głos nie zdradzały niczego. Dzięki Bogu, że nie padł na nią nawet cień podejrzenia.

- Oto dlaczego zostałaś wyszkolona w sztuce matematyki, Święta Matko. Oto dlaczego twoja córka również została nauczona tej sztuki. A jednak ta wiedza wciąż jest potępiana przez Kościół, któremu dziś przewodnisz.

- Potępiana przez zawiść kierowaną ku mojej ciotce, biskupinie Tallii, najmądrzejszej i najbardziej bezinteresownej z kobiet. Rozumiem jednak, co masz na myśli, siostrze Rosvito. Muszę poruszać się ostrożnie, nie budzić gniewu i strachu. O to, za co walczymy, walczyliśmy długie lata w skrytości, zdając się spać, a jednak czuwając. To był nasz los i nasz obowiązek, przygotowanie się, podczas gdy ludzkość spała, niepompna zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Zawsze ciekawa, ale nigdy nie kłamczyni. Rosvita była przez te wszystkie lata dumna ze swej szczerości, czy jednak Święte Wersety nie mówiły, że duma ma upaść pierwsza?

- Oto solenna obietnica, Świętobliwa Matko. Nie podejrzewaj mnie, proszę, o stawianie przeszkód na drodze sprawiedliwości.

Anna uniosła brew, ale trudno było powiedzieć, czy była zaskoczona, zadowolona, czy sceptyczna.

- Dopóki pracujemy razem jako sojuszniczki, jesteśmy w harmonii. Możesz odejść. Znajdź, proszę, wolny czas, by towarzyszyć mi, kiedy cię następnym razem wezwę. Pozostaje do rozważenia sprawa doniesień o herezji na północy. Trzeba zwołać sobór, a ja zamierzam polecić ci przewodnictwo podczas obrad.

- Jestem na twoje rozkazy, Świętobliwa Matko. - Podsunęto jej do ucałowania święty pierścień. Z lekkim drżeniem weszła na podwyższenie i złożyła pocałunek. Tym razem pies nawet nie warknął, czuła jednak ciężar jego obecności. Dziękując Pani za łaski i szczęśliwa, że wciąż ma wszystkie palce, dotarła do drzwi.

Hugo czekał w przedpokoju oparty o parapet okienny, oglądając dziedziniec i mały ogród. Pośrodku tryskała fontanna w kształcie feniksa, a w jej rogach rosły drzewa owocowe. Brzoskwinie, figi i jabłka zwisały z obciążonych gałęzi, czekając na zbiory. Przyjaźnie uśmiechnięty, obrócił się, by ją powitać.

- Siostrze Rosvito, miałem właśnie wracać do pałacu królewskiego. Czy mogę cię odprowadzić?

- To dla mnie zaszczyt.

Kroczyli po cienistych arkadach. Brat Petrus podązał dziesięć kroków za nimi, niosąc nie zapaloną lampę.

- Przykro mi, że nie mogłaś towarzyszyć dzisiaj jej królewskiej mości. Byliśmy za miastem, nadzorując zbiory w królewskiej winnicy.

- To dobrze, że królowa częściej wychodzi - zgodziła się Rosvita. - Miło mi słyszeć, że wreszcie odzyskuje zdrowie.

Rozmawiali chwilę o błahostkach, o księżniczce Matyldzie, architekturze Aosty, rytuałach winobrania. Jaką grę prowadził Hugo? W takich razach jak ten zastanawiała się, czy się naprawdę zmienił. Według doniesień i jej osobistych obserwacji, był pobożny, dyskretny, życzliwy, wymowny, ale łagodny, poważny w swym autorytecie, a jednak pokorny niczym żebrak, przystępny dla każdego, jednak o tak wykwinnych manierach, że nigdy nie wydawał się pospolicity. Gdyby był nieodwracalnie splamiony przez skłonność do zła, musiałoby się to jakoś zaznaczać w jego wyglądzie. Niemniej tak nie było. W scholi mówiło się żartem, że gdy królowa i prezbiter wyjeżdżają na ulice Darre, lud zbiera się, by oklaskiwać jej autorytet i podziwiać jego urodę.

Wyszli spod kolumnady i przecięli dziedziniec po żwirowej ścieżce. Białe kamyki zgrzytały pod nogami. Popołudniowe cienie wydłużały się w schludnie zagrabionym ogrodzie i na krzyżujących się ścieżkach. Powyżej wznosiły się blanki murów, widoczne poza dachami pałacu.

- Świętobliwa Matka zamierza powierzyć ci nadzór obrad soboru nad tą herezją, która trapi północ.

- Dała mi to do zrozumienia. Lękam się, że się nie nadaję do prowadzenia takiego dochodzenia.

- Nie, siostrze, nie mów tak. Jesteś przez wszystkich szanowana. Wiadomo powszechnie, że wydajesz swe osądy, nie bacząc na osobiste skłonności. Nie przychodzi mi na myśl żadna inna osoba w Kościele, której tak się ufa jak tobie.

Weszli do portyku, który obramowywał wejście. Trzy monumentalne łuki, prowadzące z pałacu skoposy na dziedziniec wejściowy pałacu królewskiego. Rosvita nigdy nie nawykła do szybkości, z jaką słońce zachodziło tu, na południu. Nie było długich, ociągających się zmierzchów, zwyczajnych w letnie dni na północy. Ciemność już zapadła, zatapiając ich w cieniu pod ciężkimi łukami. Ledwie odróżniała

rzeźbione figury świętych. Były teraz tylko wydłużonymi bladymi kształtami mającymi nad nimi, surowymi, lecz miłosiernymi.

- Martwię się, siostró - rzekł cicho Hugo. Brat Petrus czekał posłusznie za nimi, w zasięgu głosu. Na dziedzińcu wejściowym zapalono pochodnie. Światło migotało, a dym unosił się ku niebu. Dziesiątka koniuszych wybiegła z otwartej bramy, by ich zaprowadzić na dziedziniec stajni. Z oddali, od strony drogi prowadzącej do miasta, słychać było okrzyki i oklaski.

Nie powiedziała nic, tylko czekała, a po chwili Hugo ciągnął dalej:

- Co byś zrobiła, gdybyś odkryła starożytny tekst, a w nim przeczytałabyś opis tej właśnie herezji, która teraz zanieczyszcza królestwo?

- Co masz na myśli? Wiadomo, że Kościół aretuzański trwa w błędzie w pewnych sprawach dotyczących doktryny. Przynajmniej jedna z nich - spór o ludzką i boską naturę błogosławionego Daisana - jest także częścią herezji. Wszystko, co wiem, wskazuje, że herezja trafiła ze wschodu.

Jego sylwetka widoczna była w półmroku tylko jako cień. Był niczym człowiek zatrzymany między światem żyjących a zmarłych.

- Nie wiem, dokąd iść. Sądzę, że znalazłem relację napisaną przez samą świętą Teklę, w której opisuje ona obdarcie ze skóry i zbawienie błogosławionego Daisana właśnie tak, jak o tym mówi ta zatrująca umysły herezja.

- Jakieś fałszerstwo? - Z trudem mogła wymówić te słowa. To, że takie oświadczenie wyszło właśnie od Hugona, wytrąciło ją z równowagi. Albo była głupia, albo on był wytrawnym aktorem, choć wydawał się autentycznie oszołomiony.

- Zadałem sobie wiele trudu, żeby tego dowieść, obawiam się jednak...

- Przejdźcie dla króla Henryka!

Żołnierze pobiegli, by stanąć na baczność na rozległym dziedzińcu wejściowym. Okrzyki i oklaski z miasta w dole narastały, gdy król z orszakiem zbliżał się do bramy.

- To nieoczekiwane! - Musiała krzyknąć, żeby ją słyszano.

- Chodźmy. - Chwytał ją za rękę.

Królowa Adelheid pojawiła się w obramowaniu ogromnych drzwi z brązu, otwierających się na wielką salę, gdy pierwsi jeźdźcy wjechali na dziedziniec wejściowy. Trzymali chorągwie Henryka i Adelheid. Za nimi wjechał sam król i jego najbliżsi towarzysze: diuk Burchard z Avarii, księżna Liutgarda z Fesse, margrabia Villam, kilku nobilew z Aosty, i oczywiście jego dzielny Orzeł, Hathui. Żaden mąż ani żadna niewiasta nie zaćmiewali Henryka.

Był krzepki i zdrowy, ani trochę nie podniszczony po letniej kampanii w srogim upale Aosty. Zsiadł z konia, wręczył koniuszemu wodze i pośpieszył powitać Adelheid. Po drodze wypatrzył Rosvitę.

- Moja droga doradczyni! - Tak wezwana, przecisnęła się przez tłum. Hugo podążył za nią.

- Pójdź, siostró. Zasiądziesz przy wieczerzy po mojej lewicy.

Biesiadne stoły były już zastawione. Adelheid siedziała po prawicy Henryka we wspaniałych szatach - jakby wiedziała, że przybywa król. Być może w istocie tak było. Król mógł wysłać kuriera, dumiała Rosvita, ale jeśli tak uczynił, dlaczego ani ona, ani schola nie miały o tym wiadomości?

Nie myśl tyle, skarciła się. Jesteś zbyt podejrzliwa.

Steward przyniósł misę z wodą i ręcznik, aby Henryk mógł umyć się po podróży. Służący pośpieszyli z rosółem, za którym szły pieczone kurczaki polane sosem miętowym. Kiedy pierwszy głód został zaspokojony, Adelheid powstała z pucharem w dłoni.

- Posłuchajmy relacji o zwycięstwach tego lata! - zawołała, wzbudzając ożywienie i oklaski.

Hathui wyrecytowała wyraźne, choć nie dramatyczne, zestawienie sukcesów tego lata: trzy bandy jinnijskich rozbójników poszły pod miecz, a siedem oblężeń doprowadzono do pokojowego zakończenia. Chociaż wielmożny Gezo trzymał się jeszcze w Navlii, przybyli emisariusze potentatów z Aretuzy, którzy nie mieli ochoty walczyć z armią króla Wendaru mimo faktu, że uzurpowali sobie prawo do ziem na południu, należących do królewskiej rodziny Aosty. Były też święta i tryumfalne pochody w wielu miastach w środkowej Aoście.

Henryk zachowywał spokój podczas tej recytacji i wcześniej opuścił ucztę, zabierając ze sobą do swoich apartamentów małą grupkę ludzi.

Przystanąli, by zobaczyć śpiącą królową. Kiedy Henryk pochylał się nad łóżkiem Matyldy, podziwiając, jak bardzo urosła, Rosvita przysunęła się, by mu przemówić do ucha:

- Czuję, że to nie wszystko, czego chce Wasza Królewska Mość. Jestem gotowa słuchać, gdybyś zapragnął ucha doradczyni.

Pogładził puszyste włosy Matyldy. Dziecko poruszyło się, wsunęło palec w buzię i z chrapnięciem

znowu zasnęło.

- Aosta to kolczaste zarośla, a wieści z Wendaru nie radują mego serca. Czy się pomyliłem, pozostawiając regencję Teophanu?

- Nie mogłeś przewidzieć najazdu Qumanów, Wasza Królewska Mość.

- Czy się uganiam za marzeniem, siostrze? - Jego dłonie, stwardniałe po tylu latach wojny, odtwarzały krzywiznę ucha dziecka.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Jeżeli Świątobliwa Matka ma słuszość, potrzebujemy w nadchodzących latach silnego przywódcy. Korona Taillefera zjednoczyłaby wielu, którzy w innym wypadku odmówiliby marszu pod chorągwią Wendaru.

- Jeżeli pogłoski są prawdziwe, w Salii szaleje wojna domowa. Gdybym tylko zdołał zabezpieczyć Aostę, mógłbym skierować wzrok ku zachodowi, na Salię.

Te słowa zaskoczyły ją i zmartwiły.

- W Salii nie będziesz nigdy nikim więcej niż uzurpatorem, jeśli mi Wasza Królewska Mość wybaczy, że to mówię. Muszę ci doradzać umacnianie twoich pozycji w Aoście i nielekceważenie problemów na północy.

Jego ostre spojrzenie, jego zamyślenie, uświadomiły jej niedostrzeżoną przez innych milczącą kalkulację, której dokonywał w myślach.

- Myślisz, że powinienem wrócić do Wendaru?

- Prawdę mówiąc, Wasza Królewska Mość, obawiam się, że jesteś między młotem a kowadłem. Jeżeli teraz opuścisz Aostę, wszystko, co dotąd osiągnąłeś, może się rozpaść. Jeżeli jednak nie wrócisz do Wendaru, może być jeszcze gorzej.

- Myślałem, że zostawiam za sobą spokojne królestwo - powiedział nie bez goryczy - ale widzę, że się myliłem. Dzięki ci, siostrze, za twoje szczerze słowa. - Wyprostował się, po czym ujął dłoń Adelheid i przyciągnął ją ku sobie. - A teraz, przyjaciele, do łóżek.

Wiele było zabawy, gdy odprowadzali króla i królową do łoża, ale w końcu wycofali się, zostawiając ich w spokoju. Dworzanie rozpierzchli się szybko do swoich hulanek, ale zanim Rosvita zdołała wrócić do swych komnat, wpadła w zasadzkę Helmuta Villama.

- Proszę cię, siostrze, jedno słowo...

Uśmiechnęła się, szczerze rada z jego widoku.

- Dobrze wyglądasz, margrabi. Znosisz letni upał lepiej niż ja.

- Nie byliśmy zamknięci w murach miasta. I przynajmniej, siostrze, że uważam kobiety Aosty za najsympatyczniejsze w świecie.

Podeszli do niszy, mieszczącej się obok odrażająco pomysłowej marmurowej fontanny, wyrzeźbionej na kształt głowy Meduzy, z węzami zamiast włosów. Z pyska każdego węża sączyła się kroplami woda, niczym przejrzysta trucizna.

- Martwił mnie doniesienia, których wysłuchuję z Wendaru i z pogranicza.

- Jakiś Orzeł dotarł do Darre parę tygodni temu wysłany przez księżniczkę Teophanu. Czy masz jakieś inne nowiny?

- Przybył do nas wysłannik Geoffreya z Lavasu. Serce mi się krajało, gdy słyszałem, jak ten chłopak mówi: „Przez miłość, jaką mnie darzysz, i honor, jaki wyświadczyłeś mej córce, mianując ją prawowitą hrabiną Lavasu...”. Błagał Henryka, by wracał do kraju. Kłopoty. Susza i głód. Rozbójnicy przychodzą z Salii na północ i nawiedzają drogi. Mówi się nawet o cieniach Zaginionych, wychodzących z głębi lasów, by nękać ludzi zaczarowanymi strzałami.

- To złe wieści, rzeczywiście....

Villam jeszcze nie skończył.

- Miałem nadzieję na jakąś wiadomość od mojej córki w Walburgu, ale żadna nie doszła. Powiedz mi, siostrze, czy myślisz, że Henryk powinien zostać w Aoście, czy też wrócić do Wendaru? Jest dla mnie jasne, że oboje z królową nie panują nad Aostą na tyle, by mogli oczekiwać oddania im cesarskich koron bez walki.

- Mogą po prostu objąć te korony. Nikt inny się o nie nie ubiega.

- To jednak ryzyko, czyż nie? Jeżeli Henryk pozwoli sobie na koronację, dopóki Aosta trwa w zamęciu, a jinnijscy piraci i aretuzańscy zbójcy kontrolują połowę kraju... - Ciągnął dalej, ocierając sobie czoło wodą z węzowego pyska. W niszy było tak ciemno, że nie widziała jego twarzy.

- Jeśli jednak Henryk wycofa się do Wendaru, wypad do Aosty może być uznany za porażkę - zauważyła.

- To prawda. Wichrzyciele mogą zacząć szeptać, że opuściło go królewskie szczęście.

Coś w tonie jego głosu ją zaniepokoiło.

- Czy ktoś to powiedział, Villamie? Na pewno nie.

- Nie lubię Aosty, a jeszcze bardziej nie lubię intryg tutejszych nobilów. Jest w nich wszystkich coś nie zasługującego na zaufanie. Nie, siostró, myślę, że lekceważymy niebezpieczeństwo na północy. Powinniśmy wracać tak szybko, jak to możliwe. To właśnie doradzę królowi.

- To zależy po części od stanu przejść przez góry. Niektóre mogą być zamknięte przez śnieżyce.

- Słyszałem, że wciąż są otwarte przełęcze zachodnie.

- Które prowadzą do Salii. To nie jest marszruta dla króla Wendaru i jego armii.

- Ich królewskie moście mogą jednak prowadzić kampanię w zimie, jeżeli będziemy musieli tu pozostać. Może się okazać, że Aosta zgodzi się na ich jarzmo, zanim trzeba będzie podjąć decyzję o powrocie na północ.

- Trzeba więc mieć nadzieję, siostró. - Nie był jednak w optymistycznym nastroju, gdy się żegnał.

Była na koniec wolna i mogła wrócić do swych komnat, gdzie zastała Heriburg i Ruodę czekające cierpliwie przy oknie i rozmawiające cicho, podczas gdy Aurea sprzątała przy łóżku. Te dwie młode twarze, tak ochocze i pełne życia, przypomniały jej własną młodość, jej pierwsze miesiące na dworze króla Arnulfa. Jak niezwykle i wspaniale wydawały się jej wówczas postępy króla! Jednak pomimo brzemienia, wynikłego z jej wieku i autorytetu, budziła się co rano, pragnąc służyć królowi.

Słowa Anny zabrzmiały echem: „Królowi czy Bogu? Komu najpierw winnaś posłuszeństwo?”

- Fortunatus odszedł z siostrą Gerwitą - powiedziała Ruoda, wstając, by ucałować dłoń Rosvity. - Gerwita coś znalazła... nie wiem co. Zostawił mi to... - Wyjęła z rękawa pergaminową mapę.

- Aureo, dopilnuj, żeby nikt nam nie przerywał - poleciła Rosvita. - Gdyby się zjawił Fortunatus, wpuść go.

- Tak, pani. - Wzięła ze sobą miotłę, żeby zamieść korytarz.

- Heriburg, rozwiń to, proszę. - Teraz mogła porównać tę mapę z tamtą, którą oglądała w Komnacie Płytek. - Tutaj, widzicie, dziewczęta - mówiła z rosnącym podnieceniem. - Możemy naliczyć na tych ziemiach może z pięćdziesiąt kamiennych koron, ale tylko siedem z nich zaznaczonych jest siedmioma kamieniami.

- Odpowiadały one mniej lub bardziej siedmiu miejscom zaznaczonym na tamtej mapie. - Siedem koron, każda z siedmioma kamieniami. Co to może znaczyć?

- Siedem drogich kamieni w koronie Taillefera - rzuciła Ruoda. - Sześć w równej odległości po obwodzie i jeden pośrodku.

- Siedem Gwiazd w konstelacji Korona - powiedziała Heriburg.

- Ale one są skupione razem i trzeba bystrego oka, żeby dostrzec siódmą. Ja nigdy jej nie widziałam.

- Siedmiu Śpiących - mruknęła Rosvita. - Niech mnie porwą diabli w przebraniach scholarzy i mędrców... jeżeli im powiem, co wiem o sekretach Siedmiu Śpiących.

- Oni są z historii kościoła Świętego Euzebiusza! - wykrzyknęła Ruoda. - Być może to tylko opowieść dla pokrzepienia wiernych. Co oni robią na tej mapie?

- Cicho - szepnęła Heriburga. - Ona myśli.

- Okłamała mnie - mówiła Rosvita, pozwalając słowom kierować myślami. - Lavrentia nie mogła umrzeć. Nie umarła do zeszłego roku. Lavrentia stała się Obligatią. Obligatia, kiedy była Lavrentią, miała dwoje dzieci, dziewczynkę, zrodzoną jedynemu prawowitemu synowi Taillefera, i chłopca. Co takiego powiedziała? - Położyła dłoń na kamiennej koronie zaznaczonej w środku mapy.

- Przybyła do majątku Bodfeld. Tam spotkała bratanka władczyni. Pobrali się i urodziła mu syna, któremu dali na imię Bernard!

Ten triumf pamięci dodał jej energii. Zostawiła mapę i podeszła do wykusza, gdzie wietrzyk owiewał jej twarz. Miasto poniżej leżało ukryte, z wyjątkiem przypadkowych pochodni na ulicach i ogni oświetlających zewnętrzny mur. Czy tak miało być? Bernard to dość zwyczajne imię.

Musiała kopać w pamięci, aby przypomnieć sobie tych kilka spotkań z Liath. Wtedy poszła za nią do myśliwskiego domku, zastanawiając się, czy zwykła Orlica mogła płynnie czytać po daryjańsku.

Obróciła się, by spojrzeć na Ruodę i Heriburg, które przyglądały się jej szeroko otwartymi oczami. Światło lampy igrało na ich młodych twarzach.

- Mówiono mi, że mam kuzynów w Bodfeld! Jak mogłam zapomnieć? Bodfeld.

- Masz kuzynów w Bodfeld, siostró? - zdziwiła się Ruoda. - Myślałam, że przybyłaś z Marchii Północnej. Nie wiedziałam, że hrabiowie z Marchii Północnej mają krewnych we wschodnim Saony.

- Bo nie mają, dziecko.

- Cii - syknęła Heriburg do Ruody. - Ona wciąż myśli.

- Po śmierci jej męża zabrano od niej chłopca i oddano na wychowanie do klasztoru. A dziewczynkę zwaną Lavrentia wysłano na południe! Tak dotarła przypadkiem albo z woli Boga do świętej Ekataryny, do miejsca, gdzie miała być bezpieczna.

- Bezpieczna przed czym? - spytała Ruoda.

Heriburg kopnęła ją w goleń.

- Oto straszliwy sekret, który mógłby zniszczyć jej pozycję. To by zmusiło sobór prezbiterów do unieważnienia pierścienia.

- O mój Boże - wykrztusiła Heriburg. - Mówisz o Świętobliwej Matce.

Rosvita zdała sobie sprawę, że rozmówczynie wpatrują się w nią w osłupieniu.

- Córci, nie wolno wam mówić o tym nikomu. Zobaczycie, jak groźna i niszcząca może być plotka. Nie mam żadnego dowodu. Mam tylko podejrzenia. Mogę się mylić.

- Mylić się w czym? Co to za straszny sekret? - pytała Ruoda.

- Pani - mruknęła Rosvita. - Grzech na grzechu. Muszę was prosić, moje dzieci, o zrobienie jutro okropnej rzeczy, zbrukania rąk wiązaniem i czynieniem...

- Czarów? - spytała ochoczo Ruoda.

- Wszystkie musimy nosić dla ochrony amulety.

Głośnie stukanie do drzwi poderwało je, jakby Bóg we własnej osobie w przebraniu Wiekuistego Sędziego przyszedł, żądając rachunku z ich grzesznych myśli. Heriburg pisnęła, tak zaskoczona, że upuściła mapę, która zwinęła się z trzaskiem. Był to jednak tylko Fortunatus, ocierający pot z czoła, zdyszany i rozdygotany. Wpadł, stanął w miejscu i zlustrował pomieszczenie.

- Co się stało? Coś nie w porządku?

Zaszedłszy tak daleko i nawet wiedząc, że Anna albo jakiś inny adept mogą obserwować ją właśnie teraz, musiała mówić.

- Siostra Klotylda nie żyje i tak samo Fidelis, i ten nieszczęsny bratanek z Bodfeld. Wszyscy inni przeciwnicy. Tylko Anna i Lavrentia - i Wilkun - pozostali. Dlatego właśnie jej szukają. By się upewnić, że nikt nie odkryje, iż ojciec Liath był bratem przyrodnim Anny.

- Kazirodztwo! - szepnęła Ruoda.

- Boże, zlituj się - mruknął Fortunatus.

- To straszne - ciągnęła Rosvita. - Naprawdę okropne. Wciąż jednak brakuje części układanki. Dlaczego siostra Klotylda usunęła jakąś nieważną dziewczynę z konwentu w pobliżu siedziby hrabiów Lavasu? Dlaczego tamto gderanie na mnie? Mógł to być tylko zbieg okoliczności.

Fortunatus porwał mapę ze stołu i ukrył ją w rękawie, jakby spodziewał się, że zaraz wpadną strażnicy i aresztują ich wszystkich za zdradę.

- Te psy... Ten pies, którego trzyma skoposa. Czy nie wyglądają jak psy hrabiego Lavastine'a? Czy psy z Lavasu nie wyglądają bardzo podobnie do tych opisywanych w poematach o cesarzu Tailleferze?

- Widzicie je na wszystkich gobelinach - powiedziała Ruoda. - Nie myślałam o tym nigdy przedtem, ale pies, którego trzyma skoposa przy sobie, jest bardzo podobny do słynnych czarnych psów cesarza.

- On sam i jego córki prowadzili swoje czarne psy na smyczach, a psy w podnieceniu kłapały zębami na każdego, kto podchodził bliżej, poza ich panem i jego dziećmi, bo nawet psy w swej niemej lojalności chylały głowy przed szlachetnością. - Heriburg zaczerwieniła się - Przepraszam. Znałam cały ten poemat na pamięć, zanim wstąpiłam do konwentu.

- Nie - Rosvita odsunęła się od okna. - Stawiamy niewłaściwe pytanie. Powinniśmy pytać nie jak ten czarny pies trafił do Świętobliwej Matki Anny, wnuczki cesarza Taillefera, lecz jak i kiedy psy trafiły do hrabiów Lavasu.

Ktoś lekko zapukał do drzwi i po chwili do środka zajrzała Aurea.

- Pani moja!

- Boże - wykrzyknął Fortunatus. - Zapomniałem o siostrze Gerwicie. Była całkiem bez tchu.

- Masz nowiny, bracie - rzekła Rosvita, Aurea otworzyła drzwi, by wpuścić biedną, zalęknioną Gerwitę. Rosvita pomogła jej się położyć, ciężko dyszącej.

- Drogie dziecko, mam nadzieję, że się nie rozchorujesz.

- Nie, siostrze, to tylko te schody i upał. Prawdę mówiąc, to, co zobaczyłam, sprawiło, że rozboleło mnie serce. Tak niewiele możemy zrobić, żeby im pomóc. - Otarła łzę z policzka. Światło lampy wybielało jej szczupłą, bladą twarz do barwy kości słoniowej. - Niestety, siostrze, przynosimy złe wieści. Brat Fortunatus powiedział ci... - przerwała nagle, by ściszone głosem dokończyć: - Czyż nie?

- Nie, nie miał okazji.

- Znaleźliśmy ją, siostrze. - Gerwita westchnęła.

- Gerwita ją znalazła. - Fortunatus nie przywłaszczał sobie nie swoich zasług. - Ona jedna nie bała się odwiedzać infirmerii. Zabrała mnie tam tylko po to, bym zidentyfikował ciało.

- Boże, zmiłuj się. - Rosvita widziała jasno, dokąd to prowadzi.

- Czyje ciało? - spytała Ruoda.

Gerwita machnęła ręką, nie mogąc mówić. Fortunatus podjął:

- Palomy, świeckiej siostry z konwentu świętej Ekatariny. Zmarła od gorączki, jak mówiły siostry z infirmerii świętej Aselli. Nie miała jednak wypieków na policzkach. Nie miała zapadniętych oczu. Wiecie, jak one wyglądają. Myślę, że została zamordowana, siostrzo, bo gdy ją spotkałem wczoraj przed laudami, była tak samo zdrowa jak ja.

### 3

Było oczywiste nawet z daleka, że mury Osterburga były naprawiane byle jak. Tłum więźniów gnanych biczami nie mógł ich jednak przełamać, nie przy tak wielu zdeterminowanych obrońcach, lejących z góry gorący olej i deszcz strzał na swych nieszczęsnych wrogów. Większość jeńców zginęła w mękach u podstawy murów, podczas gdy Bulkezu i jego armia patrzyli w milczeniu, łagodnym tylko szelestem ich skrzydeł w stałej jesiennej bryzie. Hanna nie mogła nic zrobić, by przerwać to zabijanie.

Nic.

Do czasu, gdy w trzecim dniu oblężenia wysunięto naprzód prymitywne maszyny oblężnicze, obrońcy pozamykali wyłomy zwałami gruzu i naprędce wzniesionymi palisadami. W oczach Hanny wyglądało na to, że burzono całe domy w celu uzyskania belek i desek do wypełnienia słabych miejsc, ale oczywiście z odległości trudno to było stwierdzić.

Wszystko, co mogła zrobić, to modlić się, by Osterburg nie upadł zbyt szybko, by to, co widziała swoim Orlim wzrokiem przed dwoma tygodniami, było wizją prawdziwą.

- Orle! - Zapłakana Agnetha, konkubina księcia Ekkeharda, otarła oczy, gdy dołączyła do Hanny na stoku między namiotami bęga i księcia. Strażnicy spojrzeli na nią i odwrócili wzrok, udając brak zainteresowania. - Powiedz mi, co mam robić. Wczoraj zabrali mego wuja. Ledwie zdołałam uratować jego synów.

Dwaj ciemnowłosi obdarci chłopcy klęczeli z pochylonymi głowami w pyle przy namiocie Ekkeharda.

- Zabrali wuja do tego ataku. Wiem, że jest już martwy.

Znowu zaczęła płakać.

- Powinam była pójść zamiast niego. Popatrz, ilu zginęło, a ja jestem cała, sucha i syta.

- Nie mogłaś nic zrobić. - Te słowa brzmiały nieszczerze. Czowała się nieszczera. - Nic.

Gdyby nawet żądała, żeby Bulkezu rzucił ją z powrotem w tłum, żeby pozwolił swoim żołnierzom pognać ją naprzód z innymi, on by tego nie zrobił. Tamta jedna noc, którą spędziła w tłumie, była tylko podstępem, mającym na celu ją wyłowić i sprawdzić, jaką magię ukrywa. Nigdy przedtem nie wiedziała, że nienawiść może jak gorączka wypalić od wewnątrz.

Widziała dotąd tyle śmierci i okrucieństwa, że dziwiła się, iż to nie złamało jej serca. Nienawidziła siebie samą za myślenie o Bulkezu jako o przystojnym mężczyźnie. Zewnętrzne piękno nie znaczy nic, jeżeli serce jest wypaczone i potworne.

Wielki namiot Bulkezu i główne obozowisko stały na niskim wzniesieniu spoglądającym z zachodu na dolinę rzeki. Vesper płynęła na północ, potężna i szeroka, spotykając dopływ wpływający do niej ze wschodu przez skalisty teren. Zbudowano tam miasto twierdzę, wykorzystując dobrą pozycję obronną. Armia Qumanów stratowała pola pod miastem na zachodnim brzegu Vesper, chociaż większość z nich wyglądała, jakby już było po żniwach.

- Muszą mieć dobre spichrze na zboże - powiedziała nagle Agnetha, zdradzając się jako praktyczna wiejska dziewczyna. Nawet strojne suknie, w jakie ją ubrał Ekkehard, nie mogły ukryć siły jej stwardniałych rąk. Niewątpliwie przekopała szmat pola i skręciła karki wielu kurcząt, zanim została zmuszona do przyjęcia przywileju ozdabiania łoża pojmanego księcia. - I z rzekami po obu stronach dobry dostęp do wody. Trudno będzie ich wziąć, dopóki trzymają się mury.

Hanna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Nauczyłaś się paru rzeczy o wojnie.

- Bo musiałam - odrzekła z goryczą Agnetha. - Książę Ekkehard i jego towarzysze nie mówili o niczym

innym. - Pochyliła się i szepnęła Hannie ledwie dosłyszalnie do ucha: - On jest przerażony. To jest miasto jego ciotki i widać po chorągwi, że przebywa ona w swojej rezydencji wraz z jego kuzynami. Przez ostatnie trzy dni on modli się tylko do Boga, żeby nie zmuszał go do zdrady krewniaków.

- Trochę za późno tym się martwi.

- Możliwe, ale co więcej mógł zrobić, wzięty do niewoli i w ogóle?

- Mógł odmówić walki po stronie Bulkezu.

- I zastać zabitym na miejscu? Jego krewni nie traktowali go z szacunkiem. Dlaczego nie miałby mieć tego za złe?

- Czy on sam ci to powiedział?

- Dlaczego nie miałby mi powiedzieć? Nikt poza mną go nie słucha.

Hanna przyglądała się tej ładnej młodej kobiecie. Nawet zaczerwienione i zapuchnięte oczy nie mogły zniweczyć obietnicy pełnych ust i jeszcze pełniejszych piersi ani odebrać chwały jej gęstym czarnym włosom. Mimo wszystkich swych błędów Ekkehard był jednak księciem królewskiego rodu, o wykwinnych manierach, wspaniałej postaci i udziale w charyzmie Henryka. Rzucona wraz z nim w desperackie okoliczności, ucząc się sposobów gładzenia jego piór, gdy stawał się podniecony, rozumiejąc, że jego protekcja może ocalić resztki jej rodziny - nie, Hanna nie mogła potępić Agnethy za zostanie jego orędowniczką. Ludzie robią to, co muszą, żeby przeżyć.

Wszystkie promy i wszystkie brody w górę Vesper były w rękach Qumanów i niewątpliwie Bulkezu wysłał już swych żołnierzy, by przejęli promy w dole rzeki o dzień jazdy od miasta. Armia rozproszyła się wachlarzem ze wschodniego brzegu Vesper, uderzając na wschód, w głąb lesistej krainy między dwoma rzekami, badając ją, paląc i zabijając każdą biedną duszę, która nie miała tyle szczęścia, by usłyszeć ostrzeżenia i wycofać się za zniszczone mury Osterburga. Główna część wojska czekała pod miastem, gotowa do nowego ataku, gdy maszyny oblężnicze wykonają swoją pracę.

- Jest ich tak wielu - wyszeptwała Agnetha z rozpaczą. - Nikt ich nigdy nie pokona.

Na przekór wszystkiemu Hanna wciąż żywiła jakąś zawziętą nadzieję.

- Wydaje się tylko, że jest ich tak wielu, bo tłumnie zalewają teren. Spójrz tam. - Wskazała trzy ogniska płonące o rzut kamieniem od wielkiego namiotu Bulkezu. - Czy widziałas, jak dają sobie sygnały, używając dymu?

Jeden z chłopców kłęczących przy namiocie Ekkeharda zerwał się i podbiegł do nich.

- Chodź ze mną. - Pociągnął Agnethę za rękaw. - Jego wielmożność cię potrzebuje.

Agnetha mruknęła coś pod nosem i odeszła w pośpiechu. Gdy szła, odległy łoskot dwóch zwolnionych katapult wstrząsnął powietrzem. Hanna wstrzymała oddech, starając się śledzić wznoszenie się i opadanie pocisków. Chmura pyłu uniosła się wewnątrz murów, a po niej pojawił się słup dymu, gdy strzecha zajęła się ogniem.

Tak się działo, póki nie minął ranek i przeszło popołudnie. Dym wznosił się w regularnych odstępach czasu, ale zawsze był tłumiony. Hanna chodziła tam i z powrotem, a czterej strażnicy za nią w zawsze obecnym dozorze. Książę Ekkehard i jego towarzysze pozostawali w swoim namiocie, modląc się. Kilka razy złowiła wzrokiem widok gryfich skrzydeł Bulkezu w dole, kiedy zjeżdżał do promu, a potem zniknął na północ od miasta. Cherbu jechał obok brata, rozpoznawalny, bo nie nosił skrzydeł. Kilku żalosnych więźniów, zakrwawionych i kulejących, uciekało przez pola na zachód, do lasów, ale qumańscy zwiadowcy jechali za nimi i zaganiali ich z powrotem do głównego obozowiska. W końcu Hanna poszła z ciężkim sercem do ogrodzenia dla więźniów, strzeżonego przez najmłodszych i najmniej doświadczonych żołnierzy. Potrafili oni zbyt ostro reagować na najmniejszy znak aktywności wśród więźniów i przez to byli jako wartownicy najbardziej niebezpieczni.

Robiła, co mogła, przynosząc więźniom wodę i opatrując rany. Jej strażnicy patrzyli na to bez zainteresowania i nie zrobili nic, by ją powstrzymać. Wiedzieli, że wiele czynności, których się podejmowała, było bezużytecznych. Musiała jednak je wykonywać, żeby pogodzić się ze sobą i móc w nocy spać.

Musiała słuchać ich opowieści, żeby je przekazać królowi. Z pewnością będzie tak samo wstrząśnięty jak ona, słuchając o swych wiernych poddanych gnanych na ostrza włóczy, by przejąć impet ataku. Mieli do wyboru pewną śmierć, gdyby nie poszli, i prawdopodobną, gdyby poszli. Jakiś człowiek spędził noc zagrzebany wśród umierających, słysząc ich wrzaski i jęki. Nawet kiedy o tym mówił, zatykał uszy, jakby wciąż słyszał ich krzyki. Inny wyczołgał się z zagrożenia poprzez pole krwi. Była nią pokryta jego skóra. Wyschnięta krew pękała i odpadała płatami, kiedy zaciskał i rozprostowywał dłonie. Jakaś kobieta widziała, jak jej syn pada ze strzałą w oku i w nocy czołgała się wśród umarłych, przeszukując ich bez nadziei i z desperacją. W końcu jej szlochający brat odciągnął ją, ale i tak została zabita przez obrońców

na murze albo Qumanów na polu.

Nie było śladu wuja Agnethy wśród tych, którzy uniknęli rzezi.

Hanna najpierw zauważyła, że uwaga jej strażników przeniosła się z niej na drzewa i chorągwie obozu, ledwie widoczne ponad liśćmi. Dym się zmienił. Trzy wielkie kłęby wzbity się w górę i rozproszyły. Jeden ze strażników gwizdnął ostro i skinął na nią, dotykając trzonka bicia. To nie ją by pobito, gdyby nie usłuchała natychmiast.

Doszli do wielkiego namiotu Bulkezu właśnie w chwili, gdy nadszedł w otoczeniu tuzina swoich ulubionych kapitanów. Zauważył Hannę, ale przywołał do siebie swego brata. Rozmowa była gwałtowna, słowa zlewały się tak, że nie była w stanie żadnego wyłowić. Usłyszała tylko imię.

Bayan.

Cherbu chrząknął i zarechotał. Zmarszczył brwi i splunął. Podrapał się w kroczu i wydułbał kamyczek z obcasa swego buta. Bulkezu zażądał, żeby zrobił coś, czego tamten najwyraźniej nie chciał zrobić. Wkrótce jednak zgodził się, pomrukując i mamrocząc, gdy odchodził swoim dziwnym, denerwującym krokiem. Rozebrał się prawie do naga z powodu gorąca, a tatuaże pokrywające jego ciało wydawały się poruszać się i drżeć, w miejscach gdzie pot połykiwał, ściekając po ciemnej skórze.

Bulkezu znów zwrócił uwagę na zwiadowców, wjeżdżających na górę i przekazujących doniesienia. Hanna była zdenerwowana, nie rozumiała ani słowa. Wokół niej ludzie zaczęli związać namioty. Cherbu okrążał obóz, podskakując z nogi na nogę i co jakiś czas rozsypując pył. Jego śpiew przeplatał się ze śmiechem Bulkezu za każdym razem, gdy zjawiał się nowy zwiadowca.

Co się dzieje? Dlaczego odstępują od oblężenia? Czy księżę Bayan w końcu ich dopadł?

Panie! A może Ivar jest z nim? Może nie zginął?

Księżę Ekkehard wyłonił się ze swego namiotu z czterema wiernymi towarzyszami, ale stanęli jak wryci, gdy dwaj gumańscy żołnierze podjechali i rzucili do stóp Bulkezu ciało wendarskiego zwiadowcy w lekkiej zbroi i ze znakami księżnej Sapientii. Ekkehard wyrwał swój bojowy proporzec z ręki Welfa i cisnął go do namiotu. Stojąc wśród przyjaciół, nie dawał się już rozpoznać jako wendarski księżę krwi.

Bulkezu podniósł rękę, nakazując milczenie. Zdjął hełm. Wiatr rozwiewał jego piękne włosy wokół ramion. W dole armia Qumanów wycofywała się spod murów. Na drugim brzegu rzeki grupy po dziesięciu i dwudziestu jeźdźców podążały ku wschodniemu brzegowi, zbierając się w kohorty wracające z furazowania.

- Uzbrój się do bitwy, księżę Ekkehardzie - rzekł twardo Bulkezu. - Czas walki się zbliża. - Napotkał wreszcie wzrok Hanny. - Kiedy zniszczę ich armię i spalę miasto, zaprowadzisz mnie do czarownicy Liathano.

#### 4

Tamtego dnia, dziewiątego setentra, w dniu świętej Marii Mądrej, sześciu z dziesięciu zwiadowców wysłanych daleko przed armię nie powróciło wieczorem. Bayan zwołał radę wojenną, żeby wszyscy nobile i dowódcy mogli usłyszeć sprawozdania tych czterech, którzy wrócili.

Zanim jednak Sanglant przyprowadził swój orszak na naradę, Zachariasz miał przyjemność obserwować, jak księżę wprawia swego Orła w zakłopotanie.

- To działało całkiem nieźle na Hedwigę.

- To właśnie usiłuję wyjaśnić. - Wilkun czuł dyskomfort z powodu gorąca. Wieczór był bardzo duszny. Zapowiadało się na burzę. - Księżniczka Teophanu miała troje Orłów w swoim orszaku, a ten jedyny, który posiadał dar Orlego widzenia, nie jest już dłużej z nią. Mogę użyć swego wzroku, by zobaczyć, gdzie jest księżniczka...

- W Quedlinhame. Nie tu, gdzie być powinna. Bez innego Orła, z którym mógłbym się komunikować, nie dowiem się, dlaczego tam jest, co zamierza ani jaką ma armię przy sobie.

- A co z tą brakującą Orlicą?

- Mówiłem ci. Wyjechała na południe, do Aosty. Wkrótce potem zgubiłem jej ślad.

- Zgubiłeś jej ślad?

- Właśnie tak, Wasza Wysokość. Nie my jedni szukamy ukrycia.

Nadszedł jeden z rządców Sapientii i Heribert odszedł na bok, by z nim porozmawiać.

- To by wyjaśniało, jak sądzę, dlaczego nie widziałeś armii Qumanów, czekającej na nas pod



Osterburgiem. Albo, jak słyszałem, Liath i mnie, kiedy mieszkaliśmy w Vernie. Teraz widzę ograniczenia twego Orlego wzroku. Łatwo go zmacić czarami.

Wilkun podniósł ręce w geście poddania się.

- Prawdę mówiąc, nie więcej, niż jeden na pięciu Orłów ma przecucie Orlego wzroku. To sekret, którego strzeżemy.

- Albo chowamy.

- I taki, którym nie wszystkie Orły mogą albo powinny rozporządzać.

- Dobrze - wymamrotał książę. Skinął na Heriberta, a ten podszedł i coś mu powiedział na ucho. Sanglant uśmiechnął się kwaśno. - Musimy iść, bo czekają tylko na nas.

Rozejrzał się po obozowisku. Ogniska rozpałały się, gdy zmierzch rozpościerał skrzydła nad armią. Było kilka płóciennych namiotów, ale większość ludzi odpoczywała na swoich płaszczach. Wszyscy byli w zbrojach, a broń i hełmy trzymali przy sobie, wiedząc, że Qumanowie są blisko. Tego dnia maszerowali przez otwarty lesisty obszar. Szło się łatwo i nikogo nie widzieli.

Było zbyt łatwo. Qumańscy zwiadowcy rozciągnęli się szeroko i widzieli wszystko. Bulkezu na pewno wiedział już dokładnie, gdzie są i ilu mają żołnierzy. Bawił się tylko z nimi, pozwalając czterem wrogim zwiadowcom uciec z sieci własnych zwiadowców, by uspokoić nieprzyjaciela. Zachariasz zaczął zabawiać się myślami o ucieczce w lasy, ale wtedy zostałby schwytany przez jakiegoś qumańskiego zwiadowcę i zaciągnięty z powrotem do Bulkezu. Tak czy owak, wszyscy zmierzają ku śmierci w bitwie, która z pewnością nastąpi.

Miał nadzieję, że będzie szybka.

- Błdy jesteś, bracie Zachariaszu - zauważył książę. - Chodź z nami. Będziemy potrzebowali twojej wiedzy o klanie Pechanek. Nikt ich nie zna tak dobrze jak ty.

Nie był w stanie odpowiedzieć, pokręcił tylko przecząco głową, bo strach ścisnął mu gardło, gdy Sanglant wybierał swoich najbardziej zaufanych dowódców, by mu towarzyszyli: wielmożnego Druthmara, kapitana Fulka, sierżanta Cobbo, nawet pieska pokojowego Hrodika, który przynajmniej umiał wykonywać rozkazy.

Bayan i Sapientia zebrali dwór w swoim wielkim namiocie. Jego boki były podwieszane do drzew, tworząc otwarty pawilon, gdzie mogli się zgromadzić wszyscy ważni dobrze urodzeni. Tłum rozdzielił się, by przepuścić Sanglanta. Zajął honorowe miejsce po prawicy Bayana. Heribertowi i Zachariaszowi pozwolono stać za nim, a reszta jego kapitanów cofnęła się, by znaleźć miejsca w tłumie. Blessing siedziała jak zwykle na kolanach ojca. Miała patyk zastrugany na kształt miecza, ale że przez ostatnie dni nauczyła się cierpliwości, trzymała go na kolanach. Buzię ściągnęła w skupieniu, słuchając, jak Bayan ucisza tłum i wzywa ocalałych zwiadowców.

Z czterech, którzy zdołali wrócić, trzech było Ungryjczykami, a czwarty przebiegłym rycerzem z Olsatii, jednym z zaufanych lady Berthy. Nie wrócił żaden z wendarskich zwiadowców księżnej Sapientii. Olsatczyk widział kogoś w wendarskiej zbroi wiszącego z uciętą głową na drzewie, ale nie zatrzymał się, by go obejrzeć.

- Główna armia stoi na zachodnim brzegu Vesper - oświadczył Bayan po wysłuchaniu meldunków. - Jutro przekroczymy Vesperling i pomaszerujemy na zachód przez dziki kraj między tymi rzekami.

- Czy nie byłoby lepiej iść na północny zachód wzdłuż Vesperling, gdzie marsz będzie łatwiejszy - spytał diuk Polenii Boleslas z pomocą tłumacza - i iść wprost na Osterburg, by przerwać oblężenie?

Bayan zaprzeczył ruchem głowy.

- Qumanowie polegają na łucznictwie. Jeżeli zbliżymy się przez nierówny teren, mają mniejsze szanse przełamania strzałami naszej linii. Maszerując doliną rzeki, będziemy łatwiejszym celem.

Książę Sanglant nie mówił wiele, gdy Bayan ustalał porządek marszu. Zachariasz uświadomił sobie, że niewiele było do powiedzenia. Bayan był doświadczonym żołnierzem. Wiedział, co robi.

Przez część nocy padała mżawka, co wystarczyło, by złagodzić upał, nikomu nie sprawiając przykrości. Rano armia wyruszyła, co zajęło sporo czasu, bo każdy legion, kohorta czy oddział czekały na swoją kolej, a potem ruszały naprzód. Grunt był wilgotny, więc nie podnosił się kurz, co dla maszerujących z tyłu było błogosławieństwem. Oznaczało to również, że nie zdradzili się zbyt wcześnie przed Qumanami, chociaż ci z pewnością po pewnym czasie wiedzieli już, gdzie jest armia.

Był dziesiąty dzień setentra, dzień świętej Penelopy Wędrowniczki. Gdy maszerowali, słońce wznosiło się ku zenitowi, a drzewa strząsały im na głowy ostatnie krople nocnego deszczu. Zachariasz jechał dwa rzędy za księciem Sanglantem, modląc się, by nie zwymiotować ze strachu. Jego żołądek buntował się, równie niespokojny jak powietrze i wiatr, czekające na nadchodzącą burzę.

Raz podniosły się krzyki i jakiś wysłannik przegalopował wzdłuż kolumny, przystając, by pomówić z

księciem Sanglantem, następnie pojechał dalej, w stronę księcia Bayana ze swymi ludźmi. Plotka przeciekła z powrotem do grupy wokół Zachariasza. Forpochta starła się ze zwiadowcami Qumanów. Potyczki zaczęły się wzdłuż całej linii marszu. Qumanowie byli w odwrocie, cofając się ku Vesper odległej jeszcze o kilka mil. Trudno było jednak powiedzieć, co jest prawdą, a co złudną nadzieją.

Przekroczyli Vesperling po południu brodem kontrolowanym przez kontyngent Lwów pod dowództwem księżnej Sapientii. Przejechała pierwsza na czele trzech legionów. Zostawiła też żołnierzy z tyłu na wypadek, gdyby jazda Qumanów przekroczyła rzekę i zatoczyła łuk, próbując rozdzielić ich siły. Pozostali z tyłu. Okopywali się, strzegąc brodu i wołali do siebie:

- Hej tam, Folquin, ty durniu! Nie upuść mi tego pnia na głowę, jeśli łaska!

- Na cycki naszej Pani, Ingo! Nie włącz mi w drogę, bo jak ci porysuję piękne lico, nie zechce cię twoja luba, a Qumanowie wzgardzą trofeum z twojej głowy!

Zdumiewające, jak szybko można wznieść niewykończoną palisadę, kiedy robotników pogania strach. Dziwne, że mogli żartować przy pracy. Zachariasz czuł się, jakby stracił język.

Skok poziomu wody na nogach przywołał go do rzeczywistości, oszołomionego, chwytającego się siodła, gdy jego koń zanurzał się w rzece. Prąd go wciągał, on jednak czepiał się zawzięcie życia, a koń kierował się do przeciwnego brzegu. O tej porze roku rzeka była szeroka i płytka, z mętą, brunatnozieloną wodą. Obok niego przepłynęła jakaś gałąź, a potem, o dziwo, poszarpana rękawica. Wreszcie koń wy dostał się na brzeg i zaraz skierowano go w prawo. Podążał za innymi wąską ścieżką wyciętą w lesie, gdzie rosły dęby i graby, a gęste poszycie z krokusów, poziomek i ciemiernika pokrywało grunt. Przegrupowali się na północ od brodu, na polanę.

Gdy się zebrali przy swoich dowódcach, było ich około pięciuset jeźdźców, zdaniem Zachariasza: legion Sanglanta utworzony z jego orszaku, nieregularni z Gentu i zaciągi z Waltharii.

- Założymy tu obóz, z rzeką za plecami - powiedział książę. Druthmar i Hrodik odjechali wydać kapitanom rozkazy okopania się na noc.

Bayan i jego Ungryjczycy przeprawili się właśnie, kiedy do Sanglanta podjechał zwiadowca.

- Panie mój, książę! Nowina! Oblężenie zdjęte!

Stojący obok wzniesli nierówny okrzyk, powtórzony przez tych bardziej oddalonych, gdy im przekazano nowinę. Sanglant zmarszczył tylko brwi.

- Jadę - powiedział, trzymając córkę przed sobą na siodle. - Heribert, Thiemo, Zachariasz, Wilkun, Folk i wielmożny Druthmar, będziecie mi towarzyszyć. Reszta niech pamięta, że musimy być gotowi. Atak może nastąpić w każdej chwili.

Diuk Boleslas i jego Poleni przeprawiali się. Po drugiej stronie Vesperling znajdował się tabor, znikający w lesie. Grupa Sanglanta jechała w górę rzeki, gdzie Ungryjczycy Bayana założyli obóz obok wendarskiego legionu Sapientii. Księżna i Bayan zebrali dwór w miejscu, gdzie trzy pnie zwały się obok siebie, można więc było pokryć je deskami i ustawić na tym podwyższeniu krzesła. Gdy podjechali i Sanglant wręczył wodze kapitanowi Fulkowi, między dwoma wielmożami stojącymi na przedzie podwyższenia trwała kłótnia. Pierwszego z nich Zachariasz nigdy dotąd nie widział, drugim był zaś osławiony Wichman, drugi syn księżnej Rotrudis z Saony, znany w armii z dzielności i złego charakteru. Mówiono, że należałoby go zabić, i wielu próbowało.

- ...przysiągłeś, że jej nie molestowałeś, ale dowiedziałem się potem, że ją zmusiłeś, i to nie raz, ale trzy razy, zanim wyjechałeś do Gentu - mówił ten drugi, krzepki chłop, łysiejący i ze zmysłową twarzą.

- Kto mówi, że ją zmusiłem? - szydził Wichman. - Albo że nie prosiła o to, wołając byka zamiast wołu?

Drugi wielmoża zaklął, skoczył naprzód i chwycił gardło Wichmana w uścisk swych niedźwiedzych ramion. Książę Bayan poczerwieniał z gniewu, zrywając się na równe nogi, ale zanim zdążył coś zdziałać, Sanglant przeciął tłum i odciągnął tego pierwszego od Wichmana.

- Błagam cię, kuzynie, przestań dusić swego brata! - Jego ostry głos wybił się ponad rosnący zgiełk. - Może i zasługuje na lanie, ale jest potrzebny do walki z Qumanami.

Śmiech przeleciał przez szeregi zgromadzonych nobilów. Dobra kłótnia rodzinna przełamała napięcie. Bayan pochylił się, by szepnąć coś do ucha Sapientii.

Wichman, krztusząc się i rozcierając gardło, splunął.

- Panie! Ona była tylko konkubina, kobietą z ludu. Łatwo znajdzie drugą, jeśli tamta go nie zadowalała.

Jego brat walczył z uchwytym Sanglanta, ale nawet ktoś tak silny i tęgi jak on nie mógł się wyzwolić.

- Zadowalała mnie, zanim ją zepsułeś!

- Na jaja Pana! Zwentiboldzie, to było... ile? Dwa lata temu. Zapomniała już o tobie...

- Ona nie żyje! Powiesiła się po tym, jak ją zgwałciłeś.

Tłum cofnął się, ale Zachariasz nie potrafił powiedzieć, czy nobile byli oburzeni opowieścią, czy tylko

obawiali się, że jeden lub obaj wyciągną miecze i przypadkowo zranią kogoś z widzów.

Niespodziewanie Sapientia wstała, dając znak Bayanowi, żeby znowu usiadł.

- Proszę, Sanglancie, puść naszego kuzyna Zwentibolda.

Wyjęła włócznię z rąk jednego z rycerzy stojących poniżej i z podwyższenia wbiła ją w ziemię między tych dwóch.

- Połóżcie prawe dłonie na drzewcu - rozkazała.

Nawet synowie księżnej Rotrudis, noszący na szyi złote obręcze na znak królewskiego urodzenia, nie śmieli sprzeciwić się publicznie następczyni króla, zwłaszcza gdy tak wielu wybranych żołnierzy jej męża tłoczyło się wokół, uśmiechając się ponuro, z włóczniami w dłoniach.

- Teraz przysięgajcie na naszego Pana i Panią - powiedziała, gdy obaj chwycili drzewce, patrząc na siebie z nienawiścią tak wyraźną jak nadciągający sztorm. - Przysięgajcie, że dopóki Qumanowie nie zostaną usunięci, nie wyrządzicie szkody jeden drugiemu, przez wzgląd na pokój w naszych szeregach i przez wzgląd na dobro królestwa.

Poddani próbie przed całym zgromadzeniem nie mogli nie przysiąc.

Triumf Sapientii był łatwo zauważalny. W tej chwili wyglądała, jak powinna wyglądać następczyni tronu, dzielna i gotowa przewodzić. To jednak Bayan stanął obok niej i podniósł głos.

- Wielmożny Zwentibold przywiózł nam cenną nowinę. Armia Qumanów odstąpiła dziś rano od oblegania Osterburga. - Podniosły się wiwaty, ale szybko zgasły, gdy Bayan nakazał dłonią milczenie.

- Wielmożny Zwentibold mógł zatem wyjechać z miasta z trzema kohortami jazdy i przedostać się tutaj. Jeżeli jednak Bulkezu wycofał swych żołnierzy, to tylko po to, żeby uderzyć na nas. Nie mamy dobrych danych o ich liczbie, a w każdym razie trudno ich zliczyć, bo mają zwyczaj rozciągać się szeroko i poruszać szybko. Nie wierzcie, że mogą nas pokonać, albowiem Bóg jest z nami.

To dźwięczne oświadczenie wywołało nowe wiwaty, podczas których Bayan szeptał coś na ucho Sapientii. Kiedy wiwaty ucichły, znowu chwyciła ona drzewce włóczni i zawołała:

- Niech wszyscy wodzowie zaprzysięgną pokój i wzajemną pomoc. Jutro jest święto Aniołów, kiedy niebiańskie zastępy śpiewają chwałę Boga. Będziemy walczyć w imię naszego Pana i Pani, a oni będą jechać z nami. Niech nikt nie wątpi, że pokonamy Qumanów raz i na zawsze.

## 5

Tego rana Antonia wstała wcześniej, modliła się, a potem spacerowała, nabierając siły. W odpowiednim czasie czekała przy zasłoniętym wejściu do pokojów gościnnych z pochyloną głową i złożonymi rękami, niczym żywy obraz doskonałego spokoju. W sercu jednak unosiła się gniewem na błahe afronty i poważne krzywdy, jakie jej wyrządzały matka przełożona i mniszki z konwentu świętej Ekatariny.

Od trzech miesięcy czekała tu stosownej chwili, cicha jak myszka, skromna jak wróbelek, najpospolitszy gość. A jednak Matka Obligatia uparła się, by ją traktować jak wroga.

Kobięcy głos wzniósł się w modlitwie, łamiąc serce swym pięknem:

- Tęsknota ducha nigdy się nie uspokoi.

Szybko gdzieś przepadł, zapewne uniosł go jakiś prąd powietrza w korytarzach albo śpiewaczka nieuważnie odwróciła głowę, więc jej głos nie sięgał już tak daleko. Rozległ się dźwięk dzwonka. Antonia podejrzewała, że obserwowano ją przez ukryte otwory.

Dorastając jako dziecko na królewskim dworze, przywykła oczywiście do stałej obserwacji. Lata nauki w kościele i czas spędzony jako biskupina Mainni wyostrzyły jej umiejętności, ucząc ją, jak prezentować światu przez cały czas gładką maskę pokory.

Matka Obligatia jednak ją podejrzewała.

Zgrzyt sandała na kamieniu zwrócił jej uwagę.

- Siostra Venia? - szorstki głos świeckiej siostry Teudy rozległ się zza zasłony.

- Jestem gotowa.

Od trzech miesięcy przestrzegały tej śmiesznej procedury. Teuda prowadziła ją pustymi korytarzami wykutymi w skale obok kaplicy do małej biblioteki, gdzie w godzinach między tercją a noną wolno jej było czytać. W południe garbata siostra Carita eskortowała ją na sekstę, a potem z powrotem do biblioteki. Po nonie prowadzono ją na powrót do kwater gościnnych, gdzie usychała z nudy aż do niesporów, jedyne nabożeństwo, w którym wolno jej było uczestniczyć wraz z siostrami. Nawet

posiłki przynoszono jej do kwatery, gdzie jadła samotnie.

Traktowanie siostry w taki sposób to kpiny z miłości bliźniego! Nie ufały jej.

Siostra Petra była już przy pracy, kopiowaniu kroniki konwentu świętej Ekatariny. Skinęła głową przy wejściu Antonii, ale jej nie pozdrowiła. Prawdę mówiąc, z wyjątkiem Matki Obligatii i głupiej siostry Lucydy, inne mniszki poruszały się wokół Antonii, jakby były związane ślubem milczenia. Tylko Teuda, jako siostra świecka, miała pozwolenie na rozmowę z nią, a i tak mówiła niewiele.

Od tercji do seksty Antonia studiowała kilka interesujących i niejasnych dzieł o teologii i filozofii; apokryficzną *Księgę Mądrości* królowej Salome; kompletną kopię - bardzo trudną do zdobycia - aretuzańskiej biskupiny Ariany heretyckiego i skandalicznego *Bankietu*, traktującego o zrodzeniu błogosławionego Daisana - z boskiej substancji Boga. Raz jednak, kiedy wróciła z południowego nabożeństwa, wzięła ostatni, niedokończony tom kroniki konwentu. Powinna skończyć go dziś, a wtedy nie będzie powodu, żeby odwlekać misję.

Światło wpadające przez wycięte w skale szyby przesuwano się po czterech stołach w miarę upływu godzin. Ciszę przerywało tylko skrzywienie pióra siostry Petry i szelest pergaminu, kiedy Antonia przewracała kartkę. Gdyby nie to, mogłyby być pogrzebane, doznawać ekstazy zapomnienia.

Poczula zapach pieczonych rzep.

„Dziwne”, pomyślała, gdy czytała końcowe zapisy.

*W roku 729: Królowa wybrała schronienie w ramionach świętej Ekatariny przed tymi, którzy ją ścigali, razem z pewnymi szlachetnymi gośćmi z Wendaru. Grupa kleryków z Wendaru przebywała przez tydzień w domu gościnnym. Śnieć poraziła pszenicę w pobliżu Floregii. Jinnijscy rozbójnicy zabili wszystkich członków rodu Harennu, pozostawiając ich pałac i twierdzę w ruinie, a ich ziemie bez panującego. Pałac w Thersie, osiem kamieni i ruiny.*

Dwa lata temu królowa Adelheid znalazła tu bezpieczeństwo, uciekając przed Żelaznogłowym. Dwa lata temu ojciec Hugo też się tu schronił i czyniąc czary, pomógł w ucieczce Adelheid.

*W roku 730: Wielmożny Jan zwany Żelaznogłowym został koronowany na króla w Darre.*

Teraz Żelaznogłowy nie żyje, a Adelheid jest królową. Antonia musiała podziwiać umysł, pracujący tak subtelnie jak umysł ojca Hugona, układający zawiłą drogę, często przesłanianą przez fałszywe drzwi, a potem podążający nią aż do końca.

Nie była zainteresowana resztą zapisów na ostatni rok, stanowiących listę pewnych nieszczęść zwanych omenami, które przytrafiały się różnym społecznościom rolniczym i lokalnym dystryktom. Niewątpliwie ci ludzie zgrzeszyli w jakiś sposób i zostali ukarani przez Boga, jak na to zasługiwali. Takie były zwykle powody głodu, suszy, zarazy i plagi trądu.

Niczyja ręka nie zapisała najważniejszych wydarzeń bieżącego roku 731: śmierci skoposy i zastąpienia jej przez Annę oraz triumfalnego powrotu Adelheid i przywrócenia jej na tron Aosty.

Prawdopodobnie teraz też nikt tego nie robi.

W drzwiach pojawiła się Teuda, świecka siostra. Jej czas się skończył. Gdy Antonia wstawiła tom z powrotem na właściwą półkę, prostując narożniki i ocierając kurz z narożników książki ustawionej obok, zastanawiała się, czy byłaby w stanie uratować tę kronikę z chaosu, który z pewnością nastąpi. Zawierała wiele cennych informacji i było dla niej oczywiste, że przełożone świętej Ekatariny wiedziały znacznie więcej, niż zdecydowały się wyjawiać. Po cóż innego zaznaczać te kamienne korony rozrzucone po całym kontynencie? Na swój sposób tworzyły one mapę. Wiedziały, że te korony są kluczem.

Nie potrafiłaby jednak powiedzieć, czy wiedziały, co otwierają klucze.

Uśmiechnąwszy się do siostry Petry, która właśnie odłożyła świeżo zaostrzone pióro i starła atrament z palców, przygotowując się do modlitw, Antonia opuściła bibliotekę i posłusznie wróciła do domu gościnnego. Pokrzepiła się pozostawionym na boku w tym celu winem i poszła się pomodlić w komnacie z ołtarzem. Była tam sprytna przesłona, tak że obserwator z drugiej strony mógł zaglądać do małej kaplicy, nie będąc widzianym. Zauważyła to w parę dni po swoim przybyciu i teraz umiałaby powiedzieć, czy ktoś ją podgląda, czy nie. Teraz nie było nikogo. Wszyscy byli na modlitwach.

Uklękała i pomodliła się.

Bóg nagrodzi ją triumfem. Któż inny, jeśli nie ona, mógłby dopilnować, by Boże dzieło zostało wykonane na ziemi prawidłowo. Prosiła też o przebaczenie. Czasami musi zostać przelana krew niewinnych. Dla dobra ludzkości.

Jak zawsze we właściwej porze przybyła siostra Lucyda, by eskortować Antonię na obiad. Utykające kroki, którym towarzyszył zgrzyt laski wleczonej po podłożu, poprzedziły pojawienie się jej w łukowym wejściu, oddzielającym kapliczkę od hali gościnniej. Gdy wciągała powietrze, sapała i ciężko dyszała, strącając z oczu łzy. Światło w hali gościnniej zawsze zmuszało Lucydę do płaczu, jakby dostrzegała

anioły w jego strumieniach. Rozglądała się przez chwilę bez celu, pochylając głowę. Trudno jej było się skupić.

Wreszcie skoncentrowała się na Antonii i podeszła, kulejąc.

Uśmiechnęła się szeroko, okazując resztki zębów. Jej głos był czymś pośrednim między krzykiem dzikiej gęsi a chrząkaniem świni.

- W... Wieczera! Chwalmy Pana!

- Proszę, klękaj przy mnie na chwilę, póki nie dokończę modlitw - powiedziała Antonia z łagodnym uśmiechem. Pomogła nawet siostrze Lucydzie w trudnym zadaniu klękania, chwytając ją pewnie wokół pleców, by podtrzymać udo.

Potem wyciągnęła wąski nóż zza paska opasującego ją w stanie i szybko i zdecydowanie wbiła go w serce Lucydy. Wstrząs i strach rozszerzył oczy ugodzonej. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, tylko zdławiony gulgot.

- Proszę, nie ruszaj się, siostrzo Lucydo. Umrzesz, to pewne.

Mniszka zakwiliła. Samotna łza wymknęła się z jej prawego oka, ściekając po naznaczonej chorobą twarzy.

Antonia zamknęła oczy, by się lepiej skupić. Znajome sylaby wypływały z jej ust gładko jak śmietana. Nie rozumiała ich oczywiście, bo pochodziły ze starożytnych rytuałów znanych tylko barbarzyńskim kapłanom, ale ich skuteczność była niewątpliwa.

- *Ahala shin ah rish amurru galla ashir ah luhish*. Niech ta krew przyciągnie istotę z tamtego świata. Przybywaj, istoto, bo więzę cię nierozzerwalnymi więzami. Ta krew, której musisz spróbować, którą przelałam, czyni cię podległą moim rozkazom. Zaklinam cię, w imię świętych aniołów, których serca żyją w prawości, przybywaj i czyń, co ci każę.

Woń kutego żelaza sparzyła jej nozdrza. Oddech jego istoty wkraczającej w jej pole widzenia rozwiął jej włosy. Galla kołysał się na krawędzi zasięgu wzroku, ciemny, wyniosły kształt, niczym wysoka trzcina sięgający od posadzki do stropu kamiennej komnaty.

Widząc to, Lucyda szarpnęła się konwulsyjnie ze zgrozy. Nóż w jej piersi przekręcił się. Rzeka szkarłatu trysnęła na jej szaty, spływając na kamienną posadzkę. Antonia z niesmakiem puściła ją i pozwoliła upaść. Zrobiła krok w tył, gdy galla otarł się o nią, czując mocną woń niewinnej krwi. Kiedy jego substancja zamigotała nad tamtą, usłyszała słabo pełen udręki krzyk. Świat galli był dla niego udręką, dlatego łatwo było go kontrolować, gdy już został ściągnięty. Chociaż zawahał się, wysyłając cienkie wici, by dotknęły rozkwitającego jeziora krwi, nie mógł się oprzeć...

Pił.

Musiała zakryć nos perfumowanym rękawem, by stłumić odór krwi i parzącą woń kuźni tamtego.

Dość szybko się skończyło. Lucyda była, o dziwo, jeszcze żywa, jeszcze przytomna. Oczy miała rozszerzone i widzące, a jedna ręka drgała. Życie jednak szybko w niej gasło. Wydała ostatni pisk, a potem jej dusza uleciała. Antonii ulżyło, że głupia mniszka umarła szybko. Nie ze wszystkimi tak było.

Z pewnym wysiłkiem jednak podniosła ręce, by wygłosić końcowy rozkaz.

- Zaklinam cię, istoto. Oto twoje zadanie i zrobisz, co ci każę. Zabij kobietę, której prawdziwe imię brzmi Lavrentia, matka Anny.

Posłuszna jej woli ciemna kreatura zadrzała. Odeszła natychmiast, a jej głos niczym dzwon wybijał imię skazanej.

Przechodząc przez skałę, zniknęła jej z oczu, ale gdy się skupiła, mogła ją widzieć zmysłami, jak przekuwała się naprzód tropem swej ofiary.

Matka Obligatia - znana kiedyś jako nowicjuszka Lavrentia - niczego nie podejrzewając, zasiadła ze zgromadzonymi mniszkami w refektarzu z ich prostym posiłkiem na stole.

Teraz w końcu Antonia pozwoliła sobie dowieść się do kamiennej ławy wykutej w skale z boku wejścia. Opadła na nią, dygocąc, bez sił w rękach i nogach. Ich odzyskanie mogło jej zająć całe godziny, a więź łącząca ją z istotą, którą wezwała, nadal czepiała się jej serca. Kiedy była młodą kobietą, rzucanie czarów nie kosztowało jej tak wiele. Wiek ją osłabił. Prawdę mówiąc, jeżeli nie zdoła pojąć sekretów nieśmiertelności, niedługo może stać się zbyt słaba, by narzucać swą wolę Kościołowi.

Odпочyając, modliła się o siłę, zdrowie i długie życie, aby mogła kontynuować dzieło Boga na ziemi. Na posadzce obok stygło i sztywniało ciało Lucydy.

## Rozdział osiemnasty

### POLE KRWI

#### 1

Anna miała trudności z zaśnięciem, zwłaszcza po poufnej naradzie, którą zwołano wieczorem pod osłoną namiotowej płachty, rozpiętej między trzema drzewami. Podczas gdy książę Sanglant i książę Bayan naradzali się, a każdemu towarzyszyło tylko dwóch zaufanych kapitanów, Sapientia siedziała przy Bayanie, ale prawie nie zabierała głosu. Słuchała. Wydawała się nerwowa jak szczur schwyty w pudełko.

- Znacie dzieci urodzone z księżnej Rotrudis - powiedział Bayan. - Czy Wichman i Zwentibold są z nich najlepsi, czy najgorsi?

- Zwentiboldowi po prostu brak wyobraźni - odrzekł Sanglant. - Siostry są równie złe jak Wichman, na swój sposób. Jest też jeszcze młodszy chłopiec.

- Boże, zachowaj nas - mruknął Bayan, najwyraźniej bez ironii.

Blessing zapadła w sen. Anna zacisnęła powieki, mając nadzieję, iż żaden z książąt nie zauważył, że ona jeszcze nie śpi. Gdy Bayan ciągnął dalej, zerknęła znowu, przyglądając się sylwetkom postaci w świetle lamp, gdy płachta kołysała się nad nimi poruszana nocnym wiatrem.

- Czy zatem można wierzyć w nowinę, którą nam przyniósł Zwentibold? - zapytał Bayan. - Jego matka jest umierająca. Konrad jedzie do Waylandu pod pretekstem, że koń mu okulał.

- W interesie Konrada jest ochrona jego zachodnich prowincji przed wojną domową w Salii.

- Ten koń wciąż kuleje - odparł Bayan, spojrzawszy na Sapientię. - On może wyśpiewywać słodkie słówka wszystkim trzem stronom, a kiedy zakończą zwalczanie się nawzajem i zalegną wyczerpani, on wkroczy tam, żeby zająć terytorium, jakiego sobie życzy.

- Czy dobrze znasz Konrada? - spytał Sanglant.

- Znam go z jego reputacji.

- Ach.

- Nie zgadzasz się z tym? - Bayan roześmiał się. - Plotki mówią, że Konrad pragnie królestwa Wendaru dla siebie. Słyszę też, że ożenił się z siostrzenicą Henryka, Tallią, która nosi złotą obręcz. Jej matka jest starszą siostrą Henryka, nieprawdaż? Co naprawdę zamierza Konrad?

- Fakt, że lubi być panem samego siebie, niezależnym od nikogo. Może czekać, dopóki się nie wyczerpiemy, a nasi ludzie wypędzą Qumanów, a wtedy... wtedy może wysłać zwiadowców, żeby zobaczyli, co z nas zostało. Nie wiem. Co mnie martwi, to że Teophanu wycofała się do Quedlinhame.

- Lęka się Qumanów - stwierdziła Sapientia.

Sanglant poruszył się niecierpliwie na swym obozowym stołku, podnosząc pusty puchar, by mu dolano wina.

- Tylko głupiec nie lęka się Qumanów - powiedział, dotykając dłonią gardła. - Teophanu nie brakuje odwagi, siostrzo. Może jej jednak zabraknąć armii, gdyby postanowiła stanąć z nimi do walki. Zgodnie z raportem Zwentibolda skierowała się na zachód, zanim ktokolwiek w tych stronach dowiedział się, że nadchodzimy. Sądzę, że do Quedlinhame, by go chronić...

- Zawsze bierzesz jej stronę - przerwała Sapientia, po czym zamilkła, gdyż Bayan położył jej rękę na ramieniu.

- Albo by mieć bazę wypadową przeciw Qumanom, gdyby Bulkezu zdobył Osterburg i zdecydował się uderzyć na zachód w serce Saony - ciągnął Sanglant. - To całkiem mądra decyzja ze strategicznego punktu widzenia. Dlaczego jednak ma tak mizerną armię do dyspozycji?

- Nasz ojciec zabrał Liutgardę i Burcharda, i większość ich wojsk do Aosty, i jeszcze o wiele więcej swoich i cudzych.

- Teophanu powinna spróbować zaciągać w Varingii i Arconii - zauważył Sanglant.

- Prawda - zreflektował się Bayan. - Nie dotarły do nas żadne wiadomości z księstw zachodnich. Być może mają także kłopoty z Salią.

- Być może mają - przytaknął Sanglant.

Anna była pewna, że on w to nie wierzy. Wiedziała, że trapi go coś więcej, a jeżeli dzielny książę się zamartwia, jak ona może spać spokojnie? Rzuciła się, drzemała, budziła, słuchając uderzającego w oddali grzmotu. Potem rozbudziło ją kapanie kropel ściekających z liści. Z tyłu płynęła rzeka. Raz usłyszała głosy wznoszące się w pieśni, jakby anioły zaczynały swój chór, ale szelest wiatru wśród jesiennych liści stłumił ten dźwięk.

Tłumił niczym chwałę Boga, gdy pojawiła się upadła dusza.

Czy dobrze zrobiła, pozwalając panu Thiemo, by opowiedział Blessing historię Feniksa? Co zrobi książę, kiedy się dowie, że jego córka zaczęła już stawiać pytania o męczeństwo błogosławionego Daisana i o chwałę jego Świętobliwej Matki, która jest Bogiem wszelkiego Stworzenia?

Czy na pewno dobrze jest mówić prawdę? Czy ci młodzi mnisi, których widziała, z ich malowidłami i pobożnością, nie kłamali? Z pewnością nie była to herezja, tylko prawda, tak długo ukrywana. Kiedy kraj był rozdarty przez wojnę, zarazę i głód, czy nie należało wyprowadzić go na światło?

Była jednak tylko zwykłą dziewczyną, która zaniemówiła z bożej woli i została uleczona cudem. Jak mogłaby mówić, co jest prawdą, a co fałszem? Skąd mogłaby wiedzieć, co jest wolą Boga, a co kłamstwami Nieprzyjaciela? Jediną rzeczą, którą wiedziała na pewno, było to, że książę Sanglant będzie bardzo, bardzo rozgniewany, gdy dowie się o historiach, które wielmożny Thiemo opowiadał jego córce.

Powietrze w końcu zabarwił świt. Kiedy promienie słoneczne dotknęły ziemi, podniosła się mgła, tworząc między drzewami woale. Rzeka była zasnuta mgłą. Ledwie mogła dostrzec drugi brzeg, chociaż słyszała, że Lwy pracują, rąbiąc młotami. Przeklinając, przygotowywali blokadę brodu.

Armia, poruszając się jak jakaś niecierpliwa bestia, gotowała się do wymarszu. Książę Sanglant ucałował córkę i posłał ją z orszakiem, by zajęła miejsce na królewskim podwyższeniu - deskach, na których Sapientia i Bayan zwołali wieczorem dwór, aby przewodniczyła, gdy armia wyruszała w szyku marszowym na zachód. Anna stała za krzesłem Blessing, podczas gdy Heribert odpowiadał na niezliczone pytania młodej księżniczki.

- Dlaczego mój tato nie jedzie pierwszy? Oni go nie lubią.

- Nie, to nie żaden despekt dla twego ojca, kochanie. To prawo i obowiązek księżnej Sapientii prowadzić awangardę. Ona jest następczynią króla Henryka i musi się wykazać jako przywódczyni.

- Dlaczego?

- Gdyby nie miała szczęścia dowodzić wojskiem w bitwie, nie mogłaby panować.

- Ale ona poślubiła księcia Bayana.

- On jest cudzoziemcem, który może rządzić tylko jako książę małżonek, nie jako panujący nad Wendarczykami.

- Dlaczego?

- Cicho, Blessing, nie mów więcej o tym, jeśli łaska. Sapientia dowodzi dwoma legionami.

- Co to jest legion?

Armia robiła wiele hałasu, konie rżały, ludzie krzyczeli i tupali. Z przodu słychać było trzask łamanych gałęzi. Cisnęli się na ścieżce, tak wąskiej, że obok siebie mogły jechać tylko dwa wozy.

- Legion to stare słowo dariyańskie, ze starego imperium. Określa ono oddział żołnierzy walczących dla dowódcy.

- Ilu żołnierzy?

- To zależy od źródła, na jakim się opierasz - odpowiedział Heribert, wpadając w ten sposób mówienia, którego używał, zanim całe jego świetne wykształcenie chwyciło go za gardło. W takich przypadkach Anna miała trudności ze zrozumieniem go. - Niektórzy powiadają, że kilka tysięcy piechoty i kilkuset konnych. Inni mówią, że to tysiąc ludzi podzielonych na dziesięć centurii albo kohort, jak my je nazywamy, a każda złożona ze stu ludzi.

Siedzącym na podwyższeniu wydawało się, że armia przechodzi obok bez końca.

- To jest tysiąc ludzi? - spytała Anna. Rozmyślała o tym przez chwilę, przypominając sobie sumy, których uczyli ją Raimar i Zuzanna, kiedy przychodził czas liczenia nici, wełny i sukna, żeby nie zostać oszukanym. - Jeśli to były dwa legiony, były to zatem dwa tysiące ludzi, czyż nie? - Ta liczba ją oszołomiła. Musiała zamknąć oczy i tylko słuchać tętentu kopyt na szlaku i skapywania wilgoci z mokrych liści.

- Sądzę, że nie więcej niż ośmiuset pod dowództwem Sapientii - odrzekł Heribert. - Nie mamy prawdziwej armii na sposób, w jaki dawni Dariyanie mieli armie. Używamy tylko dariyańskich słów.

- Dlaczego? - spytała Blessing. Te dni były pełne „dlaczego”.

Ostatni jeźdźcy Sapientii odjechali szlakiem. Po przerwie pojawiła się nowa chorągiew, idąca śladem

pierwszej.

- Oto jest pani Berta i jej legion austriackich i olsztyńskich kresowian - powiedział Heribert.

- Dlaczego? - powtórzyła Blessing.

- Dlaczego używamy tych starych słów? To nam przypomina o potęgę starego cesarstwa.

- Będę cesarzem - oświadczyła Blessing - więc też nazwę moje armie legionami.

Legion pani Berty był może w połowie tak liczny jak ci, którzy odjechali z Sapientią. Po jej przejeździe Sanglant wyjechał naprzód, oddał honory swej córce i ruszył szlakiem z kapitanem Fulkiem i jego ludźmi, nieregularnymi z Gentu lordów Hrodika i Druthmara oraz kontyngentem z ziem Villama. Za nimi podążali książę Bayan i jego Ungryjczycy, największa i najbardziej doświadczona grupa wojowników w całej armii. Następnie jechali lordowie Zwentibold i Wichman z legionem harcówników i konnicy z Saony. Na końcu szedł tabor pod dowództwem Bolesława, księcia Polonii w błyszczącym srebrnym kaftanie i hełmie z pióropuszem, pawia armii, jak go nazwał Sanglant pewnego wieczoru, kiedy wypił za wiele.

Wóz, którym miała jechać Blessing, zatrzymał się przy podwyższeniu. Dziewczynka pozwoliła panu Thiemo pomóc sobie przy wejściu, a Heribert złożył jej krzesło. Chociaż umiała jeździć na kucy, była za młoda, by to robić w tych okolicznościach, więc uwiązano jej kuca za wozem.

Kiedy się usadowiła na workach ze zbożem, ukląkł przed nią kapitan Thiadbold z Lwów.

- Wasza Wysokość, twój ojciec, książę Sanglant, powierzył mi i mojej kohorcie Lwów dopatrzenie, byś dotarła bezpiecznie do murów Osterburga. Proszę cię, Wasza Wysokość, żebyś w razie jakichś kłopotów robiła to, co polecę, my zaś dopilnujemy, żeby nie spotkała cię żadna szkoda.

- Nie lubię jeździć z tyłu - pozaliła się Blessing.

Uśmiechnął się szeroko, po czym zmitygował, nie wiedząc, w jakim ona jest nastroju.

- Nie, ale mamy tu w taborze wiele rzeczy cennych i niezbędnych do zwycięstwa, Wasza Wysokość. To żaden despekt zostać przy nich na straży. Ani też nie despekt jechać w taborze. Czy widzisz? - Wskazał malowany wóz matki księcia Bayana. - Nie jesteś jedynym wojownikiem, który jedzie z taborzem.

Widok tego wozu przekonał Blessing.

Książe Bolesław nadjechał z tuzinem barwnych, wystrojonych w falbany przybocznych.

- Wasza Wysokość - powiedział, kłaniając się Blessing, zanim odjechał, zawracając ku końcowi taboru. Wóz pochylał się ku przodowi i zaczęli się poruszać.

Ponieważ grunt wciąż był wilgotny po krótkim nocnym deszczu, nie było zbyt wiele pyłu, ale Anna mogła stwierdzić, że osiem legionów wojowników przeszło tą drogą przed nimi. Pył szybko pokrył jej wargi i zaczął drażnić nozdrza. Wszystkie zwisające gałęzie były odgięte albo ułamane pod naciskiem ciał.

Uczucie lęku rosło w sercu Anny, kiedy wóz toczył się naprzód, a słońce wznosiło się coraz wyżej. Czy usłyszą szcęk broni przed sobą, kiedy awangarda natknie się na Qumanów? Czy to prawda, że każdy qumański żołnierz nosi przy pasie ususzoną ludzką głowę jako trofeum? Dotknęła szyi, zastanawiając się, czy oni odrąbują też głowy dzieciom albo czy w oczach Qumanów jest wystarczająco dorosła do zamążpójścia lub zostania niewolnicą.

W południe wjechali na grzbiet wzgórz i ujrzeli w oddali Vesper. Broń i zbroje lśniły wśród drzew poniżej, gdzie reszta armii podążała krętym szlakiem przed nimi, zbierając się na nadrzecznej równinie.

Blessing wstała, trzymając się ramion dobrodusznego woźnicy.

- Patrzcie! - krzyknęła swym przeszywającym głosem. - Widzę armię Qumanów!

Anna przez chwilę sądziła, że widzi jakąś ciemną plamę, jak plaga szarańczy rojącej się nad równiną nadrzeczną. Potem droga opadła w rozpadlinę, poszerzającą się stopniowo w bardziej płaski teren, przechodzący w las dębowo-grabowy z rosnącymi tu i ówdzie sosnami i bukami. Drzewa nad głowami dawały im osłonę przed jaskrawym słońcem. Jadąca obok ochrana z Lwów pościagała hełmy i ocierała twarze.

Czy to był pomruk oddalonego gromu? Nie potrafiła powiedzieć, czy burza miałaby polepszyć sprawy, czy pogorszyć.

Wóz toczył się po szlaku równym rytmem, zakłócanym czasem jakimś przypadkowym podskokiem. Nie przeszkadzało to Blessing. Dziewczynka w końcu znużyła się i zasnęła zwinęta na workach. Kazała Annie obiecać, że „obudzi ją na bitwę”. Anna zazdrościła dziecku tej umiejętności szybkiego zasypiania. Ładunek zboża był twardą poduszką, Annie udało się urządzić zasłonę z płótna namiotowego, więc głowa Blessing pozostawała w cieniu, gdy wóz toczył się dalej przez zmieniające się światła i cienie.

Przed nimi maszerowała grupa przynajmniej stu Lwów, poprzedzanych przez chyba setkę jeźdźców poleńskich w kolorowych pasiastych kaftanach. Wichman i jego brat z legionem saońskim jechali zbyt



daleko z przodu, by ich stąd zobaczyć.

Na szlaku było dość miejsca, by dwa wozy jechały obok siebie. Przez chwilę Anna przyglądała się malowanemu wozowi należącemu do matki Bayana, ale koralikowa zasłona w oknie nigdy nie rozchyliła się, by ukazać jej twarz. Za wozem maszerowało sześciu niewolników. Dwóch szło z przodu, prowadząc woły, które go ciągnęły. W tym upale wszyscy porozdzielali się do przepasek biodrowych. Jeżeli się denerwowali, nie okazywali tego. Próbowala sobie wyobrazić, co czują, ale chociaż co jakiś czas któryś spoglądał na nią, żaden się nie uśmiechnął ani nie skrzywił. Po prostu szli, posłuszni woli swej pani.

Reszta taboru podążała za nimi w pyle, wozy z zaopatrzeniem, kilka wozów z rannymi żołnierzami, wozy z namiotami i polowymi sprzętami nobilów, którzy nie mogli iść na wojnę bez komfortu i innych widzialnych oznak swojej rangi i znaczenia, zamknięte wozy wiozące skarbcę księżnych i kilka należących do ludzi kościoła, które zawierały ich kosztowne naczynia i złociste tkaniny ołtarzowe do wieczornego nabożeństwa.

Lwy maszerowały przez całą drogę obok taboru wraz z innymi piechurami. Od czasu do czasu łowiła wzrokiem jeźdźców przedzierających się przez las. Wiedziała, że z tyłu jechał diuk Boleslas i jego pozostali żołnierze. Heribert siedział z tyłu wozu, zatopiony w myślach.

Thiemo, Matto i sześciu innych żołnierzy Sanglanta wyznaczonych do ochrony księżniczki Blessing zjechało na prawo, przeciskając się między drzewami.

- Dlaczego cała ta piechota jest tu, z tyłu, bracie Heriberce? - spytała w końcu.

Heribert wzdrygnął się, jakby zapomniał o obecności Anny.

- Nie jestem biegły w strategii - odrzekł z uśmiechem. - Ale nawet ja wiem, że wszyscy Qumanowie to jeźdźcy. Lepiej powstrzymywać ich w polu konnicą.

- A dlaczego Zachariasz musiał jechać z księciem Bayanem?

- Myślałem, że go nie lubisz.

- Nie lubię. Chyba lepiej, że go zabrano. Jest gorszy niż poganin. Kiedyś był bogobojny, a teraz?

- Teraz jest bardzo znękany. I tak dobry, jak tylko może być. Nie powinnaś go nienawidzić, dziewczyno. Nie wyrządził ci żadnej szkody.

Zmarszczyła brwi, nie lubiąc być poucзанą.

- Nie powiem nic więcej - ciągnął. - Skoro Zachariasz był przez siedem lat niewolnikiem Bulkezu, księżę Bayan chce go mieć przy sobie, na wypadek gdyby zobaczył czy usłyszał coś ważnego. I ostrzegł Bayana...

- Ale nie księcia Sanglanta.

- Księżę Bayan jest dowódcą tej armii. To jest, chcę powiedzieć - o dziwo, zarumienił się - księżna Sapientia dowodzi tą armią, i błagam cię, Anno, nie wspomnij, że powiedziałem coś innego.

Zaskoczona tym, że uczony i szlachetny kleryk błaga ją o coś, zaczęła odpowiadać, gdy z tyłu rozległy się krzyki i zagrał róg. Heribert zeskoczył z wozu, potknął się i wyprostował, gdy jakiś jeździec przejechał obok.

Thiemo podjechał bliżej, a za nim inni.

- To musi być patrol Qumanów - powiedział do Anny, a spoglądając na Blessing: - Nie ma się czego bać.

Lewenhardt miał strzałę na cięciwie i nerwowo się rozglądał, ale Anna nie widziała ani śladu uskrzydłonych jeźdźców w całej otwartej lesistej okolicy.

Na tyłach narastał szcęk broni. Kilka strzał upadło między wozami, ona zaś patrzyła wstrząśnięta, jak jakaś biała upierzona strzała mknie nad ziemią, a uderzenie wstrząsa wozem. Strzała drżała w jego boku, a cały grot był pograżony w drewnie. Chustaffus, który odmówił pozostania w Walburgu, zraniony w bark, podniósł alarm, gdy strzała przeleciała mu o szerokość dłoni przed nosem, on zaś odchylił się wstecz, ledwie utrzymując się na koniu.

- Na Pana! - zaklął Thiemo, wpatrując się w las, gdzie mgła wiła się między drzewami.

Tyle, że nie była to mgła, ale sto albo więcej par skrzydeł.

Podniosły się ostrzegawcze krzyki Lwów. Ruszyli truchtem, a ich woźnica klnąc, poganiał batem muły.

Za nimi ludzie krzyczeli i wrzeszczeli, a w jednej straszliwej chwili, gdy wjechali z turkotem na szeroką polanę, usłyszała krzyk wybijający się ponad wrzawą.

- Diuk Boleslas padł!

Panika przedarła się przez linię wozów. Jeźdźcy rozproszyli się, a w tym chaosie jedyną rzeczą, o której Anna mogła myśleć, było to, że Lwy utrzymywały szyk, krzycząc do woźniców, by kierowali się na odległy koniec polany. Deszcz strzał zgęstniał.

- Panie Thiemo - krzyknął Heribert - jeżeli to jest qumański patrol, każdy z nich musi strzelać z czterech

łuków naraz.

Coraz więcej wozów wypadło na polanę, ale było już za późno. Czołowa grupa poleńskiej jazdy uderzyła przedtem w lewo, między drzewa, by przeciąć drogę atakowi Qumanów. Kiedy ich linie się zderzyły, rozległ się łoskot podobny do grzmotu, gdy broń starła się z bronią.

Blessing obudziła się.

- Gdzie jest tato? - krzyknęła.

Lewenhardt skoczył na wóz, stając dosłownie nad dziewczynką, zapierając się stopami po obu stronach jej ciała. Thiemo, Matto, Zgryźliwy, Everwin, Den, Johannes i Chustaffus utworzyli pierścień wokół wozu. Heribert pośpiesznie dosiadł konia Lewenhardta, pozostając z tyłu, gdy więcej wozów popędziło naprzód, zdecydowanych uciec Qumanom.

Anna uniosła się na kolana. Z tyłu w lesie sztandar Polenii kołysał się niepewnie. Bitwa była jednym wielkim zamieszaniem, na wpół zagubiona w cieniu drzew. Wydawało jej się, że wszędzie widzi skrzydła Qumanów, tłoczące się w szeregi jeźdźców poleńskich. Róg jeszcze raz zagrał, zanim zająknął się i zamilkł, gdy pierwsi jeźdźcy qumańscy przebili się przez linię Polenów, a okazali jeźdźcy poleńscy wypadali z bitwy, uciekając albo ginąc.

Blessing starała się wstać, ale Anna zepchnęła ją w dół, gdy nowy deszcz strzał rozpryskiwał się wokół nich. Everwin klął, wyszarpując strzałę, która uwięzła mu w kolczudze. Policzek Matto krwawił, bo strzała przecięła skórzany pasek jego hełmu.

Najgorsza w ataku Qumanów była cisza: żadnych rogów, żadnych tryli, tylko świst skrzydeł, gdy śpiewał w nich wiatr. W końcu nieuchronnie sztandar Polenii zatonął w wirze walki, a resztki konnicy diuka Bolesłasa - czy naprawdę było ich trzy czy cztery setki? - zniknęły z oczu. Pozostała tylko piechota, z której połowa uciekała, padała albo walczyła najlepiej, jak mogła z przewagą liczebną przeciwnika.

- Przyjdzie nam zginąć - powiedział Thiemo.

- Zamknij się - parsknął Zgryźliwy. - Nie znoszę wyjćw.

Wóz ruszył naprzód, łeb w łeb z malowanym wozem, w którym jechała matka Bayana. Jej niewolnicy biegli truchtem obok, bez trudu dotrzymując kroku. Ich spokojny, prawie obojętny wyraz twarzy nie zmieniał się.

- Hej! Księżno! - Jakiś stary Lew machał ręką. - Przejeżdżać!

Pierwsza linia Lwów dotarła do pagórka i już pracowała gorączkowo, rąbiąc drzewa i wznosząc palisadę dla obrony przed konnicą.

Z tyłu w lesie zaczęło padać. Grzmot pomrukiwał złowieszczo, a wiatr smagał wierzchołki drzew. Qumanowie byli już wszędzie. Czy to była cała ich armia, która przebiła się przez las, by ich zaatakować od tyłu? Jakiś wielki kontyngent przegalopował daleko z prawej, kierując się na tyły niczego nie spodziewającego się legionu saońskiego. Inni rzucili się, by dopaść ostatni wóz. Woźnica został zabity, cięty z tyłu, gdy poganiał batem konie. Pomocnik zeskoczył z wozu, usiłując schronić się pod nim, ale nie zdążył i został stratowany. Nie zsiadając z koni, qumańscy wojownicy zaczęli wyciągać ładunek wozu. Wysypywano otwarte skrzynie, a torby ciskano w błoto, by sprawdzić, czy zawierają coś cennego.

Połowa Lwów cofnęła się, by sformować linię między pierwszą częścią taboru a tą już otoczoną. Dołączyła do nich pewna liczba innych piechurów, chociaż setki musiały zginąć albo uciec w las drogą, którą przyszli.

- Padnij, dziewczyno! - krzyknął Lewenhardt, gdy uklękła. Ulewa strzał spadła wokół nich. Ktoś został trafiony, Everwin albo Den. Anna rzuciła się w przód, na Blessing. Dziewczynka wyrwała się i protestowała. Chciała uwolnić się, żeby patrzeć na walkę.

- Nie ruszaj się! - Lęk sprawił, że głos Anny zabrzmiał jak skrzek.

Lewenhardt odskoczył na bok, gdy strzała przeleciała mu koło ucha. Jej grot wbił się w kark woźnicy. Głowa rzuciła mu się w przód, wzdrygnął się kilka razy i spadł z wozu. Chustaffus natychmiast ześlizgnął się zgrabnie z wierzchowca na siedzenie woźnicy i sprawną ręką chwycił lejce. Poza dwunastym szeregiem wozów, wszystkim, co mieli nadzieję ocalić, tylna straż Lwów odstępowała w dobrym szyku, po kroku. Ci Qumanowie, którzy nie rabowali tylnych wozów, zawahali się, nieskorzy atakować uporządkowaną kompanię.

Pagórek był odległy o rzut włóczni. Wzniesiono już na nim palisadę, gdy kapitan Thiadbald nakazał obronę. Kiedy ich wóz tam wjechał, zaraz rozkazano zapełnić nim lukę w palisadzie. Anna zeskoczyła z wozu, gdy tylko Thiemo wyciągnął z niego Blessing. W chwilę później Lwy podłożyły ramiona pod podstawę wozu i przewróciły go na bok. Jego ładunek rozsypał się. Jakiś worek zboża pękł i pszenica zaległa na ziemi. Gdy nadciągnęły inne wozy, zataczano je, by wypełniały luki w tej prowizorycznej reducie. Uwiązywano w nich nawet woły i konie. Tylko malowany wóz matki Bayana pozostawiono

nietknięty.

Było już jednak za późno.

Jakiś qumański kapitan noszący wspaniałe orle skrzydła zagonił biczem swych niekarnych ludzi do szyku. Linia pękła. Główna siła Qumanów i ich przywódca uderzyli z ukosa na prawą flankę wycofującej się piechoty, podczas gdy mała grupa okrążyła lewą, wysyłając strzały podczas jazdy. Anna wciągnęła Blessing na pagórek, by przykucnąć pod osłoną drzewa. Obejmowała dziewczynkę ramionami.

Strzały furkotały wśród gałęzi. Ludzie krzyczeli z bólu. Linia wycofujących się Lwów zwinęła się, usiłując osłonić swe tyły i ostatnie wozy, pędzące teraz do pagórka. Wyglądało na to, że zginą wszyscy, zanim osiągną pagórek. Byli bliżej, niż donosi strzał z łuku.

Lewenhardt wycelował i wypuścił strzałę. Koń przywódcy Qumanów zwałił się, zrzucając go na ziemię. Okrzyk triumfu podniósł się wśród cofających się Lwów. Stary Lew wykrzyknął rozkazy. Grupami po trzech i czterech ludzie wyrwali się z centrum, biegnąc, by wesprzeć flanki, dzięki czemu linia utrzymywała swą szerokość - kosztem centrum, aż dotąd niezagrażonego. Większość wozów dotarła już do pagórka, została wywrócona i ustawiona w lukach, ale nie było ich wystarczająco wiele, by całkowicie otoczyć pagórek.

Kilka strzał wystrzelonych z pagórka upadło między atakujących z lewej Qumanów. Dziesięciu Lwów wypadło z pagórka, by zapobiec oskrzydleniu linii. Po prawej qumańska jazda podjechała do dwuszeregu, ale konie zawahały się przed płotem włóczni i tarcz, cofającymi się przed nimi miarowo.

- Gotfryd! - krzyknął z pagórka Thiadbald. - Wchodzić!

Gdy Lewenhardt i inni łucznicy strzelali szybko i celnie, linia, wciąż jeszcze na polanie, ruszyła w tył w przyspieszonym tempie. Pozostawiając na polu tuzin zabitych, Lwy zamknęły wejście. Nierówne wiwaty podniosły się wśród czekających na pagórku Lwów. Było to małe i gorzkie zwycięstwo, prawdopodobnie krótkotrwałe. Tylna straż, z wyjątkiem nich, została starta z powierzchni ziemi.

Gdzieś daleko Anna słyszała dźwięk wybuchającej bitwy, gdy Qumanowie uderzyli z tyłu na legion z Saony.

- Zamierzają otaczać po jednym legionie w marszu, od tyłu. - Heribert był blady i oddychał z trudem, gdy chwycił rękę Blessing i ciągnął ją na szczyt pagórka.

- Nie chcę iść! - krzyczała, wywijając swym drewnianym mieczem, który zdołała ocalić z przewróconego wozu. - Ja też muszę walczyć!

Anna dała jej klapsa w siedzenie. To ją skłoniło do pójścia.

Wszędzie na całej polanie Qumanowie wywalali i rabowali zdobyte ładunki. Przywódca, teraz na nowym wierzchołku, zaczął organizować kolejny atak. Jeźdźcy rozproszyli się w krąg wokół niego i ruszyli naprzód. W pobliżu szczytu Heribert znalazł stary dąb z wypaloną dziuplą, gdzie jakiś wędrowiec chronił się kiedyś przed burzą. Anna wepchnęła tam Blessing, mimo jej protestów, i zasłoniła otwór własnym ciałem.

Ośmiu niewolników wniosło już matkę Bayana na szczyt pagórka w dyskretnie zasłoniętej lektyce

Nadciągała nawałnica.

Qumańscy jeźdźcy zacieśnili krąg. Ponieważ ich strzały nadlatywały ze wszystkich stron, nie sposób było znaleźć schronienia.

Konkubina jakiegoś wielmoży, kobieta o pięknych jasnych włosach, spadających jej na ramiona, zaczęła kłać i rzucać kamieniami - dopóki nie zginęła przeszyta strzałą.

Lewenhardt i inni łucznicy kazali tamtym drogo płacić. Każda strzała, którą wypuszczał Lewenhardt, trafiała człowieka albo konia. Qumanowie nie byli głupcami. Każdy, kto podnosił łuk na pagórku, był szybko zasypywany gradem strzał. Wiele z nich wymierzonych było szczególnie w młodego łuczника, lecz potrafił on usuwać w mgnieniu oka zagrożoną część ciała z drogi nadlatującego niebezpieczeństwa. Krwawił jednak z tuzina zadraśnięć na udach i ramionach. Młody chłopak, syn woźnicy, raniony w nogę, pełzał dookoła, zbierając strzały i składając je u stóp Lewenhardta.

W reducie wozów ziały luki. Nawet mimo silnej kohorty Lwów i różnych maruderów Qumanowie mieli liczebną przewagę i nie brakowało im broni.

Pięciu jeźdźców qumańskich wykonało wypad na jedną z luk, której bronił sam Thiadbald w otoczeniu Lwów ze wzniesionymi tarczami. Wrogowie strzelali w ich stopy, jedyne, co mogli widzieć, poza szczytami hełmów.

- Na nich! - krzyknął kapitan Thiadbald, skacząc naprzód ze strzałą drżącą w obcasie buta. Cisnął włócznię, trafiając w gardło jednego z Qumanów, a jego ludzie rzucili się naprzód za nim. Dobrze wymierzone ciosy toporów godziły w ramiona albo nogi i Lwy ściągnęły trzech jeźdźców na ziemię, gdzie zginęli pod ulewą ciosów. Ostatni zatoczył koniem, myśląc o ucieczce, ale stary Gotfryd miał w

pogotowiu toporek i rzucił nim z całej siły. Jeździec zwał się w przód z rękojeścią toporka sterzącą pomiędzy skrzydeł, i ostrzem wbitym głęboko poprzez płytki lamelkowej zbroi.

Po prawej inna grupa Lwów próbowała podobnego wypadu, ale gdy ruszyli niepewnie naprzód, ich przywódca został trafiony strzałą w oko. Jego przerażeni towarzysze wycofali się za osłonę.

Strzały wciąż nadlatywały. Wydawało się, że stało się to między jednym a drugim oddechem. Trzecia część Lwów leżała martwa lub umierająca, a większość pozostałych była ranna po kilka razy. Nie poddawali się jednak. Przetrwali nawałnice strzał, czekając na chwilę, gdy ich włócznie i topory mogły zacząć kasać. Teraz jednak było zbyt wiele luk, zbyt wiele do utrzymania.

- Spójrzcie - powiedział Heribert, ale Anna już to zobaczyła.

Deszcz sunął ku nim po wierzchołkach drzew.

- Chcę zobaczyć! - wrzasnęła Blessing z dziupli stłumionym głosem. Jej pięstki biły Annę po nogach, gdy walczyła o wydostanie się.

Qumańscy jeźdźcy naciskali. Niektórzy chwyтали wozy i odciągali je, gdy inni atakowali. Stary Gotfryd odrzucił tarczę, żeby skupić się wyłącznie na władaniu włócznią. Ostrze jego włóczni kasało zasłony twarzy Qumanów i wbijało się we wrażliwe gardła. Nie zastanawiał się, czy uderzyć w konia czy w jeźdźcę. Był weteranem, nie marnującym energii. Młodszy mieli dwa razy więcej rzutów, ale jego liczył się każdy. Towarzysze osłaniali go tarczami, wiedząc, ile może zdziałać, jeśli go utrzymają przy życiu.

Orli jeździec uderzył na grupę Thiadbolda, broniącą luki między wozami. Wół, który wypełniał przedtem większość przestrzeni, leżał, konając od wielu ran. Koń został odcięty i umknął. Gdy Qumanowie przeskoczyli ubitego wołu, orli jeździec uderzył na Thiadbolda. Ten przyjął cios na tarczę i nacisnął, wbijając miecz głęboko w brzuch konia. Jeździec kopnął go w głowę, gdy zwierzę padało. Inny Quman pchnął, uderzając Thiadbolda w bok. Thiemo ciął mieczem drzewce włóczni, rozłupując je, gdy Matto, Zgryźliwy i Everwin zaatakowali. Nastąpiła gwałtowna wymiana ciosów. Evervin odstąpił chwycie z twarzą zalaną krwią. Den włączył się do walki, choć z boku sterczała mu strzała. To samo zrobił Johannes i Chustaffus.

Trudno jej było cokolwiek więcej dostrzec. Nie wiedziała, czy to dlatego, że padało, czy że miała oczy pełne łez.

Pozostałe Lwy odstępowały krok za krokiem w upartej walce. Kapitana Thiadbolda uratowała zbroja, więc wciąż walczył. Anna szeptała modlitwę, wykonując dłonią zapamiętany gest, kreśląc koło wokół swego Kręgu Jedności.

Wspominała dzień, dawno temu w katedrze w Gent, kiedy księżę Eików pozwolił im odejść. Wspominała moment, gdy głos utknął jej w gardle, kiedy w Steleshame usłyszała, jak dziedzic hrabiego Lavastine'a mówi, że dał kiedyś drewniany krąg, taki jak jej, jak ten, który księżę Eików nosił na szyi, jakiemuś księciu Eików. Nie przemówiła jednak, nie spytała, czy był to ten sam księżę. Nie zamknęła Kręgu.

To dlatego Bóg ją pokarał.

Za chwilę pozostałe Lwy otoczą jej stanowisko, a wtedy nie będzie już dokąd uciekać. Heribert podniósł swą łaskę, gotując się do walki, z najposępniejszym wyrazem twarzy, jaki Anna mogła sobie wyobrazić. Wyglądał dość dzielnie, ale z jego postawy wyczytała, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla napastników. Spojrzał na nią.

- Staraj się trafić do niewoli z księżniczką - powiedział cicho. - Powiedz księciu, jeśli go jeszcze zobaczysz, że zginąłem, walcząc.

Padło coraz mocniej, ale jeźdźcom qumańskim nie przeszkadzało to w pładrowaniu.

Gdzieś daleko, jak we śnie, słyszała głos wendarskich rogów wzywających do odwrotu.

Qumanowie zamierzali zabić ich wszystkich.

Nawet magia pogodowa księżniczki Kerayit nie mogła ich teraz ocalić.

Ostry koniec drewnianego miecza wysunął się pomiędzy łydek Anny. Potknęła się i wtedy Blessing wypchnęła się naprzód. Wysunęła głowę, mrugając. Badła ponurą scenę. Natychmiast omiotła ją fala dźwięków, pomruków, krzyków, łkań, spokojnych komend i kwików rannych koni

- Nie martw się, Anno - powiedziała swym pewnym siebie głosem. - Mój tato przybywa nam na ratunek.

Strażnik strzegący wąskiego wejścia do sfery Aturny wyglądał całkiem jak Wilkun.

- Liath! - Trzymał swą włócznię w poprzek wejścia, przegradzając jej drogę. Kłębiły się nad nim burzowe chmury. Nie mogła rozróżnić żadnego punktu orientacyjnego po drugiej stronie. - Gdzie jesteś? Szukam cię!

- Czego ode mnie chcesz, Wilkunie? Kto jest moją matką? Powiedz mi prawdę! - Gdy postąpiła naprzód, czubek strzały, którą trzymała w prawej ręce, musnął go, on zaś rozwiął się, jak rozmywa się odbicie w wodzie, gdy się ją zmaci. Czy to naprawdę był Wilkun, szukający jej swym orlim wzrokiem, czy tylko jakaś zjawy wysłana, by jej dokuczyć albo wystawić ją na próbę? Zmarszczywszy brwi, przeszła przez bramę.

Burzliwy wiatr wgrzył się w jej nagą skórę. Igiełki lodu kłuły ją, gdy weszła pochylona w wyjąca zawieruchę. Chłód był przejmujący. Jej włosy powiewały za nią na wietrze i musiała osłaniać oczy ramieniem. W lewej ręce trzymała Łowcę Serc, a w prawej swoją ostatnią strzałę ze złotym pierzyskiem, którą dał jej Najstarszy Wuj. Tylko one pozostały z wszystkich rzeczy, z którymi wyruszyła. Tylko one, poza nią samą.

Zdrętwiała na zimnym wietrze. Spękane wargi zeszywniały tak, że nie mogła nawet zawołać i przekonać się, czy w tych surowych sferach żyje jakaś istota, która mogła ją poratować. Drżąca, obolała, sponiewierana przez mroźny wiatr, przedzierała się naprzód. Zeszywniały jej palce, a ból przenikał do kości.

Było tak zimno...

Miała tu zgasnąć. Może nie tej nocy, ale wkrótce. Tu nie było nawet świń, potrafiących ją ogrzać. Miała umrzeć albo zawrócić i wejść z powrotem do komnaty, gdzie czekał na nią Hugo, tak właśnie jak zrobiła tamtej zimowej nocy w Spokoju Serca, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Tak jak zrobiła wtedy, tamtej okropnej nocy, kiedy mu uległa, bo był to jedyny sposób, żeby ocalić własne życie.

Choć może niezupełnie ostatni.

Tata nigdy nie uczył jej, jak walczyć, tylko jak kryć się i uciekać. Hugo rozumiał to lepiej niż ona.

Nie była już dłużej bezsilną dziewczyną, przerażoną i bezradną.

Wezwała ogień i zimny podmuch lodowatego powietrza rozdzielił się wokół niej. Chmury stopniały niczym mgła w słońcu.

Dziedzina Aturny oszołomiła ją. Szła po dnie rozległego wąwozu, którego ściany były tak odległe, że ich wysokość gubiła się w oparach. Po obu stronach spadały w dół wodospady, błyskając i oslepiając, gdy światło odbijało się od bijących w dół wód. Demony tańczyły w połyskujących wodach, zbyt jasne, by je widzieć, poza jednym, o oczach salamandry. Z przodu obracała się z brzękiem para ogromnych złotych kół, źródło wiatru.

W dolinie Aturny, domu mędrców, nic nie było przed nią ukryte. Mogła teraz spoglądać długo i głęboko wewnątrz siebie, w zimną, obciążającą ją ciemność.

Zbyt długo polegała na sile innych: taty i Hanny, Wilkuna i Sanglanta, nawet Anny, która tylko obiecywała, ale nigdy nie dotrzymywała obietnic. Nawet Jerny, którą wydarła ze świata do sfery Erekes, gdzie potrzebowała jej pomocy w przebyciu trującego morza. W końcu nigdy nie mogła dotrzeć w pełni do innych: ani do Hanny i Ivara, którzy okazali jej przyjaźń, ani do siostry Rosvity, która wyczuła pokrewną duszę, ani Thiadbolda i Lwów, którzy ofiarowali jej braterstwo broni, ani do Alaina, który bezwarunkowo jej zaufał. Ani nawet do ukochanego Sanglanta i Blessing, jej skarbu. Nie mogła im ufać, dopóki nie zaufa sobie samej.

Jakby przywołane tą myślą do istnienia ukazały się schody, wyciosane z marmuru i wznoszące się między złocistymi kołami. Smugi mgły igrały wokół ich podstawy, a ich wysokość gubiła się w jasnym blasku ognia, niczym kręgu płonących mieczy. Poznała od razu wejście do dziedziny stałych gwiazd.

Dom.

Ta niespodziewana myśl zatrzymała ją. Serce waliło jej jak młotem. Pomyślała, że może tu zemdleć i umrzeć. Nie mogła złapać tchu. Rumieniąc się i pocąc z uniesienia i zdumienia, nadziei i przerażenia, przykucnęła, by ochłoniąć, opierając się pięścią na ziemi.

Jakaś siwowłosa postać siedziała z pochyloną głową na pierwszym stopniu schodów. Miała na sobie prostą tunikę kleryka. Kiedy Liath złapała dech, wstała i postąpiła naprzód, tamten podniósł głowę.

To był Wilkun.

Nie, nie Wilkun. Widziała tylko przebranie człowieka, który znał więcej tajemnic, niż wyjawiał.

- Jesteś strażnikiem tej sfery - powiedziała. - Chciałabym wejść na schody.

- Przebyłaś długą drogę - zgodził się. - Przestrzegam cię jednak, że została ci tylko jedna strzała. Użyj jej mądrzej, niż użyłaś innych. Jest ktoś bliski tobie, kogo możesz uratować, jeżeli nauczysz się widzieć

oczami rozumu, nie zaś działać pod wpływem lęków.

Odsunął się na bok.

Zawahała się. Czy to jakaś sztuczka? Jakaś próba? Musiała wejść na schody, by dotrzeć do celu. Żadna inna droga nie była przed nią otwarta.

Postawiła stopę na pierwszym stopniu.

- Dziękuję ci - powiedziała do strażnika, ale już go nie było.

Stopnie były gładkie i wygodne. Kiedy po nich wchodziła, iskry i błyski podobne do błyskawic wystrzeliwały z brzęczących kół, obracających się wysoko w powietrzu po obu stronach schodów. Olsniewające światło kół stawało się coraz silniejsze w miarę wchodzenia. Poprzez złote chmury unoszące się ponad nią ujrzała komnatę o nieskończonych rozmiarach. Gniazda niebiesko-białych gwiazd jarzyły się gorącem. Gęste pasma pyłu tworzyły dziwne, splątane kształty, falujące w obszarach mroku. Ledwie widoczne koło gwiazd, niczym odbicie złocistych kół po jej bokach, obracało się powoli. Za tym wszystkim leżała cisza, głęboka, nieskończona, bezkresna.

Błysk błękitnego ognia przykuł jej uwagę: rozstaje dróg między sferami a światami. Jego płomienie drżały i migotały, chwilami jasne, a potem słabnące, jakby ogień pulsował w rytm uderzeń serca wszechświata. W tych rozbłyskach widziała poprzez odległe rozstaje inne światy, inne czasy, inne miejsca, widziane w przelocie i szybko znikające:

*Dziewczyna stojąca z naręczem kwiatów, kobieta przy stole pisząca jakimś dziwnym rodzajem pióra na arkuszach papieru, nie pergaminu, jej czarne włosy ściągnięte w tył w koński ogon, jej czarny żakiet skrojony w stylu, jakiego Liath nie знаła, kamienny pomnik hrabiego Lavastine'a z dwoma wiernymi kamiennymi psami, jajko pękające, gdy wygięty szpon przebija od wewnątrz skorupę, powolny bieg rzek płynnego ognia, kiedy zmieniają kurs, centaurzyca galopująca po stepie, żywy obraz piękna, szybkości i mocy, kobieta w sznurkowej spódnicy karmiąca piersią bliźnięta, sam cesarz Taillefer, dumny i silny u szczytu potęgi, gdy przygląda się wstąpieniu ulubionej córki na tron biskupi.*

*Wewnątrz wielkiego namiotu konkubina Żelaznogłowego, ta ciemnowłosa piękność, gładzi włosy śpiącego lorda Jana, odsłaniając ciemność. Potem bierze zaostrzony kół i uderzeniem młota wbija mu go w skroń tak mocno, że szpic rozłupuje czaszkę i przebija dywan pod nią. Kałuże krwi zmieniają kolor, przyciągając jej wzrok, dopóki Liath nie dostrzeże człowieka, przyglądającego się z ciemnego kąta namiotu.*

Hugo.

*Podnosi głowę, jakby ją wyczuwał. Ona rzuca się w inną odnogę rozstajów, w przyszłość.*

*Długie łodzie wylaniają się niczym duchy z mgły spowijającej rzekę Temes. Z bezlitosną sprawnością, szybkie i prawie niewidzialne, lądują na brzegu pod warownym miastem Hefenfelthe. Wielka hala wzniesiona przez albańskie królowe wznosi się ponad murami niczym dziób ogromnego okrętu. Dzięki mocy królowych i ich drzewnych czarowników Hefenfelthe nigdy nie zostało zdobyte w boju. Wojownicy Eikowie wysypują się z łodzi, póki mgła osłania rzekę. Przy bramie rzecznej pali się pochodnia. Łańcuch łomoce i gdy czołówka biegnie w górę ku murom, otwiera się brama. Czego nie można dokonać siłą, można osiągnąć zdradą. Siłacz przystaje, gdy trzech ludzi w szatach bogatych kupców wybiegają z bramy, dając gorączkowe znaki i śpiesząc powitać armię, dla której zdradzili swoją królową. Jego czołowi wojownicy ścinają zdrajców. Nie można być służką dwóch panów. Jeżeli zdradzili własny lud dla byle grosza, nie można im nigdy wierzyć. Jego armia przechodzi obok ciał, chociaż psy przystają, by pożywić się zwłokami i trzeba je poganiać naprzód. On sam czeka na brzegu, aż wszędzie słońce, wciąż przesłonięte mgłą. Pierwsze alarmy rozbrzmiewają w mieście, ale jest już za późno. Pasma dymu zaczynają wiać się ku niebiosom, stapiając się i mieszając...*

Przystanęła, znów świadoma, że znajduje się wysoko na schodach, za sferą Aturny połyskującą poniżej, poza złocistymi kołami, i z otwierającym się nad nią wszechświatem.

Srebrny pas wił się przez zatokę, znacząc szlak krainy Aoi, ciągniętej teraz nieubłaganie z powrotem ku ziemi. Nie sposób było odróżnić jedną stronę tej powierzchni od drugiej, a nawet czy w ogóle ma ona dwie strony, czy tylko jedną nieskończoną, błyszczącą powierzchnię. Podążała wzrokiem ku jej dołowi, obok zniżających się sfer, których wrota były klejnotami wstawionymi w ich jasne krzywizny, ku dołowi, gdzie ziemia leżała odsłonięta, zbyt szeroka, by ją objąć rozłożonymi ramionami tu na szczycie sfer. Jej krzywizna także była widoczna, gdy linia nastającego świtu cofała się na zachód, a noc wstawała na wschodzie. Korona Taillefera lśniła rozciągnięta po łądzie, siedem koron z siedmioma punktami każda, wielkie koło zatoczone przez wiele królestw i przez niezliczone mile, rozległy warsztat tkacki magii.

Widziała:

*Daleko w dole sroży się bitwa. Na pagórku jakieś dziecko wymachuje beużytecznym drewnianym*

*mieczem, podczas gdy dookoła Lwy walczą i giną pod naporem uskrzydłonych jeźdźców, Qumanów. Czy to Thiadbold wykrzykuje komendy? Lwy walczą dzielnie, ale ich liczba rzednie, gdy skrzydlaci jeźdźcy atakują wciąż na nowo. To tylko kwestia czasu.*

*Jakby porażona błyskawicą, rozpoznała ciemnowłosą dziewczynkę. Rzuciła się w dół, do świata pod księżycem, z lukiem w dłoni.*

*Jak Blessing mogła aż tak wyrosnąć? Ma cztery lata. Pani! Czy tyle czasu upłynęło? Czy to dziecko urosło, nie wiedząc nic o matce? Czy zginie podobnie, pozbawiona matki i opuszczona?*

*Liath założyła strzałę na cięciwę, gotując się do strzału.*

*Do kogo jednak strzelać? Tam jest pięćdziesięciu albo stu, albo dwustu qumańskich jeźdźców, rojących się wokół pagórka, dalej zaś podobnie wielka grupa atakuje tyły legionu żołnierzy wendarskich. Rozpoznała chorągiew Saony, ale to tylko mała dywersja.*

*Musi uratować swoje dziecko.*

*Jedna strzała nie wystarczy.*

*Strzelić teraz, to zmarnować jedyną broń, jaka jej została.*

*Panie, gdzie jest Sanglant?*

Mieli w końcu dobry widok na równinę i armię Qumanów, ustawioną w szyku bitewnym niedaleko za nią, kiedy nadjechał galopem jeden z Ungryjczyków Bayana.

- Książę, panie mój! - Ten kapitan służył w kilku poselstwach i dobrze mówił po wendarsku. - Książę Sanglancie! Książę Bayan rozkazuje ci odwrócić twoją linię...

- Odwrócić moją linię! - Gniew Sanglanta uciął w pół przesłanie. Co knuje teraz Bayan, żądając od niego, by odwrócił się od nieprzyjaciela i stracił honor nawiązania bitwy z Qumanami?

- Spójrz, książę, panie mój! - krzyknął Sibold, któremu powierzono honor noszenia chorągwi.

Tylko wąski pas lasu dzielił ich od otwartych pól, gdzie się zgromadzili Qumanowie. Czołówka armii wendarskiej mogła być widziana, jak wyłania się z lasu z powiewającymi chorągwiami i rozdziela w regularne linie naprzeciw Qumanów po drugiej stronie szerokiej przestrzeni. Przez chwilę Sanglant podziwiał sprawność żołnierzy Sapientii, musztrowanych i szkolonych przez Bayana podczas zimy. Czy to zazdrość kazała mu się wahać? Czy obawiał się, że Sapientia dobrze się spisze, jak się tego wyraźnie spodziewał Bayan? Czy nie było konieczne dać jej szansę sprawdzenia się w dowodzeniu, a zatem w rządzeniu?

Odwrócił się na powrót do wysłannika.

- Mów dalej.

- Panie mój, książę. - Tamten rozluźnił pasek swego hełmu i zsunął go w tył, szukając ulgi od upału. - Książę Bayan rozkazuje ci zawrócić legion i jechać na pomoc tylnej straży. Qumanowie posłali całe skrzydło swojej armii, żeby zniszczyć nasze tyły. Diuk Boleslas i Poleni są pobici, a ta klęska już dosięgła legionu Saony, który się rozprasza...

- Moja córka? - spytał Sanglant, gdy bitewna furia opadła.

Wysłannik zaczerwienił się.

- Nie ma wieści ani o losie twojej córki, ani o matce księcia Bayana. Cała tylna straż się załamała.

Nie czekał na nic więcej.

- Kapitanie Fulk! Poślij sierżanta Cobbo do lorda Druthmara. Zawracamy. Niech jedzie z tyłu naszej grupy. Ja biorę straż przednią. Sibold!

Zagrały rogi. Chorągwie dały znak do nawrotu. To nie były zahartowane w boju oddziały, ale przez ostatnie miesiące widział ich gotowość i ochotę. To będzie ich prawdziwa próba.

Ponaglani jego furią i lękiem jechali brawurowo. Ufał, że dotrzymają mu kroku. Niech mniej warci zostaną z tyłu. Jeżeli będzie musiał, zabije każdego Qumana własną ręką.

Zatoczyli szeroki łuk przez otwarty las, mijając Ungryjczyków księcia Bayana, którzy pohukiwali i wiwatowali, dodając im odwagi, ale mimo to podążali ku równinie. Dlaczego sam Bayan nie zawrócił, by się spotkać z zagrożeniem z tyłu?

Nie czas teraz o tym myśleć.

Jakaś luka powstała między tylną strażą Ungryjczyków, a czołówką legionu Saony pod połączonym dowództwem dwóch skłóconych braci. Pojawili się uciekinierzy pędzący wśród drzew: żołnierze na koniach, kilku bezradnych nielinowych na piechotę, wykrzykujących ostrzeżenia na widok księcia i jego legionu. Podniósł rękę. Fulk zadął dwa razy w róg i cała ta masa ludzi - nie mniej niż sześciuset jeźdźców, wliczając Druthmara i jego kresowiaków - stanęła, gdy Sanglant zatrzymał kilku żołnierzy.

Ich opowieści różniły się szalenie. Cała armia qumańska uderzyła na tabory. Wielmożny Zwentibold

zginął. Diuk Boleslas również. Diuk Boleslas był w zмовie z Qumanami. Spalono wszystkie wozy.

Ktoś widział Lwów formujących się wokół jakiegoś pagórka. Z jego krótkiego, panicznego opisu Sanglant przypomniał sobie to małe wzgórze. Zanotował je w pamięci, jak zawsze notował strategiczne punkty orientacyjne, kiedy przejeżdżał obok wcześniej.

Dając znak Fulkowi, ruszył naprzód. Wkrótce usłyszeli przed sobą szcęk bitwy. Zrywając się do galopu, Sanglant poprowadził szarżę.

Legion Saony, zaskoczony od tyłu przez Qumanów, rozbił się na rozproszone grupy dzielnych ludzi, walczących o życie, podczas gdy reszta uciekła albo została wybita od tyłu. Sanglant zobaczył chorągiew Wichmana, wciąż chwiejącą się w górze, zanim opuścił włócznię i pozwolił ciężarowi szarży ponieść ich w linię Qumanów. Jego wendarskie posiłki w ciężkich zbrojach powaliły i stratowały lżej odzianych jeźdźców qumańskich. Sanglant zwałił jednego z nich z konia, potem wbił głęboko włócznię w nieosłonięty brzuch innego Qumana, wypuścił drzewce z ręki i wyciągnął miecz. Z krzykiem powalał Qumanów po obu stronach, torując sobie przez nich drogę. Pióra unosiły się w powietrzu. Trzaskały kości. Ranne konie potykały się i padały, zrzucając swych jeźdźców na ziemię. Okrzyk triumfu wznosił się wśród saonczyków, którzy teraz zdwoili swe wysiłki.

- Do natarcia! - Sanglant przekrzyczał zgiełk, wycofując się z walki, żeby Fulk mógł zgromadzić swoich ludzi. Wichman zebrał połowę pozostałych żołnierzy saonskich. Zwentibold przepadł bez śladu. Na znak Sanglanta Druthmar podjechał do niego.

- Niech twoi ludzie zacisną kleszcze. Teraz, gdy rozbiliśmy linię Qumanów, możesz ich zgnieść między twoimi a Saoną.

- Wedle rozkazu, książę, panie mój. - Druthmar ogłosił rozkazy, gdy Sanglant wycofał się z bitwy z połową swoich żołnierzy.

Fulk otrąbił natarcie. Sibold podniósł trzy razy chorągiew i z Sanglantem wciąż na czele pognali do taboru. Z tyłu rozgorzała bitwa, gdy Druthmar pchnął swych żołnierzy na flankę Qumanów, chwytając ich z przodu i z tyłu.

Sanglant mógł jednak myśleć tylko o taborze, kiedy jakieś niewyraźne postacie umykały po bokach przez las, uciekinierzy z walki. Błagał Boga, by jego córka jeszcze żyła. Powinien był zostawić ją w Walburgu z Waltharią. Miał wyrzuty sumienia, ale nie mógł się im poddać. Gdyby pozwolił winie zaćmić myśli, wystawiłby na ryzyko życie ludzi, którymi dowodził. Później będzie czas na rozpatrywanie winy.

Jakiś tłum więźniów pojawił się nagle, poganiany przez pół tuzina qumańskich żołnierzy. Na widok tych nowych wojsk Qumanowie porzucili jeńców i odjechali, nie mając ochoty walczyć. Więźniowie wiwatowali ochryple na widok księcia i jego złotej chorągwi. Sanglant wyteżał wzrok, wpatrując się w rzadki las. Czy to ten pagórek, tam z przodu? Słyszał krzyki i szcęk broni. Słyszał deszcz i pomruk gromu.

- Tam! - krzyknął Fulk.

Otworzyła się przed nimi szeroka polana. Wozy i wózki tężały porzucone na całej trawiastej przestrzeni, mokrej teraz po lekkim deszczu, którego front zatrzymał się, o dziwo, tuż przed pagórkiem. Nie dbający o to Qumanowie, zwabieni bogactwami wiezionymi w książęcym taborze, porzucili walkę dla plądrowania. Nie wszyscy byli jednak tak niezdiscyplinowani. Wozy powywracano wcześniej, by utworzyć wokół pagórka palisadę, linia ta jednak była teraz opuszczona, gdy pozostałe Lwy zostały zmuszone do odwrotu na pagórek. Mimo męczącego biegu Resuelto zerwał się do galopu, czując zgodę swoich jeźdźców.

- Fulk! Bierz kompanię Cobba i wybij tych rabusiów.

Kolejna grupa odłączyła się, spadając na nieprzyjaciół, szukających swoich koni i broni, zanim zostali stratowani albo przegnani. Kilku Qumanów rzuciło broń i przypadło do wilgotnej ziemi, próbując się poddać.

Nie zobaczył, co się z nimi stało. Przywódca Qumanów wycofał się na pagórek, żeby spotkać się z Sanglantem. Obaj uderzyli na siebie z mieczami. Sanglant odparował i ciał, przecinając ramię i skrzydło tamtego. Z gigantyczną siłą pchnął i zwałił go z konia.

Jakiś qumański jeździec zderzył się z Resuelto, ale stepowy konik był karzełkiem przy wendarskim bojowym rumaku. Wałach potknął się, ale to Quman został powalony. Resuelto wspiął się na konia i stratował tamtego. Quman zginął szybko.

Sanglant dotarł w końcu do przewróconych wozów. W górze garść Lwów desperacko walczyła z nawałą skrzydlatych wojowników. Na widok nadciągającej odsieczy podnieśli radosny okrzyk. Zaatakowali ze wznowioną siłą, używając tarcz. Sanglant, wsparty przez lorda Hrodika i jego stronników z Gentu, uderzył na ich flankę.

Sibold i reszta kompanii Sanglanta okrążyli podstawę pagórka w celu zdławienia ataku z drugiej strony.



Inni chorążowie po prostu podążali za wodzem i bronili się. Sibold zarzucał chorągiew na twarz napastnika, usiłując odebrać mu życie. Naciskani ze wszystkich stron Qumanowie załamali się i rozproszyli, uciekając niczym jelenie.

Ci, którzy nadal nacierali na pagórek, byli teraz odcięci, a stu wendarskich wojowników wspierających Sanglanta wycinało ich jak drzewa, póki nie zostało ich ze dwa tuziny. Wielu było rannych i bez koni.

Sanglant znał tylko dwa słowa w języku Qumanów.

- Poddajcie się!

Kilku Qumanów zakłękło w odpowiedzi. Reszta milczała.

Przestało padać.

Rudowłosy kapitan Thiadbold stał na szczycie pagórka, dowodząc tym, co zostało z dzielnych Lwów. Postąpił naprzód.

- Żadnej litości! - krzyknął wśród nieoczekiwanego milczenia. - Zabić ich wszystkich!

Z okrzykami złośliwej radości i furii żołnierze wendarscy spadli na zapędzonych w róg Qumanów. Walka była krótka i rozpaczliwa. Lord Hrodik padł z przebitym bokiem, ale wkrótce ostatni z Qumanów został ścięty toporem Lwa, po uprzednim zwaleniu go z nóg przez starego Gotfryda, którego Sanglant uwolnił z łańcuchów handlarzy niewolników.

Nagle pojawiła się Blessing. Skoczyła w ramiona ojca. Sanglant pochwycił ją w powietrzu i trzymał mocno, z twarzą wtuloną w jej włosy. Pachniała próchnem. Żyła, tylko to się liczyło.

- Czekałam na ciebie! - krzyknęła z wyrzutem - Ale zajęło ci dużo czasu, żeby przybyć i pozabijać złych ludzi.

- Wiem, kochanie - powiedział, starając się nie płakać z radości i nie ścisnąć jej zbyt mocno. - Już ci nie zrobią krzywdy. Muszę jechać walczyć na froncie. Trzeba dołączyć do bitwy z Bulkezu.

- Czy nie zabiłeś Bulkezu? Ten zabity człowiek to nie był on?

- Nie, córko. - Łzy piekły go w oczy. Tak było zawsze, kiedy musiał patrzeć na rzeź, na śmierć tylu dobrych żołnierzy. - To była tylko zmyłka, próba popchnięcia nas z tyłu i złapania w kleszcze. - Pocałował ją i przekazał w ramiona Heriberta, a kleryk powłókł się w dół stoku, z bladą twarzą i szatami umazanymi krwią. Qumańska krew plamiła policzek Blessing i jej tunikę, gdy tuliła się do kaftana ojca.

- Dzięki Bogu - powiedział Heribert. To było wszystko.

Anna popęzła w stronę kleryka. Chwilę potem młody Matto i lord Thiemo, kulejący, także przepchnęli się przez tłum. Czy tylko oni przeżyli z grupy mającej chronić Blessing?

Fulk i jego kompania dobili wszystkich pozostałych Qumanów, a teraz polowali na rozrzucone pozostałości taboru. Żadne z tych nieszczęsnych łupów nie dotrą nigdy na wschodnie równiny ani żadne z kosztownych tkanin i lśniących klejnotów nie ozdobią kobiet qumańskich.

- Panie mój, książę. - Kapitan Thiadbold przykląkł przed nim, zakrwawiony. Wokół nich rozbrzmiewały przeraźliwe jęki rannych, zarówno Wendarczyków, jak i Qumanów. - Co rozkażesz?

- Załóż szpital polowy. - Sanglant rozejrzał się wokoło i napotkał wzrok Wilkuna, który brał udział w walce, ale teraz poruszał się po pobojowisku, szukając rannych. - Orle! Ty zostaniesz z Lwami. Muszą tu być ludzie, którzy mogą przeżyć, jeżeli się o nich zadba. Te wozy trzeba doprowadzić do porządku i załadować. Bądźcie gotowi do marszu najprędzej, jak się da.

- Co z rannymi Qumanami? - spytał Thiadbold. - Moi ludzie chętnie ich dobiją.

Sanglant zawahał się.

- Nie. Ratuj tych, którzy mogą przeżyć. Pan cieszy się miłosierdziem, a ja będę teraz miłosierny. Nasi wrogowie mogą jeszcze okazać się użyteczni.

Wilkun spojrział na niego ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział. Ruszył za to w dół pagórka, by wprowadzać uwolnionych jeńców i ocalałych żołnierzy w szczegóły zadania. Thiadbold wzruszył tylko ramionami i wstał, zwołując swoich ludzi.

Nadjechał kapitan Fulk.

- Panie, Qumanowie są wybici.

- Dmij w róg i zwołaj ludzi. Musimy wracać do księcia Bayana.

Sibold podniósł wysoko złotą chorągiew, aby wszyscy mogli zobaczyć książęce barwy, a Fulk zadał w róg trzykrotne staccato. Zebrali się prawie wszyscy jego ludzie. Lord Hrodik padł i zapewne zginął, ale książę nie stracił w tym ataku więcej niż dziesięciu ludzi. Gdyby tylko Lwy i diuk Boleslas i jego Poleni mieli tyle szczęścia... Widział ślad bitwy ciągnący się na wschód, w lasy, wyraźny szlak ciał i krwi ukazujący, jak została stoczona wcześniejsza bitwa, gdy Qumanowie ścigali uciekający tabor, a Poleni starali się desperacko ich powstrzymać.

Pochylanie się nad przeszłością nie daje pożytku. Nie czas na żale w środku bitwy. Wiedząc, że

prawdziwa bitwa może się zacząć w każdej chwili z tyłu na równinie nad Vesper, Sanglant podniósł rękę, dając sygnał do marszu.

Nagle zawahał się. Skóra między łopatkami zamrowiała, jakby w jego kark została wymierzona strzała. Obejrzał się przez ramię.

Podjechał kapitan Fulk.

- Czy coś widzisz, księżę panie? Chyba wybiliśmy wszystkich. Dziś nie będą niepokoić twojej córki.

- Nie, to nie to, chociaż musimy wygrać tę bitwę. - Sanglant miał przelotne wrażenie, że wokół jego głowy roją się szerszenie, ale pozbył się go szybko. Nie mógł jednak otrząsnąć się z uczucia, że ktoś go obserwuje. - Panie Fulk, ciężko jest wiedzieć, że sam ściągnąłem niebezpieczeństwo, które codziennie grozi memu słodkiemu dziecku. Pan wie, że w ostatnich miesiącach robiłem rzeczy niegodne pochwały, ale, wybac mi, Boże, nadal myślę o Liath, nieustannie. Czy ją jeszcze kiedyś zobaczę?

- Modlę się o to, księżę panie.

W czasach takich jak te, bitwa była prawie wytchnieniem. Lepiej walczyć, niż gryźć się żalem i lękami. Podniósł znowu dłoń, wołając o nową włóczęgę.

Trzask gromu rozdarł powietrze wokół nich. Konie stanęły dęba z rżeniem. Ludzie podnieśli alarm, ale nagle ucichli. Jakby ta cisza nakazywała uwagę, zaczęli się rozglądać. Sanglant także spojrział przez ramię i ujrzał jakąś drobną postać zstępującą z pagórka. Zasłona skrywała jej twarz, ale jej wiek zdradzały starcze dłonie powykęcane artretyzmem. Niewiele wyższa od dziewczynki matka Bayana nosiła bogate złote szaty wyszywane w sceny przedstawiające walczące gryfy i smoki. Kiedy zażądała konia od jakiegoś żołnierza - który natychmiast upadł na kolana - i dosiadła go z pomocą swego niewolnika, Sanglant zobaczył, że szaty były rozcięte do jazdy konnej. Pośpiesznie do niej podjechał, a żołnierze odsunęli się, przesądni po tym, co usłyszeli o niesamowitym zachowaniu się deszczu.

- Pani moja - zaczął po wendarsku. - Wybac mi, proszę, nieświadomość, jak mam się odpowiednio zwracać do kobiety twego rodu i pozycji. - Chociaż siedziała na wielkim bojowym rumaku, którego rozmiar ją pomniejszała, nie wyglądała śmiesznie. Sanglant górował nad nią. - Błagam cię, będziesz bezpieczniejsza tu z tyłu, teraz gdy...

Jeden z niewolników wystąpił naprzód.

- Nie stawaj na drodze świętej kobiety.

Był wielki, ciemnoskóry, o tęgich ramionach. Nie warto było wdawać się z nim w walkę, chyba że było to konieczne.

- Będzie bezpieczniej...

Odjechała. Nie sięgała nawet stopami do strzemion.

- Święta kobieta zobaczyła, że jej szczęście jest w niebezpieczeństwie - powiedział niewolnik. - Ona musi jechać.

Jej szczęście?

Sanglant przypomniał sobie szybko stary przesąd Kerayitów, że szczęście szamanki przebywa w ciele innej osoby.

Jej szczęściem był jej syn.

Kiedy tym razem podniósł dłoń, zagrały bliźniacze rogi. Zdjęty jakimś straszliwym przecuciem Sanglant dał znak do marszu. Gdy wojsko stanęło w szyku, a Druthmar czekał, poprowadził ich truchtem z powrotem.

*Dawno temu, w oblężonym Gencie, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, nosił ten sam wspaniały smoczy hełm, w którym był tak zabójczo przystojny. Pragnienie jest płomieniem, pochodnią płonąca w nocy. Żaden podróżny nie może się oprzeć jej przyciągającej sile.*

*Było go jej brak. Jego dotyku...*

*Musi jednak iść dalej. Musi wybierać mądrze, nie zapominając, że wstępuje do ostatniej sfery, że nie przebywa na ziemi.*

*Żadna istota, męska czy żeńska, nie może mu wyrządzić szkody. Pamiętając o tym, powstrzymywała swą dłoń w najgorszej walce. W bitwie Sanglant potrafi o siebie zadbać. Nie zapomniała o lekcji, której nauczyła się w sferze Jedu, aniola wojny.*

*Nie zapomniała grozy bycia zabijanym, wciąż na nowo, przez tych, których kocha.*

*Te szerszenie niepokoiły ją jednak. Widziała je jako eteryczne żądla klujące jego twarz i dłonie. Otrząsnął się z nich, ale było dla niej oczywiste, że jakaś inna dłoń tworzy magię, mając nadzieję zaskoczyć księcia. Dotyka złotych szat starej kobiety, tej zawołowanej, ale chociaż starucha wzdryga się zaskoczona, czując jej dotyk, nie może jej zobaczyć. Ta stara kobieta ma twarz tak pomarszczoną, że*

trudno dojrzyć pod nią duszę. Jest niczym owad chroniony przez skorupę. Mimo jej wieku włosy ma nadal czarne jak u dziewczyny. Cerę ma śniadą, a jej ciemne oczy posiadają kształt migdałów. Takie rysy świadczą, że jest mieszkanką stepów, kobietą ze wschodnich plemion, ludzi żyjących na nieskończonych trawiastych równinach wśród swoich stad i namiotów.

Włada potężną magią, powietrze wokół niej brzęczy, jakby było pełne pszczół, ale to nie jej magia zagraża Sanglantowi.

Liath z żalem zostawia za sobą Sanglanta, Blessing i starą kobietę i śpieszy naprzód, strzala w eterycznych wiatrach opasujących ziemię. Stała się lukiem.

W głębi lasów toczą się potyczki, daleko nad bliźniaczymi rzekami, płynącymi na północ, by połączyć się pod murami Osterburga. Takie drobnostki nie zasługują na więcej niż spojrzenie. Szuka dalej i znajduje dwie armie gotowe do bitwy, zgromadzone tuż za lasem, na otwartej przestrzeni. Wendarczycy powiewają chorągwią księżnej Sapientii. Znak dziedziczki Wendaru i Varre to zwierzęta: lew, smok i orzeł, koń, sokół i guivre. Wielkie wojsko Ungryjczyków pod znakiem dwugłowego orła idzie za linią Wendarczyków, gotując się do uderzenia w środek linii Qumanów.

Qumańscy łucznicy już strzelają, by zmiękczyć wroga, ale Ungryjczycy nie pozostają im dłużni, a legiony wendarskie obracają się i zaczynają natarcie na skrzydła. Wojsko Qumanów wydaje się większe, niż jest naprawdę. Z tej wysokości, niczym krążący sokół, widzi, że noszone przez nich skrzydła zdają się zwiększać liczbę żołnierzy.

W tym spotkaniu zwycięży brutalna siła, chyba że magia, którą wyczuwa w powietrzu, odwróci falę przyływu.

Łoskot podobny do gromu wznosi się, gdy armie rzucają się do szarży. Pył kłębi się w powietrzu. Wojska wendarskie i ungryjskie krzyczą, ich głosy dźwięczą ponad tętentem kopyt, ale Qumanowie nacierają w niesamowitym milczeniu, ponaglani przez swego księcia, którego gryfie skrzydła migocą w świetle słońca.

Kiedy dwie armie ścierają się z donośnym szcękaniem, ona dostrzega jakieś pasmo spinające wiatr. Eteryczne szerszenie połyskują wzdłuż niego, brzęcząc i terkocząc, gdy rozciąga się ono ku armiom. Ona pędzi wzdłuż pasma wstecz. Za Vesper, w prowizorycznym obozie, zdesperowani więźniowie cisną się, oczekując na wynik bitwy, ale pasmo prowadzi ją o strzał z łuku dalej od jęczących, bezradnych jeńców, za rzekę, na niskie wzniesienie na wschodnim brzegu, górujące nad równiną. Połyskujące pasmo zwija się w linię jeźdźców: tuzin strażników, jedna jasnowłosa postać ubrana w podarty strój wendarski i jakiś dziwny człowiek w samych tylko spodniach zszytych ze stu różnych kawałków materiału. Sino-czarne tatuaże pokrywają jego tors. W odróżnieniu od innych qumańskich wojowników nie nosi przy pasie poczerńiałej zasuszonej ludzkiej głowy, ale jego ozdoby są dość przerażające: kolczyki z pokurczonych ludzkich nosów i przebijająca nos igła z zasuszonymi ludzkimi uszami na końcach.

To szaman. Pasma szerszeni wywija się z jego głosu, ożywione słowami zaklęcia.

Kobieta obok niego podnosi głowę. W pierwszej chwili Liath jej nie poznaje, bo nienawiść szpeci jej rysy, kiedy spogląda na pole bitwy. Nienawiść zniekształca serce, pozostawiając blizny, tak jak pozostawiła blizny na jej sercu. Przypominając to sobie, poznaje tamtą.

- Hanna!

Hanna kręci głową, jakby odganiała natrętne muchy. Ręce ma związane z przodu, jest jeńcem, zmuszono ją, by patrzyła na rozwój bitwy.

Gładkie drewno Łowcy Serc wydaje się chłodne w dłoniach Liath. Jedna strzala nie uratuje Hanny, nie przy tuzinie strażników, a ponieważ ona sama nie istnieje na ziemi w cielesnej formie, nie może manifestować ognia. To tylko jej świadomość opadła na ziemię, jej ciało pozostało wyżej.

Ten qumański szaman knuje coś złego. Czy powinna go zabić? Czy jego magia może zmienić wynik bitwy?

Wznosi się na skrzydłach, by zbadać to pole krwi, gdzie krąży teraz niewidzialny duch Jedu, gdzie ludzie zabijają i walczą. Nie widzi jeszcze Sanglanta i jego ludzi. Lśniące pasmo rozwija się ponad rzezią. W zwarciu wendarskie włócznie, miecze i kolczugi mają przewagę nad lekkobrojnymi Qumanami. Patrząc z wyżyn Aturny, jakby spoglądała w przyszłość, Liath czuje pewność, że księżna Sapientia i jej sprzymierzeńcy zwyciężą.

Nie potrzebują jej pomocy.

W tej właśnie chwili słyszy słaby krzyk. Nigdy dotąd nie słyszała tego głosu, a jednak rozbrzmiewa on w jej sercu. Wznosi się, szukając szerszego widoku; bitwa oddala się pod nią. Ostatnim rzutem oka widzi, jak szerszenie roją się i brzęczą wokół chorągwi ungryjskiego księcia, dowodzącego. Gdzieś w oddali, zbyt daleko, by mu pomóc, stara Kerayitka wrzeszczy ze zgrozy i wściekłości. Chmury nadciągają ze

wschodu. Błyskawica oslepia Liath. Trzaska grom, a w tyle, gdzie Blessing stoi pośród odwróconych wozów, zadzierając głowę ku niebiosom, zaczyna padać deszcz.

- Pani, błogosławiona święta, obroń nas!

Przeraźliwy krzyk, ucięty jakimś okropnym gulgotem.

Liath czuje ostrą, żelazną woń galli. Z każdym krokiem pokonując tygodnie podróży, przeskakuje wysokie jak wieże góry Alfar i opada w dół w jakiś dziwaczny krajobraz kamiennych kominów i wąskich półek skalnych, wznoszących się niczym słupy z jałowej ziemi. Ktoś wykuł kiedyś konwent w jednym z tych szerokich skalnych filarów, schronienie na czas wojny. Wrzask znów odbija się echem, ona zaś ześlizguje się między skały, szukając tej, której modlitwy dotknęły jej serca i dotarły do jej uszu.

Znajduje sześć przerażonych mniszek w komnacie wykutej w skale. Przez siedem okien wpada światło popołudnia, przesłaniane przez straszliwą istotę posuwającą się wzdłuż refektarza. Stoły zastawione talerzami, kubkami i misami z owsianką i chlebem zostały powywracane. Stygnąca owsianka plami posadzkę. Jedna z kobiet wrzeszczy konwulsyjnie, całkiem spanikowana. Z tyłu przy drzwiach leży płatanina kości, lekko parujących, jakby dusza osoby, która przed chwilą zamieszkiwała to ciało, starała się przybrać formę ducha. Stara matka przełożona, trzymając wysoko złoty Krąg Jedności, idzie naprzód, kulejąc, mija swoje mniszki i wykonuje znak egzorcyzmu, aby odpędzić tę istotę.

Jednak Krąg Jedności i szczerą wiara nie odpędzą galli związanego więzami krwi. Liath zakłada strzałę na cięciwę, naciąga...

I waha się. Kto związał gallę? Kto go wysłał z tym morderczym zadaniem?

Ma tylko jedno tchnienie, by zdecydować. Galla jest tutaj i zanim ona znów nabierze tchu, pożre starą przełożoną, tak jak pożarł tę nieszczęsną kobietę, która stała wcześniej w wejściu.

Wypuszcza strzałę. Złote pierzysko łśni i sypie iskrami, gdy strzała eksploduje w smukłej kolumnie ciemności, która jest niematerialnym ciałem galli. Z wrzaskiem udręki i radości znika ono, wyzwolone z więzów magii, która je ściągnęła na ten świat. Jego niespełniony cel wywołuje odbicie wzdłuż słabo widocznej więzi z czarownikiem, który je przywołał. Liath widzi przez chwilę jakąś starszą, rumianą kobietę siedzącą w komnacie z krwawym ciałem u stóp. Kobieta wzdryga się, gdy dopada ją odbicie, a potem mdleje.

- Idźcie! - krzyczy Liath, starając się przykuć uwagę sześciu kobiet. - Wiąźcie czarownika, który to zrobił.

Być może ją słyszą, mimo histerycznych łkań jednej z nich, której nie można pocieszyć.

Stara przełożona daje znak ręką.

- Hilario! Dioklecjo! Idźcie natychmiast do domu gościnnego upewnić się, że siostra Venia jest bezpieczna. Ale weźcie powróż i środek usypiający. - Opierając się ciężko na lasce, robi cztery kroki i pochyla się, podnosząc złote pióro. Po strzale nie ma śladu.

Spogląda w górę. Nagle wydaje się widzieć Liath unoszącą się przed nią w powietrzu. Jej oczy się rozszerzają.

- Kto tu jest, w tym cieniu? - Mimo jej dolegliwości i podeszłego wieku głos pozostaje silny.

- Nie bój się - mówi Liath, myśli jednak, że stara kobieta nie może jej widzieć, bo nie jest teraz na ziemi bardziej materialna, niż był galla.

Niektóre oczy są jednak bystrzejsze od innych. Stara kobieta mruga, wydaje się zaskoczona, zdumiona, pełna nadziei.

- Bernard? - pyta, a jej głos natychmiast staje się ochrypły, jakby miała płakać. - Czy to mój słodki syn Bernard, którego mi wydarto? Twoja twarz... Nie, ty jesteś kobietą. Kim jesteś?

Kim jestem? A kim jesteś ty, która widzisz we mnie obraz utraconego syna imieniem Bernard?

Liath robi krok w przód.

I znajduje się z powrotem na marmurowych schodach Aturny, prawie u szczytu. Łuk i strzała przepadły. Była naga, samotna; nie miała nic prócz siebie.

Dziedzina stałych gwiazd płonęła przed nią gorącą bielą, straszna jak burza ognia.

Oni jednak czekali na nią, stłoczeni u dolnego krańca granicy: duchy o skrzydłach z płomienia i oczach błyszczących jak noże. Ich spojrzenia były jak uderzenia błyskawic. Ich ciała nie były ciałami jak te, znane na ziemi, ale raczej połączeniem ognia i wiatru, tchnieniem rozżarzonych gwiazd, złączonym z umysłem i wolą. Dźwięk ich skrzydeł rozpostartych w bezlitosnym splendorze huczał i odbijał się echem od krzywizny sfery Aturny. Daleko w dole złote koła wirowały szaleńczo, napędzane przez ten ognisty wiatr, który jest tchnieniem duszy gwiazd.

Poznała ich głos.

- Dziecko - powiedzieli, gdy wstąpiła na ostatni stopień i bez wahania weszła w ich radosne objęcia. -

Przybyłaś do domu.

### 3

Qumanowie z początku stawili opór natarciu ciężkiej jazdy, trzymając się mocno pod wodzą swego księcia, który jechał wśród nich. W końcu jednak załamał ich sam ciężar wendarskiej konnicy na obu skrzydłach i masowy atak Ungryjczyków w centrum.

Zachariasz patrzył w uniesieniu, jak najpierw lewe skrzydło, a potem części centrum wyginają się i ustępują, jak niesławni qumańscy żołnierze, twardzi i ponurzy, zaczynają zawracać konie i uciekać. Gdyby Zachariasz wierzył w Boga, zanosiłby w tej chwili modlitwy. Zamiast tego ocierał czoło. Za nimi grzmiało. Czuł wężchem deszcz, chociaż nie było możliwe słyszeć coś więcej niż kakofonię bitwy, która szalała na równinie przed nim. Czekał z tyłu z dowodzącą grupą Bayana i doradcą księcia, bratem Breschiusem. Księżę Bayan pojechał naprzód wraz z natarciem, ale wydostał się z linii i wracał do nich, wołając o gońca.

- Jedź do wendarskich sztandarów. Moja żona musi teraz wycofać się z bitwy. Zwycięstwo jest nasze, więc nie musi dalej walczyć. Podczas pogromu może się zdarzyć niespodziewane nieszczęście.

Wysłannik odjechał galopem. Bayan zażądał wody. Poluzował paski hełmu i zsunął go w tył, by móc pić.

- Bracie Zachariaszu, co teraz robi Bulkezu? Z pewnością znasz go najlepiej z nas wszystkich.

Zachariasz zachichotał nerwowo. Nie podobał mu się sposób, w jaki wszyscy na niego patrzyli.

- Bulkezu jest tyleż sprytny, co szalony. Nie mogę znać jego myśli.

- Proszę, Wasza Wysokość, załóż z powrotem hełm - powiedział brat Breschius. - Zabłąkana strzała może nadlecieć skądkolwiek.

Bayan mruknął, skończył pić i spełnił prośbę. Przez moment wytchnienia, gdy qumańska linia wciąż była w odwrocie i zaczynała załamywać się na całej długości, przyglądał się, mierząc ruchy różnych jednostek, ich siły i słabe punkty, wymieniając uwagi ze swymi kapitanami i wysyłając albo przyjmując posłańców. Księżna Sapientia jeszcze nie wycofała się z zamętu bitwy.

- Diabli! - wykrzyknął, klepiąc się po hełmie. Klnąc, rozpiął znowu paski. - Przeklęty szerszeń. - Podciągnął hełm, odsłaniając twarz, gdy próbował strzepnąć coś, czego Zachariasz nie mógł dostrzec. - Użądlił mnie!

Strzała trafiła go w gardło.

Bez żadnego dźwięku zsunął się z konia. Jego krew zwilżyła ziemię.

A świat wstrzymał oddech.

Nikt się nie odezwał. Powietrze trzasnęło, parząc - i wrzasnęło, jakby kobiecym głosem. Oby nikt nigdy nie musiał słyszeć kobiecego krzyku jak ten, nagiego żalu, surowego bólu. Grom zagrzemiał dokładnie nad nimi. Wiatr zawył ze wschodu, przygniatając Zachariasza. Konie spłoszyły się, brykając ze strachu, on zaś spadł przez zad swego wierzchowca i uderzył twardo o ziemię, podczas gdy wokół niego ungryjscy kapitanowie i wielmoże walczyli o opanowanie swych koni. Skulił się przed furią burzy, a tymczasem krew życia Bayana ciekła po ziemi, barwiąc na czerwono palce Zachariasza.

Burza ucichła równie nagle, jak się zerwała. Martwa cisza spowiła ziemię. Poniżej połączone armie zdawały się nieruchome.

Uciekający Qumanowie zebrali się razem i uderzyli mocno w słabnącą linię Wendarczyków i Ungryjczyków. Chorągiew księżnej Sapientii cofnęła się jak przed smagnięciem batem.

- O Panie, zaklinam cię, oszczędź jego życie - zawodził brat Breschius, zsiadając z konia i klękając obok księcia. Ujął jego bezwładną rękę, dotknął palcem sinych ust, a potem zapłakał. - Mój dobry władca Bayan nie żyje.

Wtedy rozpadła się grupa dowodzenia. Płacze i zawodzenia ungryjskich wielmożów rozległy się ze szczytu wzgórze. Stracili swego księcia, swoje szczęście, swojego dowodzącego; dla nich bitwa była skończona. Chorągiew z dwugłowym orłem została zwinięta. Ungryjscy żołnierze w centrum armii ujrzeli zwiniętą chorągiew i cofnęli się.

- Ach! - krzyknął Zachariasz, podnosząc się. Krew kapłała mu z ręki. Dostrzegł swego wierzchowca galopującego ku lasom. Był w pułapce na tym wzniesieniu, łatwy łup dla Bulkezu. Z jękiem rozpaczony rzucił się na ziemię. - Jesteśmy zgubieni.

W oddali zagrały rogi. Wielki okrzyk triumfu podniósł się w tylnych liniach, gdy złota chorągiew księcia Sanglanta wystrzeliła spośród drzew.

Sanglant poznał, że linia jest bliska przełamania i wiedział, co zrobić. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację na polu walki: zwinięta chorągiew Bayana, cofające się wojsko Ungryjczyków, chwiejące się wojska Sapientii na skrzydłach. Tylko Austriacy lady Berthy na lewym skrzydle utrzymywali pozycję. To mogło się zmienić, gdyby reszta armii straciła ducha.

Czy Bayan był ranny albo nawet zabity?

Nie ma czasu na rozważania, pomyślał i podniósł dłoń. Fulk otrząbił szarżę. Bębny zagrzmiały w rytm uderzeń kopyt.

Hałas był ogłuszający, ale mimo to krzyczał, pozwalając głosowi się wybijać.

- Za Wendar!

Pchnąwszy Resuelto naprzód, Sanglant poprowadził szarżę. Upadli na duchu Ungryjczycy rozdzielili się przed nimi. Na widok jego chorągwi skupili się, formując szyk za jego żołnierzami. Z Siboldem po prawej, a Fulkiem, Malbertem i Anshelmem wokół niego, uderzył w czoło linii Qumanów. Jeźdźcy padali, nacisk Qumanów przestał istnieć. Jednak kolejna linia wrogich jeźdźców zbliżała się z drugiego szeregu. Pochylił włócznię i skierował szarżę ku małej grupie jeźdźców bez skrzydeł, zapewne Wendarczyków, zdradców skuszonych obietnicą złota i niewolników.

Jeden z jeźdźców pchnął swego konia przed przywódcę, by przyjąć impet uderzenia. Włócznia Sanglanta ugodziła go ponad sercem i tamten spadł na ziemię. Sanglant uderzył jakiegoś qumańskiego jeźdźcę, wysadzając go z siodła, wyciągnął miecz i ciął bezskrzydłego przywódcę. Dopiero wtedy rozpoznał poobijaną tarczę chłopca, który kulił się za nią.

- Ekkehard! - Z trudem wykręcił przegub, uderzając płazem w hełm swego młodego przyrodniego brata i powalając go na bok, chociaż chłopak zdołał utrzymać się w siodle i odjechać. Jego trzech towarzysze rzucili broń i poddali się. Tylko jeden leżał na ziemi, stratowany przez własnego konia.

- Zabrać ich stąd! - krzyknął, zanim ruszył naprzód z Fulkiem i Siboldem po bokach i resztą swoich ludzi dookoła, gdy Anshelm został z tyłu, by zająć się Ekkehardem. Chorągiew Druthmara powiewała dumnie po prawej. Na lewym skrzydle lady Bertha powiększyła swoją przewagę i teraz zataczała szeroki łuk, by otoczyć walczące skrzydło Qumanów, ustawione przeciw niej. Dalej po prawej, za Druthmarem, Sapientia spisywała się całkiem dobrze, ośmielona jego sukcesem.

Wiedział jednak, że Qumanowie nie ulegną, dopóki nie zrobi tego ich wódz. Gryfie skrzydła błysnęły w słońcu, gdy stały wiatr przegonił chmury. Z okrzykiem triumfu wyrąbywał sobie drogę do Bulkezu. Ta walka będzie całkiem inna niż tamta przed sześciu laty, kiedy qumański beg zniszczył mu głos i omal nie odebrał życia.

Bulkezu obrócił się ku niemu. Nawet przez szczyk bitwy Sanglant słyszał jego śmiech, gdy się zwarli. Sanglant miał przewagę wysokości - wendarskie konie były po prostu większe niż powolne koniki Qumanów. Zasypał Bulkezu gradem ciosów z góry, ale gryfi wojownik parował wszystkie tarczą lub mieczem. Iskry sypnęły, gdy gryfie pióra wyszczerbiły wendarską stal. W końcu jednak brutalna siła zwyciężyła i potężny cios wytrącił Bulkezu miecz z dłoni.

Bulkezu rzucił się na Sanglanta, uderzając tarczą. Chwyciwszy Sanglanta za pas, ściągnął księcia z wierzchowca. Obaj potoczyli się po ziemi. Konie zerwały się i umknęły, przerażone szalejącą wokół bitwą.

Bulkezu wyciągnął sztylet, próbując przełamać uścisk Sanglanta, ale książę przełożył tarczę wokół grzbietu Bulkezu i uderzył go w twarz jej kulą. Za każdym ciosem w osłonie twarzy pojawiała się wielkie wgniecenie i żelazo zaczęło pękać. Krew wyciekała ze szczelin na oczy, gdy Sanglant uderzył po raz czwarty.

Bulkezu szarpnął się wstecz, przerzucając ramiona na jedną stronę, by gryfie pióra wcięły się w lewe ramię Sanglanta. Tarcza upadła na ziemię z przeciętymi skórzanymi paskami. Bulkezu chwycił jego przedramię i pchnął je, wykręcając i miecz wylądował na ziemi. Uderzył sztyletem w głowę Sanglanta. Cios zdarł płatki złota ze smoczego hełmu. Sanglant przytrzymał butem ramę skrzydła i pchnął. Złamało się, a oni potoczyli się po ziemi. Drugie skrzydło pękło, rozsiewając wokół gryfie pióra, kiedy się okładali pięściami.

Sanglant dostrzegł atakującego jeźdźcę i ledwie zdążył chwycić swój miecz i unieść go, by odparować cios, który zapewne strzaskałby mu głowę. Bulkezu kopnął go, wygramolił się i natychmiast zniknął we wzburzonym morzu bitwy. Sanglant zabił qumańskiego jeźdźcę, zanim Fulk zrobił mu miejsce, by znów dosiadł Resuelto.

- Bulkezu? - krzyknął, gdy Resuelto harcował, unikając gryfich piór, które mogły mu przeciąć kopyta.

Bulkezu zniknął, nie do wyśledzenia bez swoich gryfich skrzydeł. Sztandar Pechanków zachwiał się i nagle zapadł się pod kopytami wendarskiej szarży. Ryk triumfu wzniósł się nad wendarskimi oddziałami, gdy linia Qumanów legła w gruzach. Ungryjczycy zbierający się wokoło wykrzykiwali imię Sanglanta.

Między jednym a drugim oddechem bitwa zmieniła się w pogrom. Najdzielniejsi wojownicy qumańscy wkrótce zostali izolowani i otoczeni, i w taki sposób zginęli pośrodku swoich wrogów.

- Wysłać gońców! - zawołał książę do Fulka. - Niech wszystkie brody i promy na zachód i na wschód mają się na baczności.

On sam i jego kapitanowie wycofali się z pola, pozwalając żołnierzom na dokonanie rzezi, o ile zdołają dopaść uciekających Qumanów, rozproszonych teraz na wszystkie strony. Na wzniesieniu zastali brata Breschiusa i tuzin ungryjskich wielmożów przygotowujących ciało Bayana do przewozu. Zdjęli z niego zbroję. Sapiaientia już tam była, lamentując jak zagubione dziecko i rozdrapując sobie policzki. Jej dwórki musiały powstrzymać ją dwa razy przed rzuceniem się na jego zakrwawione ciało.

Sanglant przyglądał się tej scenie z ciężkim sercem. Cała żywotność Bayana przepadła, uleciała, a to, co pozostało, było zaledwie skorupą. Płakał otwarcie, oddając Bayanowi cześć swoim żalem, gdy tymczasem Anshelm przemywał i opatrywał cięcia na jego lewym ramieniu, gdzie gryfie pióra poprzecinały skórę. Cięcia bolały jak diabli, ale ten ból ani w połowie nie dorównywał bólowi oglądania martwego Bayana.

Kapitan Fulk nadjechał z najnowszymi doniesieniami: lady Bertha podążała w ślad za dużym oddziałem na zachód, ku Vesper; wielmożny Wichman, doszedłszy do siebie po wcześniejszej klęsce swego wojska, zajął się z zapalem wyrzynaniem wszystkich Qumanów, których on i jego ludzie dostali w swe ręce. Lwy Thiadbolda pojmały jakieś książątko, syna bega, ale nie był to Bulkezu. Odnaleziono matkę księcia Bayana wraz z jej niewolnikami zawodzącymi wokół niej: ona także była martwa.

- Gdzie jest mój brat Ekkehard? - spytał cicho Sanglant, nie chcąc, by to usłyszała Sapiaientia. Nie umiał zgadnąć, jaka będzie jej reakcja na wiadomość o zdradzie Ekkeharda.

Fulk skinął głową.

- Zabrali go do taboru i umieścili pod strażą Lwów, książę panie. Są dość rozsądni, by go traktować spokojnie. Co z Bulkezu? Ścigamy go?

- Nie. Wątpię, czy została nam więcej niż godzina światła dziennego. Wyślij Druthmara do taboru. Chcę, żeby moją córkę odprowadzono zaraz naprzód pod silną ochroną. Ja zaś złożę wyrazy szacunku mojej ciotce i przypomnę jej, komu ma dziękować za uratowanie jej miasta i księstwa. Sapiaientia i ja wjedziemy do Osterburga razem, ze zwłokami Bayana.

- Ale książę Bulkezu jest wolny - oponował Sibold. Stał w strzemionach, podniecony, trzymając wysoko złotą chorągiew na znak zwycięstwa, i badał wzrokiem pole poniżej. Pokrywały je połamane skrzydła. Pióra unosiły się na wietrze. Jakiś wierzchowiec starał się wstać, ale nie mógł ustać na nogach. W górze krążyły wrony. Uciekający w pośpiechu Qumanowie rozproszyli się na grupy po dwóch, dziesięciu i dwudziestu, trudne do schwytania, ale łatwe do zabicia, gdy już zostały doścignięte. Wielu uciekło do lasu, zmykając na wschód jak wystraszone szczury do odległego kraju.

Sanglant pokręcił przecząco głową, mrużąc oczy, gdy w oddali jakiś żołnierz zsiadł z konia i klęknął, by obejrzeć jego rany. Sapiaientia wciąż łkała. On sam otarł łzy z policzków, myśląc o toastach, których już więcej nie wzniesie z Bayanem.

- Jutro będzie dość czasu, by ścigać Bulkezu. Może leży już martwy gdzieś na polu.

- A jeżeli nie? - spytał Fulk.

- Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś Quman umiał pływać. Będzie musiał się przepawić brodem albo promem. Moi żołnierze będą na niego czekać.

Ze wzniesienia na wschodnim brzegu Vesper Hanna w milczącym uniesieniu obserwowała starcie dwóch armii. Nawet z daleka widać było, że Wendarczycy są lepiej uzbrojeni i że ciężar ich większych koni i większych tarcz daje im przewagę, mimo odbierającego siły upału. Pot ściekał jej po czole, a tunika kleiła się do pleców. Związanymi rękami odganiała chmurę komarów rojących się wokół jej twarzy. Powrozy krępowały jej ruchy, nie miała więc nadziei na ucieczkę. Po niewczasie zdała sobie sprawę, że związane

jej ręce, żeby nie mogła przeszkadzać w innej toczonej bitwie, tej tajnej. Wstrzymywała dech, dopóki Cherbu nie przestał mruzczeć i śpiewać. Coś się działo...

W szeregach Ungryjczyków podniósł się okrzyk rozpacz i zawodu. Sztandar księcia Bayana, łatwy do rozpoznania z dużej odległości, został zwinięty, jak gdyby on sam zginął.

Zginął!

Wiedziała, na widok ponurej twarzy Cherbu, że qumański szaman zabił księcia przy użyciu magii. Westchnął, zsiadł z konia i położył się na wznak na ziemi, rozłożywszy ręce i nogi na kształt rozgwiazdy, jakby oczekiwał swego losu.

Nagle zerwała się burza.

Pierwszy podmuch wiatru dosłownie zwałił Hannę z konia. Uderzyła o ziemię, tłukąc sobie biodro, i leżała ogłuszona, podczas gdy wokół biły gromy, błyskawice płoszyły konie, a pachnąca spalenizną chmura przeszła obok, kładąc trawę pokotem.

Gdy wszystko ucichło, wzięła dwa głębokie oddechy. Skóra piekła, jakby ją pokłuły szerszenie. Twarz po uderzeniu przez Bulkezu pulsowała bólem, a biodro bolało po przetoczeniu się po ziemi. Jakaś włócznia przesuwiała się leniwie przed jej oczami. Przynajmniej strażnicy nie zapomnieli o swoich obowiązkach.

Ostrożnie wstała, zagryzając zęby. Ból przeszył jej biodro i sięgnął aż do ramienia. Dławił ją swąd spalonego ciała.

Cherbu był martwy, a jego ciało poczerniało i powykręcane. Poraził go piorun. Jej żołądek ścisnął się. Upadła na kolana i zwymiotowała.

Wśród strażników rozległy się nieskładne okrzyki radości. Zdziwiona podniosła głowę, w samą porę, by zobaczyć Bulkezu. Jego gryfie skrzydła połyskiwały na odległym polu jak światło przewodnie, gdy prowadził szarżę na armię wendarską. Legion ungryjski już zaczął się wycofywać.

Czy nie był to jej obowiązek? Być świadkiem i zapamiętać, żeby potem donieść królowi? Wyprostowała się dumnie, chociaż sprawiało to ból. Nie ma znaczenia, co się stanie, o ile będzie miała dość sił, by się przeciwstawić Bulkezu. Jeżeli on ją pokona, będzie tak, jakby pokonał króla Henryka. Może to właśnie była gra, w którą grał z nią przez cały czas?

Kiedy więc zagrały rogi i z zalesionego obszaru na wschodzie wyłoniła się złota chorągiew, poczuła że nie może powstrzymać okrzyku nadziei i triumfu. Kto nosił tę złotą chorągiew? Jaki księżę czy szlachetna pani przybył na pomoc Sapientii?

Pył przesłonił tę scenę. Wokół niej strażnicy mamrotali coś nerwowo, gdy doleciała do nich bitewna wrzawa w wiejącym ze wschodu wietrzyku. Nie było możliwe rozpoznanie, kto wygrywa. Nie było możliwe rozpoznanie czegokolwiek, poza okrzykami i komendami dolatującymi z pola.

Z początku nie poznała jeźdźca wypadającego galopem z zamętu bitwy i pędzącego ku nim z tuzinem żołnierzy qumańskich. Potrzaskane drewniane ramy jego skrzydeł zwisały, gubiąc jaskrawe pióra. Gryfie pióra.

Gdy Bulkezu wjechał na górę, śmiała się, widząc go upokorzonego, ale gdy ściągnął swój poobijany hełm i bezkształtną zasłonę twarzy, śmiech uwiązał jej w gardle. Krew ciekła mu po twarzy z rany w kącie oka, gdzie wbiła się maska. Płat skóry zwisał, odsłaniając białą kość. Straszliwy wyraz jego twarzy przyprawił ją o dreszcz, gdy końcem włóczni trącał zwłoki swego brata. Bez słowa zawrócił konia, dał znak i ruszył szybko na południe. Teraz towarzyszyło mu już około trzydziestu żołnierzy. Nie widziała żadnego śladu księcia Ekkeharda i jego towarzyszy.

Udawali, że jadą na południe, zanim skręcili na wschód, poganiając konie do granic możliwości. Dwukrotnie wpadli na grupy żołnierzy wendarskich i po potyczkach przebijali się na swobodę. Zawsze jednak tracili kilku ludzi, rannych lub zabitych. Po tym jak za pierwszym razem próbowała uciec podczas takiej walki, Bulkezu uwiązał jej powróż do szyi i zmusił do jazdy tuż za nim. Kiedy pozwalała swemu wierzchowcowi zbyt odstawać, pętla dusiła ją. Gdy podjęła próbę przewrócenia jego konia, obrócił się i uderzył ją prętem w twarz.

Jej nos krwawił, a biodrem targały skurcze. Zrobiło się zbyt ciemno, by jechać dalej. Konie dyszały, wykończone. Musieli stanąć, wykorzystując ten czas, by zjeść i napić się.

Zostało ich ze dwa tuziny, skradających się przez las, porozumiewających się za pomocą pogwizdywania. Z przodu usłyszeli krzyki, rzenie koni i odgłosy walki. Bulkezu szarpnął jej powróż i pociągnął naprzód. W tym czasie ledwie już mogła chodzić; ból w biodrze przenikał ją do głowy, bolały ją zęby. Ukryli się w gęstych zaroślach na skraju jakiejś polany.

Zakrył jej usta dłonią, żeby nie mogła krzyknąć. Kiedy zetknęli się głowami, krew z jego rany pociekła na jej policzek, gorąca i lepka, a gdy się wślizgnęła między wargi, przełknęła odruchowo. Nikt nigdy nie



wytknął Hannie, urodzonej i wychowanej do ciężkiej pracy, słabości, ale uścisk Bulkezu był niczym żelazne łańcuchy, jakby mężczyzna nie był człowiekiem, a demonem.

Grupa wendarskich jeźdźców, w sile co najmniej pięćdziesięciu, otoczyła znacznie mniejszą grupę żołnierzy qumańskich w niewielkiej osadzie. Uciekający Qumanowie schronili się w dwóch chatach i z ukrycia zaczęli strzelać.

Pojawił się jakiś wielmoża na czele tuzina pomniejszych panów. Wszyscy klęli i śmiali się, urągając zapędzonym w pułapkę Qumanom. Nie zważali, że tratujać ogrody, przewracają ogrodzenia i puste kurniki rolników, którzy tu mieszkali. Zapewne te rodziny schroniły się w Osterburgu. Hanna rozpoznała wielmożnego Wichmana, gdy wezwał sześciu łuczników. Ognie zakwitły na sześciu strzałach i utworzyły piękny łuk, gdy strzały wzbily się w powietrze i wylądowały na strzechach.

Kilku Qumanów próbowało wyrwać się z płonącej śmiertelnej pułapki, ale zostali naszpikowani strzałami. Pozostali woleli umrzeć, spaleni żywcem, w milczeniu.

Bulkezu mruknął coś, wycofując się z powrotem do lasu, i ruszyli dalej. Wilgotny grunt utrudniał wędrówkę. Wkrótce jej buty oblepiły się błotem. Po chwili żołnierze musieli ją nieść. Po niekończącej się podróży, podrzucana i wytrząsana, poczuła woń końskiego nawozu, usłyszała szum rzeki i została bezceremonialnie wrzucona w przegniłe szczątki jakiejś starej szopy. Nic nie widziała, słyszała tylko jak Bulkezu i jego ocaleli ludzie szepczą do siebie, usadowieni dookoła niej.

Pod zapadającym się dachem grunt był suchy. Krzywiąc się, wyprostowała nogę, przekręciła się na plecy i zaczęła masować dłońmi biodro. Ból zmalął.

Wtedy właśnie usłyszała głosy Lwów.

Zdawali się ledwie sobie radzić z silnym prądem rzeki płynącej za jej plecami.

- Tam! Wychodzi z wody!

- Za tobą, durniu!

- Mam go!

- Chwała Bogu!

Ucichli. Pomyślała, że mogła się zdrzemnąć i usłyszeć te słowa we śnie. Dziwne, że jeden z tamtych głosów brzmiał zupełnie jak głos jej starego przyjaciela Ingo. Dręczyła ją nadzieja, uniemożliwiająca sen.

Bulkezu przykucnął obok niej.

- Przegrałeś. - Nie dbała już o to, co się z nią stanie. Nie przejmowała się, że ją zabije. Kierowała nią tylko i wyłącznie nienawiść. - I co możesz teraz zrobić, jeśli nie uciec jak zbity pies?

- Nadal jestem jedynym człowiekiem na stepach, który zabił dwa gryfy - odpowiedział całkiem poważnie, po czym cicho mruknął.

Miała nadzieję, że rana bardzo mu dokucza, że cierpi.

- Begowie nie mogą odwrócić się do mnie plecami - dodał. - Jedna klęska nie oznacza końca wojny.

- Czego ty chcesz?

Milczał tak długo, że usiadła, strzepując stęchłą słomę z warg. Pragnienie paliło jej gardło.

Ciszę przerywał tylko szum rzeki, nie posiadającej głębokiej siły Vesper. Płynęła lżej, śpiewając na kamieniach i płycznach, a basowa melodia jej głównego nurtu prawie ginęła pod tymi wyższymi nutami i pod stałym głośnym szumem wiatru w drzewach. Przypomniało jej to pędzącą rzekę po bitwie przy kurhanie, kiedy matka Bayana przywołała powódź, która zmiotła czołówkę qumańskiego pościgu i zablokowała rzekę, co powstrzymało armię Qumanów wystarczająco długo, by Bayan i Sapientia zdołali wyprowadzić swe pobite wojska w uporządkowanym odwrocie.

Czy Bayan naprawdę nie żyje? Co się stało z jego matką? Czy to jej magia powaliła Cherbu?

Nie mogła dłużej wytrzymać.

- Jeżeli szczęście kerayickiej szamanki ginie, co się dzieje z szamanką?

- Umiera.

- Dlaczego zaryzykowałeś zabójstwo matki księcia Bayana, a nie chcesz zabić mnie? Czy wy wszyscy boicie się kerayickich władczyń pogody?

- Każdy mądry człowiek się ich boi. To była jednak nasza jedyna szansa. Ten drugi książę jest chroniony przed magią Cherbu, musiałem więc uderzyć w Bayana. - Najpierw cicho, potem głośniej, zachichotał tym wstrętnym, złośliwym, szalonym śmiechem.

- I tak od dawna chciałem się go pozbyć. Żał mi jednak, że straciłem Cherbu. - Nic w tonie jego głosu nie potwierdzało tego oświadczenia.

- Z pewnością Cherbu wiedział, że jeśli uderzy w Bayana, matka Bayana pomści syna.

- Cherbu i tak mnie nie lubił. Był zazdrosny o to, że urodziłem się wcześniej, i że musi mnie słuchać.

- Czy w ogóle ci na nim nie zależało?

Nie odpowiedział.

- Dlaczego nie kazałeś mnie zabić, jeżeli gniew mojej kerayickiej szamanki nie ugodzi w ciebie, tylko w tego, kto zada śmiertelny cios?

- Nie, to twojej młodej szamanki się lękam. Lękam się tej sowy, która cię strzeże, a która jest wysłanniczką Przeróżającego.

Hanna pomyślała, że naprawdę usłyszała w jego głosie strach. Wstał i szybko wyszedł na zewnątrz. Splunęła i otarła usta. Przy drzwiach przykucnęli dwaj strażnicy. Przyglądali jej się. Jeden z nich trzymał uwiązany u jej szyi powróż. Westchnęła i z powrotem się położyła.

Żadne Lwie głosy nie śpiewały jej serenad, gdy drzemała, budząc się co jakiś czas, kiedy w jej myślach goniły się pytania. O jakim innym księciu wspominał Bulkezu? Kto jechał pod złotą chorągwią, wylaniającą się z lasu? Czy to Sanglant uratował położenie? Czy to możliwe, że Liath była przy nim, ukryta za sprawą magii?

Ciemność zelżała, a kiedy po nią przyszedli, była w stanie iść bez zbytniego dyskomfortu. Jej konia prowadził strażnik. Podążali w dół rzeki, zanim pokusili się o przeprawę, ale pierwszy, który odważył się wjechać do wody, został porwany przez szybki nurt, nie głęboki, lecz silny. Zsunął się z siodła, a skrzydła wciągnęły go w dół. Koń walczył z wodą, znikając im z oczu w mroku przedświt.

Żołnierze czynili jakieś znaki, jakby dla odwrócenia złego oka. Nawet Bulkezu nie wydawał się chętny do sprawdzania siły wody, chociaż Hanna chętnie by popłynęła, gdyby miała szansę. Nigdy nie bała się rzeki i była bardzo rada, że oni się bali. Jeśli tu zostaną, uwięzieni w pułapce przez wodę, w końcu dopadną ich wrogowie.

Rozległ się za nimi trzask łamanej gałęzi, następnie zabrzmiał ostrzegawczy gwizd. Qumańscy żołnierze odwrócili się, podnosząc broń.

Dostrzegła swoją szansę. Szarpnęła ostro powróż, wyrwując go z ręki Bulkezu i skoczyła do rzeki. Szybko zniknęła pod wodą. Kiedy wypłynęła, rzuciła się naprzód ku głębszej wodzie. Bulkezu przeklinał i podniosły się krzyki. Gromada ludzi wyszła zza drzew, otaczając grupę Qumanów i ich konie.

Chwytał ją prąd. Ze związanymi rękami trudno jej było utrzymać głowę ponad wodą. Płynący powróż zaczepił o coś i zacisnął się.

- Hanna!

Właśnie wtedy, gdy pętla się zacisnęła, dławiąc ją, gdy jej wzrok się zmącił, a woda zamknęła się nad jej głową, chwyciła ją czyjaś dłoń. Przecięty powróż odpłynął, ona zaś, krztusząc się, przetoczyła się na brzuch i zaległa na kamienistym brzegu. W końcu spojrzała w górę, by ujrzeć stroskane i przerażone twarze czterech znajomych ludzi: Ingo, Leo, Folkina i Stephena, jej dobrych przyjaciół spośród Lwów.

- Bulkezu! - krzyknęła, usiłując wstać, ale Ingo ją powstrzymał.

- Nie, pojaliśmy całą grupę tych, którzy cię wzięli. Chcesz powiedzieć, że ten z połamanymi skrzydłami to książę Bulkezu we własnej osobie? - Roześmiał się w głos i żartem klepnął Folkina w ramię. - Czy to nie piękny łup do przekazania księciu Sanglantowi?

- Boże - szepnęła Hanna. - Jestem wolna.

A potem rozkleiła się, nie potrafiąc pohamować nawałnicy łez.

## 5

Rosvita wstała o świcie i po modlitwie obejrzała pierwszą z książek, które Heriburg i Ruoda znalazły wczoraj w pałacowej bibliotece. Ta kopia *Żywota Taillefera* prozą, pióra jego wiernego kleryka i doradcy Albinusa, uważanego w swoim czasie za najbardziej uczonego z ludzi, potwierdziła to, co już wiedziała. Taillefer miał cztery córki, które dożyły dorosłości. Trzy robiły karierę w Kościele, włącznie ze sławną biskupiną Tallią, czwarta zaś, Gundara, po pewnych nieokreślonych kłopotach, została wydana za mąż za diuka Rossalii, najpotężniejszego wielmożę w królestwie, poza rodziną samego Taillefera. Albinus nie mówił nic więcej o życiu Gundary, wspominał tylko, że zestaw bogatych zasłon do łoża, trzy tkaniny belguiskie, kwadratowy stół z przedstawieniem wszechświata jako siedmiu sfer i cztery skrzynie skarbów ze srebrnymi i złotymi naczyniami zostały jej zapisane w testamencie Taillefera.

- Oto jest *Kronika Vitalii*. - Ruoda otworzyła następną księgę na odpowiednim rozdziale. Kleryczka i diakonisa Vitalia z saliańskiego konwentu Świętej Ceneri na Eides, napisała obszerną historię swego klasztoru. To jej lepszemu rozumieniu, jako kobiety, zawdzięczano odkrycie wielkiej ilości szczegółów.

W wojnach domowych toczonych po śmierci Taillefera triumfował kuzyn siostrzeńca wielkiego cesarza, Lothair, i został koronowany na króla Salii. Nigdy nie był jednak dość silny, by przybrać tytuł cesarza.

W tym samym roku najazdy Eików spustoszyły Rossalię, a diuk zginął, broniąc swego kraju. Gundara została bogatą wdową nadzorującą wychowanie trojga dzieci. Sam Lothair zażądał jej ręki, wysyłając swoją pierwszą żonę do klasztoru, by poślubić córkę Taillefera. Zdaniem Vitalii został pokarany przez Boga za ten grzech arogancji i zachłanności, a jego stare lata zatruty mu rozmaite rebelie, knute przeciw niemu i jego skłóconym synom.

- Nic to jednak nie mówi o losie innych dzieci Gundary i diuka Rossalii - zauważyła Ruoda. - Najstarszy chłopiec, Karol, odziedziczył księstwo, kiedy stał się pełnoletni. Poślubił Małgorzatę z Derisy i miał syna, który po nim dziedziczył. Czego szukasz, siostrze Rosvito?

Suchy zapis na pożółkłej stronie nie dawał żadnych wskazówek. Mówił tylko w słowach skopiowanych przez skrybę o zdarzeniach zapisanych ręką kogoś dawno zmarłego.

- Czasami czuję się jak mysz skubiąca skraj jakiejś sekretnej wiedzy ukrytej w moim sercu. Jeżeli dam tej myszy kolejną chwilę na ucztowanie, odkryję to, co pragnę wiedzieć. Muszę tylko być cierpliwa.

Spojrzała, marszcząc brwi na zabandażowaną dłoń Heriburga.

Dziewczyna oparzyła się wczoraj, próbując wydrapać magiczne znaki na cynowym medalionie. To zdarzenie wystraszyło je wszystkie, a na razie Rosvita zadowolili się zawieszeniem nad drzwiami i oknami łądyg kopru i gałązek olchy, by ustrzec się szpiegowania.

- Pani moja. - W drzwiach pojawiła się Aurea. - Przyszedł brat Petrus.

Trzeba było udać się do króla, chociaż Rosvita uznała za dziwne, że przyszedł po nią prezbiter, a nie jeden z dygnitarzy Henryka. Zabrała ze sobą Fortunatusa i wysłała młode kobiety do scholi. Dołączyli do Henryka i dworu podczas południowych modlitw w kaplicy królewskiej, jak to było w zwyczaju w Aoście. Królowa Adelheid i jej otoczenie modlili się w kaplicy królowej. Oba te budynki łączyła kolumnada i tędy Henryk poprowadził swój orszak po zakończeniu seksty do królewskiego ogrodu.

- Chodź ze mną, siostrze Rosvito - powiedział, wkraczając do ogrodu.

Figury wszystkich zwierząt znanych myśliwemu stały wzdłuż zwirowych ścieżek obrzeżonych karłowatymi krzewami albo ukrytych za wyższymi szeregami cyprysowych szpalerów. Jelenie i wilki, dziki i lwy, żubry, guivre'y i gryfy, a także niedźwiedzie spoglądały groźnie. Rosvita pomyślała jednak, że ich groźby nie były ani w połowie tak straszne jak dworzanie Aosty, uprzejmie uśmiechnięci i o czarujących manierach.

Za kwadratowym ogrodzeniem leżał czarujący labirynt kwiatowy, którego wijące się ścieżki były wytyczone rabatami hyzopu i rumianku, kwiatów wabiących pszczoły, purpurowych chmur lawendy, ostatnich bladych kwiatków tymianku. Lato wypluło mocne zapachy, ale zostało ich jeszcze trochę. Gdy szła za Henrykiem wąską ścieżką, czuła wspaniałe zapachy.

Znała tę ścieżkę lepiej niż on i musiała przeprowadzić go obok dwóch mylnych zakrętów, zanim dotarli do ławki otoczonej kręgiem starannie przyciętych krzaków róż. Stąd patrzyli w tył ponad niskimi krzewami bukszpanu, gdy Adelheid wyłoniła się z kaplicy królowej w otoczeniu Hugona i swoich dam. Ujrawszy Henryka, uwolniła się od dworzan i ruszyła przez ogród.

- Pozwól mi mówić szybko, siostrze. - Letnia kampania zmęczyła Henryka. Nowe zmarszczki zagnieździły się w kącikach oczu i oszczędzał jedną nogę. - Dowiedziałem się, że mam poważny kłopot w Wendarze, poważniejszy niż wszystko tu w Aoście. Diuk Konrad ożenił się wbrew mej woli. Krąży pogłoska, że zamierza ogłosić się księciem równym mnie, na zachodzie. Armia Qumanów wtargnęła ze wschodu. Kupcy przynoszą wieści o ataku Eików na Albę, a wygląda on raczej na inwazję niż napad, co może na wiele lat przerwać handel. Zaraza, głód i susza dręczą moich lojalnych nobilew. Jak mogą panować w Aoście, jeśli Wendar popada w ruinę? Co prawda Aosta cierpiała przez całe lata te rozmaite nieszczęścia... Jeszcze jeden rok spędzony w polu i z pewnością będę mógł być koronowany na cesarza, a wtedy żaden potężny ród nie podniesie broni przeciwko mnie. W głębi serca wiem jednak, że mądrzej jest wrócić teraz do Wendaru. Chciałbym usłyszeć twoje zdanie, siostrze, zanim wygłoszę publiczne oświadczenie.

- Nakładasz na mnie wielką odpowiedzialność, Najjaśniejszy Panie.

Skinął głową.

- I tak jest. Villam już mi wyjawiał swoją opinię. Doradza, żebyśmy wyjechali na północ tak szybko, jak się da, ze względu na pogłoski, które słyszeliśmy o wczesnych śniegach w górach. Jeżeli się nie pośpieszymy, możemy nie przekroczyć przełęczy przed następnym rokiem. Nie potrafię przewidzieć, co może się wydarzyć w Wendarze przez zimę i wiosnę, jeżeli nie przybędę tam teraz, żeby uporządkować sprawę. Co mi doradzasz, siostrze Rosvito?

Jego wzrok był przenikliwy, prawie bezlitosny. Miał dziś na sobie tunikę w kolorze bluszczu, przybraną bladym jedwabiem oraz pończochy i getry, które mógłby nosić każdy szlachetnie urodzony, ale nikt, widząc Henryka w takim stroju, nie miałby wątpliwości, że to król.

- Proszę, daj mi moment na zastanowienie się.

Adelheid dotarła do bramy, kazała ją otworzyć jednej ze swoich dwórek i ze słodkim uśmiechem na twarzy posuwała się po zawiłych ścieżkach ku środkowi. Dobrze знаła ten labirynt.

- Są tacy, którzy odradzają powrót do Wendaru. - Przyglądał się swojej młodej królowej z dziwnym wyrazem w oczach, jak człowiek, który jest w równej mierze zadowolony i rozdrażniony. Jego spojrzenie przeskoczyło na zewnątrz, gdzie Hugo rozmawiał z Helmutem Villamem, księżną Liutgardą i innymi dostojnikami. - Słyszałem pogłoski.

- Ja także, Wasza Królewska Mość, i nie widzę powodu, żeby wierzyć w to, co podszeptuje plotka. Mówić źle o innych to grzech, który szkodzi nie jednemu, a trzem osobom: temu, o którym mowa, temu, kto mówi nieprawdę i temu, kto słucha oszczerstwa. Królowa Adelheid jest kobietą honorową i mądrą. Nie sądzę, byś miał powód bać się, że ona zaszkodzi waszemu małżeństwu.

Jaka kobieta mogłaby pomyśleć o innym, mając za męża Henryka? To nieprawdopodobne!

Zerwał z najbliższego krzewu piękną czerwoną różę.

- A jednak nawet najświeższe kwiaty mają ciernie. - Uszczknął płatek kwiatu i dotknął nim warg. - Co mi radzisz, siostrze?

- Jeżeli wrócisz do Wendaru, nie możesz pozwolić, żeby mówiono, że Aosta cię pokonała. Jeżeli jednak pozostaniesz tutaj, a twoje królestwo osłabnie, bo zabraknie cię tam, wtedy twoja pozycja tu jest stracona. Wendar i Varre są królestwem, które twój ojciec oddał w twoje ręce, Wasza Królewska Mość. Nie zapominaj, że jesteś przede wszystkim Wendarczykiem, urodzonym z długiej i wspaniałej linii przodków w dzielnym i wojowniczym narodzie.

- Moja królowa - powiedział z prawdziwym uśmiechem, gdy podeszła do nich Adelheid. Powrót Henryka rozświetlił tę młodą kobietę. Zaśmiała się zachwycona, kiedy jej ofiarował różę, chociaż ostrożnie sprawdziła kolce, zanim przyjęła kwiat.

- Pozdrawiam cię w tym pięknym dniu, siostrze Rosvito - powiedziała radośnie, upajając się wonią róży. - Obawiam się, że ty i król coś planujecie, i że cała moja intryga na nic. Widziałaś tę trupę ćwiczącą na arenie, czyż nie? Chciałam, żeby to była niespodzianka.

Tym sposobem przyjaźnie szczebiocąc, Adelheid wciągnęła ich z powrotem w objęcia dworu. Uczta ciągnęła się przez cały dzień i przez następny. Jadło i napoje płynęły jak rzeka, bez końca. Petenci przychodzili i odchodzili. Trupa akrobatów zabawiała widzów sztuczkami na linie, a poeci śpiewali na cześć króla i królowej.

Rosvita cieszyła się uczta jak wszyscy, ale mimo to z ulgą z niej uciekła późnym wieczorem drugiego dnia. Nie miała okazji porozmawiać na osobności z królem ani nawet z Villamem, który wydawał się pochłonięty admirowaniem kobiet. Wszystkie były młode, a większość pociągająca. Nawet królewski Orzeł, Hathui, była zajęta nalewaniem wina, przenoszeniem wiadomości i usługiwaniem u boku króla. Jutro uczta miała trwać dalej, ale dwór królewski przeszedł przez dziedziniec, oddzielający pałac ziemski od duchowego i dołączył do skoposy w jej wielkiej hali podczas posiłku godnego cesarza, jak szeptano.

Kiedy wracali do jej komnat, Fortunatus zabawiał ją rozmową.

- Czy myślisz, że ci akrobaci będą występować także i dla Świętobliwej Matki? Te dziewczyny mogłyby być małpkami. W życiu nie widziałem takich sztuczek na linie. A ta zonglerka! Czy wiesz, że kiedy byłem dzieckiem, widziałem występ tresowanej małpki? Żniwa zawiodły tamtego roku - wyobraź sobie, że to pamiętam! - i potem słyszeliśmy, że ci wędrowni aktorzy musieli sprzedać wszystko, co posiadali, żeby wydostać się z Mainni i uciec przed głodem. Ta małpka została przerobiona na siekane mięso, a wszyscy, którzy jedli kielbasę zrobioną z jej ciała, zachorowali i umarli.

- Budująca opowieść, bracie. Nie wiem, czy współczuć bardziej tym głodnym duszom, które ucierpiały, czy temu biednemu stworzeniu, opuszczonemu przez pana, a potem zabitemu.

- Ugryzła mnie - dodał, wykrzywiając psotnie usta. - Chciałem ją tylko pogłaskać. Nie mogłem mieć więcej niż sześć czy osiem lat. Myślę więc, że aktorzy ją sprzedali, bo sprawiała kłopoty. Albo może była to tylko historia, którą moje siostry opowiedziały mi, żebym płakał na myśl, że umrę następny przez ten ślad, który zostawiła mi na palcu. - Podniósł dłoń i rzeczywiście wyraźna biała blizna przecinała mu kciuk.

Roześmiała się.

- Więc to prawda, że zawsze wpadasz w kłopoty, bracie. Tak mi się też zdawało.

Miał przemiły, szeroki uśmiech. To była jedna z tych rzeczy, za które go kochała.

- Nie, siostrze, jestem niewinny. To tylko dlatego, że staram się iść za twoim przykładem, okazując ciekawość.

Aurea dostrzegła nadchodzących i otworzyła drzwi, ale nie weszła za nimi tam, gdzie Ruoda, Heriburg i Gerwita stały przy stole nad wielką otwartą księgą. Poderwały się, zmieszane, gdy Rosvita weszła, a Heriburg przytomnie przewróciła pergaminową stronę, powoli, jakby ją tylko przeglądała. Gdy drzwi się zamknęły, odwróciła stronę z powrotem.

- Znalazłyśmy! - wykrzyknęła triumfalnie Ruoda. - A właściwie - dodała, rumieniąc się - Gerwita to znalazła.

- Co znalazłyście?

Gerwita, zbyt nieśmiała, by mówić, skinęła na Heriburg, żeby wyjaśniła.

- To są *Annały Autunu* z lat, gdy pastorat biskupi dzierżyła biskupina Tallia. Kończą się wraz z soborem w Narvone, kiedy biskupina Tallia straciła pastorat i biskupstwo Autuny z rozkazu Świętej Matki Lei, trzeciej tego imienia. Wydaje się, że Świętobliwa Matka i jej doradczynie zdecydowały się złamać władzę córek Taillefera nad Kościołem w Salii.

- To bardzo interesujące dla historyków - zgodziła się Rosvita - ale co to ma wspólnego z kwestią, o której rozmawialiśmy przedwczoraj?

Ruoda dotknęła strony palcem.

- Znalazłyśmy inne dzieci lady Gundary. Spójrzcie tu! Dziewczynka imieniem Thiota została oddana Kościołowi, ale zmarła, zanim mogła złożyć śluby. Młodszy syn imieniem Hugo został zaręczony w wieku lat czterech z córeczką jedynaczką hrabiny Lavasu, zwaną Lavastina. Więc - skończyła triumfalnie - stąd te psy.

- Nie - powiedziała cicho Gerwita. - Psy Lavasu nie były w posiadaniu hrabiów Lavasu, dopóki syn hrabiny Lavastiny, Karol, nie odziedziczył ich po śmierci matki. Mówiono powszechnie, że była to klątwa Wrogięgo, bo Karol Lavastine zabił ojca i matkę w obawie, że będą mieli córkę, która zajmie jego miejsce.

Wszyscy spojrzeli na nią w skupieniu.

- Ta historia jest dobrze znana w północnym Varre, siostrze. Moja rodzina pochodzi stamtąd, spod opactwa Firsebarg.

- Czy nigdy nie mówiono, że hrabiowie Varre byli przez to spokrewnieni z cesarzem Tailleferem? - spytała Rosvita.

Gerwita wzruszyła ramionami. Wydawała się przerażona, że jest w centrum uwagi aż czterech osób. Nerwowo załamała dłoń.

- Nie.

- To się wydaje mało prawdopodobne, zważywszy, że Taillefer nie miał innych legalnych potomków - zauważył Fortunatus.

- W Salii tytułu nie dziedziczą córki, tylko synowie - przypomniała Ruoda - a w Varre synowie dziedziczą tylko wtedy, kiedy nie ma córek.

- Gundara mądrze zrobiła, umieszczając młodszego syna w miejscu, gdzie mógł łatwo zniknąć z oczu i łatwo się odnaleźć, gdyby jego starszy brat zmarł bez dziedzica. - Rosvita przyciągnęła lampę bliżej starych stron *Annałów*. Jej oczy nie były tak bystre jak oczy jej młodych pomocnic. Podziwiała wytworną minuskułę, powszechną w annałach pisanych za panowania Taillefera, ale same słowa nie mówiły jej niczego, o czym by już nie wspomniały jej kleryczki. Chłopiec Hugo został zaręczony w wieku lat czterech. Żadne wskazania co do jego wychowania i późniejszej kariery nie zaszczycały tych stron, mających świadczyć o działaniach skoposy Lei, które doprowadziły do upadku najpotężniejszej z córek Taillefera, biskupiny Tallii. Być może Hugo został wysłany do Varre, aby tam dorastał wraz z narzeczoną, ukryty przed światem, wnuk cesarza, który jako urodzony z cesarskiej córki nie mógłby ubiegać się o tron Salii. Jego dzieci jednak, jeśli przeżyły, mogły jeszcze wrócić przez małżeństwo do królewskiej linii.

- Czy Karol Lavastine był jedynym dzieckiem Lavastiny i Hugona? - spytała Rosvita Gerwitę.

- Nie, siostrze. Hrabina Lavastina zmarła przy porodzie prawie dwadzieścia lat po narodzinach Karola Lavastine'a, rodząc swe drugie dziecko, kolejnego chłopca imieniem Geoffrey.

- Ach, tak. - Rosvita przypomniała sobie teraz tę historię. - To byłby dziadek tego Geoffreya, którego córka została hrabiną po przedwczesnej śmierci Lavastine'a. Odbył się jakiś proces?..

Okazało się, że Ruoda miała kuzynkę, która była świadkiem tego procesu o dziedziczenie hrabstwa Lavasu. Mogłaby przez całą noc opowiadać o dziwnym zachowaniu pana Alaina, o psach Lavasu i o zwycięstwie Geoffreya i jego krewnych, ale było już późno, a rano wiele było do zrobienia. Rosvita

przypuszczała, że Henryk ogłosi w końcu swój zamiar powrotu do Wendaru, zanim śniegi odetną górskie przejścia.

Przygotowywały się do snu. Fortunatus wycofał się do przyległej komnaty, podczas gdy Aurea ułożyła sienniki dla dziewcząt i pod drzwiami dla siebie.

Rosicie wydawało się, że ledwie zasnęła, gdy została szorstko obudzona.

- Siostró Rosvito! Wstawaj! - W ciemnej komnacie płonąła samotna lampa.

- Proszę cię... - Rosvita wysunęła nogi spod prześcieradła, pod którym spała w ciepłe noce. Nogi płątały się w koszuli, gdy mrużyła oczy w ciemności. Dziwne, ale żadna z dziewcząt się nie obudziła. Może ten łomot to nie pięść waląca w drzwi, ale jej walące serce? - Co się dzieje?

- Chodź szybko, siostró. Straszna rzecz...

Rosvita rozpoznała nagle ten głos, wstrząśnięty, zniekształcony przerażeniem i łzami.

- Czy to ty, Hathui? Co cię tu sprowadza o tej porze?

- Chodź szybko, siostró. - Pragmatyczna Orlica była tak rozstrojona, że nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

Przerażona Rosvita znalazła w skrzyni u stóp łóżka długą tunikę i narzuciła ją przez głowę. Chwyła pasek i niepewnie ruszyła, uderzając biodrem w stół. Wreszcie usłyszała za sobą szczepek zamykanych drzwi. Hathui podniosła lampę, a Rosvita pośpiesznie wygładziła tunikę i przepasała się dwukrotnie w stanie.

- Ufasz mi, siostró? - szepnęła ochryple Orlica. We wzroku Hathui Rosvita zobaczyła zgrozę i powściąganą płonąca wściekłość. - Musisz mi zaufać, bo nie uwierzysz, co widziałam tej nocy. Proszę cię, siostró, może już być za późno.

- Król nie... - Nie mogła wymówić tego ponurego słowa, bo raz wypowiedziane, nie mogło być cofnięte.

- Nie, nie umarł. - Jej głos się załamał. - Nie umarł.

- Siostró Rosvito. - Fortunatus zjawił się w drzwiach. - Słyszałem głosy...

- Zostań tu, bracie. Nie zasypiaj, ale też pod żadnym pozorem nie idź za mną ani nie pozwól tym dziewczynom nierozważnie czynić. - Skinął posłusznie głową. Błada, okrągła twarz patrzyła za nimi, gdy śpiesznie odchodziły korytarzem.

Hathui ponownie się odezwała. Wydawało się, że tylko ruch jej nóg powstrzymuje Orlicę przed rozpląnięciem się we łzach.

- Nie umarł... - powtórzyła, niczym kobieta sprawdzająca spiżarnię w czasie głodu, by upewnić się, że wciąż ma tam dzbany ziarna i oliwy na trudne czasy.

Doszły do skrzyżowania korytarzy, skręciły w lewo, zeszły schodami i nieznanym Rosvicie szlakiem przeszły na wielki dziedziniec, leżący między pałacem panującego a pałacem skoposy.

- Dokąd idziemy? - mruknęła Rosvita.

- Nie umarł... - powtórzyła Hathui po raz ostatni i przystanąła za filarem. Jej twarz, szarzejąca w cieniu, wyloniła się nadnaturalnie wielka w świetle lampy, gdy pochyliła się ku Rosvicie. - Jest pod urokiem. Zaczarowany. Widziałam to.

Poruszała się, zdejmując z szyi jakiś rzemyk.

- Omal nie zapomniałam. Musisz go nosić, by cię chronił przed dostrzeżeniem. - Wcisnęła srebrny amulet w dłoń Rosvity.

Gdy Hathui ruszyła na dziedziniec, Rosvita chwyciła ją za ramię.

- Nie, Orlico. - rzekła - Musisz mi opowiedzieć, co widziałas. - Wycofała się pod osłonę alkowy, gdzie podróżni mogli pokrzepić się i obmyć twarze, zanim weszli do hallu panującego. Fontanna szemrała cicho, a gdy Hathui uniosła lampę, złośliwa twarz Meduzy łypnęła na nie wzrokiem. Orlica złapała głośno dech i odwróciła się tyłem do okropnej rzeźby.

- Co widziałam... nie, najpierw załóż amulet, siostró. - Rosvita usłuchała i Hathui mówiła dalej. - Spałam w alkwie przy komnacie króla. Zbudziłam się, bo przysięgam ci, siostró, że obudził mnie jakiś anioł. Zbudziłam się, by ujrzeć, że zasłony łoża są odciągnięte, a Hugo z Austrii trzyma jakąś wstęgę nad śpiącą postacią króla. Ta wstęga poruszała się i wiła jak żywe stworzenie, i zaprawdę, ledwie mogę w to uwierzyć, ujrzałam jakąś istotę, przejrzystą jak szkło i lekką jak mgła, wychodzącą z tej wstęgi do ciała króla. Król Henryk poderwał się, raz, i otworzył oczy, ale głos, jakim przemówił potem, nie był jego głosem.

Rosvita chwyciła się krawędzi basenu. Woda spryskała jej rękę i policzek, wypływając z pysków węży.

- Hugo - wyszeptwała, przypominając sobie fragment, który czytał tamtego dnia, gdy wraz z Teophanu i młodą Palomą podsłuchały go w kaplicy gości w konwencie świętej Ekatariny. Przypominając sobie demona, którego uwięził w jedwabnej wstędze tamtej nocy, gdy pomógł Adelheid, Teophanu i resztkom

ich otoczenia uciec z oblężenia konwentu przez Żelaznogłowego. - Demon może być związany wolą czarownika, a jeżeli ów jest dość silny, może zmusić demona, by ten zamieszkał w ciele innej osoby, i tam czynił jego wolę. „Aż jedne usta wypowiadają to, co szepcze inny umysł”.

- Czy to może być prawdą, siostrzo?

- Skoro widziałas to, co opisujesz, nie może być inaczej. Drzę jednak na myśl, że to prawda. - Jej serce było zimne. Dłonie wydawały się zmarznięte, a umysł zamglony i bezużyteczny. Amulet palił jej piersi. - Gdzież jednak była królowa?

- To najgorsze ze wszystkiego! Stała tam z boku i przyglądała mu się, jak to robi! Po swojemu chłodno kazała dwórcę powiedzieć skoposie, że dzieło zostało dokonane i że odtąd sprawy pójdą jak najlepiej. - Chłodna, praktyczna, nie tracąca głowy Hathui, kobieta z ludu, tak rozsądna i dzielna, że cieszyła się specjalnymi względami króla, załamała się i rozplakała, a łzy płynące po jej policzkach kopiowały monstrialną fontannę za nimi. Potrafiła jednak płakać w milczeniu, więc jej łkania nie alarmowały nocnych straży.

Rosvita wyjęła jej lampę z ręki.

- Czy wiesz, gdzie jest Villain?

- Poszłam najpierw do niego, ale kiedy wróciliśmy do komnat królewskich, króla już tam nie było, a jego rzadca powiedział, że udał się na audiencję do skoposy. Villam posłał mnie po ciebie. Mówił, że mamy go spotkać w pałacu skoposy. Uważał, że jeżeli dostaniemy się do króla Henryka, zanim zakłęcie sięgnie zbyt głęboko...

Wstrząs ustąpił miejsca dziwnej jasności. Nawet w słabym świetle lampy mogła dostrzec twarz Meduzy, wyrzeźbioną z marmuru tak białego, że zdawała się świecić, trędowata i blada, jak jakiś zły duch wysłany, aby podsłuchiwać narzekań podróżnych przychodzących obarczyć panującego swymi mało ważnymi troskami i klótniami.

- Villam jest w niebezpieczeństwie. - Te słowa brzmiały w jej sercu jak podzwonne zmarłym, odchodzącym poprzez sfery ku Komnacie Światła. - Nie możemy reagować pośpiesznie, bo oni mają moc, przeciw której nasze dobre chęci nic nie działają. Powinniśmy dopaść Villama, zanim zrobi coś pochopnie. Chodź.

Hathui dobrze знаła służbowe korytarze w pałacu skoposy, bo często nosiła listy od panującego. Strażnicy przy wejściu do kuchni pogadali z nią przyjaźnie o faworytach wyścigów konnych, które miały się odbyć za trzy dni, po czym przepuścili ją bez pytań. Hathui poprowadziła szybko do głównej części pałacu. Nawet w środku nocy służący chodzili bocznymi korytarzami, wynosząc śmieci czy nocniki, przynosząc wodę dla licznych prezbiterów i dobrze urodzonych sług skoposy. Nikt nie wydawał się podejrzliwy, kiedy Hathui pytała, czy widzieli króla; Orlica miała dar słowa i budziła zaufanie, chociaż wiele ją kosztowało zachowanie beztroskiej twarzy. Jak się okazało, służący widzieli, jak król w asyście prezbitera Hugona poszedł na przechadzkę po murach. Nie dostrzegli natomiast królowej Adelheid.

Spiralna kamienna klatka schodowa prowadziła z koszar straży na szczyt murów. Kiedy tam doszły, Rosvita ciężko dyszała. Nocne powietrze na murach miało w sobie ostatnie zapachy jesieni. Wietrzyk chłodził pot na czole i karku. Hathui ruszyła naprzód po chodniku, skręcającym pod ostrym kątem wzdłuż skraju urwiska nad rzeką.

- Zaczekaj. - Rosvita wzięła od Orlicy lampę i, zwilżywszy kciuk i palec wskazujący, zgasła knot. - Lepiej pozostać niezauważonym.

Czekały, aż ich oczy przywykną do ciemności. Strzępy chmur przesłaniały gwiazdy. Czy to był Jedu, Anioł Wojny, błyszczący złowrogo w gwiazdozbiornie znanym jako wierny Pies? Idąca przodem Hathui wyciągnęła rękę, by zatrzymać ją w połaci cienia między dwiema szeroko rozstawionymi lampami.

Znad rzeki podniosła się słaba woń rozkładu. Według miejscowych dopiero zimowe deszcze ją przegonią. Wiatr zmienił się i Rosvita zasłoniła nos rękawem.

Z Hathui przy boku posuwała się ostrożnie naprzód, trzymając się wewnętrzznego muru. Doszły do narożnika głównej wieży i ujrzały rozszerzenie chodnika między kwadratową wieżą i jej bliźniaczką po przeciwnej stronie. Stało tam trzech mężczyzn, jeden milczący przy spoczniku prowadzącym do drugich schodów, drugi oparty z gracją o sięgającą do pasa balustradę wznoszącą się nad przepaścią, a trzeci w połowie drogi między tymi dwoma, jakby czynił tarczę ze swego ciała. Nawet bez światła lamp ustawionych na trójnogach Rosvita wszędzie poznałaby dwóch z nich.

Dzwon wybił na modlitwę.

- Ależ, margrabio Villamie - mówił Hugo najbardziej rozsądnym tonem. Opierał się o balustradę, a wiatr rozwiewał mu włosy i unosił rogi jego płaszcz prezbitera. - Ty nie rozumiesz w pełni powagi niebezpieczeństw grożących nam wszystkim, pozostających w ukryciu przed oczami śmiertelnych.

Podobnie jak moja matka, działałam tylko by służyć królowi.

Villam wydawał się gotowy do wybuchu furii. Widziała to po sposobie, w jaki zrobił jeden groźny krok ku Hugonowi, po sposobie, w jaki jego dłoń musnęła rękojeść miecza. Hugo był nieuzbrojony.

- Ty! Czarowniku! Dotąd nie wiem, co zrobiłeś w Zeitsenburgu, ale cały dwór wie, co twoja błogosławiona matka uznała za odpowiednią karę dla ciebie, jej złocistego dziecka! Poniżenie cię przez wysłanie cię na północ jako zwykłego brata. Co by powiedziała na zdradę tej nocy?

- Cóż to za zdrada? Król Henryk idzie obok mnie spotkać się ze Świętobliwa Matką. Kto ci to powiedział, przyjacielu Villamie?

Villam spojrział na człowieka stojącego nieruchomo obok schodów. W tym momencie Rosvita zdała sobie sprawę, że dotąd go nie rozpoznała. Jego postawa była całkiem niewłaściwa, nie jak jej ukochanego króla.

- Wasza Królewska Mość - błagał Villam - przecież pojutrze ruszamy razem do Wendaru, gdzie czekają na ciebie ludzie, z nadzieją, że im pomożesz.

- Nie wracamy do Wendaru - odparł Henryk głosem, który zabrzmiał głucho niczym dzwon.

- Ale ta wiadomość od Teophanu... Te najazdy Qumanów, które pustoszą pogranicze! Geoffrey oblegany w Lavasie przez suszę, głód i bandytów. Co z Konradem, który może już spiskować? Dwóch Orłów przybyło, prosząc o twój powrót! Wasza Królewska Mość!

- Pozostaniemy tutaj i zjednoczymy Aostę. Przyjmijemy naszą koronę, Adelheid i ja, ukoronowani jako cesarz i cesarzowa. Wyślemy emisariuszy do wszystkich królestw, do wszystkich miejsc, gdzie korony są zwieńczone siedmioma kamieniami. Tam zaś będą oczekiwać spełnienia swego obowiązku, uratowania całej ludzkości od złych czarów Utraconych.

- Ależ, Najjaśniejszy Panie, to jest niewykonalne. Cesarska korona szybko spadnie z twojej głowy, jeśli utracisz Wendar na rzecz Qumanów albo Konrada, który poślubił twoją siostrzenicę! Co z Sapientią, walczącą na pograniczu? Co z Teophanu, która wysyła Orła, prosząc cię o szybki powrót? Aosta musi poczekać, dopóki nie ułożysz spraw w Wendarze!

- A Matylda namaszczonej jako nasza następczyni.

- Wasza Królewska Mość! - Doleciał do nich cichy śpiew kleryczek i prezbiterów intonujących nabożeństwo. - Najjaśniejszy Panie. Twoje dzieci z królowej Sophii!

- Matylda namaszczonej jako moja następczyni... - powtórzył Henryk. Z ramionami przyciśniętymi do boków, poruszał tylko ustami, niczym posąg, niczym niewolnik bojący się o swe życie.

Villam dobył miecza i zwrócił się do Hugona. Prezbiter nie poruszył się, przyglądał się tylko z ręką wyciągniętą wzdłuż balustrady. Jego szczupłe palce głąskały twarde drewno, jak mogłaby kobieta głąskać ulubionego kota.

- Zaczarowałaś go! To nie jest głos króla! To nie jest król! Użyłeś czarnej magii, by skazić jego ciało i uwięzić umysł!

Nie sposób powiedzieć, co się stało następnie. Villam rzucił się naprzód. Hugo odskoczył w bok, zgrabnie niczym jeden z akrobatów, których podziwiał wczoraj wieczorem. Miał nawet na twarzy wyraz zaskoczenia. Villam uderzył z trzaskiem w drewnianą balustradę.

Balustrada pękła i ustąpiła. Villam zrobił krok. Krzyknął, gdy miecz wymknął mu się z palców, ale miał tylko jedną rękę, by się czegoś chwycić. Nie udało mu się. Spadł. Hathui zapało dech. Jej dłoń zamknęła się na dłoni Rosvity i trzymała mocno, ale żadna z kobiet nie poruszyła się, gdy krzyk wściekłości i przerażenia Villama osłabł i ucichł.

Król Henryk też nie zrobił najmniejszego gestu, gdy jego najstarszy, najdroższy i najbardziej zaufany towarzysz spadał na jego oczach w otchłań śmierci.

Po chwili, w której Rosvita zaczęła już myśleć, że naprawdę ogłuchła, odległe głosy z różnych kaplic w pałacach i w mieście na dole znowu dosięgły niebios. Tak dobrze знаła to nabożeństwo, że wystarczyły jej strzępy melodii i słów, by rozpoznać cały psalm.

*Wołam głośno do Boga, gdy mnie dotyka strapienie,*

*Ale Bóg powstrzymuje swą dłoń.*

*W ciemności nocy czy mnie zapomnieli?*

*Czy Pan już nie ma litości?*

*Czy Pani cofa swą łaskę?*

- Wyjdź - mówi Hugo. - Wiem, że tam jesteś.



Jaki cichy ma głos i jak łagodny. Ani śladu groźby. Jakiś wir w wietrzyku owija się wokół niej tak nagle, jak niewidzialny prąd obraca łódź w wodzie rzeki o szybkim nurcie.

- Wystąp, proszę.

Wysunęła dłoń z mocnego uchwytu Hathui, starając się dać jej do zrozumienia, żeby uciekała, dopóki jedna z nich może to zrobić.

Kto im przyjdzie na pomoc? Komu mogą wierzyć?

Występując naprzód, w światło, powiedziała jedyne, co mogła wymyślić, by dać Orlicy wskazówkę.

- Bękart ujawnia swój prawdziwy charakter, gdy pokusa ścięła mu się pod nogi, a najgorsza historia, jaką można sobie wyobrazić, przyciąga jego uwagę.

- Siostra Rosvita! - Hugo wydawał się szczerze zdziwiony, jakby spodziewał się zobaczyć kogoś innego. - Ubolewam, że tu jesteś.

Gwizdnął. Czterech strażników weszło ze szczękiem po schodach, przyklękli przed królem, a potem przed Hugonem.

- Zamknąć ją. Strzeżcie się dzikich oskarżeń, jakie może rzucać, bo podejrzewam, że do jej serca wkradł się Wrogi. - Henryk stał sztywno, z wyrazem twarzy chłodnym i twardym. Jego rysy z pewnością się nie zmieniły, ale nie wyglądał jak król, którego znała. - Chodźmy, Wasza Królewska Mość, musimy być u Świątobliwej Matki.

Przechodząc jednak do schodów, przystanął przy Rosicie, marszcząc brwi.

- Nie spodziewałem się tego, siostró, ani tego, co musi teraz nastąpić. Wiesz, jak bardzo cię podziwiam.

- Zdrajca - powiedziała chłodno. Wstrząs po śmierci Villama palił jej serce, ale nigdy by nie pozwoliła Hugonowi dostrzec, jak bardzo ją zranił. Zgniótłby ją w jednej chwili. Pozostał jej tylko rozum. Musi zyskać na czasie, by dać uciec Hathui.

- Czy to możliwe, że wszystko czego mnie uczono, to fałsz? Że wygląd nie odzwierciedla serca? Czy to możliwe, że ukradłeś jakiejś więcej wartej duszy ten wygląd, przystojny i skromny, który nosisz, jakby był dany ci przez Boga? Czy tak wielu ci ufa z powodu twej urody i zręcznych słów, podczas gdy ciemność zżera twoje serce? Czy nie boisz się sądu Boga i grozy Otchłani? Co by powiedziała twoja matka, gdyby tu stała przed nami i widziała to, co ja widzę?

- Dość! - warknął. - Oczyszczony i jasny umysł zapomina o namiętnościach - dodał.

- Jedynie cnoty czynią błogosławionego - odparła Rosvita.

Westchnął i ruszył dalej.

- Co mamy z nią zrobić, panie mój? - spytał jeden ze strażników.

- Weźcie ją do lochu. Zajmę się nią później.

Zeszli z Henrykiem po szerokich schodach i wkrótce lampa, którą niósł, zniknęła jej z oczu.

Dowódca straży nie zadał sobie trudu przemówienia do niej, po prostu skinął włócznią. Nie widziała, powodu, by z nimi walczyć. Poprowadzili ją z powrotem drogą, którą przyszła, po chodniku, schodami straży wijącymi się w dół do pałacu i jeszcze niżej, w trzewia góry, gdzie leżały lochy, w których zamknięte były te nieszczęsne dusze, które zawiniły Kościołowi. Wciągnęła w płuca stęchłe powietrze, ale nawet idąc ciemnym korytarzem, wepchnięta do celi niewiele szerszej niż rozstaw jej rąk i pozostawiona w ciemności na słomie, nie była całkiem zrozpaczona.

Boże, Villam nie żyje, zabity przez jakąś sztuczkę Hugona.

Król Henryk stał się marionetką tańczącą na sznurkach innego człowieka, nawiedzoną przez tego samego demona, którego wyzwolił Hugo z kamiennego kręgu w konwencie świętej Ekatariny.

W tych ostatnich chwilach jednak, w drodze do lochu, nie widziała ani śladu Hathui.

## 6

Księżna Rotrudis umierała. Drażniąca woń jej choroby czyniła jej sypialnię miejscem prawie nie do wytrzymania. Sanglant stał blisko okna, ale nawet wtedy żaden odświeżający wietrzyk nie poruszał powietrza w pokoju. Nawet z płonącymi pochodniami i z kadzidłem tłącym się w trzech kadzielnicach komnata cuchnęła.

Jej posłuszne córki spierały się przy chorej, nie zwracając uwagi na słabe jęki.

- Nie, ja się urodziłam pierwsza. Diakonisa Rowena to poświadczy!

- Tylko dlatego, bo jej obiecałaś biskupstwo, kiedy matka umrze! Wszyscy wiedzą, że skoro mam

znamię na piersiach, jestem pierworodna.

Dwie młode kobiety wyglądały na gotowe przejść do rękoczynów, a ich panny respektowe przypominały wygodniałe psy, szykujące się do walki o soczystą kość.

Lord Wichman rozwalił się na krześle księżnej, wyciągnął nogi przed siebie i skrzyżował ręce na piersi. Z wymuszonym uśmiechem na twarzy przyglądał się, jak jego starsze siostry wrzeszczą i kłócą się, podczas gdy ich matka cierpi, nie zauważana przez nie. On sam nie pocałował nawet ręki rodzicielki. Nie patrzył nawet na nią, z wyjątkiem pojedynczego grymasu, gdy ogarnął wzrokiem skurczone ciało krzepkiej kiedyś kobiety.

- Proszę was, kuzynki... - powiedziała Sapienia, próbując interweniować - Ta dysputa do niczego nie prowadzi. Z pewnością wasza matka wie, która z was urodziła się pierwsza. Z pewnością przy porodzie była położna.

- Położna nie żyje, otruta przez Immę!

- Kłamiesz, dziwko! Nie miałyśmy więcej niż pięć lat, kiedy ta starucha umarła. Nie miałam z tym nic wspólnego. Ale ty nigdy nie odpowiedziałaś, jak to się stało, że rejestr diakonisy spłonął sześć lat temu.

- Ach! Jakbyś to nie ty wpadła na ten pomysł, Sophie!

Wichman niewiele więcej uwagi zwracał na brata Zwentibolda, którego umieszczono przy ogniu. On także teraz umierał od ran odniesionych na polu bitwy. Zwentibold milczał, jedynie od czasu do czasu wrywał mu się jęk cierpienia, a ładna młoda kobieta, najwyraźniej jego aktualna konkubina, zwilżała mu usta winem. Trudno było oderwać wzrok od krzywizn jej ciała pod lekką szatą, kryjącą niewiele, a wiele obiecującą. Wichman nie odrywał od niej wzroku.

- Jak to być może, że nie wiecie, która z was urodziła się pierwsza? - zapytała Sapienia, przenosząc wzrok z jednej siostry na drugą. Wyglądały podobnie, głównie dzięki szerokim twarzom i różowej cerze, wielkie kobiety z latami dobrego jedzenia za sobą. Imma miała nos po matce, podczas gdy rudobrzowe włosy Sophie wyróżniały oczywiście ich zmarłego ojca. Niewinne pytanie wywołało potok obelg i oskarżeń, przierzucanych od jednej do drugiej.

- Ona zawsze wołała ciebie!

- Nie! Ona tylko udawała, że mnie woli, bo chciała trzymać mnie na smyczy jak psa. To ty miałaś swobodę. Ty zdobywałaś wszystko, bo wszyscy myśleli, że musisz liczyć na tytuł!

- Proszę was, kuzynki, tak się nie okazuje szacunku. Księżna Rotrudis może słyszeć każde słowo...

- Tak jakby się nie cieszyła każdym takim słowem, ta stara suka!

- Ha! Liziałaś całkiem wdzięcznie ten plaster miodu, kiedy jeszcze był w nim miód!

Dwa razy mniejsza od nich z wyglądu i nie mając ich ostrego głosu, Sapienia była bezradna, usiłując je powstrzymać, podczas gdy dookoła tłoczyli się wielmoże i panny dworskie, chętnie, ale i z oburzeniem oglądając widowisko. Sanglant przyglądał się, jak Sapienia próbuje je uspokoić, bez skutku.

Wichman wstał i przeciągnął się, zanim podszedł do lektyki Zwentibolda. Śliczna towarzyszka tamtego cofnęła się, ale nie było sposobu, tu w Osterburgu, żeby mogła uciec przed synem panującej księżnej. Zwentibold miał ją wcześniej, mimo wszystko, z jej zgodą albo bez, a Wichman najwyraźniej postanowił podążyć za bratem, gdzie ten się kiedyś pograżył.

Kiedy uśmiechając się z iskrą niepohamowanej żądz, wsunął dłoń na biodro dziewczyny, sprawdzając jego krągłość, Sanglant ruszył naprzód. Chwycił drugie ramię Wichmana i podprowadził go do sióstr. Wichman opierał się i szarpał.

- Nie robiłbym tego, gdybym był tobą - powiedział cicho Sanglant. - Roszczę sobie do niej prawo i utnę ci jaja, jeżeli jej dotkniesz. Wiesz, co jest warte moje słowo, kuzynie.

Wściekły Wichman odgarnął włosy i rzucił pożądlive spojrzenie ku konkubinie Zwentibolda. Pozostała jednak tam, gdzie była, obok Sophie.

Sanglant ulokował się między Immą a Sophie. Nawet Sapienia cofnęła się instynktownie, robiąc mu miejsce. Smród był nie do zniesienia i walczył z mdłościami. Skóra księżnej Rotrudis zwisała z niej fałdami. Jej policzki, kiedyś różowe, teraz były ziemiste, a oczy zapadnięte i podkrążone. Sanglant nie był nawet pewny, czy jest czegokolwiek świadoma.

Pamiętał ją dobrze z czasów, gdy była zdrowa. Nigdy jej nie lubił, ale nikt nie mógłby powiedzieć, że Rotrudis nie władała wielkim księstwem Saony sprawnie i żelazną ręką.

- Proszę was, kuzynki - powiedział - o szczerą odpowiedź. Czy nienawidzicie siebie nawzajem bardziej, niż nienawidzicie waszą świętej pamięci matkę?

Zapadła cisza, tylko jednemu z rządców zaparło dech ze zdumienia, a księżna cicho kwiliła. Czy słyszała, czy też po prostu dokuczał jej ból choroby?

- Bo wydaje mi się, że musiała was bardzo nie lubić, jeżeli zadała sobie tyle trudu dla zapewnienia, iż

będziecie walczyć do końca waszych dni, nie wiedząc, która jest naprawdę pierworodna. Ona musi to wiedzieć. Nie macie pojęcia, która z was jest starsza, bo wasza matka postanowiła wam tego nie mówić z sobie wiadomych powodów.

Wichman śmiał się.

- Wystrychnęła was na dudki. - Unosił się z zachwytem. - Przez te wszystkie lata nie powiedziała, która z was ma dziedziczyć z woli Bożej. Musiała to wiedzieć przez cały czas, ale lubiła przyglądać się, jak tańczycie, wy głupie krowy.

Sophie uderzyła go w twarz. Chrząknął i podniósł rękę, lecz został uderzony przez Imnę, która stanęła w obronie siostry. Konkubina zaczęła płakać, kryjąc się za nieświadomym niczego Zwentiboldem. Rotrudis poruszyła się. Wyrwało jej się jakieś zdławione słowo, zagłuszone przez jej pokrzykujące dzieci i podniecone dwórki.

- Cisza! - krzyknął Sanglant.

- Cisza! - powtórzyła Sapientia.

Wszyscy spojrzeli na Sanglanta.

- Jest jeszcze jedno dziecko, nieprawdaż? - zapytał.

Kiedy stało się oczywiste, że jego siostry nie zamierzają mówić, odpowiedział Wichman.

- Reginar, ten mały zarozumialec, jest teraz opatem w Firseburgu, i chwała Bogu.

- Nie może zatem ubiegać się o dziedziczenie?

To przyciągnęło ich uwagę.

- Jest najmłodszy i jest chłopcem - zaprotestowała Imma. - Nie może spodziewać się, że odziedziczy księstwo.

- Czy sprawa nie wygląda tak - ciągnął Sanglant - że król Arnulf Młodszy mianował Rotrudis księżną, kiedy wyznaczył Henryka na swego dziedzica? Z pewnością rozumiecie, że gdyby wasze rządy nie odpowiadały królowi, znajdzie on wśród wielu wnuków Arnulfa dziewczynę godną dziedziczyć księstwo.

- Jak śmiesz mówić coś takiego! - wrzasnęła Sophie.

- Jaki masz autorytet, że śmiesz mówić do nas tym tonem? - dodała Imma.

- Mam autorytet wodza armii, która stoi pod waszymi murami i która ocaliła was przed śmiercią z rąk Qumanów.

Czy to cichy chichot rozbawienia doleciał od wyniszczonej postaci na łożu? Trudno powiedzieć, bo ten odgłos zatonął w chórze protestów podniesionych przez jej oburzone dzieci. Sanglant uśmiechnął się tylko, ujął Sapientię pod ramię i wyprowadził z komnaty, a potem schodami na poziom dziedzińca.

- Rozgniewałeś ich - powiedziała.

- Nie są lepsi od stada szakali, ale to ich otrzeźwi na kilka dni.

Spojrzała na niego z ukosa. Była wciąż zapłakana, ale nie miała mu za złe przywłaszczenia sobie jej autorytetu. Małżeństwo z Bayanem pohamowało jej impulsywność, przyzwyczyło ją też do podążania za przewodem silniejszej osobowości.

- Czy ojciec ich wydziedziczy? Czy masz zamiar odziedziczyć wielkie księstwo Saony?

- Nie, to nie tego chcę. Ale to żadna korzyść dla królestwa mieć u władzy bandę głupców i kłótników. Nie zapominaj, że nasz wielki dziad, pierwszy Henryk, był diukiem Saony. To podstawa potęgi naszego rodu. Panujący zrobiliby najlepiej, mianując Teophanu księżną na miejsce Rotrudis. - Przerwał, czekając na wybuch gniewu, bo wiedział, jak Sapientia zazdrości Teophanu, ale jego siostra słuchała w spokoju. Przeszli w milczeniu wzdłuż wielkiej sali, stąpając cicho po drewnianej posadzce. Dwórki Sapientii trzymały się w dyskretnej odległości, szepcząc między sobą. Światło pochodni sprawiało, że na ścianach tańczyły cienie. Tłoczyło się tu wielu dobrze urodzonych niższej rangi, nie mających wstępu do komnat księżnej. Oni także przyglądali się i szeptali, gdy księżę i księżna przechodzili obok nich.

- Teo ma tyle samo praw do księstwa, co oni wszyscy, a lepiej się nadaje.

- Ona jest w Quedlinhamie. Można ją tu wezwać.

- Gdyby sprowadziła tu swój dwór, dałaby im do myślenia... Ani ty jednak, ani ja, nie mamy autorytetu, żeby ogłosić Teo następczynią Rotrudis.

- Ja mam autorytet. Ojciec ogłosił mnie swoją następczynią!

Sprawił, że zamilkła, chwytając ją w przegubie i wyciągając przez podwójne drzwi do portyku. Mgiełka pokrywała nocne niebo, przesłaniając gwiazdy.

- Czy go masz, Sapientio? - spytał spokojnie. - Czy masz autorytet?

Zadrżał jej podbródek.

Dziedziniec pałacu księżnej wciąż był ożywiony, choć nadciągnęła noc. Wozy przywoziły z pola bitwy zabitych i rannych albo zdobycze wojenne. Służący, mimo późnej pory, zajmowali się swymi sprawami.

Żołnierze odpoczywali, nie mając gdzie przenocować. Populacja Osterburga powiększyła się wskutek obłączenia i nawet tutaj, wewnątrz pałacu księżnej, czuło się woń stłoczonych ciał. Nieustanny pomruk ściszonych głosów biegł na skraju jego świadomości, łowione i tracone frazy, przekleństwa, stłumiony śmiech i serdeczny płacz, plotkowanie. Nauczył się wcześniej w tak ciasnych kwaterach zamykać na nie uszy.

- Nie pójda za mną - powiedziała ochryple. - Nie ufają mi. To za Bayanem szli i ufali mu przez cały czas. Mogłam panować z Bayanem u boku, bo to on czynił mnie silną. Co mam teraz począć?

Poprowadził ją przez dziedziniec do kaplicy. Pierścień lamp otaczał kamienną budowlę, a warta honorowa żołnierzy ungaryjskich stała po obu stronach drzwi. Kapitan straży skinął na Sanglanta.

- Panie mój, księżę, co zamierzasz rano?

- Musimy wyruszyć, kiedy się rozjaśni, żeby dopaść tylu Qumanów, ilu się da. Jeżeli im teraz przetrącimy karki, nie napadną na nas przez długi czas. Być może już nigdy nie będziemy musieli mieć z nimi do czynienia.

- Bez naszego dobrego władcy, Bayana, nie możemy pozostać długo w tym kraju - powiedział kapitan, spojrzawszy na tłumaczkę.

- Zatem pozostań ze mną tak długo, ile zajmie zniszczenie Qumanów. To wszystko, o co proszę.

- Dla ciebie, panie mój, księżę, i na cześć naszego dobrego władcy Bayana, pójdziemy za tobą jakiś czas dłużej.

Tłumaczka ungaryjskiego kapitana była też jego konkubina, żyłastą złośnicą z pogranicza, która zasłynęła podczas marszu z zachłostania na śmierć pojmanego bandyty, któremu przypisała zgwałcenie jej siostry. Nie odstępowała jej uporczywa plotka, że ten człowiek nie był ani bandytą, ani gwałcicielem, ale jej Bogu ducha winnym mężem, który przybył, by zabrać ją z powrotem do gospodarstwa, i że zabiła go, aby pozostać ze swoim ungaryjskim kochankiem. Wyglądała na ten rodzaj kobiety, która wytoczy ci krew w połowie umizgów, a ty tego nie zauważysz.

- Proszę cię, księżę - dodała po przełożeniu słów kapitana - ty znasz Ungrian jak nikt, powiadają. Czy są ludźmi honoru? On proponuje mi, że mnie weźmie do swego domu, ale ma już żonę, a ja jestem tylko zwykłą kobietą, nie taką, którą chciałby poślubić ktoś taki jak on. Mówi, że będzie dbał o mnie i o dzieci. Czy myślisz, że to prawda?

- Ungrię dzieli długi marsz od pogranicza. Kiedy tam wyruszysz, może już nigdy nie zobaczysz swego starego domu.

Splunęła na ziemię, a w oczach miała gniew. Jej kapitan uśmiechnął się szeroko, szybko kryjąc rozbawienie jej postawą. Była dość bystra, by zauważyć jego skrępowanie i powiedziała mu kilka szybkich słów, zanim znów zwróciła się do Sanglanta.

- Nie mam do czego wracać w moim starym domu. Ale nie skażę siebie i dzieci, jakie mogę mieć, na ubóstwo ani niewolę.

- Żaden mężczyzna ani kobieta nie wie, co niesie przyszłość. Każdy, kto mówi inaczej, kłamie. Ale nawet księżę Bayan miał więcej niż jedną żonę, zanim poślubił moją siostrę, a wszystkie jego dzieci są uważane za prawowite i mają prawo do udziału w jego bogactwie. Nawet jeżeli to prawda, że twój kapitan ma tylko jedną żonę uznawaną przez Kościół, przypuszczam, że nadal woli stare zwyczaje. Jeżeli nie bije cię teraz, wątpię, by cię bił, kiedy wróci do Ungrii. Nie widzę powodu, żeby ci tam było źle, ale to obcy kraj i jak w każdym obcym kraju trudno tam wychować wendarские dzieci.

- Ty także jesteś bękartem, nieprawdaż? - Bawiła się jednym z końców swej przepaski owiniętej ciasno w stanie. Pięknie wyszywana i wykończona złotą nicią, stanowiła bogaty strój dla kobiety o jej pozycji. - Co mnie obchodzi, że moje dzieci będą bękartami i bardziej Ungryjczykami niż Wendarami, dopóki będą miały lepszą pozycję w życiu? Dlaczego moi synowie nie mieliby jeździć w drużynie wielmoży, a moje córki piastować klucze do skrzyń ze skarbami. We wsi, w której wyrosłam, ani jedna rodzina nie miała konia. Teraz jeżdżę konno!

Jej słowa uderzyły go z całą mocą. Miał dotąd tak niewielkie nadzieje zostać kapitanem królewskich Smoków, służyć Wendarowi i panującemu. Nie chciał jednak dłużej iść tą drogą. Nie miał na to ochoty. Musiał pomyśleć o córce.

- Jedź do Ungrii - powiedział cicho. - I niech Bóg będzie z tobą.

Wewnątrz kaplicy ciało Bayana leżało wystawione na widok publiczny przed Ogniskiem Pani. Jego matka spoczywała poza murami miasta, ukryta w swoim wozie, strzeżona przez niewolników i przez oddział ungaryjskich jeźdźców. Plotka mówiła, że jej przyboczne poprosiły o beczkę miodu, żeby zachować w nim jej ciało.

Brat Breschius leżał twarzą w dół przed zwłokami okrytymi całunem, wciąż płacząc po stracie pana.

Sapientia upadła przy nim na kolana. Musiała być podtrzymywana przez dwie dwórki, a trzecia narzuciła jej na głowę lekki szal, aby ukryć jej twarz przed zgromadzonymi w kościele klerykami i żałobnikami.

Sanglant wypłakał wszystkie swoje łzy o zmierzchu, kiedy wjeżdżał w bramę Osterburga obok bezwładnego ciała Bayana, przerzuconego przez koński grzbiet. Uchwycił spojrzenie Heriberta, a kleryk przecisnął się przez tłum i pośpieszył do niego.

- Co słyszałeś? - spytał półszepem Sanglant.

- Niewiele. Oni wciąż są zbyt pogrążeni w żalu, żeby myśleć o czym innym niż śmierć Bayana. Był dobrym człowiekiem.

- To prawda. - Zastanawiał się nad swoją płaczącą siostrą i jej zmarłym mężem, oświetlonymi blaskiem lamp. Malowidło ścienne przesłonięte cieniem nocy i ruchem płomieni pokrywało ścianę za Ogniskiem: męczeństwo świętego Justyniana, który wolał śmierć od małżeństwa z pogańską królową. - Sapientia mogła zostać księżną Saony.

- Dziwny dobór słów, książę, panie mój. Nie jestem pewien, czy prawidłowo rozumiem to, co teraz powiedziałaś.

- Słyszałeś całkiem dobrze, Heribercie, ale mniejsza z tym. Zostań nieco dłużej, bardzo proszę. Wpuściłem lisa między kury w komnacie mojej ciotki. Jestem pewien, że będą tu o tym wkrótce mówić i chciałbym wiedzieć, co mówią.

Uśmiech Heriberta był kpiący.

- Prosta próba intrygi, panie mój, książę, ale dobre i to, na początek.

- I Darre nie zbudowano w jeden dzień. - Zaśmiał się, ale na szczęście Sapientia go nie usłyszała. - Wkrótce zamienię się w kleryka.

- Nie, przyjacielu, nikt cię nie weźmie za kleryka.

Okrzyk żalu z zewnątrz przerwał nawet mamrotanie modlitw.

Słychać było inne krzyki i lamenty. Jakiś człowiek wpadł do kaplicy.

- Wielmożny Zwentibold nie żyje!

Sanglant podszedł do Ogniska Pani i ukląkł tam, odmawiając modlitwę za Bayana, po czym wstał i wyszedł. Zatłoczone pomieszczenia drażniły go. Potrzebował przestrzeni. Na ciemnym dziedzińcu złowił widok znajomej postaci, idącej wolno ku bramie z jakąś kobietą.

- Wichman! Kuzynie!

Wichman nie tracił czasu, by dostać w swe ręce konkubinę Zwentibolda. Niewątpliwie zamierzał zaciągnąć ją do miasta, do jakiegoś bezpiecznego domu, gdzie Sanglant nigdy by jej nie znalazł wśród tłumów uchodźców.

Wichman przystanął z pomrukiem niechęci i obrócił się do niego. Kobieta wyrwała przegub z jego uścisku. Zdawała się gotowa do ucieczki, zawahała się jednak, widząc idącego ku nim Sanglanta. Wyprostowała się i wygładziła suknię. Jedwabna tkanina przylegała do jej ciała, ujawniając kształt piersi i podsuwając myśli o długości uda i o tym ukrytym skarbie, do którego mężczyzna mógł mieć dostęp, gdyby zdobył jej względy albo po prostu ją samą. Była ładna, dojrzała i chętna: nic dziwnego, że Zwentibold ją zagarnął.

- Dziękuję ci - powiedział Sanglant, mierząc Wichmana wzrokiem - za przyprowadzenie jej do mnie. Byłem w kaplicy, modląc się za zmarłych.

Sanglant znał ludzi na tyle dobrze, by dostrzec, że Wichman rozważa możliwość walki z nim, ale ta myśl szybko odpłynęła. Wichman nie śmiał go wyzwać. Obaj to wiedzieli. W końcu odwrócił się i odszedł.

- Panie mój. - Dygnęła niezręcznie, ukazując poruszający obszar swych piersi. Właściwie mógł dojrzeć czubki jej sutków w krótko przyciętym dekolcie sukni. Głos jej drżał, jakby tłumiała łzy. - Wielkie dzięki, panie mój, książę. Tak bardzo się bałam wielmożnego Wichmana, po tym, co zrobił mojej siostrze

Nie, zaprawdę, nikt go nie pomylił z jakimś klerykiem.

- Jak masz na imię?

- Zwą mnie Marcovefa. - Mówiła z wyraźnym akcentem.

- Jesteś z Salii. Jak przybyłaś do Osterburga?

Jej wzrok był bardziej nieśmiały niż ciało, które przysunęła bliżej niego, dość blisko, by oczekiwał, że poczuje dotknięcie tkaniny, ślizgającej się pod jego dłonią, zapraszające do dotknięcia tego, co kryło się pod nią.

- Moja siostra i ja przybyłyśmy jako dwórki szlachetnej pani z Salii. Wydano ją za Zwentibolda, żeby ją uchronić przed wojną.

- Jaką wojną?

- Otóż, panie mój, księżę, bracia i kuzyni króla, oraz jego najstarszy syn, walczą o koronę Salii. Mężczyźni biją się o to, czego najbardziej pragną.

Jej nieśmiały wzrok, sposób, w jaki na niego patrzyła, prowokowały. Noc była niezwykle gorąca, nawet jak na wczesną jesień. Skąd się brało to gorąco?

- Moja siostra Merofleda zwróciła uwagę wielmożnego Zwentibolda, kiedy nasza pani zachorowała. Ale pewnego dnia wielmożny Wichman zgwałcił ją i... nie mogła znieść tej hańby. Powiesiła się. - Otarła łzę grzbietem dłoni, nie zniszczonej żadną pracą. - Nie mam już rodziny. Moi rodzice nie żyją. Być może żyje brat w Salii, ale nie wiem, czy tam kiedyś wróć. Moją rodziną była siostra. Teraz nie żyje, a ja nie zobaczę jej więcej nawet w Komnacie Światła, bo odebrała sobie życie. Nienawidzę wielmożnego Wichmana. Błagam cię, Wasza Wysokość, nie pozwól mu mnie zabrać, bo skończę jak siostra, jeśli będę musiała znosić jego okrucieństwo.

Teraz oparła się o niego, chwytając się kurczowo jego ramienia i przyciskając miękkie i zmysłowe ciało do jego ciała. Z wysiłkiem odsunął ją od siebie.

- Gdzie jest teraz żona wielmożnego Zwentibolda?

- W konwencie świętej Urszuli, panie mój, księżę. Ciągle jest ciężko chora i prosi Boga o uzdrowienie.

- Co robi teraz, gdy wielmożny Zwentibold nie żyje?

Zapłakała, najwyraźniej szczerze.

- Nie wiem, Wasza Wysokość. On był dobrym człowiekiem, najlepszym z tej nędznej bandy! - Czerwieniąc się, pochyliła głowę. - Błagam o wybaczenie, panie mój.

- Czy twoja pani by cię przyjęła, gdybyś poszła do świętej Urszuli?

- Życ jak mniszka? To by mi nie odpowiadało, modlić się przez cały dzień! - Przynęła się, dotykając go biodrem i rękami. - Ale ty mógłbyś. Byłoby ci miło, panie mój.

Dlaczego nie? Liath go opuściła i może nigdy nie wrócić, tak jak Alia opuściła Henryka.

Król nie pozwolił jednak swemu gniewowi skłonić go do zrobienia czegoś, co nie było słuszne. Być może konkubina Zwentibolda była uczciwą kobietą, robiącą jedynie to, co mogło jej zapewnić bezpieczne miejsce. Być może była po prostu oportunistką, pragnącą posiadać piękne stroje i dobre jedzenie. Sanglant wiedział, jak to jest być opuszczonym. Słyszał kiedyś, jak Waltharia oplakiwała śmierć dziecka, które mieli ze sobą, dziecka, którego nie znał, bo nie pozwolono mu go poznać.

A gdyby Frederun, wtedy w Gencie, zaszła z nim w ciążę? Co by zrobiła z bękartem, nie mając rodziny do pomocy? Czy próbował się dowiedzieć, co się z nią stało? Zostawił ją, myśląc o niej jeszcze mniej niż Liath o nim.

- Nie - mruknął, wiedząc, że takie myśli są nieuczciwe wobec Liath. Czy nie słyszał głosu swej żony tam, w Gencie? Czy nie krzyczała do niego: „Czekaj na mnie, błagam cię. Pomóż mi, jeżeli możesz, bo jestem tu zagubiona”.

Ogłuszył go wtedy gniew na matkę. Chciał uwierzyć w najgorsze i uwierzył. Może gdyby kiedyś znów znalazł Liath, powinien czekać, aż usłyszy, co ona ma do powiedzenia.

- Co mam robić, jeżeli mnie nie weźmiesz? - prosiła Marcovefa, wciąż do niego przyciśnięta.

- Panie mój, księżę.

- Bogu dzięki. - Odwrócił się od Marcovefy, gdy jego dobry druh śpieszył ku niemu z lampą w dłoni. - Heribercie, przychodzisz w samą porę. Dopilnuj, by tej kobiecie dano tyle sceattas, żeby mogła urządzić sobie życie albo żeby mogła wrócić do Salii, albo wnieść wiano do jakiegoś konwentu.

Heribert podniósł brew, ale zachował poważny wyraz twarzy.

- Jak sobie życzysz, panie mój, księżę. - Marcovefa cofnęła się przy pierwszych słowach Sanglanta, ale teraz przesunęła się do Heriberta, być może chcąc wypróbować na nim swe czary. Sanglant uśmiechnął się z lekka, a potem zmarszczył brwi, gdy Heribert mówił dalej: - Powinieneś zająć się swoim bratem. Są kłopoty.

Z ulgą wchodził po schodach kamiennej wieży, najstarszej części pałacu diuków, gdzie trzymano szlachetnie urodzonych więźniów w przewiewnej komnacie za tęgimi drzwiami wzmocnionymi żelaznymi płaskownikami. Na straży drzwi Ekkeharda postawił wcześniej własnych ludzi, wiedząc, że nie pozwolą nikomu wyrządzić szkody tym czterem, którzy napiętnowali siebie jako zdrajcy.

- Kłopoty - powiedział sierżant Cobbo, witając go. Everwin obok niego uśmiechnął się nerwowo. - Kapitan jest wewnątrz ze szlachetnymi paniami.

- Jakie to mogą być szlachetnie panie? Nie moja siostra? - Miał wizje Sapientii usiłującej posiekać Ekkeharda swym pałaszem, ale mimo swej młodości Ekkehard był wyższy i silniejszy od starszej siostry, odziedziczywszy wzrost Henryka, choć nie jego szerokość ramion.

- Istotnie, twoja siostra. I córka margrabiny Judith, Wasza Wysokość. Obie rozgniewane.

Zaśmiał się krótko, myśląc o kuszącym ciele Marcovefy.

- A ja jestem piekielnie spragniony. Od dawna nie piłem... Zobaczmy, kto jest w gorszym humorze.

Cobbo otworzył przed nim drzwi. Wszedł i zastał lady Berthę z czterema gburowatymi żołnierzami u boku i Ekkeharda zapędzonego między kominek a stół przez szalejącą Sapientię.

- To twoja wina! - wrzeszczała. - Bayan by nie zginął, gdyby nie twoja zdrada! - Rzuciła się na Ekkeharda, który podniósł ręce, by się chronić przed jej furią.

Trzej towarzysze Ekkeharda byli trzymani siłą z tyłu przez żołnierzy Sanglanta, jakby próbowali przyjść mu na pomoc. Jeden miał owiazaną płótnem ranę na głowie, drugi rękę na temblaku. Ich martwy towarzysz leżał nakryty derką na jedynym łóżku w komnacie. Nawet Sanglant nie śmiał proponować, żeby złożyć biedaka w kaplicy obok Bayana i innych dostojnych zmarłych.

- Panie mój, książę! - Z wyrazu twarzy kapitana Fulka widać było, że mu ulżyło na widok Sanglanta.

- Sapientio. - Sanglant chwycił siostrę za ramiona i odciągnął ją od Ekkeharda. - Nie pozwól, by twój żal po Bayanie pchnął cię do czegoś nierozważnego. Bóg i nasz ojciec dopilnują, żeby został ukarany za swe zbrodnie.

- Dopilnuję, żeby wisiał! - krzyknęła, ale zaraz potem znowu się rozplakała. Sanglant skinął na jej dwórki, które po chwili ją wyprowadziły.

Żołnierze Berthy odsunęli się, by je przepuścić. Gdy tylko Sapientia wyszła z komnaty, wystąpiła Bertha.

- Jak sądzisz, co zamierza zrobić król Henryk z synem skazanym za zdradę?

- Ja z pewnością stanę po stronie mego brata Ekkeharda. To, co zrobił, było złe, ale jest młody i można mu raz wybaczyć, bo został wprowadzony w błąd.

- Bracie! - Ekkehard rzucił się na Sanglanta. Wciąż był młodzieńczo szczupły i nic dziwnego, bo dopiero skończył szesnaście lat, ale gdy wziął Sanglanta w ramiona, jego uścisk był niezwykle mocny.

Bertha uśmiechnęła się. Miała wygląd swojej matki, przebiegłej, ostrej i silnej, i nic ze sławnej urody Hugona.

- Ty i twój legion dobrze walczyliście w bitwie - dodał Sanglant.

- I straciliśmy niemało moich dzielnych kresowiaków - odpowiedziała cierpko. - Obiecałam mojej siostrze Gerberdze, że jej przywiozę nagrodę za ofiary, jakie ponieśliśmy my z Austri i nasi kuzyni z Olsatii, żeby uwolnić Wendar od plagi Qumanów. Ona straciła męża podczas napadu Qumanów zeszłej zimy. I na pewno wiesz, że podobno sam Bulkezu zabił naszą matkę.

Nawet człowiek tak nienawykły do intryg jak Sanglant widział, dokąd to prowadzi.

- Ona chce dostać królewicza jako nagrodę.

- Jest młody - zauważyła Bertha, oglądając Ekkeharda z taką samą chłodną uwagą, jaką mogłaby zachować wybierając nowego konia. - Nie w moim typie, ale jestem pewna, że Gerberga uzna, że jej lojalność wobec króla Henryka została hojnie nagrodzona, jeśli dostanie jego najmłodszego jako nowego męża.

- Hojna nagroda, rzeczywiście. Niestety, Ekkehard jest opatem świętej Perpetuy w Gencie.

Bertha roześmiała się.

- A mój brat bękart Hugo jest, jak powiadają, prezbiterem w Darre, zaufanym Świętobliwej Matki. Śluby złożone Bogu mogą być bez kłopotu zdjęte, jeżeli wymagają tego sprawy ziemskie. Twoja siostra Sapientia zamierza powiesić tego chłopca jako zdrajcę, bo chce pomścić śmierć księcia Bayana.

Ta twarda kobieta zmiękła na chwilę, dotykając policzka, jakby odpędzała muchę.

- Był dobrym człowiekiem. Jeżeli jesteś mądry, książę, przekonasz siostrę do czegoś innego. Wendar cierpi, kiedy krewny zabija krewnego, co ten chłopiec powinien wiedzieć. Myślę, że moja propozycja posłuży nam wszystkim najlepiej.

- Pomówimy o tym później. Ekkehard może być tymczasem wysłany do Quedlinhame pod opiekę naszej ciotki, Matki Scholastyki. O świcie prowadzę armię, aby ścigać resztki Qumanów.

Bertha nie marnowała słów. Rozumiała korzyści szybkiej akcji podczas kampanii.

- Pomówimy o tym później - zgodziła się. Rzuciwszy okiem na Ekkeharda, wyszła ze swymi ludźmi.

- Ja... ja nie chcę być powieszony - wyszeptał Ekkehard, wciąż uczepony ramienia Sanglanta.

- Powinieneś pomyśleć o tym, zanim przeszedłeś do Qumanów.

- Na pewno nie pozwolisz im zabić mnie w tak niehonorowy sposób. Nie miałem wyboru, kiedy Bulkezu wziął mnie do niewoli...

- Oszczędź mi swoich usprawiedliwień, Ekkehardzie. Byłeś głupcem, a teraz ponosisz konsekwencje. - Spojrzał na łóżko, gdzie leżała zasłonięta postać. - Boże, jak się nazywa ten zabity?

- Welf. - Ekkehard najwyraźniej przedtem płakał, a teraz znowu zaczął. - Zasłonił mnie sobą. Ocalił mi

życie.

- Chyba sam chciał zostać zabitym - mruknął jeden z jego towarzyszy.

- I to mu się udało - zauważył Sanglant. - Taka właśnie jest wojna. Mam dla ciebie nowinę, Ekkehardzie. Jeden z twoich towarzyszy, Thiemo, nadal żyje...

- Thiemo żyje! Gdzie on jest?

- Służy teraz innemu księciu. Przekazałem mu, że żyjesz, ale nie jest już pod twoją komendą. Wy trzej...

- Wyjąkali swe imiona: Benedykt, Frithuric i Manegold. - Możecie wracać do klasztoru albo wybrać taki los, jaki spotka księcia Ekkeharda. Jak więc będzie?

Mimo swej młodości, mimo całej głupoty i wszystkich swych zbrodni przeciw Henrykowi i Wendarowi, przykłąkli wdzięcznie i obwieścili swoją dozgonną wierność Ekkehardowi. Pójdą z nim nawet na śmierć...

- Niech tak będzie. - Sanglant był rad, że są honorowi. Zostawił ich nad potrawką i nad zmartwieniami, i wrócił do wyznaczonej mu komnaty.

Blessing, Anna i Zachariasz spali, podczas gdy Matto i Chustaffus stali na warcie, a Thiemo grał w kości z Sibaldem, czekając na księcia. Komnata była obszerna, mieściła dwa stoły i trzy łóżka. Wilkun przysunął swoje polowe krzesło do wygasłego kominka. Siedział tam, wpatrzony w popioły, jakby zagasty ogień wciąż do niego przemawiał. Gdy podszedł do niego Sanglant, podniósł wzrok.

- Wydajesz się zmartwiony.

Wilkun nie odezwał się. Sanglant przysiadł przy nim. Patrzył, jak stary Orzeł porusza pogrzebaczem spalone patyki, zmieniając je w kupkę popiołu.

Bayan potrafił zonglować czterema żonami i nie dał się zabić. Jedną nawet odprawił, gdy mu zaproponowano małżeństwo z Sapientią, i nie został przez nią otruty ani wpędzony czarami w impotencję. Z pewnością umiał sobie radzić z Wilkunem. Nie sposób było pomyśleć, że jego ciało ulega rozkładowi, a dusza uleciała.

Myśli o śmierci wstrząsnęły nim.

- Czy użyłeś swego wzroku, Orle? Chyba mój ojciec nie...

- Gorzej. - Głos Wilkuna naprawdę drżał. - Anna została skoposą. Henryk wrócił bezpiecznie do pałacu po kampanii w południowych prowincjach. Wtedy jednak... chyba, że mój wzrok mnie okłamuje...

Przez chwilę nie był w stanie mówić dalej, w końcu jednak wychrypiał:

- Tyle zrozumiałem z tego, co mogę dojrzeć, bo czary Anny przesłaniają prawdę.

- Na litość Boską, mów dalej!

- Nigdy nie myślałem, że Anna może stoczyć się tak nisko.

- Nie myślałeś? Ja nie miałem wątpliwości.

Ostre spojrzenie Wilkuna wywołało tylko gorzki uśmiech Sanglanta.

- Jesteś mądrzejszy ode mnie, panie mój, książę, ale ja znam ją o wiele dłużej niż ty. Całe moje życie w jej służbie... - znowu przerwał.

- A mój ojciec, któremu przysiągłeś służyć? Błagam, Orle, mów o moim ojcu.

Wilkun zadrżał.

- Jest nawiedzony przez demony. Jest marionetką Anny i Hugona. Nie umiem powiedzieć, jaką rolę odgrywa w tym królowa Adelheid. Ach Boże! Że też coś takiego mogło się zdarzyć! Mówił nawet, że zamierza ogłosić niemowlę Matyldę swoją następczynią.

Anna i Hugo! Wszystko, co jeszcze mówił Wilkun, zbladło, gdy poryw gniewu zawył jak wicher, oślepiając go.

- Nie powinien nigdy im zaufać. A jednak, kto jest gorszy: człowiek, który ufa niegodnym zaufania, czy ten, kto odwraca się do niego plecami, chociaż wie, jakie niebezpieczeństwo czyha na nieostrożnego?

Wilkun podparł głowę rękami, bezgranicznie zmęczony. Wyglądał w tej chwili na starszego o dziesięć lat.

- Co możemy zrobić, gdy już zdobyli tak wiele? To beznadziejne.

- Nie, nie mów tak - rzekł Sanglant, patrząc w kominek. Samotna iskra błyskała tam wśród węgla. - Jeszcze nie zginęliśmy.

Wyjechali o świcie. Oceniając stan zniszczenia murów, Sanglant uznał za zdumiewające, że Qumanowie nie przedarli się przez żaden z pół tuzina wyłomów. Być może tylko dlatego, że nie starczyło im czasu. Według pani Sophie, Bulkezu i jego armia przybyli ledwie trzy dni przed Sanglantem.

Przyglądał się wojsku, jadąc z tyłu za nim: wielmoże i szlachetne damy z ich ochoczymi orszakami, Ungryjczycy, wiozący ciało Bayana w beczce wina. Prowadzi ich po śmierci, tak jak prowadził za życia.



Sapientia, przybita i milcząca. Jego córeczka śmiała się z czegoś, co powiedział Thiemo. Chociaż biedny chłopiec płakał, słysząc, że Ekkehard żyje, zdawał się odczuwać ulgę, że nie musi do niego wracać. Fulk jechał na czele osobistej eskorty Sanglanta. Czujny wzrok kapitana nie przeoczył niczego, gdy skierowali się na wschód. Zamierzał obrać kurs ryzykowny, ale jedyny, jaki mu pozostał, odkąd odwrócił się do ojca plecami pod Angenheim. Wiedział, że musiał to zrobić. Nie podejrzewał tylko, że stawka będzie tak wysoka.

Drastyczne środki w drastycznych czasach.

Trzymał Wichmana przy sobie.

- Jak twoja matka? - zapytał grzecznie.

Wichman zaśmiał się ochryple.

- Stara suka. Jest dość uparta, żeby żyć jeszcze całe miesiące. Modłę się o to, żeby żyła, choćby po to, żeby dręczyć moje siostry. Czy zamierzasz nas wydziedziczyć?

- Nie jestem panującym ani regentem, żeby wydać taki wyrok. Sądzę, że wysłano gońca do mojej siostry Teophanu w Quedlinhame. Trzeba też zasięgnąć zdania Sapientii.

- Tak mówisz, kuzynie, ale ona jest niczym bez Bayana.

Zamyślony wzrok Wichmana nadawał jakiś niezajomy wyraz jego rysom, zwykle aroganckim i lubieżnym, jakby wycierał z nich inny człowiek, pragnąc być dosłyszany.

- Był to nie lada kutas, ale Bóg wie, że wszyscyśmy go szanowali. - Pociągnął kolczugę, by się podrapać w kroczu. - Czy ta kobieta ci odpowiada? Ja muszę się zadowalać parą pryszczatych dziwek w mieście. Może powinienem pomyśleć o ożenku? Mógłbym zawrzeć dobry układ jak Druthmar z córką Villama. Powiadają, że pani Brygida wciąż szuka męża.

- O ile wiem, lady Bertha, córka Judith, jest wciąż niezamężna.

Wichman ryknął śmiechem, podchwyconym przez jego kompanów, kiedy usłyszeli ten żart, i rozmowa szybko stała się tak grubiańska, że nawet Sanglant miał jej dość. Pojechał naprzód z Fulkiem i Wilkunem, dołączając do poważnych towarzyszy księżnej Sapientii.

Na południe od miasta wjechali na pole bitwy, rojące się teraz od złodziei, kruków, wron, padlinożerców i wszechobecnych sępów, krążących nad głowami i czekających na swoją kolej. Większość wendarskich nobilów została zwieziona z pola zeszłej nocy, a teraz wywożono do masowych grobów zwykłych żołnierzy. Kapłani ungryjscy mieli własne obrządku, na które rozmyślnie nie zwracali uwagi. Qumanów oczywiście palono. Pióra zdarte z połamanych skrzydeł unosiły się w porannym wietrzyku niczym plewy. Jakaś kobieta szlochała nad ciałem ukochanego. Przejechał jakiś wóz ze stosem ciał.

Nieco dalej jacyś obszarpańcy snuli się niczym duchy na skraju pola bitwy, wstrząśnięci i oszołomieni. Czy ta młoda ciemnowłosa kobieta była naprawdę tak urocza, jak się wydawała z daleka? Szła na czele tuzina wychudzonych, przerażonych ludzi. Były tam i dzieci. Na moment skoncentrowali uwagę na polu bitwy. Za ich plecami, ciągnąca się na całej długości ugoru linia drzew wciąż była zielona za sprawą ostatnich deszczy. Tamci w końcu zawrócili i powlekli się do Osterburga. Wieże pałacu rysowały się ostro na bladuróżowym niebie, bo słońce wznosiło się z lasu na wschodzie.

Armia przyśpieszyła kroku, ale nie przeszła nawet połowy drogi do Vesperling, gdy napotkała triumfujący oddział Lwów, maszerujących naprzeciw nich z resztą taboru - która nie zdołała dojechać wieczorem - uszykowaną w dwie kolumny za nimi. Ich poszarpana chorągiew powiewała dumnie, a kapitan Thiadbald zatrzymał pochód i skinął na Lwa obok siebie, by wystąpił i powitał księcia.

- Książę, Wasza Wysokość, jestem Ingo, sierżant pierwszej kohorty. Patrz, jaką piękną zdobycz ci przyprowadzamy!

Sanglant wypatrzył najpierw Orlicę. Wyglądała na wyczerpaną, a kiedy go zobaczyła, rozplakała się.

- Panie mój - wołała, przeciskając się naprzód na koniu, którego jej dali. - Czy Liath jest z tobą?

Nie potrzebowała odpowiedzi ani też on jej nie udzielił, wiedząc, że wyraz jego twarzy jest wymowniejszy niż słowa. Zasłoniła oczy ręką, kryjąc łzy.

Nie była jedyną zdobyczą, którą prowadziły Lwy. Ponad wszelkie spodziewanie pojмали oto największą ze wszystkich zdobyczy. Spętany i ze związanymi rękami, zmuszony iść pieszo jak niewolnik. Jego twarz wyglądała okropnie. Kawał skóry oderwany z policzka wciąż krwawił, chociaż ktoś usiłował go opatrzyć. Trudno było powiedzieć, jak wielki czuje ból. W oczach miał szalony błysk, gdy śmiał się, słuchając Hanny.

- Powinienem wiedzieć, że szczęście szamanki Kerayitów nie pryska tak łatwo. Okłamałaś mnie, kobieto mrozu!

- Tak! - krzyknęła. - Okłamałam cię! Ona nigdy nie była w Osterburgu.

- Spokój, proszę! - Kiedy ucichli, Sanglant powiedział tylko jedno słowo. - Bulkezu.  
Skrzydła gumańskiego księcia były potrzaskane, ale ocalało kilka jaskrawych gryfich piór, wiszących na tym, co zostało z uprzęży.  
- Powieś go - powiedziała ochryple Hanna.  
- Nie, pozwól mi go zabić! - krzyknął Wichman, a ten krzyk narastał w szeregach, gdy żołnierze domagali się tego zaszczytu.  
Sapientia wydobyła miecz i wyjechała naprzód, wołając do Lwów, by wyciągnęli Bulkezu przed szereg.  
- Chcę mieć jego głowę jako wynagrodzenie za śmierć mego męża!  
Ludzie tłoczyli się z tyłu, aby zobaczyć to widowisko, wszyscy ryczeli i urągali dwudziestce gumańskich jeńców, stojących w miejscu z twarzami bez wyrazu. Bulkezu roześmiał się, jakby chciał pobudzić jeszcze bardziej gniew Sapientii. Wrzasnęła z wściekłości i podniosła miecz.  
- Spokój! - Głos Sanglanta wybił się ponad wrzaskami. Podjechał do Sapientii i chwycił jej ramię, zanim zdążyła uderzyć. - Nie, siostrze, nie będziemy zabijali jeńców. Nie wtedy, kiedy mogą nam być przydatni w inny sposób.  
- Więc go powieś, jak mówi ta Orlica! Żeby wszyscy widzieli, jak pogardliwie traktujemy pogan!  
- Lepiej nam usłuży żywy niż martwy.  
Te słowa wywołały pełne niedowierzania milczenie. Ludzie pomrukiwali, przekazując szeptem oświadczenie Sanglanta do ostatnich szeregów. Tylko jedna osoba miała odwagę przemówić.  
- On jest potworem! - krzyknęła Hanna. - Musisz wymierzyć mu sprawiedliwość za wszystkie zniszczenia, które wyrządził. Widziałam to na własne oczy, w imię króla Henryka!  
- Nastąpią gorsze zniszczenia, jeżeli nie pokonamy wroga, który zagraża nam najbardziej. Lady Bertho. Wyjedź naprzód, proszę.  
Bertha nadjechała ze swoim chorążym u boku i pobieżnie pozdrowiwszy Sapientię, stanęła przed Sanglantem. Córka Judith bez żadnych pytań szybko oceniła sytuację. Miała pokaleczoną twarz i rękę na temblaku - nie była osobą, którą chciałby spotkać na polu bitwy, silna, przebiegła i bezlitosna.  
- Dam ci, czego chcesz - powiedział - jeśli mi przyrzekasz swą lojalność.  
Sapientii zaparło dech.  
- To ja zostałam dziedziczką Henryka! To moja armia...  
- Nie, siostrze. To teraz moja armia. - Przywołał skinieniem Heriberta. - Włóż to... - powiedział cicho. - Już czas.  
Heribert z promiennym uśmiechem pogmerał w sakwie zawieszanej u pasa i wydobył złotą obręcz, którą Waltharia ofiarowała Sanglantowi przed miesiącami. Książę wziął ją, rozchylił końce i wsunął ją na szyję. Ciężki złoty splot spoczął tam z łatwością. Już zdążył zapomnieć, jak naturalny wydawał mu się ten ciężar, namacalny symbol jego rangi, pierworództwa i autorytetu. Jego żołnierze wznieśli ogłuszający okrzyk. Twarz Sapientii pobladła i zachwiała się, jakby ten hałas przyprawił ją o zawrót głowy.  
Sanglant wyjechał naprzód, by przejąć z ręki Ingo sznur uwiązany na szyi Bulkezu.  
- Moja armia - powtórzył. - A Bulkezu jest moim jeńcem. - Wódz Qumanów nie powiedział nic, tylko obserwował. Sanglant zwrócił się do córki Judith: - Lady Bertho, czy zawarliśmy umowę?  
- Ekkehard poślubi moją siostrę w zamian za przejście mego wojska pod twoją komendę? Przyjmuję taką zamianę. - Uśmiechnęła się szeroko. - Miałam nadzieję, że jeszcze powalczymy.  
Stał w strzemionach, na pół obrócony, by przyjrzeć się żołnierzom czekającym na jego komendę. Podniósł głos, by dotarł on do tylnych szeregów.  
- Wojna nie jest jeszcze skończona, chociaż odnieśliśmy tu wielkie zwycięstwo. Nie ma już zagrożenia Wendaru przez Qumanów. Ale nasi wrogowie nie zostali pokonani. Jadę teraz na wschód. Kto jedzie ze mną?  
Nikt mu nie odmówił.

## **Rozdział dziewiętnasty**

### **ODSŁONIĘCIE**

Adika wróciła do domu tuż po zachodzie słońca, wstępując z południowego upału w chłód jesieni. Przekroczyła bramę utkaną ze światła gwiazd. Stała drżąca i kaszląca. Jej płuca się przystosowywały, gdy walczyła o miejsce dla siebie w kole roku. Niebiosa były nieprawdopodobnie przejrzyste. Księżyc w pełni wstał na wschodzie, przemywając niebo srebrzystym światłem, które wygasilo większość gwiazd.

Te jasne gwiazdy powiedziały jej to, co powinna wiedzieć. Po położeniu Czerpaka obracającego się nisko na północy i po śladzie Węża wzdłuż południowo-zachodniego widnokregu wiedziała, że jesienne zrównanie dnia z nocą wypadło tuż przed ostatnim nowiem. Skoro tak, słońce było bliskie osiągnięcia nadiru niebios w swej cyklicznej podróży, a zatem pozostał jej mniej niż jeden cykl księżycowy, zanim nadejdzie noc, w której gwiazdy i niebiosa znajdą się w położeniu odpowiednim dla dokonania wielkiego dzieła.

Nigdy więcej nie zobaczy następnej pełni.

Nigdy więcej nie będzie leżeć z Alainem, pieścić jego ciała.

Zapłakała. Daleko na południu tkanina Szu-Szy zblakła. Właśnie wtedy, gdy Alain i ludzie, którzy pozostali z tyłu, by go strzec, zaginęli. Przekreśliła pierścień z lapis lazuli na palcu i z wysiłkiem otarła łzy. Szu-Sza pouczała ją nieraz w ciągu tych pięciu dni, które spędziła w jej hallu w krajach południa.

- Nie żałuj szczęścia, które udało ci się osiągnąć, bo obrócisz tę radość w smutek. Bądź szczęśliwa, że miałaś to, czego inni mogą nigdy nie zaznać. Bogowie obesli się z tobą łaskawie, córko.

Nie sposób było spierać się z Szu-Szą, wielką królową, która dzięki swej wspaniałej talii i ogólnej piękności często była ogłaszana żywym wcieleniem Obfitej, najpotężniejszej z bogów. Trzymała w dłoniach życie i śmierć. Ludy rządzone przez królową Szuaszaanę nie nazywały oczywiście swej bogini w swoim języku Obfitą, ale Adika wiedziała w głębi serca, że to ta sama potęga, która żyje w obu miejscach, choćby używała różnych imion.

Jako dziecko nauczyła się dławić łzy. Przerzuciła torbę przez ramię i ruszyła do wsi. Jej ludzie pracowali. Dolny nasyp otaczający kurhan miał mocną palisadę z pni ustawionych wokoło tak daleko, jak daleko sięgała wzrokiem w świetle księżyca. Zwały świeżej ziemi wznosiły się na przemian ze schronami robotników na niższym gruncie między nasypami. Podszedł jakiś człowiek, pogwizdując. Dostrzegł ją wzdłuż krzywizny wału i zatrzymał się. Przyłożył róg do ust i zagrał trzy razy, żeby ostrzec wieś.

- Ktoś ty? - spytała, nie rozpoznając go. Ale on uciekł.

Wiedział, kim ona jest i przestraszył się, jak oni wszyscy w dniach przed przybyciem Alaina.

Dolne nasypy zachodziły na siebie, pozostawiając między sobą łatwy do obrony przesmyk. Robotnicy wykonali tu wykop o stromych ścianach i wkopali na jego dnie zastrzone pale. Deski przerzucone przez wykop tworzyły mostek. Dwaj dorośli stali na warcie, ale zasłonili oczy i wymruczeli grzeczne pozdrowienie, nie patrząc na nią.

Kiedy wyłoniła się z przesmyku, spojrzała w dół stoku na wioskę i z pomocą światła księżyca zbadala zmiany, jakie zaszły w czasie dwóch pór roku. Podczas jej nieobecności wieśniacy dokończyli budowę palisady wokół wioski, ze stanowiskami wartowniczymi w regularnych odstępach i z wieżami po obu stronach bramy. Pochodnie płonęły przy każdej wartowni, a obok stali wartownicy. Jakie to dziwne widzieć swoją pokojową wioskę przekształconą w obóz gotowy do wojny. Jakie to dziwne widzieć te podobne do węży wały ziemne najeżone drewnianymi stanowiskami niczym zębaty grzbiet odpoczywającego smoka.

To zrujnowało sielski spokój krajobrazu. Spokój mogli osiągnąć dopiero po pokonaniu Przeklętych. Jej smutek, jej życie mało znaczyły w porównaniu z życiem plemienia. Umocniła serce, schodząc ścieżką.

Mostek był wciągnięty, odsłaniając świeży wykop najeżony zastrzonymi palami. Podnosząc laskę, potrząsnęła dzwonekami, wzywając strażnika bramy.

- Wybrana! - Urtan stał tej nocy na straży przy bramie. Dość szybko ją otworzono, przerzucono mostek i Adika została serdecznie powitana w środku.

- Gdzie jest Alain? - spytał Urtan. Inni wieśniacy, zaalarmowani głosem rogu, nadbiegli, gdy otoczył ją pierścień pochodni.

- Rozpaczaliśmy po tobie, Wybrana!

- Obfita jest litościwa, Wybrana. Sprowadziła cię z powrotem do nas.

Beor przepchnął się przez tłum, chcąc ją zobaczyć z bliska.

- Gdzie jest Alain? - zapytał.

Była zmęczona myśleniem o nim.

- Dajcie mi spać - odparła szorstko.

Matka Weiwara wysunęła się naprzód, wyglądając dostatnio i zdrowo.

- Pozwólcie Wybranej pójść do łóżka - powiedziała surowo do stłoczonych wokoło ludzi. Odprowadziła Adikę do jej chaty i przykucnęła na zewnątrz, tuż za progiem, gdy Adika schyliła się w drzwiach i upuściła sakwę na podłogę, a potem opadła na kolana przy cuchnącym stęchlizną łóżku.

- Długo cię nie było - mówiła Weiwara przez drzwi. - Dłużej niż dwie pory roku. Ciemnia słońca jest już tylko za pół cyklu księżycy...

- Wiem.

- Och, Adiko. - Kiedyś Weiwara była jej najdroższą przyjaciółką, obie dziewczyny razem dorastały. Gdy ciemność kryła je przed sobą, odważyła się wrócić do utraconej przyjaźni, nie dbając o złe duchy, mogące wywahać nici wiążące jedną z drugą i skorzystać z tych połączeń, by zapuścić swoje szpony w niczego nie podejrzewające. - Gdzie byłaś?

- W długiej podróży. Jestem bardzo zmęczona. Utraciłam Alaina. - Musiała uszczypnąć się w szyję, żeby zdławić szloch. - Ale nie bój się, Matko Weiwaro. Dzieło postępuje naprzód. Wkrótce uwolnimy się od strachu.

Jeżeli pogoda się utrzyma. Jeżeli Wybrana dożyje. Jeżeli Laoina dotarła w porę do swoich ludzi, aby poprowadzić silną grupę wojowników na pomoc Dwóm Palcom w kraju Roga. Jeżeli zdołali wypchnąć Przeklętych z tamtego kamiennego warsztatu tkackiego i połączyć się z innymi. Jeżeli Hehoyanah zrobiła, o co ją prosił jej wuj i przyłączyła się do tkania. Jeżeli żadni Przeklęci nie zaatakowali namiotów Jasności-Która-Mnie-Słyszy. Jeżeli Upadająca nie zginęła. Jeżeli ona sama zwalczy smutki.

- Powiedz mi, co widziałas - szepnęła Weiwara.

Chciała się sprzeciwić, ale przygryzła wargi, zanim odmówiła.

Alain nauczył ją, jak słuchać innych w sposób, który pozwala zajrzeć w serce, pomijając słowa. Czy to ciekawość była w tonie głosu Weiwary, czy może nawet tęsknota? Czy jej dawna przyjaciółka żywiła skryte pragnienie ujrzenia dalekich krajów i niezwykłych rzeczy?

Czasami opowiadanie jest jedynym sposobem ukojenia bólu albo przynajmniej pomniejszenia go.

Opowiedziała Weiwarze o ich długiej podróży, o dziwnych stworzeniach, które widzieli, o nieznanym miastach, które mignęły im w przelocie, o zasadzkach, jakich uniknęli. Opowiedziała jej nawet o wizji uczy obfitości, której złoto nadawało blask, i o kobiecie z ogniem w sercu, która dała jej pierścień do zwrotu Alainowi. Kiedy opowiadała tę historię, przycisnęła pierścień do policzka.

- Nie zobaczyłam jednak znowu Alaina. Kiedy się obudziłam z mego transu, byłam w pałacu Szu-Szy, gdzie mnie zaniósł Laoina z innymi. Alain odszedł z trzema ludźmi z plemienia. Poszedł po psy. Nie wrócił. Czekałam tam przez pięć dni, ale nie wrócił...

Wiatr dźwięczał w dzwoneczkach zawieszonych pod okapami. Jakaś krowa ryczała w pobliskiej oborze. Jeżeli teraz przestanie, nigdy nie będzie w stanie mówić dalej.

- Opowiedz mi o Szu-Szy - prosiła Weiwara, jakby czytała w sercu Adiki. - Jak wygląda jej pałac? Czy ludzie z jej kraju są tacy sami jak my? Co jedzą?

- Królowa Szuaszaana jest niebywale tęga. Nigdy nie widziałas kobiety o tak wielkiej mocy ciała. Uda ma wielkie jak moje biodra, a ramiona jak moje uda. Jej brzuch jest wielki jak kocioł, a jej piersi są podobne do melonów.

- Musi być bardzo potężna - mruknęła Weiwara z lękiem. - Nigdy nie byłam taka tęga, nawet podczas ciąży z bliźniętami.

Adika była tak pogrążona we własnych lękach i smutkach, że nawet nie pomyślała, by zapytać o wypadki we wsi. Tyle mogło się wydarzyć, odkąd odeszła, a mimo to musiała ostrożnie stawiać pytania, nie wymieniać nikogo z imienia, bo mógłby przez to być narażony na żądła złych duchów, nasłuchujących wokół niej.

- Mam nadzieję, że łaskawość Obfitej wciąż uśmiecha się do wioski.

- Wiosna i lato minęły szybko, Wybrana. Były dwa napady Przeklętych na północ od nas, w Siedmiu Źródłach i w Czterech Domach, i kilku ludzi zginęło, ale Przeklęci zostali odparci. Dorren przybył od Upadającego i poinformował, że musimy ufortyfikować Grób Królowych. Pracowaliśmy przez całe lato z grupami z innych wioski, żeby zbudować palisadę na dolnym nasypie dla ochrony kamiennego krosna. Pewnego razu, przy jesiennym zrównaniu dnia z nocą, jacyś zwiadowcy strzelali do nas z łuków, ale obie palisady były już wtedy ukończone, więc odeszli, widząc, że w małej liczbie nie mogą nam zaszkodzić. Posłaliśmy jednak po wojowników z innych wioski Białych Jeleni, na wypadek, gdyby powrócili. Obfita pobłogosławiła nas trzykrotnie narodzinami, nikt zaś nie umarł przez miesiące twojej nieobecności. Cieszyliśmy się jej łaską.

- Oby nadal tak było - modliła się cicho Adika. - Wybacz mi, Weiwaro, że mówię o losie, kiedy duchy roją się wokół mnie, ale jedna rzecz mnie gnębi. Skoro jesteś Matką twego ludu, musisz się o coś prosić.

- Pamiętam naszą przyjaźń. Nie odwróć się teraz od ciebie.

Adika westchnęła.

- Obiecuj mi, że pochowasz mnie obok dawnych królowych, jeżeli możesz.

Wyczuła łzy Weiwary.

- Będiesz wśród nas poważana, jakbyś była królową z dawnych dni. To ci obiecuję. Nikt z tego plemienia nigdy cię nie zapomni, jak długo będziemy mieć dzieci.

- Dziękuję.

- Czy jest coś jeszcze, o co chciałabyś mnie prosić?

Myśl o położeniu się samotnie na swoim starym łóżku kazała jej myśleć o królowych śpiących pod wzgórzem. Wiedziała jednak, że musi spać, by zachować siły. Nic nie było teraz ważniejsze niż udane dokończenie tkania wielkiej tkaniny.

- Chcę spać. Musisz teraz zajrzeć do wioski, a ja przygotować się na to, co nadchodzi.

O dziwo, gdy Weiwara odeszła, zasnęła bez trudu, nakryta futrami. Owładnięta zmęczeniem, spała bez snów.

Przywitał ją chłodny poranek. Wstała o świcie i zrobiła, co mogła, by przewietrzyć swoją pościel. Obejrzała zwisające z krokwi zasuszone zioła, zerwała lawendę nadzartą przez grzyb i spaliła oset, zbyt zwietrzały, by się do czegoś nadawał.

Już o świcie pod jej domem zebrali się wieśniacy.

- Wybrana, dom narodzin nie został oczyszczony jak należy.

- Wybrana, moja córka zachorowała po wypiciu cydru, ale Agda mówi, że to jagody, które zbierała, a nie cydr. Zostało jeszcze pięć dzbanków. Może są w nich złe duchy, a może wciąż są dobre.

- Wybrana, czy to prawda, że Alain nie wrócił z tobą? Mój pies ma w łapie cierń, a gęś ma skaleczoną nogę...

Ubrała się, zjadła owsiankę z kozim mlekiem i poszła do domu urodzin. Po trzech nowych narodzin rozpaczliwie potrzebował oczyszczenia. Wyczuwała duchy czające się pod okapami, czyniąc go niebezpiecznym dla kolejnej kobiety, która tu przyjdzie rodzić.

Gdy badała dom z zewnątrz, sprawdzając, jak strzecha przetrwała lato, wypatrując ptasich gniazd, pajęczyn i innych splotów, gdzie mogły sypiać duchy, spoglądała przy okazji za siebie, na wioskę.

W przygotowaniu do zimy wywożono gnój z obór na najdalsze pola. Beor ze swymi kuzynami zarznął tuzin świń dla wykarmienia drużyn wojowników obozujących pod nasypem, a jego siostra niosła właśnie wielki gar gorącego ugotowanego jęczmienia. Młody Deyilo pasł stado gęsi na ściernisku.

Pojawiła się Getsi z zakrytym koszykiem. Urosła o dłoń, odkąd Adika widziała ją ostatnio, a kształt jej twarzy zaczął się zmieniać. Za rok stanie na progu kobiecości. Ale to nie Adika będzie tą kobietą, która ją przeprowadzi przez ów próg.

- Co tam masz? - spytała dziewczynę ostrzej, niż zamierzała.

- Moja matka zebrała dla ciebie zioła i kwiaty. Gdzie mam je zostawić?

- Tutaj, córko - odpowiedziała, cokolwiek zawstydzona, wskazując miejsce na ziemi przed drzwiami. - Twoja matka otrzyma me podziękowania. Ta strzecha wymaga ubicia. Mieliście jakiś mróz, który ją naruszył.

- Wcześniej przyszły chłody tego roku - zgodziła się Getsi. - Powiem siostrze, żeby to zrobiła. Matka mówi, że ja nie jestem dość silna do takich robótek.

- Wkrótce będziesz.

Getsi uśmiechnęła się, po czym oddaliła.

Obeszła dookoła dom narodzin, zanim uklękła przy koszyku, zdejmując pokrywę.

Nagły przypływ zapachów wypiętrzył się w górę, obłok pyłu tańczącego na wietrze, który porwał i rozszarpał suszony krwawnik, leżący na wierzchu. Pod spodem znalazła saszetki z płatkami kwiatów i owocami jałowca, a pod nimi tłustosz, bukvicę, liście mięty, związane razem łądygi wrotczyca i pięciolistnego pięciornika, a także lawendę tak kruchą, że rozpadała się przy dotknięciu. Ułożyła na kolanach zawartość jednej z saszetek, osłaniając przed wietrzykiem lekkie płatki róży rdzawej i dzikiej róży.

Z wioski zagrał na alarm róg, trzykrotny sygnał wzywający wszystkich pod osłonę wałów. Zaskoczona, znieruchomiała, podnosząc głowę. Mężczyźni i kobiety przerwali swoje prace.

Róg zabrzmiał ponownie, pojedynczy sygnał, potem cisza, a następnie znowu krótki dźwięk. Słyszała krzyki przechodzące od zaskoczenia do zdziwienia, gdy ludzie wybiegali z bram, by spotkać to, przed

czym przed chwilą uciekali.

Nie poruszyła się.

Tuzin jeźdźców pojawił się zza południowej flanki wielkiego kurhanu, Grobu Królowych. W następnej chwili poznała, że nie byli to jeźdźcy, ale Ludzie-Konie. Jeden z nich niósł jeźdźca, człowieka. Między centaurami biegły dwa wielkie czarne psy.

Płatki zsunęły się jej po udach, czepiając się spódnicy. Nie pomyliłaby go nigdy z nikim innym. Zerwała się, a płatki róż spadały chmurami wokół niej i za nią, gdy biegła mu na spotkanie.

Przepchnął się przez tłum podziwiający centaurzyce. Rozstąpili się, widząc, dokąd zmierza. Wydostawszy się, rzucił się ku niej i chwycił w ramiona, ściskając tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej wypuścić, z twarzą wtuloną w jej włosy.

Nie mówił nic. Ona płakała, nie mogąc powstrzymać łez radości i ulgi. Po chwili został od niej odciągnięty, by całować się z innymi, chociaż nie mógł uściskać każdego.

- Już dobrze, Adiko. Wróciłem bezpiecznie do domu. Wiedząca jest ocalona. Nie mogliśmy wrócić na południe z powodu wojny, ale kiedy się dowiedzieliśmy, że królowa Szuaszaana odesłała cię do domu, moje przyjaciółki zgodziły się przynieść mnie tutaj. Wszystko jest dobrze, kochana. Wszystko jest, jak powinno być.

- Kocham cię - powiedziała przez łzy, podczas gdy psy skakały niczym szczeniaki, pragnące powitania.

- Tak się bałam, że cię utraciłam.

- Nigdy w życiu - obiecał, obejmując ją znowu. - Przenigdy.

Trzymana w tym gorącym uścisku, wiedziała, że teraz nie osłabnie, nawet w obliczu śmierci.

## 2

Pałace unosiły się na rzece ognia, a każdy połączony był z poprzednim mostami błyszczącymi jak polerowane złoto. Co pewien czas jaskrawe iskry wylatywały w górę z rzeki ognia w taki sam sposób, w jaki iskry wzlatują i gasną, gdy kowal uderza młotem w rozgrzane żelazo. Te iskry świeciły na jej ciele, jakby spotykała się z uściskiem zastępu istot, demonów, których ciało składało się wyłącznie z ognia.

Kiedy jej dotknęły, zapłonęła. Palily się jej ręce, płonęła skóra, a ogień z jej wnętrza poprzerywał więzy, którymi Da związał ją przed wielu laty. Unieruchomił ją na wiele lat, ale w tym miejscu jego magia nie miała mocy. Iskry przebiły zamknięte drzwi, za którymi Da ukrył jej duszę, topiąc zamek. Drzwi rozwarły się szeroko i zniknęły w chmurze pary, ona zaś płonęła, dopóki jej ciało nie zostało strawione przez ogień, a płomień wewnątrz niej spotkał się z płomieniem na zewnątrz.

Była jak one. Miała duszę z ognia, nie różniącą się od ich dusz. Radość ugodziła ją w serce jak błyskawica. Wszechświat dookoła niej stał się nieskazitelny, ona zaś zrozumiała sercem i duszą, że znalazła się w jakimś miejscu istniejącym poza śmiertelnymi ograniczeniami ludzkości. Zniknął nawet jej łuk, Łowca Serc. Nie zostało jej nic ziemskiego, nic nie wiązało jej z ziemią. W objęciu ognia płonęła przez wieczność, a może tylko przez chwilę. Potem odzyskała głos:

- Kim jestem?

Tutaj, w królestwie ognia, ich głosy brzmiały, jakby były napiętymi strunami, na których muzyka sfer wygrywała swój rytm.

- Wstąp w rzekę ognia, dziecko. Tutaj nic nie może być ukryte, to co nazywasz przeszłością, co cię wiąże, i przyszłość, która oślepią śmiertelne oczy.

Wpadła w rzekę, która porwała ją w przeszłość.

*Zna tę piękną willę, jej dumną architekturę i solidną konstrukcję, mały samowystarczalny kosmos. Poznaje widok urwistych wzgórz i lasu tak gęstego i zielonego, że światło letniego słońca w południe zdaje się tonąć w listowiu. Willę otaczają pola zadbanej posiadłości. Nie rośnie tu ani jeden chwast. Nawet pszczoły nigdy tu nie żądają. To miejsce, w którym się urodziła i spędziła wczesne dzieciństwo.*

*Zna ten miły ogród, kiedyś pelen motyli, a teraz wyłożony obfitością świetlistych nagietków. Ale najpiękniejszy klomb szafranu po prostu zniknął, wypalony. Jakiś człowiek stoi odwrócony od innych, oglądając zniszczony szafran. Pięć innych, wyczerpanych, posępnych postaci klęczy wokół siódmej, w istocie zwłok. Jedna z klęczących ostrożnie badała leżące na twarzy ciało.*

*Jeden z Siedmiu Śpiących zginął w walce, a Anna po raz pierwszy traci swój majestat, głośno wykrzykując gniew. Wygląda tak zaskakująco inaczej, że Liath potrzebuje chwili, by zdawać sobie*

sprawę, jak młoda jest Anna w tej przeszłości. Jest podobna do swego dziada Taillefera, dobrze zbudowana, o doskonałych proporcjach, pięknych oczach i dystygowanych manierach. Nie może mieć więcej niż trzydzieści lat, silna i niezwykle piękna w pełni rozkwitu.

- Mamy związać demona! - krzyczy oburzona porażką. - On ma być ojcem! Ja mam być tą, która poświęci swą krew i swoją czystość, by urodzić dziecko.

- To druga strata, jaką ponosimy - mówi Severus - chociaż, prawdę mówiąc, wcale mi nie będzie brak niekończących się modlitw Theoderady.

Ubytek lat na twarzy nie poprawił jego kwaśnej miny.

- Czy możemy ryzykować trzeci zgon?

- Musimy. - Anna spogląda groźnie na zmarłą, skręconą na ziemi, w szatach spalonych na popiół i szarą skórą, wciąż zbyt gorącą, by jej dotknąć. - Musimy mieć dziecko urodzone z ognia, które zdoła pokonać bękart, którego wywyższa król Henryk. Czy nie rozumiecie, że wszystko przepadnie, jeżeli nie przeciwstawimy się Aoi? Chcecie poczuć ich jarzmo na karku?

- Nie - mówi Severus z irytacją, pytany o to już nazbyt wiele razy.

Meriam wzdycha, przyglądając się zmarłej.

- Gdzie znajdziemy inną, aby do nas dołączyła? Biedna Hiltrudis była za młoda, by myśleć o śmierci.

- Czy wszyscy nie jesteśmy? - parsknął Severus. Ramiona ma poparzone, policzki płoną jak w gorączce. Pęcherze zaczynają się już tworzyć pod dolną wargą, a z oczu płyną łzy.

Najmłodsza spośród nich, szczupła kobieta z pasmami jasnych włosów, stoi z tyłu, z ręką przy ustach, by stłumić straszliwy odór. Wszyscy noszą ślady oparzeń.

- Boję się - szepcze. Spogląda ku siódmemu z ich liczby, mężczyźnie stojącemu o rzut kamieniem od reszty, odwróconemu plecami? Światło tworzy aureolę wokół jego ciała, które dzięki swej pozycji zakrywa coś stojącego pośrodku wypalonego szafranu. Zaczyna płakać w milczeniu, ze strachu. - Boję się próbować znowu. Nie powiedzieliście mi, że to będzie takie... - Wskazuje zwłoki. - Hiltrudis też nie wiedziała. Jak mogliście nas nie ostrzec?

- Cicho, Rothaido - mruczy Meriam, ujmując ramię młodej kobiety. - Z pewnością zawsze wiedziałaś, że czary są niebezpieczne.

Mężczyzna klęczący przy zwłokach podnosi wzrok. Z początku Liath go nie rozpoznaje. To rodzaj mężczyzny, którego wygląd poprawia się z wiekiem.

- Jeżeli spróbujemy znowu - mówi Wilkun - będzie z pewnością gorzej. Czy nie wystarczy to, co mamy? Udało nam się nadspodziewanie...

Anna prychnęła z niesmakiem, odwracając się.

- Będę więc działać samotnie, jeżeli muszę. Dzisiejsza praca to żaden sukces.

Mężczyzna stojący wśród popiołów, odwrócony plecami do innych, wzdycha cicho.

- Była taka piękna.

- Idź! - mówi nagle Anna. - Zostaw to ciało. Muszę pomyśleć.

Nie mają nic przeciw wycofaniu się, by opatrzyć rany. Meriam odprowadza płaczącą Rothaidę, Severus kuśtyka za nią, i po chwili, chociaż niechętnie, rusza również Wilkun. Motyle zaczynają wracać, fruując wokół Anny niczym uskrzydłone klejnoty.

Potem Anna zostaje sama ze zwłokami i tym mężczyzną, odwróconym do niej plecami, który najwyraźniej nie słyszał jej polecenia.

- Bernardzie - mówi ona cicho.

Słyszając swoje imię, odwraca się zdziwiony.

Boże, to przecież tata, ale o wiele młodszy... Liath nigdy nie wiedziała, że jest przystojny. Nigdy też naprawdę nie rozumiała, jak bardzo jest do niego podobna, nawet ze swoją złocistobrunatną skórą i oczami salamandry. Lata ucieczki zrobiły swoje. Magia, którą roztoczył, aby ją ukryć, oszpeciła go i pomniejszyła. Oto jest ten nieulekły mąż, ogolony i z fryzurą, jaką noszą braciszki, który poszedł żarliwie do krajów pogan na wschodzie, nie oglądając się za siebie. Ale to było przed jej urodzeniem, przed ich ucieczką, przed dniem, gdy unieruchamiając ją, unieruchomił siebie.

Liath nie pojmowała, jak bardzo Anna go nienawidziła. Nigdy nie rozumiała, aż do tej chwili, jaki jest potężny i jaki promienisty, jasny niczym słońce i z błyskiem sarkazmu w oczach. Zapamiętała go tylko po tym, jak strach go spustoszył.

- Bernardzie - powtórzyła Anna. - Dość długo byłeś mi cierniem w boku. Wiem, że nigdy nie dbałeś o naszą pracę dla ratowania ludzkości przed zagrożeniem ze strony Utraconych. Wiem, że przyłączyłeś się do nas tylko po to, by zaspokoić swą ciekawość. My zaś znosiliśmy cię przez te wszystkie lata tylko dla mocy twego talentu, nie zaś dla twej lojalności wobec naszych celów. Nadszedł jednak czas na to, żebyś

mi był użyteczny. Czy to być może, że w końcu zobaczyłeś istotę, której pragniesz bardziej niż wiedzy?

Odstępuje na bok i ona widzi to, co schwytali w klatkę zrobioną nie z żelaznych prętów, ale z nici podobnych do jedwabnej pajęczyny, wydymających się pod wiatrem. Tamta jest rozżarzoną ogniem, żywą istotą uwięzioną magią w świecie pod księżycem, do którego nie przynależy. Ma postać kobiety, iskrzącą się i jasną jak niebieskobiałe słońce. Jej skrzydła tłuką o nieustępliwe białe pasma, jest jednak beznadziejnie usidłona. Bije od niej żar, ale klatka neutralizuje zorzę płomienia, a kiedy otwiera usta, żeby wrzasnąć, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

- Możesz ją mieć, Bernardzie, bo widzę, że jej pragniesz, ale tylko wtedy, gdy to, co się zdarzy, pozostanie tajemnicą między tobą a mną.

Jest wewnętrznie rozdarty. Podejrzewa, że zgoda skompromituje go w jakiś niezamierzony sposób, ale Liath wie, że chociaż walczy, przegra, bo zakochał się w demonie, istocie tak dalekiej od zasięgu śmiertelnych, że nawet jej dotknięcie niesie śmierć.

- Jak to być może? - pyta szorstko. - Jeśli biedna Hiltrudis zginęła przez samo tylko rzucenie zaklęcia wiążącego, jak może czyjeś ciało dotknąć czystego ognia? - Podnosi rękę, a potem rumieni się.

- Najpierw musimy znaleźć innych, by pogrzebać ciało Hiltrudis jak należy i znaleźć siódmego, by dopełnić naszej liczby. Istnieją pewne, znane mi zaklęcia, które mogą złagodzić ogień do światła, więc jej ciało cię nie oparzy. Twoją sprawą jednak będzie zdobycie jej przyzwolenia.

Patrzy na niego, gdy tymczasem demon wije się, usiłując się uwolnić.

- Wszystko to ma swoją cenę.

- Co mam zrobić? - Już jest schwytany. Zgodzi się na wszystko, bo pragnienie złapało go w klatkę niezrównanej piękności, w postaci kobiety o skrzydłach z płomienia, córy najwyższej sfery, duszy gwiazd. Zgodzi się na wszystko, byle ją tylko mieć.

Anna strzepuje ostatni ślad szafranu z rękawa.

- Po pierwsze, ten czar mnie osłabi. Będę niesprawna, więc musisz dbać o mnie, póki nie wydobrzeję. Po drugie, inni muszą myśleć, że to dziecko jest moje, że my dwoje uwolniliśmy tę istotę i schwytali drugą, męską, która mogła mnie wskutek tego zapłodnić. To dziecko musi być uważane za pochodzące z rodu Taillefera. I to nie tylko z rodu Taillefera, ale legalnie urodzone. Zatem, musisz posłubić mnie w kościelnej ceremonii.

- Tak - mówi on w roztargnieniu, najwyraźniej zbyt rozproszony, by wytknąć nielogiczności tej propozycji. Kobięca istota uspokoiła się teraz na tyle, by złożyć skrzydła i ze zrozumieniem i gniewem przyglądać się swemu więzieniu.

- Na koniec, ja wychowam to dziecko.

- Jak sobie życzysz - szepcze, bo demon go zauważyła. Nie ma ona wyraźnych rysów, żadnej ludzkiej maski twarzy, są tam oczy, które go widzą, notują jego obecność, ona zaś nie cofa się, gdy on śmiało odwzajemnia jej spojrzenie. Przygląda mu się, płonąca i promieniejąca, najpiękniejsza istota, jaką widział w życiu, które stawiało go twarzą w twarz z wieloma cudownymi istotami. Nie lęka się jej. Jest niewolnikiem pragnienia, mężczyzną, który dotąd pozostał wierny swoim ślubom czystości, mimo licznych przeszkód rzucanych na jego szlak.

Jak sobie życzysz.

Te słowa prześladowają Liath.

Ciało zostaje wyniesione i pochowane jak należy. Następnego dnia Anna i Bernard zostają połączeni w kaplicy świętym węzłem małżeńskim, a pozostali patrzą na to jako świadkowie. Wilkun chodzi nerwowo przez cały czas trwania ceremonii. Rothaida, Meriam i Severus oddalają się, ale Wilkun ociąga się przez kilka dni, niczym człowiek nękany podejrzeniem, że jego żona zamyśla cudzołóstwo. Odchodzi dopiero, gdy jego Orli wzrok ukazuje mu starego króla Arnulfa złożonego jakąś straszliwą gorączką. Śpieszy do boku króla, któremu służył przez wiele lat, udając wierność.

Po jego odejściu Anna może w końcu rzucić swe zaklęcie. Jej przebiegły umysł ma sposób, by ukarać jedynego mężczyznę, do którego od zawsze czuła nieodparty pociąg fizyczny. Ogień duszy demona zostaje poskromiony, jej eteryczne ciało otrzymuje wygląd śmiertelnego ciała, ale jej rysy zostają tak ukształtowane, że przypominają Annę.

Schwytana w pułapkę i osłabiona, demon zwraca się ku temu jedyńemu, który okazuje jej życzliwość i uczucie. Ogień szuka ciepła, gdy przygasa. Bernard nie jest nieświadomy sposobu, w jaki Anna obraca jego życzenie przeciw niemu, więc kiedy w końcu demon ulega jego cierpliwym zalotom, jest tak, jakby kochał się z samą Anną, jej twarzą, jej ciałem, ale rozświetlonym eterycznym ogniem od wewnątrz, Anną o wyglądzie anioła. Z tym sardonicznym humorem, który pomógł mu wytrzymać wiele cierpień w jego wschodnich podróżach, on nawet mówi do niej: - Anno! - chociaż Anna leży bezradna jak noworodek w



willi. Jest pod opieką Bernarda, bo on jest wart swego słowa. Cały jego wszechświat skurczył się do rozmiarów tej willi, do troski, otaczającej niesprawną, która sprawiła, że spełniło się jego życzenie, do sfery tej ognistej istoty, którą ubóstwia i z którą się kocha.

Całkiem prawdopodobne że to, co czuje do demona, jest miłością, a może to tylko pożądanie, pragnienie obudzone przez przelotne spojrzenie w górne rejony wszechświata, zbyt odległe dla ludzkiego umysłu, aby je zrozumieć. Jeżeli jednak to, co czuje, nie jest miłością, to już nie wiadomo, co nią jest w tym chłodnym świecie.

A ponieważ ten świat jest zimny, wszechświat nie jest zainteresowany uczuciami jednego nic nieznaczącego człowieka, choćby były najsilniejsze. Kosmosem rządzą pewne prawa i nawet miłość nie może ich zmienić.

Zarodek dotyka zarodka sposobem nieznanym rasie ludzkiej i być może za sprawą magii. Zarodek dojrzewa i rośnie, a dziecko rozwijające się wewnątrz istoty nie urodzonej na ziemi musi zbudować sobie śmiertelne ciało, by w nim żyć.

Dzieje się to tak powoli, że można odnieść wrażenie, iż wszystko zdarza się naraz.

Dziecko spożywa ciało matki, żeby stworzyć siebie. Cała jej ognista chwala jest włączona w dziecko, które rodzi, a te narodziny same w sobie stają się jej śmiercią. Oddała wszystko, czym była, nawet jej dusza jest teraz częścią dziecka. Ona sama, ta olśniewająca istota schwyтана w pułapkę przed miesiącami, odeszła.

To, że w ogóle istniała, można zobaczyć tylko w nadzwyczajnie niebieskich oczach noworodka, błyszczących jak iskry.

On płacze przez długi czas, złamany i żaloszny, dopóki Anna nie pojawia się nagle u jego boku, zdrowa i krzepka teraz, gdy zakłęcie, które wyssało z niej siły, rozwiało się wraz ze śmiercią demona.

- Tak - mówi, oglądając dziecko, jakby szukała w nim skazy - kończy się pożądanie, w śmierci i rozpacz. - Wydaje się zadowolona, że znalazła sposób uniknięcia tego losu, skoro okrutna dłoń pragnienia musnęła i ją. Przyglądała się z pogardą pochylonej postaci Bernarda. - Oddaj mi teraz dziecko jak obiecałeś.

- Nie - odpowiada, lgnąc do nagiej istoty, śliskiej jeszcze po narodzinach. Tam, gdzie zbudował swej miłości łożo dla porodu, leży tylko miękka derka, nic więcej.

- Ona zabita swoją matkę, tę, którą kochałeś.

- Wiem. - Płacze, bo Anna schwytała go w pułapkę. Wiedziała albo przypuszczała, co może się stać. Upadł, jak upadli dawno temu aniołowie, skuszony cielesnym pragnieniem, a teraz widzi pod nogami zięjącą Otchłań. Siła jego serca jest złamana. W następnych latach siła jego ciała również będzie zdewastowana.

W każdym razie kocha swoją córkę.

Mimo wszystko, dziecko jest niewinne. Jeżeli ktoś jest winny, to Anna i bezwzględność jej ambicji. Jeżeli ktoś jest winny, to tych pięcioro innych czarowników, którzy chętnie jej pomogli. Jeżeli ktoś jest winny, to on sam.

Nigdy nie przestanie karać samego siebie, a ponieważ jest słaby i niedoskonały jak wszystkie istoty ludzkie, ukarze w końcu i swoją córkę, chociaż nigdy nie zamierzał jej skrzywdzić.

Anna wygrywa. Ma dziecko, którego chciała, ma męża, którego pożądała, ale zachowała czystość ciała, co jest dla niej sprawą wielkiej wagi. Bernard jest teraz całkowicie skompromitowany, dowiedział się, co to strach.

Pozostaje. Nadaje niemowlęciu imię po starożytnej czarodziejce, o której czytał w jakiejś księdze przed laty, podczas pobytu w Aretuzie: Li'at'dano, szamance-centaurzycy wspomianej w starych kronikach wiele razy przez wiele pokoleń. Niektóre nazywały ją nieśmiertelną. Inne nazywały ją potężniejszą niż ludzkie rozumienie. W języku zachodnim spółgłoski zmiękczej się i niemowlę nazywa się Liathano.

On ją nazywa Liath.

Zostaje z Siedmiorgiem Śpiących, trując się pod wzrokiem Anny, niezachwianym i nie wybaczącym, opieką nad swoim ukochanym dzieckiem, aż do dnia, gdy po ośmiu latach przybywają ogniste demony, szukając swej zaginionej siostry. Czas płynie inaczej w górnych sferach, mrugnięcie oka może obejmować miesiące, a rozłożenie skrzydeł lata.

Wtedy właśnie ucieka ze swą córką. Wtedy właśnie zużywa nienaruszony potencjał własnych magicznych mocy, by schować w zamknięciu jej duszę i moc, które świecą niczym latarnia morska, żeby nikt nie mógł ich wyśledzić. Zwłaszcza Anna. I ogniste demony, krewni kobiecej istoty, którą kochał i którą zabił.

Czy uciekł, aby ocalić siebie? Ocalić Liath? Czy też ocalić jedyną rzecz, która mu pozostała po kobiecej

*istocie, którą kochał? Czy schował w zamknięciu prawdziwą istotę Liath, ponieważ chciał ją ukryć przed machinacjami Anny, czy też zrobił to po to, by ją zataić przed krewnymi jej matki, żeby ci nigdy mu jej nie odebrali?*

Gniew był rzeką ognia, płynnego i niszczycielskiego, ale także oczyszczającego i potężnego. Nigdy dotąd nie rozumiała, jak bardzo gardziła nim za słabość. Chwilami nawet go nienawidziła, co wynikało z miłości, jaką go darzyła. Paradoks, ale chciała, żeby był silny. Bo nienawidziła siebie za słabość, która tak długo ją wiązała.

Rzeka przeszłości płynęła spokojnie i bez żadnych oczywistych przejść do przyszłości, niedosiężnego przeznaczenia, gdzie nas oślepiła możliwość, nadzieja, gniew i strach.

*Weszła w przyszłość z rzeki ognia, płynącej wokół niej i zobaczyła króla Henryka dławionego przez demona, gdy jakaś śliczna dziewczynka podobna do królowej Adelheid zasiada na cesarskim tronie, a Jej matka stoi obok niej.*

*Siostrę Roswitę, postarzałą i dotkniętą trądem, umierającą w lochu. Jakiś porzucony trzewik, nadgryziony przez szczury albo może przez nią, spoczywa tuż poza jej wyciągniętą ręką.*

*Lwa Thiadbolda, który niejedną raz okazywał jej uprzejmość, pijącego do otępienia w jakiejś brudnej tawernie, sączącego piwo wprost z dzbanka. Stracił obie ręce, ale jakoś przeżył. Czy to nie gorszy los żyć jako kaleka, bezradny i zdany na resztki, rzucane jak psu?*

*Ivara oskarżonego przed skoposą o herezję. Matka Anna skazuje go i jego towarzyszy na śmierć, on jednak uśmiecha się ze znużeniem, jakby śmierć była wyjściem, którego szukał przez cały czas.*

*Hannę, która odebrała sobie życie. Na jej ciele nie widać ran.*

*Sanglanta, wciąż walczącego i zawsze walczącego, bo nigdy się nie podda, do ostatniego tchu, gdy gryfca uderza w jego odsłoniętą pierś.*

*Blessing stojącą przy oknie. Liath ledwie poznaje tę wspaniałą istotę, która świeżo osiągnęła kobiecość, wysoką jak jej ojciec, o cerze kremowo-brązowej, oczach zielonych albo niebieskich, w zależności od padania światła i sukni, którą nosi. Jest tak piękna jak wszystkie obietnice składane kiedykolwiek ukochanemu dziecku. Potem drzwi się otwierają i dziewczyna się obraca. Cofa się. Duma i pewność siebie młodości zmieniają się w przerażenie, gdy mężczyzna, który przyszedł żądać jej ręki, staje w drzwiach.*

- Hugo!

Liath wyrzaskuje swoje oburzenie, a gniew rozwija jej skrzydła. Jej krewni, z sykiem skrzydeł w eterze i grzmiącym pomrukiem głosów, odступują, robiąc jej miejsce, gdy wyskakuje z rzeki ognia.

Na przekór wszystkiemu tata jej nie opuścił. Ona też nie opuści swego dziecka. Nigdy.

Czy jednak nie jest już za późno?

Ponieważ tata przez ostatnie lata swego życia nie robił nic, tylko uciekał, nauczył także i Liath uciekać, kryć się. Nie mogła nawet naprawdę kochać tych, których chciała, bo nie umiała ich osiągnąć, nie całym sercem. Zabrała kiedyś klucz i wyrzuciła go, uciekając przed Hugonem, ale nie rozumiała wtedy, że odgrodziła także siebie murem, że to miasto pamięci, które tata nauczył ją budować w oczach jej duszy, było kolejną zaporą przeciw tym, których chciała objąć swą przyjaźnią i miłością.

Ivar nigdy jej nie zagrażał. Postrzegala jednak jego zauroczenie jako groźbę. Wzgardziła nim wtedy, bo nie wiedziała, jak zostać jego przyjaciółką.

Hanna obdarowała ją przyjaźnią, nie prosząc o nic w zamian, ale Liath zostawiła ją i poszła za Sanglantem.

Ale nawet jego nie była zdolna kochać całym sercem. Uwielbiała jego ciało i charyzmę, ale nigdy go naprawdę nie poznała. Pozostał tajemnicą, mimo protestowania, że nie jest żadną cebulą z warstwami złożoności i znaczeń do odsłonięcia, wcale nie był tak aż prosty. Nikt nigdy nie jest. Nigdy nie patrzyła w to, co leży pod powierzchnią, bo powierzchnię łatwo polerować i utrzymać lśniąca.

Boże, nawet Blessing... Dawniej przyglądała się, jak Sanglant kocha to dziecko bez zastrzeżeń. Zawsze jednak trzymała część siebie w rezerwie, tę ograniczoną część, która nigdy nie nauczyła się ufać.

Tę część, która bała się, że będzie podatna na zranienie, zabita przez nadzieję i przez ufność, znowu i znowu. I znowu.

- Nie - powiedziała, patrząc z wysokości w dół nad wspaniałymi pałacami i rzeką ognia, spoglądając na swych krewnych zgromadzonych poniżej, unoszących się w połowie drogi między ciężką, srebrną połacią nieba, a połyskliwą, zmienną powierzchnią rzeki. - Nie jestem gotowa zostawić ich za sobą, bo nawet ich jeszcze nie poznałam.

Otworzyła się do rytmu ich skrzydeł i pozwoliła im zajrzeć w swe serce, w tę płonąca, promienną duszę, którą obdarowała ją jej matka.

- Być może tu będzie mój dom pewnego dnia - dodała - ale nie może być teraz.

- Dziecko - odpowiedzieli, z miłością i na pożegnanie.

Dlaczego mieliby żałować jej odejścia? Okres jednego ze śmiertelnych lat na ziemi może trwać tyle samo, ile zajmuje przejście jednego z tych lśniących mostów łączących złociste pałace: tysiąc kroków albo jedną pieśń. Jej dusza jest, mimo wszystko, nieśmiertelna, a połowa jej ciała to ogień.

Może wrócić.

- Niech tak będzie - rzekła. Najstarszy Wuj nauczył ją, że w ukrytym sercu wszechświata żywioły mogą być dotykane i kształtowane. Sięgnęła, znalazła ogień i wydobyła z niewidzialnej architektury eteru płonący głaz, znaczący rozdroża między światami.

Błękitny ogień jarzył się na całej jego długości. Przekroczyła go i nagle wylądowała z zaskakująco silnym wstrząsem pośród kwiatów, błękitnych jak niebo, czerwonych jak krew, i tak wielu złotych i jaskrawo białych, że oczy ją zabolowały. Pośladki i biodra rwały od zderzenia, które czuła nawet w ramionach. Była całkiem naga, rozpuszczone włosy spadały jej na piersi i w dół pleców. Obok niej leżał płaszcz i buty, jej ubranie, miecz, pas i nóż, i jej kołczan, chociaż pusty. Wszystkie strzały przepadły. Jej łuk i złota obręcz Sanglanta leżały na szczycie, jakby to wszystko zostało tu zrzucone wraz z jej zstąpieniem.

Była z powrotem na kwiecistej łące w krainie Aoi.

Jeszcze rozdygotana, dotknęła chłodnej plecionej powierzchni złotej obręczy. Już nie była jej własnością. Już nie musiała bać się jej ani się przed nią cofać.

Anna nie jest moją matką.

Roześmiała się w głos, uniesiona radosnym poczuciem wolności.

- I tak - przemówił szorstki męski głos z odległości dziesięciu kroków - minął więcej niż jeden dzień i jedna noc, Bystra. Opieka Pierzastego Płaszczka już dłużej cię nie osłania. Teraz będę miał twą krew, by wzmocnić mój lud.

Przestraszona, podniosła wzrok i ujrzała całą pięćdziesiątkę otaczających ją Ashioi w przerażających zwierzęcych maskach zasłaniających twarze. Wszyscy mieli broń, a ten na czele pochylił włócznię, mierząc w jej serce.

Maska Kota i jego wojownicy przybyli, by ją zabić.

### 3

Dom.

Przybył do domu i była tu Adika, cała i zdrowa, czekająca na niego. Modlił się i marzył, aby tak było. Długo trzymał ją w ramionach, nie chcąc puścić, wdychając lawendowy zapach jej włosów, ale w końcu przypomniał sobie o psach, trącających ich głowami i o wieśniakach, czekających, by go powitać.

To także zajęło chwilę. Nawet Beor śmiał się, widząc go. On sam dziwił się, jaki jest szczęśliwy na widok tych wszystkich znajomych, wesołych twarzy. To był jego lud. Jego dom.

Musiał przedstawić So'skę i jej towarzyszkę Adice i Matce Weiwarze. Prawdę mówiąc, zmuszony był przez cały czas tłumaczyć, bo Ludzie-Konie nie posługiwali się językiem znanym plemionom Białego Jelenia. Centaurzyce ukłoniły się zgrabnie Adice, tytułując ją Wybraną. Uzgodniono, że pozostaną aż do ciemni słońca, żeby pomóc ją ochraniać, a dopiero potem wrócą do swego plemienia. Wszystkie dzieci chciały się przejechać, a wyniosłe centaurzyce dały się uprosić i pozwoliły, by podsadzono malców na ich grzbiety. Tymczasem Urtan, Beor i inni mężczyźni koniecznie chcieli pokazać Alainowi tę wielką pracę, którą wykonali wiosną, latem i wczesną jesienią.

- Patrz, jaką piękną zbudowaliśmy palisadę! - chępił się Beor, jakby odniósł osobiste zwycięstwo nad Przekłętymi, dźwigając kłody. - Muszę jednak zauważyć, że wróciłeś dopiero po tym, jak już wykonaliśmy całą czarną robotę.

- Grób Królowych otoczony wałem! - wykrzyknął Alain, zdumiony zmianą w wyglądzie kurhanu. Drewniane słupy sprawiły, że przypominał on śpiącego jeżozwierza. - Jak mogliście zrobić to wszystko przez pół roku?

- Mieliśmy tu drużyny robocze ze wszystkich wsi, Dwóch Strumieni, Szczytu Drzewa, Błotnej Dróżki, Czterech Domów. Nawet ze Źródlanej Wody. Zajęło to całe lato i chyba musieliśmy wyciąć cały las, stąd

do Czterech Domów! - Wszyscy się zaśmiali, ale nikt nie zaprzeczył.

- Kogo obchodzi, cośmy zrobili! - krzyknął Kel. - Musisz nam opowiedzieć o wszystkim, co widziałeś!

- Mam nadzieję, że to zrobisz - zaśmiał się Urtan - i uciszysz tę brzęczącą muchę. Nie dał nam chwili spokoju od twego wyjazdu.

- Powinieneś mnie zabrać ze sobą! - żalił się Kel, podczas gdy reszta rechotała, ubawiona. - Kiedy nam opowiesz o swojej podróży?

- Cierpliwości - odpowiedział Alain, śmiejąc się wraz z innymi, chociaż właściwie rozglądał się za Adiką. Wyszła ze wsi, kiedy uwaga wszystkich przeniosła się na niego i centaurzyce. W końcu wypatrzył ją w oddali, przy domu urodzeń, kończącą jakąś świętą czynność.

Urtan przegonił wtedy ludzi, nawet Kela.

- Idźcie już.

Alain wraz z psami pośpieszył wzdłuż rzeki do domu urodzeń. Uważał jednak, by nie wkroczyć za ogrodzenie, na teren gdzie mogły wchodzić tylko kobiety. Po drugiej stronie Adika zbierała z ziemi płatki kwiatów. Zastanawiał się, kto bardziej się zmienił od ich ostatniego spotkania, ona czy on?

Tamtego dnia z pewnością wydawała się pociągająca, zwłaszcza odziana w prowokacyjną sznurkową spódniczkę, w której każdy ruch odsłaniał skórę i przelotnie większe tajemnice, ale nie nazwałby jej ładną, nie z tym nieco zakrzywionym nosem, siną blizną po oparzeniu na policzku, wydatnymi ustami i wąskim podbródkiem.

Teraz wiedział, że jest piękna.

- Adiko!

Podniosła wzrok. Uśmiech uczynił ją cudowną, to światło w jej twarzy, ten nierówny rytm jej głosu, ta wdzięczna pewność ruchów, gdy podeszła do płotu, by go uściskać, ten cień smutku w jej wyrazie twarzy, który on nieustannie starał się zetrzeć, by nie zaznała niczego prócz radości.

- Co to takiego? - spytał, dotykając pierścienia z lapis lazuli zdobiącego jej środkowy palec. - Wygląda całkiem jak pierścień, który dałem kiedyś kobiecie potrzebującej mej pomocy.

- To ten. Spotkałam ją podczas wizji w transie i dała mi go. Myślała, że go potrzebujesz.

Zadygotał.

- Jaka magia może zmusić pierścień do podróży poprzez wizje? Gdzie ją widziałeś? Byłaś w transie, kiedy widziałem cię po raz ostatni. Boże, mam tyle pytań. Wiem teraz, że dotarłaś bezpiecznie do pałacu królowej Szuasaany i że cię odesłała tutaj. Czy Laoina wróciła do swego plemienia? Bałem się, że cię straciłem, ukochana.

- Nie - odpowiedziała, twarzą dotykając jego piersi. Smutek i Furia usiadły w pobliżu. Po chwili była w stanie mówić dalej: obudziła się ze swego transu pod opieką Szu-Szy i, po kilku dniach czekania na Alaina i wracania do sił, Szu-Sza odesłała ją samą do domu przez kamienne krosna. - Wróciłam zaledwie wczoraj. Myślałam, że cię straciłam.

- Ale nie straciłaś. Mówiłem ci, że nigdy cię nie opuszczę. Ile razy mam to powtarzać? - Uśmiechnął się i pocałował ją. - Opowiedz mi o pierścieniu.

Opisała mu trans, ale jej słowa nie miały dla niego sensu. Czy to naprawdę była Liath w jej wizji? Czy Liath nie żyła? Czy też Adika po prostu nie była w stanie opisać miejsc, które poznała, tych sal, gdzie ludzie z wielkich rodów przechadzali się i ucztowali, i gdzie Kościół władał wśród przepychu? Czy wizje Adiki ukazywały jej przyszłość, czy przeszłość?

- Myślałem, że słyszę, jak księżę mówi o Liathano - powiedział, przypominając sobie swoją rozmowę z braćmi - ale on mówił o tej, która w jej własnym języku nazywana jest Li'at'dano.

Adika zatkała dłońmi uszy.

- Nie wolno mi słuchać świętego imienia, bo mnie spali...

- Nie, ukochana, nie lękaj się. Podano mi je bez skrępowania. Dlaczego nie miałbym go dzielić z tobą? - Westchnął, kręcąc głową. - Być może sam się boję je wymawiać. Powiedziała mi, że jest ktoś, komu będzie nadane jej imię w czasie, który nadchodzi. Ale jeśli tak... - Pokręcił głową. Jedyne wyjaśnienie, jaki mu się nasuwało, wydawało się tak oburzające, tak mylące, tak niemożliwe, że uciekł się do odpowiedzi, którą szamanka-centaurzyca dała mu na końcu. - Żyję. Tylko to ma znaczenie. Nie wątpię, że to szczęśliwy traf przywiódł mnie do twego boku, Adiko.

Zaczęła ściągać pierścień.

- Nie, musisz go nosić. Ten kamień uchroni się od złego.

- Alainie - podjęła zdławionym głosem - muszę ci o czymś powiedzieć... - Urwała, po czym nagle wykrzyknęła: - Matka Weiwara!

- Pomyślałam, że możesz potrzebować pomocy, Wybrana. Mogę zebrać te zioła i płatki, które

rozsyłałaś. Wiem, że chciałybyś dokończyć oczyszczenia, żeby być wcześniej sam na sam z mężem. - Uśmiechając się do Alaina, Weiwara przeszła za ogrodzenie i obie odeszły. Adika nachylona ku przyjaciółce szeptała nagle.

Z pewnością nie była to jej wina, że wiatr porwał ich mamrotanie i zaniósł je do jego uszu.

- Co mam robić? On nie wie.

- Nie powiedziałaś mu?

- Nie mogłam. A jeśli to go odstraszy ode mnie?

- Nie, Wybrana, nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda. Przysłała go Wiedząca. On cię nie opuści.

Odpowiedź Adiki przepadła, gdy obie weszły pochylone do domu urodzeń. Chwilę potem wyłoniła się Weiwara i odprawiwszy machnięciem ręki Alaina, zaczęła zbierać rozsypane saszetki i płatki.

Alain potrafił rozpoznać rozkaz. Wycofał się do mniej skomplikowanego towarzystwa mężczyzn zajętych o tej porze roku pomysłami na przygotowanie się do zimy. Urtan skierował go do pracy wraz z Kelem i Tosti przy naprawie strzechy na domu mężczyzn, która przeciekała w kilku miejscach podczas obfitych wiosennych deszczy. Z dachu miał widok na wioskę aż do kurhanu. Większość dzieci zajmowała się wyrobem pochodni, obwiązując smolne szczapy lnem albo konopiami i nasączając je woskiem albo żywicą.

Kobiety siedziały w drzwiach swoich domów. Wyplatały kosze. Dzikie jabłka leżały w stosach, nabierając słodyczy. Od czasu do czasu widział mężczyzn, chodzących wzdłuż wału albo noszących wodę czy podpałkę do szczeliny, gdzie dwa nasypy spotykały się i zachodziły na siebie.

Najlepsze jednak w tym siedzeniu na dachu, poza przysłuchiwaniem się, jak kompani rozmawiają o dziewczynach, które chcieliby poślubić albo tylko pocałować, było to, że mógł mieć oko na oddalony dom urodzeń, a potem na Adikę, kiedy jej zajęcia prowadziły ją dookoła wioski. Każdy umiałby zgadnąć, że nie myśli on o swej pracy. Jego przyjaciele mieli uciechę, żartując sobie z Alainem z tego, co mógłby właściwie robić wieczorem: objąć wartę na wieży strażniczej, pławić gęsi, wyprawiać skóry, spać.

Ich życzliwe rozmowy i wesołe towarzystwo sprawiły, że czas szybko minął, bo prawdę mówiąc, czekał na wieczorną ucztę. Nawet ta uczta na cześć centaurzyc i powrotu jego z Adiką do domu ciągnęła się strasznie wolno. Noc nadeszła szybko o tej porze roku i Matka Weiwara pamiętała, by ich pogonić do łóżka o zmroku, chociaż nie zdołała powstrzymać jego przyjaciół przed odśpiewaniem paru lubieżnych pieśni, gdy próbował się wymknąć, ciągnąc Adikę za rękę.

Biegli, śmiejąc się, przez ciemną wioskę do swego domu. Nie potrzebowali lampy, by im oświetlała drogę. Nie potrzebowali niczego prócz siebie nawzajem, gdy szarpali się z ubraniami i padali na wznak, a piernat ugiął się pod nimi.

Nie zapamiętał, co jej wtedy mówił, ani nie był tego naprawdę świadomy. Samo jej dotknięcie było jak majaczenie, jak tonięcie. Utonęli być może dwa albo nawet trzy razy, zanim wyczerpali się na tyle, aby po prostu leżeć bok przy boku w ciemności. Jej ramię dopasowało się do krzywizny jego ramienia. Przerzuciła nogę przez jego biodro i tak spoczywali przez jakiś czas, gdy wtykała nos w jego szyję, składając pocałunki jak motyle na jego gardle, a czasem na wargach. Słyszał, jak na zewnątrz jeden z psów wstał i szukał sobie niespokojnie miejsca wokół chaty, zanim wrócił z powrotem do progu. Odszukał pierścień na jej palcu i obrócił go, udając, że go ściąga, a potem wsunął go z powrotem.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał. - Kryjesz coś przede mną.

Jej pocałunki urwały się i zacerpnęła tchu, jakby dostała cios w żołądek.

- Podśluhałem dziś twoją rozmowę z Weiwarą. Wiem, że ludzie opowiadają... różne rzeczy. Szepty. Uwagi. Co to jest, czego nie chcesz mi powiedzieć? - Głos mu się załamał. Teraz, gdy założył dom, miał nadzieję na wszystkie te rzeczy, których każdy sobie życzy: partnerkę, dach nad głową i wyżywienie, wspólnotę, by w niej żyć i dzieci, by szły jego śladem. Być może jednak nie miało tak być. - Wiem, że próbowałaś mi to powiedzieć przedtem, ale nie chciałem słuchać. Chodzi o dziecko, Adiko. Wiesz, że nigdy cię nie opuszczę, bez względu na wszystko.

- To prawda - powiedziała cicho, przyciskając twarz do jego włosów, gdy przesunął się, starając się ją usłyszeć. - Nigdy nie będę miała dziecka. To jest część losu nałożonego na mnie jako Wybraną.

Po cóż udawać, że to nie rani, powiedziane wprost. Błagał kiedyś Boga o zmiękczenie serca Tallii, by mogli mieć ze sobą dziecko. Modlił się godzinami, z nadzieją wbrew nadziei, że da umierającemu hrabiemu Lavastine wytęsknionego wnuka. Ale w końcu Bóg jest mądrzejszy niż ludzkie serce.

Wiedział teraz, że dusza Adiki jest szczerą jak złoto i że był oszukany przez Tallię, małostkową i zrzędną jak jej dusza, lękliwą, samolubną i pustą. Teraz żałował Tallii, widząc, jak była uwikłana w swe kłamstwa. A jednak wydawało się okrucieństwem ze strony Boga odmawianie Adice tego, co jej się należało.

Nie mógł się spierać z losem. Nie chciał też pogłębiać smutku Adiki, sprzeciwiając się temu, na co nie miał wpływu.

- Prawda, że będzie nam smutno, że nie możemy mieć ze sobą dziecka. Nie musimy jednak rezygnować z jego wychowania. Bóg wie najlepiej, że jest aż za wiele sierot, które potrzebują domu. Czy ja sam nie jestem sierotą? Czy nie przyjął mnie dobry człowiek?

Zapłakał wtedy, bo od dawna nie myślał o ciotce Bel i o swoim przybranym ojcu, Henrim. Czy nie okazywali mu zawsze takiej samej czułości, jaką obdarzali swych rodzonych? Jakakolwiek była prawda o jego urodzeniu, wychowali go wraz z własnymi dziećmi. Otworzyli swe serca. Być może na niego przyszła kolej, by zrobić to samo dla innego dziecka. Teraz, gdy znalazł swój dom, ten pomysł bardzo mu się podobał.

- Przyjął cię? - Trzymała go tak mocno, jakby chciała połamać mu zębra. - Przyjęli cię dobrzy ludzie?

- Przyjęli. Opowiadałem ci o tym. Znajdziemy sobie dziecko, Adiko. Albo dwoje dzieci. Albo pięcioro. Ile tylko zechcesz. Tak właśnie będziemy służyć Bogu, dając dom dziecku, które potrzebuje domu. Ale, na wszelki wypadek...

- Na wszelki wypadek?

- Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie. Urtan mówił coś w tym rodzaju, ale nie pamiętam, jak to ujął.

- „Modlitwy nie sprawią, by pole się zazieleniło, jeśli nie sieje się nasion”. Uff! Gnieciesz mnie. Co to ma wspólnego z...

Straciła dech, gdy jego palce potrafiły sutek.

- Właśnie tak - stwierdził. - Być może dziecko nie wyjdzie z twego łona, jest jednak pewien rytuał, który muszą odprawić mężczyzna i kobieta, i którego nie można zaniedbywać.

- Jeszcze raz? - zaśmiała się.

- Jeszcze raz.

Nadszedł ranek. Adika miała tyle obowiązków, że prawie jej nie widywał. Wstała o świcie, by powitać słońce, a potem medytowała przy kamiennych krosnach, wprawiając się do wielkiego tkania, które ona i inni Uświęceni mieli wykonać już za siedemnaście dni. Zjedli razem posiłek, a potem zajmowała się wieśniakami albo przybyłymi wojownikami obozującymi na wzgórzu, pielęgnując chorych, odpędzając złe duchy tłoczące się wokół wsi, sprawdzając stan świeżo ubitych świń, wyczytując z ich wnętrzości złe i dobre wróżby, obserwując przeloty ptaków, by poznać surowość nadchodzącej zimy.

Następny dzień minął podobnie, kolejne także. Trzeba było zebrać żołędzie w celu utuczenia świń i gęsi. Coraz więcej ludzi z innych wsi, w większości młodych, przychodziło co dzień do Grobu Królowych, żeby strzec Wybranej. Alain pomagał budować dla nich szałas. Pełnił też swoją rolę, a popołudniami wraz z Urtanem i Agdą starał się zrobić katapultę. W pobliżu Beor szkolił swoją rosnącą drużynę w walce na pałki, halabardy i maczugi. Tarcze robili sobie z kory albo ze skór na kratownicy ze splecionych patyków.

Strumyczek stał się potokiem, gdy coraz więcej wojowników i całych rodzin przybywało wraz z trzodami z pobliskich wiosek, tłocząc się wokół Grobów Królowych i wypełniając wioskę szałasami pod osłoną wałów. Wszyscy spodziewali się napaści Przeklętych, bo dni stawały się coraz krótsze, a noce zimniejsze. Alain omawiał z So'ską i jej towarzyszkami różne możliwości ataku: o świcie, we mgle, tuż przed zachodem słońca i w nocy. Beor i inni uznani przywódcy słuchali i wtrącali komentarze, które Alain tłumaczył. Dłonie wielkiego mężczyzny były stale zajęte wiązaniem grotów do włóczni, pierzeniem strzał albo ostrzeniem rogów. Pur, kamieniarz, miał teraz do pomocy innych ludzi. Pierwsza katapulta miała wadę konstrukcyjną, zaczęli więc budować drugą. Pochodnie płonęły dzień i noc pod palisadą i na wałach. Robiono też częste wypadki do lasu po drewno, trybulę i cykutę, których łodygi po wypełnieniu paliwem nadawały się na poręczne pochodnie. Mieli też w zapasie tyle wody, że prawie osuszyli rzekę.

Ósmego dnia po jego powrocie centaurzyce okazały swą wartość w służbie wartowniczej, przeganiając grupkę Przeklętych czających się na skraju lasu. Cała społeczność stanęła w pogotowiu. Ludzie rzadko opuszczali bezpieczną palisadę i to tylko w grupach po dziesięciu albo więcej, nawet gdy było to krótkie przejście ścieżką od bramy wioski do zewnętrznego pierścienia wałów.

- Dobrze by było odbudować nasz stary szałas przy krosnach - powiedział Adice w łóżku tej nocy. Słuchała w milczeniu. Czuł, że jest spięta.

- Nie lubiłam przebywać tam na górze - powiedziała w końcu. - Byłam na wygnaniu, obca mojemu ludowi.

- Ale teraz ja jestem z tobą. Tam będziemy bezpieczniejsi. Poprosimy centaurzyce, żeby sobie urządziły posłanie na wałach, skoro mają tak czuły słuch. Stary schron wciąż tam stoi. Nie zapadł się i mogę go naprawić. Zabierzemy nasze futra. Ziemia z początku wydaje się trochę twarda, ale...

- Cicho. - Westchnęła, a potem pocałowała go.

Nie sprzeciwiała się, kiedy zabrał Kela i Tosti do pomocy w odbudowie schronu. Pozwoliła mu nawet nosić jej święte regalia i skrzynię z rzeczami stamtąd wraz z futrami i posłaniem, chociaż pozostawiła swe zioła i różne drobne magiczne przedmioty w domu, żeby je zabrać w dniu, gdy się zajmie swoimi obowiązkami.

Zdawała się nie dbać o to, gdzie śpi, dopóki nie położył się przy niej. W dzień, a nawet czasami nocą, kiedy leżeli razem, wydawała się z każdym mijającym dniem coraz bardziej oderwana myślami, coraz bardziej oddalona.

Księżycyca ubywało. Przymrozek kładł na ziemi cienką warstwę lodu. Gwiazdy pulsowały w czystym niebie. Od kilku dni nie było żadnych chmur. Adika obudziła się przed świtem i wraz z inną dorosłą odprawiły obrzędy nowego miesiąca. Alaina gryzł niepokój. Zżerała go też zazdrość. Nienawidził każdej chwili, którą spędzała z dala od niego, chociaż nie umiał powiedzieć dlaczego. Czy szczęście uczyniło go zazdrosnym? A jednak, o co mógłby być zazdrosny on, który miał ją nocami całą dla siebie? Urtan zwolnił go z nocnych wart i nikt z posyłanych na jego miejsce nie narzekał. Dziwne też było, że po tylu miesiącach beztroski i swobody wieśniacy, a zwłaszcza ich krewniacy od Białego Jelenia, przestali patrzeć na Adikę. Przypominał sobie teraz, jak wydawali się pełni obaw przed nią, kiedy po raz pierwszy przybył do Grobu Królowych, ale wtedy ich niepokój ustąpił, on zaś zapomniał o nim, gdy po miesiącach znaleźli sobie miejsce we wsi. Teraz znowu się jej bali, lecz nadal prosili o pomoc, kiedy grzyb pojawiał się w składach orkiszu albo wrzód dokuczał ich niemowlęciu. Nawet Weiwara odwracała twarz swych dzieci, gdy Adika przechodziła obok nich.

- Ona zbiera moc do wielkiego dzieła - powiedziała z zawstydzoną miną, kiedy spotkała się któregoś dnia z Alainem. - To niebezpieczne patrzeć na Wybraną w pełni jej mocy.

- A co ze mną? Ja się nie boję. Nic złego się nie dzieje.

- Och. - Jej uśmiech był wymuszony. - Ty jesteś jej partnerem. Jesteś inny. Masz duchy przewodnie, które strzegą cię od złego.

- To prawda, że moc Wybranej może sprowadzić złe duchy do wioski - odpowiedział Urtan na pytanie Alaina. Denerwował się i był wyraźnie nieswój. - To nie jej wina. Nie zrobiłaby niczego na naszą szkodę. Nie ona, która oddaje wszystko... Ale to jej obowiązek, czyż nie?

- Nie mogę o tym rozmawiać - powiedział Kel, czerwieniąc się. - Nie jestem jeszcze żonaty. Pójdę pomóc stryjowi w rąbaniu drewna.

Alain poszedł w końcu do Beora, mając nadzieję, że jego dawny przeciwnik okaże się bardziej szczerzy. Beor powiedział jednak tylko:

- To dzielna kobieta - i unikał spojrzenia mu w oczy.

I tak to szło, dopóki nie nadszedł dzień, w którym zachodziła ona do wszystkich domów we wsi i odprawiała w nich zawile błogosławieństwa w celu zapewnienia zdrowia i szczęścia podczas nadchodzącej zimy. Szedł za nią z Furią i Smutkiem przy boku. Zajęło to pół dnia, ale w końcu zrozumiał głębię jej lęków. Rozumiał uroczystą ucztę urządzoną tego wieczoru: świńskie udźce polewane tłuszczem i podane z sosem z jagód jałowca w śmietanie, pieczone gęsi garniowane rukwią, zupa rybna, kleik z orzechów laskowych, potrawka z moreli, miód zaprawiony żurawiną i bagiennym mirtem.

Był już zamroczony miodem, zanim weszli na wzgórze i dali nura do swego schroniska. Zimne powietrze kłuło, wtulili się więc w swoje futra, całując się i przytulając. Adika była milcząca i bardziej niż zwykle namiętana.

- Jutro wieczór wielkie tkanie?

- Uhm - nawet trzymając ją tak blisko, ledwie słyszał jej szept.

- A po tkaniu będziesz wolna? Żadnych więcej żądań wobec ciebie? Będziesz mogła żyć w tej wiosce swoim życiem? - Słyszał, że jego głos się podnosi, nalega, że jest w nim gniew na sposób, w jaki Szu-Sza i inni ją wykorzystali. Była taka młoda, młodsza nawet od niego, a o sobie myślał, że zapewne przekroczył już dwadzieścia lat.

Miał łzy w oczach.

- Tak, ukochany, wtedy będę wolna. - Odetchnęła z drżeniem, podążając za zarysem jego brody do zagłębienia w szyi. Rysowała potem palcem linię do jego pępka i poprzez napięte mięśnie brzucha. - Nie żał mi ceny, którą muszę zapłacić. Żał mi tylko zostawić ciebie. Byłam taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa... - Pocałowała go mocno i przetoczyła się na niego. Była słodka jak łąkowe kwiaty i

dwukrotnie od nich piękniejsza.

- Nie chcę spać - szepnęła później. - Nie chcę cię już nigdy opuścić.

- Boisz się tkania? - zapytał.

- Tak - przytaknęła. - Boję się.

- Boisz się śmierci. Nie podoba mi się to.

- Wszyscy boją się śmierci. Ty jeden ze znanych mi ludzi nie boisz się umrzeć.

- Pójdę jutro z tobą. - Powinien pomyśleć o tym wcześniej. Przeklęci mogą jeszcze napaść. Ona i inne Uświęcone muszą utkać przez kamień jakieś wielkie dzieło magii. Tyle wiedzieli wszyscy, ale czarodziejskie dzieło pozostanie ukryte dla wszystkich poza Uświęconymi. Tak samo tylko klerycy mogą czytać ukryte imiona Boga. Wiedza jest niebezpieczna, a magia jeszcze bardziej. On jednak zaryzykuje dla niej wszystko. - Będę przy tobie. Wiesz, że nigdy nie pozwolę, żeby ci się stała krzywda. Przysięgam to. Przysięgam.

- Dopóki oboje żyjemy, wiem, że nigdy nie pozwolisz, żeby stała mi się krzywda.

- Nie pozwolę ci mnie opuścić.

Po długiej chwili, w której dał jej poznać głębię swoich uczuć, zasnęła. On jednak nie spał. Nie śmiał się poruszyć w obawie, że ją obudzi. Lecz gdy tak leżał, jego serce wędrowało po trapiących nieszczęściami krajach. Wciąż widział dziecko umierające w ramionach głodującej matki, którym dał swój płaszcz w dniu wyjazdu na łowy z Lavastine'em. Wciąż widział szorstką, starą nierządnicę zabraną z Hathumod na wschód, której powiedział uprzejme słowa. Wciąż widział głodnych i nieszczęśliwych, okaleczonych przez choroby, ale także przez gniew lub rozpacz. Wciąż widział Lacklinga, jak zadziera niekształtną głowę i rechoce. Wciąż widział guivre'a i robaki wychodzące z jego martwego oka.

Tyle cierpienia.

Dlaczego Bóg pozwala Nieprzyjacielowi siać po świecie nieszczęście i smutek? Boże, czy sam świat nie wyrządza dość kłopotów z powodziami, suszami, wichurami i piorunami? Dlaczego ludzkość musi mieszać w tym kotle, by dodatkowo mącić wodę? Czy magia może złagodzić wojnę i przynieść pokój? Miał nadzieję, że tak. Musiał wierzyć, że Adika i inni Uświęceni znają sposób na wyczarowanie pokoju z konfliktów i wrogości. To był cel tego wielkiego tkania, czyż nie? Koniec wojny między Przekłętymi a ludzkością.

Rankiem Adika wyniosła swoją cedrową skrzynię ze schroniska, wyrzuciła za próg kilka rzeczy Alaina i zanim zdał sobie sprawę, co ona robi, podpaliła budowlę.

- Adiko! - Chwycił ją i odciągnął, gdy płomień podskoczył do strzechy.

Drżała, ale głos miała równy, prawie monotony.

- To musi zostać oczyszczone.

Smutek i Furia skamlały, trzymając się z dala. Stali samotni w najwyższym miejscu wzgórza, z kamiennym kręgiem o rzut włóczni, a płomień lizały i chwytają pęki trzciny. Uchodźcy z innych wsi budowali swe schronienia między wałami, jak najdalej od wysokiego kurhanu i mocy gładów. Kilkoro dzieci przyszło na zwiady, widząc wznoszące się kłęby dymu, ale starsze odciągnęły młodsze i znikły ze stoku.

Schronisko gwałtownie płonęło. W dymie dostrzegł wielką sowę, ale ptaszysko szybko zniknęło.

„Czy to przywidzenie?“, zastanawiał się przez moment.

Furia podniosła głowę i pobiegła susami ku dolnym nasypom. Mnóstwo ludzi wewnątrz palisady patrzyło na wioskę poniżej, szepcząc coś do siebie. Z wioski podnosił się dym. Potrzebował chwili, by rozpoznać dom, który stanął w ogniu.

- To nasz dom!

Milczała. Nie była ani trochę przejęta.

- Ludzie palą domy jedynie kiedy... - Przerwał, po czym dokończył, przesywając ją wzrokiem: - Ty myślisz, że czeka cię śmierć?

- Nie. Ja nie myślę, kochany. Ja to wiem. - Nie płakała. Wpatrywała się w niego, zmuszając do milczenia. - Nie miałam serca powiedzieć ci tego wcześniej, kochany. Tylko dzięki tobie byłam szczęśliwa. Ale na długo przedtem nałożono na mnie mój obowiązek. Nie przeżyję wielkiego tkania.

Poczuł przyływ paniki i niedowierzania. Żar płomieni bił go w twarz. To nie mogła być prawda. Nie chciał pozwolić, żeby to była prawda.

- Nigdy cię nie opuszczę, kochana... - Głos mu się załamał na tych znajomych słowach, tak często powtarzanych. Czy były bez znaczenia? Nienawidził tego skupionego, oddalonego wyrazu twarzy, który zmienia teraz jej rysy w maskę królowej, odsuniętej daleko od poddanych. - Pójdę z tobą w śmierć, jeśli muszę. Nie pozwolę, żeby to się stało. Nie pozwolę. Nie chcę cię stracić.



- Ciii... - szepnęła, pocieszając go i obejmując. - Nie trzeba mówić o tym, co jest przesądzone.

Ale on nie chciał się poddać. Stał kiedyś obok umierającego Lavastine'a. Nienawidził tego uścisku bezsilności, tego szponu wbijającego się w gardło.

- Nie - warknął. - Nie...

Przypomniał sobie słowa Li'at'dano z tamtego świtu, gdy padł zakrwawiony, umierający i zagubiony u stóp kotła. Tamtego poranka, kiedy szamanka uleczyła jego rany i dała mu nowe życie w jakimś nieznanym mu miejscu. Pamiętał, co powiedziała Adika, pierwsze słowa, które usłyszał z jej ust: „Czy on zostanie ze mną, aż do mej śmierci, Wiedząca?”. Li'at'dano odrzekła: „Tak, Adiko, on zostanie z tobą aż do twej śmierci”.

- Nic nie mów - szepnęła. - Kocham cię, Alainie. Czy mogłabym chcieć czegoś więcej niż ten czas, który nam dano spędzić razem?

- Nie chcę, żeby to się stało! - krzyknął gniewnie.

W oddali zagrzmiało, lecz czy to na pewno był grom? Na niebie nie było ani chmurki. Dym z ich domu we wsi wzbijał się w czyste niebo. Przeróżliwy głos rogu zakłócił złudny spokój.

Wszyscy dorośli stojący na chodniku palisady na nasypie podnieśli krzyk. Furia zaczęła szczekać przy wejściu między wały i najpierw Smutek, a potem inne psy dołączyły do niej.

- Przekłęci! - wołali przerażeni ludzie. - Przybyli zabić naszą Wybraną!

Alain zbiegł przez górne nasypy i wspiął się na chodnik, żeby zobaczyć ich na własne oczy. Przekłęci przybyli konno, zbyt liczni, by mógł ich policzyć. Poznał ich pióropusze i krótkie płaszcze oraz ochraniacze rąk i nóg z koralikami błyskającymi w promieniach słońca. Wielu nosiło kute z brązu napierśniki, a każdy wojownik miał bojową maskę, więc pyski zwierząt kryły ich prawdziwe rysy. Widział tylko jaszczury i guivre'y, warczące pantery i dumne jastrzębie. Rozjechali się wśród okrzyków, tworząc luźny pierścień wokół wioski i kurhanu. Szybko stracił z oczu kilkudziesięciu jeźdźców, którzy zakręcili na wschód. Największa grupa, licząca może dwustu wojowników, uformowała się na przestrzeni między wioską a wzgórzem. Promienie wznoszącego się słońca pełzły w dół po zachodnim stoku kurhanu.

Nieco zdyszana Adika podeszła do Alaina. Wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie przez tych kilka chwil. Już go nie pocieszała. Nie myślała o niczym, tylko o zadaniu, które powinna wykonać przed wieczorem.

- Oni muszą zaatakować. Ich jedyną nadzieją jest powstrzymanie mnie przed utkaniem mojej części dzieła. Będą próbowali uderzyć w całą naszą siódmkę, w każdą z nas na jej stanowisku. - Spojrzała w niebo. - Z łaski bogów uwolniłeś Świętą z więzów Przeklętych i może ona snuć swą magię pogody. Niebo jest czyste. Musimy tylko przeżyć ten dzień, a potem uwolnimy się na zawsze od ich przekleństwa.

Patrzył na wioskę, starając się ocenić zbierające się w niej siły. Schronili się tam Beor, Urtan, Kel i inni. Za wałem nawet dzieci zbroiły się w pałki i maczugi. W dole pod nim rozległ się tętent. Przybyła So'ska z towarzyszkami, ale nie było sposobu, żeby weszły po drabinach i wyjrzały za palisadę.

- Czego sobie życzy Wybrana? - krzyknęła So'ska. - Jesteśmy tu po to, by ją chronić.

Byli przygotowani na wiele, ale nie na walkę z armią liczącą setki ludzi. Wahał się. Łatwo być nierozważnym, gdy idzie o życie innych! Zbrojni ludzie i centaury wpatrywali się w niego. Oni się nie wahają, bez względu na cenę. Przeszli trudniejszą drogę niż on i trwało to dłużej. Determinacja poniesie ich naprzód.

Jednak widział kiedyś z bliska Przeklętych. Z pewnością i oni mają w sercach determinację.

Nic dziwnego, że wojna jest przekleństwem.

Jeden z Przeklętych podjechał do wioski na stosunkowo niewielką odległość i wypuścił płonąca strzałę. Pożeglowała ponad palisadą ku ziemi i rozprysnęła się w pył. Poleciała kolejna strzala i trzecia, i czwarta, a potem cały ich deszcz. Dzieci pobiegły schronić się w domach, ale zostały przegnane, gdy strzecha domu mężczyzn zajęła się ogniem. Był to bliźniaczy pożar do tego, który strawił dom Adiki, drugi stos pogrzebowy.

Smutek i Furia dyszały, patrząc na niego wiernie. Łatwo teraz przyszło pomyśleć, że jego serce umarło po raz drugi ze smutku. Łatwo było działać, bo wiedział, że on także umrze. Dalsze życie bez niej było po prostu niemożliwe.

- Adiko, musisz pójść do kamiennych krosien. Ich strzały cię tam nie osiągną. Chcę mieć przy niej dziesiątkę dorosłych. Dopilnujcie, żeby była osłonięta i bezpieczna. Masz się przyczaić na cały dzień, ukochana. Czy możesz to zrobić?

Skinęła głową.

- Co mamy robić? - spytała Ulfrega dowodząca wojownikami z Czterech Domów.

- Potrzebujemy wojowników wzdłuż całej palisady. To nasza słaba strona.

- A nie szczelina i wykop?

- Kładka jest ściągnięta, więc Przekłęci nie mogą tamtędy szarżować. Postawcie tam drużynę z włócznieami i tarczami, a najlepszych łuczników na górze za palisadą. To pierwsze miejsce, gdzie spróbują się przebić. Jeżeli jacyś jeźdźcy się przedostaną, macie wbić drzewce waszych włócznie w ziemię i trzymać je nieruchomo. Będą musieli skierować konie na ich ostrza.

Skinęła głową. Jakaś strzała przeleciała leniwie nad nimi i zsunęła się po przeciwległym nasypie pod kopyto centaurzycy.

- Co z wieśniakami? - spytała Ulfrega.

- Beor może ich całkiem niezłe poprowadzić. Pozwoli ich łucznikom zużyć swoje strzały. To da nam przewagę. Przekłęci będą musieli się osłaniać z obu stron. Mamy też zaplanowanych kilka sztuczek, których się nie spodziewają. Niech nikt na razie nie strzela, chyba że was zaatakują. Każ dzieciom zbierać wszystkie strzały, które spadną u nas. Odeślemy im je z powrotem.

We wsi trzeci dom zajął się ogniem.

- So'sko, musisz trzymać wartę wokół wzgórza. Jeżeli jakieś miejsce na wale będzie osłabione, poślij którąś do mnie, a my wyślemy wsparcie. Jeżeli przebiją się poza nami, przegraliśmy. Ulfrego, ty musisz przejąć tu dowództwo, gdybym został odwołany. Adiko!

Wciąż śledziła ruchy Przekłętych, a dalej dym wydobywający się z płonących domów. Czwarty dom we wsi zajął się ogniem, a ludzie biegli, by polewać wodą strzechę przyległego domu rady.

Linia Przekłętych zbliżyła się, by zbadać kurhan. Jakiś zuchwalec w lisiej masce podjechał bliżej i zawiął procą wokół głowy. Grad kamieni uderzył w palisadę. Tuzin łuczników podjechał na odległość strzału.

Alain chwycił ją szorstko za ramię i pociągnął w dół, a ludziom wokół nich takie traktowanie jej zaparło dech.

- Musisz się wycofać w bezpieczne miejsce.

- A gdzie ty będziesz? - Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku.

- Kiedy tylko będę mógł, dołączę do ciebie.

Zeszła po drabinie. Tuzin dorosłych otoczył ją i pośpieszyli przez wyższe wały ku kamiennemu kręgowi.

- Czy możemy już strzelać? - zawołał jakiś łucznik w pobliżu Alaina.

- Nie, jeszcze nam nie zagrażają. Niech marnują strzały.

Łucznicy Beora zaczęli odpowiadać na ostrzał, a łucznicy Przekłętych wycofali się do głównej grupy, wyraźnie zadowoleni ze szkód, jakie ich strzały spowodowały we wsi; teraz już płonęło pięć domów. W powietrzu unosił się dym i popiół. Przekłęci czekali, aż jakiś niewidzialny bęben, zdający się rozbrzmiewać z głębi ziemi, odliczy przemijanie miarowym rytmem. Oparty o palisadę Alain poczuł, że ten pulsujący rytm, dziwnie kojący, odciąga jego myśli i każe rozkwitać wspomnieniom.

*Pośród ruin w pobliżu dworu Lavas widzi cienie tego, czym były kiedyś. Blade światło latarni i połysk kamienia uświetniają je, jakby budowle wciąż stały na swoich miejscach. Ten filigran rozciągających się łuków, kolumn i dumnych murów to widmo dawnego zamku, wracające do życia, gdy wspomnienia wirują naprzód...*

*Liath stoi przed stosem drewna. Wszystko jest mokre. Nawet powietrze wypaca wilgoć; za chwilę zacznie padać. Naraz z gałęzi wystrzeliwuje ogień, liżąc je i trzaskając. Przykleknąwszy, Liath patrzy na ognisko, gdy wybuch płomieni wznosi się ku niebu. Patrzy skupiona, równie oddalona wtedy jak Adika teraz, i wyciąga z tuniki lśniące złote pióro.*

*On zna to pióro: pióro feniksa jak tamto, które podniósł z dna jaskini. W jej dłoniach błyska płomieniem. Zasłona kryjąca cienie w ogniu odsłania się wypalona czystym światłem, a on widzi:*

*Starego człowieka wijącego powróż z konopi.*

*Dlaczego wygląda tak znajomo?*

Szczekanie Furi rozproszyło wspomnienia. Ludzie wokół niego byli niespokojni. Poniżej, trawa i rżyska na polach wydzielaly zwiewną mgłę. Nieprzyjaciele bledli w słońcu, jakby byli przywidzeniem, najpierw ciemniejac, a potem ginac w calunie mgly, zdajacej sie unosic z gruntu. Mgla klebila sie nad ziemia, rozprzestrzeniajac sie szerokim frontem, otaczajacym wieś i kurhan. Wrogowie pozostawali niewidoczni. Magia ukryla Przeklętych.

Wiatr zmienil sie raptownie, wiejac ze wschodu, a gdy nabral sily, magiczny calun zadrzal i ustapil, odslaniajac garść jezdzców, czolówkę, która pośpiesznie wracala pod oslonę mgly. Z wioski dolecial gluchy odglos.

- Katapulta! - krzyknął Alain.

Jakiś wielki gar nadleciał ponad wałem i zniknął we mgle. Beor uruchomił pierwszą ze swoich niespodzianek. Wrzaski i paniczne rżenia dolatywały z topieli mgły, gdy pszczoły, uwolnione i rozdrażnione, brały odwet na Przeklętych. Mgła bladła, odsłaniając jedną ich grupę, posuniętą aż prawie do bramy wsi i drugą, zbliżającą się do kurhanu. Nieprzyjacielscy żołnierze, odsłonięci i zdezorganizowani przez pszczoły, cofnęli się, żeby się przegrupować, a ludzie Białego Jelenia zasypali strzałami wysuniętych naprzód jeźdźców. Trzecia grupa Przeklętych zataczała łuk ku wschodniej stronie wypukłości.

- So'ska! - zawołał. Już wcześniej wysłała osiem towarzyszek na kurhan. - Śledź tę grupę i zobacz, dokąd jadą.

Odbiegła kłusem.

Jedna z czołówek zawróciła nagle, szarżując na nasyp. Spadł na nią deszcz strzał i grad kamieni. Dzieci wrzeszczały. Człowiek stojący przy Alainie szarpnął się nagle, obrócił i padł z łomotem na ziemię. Pod ciałem pojawiła się kałuża krwi. Przekłęci zeskoczyli z koni i biegiem uderzyli na wał, wspinając się ku palisadzie.

- Nie marnować włóczni! - krzyknął Alain, ale mimo to niektórzy rzucali nimi bezmyślnie.

Czemu jednak miało służyć dotarcie Przeklętych do palisady, skoro nie mieli drabin, by na nią wejść? Żołnierze podnieśli wysoko tarcze, chroniąc kobietę ubraną lżej niż inni, która wybiegła naprzód i rzuciła się na palisadę. Tam, gdzie jej dłonie dotknęły pali, drewno zapłonęło żywym ogniem.

- Wody! Wody! - Okrzyk przebiegł wzdłuż linii. Podawano i wylewano wiadra z wodą, mimo że Przekłęci strzelali do obrońców. Wieśniacy rzucali kamienie na tarcze, roztrzaskując je, a nierówne wiwaty podniosły się, gdy czarownica, ugodzona wielkim kamieniem w głowę, potoczyła się w dół stoku.

- Niosą drabiny i deski! - Potężny głos Ulfregi zabrzmiał od strony szczeliny, gdzie dowodziła obroną. - Włócznie, nie ustępować. Łucznicy, czekać, aż się zbliżą.

Czarodziejska mgła uniosła się w pobliżu wioski niczym chmura. Rozległ się znów głuchy odgłos katapulty i drugi gar z pszczolami zatoczył łuk i upadł, ale tym razem Przekłęci byli przygotowani i wypadli z mgły galopem. Pożar wybuchnął w dwóch kolejnych domach we wsi. Płacz, krzyki i wrzaski rozbrzmiewały wszędzie. Zagrzmiało i z zachodu nadciągnęły złowrogie ciemne chmury.

- Alainie!

So'ska galopowała pod górę, a pot ściekał jej po bokach.

- Była tam jeszcze jedna grupa w zasadzce, oprócz tej, którą widziałeś. Prawie się przebili przy wschodnim stoku, u samego progu Grobu Królowych. Chodź szybko!

Ześlizgnął się z drabiny, skacząc z czwartego szczebla i prawie lądując na czyichś zwłokach. Złapał jakieś dwie dziewczyny, niewiele młodsze od Adiki, kryjące się pod chodnikiem.

- Ty, pierwsza, biegnij do Ulfregi. Powiedz jej, że musi utrzymać wejście. Ty, druga, biegnij do Wybranej. Musi znaleźć sposób powstrzymania ich magii, jeżeli może.

Podskoczył, wciągnął brzuch na bok So'ski i przerzucił nogę.

- Wskakuj - sapnęła centaurzyca.

Chwycił jej grzywę, pochylił nisko głowę, gdy kłusowała z działającą na nerwy szybkością, omijając baryłki wody i cydru, składy zboża, szałas i czterech rannych, którzy odpełzali od palisady. W końcu przeszła do galopu. Wokół nich huczały odgłosy. Znała dobrze drogę przez labirynt wałów, ślepych zaułków i ziemnych kopców, tworzących system obronny wzgórza. Wojownicy obsadzili chodnik palisady, dźgając włóczniami albo przerzucając kamienie na drugą stronę. Od czasu do czasu mijali strefę nieoczekiwanego spokoju, gdzie nerwowi strażnicy wyciągali szyje, by dojrzeć ogniska walki.

Słyszał już przedtem te odgłosy. Wspomnienie go oszołomiło.

*Lwy utrzymują wzgórze, gdy armia Bayana wycofuje się przez rzekę. Pierwsza kohorta jest w tylnej straży, a Alain dotrzymuje kroku wraz ze swymi towarzyszami, kiedy tamci wycofują się na wzgórze ze swoimi. Wokół nich wznosi się labirynt wałów, dawnych nasypów wijących się wokół wzgórza.*

Pamiętał te nasypy, ale kiedy je ostatnio widział, były tak stare, że popadły w ruinę i zostały do połowy starte przez czas, wiatr i deszcz. Walczył kiedyś w tym miejscu. Walczył w czasie, który dopiero nadejdzie...

To tu go zabiła Pani Bitew.

Krzywizna wałów ukazała im widok zaciętej walki. Przekłęci przedostali się przez palisadę i teraz centaurzyce So'ski i dwudziestka wojowników Białego Jelenia walczyła z nimi wręcz, maczugami i nożami. Dereszowata centaurzyca odparowała pchnięcie włóczni laską, cisnęła przeciwnika na ziemię i rozbiła mu głowę dobrze wymierzonym kopnięciem. Ogień pełzał po palisadzie. Podniósł się krzyk

wrogów, niewidocznych po jej drugiej stronie, kiedy ruszyli naprzód.

Kobieta w zwierzęcej masce przedarła się i ześlizgnęła po słupach na chodnik. Zebrała siły i odparła atak mężczyzny cięciem swego miecza z brązu, a potem przyklęła na kolano, podniosła wysoko drugą rękę i zawinęła procą nad głową.

- Padnij! - krzyknęła So'ska.

Schylił się. Poczul dotknięcie powietrza na ucho, gdy kamień przemknął mu po włosach. Drugi odbił się z trzaskiem od jego skórzanej opaski naramiennej. Trzeci jednak bez ostrzeżenia ugodził go w skroń.

Spadając z grzbietu So'ski, czuł niewyobrażalny ból. Ziemia uderzyła mocniej niż kamień.

- *Przecież przysiągłem ci służyć - wyszeptał zdziwiony, bo naprawdę nigdy nie myślał, że ze wszystkich rzeczy to mu się może przytrafić. Nigdy nie myślał, że zginie na polu walki.*

- *I służyłeś mi. - Głos Pani Bitew, tak niski i głęboki jak kościelny dzwon, dzwoni mu w głowie. - Wielu służy mi, zadając śmierć. Pozostali służą mi, ponosząc śmierć. To jest istota wojny.*

- Adika! - Próbował usiąść. Ledwie widział na oczy.

- Cicho, kochany. Połóż się. Bałam się o ciebie. - Pocałowała go. Przez chwilę widział ją podwójnie, swoją drogą Adikę, siedzącą obok Wybranej w rogatej koronie, wyniosłej i powściągliwej.

Dlaczego słońce nie wznosiło się ponad głazami? Dostrzegł je, obrzmiałe i zamglone, stojące nisko nad niewyraźną palisadą w jaskrawym czerwonożółtym blasku. Dym unosił się pasmami nad odległymi drzewami.

Czując mdłości, położył się i po chwili, poza dręczącym tętnieniem w głowie, usłyszał zgiełk bitwy.

- Co się stało?

- Zostałeś trafiony kamieniem w głowę.

Z wysiłkiem wszystko sobie przypomniał.

- Przedarli się przez wschodni stok, przez święty próg! - Wstał, zanim mogła go powstrzymać i zachwiał się, chwytając się jednego z psów, by nie upaść. Nie wiedział, którego. Nie mógł skupić wzroku.

- Adiko? - Odwrócił się i zobaczył ją.

Założyła złotą rogatą koronę i pas z brązu, regalia Świętej, kobiety obdarzonej mocą.

- Jak długo? - zapytał ochryple. Tam, gdzie stał przedtem brzozywy szałas, gdzie spali i kochali się, teraz leżały dymiące węgle i biały popiół unoszony przedwieczornym wietrzykiem.

- Cały dzień - odpowiedziała. - Powstrzymywaliśmy ich cały dzień.

Jakim kosztem?

Zobaczył wtedy, że to, co uznał za zachodzące słońce, tak naprawdę było płonąca wioską. Ciała zapełniały wykopy, nadziane na pale albo po prostu połamane. Nie widział, co się stało z wieśniakami, ale ci, którzy pozostali z Przeklętych, nadal walczyli desperacko wokół kurhanu, usiłując się przebić. Jednak równie desperacko walczyli ludzie Białego Jelenia. Mignęła mu So'ska w dole przy szczelinie. Poplamiona krwią, zniknęła wśród gradu włóczni. Drugi pies pojawił się jak duch, właśnie gdy Alain chylił się w przód i mógł się oprzeć na jego silnym karku.

- Czy oni wszyscy zginęli? Przeleżałem tu cały dzień, kiedy oni ginęli?

Odezwała się zza niego:

- Beor i inni walczący wypadli z wioski po południu, próbując się tu dostać. Kiedy nastąpił ten atak, Weiwara wyprowadziła dzieci i starych ludzi do lasu. Modliłam się za nich. Paliłam sosnowe igiełki, by dać im niewidzialność. Mam nadzieję, że niektórym się udało. Będą tam bezpieczniejsi.

- Kel? Tosti? Urtan? Beor?

- Nie wiem, co się z nimi stało. - Jej głos miał ton tak odległy, tak chłodny, jakby Adika odeszła, a Wybrana, obojętna, nieprzystępna kobieta, której naprawdę nie znał, zagarnęła jej postać i teraz chodziła po ziemi w ciele jego ukochanej.

Dolny brzeg słońca dotknął horyzontu.

- Alainie...

Jej głos, tak słodki dla jego uszu.

Odwrócił się.

Podeszła do niego. Stali samotni na szczycie, z kamiennym kręgiem poza nią i z furią walczących wszędzie dookoła. Każda żywa dusza zesłała wcześniej na dół, usiłując powstrzymać Przeklętych tylko na tę ostatnią godzinę. To było wszystko, czego teraz potrzebowała.

Chwylił ją za ramię.

- Musisz to robić, Adiko? Jak mam to znieść?

- Pomyśl tylko, ilu zginie, jeżeli nam się nie uda. Pomyśl, ilu już zginęło w mojej obronie! -

Eksplodował w niej gniew. - Serce mi pęka, gdy cię zostawiam, Alainie. Wiesz, jak bardzo cię kocham. Nie stawaj mi jednak na drodze. Nie niszczyj tej miłości, która była naszym udziałem, skłaniając się do samolubstwa. Moje życie nie należy ani do mnie, ani do ciebie, ale do mojego ludu.

- Okłamałaś mnie... Wiedziałaś przez cały czas...

Strącając łzy, pocałowała go.

- Nie chciałam, abyś był nieszczęśliwy.

Znow go pocałowała. Ścisłała go przez długi czas, ciasno obejmując ramionami.

A potem odeszła, dumnie krocząc, z rogami górującymi ponad nią, jakby chciały dotknąć niebios. Wkroczyła na miejsce powołania. Stała w kredowym kręgu z głową wzniesioną dumnie, gdy światła ubywało i zmierzch wpełzał na wschodnie niebo, chociaż ostatnia purpurowa różowość słońca wciąż jarzyła się na zachodzie. Czara nocy zaczęła napełniać się ciemnością. Ostatni błysk zachodzącego słońca wplątał się w jej lśniące rogi, odczłowieczając jej widok.

Okłamywała go przez cały czas. Czy jednak jej kłamstwo było inne niż to, które wmawiał umierającemu Lavastine'owi? Chciała mu tylko oszczędzić bólu i strachu.

Skoczył naprzód i stanął za nią.

- Niech tak będzie. Zatem, umrę z tobą.

Za jego plecami Smutek i Furia zaskowyczały. Jej kark zeszywniał w napięciu, gdy usłyszała te słowa. Nie odpowiedziała, ale też nie kazała mu odejść. Pierwsza gwiazda mrugnęła życiem w zmierzchającym niebie, lśniąc Somorhas, świecąca na zachodzie, prawie zatopiona w ostatnim, nikłym świetle słońca. Z drżącym oddechem podniosła zwierciadło, by schwytać jej światło. Gwiazdy rozkwiły teraz szybko, jakby w pośpiechu, a ona swoją łaską tkła je, jedna po drugiej, w krosna. Poprzez pięty słyszała zawodzenie starożytnych królowych i krzyki bólu z pola walki. Nici światła gwiazd schwywane w kamienie i wplątane w złożony wzór, wzmocnione jasnym światłem Mok lśniącej nad i między Lekarzem i Pokutnikiem. Znała inne nazwy tych gwiazd.

*Pamiętaj o mnie, która otwierasz na wschodzie.*

*Pamiętaj o mnie, która zamykasz na zachodzie.*

Czy on słyszy te inne głosy, wyśpiewujące iskrzące się zakłęcia, światła wplątane w wątki tkane na kamiennych krosnach?

*Wznoś się, światło szamanki, jak nasze tkanie.*

*Odpowiedz, Obfita, na nasze wołanie.*

Pląkała, tkając. Zobaczył wtedy skupisko siedmiu jasnych gwiazd, które znał jako Koronę Gwiazd, a które ona nazywała Diademem Szamanki. Wznosiły się na wschodzie, a ona chwytła ich światło w zwierciadło. Był tak oszołomiony, że upadłby, gdyby psy nie podpierały go grzbietami. W górze gwiazdy obracały się powoli, wznosząc się na wschodzie i wspinając w górę. Zdał sobie sprawę, że zakłęcie utkało się też wokół niego, że byli schwytni, gdy czas mijał, a noc obracała się od zmroku do północy. Diadem Szamanki wpełzał na niebo. Bitwa szalała dalej, pochodnie płonęły na wałach, słyszał krzyki rannych, stłumione przez ból pulsujący w skroni.

*Niech to, co tkamy, się rozwinie. Niech każda z nas trzyma się wzoru.*

Wyśpiewywała ich imiona, a jej głos, piękny aż do bólu, odbijał się echem o lśniące pasma zakłęcia.

- Ten-Który-Pluje-Ostatni, Upadający, Adika, Hehoyanah, Jasność-Która-Mnie-Słyszysz, Dwa Palce, Szuaszaana!

Była północ. Smok wzeszedł na wschodzie, a w jego skrzydłach wznosił się Jedu, Anioł Wojny, obok różowej gwiazdy Czerwonego Mędrca, Aturny, Pani Obfitości, jasna Mok połyskiwała na zachodzie, gdy Pokutnik składał swe brzemię, dotykając horyzontu.

Korona Gwiazd dosięgła zenitu, wieńcząc niebiosy wysoko nad głowami. Niewidoczne pod ziemią słońce osiągnęło nadir.

- Niech się dopełni tkanie! - wykrzyknęła, a jej głos dołączył do sześciu innych, donośnych i triumfujących.

Światło rozbłysło w jej rogach i przeszło ją jak błyskawica.

- Adiko! - krzyknęła. Skoczył naprzód, ale psy powaliły go na ziemię.

A może to ziemia zdrząła mu pod nogami. Przed oczami wybuchło mu światło. Przekłęci zawyli ze strachu, a ich atak załamał się. Uciekali. Było już jednak za późno. Magia rozdarła świat na pół.

*Trzęsienia ziemi przebiegają łagodnie, ale to, co widać na powierzchni, jest niczym w porównaniu ze zniszczeniem pozostawionym pod ziemią. Jaskinie zapadają się w gruzy. Tunele trzaskają jak przekłute miechy. Wspaniałe miasta gobelinów ukryte przed ludzkim wzrokiem, więc nieznanne i ignorowane, znikają w zapadliskach tak potężnych, że łąd nad nimi zmienia się nie do poznania. Wypływają rzeki*

*płynnego ognia, paląc to, co przeżyło.*

*Ogień gotuje się pod morzem, zmywając niszczącą falą rozległe spiralne miasto, dom merfolków. Gdzie kiedyś tańczyli i śpiewali w rytm pływów, teraz rekiny pożerają zwłoki. Niedobitki uciekają, pozostawiając wszystko, ale ziemia wzdryga się niczym ginąca ryba. Dno morza podnosi się. Woda wlewa się w pęknięcia, spotykając się z płynnym ogniem. Para z sykiem wylatuje szczelinami. Pieczary, w których chronił się lud Roga, zalewa parująca woda. Nawałnica szczątków grzebie pałac Szu-Szy. Ogromne fale ścierają z powierzchni ziemi sznur spokojnych wsi wzdłuż brzegów wyspy Upadających.*

*Biały ogień dźga smoki. Z trudem dolatują nad fjall, gdzie Płwaczka i jej krewne stoją pośrodku kamiennych krosien. Wrzeszcząc z bólu i wściekłości, smoki nurkują, ale zanim osiągną bezpiecznej ziemi, ich serca wybuchają. Paląca krew spala ciała i kamienie, stapiając je w jedno.*

*Piaskowe tsunami grzebie oazę, gdzie obozują ludzie pustyni. Uderzenie wiatru kładzie pokotem drzewa. Lwie kobiety pędzą przed falą burzy, ale w końcu i one giną pod górą piasku. Wichura rozrzuca namioty Ludzi-Koni. Wiatr jest tak silny, że co nie pada pokotem, jest unoszone w niebo i rzucone o ziemię. Wszystkie drzewa na wiele mil od Grobu Królowych stają w płomieniach, a wieśniacy Białego Jelenia, których oszczędziły strzały i wojna, giną.*

- Adiko! - krzyknął ochryple, usiłując wyrwać się ze szczęk Furii i Smutka, by rzucić się obok jej skurczonego ciała. Była już martwa.

Biały ogień eksplodował ze szczytu wzgórza, przecinając kamienne krosna, następnie pochłonął go.

#### 4

Szybkim ruchem chwyciła drzewce włóczni Kociej Maski. Gdy szarpnęła się, zaskoczony znalazła w drewnie pamięć ognia i przywołała płomień. Z okrzykiem bólu i zdumienia puścił włócznię i odskoczył w tył. Wstała, trzymając w dłoni płonąca broń, która syczała i sypała iskrami.

- Nie jestem waszym wrogiem! - Wojownicy stojący naprzeciw niej cofnęli się nerwowo, gdy drzewce spłonęły na węgiel, a jednak jej skóra pozostała nietknięta. Chwyciła obsydianowe ostrze włóczni i ukłuła się nim w palec. Pojawiła się krew.

- Dziecko! Nie rób nic pochopnie! - Okrzyk Najstarszego Wuja doleciał z gaju za jej plecami.

Nie odważyła się odwrócić do niego, nie z pięćdziesięcioma uzbrojonymi wojownikami patrzącymi na nią z góry. Maski zakrywały wyraz ich twarzy: widziała dumne jastrzębie, zażarte pantery, warczące niedźwiedzie i kęsające jaszczury. Ich ramiona okrywały lniane płaszcze. Niektórzy wojownicy okazywali nagie torsy, większość jednak nosiła krótkie, grubo przeszywane tuniki oznaczone godłami: piórem, trzcina, nożem, czaszką. Wszyscy mieli tatuaże na ramionach albo na podbródkach, od prostych linii zaczynając, do bardziej skomplikowanych nakłuc, rombów albo plamek blaknących do błękitu.

Maska Kota wyciągnął krzemienisty nóż i ruszył ku niej.

Ścisnęła palec i popłynęło więcej krwi.

Kiedy uderzyła w ziemię, wypełzły z niej węże.

Maska Kota odskoczył. Rozprysnęła się następna kropla krwi. Kwiaty chwiały się alarmująco, gdy węże prześlizgiwały się między nimi. Wojownicy krzyczeli, przerażeni. Cofali się. Jeden wąż z jaskrawym pasem prześlizgnął się po jej stopie, aż podskoczyła. Gady były wszędzie, ożywały nawet wśród kwiatów.

Rozłożyła swe skrzydła z płomienia i uniosła się nad łąką.

Tego było za wiele dla grupy bojowej Maski Kota. Co do jednego załamali się i rzucili biegiem do rzeki.

Tryskając ogniem, wsunęła palec w usta i wyssała krew, przysiadając na skraju sosnowego lasu, obok Najstarszego Wuja i młodo wyglądającej kobiety. Tych dwoje Ashioi podniosło ręce, by osłonić twarze przed ulewą gorącą z jej skrzydeł, więc je złożyła.

- Zatem - powiedział Najstarszy Wuj, oglądając ją od góry do dołu z czarującym szerokim uśmiechem. Nie zapomniał przyjemności podziwiania ciała młodej kobiety. - Chodziłaś po sferach. Znalazłaś swe odpowiedzi i moc.

- Odkryłam prawdę - przyznała. Nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Rzut oka na łąkę ukazał jaskrawe kwiaty, wciąż tańczące jak pijane, gdy kłębowisko węży powstałych z jej krwi torowało sobie drogę na zewnątrz przez gęstą roślinność. Całe jej ubranie tam leżało, otoczone przez pełzające gady.

- Otóż - powiedziała kobieta stojąca przy Najstarszym Wuju - nie jestem zaskoczona tym powabem.

- Kto to jest? - zapytała Liath. Trudno jej było zachować pewność siebie, będąc nagą. Tamta kobieta nosiła tylko jasną skórzaną spódniczkę do kolan. Miała potężny tors z szerokimi ramionami i pełnymi piersiami. Podwójny pas czerwonej farby wybiegał z wierzchu jej dłoni w górę ramion aż do barków, w jednym miejscu zakryty jakimś strojem zwieszonym na lewym przedramieniu. Zielone pióro zatknięte było we włosach upiętych w kok, pasując do nefrytowo zielonych oczu. Te oczy i kształt twarzy wydawały się znajome.

- To moja młodsza córka, dziecko mego późnego wieku - powiedział Najstarszy Wuj. Przedstawianie jej nie sprawiało mu przyjemności. - Ta-Która-Się-Niecierpliwi. Która spowodowała już dość kłopotów!

Zbudziły się dawne żale, gdy ojciec i córka spojrzeli na siebie i jednocześnie odwrócili wzrok. Przez ramię kobiety przewieszony był strój.

- To moja tunika - odezwała się Liath - ta, którą zostawiłam w jukach Resuelto. Boże! To ty stałaś na brzegu rzeki ubrana w nią, kiedy pierwszy raz szłam szlakiem kwiatów. - Porwała tunikę i przywdziała ją, nie pytając o pozwolenie. Ubrana jak należy, mogła mówić bez skrępowania. - Skąd ją masz?

- Od mego syna.

- Od Sanglanta! Jesteś matką Sanglanta! Ach, Boże!

Tą, która go opuściła, kiedy był niemowlęciem. Nie mogła wymówić tych słów, stawić czoła kobiecie, która ją kiedyś zostawiła, oniemiała i skonfundowana. Zwróciła się do starego czarownika:

- Ty zatem jesteś pradziadkiem mojej córki?

- Ssa! - Najstarszy Wuj walnął łaską w ziemię, miażdżąc łeb węża, którego ciało zaczęło wić się upiornie. - Nie cierpię tych stworzeń! Kobiety najpierw działają, a dopiero potem myślą! Pokrewieństwo! Płeć! Nie obchodzą ich konsekwencje. Chroni je ich łono. Ich magia daje im siłę! - Z sykiem trzasnął w łeb następnego węża, odskakując na jednej nodze, mając się na baczności przed innymi gadami. - Szybko! Na drzewo!

Wykonali polecenie, a chwilę potem dostrzegli dwie dziesiątki węży, prześlizgujących się przez ściółkę, a następnie znikających w lesie. Biały płaszcz starego czarownika zamiatał ziemię, ale podciągnięcie go było zbyt niebezpieczne.

Liath rozbawiło ich położenie.

- Czy wszystkie węże są jadowite?

- Węże są stworzeniami kobiet - mruknął starzec, zwisając z gałęzi na rękach i kolanach - więc oczywiście są jadowite, tak jak kobiety są jadowite dla mężczyzn. Dlatego właśnie kobiety władają.

- Wcale tak nie jest! W krajach, w których dorastałam, mogą władać zarówno kobiety, jak i mężczyźni, chociaż to prawda, że dziedziczenie jest bardziej pewne z linii matki.

- Tss! - Syknął na smukłego brunatnego węża sunącego pod płaszczem. Gad uniósł się, a potem opadł i zniknął w poszyciu. - Nie będę się o to z tobą spierał. Klóciłem się o to z córką przez trzy dni. Jaki sens ma jej niebezpieczna podróż do świata pod nami? Idzie tam tylko po to, by wrócić i powiedzieć mi, że w plemionach ludzi mężczyźni nie chcą nawet słuchać rad kobiety!

- Byłaś na ziemi? Co z moim mężem?

- Sanglant jest uparty, zupełnie jak jego ojciec! - Niecierpliwa przekręciła się na swojej grzędzie i obadała kijem ziemię wokoło. Zadowolona, że ostatni z węży uciekł z łąki, odprężyła się, o ile kobieta z jej temperamentem potrafi się zrelaksować. - Henri - wymówiła to imię jak Salijka - nie chciał uwierzyć w moją opowieść ani też nie uwierzył swemu synowi. Pójdzie prosto w pułapkę zastawioną na niego przez ludzkich czarowników. - Splunęła na ziemię. - Powiadam, niech on i jego lud cierpią w rękach nikczemników. Ty przez cały czas głosiłaś, że należy się pogodzić, więc mój ojciec i ja usłuchaliśmy cię i przystąpiliśmy do budowania mostu...

- Bez niczyjej zgody! Bez przemyślenia! Pochopne działania prowadzą do zerwanych mostów!

Sposób, w jaki jej wargi się zwały, zdradził gniew, ale ciągnęła dalej:

- Teraz jednak nie wierzę już dłużej, że możemy zawrzeć pokój, jeśli oni nie będą słuchać. Stare opowieści są prawdziwe. Zamiast nosić maski zwierząt, by pożyczyć ich moc, ludzkość postępuje w głębi serc jak zwierzęta.

- Nie! Dość tego sporu! Jakiś nieznajomy dał mi złote pióro pokoju. Nie był zwierzęciem. Ja dałem je z kolei jej, bo przybyła do mnie po pomoc. Teraz powróciła w pokoju, sama musisz to przyznać.

- Może wolałbyś, żeby to ona była twoją córką, a nie ja!

- Cisz! - krzyknęła Liath, po czym dodała łagodniejszym tonem: - Przepraszam. Możecie spierać się do woli, kiedy odejdę, ale proszę, żebyście posłuchali, dopóki tu jestem. Przybyłam znów, Wuju, żeby ci powiedzieć, że muszę wracać na ziemię. - Zwróciła się teraz do matki Sanglanta: - Proszę cię, jeżeli

żywisz jakąś miłość do swego syna i wnuczki, powiedz mi, czy jest coś, co powinnam wiedzieć, zanim przejdę rozdroża i wrócę do tych, którzy na mnie czekają? Nie wiem, ile miesięcy czy lat minęło na ziemi, odkąd odeszłam. Nie wiem, ile mam czasu, dopóki Siedmiu Śpiących nie zespoli swej mocy, by rzucić wielkie zaklęcie. Nie rozumiem też, jak zamierzają zebrać ilość mocy potrzebną do stworzenia zaklęcia tak potężnego, by wyrzucić cały kraj z powrotem w eter.

Najstarszy Wuj pochylał głowę pod ciężarem wspomnień.

- Myśmy tylko ponosili straty. Nigdy nie rozumieliśmy w pełni, jaką magię tkano przeciw nam.

- Powinnam posłuchać Maski Kota - mruknęła jego córka. - Ludziom nie można wierzyć. Być może on jest jedynym, z którym powinnam rozmawiać. - Zwróciła się do Liath: - Mój syn nie jest niczym więcej niż wygnańcem we własnym kraju. Odszedł, żeby na własną rękę znaleźć jakiś sposób walki z czarownikami. Tak, zostawiłam go z dzieckiem. Powinnaś wiedzieć lepiej niż ja, czy mu się powiodło.

- Zostawiłaś go, żeby stawił czoło Siedmiu Śpiącym? Samego? Własnego syna?

- Zostawiłaś go - powtórzyła tamta - żeby stawił czoło twoim wrogom? Samego? Jaką to bronią kłujesz mnie, siostrze? Z pewnością tą samą, która przebija i ciebie. Prawie umarłam, rodząc go. Czy okazał mi wdzięczność, kiedy ocalałam życie jego i jego córki? Nie, potraktował mnie jak obcą, mimo że jest z mojej krwi.

Dźwigając swą laskę, odeszła wyniośle, kierując się przez sosnowy las ku starej wieży obserwacyjnej.

- Nie ma serca - mruknął ze smutkiem Najstarszy Wuj. - Poświęciła je bogom dawno temu, kiedy chodziła szlakiem sfer.

- Czy przeszła przez siedem sfer jak ja i wróciła?

- W to, że weszła na tę ścieżkę, nie można wątpić. Że wróciła żywa, sama widzisz. Co poświęciła podczas swej podróży, tego nie wie nikt. Mogę tylko zgadywać. - Westchnął. - Moje dziecko, zmieniła się. Co ci powiedziały ogniste demony?

- Jestem ich dzieckiem - odpowiedziała cicho, zawstydzona tą wiedzą. Czy jej własna matka dała jej mniej niż matka Sanglanta? Oddała swe życie i ciało, żeby sprowadzić tamto dziecko na świat. Oddała własną duszę. - Jestem jednak wolna od łańcuchów, które mnie wiązały i od zasłon, które kryły prawdę. Powiedz mi, Wuju, czy twój lud mnie nienawidzi? Czy jest jakaś nadzieja na pokój?

- Zawsze trzeba mieć nadzieję na pokój. Straciłem swoich najdroższych. Nie jestem osamotniony we łzach. Przeplakałem wiele nocy, wspominając tych, którzy odeszli przedwcześnie. - Uśmiechnął się, wykrzywiając usta z goryczą. Twarz miał starą, całkiem pomarszczoną. Wyciągnął dłoń, zawahał się i dotknął łagodnie jej ramienia. - Nienawiść jest ogniem, który łatwo rozdmuchać w burzę palącą wszystko na swej drodze. - Płakał, gdy to mówił. Trudno było wypatrzeć podobieństwo między nim a Sanglantem, poza kolorem skóry i przepychem ciemnych włosów, wciąż lśniących i gęstych, mimo podeszłego wieku.

- Błagam cię, dziecko, ratuj nas. Nie pozwól następcom dawnych czarowników zniszczyć nas, jak próbowali to zrobić, kiedy byłem młody.

- Nie pozwolę - obiecała, a potem pochylała się i pocałowała go w policzek. Zacerwienił się mocno, co trudno było dojrzeć przy jego miedzianej cerze, ale łatwo rozpoznać po iskrze nieco zwężonej w jego bystrych, starych oczach.

- Zobaczę cię znowu, Wuju. Wyglądaj mnie.

- Szczęśliwej drogi, córko.

Kwiecista łąka czekała na nią. Wyszła na światło słońca, w mgłę jaskrawych kolorów, białych dzwonek orlika, bujnych peonii, ławic maku i chmur lawendy. Została na ścieżce, badając każdy skrawek ziemi, zanim postawiła na nim stopę. Na myśl o węzłach czuła się nieswojo. Pozbierała swoje rzeczy, ubrała się jak należy, zapięła pas, przywiesiła miecz, kołczan, sakwę, nóż i płaszcz. Złotą obręcz włożyła do sakwy.

Szlak prowadził przez kasztanowy las, przeszła też przez rzekę, jeszcze płytszą niż dawniej. Polana, gdzie po raz pierwszy zobaczyła kiedyś i spotkała starego czarownika, była pusta, nie licząc płaskiego kamienia, na którym często siadał, splatając powrozy z lnu. Kilka wyschniętych łodyg leżało rozrzuconych na ziemi wokół kamienia. Wietrzyk szeleścił w wyschniętych liściach. Nie słychać było nawet brzęczenia much. Cisza nakryła ją niczym ciężka zasłona.

Ten kraj umierał. Umrze, chyba że wróci na miejsce, do którego przynależał. Tak jak ona musi wrócić do miejsca, do którego przynależy.

Miała długą drogę do przejścia, a potem jeszcze dłuższy szlak do wyznaczenia, gdy już dotrze na tamtą stronę. Sięgając do serca ognia, przywołała płonący gład. Rozbłysnął pośrodku polany błękitnym ogniem. Ścisnąc mocno swój łuk, przeszła przezeń na rozdroże pomiędzy światami, gdzie rzeka ognia biegła jak eter przez sfery, z licznymi dopływami łączącymi przeszłość i przyszłość, teraźniejszość i



nieskończoność. W nie mających końca krętych hallach szukała przejścia, które miało zabrać ją z powrotem na ziemię. Niezliczone ilości drzwi pozwalały zaglądać w inne światy, inne czasy, inne miejsca, teraźniejszość i przeszłość, ledwie dostrzeżone, a już znikające.

*Jakiś chłopiec śpi z sześcioma towarzyszami na łóżach ze skarbów, lśniących świecidełek i złocistych bransolet, srebrnych naczyń i skrzyń z kości słoniowej, szkarłatnych koralu i sznurów perel.*

*Śnieg wiruje w zamieci wokół klasztoru, w którym obozują żołnierze, jedni w przybudówkach, inni w namiotach. Hanna w towarzystwie Lwów rąbie drzewo. Twarz ma napiętą, ciało naprężone, ale za każdym razem, gdy uderza toporem w drewno i rozłupuje kłodę, klnie, jakby usiłowała porąbać swą wściekłość i żal.*

*Kobieta w szatach mniszki spotyka płowowłosego szczupłego młodego człowieka na skraju brzoźowego lasu. Oddaje mu smycze pół tuzina wielkich czarnych psów w zamian za drobną opatuloną figurkę, dziewczynkę śpiącą słodko, gdy jeden ponury opiekun przekazuje ją drugiemu.*

*Armia maszeruje w dobrym szyku przez trawiaste równiny wschodniej granicy. Topole rosną wzdłuż brzegów strumieni i płytkich rzek, ustępując głogom i dereniom, a w końcu szerokiej przestrzeni ostnicy i chabrów. Wiosenny kwietny dywan pokrywa ziemię białymi i żółtymi kwiatami, licznymi jak gwiazdy. Czy to Sanglant maszeruje na czele tej armii we wspaniałej czerwonej pelerynie spływającej mu z ramion i w złotej obręczy na szyi? Czy to Blessing tak niemożliwie urosła i wygląda na sześciolatkę? U zbiegu dwóch rzek czeka jakiś król, by powitać tę armię. Na jego chorągwi wlatuje dwugłowy orzeł królestwa Ungryczyków. To dziwne, że pierwszym darem od Sanglanta, gdy się spotykają, ściskają sobie dłonie i przekazują pocałunek pokoju, jest baryłka wina.*

*Jakaś kobieta, postarzała i artretyczna, siedzi w swym pokoju na wieży, pisząc z mozołem. Na stole przy niej rozwinięta jest mapa, prymitywny zarys Salii. Kamienie przytrzymują zwijający się narożnik mapy, ale to figury na woskowej tabliczce bardziej interesują Liath: horoskop wypisany na jakiś dzień przyszły albo dawno miniony, kiedy kataklizm wyjąłował ziemię. Stara kleryczka podnosi głowę, by wezwać przyboczną. Wchodzi ta sama kobieta, która oddała psy i wzięła dziecko, chociaż tu wygląda znacznie starszej, gdy podaje swej pani kojący napój z mleka i wina z korzeniami.*

- Co nowego, Klotyldo? - pyta pierwsza kobieta tonem wielkiej pani urodzonej do rozkazywania. Czy to biskupina Tallia, ulubiona córka Taillefera? Jej głos jest już przytłumiony przez narośl w gardle, która ją zabije.

- Zrobione, Wasza Miłość - odpowiada ta druga. - Dokładnie tak, jak planowałyśmy. Dziewczyna jest w ciąży. Dziecko, które nosi, będzie przez oboje rodziców spokrewnione z cesarzem.

Cienie wrywają dziurę w obrazie. Inne widoki wdzierają się do istnienia tylko po to, by zostać zdarte, jakby w sercu rozdroży nawet same światy stawały się niestabilne, echa dawnych i przyszłych nieszczęść.

*Zgarbione i zniekształcone istoty pełzną tunelami, dźwigając na plecach kosze rudy. Jajko pęka w ukryciu pod powierzchnią srebrzystego piasku i wylania się jakiś szpon. Lew z twarzą kobiety i skrzydłami orla kroczy majestatycznie po piaskach: obracając się, napotyka zdumione spojrzenie Liath.*

*Centaurzyca rozchyła trzciny na brzegu płytkiego jeziora. Jej sierść ma nikły poblask nocnego nieba, a czarne włosy sięgają jej do pasa. Szorstka jasna grzywa, jedyny kontrast z czarną sierścią, biegnie wzdłuż grzbietu: jest zapleciona w warkocze, jak jej włosy, przeplecione koralami i kosteczkami myszy.*

- Patrz! - krzyczy. - Zobacz, cośmy działy!

*Wypuszcza strzałę.*

Płonący tor jej lotu odrzuca Liath przez rozdroża światów daleko w przeszłość, gdy ten kraj został rozdarty.

*Jakieś potężne zakłęcie rozszczepia i rozbija kraj. Rzeki odwracają bieg. Spiętrzone wody pochłaniają nadbrzeżne miasta wzdłuż brzegów środkowego morza. Tymczasem skórzane korale spoczywające na brzegach północnego morza znajdują się nagle wysoko na suchym lądzie, gdy morze cofa się, pozostawiając długie połacie dna, wystawione na światło słońca i ryby tonące w zimnym powietrzu.*

*Wzdłuż górskiego grzbietu daleko na południu góry dymią i buchają ogniem, a płynna czerwona skała ześlizguje się po stokach, paląc wszystko na swej drodze.*

*Na północy jakiś smok nurkuje ku ziemi i w mgnieniu oka kamienieje, zamieniając się w skalny grzbiet.*

*Liath dostrzega teraz zakłęcie, siedem kamiennych krosien przeplatanych światłem ściągniętym z gwiazd. Ledwie widzi same niebiosy, bo przesłania je światło zakłęcia, ale nadal ma bystry wzrok: położenie gwiazd tej nocy na niebie odpowiada horoskopowi nakreślonemu przez biskupinę Tallię.*

*Zakłęcie niczym nóż przecina samą ziemię. Jego utkana moc tnie wzdłuż kredowej ścieżki wtartej kiedyś w ziemię dla wytyczenia starej północnej granicy kraju zajętego wiele pokoleń temu przez Ashioi. Tnie wprost przez środek wielkiego miasta z widokiem na morze. Przecina i same morskie fale, kolejnymi*

*piorunami kreśląc nieprawdopodobnie rozległą granicę wokół kraju, który Ashioi uczynili swoim domem. Siedmiu czarowników tkających to zaklęcie na siedmiu warsztatach tkackich ginie natychmiast, gdy odbita moc zaklęcia wraca do nich.*

*Kraj, w którym lud Najstarszego Wuję urządził sobie dom, zostaje wydarty ze swymi korzeniami, niczym drzewo wyrwane z ziemi dłonią olbrzyma i uniesiony w niebo. Wszyscy Ashioi przebywający poza granicami swego kraju zostają wyciągnięci jego śladem na zewnątrz i toną w wirze, ale nie mogą podążyć w eter i zostają w szczelinach między ziemią a Tamtą Stroną jako cienie, które nie potrafią chodzić po ziemi ani zostawić jej za sobą.*

*Nie tylko oni cierpią.*

*Kataklyzm uderza jednakowo w winnych i niewinnych, starych i młodych, zwierzęta i istoty myślące, guivry i myszy, ludzkie dzieci i zamaskowanych wojowników. Dzieci Ashioi i żołnierzy uzbrojonych w broń z kamienia. Sama ziemia spina się i pręży pod mocą tego zaklęcia. Czy sami czarownicy wiedzieli, co robią? Czy wiedzieli, jak daleko sięgną skutki ich zaklęcia? Czy zamierzali zdziesiątkować swój lud, aby go ocalić?*

*Nie sposób zgadnąć, ona zaś nigdy ich nie zapyta. Są od dawna martwi, nie do obudzenia.*

*Błękit mruga w promieniowaniu zaklęcia.*

*Liath natychmiast widzi Alaina kłęczącego na niskim wzgórzu z psami po bokach. Psy szarpią go desperacko, starając się odciągnąć go od płomiennego kamiennego kręgu. Alain uczepił się bezradnie leżącego na ziemi ciała dziewczyny. Czy to ta sama dziewczyna w rogatej koronie, którą spotkała w królestwie Moka i która tak przenikliwie zajrzała w jej serce, zanim jeszcze sama Liath zaczęła penetrować jego głębie?*

*Ta dziewczyna była tak nieznośnie młoda, młodsza niż Liath, nie miała chyba nawet siedemnastu lat, ale już nie żyła. Za chwilę, kiedy ostatni przypływ mocy zaklęcia uderzy w krosna, Alain też zginie.*

*Liath rozkłada skrzydła. Sięga w przeszłość, chwytając go oraz jego psy i wciąga do świata, który opuścili dawno temu.*

## EPILOG

*Królowa o uśmiechu ostrym jak nóż, zwana Promienną Strzałą, dawno umarła, ale wciąż ma dość sił, by widzieć sercem i oczami kobiety, która o świcie prowadzi resztki swego ludu przez to, co pozostało z lasu. Wylaniają się w końcu spod osłony osmalonych i pokrytych bąblami drzew. Większość dzieci płacze, kilkoro milczy, a wszyscy ocaleli dorośli są w jakiś sposób poranieni. Stojąc na skraju pól uprawnych, przyglądają się w odrętwieniu ruinom swojej wioski.*

*- Chodźmy - mówi kobieta zwana Weiwarą, opierając się na swej lasce. Ma jasne serce zapalone przez gniew, przez mądrość zbyt drogo okupioną, przez bliźnięta, zaledwie roczne, które dźwiga zawieszona na ramionach, jedno z przodu, drugie na plecach, i przez tę trzylatkę, dzielnie choć niepewnie idącą przy jej boku. - Przekłęci odeszli. Teraz jest bezpiecznie.*

*Wychodzą chwiejnym krokiem w dziwnie łagodny poranek. Spalone domy dymią jeszcze w wiosce, chociaż, o dziwo, słup rady wystaje z zawalonego dachu domu obrad. Mgła zdobi girlandami wylamane pnie palisady. Ciała zaścielają ziemię. To Przekłęci, którzy zginęli w pierwszych atakach. Rozpoznaje kształt Beora, poległego w wykopie tuż przed bramami. Prowadził natarcie, kiedy w końcu zdecydowali się wyrwać ze skazanej na zagładę wioski i przyjął na siebie impet kontrataku Przeklętych. To dzięki jego dzielności i śmiałości ktoś w ogóle uciekł z obleganej wioski. Spiżowy miecz, którym walczył, leży na wpół ukryty pod jego biodrem. Mucha siedzi na otwartym oku. Jakieś dziecko głośno szlocha na ten straszny widok.*

*- Chodźcie - mówi surowo, poganiając ich: około czterdzieścioro dzieci w różnym wieku i nie więcej niż tuzin dorosłych. To ciężarne kobiety, starcy i Agda, i Pur, którzy woleliby zostać i walczyć, ale ich wiedza - o ziołach, położnictwie i o kamieniarstwie - jest zbyt cenna, by ją stracić.*

*Idą śladami walki po ścieżce, prowadzącej do kurhanu. Tu leży Urtan z rozplatanym brzuchem. Jakiś cios strzaskął głowę Tostiego. Etora, siostra Beora, wygląda, jakby ją stratowały konie, a potem skonała, usiłując dowlec się do wioski. Leży tu wielu martwych Przeklętych, ale nie ma śladu rannych.*

*Dolatują ich krzyki. Ludzie wylewają się zza wałów broniących kurhanu. Sponiewierani, zakrwawieni, kulejący, wyczerpani, triumfujący pomimo zniszczenia panującego wokół nich i śmierci. Weiwara nie ma*

jednak w sercu radości i płacze na widok swego drogiego męża. On nie może chodzić, ale rana przecinająca udo do kości wygląda czysto i da się zaleczyć. Mała Useti rzuca się na ojca, a Weiwara, po rozmowie z Ulfregą z Czterech Domów, wspina się posępnie na labirynt wałów.

Na szczycie mija resztki spalonego dachu i kieruje się ku grupce stłoczonej pod kamiennym kręgiem, pięciu pozostałych przy życiu Ludzi-Koni i jednego młodego człowieka.

Oszolamia ją widok osmalonych i powalonych kamieni. Spiżowy kocioł leży jak bezkształtna bryła, stopiony mocą zaklęcia. Myślała, że nic jej nie może zranić bardziej niż widok zniszczonej wioski i ciał jej przyjaciół, ale jest coś, co rani bardziej. Adika spoczywająca na ziemi, z rozrzuconymi rękami, z przekrzywioną rogatą koroną. Żaden znak nie szpeci jej ciała, poza starą blizną na policzku, oczywiście. Wygląda tak młodo.

Bliźnięta ożywiają się. Młodszy, Staruszek, uderza piąstką w plecy matki. Dziewczynka, Pączuszek, której życie przyciągnął Alain ze ścieżki wiodącej na Tamtą Stronę, płacze. Często bywa kapryśna. Należy do tych dzieci, które cofają się przed jasnym światłem, ale płaczą obudzone w mroku nocy. Młody człowiek, klęczący o rzut kamieniem od ciała Adiki, unosi wzrok.

- Matka Weiwara! - Kel wykopał coś z ziemi i teraz zrywa się, by jej pokazać zwinięty strój, pas, nóż, sakiewkę i garść rdzewiejących pierścieni. - To musi być strój, który Alain przyniósł, kiedy wrócił z kraju umarłych. Nie ma go jednak i nie ma jego duchowych przewodników, nawet laski, którą mu wyrzeźbiłem. - Znow się załamuje, szlochając bezradnie. Chociaż pokryty smugami zakrzepłej krwi, nie odniósł w bitwie żadnej rany. Szara centaurzyca kroczy obok, posępna, lecz zdecydowana. Kuleje na trzech nogach, co czyni jej krok niezgrabnym. Jej boki pokrywa zaschnięta krew. Kłania się grzecznie i mówi, ale jej słowa zmieszane z gardłowym rzeniem nie znaczą dla Weiwary nic.

Wiatr obiera inny kierunek. Jakaś sowa szybuje w dół i siada na jednym z kamieni. Zły to omen w świetle dnia. Mgła wije się w górę z ziemi wewnątrz połamanego kamiennego kręgu. Kel łapie oddech. Weiwara pada na kolana, gdy widzi majestatyczną postać kroczącą naprzód, na wpół przestłoniętą wirującą mgłą. Zaslania oczy.

- Święta, wybacz mi.

- Nie obawiaj się, siostrzenico. Nie obraziłaś mnie w niczym. Przychodzę po niemowlę, starszą z bliźniąt.

- Po niemowlę? - Po tylu smutkach, czy można znieść ich więcej?

Głos Świętej jest melodyjny niczym głos strumienia z oddali, dotknięty wodą melancholii.

- Wychowamy ją wśród naszego ludu. Nauczymy ją i jej dzieci, i dzieci jej dzieci, sekretów naszej magii. Ta więź między twoim i moim ludem przetrwa tak długo, dopóki będzie miała potomków, bo w ten właśnie sposób mogę uhonorować Adikę, która mi była droga.

Nawet gdy jej serce matki zastyga wewnątrz niej, wiedząc, że nie może ona powiedzieć Świętej „nie”, wiedząc, że nie potrafi powiedzieć „tak”, jakiś szept drażni jej ucho. Z jednym dzieckiem łatwiej będzie poradzić sobie niż z dwoma. W tak desperackim czasie, z nadchodzącą zimą i najpewniej spalonymi zapasami żywności, wyżywienie bliźniaków będzie strasznie trudne, a trzeba jeszcze pamiętać o Useti, wcześniej odstawionej od piersi, by zrobić miejsce młodszemu. Pączuszek, tak czy owak, nigdy nie była jej, nie naprawdę. Od początku należała do duchów.

Jej usta odmawiają jednak wyrażenia słów zgody. Już od wielu miesięcy kochała i karmiła te dzieci.

- Co z moim ludem, Wiedząca? Nie mamy już Wybranej, by nas strzegła.

- Czy te bliźnięta nie są wybrane w oczach potęgi, którą nazywacie Obfitą? Niech młodszy bliźniak będzie wyznaczony do pójścia uświęconą ścieżką. Sama zajmę się jego wyszkoleniem tu, w waszym własnym kraju, a kiedy dorośnie, stanie się Wybranym dla wszystkich Ludzi Jeleni.

Mgła wije się wokół kamieni. Chłodny wiatr zrywa się z północy, przygotowując ją o drzenie. Nadchodzi zima i wszyscy będą walczyć o przetrwanie wśród ruin. Zaklęcie utkane przez Świętych uwolniło świat od Przeklętych, jak się zdaje. Dość jednak spojrzeć na spalony las, by zobaczyć, że dotknęło ono każdą duszę tu, na ziemi, swą straszliwą mocą.

Święta mówi dalej, jakby rozumiała wahanie Weiwary:

- Moje kuzynki przyniosą tę dziewczynkę do mnie. Będą ją karmić piersią jak własne dziecko. Będzie bezpieczna i pod dobrą opieką, jakby miała pięć matek, a nie tylko jedną. Strzeżemy jak skarbu każdą z naszych córek pośród Ludzi-Koni. Nie musisz się obawiać, że twoja będzie zaniedbana. Czy znasz imię przeznaczone dla niej, kiedy będzie starsza?

- Kerayit - szepcze Weiwara, nie zdając sobie sprawy, że chciała to powiedzieć, jakby czyjś głos przemówił jej ustami.

So'ska wysuwa się naprzód, wyciągając ręce. To dziwne, kiedy o tym pomyśleć, ale wszystkie widziane

przez nią centaury były rodzaju żeńskiego.

Lepiej zrobić to szybko. Weiwara wyjmując dziewczynkę z nosidelka, całuje lekko i podaje Sos'ce. Niemowlę krzyczy z oburzeniem, ale inna centaurzyca wysuwa się i zwinnym ruchem przyklada krzyczące dziecko do piersi. Po chwili niemowlę trzyma sutek i ssie mleko.

Mgła słabnie. Centaurzyce czynią w milczeniu gesty pożegnania i odchodzą. Lepiej, żeby rozstanie było szybkie. Puste nosidelko zwisa jej na piersi. Staruszek dostaje czkawki, jakby wyczuwał jej nastrój.

- Co z Alainem? - woła Kel.

Za późno. Słońce wygania resztki mgły spomiędzy kamieni. Święta odeszła, nie ma już sowy przycupniętej w znikającym cieniu.

- Widziałem ją! - Kel momentalnie zapomina o smutku, wchodząc niepewnie między kamienie. - Widziałem ją! - Pochyla głowę, drżąc mu ramiona. - Ale oni nigdy się nie dowiedzą, Tosti i wuj, i Alain, nigdy się nie dowiedzą.

Wiwara sprowadza Kela w dół, gdzie czeka obdarta gromada ocalonych. Większość Białych Jeleni szykuje się do odejścia, pragnąc wrócić do swych wiosek i zobaczyć, jak przetrwały burzę. Kiedy Weiwara przygląda się zniszczeniom, myśli, że może jej lud również powinien odejść. W tym miejscu roją się teraz duchy i upiory. Prawie je widzi. Od czasu do czasu łowi kątem oka cienie Przeklętych, szlochających i wykrzykujących przekleństwa, ponieważ zostali na zawsze uwięzieni na drodze na Tamtą Stronę, ani żywi, ani umarli.

Ale starożytne królowe jeszcze nie skończyły. Promienna Strzała, Złota Locha i Bezzębna nie zapomniały o więzach łączących je z ich ludem. Gdy ostatnie echa tego ogromnego zaklęcia drżą w ziemi, chwytają one słabnące nici.

Kiedy Weiwara i Agda wnoszą ciało Adiki na noszach w ciszę starożytnego grobowca, królowe szepczą im do uszu. Weiwara zajmuje się ciałem, a Agda trzyma pochodnię. Z miłością po raz ostatni zaplata piękne włosy Adiki. Poprawia złotą rogatą koronę na jej czole i wygładza szaty. Składa jej bezwładne ręce na podolku. Pierścień z lapis lazuli dany jej przez Alaina połyskuje w świetle pochodni. Układa obok Adiki rzeczy, które przyniósł ze sobą Alain. W ten sposób jakaś część jego będzie wciąż obecna przy niej. Na koniec ustawia przy jej nogach wiaderko z kory pełne piwa warzonego z miodem, pszenicą i żurawinami.

- Pozwól mi dzielić z tobą ten ostatni napój, ukochana przyjaciółko.

Zanurza dłoń w miodzie i wypija pełną garść. Gdy ostry smak drażni jej gardło, wydaje się jej, że starożytne królowe poruszają się w swych cichych grobowcach.

- Nie opuszczaj nas, córko. Nie opuszczaj tych, które dały ci życie i uczyniły cię silną. Nie zostawiaj twej ukochanej przyjaciółki, by spała samotnie. Tylko o to prosiła, żeby nie musiała umierać samotnie.

Plakać - czy ona zawsze będzie płakać? Weiwara odmawia nad zmarłą modlitwy, a Agda wyśpiewuje prawidłowe odpowiedzi. Potem, z pewną ulgą, wycofują się z Agdą w światło dnia. Na progu grobowca królowych oczyszczają się lawendą rozartą na skórce, zanim wrócą do zgromadzonych wieśniaków.

- Co mamy robić, Matko Weiwaro? - pytają. - Dokąd mamy iść?

Nadbiega Kel. Wysłała go z powrotem do wioski, on zaś z wielkim podnieceniem ogłasza, że osiem z dziesięciu studni, w których złożyli zboże na zimę, przetrwało pożogę.

- To jest nasz dom - mówi Weiwara. - Nie opuściłabym też rada starodawnych królowych i mojej ukochanej przyjaciółki, która nam dała życie. Zostańmy tu i pobudujmy się na nowo.

Promienna Strzała widząc, że wszystko przebiega, jak chciała, wycofuje swe ręce ze świata.

- Pójdź, siostró - mówi do ducha Adiki, wciąż zmieszanej i pogrążonej w smutku. - Oto jest ścieżka wiodąca na Tamtą Stronę, gdzie kwiaty na łące zawsze kwitną. Chodź ze mną.

Ich wspomnienia słabną.

Z czasem, gdy umarli zasypiają, a żyjący przekazują swe życie dzieciom i wnukom, z pokolenia na pokolenie, oni także zostają zapomniani.

Ivar uderzył o ziemię tak mocno, że chrupnęło mu w kolanach. Ręce mu się ugięły i upadł twarzą w pył.

Leżał oszołomiony w ciemności, podczas gdy ten niezrozumiały sen, który prześnił, zniknął w chaosie. Pył dostał mu się do ust, pokrywając wargi. Piasek kłuł go w język. Bolało go przygięte ucho, ale nie mógł poruszyć głową, by złagodzić ucisk.

Kiedy tak leżał, słyszał kogoś, ale nie rozpoznał głosu.

- Szedłem drogą i płakałem, bo wiedziałem, że to droga, która prowadzi na tamten świat, a wiesz, wuju, że bardziej niż drogiej matki żał mi było mojej Fridesuendy, bo wiesz, że mieliśmy się pobrać w środku zimy. Zobaczyłem jednak jakiegoś człowieka. Nadchodził drogą z czarnymi psami po obu bokach.

Ubrany był w strój Lwa, ale na kaftanie miał okropną plamę krwi. Wyciągnął do mnie dłoń, a wtedy zrozumiałem, że to nie żaden Lew, bo miał welon światła na twarzy i koronę z gwiazd. Przysięgam ci, że wyglądał dokładnie jak ten nowy Lew, ten, co był kiedyś wielkim panem, a jest w kompanii Thiadbolda.

Gerulf zachichotał.

- Przypominam go sobie całkiem nieźle, Dedi. - Ivar rozpoznał po chwili ten płynny ton w głosie starego Lwa: jakby płakał, kiedy mówił. - Wypominał ci zwrócenie tej tuniki chłopakowi...

- Nie, wuju, niczego mi nie wypominał. Opowiedział mi tylko historię o ciotce Folquina, jak to utkała ją specjalnie dla siostrzeńca, kiedy odchodził do Lwów. Potem on i jego kamraci zaproponowali, że odpracują tę wygraną, odrabiając za mnie czarną robotę. Wydawało mi się małostkowe powiedzieć im „nie”.

- Ach, chłopcze. - Gerulf odetchnął głęboko. - Leż teraz spokojnie. Obiecałem twojej matce, że cię sprowadzę bezpiecznie do domu, i tak zrobię. Muszę tu przynieść światło i zobaczyć, co się przytrafiło innym.

Ivar chrząknął i zaczął pracować ramionami, posuwając się na rękach i kolanach, właśnie wtedy, gdy usłyszał inne zatrwożone głosy, zaczynające mówić jednocześnie.

- Cicho, proszę was - powiedział szorstko. - Mówcie po jednym naraz, żebyśmy wiedzieli, że są wszyscy.

- Jestem tu - powiedział Gerulf. - I mój siostrzeniec Dedi...

- Mogę mówić za siebie, wuju.

- Czy to ty, Ivarze? - spytał Sigfrid. - Źle słyszę. W uszach mi dzwoni. Miałem przedziwną wizję. Widziałem anioła...

- To ten gwóźdź od Tallii - powiedziała Hathumod płaczliwie. - Skąd on się tu wziął?

- Spokój, Hathumod - przerwał Ermanrich. - Najlepiej bądźmy cicho, żeby nie obudzić czegoś jeszcze. Miałem koszmarne sen. Ściagały mnie potwory o ludzkich ciałach i pyskach zwierząt...

Nagle przestał mówić. Wszyscy czekali na głos siódmego.

Ivar słyszał w ciszy kapanie wody.

- Baldwinie! - szepnął. I znowu, głośno: - Baldwinie! - Serce waliło mu ze strachu. Duchy zawsze pragnęły krwi i oddechu żyjących, a Baldwin był tym, który poruszył szkielec.

- Ivar! - Głos odbijał się niesamowitym echem w jakichś nieznanach korytarzach, ale nawet to nie mogło stłumić triumfalnej nuty. - Chodź i zobacz to!

Ivar zaklął pod nosem.

Ermanrich wydał przerywany czkawką śmiech.

- Gdybyśmy mieli twoje piękne oczy, pewnie my też widzielibyśmy w ciemności. Gdzie jesteś?

Ujrzeni blask słabego złocistego światła. Pojawiła się w nim głowa Baldwina. Światło malowało jego rysy z niesamowitą perfekcją. Uśmiechał się, gdy wylaniały się jego ramiona, a potem tors. Ivar, wciąż na czworakach, po chwili zrozumiał, że Baldwin wchodzi po schodach.

- Musicie to zobaczyć! - wykrzyknął Baldwin. Na palcu wskazującym błyskał pierścień ozdobiony błękitnym kamieniem. Trzymał berło pokryte złotym filigranem i wysadzone perłami. Złoto świeciło słabym blaskiem, oświetlając ściany komnaty.

Nie byli już w tym samym miejscu. Nie było kamiennej płyty i starożytnego grobu. Zniknęły ciemne alkowy przybudowane do grobowca. Zastąpiła je wykuta w skale pusta komnata. Ivar stanął na nogach, krzywiąc się z powodu bólu w kolanach. Wpatrywał się w otaczające go ściany. Nie było już na nich dziwnych znaków zdobiących ściany grobowca, w którym schronili się przed armią Qumanów.

- Chodźcie! - ponaglał Baldwin, schodząc ze schodów. - Nie uwierzycie!

Pośpieszyli za nim. Sigfrid ujął dłoń Hathumod, Ermanrich szedł za nimi, a Gerulf pomógł wstać siostrzeńcowi. Ivar znalazł po omacku pochodnię. W słabnącym szybko świetle dotarł do otworu. Strach ścisnął go za gardło, zmuszając do łapania tchu. Czy Baldwin został opętany przez duchy zmarłych? A może natknął się na jakiś czar? Gdzie byli?

Boże, ależ te kolana bolą!

Dwadzieścia stopni zaprowadziło go do komnaty nie większej niż ta, z której przyszedł, ale tak całkiem odmiernej, że mógł tylko spoglądać w podziwie, podobnie jak i jego towarzysze.

Znaleźli jaskinię skarbcza ze stosami złota i klejnotów, z mnóstwem pięknie zdobionych skrzyń, zwojów jedwabiu i najpiękniejszego płótna. Najdziwniejsze z wszystkiego było to, że strażnicy komnaty leżeli pogrążeni we śnie, siedmiu młodych ludzi ubranych jak towarzysze młodego wielmoży. Spali na stosach monet z minami ludzi śpiących na najmniejszych poduszkach. Młody wielmoża, wyróżniający się wyjątkowo bogatym strojem, leżał na boku, na wpół zwinięty, z policzkiem opartym na dłoni. Oczy miał

zamknięte, a usta lekko rozchylone. Miał jasne włosy i zdrową różową cerę.

- Siedmiu Śpiących! - wykrzyknął stłumionym głosem Sigfrid. - Matki Kościoła pisały o nich. Czy rzeczywiście natknęliśmy się na ich kryjówkę?

- Umiem liczyć! - odparł z oburzeniem Baldwin.

- Czy nie czytaliśmy o tych siedmiu śpiących w *Historii Kościoła* Euzebiusza? - spytał Ermanrich.

- Panie, zachowaj nas! - zaklął się Gerulf. - To przecież chłopak margrabiego Villama, jego najmłodszy, Berthold. Pamiętam dzień, w którym zniknął. Pani, błogosław nas, ale przysięgam, że to było dwa lata temu albo więcej.

Wylęknięty, ale zdeterminowany, podszedł do młodego pana i ukląkł przy nim. Jednak mimo potrząsania i nakłaniania nie zdołał go obudzić. Nie dało się też mimo wysiłków przełamać zaklęcia snu wiążącego jego towarzyszy.

- To czary - powiedział w końcu Gerulf. Poddał się ostatni, długo po tym, jak inni odstępili, gromadząc się przy schodach prowadzących przez skałę do komnaty na górze.

Świecące berło malowało pomieszczenie cieniutką złotą gazą, ale cienie nadal leżały w kątach, poacie ciemności nietkniętej światłem.

- Myślę, że powinniśmy się stąd wynosić - powiedział Ivar niepewnie.

- A co z Qumanami? - spytał Baldwin. - Nie mogę już dłużej przed nimi uciekać. - Ukląkł i zaczerpnął garść złotych monet, pozwalając im przelatywać przez palce.

Cienie poruszały się po posadzce komnaty niczym winorośl na wietrze, wijąc się i szukając.

- Baldwin! - rzucił ostro Ivar, gdy pasmo cienia wypełzło ze skarbu, wijąc się po nodze tamtego. - Rusz się stamtąd!

Baldwin ziewnął.

- Jestem taki zmęczony.

Ivar rzucił się naprzód, pochwycił przegub dłoni Baldwina i potrząsnął nią tak mocno, że całe złoto rozsypało się na posadzce.

- Niczego nie podnoś! - Berło wypadło z ręki Baldwina i potoczyło się po posadzce, zatrzymując się ze szczękiem pod skrzynią z klejnotami. Cienie wily się na jego drodze.

- Nie bierzcie stąd niczego - powiedział szorstko Ivar, obracając się, by spojrzeć na innych. Światła z berła zaczęło ubywać. - Wszystko tu jest zaklęte. To wszystko czary! Widziałem już, jak one działają. - Dawna nienawiść i zazdrość rosły w jego sercu jak fala powodzi. Zdawał się widzieć Hugona, wyzierającego z cienia, który gromadził się za skarbem, a w sercu tego cienia wyczuwał ponurą wrogość, szepczącą mu do ucha kłamstwa: „Hanna nie żyje. Liath cię nienawidzi”.

- Chodźmy! - pociągnął Baldwina bezlitośnie i pchnął go ku wylotowi schodów.

Gerulf wyrzesał iskrę, ale zgasła na poczerniałym kikucie pochodni. Druga iskra syknęła, chwyciła i pochodnia wróciła do dymiącego życia. Wdrapywali się po schodach z Gerulfem tuż przez Baldwinem i Iwarem na końcu. Chłodne wici głaskały go po grzbiecie, ale pozwoliły mu odejść. Za nim czyste światło jarzyło się zachłannym i pradawnym gniewem.

Potknął się na ostatnim stopniu wiodącym do chłodnej, pustej komnaty, gdzie czekali na niego inni.

- Tu jest jeszcze jeden tunel - oznajmił Baldwin, który poszedł naprzód.

Nie było innej drogi, ale szybko odkryli, że wpadli w labirynt. To nie był żaden prosty grobowy kurhan z pojedynczym tunelem prowadzącym do centralnej komory, gdzie starożytni królowie zostali za dawnych dni ułożeni na spoczynek, ale raczej labirynt korytarzy. Niektóre były niskie, inne tak wysokie, że Ivar nie mógł dotknąć ich stropu. Wszystkie zawracały i przecinały się w zawiły sposób, który okazał się jeszcze bardziej mylący, gdy Sigfrid wymyślił pozostawianie znaków na skrzyżowaniach, żeby wiedzieć, czy podążają po własnych śladach. Dość szybko odkryli, że chodzą w jakimś skomplikowanym kręgu.

W końcu rozdrażniony Baldwin wyrwał pochodnię z ręki Gerulfa.

- Tędy - oświadczył z pewnością siebie.

Skrecając tu i tam bez żadnego oczywistego wzoru, poczuli nagle świeże powietrze. Pochodnia zadrzała i zgasła, pozostawiając smugę dymu. Tunel piał się w górę, ale strop się obniżał, aż w końcu musieli pełzać. Ivar poczuł pod dłońmi grunt, wijące się korzenie, a także jakieś wilgotne stworzonko.

Baldwin krzyknął. Ivar słyszał okrzyki innych, a potem przyszła na niego kolej toczyć się przez gęste krzaki. Zakrył oczy dłońmi i przypomniał sobie, że nie posiada dwóch palców. Rana już jednak nie bolała. Biała tkanka blizny zamykała najniższe stawy, gdzie palce zostały oderwane od dłoni, jakby minął już rok czy dwa, odkąd odniósł tę ranę. Po chwili ośmielił się opuścić dłonie. Zobaczył, że dzień jest pochmurny, chociaż wydawał się jaskrawy za sprawą długiej obecności w mrocznym tunelu. Roześmiał

się słabo, leżąc w trawie.

Baldwin podszedł i położył się przy nim.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytał cicho.

- Skąd znałeś tę drogę?

- Nie wiem. Chciałem się po prostu wydostać.

Leżąc tak w wysokiej trawie, owiewany wiatrem i napełniając płuca powietrzem, Ivar doznał objawienia. Wszystko, czego Baldwin dokonał, wszystko, co wydawało się tak celowe i mądrze zaplanowane, w rzeczywistości wynikało z bezmyślnych impulsów. Byłe dalej! To tylko sprawa szczęścia, że Baldwinowi się powiodło. To prawda, Bóg dał mu urodę i szczęście, ale został nimi tak napełniony, że nie było miejsca na nic innego.

- W porządku, Baldwinie - powiedział Ivar, z trudem siadając. Wszystko go bolało. - Nie wiem jak, ale chyba uciekliśmy Qumanom.

Chmury miały odcień perłowy, bardziej świetlisty niż szary. Siedmiu towarzyszy siedziało rozproszonych na jakiejś całkiem nieznanym polanie, na której wznosił się kamienny krąg i cztery wielkie kopce. Polanę otaczały wysokie drzewa. Liście już poczerwieniały albo pożółkły. Powietrze było czyste i pachnące, nietknięte wonią bitewnej rzezi, i miało w sobie ostrą przejrzystość późnej jesieni. Kiedy toczyli bitwę przy starym kurhanie, było późne lato.

Świadectwo oczu mówiło jednak, że minęły całe tygodnie od tamtej nocy.

Nastąpiło długie milczenie, podczas którego słyszał oddech Baldwina, a z tyłu za nim głosy innych. Sigfrid śpiewał jakiś hymn, a lady Hathumod na przemian płakała i modliła się z gorączkową pasją, podczas gdy Ermanrich próbował ją uspokoić. Gerulf i Dedi rozmawiali z takim ożywieniem, że nie mógł rozróżnić słów, z winy ich szczególnego sposobu wymawiania niektórych. Wyszli na polanę. Rany Lwów były przedtem tak ciężkie, że Dedi wydawał się bliski śmierci. Jak to możliwe, że teraz biegali dookoła niczym wiosenne jagnięta?

- Panie mój, Ivarze! - krzyczał Gerulf, wracając z pośpiechem. Stary Lew niemal wychodził z siebie z podniecenia. Twarz miał promienną, jakby napełniono ją światłem. - Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

- Nie dbam o to, dopóki jesteśmy dość daleko od Qumanów. - Ivar stanął na nogach, rozcierając grzbiet.

- To cud, panie mój! Bóg uwolnił nas od Qumanów. To jest wzgórze nad klasztorem Herford w zachodnim Saony. Możemy stąd dostrzec księstwo Fesse.

- Klasztor Herford? - Ermanrich wystąpił naprzód. - To niemożliwe. Byliśmy na pograniczu...

- Było lato! - krzyknęła Hathumod. - A on jeszcze chodził wśród nas.

- Wszystkie nasze rany są zaleczone - dodał Sigfrid z niedowierzaniem, przysuwając się do Ivara. - Spójrz na swoją dłoń. Wygląda, jakbyś odniósł tę ranę całe miesiące albo lata temu.

- W gardle mi zaschło - powiedział Baldwin. - Czy ma ktoś coś do picia?

- Cisza! - Ivar obejrzał swoich sześciu towarzyszy, a potem polanę, na której stali. Niskie ziemne kopce i kamienny krąg przypominały mu mgliście wielki kurhan z jego wałami ziemnymi. Czy nie było tam zrujnowanego kamiennego kręgu na szczycie tego starożytnego wzgórza? Ivar nigdy dotąd nie widział kamiennego kręgu w tak doskonałym stanie jak ten. Każdy kamień stał prosto, a wszystkie nadproża były nietknięte. Jakimś sposobem w ciągu jednej nocy przebyli całą drogę z pogranicza do środka Wendaru. W ciągu jednej nocy przebyli drogę od lata do jesieni.

Czary.

Drżąc, pochwycił dłoń Sigfrida, a potem Baldwina.

- Chodźcie, przyjaciele - powiedział, widząc, że wszyscy podali sobie dłonie, trzymając się razem w obliczu tak wielu rzeczy, których nie umieli wyjaśnić. - Prawda, że nie rozumiem, co się nam przydarzyło, z wyjątkiem tego, że nasz przyjaciel Gerulf musi mieć rację. Bóg uratował nas od śmierci z rąk Qumanów, możemy więc nadal wykonywać jej dzieło tu na ziemi. Nie zapominajcie o feniksie. Nasze zadanie dopiero się zaczyna.

Hathumod znowu wybuchnęła płaczem, przyciskając zardzewiały gwóźdź do piersi, jakby to była święta relikwia.

- Chwalmy Boga - mruknął Gerulf, a inni powtórzyli jego słowa, wszyscy prócz Baldwina, który rozglądał się niespokojnie po polanie.

- Wkrótce nadejdzie noc - powiedział - a nie podoba mi się myśl o spaniu pośród tych starych grobowych kopców. Wolę nie myśleć, co może z nich wypełznąć, kiedy się ściemni.

- Ba, mnie też się nie podoba spanie przy tych starych kopcach. - Dedi zaśmiał się nerwowo, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem, ogarnięci ulgą i wyzwoleni od strachu i walki.

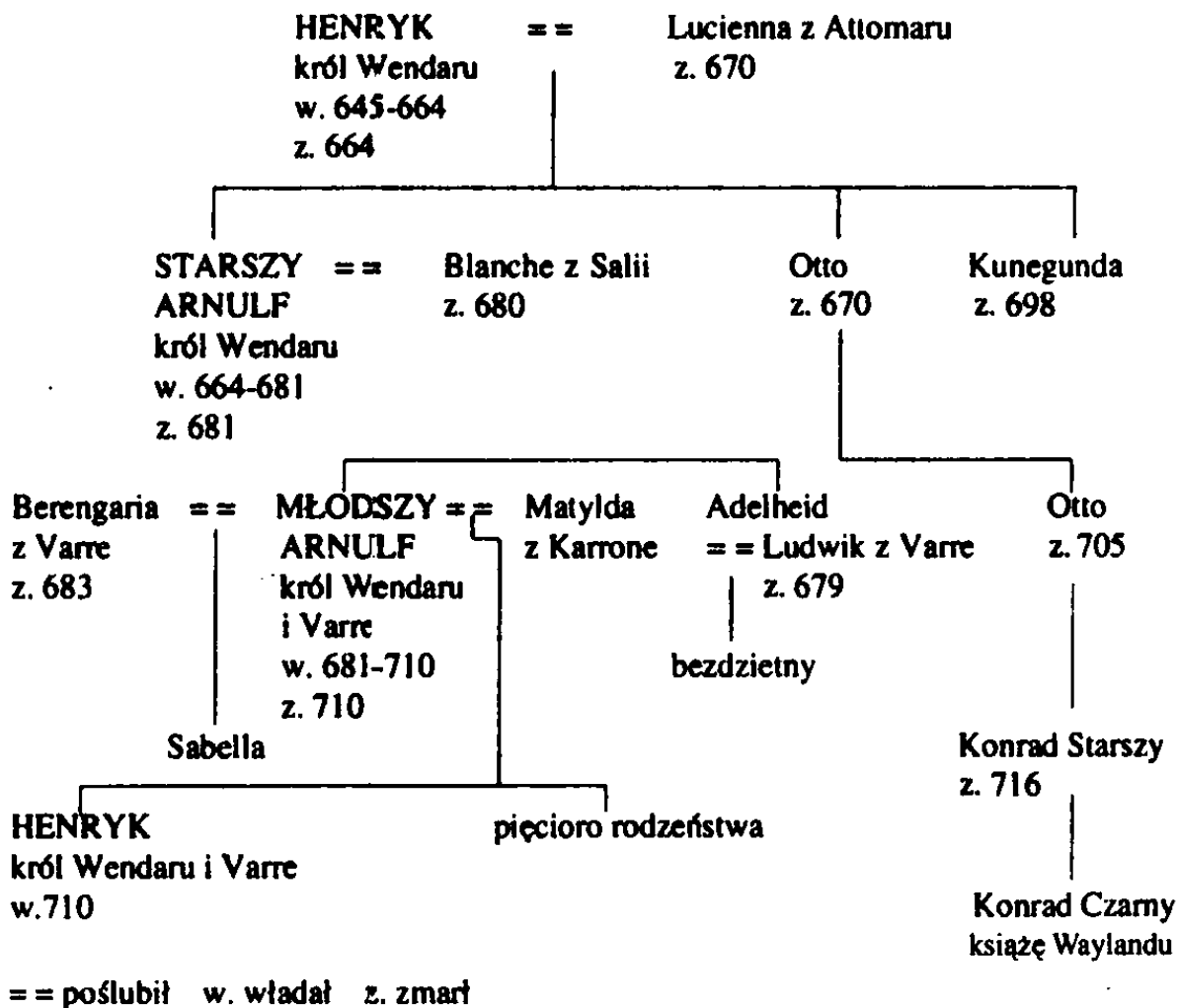
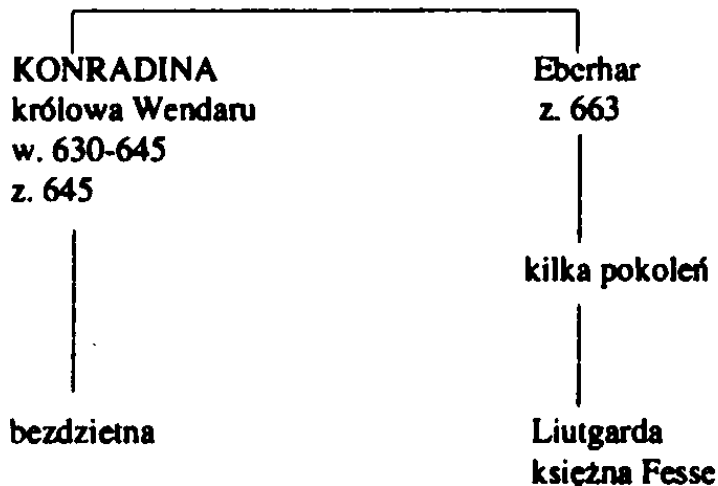
- Czy jest tu ścieżka, która zaprowadzi nas do klasztoru, Gerulfie? - spytał Ivar. Czy jednak nie powinni

ufać, że Bóg ochroni ich od złych duchów i ssących krew istot, skoro już przydarzył im się cud?

- Minęło parę lat - odrzekł stary Lew, drapiąc się w brodę - chyba jednak... - Wskazał wąską wyrwę w gęstej ścianie drzew. - Myślę, że ścieżka jest tam.

Wszyscy stali, czekając i obserwując Ivara. Jakimś sposobem stał się ich przywódcą.

- Mamy przed sobą długą drogę - powiedział. - Ruszajmy.





**Legenda mapy**

- |                       |                |               |                        |                |
|-----------------------|----------------|---------------|------------------------|----------------|
| 1. Odpoczynek Serca   | 2. Lavas       | 3. Autu       | 4. Gent                | 5. Osterburg   |
| 6. Walburg            | 7. Darre       | 8. Handelburg | 9. Grobowiec Królowych |                |
| 10. Wysepka Crackling | 11. Hefenfelth | 12. Sliesby   | 13. Novomo             | 14. Achtenberg |
| A. Rzeka Veser        | B. Rzeka Odra  | C. Rzeka Nysa | D. Rzeka Rhowne        |                |

